

NEAL
STEPHENSON



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza

Epoka Jednego Księżyca

Siedem sióstr

Skauaci

Pionierzy i Poszukiwacze

Dzień 56

Dzień 68

Dzień 73

Dzień 80

Dzień 90

Konsolidacja

Dzień 260

Dzień 287

Rozdzielenie Losów

Dzień 306

Dzień 333

Dzień 365

Część druga

Dzień 700

Białe Niebo

Kamienny Deszcz

Ymir

Endurance

Rozpadlina

Część trzecia

Pięć tysięcy lat później

Epilog

Podziękowania

N E A L
S T E P H E N S O N



Przełożył
Wojciech Szypuła

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2016

Tytuł oryginału: *Sevneves*

Copyright © 2015 by Neal Stephenson
Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-713-5

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227 213 000
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Jaimemu, Marii, Marcowi i Jeffowi.

Część pierwsza

Epoka Jednego Księżyca

Księżyc eksplodował bez uprzedzenia i bez żadnego widocznego powodu. Jeden dzień dzielił go od pełni. Była godzina 05:03:12 czasu UTC. W późniejszym okresie chwilę tę przyjęto nazywać A+0.0.0 lub po prostu „Dniem Zero”.

Astronom-amator z Utah był pierwszym człowiekiem na Ziemi, który zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego. Chwilę wcześniej dostrzegł plamę wykwitającą w rejonie formacji Reiner Gamma, w pobliżu księżycowego równika. Przypuszczając, że ma przed sobą obłok pyłu wzniecony uderzeniem meteorytu, wyjął telefon i zaczął wysyłać doniesienie o wydarzeniu na swojego bloga, poruszając zeszywniałymi kciukami (znajdował się wysoko w górach, gdzie powietrze było równie przejrzyste jak zimne) najszybciej, jak potrafił, żeby tylko zagwarantować sobie palmę pierwszeństwa. Inni astronomowie wkrótce zwrócą teleskopy na tę samą chmurę pyłu – może nawet już to robili! – ale on, jeśli tylko będzie odpowiednio szybko przebierał kciukami, pierwszy zawiadomi świat o swoim odkryciu. Zdobędzie sławę. Jeżeli meteoryt zostawił po sobie widoczny krater, może nawet nazwą go na jego cześć.

Jego nazwisko zostało zapomniane. Prawdę mówiąc, domniemany krater przestał istnieć, zanim jeszcze jego odkrywca zdążył na dobre wyciągnąć telefon. Razem z nim przestał zresztą istnieć cały Księżyc.

Kiedy astronom schował telefon i znów przytknął oko do okularu, zaklął pod nosem, ponieważ pole widzenia wypełniła brunatna plama; musiał niechcący trącić przyrząd, układ optyczny rozjechał się i zgubił ostrość. Zaczął kręcić pokrętłem ostrości. Nie pomagało.

W końcu odsunął się od teleskopu i gołym okiem spojrzął na miejsce, w którym powinien znajdować się Księżyc. W tym momencie przestał być naukowcem dysponującym wiedzą zastrzeżoną dla wybranych i stał

się jednym z milionów mieszkańców obu Ameryk, którzy z zaskoczeniem i nabożnym lękiem śledzili najbardziej niezwykle widok, jaki człowiek kiedykolwiek oglądał na niebie.

Kiedy w filmie planeta eksploduje, zmienia się w ognistą kulę i po prostu przestaje istnieć. Z Księżycem było inaczej. Agent (bo tak ludzie nauczyli się nazywać tajemniczy czynnik odpowiedzialny za jego zniszczenie) z całą pewnością wyzwolił ogromną ilość energii, nie dość jednak dużą, żeby spopielić całą księżycową materię.

Wedle najpowszechniej przyjętej teorii zaobserwowany przez astronoma z Utah obłoczek pyłu był skutkiem zderzenia. Inaczej mówiąc, pewien czynnik zewnętrzny (zwany z angielska „Agentem”) przebił powierzchnię Księżyca, wniknął głęboko do jego wnętrza, a następnie uwolnił przenoszoną energię – albo, co jest równie prawdopodobne, po prostu przebił się na wylot, wyzwalając po drodze dostateczną ilość energii, żeby doprowadzić do rozpadu planety. Według innej hipotezy Agent – w czasach prehistorycznych pogrzebany we wnętrzu Księżyca przez obcych – był urządzeniem zaprogramowanym na detonację w chwili wystąpienia określonych warunków.

Tak czy inaczej, skutki były dwójakiej natury: po pierwsze, Księżyc rozpękł się na siedem dużych odłamków i niezliczone mrowie mniejszych; po drugie, odłamki te odsunęły się od siebie wystarczająco daleko, żeby dało się je postrzegać jako odrębne obiekty (olbrzymie, chropowate głazy), a zarazem nie dość daleko, by to rozproszenie postępowało. Szczątki Księżyca utworzyły spętane siłą przyciągania skupisko gigantycznych głazów, które po chaotycznie wykreślonych orbitach okrężały wspólny środek ciężkości.

Ten punkt – niegdysiejszy środek Księżyca, teraz zaś wyłącznie abstrakcyjny punkt w przestrzeni – nadal krążył wokół Ziemi, dokładnie tak samo, jak czynił to od miliardów lat. Od tej pory, ilekroć mieszkańcy Ziemi spoglądali w nocne niebo, zamiast Księżyca widzieli w jego miejscu konstelację wolno koziołkujących białych złomów skalnych.

Ściśle rzecz biorąc, to właśnie zobaczyli, gdy opadł kurz, bo przez pierwsze kilka godzin zamiast Księżyca widoczna była nieco większa od niego chmura pyłu, która przed świtem poczerwieniała i na oczach zdumionego astronoma-amatora zaszła za zachodnim widnokręgiem Utah. Azja przez całą noc mogła oglądać plamę w księżycowym kolorze,

w której pomału wyróżniały się jaśniejsze plamy, gdy drobinki kurzu zaczęły grawitować ku najbliższemu cięższemu odłamkom. Europa, a później także Ameryka mogły już rozkoszować się wyraźnym widokiem nowego stanu rzeczy: w miejscu, w którym powinien znajdować się Księżyc, po niebie szybowало siedem olbrzymich głazów.

* * *

Zanim luminarze nauki, dowódcy wojskowi i przywódcy polityczni zaczęli używać słowa „Agent” na określenie tego czegoś, co rozerwało Księżyc na kawałki, hasło to w umyśle przeciętnego członka opinii publicznej budziło skojarzenia głównie na poziomie filmów klasy B – z „tajnym agentem” lub „agentem FBI”. Osobnicy bardziej obcy z językiem nauk ścisłych mogli używać go również na określenie niektórych substancji chemicznych – na przykład „cleaning agent”, czyli „środek czyszczący”. Tymczasem najlepsze przybliżenie znaczenia, jakie słowo to miało już na zawsze przyjąć, można znaleźć w anglojęzycznej nomenklaturze szermierczej. Kiedy na treningu jeden z uczestników przeprowadza natarcie, drugi zaś się przed nim broni, napastnika nazywa się „agentem”, broniącego zaś „patientem”. Agent działa. Patient pozostaje bierny. W tym konkretnym przypadku agent o nieznanym charakterze oddziałwał na Księżyc. Księżyc i zamieszkująca podksiężycowe królestwo ludzkość stali się biernymi ofiarami tego działania. Być może za jakiś czas ludzie przebudzą się, sami zaczną działać i również staną się agentami – na razie jednak i przez wiele, wiele lat w przyszłości mieli pozostać biernymi patientami.

Siedem sióstr

Rufus MacQuarie obserwował to wszystko na niebie ponad Górami Brooksa na północy Alaski. Miał tam kopalnię. W pogodną noc wjeżdżał pikapem na szczyt tej samej góry, którą za dnia on i jego ludzie patroszyli, wypakowywał przywieziony na skrzyni ładunkowej teleskop (dwunastocalowe szkło marki Cassegrain), rozstawiał go na wierzchołku i patrzył w gwiazdy. Kiedy robiło się niedorzecznie zimno, chował się w kabinie samochodu (nie gasił silnika) i tak długo przytykał dłonie do wylotów dmuchawy, aż odzyskiwał czucie w palcach. Potem zaś, czekając, aż rozgrzeje się także reszta jego ciała, zatrudniał zmartwychwstałe palce do nawiązywania kontaktów z przyjaciółmi, rodziną i nieznanymi na całej Ziemi.

Oraz poza nią.

Kiedy Rufus doszedł w końcu do wniosku, że Księżyc naprawdę eksplodował, uruchomił aplikację podającą położenie rozmaitych ciał niebieskich – tych naturalnych i tych stworzonych przez człowieka. Sprawdził pozycję ISS, Międzynarodowej Stacji Kosmicznej: bujała się na nieboskłonie na wysokości dwustu sześćdziesięciu mil, dwa tysiące mil na południe od miejsca, w którym się znajdował.

Położył sobie na kolanie małe urządzenie, które samodzielnie zamajstrował w swoim niewielkim warsztacie (składało się z klucza telegraficznego, który – na oko – mógł mieć dobre sto pięćdziesiąt lat, zamontowanego na wyprofilowanej plastikowej płytce mocowanej do kolana za pomocą haczyka i pętelki) i zaczął pośpiesznie wystukiwać kropki i kreski. Przymocowana do zderzaka długa i giętka antena wysyłała je do gwiazd.

Dwa tysiące mil na południe od niego na wysokości dwustu sześćdziesięciu mil kropki i kreski popłynęły z tanich głośników umocowanych plastikowymi obejmami do rury w ciasnym, puszkokształtnym module stanowiącym część składową

Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

* * *

Na jednym końcu ISS tkwiła przytwierdzona do niej kartoflowata asteroida o nazwie Amalthea. Gdyby – co było niezwykle mało prawdopodobne – przetransportować ją na Ziemię i ostrożnie położyć na boisku do piłki nożnej, sięgnęłaby od jednego pola karnego do drugiego i całkowicie przykryła koło środkowe. Krążyła wokół Słońca przez cztery i pół miliarda lat niewidoczna gołym okiem ani przez teleskop. Jej orbita była bardzo zbliżona do ziemskiej, co w używanej przez astronomów klasyfikacji kwalifikowało ją jako asteroidę klasy Arjuna. Ze względu na bliskość Ziemi Arjuna odznaczały się wysokim prawdopodobieństwem wejścia w ziemską atmosferę i spadnięcia w zamieszkanym rejonach globu, ale zarazem stosunkowo łatwo było je znaleźć i przechwycić. Z tych też dwóch powodów – jednego złego, drugiego dobrego – Arjuna skupiały na sobie uwagę astronomów.

Pięć lat wcześniej Amaltheę wypatrzył rój uzbrojonych w teleskopy satelitów wystrzelonych na orbitę przez Arjuna Expeditions – firmę z Seattle założoną przez zespół inżynierów-miliarderów z myślą o pozyskiwaniu z asteroid surowców naturalnych. Ponieważ została rozpoznana jako obiekt niebezpieczny (prawdopodobieństwo jej zderzenia z Ziemią w najbliższych stu latach określono na 0,01 procenta), wystrzelono kolejny rój satelitów z zadaniem pochwylenia jej w sieć i sprowadzenia na orbitę geosynchroniczną (od tej pory miała obiegać nie Słońce, lecz Ziemię), którą następnie stopniowo dopasowano do orbity ISS.

Przez ten czas planowa rozbudowa stacji postępowała stale, choć niezbyt szybko. Na obu końcach ISS doczepiono nowe moduły: przysłane raketami dmuchane kapsuły i metalowe puszki z powietrzem. Na dziobie stacji (gdyby wyobrazić ją sobie jako w przybliżeniu ptakokształtny obiekt latający wokół Ziemi) zbudowano dom dla Amalthei i górniczego przyczółka, który w przyszłości miał wokół niej wyrosnąć. Na rufie dobudowano tymczasem torus – moduł mieszkalny w kształcie pączka z dziurką, mierzący około czterdziestu

metrów średnicy i wirujący jak karuzela, dzięki czemu w jego wnętrzu panowała skromna namiastka ciężenia.

W którymś momencie podczas tych rozlicznych ulepszeń starowinkę przestano nazywać Międzynarodową Stacją Kosmiczną czy ISS i przechrzczono na „Izzy”. Może za sprawą przypadku, a może nie, przewisko to zostało spopularyzowane w okresie, gdy dwiema końcówkami stacji zarządzały kobiety: Dinah Macquarie (piąte dziecko i jedyna córka Rufusa) nadzorowała wydarzenia zachodzące w części dziobowej, a Ivy Xiao – głównodowodząca całej ISS – urzędowała w torusie na „rufie”.

Większość czasu nieprzeznaczonego na sen Dinah spędzała na przedzie Izzy, w małym pomieszczeniu roboczym („mój warsztat”, mówiła o nim), skąd przez kwarcowe okienko mogła podglądać Amaltheę („moją dziewczynę”, jak ją nazywała). Amalthea składała się z niklu i żelaza: ciężkie pierwiastki najprawdopodobniej pograżyły się w głębi prastarej rozpalonej planety, która następnie – dawno temu – uległa zniszczeniu w jakiejś pierwotnej katastrofie kosmicznej (inne asteroidy składały się z lżejszych substancji). I tak jak z powodu swojej ziemiopodobnej orbity Amalthea była zarówno poważnym zagrożeniem, jak i obiecującą kandydatką do eksploatacji, tak i wysoka zawartość ciężkich metali z jednej strony diabelnie utrudniała manewrowanie nią w Układzie Słonecznym, z drugiej zaś czyniła z niej wdzięczny obiekt badań.

Niektóre asteroidy składały się głównie z wody, którą można było pozyskać do spożycia przez ludzi lub rozbić na tlen i wodór wykorzystywane następnie jako paliwo raketowe. Inne obfitowały w cenne kruszce, które po wydobyciu i przetransportowaniu na Ziemię trafiały do sprzedaży. Wytopione z Amalthei nikiel i żelazo mogły zostać użyte do budowy orbitalnych kapsuł mieszkalnych. Jednakże tego rodzaju przedsięwzięcie zakrojone na skalę większą niż skromny pilotaż wymagałoby opracowania zupełnie nowej technologii. Zatrudnienie górników nie wchodziło w grę: wysłanie ich na orbitę, a następnie utrzymanie tam przy życiu byłoby zbyt kosztowne. Oczywistym rozwiązaniem było więc użycie robotów. Dinah została skierowana na Izzy, żeby przygotować grunt pod budowę laboratorium robotyki, które docelowo miało zatrudniać sześcioro pracowników. Waszyngtońskie

wojenki budżetowe zredukowały jego personel do jednej osoby.

Co zresztą bardzo Dinah odpowiadało. Dorastała w surowych okolicach, przeprowadzając się wraz z ojcem (Rufusem), matką (Catherine) i czwórką braci do odludnych kopalni w takich miejscach jak alaskańskie Góry Brooksa, pustynia Karoo w Afryce Południowej czy Pilbara w zachodniej Australii. Jej akcent do dziś zdradzał ślady tej wędrowności. Zamiast chodzić do szkół, uczyła się w domu pod kierunkiem rodziców oraz licznych sprowadzanych do niej nauczycieli, z których żaden nie zagrzał miejsca dłużej niż rok. Catherine nauczyła ją subtelności gry na fortepianie i artystycznego składania serwetek, Rufus zaś matematyki, historii wojskowości, alfabetu Morse'a, latania samolotem w dziczy oraz wysadzania różnych rzeczy w powietrze – a wszystko to, zanim skończyła dwanaście lat, kiedy to rodzina przegłosowała przy obiedzie, że Dinah jest zbyt bystra i niesforna, żeby marnować się w kolejnych osadach górniczych. A ponieważ całkiem nieźle im się powodziło (z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy), mogli sobie pozwolić na wysłanie jej do szkoły z internatem na wschodnim wybrzeżu Stanów.

W szkole okazało się, że świetnie gra w piłkę nożną, i przekuła ten talent w stypendium sportowe na University of Pennsylvania. Kiedy na drugim roku zerwanie więzadła krzyżowego w prawym kolanie zmusiło ją do porzucenia marzeń o poważnej karierze sportowej, na serio zainteresowała się geologią. Ta nowa pasja, górnicza przeszłość oraz trzyletni związek z chłopakiem uwielbiającym konstruować roboty uczyniły z niej idealną kandydatkę na stanowisko, które obecnie piastowała. W ścisłej współpracy z pozostawionymi na *terra firma* maniakami robotyki (naukowcami z uniwersytetu, wolnymi strzelcami ze społeczności hakerskiej oraz personelem Arjuna Expeditions) programowała, testowała i oceniała prawdziwą robocią menażerię, której najmniejsi przedstawiciele mieli rozmiary karalucha, najwięksi zaś cocker spaniela, a wszyscy zostali przystosowani do pełzania po powierzchni Amalthei, analizowania jej składu chemicznego, wycinania jej skrawków i przenoszenia ich do pieca hutniczego, który – podobnie jak wszystko inne w tym miejscu – został zaprojektowany specjalnie z myślą o funkcjonowaniu w kosmosie. Wychodzące z niego metalowe wlewki z trudem sprawdzały się w roli przycisków do papieru, były

jednak pierwszymi półfabrykatami hutniczymi uzyskanymi na orbicie, w związku z czym przyciskały niezwykle ważne papiery na biurkach miliardów w całej Dolinie Krzemowej. Były o wiele cenniejsze jako pretekst do konwersacji oraz symbol statusu niż jako prawdziwy towar.

Rufus – zatwardziały radioamator starej daty, który wciąż porozumiewał się alfabetem Morse’a z kurcząca się gromadką przyjaciół na całym świecie – zwrócił uwagę, że komunikacja radiowa pomiędzy Ziemią i Izzy jest w gruncie rzeczy bardzo prosta: miał cel w zasięgu wzroku (przynajmniej wówczas, gdy Izzy przelatywała mu nad głową), a dzieląca ich odległość była wedle radioamatorskich standardów niczym. Zmontowanie prostego aparatu nadawczo-odbiorczego na podstawie wskazówek taty nie stanowiło problemu dla Dinah, stale obracającej się wśród lutownic i elektronicznych stołów warsztatowych – przypięty plastikowymi obejmami do ściany zwieszał się nad jej stanowiskiem pracy i syczał białym szumem, który na co dzień ginął w donośnym ryku systemu wentylacyjnego. Czasem jednak odbiornik popiskiwał.

Człowiek, który kilka minut po rozpadnięciu się Księżyca wyszedłby z Izzy w przestrzeń kosmiczną po stronie Dinah, zobaczyłby przede wszystkim Amaltheę: ogromną poskręcaną bryłę metalu, w niektórych miejscach wciąż przykurzoną kosmicznym drobiazgiem, który na przestrzeni tysiącleci dostał się w zasięg jej skromniutkiego pola grawitacyjnego, w innych oczyszczoną i błyszczącą. Na jej powierzchni uwijały się dziesiątki robocików należących do czterech odrębnych „gatunków”: jeden przypominał węża, drugi poruszał się bokiem jak krab, trzeci wyglądał jak kopuła geodezyjna, a czwarty jak rój owadów. Wszystkie rzucały na Amaltheę odrobinę światła, a to dzięki niebieskim i białym diodom świecącym, które pozwalały Dinah śledzić ich ruch; laserem, którymi skanowały powierzchnię; oraz oślepiającym fioletowym łukom plazmowym, którymi od czasu do czasu wrzynały się w głąb asteroidy. Izzy znajdowała się akurat w cieniu Ziemi, po nocnej stronie planety, toteż poza tymi punkcikami blasku jedynym źródłem iluminacji Amalthei był snop światła z kwarcowego okienka przy stanowisku pracy Dinah.

Jej głowa z krótko przyciętą strzechą blond włosów ledwie mieściła się w iluminatorze. Dinah nigdy nie przywiązywała wielkiej wagi do

swojego wyglądu. W osiedlu górniczym bracia zawsze się z niej śmiali, gdy eksperymentowała z ciuchami i kosmetykami. Kiedy w szkolnej księdze pamiątkowej nazwano ją „chłopczycą”, potraktowała to jak strzał ostrzegawczy i przeszła w fazę bardziej dziewczęcą, która w sposób naturalny przeciągnęła się przez okres nastoletni aż do wieku lat dwudziestu paru, gdy Dinah zaczęła się z kolei martwić tym, by inni inżynierowie traktowali ją poważnie. Trafwszy na Izzy, automatycznie trafiła do Internetu – zarówno za sprawą wywiadów (starannie reżyserowanych przez dział public relations w NASA), jak i fotek robionych ukradkiem przez innych astronautów. Długie włosy, które w stanie nieważkości unosiły się puszystą chmurą wokół jej głowy, w końcu jej się znudziły, więc po kilku tygodniach upychania ich pod czapeczkami bejsbolowymi doszła do wniosku, że najlepsza będzie krótka fryzura. Nowe uczesanie wywołało całe terabajty internetowych komentarzy ze strony mężczyzn (a także nielicznych kobiet), którzy najwyraźniej cierpieli na nadmiar wolnego czasu.

Podobnie jak zazwyczaj, teraz także siedziała przed monitorem, na którym linie kodu komputerowego opisywały zachowanie jej robotów. Przeciętny programista musi napisać kod, skompilować go, a następnie uruchomić, żeby się przekonać, czy program spełnia założenia. Dinah pisała kod, transmitowała go bezpośrednio do robotów krzątających się po powierzchni Amalthei i wyglądała przez okno, żeby sprawdzić, czy wszystko działa, jak należy. Najwięcej uwagi poświęcała tym pracującym najbliżej okna, przez co wykształcił się swoisty mechanizm doboru naturalnego: robociki skupiające się pod czujnym błękitnookim spojrzeniem matki stawały się coraz mądrzejsze, tym zaś, które błąkały się samopas po ciemnej stronie asteroidy, inteligencji nie przybywało.

Tak czy inaczej, Dinah od paru godzin poświęcała uwagę albo monitorowi komputera, albo samym robotom – do chwili gdy z zawieszzonego na ścianie odbiornika dobiegła seria popiskiwań, bo wtedy na chwilę się zdekoncentrowała i zapatrzyła w dal, a jej mózg automatycznie przełożył kropki i kreski na litery i cyfry: sygnał wywoławczy ojca.

– Nie teraz, tatku – mruknęła.

Targnęły nią wyrzuty sumienia, gdy zerknęła na otrzymany od taty dębowo-mosiężny klucz telegraficzny – kupiony za duże pieniądze

wiktoriański zabytek, o który Rufus stoczył na eBayu zaciętą walkę z armią dekoratorów wnętrz i kustoszów muzeów techniki.

SPÓJRZ NA KSIEŻYC

– Nie teraz, tatku. Wiem, że Księżyc jest bardzo ładny, ale w tej chwili debuguję metodę...

A WŁAŚCIWIE TO CO Z NIEGO ZOSTAŁO

– Że co?

Dinah przystawiła twarz do okna i wykręciła szyję w poszukiwaniu Księżyca. Zobaczyła, co z niego zostało. I wszechświat się zmienił.

* * *

Nazywał się doktor Dubois Jerome Xavier Harris. Francuskie pierwsze imię zawdzięczał swoim Luizjańskim przodkom ze strony matki. Harrisowie byli czarnymi z Kanady, których przodkowie przybyli do Toronto w czasach niewolnictwa. Jerome i Xavier to z kolei imiona świętych – na wszelki wypadek dostał aż dwóch patronów, nie jednego. Rodzina osiedliła się po obu stronach granicy w rejonie Detroit-Windsor. W szkole – co było do przewidzenia – dorobił się przydomka Doob; byli jeszcze wtedy za młodzi, żeby wiedzieć, że „doobie” to slangowe określenie skręta z marihuaną. Ostatnio znakomita większość ludzi nazywała go „Doc Dubois”, a to za sprawą jego częstych występów w telewizji, gdzie tak właśnie zwracali się do niego gospodarze talk-show i dziennikarze prowadzący z nim wywiady. Jego zadanie w telewizji polegało na tłumaczeniu zwykłym widzom zagadnień z zakresu nauk ścisłych; pełnił dzięki temu rolę piorunochronu dla ludzi, którzy nie potrafili się pogodzić z implikacjami nauki odnośnie do ich światopoglądu i sposobu życia i wykazywali absolutnie kretyńską pomysłowość w wynajdywaniu sposobów na zaprzeczanie faktom.

W środowisku akademickim na przykład, kiedy prowadził sympozja astronomiczne i pisał artykuły do prasy naukowej, był – naturalnie – doktorem Harrisem.

Kiedy Księżyc eksplodował, Harris uczestniczył w przyjęciu połączonym ze zbiórką pieniędzy urządzonym na dziedzińcu Caltech Athenaeum. Na początku wieczoru Księżyc był zajadłe zimnym kręgiem

sinobiałego światła wschodzącym nad Chino Hills. Laik pomyślałby, że to dobra noc na obserwacje astronomiczne (przynajmniej jak na południową Kalifornię), ale doktor Harris okiem profesjonalisty dostrzegł delikatną nieostrość zarysu księżycowej tarczy i już wiedział, że wycelowanie w nią teleskopu nie miałyby sensu – w każdym razie nie w celach naukowych, bo przecież efekt propagandowy i popularyzatorski to zupełnie co innego. Zdarzało mu się czasem występować bardziej w duchu Doca Dubois i organizować gwiazdne zloty, na których astronomowie-amatorzy rozstawiali teleskopy w Eaton Canyon Park, żeby podglądać miłe oku przeciętnego widza obiekty: Księżyc, pierścienie Saturna czy księżyce Jowisza. Ta noc doskonale nadawałaby się na taką właśnie imprezę.

On jednak chwilowo miał inne zajęcie: popijał dobre czerwone wino w towarzystwie zamożnych ludzi, głównie luminarzy świata nowoczesnych technologii, i wcielał się w rolę Doca Dubois, dobrodusznego popularyzatora nauki, gwiazdy telewizji i Twittera, na którym miał cztery miliony wielbicieli. Umiał ocenić swoją publiczność. Wiedział, że inżynierowie, którzy do swoich miliardów doszli ciężką samodzielną pracą, lubią się spierać; że arystokracja z Pasadeny tego nie lubi; oraz że żony przedstawicieli kalifornijskiej socjety lubią słuchać wykładów, o ile wykłady te są krótkie i zabawne. Zdawał sobie również sprawę, że ma tych ludzi oczarować, nic więcej, po to tylko, by później przekazać ich w ręce zawodowych kwestarzy.

Wracał właśnie do baru po kolejny kieliszek pinot noir – stuprocentowy Doc Dubois, poklepujący ludzi po plecach, przybijający żółwiki i promieniejący szerokim uśmiechem – gdy wtem jednemu z gości wyraźnie zaparło dech w piersi. Wszyscy zwrócili się ku niemu; Doob obawiał się nawet, że nieszczęśnik padł ofiarą jakiejś zbłąkanej kuli lub podobnego nieszczęścia: stał całkowicie nieruchomo, sparaliżowany w pół kroku, z zadartą głową. Jakaś kobieta spojrzała tam, gdzie on, i zaczęła krzyczeć.

Doob stał się wówczas jednym z zapewne kilku milionów ludzi na ciemnej stronie naszego globu, których widok nieba sprawił we wstrząs tak głęboki, że ośrodki w ich mózgach odpowiedzialne za funkcje wyższe, takie jak mówienie, uległy wyłączeniu. Pierwszym, co przyszło mu do głowy (znajdowali się przecież na przedmieściach Los Angeles),

było to, że ma przed sobą czarny ekran projekcyjny, rozpostarty (dyskretnie i potajemnie) nad sąsiednią posiadłością, na którym ogląda wyświetlane z ukrytego rzutnika hollywoodzkie efekty specjalne. Nikt go wprawdzie nie uprzedził, że szykuje się tego rodzaju pokaz, ale przecież mógł to być jakiś niewiarygodnie udziwniony pomysł na zbieranie funduszy. Albo element jakiejś produkcji filmowej.

Do rzeczywistości przywołały go elektroniczne melodyjki dobiegające z mnóstwa telefonów – w tym także jego własnego. Porodowy krzyk nowej ery.

* * *

Ivy Xiao, głównodowodząca Izzy, prawie nie opuszczała torusa na rufie – po części dlatego, że tam właśnie mieściło się jej biuro, po części zaś dlatego, że była bardziej podatna na chorobę kosmiczną, niżby chciała przyznać. To fizyczne rozdzielenie – Ivy w torusie, a Dinah na dziobie, blisko Amalthei – zdaniem wielu ludzi w sposób symboliczny odwzorowywało dzielącą je różnicę, która w rzeczywistości wcale nie istniała. Owszem, kontrastów nie brakowało – poczynając chociażby od wyglądu: Ivy była o cztery cale wyższa, zbudowana jak siatkarka i miała długie, czarne włosy, okiełznywane poprzez zaplecenie ich w warkocz, którego końcówkę wciskała następnie pod kołnierz kombinezonu. Pochodziła z Los Angeles, była jedynaczką i miała niezwykle nerwowych rodziców. Dzięki znakomitym wynikom egzaminów, udziałowi w piknikach naukowych i świetnej grze w siatkówkę dostała się do Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, po czym zrobiła jeszcze doktorat z fizyki stosowanej w Princeton, zanim wojsko upomniało się o obowiązkowe lata służby, którymi miała odpłacić za swoją edukację. Zgłębiwszy tajniki pilotażu śmigłowców, większość czasu poświęciła programowi szkolenia astronautów, w którym zresztą szybko awansowała. W przeciwieństwie do większości astronautów – naukowców i inżynierów specjalizujących się w wąskich dziedzinach wiedzy, wykonujących na orbicie ściśle zaplanowane badania – Ivy, ze swoją lotniczą przeszłością, pełniła także rolę pilota, umiała bowiem kierować raketami. Czasy promów kosmicznych dawno minęły i nikt

już nie musiał sprowadzać wahadłowców na ziemię, ale w manewrowaniu statkami kosmicznymi na orbicie i cumowaniu ich do stacji idealnie sprawdzał się człowiek łączący motorykę pilota helikoptera ze ścisłym umysłem fizyka.

Kwalifikacje miała więc Ivy imponujące, wręcz odpychające dla ludzi, którym takie rzeczy imponują. Dinah one nie imponowały, pozostawała na nie obojętna, a jej swobodny sposób bycia w kontaktach z Ivy był przez postronnych obserwatorów interpretowany jako przejaw braku szacunku. Dramatyczny wizerunek dwóch bardzo różnych od siebie kobiet trwających w permanentnym sporze sprzedawał się znacznie lepiej niż prawda. Dinah i Ivy nie mogły się nadziwić wysiłkom personelu Izzy i pracowników naziemnego ośrodka kontroli lotów zmierzającym do zasypania dzielącej je nieistniejącej przepaści – albo, co było znacznie mniej zabawne, do wykorzystania ich rzekomego konfliktu w iście bizantyjskich intrygach politycznych.

Cztery godziny po eksplozji Księżyca Dinah, Ivy i pozostałych dziesięcioro członków załogi Międzynarodowej Stacji Kosmicznej spotkali się w Bananie, jak nazywano najdłuższy nieprzerwany odcinek wirującego torusa, poszatowanego poza tym na kawałki dostatecznie krótkie, żeby mózg był w stanie przekonać oko, że podłoga jest płaska, a siła grawitacji zwrócona tylko w jednym kierunku. Banan – zajmujący około pięćdziesięciu stopni na łuku okręgu – był jednak na tyle długi, że podłoga w oczywisty sposób się zakrzywiała i „grawitacja” przy jednym jego końcu miała kierunek wyraźnie inny niż przy drugim. Zainstalowany w Bananie długi stół konferencyjny również był stosownie zakrzywiony i ludzie zasiadający na jednym jego końcu postrzegali drugi jako znajdujący się „wyżej”, mimo że kiedy przemieszczali się w jego stronę, nie mieli wrażenia, że brną pod górę. Nowicjusze zwykle spodziewali się, że przedmiot położony w dowolnym miejscu na stole powinien sturlać się lub zsunąć wprost do nich.

Ściany miały odcień jasnożółty. Tradycyjna bateria szwankującego sprzętu audiowizualnego miała przekazywać na żywo obraz i dźwięk z Ziemi, teoretycznie umożliwiając prowadzenie telekonferencji z Houston, Bajkonurem i Waszyngtonem.

Kiedy o godzinie A+0.0.4 (zero lat, zero dni i cztery godziny od chwili, gdy Agent oddziałął na Księżyc) rozpoczęło się spotkanie, nic nie

działało, więc załoga Izzy miała parę minut, żeby porozmawiać we własnym gronie. Przez ten czas Frank Casper i Jibran Haroun poszturchiwali wtyczki, wklepywali polecenia do komputerów i resetowali wszystkie urządzenia. Frank i Jibran – obaj ze stosunkowo niedługim stażem na stacji – nieopatrznie dali się poznać jako specjaliści od telekomunikacji, toteż tego rodzaju robota zawsze już spadała na ich barki; nie mieli zresztą nic przeciwko temu, bo lepiej radzili sobie z aparaturą niż z pogaduszkami.

„Pierwotna osobliwość” – tak brzmiały pierwsze słowa, jakie wychwyciła Dinah, kiedy wpłynęła do pomieszczenia. Ciężenie w Bananie było dziesięciokrotnie niższe od ziemskiego, toteż określenie „weszła” nie oddawałoby należycie natury jej ruchu: w torusie ludzie poruszali się długimi skokami, łączącymi zwykły marsz z próbami szybowania.

Słowa te wypowiedział Konrad Barth, astronom z Niemiec. Reakcja pozostałych dowodziła niedwuznacznie, że spośród wszystkich obecnych w Bananie osób tylko siedząca dokładnie naprzeciwko Konrada Ivy ma jakie takie pojęcie, o czym mowa.

– To znaczy? – spytała Dinah, wchodząc w przypisaną jej rolę.

Pozostali albo traktowali Ivy z czołobitnym szacunkiem, albo bali się zdradzić ze swoją niewiedzą: tak czy inaczej, nie zadawali pytań.

– Mała czarna dziura.

– Co w niej „pierwotnego”?

– Przeciętna czarna dziura jest skutkiem zapadnięcia się gwiazdy – odparła Ivy. – Istnieje jednak teoria, według której niektóre czarne dziury powstały niedługo po Wielkim Wybuchu. Wszechświat był wtedy gruzłowaty i niektóre z tych gruzłów mogły mieć dostatecznie dużą gęstość, żeby nastąpił kolaps grawitacyjny. W ten sposób powstałyby czarne dziury o wiele mniejsze i lżejsze od tych tworzących się w miejscu zapadniętych gwiazd.

– Jak małe?

– Wydaje mi się, że nie ma dolnego ograniczenia ich rozmiarów. Istotne jest jednak co innego: taka czarna dziura mogłaby niepostrzeżenie przelecieć pół wszechświata i przebić planetę na wylot. Kiedyś pojawiła się nawet teoria, że meteoryt tunguski był w rzeczywistości taką czarną dziurą. Teoria ta z czasem została obalona.

Dinah знаła tę historię, ponieważ ojciec lubił o tym opowiadać: przed stu laty gigantyczna eksplozja na syberyjskim pustkowiu powaliła miliony drzew.

– To było coś dużego, ale mimo to nie aż tak dużego, żeby rozsadzić Księżyc – zauważyła.

– Do rozbicia Księżyca potrzebna byłaby większa – zgodziła się Ivy. – I szybsza. Zresztą to tylko hipoteza.

– I co dalej? Czarna dziura zniknęła?

– Dawno jej tu nie ma. Przeleciała jak kula pistoletowa przez jabłko.

Fakt, że tak rzeczowo rozprawiają o tak niezwykłym wydarzeniu, wydał się Dinah dosyć niezwykły, nie było jednak innego sposobu. Emocje były bezradne wobec zdarzenia w takiej skali. Poza tym na razie mieli do czynienia tylko z efektem wizualnym, jakby oglądali film z wyłączonym dźwiękiem.

– Czy to będzie miało wpływ na przyływy i odpływy mórz? – zainteresowała się Lina Ferreira. U biologa morskiego zainteresowanie przyływami było czymś zupełnie zrozumiałym. – Skoro są wywoływane przez przyciąganie Księżyca...

– Słońca też. – Ivy uśmiechnęła się i skinęła lekko głową. Właśnie dlatego to ona kierowała Izzy, a nie Dinah: nie wahała się wytknąć błędu biologowi morskiemu w obecności dziesiątki świadków, a przy tym potrafiła to zrobić w sposób zgoła bezbolesny. – Odpowiedź brzmi: zapewne tak, lecz wpływ ten będzie zaskakująco znikomy. Masa Księżyca nie zniknęła, znajduje się niemal w tym samym punkcie co zawsze, co najwyżej nieco bardziej rozproszona... Odłamki mają ten sam wspólny środek ciężkości, którego orbita również pozostaje niezmienną. Dlatego tablice przyływów i odpływów nie przestaną być użyteczne.

Dinah nie dała nic po sobie poznać, ale podobał jej się sposób, w jaki Ivy wypowiadała się na tematy naukowe – z zachwytem, jaki mógłby cechować małą pasjonatkę, nawet teraz, pomimo nadzwyczaj niepokojącego tematu rozmowy. To dlatego Ivy zawsze chętnie udzielała wywiadów, podczas gdy Dinah trzeba było niemal siłą wywlekać z jej robociej kanciapy, a potem raz za razem upominać, żeby się uśmiechała. Kluczowy był ton głosu: kiedy Ivy wydawała rozkazy albo prezentowała slajdy w PowerPoint, szatkowała zdania po

wojskowemu; kiedy zaś zaczynała mówić o nauce, entuzjazm rozświetlał jej twarz, a głos przybierał lekko śpiewną, jakby mandaryńską nutę.

– Skąd tyle wiesz na ten temat? – spytała Dinah, ściągając na siebie zaniepokojone lub nieprzychylne spojrzenia: jej obcesowość wobec szefowej nie wszystkim przypadła do gustu. – Ile czasu minęło? Cztery godziny?

– Jak się zapewne domyślasz, w sieci wprost roi się od komentarzy – wyjaśniła Ivy. – Jest w tym całym zamęcie także kilka zorganizowanych na chybcika forów dyskusyjnych.

Na monitorze zawieszonym nad jednym końcem stołu wyświetliło się jednolicie niebieskie tło, którego miejsce po chwili zajęło logo NASA.

– W porządku – mruknął Jibrán i bokiem przefrunął na krzesło. – Jest.

I nagle zobaczyli znajome wnętrze gmachu Kontroli Lotów ISS w Centrum Kosmicznym im. Johnsona w Houston. Kierownik misji siedział przed kamerą i głaskał swojego iPada; chyba się nie zorientował, że kamera już działa. Chwilę później gdzieś spoza kadru dobiegł odgłos otwierania drzwi i KM, były wojskowy, odruchowo wstał i wyciągnął rękę do kobiety, która weszła w kadr z prawej strony. Była nią zastępczyni dyrektora NASA Aurelia Mackey, numer dwa w agencyjnej hierarchii, rzadko uczestnicząca w takich spotkaniach. Emerytowana astronautka większość czasu spędzała w Waszyngtonie i teraz występowała w stosownym do tego faktu biznesowym kostiumie.

– Mamy połączenie? – spytała kogoś poza kadrem.

– Tak – odpowiedział z Banana chór kilkorga głosów.

Aurelia trochę się zdziwiła, co dało się poznać nawet pomimo faktu, że oboje z KM od samego początku byli nieco oszołomieni.

– Jak samopoczucie? – spytała absolutnie beznamiętnym, rzeczowym tonem, jakby nic się nie wydarzyło. Działała na autopilocie; jej mózg wciąż jeszcze przetwarzał nowe fakty.

– W porządku – odpowiedziało kilka osób w Bananie. Kilka innych parsknęło nerwowym śmiechem.

– Na pewno wszyscy wiecie, co się wydarzyło.

– Mamy tu dobry widok – odparła Dinah.

Ivy posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Oczywiście. Z przyjemnością dłużej bym z wami porozmawiała

o waszych spostrzeżeniach i doświadczeniach, ale tym razem musimy się streszczać. Robercie?

KM oderwał wzrok od iPada i pochylił się na krześle.

– Spodziewamy się zwiększonej liczby latających kamulców w kosmosie – powiedział, mając na myśli odłamki Księżyca. – To nie powinno być nic wielkiego, bo te największe są spętane grawitacją, ale coś tam mogło się wymknąć. Dlatego wy tam u siebie zamykacie szczelnie włązy, a my wstrzymujemy wszelkie misje z Ziemi. Przygotujcie się na zderzenia.

Zgromadzeni w Bananie ludzie słuchali w milczeniu, rozmyślając o tym, co ta decyzja dla nich oznacza. Będzie trzeba wzmocnić środki ostrożności i podzielić Izzy na osobne przedziały, żeby ewentualne lokalne uszkodzenie nie doprowadziło do wyssania całego powietrza ze stacji. Będą musieli zweryfikować standardowe procedury. Biologiczne eksperymenty Lindy mogą ucierpieć. Roboty Dinah dostaną urlop.

– Wszelkie loty kosmiczne zostają wstrzymane do odwołania – przemówiła Aurelia wprost do kamery. – Nikt nie leci na górę, nikt nie wraca na dół.

Wszyscy w Bananie spojrzeli na Ivy.

* * *

Gdy tylko przeniosły się do maciupieńkiego kantorka, gdzie Ivy uznała, że może sobie pozwolić na łyzy w oczach, przeszły na Kod Q.

Określenie to pochodziło z gwary radioamatorskiej, w której Kod Q oznaczał zbiór pewnych określonych kombinacji trzech liter, w których pierwsza zawsze była Q. Dla zaoszczędzenia czasu w transmisjach alfabetem Morse'a utarło się zastępować nimi różne często wykorzystywane frazy, takie jak „Czy mam przejść na inną częstotliwość?”.

Skrótowce składające się na prywatny Kod Q Dinah i Ivy nie zaczynały się od litery Q, ale niektóre z nich faktycznie były trzyliterowe.

Mała Zarozumiała Wieśniara – takiego przezwiska dorobiła się Dinah, gdy przybyła do prywatnej szkoły i podczas boiskowej przepychanki

przechwyciła podanie skierowane do dziewczyny z Nowego Jorku.

Wredna Abstynencka Sucz – tak z kolei przewano Ivy w Annapolis, gdy odmówiła udziału w pijackiej gierce na pikniku samochodowym.

Dynamikę relacji MZW/WAS często wykorzystywały na zebraniach, czasem nawet spotykając się specjalnie na przedzebraniach, żeby zawczasu zaplanować jej użycie.

„Szkoda Fajnej Laski” przyłgnęło do Dinah po dramatycznej zmianie fryzury, w wyniku nieprawdopodobnego wręcz ciągu chybionych „Odpowiedz wszystkim”. Kiedy zdyszana z podniecenia przybiegła z tym do Ivy, zgodnie wprowadziły „SFL” do swojej prywatnej książki kodów.

„Zapomniałam” wypowiedziane chropawym głosem małej dziewczynki było skrótem od „Zapomniałam zrobić makijaż”, co z kolei stanowiło dosłowny cytat z rzeczniczki prasowej NASA.

DIA pochodziło ze zgryźliwej wymiany zdań pomiędzy Ivy i jednym z administratorów w NASA, który po przeczytaniu któregoś z jej raportów zarzucił jej „niemal patologiczną skłonność do nadużywania zbędnych skrótów”. Oskarżenie to wydało się Ivy nieco dziwaczne, biorąc pod uwagę fakt, że w języku NASA co drugie słowo było jakimś akronimem. Kiedy jednak poprosiła o dodatkowe wyjaśnienia, dowiedziała się, że jej skróty są „dziecinne i abstrakcyjne”.

Mianem „Obozu kosmicznego” (w którym obie brały udział jako nastolatki, choć w różnym okresie) określały nie tyle samą Izzy, ile raczej całą subkulturę organizowanych przez NASA lotów załogowych.

– Co powiesz Macierzystemu Organizmowi? – spytała Dinah, gdy Ivy bobrowała po szafce w poszukiwaniu butelki tequili.

Ivy zamarła na moment, a potem wyjęła butelkę i machnęła nią jak pałką, mierząc w głowę Dinah. Zamiast uchylić się przed uderzeniem, Dinah patrzyła ze spokojem, jak butelka w dłoni Ivy wyhamowuje w powietrzu nad jej głową.

– No co?

– Nie mogę uwierzyć, że Morg do tego stopnia zaanektował mój ślub, że pierwsza rzecz, jaka przychodzi ci do głowy, to: jak ona na to zareaguje.

Dinah skrzywiła się, jakby ogarnęły ją mdłości.

– Nie przejmuj się – dodała Ivy. – Zapomniałaś.

Zrobić makijaż.

– Przepraszam, moja droga. Po prostu pomyślałam o tym, że... ty i Cal, tak czy inaczej, pobierzcie się i czeka was wspaniałe życie.

– Ale teraz to Morgowi najbardziej się oberwie. – Ivy pokiwała głową, rozlewając tequilę do dwóch plastikowych kubeczków. – Będzie musiała wszystko poprzekładać.

– Jak ją znam, to będzie w swoim żywiole. Niczego jej nie ujmując.

– Absolutnie.

– Za Morg.

– Za Morg.

Stuknęły się kubeczkami i wypily. Jedną z dodatkowych zalet przebywania w torusie była możliwość normalnego spożywania napojów zamiast zasysania wszystkiego przez słomkę. Picie przy tak niskim ciężeniu wymagało wprawdzie pewnego doświadczenia, ale Dinah i Ivy zdążyły już nabrać wprawy.

– A co słyhać u twojej rodzinki? – spytała Ivy. – Rufus się odzywał?

– Ojciec dopomina się o nieprzetworzone dane z Szerokopolowej Podczerwonej Platformy Obserwacyjnej Konrada, o której przeczytał w Internecie. Zżera go ciekawość, co takiego uderzyło w Księżyc.

– I co, zamierzasz mu je przesłać morsem?

– Ma dostęp do netu, stworzył już pusty folder na Dropboksie... Jak tylko dostarczę mu te pliki, zacznie jak zwykle narzekać na zbyt wysokie podatki i domagać się okrojenia rządu federalnego do takich rozmiarów, żeby mógł go osobiście zdeptać okutymi metalem buciorami.

* * *

To, czego astronomowie nie wiedzieli, przewyższało w stopniu niemal nieskończonym to, co wiedzieli. Wśród ludzi nawykłych do uporządkowanego systemu wiedzy, w którym wszystko można znaleźć w Wikipedii, zapanowało powszechne odczucie, że społeczność astronomiczna wykazuje się rażącą niekompetencją (a w każdym razie kompetencją niedostateczną), gdy na niebie dzieje się coś niezwykłego.

Prawdę mówiąc, rzeczy niezwykle zdarzają się na niebie codziennie, tyle że większość z nich jest widoczna wyłącznie dla astronomów, którzy dzięki temu byli w stanie zachować w tej sprawie coś na kształt

tajemnicy zawodowej. Gdy następowały wydarzenia rażąco oczywiste, takie jak upadek meteorytu, telefon Doca Dubois śpiewał, a jego śpiew zazwyczaj zwiastował występy w licznych talk-show, w których mógł się spodziewać (między innymi) pytań o to, dlaczego astronomowie tego nie przewidzieli. Dlaczego nie spostrzegli zbliżającego się meteorytu? I czy to nie dowodzi, że w gruncie rzeczy są nikomu niepotrzebnymi szalonymi naukowcami?

Odrobina pokory potrafiła zdziałać cuda, toteż jeśli tylko prowadzący nie przerwał mu zbyt szybko, Docowi Dubois udawało się zwykle przemycić apel o szersze rządowe wsparcie dla nauki. Opinia publiczna mogła nie interesować się gwiazdami Wolfa-Rayeta w gromadzie Quintuplet, ale doskonale rozumiała, że warto unikać sytuacji, w której człowiekowi spada na głowę rozżarzony kawał skały.

Zawsze nazywał to rozpadem Księżyca, nie eksplozją, chociaż to drugie określenie (opatrzone hashtagiem BUM) robiło oszałamiającą karierę na Twitterze, ale bez względu na przyjętą nomenklaturę była to sprawa znacznie poważniejsza niż uderzenie zbłąkanego meteorytu – i jako taka wymagała szerszego wytłumaczenia. Tyle że na razie żadnego wytłumaczenia nie było. Z meteorytami sprawa wyglądała prosto: w kosmosie wprost roilo się od głązów zbyt małych i ciemnych, żeby dało się je obserwować przez teleskop; czasem niektóre z nich wpadały w atmosferyczne sidła i spadały na ziemię. Jednakże rozpad Księżyca nie mógł być skutkiem zwyczajnego zjawiska kosmicznego. Dlatego Doc Dubois, który większość następnego tygodnia spędził przed kamerami telewizji, przy każdej okazji podkreślał niezwykłość sytuacji, rozpoczynając swoje wystąpienia od szczerego stwierdzenia faktu: ani on, ani żaden inny astronom na świecie nie zna przyczyn obecnego stanu rzeczy. Tak właśnie mówił, prosto z mostu, bez ogródek, jakby rzucał łatwą piłkę... którą dopiero w następnym kroku lekko podkręcał: cokolwiek się zdarzyło, jest to najbardziej niezwykle i bezgranicznie fascynujące wydarzenie w dziejach ludzkości. Owszem, sytuacja wygląda niepokojąco, może nawet przerażająco, ale fakty są takie, że na razie nikt z powodu rozpadu ziemskiego satelity nie zginął – pominąwszy nielicznych kierowców, którzy, wypatrując rozbitego Księżyca na niebie, stracili panowanie nad kierownicą i albo zjechali do rowu, albo wyrznęli w tył stojących w korku samochodów przed nimi.

O godzinie A+0.4.16 (cztery dni i szesnaście godzin po rozpadzie Księżyca) Doc Dubois był zmuszony skorygować stwierdzenie „nikt nie zginął” po tym, jak meteoryt (niemal na pewno będący odłamkiem Księżyca) wszedł w atmosferę nad terytorium Peru, strzaskał wszystkie szyby na trasie swojego dwudziestomilowego przelotu, a na koniec zrównał z ziemią gospodarstwo rolne i unicestwił zamieszkującą je nieliczną rodzinę.

Istota jego komunikatu pozostała jednak niezmienną: potraktujmy to wydarzenie jak zjawisko naukowe i zacznijmy od tego, co o nim wiemy. Sekundowała mu w tym witryna internetowa astronomicalbodiesformerlyknownasthemoon.com, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nadająca na żywo obraz chmury księżycowych odłamków. Podczas rozmowy Doc Dubois przy pierwszej dogodnej okazji wywoływał tę transmisję na ekran i dzielił się swoimi spostrzeżeniami na temat chmury – bo spostrzeżenia uspokajały ludzi. Księżyc rozleciał się na siedem dużych odłamków (które przezwano Siedmioma Siostrami) oraz nieprzeliczone mrowie mniejszych. Większe stopniowo dorabiały się odrębnych nazw, za które w większości był odpowiedzialny Doc Dubois; skłaniał się ku nazwom opisowym, żeby nie straszyć opinii publicznej bez potrzeby. Nie mogąc więc ochrzcić ich Nemezis, Thor czy Grond, wybrał co następuje: Kartofel, Kręciołek, Żołędź, Pestka, Chochla, Dryblas i Fasolka. Wskazywał je kolejno na ekranie, po czym zwracał uwagę widzów na ich ruch, którym w stu procentach rządziły prawa mechaniki newtonowskiej. Odłamki przyciągały się wzajemnie z większą lub mniejszą siłą, zależną od ich masy i dzielącej je odległości. Symulacja komputerowa całej sytuacji przedstawiała się nadzwyczaj prosto. Cały obłok odłamków był spętany grawitacją. Wszelkie odłamki dostatecznie szybkie, żeby się z niego wyrwać, już to zrobiły, reszta zaś utworzyła dryfujące w przestrzeni luźne skupisko kamieni, które czasem się ze sobą zderzały, lecz ostatecznie w przyszłości miały się skupić i zapoczątkować odtwarzanie się Księżyca.

Taka przynajmniej obowiązywała teoria do czasu gwiazdowego zlotu urządzonego na środku kampusu Caltechu o godzinie A+0.7.0, czyli dokładnie tydzień po wiekopomnym wydarzeniu.

Zazwyczaj gwiazdne zloty organizowano wśród wzgórz, gdzie

panowały lepsze warunki do obserwacji przestrzeni kosmicznej, ale oglądanie gigantycznych gładów znajdujących się tak blisko Ziemi było banalnie proste i nie było sensu pchać się samochodami w góry. Zaprzeczałoby to zresztą myśli przewodniej imprezy, jaką było zgromadzenie możliwie największej grupy zwykłych ludzi, którzy w przyjemnej, parkowej atmosferze mieli popatrzeć przez teleskopy i poczynić własne spostrzeżenia. Przy Beckmann Mall zaparkował sznur żółtych autobusów szkolnych, z rzadka przetykany wozami transmisyjnymi sieci telewizyjnych (lokalnych i ogólnokrajowych), z rozłożonymi antenami umożliwiającymi transmisję do centrum miasta. Reporterzy porozstawiali się w plamach światła na tle trawnika usianego teleskopami wszelkich możliwych typów i rozmiarów. Rozdano zestawy ilustracji złożone z siedmiu kart, przedstawiające poszczególne fragmenty Księżyca z właściwymi podpisami; dzieciaki miały za zadanie rozpoznać każdą z kosmicznych skał przez teleskop, odhaczyć ją w zeszycie do prac domowych i zapisać wynik swoich obserwacji. Większość teleskopów – co oczywiste – wycelowano w Siedem Sióstr, jednakże pewna nieliczna gromadka gapiów badała (przez lornetki lub gołym okiem) inny, ciemniejszy sektor nieba, wypatrując na nim meteorytów. W ciągu ostatnich siedmiu dni kilkaset księżycowych okruchów weszło w ziemską atmosferę (w każdym razie kilkaset na tyle dużych, żeby dało się je zaobserwować); w większości spłonęły przed dotarciem na Ziemię. W jakichś dwudziestu przypadkach meteoryt wykreślił na niebie oślepiająco białą krechę, rzucając upiorną błękitną poświatę na teren, nad którym przelatywał, a jego pojawieniu się towarzyszył ogłuszający grom dźwiękowy. Pół tuzina takich okazji spadło na Ziemię, wyrządzając mniejsze lub większe szkody, ale zebrane przez nie śmiertelne żniwo nadal nie wyrastało ponad statystyczny szum generowany przez ataki rekinów i trafienia piorunem.

Wieczór przebiegał bez zakłóceń. Doob, który dochował się trójki dorosłych dzieci, dawno już się przekonał, że każda impreza, za której organizację odpowiadają głównie nauczyciele ze szkół podstawowych, będzie udana z punktu widzenia logistyki i panowania nad tłumem. Uznał więc, że może się odprężyć i wcielić w Doca Dubois; rozdawał maluchom autografy na kartach Siedmiu Sióstr, a od czasu do czasu wchodził w rolę doktora Harrisa, by wdać się w dysputę z którymś

z zaprzyjaźnionych astronomów.

Kręcąc się po kampusie, trzykrotnie napatoczył się przez przypadek na tę samą nauczycielkę, niejaką panią Hinojosa... i się w niej zakochał. To było coś niezwykłego. Od dwunastu lat w nikim się nie kochał, od dziewięciu był rozwiedziony i to nagłe zakochanie było dla niego na swój sposób nie mniej wstrząsające niż rozpad Księżyca. Nawet próbował sobie z nim poradzić w taki sam sposób: dokonując naukowych obserwacji zjawiska. W myśl przyjętej przez niego roboczej hipotezy rozpad Księżyca odmłodził go, zdarł z jego duszy liczne warstwy emocjonalnego zrogowacenia i odsłonił różowe, błyszczące, podatne na wpływy serce, gotowe dać się skolonizować pierwszej z brzegu atrakcyjnej kobiecie.

Rozmawiał akurat z Amelią (bo tak właśnie, jak się z czasem okazało, miała na imię), gdy nad trawnikiem z wolna poniósł się szmer, jakby powiał delikatny zefirek. Wszyscy spojrzeli w górę.

Dwa większe odłamki – Chochla i Fasolka – zbliżały się do siebie. Nie byłoby to pierwsze ich zderzenie, bo takie kolizje co rusz się zdarzały, ale widok dwóch dużych odłamków pędzących sobie na spotkanie ze sporą prędkością zapowiadał niezłe widowisko. Doob starał się uciszyć kielkujący w piersi niepokój – może spowodowany interakcją z Amelią, a może zupełnie naturalną trwogą, jaką każdy zdrowy na umyśle człowiek powinien odczuwać, gdy dokładnie nad jego głową dwa gigantyczne kamulce obrały kurs na zderzenie. Dobra wiadomość była taka, że gapie zaczynali postrzegać ewolucję skalnego roju jako coś w rodzaju wydarzenia sportowego, którego śledzenie może być zabawne i fascynujące, ale raczej nie przerażające.

Ostra krawędź Chochli grzmotnęła w zagłębienie, od którego Fasolka wzięła swoją nazwę, i rozłupała Fasolkę na dwoje. Wszystko to oczywiście wydarzyło się w super zwolnionym tempie i bez dźwięku.

– I już jest ich osiem! – powiedziała Amelia. Odruchowo odwróciła się od Dooba w stronę swojej trzódki liczącej dwadzieścioro dwoje uczniów. – Co się stało z Fasolką? – zapytała w ten charakterystyczny nauczycielski sposób, wypatrując uniesionych rąk, szukając ochotnika, którego mogłaby wyrwać do odpowiedzi. – Kto mi powie?

Dzieci milczały. Chyba czuły się trochę nieswojo.

Amelia podniosła swoją kartę Fasolki i przedarła ją na pół.

Doktor Harris szedł już w stronę swojego samochodu, gdy niespodziewanie zadzwonił jego telefon. Wypłoszony Harris o mało nie zderzył się ze szkolnym autobusem. Co się z nim działo? Poczł, że mrowi go skóra głowy, i zdał sobie sprawę, że wszystkie włosy właśnie próbują stanąć mu dęba. Spojrzał na wyświetlacz telefonu: dzwonił kolega po fachu z Manchesteru. Odrzucił połączenie i na ekranie pojawiła się nie do końca utworzona karta kontaktu Amelii: zdjęcie jej twarzy – zarys profilu na tle telewizyjnych reflektorów – i numer telefonu. Pacnął palcem „Gotowe”.

Zdarzyło mu się już kiedyś, że skóra na głowie drętwiała mu w podobny sposób. To było na safari w Tanzanii. Odwrócił się wtedy i stwierdził, że stado hien przygląda mu się z niezwykle zainteresowaniem. Jednakże to nie one najbardziej go przerażyły, bo w tamtej okolicy nie brakowało ani hien, ani innych, groźniejszych zwierząt. Zgrozą napawała go świadomość, że się odsłonił, opuścił gardę, skupił całą uwagę na niewłaściwej rzeczy, podczas gdy prawdziwe niebezpieczeństwo zakradło się do niego od tyłu.

Stracił tydzień na roztrząsanie fascynującej zagadki naukowej pod tytułem „Co rozsadziło Księżyc?”.

To był błąd.

Skauci

– Musimy przestać zadawać sobie pytanie: „co się stało?” i zacząć dyskutować o tym, co dopiero się stanie – powiedział doktor Harris, zwracając się do pani prezydent Stanów Zjednoczonych, jej doradcy do spraw naukowych, przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów i mniej więcej połowy prezydenckiego gabinetu.

Pani prezydent – Julia Bliss Flaherty, zbliżająca się do końca pierwszego roku na tym stanowisku – nie była zachwycona. Przewodniczący Kolegium pokiwał głową, ale prezydent Flaherty zmrużyła oczy (nie tylko dlatego, że oślepiało ją wpadające przez okno światło z nieba nad Camp David) i spiorunowała go gniewnym wzrokiem. Miała wrażenie, że on coś knuje. Szuka kozła ofiarnego. Próbuje realizować własny ukryty plan.

– Proszę kontynuować – poleciła, po czym, przypomniawszy sobie o dobrych manierach, dodała: – Doktorze Harris.

– Cztery dni temu na własne oczy widziałem, jak Fasolka rozpadła się na dwie części – mówił dalej Doob – i z Siedmiu Sióstr zrobiło się osiem. Od tamtej pory niemal doszło do kolizji, która mogła rozbić Kręciołka.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyśmy dzięki temu pozbyli się tych niedorzecznych nazw – przyznała pani prezydent.

– To kwestia czasu – odparł Doob. – Pozostaje tylko pytanie: ile Kręciołkowi zostało życia? I co z tego dla nas wynika?

Pstryknąwszy trzymanym w ręce małym pilotem, wyświetlił slajd. Wszyscy spojrzeli na ekran, a Doob z niejaką ulgą przyjął fakt, że prezydent przestała się w niego wpatrywać. Slajd przedstawiał kulę śnieżną staczającą się ze zbocza góry, kosmatą kulturę bakterii na szalce Petriego, chmurę w kształcie grzyba i jeszcze kilka innych, na pozór niezwiązanych ze sobą, zjawisk.

– Co je łączy? – zapytał Doob. – Wykładniczy wzrost. Ludzie chętnie szafują tym określeniem, kiedy mówią o czymś, co szybko się rozwija,

ale te słowa mają także bardzo ścisły sens matematyczny. Opisują każdy proces, który, im bardziej się rozwija, tym szybciej postępuje. Eksplozja demograficzna. Jądrowa reakcja łańcuchowa. Kula śnieżna, której tempo powiększania się jest tym większe, im większe osiągnęła rozmiary. – Przełączył na następny slajd przedstawiający wykresy funkcji wykładniczych, a potem na kolejny: fotografię ośmiu księżycowych odłamków. – Dopóki Księżyc pozostawał w jednym kawałku, prawdopodobieństwo zderzeń było równe zeru.

– Bo nie miał z czym się zderzać – wyjaśnił Pete Starling, doradca prezydent do spraw naukowych.

Pani prezydent pokiwała głową.

– Dziękuję, doktorze Starling. Kiedy zamiast jednego mamy dwa obiekty, te jak najbardziej mogą się zderzyć. Im więcej odłamków, tym większe prawdopodobieństwo zderzenia dowolnych dwóch z nich. A co się dzieje, gdy rzeczywiście dojdzie do takiej kolizji? – Doob pstryknął przyciskiem i na ekranie wyświetlił się filmik z rozbicia Fasolki. – Czasem, choć nie zawsze, jeden element z pary może się rozpaść na dwa. A zatem odłamków przybywa: osiem w miejsce siedmiu, dziewięć w miejsce ośmiu i tak dalej. Wzrost ich liczby oznacza wzrost prawdopodobieństwa dalszych zderzeń.

– Wzrost wykładniczy – domyślił się przewodniczący Kolegium.

– Istotnie. Cztery dni temu przyszło mi do głowy, że obserwowany przez nas rozpad wykazuje wszelkie oznaki typowego procesu wykładniczego. A my już wiemy, czym to pachnie.

Prezydent Flaherty, do tej pory uporczywie przyglądająca się Doobowi, przeniosła teraz wzrok na Pete'a Starlinga, który wykonał dramatyczny gest, kreśląc ręką w powietrzu profil kija hokejowego.

– Kiedy krzywa wykładnicza osiąga punkt załamania, taki jak w kiju do hokeja – ciągnął Doob – dalszy wzrost może być wybuchowy i spektakularny, ale równie dobrze może następować powoli i miarowo. Wszystko zależy od stałej czasowej, naturalnej prędkości procesu. A także od naszej, ludzkiej percepcji tego zjawiska.

– Czyli może to nie być nic wielkiego – skostatował przewodniczący Kolegium.

– Może się okazać, że na pojawienie się dziewiątego odłamka przyjdzie nam czekać sto lat – potwierdził Doob, skinąwszy głową. – Tyle

że cztery dni temu zacząłem się niepokoić, że jednak możemy mieć do czynienia z tą wersją bliższą eksplozji, i wspólnie z moimi doktorantami dokonałem pewnych obliczeń. Stworzyliśmy model matematyczny procesu, żeby lepiej zrozumieć jego skalę czasową.

– Jakie uzyskaliście wyniki, doktorze Harris? Bo domyślam się, że jakieś uzyskaliście; inaczej by tu pana nie było.

– Dobra wiadomość jest taka, że pewnego dnia Ziemia doczeka się pięknego systemu pierścieni, takich, jakie ma Saturn. Zła wiadomość jest zaś taka, że nie obejdzie się bez komplikacji.

– Inaczej mówiąc – przejął pałeczkę Starling – odłamki Księżyca będą się zderzać i rozpadać na coraz mniejsze i mniejsze kawałki, które z czasem utworzą pierścienie orbitalne. Jednakże część tych kamieni będzie spadała na Ziemię i dokonywała zniszczeń.

– Może mi pan powiedzieć, doktorze Harris, kiedy to nastąpi? – spytała prezydent. – W jakim okresie?

– Nadal gromadzimy dane, zmieniamy parametry i dostrajamy nasz model – zastrzegł się Doob. – W swoich obliczeniach dopuszczam więc możliwość dwu-, może nawet trzykrotnego niedoszacowania lub przeszacowania; procesy wykładnicze bywają zdradzieckie... Niemniej jednak widzę to następująco. – Następny slajd, następny wykres: niebieska krzywa ilustrowała powolny systematyczny wzrost z upływem czasu. – Oś pozioma to oś czasu, mniej więcej od jednego do trzech lat.. W tym okresie liczba zderzeń i, co za tym idzie, liczba nowych odłamków będą stale rosły.

– Co to jest TRB? – zainteresował się Pete Starling. Takim opisem opatrzone bowiem oś rzędnych.

– Tempo Rozpadu Bolidów – wyjaśnił Doob. – Jak szybko powstają nowe odłamki.

– To standardowe określenie? – dociekał Starling raczej z niepokojem niż wrogością w głosie.

– Nie, sam je wymyśliłem – przyznał Doob. – Wczoraj. W samolocie.

Kusiło go, żeby dodać: „Wolno mi wymyślać nowe terminy naukowe”, ale nie chciał tak szybko zrażać do siebie słuchaczy. Widząc, że Starling przynajmniej chwilowo został spacyfikowany, spróbował odzyskać rytm wypowiedzi:

– Zacznie spadać coraz więcej meteoroidów. Niektóre z nich wyrządzą

znaczne szkody, ale nasze życie nie ulegnie jakimś wielkim zmianom, przynajmniej do czasu... – pstryknął pilotem: wykres pobiełał i zakrzywił się ostro ku górze – ...gdy staniemy się świadkami zdarzenia, które nazwałem „Białym Niebem”. To nastąpi szybko, w ciągu kilku godzin, najwyżej dni. Te nieliczne planetoidy, które na razie obserwujemy na niebie, zostaną przemielone na rój znacznie mniejszych odłamków, a te przykryją niebo jak biała chmura. I ta chmura będzie się szybko rozprzestrzeniać.

Pstryk. Wykres biegł stromo w górę i zmieniał kolor na czerwony.

– Dzień, dwa po Białym Niebie rozpocznie się tak zwany „Kamienny Deszcz”, ponieważ nie wszystkie te odłamki zechcą pozostać tam, na orbicie. Część z nich wpadnie w ziemską atmosferę.

Doob wyłączył rzutnik. To dość niecodzienne posunięcie skutecznie wyrwało słuchaczy z powerpointowej hipnozy i kazało im spojrzeć na prelegenta. Siedzący w głębi sali asystenci dalej bawili się swoimi telefonami, ale nie miało to wielkiego znaczenia.

– Kiedy mówię „część z nich”, mam na myśli biliony – dodał.

Nikt się nie odezwał.

– Takiego bombardowania meteorytowego Ziemia nie doświadczyła od czasów przedpotopowych, kiedy Układ Słoneczny dopiero nabierał kształtów – ciągnął Doob. – Kojarzycie państwo ogniste ślady, jakie od niedawna obserwujemy na niebie, gdy meteoryty spalają się w atmosferze? Będzie ich tyle, że przykryją Ziemię ognistą kopułą, od której wszystko zajmie się ogniem. Powierzchnia globu zostanie wyjałowiona. Lodowce się wygotują. Jedyne sposoby na przetrwanie to ucieczka przed rozpaloną atmosferą: można schronić się albo pod ziemią, albo w kosmosie.

– Jeżeli to prawda, to jest to isticie hiobowa wieść – wtrąciła prezydent.

Siedzieli i rozmyślali w milczeniu przez chwilę, która mogła trwać minutę... a mogła i pięć.

– Będziemy musieli zrobić jedno i drugie – orzekła w końcu prezydent. – Uciec w kosmos i schronić się pod ziemią. Oczywiście to drugie wyjście jest łatwiejsze.

– Naturalnie.

– Możemy rozpocząć budowę podziemnych schronów dla... – Prezydent ugryzła się w język, zanim wypsnęło jej się coś

niedyplomatycznego. – Dla naszych obywateli.

Doob milczał.

– Doktorze Harris... – zabrał głos przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. – Ja jestem człowiek starej daty, spec od logistyki. Interesują mnie konkrety: jak duże zapasy musimy zabrać ze sobą pod ziemię; ile worków ziemniaków i rolek papieru toaletowego przypadnie na jednego mieszkańca schronu... Inaczej mówiąc, chciałbym się dowiedzieć, ile potrwa ten cały Kamienny Deszcz.

– Wedle moich najlepszych oszacowań – odparł Doob – od pięciu do dziesięciu tysięcy lat.

* * *

– Nikt z was nie stanie więcej na *terra firma*, nie dotknie swoich bliskich, nie odetchnie powietrzem ojczystej planety – powiedziała prezydent. – Okrutny to los, lecz i tak lepszy od tego, jaki czeka siedem miliardów ludzi, którzy na powierzchni Ziemi znaleźli się w potrzasku. Ostatni statek do domu już odpłynął. Rakiety nadal będą startować i docierać na orbitę, ale przez następne dziesięć tysięcy lat nie będzie dla nich powrotu.

Dwanaścioro ludzi zebranych w Bananie słuchało w milczeniu. Podobnie jak zniszczenie Księżyca, ta wiadomość również była zbyt trudna, żeby ją sobie przyswoić i znaleźć dla niej odpowiednie emocje. Umysł Dinah zaprzętały drobiazgi – na przykład konstatacja faktu, że JBF, pani prezydent, cholernie dobrze radzi sobie z wygłaszaniem takich tekstów.

– Doktorze Harris? – odezwał się Konrad Barth, astronom. – Przepraszam, pani prezydent, czy mógłbym prosić do kamery doktora Harrisa?

– Naturalnie.

Julia Bliss Flaherty nieco niechętnie ustąpiła miejsca wyższemu od niej Harrisowi, który Dinah i tak wydał się dziwnie mały w porównaniu z tym sławnym naukowcem z telewizji. Jakby się skurczył. A potem przypomniała sobie, co im przed chwilą tłumaczył, i złażała się w duchu za przeprowadzenie tego porównania. Jakie to uczucie, być jedynym

człowiekiem na Ziemi, który wie, że ojczysty glob jest skazany na zagładę?

– Słucham, Konradzie – powiedział Harris.

– Nie chcę powiedzieć, że nie zgadzam się z twoimi obliczeniami, Doob, ale czy ktoś je zweryfikował? Potwierdził? Może popełniłeś jakiś szkolny błąd, przestawiłeś przecinek, nie wiem... Jest taka możliwość?

Konrad jeszcze nie sformułował dobrze swojego pytania, gdy Harris już zaczął kiwać głową. Nie miał przy tym szczęśliwej miny.

– Konradzie... – odparł. – Nie jestem odosobniony.

– Z informacji naszego wywiadu wynika, że Chińczycy dzień wcześniej od nas wyciągnęli podobne wnioski – wtrąciła prezydent. – A od tamtej pory także Brytyjczycy, Hindusi, Francuzi, Niemcy, Rosjanie, Japończycy... Wszyscy dochodzą do mniej więcej takich samych konkluzji.

– Dwa lata? – wtrąciła Dinah chrapliwym, łamiącym się głosem. Wszyscy zwrócili się w jej stronę. – Do Białego Nieba?

– Wszystkie szacunki raczej potwierdzają tę prognozę – przytaknął Harris. – Od dwudziestu trzech do dwudziestu siedmiu miesięcy.

– Wiem, że to musi być dla was ogromny szok – przejęła pałeczkę pani prezydent – ale chciałam, żeby załoga ISS poznała fakty jako jedna z pierwszych. Potrzebuję was. Potrzebują was mieszkańcy USA i całej Ziemi.

– Do czego? – spytała Dinah.

W żadnym wypadku nie mogła być traktowana jak oficjalna rzeczniczka dwunastoosobowej załogi; to było zadanie Ivy. Sądząc jednak po tym, jak Ivy wyglądała w tej chwili, na razie nie nadawała się do tej roli.

– Rozpoczęliśmy rozmowy z innymi krajami, prowadzącymi własne programy kosmiczne, w sprawie wybudowania arki – wyjaśniła prezydent – skarbnicy całego ziemskiego dziedzictwa genetycznego. Na jej stworzenie mamy dwa lata; dwa lata na to, żeby wynieść na orbitę jak najwięcej ludzi i sprzętu. Izzy ma się stać załącznikiem tej arki.

Dinah poczuła absurdałne ukłucie irytacji, słysząc, jak JBF zawłaszczają ich prywatne przezwisko ISS. Znała jednak ten mechanizm, spędziła wystarczająco dużo czasu ze specami od PR w NASA, żeby to rozumieć: rzeczy należało oswajać, nadawać im sympatyczne przydomki.

Wszystkie te przerażone dzieciaki na Ziemi, które wiedziały, że czeka je śmierć, będą teraz musiały oglądać optymistyczne filmiki o tym, jak Izzy w trudnych czasach Kamiennego Deszczu przechowa dziedzictwo martwej planety; będą wyjmować kredki i po dziecięcemu rysować Izzy z torusem jak aureola, wielkim kamulcem u tyłka i małym antropomorficznym uśmiezkiem od strony modułu serwisowego Zwiezda.

Ivy zabrała głos, pierwszy raz od dłuższego czasu. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej konieczność przełożenia ślubu przyprawiła ją o wielkie rozczarowanie, teraz zaś dowiedziała się, że jej narzeczony – komandor Cal Blankenship z U.S. Navy – jest żywym trupem; że nie wyjdzie za niego za mąż; że nigdy go już nie dotknie ani nawet nie zobaczy inaczej niż w transmisji wideo. Nie mówiąc o innych ludziach, których znała.

– Pani prezydent – odezwała się z półprzymkniętą miną, tym swoim śpiewnym głosem. – Jak pani zapewne wiadomo, nie mamy tu zbyt wiele miejsca na przyjęcie nowych przybyszów. Z pewnością należy poddać tę kwestię pod dyskusję.

– Tak, oczywiście – przytaknęła prezydent. – Waszym zadaniem będzie...

– Przepraszam, pani prezydent, pozwoli pani...? – wtrącił się doktor Harris.

Dinah zauważyła zaskoczone spojrzenie pani prezydent i malujący się na jej twarzy szok. Ktoś ośmielił się przerwać prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Ktoś wypchnął go z centrum uwagi. Jako kobieta, która przebiła się na sam szczyt, JBF musiała być ostro wyczulona na takie zachowania.

Tyle że tu chodziło o coś innego. JBF nie zadawała sobie w duchu pytania: „Czy on mi przerywa, bo jestem kobietą?”. Ten etap mieli już za sobą. Pytanie brzmiało: „Czy on mi przerywa, bo prezydent USA przestał się liczyć?”.

– Jest tam Lina? – spytał Harris. – Proszę przesunąć kamerę... A, tu jesteś, Lino. Czytałem twój artykuł o stadnych zachowaniach ryb na Karaibach. Kapitalny.

– Nie miałam pojęcia, że obszar pańskich zainteresowań sięga także pod wodę – odparła Lina Ferreira. – Dziękuję.

Ludzie to jednak są zabawni, pomyślała Dinah. Żeby w takiej chwili rozmawiać o czymś takim.

– Znakomite są te filmy. Ryby poruszają się w zwartym szyku, dopóki nie pojawi się drapieżnik. Wtedy nagle w ławicy robi się dziura, drapieżnik wpada w nią, przepływa na wylot, nie pochwyciwszy ani jednej ofiary, a zaraz potem ławica znów łączy się w litą całość. Powiem tak: żadne decyzje jeszcze nie zapadły, ale...

– Chcecie wykorzystać takie stadne zachowania przy budowie arki?

– To ma być tak zwana Arka w Chmurze – wtrąciła prezydent. – Ale dobrze nas pani zrozumiała: zamiast kłaść wszystkie jajka do jednego koszyka...

– Jajka... i plemniki – mruknął Jibran z tym swoim akcentem z Lancashire, na tyle cicho, że tylko Dinah go usłyszała.

– ...zamierzamy zastosować architekturę rozproszoną – ciągnęła JBF, artykułując z przesadną starannością, jakby używała nowego terminu, który poznała zaledwie dziesięć minut wcześniej. – Każdy ze statków tworzących Arkę w Chmurze będzie w pewnym zakresie autonomiczny. Z tego, co mi powiedziano, będziemy je produkować w masowej skali i wysyłać na orbitę najszybciej jak to możliwe. Utworzą rój wokół Izzy. W spokojnych czasach będą mogły się łączyć jak klocki Tinkertoys, co umożliwi swobodne przemieszczanie się pomiędzy nimi. Kiedy jednak pojawi się groźba uderzenia meteorytu... Szszszuuu! – Rozcapirzyła palce z polakierowanymi na fioletowo paznokciami.

A co z Izzy? – zastanawiała się Dinah. Wolą jednak w tej chwili o to nie pytać.

– Każdy z was będzie miał do wykonania swoje zadanie przy realizacji tego programu – ciągnęła prezydent. – Dlatego poprosiłam dyrektora, żeby również wziął udział w tej rozmowie. – Miała na myśli Scotta Spaldinga, dyrektora NASA. – Oddam teraz głos Sparky’emu, który przedstawi wam szczegóły. Jak się zapewne domyślicie, wiele innych spraw wymaga mojej uwagi, dlatego chwilowo się z wami pożegniam.

Mamrotane podziękowania zgromadzonej w Bananie dwunastki astronautów pożegnały panią prezydent opuszczającą salę konferencyjną i ktoś na Ziemi skierował kamerę na Scotta Spaldinga, któremu udało się wytrzasnąć skądś sportową marynarkę, nie włożył jednak krawata – i prawdopodobnie tak już miało pozostać do końca

jego życia. Jako młody astronauta został wytypowany do jednej z misji programu Apollo, została ona jednak odwołana na skutek cięć budżetowych na początku lat siedemdziesiątych. Został w programie i podczas przerwy w lotach załogowych, która wtedy nastąpiła, zrobił doktorat, ale pech go nie opuszczał: jego planowana misja w Skylabie nie doszła do skutku po tym, jak stacja przedwcześnie spadła w atmosferę. Jego upór opłacił się w latach osiemdziesiątych, gdy po serii udanych misji na wahadłowcach stał się mentorem całego korpusu astronautycznego, który z równą swobodą naprawia panele słoneczne i cytuje Rainera Marię Rilkego. Po dwóch dekadach udzielania się (ze zmiennym szczęściem) przy kielkujących nowych technologiach został przed kilkoma laty ściągnięty z powrotem do NASA w ramach nieco mętnej koncepcji przestawiania agencji na nowe tory. U ludzi z Banana cieszył się opinią człowieka sympatycznego i – choć bywał na swój sposób niedostępny – godnego zaufania w sytuacji kryzysowej.

Nie sposób było się domyślić, którym z wierszy Rilkego mógłby skomentować aktualną kłopotliwą sytuację – chociaż przez chwilę po tym, jak kamera znalazła go i zogniskowała się na jego obwisłej, pomarszczonej twarzy, można było pomyśleć, że ma na końcu języka jakiś poetycki cytat. Spalding otrząsnął się jednak i spojrział w obiektyw.

– Brak mi słów – powiedział – dlatego od razu przejdę do konkretów. Ivy, nadal kierujesz stacją. Jesteś najlepsza. Masz pilnować, żeby wszystko działało jak w zegarku, kontaktować się z nami i przekazywać, czego wam potrzeba. Jeżeli po tym wszystkim wykroisz jeszcze czas dla siebie, daj znać, a ja znajdę ci jakieś hobby. – Mrugnął porozumiewawczo i przeszedł do kolejnego punktu na liście.

Frank Casper, elektryk z Kanady, i Spencer Grindstaff, amerykański łącznościowiec z tajemniczą przeszłością szpiegowską, mieli być odpowiedzialni za stworzenie infrastruktury sieciowej niezbędnej do funkcjonowania Arki w Chmurze. Jibran – który jako spec od aparatury i tak był zamieszany we wszystkie tego rodzaju projekty – miał im pomagać.

Specjalizujący się w wyjściach w otwartą przestrzeń kosmiczną szpakowaty Fiodor Pantelejmon i Zeke Petersen, amerykański pilot wojskowy z twarzą chłopca i pokaźnym doświadczeniem w kosmicznych spacerach, mieli przygotować stację na przybycie

nowych modułów, które (jak ich solennie zapewniono) – projektowane i produkowane ze zgoła nietypowym u NASA pośpiechem – przed upływem miesiąca miały zacząć przybywać na orbitę. Dinah uznała tę prognozę za niedorzecznie optymistyczną, dopóki nie uświadomiła sobie, że dosłownie cały świat zaangażował się w te prace.

Konrad Barth został po prostu poproszony o pozostanie na linii po zakończeniu spotkania, ponieważ Doob chciał z nim porozmawiać. Było oczywiste, że przypadnie mu zadanie przeprojektowania wszystkich astronomicznych gadżetów na pokładzie stacji w taki sposób, żeby umożliwiły wypatrywanie i śledzenie nadlatujących meteorytów. Na ten temat nikt nie chciał zbyt długo się rozwodzić; gdyby Izzy została trafiona choćby najmniejszym kamyczkiem, byłoby po wszystkim. Naprawdę nie było sensu o tym rozmawiać.

Biologią zajmowały się trzy osoby: Lina Ferreira, Margaret Coghlan – Australijka badająca wpływ przebywania w kosmosie na ciało ludzkie – oraz Jun Ueda – japoński biofizyk prowadzący eksperymenty laboratoryjne dotyczące wpływu promieniowania kosmicznego na żywe tkanki. Do tej pojemnej kategorii poniekąd zaliczał się także Marco Aldebrandi, włoski inżynier odpowiedzialny za przyziemną kwestię konserwacji układów podtrzymywania życia, dzięki którym na stacji dało się żyć. Z nich czworga Lina zajmowała o tyle uprzywilejowaną pozycję, że miała już w przeszłości do czynienia z badaniem zachowań stadnych. Tamte jej prace nie miały wprawdzie ścisłego związku z tym, czym zajmowała się na stacji kosmicznej, ale teraz miała je odkurzyć i uczynić z nich dzieło swojego życia. Sparky zostawił jej pełną swobodę działania; miała się zaszyć w jakimś zacisznym kącie i nadrobić zaległości, faszerując się po czubki uszu specjalistycznymi artykułami z tymczasowo zaniedbanej dziedziny. Margaret i Junowi kazano wyrzucić za burtę co bardziej abstrakcyjne projekty badawcze i we współpracy z Marco przyszykować Izzy na znaczne zwiększenie liczby mieszkańców.

W ten sposób znaleziono zajęcie jedenaściorgu członkom dwunastoosobowej załogi. Na razie Sparky ani słowem nie zająknął się o Dinah.

Nigdy nie wypadła dobrze na zebraniach. Zasiadając w sali konferencyjnej, czuła się jak na meczu wyjazdowym. Świadomość, że

nie radzi sobie najlepiej w takim środowisku, stawała się samospełniającą się przepowiednią. Zawsze tak było i zbliżający się koniec świata niczego w tej kwestii nie zmieniał. W miarę jak Sparky odhaczał kolejne punkty z listy, wyznaczając pracownikom stacji zadania na najbliższe tygodnie, Dinah czuła się coraz bardziej odsłonięta właśnie z tego powodu, że nie mogła się doczekać, kiedy i ona zostanie wyczytana. Kiedy zaś stało się jasne, że jest na tej liście ostatnia, miała dłuższą chwilę (Sparky rozmawiał tymczasem z Margaret, Junem i Marco) na rozważanie implikacji tego faktu. Nie byłaby sobą, gdyby nie pomyślała, że jest aż tak ważna, że Spalding zostawił ją na koniec – zanim jednak wreszcie wyczytał jej nazwisko, zdążyła dojść do zupełnie innych wniosków. Serce waliło jej jak młotem, koniuszki palców mrowiły, język kołowaciał w ustach.

– Dinah – powiedział Sparky – jesteś dla nas bezcenna.

Doskonale wiedziała, co to znaczy w zebraniowym korpożargonie: gdyby tylko mogli, najchętniej wypchnęliby ją przez służbę.

– Masz niezwykle wszechstronne kwalifikacje, a na dodatek wszyscy tu podziwiamy twoje zaangażowanie – ciągnął Sparky.

Nikomui innemu nie kadził o zaangażowaniu.

– Wydobywanie surowców z asteroid, któremu poświęciłaś znaczną część swojego życia zawodowego, to projekt niezwykle długofalowy. My jednak musimy na razie przejść w bardziej doraźny tryb działania. Nie wybiegamy zbyt daleko w przyszłość.

– To zrozumiałe.

– Twoje zadanie będzie dwojakie: masz pomagać Ivy, a poza tym znaleźć sposób na to, by swój niecodzienny zestaw umiejętności wykorzystać do wsparcia wysiłków reszty załogi. Fiodor i Zeke nie mogą stale przebywać na zewnątrz; może twoje roboty mogłyby wykonywać zadania, z którymi oni sobie nie poradzą.

– Jeśli chodzi o cięcie metalu, nie mają sobie równych.

– To super – odparł Sparky.

Sarkazm Dinah kompletnie uszedł jego uwagi. Dla niego rozmowa już się skończyła i z trudem tolerował uprzejmą gadkę szmatkę, czekając na spotkanie z Doobem i Konradem.

Dinah zdawała sobie sprawę, że nie powinna być taka małostkowa. Jak mogła tak myśleć w takiej chwili?

Ha, może po prostu miała ku temu dobry powód.

Zaczęła się już żegnać ze Sparkym, gdy coś przyszło jej do głowy.

– Czekaj – powiedziała. – Rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc o doraźnym trybie działania. Rozumiem to i szanuję. Ale jeżeli projekt „Arka w Chmurze” wypali... a właściwie kiedy wypali, to chyba wiesz, co będzie dalej?

Mimo że Sparky nie był w nastroju do pogaduszek, w jego reakcji więcej było chyba zaskoczenia niż irytacji.

– Co będzie dalej? – powtórzył.

– Ludzie będą musieli gdzieś mieszkać. Jeżeli powierzchnia Ziemi zostanie dokumentnie wyżarzona, będzie trzeba wybudować jakieś osiedla tutaj, na orbicie, korzystając z surowców, które są pod ręką. Czyli z asteroid, których za sprawą Agenta będzie teraz znacznie więcej.

Sparky ukrył twarz w dłoniach, wypuścił powietrze z płuc i przez dobrą minutę siedział zupełnie nieruchomo. Kiedy opuścił ręce, Dinah zorientowała się, że płakał.

– Przed tym spotkaniem napisałem pół tuzina listów pożegnalnych do znajomych i rodziny – powiedział. – Po jego zakończeniu zamierzam do tego wrócić, pisać dalej. Może uda mi się napisać połowę zamierzonych listów, nim Kamienny Deszcz zgładzi ich niedoszłych adresatów. Zmierzam do tego, tak mi się przynajmniej wydaje, że już w tej chwili myślę jak żywy trup, którym w istocie jestem. A to błąd. Powinienem myśleć o tym, o czym ty właśnie pomyślałaś. O przyszłości, której ty i nieliczni inni będziecie wyczekiwać, jeżeli wszystko pójdzie po naszej myśli.

– Naprawdę myślisz, że ktoś z nas jej wyczekuje?

Sparky się skrzywił.

– Nie w takim sensie, że spodziewacie się po niej nie wiadomo jakich wspaniałości, ale w takim, że przynajmniej możecie o niej myśleć. I ja jestem skłonny się z tobą zgodzić, tylko czego właściwie ode mnie teraz oczekujesz?

– Żebyś mnie osłaniał. Nie pozwól, żeby pozbyli się Amalthei. Nie daj rozebrać moich robotów na części. Chcesz, żebym chwilowo zajęła się innymi sprawami? Proszę bardzo, ale kiedy niebo zbieleje i spadnie Kamienny Deszcz, Arka w Chmurze będzie potrzebowała realnego programu pozyskiwania surowców z asteroid. Inaczej nikt tu nie

przeżyje tysiący lat.

– Będę cię osłaniał, Dinah – obiecał Sparky – cokolwiek to znaczy.
I zagapił się na drzwi, za którymi zniknęła pani prezydent.

* * *

O godzinie A+0 w skład dwunastoosobowej załogi Międzynarodowej Stacji Kosmicznej wchodził tylko jeden Rosjanin: podpułkownik Fiodor Antonowicz Pantelejmon, pięćdziesięcioletni weteran sześciu misji kosmicznych mający na koncie osiemnaście wyjść w otwartą przestrzeń, szara eminencja korpusu kosmonautycznego. Było to o tyle niezwykle, że w początkach istnienia ISS Rosjanie stanowili zwykle co najmniej trzecią część tradycyjnego sześciuosobowego składu. Uruchomienie Projektu Amalthea i dobudowanie torusa mieszkalnego umożliwiło rozszerzenie obsady do czternastu osób, wśród których liczba Rosjan wahała się zazwyczaj od dwóch do pięciu.

Księżyc rozleciał się na kawałki zaledwie dwa tygodnie przed planowanym powrotem Ivy, Konrada i Liny do domu i przybyciem na ich miejsce dwójki Rosjan i brytyjskiego inżyniera. Ponieważ rakieta, która miała wynieść zastępców na orbitę, była już przygotowana do startu, Roskosmos – rosyjska agencja kosmiczna – postanowił nie rezygnować z misji i w dniu A+0.17 wystrzelił raketę z Bajkonuru.

Sojuz bez przygód przybił do Izzy. W przeciwieństwie do Amerykanów, którzy lubili ręcznie sterować swoimi pojazdami, Rosjanie dawno zautomatyzowali całą procedurę cumowania.

Sojuz – od dziesięcioleci prawdziwy wół roboczy w eksploracji kosmosu przez człowieka – składał się z trzech modułów. Na rufie znajdował się przedział mechaniczny zawierający silniki, zbiorniki paliwa, panele fotowoltaiczne i inny sprzęt mogący się obejść bez atmosfery. Na dziobie mieścił się w przybliżeniu kulisty hermetyczny moduł mieszkalny, w zamyśle konstruktorów wypełniony powietrzem i wystarczająco przestronny, by kosmonauci mogli w nim mieszkać i pracować. Środek stanowił niewielki, mieszczący trzy fotele, dzwonokształtny łącznik, w którym odziani w kosmiczne skafandry pasażerowie wylatywali na orbitę, a następnie wracali na Ziemię, wlokąc

za sobą płomienisty ogon niczym kometa. Łącznik był wyjątkowo ciasny, co jednak nie miało wielkiego znaczenia, gdyż używano go wyłącznie w krótkich fazach startu i lądowania, a znakomitą większość czasu kosmonauci spędzali w kulistym module orbitalnym. Na czubku tegoż modułu znajdowało się ustrojstwo cumownicze, umożliwiające dokowanie do stacji kosmicznej lub innych stosownie wyposażonych obiektów.

Jeszcze niedawno, dwa lata wcześniej, Sojuzy cumowały zwykle z tyłu modułu Zvezda stanowiącego „ogon” ISS. Później do Zvezdy doczepiono moduł zwany „Piastą”, wydłużając w ten sposób „rufową” część stacji i tworząc oś, wokół której dzisiaj obracał się torus. Dla zapewnienia kompatybilności z powszechnie używanym i sprawdzonym Sojuzem Piastę wyposażono w stosowne złącze cumownicze i właz.

Kiedy cała pozostała jedenastka zajęła się wypełnianiem zleconych przez Sparky’ego zadań, Dinah przepłynęła na „rufę” (musiała w tym celu pokonać całą długość Izzy, ponieważ jej warsztat mieścił się przy „dziobie” stacji) i otworzyła właz, żeby przywitać nowych gości. Spodziewała się zobaczyć paru ludzi szybujących w nieważkości w module orbitalnym Sojuza, zamiast tego ujrzała jednak głowę i rękę tylko jednego kosmonauty, w którym z niejakim trudem rozpoznała Maksima Koszelewa. Koszelew tkwił nieruchomo w niemal litej masie witamin.

„Witaminy” były terminem używanym przez maniaków lotów kosmicznych na określenie wszelkich małych i lekkich obiektów o wyjątkowej wartości. Scalaki, lekarstwa, części zapasowe, ukulele, próbki biologiczne, mydło, żywność – wszystko to mieściło się w tej niezwykle pojemnej kategorii. Oczywiście najcenniejszą witaminą był człowiek – chyba że ktoś uważał, że badanie przestrzeni kosmicznej należy zostawić robotom. Dinah brała udział wielu konferencjach, na których jej koledzy po fachu upierali się przy twierdzeniu, że rakiety, jako niezwykle drogie w eksploatacji, powinny być wykorzystywane wyłącznie do transportu witamin, natomiast zasobów wymaganych w ilościach hurtowych, takich jak woda czy metal, nie powinno się w żadnym razie wystrzeliwać na orbitę z Ziemi, lecz pozyskiwać z miliardów unoszących się w kosmosie gładów.

Zapieczętowane opakowanie strzykawkę wypadło jej na spotkanie i uderzyło ją w czoło. W następnej kolejności poleciały próżniowo pakowany granulata wodorotlenku litu, buteleczka morfiny, rolka kondensatorów do montażu powierzchniowego i spięty gumką pęk zatemperowanych ołówków HB. Odepchnąwszy je sobie z drogi, Dinah mogła wreszcie ogarnąć całą rozpościerającą się przed nią scenę: Maksim wtłoczony w wąski tunel wydrążony w witaminach, którymi wypchano Sojuza do granic możliwości.

Ktoś tam, na dole, w Tiuratamie, wykazał się przytomnością umysłu i na koniec dopchnął jeszcze do kapsuły kilka worków na śmieci. Dinah otworzyła jeden z nich i najpierw zebrała doń wszystkie przedmioty, które uwolniły się z Sojuza i zamierzały się wybrać na spacer po Izzy, a potem zaczęła wygarniać z kapsuły kolejne; mnóstwo drobiazgu jej umknęło, ale większość jednak trafiła do worka. Maksim wygramolił się do Piasty, żeby rozprostować nogi po sześciu godzinach siedzenia nieruchomo w Sojuzie, a wtedy drobniejsza od niego Dinah wśliznęła się na jego miejsce i zaczęła wypychać witaminy w jego stronę; musiał tylko przytrzymać otwarty worek, żeby wszystko samo do niego wpadało.

Po minucie Dinah dokopała się do ludzkiego uda w niebieskim skafandrze, potem do barku i ręki. Ręka się poruszyła, popchnęła w jej stronę kolejne witaminy i odsłoniła twarz, którą Dinah rozpoznała dzięki temu, że pół godziny wcześniej obejrzała poświęcone jej hasło w Wikipedii: to była Bolor-Erdene, kiedyś już wykluczona z programu kosmicznego jako zbyt mała i drobna, żeby pasował na nią standardowy kombinezon kosmiczny. Fotel, na którym przybyła na orbitę, został tymczasowo wmontowany we wnętrze Sojuza: przypięto go do części modułu orbitalnego zwanej Diwanem za pomocą prowizorycznej pajęczyny taśm ładunkowych, wciąż jeszcze brudnych od kazachskiego kurzu. Dinah przyszło do głowy, że może to być ostatni kurz, jaki ogląda w życiu. Szybko odepchnęła od siebie tę myśl.

Zatem Bolor-Erdene i Maksim przylecieli w module orbitalnym, co było wydarzeniem bez precedensu: pasażerowie powinni podróżować w doczepionej z tyłu kapsule przeznaczonej do lądowania na Ziemi.

Byłoby rzeczą niestosowną wytykać im to w tej chwili, ale podjąwszy się przelotu w module orbitalnym, zgodzili się na podróż w jedną stronę,

która na dodatek mogła się stać misją samobójczą, gdyby tylko coś poszło nie tak. Podczas powrotu na Ziemię moduł orbitalny był skazany na spłonienie w atmosferze po odstrzeleniu od kapsuły lądowniczej; tylko pasażerowie tej ostatniej mieli choćby teoretyczne szanse przeżycia.

Proces pakowania witamin do worków na śmieci postępował i przybierał na intensywności w miarę uwalniania kolejnych ramion i twarzy. Na trzech fotelach, na których ludzie faktycznie powinni podróżować Sojuzem, znajdowali się dwaj oczekiwani kosmonauci – Jurij i Wiaczesław, oraz Brytyjczyk imieniem Rhys.

Bolor-Erdene, Jurij i Wiaczesław przy pierwszej okazji odpięli się od foteli i przez moduł orbitalny wpłynęli do Piasty. Rhys powiedział, że potrzebuje chwili dla siebie.

Dinah również cofnęła się do Piasty, żeby przywitać pozostałą czwórkę. W normalnych okolicznościach powitanie takie nosiło przynajmniej pozory małej uroczystości: nowi wpływali przez właz, ściskali się z gospodarzami stacji, przybijali piątki, robili pamiątkowe zdjęcia. Tym razem w obliczu nieuchronnej śmierci wszystkich mieszkańców Ziemi nastroje były raczej minorowe, lecz Dinah czuła się zobowiązana zamienić kilka słów z każdym przybyszem.

Bolor-Erdene nalegała, żeby nazywać ją Bo. Miała typowo azjatyckie rysy, a przy tym coś w jej oczach i zarysie kości jarzmowych nie pasowało do wizerunku przeciętnej Chinki. Google już wcześniej podpowiedział Dinah, że Bo jest Mongołką.

Jurij i Maksim gościli na ISS – odpowiednio – po raz trzeci i czwarty. Wiaczesław, który miał za sobą dwie wizyty w stacji, w ostatniej chwili zastąpił innego, młodszego kosmonautę, który miał być na Izzy debiutantem. Rosjanie – stare wygi – po krótkim przywitaniu z Dinah przepłynęli przez środek Piasty (rozglądając się z zaciekawieniem, bo nie wszyscy mieli okazję wcześniej ją widzieć) i przez właz przedostali się do Zwiezdy, gdzie czuli się jak w domu. Wymieniali krótkie uwagi po rosyjsku, z których Dinah rozumiała mniej więcej co drugie słowo; w załodze Izzy wszyscy musieli jako tako znać rosyjski.

Inżynier Rhys Aitken specjalizował się w konstruowaniu niezwykłych budowli, najczęściej na zlecenie zamożnych klientów. Jeszcze siedemnaście dni temu pracował nad projektem drugiego, większego

torusa, który zostałby osadzony na nowej Piaście dobudowanej z tyłu stacji i służyłby obsłudze kosmicznego ruchu turystycznego. Zlecenie to było elementem umowy zawartej w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego pomiędzy NASA i pracodawcą Rhysa, brytyjskim miliarderem, jednym z pionierów turystyki kosmicznej. Od tamtej pory Rhysowi wyznaczono już inną, nową misję, do której również doskonale się nadawał.

Dinah wróciła do modułu orbitalnego i zajrzała przez właz do przedziału pasażerskiego. Rhys leżał nieruchomo na fotelu.

– Pierwszy raz na orbicie? – spytała, chociaż знаła już odpowiedź.

– A co, wy tu Google'a nie macie? – odpowiedział Rhys pytaniem na pytanie.

Taka reakcja ze strony Amerykanina mogła się wydać nieuprzejma, jednak Dinah spędziła dość czasu w towarzystwie Brytyjczyków, żeby właściwie zrozumieć intencje Rhysa.

– Po prostu widzę, że nieśpieszno ci do poznawania nowego domu.

– Chcę, żeby odkrywanie nowości trwało jak najdłużej. Poza tym ostrzegano mnie, żebym nie ruszał głową.

– To dobra rada, pomaga uniknąć mdłości. Tylko że kiedyś w końcu będziesz musiał nią poruszyć.

Opakowanie nasion ogórka, opisane nadrukowaną od szablonu cyrylicą, przepłynęło przed głową Dinah. Złowiła je w locie i – widząc, że zbliżyła się wystarczająco do nowo przybyłego – wyciągnęła rękę na powitanie.

– Dinah.

– Rhys.

Podał jej rękę. Trzymał głowę nieruchomo i patrzył prosto przed siebie, ale w tym momencie, posłuszny uświęconemu tradycją odruchowi, jaki cechuje większość samców rodzaju ludzkiego, najpierw zwrócił same oczy w stronę Dinah, a potem obrócił głowę, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

– Zaraz tego pożałujesz – ostrzegła go.

– O mój Boże!

– Masz jeszcze chwilę, zanim wszystko ci się zbierze i wypłynie. Czekaj, załatwię ci jakąś torebkę foliową.

* * *

Podczas jednej z wielu bezsennych „nocy” Dinah złapała się na tym, że martwi się o tranzystory. Nowoczesna technologia półprzewodnikowa pozwoliła je zmniejszyć do rozmiarów, przy których mogły ulec zniszczeniu od pojedynczej dawki promieniowania kosmicznego. Na Ziemi nie miało to wielkiego znaczenia, ponieważ gra toczyła się o niższe stawki, atmosfera zaś odcinała większość promieniowania; elektronika przeznaczona do działania w przestrzeni kosmicznej to było zupełnie coś innego. Kompleksy wojskowo-przemysłowe na całym świecie inwestowały mnóstwo pieniędzy i zasobów ludzkich w produkcję elektroniki odpornej na promieniowanie. Uzyskane w wyniku tych starań układy scalone i obwody drukowane były zazwyczaj większe i bardziej nieporęczne od elegancko zminiaturyzowanych produktów masowego użytku, do jakich przywykli ziemscy konsumenci. Były również znacznie droższe – do tego stopnia, że Dinah nauczyła się obchodzić bez nich przy konstruowaniu swoich robotów. Stosowała tanią, miniaturową, gotową elektronikę konsumpcyjną i liczyła się z tym, że co tydzień pewna liczba jej robotów będzie umierała z tego powodu. Sprawny robot mógł przenieść swojego nieżywego kolegę do śluzy oddzielającej warsztat od dziobatej powierzchni Amalthei, a wtedy Dinah po prostu wymieniała usmażone obwody na nowe. Zdarzało się i tak, że nowy robot od początku okazywał się niesprawny – po trafieniu promieniem kosmicznym, kiedy jeszcze leżał spokojnie w magazynie. Na szczęście w ramach misji zaopatrzeniowych przewidziano dostarczanie na ISS nowych zastępów robocików i części zamiennych.

Jedyną osłoną przed promieniowaniem kosmicznym była materia. Gruba atmosfera, taka jak ziemską, w zupełności wystarczała, podobnie jak wystarczyłaby znacznie cieńsza, ale lita bariera z jakiegoś ciężkiego materiału. Naturalnie Dinah dysponowała taką właśnie barierą – w postaci samej Amalthei: każdy obiekt przytulony do jej powierzchni był automatycznie chroniony przed promieniowaniem kosmicznym dochodzącym z tej połowy wszechświata, którą przesłaniała asteroida. W podobny sposób sama ISS była osłonięta przez Ziemię przed promieniowaniem z jednego kierunku. Dzięki temu istniało jedno

cudowne miejsce – w tej części warsztatu, która znajdowała się od strony Ziemi, a zarazem „pod” bryłą Amalthei – narażone na kontakt z promieniowaniem wyłącznie z bardzo wąskiego wycinka przestrzeni kosmicznej. W tym właśnie rejonie Dinah przechowywała zapasowe układy scalone i płytki drukowane, żeby zwiększyć ich szanse przetrwania. Z tego także względu starała się ograniczać czas pracy robotów w tej części Amalthei, która była zwrócona ku otwartej przestrzeni.

Z okna miała bardzo dobry widok na zagłębienie w powierzchni asteroidy, prawdopodobnie prastary krater po uderzeniu meteorytu, mniej więcej wielkości arbuza. Dziewiątego dnia po tym, jak Księżyc się rozpadł (pięć dni przed konferencją w Bananie, podczas której Doc Dubois powiedział im o Kamiennym Deszczu, a prezydent zapowiedziała, że nie wrócą do domu), zaprogramowała część swoich robotów (te z najlepszymi głowicami tnącymi) w taki sposób, żeby zaczęły pogłębiać to zakłębienie. Może przeczuwała, co się wydarzy. A może po prostu wykonywała swoją pracę: roboty górnicze musiały być zdolne do wykonywania zaprogramowanych działań, takich jak drążenie tuneli w skałach, a był najwyższy czas, żeby zaczęła z tym eksperymentować.

Kiedy jednak po konferencji w Bananie wróciła do warsztatu, zamiast przepłakać całą noc albo wystawić głowę ze śluzy w kosmos, zmodyfikowała oprogramowanie robocików i kazała im delikatnie zakrzywić przebieg tunelu w miarę posuwania się w głąb asteroidy. Wcześniej oddalały się od warsztatu w linii prostej, dzięki czemu mogła przez swoje okienko zaglądać wprost w głąb tunelu; musiała w tym calu nakładać na kwarc przyciemnianą osłonę spawalniczą, ponieważ łuki plazmowe, którymi roboty cięły skałę, mogłyby ją oślepić. Zanim w dniu A+0.17 na Izzy pojawiło się pięcioro nowych przybyszów, roboty zdążyły zniknąć za zakrętem wydrążonego przez siebie tunelu. Stały się niewidoczne dla wszechświata. Promieniowanie kosmiczne rozchodziło się po liniach prostych, podobnie jak światło, i nie było w stanie sięgnąć w głąb tego tuneliku.

Dinah kazała im wydrążyć zagłębienie w ścianie tunelu: wnękę magazynową. Zapakowała wszystkie zapasowe układy scalone i komputerowe płytki drukowane w jedno zawiniątko – całkiem

nieduże, wzięwszy pod uwagę moc obliczeniową współczesnych skalaków: miało w przybliżeniu sześcienny kształt i mieściło się jej w dłoni. W normalnych okolicznościach byłby to fatalny pomysł: wystarczyłaby jedna celna dawka promieniowania, żeby zamordować wszystkie układy za jednym zamachem.

Dinah przekazała zawiniątko ośmionogiemu robotowi, po czym wypuściła go ze śluzy i skierowała w głąb tunelu. Patrząc okiem jego kamery i manipulując dłonią w inforekawicy podłączonej do jego chwytnych ramion, wprowadziła go do niszy, a następnie rozpostarła i usztywniła wszystkie chwytaki, żeby nie wyfrunął z zagłębienia. Jej tranzystory były bezpieczne.

Rhys obserwował ją przy pracy. Przebywał na Izzy od pięciu godzin i tak go mdliło, że nie mógł robić nic innego, jak tylko leżeć całkowicie nieruchomo. Dinah, u której w warsztacie było pod dostatkiem obejm, zacisków, krokodylków i innych użytecznych przyborów, pomogła mu unieruchomić głowę pomiędzy dwiema rurkami, dla większej wygody obłożywszy je pianką. Zostawiła mu zapas torebek foliowych i wróciła do swoich zajęć.

– Jak nazywasz ten rodzaj? – spytał.

– Krabochwył.

– Fajna nazwa. Tak mi się wydaje.

– Taka konstrukcja sama się narzuca, jeżeli robot ma się poruszać po powierzchni asteroidy. Każda noga ma na końcu elektromagnes, dzięki któremu przylega do Amalthei składającej się głównie z żelaza. Kiedy chce przestawić odnóże, po prostu wyłącza elektromagnes.

– Na pewno już wcześniej przyszło ci to do głowy – zaczął ostrożnie Rhys – ale mogłabyś w ten sposób wydrążyć całą asteroidę. Stworzyć zamknięte środowisko, może nawet napełnić je powietrzem...

Dinah pokiwała głową. Była zajęta przestawianiem kolejnych odnóży krabochwyta; chciała mieć pewność, że wszystkie przylegają do ścian wnęki. Byłby wstyd, gdyby wszystkie jej witaminy wyfrunęły i przepadły bez śladu.

– Rozmawialiśmy o tym. Konsultowałam się z mniej więcej ośmioma tysiącami inżynierów, którzy na Ziemi analizują ten problem.

– Nie zakładałam, że miałabyś się tym zajmować w pojedynkę.

– Ograniczeniem jest gaz roboczy. Przecinaki plazmowe mają

ogromną moc, ale wymagają stałego przepływu gazu. Prawie każdy gaz się do tego nadaje. Sęk w tym, że gazy przemysłowe są na orbicie towarem rzadkim i cennym, a na dodatek mają denerwujący zwyczaj ulatniania się w próżnię.

– Ale gdyby roboty drążyły asteroidę od środka, zamiast pracować na jej powierzchni...

– Otóż to. Można wtedy uszczelnić wewnątrz, wychwytywać wykorzystany gaz i używać go ponownie.

– Krótko mówiąc, jesteś dobre parę kroków przede mną.

Górną część twarzy Dinah przesłaniał kask interfejsu rzeczywistości wirtualnej, dolna jednak rozpromieniła się w uśmiechu.

– Na tym właśnie polega problem z eksploracją kosmosu. Interesuje się nią taka masa inteligentnych ludzi, że trudno jest wymyślić coś naprawdę nowego.

Wykorzystała przerwę w rozmowie na przełączenie się na innego robota i wprowadzenie go do tunelu.

– Kiedy tak ledwie zauważalnie poruszam gałkami ocznymi, dostrzegam jeszcze co najmniej trzy inne stwory w twoim bestiariuszu.

– Żmijka to zmodyfikowany robot do eksploracji zawalonych budynków, który z kolei był w oczywisty sposób inspirowany kształtem i ruchami węża.

– W takim razie już wiem, skąd ta nazwa.

– Właśnie. Elektromagnesy oplatają ciało żmijki podwójną helisą. Włączając je i wyłączając w odpowiednim rytmie, żmijka może jakby przetaczać się na skos po powierzchni i zużywa przy tym minimum energii.

– To coś, co wygląda jak fuleren, stosuje chyba podobny trik, nie?

– Z nazwą też trafiłeś: faktycznie nazywamy je fulerenami. Ściśle rzecz biorąc, mamy tu do czynienia z...

– Tensegralnością.

Dinah poczuła, że się rumieni.

– No tak, przecież ty to wszystko wiesz. Wracając do rzeczy: fuleren jest duży i w przybliżeniu kulisty, dzięki czemu może się toczyć w dowolnym kierunku, odpowiednio przełączając elektromagnesy oraz wydłużając lub skracaając wsporniki. Jego mózg znajduje się w tej zawieszony w środku kapsułce.

– Krabochwyty, żmijki i fulereny. A jak nazywacie te najmniejsze?

– Gzy. To nasza próba stworzenia roju. Taka... chałturka Liny. Na razie eksperymentujemy, ale idea jest taka, żeby mogły się ze sobą łączyć w miarę potrzeb, tak jak mrówki tworzące wielką mrówczą kulę, żeby sforsować rzekę. Pewnie wydaje ci się to wszystko strasznie dziwaczne. To nie jest normalna inżynieria.

– A ja nie jestem normalnym inżynierem. Od dawna zajmuję się biomimetyką, czyli dokładnie tym samym, czym wy tutaj. Tylko że ja buduję nieruchome konstrukcje.

– Rozumiem. Czyli wiesz, czym to się je.

Dinah zdjęła gogle, przez które oglądała (w trzech wymiarach) obraz z punktu widzenia krabochwyta. Drugi robot, żmijka, przyczał się za nim w tunelu, uniósł łeb jak kobra i wycełował w krabochwyta swoją lampę i kamerę. Dinah wpatrzona w płaski monitor kazała żmijce przemieszczać kamerę to w jedną stronę, to w drugą; musiała mieć pewność, że zapasowe scalaki są bezpieczne.

– Owszem – przytaknął Rhys. – Nie zamierzam ci mówić, jak masz wykonywać swoją pracę – dodał po chwili – ale na pewno wiesz, co robią kraby-pustelniki?

Chwilę trwało, zanim Dinah sięgnęła do właściwych zasobów pamięci. Nie przepadała za plażowaniem.

– Chronią się w porzuconych przez inne kraby muszlach.

– Nie przez inne kraby, tylko przez mięczaki. Ale poza tym tak, o to mi właśnie chodziło.

Dinah przetrwała te słowa i odwróciła się do niego. Był trochę mniej spocony i zielony na twarzy niż wcześniej.

– Chyba wiem, do czego zmierzasz...

– To nie wszystko. Pomyśl o otwornicach.

– A co to jest?

– Największe jednokomórkowe organizmy na świecie. Żyją pod lodem antarktycznym. Kiedy rosną, wyłapują z otoczenia ziarenka piasku i lepią z nich sobie twarde zewnętrzne skorupki.

– Jak Ben Grimm?

Dinah nie spodziewała się, że Rhys zareaguje na rzuconą mimochodem aluzję do komiksowego bohatera, opancerzonego członka Fantastycznej Czwórki, ale on natychmiast odrzekł:

– Otóż to, on też padł ofiarą promieniowania kosmicznego. Tyle że otwornice nie są takie wyobcowane i nie użalają się nad sobą.

– Zawsze chciałam mieć skórę jak Thing.

– Ta, którą dał ci Bóg, znacznie lepiej ci pasuje. Jeśli jednak chcesz osłonić swoje roboty przed promieniowaniem kosmicznym, nie ograniczając im przy tym swobody ruchu...

– Chyba się zakochałam.

Rhys przytknął do ust torebkę foliową i zwymiotował.

* * *

Jak powiedzieć światu, że wkrótce umrze? Doob się cieszył, że nie musi przekazywać tej wiadomości. Jego rola ograniczała się do stania za plecami prezydent Stanów Zjednoczonych, gdzie z marsową miną (która przychodziła mu bez trudu) wraz z innymi wybitnymi naukowcami stanowił posępne jak Mount Rushmore tło dla tworzących półokrąg światowych przywódców. JBF wygłaszała orędzie, wspomagając się teleprompterem, a on wpatrywał się w tył jej głowy. Miejsca po jej bokach zajęli prezydenci Chin i Indii, mówiący równocześnie to samo w dialekcie mandaryńskim i w hindi. Bliżej skrzydeł półokręgu stali premierzy Japonii, Wielkiej Brytanii, Francji oraz Hiszpanii (ten ostatni reprezentował nie tylko swój kraj, lecz także – *per procura* – większość Ameryki Łacińskiej); kanclerz Niemiec; prezydenci Nigerii, Rosji i Egiptu; papież; najważniejsi imamowie reprezentujący główne odłamy islamu; rabin; oraz lama. Orędzie było wygłaszane symultanicznie, żeby jak najwięcej ludzi mogło usłyszeć je równocześnie, zamiast czekać na tłumaczenie.

Gdyby jednak zadanie to przypadło w udziale doktorowi Dubois Jerome'owi Xavierowi Harrisowi, ująłby to mniej więcej następująco: Każdy kiedyś umiera. Z siedmiu miliardów ludzi, którzy dziś zamieszkują Ziemię, prawie wszyscy będą martwi za sto lat, a większość znacznie wcześniej. Nikt nie chce umierać, ale godzimy się z myślą, że śmierć prędzej czy później po nas przyjdzie.

Ktoś, kto za dwa lata padnie ofiarą Kamiennego Deszczu, będzie tak samo martwy, jakby za siedemnaście lat zginął w wypadku

samochodowym. Jedyne, co się zmieniło, to to, że wszyscy znali teraz przybliżony czas swojej śmierci i sposób, w jaki zginą. Dzięki temu mogli się przygotować – jedni wewnątrz, poprzez pojednanie z Bogiem, inni musieli się zadowolić przekazaniem swojej spuścizny przyszłym pokoleniom.

I tu dopiero robiło się naprawdę ciekawie, ponieważ było wiadomo, że żaden z tradycyjnych conceptów dziedziczenia nie sprawdzi się w obliczu Kamiennego Deszczu. Nie było sensu spisywać testamentu, kiedy cały majątek miał zostać unicestwiony razem z właścicielem i potencjalnymi spadkobiercami.

Dlatego spuścizną ludzkości miały stać się przyszłe dokonania mieszkańców Arki w Chmurze, osiągnięte w ciągu stuleci i mileniów. Arka była absolutnie najważniejsza.

Na miejsce spotkania wybrano Jezioro Kraterowe w Oregonie. Departament Stanu zarekwirował rustykalny hotel wzniesiony na krawędzi krateru, zwiózł samolotami dygnitarzy, a okoliczne parkingi i pola namiotowe zasypał lawiną pojazdów ochrony, mediów i obsługi. W tej właśnie chwili na autostradzie komandosi zawracali rozczarowanych urlopowiczów, tłumacząc im, że park jest zamknięty, i doradzając, by włączyli radia i posłuchali wiadomości, jeżeli chcą poznać prawdę i spojrzeć na zakłócenie swoich planów wakacyjnych z szerszej perspektywy.

Dzień był pogodny, co w tym wypadku oznaczało – zimny. Jezioro w kraterze miało najczystszy odcień błękitu, jaki Doob w życiu widział; niebo było o ton jaśniejsze. Stali zwrócenii do niego plecami podczas odczytywania orędzia, bo jakiś geniusz polityczny w sztabie pani prezydent taką właśnie wymyślił scenografię. Kamery umieszczono wyżej, na rusztowaniu, z którego patrzyły w dół, mieszcząc w kadrze jezioro, rzadko porośniętą drzewami Wizard Island i ośnieżoną krawędź krateru. Przekaz był oczywisty dla każdego, kto tylko chciał go odczytać: od sześciu do ośmiu tysięcy lat temu w tym miejscu doszło do niewyobrażalnej katastrofy, ocalali z niej ludzie przechowali pamięć o niej w legendach o apokaliptycznej wojnie między bogami nieba i świata podziemnego – a dziś było to piękne miejsce. Prezydent USA i niektórzy inni przywódcy wplekli ten właśnie wątek w swoje przemówienia. Doob i towarzyszący mu naukowcy (profesorowie

najlepszych uczelni z całego świata) nie słyszeli, co mówią grube ryby: politycy wysyłali swoje słowa w świat i wiejący wśród skał i drzew wiatr natychmiast porywał i unosił płynące z ich ust dźwięki. Stojący cztery metry za plecami pani prezydent Doob patrzył, jak wiatr tarmosi jej włosy. Przed Dniem Zero dużo się mówiło o jej włosach; wtedy jeszcze komentatorzy świata mody i polityki uważali takie sprawy za naprawdę istotne. Proste, opadające do ramion, miały kolor ciemnoblonde i pierwsze srebrne pasemka. W wieku czterdziestu dwóch lat JBF została najmłodszym prezydentem w historii USA; JFK, obejmując urząd, był od niej o rok starszy. Jej flirt z polityką zaczął się podczas studiów w Berkeley, potem jednak zrobiła MBA i najpierw związała się z konsultingiem na najwyższym poziomie, a następnie trafiła do prężnej, lecz zmagającej się z kłopotami firemki technologicznej z Los Angeles. Pod jej kierownictwem firma stanęła na nogi, wkrótce potem została wykupiona przez Google, a JBF stała się kobietą naprawdę bogatą. Wyszła za starszego o dziesięć lat byłego aktora, a obecnie producenta filmowego, którego poznała na przyjęciu w Malibu, zaangażowanego w różne spory polityczne po tym, jak wyprodukował sporo zaangażowanych dokumentów i thrillerów z wyraźnym podtekstem politycznym. Roberto – bo tak miał na imię – był Latynosem, wywodzącym się z rodziny prześladowanej przez Castro, i politycznym kameleonem, łączącym libertarianizm z populizmem w sposób, który intrygował obie strony, a przy tym nie odpychał nikogo poza najbardziej skrajnymi ekstremistami. Uchodziło mu to płazem, ponieważ był przystojny, uroczy i – jak sam przyznawał bez cienia zakłopotania – za mało odczytany, żeby rozgryźć wszystkie wątpliwości.

Ustatkowawszy się w ten sposób w rodzinnym stadle i podjąwszy kontrowersyjną decyzję o pozostaniu przy panieńskim nazwisku, Julia Bliss Flaherty znów wzięła na cel politykę. O włos przegrała kalifornijską kampanię wyborczą do senatu; w dniu wyborów była w zaawansowanej ciąży, a niewiele później urodziła dziecko z zespołem Downa i stała się żywym testem Rorschacha dla oponentów w sporach o badania prenatalne i selektywną aborcję. Uczestnicząc w licznych talk-show i dyskutując na te i pokrewne tematy, zwróciła na siebie uwagę polityków z obu stron barykady i podczas najbliższej kampanii prezydenckiej znalazła się w dość niezwykłej sytuacji, obie bowiem

główne partie widziały w niej jednego z kandydatów do objęcia urzędu wiceprezydenta. Ona jednak pozostała wierna centrowym poglądom; niejednoznaczność jej politycznych deklaracji przysparzała demokratom zwolenników na prawej stronie sceny politycznej, republikanom zaś na lewej. Nikt się nie spodziewał, że ostatecznie wyładuje w Gabinetcie Ovalnym; w dzisiejszych czasach nikt na serio nie oczekuje, że wiceprezydent zrobi tego rodzaju karierę. Tymczasem skandal, który zmiotł prezydenta po niespełna dziesięciu miesiącach urzędowania, wyniósł ją do godności prezydenckiej. Tym sposobem jej fryzura stała się oficjalnym tematem uczonych dysertacji prasowych, z których większość skupiała się na tych srebrzystych pasemkach: naturalne czy farbowane? Jeżeli naturalne, to czemu nie chciała się ich pozbyć? Przecież istniała ku temu stosowna technologia. Jeśli zaś się farbowała, to czy nie był to z jej strony przejaw cwaniactwa, mający jej zapewnić dojrzały, poważniejszy wygląd? I czy we współczesnym społeczeństwie kobieta musi wyglądać jak dostojna matrona, żeby zasłużyć na poważne traktowanie?

Doob był praktycznie pewien, że po dzisiejszym przemówieniu JBF nikt już nie będzie publikował tego rodzaju artykułów. Prawdę mówiąc, odczuwał zrozumiałe zawstydzenie faktem, że w taki dzień w ogóle zwraca uwagę na włosy pani prezydent.

Tak jednak działa ludzki umysł. Nie jest w stanie bez przerwy myśleć o końcu świata. Czasem potrzebuje przerwy, flirtu z błahostkami, ponieważ to właśnie poprzez błahostki jest zakotwiczony w rzeczywistości – tak jak nawet najpotężniejszy dąb jest osadzony w ziemi poprzez układ korzonków nie grubszych niż siwe włosy na głowie pani prezydent.

Wszystkie orędzia rozpoczęły się o tej samej porze, niektóre z nich trwały jednak dłużej niż inne. Imamowie i papież płynnie przeszli od przemówienia do modlitwy. Prezydent USA i inni świeccy przywódcy po zakończeniu wystąpienia jeszcze przez chwilę stali niezręcznie przy mikrofonach, aż w końcu zaczęli się rozchodzić, opatulani przez asystentów obszernymi, ciepłymi płaszczami. Doob i reszta naukowców – stanowiący element tła w nie mniejszym stopniu niż jezioro w kalderze – musieli wytrwać na swoim miejscu do zakończenia modłów.

Przyszło mu na myśl, że mógłby tu przyjechać z Amelią i stąd obserwować rozwój wydarzeń. To byłby piękny punkt do obserwacji Białego Nieba i początku Kamiennego Deszczu. Podczas orędzia dostrzegł ognisty ślad jednego bolidu, który przeciął niebo na południu; krechę białego ognia tak jaskrawą, że wypaliła mu wolno blednący niebieski powidok pod powiekami. Pod koniec bryła rozpadła się na dwie, a potem na pięć, nim wszystkie zniknęły za widnokretem. Była zbyt daleko, żeby poczuł bijący od niej żar, ale ludzie, którym zdarzało się znaleźć bliżej spadających od niedawna meteorytów, twierdzili, że ciepło jest wyraźnie wyczuwalne – choć zarazem nadzwyczaj ulotne, ponieważ bolidy pędziły z prędkością ponaddźwiękową. Kiedy jednak Kamienny Deszcz rozpęta się na dobre, ogniste ślady będą coraz gęściej cięły niebo, aż utworzą litą półkulę rozpaloną do białości. Wówczas nawet ci szczęśliwcy (o ile to słowo było w tym przypadku na miejscu), którzy unikną bezpośredniego trafienia odłamkiem Księżyca, będą zmuszeni poszukać jakiejś osłony – najlepiej krytej blachą, żeby odbijała ciepło i sama była niepalna. W ten sposób zyskają nieco czasu, lecz wkrótce rozgrzane powietrze stanie się niezdadne do oddychania. Doob zastanawiał się, w którym momencie podczas tych wydarzeń powinien odebrać sobie życie.

Upłynęły trzy tygodnie i jeden dzień od rozpadu Księżyca; dwanaście dni, odkąd Doob nabrał przeświadczenia, że Ziemię czeka Kamienny Deszcz. Był poniekąd zaskoczony, że przywódcy światowi zareagowali tak szybko, ale do reakcji zmusiły ich rozchodzące się plotki. Astronomowie, którzy na całym świecie dokonali tych samych obliczeń, nawykli do pracy przy podniesionej kurtynie i dzielenia się swoimi pomysłami na forach dyskusyjnych. Każdy, kto naprawdę chciał wiedzieć i miał dostęp do Internetu, mógł już przed tygodniem usłyszeć o Kamiennym Deszczu. Dlatego – jak domyślał się Doob – prezydent i pozostali dygnitarze woleli mieć sprawę szybko z głowy, żeby móc bez przeszkód skoncentrować się na budowie Arki w Chmurze. A także po to, by dać mieszkańcom Ziemi jakieś zajęcie, wybór, możliwość działania, co przyniesie jakieś skutki (wymagane lub nie). Oczywiście na Kamienny Deszcz nikt nie mógł nic poradzić, a bardzo niewielu ludzi mogło wnieść swój wkład w budowę Arki – liczba specjalistów od spacerów kosmicznych i budowy rakiet była

ograniczona i wszyscy zostali już zmobilizowani. Były jednak i takie rzeczy, poprzez które każdy mógł przyczynić się do powodzenia misji Arki w Chmurze, a zatem stać się częścią spuścizny, która zostanie poniesiona do gwiazd.

Po zakończeniu orędzi i modłów przy środkowym pulpicie, zza którego przed chwilą przemawiała pani prezydent, zebrało się troje ludzi. Mieli przemawiać po angielsku, a ich słowa miały zostać przełożone na tyle języków, ilu tłumaczy udało się skaptować organizatorom. Pierwsza na podwyższeniu znalazła się Mary Bulinski, sekretarz zasobów wewnętrznych USA, żwawa sześćdziesięciolatka, z wykształcenia biolog, z zamiłowania zaś niezmordowana turystka i alpinistka. Obok niej stanęła bardzo wysoka Celani Mbangwa, powszechnie poważana artystka z Afryki Południowej. Towarzyszył im Clarence Crouch, genetyk-noblista z Cambridge, chodzący o lasce od czasu, gdy własne geny spletały mu brzydkiego psikusia i przyprawiły go o raka okrężnicy. Doktor Moira Crewe, jedna z jego współpracownic, pomagała mu poruszać się po kamienistym gruncie. Po tym, jak dziesięć lat temu jego żona popełniła samobójstwo, tylko praca w King's College trzymała go przy życiu.

Przewidywany rozwój wypadków przedstawiono gościom z kilkudniowym wyprzedzeniem, żeby zdążyli otrząsnąć się z szoku i byli w stanie wystąpić w telewizji. Zwieziono ich wszystkich do Oregonu i rozlokowano w przytulnych pokojach w hotelu na krawędzi kaldery. Na dole, w sali konferencyjnej, zjeżdżający się z całego świata naukowcy urządzili coś w rodzaju narady wojennej, żeby przedyskutować, co dokładnie powinni powiedzieć Mary, Celani i Clarence, ich wypowiedź powinna bowiem mieć kluczowe znaczenie. Nikt nie spodziewał się chaosu i wybuchu masowej paniki; owszem, było wiadomo, że nie da się ich całkowicie uniknąć, ale miliardy ludzi będą chciały się przede wszystkim dowiedzieć, w jaki sposób mogą być użyteczne – i należało im udzielić jakiejś odpowiedzi.

Dlatego nie miało znaczenia, że Mary, Celani i Clarence stoją tyłem do Dooba, a zimny wiatr unosi ich słowa, bo Doob doskonale wiedział, co powiedzą. Sto razy czytał tekst ich wystąpienia.

Mary miała mówić o tym, jak Arka w Chmurze przechowa – głównie w postaci cyfrowej – genetyczną spuściznę ziemskich ekosystemów. Nie

mogli ani wysłać żyraf w kosmos, ani – tym bardziej – utrzymać ich tam przy życiu, mogli jednak przechować próbki ich tkanek; przestrzeń kosmiczna to całkiem skuteczna lodówka. Co jeszcze lepsze, strukturę DNA można było zarejestrować poprzez wprowadzenie próbek do automatycznych sekwencjonatorów, które rozbierają włókna DNA na pary podstawowe i zapisują ich układ w postaci cyfrowej, łatwej do archiwizacji i odtworzenia. Na pokładzie Arki miały zostać zainstalowane specjalne maszyny, które będą potrafiły odczytać te ciągi cyfr, przemienić je na powrót w działające DNA i wprowadzić do żywych komórek. Dzięki temu w przyszłości – być może za tysiące lat od teraz – będzie można z surowej materii odtworzyć żyrafy, sekwoje i wieloryby. Jak mógł w tym pomóc zwykły szary człowiek? Poprzez zbieranie próbek żywych organizmów w swoim środowisku oraz robienie zdjęć opatrzonych współrzędnymi GPS, a następnie przesyłanie ich – bez opłat – pod wskazane adresy.

W pewnym sensie Mary przypadło w udziale najbardziej niewdzięczne zadanie, ponieważ nie mogła nie wiedzieć, że ta część planu jest absolutną bzdurą. Biolodzy dawno już zgromadzili wszystkie istotne próbki; wszystkie kwiatki, czaszki szopów praczy, ptasie piórka, patyki i ślimaki przysyłane przez skore do pomocy dzieciaki zostaną zniszczone. Wszystkie dostępne sekwencjonatory DNA pracowały już pełną parą i bez chwili przerwy, podobnie jak maszyny, które je wytwarzały. Niemniej jednak Mary przemawiała całkiem przekonująco – tak przynajmniej wnioskował Doob z jej sylwetki i ruchów głowy, gdy czytała z telepromptera.

Celani miała za zadanie przekonać mieszkańców całego świata, że mogą mieć swój wkład w literackie, artystyczne i duchowe dziedzictwo ludzkości, które przetrwa po ich śmierci. Trwała już archiwizacja wszystkich książek i stron internetowych; teraz chodziło o to, żeby ludzie pisali opowiadania i wiersze, rysowali albo po prostu robili sobie zdjęcia i kręcili filmy, które w przyszłości będą mogli oglądać dalecy potomkowie pionierów z Arki w Chmurze. Coś takiego można ludziom łatwiej wytłumaczyć – sprawa była prosta i zupełnie uczciwa, a zarchiwizowanie i wysłanie w przestrzeń tysięcy plików cyfrowych również nie nastęrczało problemów.

Clarence, który wystąpił ostatni, musiał wdać się w dłuższe

wyjaśnienia.

Doob znalazł jego przemówienie na pamięć. Długo się zastanawiali, jak to ująć w słowa, Clarence jednak zdecydowanie skłaniał się ku biblijnym metaforom, które przychodziły mu naturalnie.

– Nadszedł czas wielkiego Rozdzielenia Losów – obwieścił. – Pan raczył zaludnić Ziemię ludźmi wielu odmian i kolorów. Dziś na naszych ramionach spoczęło brzemie, jakie niegdyś przyszło dźwigać Noemu, i podobnie jak on, my również musimy zaludnić naszą Arkę w sposób odzwierciedlający różnorodność otaczającego nas życia. Mary Bulinski wyjaśniła już, w jaki sposób ocalimy rośliny, zwierzęta i inne formy życia: nie będziemy, jak Noe, wprowadzać ich po parze na Arkę; nie wystarczyłoby dla nich miejsca i nie byłoby jak utrzymać ich przy życiu. Dlatego w wypadku roślin i zwierząt musimy się uciec do innego sposobu. Co innego ludzie. Ludzie będą nam potrzebni, ponieważ Arka nie jest w pełni zautomatyzowana i będzie wymagała pomysłowości i elastyczności ludzkich umysłów. Dlatego ją zasiedlimy. Zaczniemy od astronautów, kosmonautów, wojskowych i naukowców, których umiejętności będą najbardziej przydatne. Ich liczba jest jednak skończona, a na dodatek wywodzą się oni z nader ograniczonej puli mieszkańców naszego globu.

Ta właśnie kwestia – ilu? – prześladowała ich od samego początku. Ilu ludzi można wysłać w kosmos w ciągu dwóch lat, zakładając, że fabryki rakiet będą pracowały pełną parą, bez przesadnego oglądania się na procedury bezpieczeństwa? Tę liczbę szacowano różnie, od kilkuset do dziesiątków tysięcy, a więc wyliczenia potrafiły się różnić nawet o dwa rzędy wielkości – czyli w gruncie rzeczy nikt nic nie wiedział. Poza tym co innego wystrzelić ludzi na orbitę, a co innego zapewnić im tam warunki do życia. Najbardziej przekonujące rachunki, na jakie natknął się Doob, mieściły się w przedziale od pięciuset do tysiąca. Jednakże z przemówienia Clarence’a starannie wycięli wszelkie konkrety, a nawet sugestie odnośnie do ostatecznej liczby.

– Prosimy każdą wioskę, miasteczko i metropolię, by dokonały Rozdzielenia Losów i wybrały ze swego grona dwoje młodych ludzi, chłopca i dziewczynę, którzy przejdą odpowiednie szkolenie kandydackie, by móc zostać zaliczonymi w poczet załogi Arki w Chmurze. Nie zamierzamy narzucać żadnych reguł ani procedur

losowania. Naszym jedynym celem jest zachowanie, w możliwie największym stopniu, genetycznej i kulturalnej różnorodności rodzaju ludzkiego. Wierzymy, że wytypowani przez was kandydaci będą ucieleśnieniem najlepszych cech społeczności, z których pochodzą.

Oświadczenie Clarence'a zawierało subtelne samozaprzeczenie: z jednej strony zapowiedział, że nikt nie będzie narzucał żadnych reguł, z drugiej zaś wskazał przecież, że wybrańcy każdej społeczności mają być różnej płci. Doskonale wiedzieli, że niektóre kultury będą miały poważny kłopot z wyłonieniem takich par.

– Wybrani w ten sposób dziewczęta i chłopcy – mówił dalej – zostaną zgromadzeni w tworzących sieć obozach, gdzie przygotowują się do czekającej ich misji i skąd następnie zostaną przetransportowani na Arkę, gdy tylko znajdzie się tam dla nich miejsce.

Mając świadomość, że może być uchwycony w kadr którejś z kamer, Doob robił, co w jego mocy, żeby zachować pokerowy wyraz twarzy. Ściśle rzecz biorąc, Clarence nie kłamał – ale też nie mówił całej prawdy. Ile chłopców i dziewcząt trafi do tych obozów? Znacznie więcej, niż można by przewieźć i pomieścić w jakimkolwiek statku kosmicznym. A ile z nich da się wyszkolić w taki sposób, żeby faktycznie byli przydatni?

W rzeczywistości cały proces będzie znacznie bardziej selektywny, niż to przedstawił. Tylko część z tych, którym dopisze szczęście w Rozdzieleniu Losów, mogła liczyć na przerzut do obozów; przedstawiciele rzadkich lub wyraźnie odrębnych grup etnicznych mieli zapewne lekką przewagę w tym względzie. Kiedy trafią do obozu, zaczną do nich docierać, że bynajmniej nie wszyscy zdążą polecieć w kosmos przed rozpoczęciem Kamiennego Deszczu. Zaczną konkurować o miejsca na Arce, a konkurencja ta mogła przybrać brutalne formy. Doob wolał o tym nie myśleć.

Po raz tysięczny w ciągu ostatnich trzech tygodni pomyślał o tym, jak dziwnie czasem pracuje ludzki umysł. Fakt, że sytuacja w obozach szkoleniowych może się zrobić nieprzyjemna, nie miał absolutnie żadnego znaczenia – a mimo to myśl o okrucieństwach, jakich mogliby się dopuszczać ci młodzi ludzie, niepokoiła go bardziej niż fakt, że znakomita większość z nich i tak umrze.

W jednym z hotelowych okien drgnęła firanka: podniósłszy wzrok,

Doob dostrzegł Amelię, która patrzyła na niego ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i łokciami opartymi o parapet. Nie chciała wychodzić z pokoju, który od trzech dni zajmowali; wolała oglądać całe wydarzenie w telewizji, żeby później mu powiedzieć, jak wypadło i jak przedstawili je spikerzy i komentatorzy.

W tym tygodniu przypadła Święto Dziękczynienia. Nie było szkoły. We środę Amelia przyleciała do Eugene, wypożyczyła samochód i przyjechała tutaj, żeby przy nim być.

Obsługa hotelowa – wciąż jeszcze nieświadoma nadchodzących wydarzeń – w czwartek tradycyjnie podała na obiad indyka. Naukowcy, politycy i wojskowi, którzy zjechali się tu ze wszystkich stron, żeby dyskutować o zbliżającym się końcu świata, starali się podkreślić komizm tej sytuacji. Doob naprawdę był w dziękczynnym nastroju; był wdzięczny Amelii, że przyjechała spędzić z nim czas; że pojawiła się w jego życiu dokładnie w momencie, w którym kogoś potrzebował.

Siódmego dnia, kiedy w jednej chwili poznał Amelię i się w niej zakochał, czuł się cokolwiek głupio. Nie rozumiał, co się dzieje w jego mózgu, że ten postanowił zareagować w taki właśnie sposób. Amelia dała mu jednak do zrozumienia – w typowy dla nauczycielki szkoły podstawowej stosowny i stanowczy sposób – że odwzajemnia jego zainteresowanie. Szkoła, w której uczyła, znajdowała się niespełna milę od kampusu Caltechu, zaczęli więc spotykać się na szybkich kolacjach, po których ona wracała do domu i oceniała klasówki, a on wracał do pracy i od nowa przeliczał wykładniczy rozwój Białego Nieba. Z trudem ogarniał rozdźwięk pomiędzy nową miłością i narastającą świadomością tego, co nieuchronne. Codziennie rano cieszył się krótką chwilą po przebudzeniu, zanim jego umysł w niekontrolowany sposób przeskoczył na jeden z tych dwóch tematów.

Po powrocie z Camp David i telekonferencji, na której przedstawiono problem załódze Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, zapytała, co go trapi. Powiedział jej. To była pierwsza noc, którą spędzili razem, ale musiały minąć cztery takie noce, zanim odkrył, że jest w stanie uprawiać seks. Nie chodziło nawet o nieunikniony kataklizm. Katastrofy potrafią być seksowne; często miewał niesamowite przygody erotyczne w drodze na pogrzeb kogoś z bliskich. Tym, co go przytłaczało i przyprawiało o tymczasową impotencję, były stres i niepokój związane

z perspektywą objaśniania zagrożenia każdemu człowiekowi z osobna.

Ten problem został rozwiązany. Teraz już wszyscy wiedzieli.

Na zakończenie swojej wypowiedzi Clarence wygłosił kilka natchnionych uwag o młodych mężczyznach i kobietach, którzy znajdą bezpieczne schronienie na Arce w Chmurze i stworzą w kosmosie nową cywilizację, opartą na genetycznym dziedzictwie ludzkości. Zamrożone plemniki, komórki jajowe i embriony również trafią na Arkę, dzięki czemu wszyscy ci, którzy zostaną skazani na śmierć na Ziemi, będą mogli pocieszać się nadzieją, że pewnego dnia ich potomstwo – urodzone i wychowane w koloniach orbitalnych – będzie mogło poznać swoich nieżyjących przodków poprzez zachowane w postaci cyfrowej listy, zdjęcia i filmy. Zdaniem Dooba ta końcówka była wysilona, doklejona wyłącznie po to, by dać ludziom cień nadziei – z drugiej strony zdawał sobie doskonale sprawę, że w pewnym sensie taki właśnie jest najważniejszy przekaz płynący z dzisiejszych przemówień. Całość komunikatu była wstrząsająco ponura, nazbyt wstrząsająca dla zmysłów przeciętnego człowieka. Spikerzy programów informacyjnych zostali zapoznani z jego treścią dzień wcześniej (i zobowiązani do bezwzględnego dochowania tajemnicy), żeby mogli się z nim oswoić i nie rozkleić na wizji, gdy przyjdzie im przekazać go widzom. Obwieszczenie musiało kończyć się jakąś brzytwą, której tonący mógłby się chwycić. Przemówienie wiekowego, łagodnego profesora uniwersytetu w Cambridge, który – zżerany rakiem – opowiadał słowami z Biblii króla Jakuba o nowym podniebnym świecie zasiedlanym przez dzieci zmarłych Ziemiaków czczące GIF-y i JPG-i swoich przodków, był najlepszym źródłem otuchy, na jakie ktokolwiek mógł dzisiaj liczyć. Clarence musiał sprzedać tę historię widzom – i to właśnie zrobił. Teraz Doob i inni naukowcy zaangażowani w projekt Arki w Chmurze, a także najważniejsi światowi politycy, wojskowi i biznesmeni musieli wcielić tę wizję w życie.

Moira Brewe i Mary Bulinski wzięły Clarence'a pod ramiona i pomogły mu zejść z podwyższenia na skraj krateru, gdzie zebrała się garstka wstrząśniętych dziennikarzy, chcąc zadać mu jeszcze parę pytań. Poza tym jednak okolica opustoszała, nie było normalnego w takich okolicznościach gwaru po konferencji prasowej, większość sieci telewizyjnych od razu oddała głos do studia.

Doob znów spojrzał do góry. Amelia odgarnęła włosy za ucho i odsunęła się od okna. Na sztywnych z zimna nogach wrócił do hotelu. Myślał o tych pomrożonych plemnikach i jajeczkach: jak długo uda się je przechowywać? Było wiadomo, że komórki rozrodcze można rozmrozić i użyć do spłodzenia zdrowych dzieci nawet po dwudziestu latach, ale promieniowanie kosmiczne mogło skomplikować te rachuby. Pojedynczy promień mógł uszkodzić kilka komórek w ludzkim ciele, ale ciało miało całą masę komórek zapasowych. A kiedy ten sam promień przeszyje jednokomórkowy plemnik lub jajeczko, nieodwracalnie je zniszczy.

Każdy mężczyzna na Ziemi mógł ejakulować do próbki, a każda kobieta mogła poddać się znacznie bardziej skomplikowanemu procesowi pobrania komórek jajowych, po czym z komórek dawców można było stworzyć miliony zarodków, które następnie zostałyby zamrożone – ale wszystko to i tak nie miałyby żadnego znaczenia, dopóki nie znajdzie się odpowiedniej liczby młodych zdrowych kobiet, gotowych przyjąć te dary do swojego łona, gdzie mogłyby spokojnie dojrzewać przez następne dziewięć miesięcy. Z biegiem czasu populacja będzie rosła i po czternastu, piętnastu latach doczeka się pierwszego nowego pokolenia – ujmując rzecz brutalnie – gotowych do pracy macic. Na drugie pokolenie przyjdzie poczekać kolejne piętnaście lat. A do tego czasu wiele z zamrożonych próbek, z którymi Ziemianie wiązali wszelkie swoje nadzieje, będzie już przeterminowanych.

Obsada Arki w Chmurze będzie musiała składać się w większości z kobiet.

Zresztą poza prostymi prawami rozrodu były ku temu także inne powody. Wyniki badań nad długotrwałym przebywaniem w kosmosie sugerowały, że kobiety są mniej podatne na wpływ promieniowania. Statystycznie rzecz biorąc, były także mniejsze od mężczyzn, a więc zajmowały mniej miejsca i potrzebowały mniej powietrza i żywności, socjologowie wskazywali zaś, że lepiej niż mężczyźni radzą sobie z długotrwałym zamknięciem w ograniczonej przestrzeni. To ostatnie stwierdzenie budziło pewne kontrowersje, zwłaszcza że zahaczało o takie delikatne tematy jak przeciwstawienie cech wrodzonych cechom nabytym oraz kwestię tego, czy tożsamość płciowa jest konstruktem społecznym, czy wynikiem genetycznego zaprogramowania. Jeżeli

jednak przyjąć, że darwinowski dobór naturalny predestynuje chłopców do biegania po sawannie i rzucania dzidami w dzikie zwierzęta (a taką możliwość musiał poważnie brać pod uwagę każdy rodzic, który wychowywał potomka płci męskiej), to trudno było wyobrazić sobie gromadę takich chłopców, którzy dadzą się na długo zamknąć w blaszanej puszcze. System obozów, do których szczęśliwcy wybrani w Rozdzieleniu Losów trafią na szkolenie, miał być pułapką dla młodych mężczyzn: chłopcy będą do nich przybywać, lecz – poza nielicznymi szczęśliwymi wyjątkami – już ich nie opuszczą.

Od dobrych dwóch minut Doob dryfował bez większego przekonania w stronę motelu, dręczony niewyraźnym przecuciem, że powinien robić coś innego. Coś ważnego.

Ach tak. Rozmawiać z dziennikarzami. W normalnej sytuacji ekipy telewizyjne same by go szukały – ale nie dzisiaj. Dzisiaj miał ochotę pokręcić się przed hotelem, pogadać, poodgrywać Doca Dubois dla miliardów mieszkańców telekrainy, lecz nikt się nim nie interesował. Różnojęzyczni prezenterzy wpatrywali się z poważnymi minami w telepromptery, wygłaszając przygotowane uprzednio uwagi. Mniej poważani dziennikarze, blogerzy i wolni strzelcy rejestrowali swoje spostrzeżenia.

W kącie parkingu wypatrzył znajomą twarz: Tavistock Prowse ustawił na statywie tablet, wycelował jego kamerkę w swoją stronę, przypiął sobie bezprzewodowy mikrofon i nagrywał wpis do wideobloga albo filmik dla magazynu *Turing*, z którym od lat współpracował. Znali się z Doobem od dwudziestu lat. Tav wyglądał fatalnie. Przyjechał rano. Nie miał dostatecznych referencji ani znajomości, żeby znaleźć się w uprzywilejowanym gronie osób poinformowanych z wyprzedzeniem, więc dopiero przed chwilą poznał prawdę. Poprzedniego dnia wieczorem Doob próbował starego kumpla namierzyć na Twitterze i Facebooku, uprzedzić go, żeby nie był zaskoczony, ale Tav nie zareagował.

Doob doszedł do wniosku, że nie byłby to chyba najlepszy moment na improwizowany wywiad z Tavem, udał więc, że go nie zauważył. Mignął legitymacją ochroniarzom z Secret Service przy wejściu do hotelu, chociaż zrobił to wyłącznie z grzeczności: już wcześniej go rozpoznali i otworzyli mu drzwi.

Minął windy i wszedł po schodach na swoje piętro, żeby trochę rozruszać kości. Amelia zostawiła uchylone drzwi: wszedł, zawiesił na klamce tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ, zamknął za sobą drzwi na klucz i ciężko opadł na krzesło. Amelia stała przy oknie oparta plecami o szeroki rustykalny parapet. Z tej strony słońce nie zaglądało w okna, ale dostatecznie dużo dziennego światła padało na jej twarz, żeby zaznaczyć zaczątki zmarszczek pod oczami i wokół ust. Była dzieckiem imigrantów z Hondurasu, efektem skomplikowanego melanżu afrykańsko-indiańsko-hiszpańskiego: duże oczy, falujące włosy, czujny, nieco ptasi sposób bycia i pozytywne, optymistyczne nastawienie do świata, jakie przydałoby się każdemu nauczycielowi. W obecnych nowych okolicznościach była to cecha nie do przecenienia.

– Już po wszystkim – odezwała się. – Na pewno spadł ci kamień z serca.

– Na następne dwa dni mam zaplanowane dziesięć wywiadów, w których będę tłumaczył, co, jak i dlaczego, ale w gruncie rzeczy masz rację. W porównaniu z przekazaniem tej nowiny wszystko inne będzie łatwiejsze.

– Zwykła matematyka.

– Zwykła matematyka.

– Co dalej?

– To znaczy po tych dwóch najbliższych dniach?

– Tak. Co będzie potem?

– Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. Trzeba będzie dalej gromadzić dane. Udoskonalać prognozy. Im dokładniej ustalimy, kiedy rozpocznie się Białe Niebo, tym lepiej będzie można zaplanować rozkład startów i wszystko inne.

– Rozdzielenie Losów.

– To też.

– Ty też polecisz, Dubois, prawda? – Amelia nigdy nie używała jego przezwiska.

– Słucham?

Po jej twarzy przemknął cień irytacji (co było dość niezwykle). Utkwiła w nim badawcze spojrzenie i nagle zaczęła się uśmiechać.

– Ty nie wiesz.

– Czego nie wiem, Amelio?

– Przecież to oczywiste, że polecisz.

– Dokąd?

– Na Arkę w Chmurze. Będą cię potrzebować. Jesteś jednym z nielicznych ludzi, którzy mogą być użyteczni tam, na górze; którzy mogą przyczynić się do przetrwania Arki. Możesz być ich przywódcą.

Rzeczywiście nie przyszło mu to do głowy, dopóki tego nie powiedziała. Kiedy jednak jej wysłuchał, musiał jej przyznać rację.

– Jezu... – jęknął. – Chyba wolałbym kofnąć tutaj. Z tobą. Myślałem o tym, że moglibyśmy tu przyjechać, rozbić namiot na skraju krateru i patrzeć. To będzie najbardziej niezwykle widowisko w historii.

– Naprawdę gorąca randka – przyznała Amelia. – Ale nie, ja raczej spędzę ten dzień z rodziną.

– Może to my dwoje będziemy wtedy rodziną.

Obwisłe dolne powieki zaszklily jej się od łez. Otarła nos palcem.

– To chyba najbardziej niezwykle oświadczyły, o jakich słyszałam. Problem polega na tym, Dubois, że mój mąż będzie wtedy na orbicie okołoziemskiej, a ja w Kalifornii.

– Mógłbym znaleźć sposób...

Pokręciła głową.

– Nigdy, przenigdy nie zgodzą się zabrać na Arkę trzydziestopięcioletniej nauczycielki.

Wiedział, że Amelia ma rację.

– Co innego zamrożony zarodek – dodała.

– To dopiero jest niezwykła propozycja...

– Żyjemy w niezwykłych czasach. Wiem, że mam w tej chwili płodne dni, tak że... Koniec z gumkami, tygrysie.

I tak oto pół godziny po tym, jak z naukowym sceptycyzmem słuchał kojącego przemówienia Clarence'a Croucha, rozbierał je w głowie na czynniki pierwsze i tłumaczył sobie, że to nic innego, jak tylko ochłap pocieszenia dla pogrążonych w żałobie miliardów, który ma sprawić, że przez najbliższe dwa lata skupią się na seksie, wylądował w ramionach Amelii i razem zajęli się produkowaniem zarodka, który mógłby zabrać ze sobą na orbitę, żeby tam został wszczepiony w łono innej, nieznannej kobiety.

Zbliżając się do orgazmu, myślał o filmikach, które nakręci dla swojego potomka, żeby ten miał się z czego uczyć rachunku

różniczkowego.

* * *

Dinah cieszyła się, że nie było jej na Ziemi, kiedy światowi przywódcy wygłaszali orędzie nad Jeziorem Kraterowym. Siedziała sama w swoim warsztacie i wyglądając przez okno ponad czarną, pobrużdżoną sylwetką Amalthei, patrzyła na widoczny za nią błękitny ziemski glob. Znała zapowiedzianą porę przemówień i wiedziała, ile powinny potrwać, nie chciała jednak oglądać transmisji. Wydało jej się dziwne, że Ziemia w ogóle się nie zmieniła. Siedem miliardów ludzi właśnie usłyszało najgorszą nowinę, jaką można sobie wyobrazić, i przeżywało zbiorową traumę na nieznaną wcześniej skalę, policja i wojsko zostały rozlokowane w miejscach publicznych z zadaniem „pilnowania porządku”, cokolwiek miałyby to znaczyć – ale Ziemia wyglądała tak samo jak zawsze.

Radioodbiornik na ścianie zaczął piszczeć. Spuściła wzrok, zamruwała, żeby pozbyć się łez, i zobaczyła Alaskę znikającą za krzywizną kuli ziemskiej na dalekiej północy.

JESTEŚMY DUMNI, ŻE JESTEŚ TAM NA GÓRZE

Rozpoznała pięść ojca – jego charakterystyczny sposób nadawania morsem – równie łatwo, jak rozpoznałaby jego zapach albo głos.

CHCIAŁABYM JESZCZE KIEDYŚ WAS ZOBACZYĆ – odpowiedziała.

CIOTKA BEVERLY SADZI ZIEMNIAKI DAMY SOBIE RADĘ

Dinah chwilę sobie popłakała.

Ojciec nadał QSL, co w Kodzie Q oznaczało w tym wypadku „Jesteś tam jeszcze?”.

Wysłała QSL w odpowiedzi: „Tak”.

Wiedziała, że celem takich skrótowych komunikatów jest usprawnienie łączności, teraz jednak zrozumiała, że Kod Q może mieć jeszcze inne zastosowanie. Pozwalał wycisnąć szczyptę informacji, gdy słowa przychodziły ze zbyt wielkim trudem.

LEPIEJ WRACAJ DO PRACY MAŁA

A TY PRZESTAŃ WALIĆ W KLUCZ I IDŹ POMÓŻ BEV

KOCHAM CIĘ QRT

QRT

– Dla mnie to nadal graniczy z cudem, że ty coś z tego rozumiesz.

Odwróciła się i zobaczyła Rhysa Aitkena unoszącego się w powietrzu we włązie spinającym warsztat z KMUK-iem – Kosmicznym Modułem Użytkowo-Komercyjnym, obszernym walcowatym łącznikiem pomiędzy przednią częścią Izzy i Amaltheą. W ścianach KMUK-a było zresztą więcej włązów, do których mogły cumować inne moduły, ale ze względu na rozmaite opóźnienia i cięcia budżetowe tylko jeden z nich był obecnie w użyciu – ten, w którym zawisł Rhys z zawiniątkiem pod pachą.

Dinah pociągnęła nosem. Zdała sobie sprawę, że całkiem się rozkleiła.

– Dawno przyszedłeś?

– Niedawno.

Odwróciła się do niego plecami i ręcznikiem otarła nos i oczy. Przez ten czas Rhys gawędził niezobowiązująco:

– Nie dałem rady dłużej oglądać orędzia, więc pomyślałem, że spróbuję się na coś przydać. I odkryłem coś cudownego: woda spływa w dół. To znaczy wiedziałem o tym już wcześniej, ale jest takie miejsce w torusie, pod okładziną, w którym zbiera się skroplona wilgoć. To problem serwisowy, staramy się mieć ten odcinek na oku. Coś ci stamtąd przyniosłem.

Dinah odwróciła się i zerknęła na zawiniątko.

– Tuzin róż?

– Może w przyszłym tygodniu, a tymczasem...

Podał jej owiniętą kocem grudę.

Wzięła ją do ręki. Podobnie jak wszystko w Izzy, zawiniątko było nieważkie, miało jednak całkiem pokaźną bezwładność. Odgarnąwszy koc, usłyszała dźwięczne trzeszczenie i odsłoniła metalizowaną folię, powszechnie stosowaną w Izzy jako izolacja termiczna. Zawinięty w nią przedmiot był zimny i miał nieregularny kształt. Odwinąwszy folię, stwierdziła, że trzyma w rękach owalną, soczewkowatą bryłę lodu: zamrożoną kałużę.

– Jest idealna – powiedziała.

Parę kropelek wody oderwało się od lodu; we wpadającym przez okienko snopie światła zaskrzyły się jak diamenciki. Dinah wyłapała je tym samym ręcznikiem, którym dopiero co wycierała twarz, znalazłszy

jednak wcześniej chwilę, żeby docenić ich piękno. Mała galaktyka nowych gwiazd.

– Wspomniałaś o jakiejś tajemniczej wiadomości od Seana Probst.

– Wszystkie jego wiadomości są tajemnicze – odparła. – Nawet po zdekodowaniu.

Sean Probst był jej szefem – założycielem i prezesem Arjuna Expeditions.

– Miało chodzić o lód – drążył temat Rhys.

– Zaczekaj. Najpierw wystawmy go za śluzę, nim całkiem się roztopi.

– Dobrze. – Rhys przepłynął na drugi koniec warsztatu, gdzie w zakrzywioną ścianę wprawiono okrągły właz półmetrowej średnicy. – Wszędzie migają zielone światełka. To znaczy, że mogę go otworzyć?

– Tak.

Pociągnął za dźwignię mechanizmu blokującego, po czym otworzył właz, odsłaniając niewielką pustą przestrzeń. Przez tę śluzę Dinah sprowadzała do warsztatu roboty wymagające naprawy i wysyłała gotowe z powrotem na Amaltheę. Śluzы przeznaczone dla ludzi były duże (musiała się w nich pomieścić co najmniej jedna osoba w obszernym skafandrze kosmicznym), skomplikowane i drogie, po części ze względu na wymogi bezpieczeństwa, po części zaś dlatego, że zostały zaprojektowane w ramach programów rządowych. Ten właz był inny – stworzony przez nieliczny zespół projektowy Arjuna Expeditions i przeznaczony do transportu drobnego sprzętu miał rozmiary dużego pojemnika na śmieci, a dla zaoszczędzenia przestrzeni we wnętrzu Izzy doczepiono go do niej od zewnątrz, tak że sterczał z zewnętrznej ściany jak pękaty, przerośnięty hydrant przeciwpożarowy. Na jego drugim końcu znajdował się kopułkowaty właz zewnętrzny, który Dinah mogła otwierać i zamykać z warsztatu za pośrednictwem systemu mechanicznych drążków i popychaczy jakby żywcem wyjętych z powieści Juliusza Verne'a. W tej chwili tamten właz był oczywiście zamknięty, a śluzа wypełniona powietrzem, które zdążyło się mocno wychłodzić; dopiero kilka minut temu padły na nią promienie słońca.

Dinah popchnęła lekko bryłę lodu, która przepłynęła w powietrzu przez cały warsztat i dotarła do Rhysa. Złapał ją i wykrzyknął triumfalnie:

– Bomba!

– Co takiego?

– To z rugby – wyjaśnił Rhys. Wepchnął lód do śluzy. – Masz pod ręką jakiegoś krabochwyta, żeby mógł go ściągnąć z powrotem?

– Nie w tej chwili. Na razie niech tam zostanie.

– W porządku.

Rhys zamknął i zablokował wewnętrzny właz. Odwrócił się do Dinah i przez chwilę mierzyli się nawzajem wzrokiem.

– Woda skrapla się i zbiera w tym jedynym miejscu w torusie – podsumowała Dinah – do którego można się dostać, zdejmując płytę okładziny?

– Tak.

– I tam zamarza?

– Zazwyczaj nie. Mogłem jej trochę pomóc, majstrując przy ustawieniach klimatyzacji.

– Aha.

– Wiesz, oszczędność energii.

Dinah przefrunęła przez warsztat w pobliże włazu do KMUK-a, wyjrzała na zewnątrz i upewniła się, że w pobliżu nikogo nie ma. Wiedziała, że część załogi spotkała się na zebraniu w torusie, a niektórzy wyszli w otwartą przestrzeń.

– Z oficjalnego punktu widzenia... – zaczęła.

– Wiem, źle zrobiłem – przerwał jej Rhys. Dinah podziwiała go za tę szczerość. – Źle, bo kiedy wystawisz ten kawałek lodu na zewnątrz, żeby twoje roboty mogły się nim bawić, wysublimuje w próżni.

Sublimacja w istocie niewiele różniła się od parowania, tyle że odbywała się z pominięciem fazy ciekłej: był to proces, w którym ciało stałe w próżni stopniowo przechodziło w stan gazowy i przestawało istnieć. Lód sublimował niezwykle szybko, jeżeli nie był przetrzymywany w skrajnie niskiej temperaturze.

– I Izzy straci odrobinę wody – powiedziała Dinah – która jest cennym zasobem.

– Nikt nie zauważy jej braku – odparł beztrąsko Rhys. – Czasy się zmieniły. Po ogłoszeniu tego orędzia rakiety będą przylatywały szybko i często.

– Mimo wszystko... Sean zlecił mi zadanie w ramach misji Arjuna Expeditions. Projekt komercyjny. Prywatny. A woda jest naszym

wspólnym...

– Dinah.

– Tak?

– Weźże się otrząśnij, skarbie.

Przedłużające się milczenie zostało w końcu przerwane westchnieniem Dinah.

– Jasne – mruknęła.

Rhys miał rację. Wszystko się zmieniło.

– A teraz mi powiedz, czego chce Sean i jaki to ma związek z lodem?

Lekkie rozdrażnienie jego ciekawością w końcu ustąpiło; może będzie mógł jej pomóc? Odwróciła się do okna i ruchem głowy wskazała odległą o parę metrów Amaltheę.

– To moja specjalność, moja i mojej rodziny. Minerale. Skały. Rudy metali. Wszystkie te roboty są specjalnie przystosowane do obskakiwania wielgachnej grudy żelaza. Mają magnesy, żeby od niej nie odpaść, i łuki plazmowe i szlifierki do jej obróbki. A Sean każe mi to wszystko odstawić. Przyszłość to lód, mówi. Nic innego go nie interesuje. Niczym innym mam się nie zajmować.

– Na Ziemi jest go mnóstwo – zauważył Rhys. – Tylko nie traktujemy go jak minerał.

Dinah pokiwała głową.

– Co najwyżej jako uciążliwość, której trzeba się pozbyć.

– A jak tam twoi koledzy na Ziemi? Też zajmują się lodem?

– Sądząc po ruchu e-mailowym, nowa dyrektwa objęła całą firmę. Zamawiają ciężarówki lodu, zwałają go w laboratorium na podłogę, chłodzą cały budynek... Na szczęście w Seattle jest w tej chwili zima, wystarczy obniżyć temperaturę o dodatkowe kilka stopni. Kupują kalesony i szykują się do pracy w chłodni.

– Jak się pracuje dla Mr. Freeze'a?

– Ja bym powiedziała: „dla Pingwina”, ale w Seattle ludzie nie noszą parasoli.

– Ani cylindrów, o ile mi wiadomo. Tak że zdecydowanie lepiej pasuje Mr. Freeze.

– Nieważne. We wczorajszej dostawie witamin przyszły między innymi takie rzeczy.

Z szafki obok swojego stanowiska pracy Dinah wyjęła strunową

torebkę z szarej metalizowanej folii; w takich torebkach przechowuje się delikatną elektronikę, żeby uchronić ją przed wyładowaniami elektrostatycznymi. Do torebki przyklejona była wizytówka z NASA.

– Fajnie jest mieć wysoko postawionych znajomych – zauważył Rhys. Jego uwagę zwróciło nazwisko na wizytówce: Scott „Sparky” Spalding, dyrektor NASA.

– W tym wypadku raczej nisko postawionych – odparła z uśmiechem Dinah.

Dowcip był kiepski. Rhys nie zareagował i Dinah poczuła, że się rumieni – nawet nie tyle z powodu nietrafionego żartu, ile raczej z jakiejś politycznej nadwrażliwości.

– Dwa tygodnie temu Scott obiecał mi, że się mnie nie pozbędzie – dodała. – Że będzie mnie osłaniał.

– Co to dokładnie oznacza?

– Że prace nad robotami będą kontynuowane, a ja nie stracę zajęcia. Nie uwierzyłam mu, ale musiał chyba porozmawiać z Seanem Probstem, bo dwa dni temu Sean przesłał mu kurierem to.

Dinah otworzyła torebkę i dwoma palcami wyjęła ze środka gadżet wielkości ziarnka ryżu. Z daleka wyglądał jak bateria fotowoltaiczna, okruch krzemu, tyle że opatrzony kilkoma maleńkimi wypustkami.

– Co to tak zwisa? – zainteresował się Rhys.

– Mechanizm napędowy.

– Nóżki?

– Ten akurat ma nóżki. Inne mają gąsienice, jeszcze inne obrotowe cylindry albo tłuki.

– Tłuki? To jakiś żargon czy oficjalna nazwa?

– Określenie z górniczego slangu, z transportu ciężkiej maszynery. Później ci pokażę.

– Czyli wszystko wskazuje na to, że masz przebadać różne mechanizmy napędowe robotów pod kątem poruszania się na lodzie i nieześlizgiwania się z niego.

– Właśnie. I najwyraźniej w Seattle wszystkie jakoś tam działają, lepiej lub gorzej, a ja mam ocenić ich przydatność do pracy w kosmosie.

– No proszę! W takim razie szczęśliwie się złożyło, że...

– Że mam własny kawałek lodu. To prawda. Dziękuję.

– Tym lepszy, że przemycony? – spytał Rhys, unosząc brwi.

Ukryte znaczenie jego słów było oczywiste.

– Ale nie tak romantyczny jak tuzin róż – odparowała Dinah.

– Z drugiej strony... Co takiego chce ci powiedzieć facet, który przynosi ci róże? Że o tobie myśli.

Niedługo po przybyciu na Izzy Dinah zawiesiła nad włazem wejściowym zasłonę – nic wielkiego, najzwyczajniejszy koc, który jednak pozwalał jej się odciąć od reszty stacji, gdy chciała się zdrzemnąć, i wysyłał jasny komunikat, żeby jej nie przeszkadzać – przynajmniej nie bez pukania.

Wyciągnęła rękę, zasłoniła właz, po czym odwróciła się do Rhysa. Sprawiał wrażenie bardzo chętnego i bardzo gotowego.

– A jak twoje mdłości? – spytała. – Wyglądasz znacznie... żwawiej.

– Czuję się świetnie. Wszystkie płyny ustrojowe pod kontrolą.

– To już sama ocenię.

* * *

Rosyjska inwazja rozpoczęła się tydzień później serią lotów, o których NASA pisała, że odbywają się „ze zmiennym powodzeniem”. Roskosmos nazywał to „dopuszczalną liczbą ofiar”.

Widziana z daleka Izzy wydawała się niemal w całości złożona z paneli słonecznych. Ze strukturalnego punktu widzenia panele tak się miały do całości stacji, jak skrzydła ptaka do reszty jego ciała – chodziło o to, żeby miały jak największą powierzchnię i zarazem jak najmniejszy ciężar.

Większość masy, siły i mózgu Izzy znajdowała się w jej „korpusie”: ciągu puszkokształnych modułów, który ciągnął się środkiem pomiędzy „skrzydłami” i w porównaniu z nimi był malutki – do tego stopnia, że z wielu miejsc w ogóle nie było go widać. Tylko stosunkowo nowe dodatki do stacji były wystarczająco duże, żeby z daleka rzucały się w oczy: Amalthea na jednym jej końcu i torus na drugim.

Panele słoneczne – wraz z innymi, nieco podobnymi konstrukcjami, których zadanie polegało na wypromieniowywaniu nadmiaru ciepła w kosmos – utrzymywał w żądanej pozycji tak zwany Zintegrowany Zespół Kratownicowy. Używane przez inżynierów słowo „kratownica”

oznaczało zwykle coś, co przypomina maszt radiowy albo stalowy most: utkaną z podpór siatkę zapewniającą maksimum sztywności przy minimalnym ciężarze. W niektórych częściach Izzy podpory te były odsłonięte, najczęściej jednak okrywano je panelami fotowoltaicznymi, które nadawały im znacznie masywniejszy wygląd. Pod panelami rozpościerała się niewiarygodnie skomplikowana sieć przewodów elektrycznych i hydraulicznych, baterii, czujników i mechanizmów umożliwiających ich rozkładanie i obracanie. Większość Zintegrowanego Zespołu Kratownicowego nie była hermetycznie zamknięta, nie została bowiem przeznaczona do zamieszkania przez ludzi. Astronauci musieli wyjść w otwartą przestrzeń kosmiczną, żeby pogrzebać przy okablowaniu albo naprawić coś, co się zepsuło, ale poza tym większość załogi spędzała cały okres misji wewnątrz stacji, w znacznie mniejszych puszkach tworzących „korpus”.

To się miało zmienić.

Samej Izzy nie można było rozbudowywać bez końca, bo rozbudowa taka nie mogłaby się ograniczać do dokładania kolejnych puszek i nowych torusów. Istniał pewien próg złożoności takiej zwartej struktury, którego po prostu nie dało się przekroczyć. Prawie wszystkie mechanizmy miały zasilanie elektryczne. Elektryczność generowała ciepło odpadowe, które gromadziło się we wnętrzu stacji i mogłoby ugotować jej mieszkańców żywcem, gdyby nie system chłodzenia, wychytujący je i przekazujący do radiatorów, żeby te „wyświeciły” nadmiar ciepła w podczerwieni w kosmos. Stłoczenie większej liczby ludzi i układów w stacji kosmicznej wymagałoby instalacji kolejnych paneli słonecznych, akumulatorów i radiatorów, a także nowej elektryki i hydrauliki, żeby to wszystko ze sobą połączyć. A przecież należało jeszcze uwzględnić czynnik ludzki, czyli nakarmić załogę, napoić ją, zapewnić jej powietrze do oddychania, przerabiać wytwarzany przez nią dwutlenek węgla i ścieki.

Mając świadomość tych wszystkich faktów, trust mózgow odpowiedzialnych za budowę Arki w Chmurze – zebrana *ad hoc* grupa weteranów rządowych agencji kosmicznych i prywatnych eksploratorów kosmosu – opowiedział się za jedyną strategią, która dawała choćby teoretyczne szanse powodzenia, a mianowicie decentralizacją i rozproszeniem. Każda miniarka (jak nazywano statki

składowe Arki w Chmurze) miała być dostatecznie mała, żeby dało się ją wynieść na orbitę na dziobie wysokowydajnej rakiety nośnej. Musiała być zasilana przez mały, prosty reaktor atomowy, naładowany izotopami tak silnie promieniotwórczymi, żeby przez kilka dziesięcioleci emitowały ciepło (i w ten sposób generowały elektryczność). W Związku Radzieckim wykorzystywano takie urządzenia do zasilania postawionych na odludziu latarń morskich. Od dziesiątków lat używano ich także w sondach kosmicznych.

Każda miniarka miała pomieścić niedużą liczbę ludzi. Liczba zmieniała się w miarę powstawania kolejnych wersji projektowych, zawierała się jednak w przedziale od pięciu do dwunastu. Wiele zależało do tego, jak szybko udałoby się uruchomić masową produkcję modułów nadmuchiwanych: mogłyby w ten sposób powstawać znacznie większe konstrukcje mieszkalne podobne do cienkościennych balonów. Sęk w tym, że skonstruowanie balonu, który przez nieokreślony czas wytrzymałby ciśnienie atmosferyczne, promieniowanie słoneczne, skrajne wahania temperatury i uderzenia mikrometeoroidów, stanowiło nie lada wyzwanie.

Rozumiało się samo przez się, że na dłuższą metę Arka w Chmurze musi być samowystarczalna w kwestii produkcji żywności. Woda będzie pochodziła z odzysku. Wydechany przez ludzi dwutlenek węgla posłuży do odżywiania roślin, które wytworzą tlen i jedzenie. Te zagadnienia od dziesięcioleci były przedmiotem naukowych dywagacji i literatury science fiction. Eksperymenty w tej materii dawały dotąd mieszane rezultaty, ale w tej chwili ogromną uwagę poświęcali im ludzie znacznie lepiej do tego przygotowani niż Dinah – ona jednak zaczynała rozumieć, że powinna się oswoić z dietą niskokaloryczną i okresowymi ograniczeniami w dopływie tlenu.

Pojedyncze miniarki długo by nie przetrwały, i to bez względu na to, jak doskonale byłyby ich wewnętrzne ekosystemy. Rzeczy będą się psuły, zapasy będą się kończyły, a pasażerowie będą chorowali i wariowali, przebywając stale w tym samym, niewielkim towarzystwie.

Projekty zarówno miniarek, jak i całej Arki w Chmurze nieustannie ewoluowały. Kiedy hasłem dnia było „pełne rozproszenie”, oznaczało to, że na dłuższą metę ma nie istnieć żaden magazyn centralny – żadna Izzy – i że wszelka wymiana surowców oraz „zasobów ludzkich” pomiędzy

miniarkami ma się odbywać poprzez „okazjonalne cumowanie”: dwie miniarki porozumiewałyby się w kwestii bezpośredniego kontaktu, po czym na pewien czas łączyłyby się dziób w dziób, by wymienić się żywnością, wodą, witaminami lub ludźmi. Proces miał być czysto wolnorynkowy, bez udziału centralnego dowództwa i mechanizmu kontroli.

Następnego dnia wydawano nowy edykt, który stanowił, że powstałe na Izzy centrum dowodzenia będzie koordynowało działania wszystkich miniarek. Stacja miałaby również stanowić centralny skład wszystkiego, co tylko da się zmagazynować. Torus – a właściwie torusy, ponieważ Rhys zajął się już projektowaniem drugiego, miały być miejscami odpoczynku i rekreacji: mieszkańcy miniarek, dostający świra od mieszkania w puszkach i cierpiący na osteoporozę wskutek przebywania w nieważkości, mieli od czasu do czasu przylatywać do Izzy na urlop.

Wizje architektów, jak nazwały ich Ivy i Dinah, oscylowały pomiędzy tymi dwoma ekstremami i odzwierciedlały istnienie wśród nich co najmniej dwóch odłamów. Frakcja centralistyczna wskazywała zagrożenia wynikające z długiego przebywania w nieważkości jako powód do organizowania rotacyjnych wakacji w torusie. Dwa dni później decentraliści odpowiadali tak zwanym „schematem bolas”, w którym dwie miniarki łączyły się długim przewodem, po czym zaczynały wirować wokół wspólnego środka masy, wytwarzając w ten sposób w swoim wnętrzu sztuczne ciężenie znacznie silniejsze i lepsze od uzyskiwanego w torusie. Po kolejnych dwóch dniach centraliści publikowali animowaną symulację, w której dwa takie bolas wpadały na siebie i dochodziło do poplątania przewodów łączących; filmik był całkiem śmieszny, o ile kogoś bawiły slapstickowe horrory.

Na razie wszystko to nie miało większego znaczenia, ponieważ nawet przy rozpaczliwym przyśpieszeniu cykli produkcyjnych zaprojektowanie i wytworzenie choćby jednej miniarki miało zająć wiele tygodni – a jeszcze dłużej musiało trwać przestawienie fabryk na produkcję ogromnych rakiet nośnych, które poniosłyby miniarki w kosmos. Dlatego na razie załogę Izzy czekało oglądanie zbieraniny wcześniej wybudowanych pojazdów kosmicznych, głównie kapsuł z serii Sojuz, wynoszonych na orbitę za pomocą istniejących rakiet.

W tych pierwszych kapsułach mieli się znaleźć „Pionierzy”, których zadaniem było dobudowanie nowych elementów do Zintegrowanego Zespołu Kratownicowego, umożliwiających jednocześnie cumowanie wielu miniarek, magazynowanie surowców i sprawną współpracę wszystkich podzespołów. Pionierzy mieli spędzać większość czasu w skafandrach, w otwartej przestrzeni kosmicznej. W sumie miało ich być około setki; w tej chwili trwało ich szkolenie i pośpieszna produkcja skafandrów.

Tymczasem jednak Izzy w swojej obecnej postaci nie miała szans obsłużyć setki nowych mieszkańców; zabrakłoby nawet złączy cumowniczych, żeby nadażyć z przyjmowaniem ich pojazdów. Dlatego, aby zapewnić miejsce do zamieszkania Pionierom, których przybycia spodziewano się za kilka tygodni, arkitekci przysłali na orbitę Skautów. Wyglądało na to, że od Skauta wymagano szokującej tężyzny fizycznej, całkowitej obojętności na śmiertelne niebezpieczeństwo oraz ogólnego wyobrażenia o tym, jak funkcjonować w skafandrze kosmicznym. Wszyscy Skauci byli Rosjanami.

Na Izzy nie było dla nich miejsca – czy raczej, ściśle rzecz biorąc, wolnej przestrzeni było aż nadto, brakowało natomiast układów pomocniczych. Skrubery CO₂ miały ograniczoną wydajność. Na całej stacji znajdowały się tylko trzy toalety, z których jedna miała prawie dwadzieścia lat.

Skauci mieli więc większość czasu spędzać zamknięci w skafandrach – co miało o tyle sens, że zamierzali codziennie harować jak woły, a szesnaście godzin w skafandrze to szesnaście godzin obciążenia mniej dla układu podtrzymywania życia na ISS.

W Dniu Zero łączna liczba sprawnych skafandrów próżniowych w znanym wszechświecie wynosiła około tuzina i mimo że od tamtej pory mocno rozkręcono ich produkcję, nadal pozostawały rzadkością. Najpowszechniej spotykany model, rosyjski Orlan, ograniczał okres niezależnego funkcjonowania do dwóch godzin (co nikomu nie przeszkadzało, bo przeciętny człowiek i tak był po dwóch godzinach skrajnie wyczerpany). Po tym czasie zasoby skafandra wymagały całkowitego odnowienia. Dlatego Skauci mieli pracować na smyczach: ich skafandry zostaną podłączone pękiem rurek i przewodów do zewnętrznego układu podtrzymywania życia, który dostarczy im

powietrze i energię elektryczną, a odbierze nadmiar ciepła i produkty przemiany materii.

Skauci potrzebowali jednak miejsca, w którym mogliby wygramolić się ze skafandrów na czas kilkugodzinnego odpoczynku. Kierownik projektu z ramienia Roskosmosu postanowił odkurzyć stary pomysł urządzenia ratunkowego i zlecił wznowienie jego produkcji. Urządzenie to nosiło nazwę „Łuk”, co po rosyjsku oznacza cebulę; użytkownicy języka angielskiego, nie bacząc na prawidłową wymowę tego słowa, nieuchronnie zaczęli nazywać je „Luck”, czyli „szczęście”.

Łuk – w zgodzie z najlepszymi tradycjami rosyjskiej techniki – był nieskomplikowany: bierzemy kosmonautę i pakujemy go do foliowego worka wypełnionego powietrzem.

Kłopot w tym, że w takiej sytuacji albo kosmonauta się udusi, albo worek pęknie, ponieważ zwykła folia nie wytrzymuje ciśnienia atmosferycznego. Dlatego worek napełniało się powietrzem tylko w takim stopniu, żeby go nie uszkodzić (pod ciśnieniem stanowiącym ułamek atmosferycznego), a do środka wkładało się drugi. Ten drugi napełniało się powietrzem pod nieco większym ciśnieniem, do niego wkładało się trzeci, w który pompowało się znów trochę więcej powietrza, i cały ten proces się powtarzało, pakując worki w worki jak rosyjskie matrioszki, do momentu, gdy ten znajdujący się w samym środku zawierał powietrze pod ciśnieniem zapewniającym przetrwanie człowiekowi. Na sam koniec do środka ładowało się kosmonautę. Liczne warstwy przezroczystego plastiku upodabniały całe urządzenie do cebuli.

Model ten miał wiele zalet: był tani, prosty w konstrukcji i lekki. Po spuszczeniu powietrza Łuk można było złożyć, zrolować i przechowywać w pojemniku nie większym od plecaka.

Oczywiście lokator wewnętrznego worka zanieczyszczał powietrze wydychanym dwutlenkiem węgla, ale rozwiązanie tego problemu było dobrze znane ze statków kosmicznych i okrętów podwodnych: należało przepuścić powietrze przez wodorotlenek litu, który pochłaniał CO₂. Poza tym wystarczyło uzupełniać zużywany stopniowo tlen, żeby lokatorowi nie groziło uduszenie.

Ciepło – wytwarzane przez ciało i gromadzące się w wewnętrznym worku – z czasem coraz bardziej dawałoby się lokatorowi we znaki.

Potrzebny był więc system chłodzenia.

Wchodzenie do Łuka i wychodzenie z niego mogło nastroczać pewnych problemów. Rosjanie w jakiś sposób ustalili, że praktycznie każdy (a w każdym razie każdy spełniający fizyczne wymogi uczestnictwa w programie kosmicznym) jest w stanie przecisnąć się przez otwór o średnicy czterdziestu centymetrów. Dlatego też każdy Łuk został zaopatrzone w kołnierz: czterdziestocentymetrowej średnicy pierścien z włókna szklanego z otworami na śruby. Przy kołnierzu zbiegały się wszystkie warstwy folii, dodatkowo podkreślając podobieństwo Łuka do cebuli: kołnierz odpowiadał miejscu, w którym odcina się łydę. Aby powietrze nie uciekało przez ten czterdziestocentymetrowy otwór, zaopatrzone go w solidną przegrodę ze znacznie grubszego plastiku, zasuwana po wejściu kosmonauty do worka.

Tak oto instrukcja obsługi Łuka sprowadzała się do rozpakowania worka, namierzenia kołnierza, naciągnięcia worka na głowę, wciśnięcia się weń do momentu, gdy cały tułów znajdzie się w środku, podciągnięcia nóg, a następnie odszukania i zamknięcia przegrody. Na razie Łuk był wielką masą pomarszczonej folii, okrywającą lokatora niczym plastikowy śpiwór.

Po wypchnięciu Łuka w próżnię można było otworzyć zawór, przez który powietrze napływało do jego kolejnych warstw – Łuk rozzymał się wtedy do rozmiarów przyczepy kempingowej i dryfował w przestrzeni, dopóki nie przejął go pojazd ratunkowy.

Pojazd taki musiał być zaopatrzone we właz dostosowany do kołnierza Łuka średnicą i rozmieszczeniem śrub; po zapewnieniu hermetycznego połączenia otwierało się właz, usuwało przegrodę i kosmonauta mógł wreszcie odetchnąć od chłodu przestrzeni kosmicznej – a właściwie, biorąc pod uwagę trudności z pozbyciem się nadmiarowej energii termicznej w próżni, od nieznośnego upału.

Podstawę konstrukcji Orlana stanowił sztywny korpus – lita, twarda skorupa mieszcząca tułów i zaopatrzone w złącza rękawów, nogawek i hełmu, przez które właściciel wystawiał ręce, nogi i głowę. Z tyłu korpusu znajdowały się drzwiczki zaopatrzone w uszczelkę na całym obwodzie. W celu włożenia skafandra należało otworzyć drzwiczki, wcisnąć nogi w nogawki, włożyć ramiona w rękawy (do samego końca,

do zintegrowanych rękawic), wystawić głowę przez górne złącze i założyć hełm. Następnie ktoś musiał zamknąć drzwiczki od zewnątrz i od tej chwili skafander stawał się układem w pełni niezależnym.

Roskosmos zbudował serię modułów Westibiul – zupełnie nowej konstrukcji, którą w niecałe dwa tygodnie udało się poskładać z gotowych elementów jako prowizoryczny łącznik pomiędzy Łukiem i Orlanem.

W Westibiulu z trudem mieścił się leżący człowiek. Na jednym końcu modułu znajdował się kołnierz dopasowany rozmiarem do kołnierza w Łuku. Przecisnąwszy się – nogami do przodu – z Łuka do Westibiulu, kosmonauta miał akurat tyle miejsca, żeby wycelować stopami w nogawki Orlana przyczepionego na drugim końcu, z otwartymi drzwiczkami. Zanim jednak to zrobił, musiał zamknąć Łuk: w tym celu wkładał na miejsce przegrodę i przykręcał ją kluczem zapadkowym.

Po włożeniu Orlana należało uruchomić wbudowany w Westibiul mechanizm, który zamykał drzwiczki skafandra. Zgromadzone w niewielkiej ilości w Westibiulu powietrze uciekało z sykiem w kosmos i kosmonauta mógł ruszać w drogę. Na zakończenie pracowitego dnia całą procedurę przeprowadzało się w odwrotnym porządku, po czym – podobnie jak człowiek mieszkający w domku za miastem i codziennie dojeżdżający samochodem do pracy – kosmonauta miał kilka godzin na relaks i odpoczynek, wylegując się w Łuku na przeciwległym końcu Westibiulu.

Były jednak pewne haczyki.

- Łuk, Westibiul i Orlan tworzyły układ zamknięty. Jedynym sposobem na to, żeby z niego wyjść, było włożenie skafandra, zamknięcie wbudowanych weń drzwiczek i spacer kosmiczny do śluzy powietrznej. Gdyby z jakichś powodów nie dało się włożyć Orlana i zamknąć drzwiczek, wszelki ratunek byłby niemożliwy, a z pewnością skrajnie mało prawdopodobny. Przedziurawienie Łuka (zapewne przebitego mikrometeoritem) stało się przyczyną śmierci jednego ze Skautów już w drugim dniu programu. Po tym wydarzeniu kompleksy Łuk/Westibiul trzymano bliżej stacji, w cieniu Amalthei, która nie mogła wprawdzie zatrzymać wszystkich latających kamieni, ale zatrzymywała ich całkiem

sporo.

- Z braku sensownej możliwości późniejszego wejścia do Orlana Skaut musiał wylatywać z Bajkonuru od razu ubrany w skafander i przypięty do swojego Westibiulu i Łuka, zresztą cały ten sprzęt nijak nie zmieściłby się w standardowej kapsule załogowej. Skauci lecieli więc na orbitę stłoczeni po sześciu w modułach towarowych nieprzeznaczonych dla ludzi i niewyposażonych w układ podtrzymywania życia. Musieli korzystać z zasobów skafandrów od chwili krótko przed startem aż do przybycia na ISS. Podróż zajmowała co najmniej sześć godzin, dlatego niezbędne stało się uzupełnianie po drodze zapasów powietrza i energii. Usterka odpowiedzialnych za to układów spowodowała śmierć dwóch Skautów z pierwszej ekipy i jednego z drugiej.
- Nowe parametry misji powodowały skrajne obciążenia dla skafandrów, a ponieważ Łuki nie miały własnych układów podtrzymywania życia, kluczowego znaczenia nabrały pępowiny łączące je z modułami Zawod. Zawod (po rosyjsku po prostu „fabryka) był również nową konstrukcją, zmontowaną w ciągu dwóch tygodni na bazie istniejących wcześniej elementów. Zaopatrywany w prąd, wodę i trochę surowców miał utrzymać kosmonautę przy życiu poprzez odcedzanie CO₂ z powietrza, odbieranie moczu i usuwanie nadmiaru generowanego przez organizm ciepła. Ciepła pozbywano się poprzez sublimowanie w próżnię wody, którą uprzednio zamrożono na zewnętrznej powierzchni modułu. Usterki Zawodów doprowadziły do czterech zgonów wśród pierwszych trzech zespołów Skautów. Za dwa pierwsze odpowiedzialny był błąd oprogramowania, który później naprawiono przesłaną z Ziemi łatką. Przyczyną trzeciego okazał się nieszczelny przewód hydrauliczny. Przyczyny czwartego pozostały nieznane, sądząc jednak po objawach, które załoga Izzy śledziła przez okna i w transmisji na żywo, musiało dość do przegrzania organizmu: zawiódł układ chłodzenia, kosmonauta stracił przytomność i doznał udaru cieplnego. Od tamtej pory zaprzestano używania prowizorycznych układów chłodzenia przysyłanych wraz z Łukami, a zamiast nich stosowano dostarczane codziennie foliowe worki z lodem.

Wszystko to jednak nie miało nic wspólnego z niefortunnymi wypadkami przy pracy. W dniu A+0.35 uszkodzona pępowina omal nie doprowadziła do śmierci jednego ze Skautów: zmuszony do odłączenia się od swojego Zawoda udał się w heroiczny i skrajnie niebezpieczny spacer kosmiczny do najbliższej śluzы powietrznej; zanim wciągnięto go na pokład stacji, została mu niespełna minuta życia.

Dwa dni później inny Skaut po prostu zniknął bez śladu i bez słowa wyjaśnienia. Najprawdopodobniej padł ofiarą mikrometeorytu. Albo samobójstwa.

A zatem z pierwszej sześciuosobowej ekipy dwóch Skautów nie dożyło przylotu na stację, a jeden dzień później zginął wskutek awarii Łuka; w drugim zespole jeden członek nie przeżył podróży; zespół trzeci dotarł na ISS w komplecie. Spośród tej czternastki dalszych czterech zginęło na skutek awarii Zawodów, jeden zniknął, a jednego uszkodzenie sprzętu zmusiło do przejścia na skautowską emeryturę i ograniczenia dalszej działalności do wnętrza Izzy.

Ivy, zajmująca najwyższą pozycję w stacyjnej hierarchii, była odpowiedzialna za podejmowanie wszelkich niecodziennych decyzji i rozwiązywanie problemów, którymi nikt inny nie umiał – albo nie chciał – się zająć. Dlatego to na nią spadło brzemię decyzji, co robić ze zwłokami.

Oczywiście istniały odpowiednie procedury. W NASA na wszystko mieli procedury. Dawno już przewidzieli, że astronauta może umrzeć w czasie misji, chociażby na atak serca. Ponieważ dwustu funtów psującego się mięsa nie da się trzymać na stacji kosmicznej, na której żyją i pracują ludzie, pomysł był taki, żeby mrozić zwłoki w próżni i odsyłać na pokładzie najbliższego wracającego na Ziemię Sojuza. Tylko środkowy segment Sojuza był przystosowany do powrotu; przyczepiony na jego końcu kulisty moduł orbitalny odłączał się tuż przed wejściem w atmosferę i ulegał spaleniю. Z tego powodu wyładowywano go śmieciami, by i one spaliły się przy okazji.

Rzecz jasna, nikt nie sugerował, że zwłoki są śmieciami, ale spalanie ich w atmosferze ziemskiej zdawało się najlepszym sposobem na pozbycie się ich – ot, taki odpowiednik pogrzebu wikinga, stosowny dla ery lotów kosmicznych.

Normalny cykl lotów został, naturalnie, zawieszony; obecnie wszystko, co trafiło na orbitę, miało na niej pozostać. Moduły orbitalne nadawały się do zamieszkania lub na magazyny. „Śmieci” można było poddać recyklingowi. Zbierane w workach odchody miały zostać zużyte jako nawóz na farmach hydroponicznych.

Ivy jednostronnie podjęła decyzję o uczynieniu wyłomu w tej nowej polityce: poleciła składować zwłoki w pustym module orbitalnym, który – zacumowany do kratownicy – pozostawał otwarty, dzięki czemu liofilizacja ciał odbywała się niejako mimochodem; wiadomo: co z oczu, to z serca. Po wypełnieniu modułu miałyby się odbyć jakaś mała uroczystość, moduł zostałby odcumowany i wszyscy razem odprowadziliby go wzrokiem, gdy, ciągnąc za sobą rozpalony do białości ogon, płonąłby w atmosferze.

Tyle że na razie jeszcze się nie wypełnił.

Do czasu przygotowania następnej rakiety nośnej, która wyniesie na orbitę kolejną szóstkę, mieli więc ośmiu sprawnych Skautów pracujących po piętnaście, czasem nawet osiemnaście godzin w trzygodzinnych blokach: każdy taki blok składał się dwóch godzin faktycznej pracy i godziny odpoczynku *in situ* – czyli, używając narzucającego się anagramu, „in suit”, w skafandrze.

Z warsztatu Dinah nie miała bezpośrednio widoku na rejon ich pracy, ponieważ okienko znajdowało się po przeciwnej stronie stacji niż kratownica, przy której Skauci spędzali cały swój czas. Gdyby chciała, mogła śledzić ich wysiłki na wideo. Miała jednak inne sprawy na głowie.

Po wywołanej trafieniem mikrometeorytu awarii Łuka miała nawet swoje pięć minut, kiedy zapędziła robocią trzódkę do pracy przy relokacji pozostałych Łuków. Amaltheę przycumowano do stacji od strony dzioba, który – ze względu na ułożenie Izzy na orbicie – był najbardziej narażony na trafienia kosmicznym śmieciem. Asteroida pełniła rolę swoistego tarana i osłaniała przed zderzeniami wszystko, co znalazło się za nią. W jej cieniu było aż nadto miejsca, by pomieścić kilka Łuków, które dzięki temu nie tylko miały większe szanse przetrwania, ale też były mniej narażone na działanie promieniowania kosmicznego.

Roboty wyspecjalizowane w wydobywaniu rudy żelaza chwilowo straciły na znaczeniu, odkąd ich szefowa zainteresowała się zamrożoną wodą. Dlatego, kiedy nie zajmowała się wypychaniem malutkich

stworków na bryły przemycanego lodu, znalazła nowe zajęcie dla swoich starych robotów: kazała im wiercić w tylnej powierzchni Amalthei otwory, osadzać w nich punkty zaczepienia (głównie wkręty oczkowe), a następnie za pomocą stalowych lin kotwiczyć do nich Łuki. Początkowo Łuki (nie całkiem unieruchomione) dryfowały leniwie w próżni i zderzały się ze sobą jak balony na uwięzi, ale po dniu albo dwóch utworzyły stabilną konfigurację, która zbiegiem okoliczności zasłaniała widok z okna warsztatu. W tej chwili Dinah widziała tylko folię – co wcale jej nie przeszkadzało. Odkąd na własne oczy zobaczyła, jakie ryzyko muszą podejmować Skauci, naprawdę nie miała nic przeciwko temu, żeby nie oglądać ich z bliska.

Poszczególne warstwy Łuka były przezroczyste, jednakże przy dużej ich liczbie patrzyło się przez nie jak przez firankę. Można było więc zobaczyć sylwetkę najbliższego ze Skautów, ale nie dało się rozpoznać jego twarzy. Dinah była pewna, że ma przed sobą kobietę.

W ciągu doby okresy pracy Skautów się nakładały. Kobieta za oknem wracała ze swojej zmiany w porze, która dla Dinah była późnym porankiem. Dinah patrzyła, jak z wysiłkiem przemieszcza się po powierzchni Amalthei, korzystając z punktów zaczepienia, starannie planując kolejne ruchy, wymijając liny i pępowiny. Musiała być skrajnie wyczerpana. Dinah odbyła kiedyś dwugodzinny spacer w skafandrze kosmicznym; przez cały następny dzień do niczego się nie nadawała. Czasem, kiedy miała wrażenie, że kobiecie przydałby się dodatkowy chwyt czy stopień, posyłała jej na pomoc krabochwyta albo żmijkę. Kobieta odwracała wtedy głowę w jej stronę i mrużyła oczy, co Dinah odczytywała jako wyraz wdzięczności. W końcu docierała do otworu wejściowego swojego Westibiulu i wślizgiwała się do środka, a wtedy mechanizm (niewidoczny dla Dinah) robił swoje: cumował skafander, wyrównywał ciśnienie i otwierał drzwiczki, pozwalając jej wyjść ze skafandra. Kobieta znajdowała zawieszony na łańcuszku z plastikowych obejm klucz nasadkowy, sięgała „ponad” głowę i najpierw odkręcała dwadzieścia cztery śruby mocujące przegrodę Łuka, a następnie – po jej zdjęciu – wkręcała je z powrotem w kołnier, żeby nie dryfowały po Westibiulu. Na koniec przez czterdziestocentymetrowe wejście przedostawała się do względnie przestronnego wnętrza Łuka. Po drodze zabierała „pocztę”, która podczas jej zmiany zebrała się w Westibiulu,

a na którą składały się jedzenie, napoje, przybory toaletowe, worek lodu, który z czasem miał się roztopić, zapewniając Łukowi namiastkę klimatyzacji, torebki na odchody oraz – w jej przypadku – tampony.

Ponieważ pracą Skautów rządziły tymczasowość i prowizorka, Dinah nie miała jak porozumieć się z kobietą za oknem czy choćby zapytać o jej imię. Wydawało się to niedorzeczne, ale działał w tym wypadku ten sam mechanizm, który jedenastego września uniemożliwiał strażakom komunikację z policjantami: Skauci mieli własne radia, działające na częstotliwościach, do których Dinah nie miała dostępu.

Przejrawszy dostępne na stronie NASA biografie Skautów, Dinah metodą eliminacji ustaliła, że ma do czynienia z Teklą Aleksiejewną Iliuszyną, oblatywaczką samolotów i brązową medalistką olimpijską w siedmioboju. W dawnych sowieckich czasach przed Teklą otworzyłyby się wspaniałe perspektywy w roli bożyszczka propagandy, lecz dominujący ostatnio w rosyjskiej kulturze silny trend konserwatywny pozostawiał niewiele miejsca dla kobiet w typowo męskich dziedzinach życia zawodowego, takich jak służba wojskowa czy program kosmiczny. Z tego powodu doświadczenie musiała zdobywać głównie poza granicami Rosji, w prywatnych agencjach kosmicznych. Kilka lat temu wróciła do roli jednej z dwóch aktywnych kosmonautek na świecie. Dinah miała w sobie dość cynizmu, by dostrzegać w tym oczywisty podtekst polityczny: jeżeli Roskosmos chciał współpracować z NASA i Europejską Agencją Kosmiczną, musiał mieć chociaż jedną czy dwie kobiety kosmonautki.

Tekla miała trzydzieści jeden lat. Została trochę podrasowana przed zrobieniem oficjalnego zdjęcia promocyjnego; miała na przykład sztywne, niemodne uczesanie w stylu księżnej Diany, w którym nie wyglądała zbyt korzystnie. Podczas ostatniej olimpiady jeden z portali plotkarskich zaliczył ją do pięćdziesięciu najbardziej seksownych sportswomenek i choć nie znalazła się w czołówce tego zestawienia, zdaniem Dinah była całkiem ładna – ze swoimi wyrazistymi kośćmi policzkowymi, zielonymi oczami, blond włosami i innymi cechami, jakich można się było spodziewać po słowiańskiej Superwoman. Było też jednak oczywiste, dlaczego w owej pięćdziesiątce zajęła dopiero czterdzieste ósme miejsce: mocno zarysowana szczeka nadawała jej twarzy chłodny wyraz, który wymagał od fotografa starannego doboru

kadru oraz, jak przypuszczała Dinah, odrobiny pracy w Photoshopie. Mężczyźni zaglądający na takie strony uznali by ją pewnie za zniechęcającą, chociaż nie umieliby powiedzieć, co dokładnie im w niej przeszkadza. Przeraziłyby ich wyrobione mięśnie naramienne, podczas pchnięcia kulą rysujące się pod skórą jak napięte powrozy. Dinah postanowiła nie czytać komentarzy; z góry mogła przewidzieć, co zawierają.

Teklę wysłano tu na śmierć, a ona najprawdopodobniej zdawała sobie z tego sprawę.

Kiedy po zakończeniu zmiany przeciskała się przez usztywniony kołnierz, żeby podryfować sobie w powietrzu w mlecznej bańce Łuka, zdierała chłodzoną cieczą warstwę ubrania, którą przez cały dzień nosiła przy skórze. Uszyto ją z dwóch warstw elastycznej niebieskiej siatki, pomiędzy które wstawiono sieć plastikowych rurek. Ubranie działało dopiero po podłączeniu do pompy, która tłoczyła w rurki zimną wodę. Po szesnastu godzinach Tekla musiała go mieć po dziurki w nosie, dlatego pozbywała się go w pierwszej kolejności. Następnie, obciążony bielizną do kolan, demontowała cewnik Foleya, który opróżniał jej pęcherz podczas pracy. Wycierała się dostarczonymi w „poczcie” wilgotnymi chusteczkami, które następnie wrzucała do torby na śmieci. Przed opuszczeniem Ziemi ogoliła głowę albo przynajmniej ostrzygła się na rekruta, w każdym razie nie miała problemu z włosami. Dopiero po tych zabiegach otwierała pakiet zawierający rację żywnościową i zaczynała jeść. To z kolei często kończyło się rychłą defekacją, z którą Tekla musiała się uporać w najbardziej toporny sposób, za pomocą foliowej torebki i kolejnej partii wilgotnych chusteczek. Wszystko razem trafiało do śmieci, które przy wyjściu do pracy składała w Westibiulu, skąd odbierano je podczas jej zmiany. Na koniec wyłączała diodowy pasek – jedyne źródło światła w Łuku – i niekiedy przez jakiś czas wpatrywała się jeszcze w ekran tabletu, zanim nałożyła osłonkę na oczy i poszła spać.

Jedno okrążenie Ziemi zajmowało Izzy dziewięćdziesiąt dwie minuty. W tym czasie przebywała cały cykl dnia i nocy, tak że przez połowę czasu, który Tekla przesypiała, Dinah mogła wyjrzeć przez okno i zobaczyć ją, niemal nagą, unoszącą się w powietrzu w Łuku niczym płód w bańce płynu owodniowego.

Obserwowała ją tak mniej więcej przez tydzień i stwierdziła, że jest to niezmiernie zabawne. Przywiodła do warsztatu najpierw Ivy, a potem Rhysa, żeby pokazać im śpiącą Teklę. Rozmawiali o niej, przesyłali sobie nawzajem jej znalezione w Internecie zdjęcia.

– To mogłabym być ja, moja droga – powiedziała Dinah do Ivy. – Albo ty.

– Ona jest nami – przytaknęła Ivy. – Co najwyżej w innym stopniu.

– Myślisz, że nas też czeka taki koniec?

Ivy zastanowiła się nad tym pytaniem i pokręciła głową.

– Na dłuższą metę tak się nie da żyć.

– Czyli co, twoim zdaniem to misja samobójcza?

– Moim zdaniem to jak życie w obozie. Masz za oknem taki własny miniaturowy gułag.

– Myślisz, że Tekla ma kłopoty? – spytała Dinah.

– Wszyscy mamy kłopoty – przypomniała jej Ivy.

– No tak, zapomniałam.

– Nie zapominaj, że w gruncie rzeczy miała szczęście.

Przynajmniej wyrwała się z Ziemi.

– Nie wygląda na szczęśliwą. Nigdy nie widziałam człowieka, który by się tak izolował od świata. Czy ona się z kimś kontaktuje przez ten tablet? Czy tylko surfuje po sieci?

– Mogę zapytać Spencera, jeśli chcesz. Na pewno rejestruje cały ruch internetowy.

Dinah wiedziała, że to żart, ale odparła:

– Nie, nie ma potrzeby. Zostawmy jej tę odrobinę prywatności.

Rhys na widok Tekli zareagował podnieceniem. Zachował należytą dyskrecję, ale od chwili, gdy ją zobaczył, do momentu, gdy uprawiali z Dinah seks, upłynęło zaledwie pół godziny. Choć nigdy nie potrzebował długiego rozruchu. Dinah zresztą też nie. Od początku wiedziała, że to zrobią.

Poznawała to po tym, jak pachniał – przynajmniej wtedy, kiedy akurat nie wymiotował. W innym miejscu i czasie sam zapach by nie wystarczył, najpierw by randkowali albo coś w tym guście; pojawiłyby się komplikacje wynikłe z wcześniejszych związków, różnicy w stylu życia, różnych poglądów na zacieśnienie znajomości... Ale tutaj jakby zadziałał automat. I było fantastycznie.

A sądząc z internetowych doniesień z Ziemi, sytuacja taka była dość powszechna: może i rasa ludzka znalazła się na skraju zagłady, jej odejście miała jednak poprzedzić trwająca dwa lata orgia.

Nieco inaczej rzecz się miała z sypianiem ze sobą; Rhys nie miał nic przeciwko temu, ale logistycznie było to przedsięwzięcie dość skomplikowane. Astronauci sypiali zwykle w mocowanych do ścian lub podłogi śpiworach, dzięki którym podczas snu nie latali w przypadkowy sposób po całej stacji. Śpiwór mieścił jedną osobę. NASA nie produkowała na razie wersji dwuosobowych, toteż jeśli po wszystkim zachciało im się spać, musieli improwizować: przytulali się i owijali tym, co akurat wpadło im w ręce. Nigdy nie trwało to jednak dłużej niż parę minut, po których Rhys wracał do swoich zajęć, a Dinah, jeśli nadal czuła się senna, wchodziła do śpiwora, który trzymała na stałe w warsztacie; czasem, dręczona wyrzutami sumienia, zerknęła jeszcze przez okno na nieszczęsną Teklę.

Któregoś dnia, kiedy Tekla wyszła do pracy, Dinah wzięła jeden z zabranych z Ziemi batoników czekoladowych, napisała na opakowaniu swój adres e-mailowy i wręczyła batonik krabochwytowi, którego następnie wystawiła przez służbę na zewnątrz. Pokierowała robotem po powierzchni Amalthei do punktu, w którym przymocowany był Westibiul Tekli, następnie kazała mu przepełznąć po linie (to było łatwe, krabochwyt miał do tego specjalny algorytm) i wgramolić się do wnętrza Westibiulu. Tam robocik zajął pozycję i czekał, trzymając baton w wolnej łapie.

Kiedy Tekla wróciła ze swojej zmiany, Dinah z satysfakcją obserwowała, jak odwija batonik i go zjada. Podniosła rękę i pomachała przez warstwy plastiku; Dinah nie mogła rozpoznać wyrazu jej twarzy.

Krabochwyt tkwił w Westibiulu i miał tam pozostać do czasu, gdy Tekla znów będzie wychodziła do pracy. Widząc, jak Tekla zmierza w stronę wyjścia, Dinah włączyła kamerę w robocie i z fascynacją obserwowała wyraźny obraz jej twarzy.

Nie wyglądała wcale najgorzej; Dinah spodziewała się widoku wyzwolonej więźniarki obozu koncentracyjnego, ale Tekla najwyraźniej nie uskarżała się na niedożywienie.

Nie mogła oczywiście zobaczyć Dinah, a krabochwyt nie zapewniał łączności dźwiękowej; w próżni dźwięk się nie rozchodzi, więc robotów

kosmicznych nie wyposażano w mikrofony i głośniki.

Beznamiętnie obserwowała krabochwyta; być może zastanawiała się, czy robocik ją widzi.

Dinah wsunęła dłoń w rękawicę manipulatora, połączyła się z wolną łapą robota i pomachała.

Zielone oczy Tekli wyraźnie drgnęły, śledząc jego ruchy, lecz na jej twarzy nadal nie odmalowały się żadne emocje.

Dinah poczuła się lekko urażona. Czyż krabochwytny nie był słodziutki – na swój brzydki, roboci sposób? Czy jego machanie łapką nie było zabawne?

Tekla podniosła do kamery opakowanie po batoniku. Poniżej adresu Dinah dopisała na nim: NIE E-MAIL.

Co to miało znaczyć? Że nie ma adresu e-mailowego? Że nie odbiera poczty na tablecie? A może prosiła Dinah, żeby ta nie próbowała się z nią w ten sposób kontaktować?

Krabochwytny miał wbudowaną wysokowydajną lampkę diodową, którą Dinah mogła włączać i wyłączać z klawiatury komputera. Włączyła ją teraz i zobaczyła blask kładący się na twarzy Tekli i odbijający się w oczach.

Czy Rosjanie używali takiego samego alfabetu Morse'a jak Amerykanie?

Tekla musiała znać morsa. Była przecież pilotem.

Kropkami i kreskami Dinah nadała:

M O R S E

Tekla skinęła głową i Dinah odczytała odpowiedź z ruchu jej warg:

– *Da.*

Nadała Morseem:

POTRZEBUJESZ CZEGOŚĆ?

Po twarzy Tekli przemknął ledwie dostrzegalny cień uśmiechu. Nie był to serdeczny uśmiech, raczej... zadumany.

Wskazała na niedojedzoną resztkę batonika.

Dinah odpowiedziała:

JUTRO

Tekla pokiwała głową, jej krótko przycięte włosy zalśniły w świetle diod i wycofała się w głąb swojej cebulki.

* * *

– Pięć procent.

Takimi słowami Ivy rozpoczęła następną odprawę w Bananie.

Było pełno: oprócz oryginalnej dwunastoosobowej załogi w zebraniu uczestniczyła piątka z Sojuza przybyłego w dniu A+0.17 oraz Igor, Skaut, który od czasu awarii skafandra zamieszkał na stacji. Właśnie Igor – do spółki z Marco i Jibraniem – przed spotkaniem zamontował w pobliżu stołu kilka wentylatorów, które miały tłoczyć do Banana świeże powietrze i zapobiegać zaleganiu dwutlenku węgla. Dinah zażartowała wtedy, że może wszystkie zebrania powinny odbywać się w hermetycznie zamykanych pomieszczeniach, co znacząco ograniczałoby czas ich trwania; nikogo tym nie rozbawiła – może poza Rhysem. Tak czy inaczej, zgiełk czyniony przez system wentylacji był głośniejszy niż zazwyczaj, dlatego Ivy musiała przemawiać Głosem Wielkiej Szefowej.

– Mamy trzydziesty siódmy dzień – ciągnęła. – Minęło dziesięć procent roku. Jeżeli prawdą jest, że od Dnia Zero do Kamiennego Deszczu upłyną dwa lata, straciliśmy już pięć procent czasu, w którym możemy liczyć na jakiekolwiek wsparcie z Ziemi. Pięć procent czasu, jaki mamy na stworzenie (na bazie tej instalacji) społeczeństwa i ekosystemu, które przetrwają wieki.

Stojąc plecami do ekranu, nie widziała reakcji architektów zebranych na Ziemi, w sali konferencyjnej na drugim końcu łącza wideo. W dzisiejszym spotkaniu uczestniczyło ich troje: Scott „Sparky” Spalding, który w dalszym ciągu był dyrektorem NASA, doktor Pete Starling, doradca naukowy pani prezydent, oraz Ulrika Ek, Szwedka, do niedawna (czyli do momentu, gdy nieoczekiwany rozwój wypadków zmusił ją do zmiany planów zawodowych) zarządzająca projektami w jednej z prywatnych firm zajmujących się komercyjną eksploracją kosmosu, a obecnie koordynatorka działań państwowych agencji kosmicznych i prywatnych spółek współpracujących przy tworzeniu Arki w Chmurze. Wszystko wskazywało na to, że została Głównym Arkitektem.

Określenie „wszystko wskazywało” było w tym wypadku kluczowe, ponieważ przy każdym kontakcie z Ziemią Dinah uświadamiała sobie od

nowa, jak niewiele wie o zachodzących tam wydarzeniach. Pod pewnymi względami należała do największych szczęśliwców w dziejach rodzaju ludzkiego: była jedną z tych, którzy przeżyją. Z drugiej strony na orbitę dopływały tak skąpe informacje z Ziemi, że całościowy obraz sytuacji mieszkańcy stacji musieli mozolnie budować z mnóstwa strzępów i skrawków.

Kiedy porównały z Ivy swoje notatki na ten temat, głównodowodząca musiała przyznać, że ona również niewiele wie, a w dodatku nowo poznane fakty co rusz przeczą tym uprzednio ustalonym.

To było jak kremlologia. W czasach świetności Związku Radzieckiego mieszkańcy świata zachodniego mieli tylko jeden sposób na to, by zorientować się w sytuacji za Żelazną Kurtyną: pierwszego maja należało bacznie śledzić kolejkę dygnitarzy państwowych do Mauzoleum Lenina, obserwować, kto gdzie siedzi podczas defilady i kto komu podaje rękę. Dinah robiła w tej chwili to samo w odniesieniu do trójki rozmówców na ekranie.

Sparky był do niczego. Spędził dużo czasu w kosmosie i miało się wrażenie, że cały świat ogląda jakby z odległości tysiąca lat świetlnych. Słyszał z obojętności na polityczne aspekty swojej pracy.

Pod tym względem Pete Starling stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Jego rola polegała na mamrotaniu naukowych wyjaśnień do ucha pani prezydent – i przez ostatnie trzydzieści siedem dni bardzo często tym właśnie się zajmował. W przeszłości prowadził poważne programy naukowe na uczelniach; w zaledwie dziesięć lat wspinał się po wszystkich szczeblach drabiny, od Mankato State University, przez Georgia Tech, Columbię, aż na Harvard. Co właściwie robił na tym zebraniu? Niewiele wnosił do sprawy... Musiał więc służyć za uszy i oczy JBF.

Tylko dlaczego JBF miałyby się tym interesować? Nie zapadną tu żadne decyzje, należało się spodziewać tylko raportu z postępów prac. Zwykłe spotkanie kontrolne.

Gdy tylko Ivy skończyła mówić, Pete się skrzywił i spojrzał na Ulrikę Ek: dostojną, dobiegającą pięćdziesiątki kobietę, która – jeśli wierzyć Rhysowi – była znakomitą specjalistką w swojej dziedzinie. Na przekazywanym w wysokiej rozdzielczości obrazie Dinah dostrzegła ruch jej oczu: zauważyła, że Starling na nią patrzy, ale udała, że tego nie

widzi.

Było widać, że za nim nie przepada, ale nie bez powodu była szanowaną menedżerką.

– Ivy? – odezwała się teraz. – Gwoli wyjaśnienia: rozumiem, że kiedy mówimy o „instalacji”, używamy tego słowa w bardzo szerokim sensie. Z konieczności.

Ivy odwróciła się do ekranu.

– Być może nie jest to najszcześniejsze słowo – przyznała – jeśli wziąć pod uwagę, że nasza „instalacja” nie jest nigdzie zainstalowana.

– Ulrice chodzi chyba o to – wtrącił Pete Starling – że Arka w Chmurze jest pojęciem płynnym, którego paradygmat może się jeszcze zmienić nie do poznania w miarę upływu pozostałych dziewięćdziesięciu pięciu procent czasu i postępującej adaptacji do zmiennych warunków.

Ivy zmarszczyła brwi. Na Ziemi coś się działo, trwała jakaś polityczna przepychanka. Dla ludzi takich jak Pete tego rodzaju kwestie miały ogromne znaczenie.

– Marnujemy czas – wtrącił Fiodor. – Pracuję nad rozbudową kratownicy, tak by możliwe stało się przyjęcie Pionierów. – Świetnie mówił po angielsku, lecz kiedy się denerwował, tak jak w tej chwili, gubił przedimki. – Mam osiem skafandrow na zewnątrz i pięć w środku, razem trzynaście. Pechowa liczba.

Upowszechniła się na stacji synekdocha, w której „skafander” oznaczał „osobę wykwalifikowaną do wykonywania zadań w otwartym kosmosie i wyposażoną we wciąż jeszcze sprawny skafander kosmiczny”.

– Pionierzy mają przybyć za dwa tygodnie, to się nie zmieniło? W takim razie potrzebuję więcej Skautów, i to, jak to się mówi, na wczoraj.

Kiedy sześć miesięcy wcześniej Fiodor przybył na Izzy, jego misję postrzegano jako pożegnalny występ przed przeniesieniem na jakieś stanowisko administracyjne w Roskosmosie. Wprawdzie zawsze traktował swoje obowiązki z najwyższą powagą, miało się jednak wrażenie, że wszystko ocenia w dłuższej perspektywie, jakby oglądał Izzy oczami biurokraty z przyszłości, który aż do emerytury ma zapewniać bezproblemowe działanie stacji. Oczywiście wszystko to zmieniło się w Dniu Zero, a jeszcze większe zmiany przyniosła rosyjska

inwazja. Fiodor nie otrzymał żadnej nowej rangi ani nowego tytułu – nie były potrzebne: wszyscy Rosjanie dyskretnie i bez słowa zaakceptowali go w roli dowódcy, on zaś stosownie zmienił swoje zachowanie. W żaden sposób nie próbował podważać autorytetu Ivy, był jednak niekwestionowanym szefem we wszystkich sprawach związanych ze skafandrami i ta władza zmieniła go fizycznie: wydawał się wyższy i bardziej imponujący, jego pobrużdżona twarz stała się bardziej zawzięta, a głos – bardziej stanowczy.

– Pompa paliwowa została naprawiona, Fiodorze – odpowiedział mu Sparky. – Nic wielkiego, uszkodzenie czujnika. Start odbędzie się zgodnie z planem, czyli... – Spojrzał na zegarek, policzył w pamięci. – Za czternaście godzin od teraz. Sześć godzin później dostaniesz swoje skafandry.

– A Zawody, Westibiule... Rozmawialiśmy o tym.

– Nasi inżynierowie pracują nad tymi usterkami dniem i nocą.

– Bardzo mnie martwi mechanizm zamykania drzwiczek.

* * *

Reszta zebrania była poświęcona Pionierom, którzy za dwa tygodnie mieli zacząć przybywać na stację i zamieszkać – przynajmniej tymczasowo – w sztywnych lub dmuchanych modułach mieszkalnych, nieco wygodniejszych od Łuków. Moduły miały być przycumowane do hermetycznych rur, w swojej idei niewiele różniących się od spiralnych przewodów wentylacyjnych, jakie widuje się w magazynach, i rozgałęziających się od punktów mocowania do kratownicy. Te sprawy nie dotyczyły Dinah, skoncentrowała się więc na swoim laptopie. Powinna zajmować się teraz innymi sprawami, zwłaszcza że wzmianka Ivy o pięciu procentach nie nastrajała do bujania w obłokach.

Ostatnio zajmowały ją głównie lodowe łąziki, a także – po najświeższej dostawie – roboty drążące tunele w lodzie. Postanowiła sobie jednak, że nie zarzuci prac nad robotami górniczymi; nawet jeśli poświęci im kwadrans dziennie, nie więcej, będzie to lepsze niż nic. Bała się, że jeżeli całkowicie odpuści sobie ten projekt, jej wysiłki przepadną bez śladu.

Dlatego właśnie w lewym dolnym rogu ekranu miała stale otwarte

okienko, w którym wyświetlał się obraz Amalthei – głównie przekazywany przez roboty, które akurat robiły coś ciekawego. Okienko było zawsze obecne na skraju jej pola widzenia, nawet kiedy odpisywała na maile, wypełniała arkusze kalkulacyjne i rysowała diagramy Gantta.

W pewnym momencie zwróciła uwagę, że coś jest nie w porządku z tym okienkiem; kiedy po paru minutach znów coś zwróciło jej uwagę, oderwała się od pracy, powiększyła je i przejęła sterowanie robotem prowadzącym transmisję. Odwróciła kamerę w taki sposób, żeby podejrzeć niepokojący ją obraz w całości.

W kadrze pojawiła się Tekla unosząca się w powietrzu w Łuku. Była cała jasnyniebieska, co oznaczało, że ma na sobie strój chłodzący. Nie było w tym nic niezwykłego: wkładała go codziennie przed rozpoczęciem pracy. Teraz powinna precyzyjnie (stopami naprzód) przez kołnierz Łuka do Westibiulu – ale tego nie robiła: krążyła w tę i z powrotem między Westibiulem i Łukiem. Przepychała się przez kołnierz głową naprzód (co nie było normalne), majstrowała przy czymś przez minutę albo dwie, po czym cofała się do Łuku i chwilę stukała w tablet.

Spóźniała się: każdego innego dnia byłaby już o tej porze na kratownicy.

Nie tylko Dinah zainteresowała się nagle swoim laptopem. Fiodor – który z natury nie był wielbicielem e-maili i innych współczesnych rozrywek – również spoglądał na swój ekran, od czasu do czasu zerkając na nie mniej zaaferowanego Maksima, wykonującego takie gesty, jakby skubał wyimaginowaną brodę.

Coś się działo.

Co powiedział Fiodor?

„Bardzo mnie martwi mechanizm zamykania drzwiczek”.

To nie były abstrakcyjne rozważania. Fiodor odnosił się do konkretnej sytuacji. Mówił o Tekli.

Tekla mogła wygramolić się z Łuka, przeczołgać przez Westibiul i wśliznąć do skafandra, ale nie była w stanie sama zamknąć drzwiczek Orlana. Do tego potrzebowała mechanizmu. Jeżeli mechanizm nie działał, nie mogła zahermetyzować skafandra, a dopóki skafander nie był hermetyczny, była uwięziona w swoim OWL (bo tak zaczęli w skrócie nazywać połączenie Orlana z Westibiulem i Łukiem).

Sytuacja nie była może krytyczna, ale z pewnością poważna. Chcąc odebrać „pocztę”, Tekla musiała odłączyć skafander od Westibiulu, który pozostawał otwarty na dokonywane pod jej nieobecność dostawy. W „poczcie” znajdowały się jedzenie, woda, lód i świeże kanistry do skrubera CO₂.

Dinah nie wiedziała, jak długo Tekla przetrwałaby bez „poczty”, ale raczej nie dłużej jeden dzień. Upał by ją zabił.

Trzeba było wymyślić sposób na ściągnięcie jej do Izzy. Ponieważ kompleks OWL był konstrukcją prowizoryczną, nie został zaopatrzony w port cumowniczy jak normalny statek kosmiczny. Nie miał wjazdu i nie sposób było go podłączyć do śluzy w stacji.

Do końca zebrania (trwało jeszcze pół godziny) Dinah obserwowała twarz Fiodora i zaczęła coś rozumieć: Fiodor przygotowywał się do poświęcenia Tekli. Hartował się emocjonalnie w obliczu nieuniknionego faktu.

Teraz dotarł do niej także sens tamtego komunikatu: NIE E-MAIL. Nikłe prawdopodobieństwo przeżycia stanowiło nieodłączną część losu Skauta – a skoro człowiek wiedział, że zostanie złożony w ofierze, nie było sensu, żeby zaśmiecał skautowskie fora dyskusyjne łzawymi pożegnaniem i rozpaczliwym błaganem o pomoc. Był powód, dla którego Tekla mogła się porozumieć z Fiodorem i tylko z nim; powód, który obrońcy Leningradu, Stalingradu i Moskwy w lot pojęliby i zaakceptowali. Tyle że ten powód trochę nie przystawał do współczesnego etosu.

Poprawka: nie przystawał do etosu obowiązującego w Epoce Jednego Księżyca.

Pasował natomiast idealnie do obecnego stanu rzeczy.

Kusiło ją, żeby pójść do Fiodora i przekonać go do zorganizowania dramatycznej i heroicznej akcji ratunkowej. Coś na pewno można było zrobić. Wszyscy tu oglądali *Apollo 13*, co rusz przerzucali się cytatami z filmu.

Znała jednak odpowiedź. Pionierzy złączą przylatywać (i to masowo) za dwa tygodnie – i zginą na miejscu, jeśli do tego czasu nie poczyni się odpowiednich przygotowań. Nie było czasu do stracenia. Zastępcy Tekli byli już w drodze.

Chociaż raz Dinah cieszyła się, że zebranie się przeciąga: Sparky nie

trzymał się planu, a Pete Starling wykorzystywał to do wypełniania czasu nowymi sloganami. W jej głowie z wolna zarysowywał się plan. Potrzebowałyby pomocy Ivy i Rhysa, być może także Marco; chciałyby też zapewnić sobie obecność Margie Coghlan (najlepszego przybliżenia lekarza, jakim dysponowali), ale mogła załatwić całą sprawę bez pomocy Fiodora i jego skafandrów.

Fiodor stukał palcami wskazującymi na klawiaturze. Dinah wbiła spojrzenie w jego twarz i czekała, aż skończy. Musiał chyba wyczuć, że ktoś mu się przygląda, bo w końcu podniósł wzrok i z pokerową miną spojrzał jej w oczy.

Nie spuściła wzroku.

Na twarzy Fiodora powoli odmalowało się zrozumienie. Uświadomił sobie, że Dinah zdaje sobie sprawę z problemu. Najlepiej ze wszystkich znał topografię Izzy; wiedział, gdzie Dinah spędza większość czasu, tak jak wiedział, że wystarczy wyjrzeć z warsztatu przez okno, żeby zorientować się w sytuacji. Widziała, jak w głowie składał elementy układanki w całość.

Czekał na jakiś wzruszający apel z jej strony... I właśnie dlatego musiała zachować spokój. Gdyby się rozbeczała, na zawsze straciłaby jego szacunek i uwagę.

– Fiodorze? – odezwała się. – Zajmę się tym.

Zamrugął zaskoczony, po czym – po chwili wahania – ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Czym się zajmiesz? – zainteresował się Pete Starling na drugim końcu łącza. – Coś przegapiłem?

– Nie – odparła Dinah. – Po prostu kontynuujemy procesy adaptacyjne zmierzające do pełniejszego wykorzystania naszych kluczowych kompetencji.

* * *

Sądząc po statystykach z witryny internetowej *50 Najseksowniejszych Olimpijczyków*, Ivy była zbudowana podobnie do Tekli; Tekla miała ciut więcej krzepy, a Ivy cał więcej wzrostu. Zaczęły więc od tego, że Ivy wcisnęła się do małej śluzy, przez którą Dinah wysyłała w próżnię swoje

roboty. Kiedy wciągnęła głowę w ramiona i przycisnęła kolana do piersi, w śluzie zostało nawet jeszcze trochę luzu. Dinah zrobiła jej zdjęcie, które następnie dołączyła do e-maila zawierającego szczegółowe instrukcje.

Spencer Grindstaff, który za młodu jako zleceniobiorca CIA zjadł zęby na włamywaniu się do zagranicznych rządowych systemów operacyjnych, wymyślił sposób na przesłanie e-maila do Tekli: należało zapakować wiadomość w taką kopertę, żeby wyglądał jak przysłany przez Fiodora.

Dinah patrzyła, jak Tekla czyta ten e-mail. Podniosła głowę znad tabletu i spojrzała najpierw na okno warsztatu, a potem w stronę śluzy. Wcześniej Dinah zaczynała się już obawiać, że Tekla straciła przytomność, bo przez kilka godzin w ogóle się nie poruszała; teraz domyślała się, że po prostu oszczędza tlen i stara się zminimalizować wydzielanie ciepła.

Przypięwszy silną LED-ową lampkę do włazu od strony śluzy, Dinah zamknęła go i otworzyła zawór, przez który całe powietrze ze śluzy uciekło w próżnię. Następnie pociągnęła dźwignię – to było prościutkie, czysto mechaniczne urządzenie – otwierając drugi, zewnętrzny wąż. Diodowe światło zalśniło na odległej o kilka metrów foliowej powłoce Łuka. Tekla też je zauważyła.

Przysunięcie balonu Łuka do śluzy wymagało współpracy kilku robotów – i był to proces wyjątkowo uciążliwy – jakby próbować chwycić nadmuchany balon szczypcami. Dinah próbowała to zrobić za pomocą żmijek, których miała do dyspozycji tuzin. Żmijka mogła się połączyć z inną żmijką, dwukrotnie zwiększając swoją długość, i proces ten można było kontynuować dowolnie długo, tworząc w ten sposób coś w rodzaju inteligentnego macko-narzędzia. Oparłszy ogon jednej żmijki o powierzchnię Amalthei i przytrzymując ją dwoma solidnie zakotwiczonymi krabochwytemi, kazała drugiej żmijce ześliznąć się po niej i podłączyć do jej sterczącej w próżni głowy. Trzecia dołączyła się do drugiej, czwarta do trzeciej i tak dalej, aż wyrastająca z asteroidy długa macka zaczęła się zakrzywiać wokół foliowej bańki, w której została uwięziona Tekla.

Z początku wszystko szło jak po maśle, ale im dłuższy stawał się łańcuch, tym bardziej był nieprzewidywalny. Żmijki – zbudowane na

podobieństwo gąsienic – składały się z wielu identycznych segmentów połączonych ruchomymi stawami. Stawy miały wbudowane silniczki, które powinny wykonywać polecenia zapisane w programie, dzięki czemu cała konstrukcja zachowywałaby się przyzwoicie. Kłopot w tym, że każdy staw był z natury nieco elastyczny, co z punktu widzenia Dinah było błędem. Te błędy kumulowały się wraz ze wzrostem długości łańcucha i już przy trzech zmiętkach trudno było przewidzieć położenie najdalej wysuniętej główki – nie mówiąc już o jego kontrolowaniu. Kiedy zaś Dinah spróbowała zmusić łańcuch do zakrzywienia się na śliskiej, wypukłej powierzchni Łuka, sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej.

Jakiś czas po rozpoczęciu projektu do warsztatu zajrzał Rhys. Został i obserwował. Potrafił milczeć całymi godzinami, a potem zadać pytanie, które wydawało się zupełnie nie na temat, a zarazem dowodziło, że cały czas myśli o rozwiązaniu problemu.

– A gdybyś wyłączyła wszystkie silniki, żeby łańcuch zwiotczał?

– Nie powinieneś czasem budować torusa? – Odwróciła się i posłała mu swoje najbardziej mordercze spojrzenie.

– Najpierw musimy rozwiązać problem tutaj – odparł spokojnie.

Miała ochotę powiedzieć coś więcej, ale ugryzła się w język, bo Rhys znów majstrował przy swojej biżuterii. Nosił na szyi łańcuszek, cienki, dyskretny, nieozdobny – ot, zwyczajny kawałek łańcuszka ze stali nierdzewnej, dzięki któremu nie gubił swoich pendrive'ów i innych przydatnych drobiazgów. Teraz jednak odpiął je wszystkie i bawiąc się nieobciążonym łańcuszkiem, nadał mu kształt elipsy i wprowadził go w ruch obrotowy w taki sposób, że łańcuszek orbitował wokół jego szyi, w ogóle się z nią nie stykając. Robił to już wcześniej, najczęściej podczas nudnych zebrań. Nauczył się też paru innych sztuczek: umiał nadać łańcuszkowi większą szybkość, a także różne kształty, dmuchając nań przez słomkę lub poszturchując paznokciem. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, łańcuszek wcale nie tworzył idealnego okręgu; wirujący ciąg ogniwek dawał się formować niemal dowolnie i zachowywał raz nadany kształt.

Kiedy, odwróciwszy się do Rhysa, Dinah stwierdziła, że znów się bawi w ten sposób, miała ochotę przewrócić oczami i powiedzieć coś w rodzaju: „Do kurwy nędzy, nie mógłbyś chociaż raz wykorzystać

mózgu do czegoś użytecznego?”.

Jednakże wyraz jego twarzy wyraźnie wskazywał, że tym razem nie zabawa mu w głowie.

Łańcuszek przybrał wydłużony kształt toru wyścigów konnych, niemal ocierając się o szyję Rhysa, dopóki ten nie szturchnął go palcem i nie upodobił do okręgu, a następnie wyśliznął się spod niego. Łańcuszek wirował dalej w powietrzu.

– Przekazuję wiedzę przodków, jeśli koniecznie musisz wiedzieć – powiedział.

– Twoi przodkowie żyli w nieważkości?

– Niestety nie. Mój stryjeczny praprapradziadek John Aitken był ekscentrycznym wiktoriańskim meteorologiem, który miał jeszcze bardziej ekscentryczne hobby: badał fizykę ruchu łańcuchów. Miał o tyle pecha, że musiał to robić w swoim domu w Falkirk, gdzie, przykro mi to mówić, istnieje grawitacja. Dlatego musiał się zadowalać tylko przybliżeniami takich efektów. – Rhys ruchem głowy wskazał wirujący łańcuszek. – W tym celu budował niezwykle mądre maszyny.

– Wobec tego musiał być naprawdę mądrym człowiekiem.

– Był członkiem Towarzystwa Królewskiego i przyjacielem lorda Kelvina, skoro o tym mowa. Ale rozumiesz, do czego zmierzam?

– Wiesz, przed chwilą dałeś mi dość oczywistą wskazówkę, kiedy zaproponowałeś wyłączenie silniczków w moich robotach. Gdybym to zrobiła, połączone bezwładne zmiyki w praktyce niczym nie różniłyby się od kawałka łańcucha.

– Otóż to – przytaknął Rhys, przeciągając zgłoski.

Wstawił wyprostowany palec w tor lotu łańcuszka, który zaczepił o knykieć, szarpnął się i zaplątał bezładnie wokół dłoni.

– To bardzo budujący pokaz – zauważyła Dinah.

– Chwila, chwila. Wygląda na to, że dziadek John znał się na rzeczy. Zresztą później inny facet, niejaki Kucharski, również nad tym pracował. W Berlinie. – Rhys odplątał sobie łańcuszek z ręki, odszukał zapięcie i z pętli łańcuszka zrobił się prosty odcinek długości mniej więcej ludzkiej ręki. – Niestety w Berlinie również mają grawitację, więc Kucharski musiał prowadzić swoje eksperymenty na stołach. Możesz tu przytrzymać?

Dinah dwoma palcami złapała łańcuszek w połowie długości, żeby nie

odfrunął, a Rhys pociągnął oba końce ku sobie, tworząc wydłużone, chuderlawe U.

– Możesz puścić – powiedział. – Tylko ostrożnie.

Dinah puściła łańcuszek i odsunęła się od niego, widząc, jak Rhys upodabnia się do iluzjonisty na scenie. Puścił jedną końcówkę łańcuszka; drugą cały czas przytrzymał dwoma palcami.

– Co się stanie, kiedy pociągnę? – zapytał. – Jakies pomysły?

– Przyciągniesz cały łańcuszek do siebie. Tak myślę.

– Spróbujmy. Daj palec.

Dinah wyprostowała pionowo palec wskazujący. Rhys wolną ręką złapał ją delikatnie za przegub dłoni i ustawił jej rękę w takim położeniu, że palec znalazł się kilka cali od zgięcia tworzonej przez łańcuszek litery U.

– Zobaczmy – powiedział i pociągnął łańcuszek.

Wbrew temu, czego spodziewała się Dinah, U-kształtne zgięcie zaczęło się propagować po łańcuszku w jej kierunku, oddalając się od Rhysa, aż ostatecznie wolny koniec odwinął się jak końcówka bicza i okręcił wokół jej sterczącego palca.

– Mam cię – powiedział Rhys i przyciągnął ją do siebie.

– Zupełnie jak bicz – zauważyła. Odwinęła łańcuszek z palca, zbyt późno jednak, by uniknąć bliskiego kontaktu z Rhysem.

– Bo rządzą nim te same prawa fizyki. Kucharski nazwał to wędrujące zagięcie *Knickstelle*. To mniej więcej znaczy „miejsce zgięcia”.

– Łańcuchy, bicze... Miałeś nadzwyczaj interesujących wiktoriańskich przodków, Rhys.

– Pewnie myślisz, że to miała być zwykła zabawa?

– Nie, wcale nie. Rozumiem, do czego zmierzasz. Zamiast sterować łańcuchem żmijek niczym macką, która napręża wszystkie mięśnie, należy go rozluźnić i pozwolić, żeby sam owinął się wokół Łuka.

Ten mały skok w bok w dziewiętnastowieczną fizykę okazał się jedną z tych sytuacji, w której warto cofnąć się o krok, by potem dzięki temu zrobić pięć kroków naprzód. W ciągu kilku minut Dinah podłączyła do istniejącego łańcucha jeszcze cztery żmijki, a następnie wyłączyła większość silniczków; zostawiła sobie tylko te niezbędne do utworzenia U-kształtnego zagięcia. Kiedy następnie pociągnęła za jeden koniec, *Knickstelle* przeniosło się po ciągu żmijek dokładnie w taki sam sposób,

jak wcześniej po łańcuszku Rhysa, i leniwie oplotło Łuka. Trzeba było kilku prób, żeby chwytak na koniuszku łańcucha znalazł punkt zaczepienia, ale w końcu Łuk spoczął pewnie w objęciach żmijek. Potem krabochwyty oblażyły go i stopniowo oplotły luźną siecią linek zaczepionych do Amalthei lub Izzy, co pozwoliło Dinah przeciągnąć go z miejsca, w którym do tej pory był zacumowany, do modułu mieszczącego warsztat. W miarę przybliżania się Łuka niewyraźny krąg światła zainstalowanej w śluzie LED-owej lampki zwężał się i wyostrzał, a w końcu prawie zgasł, gdy olbrzymia foliowa bańka otuliła wystający tępy cylinder śluzy, który dźgał teraz warstwy Łuka jak palec poszturchujący balon.

Mimo powodzenia manewru z biczem cała procedura zajęła większość dnia. Rhys gdzieś sobie poszedł, jak to miał w zwyczaju. Bo, mongolska kosmonautka, wśliznęła się do warsztatu i najpierw przez dwie godziny przyglądała się pracy Dinah, a potem zaczęła sobie szukać pożytecznego zajęcia. Obserwując Dinah, nauczyła się obsługiwać inforekawicę i komputerowy interfejs do sterowania robotami, a pod wieczór umiała już pilotować krabochwyty i manipulować żmijkami jak stary wyga.

Margie Coghlan wpadła prześledzić ostatnie przygotowania. Była fizjologiem z Australii i przybyła na Izzy przed kilkoma miesiącami, żeby badać wpływ lotów kosmicznych na zdrowie człowieka. Dinah zawsze uważała ją za nieco szorstką, ale może Australijczycy po prostu tacy już są. Teraz przyniosła ze sobą apteczkę i skrzyneczkę ze sprzętem chirurgicznym. Wszyscy astronauta na ISS przechodzili szkolenie medyczne (Dinah i Ivy praktykowały w Houston, w szpitalnych izbach przyjęć, szyjąc ofiary wypadków i nastawiając złamane kości), ale Margie była z nich wszystkich najlepsza.

– Niezupełnie na to się pisałaś, co? – zagadnęła ją Dinah.

– Nikt z nas nie dostaje tego, na co się pisał – zauważyła Margie.

– Może z wyjątkiem Tekli – zabrzmiał głos Ivy. Nie weszła do warsztatu, który Bo, Dinah i Margie wypełniły do granic możliwości, i przystanęła przy włączniku KMUK-a.

– Gotowa do kolejnego pobicia rekordu? – spytała ją Dinah.

– Na pewno gotowa do próby.

To był kolejny komunikat w Kodzie Q: chodziło o maksymalną liczbę

kobiet przebywających jednocześnie na pokładzie stacji kosmicznej. Dawny rekord, ustanowiony w 2010 roku, wynosił cztery. Kilka miesięcy temu został wyrównany, gdy Margie z Liną zameldowały się na Izzy, gdzie przebywały już Ivy i Dinah. Pobito go po raz pierwszy, gdy przed trzema tygodniami na pokładzie Sojuza przybyła Bo. Tekla miała być szósta – jeśli tylko uda się ją wciągnąć przez śluzę.

Gdyby zaś coś poszło nie po ich myśli, ta liczba mogła się obniżyć.

– Bo? Dzięki za pomoc. Teraz chyba będzie lepiej, jeśli ty i Ivy wyjdziecie.

– Powodzenia. – Bo odepchnęła się od włazu śluzy, przeleciała przez cały warsztat i wypłynęła do KMUK-a, obok Ivy.

– Wszystko pozamykałaś? – spytała Dinah, bardziej chyba z nerwów niż z jakiegokolwiek innej przyczyny.

Nie było możliwości, żeby Ivy się pomyliła. Odkąd Księżyc się rozpadł, cały czas stosowano wzmożone środki ostrożności; wszyscy pilnowali zamykania włazów łączących bloki Izzy, żeby przebicie jednego modułu nie spowodowało zniszczenia całego kompleksu.

Ivy nie odpowiedziała.

– Wiesz, co zrobić z tym włazem, gdyby coś się pochrzaniło – dodała Dinah.

– Dużo gadasz, kiedy się denerwujesz – zauważyła Ivy.

– To prawda – przytaknęła jej Margie. – Robimy to czy nie? Ta kobieta może się tam w każdej chwili udusić.

– W porządku. Dam jej sygnał – powiedziała Dinah.

W programie kosmicznym, o którym marzyła jako mała dziewczynka (kiedy wpatrywała się w plakat ze Snoopym Astronautą na suficie baraku mieszkalnego na południowoafrykańskiej prowincji albo w australijskiej telewizji oglądała transmisję na żywo ze stacji kosmicznej), „sygnał” byłby zwięzłą wypowiedzią przekazaną przez mikrofon albo wiadomością wystukaną na klawiaturze. Tymczasem teraz musiała podpłynąć do okienka w warsztacie, spojrzeć w głąb czternastu warstw półprzezroczystej folii i dać Tekli (znajdującej się już niemal na wyciągnięcie ręki) znak wyprostowanym kciukiem.

Tekla skinęła głową i uniosła na wysokość głowy mały przedmiot: scyzoryk na smyczy, którą przewidująco owinęła sobie wokół nadgarstka. Kciukiem otworzyła ząbkowane ostrze.

Dinah skinęła głową.

Tekla odpowiedziała jej w ten sam sposób i zniknęła z pola widzenia, przemieściwszy się w stronę śluzy.

– Idzie – zameldowała Dinah.

Już wcześniej stwierdziła, że Margie musi mieć niezłą krzepę; była krępa, ale raczej muskularna niż sflaczała.

Złapała za dźwignię zamykającą zewnętrzny właz śluzy.

– Przytrzymaj mnie – zwróciła się do Margie.

Obawiała się o tworzącą Łuk masę folii: jakieś jej skrawki na pewno zaplącą się w uszczelkę włazu.

Idea była prosta; Dinah setki razy obracała ją w głowie. Tekla wykona kilkucalowe nacięcie w wewnętrznej powłoce Łuka. Powietrze będzie próbowało wypłynąć z wewnętrznego balonu do następnego, w którym panuje niższe ciśnienie. Jeśli Tekla wciśnie głowę i ramiona w powstały otwór, będzie jak korek w butelce z szampanem: powietrze pod ciśnieniem będzie usiłowało wypchnąć ją na zewnątrz. Rozcinając kolejne warstwy Łuka, doprowadzi do sytuacji, w której za jej plecami ciśnienie wzrośnie do tego stopnia, że w końcu wypluje ją jak pestkę arbuza. Wystarczy, żeby Tekla celowała wtedy w białą LED-ową lampkę w śluzie, a z pewnością do tej śluzy trafi.

Przez chwilę znajdzie się naga i bezbronna w strumieniu powietrza, które będzie usiłowało rozproszyć się w otaczającej ją próżni. Wtedy...

Dał się słyszeć głośny szum, a potem miękkie, głucho uderzenie.

– Jezu... – jęknęła Margie. – To chyba już.

– Wyszła – potwierdziła Bo, która w sąsiednim pomieszczeniu śledziła na tablecie transmisję wideo z kamery pobliskiego krabochwyta. – To znaczy jest w śluzie.

Dinah pociągnęła za uchwyt, usiłując zamknąć zewnętrzny właz. Jej ciało, posłuszne Trzeciej Zasadzie Dynamiki Newtona, próbowało się przemieścić w przeciwnym kierunku. Na szczęście Margie, która trzymała ją w istic niedźwiedzim uścisku, zdążyła się zaprzec i utrzymać Dinah w miejscu.

– Miażdżysz jej stopę! – ostrzegła Bo.

– O w mordę...

– Noga jej wystaje!

– Dinah? – wtrąciła się Ivy. – Musisz uchylić właz; przycięłaś Tekli

nogę.

Dinah rozluźniła rękę. A jeśli Tekla była już nieprzytomna? Jeśli nie zdołała przyjąć pozycji płodowej, którą pokazali jej na zdjęciu?

Zmiana w tonie głosu Bo i Ivy odpowiedziała jej, że się myli.

– Weszła! – wykrzyknęła Ivy.

– Zamykaj właz! – wołała Bo. – Zamykaj!

Dinah przekręciła uchwyt do oporu i z trzaskiem zablokowała go w pozycji zamkniętej. Coś tam nie do końca zagrało jak trzeba, ale właz się zatrzasnął.

Margie uruchamiała tymczasem zawór napełniający służę powietrzem; z założenia powinno się to odbyć stopniowo, ale proces okazał się tak gwałtowny, że od zmiany ciśnienia podskoczyły im przepony i zakłuło je w uszach.

– Krew – oznajmiła tępo Bo. – Wycieka ze służy.

– Kurwa mać! – zaklęła Dinah. Słowa Bo oznaczały dwie nefajne rzeczy jednocześnie: właz wcale nie został zamknięty, a Tekla była ranna.

– Otwórzmy z tej strony – zaproponowała Margie.

Ostatecznie potrzebne były wszystkie cztery: Dinah, Margie, Bo i Ivy stłoczyły się w warsztacie, wcisnęły czubki palców pod krawędź włazu i naprężywszy plecy i nogi, otworzyły zassaną pokrywę. Właz puścił i otworzył się na oścież jak zakrętka pakowanego próżniowo słoika, kiedy wreszcie uda się ją odkręcić.

W środku była Tekla skulona w przepisowej pozycji płodu – i cała czerwona od krwi.

Zaniemówiły i patrzyły na nią bez słowa.

Poruszyła głową. Odwróciła się w ich stronę: w miejscu jednego oka widniała ogromna czerwona plama.

Dinah powstrzymała się od wrzaśnięcia jak mała dziewczynka tylko dlatego, że żołądek podszedł jej do gardła. Bo wzięła głęboki wdech i zaczęła mamrotać coś pod nosem.

Tekla rozprostowała ręce i złapała się krawędzi włazu. Wokół prawego nadgarstka wciąż miała zaplecioną końcówkę smyczy, na której drugim końcu było widać rękojeść noża; Dinah przypuszczała, że nóż się złamał, dopóki nie dotarło do niej, że całe ostrze tkwi w przedramieniu Tekli.

Tekla podciągnęła się kilka cali, wetknąwszy tym samym głowę do warsztatu, i znieruchomiła w tej pozycji. Otworzyła oko – przekrwione oko w zakrwawionej twarzy, ale poza tym całkiem zwyczajny, sprawny narząd wzroku.

Dinah odzyskała słuch i uświadomiła sobie, że słyszy głośny syk: towarzyszył powietrzu uciekającemu z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej – nie przez jakiś duży otwór, lecz przez ubytki zewnętrznej uszczelki śluzy. Opływając ciało Tekli, tworzyło za jej plecami próżnię, której zasysanie musiała przezwyciężyć, żeby wgramolić się do warsztatu.

W przyływie zażenowania – niczym gospodyni, która zapomniała, jak należy witać gości – Dinah złapała Teklę za jedną rękę, Margie za drugą i przy wtórze ostatniego głośnego mlaśnięcia wywlokły nasmarowane krwią ciało Tekli ze śluzy.

Dinah przymknęła właz; Wielki Odkurzacz, jak astronauta starej daty nazywali próżnię, zadbał o resztę i z przerażającą gwałtownością zatrzasnął pokrywę.

Stracili całkiem konkretny procent atmosfery w tym module – nie aż tyle, by zagroził im brak tlenu, ale wystarczająco dużo, żeby dzwonki alarmowe rozbrzęczały się od Izzy aż po Houston.

Margie zajęła się ręką Tekli, która krwawiła dość obficie, a Ivy i Bo – obie w niebieskich rękawiczkach – oczyściły jej twarz chusteczkami. Poznawały też coraz więcej szczegółów.

Pomysł wypalił. Cięcia noża Tekli były mocne i dobrze wymierzone, co najwyżej nieco zbyt skuteczne, przez co została wystrzelona przez zewnętrzną warstwę Łuka z ogromną siłą. Wpadając do śluzy, uderzyła twarzą w jakieś metalowe elementy po drodze, które rozcięły jej czoło i policzek. Popłynęło mnóstwo krwi. W tej samej chwili ostrze o coś zahaczyło, nóż wykręcił się jej w dłoni i wbił w przedramię. Przez moment leżała oszołomiona, z jedną nogą sterczącą poza właz, który Dinah bezskutecznie próbowała zamknąć; dopiero po chwili ocknęła się i przyjęła zalecaną pozycję. Przez ten krótki czas miała bezpośredni kontakt z próżnią kosmiczną, która bynajmniej nie zatamowała krwotoków – na szczęście powietrze wypełniło śluzę i ciśnienia się wyrównały, zanim doszło do nieodwracalnych uszkodzeń.

Obawy Dinah okazały się słuszne: kawałki folii utknęły w uszczelce

zewnątrznego wjazdu, powodując syczący wyciek powietrza. Większość z nich odfrunęła w przestrzeń przy następnym otwarciu wjazdu, a te, które krew Tekli przykleiła do uszczelki, udało się usunąć za pomocą odpowiednio zaprogramowanego roju gzów. Dinah zostawiła to zadanie jako ćwiczenie dla Bo, która z godną podziwu szybkością wspinała się po robociej krzywej uczenia się.

Dinah przepłynęła przez całą długość Izzy do Piasty, a z niej do Torusa, gdzie Margie – posiłkując się poradami chirurgów traumatologów z Houston – zajęła się ręką Tekli. Słaba grawitacja w torusie ogromnie ułatwiała tego rodzaju pracę: nie trzeba było się martwić unoszącymi się wszędzie w powietrzu globulkami krwi. Lina Ferreira i Jun Ueda, wykwalifikowani biolodzy, pełnili rolę jej asystentów.

Ivy w swoim biurze odpierała wściekłą nawałnicę zarzutów ze strony ludzi w Houston.

Zabieg przeprowadzano w znieczuleniu miejscowym, w związku z czym Tekla była przytomna. Umyli ją, oczyścili rany, a rozcięcia wokół oka skleili małymi plasterkami i Krazy Glue. Z tego boku srebrzystoblond szczecina na głowie była jeszcze ciemna od skrzepłej krwi. Tekla miała też mocno przekrwione oczy i mnóstwo maciupeńkich czerwonych śladów na całej twarzy. Dinah została ostrzeżona, że należy się ich spodziewać: były to wybroczyny, czyli naczynka włosowate znajdujące się tuż pod powierzchnią skóry, które popękały w próżni na skutek różnicy ciśnień. Sądząc jednak po tym, jak Tekla poruszała gałkami ocznymi i ogniskowała wzrok na różnych przedmiotach, z jej oczami wszystko było chyba w porządku.

– Nie trzeba było tego robić – powiedziała Tekla do Dinah.

– To prawda.

– Będę miała kłopoty.

– My już mamy. – Dinah ruchem głowy wskazała biuro Ivy. – Mamy ogromny kłopot... z mnóstwem martwych ludzi.

Reakcja Tekli była niezauważalna, ale było słychać, jak Margie, Linie i Junowi zaparło dech w piersi. Na moment wszyscy znieruchomieli.

– Margie? – zabrzmiał dobiegający z Ziemi głos z teksańskim akcentem. – Na twoim miejscu ten martwy chirurg z Ziemi założyłby zacisk na tę arteriołę, nim znów zaczniesz krwawić.

– Ci z nas, którzy mają przeżyć – dokończyła Dinah – muszą nauczyć się sami kierować swoim losem.

Pionierzy i Poszukiwacze

– Człowiek lodu dotarł do celu.

– Ach... – westchnął Rhys. – Zastanawiałem się, które z nas będzie pierwsze.

Wycofał się, odsunął, a potem ściągnął kondom i zawiązał na nim supeł z wprawą, która w sercu Dinah budziła mroczny odruch zazdrości. Tyle dobrego, że nic nie latało luzem po warsztacie.

– To mogła być twoja ostatnia dostawa – powiedziała. – Lodu, ma się rozumieć.

– Masz już zamrażarkę?

– Przyślą mi z jutrzejszym ładunkiem z Kourou.

– Nie mogliby dorzucić shakera do robienia martini?

– Od tego mamy torebki foliowe.

– W takim razie mam nadzieję, że moje dostawy... lodu, ma się rozumieć... jakoś ci pomogły. Czymkolwiek się zajmujesz, u licha.

– Chodź, zobacz.

Dinah zawinęła się w koc, odepchnęła palcem stopy od ściany i podpłynęła do komputera. Chwilę postukała w klawiaturę i na ekranie wyświetlił się filmik. Pierwszy kadr był dość posępny: blok lodu w czarnej komorze rozświetlanej jasnym, lecz zimnym diodowym światłem.

– Domyślam się, że to z laboratorium Arjuna Expeditions?

Rhys, wciąż nagi, podpłynął do niej od tyłu i objął ją w talii. Dinah lubiła sobie wyobrazać, że jest to z jego strony gest czułości – i po części tak właśnie było, ale dostatecznie dużo czasu spędziła w zerowym ciężeniu, żeby mieć świadomość, że Rhys po prostu musiał gdzieś zakotwiczyć, jeśli chciał spokojnie obejrzeć film.

– Tak.

W kadrze pojawił się brodaty mężczyzna z rudoblond włosami. W ręce trzymał arkusz żebrowanej tektury: wieko pudełka po pizzy.

– To chyba Larz Hoedemaeker; często współpracujemy.

Larz podsunął tekturę do kamery: była niemal w całości pokryta opalizującymi przedmiotami wielkości paznokcia, które do złudzenia przypominały krzemowe żuczki. Były ich setki.

– Mnóstwo tych gzów – zauważył Rhys.

– No wiesz... O to właśnie chodzi, żeby stworzyć rój.

– To rozumiem. Chodziło mi o to, że najwyraźniej udało im się zintensyfikować produkcję.

Larz złamał tekturę po skosie, tworząc z niej toporne korytko, i przechylił ją ponad lodem. Lawina gzów zsunęła się na lód i utworzyła na nim mały kopczyk; część się odbiła, rozsypała na boki i pospadała na podłogę. Larz zniknął, by po chwili wrócić z obrotowym krzesłem na kółkach. Ustawivszy je obok bloku lodu, znów wyszedł poza kadr, a kiedy tym razem wrócił, przyniósł zegar zdjęty chyba przed chwilą ze ściany w biurze. Postawił go na siedzeniu w taki sposób, żeby tarcza była dobrze widoczna w kadrze – i wyszedł.

Światło pojaśniało.

– Symulują promieniowanie słoneczne – wyjaśniła Dinah. – Gzy są zasilane z baterii słonecznych, więc kiedy chce się je przetestować, trzeba im zapewnić mocne oświetlenie.

Wskazówka minutowa ruszyła z kopyta.

– Oglądamy to w przyśpieszonym tempie? – domyślił się Rhys.

– Tak. Proces jest dość powolny, sam widziałeś.

Rozsypane na podłodze gzy przez jakiś czas miały się bezładnie, ale w końcu namierzyły lodowy blok i wspięły się po jego pionowych ściankach.

– Jak widzisz, mają całkiem niezłą przyczepność – zauważyła Dinah.

Tymczasem gzy rozsypane na górnej powierzchni lodu rozpląnęły się po niej jak masło po gorącym racuchu, tworząc dość równomierną warstwę. Kilka z nich zapadło się w lodzie.

– Wtopią się w głąb? – spytał Rhys.

– Nie. Zużywałyby za dużo energii, a w nieważkości i tak by to nie zadziało. Widzisz te hałdki? – Dinah wskazała górną powierzchnię lodu, na której przy wylocie tunelików pojawiły się kopczyki bieli. – To lodowy odwał wyrzucany przez gzy z tuneli.

– W nieważkości kopczyków też nie będzie – zauważył Rhys.

– Nie wszystko naraz! – Dinah sprzedała mu kuksańca pod żebro. – Nad tym już pracują inni. Patrz.

Najechała kursorem na innego gza, który przemieszczał się po lodzie. Zgarnął z kopczyka kilka lodowych okruchów, cofnął się i skierował w stronę krawędzi bloku.

– Jak on to robi?

– Znasz to uczucie, kiedy wilgotną ręką wyjmujesz kostkę lodu z zamrażarki, a ona przykleja ci się do skóry? To ten sam mechanizm. Tak samo zresztą gzy poruszają się po lodzie i nie spadają.

Wskazówka minutowa zegara jeszcze przyśpieszyła, a teraz dało się zauważyć także ruch godzinowej. Powierzchnia lodu, cała dziobata, zaczęła się stopniowo obniżać w miarę wybierania materiału przez roboty. Równocześnie jednak na jednej z krawędzi bloku pojawiła się wypukłość, która z czasem przybrała kształt wypustki z solidną podporą, jak róg kowadła.

– Co one budują? – zainteresował się Rhys.

– Nieważne. To tylko dowód słuszności koncepcji.

Wzrost ustał, zegar zwolnił, inny inżynier pojawił się w kadrze i obfotografował wynik eksperymentu. Film się urwał, ekran poczerniał.

– Interesujące! – przyznał Rhys.

Dinah złapała go za rękę, zanim zdążył się oddalić.

– Czekaj. Teraz będzie z maksymalnym przyśpieszeniem.

Film zaczął się chwilę później – ten sam materiał, odtworzony z dziesięciokrotnie większą prędkością, trwał dosłownie kilka sekund. Gzy poruszały się na tyle szybko, że były widoczne tylko jako rozedrgana szara mgiełka, gęstniejąca w jednych miejscach i rzadnąca w innych. Dzięki temu oko widza w naturalny sposób skupiało się na bloku lodu: przy tej prędkości bardziej niż kryształ przypominał amebę, która wyraźnie oklapła, wypuszczając zarazem nibynóżkę.

– Należy się domyślać, że Sean Probst ma jakieś powody, dla których chce uczyć lód nowych sztuczek – powiedział Rhys.

– To prawda, ale jeśli je ma, to się nimi ze mną nie dzieli.

– Można by te gzy połączyć w jeden ciąg?

– Stworzyć łańcuch?

– Właśnie. Żmijki są niezłe, ale niepotrzebnie skomplikowane.

– A ty nic, tylko o tych łańcuchach... Owszem, da się to zrobić. Można

zresztą później połączyć takie łańcuchy bokami i utworzyć płaszczyznę.

– Dziadek John nawołuje mnie z za grobu, żebym twórczo wykorzystał jego hobby.

– Bądź dla mnie miły, to może dam ci się nimi pobawić.

Dzień 56

W dniu A+0.56 Piasta, wokół której obracał się torus, przestała być najdalej wysuniętym ku rufie modulem Izzy i została przemianowana na P1. Z przylądka Canaveral rakieta nośna wyniosła na orbitę drugą piastę, większą, nazwaną P2, która zespoliła się z P1.

Początkowo P2 miała służyć do obsługi wzmożonego ruchu turystycznego. Pierwotne zadanie Rhysa, do którego przygotowywał się przez dwa lata, miało polegać właśnie na zapewnieniu infrastruktury turystycznej. Oczywiście teraz dla wszystkich elementów stacji przewidziano całkiem nowe role, ale od strony funkcjonalnej niewiele się zmieniło: wokół P2 miał wirować nowy, większy torus, nazwany – jakżeby inaczej – T2. Miał zostać zmontowany w przestrzeni kosmicznej z gotowych elementów sztywnych i nadmuchiwanych, z których część przetransportowano na orbitę na pokładzie P2, a reszta miała dotrzeć z następnymi dostawami. Na razie z P2 sterczały cztery grube, tępo zakończone szprychy; prefabrykaty łączącego je torusa miały zostać dodane później.

Przez ten czas Skauci wypełnili swoją podstawową misję, polegającą na wybudowaniu (na podstawie Zintegrowanego Zespołu Kratownicowego) drzewa z rur o średnicy około pięćdziesięciu centymetrów, ze zgrubieniami w mniej więcej dziesięciometrowych odstępach. Człowiek – przynajmniej w miarę sprawny fizycznie, niecierpiący na klaustrofobię i nieupychający zbyt wielu rzeczy po kieszeniach – mógł się przecisnąć przez rurę o takiej średnicy, nieco podobnie do chomika przeciskającego się przez plastikowy tunel w klatce. Rozszerzenia rur przewidziano jako mijanki dla dwóch osób poruszających się w przeciwnych kierunkach. Kuliste moduły pełniły rolę łączników i węzłów, a rury kończyły się śluzami umożliwiającymi najrozmaitszym pojazdom kosmicznym cumowanie do stacji i tworzenie hermetycznych połączeń.

Od początku było bowiem oczywiste, że właśnie władzy cumownicze będą – jak to ujął Pete Starling – „kluczowym zasobem” albo „elementem krytycznym”. Budowa rakiet i pojazdów kosmicznych i wytwarzanie skafandrów nie były może błażostką, ale przynajmniej odbywały się na Ziemi, gdzie można było uruchomić potężne zasoby i rozkręcić ich produkcję na wielką skalę. Kłopot w tym, że wystrzelona na orbitę armada kapsuł nie miałaby gdzie się podziać, gdyby nie mogła do czegoś przybić – a budowa złączy cumowniczych musiała się odbyć tutaj, w kosmosie, na orbicie.

Kwestia cumowania była sprawą poważną i wymagającą wyrafinowanej technologii, którą jednak dobrze przeanalizowano i wielokrotnie z powodzeniem stosowano w praktyce. Chińczycy w swoim programie kosmicznym zastosowali dokładnie ten sam standard, co wcześniej Rosjanie, dzięki czemu ich pojazdy – tak jak pojazdy rosyjskie – mogły bez przeszkód cumować do ISS. Świetnie. Nie rozwiązywało to jednak automatycznie innego problemu: każdy pojazd załogowy wystrzelony na orbitę musiał najdalej w ciągu dwóch dni znaleźć się w bardzo ściśle określonym miejscu, zanim mieszkańcom zabraknie powietrza, wody i żywności. Dlatego właśnie zadanie Skautów polegało na zwielokrotnieniu punktów dostępowych na stacji możliwie jak najszybciej i jak najmniejszym nakładem środków. Złącza cumownicze nie mogły znajdować się zbyt blisko siebie, dlatego w rozdzielającej je przestrzeni rozpięto sieć rur transportowych. Do ich zewnętrznej powierzchni coraz liczniejsi Skauci mocowali wiązki przewodów elektrycznych i hydraulicznych, a także elementy wzmacniające i mocujące je do najbliższych fragmentów kratownicy.

W pierwotnej wersji drzewo rurowe wybudowane pomiędzy A+0.29 i A+0.50 przez Teklę i resztę Skautów z pierwszej ekipy zawierało sześć punktów dostępowych, które natychmiast zostały zaanektowane przez pierwszą falę tak zwanych Pionierów: trzy Sojuzy, dwa Shenzhou i jedną amerykańską kapsułę turystyczną.

Zachęceni powodzeniem misji, w której na stację dotarli Bo i Rhys, Rosjanie teraz już do każdego Sojuza upychali po pięć, sześć osób.

Kapsuła Shenzhou bazowała na projekcie Sojuza, została jednak powiększona i wyposażona w dodatkowy sprzęt. Podobnie jak Sojuz, w zamyśle konstruktorów miała mieć trzyosobową załogę – jednakże

w tych rachubach zakładano, że pasażerowie będą chcieli wrócić żywi na Ziemię. Po zmodyfikowaniu pod kątem lotów bez powrotu każdy Shenzhou również mieścił sześcioro ludzi. W amerykańskiej kapsule przyleciała dodatkowa siódemka astronautów.

Łącznie pierwszy zespół Pionierów liczył trzy tuziny ludzi; populacja Izzy powiększyła się więc ponaddwukrotnie. Pionierzy musieli mieszkać w swoich kapsułach wyposażonych we własne toalety, skrubery CO₂ i systemy chłodzenia. Było im tam ciasno, ale i tak znacznie lepiej niż Skautom w Łukach.

Kiedy w dniu A+0.56 potężna rakieta Falcon Heavy wyniosła na orbitę drugą Piastę, Tekla i inni ocalali Skauci przez cały dzień wyciągali ze środka zawartość modułu i przymocowywali ją tymczasowo do jego zewnętrznej powłoki. Następnie przenieśli się do wnętrza P2 i przerobili je na zbiorową sypialnię, co pozwoliło im wreszcie pożegnać się z coraz bardziej sfatygowanymi Łukami, które po spuszczeniu powietrza zostały połatane, poskładane i złożone w magazynie gotowe do użycia w sytuacjach awaryjnych.

Mniej więcej dwóch na trzech Pionierów miało za sobą spacer w otwartym kosmosie albo przynajmniej w ostatnich tygodniach przeszło pośpieszne szkolenie w tej dziedzinie. Brakowało skafandrów (choć na Ziemi produkowano nowe najszybciej, jak tylko się dało), ale tymi istniejącymi można było się podzielić. Zmiany robocze skrócono z piętnastu godzin najpierw do dwunastu, a później do ośmiu; tym sposobem wypoczęte ciała trafiały do skafandrów nawet i trzy razy w ciągu doby, a znalazłszy się na zewnątrz stacji, dzieliły czas pomiędzy montaż T2 i rozbudowę drzew rurowych, by zapewnić stanowiska cumownicze dla kolejnych przybyszów.

Pozostali Pionierzy, którzy nie mogli wychodzić ze stacji, znajdowali sobie inne zajęcia w jej obrębie. Dinah zyskała dwoje asystentów: Bo, która najwyraźniej sama wyznaczyła sobie taką rolę, oraz znanego jej z filmiku Larza Hoedemaekera – młodego Holendra, który studiował w Delft robotykę, kiedy został zwerbowany przez Arjuna Expeditions. Dinah znała go również z niezwykle obfitej korespondencji e-mailowej; zawsze chętnie odpowiadał na jej pytania i błyskawicznie przysyłał łatki do oprogramowania. Z powodu jakichś chwilowych zawirowań w komunikacji z Ziemią nie miała pojęcia, że Larz będzie jednym

z pasażerów amerykańskiej kapsuły przybyłej w 52. dniu (notacja w formacie A+ nie przyjęła się najlepiej i ludzie najczęściej po prostu numerowali kolejne dni).

Wysoki rudawy blondyn z nienacka pojawił się w warsztacie i najwyraźniej zamierzał ją uściskać. To było coś niezwykłego: oględnie mówiąc, Międzynarodowa Stacja Kosmiczna nie słyszała do tej pory z nieoczekiwanych odwiedzin.

W jednej ręce Larz trzymał pęk czekoladowych batonów, w drugiej kamerę, a kieszenie jego kombinezonu dosłownie pękały od przeróżnych drobiazgów: fiolek morfiny i antybiotyków, rolek papierowej taśmy z mikroprocesorami, jednorazowych soczewek kontaktowych, prezerwatyw, torebek kawy rozpuszczalnej, tubek z niezwykłymi smarami, zapasowych grafitów do ołówków automatycznych, pęczków plastikowych obejm. Najwidoczniej na Ziemi wprowadzono politykę dociążania pasażerów lotów kosmicznych witaminami w takim stopniu, żeby ledwie mogli się ruszać.

Larz był przemiłym facetem i przez pierwszy dzień jego pobytu na Izzy Dinah nie posiadała się z radości; od roku nie mieli okazji porozmawiać twarzą w twarz. Oprowadziła go po warsztacie, pozwoliła mu pokierować robotami na powierzchni Amalthei i sprowadziła kilka „zgrimmowanych” egzemplarzy do środka, żeby mógł je popodziwiać – natchniona słowami Rhysa sprzed kilku tygodni zapędziła bowiem pozbawione zajęcia roboty do pracy nad opancerzeniem innych robotów. Gdyby chciała to zrobić porządnie, powinna sprowadzać kawałki asteroidy do swojej małej bezgrawitacyjnej huty i tu wytapiać z nich eleganckie grudki czystej stali, które następnie przyspawałaby do szkieletów krabochwyków. Byłaby to jednak niepotrzebna komplikacja, bo przecież Amalthea cała składała się z nadzwyczaj solidnego materiału – może nie była to pierwszorzędna stal, ale z pewnością wystarczająca jako osłona antyradiacyjna. Dlatego Dinah ścinała po prostu skrawki asteroidy i opancerzała krabochwyty nakładającymi się płytkami, przez co same upodabniały się do chodzących asteroid.

– To dzieło sztuki – orzekł Larz.

W pierwszej chwili pomyślała, że próbuje ją obrazić, a to dlatego, że poznała w życiu całkiem sporo inżynierów, którym do głowy by nie przyszło, że można łączyć sztukę z robotyką. Jednakże, widząc jego

szczerą, uszczęśliwioną twarz, nie mogła potraktować jego słów inaczej niż komplement.

Oswoiwszy się z nim nieco, poruszyła temat, który od tygodni nie dawał jej spokoju: o co chodziło z tym lodem? Mieli pod ręką ogromny kawał żelaza, a tymczasem Arjuna Expeditions koncentrowało się bez reszty na materiale, który na Izzy praktycznie nie istniał.

– Nie o wszystkim wiem – przyznał Larz – ale na pewno słyszałaś o tym, że mówi się o pozyskaniu jądra komety.

– Słyszałam, oczywiście. Sami o tym rozmawialiśmy. Ale takie jądra są ogromne. Na co nam gigatony wody?

Na twarzy Larza odmalował się lekki niepokój.

– Przeniesienie takiej masy trwałoby wieczność! – ciągnęła Dinah. – To projekt na dziesięć, dwadzieścia lat; nie mamy tyle czasu.

– Kiedyś przyznałbym ci rację.

– Kiedyś? To znaczy kiedy?

– Przed tym, jak... Zanim Agent... Kiedy rozmawialiśmy o przenoszeniu komet, rozważaliśmy możliwość wystrzelenia w kosmos wielkiego zwierciadła: miałyby zogniskować promienie słońca na jądrze komety, wygotować odrobinę wody i zepchnąć komętę na nową trajektorię. Tak, to by zajęło bardzo dużo czasu. Jak popychanie piórkiem kuli do kręgli.

– I co się w tej materii zmieniło? Fizyka to fizyka.

– Owszem, ale częścią fizyki jest fizyka jądrowa.

– Użyjemy bomb atomowych? Myślałam, że to... Jezu... Ja nawet nie...

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele zmieniło się tam, na dole.

– Chyba rzeczywiście nie.

– Arkitekci przyszli i powiedzieli tak: słuchajcie, baterie słoneczne nie wystarczą. Nie nadążymy z ich produkcją dla tysięcy miniarek. Poza tym są duże i nieporęczne.

– Też się nad tym zastanawiałam...

– Dlatego musimy użyć atomu, powiedzieli.

– RGT?

Radioizotopowe generatory termoelektryczne zasilają większość sond kosmicznych. Sercem generatora była grudka izotopu tak silnie radioaktywnego, że promieniował przez całe dziesięciolecia, a generowane przezeń ciepło można było przetwarzać na inne rodzaje

energii.

– Za słabe – odparł Larz.

* * *

Larz odbierał wiadomości z Ziemi w postaci zaszyfrowanych e-maili: serii wielkich liter pogrupowanych po pięć, jakby żywcem wyjętych z komunikatów Enigmy. W dużej nylonowej teczce, która u Larza uchodziła za aktówkę, znajdował się cały plik kartek. Na każdej z nich była nadrukowana inna siatka przypadkowo wybranych wielkich liter. Odszyfrowanie każdej wiadomości wymagało około pół godziny mozolnej pracy z ołówkiem i papierem. Dinah nie wierzyła własnym oczom. Rzecz jasna, ludzie często szyfrowali swoje e-maile; standardowo cała poczta w obrębie Arjuna Expeditions również była szyfrowana. Najwyraźniej jednak takie standardowe szyfrowanie nie wystarczało Seanowi Probstowi. Dinah przyzwyczała się do widoku Larza ślęczącego nad tymi arkuszami. Napisał nawet prosty skrypt w Pythonie, żeby ułatwić sobie życie, ale własne wiadomości i tak wypisywał najpierw ręcznie.

Pewnego dnia – dwa tygodnie po przybyciu na stację – odszyfrował naprawdę zadziwiający komunikat. Szef wybierał się do nich na orbitę. Sam szef. Sean Probst, założyciel i prezes Arjuna Expeditions.

– Jak to w ogóle możliwe? – zdumiała się Dinah. – Jak można ot tak, po prostu przylecieć na Izzy? Nie trzeba mieć rakiety nośnej? Kapsuły załogowej? Wolnego złącza cumowniczego? Pozwolenia?

Były to w gruncie rzeczy pytania retoryczne. Sean zarobił siedem miliardów dolarów na internetowym start-upie, zanim przerwiał się na eksploatację górniczą asteroid. Po drodze utopił jeszcze miliard albo dwa w innych prywatnych przedsięwzięciach kosmicznych.

– Przyleci sam – wyjaśnił Larz – w Kabriolecie.

Dostęp do właściwej informacji zajął Dinah dłuższą chwilę i wymagał konsultacji z Google'em. „Kabriolet” był wytworem nowego, twórczego podejścia do turystyki kosmicznej. Jego konstrukcję oparto na domniemaniu, że turystę w kosmosie interesuje przede wszystkim bezpośredni widok na Ziemię, gwiazdy i – dopóki ten istniał – Księżyc.

Konwencjonalne kapsuły kosmiczne miały małe iluminatory, podczas gdy człowiek najchętniej wsadziłby głowę do przezroczystej bańki, skąd roztaczałby się swobodny widok we wszystkich kierunkach. Inaczej mówiąc, najlepiej byłoby włożyć skafander kosmiczny i szybować swobodnie w przestrzeni. Kabriolet był małą, prostą w konstrukcji kapsułą mieszczącą czterech astronautów ubranych w specjalne skafandry z baniastymi, przezroczystymi hełmami. Podczas startu i lotu w atmosferze (tak jak i podczas powrotu na Ziemię) chroniła ich solidna skorupa, która po wejściu na orbitę składała się jak dach kabrioletu i nie tylko całkowicie ich odsłaniała, ale też pozwalała im wyjść z kapsuły.

– Kabriolet nie może chyba wejść na taką wysoką orbitę? – spytała Dinah.

– Sean przyleci sam. To przerobiony model, jednoosobowy; wolna przestrzeń ma zostać przeznaczona na paliwo.

– I co potem? Podleci do służby i zapuka?

– No... tak. A co mu zrobią? Nie wpuszczą go?

Dzień 68

– To jedna wielka bzdura – orzekł Sean Probst, gdy tylko zdjął hełm.

Dinah uśmiechnęła się w odpowiedzi. Nie chodziło bynajmniej o to, że bzdury ją cieszyły – gdy przyszło do ocalania rodzaju ludzkiego i ziemskiej spuścizny genetycznej, wszystko, co załatwiała bzdurą, było źle widziane – ale odczuła niejaką ulgę. Od tygodni sumowała w głowie nawarstwiająca się głupoty; nikt nie mówił o nich głośno, a zarazem wszyscy wydawali jej się mądrzejsi i lepiej poinformowani od niej.

Seana Probsta знаła ze słyszenia, z podpisu na czekach z wypłatą, oraz z e-maili, które wysyłał do niej o trzeciej nad ranem bez względu na strefę czasową, do której przeniósł go akurat jego prywatny odrzutowiec. Pod względem wiedzy na temat kosmosu nie miał sobie równych, więc kiedy, postawiwszy stopę na stacji kosmicznej, od razu zapodał tekst o bzdurach, dalszy rozwój wypadków zapowiadał się nadzwyczaj interesująco.

Jedną z nielicznych pozytywnych cech Seana był fakt, że kiedy uświadomił sobie, że jego osobowość może stanowić problem, postąpił zgodnie z klasyczną maksymą „załatw to raz, a dobrze” i wynajął osobistego trenera, który pomógł mu nie być aż takim dupkiem jak wcześniej. I Dinah widziała teraz po jego minie, że to działa.

– Nie mówię o twojej pracy – zastrzegł się. – Ty odwalasz kapitalną robotę.

– Domyślam się, że gdyby było inaczej, powiedziałbyś mi już wcześniej.

Sean skinął głową. Sprawa załatwiona.

Jego przybycie na stację było wydarzeniem niekonwencjonalnym i przebiegło w nieco okrzętny sposób. Żadne złącze cumownicze nie zostało przystosowane do obsługi Kabrioletu; żadne nie mogło być przystosowane, bo Kabriolet nie miał własnego wjazdu ani służby. Nie miał więc jak podczepić się do Izzy. Sean przejął sterowanie nad pojazdem:

pojedynczo uruchamiał silniczki manewrowe, które pluły pociskami paliwa w przestrzeń, a potem robił sobie jedną, pięć albo dziesięć minut przerwy i rozważał konsekwencje swoich działań. Jak na kosmomaniaaka przystało, doskonale zdawał sobie sprawę, że ziemską fizyka nie do końca przekłada się na fizykę orbitalną. Miał również dostatecznie dużo pokory (i tlenu), żeby się nie śpieszyć. W końcu podleciał dostatecznie blisko Amalthei, by zrobotyzowana macka (złożona z trzech żmijek, z doczepionym na końcu krabochwytem) zdołała złapać Kabriolet za okucie na obrzeżu kabiny. Następnie wystrzelił się z pojazdu i frunąc w przestrzeni, udał się na małą inspekcję, od czasu do czasu sygnalizując Dinah miejsce swojego pobytu. Nie mieli bezpośredniej łączności radiowej, toteż w komunikacji musiał pośredniczyć serwer znajdujący się w Seattle.

Sean miał na sobie fokę: turystyczny skafander pod pewnym względami lepszy, a pod innymi gorszy od używanego przez kosmo- i astronautów modelu rządowego. Foka była pozbawiona nogawek, ponieważ nogi są w kosmosie właściwie zbędne; przypominała próbkę laboratoryjną z dwoma rękawami i bąblowatą kopułą na szczycie. Rękawy miały stawy barkowe i łokciowe, nie miały natomiast rękawic, które cieszyły się zasłużoną niesławą najbardziej kłopotliwych elementów skafandra kosmicznego. Dlatego też rękaw foki kończył się zaokrąglonym kikutem, z którego sterczała szkieletowa dłoń złożona z czterech palców (w tym jednego przeciwstawnego) poruszanych za pomocą stalowych linek, które przez uszczelnione otwory wnikały w głąb kikuta. Lokator foki wsuwał dłoń w rękawicokształtny gadżet wewnątrz kikuta, skąd pociągnięciami metalowych ścięgien wprawiał w ruch mechaniczne palce zewnętrzne, co pozwalało mu chwycić przedmioty i wykonywać proste czynności manualne. Cała konstrukcja manipulatora mogłaby być dziełem majsterkowicza-wynalazcy z lat dziewięćdziesiątych XIX wieku – albo, równie dobrze, wieku XVII. Ludzie, którzy mieli okazję używać manipulatorów, twierdzili, że sprawdzają się zdumiewająco dobrze, pod wieloma względami lepiej niż tradycyjne rękawice kosmiczne, sztywne i męczące dla dłoni.

Wewnątrz kikuta pozostawało mnóstwo wolnego miejsca, toteż kiedy lokator skafandra nie obsługiwał manipulatora, mógł wyciągnąć dłoń z wewnętrznej rękawicy i przeniósłszy ją na klawiaturę dotykową lub

mały joystick, pisać lub wywijać joystickiem do woli. Foka miała wbudowane silniczki odrzutowe umożliwiające swobodne poruszanie się w przestrzeni kosmicznej. Sean chętnie się nimi posługiwał, kiedy, oblatując Izzy dookoła, podglądał pracę robotów, modyfikacje kratownicy i inne ciekawostki.

W końcu trafił do służby na rufie P2, przez którą Dinah wpuściła go do środka, żeby mógł bez ogródek wygłosić swoją opinię.

Wyglądał jak całkiem przeciętny trzydziestoosmioletni uczestnik seminarium doktoranckiego albo zlotu miłośników science fiction, z pozlepianymi od potu włosami w odcieniu ciemny blond i kilkudniowym zarostem. Na oficjalnych zdjęciach nosił szkła kontaktowe, tym razem jednak miał na nosie okulary z grubymi szklami.

Wyciągnął najpierw jedną rękę, potem drugą, a następnie podciągnął się i wyczołgał ze skafandra przez otwór po kopulastym hełmie.

– Sama mam kłopot z dostrzeżeniem długofalowej polityki odnawialności zasobów – powiedziała Dinah. Nie miała nic przeciwko temu, żeby trochę podpuścić Seana.

– Co ty powiesz?! – wykrzyknął. – Czy ktoś tu dokonał w ogóle jakiejś ogólniejszej oceny całej tej Arki w Chmurze w kontekście zasady zachowania masy?!

Nie bardzo wiedząc, do czego Sean zmierza, Dinah postanowiła grać na czas.

– Ludzie mają inne zajęcia – odparła. – A ja i tak o wszystkim dowiaduję się ostatnia.

– Tego by ci w ogóle nie powiedzieli! – wykrzyknął znowu Sean. – Bo od razu byś się zorientowała, że to bzdura!

– Co jest bzdurą? – zainteresowała się Ivy, płynąc w jego kierunku. – I coś ty za jeden, u licha?

Zanim Sean zdążył wyjaśnić, co on za jeden, zdekoncentrowało go (mówiąc delikatnie) pojawienie się mierzącej sześć stóp wzrostu Amazonki z ogoloną głową i wyrazistymi bliznami na twarzy, frunącej mu na spotkanie przez całą P2 z prędkością kuli armatniej. Tekła grzmotnęła go w brzuch barkiem i pchnęła na ścianę, a chwilę później dopadła go, złapała za wyciągniętą rękę i założyła mu dźwignię na staw, z której nie miał szans się wyzwolić.

Dinah zdążyła spędzić dość czasu w towarzystwie Tekli, żeby docenić ją jako adeptkę sambo, rosyjskiej sztuki walki pod wieloma względami podobnej do jujitsu. Z czystej ciekawości obejrzała na YouTubie parę filmików z udziałem mistrzów sambo, nigdy jednak nie przypuszczała, że można tę sztukę z powodzeniem stosować w nieważkości.

Sean wszedł do stacji przez P2, ponieważ na jej rufie mieścił się użyteczny zestaw rozmaitych śluz i złączy cumowniczych. Nie wiedział jednak, że P2 pełni również rolę sypialni dla ocalałych Skautów. Jego przybycie obudziło Teklę, która niedawno zeszła ze zmiany i spała w swoim śpiworze.

Dinah próbowała sobie wyobrazić, jak to spotkanie musiało wyglądać z punktu widzenia Tekli. Sean zjawił się bez uprzedzenia; nawet Dinah nie wiedziała, kiedy – i czy w ogóle – przyleci, dopóki przez okno w warsztacie nie dostrzegła Kabrioletu. Dla Tekli Sean był więc intruzem, a kiedy dodatkowo usłyszała pytanie Ivy: „Coś ty za jeden, u licha?”, zdała sobie sprawę, że ów intruz nie ma prawa przebywać na stacji.

– Niezręczna sytuacja – mruknęła Dinah.

– Poddaję się! Poddaję się! – powtarzał Sean, klepiąc otwartą dłońią Teklę po nodze.

– Mam go związać, pani dowódco? – spytała Tekla. – Jakie rozkazy?

– Nie jest niebezpieczny – wtrąciła Dinah.

– Puść go, Teklo – poleciła Ivy.

Tekla niechętnie, bo niechętnie, ale rozluźniła uścisk i puściła Seana, który oddalił się od niej, mierząc ją oszołomionym spojrzeniem.

– Teklę już znasz, Sean – powiedziała Dinah. – Teraz przedstawiam ci Ivy Xiao, głównodowodzącą stacji. Ivy, poznaj Seana Probst.

– Miło mi, Seanie Probst. – Ivy spojrzała pytająco na Dinah. – Wiedziałaś, że ma przylecieć?

– Słyszałam plotki, ale nie uznałam ich za dostatecznie wiarygodne, żeby zwracać ci głowę. Przepraszam.

Ivy zmierzyła Seana spojrzeniem dostatecznie przeciągłym, żeby poczuł się nieswojo. Szybująca w pobliżu Tekla potęgowała nieprzyjazną atmosferę, którą, zdaniem Dinah, Ivy celowo starała się wytworzyć.

– Najbliższym oficjalnym odpowiednikiem mojej roli tutaj jest kapitan statku – powiedziała Ivy. – Wiesz, Sean, jakie zachowanie przewiduje

etykieta, kiedy wchodzisz na pokład cudzego statku?

Sean przekalkulował sobie coś w głowie.

– Pani kapitan Xiao – odezwał się – uprzejmie proszę o pozwolenie na wejście na pokład.

– Zezwalam. I witam na pokładzie.

– Dzięki.

– Jedna uwaga.

– Tak?

– Gdyby ktoś o to pytał, ucieknij się do niewinnego kłamstewka: mów mianowicie, że najpierw poprosiłeś o pozwolenie, a dopiero potem wszedłeś na pokład.

– Z przyjemnością.

– Z czasem wypracujemy pewnie jakieś prawo zwyczajowe. Coś w rodzaju konstytucji.

– Takie prace już trwają – odpowiedział usłużnie Sean.

– Miło, jednak na razie niczego takiego nie mamy i musimy być ostrożni.

– Rozumiem.

– Wracając do tematu: kiedy ci przerwałam, mówiłeś coś o jakichś bzdurach...

– Pani kapitan, darzę najwyższym szacunkiem pani wcześniejsze dokonania i dotychczasową pracę – zastrzegł się Sean.

– Słyszysz, że szykuje się wielkie „ale”? – Ivy zwróciła się do Dinah. – Bo ja tak.

Sean zawiesił głos.

– Mów dalej – ponagliła go Ivy. Było bowiem oczywiste, że o to właśnie chodzi Seanowi, więc lepiej było mieć to jak najszybciej z głowy.

* * *

Wyłożył im wszystko od podstaw, wspomagając się tablicą w Bananie. Wychodząc od równania Ciołkowskiego opisującego prosty wzrost wykładniczy, wyprowadził kilka prostych oszacowań, które następnie przekuł w niepodważalny dowód na to, że Arka w Chmurze jest bzdurą.

A ściśle rzecz biorąc – że była bzdurą, dopóki on, Sean Probst, nie

wziął sprawy w swoje ręce i nie przybył na orbitę, żeby osobiście zająć się problemem, którego nikt inny nie umiał rozwiązać.

Dinah zadała sobie w duchu pytanie, czy Sean nadal jest bogatym człowiekiem.

Zamożni ludzie nie trzymali już majątku w złocie. Bogactwem Seana były udziały w firmach – głównie jego własnych firmach. Od czasu orędzia nad Jeziorem Kraterowym nie śledziła sytuacji na światowych giełdach, słyszała jednak, że rynki nie tyle przeżywały bessę, ile raczej po prostu przestały istnieć. Cała idea posiadania akcji straciła sens – przynajmniej w sensie lokaty kapitału.

Jednakże struktury państwowe, policja, agencje rządowe i tym podobne byty w dalszym ciągu istniały i nadzorowały przestrzeganie prawa, prawo zaś stanowiło, że Sean, jako większościowy udziałowiec Arjuna Expeditions, nadal kontroluje firmę. Dzięki skomplikowanym zależnościom własnościowym pomiędzy Arjuną i innymi eksploratorami kosmosu miał dostatecznie duże wpływy, żeby załatwić sobie transport na Izzy. Jakkolwiek by na to patrzeć, była to oznaka niebagatelnej majątności.

Ustaliwszy ten fakt, Dinah znów skupiła się na słowach Seana.

– Arka w Chmurze jako rozproszony rój: pięknie. Podoba mi się. Piszę się na to. To znacznie bezpieczniejsze niż wkładanie wszystkich jajek do jednego koszyka. Dlaczego bezpieczniejsze? Dlatego że miniarki mogą usunąć się z drogi nadlatujących kamieni. Inne zalety? Mogą łączyć się w bolas i wirując wokół wspólnego środka ciężkości, wytwarzać namiastkę ciężenia; ludzie będą zdrowsi i szczęśliwsi. Jak miniarki to zrobią? Najpierw muszą się zbliżyć i połączyć swoje smycze. Co się stanie, kiedy postanowią się rozłączyć i pójść swoją drogą? Wyprzęgną się i pofruną w przeciwnych kierunkach, dopóki nie odpalą silników, żeby zrównoważyć skutki oddziaływania siły odśrodkowej. Co łączy te wszystkie działania?

Tak się przyzwyczaili do jego zwyczaju zadawania pytań, na które zaraz sam sobie odpowiadał, że teraz ich zaskoczył, bo naprawdę spodziewał się usłyszeć ich odpowiedź.

Do Dinah i Ivy dołączyli w Bananie Konrad Barth, Larz Hoedemaeker i Zeke Petersen.

Ten ostatni chwycił przynętę.

– Użycie silników – powiedział.

Sean pokiwał głową.

– A co się dzieje, kiedy używamy silników?

Dinah miała przewagę nad pozostałymi, bo wiedziała, że Sean interesuje się kwestią zachowania masy.

– Pozbywamy się masy. Odrzucamy ją w postaci zużytego paliwa.

– Pozbywamy się masy. – Sean znów pokiwał głową. – Arka w Chmurze bez paliwa straci możliwość wykonywania tych wszystkich manewrów, które na dłuższą metę decydują o sensowności jej architektury. Stanie się łatwym celem.

Dał im chwilę na przetrwanie tych słów, po czym mówił dalej:

– Zwróćcie uwagę, że poza tym prawie wszystko, co tu robimy, ma minimalny wpływ na równowagę masy. Możemy przetwarzać mocz na wodę pitną, a kał na nawóz. Niewiele naszych działań sprowadza się do wyzbywania się masy w sposób nieodwracalny. Opisana przeze mnie sytuacja jest pod tym względem wyjątkiem. Od momentu ogłoszenia koncepcji Arki w Chmurze ciskam na nią gromy, ale z góry słyszę tylko mętne, wymijające odpowiedzi i gadkę szmatkę.

Ivy i Dinah spojrzały po sobie w sposób zapowiadający rychłe spotkanie w cztery oczy nad butelką tequili.

Czyli Ivy też się nad tym zastanawiała, domyśliła się Dinah. Też się tym martwiła. A podczas telekonferencji z Ziemią próbowała wróżyć z fusów.

Dotarło do niej, że miało to jakiś związek z Pete’em Starlingiem, a poprzez niego z samą JBF.

Zeke był jednym z tych prostolinijnych chłopaków, zawsze chętnych do współpracy i optymistycznie nastawionych do życia, jakich nie brakuje wśród młodszej kadry oficerskiej.

– To jest tak oczywista sprawa – odezwał się teraz – że ktoś na pewno musiał o tym pomyśleć.

W ten sposób dawał do zrozumienia, że jego zdaniem „Na pewno już się tym zajmują ludzie ważniejsi i lepiej opłacani od nas”.

– Można by się tego spodziewać – przytaknął Sean.

Konrad poruszył się niespokojnie na krześle i podparł brodę dłonią. W odróżnieniu od Zeke’a nie miał skłonności do wydawania przesadnie optymistycznych sądów.

– Gdyby światem rządzą naukowcy i inżynierowie, problem w ogóle by się nie pojawił – ciągnął tymczasem Sean. – Byłoby oczywiste, że potrzebujemy zapasów masy, i to jak największych. Niewyczerpanych.

– Woda – powiedziała Dinah. – To musi być woda. Masz na myśli jądro komety.

– Tak – zgodził się z nią Sean – to musi być woda. Nie da się wycisnąć paliwa raketowego z niklu, za to z wody można uzyskać nadtlenek wodoru, doskonałe paliwo do silników manewrowych. Albo można ją rozbić na tlen i wodór do zasilania naprawdę dużych jednostek.

– Ciekawe, jaką niespodziankę trzyma w zanadrzu – mruknęła pod nosem Ivy. – Kłopot w tym, że światem nie rządzą naukowcy i inżynierowie – powiedziała już głośniej. – Czy nie do tego właśnie zmierzasz?

Sean rozłożył ręce w teatralnym geście i wzruszył ramionami.

– Wszyscy mi mówią, że nie jestem dobry w interakcjach z ludźmi. Może ktoś, kto jest w tym dobry, powinien o tym pomyśleć.

– Masz na myśli interakcję z ludźmi – uściślił Konrad.

– Właśnie. Z siedmioma miliardami ludzi. Siedmioma miliardami, które muszą do końca pozostać potulne i zadowolone. Jak to zrobić? Jak najłatwiej uspokoić zestrachanego dzieciaka, żeby zechciał położyć się spać? Opowiedzieć mu bajkę. Wcisnąć kit o Jezusie, coś w ten deseń.

Zeke się wzdrygnął. Konrad przewrócił oczami i zagapił się w sufit, udając, że nic nie słyszał.

Sugestia Seana była pod pewnymi względami tak makabryczna, że wręcz trudna do ogarnięcia: wszystko, co robili tutaj, na orbicie, miało być tylko kołysanką dla siedmiu miliardów ludzi; przedsięwzięcie „Arka w Chmurze” nie miało prawa się powieść; wszelkie przygotowania były pokazówką bez żadnego praktycznego znaczenia, a mieszkańcy Arki mieli przeżyć zaledwie kilka tygodni dłużej od tych, którzy zostaną na Ziemi.

W tej sytuacji Ivy, Dinah, Konrad i Zeke powinni właśnie wariować ze strachu, tymczasem żadne z nich – nawet Zeke – nie zareagowało w jakikolwiek widoczny sposób.

– Wszystkim wam przeszło to przez myśl – powiedział Sean. – Nawet taki asperger jak ja umie to wyczytać z waszych twarzy.

– No dobrze, powiedzmy, że się nad tym zastanawialiśmy – zgodziła

się Dinah. – To naturalne. Tylko że wiesz co, Sean? Może z Ziemi tego nie widać, ale tu, na górze, wszyscy szczerze się zaangażowali w powodzenie tego projektu. Gdyby to miała być tylko potiomkinowska wioska, inaczej by to wyglądało.

Sean uniósł ręce w pojednawczym geście.

– Czy możemy przynajmniej się zgodzić co do tego, że na Ziemi reprezentowane jest całe spektrum różnych poglądów? I że niektórzy ludzie, być może wysoko postawieni, postrzegają Arkę w Chmurze przede wszystkim jako opium dla mas? Jak film na DVD, który wrzucacie do odtwarzacza w samochodzie, żeby dzieci nie marudziły podczas długiej podróży?

– Tacy ludzie nie będą nam życzliwi, kiedy zaczniemy się dopominać o niezbędne surowce i personel – zauważyła Ivy.

– Ich zachowanie zawsze będzie się wydawało odrobinę chybione. Nie na temat. Pokrętne. Frustrujące.

Musiało chodzić o Pete’a Starlinga.

– Zważywszy, że tacy właśnie ludzie mają władzę nad kosmodromami i dyktują politykę lotów kosmicznych, mamy problem – przyznał Sean. – Na szczęście nie kontrolują wszystkiego.

Teraz chodziło o Seana Probstę i jego krąg przyjaciół-miliarderów, którzy znali się na budowaniu rakiet.

– Projekt Arki w Chmurze zawiera wiele niewiadomych, o których ja i moi wspólnicy nie mamy pojęcia – mówił dalej. – Nie możemy jednak siedzieć z założonymi rękami i czekać na osiągnięcie stanu wszechwiedzy; mamy mnóstwo pracy, dlatego musimy działać natychmiast, na podstawie tego, co już wiemy. A wiemy, że Arce trzeba dostarczyć wody. Fizyka z polityką sprzysięgły się przeciwko nam, utrudniając dostawy z Ziemi. Na szczęście mam własną firmę zajmującą się górnictwem eksploatacją asteroid. Namierzaliśmy kilka komet na łatwo dostępnych orbitach. Zawężamy ich listę, odrzucając te najmniej dogodne, i przygotowujemy ekspedycję.

– Ile to potrwa, Sean? – spytał Konrad, który miał najlepsze rozeznanie w tej tematyce.

– Dwa lata.

– W takim razie nie ma czasu do stracenia – zauważyła Ivy. – Jak możemy wam pomóc?

– Oddajcie nam wszystkie roboty – odparł Sean, przenosząc wzrok na Dinah.

* * *

– Skoro zarządziliśmy powszechny odstrzał bzdur... – zagaiła Dinah, znalazłszy się w warsztacie sam na sam z Seanem.

Sean podniósł ręce jak zbiegły przestępca oddający się w ręce FBI.

– Od czego chciałybyś, żebym zaczął?

– Powiedziałaś, że namierzycie kilka komet i teraz zawężacie ich listę. Pieprzenie. Nie przyleciałybyś tutaj, gdybyś nie miał konkretnego planu.

– Interesuje nas Greg Szkieletor.

– Co?

– Przepraszam, kometa Grigga-Skjellerupa. Czyjaś latorośl przezwiała ją „Gregiem Szkieletorem” i tak już zostało.

Sean często nazywał dzieci „latoroślami”.

Dinah kojarzyła tę kometę.

– Duża jest?

– Dwa i pół, trzy kilometry.

– Masa paliwa dla miniarek.

Sean pokiwał głową. Skrzyżował ręce na piersi i rozglądał się po warsztacie.

– Trudno przepchnąć coś tak wielkiego – dodała Dinah.

Nadal nie odpowiadał.

– Chcecie w nią wbić ładunek jądrowy i zrobić z niej raketę. Mam rację?

Przelotnie uniósł brwi. Jedyne sensowny pomysł na przeniesienie tak ogromnego obiektu nie zasługiwał na obszerniejszą odpowiedź.

– Poszczęściło nam się. To dobry moment.

– Zamierzacie sprowadzić tu radioaktywną kulę wielkości Gwiazdy Śmierci, kiedy na dole rozpęta się piekło... I co dalej?

– Muszę ci coś zdradzić, Dinah. To tajemnica.

– I co ja ci mam powiedzieć? Najwyższy czas, kurwa.

Dzień 73

Doob raz już prawie poleciał w kosmos, jakieś dziesięć lat temu: jeden jego znajomy, który zbił fortunę jako menedżer funduszy hedgingowych, wydał dwadzieścia pięć milionów dolarów na dwunastodniową wycieczkę Sojuzem na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Tradycja nakazywała, żeby klient wyznaczył swojego zastępcę, dublera, który w wypadku choroby lub innego niefortunnego wypadku zajmie jego miejsce. Ponieważ dubler mógł być potrzebny w każdym momencie, i to niemal do ostatnich chwil przed startem, musiał przejść dokładnie to samo szkolenie co klient. I to właśnie było najważniejsze, przynajmniej z punktu widzenia menedżera-miliardera: jako introwertyk potrzebował kogoś, kto pełniłby rolę łącznika z opinią publiczną i nadał całemu przedsięwzięciu atrakcyjną, ludzką twarz. Dlatego właśnie wybrał Doca Dubois. Razem założyli stronę internetową i bloga i zorganizowali fotografów, którzy śledzili cały program treningowy Dooba, od czasu do czasu uwzględniając na zdjęciach, w tle, inwestora. Doob stał się więc wabikiem marketingowym – co zresztą nikomu nie przeszkadzało. On sam był wprost zachwycony: szkolenie sprawiło mu ogromną frajdę, a inwestor hojnie dotował witrynę internetową, co pozwoliło Doobowi nakręcić sporo niezłych filmików, w których przedstawiał ciekawostki związane z lotami w kosmos.

Na dodatek istniała – niewielka, bo niewielka, ale zawsze – szansa, że sam również polecą. Tydzień przed zaplanowanym startem udał się do Bajkonuru wraz z żoną, dziećmi i ekipą filmową. Z niejakim zdumieniem śledzili transport rakiety nośnej (Sojuza FG z rozczapierzonym ogonem), która w pozycji poziomej jechała na platformie specjalnego pociągu ciągniętego przez najprawdziwszy, buchający dymem parowóz. Stanowisko startowe okazało się skromną betonową płytą pośród na wpół księżycowego krajobrazu kazachskich stepów, obstawioną skromnym sprzętem umożliwiającym postawienie

rakiety do pionu oraz napełnienie jej płynami. Cała scena tak bardzo kontrastowała z tym, do czego przywykli w NASA, że zakrawała na śmieszność. Henry, najmłodszy syn Dooba, podówczas jedenastoletni, przegapił ustawianie rakiety na stanowisku, bo zafascynował go widok dwóch psów kopulujących sto metrów dalej. Bunkier obsługi naziemnej, znajdujący się szokująco blisko płyty startowej, miał z przodu grządkę warzywną, na której technicy uprawiali ogórki i pomidory; jak tłumaczyli, betonowa ściana nocą wypromieniowywała nagromadzone za dnia ciepło słońca, dzięki czemu rośliny nie marzły.

Trzy dni przed startem inwestor został pogryziony przez bezpiecznego psa podczas próby ewakuacji ze stanowiska startowego. Wybuchł ogólny rozgardiasz, a w pościg za psem rzucili się milicjanci w samochodach, tubylcy na koniach i jeden śmigłowiec szturmowy. Dopadłszy go, odesłali do weterynarza, żeby zbadał zwierzę pod kątem wścieklizny; wiadomość o tym, że pies był zdrowy, dotarła na kosmodrom zaledwie trzy godziny przed startem. Nazwisko Dooba zostało wykreślone z listy pasażerów, a na jego miejsce z powrotem wskoczył menedżer funduszy hedgingowych.

Doob – odczuwający ulgę przemieszaną z rozczarowaniem – stał nieopodal stanowiska startowego. Tavistock Prowse, który miał zapewnić obsługę medialną przedsięwzięcia, przybył na miejsce wyposażony we wszelkie możliwe gadzety elektroniczne uchodzące wówczas za najfajniejsze. Stojąc w stepie, nagrał kamerą komentarz Dooba do rozgrywającej się za jego plecami sceny: gigantyczna rakietka uruchomiła silniki i wystrzeliła pod niebo.

Ten właśnie materiał w największym stopniu przyczynił się do przemiany doktora Harrisa w Doca Dubois; to od niego zaczęła się wielka kariera Dooba – i to on stał się zaczątkiem sprawy rozwodowej zainicjowanej przez jego żonę zaledwie kilka dni później. Miała liczne (często wieloletnie) zastrzeżenia do niego jako męża, niektóre z nich nawet nie chciały jej przejść przez gardło, ale wszystkie skupiły się jak w soczewce w fakcie, że po tym, jak podczas kilkutygodniowego szkolenia w Rosji kompletnie zaniedbał swoje ojcowsko-mężowskie obowiązki, sam moment startu wolał spędzić nie w bezpiecznym schronie ze swoimi dziećmi, lecz na zewnątrz, niebezpiecznie blisko rakiety, w towarzystwie swojego najlepszego kumpla, Tava, podlizując

się milionom wielbicieli entuzjastycznym i przezabawnym komentarzem.

W taki czy inny sposób płacił za to aż do dzisiaj – po części w sensie negatywnym, cierpiąc słuszną karę za grzechy, po części zaś w sensie bardziej pozytywnym, spędzając z dziećmi każdą wolną chwilę, co zresztą stawało się coraz trudniejsze, w miarę jak kończyły szkoły i wyruszały w świat. Szczególnych starań dokładał teraz, gdy nad wszystkimi zawisł wyrok śmierci.

W dniu A+0.73 przyleciał do Seattle, wypożyczył samochód terenowy i pojechał na kampus University of Washington. Zajechał po drodze do paru sklepów turystycznych, żeby kupić ekwipunek kempingowy – który, nawiasem mówiąc, bardzo podrożał, ponieważ ludzie zaczęli skupować tego rodzaju sprzęt w przewidywaniu upadku cywilizacji. Chociaż nie było takich wielu; większość rozumiała, że nie będzie sensu uciekać z miasta w dzicz, kiedy spadnie Kamienny Deszcz. Liofilizowana żywność i kuchenki turystyczne były trudne do dostania, ale puchowych śpiworów i wyrafinowanych namiotów nie brakowało.

Henry, który studiował na przedostatnim roku informatyki, mieszkał nieopodal kampusu, w lokum wynajmowanym na spółkę z kolegami – typowym dla Seattle lichym domku w stylu American Craftsman, na wpół pożartym przez bluszcz i jeżyny.

W pewnym sensie określanie kogokolwiek mianem studenta na określonym etapie edukacji straciło sens – a jednak ludzie nadal myśleli w tych kategoriach, trochę jak człowiek, u którego zdiagnozowano śmiertelną chorobę, nadal będzie codziennie rano wstawał z łóżka i szedł do pracy, kierując się nawet nie tyle przyzwyczajeniem, ile raczej chęcią zmanifestowania swojej tożsamości w obliczu nieuchronnej śmierci.

Dooba kusilo, żeby przy parkowaniu nie przejmować się przepisami, bo według jego szacunków policja i tak nie zdążyłaby wymusić na nim zapłacenia mandatu przed końcem świata. Ponieważ jednak większość mieszkańców Seattle w dalszym ciągu przestrzegała przepisów, postanowił zachować się podobnie.

Henry'ego – w towarzystwie czwórki współlokatorów i jeszcze pięciorga innych studentów – zastał na parterze domku, odpierających styczniowy chłód ciepłem własnych ciał oraz energią wytwarzaną przez

gigantyczne kłębowisko pecetów, laptopów i routerów. Stos pudełek po pizzy zaświadczał, że pracowali przez całą noc.

– Opowiem ci po drodze – obiecał Henry, gdy poprzedniego wieczoru Doob zapytał go przez telefon, czym się zajmuje.

Teraz, rano, gdy zgramolił się z fotela, uściskał ojca i powiedział mu, że go kocha, nie miał wiele do dodania.

Każdy ojciec (lub matka) nastolatka powinien mieć świadomość, że przychodzi w życiu syna (lub córki) taki moment, w którym on (lub ona) uznaje pewne rzeczy za zbyt skomplikowane, żeby tłumaczyć je rodzicom. Rodzice nie mogą – i nie muszą – o wszystkim wiedzieć; muszą się z tym pogodzić, zadowolić się faktami, które uda im się samodzielnie ustalić, i żyć dalej. Rzecz jasna, Henry miał ten etap już dawno za sobą; w odpowiednim czasie Doobowi nie pozostało nic innego, jak schować dumę do kieszeni i zaakceptować to jako część dorastania syna. Wtedy jednak w grę wchodziły sprawy skrajnie mało istotne: kolekcja kart *Magic: The Gathering*, program ćwiczeń na siłowni zalecany przez trenera futbolowego oraz kto się w kim podkocha w szkole. Doobowi łatwo było udawać, że go to nie interesuje.

To, co zobaczył teraz, zaglądając przez ramię zebranych w pokoju studentom, przedstawiało się o wiele ciekawiej. Fakt ten był na swój sposób bolesny.

Wszyscy oczywiście wiedzieli, że Henry jest synem sławnego Doca Dubois. Próbowali zgrywać luzaków, ale w rzeczywistości mieli ochotę uściskać jego dłoń i się przywitać. Doob wdał się w niezobowiązującą pogawędkę, lecz wzrokiem uciekał ku rzeczom, którymi wykleili ściany: były tam wydruki z CAD-a, rozpiski dyżurów, diagramy Gantta, mapy. Nie ulegało wątpliwości, że ma przed sobą jakiś projekt inżynierski, nie potrafił jednak odgadnąć, czego dotyczy. Na stole w kuchni MakerBot drukował właśnie jakiś plastikowy element pod czujnym okiem młodej kobiety, porozumiewającej się z kimś przez telefon mieszaniną angielskiego i mandaryńskiego.

Rozmowy przerwało coraz głośniejsze popiskiwanie sygnału cofania. Ktoś otworzył drzwi, wpuszczając do środka falę chłodnego i wilgotnego powietrza znad Pacyfiku, i oczom zebranych ukazała się ciężarówka z wypożyczalni Rydera, cofająca po trawniku prosto w stronę wejścia. Nieśmiertelny instynkt kazał Doobowi niechętnie spojrzeć na błotniste

ślady opon i zacmokać z dezaprobatą na widok nieodpowiedzialnego zachowania kierowcy rozjeżdżającego trawnik... z którego za dwa lata zostanie cieniutka warstewka węgla na wyjąłowym placku stwardniałej gliny. O ile nie zaliczy bezpośredniego trafienia meteorytem i nie stanie się skrawkiem wielkiego, zeszlonego krateru.

Ciężarówka nie wyhamowała w porę i strzaskała drewnianą poręcz przy schodkach na werandę.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, który miał intrygujące brzmienie – łączył dziecięcy zachwyt z inną, mroczniejszą nutą, sygnalizującą oczekiwanie znacznie gorszych wydarzeń.

Dzieciaki adaptowały się znacznie lepiej od niego, dorosłego faceta.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, wyglądało jednak na to, że celem ćwiczenia jest wrzucenie wszystkiego do ciężarówki. Początkowo stał z boku z rękami w kieszeniach, nie wiedząc, które rzeczy jada, a które zostają, ale kiedy zobaczył, jak ładują do wozu sofę, dotarło do niego, że zamierzają porzucić dom. Zaczął pomagać. W którymś momencie ciężarówka się zapełniła, zaczęli więc wyciągać z niej załadowane sprzęty i pakować je po raz drugi, tyle że w nieco bardziej przemyślany sposób. Doob w końcu znalazł miejsce dla siebie: płynnie wszedł w rolę starego, przebiegłego pakowacza, doradzającego, jak najsensowniej wykorzystać przestrzeń ładunkową.

W końcu ktoś sprowadził drugą ciężarówkę; podobno wypożyczano je za darmo. Paru robotników z marketu budowlanego przyszło pomóc przy pakowaniu. Market zbankrutował. Twarze robotników miały ten sam wyraz co twarz Amelii; Doob się zastanawiał, kiedy i jak pierwszy raz usłyszeli nowinę.

Szóstka studentów zapakowała się do przyprowadzonej przez Dooba terenówki razem z komputerami, ubraniami i wszelkimi narzędziami, które posiadali lub które udało im się wypożyczyć. Do bagażnika na dachu przywiązali dwa rowery i nadmiar sprzętu turystycznego. Doob nie miał pojęcia, dokąd i po co jada, ale wyglądało na to, że planują stworzenie nowej cywilizacji na bazie niebieskich płacht brezentowych i plastikowej taśmy.

Około drugiej po południu znaleźli się w liczącej dwadzieścia pojazdów kawalkadzie wyjeżdżającej z miasta na wschód. Zważywszy na porę roku i szerokość geograficzną Seattle, pozostały im jeszcze

jakieś dwie godziny światła dziennego.

Większość młodziaków natychmiast posnęła. Siedzący obok kierowcy Henry podejmował wzruszające wysiłki zmierzające do niezaśnięcia, lecz w końcu i tak się zdrzemnął. Był miłym dzieciakiem i Doob wiedział, że kiedy się obudzi, na pewno będzie go przeproszał – nie był jednak ojcem i nie rozumiał, że dla rodzica niewiele jest widoków równie przyjemnych jak jego własne smacznie śpiące dziecko.

Dlatego Doob całkiem zadowolony (na ile było to możliwe, biorąc pod uwagę całokształt sytuacji) zapuszczał się w głąb pograżających się w mroku gór, prowadząc terenówkę pełną śpiących pasażerów. Kawalkada się rozproszyła; większość samochodów pojeżdżała na przedmieścia, nim droga zaczęła się na dobre piąć w górę – a Doob zastanawiał się (jak zwykle), co ci ludzie właściwie robią? Jak gdyby nigdy nic chodzą do szkoły albo do pracy, żeby wypełnić sobie dni przed końcem świata?

Nie, w gruncie rzeczy to nie była jego sprawa.

Wszyscy, którzy za Issaquah wciąż jechali autostradą międzystanową, najprawdopodobniej zmierzali na zimną wyżynną pustynię po wschodniej stronie gór. Trafiali się wśród nich nieliczni narciarze (sic!), których samochody łatwo było rozpoznać. Pozostałe pojazdy przypominały te wozy, które wczesnym popołudniem tworzyły kawalkadę wyjeżdżającą z terenu uniwersytetu: wyładowane ciężarówki, SUV-y i pikapy pełne zapasów i sprzętu turystycznego.

Doob zdał sobie sprawę, że upodabnia się do wędrownego robotnika z czasów Wielkiego Kryzysu.

Z tą różnicą, że tamci robotnicy wiedzieli przynajmniej, dokąd jada.

Wieczną mżawkę z Seattle zastąpiły naprzemienne strefy mgły i zimnego deszczu, przez co jedną ręką musiał nieustannie manipulować przy dźwigni wycieraczek. W miarę jak wjeżdżali coraz wyżej, krople deszczu najpierw zaczęły tężeć od mrozu, a potem przeszły w śnieg. Asfalt był jeszcze czysty, lecz puchnące na poboczach pośniegowe błocko z wolna zagarniało jezdnię dla siebie. Prędkość przemieszczania się spadła najpierw do czterdziestu, potem do trzydziestu i dwudziestu mil na godzinę, aż w końcu – kiedy stalowoszare chmury zdławiły resztki dnia – droga przed terenówką zgęstniała w breję tylnych świateł.

Pasem dla powolnych pojazdów na przełęcz wspinały się ciągniki siodłowe. Niektóre miały klasyczne zamknięte naczepy zawierające nie wiadomo co, ale Doob nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wyjątkowo dużo jest pojazdów przewożących niecodzienne ładunki o charakterze przemysłowym – cystern ze skroplonymi gazami oraz platform z ładunkiem rur lub stalowych elementów konstrukcyjnych.

Błysnęło – na tyle jasno, że niektórzy studenci poruszyli się niespokojnie przez sen. Doob odruchowo zaczął liczyć: sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa... Mniej więcej po dziewięciu, dziesięciu sekundach poczuł, bardziej nawet niż usłyszał, basowy łoskot. W dzieciństwie założyłby, że to grzmot pioruna, teraz jednak nauczył się interpretować wszelkie takie zjawiska jako uderzenia księżycowych odłamków. Drugi grzmot, który przewalił się po kolejnych paru sekundach, sugerował, że meteoryt spadł na ziemię, zamiast – jak większość – rozpaść się i spłonąć w atmosferze. Musiał więc być całkiem spory.

Od dnia albo dwóch nie zaglądał na stronę, na której jego doktoranci porównywali dane z obserwacji bolidów z prognozami sporządzonego przez nich modelu. W ogóle rzadko tam zaglądał, ponieważ po nieco chaotycznych pierwszych tygodniach model został tak dopracowany, że jego przewidywania w statystycznie zadowalającym stopniu zgadzały się z obserwacjami – co oczywiście dobrze świadczyło o modelu, źle natomiast wróżyło człowiekowi, ponieważ oznaczało, że od nieuniknionego Białego Nieba i Kamiennego Deszczu dzieli ludzkość dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwa miesiące. Jeśli go pamięć nie myliła, takie uderzenia meteorytów jak przed chwilą zdarzały się około dwudziestu razy dziennie, w różnych rejonach świata. Fakt, że stał się świadkiem takiego wydarzenia, był więc niecodzienny, ale – mimo wszystko – nie było się nad czym rozwodzić.

Chwilę później światła samochodów przed nim rozjarzyły się czerwono, gdy kierowcy masowo zaczęli wciskać hamulce. Jeszcze przez krótki czas sznur pojazdów pełzył do przodu, aż w końcu zupełnie znieruchomiał. Część studentów obudziła się i skomentowała to rozespanymi głosami. Kiedy przez dziesięć minut samochody ani drgnęły, Henry wysiadł, stanął na stopniu biegnącym wzdłuż drzwi samochodu i zaczął odwiązywać jeden z załadowanych na dach

rowerów.

Kiedy przeciskał się na rowerze pomiędzy stojącymi w korku samochodami, siedzący w bezpiecznym ciepełku wnętrza Doob odprowadził go dokładnie tak samo nieszczęśliwym wzrokiem, jak wtedy, gdy mały Henry wyruszał na pierwszą solową przejażdżkę rowerową po ulicach Pasadeny.

Trzy minuty później był z powrotem.

– Przed samą przełęczą ciągnik siodłowy złożył się wpół – wyjaśnił. – Wiecie jakiś ogromny ładunek, wygląda mi to na część wieży startowej.

Część wieży startowej.

Te słowa uruchomiły głębokie pokłady wspomnień w mózgu Dooba. Kojarzyły się z raketami kosmicznymi, wypowiedane przez ludzi pokroju Waltera Cronkite'a i Franka Reynoldsa głębokim, zakonserwowanym w nikotynie barytonem z epoki misji Apollo.

Ponieważ nadal nic się nie działo, wyciągnęli z bagażnika zimowe płaszcze, zakutali się w nie i poszli się rozejrzeć. Mnóstwo ludzi zrobiło tak samo – co wydało się Doobowi niezwykle. Człowiek wolał zwykle posiedzieć w samochodzie, pobawić się iPhone'em, posłuchać audiobooka i czekać, aż policja załatwi sprawę.

Od unieruchomionej ciężarówki dzieliło ich nie więcej niż pół mili. Wszystko wskazywało na to że zaliczyła spektakularny poślizg, w którym naczepa pod gigantycznym ciężarem wieży (spawanej stalowej kratownicy przypominającej element wiaduktu kolejowego) pchnęła tył wozu w przód i w bok, omiotła calusieńką jezdnię – wszystkie pasy ruchu, aż w końcu runęła na bok i znieruchomiła, zniszczywszy po drodze dobre sto jardów ochronnej barierki. Kilka jadących za nią samochodów wypadło z drogi, gdy kierowcy wdusili hamulce; parę osób nie otrząsnęło się jeszcze z drobnych stłuczek, będących skutkiem najechania na tył poprzedzającego pojazdu, nikt jednak nie został poważnie ranny.

Liczba pieszych zmierzających na miejsce wypadku była naprawdę imponująca, a mimo to niewielu widziało się wśród nich ludzi, których Doob zaliczyłby do gapiów i ciekawskich. Co ich przyciągało? Kiedy wraz z Henrym i pozostałymi studentami podeszli bliżej, zobaczył najpierw przemieszczające się samochody, które ustawiały się w taki sposób, żeby jak najlepiej oświetlić przewróconą ciężarówkę, a potem strumyczek

ludzi, który przeciekał na drugą stronę poboczem albo przez lukę między ciągnikiem i naczepą. W strategicznych punktach rozstawili się samozwańczy porządkowi, białymi LED-owymi latarkami podświetlając zdradzieckie fragmenty przejścia lub przydatne stopnie i chwytty. Doob z całym towarzystwem również precyzyjnie przycisnął się obok naczepy. Rozpościerający się z drugiej strony widok naprawdę był godny uwagi: przed nimi rozciągała się mokra i całkowicie pusta autostrada. Z prawej strony piał się w górę oświetlony stok narciarski. W oddali – dziesięć, może dwadzieścia mil od nich – po zboczu góry pełgały pomarańczowe smugi, ledwie majaczące we mgle i śnieżycy. To musiało być miejsce, w które uderzył meteoryt.

Teraz Doob już wiedział, co się stało. Meteoryt przeciął niebo. On sam zarejestrował go zaledwie jako rozbłysk światła ponad chmurami, ale ludzie, którzy w tamtej chwili pokonywali siodło przełęczy, musieli dokładnie widzieć zarówno sam bolid, jak i moment jego zderzenia z ziemią, kiedy to wyrył długą na milę bruzdę w górskim lesie. Kierowcy zareagowali gwałtownie, samochodami zarzuciło, zaczęły zjeżdżać ze swoich pasów na boki. Kierowca ciężarówki wcisnął hamulec. Opony straciły przyczepność na pośniegowym błocie.

Po tej stronie ciężarówki już teraz zebrała się dobrze ponad setka ludzi; dwadzieścia minut później było ich dość, żeby zdołali postawić naczepę na koła. Niczym zespół egipskich niewolników przesuwających ogromny blok kamienia, wszyscy ci ludzie w zimowych kurtkach, rękawicach z mikrofibry i spodniach narciarskich po prostu wcisnęli się pod naczepę i zaczęli ją podnosić. Z drugiej strony przymocowano powyjmowane ze skrzynek z narzędziami pasy holownicze, zaczepione do zderzaków paru pikapów z napędem na cztery koła, którym udało się przedostać na miejsce wypadku. Pikapy ciągnęły, ludzie pchali – i naczepa ze zdumiewającą łatwością zaczęła stawać do pionu. Jeszcze przez chwilę balansowała na połowie kół (było słychać tylko wizg ślizgających się na asfalcie opon pikapów, gdy ich kierowcy z zapalonym palili gumę), aż w końcu przyjęła normalną pozycję. Donośne i zgodne „Hura!” wyrażało tyleż ulgę, co euforię. Doob przybił zamaszyste piątki z dwudziestoma obcymi ludźmi, których widział pierwszy raz w życiu i nigdy więcej miał już nie zobaczyć.

Wykierowanie ciężarówki we właściwą stronę i ponowne jej

uruchomienie zapowiadało się jako operacja żmudna i mogło zająć jeszcze dobre dwie godziny, jednakże dość szybko udało się odblokować przynajmniej jeden pas ruchu. Zresztą już wcześniej terenówki z napędem na cztery koła pokonywały rozgraniczający jezdnie pas trawy i ruszały drugą jezdnią pod prąd; sporadycznie pojawiające się samochody z naprzeciwka wymijały je rozpaczliwymi manewrami, protestując przeciągłym dopplerowskim skowytem klaksonów.

Kolejną przeszkodę napotkali godzinę później: przewalające się nad drogą gęste kłęby dymu ograniczały widoczność niemal do zera. Galaktyki migających czerwonych i niebieskich świateł to wyłaniały się z tego mroku, to w nim przepadały: w tych miejscach koncentrowały się pojazdy służb ratowniczych – strażacy walczyli z pożarem, a lekarze pomagali tym, którzy ucierpieli w wyniku kataklizmu. W pewnym miejscu na drodze leżał głaz wielkości samochodu okolony zapalonymi racami; uderzył w nawierzchnię z taką siłą, że wbił się w nią i wyłamał pręty zbrojeniowe, które teraz sterczały na wszystkie strony. Nie był to sam meteoryt, lecz skalny odłamek wybity z faktycznego miejsca uderzenia bolidu.

Kolejna zwłoka – tym razem spowodowana już czystą ciekawością – nastąpiła w Vantage, gdzie droga przecinała szeroką niemal na milę rzekę Columbia. Coś działo się pod mostem, na wschodnim brzegu, gdzie nisko zawieszona przęsło wspinało się wyżej, żeby udostępnić tor wodny największym barkom. Zainstalowane na wysięgnikach oślepiające lampy rzucały cętkowaną plamę światła w miejscu, w którym z barki wyładowywano jakiś duży, cylindryczny przedmiot.

Z powodu tych wszystkich komplikacji było dobrze po północy, zanim dotarli do Moses Lake i skręcili z autostrady (podobnie jak niemal wszystkie podążające nią pojazdy) w kierunku Międzynarodowego Portu Lotniczego Grand County.

Taką przynajmniej oficjalną nazwę nosiło lotnisko – bo kiedy następnego dnia rano Doob wyczołgał się z namiotu, który dzielił z Henrym, wstał i rozejrzał się dookoła, z miejsca przezwał je Nowym Bajkonurem. Było położone na tym samym równoleżniku co Bajkonur i w takim samym stepowym krajobrazie.

I podobnie jak stepy przed wiekami, było zamieszkane przez koczowników, wędrownych robotników ery kosmicznej. Musiało ich

być co najmniej dziesięć tysięcy.

W obozowisku panował względny ład. Na dnie wyschniętego jeziora nakreślono długie, proste linie – najprawdopodobniej za pomocą tych samych maszyn, którymi rysowano linie na boiskach futbolowych. Mieszkający w namiotach przybysze z grubsza szanowali wyznaczony w ten sposób układ większych i mniejszych ulic. W ściśle ustalonych odstępach znajdowały się skupiska przenośnych toalet, nos jednak podpowiadał Doobowi, że część mieszkańców korzysta z wykopanych w ziemi latryn albo po prostu sika po krzakach.

Przez kilka ostatnich godzin jazdy Henry przedstawił mu nieco szczegółów. Znajdowali się w dawnej bazie lotnictwa wojskowego, stanowiącej jeden z elementów północnej linii instalacji militarnych mających służyć USA do obrony przed ewentualną agresją komunistów – chociaż mierzący trzynaście i pół tysiąca stóp długości pas startowy sugerował, że przewidywano dla niej również zadania ofensywne. Baza pełniła też rolę jednego z zapasowych lądowisk dla promów kosmicznych, nigdy jednak nie została w tym celu użyta. Tak czy inaczej, przemysł lotniczy od dziesiątków lat wykorzystywał tutejsze lotnisko – wręcz niedorzecznie ogromne jak na potrzeby takiej miejsciny jak Moses Lake – do celów szkoleniowych i doświadczalnych. W 2005 roku Blue Origin testował tu samolot pionowego startu i lądowania: maszyna startowała z przyczepy rozstawionej na dnie jeziora na zachód od portu, mniej więcej w tej okolicy, w której teraz wyrósł Nowy Bajkonur i którą Doob przemierzał w poszukiwaniu źródła zapachu smażonego bekonu.

Nad głową przeleciał mu z łoskotem ogromny samolot bez okien; wypuścił z brzucha istną falangę kół i wykonał długie, powolne lądowanie, wykorzystując dosłownie każdą z trzynastu i pół tysiąca stóp długości pasa. Lot transportowy.

Doob dotarł do szerokiej alei prowadzącej wprost do środka obozowiska – którego położenie było zresztą absolutnie oczywiste: betonowy plac, wciąż jeszcze wylewany kawałek po kawałku, na którym piętrzyła się zbieranina przeróżnych dźwigów.

Tam właśnie budowano raketę.

Dużą raketę.

Miało to poniekąd sens. Rzeką można było przetransportować każdy,

nawet największy ładunek (tylko na ostatnie kilkanaście mil trzeba go było przeładować na ciężarówkę), tutejsze lotnisko mogło przyjąć największe samoloty, a zakłady przemysłu lotniczego w Seattle mogły zbudować dosłownie wszystko. W dodatku zgodność szerokości geograficznej z Bajkonurem umożliwiała wykorzystanie dobrze znanego planu lotu, żeby dostarczać kolejne transporty na Izzy.

Zaledwie cztery dni później Doob stał na skrzyni ładunkowej porzewiałego pikapa w tłumie kosmicznych prostaków i długoszyjkową butelką piwa naśladował ruch startującej rakiety. Wśród pokrzykiwań i wiwatów rakietę zakreśliła wdzięczny łuk nad górami, kierując się w przybliżeniu w stronę Boise – a oni do następnego poranka wytrzeźwieli i zaczęli budować kolejną.

Dzień 80

– Mówimy o wysyłaniu różnych rzeczy na orbitę tak, jakby ta „orbita” była ściśle określonym miejscem, jak Filadelfia, powiedzmy. Tymczasem orbita to nie jedno, lecz wiele miejsc; wiele sposobów bycia w przestrzeni kosmicznej. Teoretycznie każde dwa obiekty w kosmosie mogą orbitować wokół siebie nawzajem. Jednakże w większości interesujących nas przypadków, mówiąc o „orbitowaniu”, mamy na myśli sytuację, w której jeden obiekt, bardzo mały, okrąża drugi, bardzo duży: to może być sztuczny satelita obiegający Ziemię albo Ziemia krążąca wokół Słońca. Można więc powiedzieć, że szybka i prosta metoda klasyfikacji orbit sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: jaki to ogromny obiekt jest umiejscowiony w centrum? Jeżeli jest to Ziemia, mówimy o orbicie geocentrycznej, jeżeli słońce, o heliocentrycznej i tak dalej. Od czasu rozpadu Księżyca interesują nas głównie orbity geocentryczne. Księżyc, kiedy jeszcze istniał, krążył po takiej właśnie orbicie i większość jego odłamków na takich orbitach pozostała. Kiedy któryś z nich zahaczy po drodze o atmosferę Ziemi, mamy do czynienia z meteorytem. Tyle tytułem wprowadzenia do zagadnienia orbit. Proszę jednak nie zapominać, że można je rozpatrywać na różnych poziomach. Na przykład cały układ Ziemia-Księżyc krążył wokół Słońca po orbicie heliocentrycznej. Gdyby zaś oddalić się od niego i spojrzeć z daleka na naszą galaktykę, czyli Drogę Mleczną, zobaczylibyśmy, że nasz Układ Słoneczny bardzo powoli obiega znajdującą się w samym środku galaktyki czarną dziurę, a więc krąży po orbicie galaktocentrycznej.

Tym wyjaśnieniom – wygłaszanym przez sławnego astronoma i popularyzatora nauki Doca Dubois – towarzyszyły animowane obrazy, na których Układ Słoneczny na przemian to przybliżał się do widza, to się od niego oddalał. Dinah zerkała na nie sponad ramienia Luisy Soter, która niedawno przybyła na Izzy i bezapelacyjnie wygrała konkurs na „Życiorys najdalszy od stereotypowego wizerunku astronauty”. Urodziła

się w Nowym Jorku po tym, jak jej rodzice uciekli z Chile przed represjami politycznymi. Wychowywała się w Harlemie, w wielojęzycznym środowisku cyganerii; codziennie przechodziła przez Central Park do szkoły Stowarzyszenia Kultury i Etyki przy Sześćdziesiątej Trzeciej Zachodniej. Następnie zrobiła dyplomy z psychologii i nauk społecznych na UCLA, w Chicago i Barcelonie. Po paru latach pracy z imigrantami ekonomicznymi przybywającymi do Europy w dziurawych łodziach rybackich otrzymała grant z Fundacji MacArthurów, który pozwolił jej przez kilka lat podróżować i badać zagadnienia migracji zarobkowej na całym świecie.

Przed dwoma tygodniami została wyciągnięta z uniwersytetu w St. Andrews w Szkocji, gdzie przebywała w ramach Programu Fulbrighta, pośpiesznie przeszkolona w kwestiach przetrwania w kosmosie, zapakowana do kapsuły turystycznej i wystrzelona na orbitę.

Dinah (podobnie jak wszyscy inni) doszła do oczywistego wniosku, że Luisa ma zostać pierwszym kosmicznym psychologiem i pracownikiem opieki społecznej. I sądząc po niektórych interakcjach, do jakich dochodziło w warunkach narastającego tłoku i stresu, zanosilo się na to, że nie będzie narzekała na brak zajęcia: sytuacja, w której gromadę desperatów wrzucono by do dryfującej po wzburzonym morzu łodzi, niebezpiecznie przypominała obecne warunki na ISS.

Luisa miała dość pewności siebie, żeby swobodnie i bez ogródek przyznawać, że nie ma pojęcia o takich sprawach jak mechanika orbitalna, ale umiała także wykorzystać swoją niewiedzę do czegoś więcej: do przełamywania pierwszych lodów w kontaktach towarzyskich. Na Izzy nie brakowało ludzi niezbyt odległych od aspergerowskiego krańca spektrum społecznego; najlepszym sposobem przekonania ich do mówienia było zadanie im jakiegoś specjalistycznego pytania. Kiedy jednak wszyscy byli zajęci, Luisa nie miała nic przeciwko temu, żeby zasięgnąć rady Google'a albo nauczyć się czegoś z YouTube'a – tak jak to robiła w tej chwili.

Szybująca w powietrzu za jej plecami Dinah patrzyła, jak animacje na ekranie ustępują miejsca obrazowi Doca Dubois i krępego, łysego białego mężczyzny: stali obok siebie na płaskim jak naleśnik kawałku szaroburej ziemi, w którym rozpoznała port kosmiczny w Moses Lake. W tle, daleko za ich plecami, na stanowisku startowym powstawała

następna rakieta: w pozornie chaotycznej płataninie żurawi, kratownicowych wież i stalowych lin montowano jeden na drugim kolejne stopnie. Jak przez mgłę kojarzyła także rozmówcę Doca Dubois, eksperta naukowego, który często pojawiał się w telewizji i na YouTube.

W tej właśnie chwili spojrzął w kamerę i powiedział:

– Mówi Tavistock Prowse. Jesteśmy w najnowszym kosmodromie na Ziemi, Grand County w stanie Washington. Mojego gościa nikomu nie trzeba przedstawiać: to Doc Dubois, z którym rozmawiamy o niedawnych kontrowersyjnych wydarzeniach towarzyszących startom misji Arjuna Expeditions. Wiele z tych rakiet startuje właśnie stąd, z prowizorycznego centrum lotów kosmicznych, które widzicie za naszymi plecami. Arjuna przygotowała animację, która wszystko wyjaśnia. Przygotujcie więc popcorn i rozsiądźcie się wygodnie.

Prowse i Dubois zniknęli, a ich miejsce zajęła Ziemia, pokazywana z oddalenia, w przechyle i na szerokim planie ilustrującym jej ruch wokół Słońca; jej trajektorię wytyczała cienka, zakrzywiona czerwona linia. Kamera cofnęła się jeszcze bardziej i w kadrze pojawiły się orbity Wenus i Merkurego, a potem także Marsa i Jowisza.

– Tradycyjnie pod pojęciem „asteroid” – odezwał się znowu Doc Dubois – rozumiemy obiekty z pasa asteroid rozpościerającego się pomiędzy Marsem i Jowiszem.

W rozległej przerwie rozdzielającej orbity tych dwóch planet pojawił się pierścień pyłu, w którym mignęło parę większych grudek.

– Znajdują się tam ogromne ilości surowców, które w przyszłości Nasza Spuścizna, być może, będzie umiała wykorzystać. Pas asteroid znajduje się jednak zbyt daleko, żeby w krótkim czasie dotarły tam konstruowane przez nas dzisiaj statki kosmiczne.

A zatem Doc Dubois, wierny swojej reputacji człowieka, który zawsze jest na czasie, przyswoił sobie określenie „Nasza Spuścizna” – niezwykle popularny slogan i hashtag internetowy oznaczający „wszystko, co zostanie osiągnięte w odległej przyszłości przez potomków ludzi, którzy trafią na Arkę w Chmurze” albo, mówiąc bez ogródek, „jedyne powód do życia w następnych dwudziestu dwóch miesiącach”.

Wirtualna kamera zrobiła tymczasem najazd i orbita Ziemi w całości wypełniła ekran.

– Astronomowie wiedzieli jednak od dawna, że nie wszystkie

asteroidy znajdują się za orbitą Marsa – ciągnął Doc Dubois. – Znacznie mniejsze, choć wciąż istotne roje asteroid krążą także po orbitach heliocentrycznych niewiele różniących się od ziemskiej.

Obłok drobniejszych i rzadziej rozsianych drobinek utworzył coś w rodzaju rozmytej aureoli wokół czerwonej linii przedstawiającej orbitę Ziemi.

– Stąd właśnie pochodzi Amalthea – wtrącił Prowse. – Mam rację, doktorze?

– Owszem. Sprowadzenie tak dużej grudy metalu z obszarów leżących pomiędzy Marsem i Jowiszem trwałoby wieczność. A dzięki temu, że znaleźliśmy ją w sąsiedztwie Ziemi, poszło nam o wiele łatwiej.

– Co ma pan na myśli, mówiąc o „sąsiedztwie Ziemi”?

– Wszystkie te skały okrążają Słońce, tak jak Ziemia; niektóre po orbicie nieco ciaśniejszej niż nasza, niektóre po nieco dłuższej. Niektóre z nich podczas każdego obiegu wokół Słońca dwa razy przecinają trajektorię naszego globu. I kiedyś takie właśnie asteroidy nas niepokoiły.

– Kiedyś – powtórzył Tav. – Bo dzisiaj już nie.

Doc Dubois zawahał się... i ugryzł się w język. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie puścić ten żart mimo uszu.

– Ponieważ nas niepokoiły, dołożyliśmy starań, żeby je znaleźć i dokładnie poznać ich trajektorie. Parametry orbit.

Obraz znów przeskoczył na Doca i Tava, którzy szli po zbitym gruncie portu kosmicznego. W tle pojawiła się ciężarówka przyozdobiona logo Arjuna Expeditions.

– W ostatnich latach firmy takie jak Arjuna Expeditions namierzyły znacznie więcej tych właśnie asteroid, w nadziei na ich eksploatację górniczą. W ciągu ostatnich tygodni Arjuna w porozumieniu z innymi prywatnymi eksploratorami kosmosu usiłuje wrzucić w tych poszukiwaniach wyższy bieg.

– Co dokładnie planuje Sean Probst?

– Tego nam nie mówi, ale mechanika orbitalna, jako nauka ścisła, nie pozostawia wiele miejsca na domysły. W drugiej części naszego filmu dowiedzie się więcej o orbitalnym tańcu ciał niebieskich i skomplikowanej choreografii niezbędnej do tego, by asteroida w odpowiednim momencie pojawiła się we właściwym miejscu.

Luisa znieruchomiała z palcem nad guzikiem uruchamiającym drugi filmik, zanim jednak go wcisnęła, obejrzała się na Dinah.

– Próbuję się zorientować, czym się zajmujesz – powiedziała z akcentem, który mógł pochodzić zewsząd, chociaż w największej mierze z Nowego Jorku. – Bo jesteś pracownikiem Arjuny, prawda?

– Cii! – uciszyła ją Dinah. – Nie chcę sobie robić z Rosjan wrogów.

– O co właściwie chodzi? – spytała Luisa.

Miała na myśli ostatnie napięte spotkania i ewidentne konfrontacje pomiędzy Rosjanami (którzy w dalszym ciągu myśleli i działali jak monolit pod przywództwem Fiodora Antonowicza Pantelejmona) i ekipą Arjuny, która wręcz szczyła się swoją „destruktywnością”. Określenie to zostało żywcem zaczerpnięte z żargonu biznesowego, trudno jednak było wytłumaczyć kosmicznemu wydze, co dobrego może być w destruktywności.

Dinah miała ochotę odpowiedzieć coś w rodzaju „różnice kulturowe”, czułaby się jednak nieswojo, używając podobnych ogólników rodem z cocktail party wobec osoby z takimi referencjami jak Luisa.

– Posłuchaj, w kosmosie niespodzianki prawie zawsze są nefajne – zaczęła. – Normalnie każdą misję planuje się z dokładnością do n-tego miejsca po przecinku; układa się plany awaryjne na wszelkie możliwe okazje; nie zostawia się miejsca na improwizację. Improwizacja jest niemożliwa, bo brakuje do niej materiałów.

– Właśnie mi się przypomniała taśma klejąca w *Apollo 13*.

– Zgoda, to był jeden z tych rzadkich wyjątków; jak sama widzisz, mówi się o nim do dzisiaj, dziesiątki lat później. Larz przybył do nas z założeniem, że zostaje na Izzy i pracuje dla nas, a tymczasem ma odlecieć razem z Seanem. W dodatku zabiorą mi prawie wszystkie roboty.

– Ale z Ziemi przyślą ci nowe, prawda?

– Tak, z pewnością. Chodzi mi tylko o to, że to sytuacja niespodziewana. Im szybciej Sean i Larz się stąd ulotnią i ruszą w drogę, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że Fiodor udusi ich gołymi rękami.

– W drogę dokąd?

– Na inną orbitę.

– Helio- czy geocentryczną? – spytała Luisa z kamiennym wyrazem twarzy, zanim mrugnęła do Dinah porozumiewawczo.

– Najpierw geo-, potem helio- – odparła Dinah, uśmiechając się półgębkiem.

– Myślałam, że na geocentrycznej to my już jesteśmy.

– Ale z punktu widzenia Seana to jest zła orbita, przechylona pod kątem w stosunku do równika. Musi taka być, żeby z Bajkonuru mogli nam przysyłać sprzęt; Bajkonur leży równie daleko na północy jak Seattle. Kiedy jednak chcesz działać w skali międzyplanetarnej, a właśnie coś takiego chodzi Seanowi po głowie... Inaczej: kiedy chcesz się wyrwać z niskiej orbity geocentrycznej, musisz znaleźć się jak najbliżej płaszczyzny równika, bo tam, z grubsza rzecz biorąc, znajduje się cała reszta Układu Słonecznego, w tym także wielgachna bryła lodu, którą Sean zamierza przechwycić i sprowadzić tutaj.

– Ymir – powiedziała Luisa.

Wymówiła to tak samo, jak usłyszała od Seana: iimiir. Słowo z nordyckiej mitologii, oznaczające prehistoryczne lodowe olbrzymy, Sean wykorzystał jako kryptonim pewnej konkretnej lodowej grudy, którą w ramach swojego projektu znalazł i zamierzał ściągnąć.

– Tak. Chociaż to nie jest nazwa oficjalna. Sean nie jest przesadnie wylewny.

– Jak się dostać z jednej na drugą? To znaczy z orbity geocentrycznej... bo na takiej się znajdujemy, prawda?

– Tak.

– Na heliocentryczną?

– Na początek będzie musiał z mocno przekrzywionej orbity Izzy przenieść się na orbitę mniej więcej w płaszczyźnie równika. Tam też znajdzie resztę potrzebnego wyposażenia.

– Dlaczego nie przyślą mu wszystkiego tutaj?

– Zmiana płaszczyzny orbity kosztuje. Pół biedy, kiedy takiego manewru dokonają Sean i Larz zamknięci w Kabriolecie, ale koszty byłyby absurdalnie wysokie, gdyby przysłano im cały ekwipunek tutaj tylko po to, żeby potem wraz z nimi przerzucić go na inną płaszczyznę.

Dinah pominęła w tych wyjaśnieniach drugi powód: największy element wyposażenia Seana był tak wściekle radioaktywny, że nie można było go dopuścić w pobliże Izzy.

– Dobra. Rozumiem. Ale w dalszym ciągu mówimy o orbitach geocentrycznych, prawda?

– Tak jest. To cały czas wysokość kilkuset mil nad powierzchnią Ziemi.
– Jak wobec tego przeniosą się z miejsca, w którym znajdują swój sprzęt, na orbitę heliocentryczną?

– Są różne sposoby, ale jak znam Seana, polecą przez bramę L1.

– Nie mam pojęcia, co to takiego – przyznała Luisa i w końcu przegrała walkę o powstrzymanie wybuchu śmiechu. – Ale nie pierwszy raz czuję się jak w filmie science fiction, kiedy wszyscy wokół mnie mówią w taki sposób.

– Doc Dubois pewnie opowiada o tym w swoim filmiku – Dinah ruchem głowy wskazała tablet Luisy – ale sama idea jest prosta.

Rozejrzawszy się, znalazła siatkową torbę pełną ubrań. Wyciągnęła ją z niszy w ścianie na środek kabiny.

– Słońce – powiedziała.

Poszukała w kieszeniach i znalazła plastikową fiolkę z pigułkami – lekarstwem na mdłości dla któregoś z nowych mieszkańców stacji. Wyjęła korek i zatyczkę z waty, którą następnie umieściła w powietrzu nieco bliżej Luisy.

– Ziemia – dodała. – Na orbicie heliocentrycznej.

Dręczony mdłościami załogant będzie musiał jeszcze chwilę poczekać. Dinah ostrożnie wytrząsnęła kilka pastylek, które zawisły w powietrzu. Zamknęła i schowała fiolkę, po czym zaczęła rozstawiać pastylki w przestrzeni wyznaczonej przez „Słońce” i „Ziemię”.

– Asteroidy? – strzeliła Luisa.

– Raczej abstrakcyjne twory matematyczne. To tak zwane punkty Lagrange’a, znane również jako punkty libracyjne. W każdym układzie dwóch ciał jest pięć takich punktów, zawsze tworzących taki sam układ geometryczny. Dwa z nich, L5 i L4, znajdują się daleko po bokach; nie będę ci nawet próbowała ich pokazać, bo za mało tu miejsca. Pozostałe trzy są rozmieszczone na linii łączącej Słońce z Ziemią. – Dinah odepchnęła się od ściany, przepłynęła na stronę „Słońca” przeciwną do „Ziemi” i umieściła tam jedną z pigulek. – To jest punkt L3, bardzo odległy i niewidoczny dla nas, ponieważ Słońce zawsze go zasłania. Niezbyt użyteczny. – Podfrunęła z powrotem do kulki waty i przytrzymując się ściany, ulokowała kolejną pastylkę po jej drugiej stronie. – To L2, na zewnątrz ziemskiej orbity. – Ostatnią pigułkę ustawiła pomiędzy „Słońcem” i „Ziemią”, choć wyraźnie bliżej tej

drugiej. – A to będzie...

– L1. Nic innego nie zostało – odparła z przekąsem Luisa i parsknęła śmiechem. – Wy, ludzie kosmosu, uwielbiacie takie odliczanie wstecz. Przejrzałam was.

– W tym punkcie równoważą się siły przyciągania Ziemi i Słońca. Miejsce to bywa nazywane „bramą”, ponieważ łatwo w nim przeskoczyć z orbity geo- na heliocentryczną. Czasem nawet taki proces zachodzi samoistnie, kiedy asteroida krążąca wokół słońca zanadto przybliży się do L1 i zostanie przechwycona przez Ziemię. Albo w drugą stronę, tak jak to się stało z górnym stopniem pojazdu Apollo: obiegając Ziemię, znalazł się zbyt blisko L1 i został wystrzelony na orbitę heliocentryczną, po której krążył latami. Potem wrócił tą samą drogą... i znów dał się wystrzelić.

Luisa pokiwała głową.

– To jak przesiadka z linii metra D na A na Columbus Circle – powiedziała. – Przenosząc to na warunki nowojorskie.

– Często przywołuje się w tym miejscu analogię ze stacją rozrządową albo dworcem kolejowym – przyznała Dinah.

– I twoim zdaniem Sean z ekipą tam właśnie zamierzają polecieć.

– Po tym, jak zbiorą cały... – Dinah zawiesiła głos.

– Sprzęt do kupy? – podsunęła Luisa.

– Właśnie – przytaknęła z uśmiechem Dinah. – Jeżeli chcą dotrzeć do L1, muszą wspiąć się na wyższą orbitę od tej, na której w tej chwili jesteśmy. To oznacza włączenie silników i spalenie ogromnej ilości paliwa w ciągu zaledwie paru minut, a potem kilka tygodni lotu siłą rozpędu. Po drodze czeka ich przecięcie pasa Van Allena, a to oznacza silne napromieniowanie. Niestety nie da się tego uniknąć. L1 jest cztery razy dalej od Ziemi niż Księżyc.

– Teraz to już resztki Księżyca – mruknęła pod nosem Luisa.

– To prawda. Tak czy inaczej, za parę dni Sean i jego załoga znajdą się dalej od Ziemi niż ktokolwiek inny w dziejach ludzkości. Kiedy dotrą do L1, co zajmie im pięć tygodni, będą musieli wykonać kolejny manewr z użyciem silników, który umożliwi im przesiadkę z pociągu linii D na pociąg linii A, czyli przeskoczenie na orbitę heliocentryczną. Dalej wykreślą już taki kurs, jaki okaże się niezbędny dla przechwycenia komety.

– Dalej od Ziemi niż ktokolwiek inny... – Luisa podchwyciła pierwszą część wypowiedzi Dinah. – Zastanawiam się, czy reakcja Fiodora nie jest po części spowodowana zazdrością: spędził w kosmosie tyle czasu...

– A teraz pojawia się jakiś bogaty pętałak i swoim zachowaniem umniejsza wszystkie jego dotychczasowe dokonania. – Dinah pokiwała głową. – To możliwe. Fiodor, jak na Rosjanina przystało, ma twarz jak wykutą w granicie; nie sposób powiedzieć, co dzieje się w środku.

– Mniejsza z tym. Złapią wielką grudę lodu, po czym powtórzą podjęte kroki w odwrotnym porządku i wrócą do czegoś, co przez ten czas powinno się stać Arką w Chmurze.

– Niezupełnie. Tu właśnie zaczyna się najciekawsze.

– Moim zdaniem już i tak było bardzo interesująco – zauważyła Luisa.

W tym miejscu Dinah nie mogła powiedzieć jej wszystkiego, co wie.

– Manewrowanie statkiem kosmicznym (który został zaprojektowany i zbudowany specjalnie w tym właśnie celu) w obrębie Układu Słonecznego to jedna sprawa; przenoszenie olbrzymiej bryły lodu o nieregularnym kształcie to zupełnie co innego.

– Wymaga więcej czasu. – Luisa pokiwała głową. – I może się nie udać.

– No właśnie. Zresztą, co ja tam wiem: ja tylko konstruuje roboty.

– Wszystkie polecą z Seanem?

– Tak. Będą potrzebne na powierzchni komety, żeby przymocować liny i sieć. To ogromny kawał lodu. Kruchy. Nie chcielibyśmy, żeby podczas przyśpieszania rozpadł się na kawałki jak kulka ulepiona ze zbyt suchego śniegu.

– Kulka z suchego śniegu... Mieliście z tym problem tam, skąd pochodzisz?

– W Górach Brooksa? Owszem. To fatalne miejsce na lepienie śnieżek.

– Nie dla tych, którzy rzucają w ciebie, kiedy jesteś młodszą siostrą.

– Bez komentarza.

– W Central Parku śnieżki zawsze były mokre. I twarde.

Dzień 90

Kiedy w 37. dniu Ivy zaczęła zebranie od słów „pięć procent”, Dinah, a także większość mieszkańców Izzy, rozejrzała się dookoła i zobaczyła niepokojący brak postępów. I o to właśnie chodziło Ivy, rzecz jasna. Wówczas w kosmosie przebywało dwadzieścia osiem osób, z których osiem wegetowało w tymczasowych schronach – Łukach. W Bananie zrobiło się tłoczno, ale wszyscy się pomieścili.

W 73. dniu, kiedy Ivy zagała kolejne zebranie słowami „dziesięć procent”, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Nie mogło już być mowy o upchnięciu całej populacji Izzy w Bananie; większość mieszkańców musiała oglądać transmisję na wideo. Dzięki Seanowi Probstowi i organizowanym przez Arjunę lotom z Moses Lake nikt już nie znał dokładnych rozmiarów pozaziemskiej społeczności. Podobno gdzieś w Google Docs znajdował się arkusz kalkulacyjny, w którym na bieżąco śledzono rozwój populacji orbitalnej, nikt jednak nie potrafił podać jego dokładnej lokalizacji – a już co najmniej tydzień wcześniej liczba mieszkańców stacji weszła w zakres trzycyfrowy.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni funkcjonowania prowizorycznego kosmodromu z Moses Lake wystrzelono trzy rakiety. Jedna spadła na nowoczesną winnicę nieopodal Walla Walla, niszcząc kilkanaście akrów winorośli, z których uzyskano by wyśmienite wino, gdyby tylko Ziemi zostało dość czasu, by trunek zdążył się należycie zestarzeć. Pozostałe dwie dotarły do Izzy.

Większość dużych ładunków Arjuna wystrzeliwała jednak nie z Moses Lake, lecz z miejsc położonych bliżej równika, dzięki czemu trafiały na orbity bliższe płaszczyźnie ekliptyki. Co najmniej dwie ciężkie rakiety transportowe – jedna z przylądka Canaveral, druga z Kourou – spotkały się i dokonały cumowania na niskiej orbicie nad tropikalnymi obszarami Ziemi, kolejne ponoć cały czas budowano, całość projektu pozostawała jednak owiana mgłą tajemnicy. Komunikacja

międzyludzka nie była mocnym punktem Seana Probsta, a kariera w prywatnym biznesie nauczyła go trzymać karty przy orderach, w czym zresztą zgadzał się z niezbyt licznym zespołem na pokładzie Izzy, do którego zaliczali się Spencer Grindstaff i Zeke Petersen – obaj z imponująco swobodnym dostępem do tajnych informacji.

Porównując notatki i gromadząc poszlaki, Ivy i Dinah zdołały stworzyć roboczą teorię odnośnie do tego, co faktycznie się dzieje. Na pierwszy rzut oka Sean Probst był wielką niewiadomą. Tymczasem Arjuna już od tygodni przysyłała Sparky’emu gzy, które zawsze miały priorytet w wysyłce na orbitę. Wyglądało więc na to, że NASA ogromnie interesuje się wynikami prac Dinah, czyli przesyłanymi przez nią do Arjuna informacjami o tym, które gzy się sprawdzają w przestrzeni kosmicznej, a które nie. Nie bez znaczenia był fakt, że co najmniej jeden z ładunków Seana został wystrzelony z Canaveral, czyli flagowego kosmodromu NASA. Jeszcze bardziej znaczący był inny lot, do którego rakietą startowała z bazy wojsk lotniczych im. Vandenberg’a. Po tym locie do rozrastającego się orbitalnego kompleksu Arjuna dołączono niewielki aneks. Ivy i Dinah wiedziały, że jest niewielki, ponieważ użyto niedużej rakiety; wiedziały również, że musi to być supertajne urządzenie szpiegowskie – ze względu na przedsięwzięte na Ziemi środki ostrożności, o jakich donosili szarzy obywatele: jednych zmuszono do zjechania na pobocze autostrady nr 101 i ustąpienia pierwszeństwa przejazdu potężnemu wojskowemu konwojowi, inni, obserwujący start przez długie obiektywy aparatów fotograficznych, stwierdzili, że widok zasłaniają im brezentowe płachty i siatka maskująca.

Następna rakietą z Moses Lake dotarła na Izzy bez przeszkód. Jej najwyższy stopień nie miał gdzie przycumować i po prostu leciał za „rufą” stacji, utrzymując stały dystans około kilometra. Patrząc na niego spode łba, Fiodor co rusz sugerował, że należałoby skonfiskować jego zawartość, która, sądząc po liście przewozowym, była dość niecodzienna:

- zapas paliwa i innych materiałów szybko zużywających się, dzięki którym Kabriolet Seana będzie mógł zmienić orbitę i spotkać się z *Ymirem* na orbicie równikowej; nazwą „Ymir” określano już nie

tylko odległy cel podróży Seana, lecz także montowany przez niego na orbicie statek kosmiczny;

- lód;
- włókna, które po wbudowaniu w lód miały utrwalić jego strukturę, tworząc tak zwany pykret;
- kilka tysięcy lodogzów – maciupenkich robotów przystosowanych do chodzenia po lodzie.

Fiodor (i zapewne nie on jeden) miał chrapkę na ten lód i paliwo. Na Ziemi Pete Starling zaczął potrząsać prawniczą szabelką, grożąc przejęciem kosmodromu w Moses Lake. Jednakże jego plan błyskawicznie wziął w łeb, gdy tylko Sean potrząsnął własnymi szabelkami i zagroził wrzuceniem na YouTube filmu, w którym dowiedzie, że cały projekt Arki w Chmurze to w najlepszym razie nędzne placebo na kłopoty ludzkości. Mówiąc delikatnie, dziwnie oglądało się taki otwarty konflikt pomiędzy rządową lewicą i prawicą, ale świat w ogóle stał się dziwnym miejscem. Rozmawiając o nim przy posiłkach albo podczas popijaw urządzanych w czasie wolnym od pracy, Dinah, Ivy i Luisa mogły się tylko domyślać, do jakich pyskówek dochodzi pomiędzy Gabinetem Owalnym, wojskowymi, Arjuna Expeditions i architektami.

Dinah nie wychylała się i większość czasu poświęcała na pisanie oprogramowania dla robotów, które Sean miał ze sobą zabrać. Jądro komety nie było litym blokiem lodu, lecz raczej konglomeratem lodowych odłamków związanych siłą grawitacji, która była niezwykle słaba; byle dotknięcie jądra mogło spowodować jego rozpad. W Arjuna Expeditions wiedziano o tym od lat i zainwestowano miliony dolarów w opracowanie technologii, która umożliwiłaby przechwytywanie takich niewdzięcznych obiektów – chociaż słowo „technologia” było chyba nazbyt wyrafinowanym określeniem metody rozpoznawalnej nawet dla zbieraczy z epoki kamienia łupanego: zarzucić sieć i zacisnąć ją za pomocą pętli ze sznurka.

Dokonanie tej sztuki w kosmosie Sean zaliczał do tak zwanych „problemów asymetrycznych”, co w języku programistów komputerowych oznaczało ogrom drobiazgowej roboty i masę planów awaryjnych. Problemy asymetryczne z natury nie miały Jednego

Wielkiego Rozwiązania. Najprawdopodobniej miało się skończyć na tym, że mikroroboty obleżą Kometę Grigga-Skjellerupa, po czym zaczną mocować sieć i wzmacniać słabe punkty jądra poprzez nadtapianie lodu, mieszanie wody z włóknem i tworzenie pykretu poprzez ponowne jej zamrożenie. Dinah zaoferowała swoją pomoc także w tej materii i była nadzwyczaj podekscytowana tą perspektywą, dopóki Sean nie wskazał jej niektórych nieprzyjemnych aspektów problemu. Łączność pomiędzy Izzy i *Ymirem* miał zapewnić jeden jedyny aparat nadawczo-odbiorczy na pokładzie *Ymira*, bez możliwości przesyłania filmów i przy znacznym opóźnieniu sygnału radiowego, które przez większość podróży miało się liczyć w minutach, ponieważ w grę wchodziły odległości porównywalne z odległością Ziemi od Słońca. Programowanie robotów na powierzchni komety różniłoby się więc ogromnie od popatrywania na nie przez okno wychodzące na Amaltheę. Jeżeli Dinah chciała dołożyć do ekspedycji coś od siebie, musiała to zrobić tu i teraz.

Tak czy inaczej, liczba mieszkańców Izzy spadła o dwa, a poziom napięcia na całej stacji zanurkował stromo, gdy w dniu A+0.82 Sean i Larz odlecieli na pokładzie Kabrioletu. Zmiana płaszczyzny orbity doprowadziła do spotkania z *Ymirem* nad równikiem. Dalsze operacje zajęły jeszcze ponad tydzień i wiązały się z kolejnymi ładunkami przysyłanymi z przylądka Canaveral, a także prywatnych kosmodromów w Nowym Meksyku i zachodnim Teksasie, w końcu jednak *Ymir* plunął ogniem z głównego silnika i wskoczył na orbitę transferową, zmierzając w stronę punktu L1. Kilka dni później pobił ustanowiony przez Apollo rekord oddalenia od Ziemi.

Konrad Barth odwiedził Dinah w jej warsztacie. Zapukał uprzejmie – zasłona była akurat zaciągnięta, a wszyscy wiedzieli, że po drugiej stronie tej zasłony zdarza się Dinah uprawiać seks z Rhysem – i wszedł do środka. Rozglądając się nerwowo, zapytał, czy Dinah wie, co właściwie planuje *Ymir*. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, zbył ją, wyjął swój tablet i wpisał hasło, po czym podsunął jej wyświetlone na ekranie zdjęcie.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zrozumieć, co właściwie widzi. Fotografia (okolona otoczką pikseli świadcząca o silnej obróbce komputerowej) przedstawiała znajdujący się w kosmosie twór ludzkich rąk. Do jej zrobienia Konrad wykorzystał jeden z teleskopów

optycznych na pokładzie Izzy: odwrócił go od tradycyjnego celu, czyli kłębowiska odłamków unoszących się wokół dawnego środka Księżycy, i skierował na ten właśnie sztuczny obiekt – skomplikowany i bardzo duży, najprawdopodobniej największy, jaki zbudowano na orbicie, nie licząc samej ISS. Zdjęcie zrobiono z dużej odległości, a ponieważ Izzy i tajemnicza konstrukcja poruszały się względem siebie, Konrad dołożył wielu starań, żeby jak najlepiej wyostrzyć obraz. Było wyraźnie widać, że obiekt – podobnie jak Izzy – składa się z wielu modułów przysłanych na pokładzie różnych rakiet i następnie połączonych. Na rufie znajdowała się dzwonowata dysza czegoś, co musiało być głównym silnikiem. Niektóre klocki przypominały zbiorniki z paliwem, inne wyglądały jak moduły mieszkalne, zdecydowanie największym jednak – i zarazem najdziwniejszym – elementem był sterczący z dziobu długi szpikulec dziesięciokrotnie powiększający długość pojazdu. Miał konstrukcję kratownicową i do złudzenia przypominał nowe kratownice obrastające Izzy.

– No, no... – mruknęła z podziwem Dinah. – Stacja kosmiczna z własnym masztem radiowym!

– Spójrz na wierzchołek tego „masztu”. – Konrad uśmiechnął się półgębkiem.

Przesunął palcami po ekranie tabletu, robiąc zbliżenie końcówki kratownicy. Kształtem przypominała grot strzały: mały czarny czubek osadzony na masywniejszym białym korpusie spoczywającym na jeszcze większej ciemnej podstawie.

Konrad patrzył na Dinah takim wzrokiem, jakby spodziewał się, że coś z tego rozumie; jakby mogła mieć dostęp do tajemnic, które przed nim pozostawały ukryte.

Istotnie, miała. I nie mogła ich ujawniać.

– Nie jestem fizykiem jądrowym – zastrzegła się – ale to oczywiste, że ludzie na pokładzie tego statku... To *Ymir*, prawda?

– Naturalnie.

– Ludzie na jego pokładzie chcą się znaleźć jak najdalej od tego czegoś, cokolwiek to jest, dlatego umieścili to na końcu najdłuższego drąga, jaki byli w stanie zbudować.

– To coś wytwarza mnóstwo neutronów.

– Skąd wiesz?

Konrad wskazał grubą białą warstwę środkową „kanapki”; przywodziła na myśl piankę w piankowo-czekoladowym ciastku.

– To jest najprawdopodobniej polietylen albo parafina; jedno i drugie świetnie pochłania neutrony. Być może w tym procesie emitowane jest także promieniowanie gamma, stąd ta podstawa. – Teraz pokazał gruby plaster grahama na spodzie „kanapki”. – Domyślam się, że to ołów.

Dinah już wcześniej zorientowała się, co ma przed sobą (Sean jej powiedział, że jest to rdzeń reaktora dużej elektrowni atomowej o mocy czterech gigawatów, dość pośpiesznie przerobiony z myślą o nowym zastosowaniu), ale ponieważ zobowiązała się dochować tajemnicy, mogła co najwyżej czekać, aż Konrad sam poskłada elementy układanki w całość.

– Imponujące środki bezpieczeństwa jak na przedsięwzięcie, które najprawdopodobniej i tak jest misją samobójczą – zauważyła.

– Chcą cali i zdrowi dotrzeć do miejsca przeznaczenia – stwierdził Konrad – żeby móc tam coś zrobić.

– Myślisz, że komuś na Ziemi udało się zrobić podobne zdjęcia? Niczego takiego nie widziałam w mediach...

– Dopóki nie odpalili silników i *Ymir* się nie obrócił, maszt był niewidoczny. Ja zrobiłem to zdjęcie dwie godziny temu; miałem jedną, jedyną szansę i ją wykorzystałem.

Z włączeniem silników odczekali do chwili, w której, przecinając orbitę Księżyca, znajdowali się po przeciwnej stronie Ziemi niż większość pozostałych po nim fragmentów. Szansa kolizji z odłamkami była wówczas najmniejsza.

Kilka dni po tym, jak przemierzili tę odległość i stali się najbardziej oddalonymi od Ziemi podróżnikami w dziejach ludzkości, przestali nadawać. Wcześniej *Ymir* wykorzystywał potężną aparaturę nadawczą pracującą w paśmie X do przekazywania wiadomości za pośrednictwem Deep Space Network – zespołu dużych anten radiowych rozmieszczonych w Hiszpanii, Australii i Kalifornii, które od dziesiątków lat umożliwiały kontakt z sondami kosmicznymi dalekiego zasięgu. A teraz zamilkł. Nie zniknął zupełnie, bo Konrad nadal potrafił wskazać go jako biały punkcik w polu widzenia teleskopu, ale ponieważ przez najbliższe trzydzieści siedem dni miał dryfować bez uruchamiania silników, nie mieli jak stwierdzić, czy załoga żyje. *Ymir* w idealnym

stanie i zgnieciona gruda kosmicznego złomu wyglądałyby i zachowywały się dokładnie tak samo.

Pewną nadzieję czerpali z faktu, że z *Ymira* nie docierały żadne sygnały. Statek miał wbudowany automat, który powinien dzwonić do domu bez udziału człowieka – gdyby zanikła tylko łączność z ludźmi, automat zaś działałby dalej, oznaczałoby to, że załoga jest martwa lub przynajmniej obozwładniona. Skoro jednak zautomatyzowany kanał łączności zamilkł w tym samym momencie, co transmisje nadawane przez ludzi, można było domniemywać, że w grę wchodzi zwykły problem techniczny: być może uszkodzeniu uległy antena albo sam nadajnik radiowy.

Zbliżającego się do L1 *Ymira* coraz trudniej było wypatrzeć przez teleskop, aż w końcu zniknął zupełnie, znalazłszy się dokładnie na linii łączącej Ziemię ze Słońcem. Osiągnąwszy punkt L1 (co zgodnie z planem miało nastąpić w 126 dniu lotu), miał ponownie odpalić silniki i przenieść się na orbitę okołosłoneczną – elipsę, na której ponad rok później (około A+1.175, czyli rok i sto siedemdziesiąt pięć dni od Dnia Zero) powinien napotkać „Grega Szkieletora”. Od chwili, gdy *Ymir* zniknął – z punktu widzenia Izzy – w ognistych trzewiach Słońca, mieszkańcy stacji nie mogli już zrobić nic innego, niż tylko czekać, aż pojawi się w innym miejscu, gdzie znów będzie go można obserwować. Gdyby na skutek jakiejś katastrofy stał się bezwładnie dryfującym kosmicznym śmieciem, nie zmieniłby orbity na heliocentryczną, okrążyłby Ziemię i znów znalazł się niedaleko; jednakże warunki w L1 były na tyle niestabilne z punktu widzenia dynamiki orbitalnej, że *Ymir* równie dobrze mógł zbłądzić na kurs wokół Słońca, zwłaszcza gdyby mocne trafienie meteorytem wytrąciło go z pierwotnego kursu.

Czas płynął. Kiedy licznik dni dobił do 140 (dwa tygodnie po spodziewanym przejściu statku przez L1), a *Ymir* wciąż się nie pojawiał, stało się jasne, że musiał przeskoczyć na orbitę heliocentryczną – czy to przez przypadek, czy też za sprawą kontrolowanego manewru. Jeżeli zaszła ta druga ewentualność, to przez następny rok kilkusobowa ekipa Seana nie miała nic innego do roboty, jak szybować w nieważkości i czekać. Niczego nie mogli przyśpieszyć – musiał po prostu nadejść ten moment, kiedy dwa obiegające Słońce obiekty prawie się o siebie otrą.

Te wydarzenia, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej uznano by za

historyczne i przełomowe, blakły w porównaniu z tym, co przez ten czas działo się w dawnym królestwie podksiężycowym.

Zamieszanie i podniecenie towarzyszące Arjunie, osobie Seana, działaniu kosmodromu w Moses Lake i misji *Ymira* odciągnęły uwagę ludzi od mozolnych, systematycznych i powtarzalnych działań NASA, Europejskiej Agencji Kosmicznej, Roskosmosu, Chińskiej Narodowej Agencji Kosmicznej oraz agencji kosmicznych z Indii i Japonii. Organizacjami tymi kierowali konserwatywni inżynierowie starej daty, pod względem kulturowym wcale nie tak bardzo różni od wymachujących suwakami logarytmicznymi speców z epoki Apollo i Sojuzów. Ba, niektórzy z nich byli tymi samymi specami, tyle że starszymi i bardziej zręcznymi. Zdumiewała ich... Nie, nie zdumiewała: doprowadzała do białej gorączki łatwość, z jaką kasiaści parweniusze potrafili zwrócić na siebie uwagę całego świata i co rusz realizować jakieś niepoważne, pochopne i samowolne misje kosmiczne. Odlot Seana i Larza z Izzy, przyjęty z ogromnym westchnieniem ulgi, pozwolił im wrócić do spokojnych i niezbyt oryginalnych działań, w których byli najlepsi.

Każdy, kto śledził otępiającą mnogość szczegółów przedstawianą w arkuszach kalkulacyjnych i na wykresach, musiał docenić wartość tych działań w dniu A+0.144, kiedy to Ivy rozpoczęła zebranie w Bananie od słów „dwadzieścia procent” – najnowsze prognozy z pracowni astrofizycznej doktora Dubois Jerome’a Xaviera Harrisa w Caltechu, a także z innych laboratoriów przeprowadzających podobne obliczenia w uniwersytetach na całym świecie, przewidywały, że do Białego Nieba dojdzie około A+1.354, czyli rok i trzysta pięćdziesiąt cztery dni po rozpadzie Księżyca. Jedna piąta tego czasu już upłynęła.

Zadaniem Skautów – pierwszej fali robotników-samobójców, takich jak Tekla, z których pierwsi przybyli na Izzy w 29. dniu – było wybudowanie prowizorycznej sieci rur transportowych i złączy cumowniczych, która miała umożliwić życie na stacji znacznie liczniejszej populacji tak zwanych „Pionierów”. Podstawowa różnica między Skautem i Pionierem polegała na tym, że Skaut leciał na orbitę ze świadomością, że nie będzie mógł dokować do stacji, a Pionier wiedział, że – przynajmniej teoretycznie – na niego i jego statek czeka wolne stanowisko cumownicze, po którego drugiej stronie znajduje się

hermetyczne pomieszczenie ze zdatną do oddychania atmosferą. Ta obietnica w jednym wypadku nie została spełniona – efekt był taki, że stłoczony na pokładzie Sojuza tuzin Pionierów po cichutku się udusił. Po zdiagnozowaniu problemu okazało się, że nastąpił defekt pośpiesznie zbudowanego mechanizmu dokującego. Potem jeszcze trzech chińscy taikonauty zginęli, gdy mikrometeoryt przebił i rozhermetyzował rurę, którą akurat się przeciskali. Tak czy inaczej, począwszy od 56. dnia, codziennie przybywało na stacji od pięciu do dwunastu Pionierów. Kiedy zostały zajęte wszystkie dostępne złącza, sytuacja trochę się uspokoiła, ale potem statki mogły już dokować do innych statków i napływ ludzi postępował lawinowo. Sieć rur i nadmuchiwanych konstrukcji również się rozrastała.

Izzy, która nawet przed wybuchem tego zamieszania była tworem skomplikowanym i trudnym do ogarnięcia, przeobraziła się w absolutnie oszałamiający labirynt modułów, elastycznych rur, kratownic i statków cumujących do statków cumujących do statków – „jak jakieś chore trójwymiarowe domino”, jak to podsumowała Luisa. Dla zorientowania się w rozkładzie kompleksu należało znaleźć niesymetryczną, chropawą sylwetkę Amalthei na jednym jego końcu i dwa torusy na drugim i oznaczyć te rejony – odpowiednio – jako „dziób” i „rufę”. Łącząca je oś stanowiła podstawę naturalnego w żeglarstwie podziału na „sterburtę” i „bakburtę”, a także „zenit” i „nadir”, które w kosmożargonie oznaczały „dalej od Ziemi” i „bliżej Ziemi”. Kiedy, stanąwszy plecami do torusów i twarzą w kierunku Amalthei, po lewej ręce miało się „bakburtę” i wszystkie znajdujące się na niej elementy, po prawej zaś „sterburtę” z przyległościami, głowa była zwrócona ku zenitowi, a stopy wskazywały nadir – i odległą o czterysta kilometrów powierzchnię Ziemi.

Taki obraz mogły jednak oglądać wyłącznie te uprzywilejowane jednostki, które w skafandrach kosmicznych unosiły się na zewnątrz stacji. W środku było bardzo łatwo pogubić się w tym trójwymiarowym dominie. Flamastry – które nawet na Ziemi zawsze były w cenie – na Izzy stały się wręcz bezcenne jako narzędzia do opisywania kierunków na ścianach rur transportowych i modułów mieszkalnych.

– Moja obecność tutaj to chronologiczny zbieg okoliczności – zadumała się na głos Ivy podczas jednej z coraz rzadszych popijaw w towarzystwie Dinah. Pierwotny zapas trunków dawno się wyczerpał; na szczęście niektórzy nowi byli na tyle uprzejmi, żeby od czasu do czasu podrzucić im butelkę albo dwie. – Nic więcej.

– Nie zgadzam się – zaoponowała Dinah.

Nie była to szczególnie błyskotliwa riposta, ale Dinah dała się zaskoczyć niespodziewanym odsłonięciem się Ivy.

– Gdyby Księżyc eksplodował dwa tygodnie później, tutaj rządziłby jakiś rosyjski zrzęda, a ja siedziałabym na Ziemi zamężna i w ciąży.

– Z wyrokiem śmierci, tak jak wszyscy.

– No tak. Co prawda, to prawda.

Dinah połała do kieliszków, z rozmysłem przeciągając milczenie. Nigdy nie było łatwo namówić Ivy na zwierzenia, nawet przed Dniem Zero.

– Posłuchaj, Ivy: wcale nieprzypadkowo to właśnie ty zostałeś dowódcą Izzy. Mieli powód, żeby przydzielić ci tę fuchę. Naprawdę jesteś ostatnią osobą na świecie... i poza nim też... która powinna zadreć się syndromem oszusta.

Ivy zmierzyła ją przeciągłym spojrzeniem, bez słowa, choć chyba z lekkim rozbawieniem.

– Mów dalej – powiedziała w końcu. – Co to właściwie jest, ten syndrom oszusta?

Nie pierwszy raz o nim rozmawiały, tyle że wcześniej to zwykle Dinah się na niego skarżyła.

– Nie próbuj mnie zbyć. Co jest grane?

Ivy zagapiła się na sufit (był to zapożyczony od Rosjan sygnał wizualny, przypomnienie, że nigdy nie wiadomo, kto akurat słucha), a potem popatrzyła Dinah w oczy, chociaż tylko przez moment. Jako osoba z natury nieśmiała najchętniej spuszczała wzrok, kiedy obnażała przed kimś duszę.

– Z Seanem Probstem tworzyliście świetną parę sparingpartnerów.

– Facet jest okropny! Potrzebny był ktoś...

Dinah ugryzła się w język, kiedy Ivy ze smutnym, cierpkim wyrazem twarzy uciszyła ją gestem podniesionej ręki.

– Zgadzam się. Całkowicie! I jestem ci za to wdzięczna. Potrzebowałam

kogoś takiego jak ty. Chwilami to naprawdę wyglądało, jakbyście odgrywali komedię. A reakcja Rosjan, przede wszystkim Tekli, naturalnie, ale później także Fiodora, który proponował, żeby aresztować cały personel Arjuny i skonfiskować wszystko, co ze sobą przywieźli... To był prawdziwy teatr. A na Ziemi? Brukowce miały używanie. Tak jak i internauci. Ledwie to przetrwałam.

– Jak to ledwie przetrwałaś?

– Nie uwierzyłabyś, co się wygadywało na niektórych telekonferencjach z Bajkonurem i Houston. Domagali się ode mnie skrajnej stanowczości. Chcieli, żebym posłuchała Fiodora.

– Ale tego nie zrobiłaś – zauważyła Dinah.

Znów spojrzały sobie w oczy. Ivy leciutko skinęła głową.

– Nie zrobiłam.

– Więc wygrałaś.

– Pyrrusowe zwycięstwo. Po prostu wynegocjowałam mniej drakońskie rozwiązanie. *Ymir* wyruszył w drogę bez oczywistych uraz po obu stronach.

– Co w tym pyrrusowego?

– Nie chcę cię zadręczać swoimi problemami.

– A z kim innym zamierzasz porozmawiać?

– Może z nikim – odparowała Ivy z gniewną nutą w głosie. – Może na tym właśnie polega bycie dowódcą? Jedyńm człowiekiem, który nie może... nie powinien... przerzucać swoich problemów na innych. Wiem, to staroświecka idea, ale może ludzkość potrzebuje teraz właśnie takich ludzi?

Dinah patrzyła na nią bez słowa. W końcu Ivy ustąpiła i podjęła przerwany wątek.

– Moja pozycja jako dowódcy stacji kosmicznej została poważnie podważona – mówiła wypranym z emocji głosem. – Nagle dotarło do mnie, że od dłuższego czasu trwają na Ziemi zawzięte targi polityczne, o których nie miałam zielonego pojęcia, dopóki kontrowersje wokół Seana Probstą ich nie uwypukliły. Wydaje mi się, że od tamtej pory mój autorytet został dodatkowo osłabiony przez działania niektórych ludzi na Ziemi: przecieki do prasy, wzmianki na spotkaniach...

– Pete Starling.

– Bez komentarza. Tak czy inaczej, spodziewam się, że wkrótce ktoś

mnie zastąpi.

Oczy Ivy poczerwieniały lekko. Znów zerknęła na sufit, chociaż tym razem jej mina sugerowała, że jest jej obojętne, kto by ją mógł usłyszeć.

Spojrzała na Dinah. Uśmiechnęła się.

– A ty jak żyjesz, siostrze?

– Nie narzekam.

– Serio? To muzyka dla moich uszu.

– Bo, Larz i inni, którzy dołączyli do mojego zespołu, szanują moją pracę.

– To przez to, co zrobiłaś dla Tekli. Tak przypuszczam.

– Myślisz? Czyli jednak nie chodzi o mój wrodzony geniusz i nieprzeciętne kwalifikacje?

– Na Ziemi jest pełno ludzi wykwalifikowanych w takim sensie, o jakim myślisz; w najbliższych tygodniach wielu z nich pojawi się tutaj, u nas. Uwierz mi, wiem, co mówię. Czytałam ich CV.

– Nie wątpię.

– Tyle że teraz każdy już instynktownie wyczuwa, że w przyszłości liczyć się będzie coś więcej niż wyuczone kompetencje. To dlatego ludzie cię szanują.

Znów zapadło krępujące milczenie. Ivy jakby sugerowała, że ona sama nie może już liczyć na tego rodzaju szacunek.

– Oczywiście twój wrodzony geniusz też ma znaczenie – dodała.

Konsolidacja

Atmosfera ziemską nie urywała się gwałtownie, lecz rzedła stopniowo do chwili, gdy dla większości przyrządów pomiarowych stawała się nieodróżnialna od doskonałej próżni. Do wysokości około stu sześćdziesięciu kilometrów powietrze było dostatecznie gęste, żeby szybko ściągnąć na Ziemię wszystko, co znalazłoby się na orbicie – dlatego na takie wysokości wystrzeliwano wyłącznie te obiekty, których żywot z założenia miał być krótki, czyli, na przykład, pierwsze załogowe kapsuły kosmiczne. Im wyżej, tym wolniej rozrzedzona atmosfera deformowała orbity satelitów.

Izzy krążyła na wysokości czterystu kilometrów. Ze względu na ogromne połączenie baterii słonecznych i radiatorów stawiała w atmosferze nieproporcjonalnie duży opór aerodynamiczny w stosunku do swojej masy – przynajmniej do czasu przymocowania do niej Amalthei, kiedy to znienacka przybrała na wadze.

Laikowi może się to wydać paradoksalne, ale dociążona asteroidą Izzy nagle zyskała na lotności. Przed erą Amalthei co miesiąc osuwała się o dwa kilometry; każdorazowa korekta orbity wymagała uruchomienia znajdującego się na rufie silnika raketowego. Początkowo tę rolę spełniał silnik wbudowany w moduł Zwiezda, z czasem zaś zaczęto korzystać z silników tego statku, który akurat cumował najbliżej rufy.

W tamtym okresie Izzy przypominała nieco latawiec: ogromna powierzchnia i zero masy. Ujmując to w kategoriach naukowych, wyróżniała się niskim współczynnikiem balistycznym – co równało się stwierdzeniu, że jest wybitnie podatna na wpływ szczątkowej atmosfery. Po zespoleniu z Amaltheą upodobniła się do latawca z doczepionym kamulcem i uzyskała wysoki współczynnik balistyczny. Obdarzona dużą bezwładnością asteroida bez trudu przedzierała się przez rozrzedzone powietrze i znacząco wolniej zmieniała trajektorię lotu – jednakże kiedy przychodziło do korygowania orbity, ta sama bezwładność

żelazonikłowej grudy wymuszała wydłużenie okresu pracy silników i większe zużycie paliwa.

Odkąd Skauci i Pionierzy zaczęli doczepiać do Izzy nowe elementy, jej współczynnik balistyczny znów zaczął spadać i potrzeba regularnego odpalania silników w celu skorygowania orbity się nasiliła. Obrastające pierwotną konstrukcję dodatki coraz bardziej komplikowały te korekty, zwłaszcza że nawet bez nich Izzy była tworem ogromnie niezgrabnym; ciąg silników umieszczonych w jednym jej obszarze przenosił się – poprzez kratownicę i inne elementy strukturalne – na wszystkie moduły po kolei. Ujmując rzecz najprościej jak to możliwe, rozrastająca się Izzy coraz bardziej wiotczała, a jej wiotkość utrudniała nie tylko korygowanie orbity, lecz nawet zmianę jej ustawienia względem kierunku ruchu. W okresie najbardziej wytężonej pracy Pionierów dopuszczono do obniżenia orbity stacji o ponad szesnaście kilometrów, dopiero ostatnio zaczęto ją regularnie korygować. Każde uruchomienie silnika u dołu P2 ujawniało słabości strukturalne, które trzeba było pośpiesznie łątać i naprawiać – często za pomocą najprawdziwszej taśmy klejącej i plastikowych obejm zaciskowych – żeby kontynuować manewr.

W okresie od A+0.144 do A+0.250 słowo-klucz brzmiało „konsolidacja” – funkcjonowało także w nieuchronnie skróconej formie „konsol”, a oznaczało obudowanie nową kratownicą rur transportowych i innych narośli, które przez pierwsze kilka miesięcy mnożyły się w niewiarygodnym tempie. Przy okazji rozwiązywano także inne problemy, wśród nich kwestię rozbudowy radiatorów wyrzucających w kosmos nadmiar ciepła. Radiatory nie działały należycie, gdy znajdowały się zbyt blisko siebie: wtedy po prostu wypromieniowywały ciepło na siebie nawzajem. Z tego powodu kompleks chłodzący rozrósł się do gigantycznych rozmiarów, a że rozrastał się głównie za rufą Izzy, upodobił się nieco do brzechwy strzały (pęku piór na końcu drzewca) – i nie było to bynajmniej czcze porównanie. Podobnie jak ciężki grot i pierzasta brzechwa pomagają strzale utrzymać prostą trajektorię, tak samo ciężar Amalthei na dziobie i wlokący się za rufą zespół radiatorów utrzymywały Izzy na zadanym kursie, który nieco rzadziej wymagał korekty. Taka konstrukcja chroniła również radiatory przed uderzeniami mikrometeoroidów; wprowadzie teoretycznie kamień mógł

nadlecieć z dowolnego kierunku, ale jednak najczęściej takie pociski obijały przednie powierzchnie stacji, toteż frontowe ściany tworzących ją modułów często zaopatrywano w dodatkowe osłony. Rzecz jasna, największą i najlepszą osłoną była Amalthea.

Liczba baterii słonecznych również mogłaby znacząco wzrosnąć, gdyby mieszkańcy Izzy trzymali się starych metod pozyskiwania energii. Jednakże już na wczesnym etapie projektu Arki w Chmurze stało się oczywiste, że o ile fotowoltaika może być użytecznym dodatkiem, o tyle jedynym pewnym źródłem zasilania będą małe urządzenia atomowe – tak zwane RGT, czyli radioizotopowe generatory termoelektryczne. One zaś grzały się nieustannie obojętne na zamiary swoich konstruktorów, dodatkowo obciążając układ chłodzący.

System radiatorów był gigantycznym osiągnięciem bezgrawitacyjnej hydrauliki. Nadmiar ciepła należało odebrać w miejscu, w którym został wygenerowany (w przeważającej większości w zamieszkanym, hermetycznie zamkniętych modułach Izzy), a następnie przetransportować do miejsca, w którym będzie można się go pozbyć (do „brzechwy” na rufie stacji). Jedynym sensownym rozwiązaniem było zastosowanie jakiegoś płynu krążącego w obiegu zamkniętym: w jednym końcu obiegu płyn by się nagrzewał, w drugim zaś stygł. Na gorącym końcu zainstalowano wymienniki ciepła i płyty chłodzące pochłaniające ciepło wszędzie tam, gdzie jego nadmiar mógł stanowić problem. Na końcu zimnym płyn rozlewał się po sieci cieniutkich rurek (jak krew po naczyniach włosowatych) wciśniętych pomiędzy płaskie płyty, których zadaniem było rozgrzać się nieco i wypromieniować ciepło w postaci fal podczerwieni w głęboki kosmos. Tym sposobem Izzy się oziębiała, a odległe galaktyki się nagrzewały. Gorący koniec układu łączył się z zimnym poprzez system pomp i rur, który z każdym dniem się rozrastał i pozostawał stale narażony na te same problemy, które prześladowają instalacje hydrauliczne na Ziemi. Sprawy dodatkowo komplikował fakt, że w części układu krążył bezwodny amoniak, w części zaś zwykła woda. Amoniak lepiej się sprawdzał, był jednak niebezpieczny i trudny do pozyskania w kosmosie. Jeżeli Arka w Chmurze miała przetrwać, jej gospodarka cieplna musiała opierać się na wodzie. Za sto lat wszystko będzie chłodzone wodą, tymczasem jednak musieli utrzymywać aparaturę amoniakową w stanie

permanentnej gotowości.

Dalsze komplikacje – jakby mało było dotychczasowych – wynikały z faktu, że układ chłodzenia powinien być odporny na awarie. Gdyby został przedziurawiony przez pędzący księżycowy odłamek, musiała istnieć możliwość odizolowania uszkodzonego fragmentu, zanim zbyt dużo bezcennej wody lub amoniaku wycieknie w pustkę. Z tego powodu zaopatrzone go w złożony, hierarchiczny system zaworów, przełączników matrycowych i wielokrotnie zdublowanych zabezpieczeń, od których liczby lasował się nawet mózg Ivy, zazwyczaj chłonący takie szczegóły bez ograniczeń. W tej kwestii była w końcu zmuszona zdać się na wyspecjalizowany zespół roboczy, w którym na trzech Rosjan przypadał jeden Amerykanin. Większość wyjść w otwarty kosmos wiązała się z rozbudową i konserwacją systemu chłodzenia i – choć było to zupełnie nie w jej stylu – w tym jednym wypadku w zupełności wystarczał jej codzienny raport.

Konstrukcja Izzy musiała zapewnić solidne oparcie całej tej hydraulice i radiatorom jako szczególnie podatnym na problemy zaliczane do obszernej kategorii „zbyt wiotkie, żeby przetrzymać korektę orbity”. Dlatego improwizująca na bieżąco Ivy i jej ziemscy konsultanci musieli przeorientować program Arki w Chmurze w kierunku ogólnie pojętej „konsolidacji” – albo, jak nazwała to Ivy na własny użytek, „odwiotczenia” – całej struktury stacji. Ponieważ zaś rozmontowanie dzieła Skautów i Pionierów nie wchodziło w grę, „konsol” oznaczało obudowanie Izzy zewnętrznym rusztowaniem, w którym stacja – oglądana z odległości kilometra – do złudzenia przypominała jeden z bezcennych zabytków w remoncie: brzydka, lecz użyteczna płatanina dźwigarów, która obrasta znajdujący się w jej wnętrzu obiekt, otula go i wzmacnia, a przy tym w żadnym miejscu nie wnika do środka.

Początkowo duże fragmenty kratownicy montowano na Ziemi i wynoszono w całości na orbitę, gdzie dalszym montażem zajmowały się ekipy kosmonautów w skafandrach. Tym sposobem udało się znacznie wzmocnić konstrukcję stacji w krótkim czasie. Koszt tej operacji był jednak na tyle wysoki, że dość szybko padła ofiarą prawa malejących zysków i stało się oczywiste, że arkonauci, jak zaczęto ich nazywać, nie mogą być uzależnieni od ziemskich inżynierów

budujących im różne rzeczy na zamówienie.

Zwłaszcza że ziemscy inżynierowie nie bardzo już wiedzieli, co się właściwie dzieje na Izzy. Ich komputerowe modele projektowe nie nadążały za rzeczywistością – o czym Dinah dowiedziała się z wezbranej fali wiadomości od poirytowanych inżynierów, którzy domagali się, żeby posłała swojego robota w takie czy owakie miejsce i kazała mu skierować kamerę na ten czy inny moduł, żeby mogli się przekonać, co dokładnie się tam znajduje.

Arkonauci potrzebowali surowców i narzędzi, jeśli mieli cokolwiek budować *in situ*. Jedne i drugie zaczęły przybywać około dwieście dwudziestego dnia. Najlepszą miarą ogromu zmian, jakie zaszły na Ziemi, był fakt, że rozwiązania napływały w więcej niż jednej formie i z więcej niż jednego źródła, a dostawy rzadko były ze sobą skoordynowane. W dawnych czasach proponowany system budowy konstrukcji orbitalnych zostałby opatrzony trzyliterowym skrótowcem i błąkałby się wśród różnych agencji i podwykonawców przez piętnaście lat, zanim doczekałby się uruchomienia.

Zdecydowanie najbardziej użyteczna okazała się toporna implementacja starego, lecz bardzo dobrego pomysłu, a ściśle rzecz biorąc, maszyny używanej przez wykonawców rynien: montowana na skrzyni ciężarówce i zaopatrywana w potężną belkę cienkiej blachy wyginała ją w rynnę o pożądanym kształcie i wydalała w kawałkach dowolnej długości. W wersji kosmicznej maszyna robiła z grubsza to samo, tyle że formowała z blaszanej taśmy prostą belkę o trójkątnym przekroju, którą następnie spawała na całej długości. Na Zachodzie wynaleziono ją dawno temu, zbudowano nawet prototyp, ale to chińska agencja kosmiczna udoskonaliła ją w ciągu pierwszych dwustu dni od Dnia Zero, po czym zaczęła wysyłać na orbitę kolejne egzemplarze wraz z ekipami przeszkolonymi w ich obsłudze; zaopatrywane w prąd i aluminium mogły produkować belki w nieskończoność.

Łączenie belek w bardziej złożone struktury, takie jak kratownice czy rusztowania, przysporzyło arkonautom więcej kłopotów. Spawanie w kosmosie – choć możliwe – było trudne, a w dodatku brakowało odpowiedniego sprzętu. Ostatecznie do szepiania elementów zastosowano wzorowane na klockach Tinkertoys łączniki, masowo produkowane przez (jakżeby inaczej) Chińczyków: końcówkę trójkątnej

belki wsuwało się w taki łącznik, a następnie unieruchamiało za pomocą śrub. Początkowo łączniki dostarczano z Ziemi w ilościach hurtowych, ale w dniu A+0.247 na orbitę dotarła drukarka 3D zoptymalizowana pod kątem ich produkcji, z możliwością zmiany kąta wprowadzenia belki. Dzięki temu arkonauci mogli na bieżąco projektować i budować kratownice, co w przypadku masowej produkcji łączników było niemożliwe. W ostateczności zawsze można było użyć należącej do Fiodora spawarki elektronowej, która działała w nieważkości i próżni; była istnym cudem rosyjskiej inżynierii i z pewnością najdroższą spawarką w historii. Fiodor przeszkolił Wiaczesława w jej obsłudze, a Wiaczesław przeszkolił Teklę i dwa inne skafandry. Wspólnie stworzyli ekipę, która na cztery zmiany fruwała wokół coraz bardziej skomplikowanej bryły Izzy i spawała belki to tu, to tam. Tym sposobem rusztowanie – będące głównie dziełem Chińczyków i Rosjan – rozrastało się i nabierało sztywności. Odpalanie silników nie wywoływało już alarmujących szczęknięć, trzasków i jęków metalu. Rury transportowe stopniowo znikwały, okryte całunem wzmocnień i osłon. Nowe złącza cumownicze wyrastały na krańcach Izzy jak pączki na drzewach, przygotowując ją do następnej fazy: przybycia miniarek.

Na Ziemi był sierpień, przedostatni ze wszystkich sierpniów. Uruchomiono tuzin nowych lub odnowionych portów kosmicznych. Ciężkie rakiety nośne mogły teraz startować na Izzy z ośmiu rozrzuconych po całym świecie kosmodromów, wokół których stopnie rakiet i egzemplarze trzech różnych modeli miniarek piętrzyły się kopczykami jak amunicja na strzelnicy.

Dzień 260

– Polecą pan, doktorze Harris – powiedziała Julia Bliss Flaherty.

Czasami Doob wprost nie mógł się nadziwić, że regularnie spotyka się z panią prezydent. Zważywszy na całokształt rzeczy, nie było to wcale bardziej niezwykle od faktu, że Księżyc eksplodował i wszyscy ludzie wkrótce umrą, ale jego umysł, zrodzony i wychowany w świecie wolnym od takich cudowności, lepiej znosił panikę wywoływaną drobiazgami – takimi jak rozmowa z prezydentem. W Gabinetce Ovalnym. W towarzystwie prezydenckiego doradcy naukowego Pete’a Starlinga i rzecznika prasowego Białego Domu. Oraz kamerdynera nalewającego wodę z lodem do kryształowych szklanek.

Doob rozumiał przydatność kamerdynera, po co jednak komu w takiej sytuacji rzecznik prasowy? Margaret Sloane była świetnym fachowcem, jej perfekcja nigdy nie przestawała zadziwiać, z czasem stało się jednak oczywiste, że jej przygotowanie naukowe nie sięga dalej niż „wielkie kosmiczne kamienie są niebezpieczne”.

Wszyscy patrzyli na Dooba, jakby spodziewali się, że coś powie.

Co powiedziała prezydent? „Polecą pan”.

Czy to znaczyło, że go zwalnia? Że chce go zastąpić kimś młodszym i lepiej obeznanym z Internetem? Kimś takim jak Tav Prowse?

Margaret Sloane pośpieszyła z wyjaśnieniem, przerywając krępujące milczenie:

– Pańskie umiejętności i osobowość miały ogromny wpływ na uspokojenie nastrojów. Dał pan mieszkańcom Stanów Zjednoczonych i całej Ziemi nadzieję pod postacią idei Naszej Spuścizny. Pańska gotowość, żeby zakasać rękawy i jeździć po takich miejscach, jak Moses Lake, Bajkonur i fabryki rakiet... Naprawdę doceniamy pańskie wysiłki, czujemy jednak, że nadszedł moment...

– Żeby zastąpić mnie kimś młodszym. Rozumiem. I prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko temu; chętnie spędzę więcej czasu z dziećmi

i moją nową żoną. A Tav jest świetny.

Pani prezydent, wyraźnie zbita z pantałyku, zerknęła pytająco na swoją rzeczniczkę.

– Pan nie rozumie – powiedziała Margaret. – Potrzebujemy pana. Cały świat pana potrzebuje. Musi pan zrobić następny krok. Wznieść się na wyższy poziom.

– Prosimy – wtrąciła pani prezydent, lekko rozdrażniona niedomyślnością Dooba i określonymi sformułowaniami Margaret – żeby około trzysta sześćdziesiątego dnia udał się pan na orbitę i dołączył do mieszkańców Arki w Chmurze.

– Ale ja nie chcę lecieć! – wypalił Doob.

Ponieważ rzadko zdarzało mu się zapomnieć w taki sposób, przez chwilę siedział, milcząc, oszołomiony niestosownością swojego zachowania.

– Doktorze Harris – zagaiła pani prezydent. – Jak pan zapewne pamięta z lekcji wychowania obywatelskiego w szkole średniej, osoba zasiadająca na moim miejscu ma całkiem pokaźne uprawnienia. Jednym z nich jest możliwość ułaskawiania skazańców. Każdy skazany, który trafia do komory gazowej w Teksasie, ląduje tam między innymi dlatego, że postanowiłam go nie ułaskawiać ani nie łagodzić jego wyroku. Nigdy nie skorzystałam z prawa łaski wobec skazańca z celi śmierci. Jednakże w tej właśnie chwili korzystam z niego w stosunku do pana, doktorze Harris.

W tym momencie na chwilę zawiesiła głos, a Doob nagle uświadomił sobie, że czeka, aż zwróci na nią uwagę. Tymczasem on wpatrywał się w stojący przed nim na stole bukiet i rozmyślał o tym, ile czasu będzie musiało upłynąć, zanim ktoś zacznie uprawiać kwiaty na Arce w Chmurze.

Sięgnął po swoją szklankę i napił się wody.

Takim zachowaniem JBF potrafiła wytrącić go z równowagi. Oderwanie wzroku od kwiatów i spojrzenie jej w oczy wymagało świadomego wysiłku woli.

– Dopóki przebywa pan na powierzchni tej planety, jest pan skazany na śmierć – podjęła przerwany wątek. – A ja właśnie pana ułaskawiłam. Pan może polecieć w kosmos i przeżyć, ja nie. Rozumie pan, doktorze Harris? W tej sytuacji nie mogę ułaskawić nawet samej siebie, nie

łamiąc przy tym w rażący sposób Porozumienia znad Jeziora Kraterowego, w myśl którego światowym przywódcom i ich rodzinom nie przysługuje prawo do ewakuacji. Na czym polega pański problem, do jasnej cholery?

Uczciwa odpowiedź Dooba, gdyby tylko wypowiedział ją na głos, byłaby wielce niedyplomatyczna: „Jestem przekonany, że projekt Arki w Chmurze nie ma szans powodzenia. Nie wspominałem o tym publicznie, żeby nie mieć powszechnego szczęścia. Wolałbym jednak zginąć szybko tutaj, na Ziemi, wśród bliskich, niż umierać długo i samotnie w kosmosie”.

– Inni bardziej na to zasługują – odparł jednak.

I natychmiast sklął się w duchu za tak nędzną wymówkę. Tak łatwą do zbicia. Bo prawda była taka, że jak mało kto nadawał na mieszkańca Arki w Chmurze.

– Absolutnie nie mogę się z tym zgodzić! – Pete Starling parsknął nerwowym śmiechem. – Człowieku, ty akurat będziesz na górze diabelnie przydatny; obawiam się, że nie dadzą ci chwili spokoju! Masz wszechstronne kwalifikacje obejmujące masę kluczowych dziedzin; możesz jednocześnie rozwiązywać problemy astrofizyczne, uczyć młodych arkonautów i nagrywać podcasty dla mieszkańców Ziemi.

Doob odwrócił się, spojrzał mu w oczy i zrozumiał – ze wstrząsem, jakby nagle zanurkował w lodowatej wodzie – że Pete kłamie. Nie chodziło o przydatność Dooba, bo w tej kwestii był całkowicie szczery. Kłamał w innej sprawie, absolutnie fundamentalnej.

Podobnie jak Doob nie wierzył, że Arka w Chmurze przetrwa.

I potrzebował Doca Dubois do tego, żeby ten poleciał na orbitę i tam kłamał w jego imieniu.

Doob był naukowcem, który poświęcił kilka dziesięcioleci swojego życia na doskonalenie się w konkretnej dyscyplinie, jaką były poszukiwanie prawdy i jej publiczna prezentacja. Nawet wśród rasowych naukowców, słynących z tego, że nie przebierają w słowach, cieszył się opinią człowieka, który zawsze mówi to, co myśli; było mu obojętne, czyje uczucia zrani ani komu złamie karierę. I w jakiś sposób umiał przekazać swoją szczerą w studio, przed kamerami. Powodem, dla którego tak wielu ludzi ufało mu, gdy występował w telewizji, była właśnie jego bezpośredniość: mówił rzeczy niewygodne dla możliwych

tego świata, miał odwagę mącić i zupełnie się tym nie przejmował. Niektóre z jego wystąpień zostały uwiecznione w filmikach z YouTube'a i memach z Reddita: upokorzenie republikańskiego senatora, który nie wierzył w ewolucję; ośmieszenie przeciwnika teorii globalnego ocieplenia w przypadkowej dyskusji na ulicy; doprowadzenie gwiazdy filmowej w *Today* do płaczu przez powiedzenie jej wprost, że jej opór przeciwko szczepieniu dzieci czyni ją osobiście odpowiedzialną za śmierć tysięcy niemowląt.

Dlatego w pewnym sensie w tej chwili zadawał sobie w duchu dwa pytania jednocześnie: czy chce kłamać i czy będzie umiał.

Co do pierwszego pytania: czy okłamywanie miliardów ludzi będzie w porządku, jeśli dzięki temu umrą odrobinę szczęśliwsi?

A co do drugiego: czy ludzie wyczują, że kłamie? Czy wychwycą zmianę w brzmieniu jego głosu albo wyrazie twarzy, gdy stojąc przed kamerą, będzie im wciskał kit?

To właśnie było kluczowe pytanie: czy potrafi to zrobić? Bo jeśli nie, jeśli nie byłby przekonujący w swoich kłamstwach, to nie warto w ogóle próbować.

On zaś miał prawie pewność, że nie będzie w stanie tak kłamać.

Kostka lodu w szklance trzasnęła cicho, pękając pod wpływem ciepła.

Przyszedł mu do głowy Sean Probst, od pół roku zaangażowany w wyprawę mającą na celu sprowadzenie olbrzymiej bryły lodu. Nie mógł uwierzyć, że minęło już tyle czasu.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić. A kiedy już się człowiek przyzwyczai, czas upływa błyskawicznie. Zanim się obejrzy, jest po wszystkim.

Pamiętał, jak ludzie zadawali różne trudne pytania, gdy Sean wyruszał do bramy L1. Co właściwie wyrabiał ten zwariowany miliarder? Bo jego przedsięwzięcie na pewno nie było częścią oficjalnego planu – oficjalny plan nie uwzględniał zapotrzebowania na olbrzymią bryłę lodu, ale Sean Probst najwidoczniej uznał tę sprawę za dostatecznie ważną, żeby osobiście pofatygować się na orbitę i zająć tą sprawą. Istniało całkiem spore ryzyko, że zginie podczas tej eskapady lub wróci z niej tak wyniszczony promieniowaniem i długotrwałą nieważkością, że nigdy już nie odzyska zdrowia. Dlatego ludzie zaczęli pytać Dooba, co siedzi Seanowi w głowie. A Doob, który wówczas nie

zajmował się tą sprawą, udzielał wymijających odpowiedzi i podkreślał, że woda w kosmosie zawsze się przyda: można ją pić, podlewać nią uprawy, używać do osłon antyradiacyjnych i systemów chłodzących, a także rozszczepiać na tlen i wodór i wykorzystywać jako paliwo raketowe. Na dobrą sprawę wcale nie kłamał – ale przy tym ewidentnie unikał tematu. Przecież te sprawy były tak oczywiste, że NASA musiała już wcześniej o nich pomyśleć. Jakie zatem dodatkowe źródło zapotrzebowania na wodę dostrzegł Sean Probst, które NASA (przypadkiem lub celowo) pominęła w swoich planach?

Później Doob domyślił się prawdy z rozmów z pracownikami Arjuna i plotek przekazywanych mu przez znajomych zatrudnionych przy planowaniu Arki w Chmurze. Chodziło o paliwo. Arka miała spalać ogromne jego ilości, a Sean uznał, że przewidziane dotychczas zapasy nie wystarczą.

Poleciał więc w kosmos, żeby coś z tym zrobić.

Wszystko dlatego, że Sean nie był od gadania, tylko od działania. Z tego też powodu w przeciwieństwie do Dooba nie musiał wечно się zastanawiać nad tym, co powiedzieć; jakie stanowisko przedstawić opinii publicznej; jak będzie pozycjonowany i postrzegany w mediach.

– To za sto dni – powiedział.

Milczał tak długo, że kiedy wreszcie się odezwał, zaskoczył swoich rozmówców. JBF zdążyła się przez ten czas zająć leżącym na biurku tabletem, a Pete Starling zagapił się w okno.

– Słucham, panie Harris?

Pani prezydent znów zwróciła na niego to niepokojące spojrzenie, lecz on tym razem nie dał się zastraszyć. Wkrótce poleci gdzieś, gdzie ona już nigdy więcej na niego nie spojrzy.

– Mamy dwieście sześćdziesiąty dzień – powiedział Doob. – A pani powiedziała, że miałbym polecieć około trzysta sześćdziesiątego.

– Zgadza się – przytaknęła Maggie Sloane, znów rozluźniona i swobodna. – Nie będzie to pierwsza fala arkonautów w ścisłym sensie tego słowa... wcześniej odbędą się loty poniekąd eksperymentalne, taka jakby próba kostiumowa... Będzie to jednak pierwsza fala prawdziwych arkonautów i pomyśleliśmy, że włączymy pana w jej skład. Uczestnicząc w ich doświadczeniach, mógłby pan pokazać ludziom na Ziemi, jak wygląda codzienne życie arkonauty. To by im dało poczucie ciągłości.

Ożeż w mordę jeża, pomyślał Doob. Siedem lat doktoratu, dwa staże postdoktoranckie w dużych europejskich instytutach naukowych, etat w Caltechu, prawie Nobel, a teraz, kiedy gra idzie o przetrwanie rodzaju ludzkiego, ma być obserwatorem, który zapewni ludziom poczucie ciągłości.

– Mógłbym to zrobić – odparł.

Podobnie jak kilka innych rzeczy, kiedy już znajdzie się na orbicie, dodał w myślach.

No bo co mu wtedy zrobią? Siłą ściągną go z powrotem na Ziemię?

W najgorszym razie mogli zablokować transmisje jego materiałów, czym zbytnio by się nie przejął. Na górze na pewno znajdzie sobie bardziej użyteczne zajęcie niż gadanie do kamery. Sean Probst rozpoznał jeden z problemów stojących przed Arką w Chmurze i zajął się jego rozwiązaniem. Czego takiego mógłby nauczyć się on, Doob, w ciągu stu dni, żeby było to później użyteczne? Co mógłby zrobić, kiedy już znajdzie się na górze, żeby zwiększyć szanse całego przedsięwzięcia?

– Sto dni – powiedział. – Trzy miesiące, które będę mógł spędzić z żoną, dziećmi i nowym zarodkiem.

– Zarodkiem? – zdziwił się Pete Starling.

Margaret Sloane – matka trojga dzieci – pojęła w lot.

– Amelia jest w ciąży? – spytała z serdecznym uśmiechem, który aż do Dnia Zero był normalną reakcją na tego rodzaju cudowną nowinę. Z biegiem czasu zachowania ludzi nieco się skomplikowały, rzecz jasna, trudno jednak było się wyzbyć starych nawyków.

– Już nie – odparł Doob. – Zamroziliśmy zarodek. I tego dotyczy mój jedyny warunek: jeżeli mam lecieć, to tylko razem z nim.

– Załatwione – powiedziała pani prezydent. Tonem głosu i spojrzeniem dała wszystkim do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Dzień 287

– Masz dla mnie jakieś kartoflane żarty? – spytała Ivy. – Bo powiem ci, że chętnie bym się trochę rozerwała.

Dinah nie była pewna, jakie uczucia budzi w niej Ivy, upatrując w jej skazanej na zagładę rodzinie źródła niewinnej rozrywki, ale ponieważ do końca świata zostały jakieś czterysta trzydzieści trzy dni, doszła do wniosku, że nie ma o co kruszyć kopii.

Cała ta sytuacja rzeczywiście prowokowała do pewnej szorstkości w kontaktach z tymi, którzy utknęli na Ziemi. Niemożliwością było współczuć wszystkim siedmiu miliardom istot ludzkich w stopniu, na jaki zasługiwały. Kiedy wychwytywała w radiu próbki czarnego humoru, łapała się na tym, że faktycznie jest nimi ubawiona.

Zresztą ten czarny humor nie ograniczał się bynajmniej do arkonautów – czego najlepszy dowód stanowiła jej rodzina. Byli inteligentni (musieli tacy być, żeby zajmować się tym, czym się zajmowali), ale nie przeszkodziło im to przyswoić sobie specyficznego górniczego poczucia humoru, w którym główną rolę odgrywały psikusy i nowinki, jakich próżno by szukać w środowisku dyrektorów czy profesorów uniwersyteckich. W dodatku, kiedy raz coś uznali za śmieszne, już nie zmieniali zdania. I tak na wpół poważna wiadomość o planowanym posadzeniu poletka ziemniaków, nadana przez Rufusa marsem krótko po orędziu znad Jeziora Kraterowego, ewoluowała w cały podgatunek żartów o przygotowaniach klanu MacQuariech do Kamiennego Deszczu. Dinah przyzwyczała się już, że w docierających do niej od czasu do czasu paczkach z Ziemi znajduje albo małe kartofelki, wciąż jeszcze oblepione najprawdziwszą ziemią, albo plastikowe elementy zabawek z serii Mr. Potatohead. Dostała nawet starą, zardzewiałą tablicę rejestracyjną z Idaho opatrzoną sloganem SŁYNNNE ZIEMNIAKI; przysłał ją Rufus, który wcześniej wycyganił ją od kumpla z branży górniczej pochodzącego ze srebronośnych terenów

tego właśnie stanu. Przykleiła ją taśmą do ściany w warsztacie.

– Czy to znaczy „nie”? – zapytała Ivy.

– To nie tak. Kartoflane duperele walają mi się po całym warsztacie, nie jestem tylko pewna, czy oni dalej żartują.

– Jak to?

– Z początku myślałam, że chcą mi w ten sposób powiedzieć: „Wiemy, że mamy przechlapane, nie ma sensu się nad tym roztkliwiać, więc śmiejmy się, póki można”. Teraz jednak zaczynam sobie zadawać pytanie, co oni właściwie robią. Pomyśl, siedzą w Górach Brooksa z masą przeróżnego sprzętu. W każdej chwili, gdyby tylko naszła ich ochota, mogliby zjechać do Fairbanks, a stamtąd pofrunąć, dokądkolwiek zechcą: zobaczyć piramidy, obejrzeć *Monę Lisę*, odwiedzić starych znajomych i rodzinę. Ale oni wolą siedzieć w najbardziej zapadłej dziurze, jaką w życiu widziałam, i... Co oni tam robią?

– Przygotowują się?

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy: przygotowują się, by spędzić tam najbliższe pięć do dziesięciu tysięcy lat.

– Nie oni jedni – zauważyła Ivy.

Sens jej słów nie od razu dotarł do Dinah, ale wystarczył jeden rzut oka na twarz przyjaciółki, żeby wszystko stało się jasne.

– Jaja sobie robisz? Mówisz o Calu?

Ruch oczu Ivy był zaledwie sugestią skinienia głową.

– Poza wiadomościami, których można by się spodziewać po narzeczonym... a które ciebie nie powinny interesować... wypytuje mnie o takie rzeczy, jak zalety i wady skrubarów z wodorotlenkiem litowym i sodowym. Prosił też o kopię pracy Luisy z zakresu socjologii osób zamkniętych przez długi czas na małej przestrzeni.

– Nie myśli chyba, że tego nie zauważysz.

– Oczywiście. Umiem czytać między wierszami.

– Jak myślisz, co on kombinuje?

– Cóż... Jest dowódcą całkiem dużego okrętu podwodnego, zaprojektowanego z myślą o przetrwaniu światowej wojny termonuklearnej. Kiedy Stany Zjednoczone przestaną istnieć, nie będzie miał chyba nikogo nad sobą, w sensie: żadnego przełożonego. Co w takiej sytuacji może zrobić komandor?

– Jaki ma plan?

– Wiele będzie chyba zależało od tego, czy oceany faktycznie się wygotują. Na jego miejscu popłynęłabym w okolice Rowu Mariańskiego i trzymała kciuki.

– To chyba trudniejsze niż przetrwanie w kosmosie.

Ivy posłała przyjaciółce ironiczny uśmiech.

– No co?

– Przetrwanie w kosmosie to będzie bułka z masłem. Zapomniałaś już?

– No tak, przepraszam. Zapomniałam. – Zrobić makijaż... – Będzie fascynująco ambitnym zadaniem – zmitygowała się Dinah głosem, jakiego nie powstydzilby się najlepszy spec od PR w NASA.

– Myślę, że robią mniej więcej to, co my: trzeba rozbić problem na mnóstwo małych problemików i rozprawiać się z nimi po kolei. Inaczej cię to przerośnie.

– A my to właśnie robimy?

– No przecież. – Ivy przewróciła oczami.

– Co ci właściwie chodzi po głowie? Poza chęcią rozerwania się...

– Ty. Twój stan zdrowia. To, jak sobie radzisz.

– Boże... To oficjalne spotkanie?

Ivy udała, że nie słyszy.

– Mało czasu spędzasz w T2 – powiedziała.

T2 – drugi torus, ten, za którego budowę odpowiadał Rhys – zaczął się kręcić w 140. dniu. Sztuczne ciężenie w nim było równe jednej ósmej ziemskiego, a więc tylko odrobinę większe od panującego w pierwszym torusie. T2 był większy i obracał się wolniej; Rhys miał nadzieję, że dzięki temu będzie nieco wygodniejszy. Już samo przebywanie w nim pomagało ograniczyć niekorzystne skutki długotrwałego przebywania w kosmosie. Nieważkość wywoływała zmniejszenie gęstości kości i masy mięśniowej, a także deformację gałek ocznych i pogorszenie wzroku. Załogi stacji kosmicznych próbowały temu przeciwdziałać poprzez korzystanie z przyrządów gimnastycznych poddających kości dodatkowym obciążeniom, były to jednak rozwiązania tymczasowe, dobre w przypadku kilkumiesięcznych pobytów na orbicie. Tymczasem Dinah, Ivy i pozostała dziesiątka pierwotnej załogi Izzy znajdowali się w kosmosie od blisko roku. Przez pierwsze miesiące po Dniu Zero nikt

się specjalnie nie przejmował kwestiami zdrowotnymi w dłuższej perspektywie czasowej: wszyscy i tak mieli umrzeć, niektórzy Skauci docierali na stację już martwi i w ogóle zapowiadał się permanentny stan zagrożenia. Jednakże później, w fazie konsolidacji i rozbudowy systemu rur transportowych, biolodzy zaczęli wtrącać swoje trzy grosze.

Nie pierwszy raz w ostatnich tygodniach ktoś radził Dinah, żeby więcej czasu spędzała w symulowanym polu grawitacyjnym T2.

– Trudno mi się tak ciągle przestawiać z ciężenia na nieważkość i z powrotem. Rzygam od tego. Zresztą w T2 nie ma nic mojego.

Miała na myśli – o czym Ivy doskonale wiedziała – swój warsztat.

– Przecież pracujesz głównie zdalnie, prawda? Pisziesz kod dla robotów...

– Niby tak, ale lubię potem obserwować je przez okno.

– Mają wbudowane kamery.

Na to Dinah nie znalazła odpowiedzi.

– Czymkolwiek się tu zajmujesz, mogłabyś to robić z kabiny w T2. A ciężenie samo wzmacniałoby ci kości.

– Chodzi jeszcze o Rhysa – przyznała Dinah. – Dziwnie się między nami porobiło i po prostu nie chcę...

– Rhys w ogóle nie bywa w T2. Głównie kumpluje się z ekipą od nadmuchiwanym konstrukcji.

– W porządku. Znajdź mi w T2 miejsce do pracy, a ja...

– Jest jeszcze jedna sprawa – wtrąciła Ivy, wydając z siebie Westchnienie.

Uciekała się do Westchnienia zawsze wtedy, gdy szefostwo kazało jej zrobić coś niedorzecznego. Nigdy nie pojawiała się w zapisach ze spotkań, a zarazem zmieniało wszystko.

– Nawet nie będę próbowała zgadywać – powiedziała Dinah.

– Możesz nie zdawać sobie z tego sprawy, ale wszyscy staliśmy się bohaterami telewizyjnego reality show.

– To możliwe. Rzadko oglądam telewizję.

– Za to ludzie na Ziemi wprost przeciwnie. Nie mają nic innego do roboty. Gospodarka pada, a oni jedzą fasolę i gapią się w telewizor.

– Rozumiem.

– Kazano mi zwrócić baczniejszą uwagę na formułowanie przekazu.

– Formułowanie przekazu? A cóż to takiego?

Ivy odpowiedziała kolejnym Westchnieniem.

– Dobra, nie musisz mówić. Mniejsza z tym.

– Ludzie chcą wiedzieć, co się stało z ich Małą Zarozumiałą Wieśniarą.

– Poważnie?

– Poważnie. Ludzie ją lubią. Pamiętają, co zrobiłaś dla Tekli. Nawiasem mówiąc, pornole z jej udziałem robią furorę.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Tak czy inaczej, ludzie się dopytują o zuch dziewczynę od robotów i jej mechaniczną menażerię.

– To by wyjaśniało dziwne e-maile, jakie ostatnio dostaję.

– Od nieznajomych?

– Nie, od rodziny. Maili od nieznajomych nie czytam. A ty, Ivy? Jaką rolę grasz w tym reality show?

– Drętwej suki, która sobie nie radzi – odparła spokojnie Ivy.

– Aha.

– Dla Amerykanów jestem za mało amerykańska, a dla Chińczyków jestem jak banan: z wierzchu żółta, w środku biała.

– Przykro mi.

– To była zła wiadomość.

– A jest jakaś dobra?

– Wszyscy ci, którzy opluwają mnie w Internecie, za czterysta trzydzieści trzy dni będą martwi.

Świetnie. To właśnie był przykład tego czarnego humoru.

– Później nic już nie będzie ważne... poza moją przydatnością dla Naszej Spuścizny.

– Rozumiem, moja droga. Jak mogę ci pomóc? Mogłybyśmy zrobić sobie selfie; wrzuciłabym je na bloga Małej Zarozumiałej Wieśniary.

– Polecimy razem pierwszym sprawnym bolas. Przypomnisz sobie, jak wygląda jeden g.

Rozdzielenie Losów

Przez pierwsze dni po rozpadzie Księżyca Doob godzinami gapił się na Kartofla, Kręciołka, Żołędzia, Pestkę, Chochlę, Dryblasę i Fasolkę. Były widoczne za dnia, tak jak byłby widoczny Księżyc, a kiedy Doob nie mógł wyjść na dwór albo w Pasadenie akurat się zachmurzyło, zawsze mógł wyświetlić na ekranie komputera obraz z transmisji na żywo.

Po tym, jak doszedł do wniosku, że fragmenty Księżyca zabijają wszystkich mieszkańców Ziemi, stracił nimi zainteresowanie. Ba, czasem całymi tygodniami w ogóle nie spoglądał na rozrastającą się chmurę odłamków. Zdarzało się, że idąc przez ciemny parking albo jadąc autostradą, zauważał księżycowe okrawki, a wtedy celowo odwracał od nich wzrok. Napawały go zgrozą, a także czymś na kształt wstydu, że kiedyś mógł je uważać za fascynujące zjawisko naukowe. Nie chciał, żeby coś mu o tym przypominało. Zamiast tego śledził ich postępujący rozpad w arkuszach kalkulacyjnych i na wykresach udostępnianych przez studentów i kolegów po fachu. Robił, co w jego mocy, żeby zredukować problem do dwóch liczb: jedną było TRB, Tempo Rozpadu Bolidów, czyli miara częstotliwości rozbijania się większych kamieni na mniejsze, drugą zaś – mówiąc wprost – liczba dni do nastania Białego Nieba.

Siódmego dnia, chwilę po tym, jak poznali się z Amelią, razem byli świadkami rozpęknięcia się Fasolki na dwa duże odłamy, w późniejszym okresie nazwane F1 i F2 (choć początkowo próbowano im nadawać własne milusie imiona). Trzy tygodnie później Chochla zderzyła się z Dryblasem i rozpadła na trzy części: C1, C2 i C3. Sam Dryblas zmienił się tymczasem w D1 (duży i w miarę podobny do oryginału) oraz całą gromadę drobin odszczepionych od mniejszego kawałka, D2. Drobinę tę otrzymywały oznaczenia w rodzaju D2-1-3, co w tym wypadku oznaczało trzeci co do wielkości fragment największego fragmentu drugiego co do wielkości fragmentu Dryblasę. Dalej liczenie ich

i oznaczanie stawało się skomplikowane i z lekka bezsensowne. Kręciołek narobił niezłego zamieszania, zanim w końcu rozpękł się na dwoje. Jego niesforne potomstwo, KR1 i KR2, oddaliło się w przeciwnych kierunkach i wylądowało na długich ekscentrycznych orbitach wokół wspólnego dla wszystkich odłamków środka masy. Od czasu do czasu KR1 i KR2 nadlatywały z wielkiej odległości i zderzały się z którymś z wolniej poruszających się kawałków. KR2 rozbił Żołędzia na trzy części zaledwie trzy dni przed pamiętną pogawędką Dooba z panią prezydent w Gabinetcie Owalnym. Kiedy Doob wracał samolotem do Los Angeles, skała wielkości tankowca spadła do Oceanu Indyjskiego i wywołała tsunami, które zabiło czterdzieści tysięcy mieszkańców zachodniego wybrzeża Indii.

Po powrocie z wycieczki do Waszyngtonu wprowadzili się z Amelią do apartamentu w „Langham”, luksusowym hotelu w Pasadenie, żeby spędzić trochę czasu we dwoje, zanim Doob wyruszy w podróż dookoła świata. Podczas romantycznej kolacji na hotelowym tarasie bardzo starał się nie patrzeć na pozostałości Księżyca. Później udali się do pokoju, kochali się, a po dwudziestu minutach postkoitalnych mizianek Amelia obróciła się na bok i zasnęła, zapraszając Dooba, by przytulił się do niej na łyżeczkę. On jednak, nie mogąc się odprężyć, wziął na kolana laptop, włożył okulary do czytania i zaczął wytracać czas w Internecie. Drzwi na balkon były otwarte i zawiewający przez nie wiatr zmusił w końcu Amelię do zagrzebania się głębiej pod przykryciem. Doob wstał, żeby zamknąć drzwi... i znalazł się oko w oko z księżycową chmurą, która zawisała nad miastem dokładnie na wprost hotelowych okien i miała średnicę dobre cztery razy większą niż dawny Księżyc. Bez reszty przykuła jego uwagę – między innymi dlatego, że tak długo wzbraniał się przed jej oglądaniem. Teraz więc bardzo długo się jej przyglądał. Pestka w dalszym ciągu była z grubsza w jednym kawałku, lecz poza nią nie dało się już rozpoznać żadnej z pierwotnych Siedmiu Sióstr.

Z ciekawości uruchomił aplikację określającą, kiedy Izzy będzie przelatywała mu nad głową, i stwierdził, że nastąpi to za około dziesięciu minut. Stał więc i czekał, raz po raz zerkając ku księżycowym odłamkom. Jaka przyszłość je czekała? Wiedział, że porozbijają się nawzajem na nieprzeliczoną liczbę kawałków i przemienią najpierw

w Białe Niebo, a potem w Kamienny Deszcz. Jaki jednak będzie ostateczny rozkład rozmiarów? Ile będzie dużych kamulców, a ile małych kamyków? Istniejące modele używane do takich szacunków opierały się na założeniu, że skała księżycowa jest jednorodna – co było oczywistą nieprawdą.

Przeprowadzono pewne analizy pierwszych siedmiu odłamków, próbując ustalić, dlaczego Pestka okazała się wyjątkowo odporna na rozbicie, i stwierdzono, że jest po prostu jądrem Księżyca. Co zresztą dodatkowo potwierdziła analiza masy: Pestka miała znacznie większą gęstość niż inne kawałki, co sugerowało, że składa się głównie z żelaza, nie skał. Żelazne jądro było niewielkie wobec rozmiaru całego Księżyca, znacznie mniejsze niż jądro Ziemi wobec jej rozmiarów, i okryte grubą skorupą zimnego martwego kamienia – ale jednak istniało. Przypuszczano, że składa się z kuli litego żelaza obleczonej nieco gorętszym płaszczem z żelaza roztopionego i przemieszanego z innymi pierwiastkami. Agent, który zdruzgotał Księżyc, odarł jądro z kamienia, odsłonił je i przez pierwsze kilka godzin Pestka dosłownie promieniowała żarem – tak w każdym razie domniemywano, ponieważ spowijała ją wówczas chmura pyłu wzburzona podczas kataklizmu. Roztopiony płaszcz musiał zostać częściowo zerwany i rozproszony w postaci szybko krzepnących brył metalu – co zresztą potwierdzał skład zasobnych w metale meteorytów, które od tamtej pory spadły na Ziemię, zostały wykopane i zbadane. Zanim pył opadł na tyle, żeby księżycowe odłamki dało się swobodnie obserwować, Pestka zdążyła się okryć skorupą z metalu, który – choć stopiony – nie oderwał się od niej, lecz szybko wypromieniował ciepło i skrzepl. Jego stygnięcie wcale się zresztą nie skończyło: upłynął blisko rok, a Pestka – czy raczej P1, bo pod takim oznaczeniem teraz funkcjonowała – nadal była najcieplejszym ze wszystkich fragmentów Księżyca. Wykazywała też największą odporność na rozbicie: inne odłamki odbijały się od niej lub roztrzaskiwały na kawałki na jej błyszczącej powierzchni. W początkowym okresie, gdy jeszcze była ciepła i miękka, oddzieliło się od niej trochę większych odprysków (P1, P2 i tak dalej), później jednak okrył ją milowej grubości pancierz z zakrzepłego żelaza, odporny na wszelkie katastrofy – może z wyjątkiem drugiego Agent.

Te rozmyślenia pochłonęły Dooba do tego stopnia, że omal nie

przegapił przelotu Izzy. Przemknęła po niebie dokładnie na tle chmury odłamków; miało się wrażenie, że kluczyła pośród koziółkujących w przestrzeni olbrzymich głazów – co oczywiście było złudzeniem. Od dawna stanowiła najjaśniejsze dzieło człowieka na niebie, teraz zaś, po rozbudowaniu o wiele nowszych elementów, świeciła jeszcze jaśniej. Efekt był imponujący, poniekąd nawet poruszający, lecz oglądany na tle pokłosa kataklizmu zmuszał do zadawania pytań o sens całego przedsięwzięcia. Jaki był długofalowy plan dla Arki w Chmurze? Nadzwyczaj elegancka koncepcja roju rokowała znacznie większe nadzieje na przetrwanie niż idea Jednego Wielkiego Statku, ale dokąd ten rój miałby się udać?

Nikt nie poruszał tego tematu – i Doob to rozumiał. Najważniejsze było przetrwanie. Później przyjdzie czas na obmyślanie strategii długofalowej.

Zapasy żelaza w P1 były z praktycznego punktu widzenia nieskończone. Ludzie potrzebowaliby tysiący lat, żeby zużyć takie ilości metalu.

Kłopot w tym, że P1 znajdowała się daleko i była trudno dostępna.

A jednak musieli się do niej dostać.

Zwłaszcza że przecież była znacznie bliżej niż Arjuna, którymi tak się ekscytował Sean Probst.

Czując, jak pomysł krystalizuje mu w głowie niczym gęstniejący w głębi Księżyca żelazny rdzeń, Doob odsunął go chwilowo na bok i skupił się na sprawach bieżących. Kilka dni wcześniej w Gabinetce Owalnym postanowił ruszyć tyłek, polecieć w kosmos i tam zacząć działać. Piękna idea – na razie jednak czekały go jeszcze trzy miesiące na *terra firma* i nie powinien zaniedbywać swoich obowiązków. Najważniejsze były zobowiązania wobec dzieci, Amelii i ich zamrożonego zarodka, ale poza tym miał przecież jeszcze inne zajęcia i gdyby spektakularnie je spieprzył – na przykład przez sterczenie na hotelowych balkonach i dumanie o zawartości żelaza w P1 – mogli go jeszcze nie wysłać na Arkę w Chmurze. Z początku wcale nie miał na to ochoty, ale odkąd wyraził zgodę na lot w kosmos, zapragnął go jak niczego innego w życiu i teraz bał się, że mogliby mu go odebrać. Jeżeli wyczują w nim tę obawę, mogą chcieć ją wykorzystać do pokierowania nim. Dlatego lepiej będzie się wykazać, popisać, przekroczyć ich

oczekiwania – i udawać, że wcale mu na tym nie zależy.

* * *

Siedemdziesiąt dwie godziny później wyglądał przez okno śmigłowca amerykańskiej marynarki wojennej, który w omglonej himalajskiej dolinie podchodził do lądowania na pasie startowym lotniska w Bhutanie. Jedynym pasem startowym w Bhutanie, należałoby dodać.

Kraj liczył około siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, co dawało mu prawo wytypowania dwojga kandydatów na pasażerów Arki w Chmurze. Te rachunki były nieco pogmatwane: gdyby na całym świecie stosować podobne proporcje, zebrałoby się około dwudziestu tysięcy chętnych. Jeżeli jedna miniarka miała pomieścić pięć osób, rój musiałby się składać z czterech tysięcy statków. Umieszczenie każdego z nich na orbicie wymagałoby użycia dużej rakiety transportowej, a także pewnych prac przygotowawczych i montażowych na Izzy.

Czy to było wykonalne? Czy dałoby się to zrobić, gdyby cały ziemski potencjał przemysłowy zaprząć do produkcji rakiet, miniarek, skafandrów kosmicznych i reszty niezbędnego wyposażenia? Być może tak – ale najprawdopodobniej jednak nie. Najnowsze dostępne Doobowi szacunki oscylowały bliżej jednej czwartej tej liczby.

A poza tym czy miniarka naprawdę byłaby w stanie zapewnić przetrwanie aż pięciorgu ludziom? Stateczki na pewno były dostatecznie duże, żeby pięć osób mogło się w nich pomieścić i poobijać o ściany, nikt jednak nie miał pewności, czy nadażą chociażby z produkcją żywności. Stworzenie samowystarczalnego ekosystemu w rurze wielkości cysterny kolejowej to nie było jakie wyzwanie. W ramach Biosphere 2, słynnego eksperymentu przeprowadzonego na pustyni w Arizonie, próbowano zapewnić przetrwanie ośmiu osobom, bazując na ekosystemie wielkości dwóch boisk piłkarskich, i na dłuższą metę okazało się to niemożliwe – chociaż trzeba uczciwie przyznać, że przebieg eksperymentu zakłócały spory polityczne i pewne niecodzienne czynniki quasi-duchowej natury. W innym projekcie, bardziej praktycznym, Sowieci wykazali, że osiem metrów kwadratowych glonów (kożuch zielska na stawie wielkości dwóch

stołów do ping-ponga) wystarcza do zaopatrzenia jednego człowieka w tlen. W wolnej przestrzeni pomiędzy sztywną wewnętrzną skorupą miniarki i elastycznym kadłubem zewnętrznym znalazłoby się aż nadto miejsca na takie poletko, ale gdyby arka miała dodatkowo wytwarzać pożywienie, obszar uprawy musiałby być znacznie większy. A przecież te rachunki w żaden sposób nie odnosiły się do prawdziwych problemów związanych z utrzymaniem tysięcy ludzi przy życiu przez długi czas, do tego w kosmosie. Nie wystarczy przecież nie udusić się i nie umrzeć z głodu: ludzie potrzebują lekarstw, mikroelementów, ćwiczeń fizycznych, bodźców... Rozstrojone ekosystemy trzeba ratować pestycydami, antybiotykami i innymi chemikaliami, których wytworzenie wcale nie jest proste. Silniki miniarek trzeba zaopatrywać w paliwo, a poza tym na bieżąco konserwować i naprawiać. Idea całkowicie zdecentralizowanej Arki w Chmurze była mrzonką; bez statku matki – centralnego magazynu żywności i części zamiennych – Arka nie miała prawa przetrwać. Jediną potencjalną kandydatką na statek matkę była Izzy – tyle że ona akurat zupełnie się do tego nie nadawała. Próbowali ją przystosować do nowej roli, faszering witaminami, ale w ten sposób tylko odwlekali moment, gdy skończą im się wszystkie zasoby, których nie potrafią wytwarzać w kosmosie, i ludzie zaczną masowo umierać.

Z faktu, że zadawanie niewygodnych pytań na takie tematy donikąd go nie doprowadziło, Doob wywnioskował, że arkitekci zdają sobie sprawę z istnienia problemu i pracują nad jego rozwiązaniem, ale nie chcą o nim rozmawiać, ponieważ kontrowersje i publiczne wyrażanie wątpliwości w niczym nie pomogą. Wydawało się oczywiste, że on sam ma się zachowywać tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku – co w dniu dzisiejszym oznaczało sprowadzenie dwojga młodych ludzi z himalajskiego królestwa Bhutanu.

Czy małe przedstawienie, w którym za chwilę weźmie udział, miało oznaczać, że dwadzieścia tysięcy ludzi z całego świata naprawdę zamieszka na Arce w Chmurze?

Powinien wyłączyć gadającego mu w głowie sceptyka (czy „Doob” ma coś wspólnego z „dubitować”?) i w ogóle o tym nie myśleć.

Dwie godziny wcześniej wystartowali z pokładu *George’a H.W. Busha*, superlotniskowca stacjonującego w Zatoce Bengalskiej. Doob oglądał

statek oczami człowieka, którego za kilka miesięcy czeka przeprowadzka na jego kosmiczny odpowiednik. Lotniskowiec był wielką sztuczną wyspą, na której tysiące ludzi upchano gęsto w kokonie czystej technologii. Profesjonalizm załogi i sprawność okrętu budziły szczerzy podziw. Czy coś podobnego da się odtworzyć w kosmosie, z ludźmi pozbieranymi z całego świata i wyszkolonymi w obozach w ciągu zaledwie roku?

Przypuszczał, że już za pół godziny będzie wiedział coś więcej na ten temat.

Śmigłowiec zanurkował w nabitą mgłą lukę pomiędzy górami i dłuższą chwilę przerzynał się przez kłęby pary wodnej, zanim w końcu – zdumiewająco blisko – pokazał się pas startowy. Pilot po mistrzowsku posadził maszynę dosłownie rzut kamieniem od terminala pasażerskiego.

Doob uświadomił sobie, że kurczowo zaciska szczęki i świadomie spróbował je rozluźnić. Popęłił ten błąd, że przed odlotem znalazł to miejsce w Google'u i dowiedział się, że zewsząd otaczają je góry o wysokości osiemnastu tysięcy stóp, że tylko ośmiu pilotów na świecie ma uprawnienia do lądowania na tym lotnisku – i że nawet tych ośmiu nie próbuje tu lądować, jeżeli nie ma pięknej, słonecznej pogody. Facetów latających helikopterami U.S. Navy najwyraźniej obowiązywały inne zasady, ale na podejściu do lądowania Doob trzymał kciuki z taką siłą, że pobielały mu knykcie, i zaczynał się zastanawiać, jak zareaguje na wystrzelenie w kosmos na czubku pośpiesznie skleconej rury wyładowanej po brzegi materiałami wybuchowymi.

Poruszył się na siedzeniu i poczuł, że gruba szara koperta spada mu z kolan na podłogę; głucho metaliczne *thunk!* omal nie obudziło Tavistocka Prowse'a, który przez większość lotu siedział naprzeciw niego, a przez ostatnie pół godziny leżał na fotelu, wyczerpany zmianą stref czasowych, i spał jak zabity. Był niezbyt wysoki, dość krępy, zbudowany jak zapaśnik. Łysinka z tyłu głowy zarysowała mu się już w szkole średniej i od tamtej pory bezlitośnie się rozrosła, pozostawiając tylko mnisi wianuszek krótko przystrzyżonych włosów na tylnej części ukształtowanej jak pocisk czaszki. Zapewne w celu odwrócenia od nich uwagi Tav nosił okulary w masywnej ciemnej oprawce. W przeszłości intensywnie ćwiczył podnoszenie ciężarów, ale w ostatnich dziesięciu

latach – a zwłaszcza od Dnia Zero – rozmiękł i rozrósł się nieco wszcz. Dziwnie się go oglądało śpiącego, bo zwykle był w nieustannym ruchu.

Doob miał pewne pojęcie, skąd to się bierze. Tav miał nadzieję, że zostanie wybrany. Jeżeli będzie się starał, wrzuci do sieci dość newsów, zgromadzi dość sympatyków na Twitterze, to może jakiś ważniak uzna, że Arka w Chmurze potrzebuje profesjonalnego specja od mass mediów: pierwszego – lub ostatniego – dziennikarza. Zdaniem Dooba szanse były marne, wielu ludzi z doktoratami, a nawet noblistów znalazłoby się na takiej liście przed Tavem, ale nigdy nic nie wiadomo. A trudno było mieć do gościa pretensje, że się stara.

Schylił się i podniósł kopertę z podłogi. Miała centymetr grubości, była zapieczętowana i opisana równymi wielkimi literami PARO, BHUTAN. Przez ostatnie dwie godziny Doob powinien był zapoznać się z jej zawartością i zaznajomić z czekającym go zadaniem. Zamiast tego gapił się przez okno na parne zielone równiny i snujące się leniwymi warkoczami rzeki Bangladeszu.

Chcąc jak najlepiej wykorzystać te dwie albo trzy minuty, jakie pozostały do otwarcia drzwi maszyny, rozdarł kopertę i wyciągnął z niej plik kartek. Te dźwięki już obudziły Tava, chociaż nie zmusiły go jeszcze, żeby się poruszył: po prostu leżał nieruchomo i patrzył, jak Doob czyta.

– Jeśli ma na sobie coś czerwonego albo żółtego, to jest to lama. Ukłoń mu się.

– Myślałem, że to taki wielbłąd z Ameryki Południowej...

– Ten lama, nie ta lama. Święty mąż. Złóż dłonie i lekko się ukłoń.

– Nie wierzę w...

– Daj spokój, nie umrzesz od tego. Ten z obszernym żółtym szalem przewieszonym przez lewe ramię to król. Też mu się ukłoń, tylko bardziej.

– Dzięki. Coś jeszcze?

Obok Dooba siedział Mario, ich fotograf – facet po trzydziestce z krótkim ciemnym wąsikiem, nowojorskim akcentem i bez cienia nadziei, że zostanie wybrany do zasiedlenia Arki w Chmurze. Podczas lotu dzielił czas pomiędzy lekturę swojej kopii tych samych dokumentów i granie w jakąś gierkę na telefonie. Ponieważ zaliczył znacznie więcej takich wypadków niż Doob czy Tav, wczuł się teraz w sytuację, schował telefon i wtrącił:

– Ludzie będą ci dawać różne rzeczy; niektóre mogą być stare, zeskorupiałe, dziwnie pachnące, ale pamiętaj: to są dla nich ważne rzeczy. Bardzo ważne.

– To dlaczego chcą mi je...

– Wierzą, że zabierzesz je na górę i przechowasz.

– Aha.

– Dlatego, kiedy ktoś ci coś da, to choćbyś nie miał zieloniutkiego pojęcia, co to, u licha, może być, zrób ważną minę, ukłoń się, weź to ostrożnie do rąk, popodziwiał i oddaj pomagierowi.

– Pomagierowi?

– Wyznaczono specjalnych ludzi, którzy mają ci towarzyszyć i nosić za tobą wszystkie bezcenne skarby narodowe, którymi zostaniesz obdarowany. Zaopiekują się nimi i odniosą je tutaj, do śmigłowca; ty musisz mieć wolne ręce, żeby składać je do tych ichnich ukłonów, ścisnąć dłoń królowi i tak dalej. Jak tylko wrócimy na lotniskowiec, wyrzucimy to wszystko za burtę.

– Dla ciebie to nie pierwszozna, co?

– Siedemdziesiąty trzeci raz uczestniczę w uprowadzeniu. Chodźmy.

Mario ostrożnie wstał i uspokoił rozkołysane na paskach aparaty, którymi był obwieszony. Tav i Doob porozpinali pasy bezpieczeństwa, wyczekując dalszych wskazówek. Mario zrobił dwa kroki w stronę drzwi; pilot dosłownie przed chwilą je otworzył i do środka wlało się zimne, wilgotne powietrze. Pachniało sosną i węglowym dymem.

Doob omal nie zderzył się z Mariem, kiedy ten zniemacka zatrzymał się i odwrócił.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– To, co się za chwilę wydarzy, będzie kurewsko smutne. Ja nie żartuję: to może być najsmutniejsza scena w całym twoim życiu. Nie rozklej się.

Mario tak długo patrzył Doobowi w oczy, aż ten pokiwał głową i odparł:

– Dzięki.

Mario odwrócił się i skoczył do wyjścia, żeby złapać parę dobrych ujęć, gdy doktor Harris wysiada z helikoptera.

Doktor Harris przystanął w otwartych drzwiach. Stały przed nim co

najmniej dwa tuziny gotowych go przywitać ludzi w czerwono-żółtych szatach.

Złożył dłonie na wysokości piersi i się uklonił. Migawka aparatu Maria zafurkotała jak szalona. Za plecami Dooba rozległy się ciche cyfrowe popiskiwanie telefonu: Tav nadawał na żywo na Twittera.

* * *

Jechali w góry. Król osobiście prowadził swojego land rovera, a Doob siedział obok niego, na fotelu pasażera – z lewej strony, okazało się bowiem, że Bhutan jest jednym z tych krajów, w których jeździ się lewą stroną drogi. Siedzący z tyłu Mario gimnastykował się, żeby zmieścić ich obu w jednym kadrze, obok niego zaś Tav nagrywał na telefon notatki głosowe.

Król wyraził żal z powodu mglistej pogody uniemożliwiającej podziwianie spektakularnych górskich panoram.

– Wydaje mi się jednak, że w ogólnym rozrachunku jest to drobiazg niewart wzmianki – zakończył.

W mieście Paro zatrzymali się na skrzyżowaniu, żeby przepuścić trzech chłopców kopiących piłkę na ulicy. Za land roverem uformowała się kawalkada wyładowanych lamami toyot.

– Ile oni radości czerpią z tak prostej zabawy... – zadumał się król. – Oczywiście wiedzą. Wszyscy wiedzą o nadciągającej katastrofie i na myśl o niej smutnieją. Ale kiedy o niej zapominają, są tacy, jak ich pan teraz widzi: beztroscy.

Chłopcy usunęli się w końcu z drogi i król powoli wjechał na skrzyżowanie. Miasteczko – zabudowane starymi domami z ciemnobrunatnego drewna, posadowionymi na kamiennych fundamentach – budziło zdumiewające skojarzenia z alpejskimi kurortami.

– Do niedawna – ciągnął król – jeszcze zaledwie kilka dni temu, mogli pocieszać się myślą, że może to oni zostaną wybrani.

– W Rozdzieleniu Losów – podsunął Doob.

– Właśnie. – Król spojrział na niego z błyskiem w oku. – Wie pan, że u nas to ja dokonałem wyboru? – Zerknął przez ramię na Tava. – To

nieoficjalna informacja.

– Nie wiedziałem – przyznał Doob.

– Otrzymaliśmy pewne... wskazówki, tak chyba należałoby powiedzieć. Zmierzam do tego, że nie było to dosłowne losowanie. Takiego wyboru lepiej nie pozostawiać przypadkowi; musimy wysłać najlepszych. Bhutanowi przypadły tylko dwa miejsca na Arce w Chmurze; głupotą byłoby zmarnowanie ich na kogoś, kto nie potrafiłby należycie reprezentować naszych ludzi. Dlatego trzeba było dokonać wyboru.

– Większość ludzi doszła do tych samych wniosków – powiedział Doob. – Na wstępie określa się pulę obiecujących kandydatów, z której następnie dokonuje się wyboru. Wybór ten może już być losowy, żeby nikt nie musiał w pojedynkę ponosić zań odpowiedzialności.

– Będąc królem, czasem trzeba taką odpowiedzialność ponieść, czy się to komuś podoba, czy nie. W tym konkretnym przypadku udało mi się jednak wciągnąć do sprawy kilku lamów. Istnieją precedensy dla zastosowanej przez nas procedury wyboru; w podobny sposób rozpoznaje się nowe reinkarnacje niektórych lamów. Czasem nawet ciągnie się losy z urny.

Tav nie mógł się powstrzymać od zadania pytania:

– Jak się ma doktryna o reinkarnacji do sytuacji, w której się znaleźliśmy?

– Panie Prowse... – Król się uśmiechnął. – Wybraliśmy się na krótką, nieśpieszną przejażdżkę. Gdybyśmy mieli do przejechania nie dziesięć kilometrów, lecz dziesięć tysięcy, co byłoby nadzwyczaj przyjemną perspektywą, może zdołałbym w tym czasie przekazać panu dość informacji o tym, jak moi podwładni pojmują ideę reinkarnacji, żebyśmy mogli wdać się w inteligentną dysputę na ten temat.

– Rozumiem. – Tav podniósł wzrok znad ekranu telefonu, gdy jego mózg zarejestrował przerwę w wypowiedzi króla. – Przepraszam. Trzeba jednak panu wiedzieć, że moje zadanie polega na porozumiewaniu się z maniakami komputerów i w ogóle nauk ścisłych. Próbowałem więc sobie wyobrazić...

– Kiedy z siedmiu miliardów mieszkańców Ziemi zostaje zaledwie kilkadziesiąt tysięcy, co się dzieje z duszami pozostałych?

– Właśnie.

Na rozwidleniu zjechali z drogi, która – jak domyślał się Doob – musiała być drogą główną, i skręcili na kręty trakt wijący się przez wioskę w lesie na brzegu rzeki. Trakt wprowadził ich na most przerzucony nad bystrym i (z wyglądu) zimnym strumieniem, w którym zielonkawa woda zmętniała jak mleko od skalnego pyłu niesionego z lodowców roztopiających się tysiące metrów nad ich głowami. Doob wciąż nie umiał pogodzić się z myślą, że za nieco ponad rok te lodowce przestaną istnieć, skała, na której zalegają, zostanie odsłonięta po raz pierwszy od milionów lat – i nie będzie przy tym żadnego naukowca.

– Nie wierzymy w prostą metempsychozę, czyli przenoszenie pojedynczej duszy z ciała do ciała. Kiedy mówimy o reinkarnacji, zupełnie nie to mamy na myśli.

– A co w takim razie? – spytał Doob.

Tav stracił zainteresowanie rozmową i ze zdwojoną energią zaatakował kciukami telefon.

– Wypalony niemal do cna ogarek, od którego zapala się nową świecę, byłby lepszą analogią. Nie udzielę panu jednak satysfakcjonującej odpowiedzi, doktorze Harris. To są nauki ezoteryczne, celowo ukryte przed niewtajemniczonymi, żeby zapobiegać powstawaniu fałszywych interpretacji. O tym, jak oświecony lama pojmuje zagadnienie siedmiu miliardów, mam równie mizerne pojęcie, jak o kwantowych teoriach grawitacji, którymi pan zajmuje się na co dzień.

Na tym brzegu rzeki teren wznosił się niemal pionowo. Górską barierę przerzynała biegnąca zygzakiem dolina o stromych zboczach; droga wskoczyła do niej i zakosami pięła się na urwisko, tu i ówdzie obrzeżona kępami wytrzymałych zimozielonych roślin, które znalazły oparcie w szczelinach wśród kamieni. Macki i porozdzierane woale mgły przepływały na tle skalnej ściany, od czasu do czasu odsłaniając górującą nad nimi białą wieżę, nie wiadomo w jaki sposób wzniesioną na samym skraju przepaści. Był to jeden z tych budynków, których sensem istnienia – podobnie jak w wypadku niektórych klasztorów w Grecji i Hiszpanii – była deklaracja: „Oto, jak daleko się posuniemy, by odgrodzić się od świata doczesnego”.

Jechali drogą wśród podłużnych, zielonych tarasowych pól do chwili, gdy zrobiło się zbyt stromo dla samochodu. Król zatrzymał land rovera

i zaciągnął hamulec ręczny.

– Jak pańska kondycja?

– Mogłaby być lepsza – przyznał Doob – ale serce mam zdrowe.

– Znajdujemy się około trzech tysięcy metrów nad poziomem morza.

Może pan poczekać na wybrańców tutaj, w moim pojeździe, albo...

– Dziękuję, ale spacer dobrze mi robi.

Doob obejrzał się na Maria, który z filozoficznym wyrazem twarzy wzruszył ramionami, i na Tavistocka Prowse'a, który wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

Kiedy ruszyli ścieżką pod górę – w towarzystwie podążającego za nimi w pełnym szacunku oddaleniu orszaku lamów, dzieci, fotografów i oficerów bhutańskiej armii – król wyjaśnił Doobowi, że miejsce, do którego zmierzają, to Gniazdo Tygrysa, należące do najświętszych miejsc kultu w Bhutanie, ponieważ to właśnie tutaj w ósmym wieku naszej ery Guru Rinpocze, Drugi Budda, przyleciał z Tybetu na grzbiecie tygrysa. W późniejszym okresie wokół jaskiń, w których medytował Padmasambhawa (tak bowiem najwyraźniej brzmiało alternatywne imię tej samej osobistości), zbudowano kompleks klasztorny.

Doob sprawił sobie nieco radości, powstrzymując się od wytknięcia królowi, że tygrysy nie potrafią latać – i to nie tylko dlatego, że z najwyższym trudem łapał powietrze w płuca. Wiarygodność opowiadki nie interesowała go w najmniejszym stopniu; była absolutnie bez znaczenia w zestawieniu z niepospolitą urodą okolicy, którą przemierzali. Może zareagowałyby inaczej, gdyby przyszło mu słuchać religijnych nonsensów na zadupiu pośrodku pustyni, które nie ma żadnych zalet turystycznego kurortu – ale w zamian za kilka godzin spaceru w towarzystwie króla Shangri-La był gotowy wysłuchać dowolnej liczby bajek i metafizycznych bajdurek.

Co parę minut z mgły wyłaniały się małe świątynie i kapliczki. Zatrzymali się po drodze, żeby napić się herbaty z mlekiem w kawiarence z pięknym widokiem na Gniazdo Tygrysa. Potem Tav – u kresu sił – zapowiedział, że dalej nie idzie, a Doob, król i Mario ruszyli coraz bardziej niebezpieczną ścieżką prowadzącą do bram klasztoru. Sam klasztor, jak poinformował Dooba król, był niedostępny dla osób postronnych, a zresztą i tak nieszczególnie nadawałby się na przeprowadzenie ceremonii jako wiekowy labirynt ciasnych mrocznych

pomieszczeń. Zamieszkujący jaskinie mnisi pustelnicy nie odczuwali potrzeby posiadania obszernego ceremonialnego dziedzińca.

Za to tuż przed wejściem do białej świątyni skalna półka, po której biegła ścieżka, rozszerzała się i na tym rozszerzeniu czekało już dwoje arkonautów – oboje po dwudziestce, odziani w (jak domyślał się Doob) tradycyjny bhutański strój: chłopak w długiej do kolan szacie, z przerzuconym skośnie przez ramię długim białym szalem, dziewczyna w żółtej jedwabnej kurteczce, owinięta w pasie wielobarwną tkaniną, która opadała jej do kostek jak prostokątna spódnica, obwieszona licznymi naszyjnikami z turkusów i innych kolorowych kamieni.

Gdyby Amelia była na jego miejscu, w mgnieniu oka wychwyciłaby setkę szczegółów tkaniny, haftu i biżuterii, doceniłaby sposób udrapowania materiału i dobór kolorów. Oczarowałyby króla tak, że z własnej woli oddałby jej swój jedwabny szal. A wcześniej w Paro wysiadłaby z land rovera i zakumplowała się z małymi piłkarzami. To Amelia, nie Doob, powinna robić to wszystko.

Ale Amelia nie poleci na Arkę w Chmurze – a Doob tak.

Chłopcu (Dorjiemu) i dziewczynie (Jigme) towarzyszyli ogorzali starcy w podobnych, lecz mniej ozdobnych strojach (najprawdopodobniej członkowie ich rodzin) oraz kilku lamów. Wirowały młynki modlitewne, w klasztorze dźwięczały dzwony, mnisi śpiewali.

Wszyscy płakali.

Wszyscy pokłonili się królowi.

Doob się cieszył, że Tav nie dotarł z nimi na górę.

Nawiązano rozmowę w miejscowym języku (Doob nie wiedział nawet, jaką nazwę nosi ów język). Mario, obojętny na podniosły nastrój, zwijał się jak w ukropie, pstrykał zdjęcia, przyklękał, chwilami nawet kładł się na ziemi, żeby uchwycić w tle szczyty gór lub dachy klasztoru.

Doob, który nie miał zielonego pojęcia, co się właściwie dzieje, nie potrafił oderwać wzroku od twarzy przedstawicieli starszyny, którzy robili, co mogli, żeby nie rozkleić się w obecności monarchy, cierpiąc męki w obliczu ostatecznego pożegnania z Dorjim i Jigme. To chyba jeszcze gorsze niż patrzenie na śmierć swojego dziecka, pomyślał. Kiedy dziecko umierało, była w tym jakaś pewność, ostateczność, zostawał grób, który można było odwiedzać. Tymczasem tych dwoje miało po prostu odejść i na zawsze przepaść we mgle. Łoskot wirnika helikoptera

obwieści ich zniknięcie, a potem rodziny będą mogły liczyć co najwyżej na mętne zapewnienia, że Dorji i Jigme poniosą w kosmos kulturalne dziedzictwo Bhutanu – zapewnienia, które (co do tego Doob był w zasadzie pewien) będą z gruntu fałszywe, ale przyniosą tym ludziom pociechę, gdy za piętnaście miesięcy przyjdzie im stanąć oko w oko ze śmiercią.

Teraz znacznie lepiej rozumiał swoje zadanie. Dlaczego skazani na zagładę Ziemianie nie wpadali w morderczy szal? Owszem, zdarzały się wybuchy obywatelskiego nieposłuszeństwa, ale większość ludzi zdumiewająco spokojnie przyjmowała rozwój wypadków.

Wszystko dzięki temu, że takie wydarzenia jak to, którego w tej chwili był świadkiem, odbywały się we wszystkich miastach i prowincjach liczących kilkaset tysięcy lub więcej mieszkańców. A ponieważ były fachowo reżyserowane, dawały ich uczestnikom poczucie, że system działa.

Pamiętał przeczytany w dzieciństwie mit o Tezeuszu i Minotaurze, opierający się na założeniu, że mieszkańców Aten udało się w jakiś sposób przekonać, by co kilka lat losowali spośród siebie siedem dziewcząt i siedmiu chłopców i wysyłali ich na Krete potworowi na pożarcie. Zawsze uważał, że to najsłabszy punkt znakomitej poza tym historii. Kto by się tak zachował? Kto zgodziłby się na losowanie dzieci i skazywanie ich na tak okrutny los?

Mieszkańcy Bhutanu, oto kto. A także mieszkańcy Seattle, departamentu Canelones na południu Urugwaju, Wielkiego Księstwa Luksemburga i południowej wyspy Nowej Zelandii – które to miejsca Doob miał odwiedzić w nadchodzących dwóch tygodniach, by odebrać wylosowanych tam chłopców i dziewczęta. Zgodzili się na to, ponieważ dali się przekonać, że w ten sposób będą chronieni.

Zgodnie z przewidywaniami Maria Doob został obdarowany niezwykle staro wyglądającymi artefaktami przez równie staro wyglądających mnichów, którzy uśmiechali się do niego przez łyży, a gdy przyjmował ofiarowane przez nich młynki modlitewne, sutry i posążki, kłaniali się i wycofywali, zgięci wpół.

Król wziął za rękę Dorjiego i Jigme, odwrócił się plecami do żałobników, sympatyków, czy kimkolwiek byli pozostali ludzie, i skinął Doobowi głową, jakby mówił „Twój ruch”.

Doob uklonił się po raz ostatni, odwrócił się na pięcie i pierwszy zaczął schodzić ścieżką.

Dzień 306

Miniarka nr 1, wyniesiona na orbitę w 285. dniu, miała kłopoty wieku dziecięcego z silnikami manewrowymi, toteż pierwsze bolas w dziejach Arki w Chmurze musiały utworzyć miniarki nr 2 i 3, wystrzelone (odpowiednio) w dniach 296. i 300. Te pierwsze trzy stanowiły realizację konkurencyjnych projektów i nieznacznie różniły się między sobą. Nie miało to wielkiego znaczenia – nikt nie oczekiwał, że przeznaczone do masowej produkcji w różnych fabrykach i wynoszone w kosmos przez różne rakiety z różnych kosmodromów kapsuły będą identyczne – łączył je jednak ten sam podstawowy kształt cylindra z wypukłymi, zaokrąglonymi denkami. Formę tę nieuchronnie narzucało podstawowe założenie konstrukcyjne: miniarki musiały być hermetyczne, jeśli miały zapewnić przetrwanie mieszkańcom, a pod działaniem ciśnienia wszystko prędzej czy później stawało się zaokrąglone. Dinah przywodziły na myśl wielgachne zbiorniki z płynnym gazem, jakie w dzieciństwie widywała przy domkach i przyczepach kempingowych w obozowiskach górniczych. Inni porównywali je do cystern kolejowych albo pękatek parówek.

W istocie były najzwyczajniejszymi aluminiowymi puszkami z przyspawanymi na końcach denkami. Ściany puszek miały około milimetra grubości, denka były nieco grubsze, a najsolidniejsze fragmenty kadłuba znajdowały się w miejscach, gdzie denka zachodziły na ścianki. Niezłą analogią byłaby tu plastikowa butelka, którą po zdjęciu zakrętki z łatwością dawało się zgnieść w jednej ręce, a która po szczelnym zamknięciu i wypełnieniu napojem gazowanym stawała się zdumiewająco sztywna i mocna. Tak przynajmniej NASA tłumaczyła to ludziom, których zgrozą napawała perspektywa życia zaledwie o milimetr od kosmicznej próżni.

Pierwsze trzy miniarki wystrzelono z Ziemi „gołe” i gładkie; setki ich następczyń miały przybywać na orbitę w płaszczach z przezroczystego

materiału, które podczas lotu w atmosferze pozostawały zmięte i ciasno złożone pod ochronnymi owiewkami z włókna szklanego. Na orbicie płaszcz nadymał się powietrzem i tworzył elastyczny zewnętrzny kadłub, nieco większy od tego wewnętrznego, metalowego. W przestrzeni międzykadłubowej miano uprawiać rośliny czerpiące energię z przefiltrowanego przez ochronny płaszcz światła słonecznego. Na razie nie udało się jeszcze stwierdzić, czy każda miniarka będzie samowystarczalna, jeśli chodzi o produkcję żywności (najprawdopodobniej nie będzie), ale produkowanie chociaż części pożywienia i tak było lepsze niż nieprodukowanie go w ogóle. Poza tym rośliny na pokładzie miały odciążyć skrubery CO₂, a warstwa wody oddzielająca mieszkańców od kosmicznej pustki zatrzymać część szkodliwego promieniowania.

W jednym denku miniarki znajdowało się złącze cumownicze, w oficjalnej nowomowie NASA znane jako „drzwi frontowe”; nazwa ta mogła być nieco myląca, ponieważ były to drzwi jedyne. Po ich zamknięciu mieszkańcy miniarki mogli z niej wyjść tylko po przycumowaniu do czegoś, co było wypełnione zdatnym do oddychania powietrzem.

Przeciwległy kraniec miniarki nosił nazwę „maszynowni”. Tuż za denkiem puszki zainstalowano tam mały generator atomowy: miał rozmiary kosza na śmieci i zapewniał arce całą niezbędną energię. Okalały go elementy konstrukcyjne przygotowane do montowania hydrauliki, przewodów elektrycznych, aparatury chłodzącej i tym podobnych rekwizytów, które nie zostaną wykorzystane, dopóki kilka miniarek nie postanowi połączyć się ze sobą, by utworzyć półtrwały kompleks.

Solidne, grube pierścienie w miejscach, gdzie kopułkowate denka nachodziły na kadłub, służyły jako miejsca instalacji wszelkich elementów strukturalnych, czyli wszystkich tych obiektów, które mogły z dużą siłą oddziaływać na kadłub arki. Z każdego pierścienia promieniście na boki rozchodziło się osiem grubych szprych. Ich końce łączyła podobna do aureoli obręcz, na której obwodzie zainstalowano manipulatory i silniki manewrowe. Wszystkie te elementy transportowano na orbitę we wnętrzu arki, skąd astronauta w skafandrach próżniowych wydobywali je przez złącze cumownicze

i instalowali w przewidzianych miejscach. Aureole miały też dodatkowo usztywniać i stabilizować nadmuchiwany kadłub zewnętrzny – ale w pierwszych trzech egzemplarzach miniarek, pozbawionych płaszcza ochronnego, sterowały na boki jak obręcze kół rowerowych najeżone małymi dyszami silników i oplecione siecią przewodów hydraulicznych.

Aureolę przy „drzwiach frontowych” z aureolą wokół „maszynowni” łączyła cienka belka, która na wysłany z wnętrza arki sygnał mogła odgiąć się na umieszczonych „z przodu” zawiasach i rozprostować na odległość około dziesięciu metrów. Na końcu tego ramienia znajdowały się kamera, tarcza celownicza i elektromagnetyczny manipulator, wspólnie tworzące kompleks nazywany „łapą”. Od łapy przez całą długość wysięgnika biegła lina, której znakomita większość (250 metrów) była nawinięta na szpulę przytwierdzoną nieopodal złącza cumowniczego. Wysięgnik, łapa, lina i szpula miały umożliwić przeprowadzenie pewnego manewru, którego nigdy wcześniej nie próbowano, a który w oficjalnej dokumentacji NASA opisano jako „Operację Bolas”; wszędzie poza tym nazywano go „Przybijaniem Piątki”.

W 306. dniu, po zmontowaniu i przetestowaniu miniarek nr 2 i 3, rozpoczęła się pierwsza Operacja Bolas. Doszło do niej w odległości kilku kilometrów od Izzy. Przeprowadzono ją cichaczem, w tajemnicy, na wypadek gdyby się nie powiodła – ale zarazem wiele kamer rejestrowało jej przebieg, na wypadek gdyby wszystko poszło zgodnie z planem. Procedura miała ogromną liczbę trybów zawadności, co w żargonie inżynierskim oznaczało, że mogła nie wypalić na tak wiele różnych sposobów, że przewidzenie ich wszystkich byłoby niewykonalne. Dlatego obie arki musieli prowadzić wykwalifikowani piloci, rozumiejący mechanikę orbitalną i zasady poruszania się statków kosmicznych na tyle dobrze, żeby w razie konieczności ręcznie sprowadzić zbłąkaną jednostkę na właściwy kurs. Takich ludzi w ogóle było niewielu; na pokładzie Izzy znalazło się ich zaledwie czworo. Wybrani podczas Rozdzielenia Losów młodzi mężczyźni i kobiety uczyli się pilotować wirtualne miniarki w symulatorach, na razie jednak żadne z nich ani nie ukończyło szkolenia, ani – tym bardziej – nie dotarło jeszcze na orbitę. Dlatego za sterami „dwójki” zasiadła Ivy; Dinah wcieliła się w rolę pasażerki i asystentki do wszystkiego. Arkę nr 3 miał

pilotować nowy na Izzy Markus Leuker, pilot szwajcarskich sił powietrznych, astronauta i kosmiczny weteran z zaliczonymi dwiema misjami na ISS; doświadczenie w pilotowaniu najnowocześniejszych myśliwców w alpejskich dolinach wydawało się rozsądną rekomendacją do nowej roli. Jego asystentem został Wang Fuhua, jeden z pierwszych chińskich taikonautów, przybyły na Izzy kilka miesięcy wcześniej, jeszcze w epoce Pionierów.

Po solidnie przespanej nocy i lekkim śniadaniu czworo uczestników operacji spotkało się w Bananie, żeby omówić szczegóły. Stamtąd wspięli się szprychą torusa do pozbawionego ciężenia wnętrza P1 i przepłynęli wzdłuż Komina (podłużnej osi stacji), klucząc wśród warsztatów i tymczasowych składów, by ostatecznie dotrzeć do złącza cumowniczego, skąd po kilku zakrętach i zawijasach trafili do rury transportowej. Kolejno się przez nią wspięli. Dinah, idąca jako trzecia, nie nadążała za Markusem; podeszwy jego stóp systematycznie się od niej oddalały.

– To jak wspinaczka na Daubenhorn – powiedział w którymś momencie – tylko bez tej męczącej grawitacji!

– To jakaś góra? – spytała Dinah; rura transportowa była długa, a ona doszła do wniosku, że rozmowa pomoże jej rozluźnić zaciskający się w żołądku supeł.

– Tak, w moich rodzinnych stronach! – odkrzyknął Markus. – Ze słynną *Klettersteig*. Powinnaś kiedyś tam pojechać i spróbować.

Mówienie o Ziemi jak o miejscu, do którego można wrócić, było powszechnym uchybieniem regułom etykiety wśród nowo przybyłych. Tak jakby uczestniczyli w misji o określonym czasie trwania, niczym nieróżniące się od poprzednich.

Dinah nie odpowiedziała. Markus prędzej czy później sam zrozumie swój błąd.

– No tak... – zmitygował się.

O, właśnie zrozumiał.

– Co to jest *Klettersteig*? – wypytywała Dinah, wspinając się w ślad za nim.

– Droga wspinaczkowa ubezpieczona linami, zaopatrzona w drabinki i tak dalej.

– Żeby było łatwiej – domyśliła się Dinah.

– O nie, to wcale nie oznacza, że jest łatwa. W ten sposób wspinaczka, która byłaby całkowicie niemożliwa, staje się po prostu niezwykle trudna.

– Rozumiem. To całkiem niezła metafora tego, co próbujemy zrobić tutaj.

– To prawda! – przyznał z zadowoleniem Markus.

Znalazszy się na skrzyżowaniu rur transportowych, zbadali wypisane flamastrem oznaczenia na ścianach pozostawione przez wcześniejszych podróżników i rozdzielili się: Dinah poprowadziła Ivy w prawo, a Fuhua i Markus ruszyli dalej prosto. Minąwszy trzy zajęte stanowiska cumownicze (i wymieniwszy zdawkowe pozdrowienia z ludźmi zamieszkującymi kapsuły po ich drugiej stronie), Dinah z Ivy dotarły do znajdującego się na końcu rury złącza cumowniczego.

Przeszły przez nie i wylądowały w rurowatym module o średnicy czterech i długości dwunastu metrów, rozjaśnionym lodowatym niebieskobiałym światłem LED-owych lamp. Wykonane z gładkiego aluminium ściany były upstrzone kodami kreskowymi i numerami seryjnymi nadrukowanymi przez fabrykę, która je wyprodukowała. Na przeciwległym krańcu cylindra znajdowała się wklęsła powierzchnia kopuły „maszynowni”, poprzębiana rozlicznymi przewodami hydraulicznymi i elektrycznymi. Od wnętrza oddzielała ją płaska, okrągła, ażurowa przegroda w paskudnym odcieniu zieleni; była wykonana z włókna szklanego i przypominała napowietrzne kładki w zakładach przemysłowych. Zrobiona z tego samego materiału drabinka biegła od niej „do góry” ku „drzwiom wejściowym”. Na widok drabinki Dinah od razu pomyślała o Markusie i jego *Klettersteig*. Nikt nie potrzebował drabiny, jeżeli nie spodziewał się grawitacji – albo przynajmniej jej rozsądnej namiastki. A zatem krata na drugim końcu miniarki miała w przyszłości pełnić rolę podłogi.

A ściśle rzecz biorąc – jednej z podłóg: wewnątrz modułu było dostatecznie długie, żeby dało się je podzielić w pionie aż na pięć osobnych kondygnacji; na ścianach w regularnych odstępach umieszczono stosowne podpory, brakowało jedynie samych przegród.

Dinah odepchnęła się od pierwszego szczebla drabinki i sfrunęła „w dół”. Wyhamowała na kracie przed maszynownią i odwróciła się w taki sposób, żeby oparłszy na niej stopy, zwrócić się głową ku „górze”

i wejściu. Jej oczy znalazły się w ten sposób na wysokości kilku płaskich ekranów, które – zawieszane na ścianach – pozwalały sterować urządzeniami zainstalowanymi na zewnątrz maszynowni i monitorować ich stan. W tej chwili jedyną istotną rzeczą była miniaturowa bombka atomowa, której przydzielono osobny ekran. Kiedy Dinah ożywiła go dotykiem, wyświetlił przedstawione w formie graficznej informacje o temperaturze plutonowego rdzenia i jego aktualnej wydajności, prędkości pracy i ogólnym stanie silnika Stirlinga przetwarzającego ciepło na energię elektryczną oraz poziomie naładowania akumulatorów i superkondensatora, który pełnił rolę bufora: magazynował energię elektryczną, kiedy nie była potrzebna na bieżąco, i wyzwalał ją, kiedy była. Wszystko wyglądało, jak trzeba. W takiej instalacji w ogóle niewiele mogło się zepsuć, a ta była na dodatek nowiuteńka.

Dinah odwróciła się do drugiego monitora, z którego odczytywała informacje o zainstalowanych na aureoli silniczkach odrzutowych. Miniarki nie cierpiały na nadmiar okien: jedyne miejsce, przez które można było wyjrzeć na zewnątrz, znajdowało się na dziobie, gdzie w pokrywę – obok złącza cumowniczego – wbudowano dwa małe iluminatory. Pod jednym z nich umieszczono mebel nazywany przez inżynierów leżanką; postronnemu obserwatorowi prędzej skojarzyłyby się on z luksusowym leżakiem, który w niewiadomy sposób zabłąkał się w kosmos. Ivy rozłożyła się już na nim, przypięła pasami i zajęła uruchamianiem kolejnego zespołu monitorów; Dinah słyszała, jak mruczy do wbudowanego w zestaw słuchawkowy mikrofonu połączonego ze zbiorowiskiem plastikowych pudełek, które w tym kontekście musiało uchodzić za pulpitan sterowniczy: łączyła się z centrum kontroli misji, prowadziła procedurę startową i rozmawiała z Markusem, siedzącym już zapewne za sterami miniarki nr 3.

Rozejrzawszy się, Dinah dostrzegła lśniący obiektyw kamery – wielkości wroniego ślepiaka – osadzony na ścianie, w maleńkiej plastikowej obudowie w połowie długości pojazdu.

A potem bez żadnego widocznego powodu rozplakała się.

Co zdarzało jej się zaskakująco rzadko. Niektóre nadane morsem wiadomości od Rufusa niezawodnie uruchamiały jej instalację hydrauliczną. Wraz z Ivy pozwalały sobie czasem nawzajem się

wyplakać, kiedy nikogo innego nie było w pobliżu; ostatnio do ich dwuosobowego klubu dołączyły nowe osoby, wśród nich Luisa. Zawsze jednak było coś do zrobienia, jakaś niecierpiąca zwłoki sprawa, jacyś świadkowie. Za grosz prywatności. Puste wnętrze miniarki było największą wolną przestrzenią, w jakiej Dinah miała okazję się znaleźć, odkąd półtora roku wcześniej w Bajkonurze weszła na pokład kapsuły Sojuz. Wydawało jej się przestronne i rozległe, czuła się w nim samotna... i nie mogła się powstrzymać. Wiedziała, że kamera ma ją na oku i że jej obraz jest rejestrowany w celu przyszłej archiwizacji; psychologowie w Houston będą mogli na podstawie tych nagrań oceniać jej przydatność do służby. Nic jej to nie obchodziło. Dawno przestała się przejmować opinią Houston.

Kiedy łzy już się pojawiły, zyskały jakiś niepowstrzymany impet i zwyczajnie musiała się wyplakać. Oderwała się od wspomnienia bliskich i zbłądziła myślami ku arkonautom, którzy w przyszłości mieli żyć i umierać w takich puszkach jak ta. Jeżeli to się nie uda – jeśli cała Arka w Chmurze faktycznie okaże się kiepskim placebo, jak to niektórzy sugerowali – to całkiem możliwe, że ostatnie myśli i wrażenia istoty ludzkiej zostaną zarejestrowane w takim właśnie środowisku. Było również możliwe, że to Dinah będzie tą istotą.

Problem z płakaniem w nieważkości polegał na tym, że łzy nie chciały spływać po policzkach – zamiast tego gromadziły się w roztrzęsionych torebkach powiek wokół oczu i nie pozostawało nic innego jak strząsnąć je lub otrzeć. Ponieważ nie miała nic, czym dałoby się je otrzeć (plastikowe kombinezony słyneły z niechłonięcia ani odrobiny płynu), spłynęła na dno arki i obserwowała ekrany sterowania przez poduszki ciepłej słonej wody.

– Co z ciebie za asystentka?! – zawołała za nią Ivy po tym, jak dała jej się chwilę wyplakać.

– Przepraszam – wypaliła Dinah. – To był trudny moment.

– Tylko nie porób zwarć w instalacji. Łzy przewodzą prąd.

– Instalacja powinna być odporna na płyny ustrojowe. Nie zapominaj, że projektowali ją dla amatorów.

– Mnie to mówisz? Interfejs użytkownika jest tak banalny, że nic nie mogę zrobić.

Coś lekkiego pacnęło Dinah w głowę. Przez łzy dostrzegła rozmazany

biały przedmiot, który właśnie odbijał się od przyjaznego dla użytkownika panelu sterowniczego reaktora. Wyciągnęła rękę, złapała dziwny obiekt i dotykiem rozpoznała opakowanie chusteczek jednorazowych – prawdziwy skarb na czarnym rynku. Rozerwała paczuszkę, wyciągnęła kilka chusteczek i rozpoczęła dość delikatną procedurę osuszania kulistych łez bez rozbryzgiwania ich w fontanny drobinek, które mogłyby doprowadzić do krótkiego spięcia w aparaturze.

– Na Boga, co by Markus o tobie pomyślał? – zagadnęła Ivy.

Dinah nie od razu skojarzyła, o co chodzi.

– Ja z nim? Naprawdę tak myślisz?

– Przecież to oczywiste.

Po ekscytujących pierwszych paru tygodniach temperatura znajomości z Rhysem samoczynnie opadła. Nic w tym złego: łatwo przyszło, łatwo poszło; nigdy nie postrzegала Rhysa w kategoriach materiału na długofalowy związek. Czas i miejsce, w jakich przyszło im żyć, nie sprzyjały wiązaniu się w pary na lata. Luisa (było nie było, antropolog) obserwowała spontaniczne i najczęściej krótkotrwałe związki mieszkańców Izzy ze złośliwą wesołością, naukową fascynacją i szczerą, przezabawną zazdrością.

– Czy ja wiem... Wiem, do czego pijesz, ale on mi za bardzo przypomina kapitana Kirka.

– Przydałoby ci się trochę kapitana Kirka w twojej...

– W moim czym?

– W twojej sytuacji. Rhys ma w sobie za dużo z introwertyka.

– To jakiś eufemizm?

– Jest przygnębiony.

– No popatrz... Ciekawe dlaczego.

– Nie, nie w tym rzecz. Nie chodzi o koniec świata i zagładę ludzkości. Po prostu, kiedy nad czymś pracuje, rozpiera go energia, a kiedy projekt dobiega końca, błyskawicznie traci zapał.

Dinah miała na końcu języka uwagę, że te słowa doskonale opisują wyczyny seksualne Rhysa, ale powstrzymała się od jej wygłoszenia.

– Wiesz, że to wszystko się nagrywa? – spytała.

– Przyzwyczajaj się – odparła Ivy, a Dinah z odległości dwunastu metrów wyczuła jej wzruszenie ramion. – Złap się czegoś, strzełę

silnikami; musimy się wycofać z miejsca parkingowego.

Nie żartowała. Silniki wydały odgłos łudzaco przypominający wystrzał i Dinah – która niczego się nie złapała – poczuła się chwilowo dezorientowana, gdy cała miniarka wokół niej zaczęła się przesuwac w tył, a ona sama tkwiła nieruchomo. Zielona kratka oddaliła się od niej, przybliżyły się za to drzwi frontowe, wszystko to jednak działo się na tyle wolno, że zdążyła wyciągnąć rękę i, przesuwając ją po drabince, kontrolowała swój ruch względem arki. Po kilku sekundach znalazła się blisko dziobu pojazdu i złapała się jednej z podpór leżanki Ivy.

Tuż obok znajdował się kłęb miękko wyściełanych pasków, nieco podobny do upręży wspinaczkowej; Dinah poświęciła dwie minuty na rozplątanie go i wśliznięcie się weń. Łoskot silników, syczenie i szczękanie hydrauliki i pomruki Ivy do mikrofonu tworzyły tło dźwiękowe, gdy zapinała się w upręży i nakładała własny zestaw słuchawkowy. Od tej pory słyszała już także prowadzone oszczędnym wojskowym językiem rozmowy pomiędzy Ivy, Markusem i osobą nadzorującą operację z pokładu Izzy. Co jakiś czas do dyskusji włączał się inżynier z Houston z własnymi spostrzeżeniami i pytaniami.

Oddaliwszy się od Izzy, włączyły silniki na dłuższą chwilę; ich ciąg przeniósł miniarkę na nieco wyższą orbitę. Z początku widziały przez iluminatory tylko kosmiczną pustkę, ale sądząc po kładących się na ścianie plamach światła, Słońce musiało już wynurzyć się zza kuli ziemskiej.

– Mam Trójkę na radarze – zameldowała Ivy. – Uruchamiam MPA.

Trzyliterowy akronim oznaczał Monitorowanego Pilota Automatycznego. Planowana operacja Przybicia Piątki uchodziła za zbyt delikatną, żeby jej przeprowadzenie powierzyć nieporadnym ludzkim pilotom: musiała być całkowicie zautomatyzowana, od początku do końca. Sęk w tym, że zarówno sterujące nią algorytmy, jak i czujniki przekazujące im informacje były zupełnie nowe i niesprawdzone. To dlatego za sterami zasiedli doświadczeni piloci, którzy mieli zerkać przez okno i w razie konieczności przejąć sterowanie, gdyby autopilot zaczął wariować.

Silniki poczęły strzelać w innym tempie; pośpieszny stukot drobnych impulsów w niczym nie przypominał rytmu nadanego ludzką ręką. Wygwieżdżony firmament przemieścił się za oknami, plamy słońca

prześliznęły się po ścianie i nagle w polu widzenia pojawiła się odległa o kilkaset metrów miniarka nr 3, która – także sterowana przez MPA – zwróciła się drzwiami frontowymi w kierunku miniarki 2. Dinah powstrzymała pokusę pomachania Markusowi i Fuhua – byłoby to nieprofesjonalne, a poza tym i tak by jej nie zobaczyli przez malutki iluminator.

Cienki biały pręt oddzielił się od burty miniarki 3, przyjął pozycję roboczą i znieruchomiał, stercząc w bok. Chwilę później Ivy i Dinah poczuły i usłyszały, jak wysięgnik ich pojazdu robi to samo; na ekranie obserwowały ilustrującą ten proces animację komputerową.

– Uruchamiam kamerę w łapie – mruknęła Dinah.

Włączyła urządzenie i na jednym z monitorów wyświetlił się przesyłany w wysokiej rozdzielczości obraz z obiektywu na końcu wysięgnika. Z początku w kadrze było widać tylko rąbek błękitnej kuli atmosfery ziemskiej w jednym rogu, potem jednak przez pole widzenia zaczęła się przesuwać tarcza strzelnicza, która po chwili znieruchomiała i nieco się cofnęła. Zmianom obrazu towarzyszył niespokojny rytm uruchamianych silników. Obraz był bardzo wyraźny, a przybliżenie znakomite; tarcza na końcu wysięgnika miniarki 3 widziana gołym okiem z miejsca, w którym znajdowała się Dinah, była maciupeńka, ale system widzenia maszynowego znalazł ją bez trudu, rozpoznał i...

– Cel namierzony – oznajmiła Ivy. – Trójka, widzimy was.

– Dwójka, widzimy was – odparł Markus. – Operacja w toku.

Nastąpił dłuższy impuls silników rufowych i pojazd został pchnięty w przód na tyle wyraźnie, że Dinah poczuła, jak uprzęż napina się pod nią i uciska jej tyłek. Obraz trochę się rozjechał, tarcza na chwilę wypadła z kadru, ale chwilę później znów została namierzona. Miniarka nr 3 rosła w oczach. Liczby na ekranie wskazujące odległość pomiędzy pojazdami (czy raczej, ściśle rzecz biorąc, pomiędzy ich wyprostowanymi łapami) przybierały coraz niższe wartości.

– Wszystko zgodnie z planem – powiedziała Ivy.

Końcówkę jej wypowiedzi zagłuszył mechaniczny głos rozbrzmiewający w prymitywnym systemie nagłaśniającym:

– Operacja Bolas wkracza w ostatnią fazę. Przygotować się na przyśpieszenie. – Po czym, zgodnie z klasyką NASA, rozpoczęło się odliczanie: – Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. Inicjalizacja połączenia.

Przy „jeden” tarczę na ekranie zasłonił cień; znalazła się zbyt blisko, żeby kamera mogła zmieścić ją w kadrze. Łapy miniarek 2 i 3 zderzyły się jak dłonie biegaczy, którzy, biegnąc naprzeciw siebie, mijają się i przybijają piątkę. Dziwne, jęklive odgłosy przeniosły się po wysięgniku na kadłub.

– Połączenie – zabrzmiał ten sam głos.

Dinah w końcu zidentyfikowała jęklive odgłosy jako dźwięk rozwijanej ze szpuli liny. Poczowała szarpnięcie w żołądku, gdy arka wykonała połowę salta. Wiedziała (nie na darmo tygodniami ślęczała nad planowanym przebiegiem manewru), że miniarki zostały połączone liną. Po tym, jak minęły się w przelocie, lina napięła się i odwróciła je dziobami ku sobie – wystarczyło wyjrzeć przez okno, żeby to potwierdzić: dziób cofającej miniarki nr 3 oddalał się powoli, było też widać zamontowaną obok złącza cumowniczego wirującą szpulę z liną. Dokładnie w połowie odległości dzielącej miniarki lina została zespolona mechanizmem, który można było zdalnie odblokować, gdy statki postanowią się udać każdy w swoją stronę.

– Gratulacje, Bolas Jeden – odezwał się inżynier z Houston. – Dokonałiście pierwszego automatycznego połączenia statków kosmicznych w celu stworzenia układu obrotowego symulującego ziemskie ciążenie.

Ziemia przemknęła za rufą drugiej połówki Bolas Jeden; Dinah odczuła poruszenie w gardle, które za pięć minut miało osiągnąć kulminację w postaci fali mdłości. Miniarki już wirowały powoli wokół wspólnego środka masy, wytwarzając w ten sposób namiastkę grawitacji – skromną, mniejszą nawet od tej panującej na co dzień w Bananie, a przez to zupełnie niesatysfakcjonującą dla systemu MPA. Gdy tylko arki znalazły się dostatecznie daleko, żeby nie groziło im wzajemne uszkodzenie się, autopilot włączył silniki, co w połączeniu ze skutkami rozwijania się lin wywołało pewne niepokojące reakcje ucha wewnętrznego wszystkich pasażerów. Dźwięk szpul zmienił ton, gdy automatyczne hamulce spowolniły ich obroty, by uniknąć niepożądanego szarpnięcia na końcu liny... i zapadła cisza. Przerwało ją dopiero następne odpalenie silników, które nie tylko działały dłużej niż poprzednio, ale także zostały skierowane poprzecznie do ruchu miniarek, by zwiększyć prędkość obrotową bolas.

– Ożeż w mordę! – Tyle była w stanie wykrztusić Dinah przez pierwszą minutę albo dwie.

Pierwszy raz od ponad roku doświadczały z Ivy odpowiednika ziemskiego ciężenia.

Sądząc po odgłosach w słuchawkach, Markus, który zaledwie od kilku dni przebywał na orbicie, był zachwycony: wyglądało na to, że odpiął pasy, zszedł z leżanki i wspinał się po całym wnętrzu miniarki nr 3 jak po Daubenhornie.

Ivy i Dinah przez kilka minut nie były w stanie wykonać żadnego ruchu; Dinah całkiem poważnie rozważała możliwość, że właśnie umiera.

– Można zemdleć na leżąco? – spytała w końcu.

– Pozostańcie na stanowiskach – upomniał je głos z Houston, niewyraźny i odległy, jakby ktoś krzyczał przez megafon z odległości czterystu kilometrów. – Do dna miniarki macie daleko. Czekaliby was długi lot i bolesny upadek.

Długi lot.

Dinah zupełnie przestała myśleć o otoczeniu w kategoriach „góry” i „dołu”. Sama idea spadania kompletnie straciła dla niej sens; na orbicie człowiek zawsze spadał, tyle że nigdy z niczym się nie zderzał.

Zaryzykowała rzut oka „w dół”, na kratę przed maszynownią... i to był ten impuls, który kazał jej sięgnąć po torebkę na wymiociny.

Dzień 333

Doob już od jakiegoś czasu miał świadomość, że w roli ojca i męża bywa trudny do zniesienia, ale podczas ostatnich dziesięciu tygodni spędzanych na Ziemi zaczął się obawiać, że swoją żądzą biwakowania wystawia cierpliwość bliskich na nieludzko ciężką próbę.

Wcześniej jego wizja satysfakcjonującego kontaktu z naturą sprowadzała się do wyjścia na taras europejskiego hotelu, żeby tam ćmić cygaro i sączyć brandy. Obowiązki astronoma wymagały czasem podróży w odludne miejsca, takie jak szczyt Mauna Kea: sumiennie wychodził wtedy na dwór, gdzie przez kilka minut odmrażał sobie tyłek i komentował niewiarygodny widok i nieprzeciętną przejrzystość powietrza, po czym wracał do środka, siadał przy komputerze i gapił się na obrazy na monitorze. Nocowanie pod namiotem i rekreacja na świeżym powietrzu po prostu nigdy nie były częścią jego rodzinnej kultury, w której preferowało się raczej solidny dach nad głową, ogrzewane wnętrza, zamknięte na zamek drzwi i mnóstwo jedzenia piekącego się i smażącego w nowoczesnej, dobrze wyposażonej kuchni. Zawsze podziwiał swoich kolegów biologów i geofizyków, którzy potrafili błyskawicznie wyruszyć do nieznanymi egzotycznych miejsc, by tam wieść surowy żywot poszukiwaczy przygód – ograniczał się jednak do podziwiania ich na odległość.

Wypad z Henrym do Moses Lake obudził w nim (cokolwiek poniewczasie) zamiłowanie do biwakowania, zwłaszcza że została mu po nim masa nowoczesnego sprzętu, który aż się prosił, żeby go wykorzystać. Wizyta w Bhutanie też zrobiła swoje, tym bardziej że poprzedził ją długi lot nad Pacyfikiem i krótki pobyt na pokładzie lotniskowca – w środowisku ciasnym, tłoczonym i sztucznym, wcale nie tak odmiennym od tego, w jakim miał przeżyć resztę swoich dni. A potem nastąpiło cudowne kilka godzin, kiedy to wygramolił się ze śmigłowca, zachłysnął zimnym sosnowym powietrzem bhutańskich

wyżyn, udał na przejażdżkę królewskim land roverem, a na koniec wspiał się na omglone stoki góry jakby żywcem wziętej z okładki albumu muzycznego z lat siedemdziesiątych. Przy okazji pokusił się o małą introspekcję związaną z faktem, że zamiast po prostu cieszyć się tak pięknym miejscem, musiał się podeprzeć popkulturowym odniesieniem.

Parę godzin później był już z powrotem na lotniskowcu – w towarzystwie Dorjiego, Jigme i około setki innych arkonautów odebranych w podobny sposób z Myanmaru, Bangladeszu, Nepalu, różnych stanów Indii, Sri Lanki i wysp rozproszonych na Oceanie Indyjskim. Uderzający był kontrast między tym, jak naturalni i tubylczy byli bhutańscy młodzi ludzie w swojej ojczyźnie, gdy pierwszy raz zobaczył ich w górach, a tym, jak bardzo zagubieni wydali mu się na stalowoszarej zejściówce lotniskowca, wśród innych mieszkańców Azji Południowej, tak samo kolorowo odzianych, tak samo wyrwanych z korzeniami z rodzimej gleby i tak samo poszukujących miejsca, w którym mogliby bezpiecznie złożyć swoje bezcenne artefakty.

Wrócił do domu z przeświadczeniem, że sam również powinien nieco utyłać się w rodzimej glebie, zanim da się wystrzelić w miejsce, w którym będzie równie zagubiony i wyalienowany jak Dorji i Jigme na pokładzie *George'a H.W. Busha*. Pomysł nie wydawał mu się szczególnie kontrowersyjny, a jednak, kiedy przedstawił go Tavowi podczas pogawędki przy marynarskiej kawie w jednej z mes na lotniskowcu, Tav nie był zachwycony.

– Stanowczo za bardzo idealizujesz glebę – orzekł.

Lubił wcielać się w rolę adwokata diabła. Odbyli z Doobem wiele takich rozmów.

Doob wzruszył ramionami.

– Przypuśćmy, że masz rację – powiedział. – Co złego może mi się przydarzyć, jeśli faktycznie trochę ubrudzę się ziemią, dopóki mam do niej dostęp?

– Tężec?

– Nim zaczęli mnie wysyłać w takie miejsca, dopilnowali, żebym miał aktualne szczepienia.

– Doob, bądź poważny. To mnie nie przekonuje.

– Co dokładnie cię nie przekonuje? Myślisz, że co usiłuję ci wcisnąć?

– Ideę, że istnieje coś takiego jak łono natury, do którego człowiek przynależy. Nie przemawia do mnie hipoteza „ziemia jest dobra”.

– Przecież nie ulega wątpliwości, że ewoluowaliśmy na łonie natury. W pewnym sensie jesteśmy stworzeni do życia w takich właśnie pierwotnych warunkach.

– Sam to powiedziałeś: ewoluowaliśmy. Nie jesteśmy zwierzętami. Ewoluowaliśmy i przeobraziliśmy się w organizmy, które potrafią stworzyć coś takiego. – Szerokim gestem Tav ogarnął stalowe wnętrza lotniskowca. – I coś takiego. – Podniósł kubek z kawą i stuknął nim w kubek Dooba.

– I chcesz powiedzieć, że to właśnie jest dobre.

– W porównaniu z perspektywą rozszarpania przez hieny? Owszem, jak najbardziej: to jest dobre.

– Nie zamierzam dać się rozszarpać hienom. Chcę po prostu zabiwakować na łonie natury.

Tav odpowiedział uśmiechem, który wydawał się nieco wysiłony, jakby chciał powiedzieć: „Nie rozumiesz, co do ciebie mówię, prawda?”.

– Posłuchaj – powiedział na głos. – Znasz moje poglądy na digitalizację.

– Napisałem pochwalną notkę do twojej książki na ten temat.

– To prawda, dziękuję.

Chodziło o pomysł, że ludzki umysł można przetworzyć do postaci cyfrowej i zapisać na komputerze. Że pewnego dnia zjawisko to przybierze masową skalę. I że może nawet coś takiego już się zdarzyło – kto zaręczy, że wszyscy już nie żyjemy we wnętrzu cyfrowej symulacji?

Doobowi przyszło coś do głowy.

– Czy to dlatego zamęczałeś króla pytaniami o reinkarnację?

– Między innymi. Chodzi mi o to, że kiedy ktoś przemyśli tę sprawę tak dogłębnie jak ja, kiedy wyciągnie wnioski...

– Inaczej mówiąc, kiedy ktoś wypije Nektar Osobliwości?

– Właśnie. I ja wiem, że ty już go wypileś, Doob. Porzuciłeś próby zgrywania Miłośnika Natury. Ja nigdy takim miłośnikiem nie będę. Wierzę, że ludzki umysł jest niemal nieskończenie plastyczny i że ludzie w ciągu kilku dni lub tygodni przystosują się do życia na Arce w Chmurze. Po prostu wykształci się nowa cywilizacja, zupełnie inna od tej, w której się wychowaliśmy. Cała idea „natury” pójdzie w zapomnienie i za tysiąc lat miłośnicy „biwakowania” będą spali

w miniarkach, popijali oranżadę z proszku i sikali do butelek dokładnie tak samo, jak robili to ich przodkowie.

– I dla nich to będzie powrót do natury.

– Tak mi się właśnie wydaje, że tak to będziemy postrzegać.

Doob miał ochotę rzucić puentą słynnego dowcipu: „Jacy my, blada twarzy?”, ale ugryzł się w język.

W następnych tygodniach latał po całym świecie, dokonując – jak to ujął fotograf Mario – „uprowadzeń”, których ofiary dostarczał do obozów szkoleniowych dla arkonautów, gdzie miały spędzić swoje ostatnie dni na Ziemi na grze w skomplikowane symulacje komputerowe, by zapoznać się ze specyfiką mechaniki orbitalnej. Tavistock Prowse czasem mu towarzyszył, a kiedy tego nie robił, poruszał w mediach społecznościowych tematy, o których napomknął w rozmowie na lotniskowcu. Przeglądając jego posty, Doob za każdym razem był pod wrażeniem liczby ich czytelników. Tav zdobywał zwolenników i reputację poważnego myśliciela, specjalisty od zbliżającej się wielkimi krokami cywilizacji kosmicznej.

Kiedy Doob miał parę dni wolnych, zjawiał się znienacka w rejonie kraju zamieszkanym przez któreś z jego dzieci i próbował wyciągnąć je na biwak.

Henry zamieszkał w Moses Lake na stałe – w każdym razie, na ile było to możliwe w tym nowym świecie. Henry był najmłodszy. Hadley – córka Dooba, średnia w porządku starszeństwa – mieszkała w Berkeley; pracowała jako wolontariuszka dla pewnej organizacji z Oakland i miała mnóstwo wolnego czasu. Doob regularnie zabierał ją na całodniowe włości po Mount Tam lub dłuższe wypady w Sierra Nevada. Hesper, najstarsza, mieszkała w Waszyngtonie ze swoim facetem, wojskowym zatrudnionym w Pentagonie.

Ostatni Biwak odbył się na początku października. Doob miał przed sobą jeszcze kilka tygodni na Ziemi, wiedział jednak, że większość tego czasu wypełnią mu szkolenia albo opowiadanie o szkoleniach w telewizji. Może raz na jakiś czas uda mu się zawagarować i wyrwać na popołudniową włość, ale rzeczywistość była bezlitosna: kiedy znów wejdzie do śpiwora, zrobi to w stanie nieważkości, w przytulnej aluminiowej puszcze bez okien.

Być może Amelia instynktownie to wyczuła i pod wpływem nagłego

impulsu przyleciała do niego. W normalnych okolicznościach o tej porze roku prowadziłyby zajęcia w szkole, ale plany lekcji stały się ostatnio dosyć płynne. Trudno było podtrzymywać iluzję, że edukacja przyda się dzieciom, skoro nie dożyją czasów, w których mogłyby z niej skorzystać, ani nie przystąpią do testów, do których się przygotowywały. Amelia twierdziła, że doprowadziło to do swoistego renesansu pedagogiki: uwolnieni od przymusu wysokiego punktowania w testach i dostawiania się do jak najlepszych szkół uczniowie mogli wreszcie zdobywać wiedzę dla samej wiedzy, czyli tak, jak być powinno. Wyżyłowany program nauczania rozmył się, rozpląnął i został zastąpiony zajęciami planowanymi z dnia na dzień przez rodziców i nauczycieli, takimi jak wycieczki górskie, projekty artystyczne z motywem Arki w Chmurze, rozmowy z psychologami na temat śmierci albo czytanie ulubionych książek. W pewnym sensie nauczyciele nagle stali się potrzebni jak nigdy przedtem, bo też nigdy przedtem nie mieli okazji tak się wykazać – z drugiej jednak strony schemat edukacyjny na tyle się rozluźnił, że Amelia mogła wziąć dwa dni wolnego, złapać samolot do Waszyngtonu, zrobić niespodziankę Doobowi i razem z nim, Hesper i Enrique wyskoczyć w góry, by tam cieszyć się kolorami jesiennych liści.

Doob nigdy nie nawiązał prawdziwego porozumienia z Enrique – sierżantem armii amerykańskiej, pół Murzynem, pół Portorykańczykiem i stuprocentowym Amerykaninem z Bronxu. Kiedy jednak teraz siedział z Amelią na tyle wynajętej terenówki, gdzie otuleni kocem podziwiali górski krajobraz w precudnych barwach i czekali, aż zagrzeją się kiełbaski na grillu, nagle poczuł niezwykłą więź z niedoszłym zięciem.

Enrique chyba też wyczuł złagodnienie jego nastroju.

– Co wy tam będziecie budować? – spytał.

Sam fakt, że Doob nie odpowiedział pogardliwym prychnięciem, dowodził, jak bardzo się zmienił przez ostatni rok. Ani jeden mięsień nie drgnął mu na twarzy; tak przynajmniej sobie wmawiał. Spojrzał pytająco na siedzącą obok Amelię, oczekując wsparcia. Regularnie próbowała mu pomagać w takich chwilach.

To dla dzieci, mówiła. Nieważne, co sobie myślisz, Dubois. Nieważne, co czujesz. Nie chodzi o ciebie. Nie chodzi nawet o naukę. W tej chwili najważniejsza rzecz, to wyjaśnić dzieciakom w mojej klasie, z czego

dokładnie mają czerpać nadzieję. Tak że zamknij się i rób, co do ciebie należy.

To były ważne sprawy. Nie chodziło o maskowanie prawdziwych uczuć, bo jeśli ktoś naprawdę dobrze ukrywa to, co czuje, to takie ukrywanie go zmienia. Kilka miesięcy temu Doob, chcąc nie chcąc, zdradziłby się ze swoim cynizmem i Enrique mógłby to zauważyć. A jeszcze kilka miesięcy wcześniej mógłby się wdać w drobiazgowo wyjaśnienia przyczyn swojego cynizmu i uzmysłowić słuchaczom, że Arka w Chmurze to pośpiesznie zaimprovizowany eksperyment w dziedzinie przetrwania, który prawie na pewno skazany jest na niepowodzenie.

Tym razem nic takiego nie nastąpiło. Doob spojrzał na twarze Enrique i Hesper, rozjaśnione z jednej strony sinym światłem zmierzchu, z drugiej zaś ciepłą poświatą żarzących się węgli, i odpowiedział na pytanie – odpowiedział na nie w taki sposób, jakby stał przed kamerą nadającą przekaz na żywo w Internecie.

– Dostępne na orbicie zasoby surowców są praktycznie niewyczerpane. Stwierdzenie to było prawdziwe, zanim Księżyc rozleciał się na kawałki, teraz zaś, po tym, jak został rozpruty niczym *piñata*, wystarczy tylko odpowiednio go ukształtować. Narzucić mu żadaną architekturę, stworzyć zamknięte kapsuły mieszkalne, które będzie można wypełnić powietrzem i zapłodnić ziemskim dziedzictwem genetycznym. Nie stanie się to od razu, wcześniej czekają nas ciężkie czasy. Najpierw przyjdzie trudny emocjonalnie okres Kamiennego Deszczu i czas pożegnań ze wszystkim, co było. Później arkonauci będą musieli nauczyć się współpracować i dokonywać trudnych wyborów. Ludzkość stanie wkrótce przed największym wyzwaniem w całej swojej historii – i przetrwa. Korzystając z zasobów orbitalnych, zbudujemy inkubatory, w których Nasza Spuścizna odrodzi się, będzie wzrastać i stawać doskonalsza. W końcu nadejdzie taki dzień, kiedy wrócimy. Kamienny Deszcz nie będzie trwał wiecznie. Owszem, potrwa przez wiele pokoleń, równie długo, jak istnieje dotychczasowa cywilizacja, a pozostawi po sobie wyżarzoną kamienną pustynię. Tyle że przez ten czas równie wiele pokoleń poświęci swoje nadzieje i geniusz twórczy rozwiązaniu problemu odrodzenia świata w takiej samej lub nawet lepszej postaci niż ta, którą znamy. Wrócimy. I tak właśnie brzmi

prawdziwa odpowiedź, Enrique. Czy przetrwamy? Tak. Nie będzie lekko, ale przetrwamy. Czy będziemy budować osiedla na orbicie? Z pewnością: z początku małe, z czasem coraz większe. Nie taki jednak jest nasz prawdziwy cel, którego realizacja zajmie tysiące lat. Prawdziwym celem jest odbudowanie Ziemi. Odbudowanie jej lepszej, niż była przedtem.

Mówił o tym w taki sposób po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni. W następnych tygodniach – ostatnich tygodniach spędzonych na Ziemi – powtarzał te słowa przed kamerami, w rozmowie z panią prezydent, na stadionie pełnym przyszłych arkonautów. Na razie jednak wiedział tylko tyle, że Enrique kiwa głową, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko będzie dobrze, Doob trzyma rękę na pulsie”, a Hesper wtula głowę w jego szerokie ramię i z błyskiem w oku spogląda w przyszłość, którą jej ojciec przywołuje tymi słowami.

Za jej plecami meteoryt rozorał wieczorne niebo i eksplodował nad Atlantykiem.

Dzień 365

– Dzisiaj porozmawiamy o tym, co to właściwie znaczy mieć na orbicie rój miniarek – powiedział sławny astronom i telewizyjny ekspert naukowy Doc Dubois.

Unosił się w powietrzu pośrodku miniarki nr 2 przycumowanej w tej chwili do Izzy. Miał na sobie regularny skafander kosmiczny, tylko zdjęty hełm trzymał pod pachą. Mówił do jednej z wbudowanych w kadłub kamer wysokiej rozdzielczości i miał nadzieję, że gdzieś tam jakiś komputer nagrywa jego wystąpienie.

– Cięcie.

Zrobiło mu się trochę głupio: ponieważ ostatnio sam produkował i montował swoje filmy, wychodziło na to, że sam do siebie powiedział „cięcie”. W kosmosie nie było ekip filmowych, fotografów, asystentów produkcji ani wizażystów, którzy chodziliby za nim krok w krok – i właściwie mu to odpowiadało, jednakże przydałaby mu się choćby jedna istota ludzka, która mogłaby na bieżąco reagować na jego słowa. Przydałaby mu się Amelia, bez słowa kręcąca głową lub kiwająca nią z aprobatą.

Zamiast tego spróbował sobie wyobrazić, że jest słoneczny wtorkowy poranek, a on występuje w Pasadenie przed dziećmi z klasy Amelii.

Odtworzył swoją przemowę. Słowa „co to właściwie znaczy” brzmiały nieco sceptycznie, tak jakby wszystko, co wcześniej powiedziano na ten temat, było jedną wielką bzdurą. A dodawanie „na orbicie” było w gruncie rzeczy zbędne. Wszyscy wiedzieli, że znajdują się na orbicie.

– Dzisiaj porozmawiamy o tym, co to znaczy mieć rój miniarek – zaczął jeszcze raz. – W zwykłej przestrzeni, do jakiej przywykliśmy na Ziemi, na określenie miejsca, w którym coś się znajduje, używamy trzech parametrów: prawo-lewo, przód-tył i góra-dół. Czyli dobrze wam znanych z lekcji geometrii w szkole średniej współrzędnych x , y i z . Otóż okazuje się, że w kosmosie x , y i z nie wystarczą: tutaj potrzebujemy nie

trzech, lecz sześciu liczb, żeby jednoznacznie określić orbitę interesującego nas obiektu, na przykład miniarki. Trzy liczby określają jej położenie, trzy kolejno prędkość. Jeżeli dwa obiekty opisuje ta sama szóstka liczb, znajdują się dokładnie w tym samym miejscu. W tej chwili moje sześć liczb jest identyczne z sześcioma liczbami opisującymi położenie miniarki, w której się znajduję, dlatego razem przemierzamy kosmos. Gdyby jednak jedna lub więcej moich liczb uległo zmianie, dryfowałbym swobodnie w próżni.

Przyniósł ze sobą puszkę skompresowanego powietrza: użyteczne narzędzie dla elektronika chcącego zdmuchnąć kurz z elementu, nad którym pracuje. Wycelował ją teraz „w dół”, w stronę rufy arki, i nacisnął przycisk. Powietrze z sykiem trysnęło z puszki i Doob zaczął szybować w stronę drzwi frontowych; w porę wyciągnął rękę nad głowę, żeby wyhamować, zanim uderzył w ścianę, po czym odwrócił się i spojrział w obiektyw drugiej kamery.

Świetnie. To była już trzecia próba i zapas powietrza w puszcze powoli się wyczerpywał.

– Nie mogę podryfować zbyt daleko, hermetyczny kadłub ogranicza moje możliwości ruchu, możecie sobie jednak wyobrazić, że gdybym nie mógł się zatrzymać, gdybym, na przykład, wyszedł w otwartą przestrzeń, mógłbym zdryfować bardzo daleko od stacji. Mechanika orbitalna mówi nam, że żadne dwa obiekty na orbicie nie mogą być opisane tymi samymi sześcioma liczbami, z wyjątkiem takich przypadków szczególnych jak mój, kiedy to znajdowałem się pośrodku miniarki i nasze środki ciężkości się pokrywały. Każda miniarka, w ogóle każdy obiekt, który znajduje się obok Izzy – na jej sterburcie lub bakburcie, w zenicie lub w nadirze, przed jej dziobem lub za jej rufą – z definicji będzie opisany inną szóstką współrzędnych, bo krąży po innej orbicie. Dlatego będzie dryfował.

Przywołał z pamięci notatki do wykładu. W tym miejscu powinien bardziej rzeczowo odnieść się do natury tego dryfowania. Jeżeli obiekt znajduje się na wyższej orbicie, zacznie zostawać z tyłu; jeżeli krąży po niższej, wyprzedzi Izzy; jeżeli szybuje z boku, będzie na przemian przybliżał się do niej i od niej oddalał, a okres tego cyklu wyniesie dziewięćdziesiąt trzy minuty. Tylko gdy znajdzie się dokładnie przed stacją lub za jej rufą, będzie utrzymywał stałe położenie względem niej.

Doszedł jednak do wniosku, żeby temu zagadnieniu poświęcić osobny filmik, z większą ilością grafik i animacji. A tymczasem pora przejść do rzeczy.

– Jaki z tego wniosek? W kosmosie nie ma mowy o czymś takim jak formacja lotnicza. Fizyka sprawia, że każde dwa bliskie obiekty albo jeszcze bardziej zbliżają się do siebie, albo się oddalają. Chcąc utrzymać formację, na przykład taką jak nasz rój, mamy tylko dwa wyjścia: możemy albo fizycznie połączyć miniarki, żeby stały się *de facto* jednym obiektem, albo za pomocą silników manewrowych regularnie korygować ich kurs.

Było jeszcze trzecie rozwiązanie: ustawić miniarki w rzędzie, jedna za drugą, niczym wagoniki kosmicznego pociągu. Ponieważ jednak niezbyt przypominałoby to rój, Doob postanowił na razie nie poruszać tej kwestii. Natychmiast po opublikowaniu filmiku na YouTube rozjuszeni komentatorzy rzucają mu się do gardła, wytykając tę lukę w rozumowaniu i przypisując ją jego nieuczciwości, niekompetencji i/lub udziałowi w tajnym spisku.

Jego ostatnim zadaniem było nagranie komentarza, który będzie płynął zza kadru w scenach szkolenia młodych arkonautów, które będą wyświetlane w olbrzymich salach projekcyjnych, pobudowanych specjalnie w tym celu w takich miejscach, jak Houston czy Bajkonur.

– Nauczenie się tego nie jest specjalnie trudne; każdy gracz komputerowy w lot łapie te zasady. Zresztą zapytajcie tych oto młodych arkonautów sprowadzonych z całego świata, którzy na precyzyjnych symulatorach doskonalą umiejętność pilotażu. Oczywiście przez większość czasu miniarki będą sterowane autopilotem, gdyby jednak konieczne okazały się ludzka interwencja i przejęcie sterów, ci młodzi ludzie będą na to przygotowani.

Załatwiwszy i tę sprawę, połączył się przez tablet z bezprzewodową siecią miniarki i poprzemógł pliki wideo w taki sposób, żeby móc później zająć się ich obróbką. Widząc swoją podobiznę zamrożoną w miniaturkach pierwszych kadrów, zdziwił się, że ma taką krągłą twarz. Był to typowy skutek działania nieważkości, zdradzający nowicjusza na orbicie, którego ciało nie nauczyło się jeszcze dystrybuować płynów ustrojowych w nowych warunkach. Przebywał w kosmosie od sześciu dni. W tej chwili był dzień A+0.1 – upłynął

dokładnie rok od tamtego dnia, gdy z Athenaeum obserwował rozpad Księżyca.

Miniarka nr 2, wycofana z użytku po wyprodukowaniu nowszych modeli, cumowała na samym końcu rury transportowej na bakburcie wielkiej kratownicy i prędeż czy później miała zapewne zostać wykorzystana jako zapasowy magazyn lub dodatkowa sypialnia. Doob przepchnął się przez jej złącze cumownicze i zaczął przeciskać przez rurę. Wiedział – z doświadczenia nabytego w drodze do miniarki 2 – że zajmie mu to dłuższą chwilę. W rurze ledwie mieścił się zwinny człowiek w poliestrowym kombinezonie, jakie na co dzień noszono na stacji; duży mężczyzna w obszernym skafandrze kosmicznym był skazany na nieustanne obijanie się i ocieranie o ściany – a mimo to łatwiej było przemieszczać się w ten sposób niż wlec pusty skafander za sobą lub popychać go przed sobą, jak morderca, który w nieważkości próbuje pozbyć się zwłok ofiary.

Po paru minutach dotarł do skrzyżowania na centralnej osi Izzy, gdzie było odrobinę więcej miejsca, i zaczął ściągać skafander. Nie był to pełnowymiarowy ubiór do pracy w próżni, z zamkniętym w plecaku systemem podtrzymywania życia, bo ten nijak nie zmieściłby się w rurze transportowej, tylko zwykły skafander lotniczy z hełmem używany przez pilotów odrzutowców latających na wysokim pułapie; ten egzemplarz był nieszczelny, nadawał się tylko do roli kostiumu. Wyplątanie się z niego przerodziło się w coś na kształt pojedynku zapaśniczego, z mnóstwem przekleństw, fruwania w powietrzu i zderzania się ze ścianami.

W pewnym momencie Doob poczuł mocne szarpnięcie za kołnierz, które obciągnęło kombinezon poniżej jego barków i umożliwiło mu uwolnienie rąk.

– Dzięki – powiedział i obejrzał się przez ramię.

Zobaczył znajomą twarz i pytające spojrzenie.

– Nie jesteś trochę za niski na szturmowca?

– Moira?!

Chwycił wbudowany w ścianę uchwyt i odwrócił się, żeby lepiej się przyjrzeć. Podczas zawodów zapaśniczych okulary przekrzywiły mu się na nosie, więc teraz je poprawił. Tak, to była ona, bez dwóch zdań. Chociaż też miała księżycowo opuchniętą twarz.

Ostatni raz widział doktor Moirę Crewe na skraju Jeziora Kraterowego przy okazji prezydenckiego orędzia. Występowała tam w roli asystentki swojego mistrza, Clarence'a Croucha, nieszczęsnego genetyka-noblisty, któremu przypadło w udziale przedstawienie świata idei Rozdzielenia Losów. Od tamtej pory Clarence zdążył umrzeć na raka w swoim domu w Cambridge, wśród próbek biologicznych i pamiątek naukowych, które nie stawiają długiego oporu Kamiennemu Deszczowi. Z całą pewnością ta śmierć była dla niego wybawieniem.

Po tamtym spotkaniu Doob stracił Moirę z oczu, mimo że ze wszystkich mieszkańców Ziemi była jedną z najlepszych i najbardziej oczywistych kandydatek do zamieszkania na Arce w Chmurze. Jej przodkowie wywodzili się z Indii Zachodnich, a ona sama nosiła długie na palec dreedy, które znakomicie sprawdzały się w stanie nieważkości – a z pewnością o wiele lepiej niż włosy białego człowieka. Księżycowa opuchlizna dodawała jej kilka lat, Doob wiedział jednak, że Moira dopiero dobiega trzydziestki. Dorastała w szemranej londyńskiej dzielnicy, ale potem dostała stypendium i poszła do dobrej szkoły; w późniejszym okresie trafiła do Oksfordu, gdzie skończyła biologię, i wyjechała do Harvardu, żeby wziąć udział w projekcie odtwarzania wymarłych gatunków. Jej wrodzona charyzma i uroczy dla Amerykanów akcent sprawiły, że stała się najbardziej znaną rzeczniczką tego projektu. W nagrywanych na potrzeby konferencji TED wykładach i innych wystąpieniach publicznych opisywała podejmowane w jej laboratorium wysiłki zmierzające do wskrzeszenia mamuta włochatego. Po krótkim wypadzie na Syberię, gdzie pracowała dla rosyjskiego nafiarcza miliardera, który za pieniądze z ropy zamierzał stworzyć rezerwat dla dawno wymarłej megafauny, wróciła do Wielkiej Brytanii i – już z doktoratem w garści – podjęła współpracę z Clarence'em.

Nie pierwszy raz Doob był miło zaskoczony nieoczekiwanym spotkaniem z kolegą po fachu, który bez jego wiedzy został przysłany na Izzy – i zawsze wywoływało to pewne krępujące z punktu widzenia etykiety sytuacje. Odczuwał naturalną pokusę, żeby okazać radość ze spotkania poprzez serdeczne wyściskanie przyjaciela lub przyjaciółki; gdyby do takiego spotkania doszło w Cambridge lub na ulicy w Nowym Jorku, byłaby to najnaturalniejsza reakcja pod słońcem. Kłopot w tym, że żadne z nich nie przybyło na orbitę, żeby świętować – a Moira

w dodatku zawsze miała w sobie coś z sowy, jakby naturalną skłonność do trzymania ludzi na dystans.

Zresztą ściskanie się w nieważkości wcale nie jest takie proste. Najpierw trzeba jakoś się do siebie zbliżyć.

Doob rozpostarł szeroko ramiona.

– Ściskam – powiedział.

Powtórzyła jego gest.

– Tak to się tutaj robi? – spytała.

– Zdarza się – przytaknął. – Moira, PAO, miło cię tu widzieć.

Skrót PAO (od „Pomijając Aktualne Okoliczności”) robił w ostatnim czasie furorę na Facebooku, Twitterze i w innych mediach.

– Słyszałam, że tu jesteś, ale jakoś nie do końca to do mnie docierało. Byłam bardzo zajęta.

– Wyobrażam sobie. Kiedy ja naganiałem mieszkańców Arce w Chmurze, ty pewnie uprawiałaś prawdziwą naukę, co?

– Należałoby chyba powiedzieć, że zajmowałam się przygotowaniem do jej uprawiania. – Duże piwne oczy Moiry za szkłem dziwacznych, choć stylowych okularów, uciekły w bok. – Tam jest ta część, którą nazywają „dziobem”?

– Tak.

– Pracuję na samym czubku; chcieli, żeby moje laboratorium było chronione przez tę wielgachną skałę.

– Amaltheę.

– Właśnie. Pójdziemy tam? Mogłabym ci pokazać, czym się zajmuję. Właściwie to czuję, że powinnam ci także zaproponować herbatę, ale nie mam pojęcia, jak ją tutaj zaparzyć.

Doob uśmiechnął, słysząc jej głos. W Oksfordzie była maniaczką teatru, mogła nawet zostać aktorką. Doskonale zdawała sobie sprawę, że inaczej mówiło się w jej rodzinnej londyńskiej dzielnicy, a zupełnie inaczej w szkole i w Oksfordzie, i nauczyła się bezbłędnie przeskakiwać pomiędzy tymi akcentami dla osiągnięcia zamierzonego efektu.

– Chętnie zerknę – odparł Doob. – Zwłaszcza że chyba wiem, który moduł masz na myśli. Parę dni temu widziałem, jak cumuje do stacji, i byłem ciekaw, co to takiego.

* * *

Pusty skafander – podczepiony przez Dooba do uchwytu w ścianie – zawisł nieruchomo, jak niemy obserwator, kiedy Moira oprowadzała gościa po swojej pracowni. Doob, który nigdy nie był przyrodnikiem z zamiłowania, nie rozumiał wszystkiego, co do niego mówiła, ale niezbyt się tym przejmował. Możliwość odprężenia się i posłuchania, jak ktoś inny wyklada mu istotę naukowych problemów, była miłą odmianą od codzienności.

– Słyszałeś o tchórzach czarnołapych? – spytała Moira.

– Nie. Możesz chyba bezpiecznie założyć, że wszystkie moje odpowiedzi na pytania z zakresu biologii i genetyki będą negatywne.

– Ich dieta składała się w dziewięćdziesięciu procentach z piasków prerioowych. Kiedy farmerzy wybili pieski niemal do nogi, liczebność tchórzy spadła tak bardzo, że zostało ich dosłownie siedem sztuk. Trzeba było odtworzyć całą populację, bazując na tych siedmiu osobnikach.

– Siedem sztuk... To ogromne ryzyko chowu wsobnego, prawda?

– My używamy pojęcia heterozygotyczności: oznacza to stopień zróżnicowania genetycznego w obrębie gatunku. Z zasady heterozygotyczność jest dobra; dopiero kiedy zaczyna jej brakować, pojawiają się problemy kojarzone zwykle z chowem wsobnym.

– Ale kiedy cała populacja liczy zaledwie siedem osobników... to jest to taki właśnie problem, prawda?

– Niezupełnie... To znaczy teoretycznie tak, jak najbardziej. Można jednak zwiększyć heterozygotyczność w sposób sztuczny, odpowiednio manipulując genami. Przy okazji można wyeliminować pewne wady genetyczne, które skaziłyby całą przyszłą populację.

– Tak czy inaczej, cała ta sprawa żywotnie nas dzisiaj interesuje – podsumował Doob.

– Jeżeli populacja Arki w Chmurze rzeczywiście będzie tak liczna, jak się o tym mówi, i jeżeli jej członkowie będą przywozić na orbitę zamrożone próbki nasienia, jajeczka, embriony i tak dalej, to przyszłość ludzkości najprawdopodobniej nie będzie zagrożona. Naszą populację będzie cechowała dostatecznie wysoka heterozygotyczność. Dlatego ja mam się tutaj skoncentrować na organizmach innych niż ludzkie.

– Czyli...

– Na pewno słyszałeś, że będziemy uprawiać glony mające nam dostarczać tlen. Staną się załączkiem prościutkiego ekosystemu, który

z biegiem lat będzie się rozwijał, rozrastał i coraz bardziej komplikował. Wiele tworzących go roślin i mikroorganizmów zostanie wyhodowanych z bardzo ograniczonych populacji pierwotnych. Kiedy w grę wchodzi rośliny decydujące o tym, czy mamy czym oddychać, dobrze byłoby uniknąć takiej niespodzianki, jaką Irlandczykom sprawiła zaraza ziemniaczana.

– I twoim zadaniem będzie zrobienie z glonami tego samego, co zrobiono z tchórzem czarnołapym.

– Po części tak.

– Tylko po części?

– Mam również pełnić rolę kogoś w rodzaju wiktoriańskiego kuratora muzealnego. Byłeś kiedyś u Clarence’a w domu, w Cambridge?

– Niestety nie. Słyszałem, że miał wspaniałą kolekcję.

– Mnóstwo wypchanych ptaków, owadów na szpilkach i myśliwskich trofeów, jakie uwielbiali kolekcjonować wiktoriańscy dżentelmeni w korkowych hełmach, którzy na krańcach Imperium wnosili swój wkład w rozwój nauk przyrodniczych. Nie byli naukowcami w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, ale w ten sposób wspierali szlachetne idee naukowe. Muzea były dosłownie zavalone takimi skarbami i Clarence odkupował je od nich całymi ciężarówkami, zwłaszcza po tym, jak Edwina umarła i nie mogła się temu dłużej sprzeciwiać. Tak czy inaczej, przejęłam poniekąd jego rolę. Różnica jest tylko taka, że wszystkie próbki mają postać cyfrową i są przechowywane na takich nośnikach. – Moira złapała w dwa palce pendrive zawieszony na łańcuszku na szyi. – Albo na ich bardziej pancernych odpowiednikach odpornych na promieniowanie kosmiczne. – Ten ostatni termin wypowiedziała z ironią i powątpiewaniem, jakby sugerowała, że ona i Międzynarodowa Stacja Kosmiczna potrzebują nieco czasu, żeby przywyknąć do siebie nawzajem. – Wiesz, jak to z grubsza wygląda; sama widziałam na YouTube, jak o tym mówisz. – Mówiąc dalej, całkiem nieźle naśladowała akcent Dooba i jego charakterystyczne spłaszczone środkowo-zachodnie samogłoski: – „Nie możemy wysłać na Arkę w Chmurze wielorybów i sekwoi; zresztą nawet gdybyśmy mogli, nie zdołalibyśmy utrzymać ich tam przy życiu. Możemy jednak przesłać na orbitę ich DNA zakodowane pod postacią ciągu zer i jedynek”.

- Przez ciebie stracę pracę – wytknął jej Doob.
- To dobrze, znajdę ci wtedy zajęcie tutaj. Mam huk roboty i stanowczo za mało pomocników.
- Myślałem, że to wszystko jest zautomatyzowane.
- Gdyby Agent poczekał jeszcze ze dwadzieścia lat z rozbiciem Księżyca, może udoskonalilibyśmy technikę syntezy genetycznej na tyle, żeby faktycznie ją zautomatyzować. Na razie przyłapał nas jednak w nieporadnym wieku młodzieńczym. Owszem, możemy wziąć jeden z tych plików – Moira postukała w zawieszony na szyi pendrive – i odtworzyć z niego DNA na podstawie kilku prostych prekursorów chemicznych. Tyle że wymaga to stałego nadzoru ze strony człowieka.
- I to, domyślam się, nadzoru dość wyrafinowanego.
- Mój pochodzący z Jamajki dziadek pracował w maszynowni okrętu wojennego. W ten właśnie sposób moja rodzina trafiła do Anglii, nawiasem mówiąc. Kiedy byłam mała, oprowadził mnie po jednym z takich okrętów. Zeszliśmy do maszynowni i tam go zobaczyłam: silnik. Goły, całkiem odsłonięty, ze wszystkimi częściami na wierzchu. Był dosłownie obleziony przez ludzi z oliwiarkami, którzy ręcznie smarowali wszystkie łożyska, przekładnie i tym podobne. I mniej więcej na takim właśnie etapie jesteśmy dzisiaj w dziedzinie syntezy genomów.
- Ale synteza genomów to odległa przyszłość, prawda?
- Tak. Chwała Bogu.
- Na razie pracujesz z całymi złożonymi organizmami.
- Zgadza się. To trudne, ale możliwe do ogarnięcia.
- Moira rozejrzała się dookoła. Moduł, w którym się znajdowali, w niczym nie przypominał laboratorium. Wszystko było pozamykane w plastikowych lub aluminiowych pudłach, szczelnie oblepionych taśmą, z opisami na żółtych samoprzylepnych karteczkach.
- Przepraszam... – mruknęła. – Niezbyt to wszystko imponujące. Nie warto było tu przychodzić, co?
- W czym mogę ci pomóc?
- Załatw mi, kurwa, grawitację! – odparła Moira i parsknęła śmiechem. – Wyobrażasz sobie manipulowanie płynami w nieważkości? Bo o to właśnie chodzi w laboratorium.
- Musisz być okropnie sfrustrowana: wszystko w pudłach, zero ciężenia, nic nie działa...

– Wiem, wiem, marudzę. W przyszłości ten moduł też wejdzie w skład jakiegoś bolas, prawda?

– Albo laboratorium przeniesie się do trzeciego torusa, największego: dużo miejsca do pracy, ciążenie zbliżone do ziemskiego, mnóstwo arkonautów chętnych do pomocy.

– To teraz twoja działka, prawda? Robienie dobrego PR Arce w Chmurze?

– To był mój bilet na orbitę. – Doob poczuł, że się rumieni, i przestrzegł się w duchu, żeby nie powiedzieć czegoś, czego później mógłby żałować. – Każdy z nas potrzebował takiego biletu. A skoro już zapłaciliśmy za wstęp, musimy się teraz postarać, żeby była z tego jakaś korzyść.

Moira chyba wyczuła, że posunęła się odrobinę za daleko, bo nie chciała mu spojrzeć w oczy. Milczała.

– Mamy na to jeszcze rok – dodał Doob.

Część druga

Dzień 700

W dniu 700. (bądź też, według oficjalnej rachuby, A+1.335, czyli jeden rok i trzysta trzydzieści pięć dni od zniszczenia Księżyca) widziana z Ziemi Arka w Chmurze przypominała skrzący się paciorek nanizany na srebrny łańcuszek. Z powodów, które doktor Dubois Jerome Xavier Harris próbował wyłuszczyć w swoim wystąpieniu na pokładzie miniarki nr 2 w dniu A+1.0, utrzymanie chmury czy roju miniarek wokół Izzy wymagałoby ogromnych ilości paliwa. Znacznie tańszym i pewniejszym sposobem na zatrzymanie ich w pobliżu było umieszczenie ich na tej samej orbicie, tyle że nieco przed lub nieco za stacją kosmiczną, niczym stado kaczątek z kaczą mamą w samym środku. Kiedy już miniarka znalazła swoje miejsce w tym orbitalnym pociągu, zmiana jej pozycji wymagała manewru, którego stopień złożoności stanowił źródło nieustającej konsternacji i zadziwienia dla wszystkich nowych „zwykłych mieszkańców”.

Arkonauci – ludzie, którzy przeszli procedurę Rozdzielenia Losów i blisko dwuletnie przeszkolenie, a następnie zostali wysłani w kosmos specjalnie po to, by zamieszkać w miniarkach i nimi kierować – doskonale rozumieli ten problem. W dniu 700 na orbicie przebywało tysiąc dwustu siedemdziesięciu sześciu arkonautów; w ostatniej fali startów codziennie przybywało ich około dwóch tuzinów. Nowo przybyłym przydzielano puste miniarki czekające na nich na początku lub na końcu pociągu. Nowe arki przybywały mniej więcej cztery razy dziennie, wynoszone w kosmos przez potężne rakiety nośne. Ponieważ nowa miniarka składała się głównie z pustej przestrzeni, na orbitę przybywała wypchana po brzegi witaminami, które należało wyładować i zmagazynować, zanim będzie można ją oddać nowym użytkownikom. Każda miniarka miała własny list przewozowy. Niektóre przewoziły po prostu sprężony gaz, na przykład azot, który miał być później zużyty do nawożenia upraw; inne były wyładowane tak różnorodną masą

towarów, że można by dzięki nim otworzyć orbitalny bazar: lekarstwa, wytwory kultury materialnej, mikroelementy, narzędzia, układy scalone, części zapasowe do silników Stirlinga, rzeczy osobiste arkonautów, a raz trafił się nawet pasażer na gapę, który jednak nie przeżył lotu. Nie licząc pasażera na gapę, który trafił do kostnicy wraz z resztą zmarłych, wszystkie te dobra należało powyjmować, skatalogować i odpowiednio zmagazynować. Każda miniarka miała własny magazyn, toteż system przechowywania zapasów był poniekąd systemem rozproszonym – takie zresztą było podstawowe założenie architektury roju. Surowce sprowadzone w ilościach hurtowych, zwłaszcza gazy, przepompowywano do zewnętrznych bębni i zbiorników: te mniejsze podwieszano następnie do miniarek, większe zaś rozmieszczano wokół Izzy, żeby zapewniały dodatkową ochronę przed promieniowaniem i mikrometeoritami. Wszelką suchą masę pakowano do siatkowych worków i trzymano na zewnątrz, w próżni, do czasu, aż były potrzebne. Ograniczoną i zatłoczoną przestrzeń wewnątrz pojazdów rezerwowano dla organizmów i towarów, które nie przetrwałyby bez ciepła i powietrza. Dlatego też w porównaniu z sytuacją sprzed roku Izzy była w środku czysta i pusta.

Wszystkich tych, którzy przebywali na stacji, mimo że nie zostali wybrani w Rozdzieleniu Losów i wyszkoleni na arkonautów, nazywano „zwykłymi mieszkańcami” lub, potocznie, „zwymieszami”. Było ich siedemdziesięcioro dwoje i liczba ta rosła bardzo wolno, ponieważ wszyscy ludzie posiadający odpowiednie kwalifikacje i niezbędni na pokładzie Izzy dawno już powinni byli znaleźć się na orbicie. Próby powiększania tego grona wywoływały na Ziemi poważne kontrowersje polityczne. Porozumienie znad Jeziora Kraterowego zatwierdziło nakreślony w ogólnych zarysach plan stworzenia Arki w Chmurze i zaludnienia jej wybranymi pochodzącymi z Rozdzielenia Losów. Nikt nie podawał w wątpliwość faktu, że potrzebni będą także doświadczeni astronauta-specjaliści, toteż loty Skautów i Pionierów nie budziły najmniejszych sprzeciwów. W tym właśnie celu przewidziano w treści Porozumienia potrzebę istnienia zwykłych mieszkańców; ludzie tacy jak Rhys Aitken, Luisa Soter, Dubois Harris, Moira Crewe i Markus Leuker ze względu na swoje wyjątkowe umiejętności trafili na ISS właśnie jako zwymieszę. Jednakże na każde z nich przypadała setka podobnie

wykwalfikowanych osobników, którzy utknęli na Ziemi i zaczęli wydzwaniać do swoich kongresmanów, kanclerzy, prezydentów i dyktatorów. Natężenie intryg politycznych doprowadziło do tego, że strumyczek zwymieszów niemal wysechł. Rządy strzegły miejsc w puli zwymieszów jak najcenniejszego skarbu; procedury ich obsadzania były wręcz nieziemsko skomplikowane.

Zarówno arkonauci, jak i zwymieszowie mieli skłonność do lekceważenia „odległości” dzielącej Izzy od miniarki znajdującej się na tej samej orbicie, zaledwie kilka kilometrów z przodu lub z tyłu.

Problem z przemieszczaniem się pomiędzy miniarkami można było ograniczyć poprzez ich fizyczne przymocowanie do wspólnej nadrzędnej konstrukcji i tym sposobem wymuszenie lotu w ustalonej formacji. Tak w każdym razie mógłby pomyśleć ktoś słabo obeznany z prawidłami mechaniki orbitalnej. Fakty jednak wyglądały inaczej: arka przycumowana do kratownicy daleko w bok od Izzy wcale nie znajdowała się na właściwej orbicie. Gdyby zostawić ją samą sobie – czyli wyzwolić od narzuconych przez kratownicę więzów i wywieranych przez nią sił – zbliżyłaby się do Izzy, przecięła jej orbitę, oddaliła się, zawróciła, znów zbliżyła i tak bez końca, wszystko w tym samym dziewięćdziesięciotrzynastominutowym cyklu, w którym Izzy obiegała Ziemię. Miniarka zamontowana „ponad” ISS, w zenicie, chciałaby „zwolnić” i zostać z tyłu; taka umieszczona „poniżej” stacji, w nadirze, miałaby z kolei skłonność do przyśpieszania. Powstrzymująca wszystkie takie tendencje kratownica – której podstawowym zadaniem było utrzymanie ustalonej konfiguracji modułów i miniarek – podlegałaby naprężeniom, ponieważ musiałyby oddziaływać siłą na elementy stacji, żeby te nie wałęsały się samopas. Pasażerowie podróżujący we wnętrzu tych wszystkich kapsuł szybowaliby w powietrzu i zderzali się ze ścianami, gdy struktura Izzy wchodziłaby w paradę ich naturalnym trajektoriom zaordynowanym przez sir Isaaca Newtona. Im bardziej rozrastałaby się stacja i im więcej dołączano by do niej nowych modułów i arek, tym większe siły by na nią działały i tym większe stawałoby się ryzyko jej uszkodzenia.

Był zresztą jeszcze inny, nawet ważniejszy, powód, dla którego należało ograniczyć rozrastanie się Izzy: stacja miała się chronić w cieniu Amalthei.

Pierwotną orbitę dla Międzynarodowej Stacji Kosmicznej wybrano nadzwyczaj starannie: gdyby ISS krążyła nieco niżej, gęstsze powietrze powodowałoby zbyt szybką dekompozycję orbity; gdyby zaś wystawić ją trochę wyżej, wzrosłoby zagrożenie uderzeniami mikrometeorytów. Śmigające w przestrzeni kamienie były tak samo jak Izzy narażone na zniekształcenia orbity – i bardzo dobrze, ponieważ dzięki temu stopniowo zagłębiały się w atmosferę i w niej spalały, a przed stacją zostawał czysty szlak w kosmosie. Wysokość jej orbity – czterysta kilometrów nad Ziemią – stanowiła złoty środek pomiędzy „zbyt dużymi oporami ruchu powodującymi dekompozycję orbity Izzy” i „dostatecznymi oporami ruchu, żeby zmieść niebezpieczne kamienie z nieba”.

Przyczepienie do niej Amalthei dodatkowo poprawiło sytuację. Dzięki wysokiemu współczynnikowi balistycznemu asteroidy dekompozycja orbity przestała spędzać astronautom sen z powiek, a masywny żelazonikłowy zderzak skutecznie odbijał mikrometeority.

Kłopot w tym, że Białe Niebo miało rzucić naprzeciw stacji znacznie więcej kamieni. Te większe można było zawczasu wykryć i uniknąć zderzenia z nimi, ale małe również mogły wyrządzić poważne szkody – dlatego najważniejsze podzespoły Izzy należało ukryć w cieniu Amalthei, jak najbliżej jej tylnej powierzchni. Oczywiście część pocisków miała nadlatywać także z innych kierunków, ale większość powinna trafiać w przód asteroidy.

Amalthea nie była jednak w stanie chronić elementów Izzy wystających poza jej obrys. Dinah wraz z resztą ekipy Arjuna Expeditions poczyniła pewne postępy w dziedzinie „powiększania” asteroidy poprzez wycinanie z niej płatów metalu i stawianie ich na sztorc niczym klapy na skrzydle samolotu; Amalthea zwiększała w ten sposób swój obrys, ale nie mogła go zwiększać w nieskończoność. W którymś momencie trzeba było zresztą uznać, że powiększanie dobiegło końca, i ustalić ostateczny kształt powłoki, a co za tym idzie – także ostateczny kształt Izzy. Nastąpiło to w dniu A+1.233. Od tamtej pory zdołali upchnąć pod powłoką jeszcze więcej modułów, a kiedy zabrakło na nie miejsca, znaleźli sposób, żeby we wszystkie wolne przestrzenie powciskać worki i balony z zapasami. Jeszcze później podoczepiali tam dodatkowe magazyny, już pozbawione osłony

Amalthei, w końcu jednak proces wzrostu musiał się zakończyć. Doczepiony do asteroidy „ogon” nie mógł być za długi, bo ona sama w roli tarczy miała ograniczoną skuteczność: meteoryty mogły oblecieć ją z boku i mimo to uderzyć w zabudowania stacji, ponieważ ich trajektorie nie były idealnie równoległe. Zresztą musiało się jeszcze znaleźć miejsce na silniki manewrowe, a w porównaniu ze strumieniem gazów z silnika raketowego ogień piekielny przypominałby miły letni zefirek.

Amalthea została w całości opleciona rusztowaniem mocowanym do niej za pomocą kotw, które roboty Dinah przyspawały lub przyśrubowały do żelazonikłowej powierzchni. Z tej kratownicowej chmury ku przodowi sterczała trąba, na której zamontowano skupisko anten radarowych i komunikacyjnych. Dalej, z przodu (w odległości około kilometra, żeby strumienie gazów z silników manewrowych nie uszkodziły anten na czubku trąby), znajdowały się najbliższe miniarki: skupisko liczące siedem sztuk przycumowanych do sześciokątnego szkieletu. Przed nim, w podobnych odstępach, poruszały się kolejne heptady, bo tak właśnie nazywano zlepki siedmiu arek. Ich sznur w pewnej odległości od Izzy przechodził najpierw w łańcuszek triad (trzy miniarki na trójkątnym stelażu), a jeszcze dalej w rząd pojedynczych pojazdów.

Podobnie kurczył się ciąg arek za rufą stacji, z tą tylko różnicą, że tam odległość do pierwszej heptady była większa niż na dziobie, a to ze względu na zasięg płomieni silników Izzy. Heptady i triady nieco przypominały klocki Lego albo Tinkertoys. Sześć- i trójkątne stelaże umożliwiały łączenie arek w większe struktury. Wplecione w kratownice stelaży rury transportowe pozwalały przenosić ludzi i materiały pomiędzy arkami. Adaptery umożliwiające zespolenie dwóch miniarek dziób w dziób również były dostępne, okazały się jednak mniej użyteczne od modułów do tworzenia triad i heptad.

Blżej końca rozciągniętego na orbicie sznura modułów coraz częściej widywało się bolas. Połączone w pary miniarki, wirujące wokół wspólnego środka masy (gdzie znajdowały się łączące je łapy), podążały po orbicie w ślad za Izzy i innymi modułami. Na razie jednak bolas tworzono niemal wyłącznie w celach szkoleniowych. Do Białego Nieba zostało już tylko około trzech tygodni; tak krótki okres arkonaucci mogli

przetrwać nawet bez sztucznegociążenia. Procedury tworzenia bolas i uzyskiwania symulowanej grawitacji przewidziano do użytku w dalszej perspektywie, kiedy ludzie całe życie będą spędzali w miniarkach iciążenie stanie się niezbędne do prawidłowego rozwoju i konserwacji kości, oczu i innych organów źle znoszących długotrwałą nieważkość.

Pełny cykl dobowy na Arce w Chmurze trwał dziewięćdziesiąt trzy minuty. W przestrzeni kosmicznej czas stawał się wielkością arbitralną, toteż na ISS od dawna już obowiązywał czas Greenwich, znany również jako UTC, będący rozsądnym kompromisem pomiędzy Houston a Bajkonurem. Arka w Chmurze odziedziczyła ten sam system i dzień siedemsetny rozpoczął się o północy w Królewskim Obserwatorium w Greenwich, albo w chwili A+1.335.0 czasu lokalnego. Mniej więcej jedna trzecia mieszkańców Arki obudziła się i rozpoczęła szesnastogodzinną zmianę roboczą. Inni mieli obudzić się o godzinie A+1.335.8, (albo A+1.335 kropka osiem), a kolejni – A+1.335 kropka szesnaście. Taki podział gwarantował, że w każdej chwili około dwóch trzecich populacji było na nogach. Człowiek, który nie śpi, potrzebuje więcej tlenu i generuje więcej ciepła od człowieka śpiącego, dlatego w systemie zmianowym układ podtrzymywania życia był mniej obciążony, a Arka w Chmurze mogła obsłużyć więcej ludzi, niż gdyby wszyscy wstawali i budzili się jednocześnie. Triady stały się popularne właśnie dlatego, że każda z tworzących je miniarek mogła się znajdować w innej fazie systemu zmianowego i przestrzegać własnego, sztucznie narzuconego cyklu dobowego. Podobny schemat sprawdzał się także w heptadach: zawsze dwie z sześciu miniarek na obwodzie sześciokątnego stelażu spały, a siódma, umieszczona w środku, była stale aktywna.

Szefostwo przystało na prośbę Dooba o przydział do trzeciej zmiany, dzięki czemu funkcjonował praktycznie w tej samej strefie czasowej co Amelia, Henry i Hadley na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Obudził się o godzinie kropka szesnaście poprzedniego dnia, czyli czwartej po południu w Londynie albo ósmej rano w Pasadenie. Z wybiciem godziny A+1.335.0, kiedy to rozpoczynała się pierwsza tego dnia zmiana, był na nogach od ośmiu godzin i miał ochotę na krótką drzemkę. Wiedział jednak, że wtedy trudniej będzie mu zasnąć o godzinie kropka osiem, postanowił więc – jak zwykle –

przecierpieć trudną chwilę.

Ponieważ jego mózg był zbyt zmulony, żeby ogarnąć najświeższe szacunki Caltechu opisujące postępujący wykładniczo rozpad Księżyca, udał się do „siłowni”, czyli modułu, w którym ustawiono kilka bieżni treningowych. Aby użytkownicy nie odbijali się od nich i nie fruwali po całym wnętrzu w stanie nieważkości, bieżnie zostały zaopatrzone w pasy biodrowe i przytrzymujące je elastyczne linki, które ściągały biegacza „w dół”, przyciskały go do bieżni i zmuszały jego nogi do prawdziwego wysiłku. Podobno dobrze to robiło na mięśnie i kości. Amelia stale pytała w e-mailach, czy Doob już tego dnia ćwiczył, a on chętnie uszczęśliwiał ją twierdzącymi odpowiedziami.

Chwilę po tym, jak zaczął przebieżkę, dołączyła do niego Luisa Soter, która – jako przypisana do pierwszej zmiany – dopiero niedawno wstała. Lubiała „pobiegać” z samego rana, toteż nie pierwszy raz spotykali się z Doobem w takich okolicznościach. Do ścian cylindrycznego modułu przytwierdzono łącznie sześć bieżni; nogi użytkowników były skierowane na zewnątrz osi siłowni, ich głowy zaś – sterczące ku jej środkowi jak szprychy, które prawie, prawie zbiegają się w piąście koła – znajdowały się bardzo blisko siebie, co ogromnie ułatwiało konwersację. Dla ekstrawertyków i osób towarzyskich, do jakich zaliczali się Doob i Luisa, był to układ idealny; samotnicy ćwiczyli w słuchawkach i demonstracyjnie koncentrowali się na książce lub ekranie tabletu.

– Czy, kiedy zbierałeś arkonautów, byłeś też w Wenezueli? – spytała Luisa.

Powiedziała to takim tonem, jakby Wenezuela była oczywistym, narzucającym się tematem do rozmowy, czymś, od czego ludzie dobrze poinformowani całkiem naturalnie rozpoczynają poranne pogaduszki. Doob tego nie rozumiał. Słyszał niedawno, jak ludzie rozmawiali o Kourou w Gujanie Francuskiej, skąd Europejczycy, a czasem także Rosjanie wystrzelili na orbitę duże rakiety nośne; w ostatnich dwóch latach kosmodrom w Kourou stał się jednym z najważniejszych punktów startowych dla miniarek i statków zaopatrzeniowych. Żywił więc jakieś niesprecyzowane podejrzenia, że dzieje się tam coś niepokojącego.

Sam jednak koncentrował się na zupełnie innych sprawach, a mianowicie na Pestce i jej zasobnym w żelazo „potomstwie”, które

wciąż było dobrze widoczne mimo gęstniejącego dookoła obłoku kamiennych odłamków. Kiedy nastanie Białe Niebo, kawałki Pestki znikną w chmurze pyłu i na pewien czas mogą stać się zupełnie niewidoczne. Póki mógł, wpatrywał się więc w P1, P2 i P3, precyzyjnie ustalał parametry ich orbit, robił im zdjęcia w wysokiej rozdzielczości. Najbardziej interesowała go P3, gruda stężałego metalu, złożona – podobnie jak Amalthea – głównie z żelaza i mierząca około pięćdziesięciu kilometrów średnicy. Z jednej strony miała głębokie wcięcie o rozmiarach porównywalnych z rozmiarami Wielkiego Kanionu, powstałe najprawdopodobniej na skutek zderzenia z innym odłamkiem, zanim jej skorupa zdążyła całkiem stwardnieć. W myślach zaczął nazywać P3 „Rozpadliną”.

– Doob? Słyszałeś, co mówiłam? Chciałam zawołać: „Halo, Ziemia do Dooba, Ziemia do Dooba”, ale to już nieaktualne.

– Przepraszam. – Doob na moment zatopił się w rozmyślaniach o wcięciu z boku Rozpadliny; próbował sobie wyobrazić, jak wygląda od środka. – Możesz powtórzyć pytanie?

– Wenezuela. Dokonywałeś tam „uprowadzeń”?

– Nie. Najbliżej byłem w Urugwaju, czyli wcale nie tak blisko. Zresztą byłem już wtedy wypalony.

– Dlaczego?

Cała Luisa!

– Nadmiar pracy? – dopytywała się. – O to chodziło? O fizyczne wyczerpanie? Czy bardziej kwestie emocjonalne i duchowe?

– Po prostu miałem dość. To trudne, odbierać młodych ludzi rodzinom... I to tych najlepszych, najzdolniejszych...

– Ale robiłeś to w szczytnym celu, czyż nie?

– Do czego zmierzasz, Luiso?

– Wiesz, co się dzieje na wybrzeżu Kourou?

– Nie – odparł beznamiętnie Doob.

– Odciąłeś się.

– Codziennie rozmawiam z rodziną, ale poza tym? Tak, Luiso, odciąłem się od planety Ziemia. Miłe miejsce, sympatyczni ludzie, ale ja się muszę skupić na przyszłości.

– Wszyscy to powtarzamy, ale ktoś mógłby powiedzieć, że wydarzenia zachodzące na Starej Ziemi w ostatnich trzech tygodniach mogą mieć

wpływ na losy Nowej Ziemi.

– Co tam się dzieje?

– Wygląda na to, że ani jeden z siedemdziesięciorga pięciorga Wenezuelczyków z Rozdzielenia Losów nie został wystrzelony w kosmos.

– Dobrze wiesz, że rzeczywiste proporcje wynoszą mniej więcej jeden do dwudziestu – zauważył Doob.

Średnio z każdych dwudziestu kandydatów wybranych w ogólnoświatowym Rozdzieleniu Losów i sprowadzonych do ośrodków szkoleniowych tylko jeden docierał ostatecznie na Arkę w Chmurze. Nie była to liczba, z której ktokolwiek mógł być dumny, ale wyszło, jak wyszło. Mieli zresztą nadzieję, że w ostatniej fali startów uda się ten udział podbić do jednej piętnastej, może nawet jednej dziesiątej.

– Wiem. I Wenezuelczycy też to wiedzą. Dlatego mówią, że troje albo czworo z nich powinno już tu być.

– Nie jest to stwierdzenie uprawnione ze statystycznego punktu...

– Oni nie wyglądają na statystyków.

– Polityka. – Doob westchnął.

Luisa parsknęła śmiechem.

– Słyszałam, mój drogi. Nie twierdzę, że nie masz racji, ale muszę cię ostrzec, że tego właśnie słowa, „polityka”, używa każdy dziwak zniecierpliwiony realiami działania jakiejś organizacji.

– W Caltechu uczestniczyłem w wystarczająco wielu zebraniach ciała pedagogicznego, żeby wiedzieć, jak wiele racji jest w twoich słowach. Chodziło mi jednak o coś innego: w Wenezueli proces selekcji arkonautów był skrajnie upolityczniony. W większości krajów ludzie podeszli do idei Rozdzielenia Losów z rezerwą: nie zaniedbując elementu losowego, zadbali też o dostateczną fachowość kandydatów. Wenezuelczycy postanowili z tego zrezygnować i przysłali naprawdę przypadkowo dobrane dzieciaki, pochodzące z zapyziałej prowincji. Większości z nich nie można nic zarzucić i gdyby to ode mnie zależało, niektóre zobaczylibyśmy tutaj, na stacji. Sęk w tym, że ja nie mam nic do gadania, a ci, którzy mają, kierują się poziomem wiedzy matematycznej i tym podobnymi sprawami. Dlatego jest mi przykro, że inni wyprzedzili Wenezuelczyków w kolejce do Arki w Chmurze, ale nie jestem tym zaskoczony.

– Trzy tygodnie temu koczownicy na łodziach wtargnęli na Wyspę Diabelską i zapowiedzieli, że się stamtąd nie ruszą.

– A to nie jest kolonia karna? Po co ktoś miałby...

– Zgadza się, kiedyś było tam francuskie więzienie. Dawno temu. Dziś mało kto tam mieszka, ale ponieważ wyspa znajduje się dokładnie pod torem lotu rakiet z Kourou, przed każdym startem jej mieszkańcy są ewakuowani.

– Biorąc pod uwagę natężenie ruchu raketowego w ostatnim czasie, musi być chyba stale pusta.

– Owszem, tak właśnie było przez ostatnie dwa lata. A teraz zjawiała się tam banda ludzi, zrobiła biwak i odmówiła ewakuacji.

– Domyślam się, że Francuzi i Rosjanie bynajmniej nie zaprzestali wystrzeliwania rakiet.

Prawdę mówiąc, Doob wcale się tego nie domyślał, tylko po prostu to wiedział: widział przecież regularnie przysyłane z Kourou nowe miniarki i kapsuły zaopatrzeniowe.

– Naturalnie. Dlatego cała ta okupacja była właściwie symbolicznym gestem i niczym więcej.

– Rozumiem, że ci dzicy lokatorzy byli Wenezuelczykami.

– Tak. Z Wenezueli do Gujany Francuskiej płynie się kilkaset kilometrów wzdłuż wybrzeża. To nie jest trudny rejs.

W pamięci Dooba coś drgnęło.

– Czy to ma coś wspólnego z nieprzybyciem wczorajszego statku z zaopatrzeniem?

– I przedwczorajszego też. Przerwa w startach z Kourou trwa od dwóch dni, dzisiaj jest trzeci.

– To nie może być sprawka garstki dzikich lokatorów z Wyspy Diabelskiej – zauważył Doob i dodał żartem: – Chyba że mają pociski ziemia-powietrze.

Luisa nie odpowiedziała.

– Jaja sobie robisz! – nie wytrzymał Doob.

– Nie chodzi o tych na wyspie, tylko o tych biorących udział w blokadzie – odparła Luisa.

Podawała mu swój tablet. Na ekranie wyświetlało się zdjęcie zrobione z powietrza, najprawdopodobniej przez okno helikoptera. Pierwszy plan zajmował kosmodrom Europejskiej Agencji Kosmicznej, który Doob

widział już wcześniej. Od Oceanu Atlantyckiego oddzielały go dwa kilometry równiny obrzeżonej niską, krzaczastą roślinnością nadmorską. W oddali było widać trzy małe wysepki, położone kilka mil od wybrzeża. Jedna z nich najprawdopodobniej była Wyspą Diabelską.

Na wodzie pomiędzy stałym lądem i wysepkami tłoczyło się mrowie statków – przeważała drobnica, ale było tam też kilka rdzewiejących frachtowców, mocno sfatygowany tankowiec i kilka jednostek, które zdaniem Dooba wyglądały jak okręty wojenne.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie?

– Parę godzin temu.

– To okręty wojenne?

– Wenezuelska marynarka wojenna ma za zadanie dopilnować porządku.

– I z tymi pociskami ziemia-powietrze to nie żart?

– Piraci, którzy przypłynęli tym tankowcem, twierdzą, że mają stingery i grożą ich użyciem przeciw następnej rakiecie wystrzelonej z Kourou.

– Wariactwo.

– Polityka. Ale przecież od początku wiedzieliśmy, że tak będzie, prawda?

– Dzień dobry państwu – zabrzmiał nowy głos. To Ivy Xiao weszła do siłowni, żeby przeprowadzić własne „poranne” ćwiczenia.

– Dzień dobry – odpowiedzieli zgodnie Luisa i Doob, chociaż dla tego drugiego powoli zbliżał się wieczór.

– Dobrze słyszałam? Ktoś tu użył słowa na „P”?

– Owszem – przytaknęła Luisa. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy, moja droga.

Doob był wstrząśnięty. Ivy wybuchnęła śmiechem.

Jakieś osiem miesięcy wcześniej Ivy zastąpił Markus Leuker, szwajcarski pilot myśliwca, alpinista i astronauta w jednym. A właściwie nie tyle ją zastąpił, ile objął nowe, specjalnie dla niego utworzone stanowisko, przy którym stanowisko Ivy stało się zbędne. Izzy przestała być po prostu Izzy: stanowiła teraz połączenie floty Arki w Chmurze z rozbudowanym na bazie ISS obszernym kompleksem orbitalnym. W związku z tym konieczne stało się opracowanie nowej hierarchii dowodzenia. Człowiek stojący na jej szczycie miał się wkrótce stać

najpotężniejszym przywódcą w dziejach ludzkości – w tym sensie, że miało mu podlegać sto procent ludzkiej populacji. To zupełnie inna pozycja niż bycie pierwszą wśród dwanaścioro równych, którzy jeszcze dwa lata wcześniej stanowili załogę Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Oczywiście Ivy dałaby sobie radę. Wszyscy, którzy ją dobrze znali, byli w tej kwestii zgodni.

Mimo to nie utrzymała stanowiska. Zadecydowała światowa polityka: przekazanie władzy nad Arką w Chmurze w ręce przedstawiciela USA, Rosji lub Chin byłoby postrzegane jako prowokacja przez dwa kraje, które „przegrałyby” tę rywalizację. Dlatego musiał to być reprezentant jakiegoś niewielkiego państewka, najlepiej postrzeganego jako niezależne politycznie. Tym sposobem lista kandydatów została ograniczona do jednego człowieka: Markusa Leukera. Czarnym koniem mogła się jeszcze okazać Ulrika Ek, szwedzka architekt i menedżerka, która przybyła na Izzy w tym samym okresie co Markus (przyleciała inną rakieta, żeby w razie wypadku chociaż jedno z nich dotarło na stację). Nikt jednak naprawdę nie oczekiwał, że padnie na Ulrikę. Wybór tłumaczono dynamicznym stylem przywództwa Markusa, jego charyzmą i innymi modnymi słowami, które – co wszyscy doskonale rozumieli – sprowadzały się do prostej konstatacji: Markus był mężczyzną.

A Ivy naraziła się Rosjanom i znacznej części natowskiej wierchuszki, gdy – ich zdaniem – zbyt łagodnie obeszła się z Seanem Probstem. Nie tylko o to mieli do niej pretensje, ale wokół tej sprawy krystalizowały się wszystkie inne zarzuty; od momentu, gdy przypięli jej łątkę przemądrzałej technokratki, która chce dobrze, ale jest zwyczajnie za miękka, wszystkie jej późniejsze działania oceniano przez taki właśnie pryzmat. Z perspektywy czasu ocalenie Tekli przez Dinah uznano za dowód niezdolności Ivy do zaprowadzenia koniecznej dyscypliny. Nowi mieszkańcy Arki w Chmurze, nakierowani przez dyskusje internetowe i telewizyjnych ekspertów na postrzeganie Ivy jako słabej przywódczyni, na każdym kroku szukali potwierdzenia tej opinii. Udaną próbę z Bolas Jeden, która w innych okolicznościach zadziałałaby na jej korzyść, potraktowano jak symboliczne przekazanie przez nią władzy Markusowi. Kiedy zaś Ulrika – mimo nadarzających się ewidentnych okazji – nie udzieliła jej najmniejszego wsparcia, można się było tylko

zastanawiać, czy był to z jej strony skutek roztargnienia, czy raczej próba wzmocnienia swojej pozycji jako numeru dwa na orbicie.

Tak czy inaczej, sprawa była wysoce polityczna. Doob starał się nie poruszać tego tematu w obecności Ivy, uznając go za niezręczny, toteż najpierw ze zgrozą przyjął zachowanie Luisy, która od razu przeszła do sedna, a później zafascynowany śledził rozbawienie Ivy.

Ech, ci ludzie...

– Jakie plany na dzisiaj? – spytała Luisa.

– Przeglądanie arkuszy rachunkowych – odparła Ivy. – Próbuję przewidzieć konsekwencje utraty Kourou.

– Akurat ten kij w szprychach naprawdę nie był nam potrzebny – zauważył Doob.

– Naturalnie – przytaknęła Ivy. – Chociaż powiem wam, że w pewnym sensie przyjął to... – Zawiesiła głos.

– Z radością? – podsunęła Luisa. – Z ulgą?

– To tak, jakby starter wreszcie wypalił z pistoletu. Przygotowujemy się od prawie dwóch lat, czekamy na kataklizm, na chwilę, gdy rozpęta się piekło... i ono właśnie się rozpętało, tyle że w zupełnie inny sposób, niż się spodziewaliśmy.

– A czego dokładnie się spodziewałaś?

– Że trafi nas meteoryt i będzie mnóstwo ofiar. Tymczasem wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. To najlepsze szkolenie, nawiasem mówiąc.

– A jak tam twój ukochany?

Doob wyłączył bieżnię i odpiął przytrzymujący go na niej pikowany pas. Był jedynym mężczyzną w pokoju, w którym dwie kobiety rozmawiały o chłopaku jednej z nich. Umiał rozpoznać moment, w którym należy się ulotnić.

– Nie odzywa się od dwóch dni. Czyli pewnie siedzi pod wodą.

– Na pewno niedługo się wynurzy, żeby odetchnąć. Może wysyłać ci maile w zanurzeniu? Bo wiesz, ja się zupełnie na tym nie znam.

– Są różne sposoby... – zaczęła Ivy, ale Doob właśnie wypływał z siłowni.

Skierował się wzdłuż Komina na rufę, najpierw do P2, a stamtąd jedną ze szprych do wirującego torusa, dzieła Rhysa Aitkena. Ciężenie w nim równało się jednej ósmej ciężenia ziemskiego. T2 – od początku

projektowany jako hotel dla turystów – nie do końca spełniał wymogi związane z projektem Arki w Chmurze, dlatego Rhysowi zlecono zbudowanie następnego torusa, koncentrycznego z T2 i ochrzczonego – jakżeby inaczej – T3. Rhys, który nie lubił spoczywać na laurach, obmyślił zupełnie nowy sposób budowy torusa (niespecjalnie zaskakujący dla Dinah): oplótł T2 pętlą hipernowoczesnego łańcucha, wprowadził ją w ruch obrotowy i zaczął doczepiać do niej kolejne elementy. T3 wirował wokół tej samej piasty co T2 i z tą samą prędkością kątową, ale dzięki większej średnicy umożliwiał uzyskanie większego ciężenia, zbliżonego do tego, jakie panuje na Księżycu. Umieszczono w nim najlepszą namiastkę mostka kapitańskiego na całej Arce w Chmurze – wydzielony mniej więcej dziesięciometrowy odcinek torusa, z którego Markus dowodził Arką. Próbowano uszlachetnić go takimi nazwami jak „Centrum dowodzenia”, ale w ostatecznym rozrachunku był to po prostu ulepszony Banan: sala konferencyjna z paroma ekranami telewizyjnymi i gniazdami zasilającymi dla tabletów.

Izzy nie miała mostka, przyrządów sterowniczych, przepustnicy ani wielkiego koła sterowego, które pozwalałoby kierować jej ruchem w kosmosie. Miała natomiast oszałamiającą baterię silniczków manewrowych, sterowanych przez interfejs WWW dający się uruchomić na dowolnym tablecie, jeśli tylko użytkownik znał właściwe hasło – dlatego jej centrum dowodzenia, mostek czy sterownia mogły się znajdować dosłownie wszędzie. Skończyło się na tym, że mostek przezwano Cysterną. Z jednej jego strony znajdował się mały pokój – prywatny azyl Markusa, z drugiej zaś duża sala podzielona na boksy (dziwnie przez to podobna do podziemnego biura w wielkiej korporacji), w których mogli siedzieć współpracownicy dowódcy; przez pierwsze dziesięć minut nazywano ją Fermą Biurową, a później już po prostu Fermą. Z drugiej strony do Fermy przylegał labirynt maciupeńkich pomieszczeń, w których można było coś zjeść lub skorzystać z toalety.

Doob odkrył, że Ferma często bywa najmniej zatłoczonym pomieszczeniem na Izzy – z tej prostej przyczyny, że mało komu przychodziło do głowy, żeby się do niej udać. Grawitacja w Fermie dobrze robiła na kości, a dostępność kawy i bliskość łazienki były oczywistymi dodatkowymi zaletami. Wpadał tam więc ze dwa razy dziennie, brał coś do picia, rozglądał się i – jeśli nie było wielkiego ruchu

– zajmował jakiś wolny boks i siadał do pracy.

Tym razem dotarł tam około godziny kropka dwa. Ściany Fermy i Cysterny obwieszono ekranami, które w NASA-mowie były znane jako Monitory Kontroli Stanu, a pełniły rolę okien wychodzących na różne fragmenty Arki w Chmurze i jej najbliższego otoczenia. Jeden z nich przedstawiał widoczną daleko w dole Ziemię, drugi – chmurę odłamków, które kiedyś tworzyły Księżyc, trzeci – zbliżający się do stacji moduł zaopatrzeniowy wystrzelony z przylądka Canaveral, czwarty – treningową operację bolas przeprowadzaną przez nowych arkonautów w bezpiecznej odległości kilku kilometrów za rufą Arki w Chmurze. Na niektórych monitorach wyświetlały się tylko liczby i wykresy, a największy z nich, umieszczony na przeciwległym krańcu Farmy, przedstawiał ziarnisty obraz z jakiegoś rejonu Ziemi, gdzie akurat trwała noc; etykieta u dołu ekranu informowała, że to KOUROU, GUJANA FRANCUSKA. Opierając się na tej podpowiedzi, Doob był w stanie rozeznaczyć ogólne zarysy rozgrywającej się przed nim sceny: galaktyka światłek tysięcy łodzi i statków, które dołączyły do „Ludowej Blokady Sprawiedliwości”, a w tle znacznie schludniejszy teren portu kosmicznego, z Ariane na jednym stanowisku startowym i Sojuzem na drugim; obie rakiety były gotowe do lotu, ale ze względu na groźbę użycia stingerów żadna nie mogła wystartować.

Pomiędzy kamerą i światłami kosmodromu przemknęła sylwetka wojskowego śmigłowca.

To był całodobowy kanał informacyjny. Przewijający się u dołu ekranu pasek co kilka minut podawał zaktualizowaną wartość TRB, Tempa Rozpadu Bolidów, które w dniu A+0 wynosiło zero i od tamtej pory systematycznie rosło. Ta właśnie liczba po przeskoczeniu załamania krzywej wykładniczej obwieści początek Białego Nieba. Wszystkie telewizje śledziły TRB z obsesyjną gorliwością, powstała do tego specjalna aplikacja telefoniczna, a po tym, jak właściciel pewnego baru w Bostonie zaoferował specjalne drinki na koniec świata, gdy TRB przekraczało kolejne progi, jego pomysł znalazł wielu naśladowców.

Powyżej paska znajdował się wstawiony w główny obraz mniejszy kadr, przedstawiający pustą mównicę w centrum prasowym Białego Domu. Najwyraźniej spodziewano się czyjejs oficjalnej wypowiedzi.

Doob usiadł w jednym z boksów, poświęcił kilka minut na

sprawdzenie poczty, a następnie spróbował skupić się na swoim głównym zadaniu, czyli napisaniu raportu na temat dystrybucji zasobnych w metal księżycowych odłamków, które można by przechwytać i wykorzystać, a także powodów, dla których ta informacja powinna zainteresować kierownictwo Arki w Chmurze. Zdążył jednak napisać zaledwie kilka pierwszych zdań, kiedy jego uwagę zwrócił jakiś ruch na Monitorze Kontroli Stanu. Podniósł wzrok... i spojrzał w oczy pani prezydent Stanów Zjednoczonych.

Patrzyła prosto w kamerę, a właściwie w umieszczony przed nią ekran telepromptera, i wygłaszała jakieś lakoniczne oświadczenie. Wyglądała na wkurzoną.

W klapę żakietu miała wpiętą pętelkę ze wstążki. Takie wstążeczki, od paru tygodni noszone przez wszystkie ważne osobistości, stały się modne także wśród zwykłych ludzi jako wyraz solidarności z misją Arki w Chmurze. Wybór kolorów wstążki pochłonął zasoby równe produktowi krajowemu brutto państwa średniej wielkości. Ostatecznie ustalono następujący wzór: cienka czerwona kreska pośrodku, symbolizująca rodzaj ludzki; z boków dwa białe prążki jako symbol światła gwiazd, dalej prążki zielone (ekosystem, który utrzyma arkonautów przy życiu), niebieskie (woda) i – na koniec – czarne (przestrzeń kosmiczna). Dyskusja była niezwykle ożywiona, a jej wynik nie mniej skomplikowany – dla przedstawicieli kultury Zachodu czerń symbolizowała śmierć, u Chińczyków tę samą rolę pełniła biel, i tak dalej. Upowszechniony wzór obrażał dosłownie wszystkich; wyciekł do Internetu jako „oficjalna” wersja wstążki, mimo że tkwiąca w beznadziejnym klinczu komisja projektowa wciąż jeszcze oceniała dwanaście różnych projektów nadesłanych przez dzieci z całego świata. Fabryki w Bangladeszu przestawiono na produkcję masową i całe kilometry wstążek pojechały w świat; można je było kupić w kioskach i sklepach z pamiątkami od Times Square po plac Tiananmen; światowi przywódcy przyjęli internetowy werdykt i zaczęli obnosić się ze wstążkami. Pani prezydent do przypięcia swojej użyła szpilki z okrągłym turkusem obsadzonym w platynie: niebieski dysk na białym tle miał przypominać Jezioro Kraterowe i listopadowe śniegi i stanowić emblemat Porozumienia – najlepsze przybliżenie flagi, na jakie mogła liczyć Arka w Chmurze.

Dźwięk był ściszony, Doob nie słyszał więc słów JBF, ale domyślał się treści jej przemowy, a po chwili jej najważniejsze punkty i tak zostały wybite na pasku sunącym u dołu ekranu. Tak zwana Ludowa Blokada Sprawiedliwości nie była żadną oddolną inicjatywą, lecz operacją zaplanowaną i prowadzoną przez rząd Wenezueli; nagannym chwytem politycznym utrudniającym realizację najważniejszego przedsięwzięcia, jakim była budowa Arki w Chmurze. Białe Niebo – wbrew temu, co niektórzy twierdzili nieoficjalnie, a wenezuelski prezydent mówił wprost – nie było mistyfikacją, a blokada (wbrew twierdzeniom jej sympatyków) nie była pokojowym wyrazem obywatelskiego nieposłuszeństwa. Od kilku godzin na plażach Gujany Francuskiej lądowali uzbrojeni intruzi, których natarcie powstrzymała francuska Legia Cudzoziemska przy wsparciu wojsk międzynarodowych, w tym amerykańskiej i rosyjskiej piechoty morskiej. Doob starał się, jak mógł, otrząsnąć z irracjonalnego wrażenia, że JBF patrzy prosto na niego; było ono jednym z powodów, dla których uciekł na orbitę.

Jeden z magików od PR złapał go na czacie (Doob przeoczył aktywne łącze wideo) i przekonał do poświęcenia godzinki na napisanie moralizatorskiej pogadanki o tym, jak to wszyscy na Ziemi powinni się zjednoczyć dla dobra misji Arki w Chmurze i jak blokada w Kourou temu nie sprzyja. Dooba szczerze korciło, żeby go spławić, ale miał słabość do ludzi, którym zostały trzy tygodnie życia.

Zadzwoił do Ivy (Izzy dorobiła się już własnej sieci komórkowej) i poprosił ją o dostarczenie paru twardych, zdatnych do zacytowania liczb, które następnie zaokrąglił i wkleił do swojego tekstu. Następnie poświęcił minutę na wcielenie się w Doca Dubois. Dawno tego nie robił. Doc Dubois – powód katastrofy jego pierwszego małżeństwa, główne źródło jego zarobków, a w końcu także bilet wstępu na pokład Arki w Chmurze – nie był osobą, do której musiałby wracać; facet wydawał się równie przestarzały jak postać z telewizyjnego serialu z lat siedemdziesiątych i wejście w jego rolę było niewiele mniej kłopotliwe niż włożenie skafandra kosmicznego. Wymagało też dodatkowego kubka kawy z cukrem. Kiedy Doob uznał, że jest gotowy, włączył kamerę w tablecie, przedstawił się jako Doc Dubois, pozdrowił mieszkańców Ziemi i odczytał przygotowany tekst. Po zakończeniu nagrania przesłał je e-mailem do Houston.

Spróbował wrócić do pisania raportu, zdekoncentrował go jednak czerwony pasek Z OSTATNIEJ CHWILI na Monitorze Kontroli Stanu i widoczne w tle niewyraźne rozbłyski światła na ciemnym tle. W Gujanie Francuskiej – pomiędzy plażą i kosmodromem – wybuchła jakaś strzelanina; Legia Cudzoziemska brała udział w bitwie, która mogła się okazać ostatnią w historii ludzkości, ale telewizyjni kamerzyści nie bardzo mogli się przybliżyć do linii frontu, dlatego przekaz ograniczał się niemal w całości do wywiadów dziennikarzy z innymi dziennikarzami, w których jedni i drudzy przyznawali, że niewiele wiedzą.

Tymczasem znów odezwał się spec od PR z Houston z prośbą, żeby Doob przeniósł się do takiej części Izzy, w której panuje nieważkość, i tam jeszcze raz zarejestrował swoje wystąpienie. Zwolennicy teorii spiskowych utrzymywali, że żadna Arka w Chmurze nie istnieje, a wszystkie pochodzące z niej materiały kręci się w studiach filmowych na pustyni w Nevadzie. Każdy film nakręcony w miejscu, gdzie panowało sztuczne ciężenie, traktowali jako dowód słuszności swoich tez. Ich profile w mediach społecznościowych gromadziły miliony zwolenników.

Doob obiecał, że zobaczy, co się da zrobić, i opuścił Fermę – gdzie i tak chwilowo nie działo się nic interesującego, zwłaszcza że nawet Markus gdzieś się ulotnił. Wspiął się szprychą do P2 i tym sposobem znalazł się w środowisku bezgrawitacyjnym.

Jeszcze niedawno P2 była najdalej ku rufie wysuniętą częścią Komina (ciągu modułów tworzących podłużną oś Izzy) – do czasu, gdy kilka tygodni temu z Kourou wystrzelono Brankard, który następnie przycumował do tylnego sektora piasty. Mieścił się w nim zasilany wodorem i tlenem potężny silnik raketowy, który miał być odpowiedzialny za korygowanie orbity Izzy. Nie można było dalej rozbudowywać stacji w tym kierunku, ponieważ kolejne ewentualnie doczepione moduły nie byłyby już osłonięte przez Amaltheę. Długo trwały zresztą rozważania procedur awaryjnych na wypadek trafienia Brankardu meteorytem i uszkodzenia silnika.

Ustawivszy się plecami do Brankardu, Doob ruszył w głąb Komina. Z P2 dotarł do P1, skąd z kolei przedostał się do starego modułu Zwiezda. Dawniej na obu burtach Zwiezdy były zainstalowane małe panele

fotowoltaiczne, zostały jednak (podobnie zresztą jak większość baterii słonecznych na Izzy) złożone i zdemontowane, by zrobić miejsce dla nowych konstrukcji. W przejściowej fazie działań architektów energię czerpano nie z ogniw słonecznych, tylko z małych ładunków jądrowych, takich samych jak montowane w miniarkach. Tyczki z tymi ładunkami w dalszym ciągu sterczały z burt stacji na wszystkie strony, z czerwonymi diodami ostrzegawczymi dla pracowników remontowych i pilotów rupieci, same ładunki zaś nadal produkowały całkiem sporo energii i pełniły ważną rolę awaryjnych źródeł energii – ale głównym źródłem zasilania Izzy stał się pełnowymiarowy reaktor atomowy, taki sam jak stosowane w okrętach podwodnych, zainstalowany na końcu długiego pręta w nadirze ponad Brankardem. Elektrownia z prawdziwego zdarzenia mogła pełnić wiele zadań, najważniejszym z nich była jednak produkcja paliwa raketowego poprzez rozdzielanie wody na tlen i wodór. To zresztą tłumaczyło także lokalizację reaktora: w Brankardzie znajdował się przecież główny dopalacz Izzy, a wokół niego powstał cały kompleks nazwany Stoczną, gdzie z gotowych elementów montowano mniejsze statki kosmiczne – a te również wymagały paliwa.

Z przodu Zwiezdy mieścił się moduł cumowniczy zaopatrzonej w złącza w zenicie i nadirze; przed Dniem Zero do niego właśnie były podpięte laboratoria naukowe i tę tradycję w pewnym sensie kultywowano także teraz: przekształcono go w swoistą stację węzłową dla wszelkiej aktywności związanej z główną funkcją Arki w Chmurze, a więc ocaleniem ziemskiej spuścizny. Gdyby Doob skręcił „do góry”, w stronę zenitu, znalazłby się w podłużnym module zaopatrzonej w znaczną liczbę złączy, do których w przeszłości dokowały inne jednostki – najczęściej wylądowane do granic możliwości bezcennymi wytworami kultury, chociaż w niektórych znajdowały się też klastry serwerów, na których przechowywano nagrania w postaci cyfrowej. Niektóre artefakty wysyłało się w kosmos łatwiej od innych: *Magna Carta* dotarła na orbitę, *Dawid Michała Anioła* został na Ziemi. Wielkim nakładem sił i środków zamykano te najcenniejsze skarby w superbezpiecznych pancernych szafach, by następnie zatopić je na dnie oceanów lub ukryć w przepastnych kopalniach, ale Doob dawno już przestał śledzić te starania.

Gdyby zamiast „do góry” udał się „na dół”, w stronę nadiru, trafiłby do podobnego trójwymiarowego labiryntu modułów, których większość zajmowały magazyny materiału genetycznego: nasiona, próbki nasienia, komórki jajowe i zarodki. Wszystkie te skarby musiały być przechowywane w chłodzie, o który w kosmosie nietrudno; wystarczyło osłonić pojemniki przed światłem słonecznym, co uzyskano dzięki lekkiej jak piórko metalizowanej folii, oraz zapobiec przenikaniu do próbek ciepła z sąsiadujących z nimi obiektów. Przy tym włącznie Doob zawsze na chwilę się zatrzymywał. Nie był człowiekiem o wielkiej duchowości, ale zwyczajnie nie potrafił zignorować faktu, że gdzieś tam znajduje się jego potencjalne czwarte dziecko, embrion, który stworzyli do spółki z Amelią – wśród dziesiątków tysięcy innych zarodków czekających na odmrożenie i wszczepienie do ludzkiego łona.

Wszedł do Zarii, następnego z modułów tworzących Komin. Lekko zestrachany rozważaniami o zarodkach nosił się z zamiarem odwiedzenia Kapsuły Zabobonów, żeby tam nagrać swój filmik. Była to dmuchana kula o średnicy dziesięciu metrów, zaopatrzona w kilka ogromnych wypukłych iluminatorów. Z Zarii przechodziło się do niej rurą transportową umieszczoną w nadirze, czyli od strony Ziemi. Ulrika Ek ściągnęła na siebie gniew przedstawicieli wszystkich ziemskich religii, odmawiając zapewnienia każdej z nich osobnego miejsca kultu na pokładzie Arki w Chmurze. Zamiast wysyłać na orbitę osobno moduł kościelny, synagogałny, meczetowy i tak dalej, Ulrika zainstalowała na Izzy tę jedną kapsułę, wspólną dla wszystkich wiar i pełniącą podobną rolę jak uniwersalne kaplice na lotniskach. Wbudowane projektory wyświetlały na wewnętrznych powierzchniach kapsuły krzyże, gwiazdy Dawida i inne symbole, w zależności od rodzaju odprawianego akurat nabożeństwa. Moduł miał długą, niezgrabną i politycznie poprawną nazwę oficjalną, ktoś jednak przeważał go Kapsułą Zabobonów i tak już zostało.

Ten ktoś przystanął teraz u wlotu prowadzącej do niej rury transportowej i wykrył natarczywą melodię muzułmańskiego wezwania do modlitwy. Niedobrze. Kapsuła Zabobonów świetnie nadawałaby się na tło komentarza, który zamierzał wygłosić – a tak będzie musiał poszukać sobie innego miejsca. Znajdujący się dokładnie naprzeciwko właz prowadził do chaotycznego zespołu pomieszczeń pełniącego na

Izzy rolę szpitala i zajmującego większość przestrzeni zarezerwowanej niegdyś na bakburcie dla baterii słonecznych. W jego najdalszym końcu, za dodatkowo izolowanym włazem, znajdował się nadmiarowy moduł wykorzystywany jako kostnica i cmentarz od czasu pierwszego lotu Skautów w dniu A+0.29, kiedy to dwóch kosmonautów nie przeżyło podróży na orbitę. Makabryczna śmiertelność w pierwszych tygodniach projektu doprowadziła do połowicznego zapełnienia kapsuły zamrożonymi zwłokami; od tamtej pory przybyło jeszcze czternaścioro zmarłych z różnych przyczyn: krwotok podpajęczynówkowy, który równie dobrze mógł się przydarzyć na Ziemi, zawał, dwa samobójstwa, dwa przypadki awarii sprzętu, cztery całkiem niedawne zgony po wywołanej uderzeniem bolidu dekompresji miniarki. Wraz z nimi w kostnicy wylądował także nieżywy pasażer na gapę, a miejsca pobytu czterech brakujących ofiar można się było tylko domyślać. Jedną z nich był astronauta, który wyszedł w otwartą przestrzeń i po prostu zniknął, natomiast pozostała trójka spała w Shenzhou przycumowanym do końcówki rury transportowej, kiedy trafił w nią bolid wielkości stolika do kawy i rura praktycznie przestała istnieć. Nagranie wideo w otoczeniu szybujących w nieważkości liofilizowanych zwłok zamknęłoby usta wątpiącym spiskowcom, ale poza tym nie miałyby żadnych zalet.

W przeciwległym „skrzydle” stacji, gdzie dawniej znajdowały się panele słoneczne sterburty, rozciągał się z grubsza symetryczny kompleks modułów służący zwykłym mieszkańcom do celów bytowych i zawodowych. Z Kominem łączył się głównie poprzez stare amerykańskie moduły – Jedność, Przeznaczenie i Harmonię, gdzie w efekcie często fruwało mnóstwo ludzi, którzy albo chcieli się przedostać z jednej części stacji do drugiej, albo po prostu spotykali się na czymś w rodzaju biurowych pogaduszek przy automacie z kawą.

Za Harmonią mieścił się Węzeł X. NASA lubiła nazywać swoje zabawki poprzez organizowanie konkursów dla dzieci: Harmonia w taki właśnie sposób zyskała swoją nazwę, jednakże kolejnemu projektowi przedwcześnie cofnięto finansowanie i Węzeł X pozostał Węzłem X. Ponieważ nie znalazł konkretnego zastosowania, stał się przechowalnią aparatury do nauk przyrodniczych, a właściwie zwornikiem, do którego kolejne laboratoria badawcze cumowały po przybyciu na orbitę. Ta

część Komina znajdowała się bardzo blisko Amalthei, była więc doskonale przez nią chroniona, dzięki czemu wyśmienicie nadawała się na przechowalnię wyposażenia uważanego za niezastąpione, a wciąż jeszcze czekającego na użycie. Doob zajrzał do kilku sąsiednich modułów, licząc na to, że gdzieś spotka Moirę, zanim sobie uświadomił, że jak na prawdziwą londynkę przystało, pracuje na trzeciej zmianie i jeszcze przez trzy godziny będzie smacznie spała: była mniej więcej kropka pięć, a więc w Londynie słońce jeszcze nie wzeszło.

Za Węzłem X rozciągał się znacznie od niego większy KMUK, przednią powierzchnią przyśrubowany bezpośrednio do Amalthei – a zatem stanowiący najdalej do przodu wysunięty element Komina. Przed Dniem Zero świecił pustkami, za to od tamtej pory rozrósł się i w praktyce awansował do rangi orbitalnej centrali Arjuna Expeditions. Powszechnie nazywano go Kolonią Górniczą. Podczepiono do niego tyle modułów, że zajęły wszystkie złącza cumownicze – a wtedy opleciono go rusztowaniem i kolejne moduły (sztywne i nadmuchiwane) zaczęto mocować już bezpośrednio do tylnej powierzchni Amalthei.

Mniej więcej w tym właśnie momencie Doob kompletnie zapomniał o zadaniu, jakie wyznaczył mu spec od PR, i postanowił chwilę pokręcić się po KMUK-u i zobaczyć, co się dzieje. To zdecydowanie powinna być jego ulubiona część Arki w Chmurze, a jednak nigdy jej nie odwiedzał, ponieważ wizyty w tym miejscu nieuchronnie skłaniały go do rozważań natury politycznej, polityka zaś nieodmiennie stresowała go i rozpraszała. Jednakże wcześniejsza rozmowa z Luisą uświadomiła mu, że ignorowanie polityki może nie być najlepszą strategią długoterminową. Nawet jeśli on nie chciał się zajmować polityką, polityka zajmowała się nim – a poza tym pracujący tu ludzie, tacy jak Dinah, byli fantastyczni. Odpowiadało mu ich towarzystwo. Powinien spędzać z nimi więcej czasu. Zostały mu trzy godziny do zakończenia cyklu dziennego, czyli dla niego był mniej więcej wczesny wieczór: pora wyluzować i łyknąć piwka. A z kim przyjemniej się będzie napić niż z górnikiem?

Polityczny charakter Kolonii Górniczej miał dwie przyczyny. Pierwsza i najbardziej oczywista była taka, że Kolonia zrodziła się z partnerstwa prywatno-publicznego, w którym część prywatną stanowiło Arjuna Expeditions, firma Seana Probst; nikomu to nie przeszkadzało do

czasu, gdy Sean wparował do P2, wszystkim się naraził i wszędzie narobił sobie wrogów. Drugą przyczynę, już nie tak oczywistą, stanowiła pewna fundamentalna niezgodność w kwestii tego, czym powinna być Arka w Chmurze i jak ma przebiegać jej rozwój w okresie po Białym Niebie. Czy zostanie na swoim miejscu, czyli na tej samej orbicie? A może zmieni orbitę? Albo rozdzieli się na dwa lub więcej odrębnych rojów, z których każdy obierze inną strategię przetrwania? Wszystkie te scenariusze (oraz wiele innych) miały swoje wady i zalety w zależności od tego, jak naprawdę będzie wyglądał Kamienny Deszcz.

Zważywszy, że Ziemia nigdy przedtem nie przeżyła intensywnego bombardowania odłamkami Księżyca, nie istniał żaden sposób przewidzenia skutków takiego wydarzenia. Uwagę Dooba zaprzętały modele statystyczne, ponieważ miały ogromny wpływ na to, które scenariusze zostaną uznane za warte rozważenia i podjęcia przygotowań. Weźmy skrajnie uproszczony przykład: gdyby można było polegać na Księżycu, że cały rozpadnie się na kawałki wielkości ziarenka grochu, z punktu widzenia Arki w Chmurze najlepiej byłoby nie ruszać się z miejsca i nie podejmować zanadto podejmowaniem manewrów; meteoryty tej wielkości dawało się wykryć dopiero z bardzo bliska, a wtedy prawdopodobnie zabrakłoby czasu na unik. Kamyk tej wielkości przebiłby ściankę miniarki albo modułu Izzy, ale by ich nie zniszczył; ludzie mogli odnieść obrażenia, sprzęt mógł zostać uszkodzony, jednakże w najgorszym wypadku zniszczeniu uległby zaledwie jeden element Arki, a ofiar śmiertelnych byłoby niewiele. Z drugiej strony – znacznie bardziej prawdopodobny był taki rozwój wypadków, w którym Kamienny Deszcz zawierał odłamki wielkości samochodów, domów i gór, które łatwo się wykrywa z dużej odległości. A wówczas unik byłby nie tylko wykonalny, lecz wręcz obowiązkowy.

Przynajmniej dla Izzy. Dla miniarki nie miało znaczenia, czy trafi ją bolid o rozmiarach piłki bejsbolowej, czy stadionu bejsbolowego: tak czy inaczej, będzie po niej. Tymczasem Izzy mogła przetrwać trafienie piłką, tracąc co najwyżej kilka modułów; trafienie stadionem unicestwiłoby ją całkowicie i prawdopodobnie doprowadziło do powolnego zgonu całej Arki w Chmurze. Dlatego musiała móc manewrować i usuwać się z toru lotu dużych bolidów.

U humanistów to „manewrowanie” budziło skojarzenia z futbolistami

uskakującymi z drogi przeciwników na boisku. Arkitekci mieli na myśli znacznie stateczniejsze zachowania. Izzy nigdy nie miała być zwinna – zresztą nawet gdyby była, futbolowe zwody byłyby stratą paliwa. Jeżeli potencjalnie niszczycielski kawał skały uda się wykryć z dostatecznie dużym wyprzedzeniem, powinna móc przed nim uskoczyć dzięki pojedynczemu impulsowi silników manewrowych, tak delikatnemu, że większość jej mieszkańców nie zorientuje się nawet, że coś się wydarzyło. Dlatego też optymistyczna wersja przyszłości zakładała pozostanie Izzy na niezmięnionej orbicie i delikatne usuwanie się z drogi niebezpiecznych odłamków na całe godziny lub nawet dni przed zderzeniem. Porównywano jej sytuację do transoceanicznego statku wycieczkowego kluczącego wśród gór lodowych, który zderzeń z nimi unika za pomocą manewrów tak dyskretnych, że wino w jadalni nawet nie drgnie w kryształowych kieliszkach.

Istniała też – jakżeby inaczej! – inna, bardziej pesymistyczna wizja, w której Izzy przypominała raczej wołu brnącego w poprzek ruchliwej ośmiopasmowej autostrady. W zależności od tego, kto snuł tę paralełę, wół mógł (choć nie musiał) być dodatkowo ślepy i/lub kulawy.

Rozstrzygnięcie sporu, które z tych porównań jest bliższe prawdy, sprowadzało się do rozważań o charakterze statystycznym, w których należało uwzględnić założenia odnoszące się do zakresu i dystrybucji gabarytów bolidów, zmienności ich trajektorii, sprawności radarów dalekiego zasięgu oraz skuteczności algorytmów mających przesiewać zagrożenia i wybierać najpoważniejsze.

Gdzieś pośrodku pomiędzy wycieczkowcem i ślepym wołem znajdował się futbolista pchający taczki.

Mniejsza o to, czy pod słowem „futbol” rozumie się piłkę nożną, czy amerykańską dyscyplinę sportu uprawianą przez mężczyzn w kaskach – tak czy inaczej, należało sobie wyobrazić gracza, który próbuje oszukać obrońców i przedrzeć się przez ich szyki. Dobry gracz mógł to zrobić, poruszając się bez dodatkowego obciążenia; nie podołałby jednak temu zadaniu, gdyby musiał dodatkowo pchać przed sobą taczki z wielkim głazem. Tym głazem była oczywiście Amalthea, a taczkami wybudowany wokół niej kompleks wydobywczy. Gdyby to ta analogia miała okazać się najbardziej zbliżoną do prawdy, konieczne byłoby porzucenie taczek.

Ta wizja była dostatecznie wyrazista (i zarazem wystarczająco niepokojąca), żeby niektórzy już w trzydziestym dniu zaczęli się domagać pozbycia się Amalthei. Bardziej trzeźwo myślący analitycy zwrócili jednak uwagę, że gdyby porównać Izzy ze statkiem wycieczkowym, nie ma potrzeby podejmowania tak drastycznych działań; gdyby zaś przyrównać ją do ślepego i kulawego wołu na autostradzie, odrzucenie asteroidy niczego nie zmieni.

Doob nie był w tej sprawie obiektywny, a jego stronnictwo było solidnie zakorzenione w pewnym zamrożonym zarodku: uważał mianowicie, że Kolonię Górniczą należy chronić za wszelką cenę. Kiedy próbował odfiltrować swoje uprzedzenia i absolutnie obiektywnie ocenić modele teoretyczne i dane z obserwacji, dochodził do wniosku, że ława przysięgłych wciąż jeszcze nie zakończyła obrad. Fachowe dyskusje były więc bezproduktywne, mogły co najwyżej ujawnić uprzedzenia uczestników.

I w tym właśnie momencie sprawa komplikowała się dla Dooba z powodów osobistych, ponieważ nie był w stanie zrozumieć, dlaczego ktoś miałby żywić uprzedzenia inne niż on. Dlaczego ktoś miałby chcieć się pozbyć Kolonii Górniczej? Jaka przyszłość czekała Arkę w Chmurze i cały rodzaj ludzki bez takich narzędzi i kwalifikacji?

Konsekwencje tego sporu miały wpływ na wiele całkiem przyziemnych aspektów programu Arki w Chmurze. Jeżeli Izzy miała manewrować z przymocowaną do niej Amaltheą, łącząca je konstrukcja musiała być niezwykle solidna. Inaczej mówiąc: im będzie mocniejsza, tym bardziej heroiczne manewry wytrzyma, a ponieważ zdolność wykonywania takich manewrów sprzyjała przetrwaniu Izzy, zachodziło tu pozytywne sprzężenie zwrotne. I odwrotnie: słabsza konstrukcja ograniczała manewrowość stacji i zwiększała prawdopodobieństwo sytuacji, w której Izzy musiałaby się oddzielić od Kolonii Górniczej, żeby przetrwać. Po co więc ładować cenne zasoby we wzmocnienie konstrukcji, która i tak ma zostać porzucona?

Podobnie przedstawiała się dynamika rozdziału paliwa. Manewrowanie Izzy z uciepioną do niej ogromną skałą wymagało więcej paliwa, przez co zostawało go mniej dla miniarek, co z kolei ograniczało ich autonomię i zasięg. I w ten oto sposób fizyka spychała politykę w jedno z dwóch przeciwstawnych ekstremów: „natychmiast

pozbyć się skały” kontra „za wszelką cenę utrzymać skałę”.

Na Kolonię Górniczą składało się obecnie osiem modułów oraz nadmuchiwana kopuła przytwierdzona bezpośrednio do asteroidy. Roboty przez kilka tygodni spawały trzymetrowej średnicy pierścień do uprzednio przygotowanego kolistego rowka w powierzchni Amalthei. Minęło już około stu dni, odkąd kopułę przytwierdzono do niego i napełniono zdatną do oddychania atmosferą. Nie dało się tam funkcjonować bez skafandra, bo zimna powierzchnia asteroidy skutecznie wychładzała powietrze; na dodatek roboty podczas pracy wytwarzały gazy trujące lub przynajmniej drażniące dla człowieka – ale też nie po to zbudowano kopułę: była niezbędna, by wychwytywać gazy z zainstalowanych w robotach spawarek plazmowych i umożliwiać ich powtórne wykorzystanie. Dzięki temu wydobywanie metali i kształtowanie powierzchni asteroidy postępowało znacznie szybciej niż w początkowej fazie eksploracji, gdy gazy te swobodnie ulatniały się w próżnię. Od tamtej pory armia Dinah została zresztą wzmocniona nowszymi, ulepszonymi wersjami starych robotów; ona sama bezpośrednio kierowała liczącą dwanaście sztuk ekipą, która w systemie zmianowym pracowała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Roboty rozbudowywały tunel, który dawno temu zaczęła drążyć w Amalthei, by uchronić obwody drukowane przed promieniowaniem kosmicznym; powoli wgryzały się w głąb asteroidy i dostarczały rudę do ulepszonej i rozbudowanej huty, w której wytapiano stal. Ponieważ stal ta nie została przewidziana w pierwotnym planie budowy Izzy, wykorzystywano ją do wzmocnienia połączenia z Amaltheą, podtrzymując tym sposobem żar pod politycznym kotłem.

Doob przepłynął przez kilka segmentów Kolonii Górniczej, dopytując się o Dinah i uzyskując wymijające odpowiedzi. Kiedy skierował się do jej warsztatu, wyczuł wyraźny wzrost napięcia, którego nie rozumiał, dopóki Markus Leuker nie wyszedł mu na spotkanie i nie wciągnął go w przyjazną, niezobowiązującą pogawędkę. Doob domyślał się, że gra na czas, żeby Dinah mogła mieć chwilę prywatności.

Od paru miesięcy wszyscy na Izzy wiedzieli, że Dinah uprawia seks z Markusem; nazywano to „wspinaczką na Daubenhorn”. Niedługo po przybyciu Markusa na stację dwie inne kobiety również zdobyły ów szczyt, ale od tamtej pory Dinah miała go na wyłączność. Wedle

standardów wszelkich ziemskich organizacji, korporacji i wojska sytuacja, w której szef sypia z podwładną, stanowiła rażące naruszenie standardów etycznych – jednakże za miesiąc wszyscy pozostali przy życiu ludzie mieli się poniekąd stać podwładnymi Markusa, któremu nie pozostałoby nic innego jak albo łamać zasady, albo już do śmierci trwać w celibacie. Nikt, kto go dobrze znał, nie brał poważnie pod uwagę tego drugiego wyjścia (chyba żeby dokonać na Markusie zabiegu chirurgicznego usunięcia jąder, co niektórzy mieszkańcy Izzy przyjęliby z zadowoleniem), w związku z czym fakt jego szybkiego ustatkowania się z Dinah miał sporo sensu. Może nie było to do końca etyczne rozwiązanie, ale przynajmniej wszyscy wiedzieli, jak się sprawy mają. Zwłaszcza że Dinah na pewno nie była pierwszą naiwną; nikomu przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy, że Markus jej się narzuca czy przymusza ją do czegokolwiek. Była zresztą i druga strona medalu: ludzie czuli się bezpieczniej, kiedy wiedzieli, że Dinah nie grasuje swobodnie po stacji. Wedle standardów plotkarskich Izzy jej romans z Rhysem Aitkenem był wielkim wydarzeniem, a ich rozstanie stało się sensacją godną opisaną w londyńskich brukowcach. Od tamtej pory nie mogła spokojnie napić się kawy w męskim towarzystwie, żeby nie wzniecić nowych plotek, toteż związek z Markusem ogromnie ułatwiał jej życie. Mimo to w dalszym ciągu wszyscy musieli udawać, że nic się nie dzieje – stąd konieczność udziału Markusa i Dooba w przedstawieniu.

– Nie wiem, czy o tym słyszałeś – zaczął Doob – ale na Ziemi wybuchła jakaś bitwa. Między plażą a kosmodromem.

Było widać, że Markus nie ma o niczym pojęcia – co nie było wcale takie dziwne, zważywszy że (a) nie interesował się tą sprawą oraz (b) był zajęty. W tej chwili był również (co zrozumiałe) całkowicie odprężony, toteż skoncentrowanie się na problemie wymagało od niego odrobiny czasu i nie lada wysiłku woli.

– Nie wierzę, że tak to zostawią – odparł.

– Pani prezydent wydała oświadczenie. Wyglądała, jakby kazali jej gryźć śruby.

– Rząd kierowany przez ludzi skazanych na zagładę to nie byle błażostka, ale pewnie to samo można powiedzieć o Wenezuelczykach. – Markus westchnął. – Może powinniśmy po prostu przyjąć paru

wenezuelskich arkonautów; na pewno mają tam jakichś bystrzaków.

– Dwa dni temu to by jeszcze miało sens, ale od tamtej pory zrobiła się z tego sprawa w rodzaju „z terrorystami się nie negocjuje”.

Po twarzy Markusa przemknął cień cierpkiego uśmiechu. Zdążył wcześniej przemyć twarz nawilżonymi chusteczkami, których wszyscy tu używali; Doob wyraźnie czuł przenikający je przemysłowy aromat.

– Naturalnie – powiedział Markus. – Lepiej nie ustanawiać precedensu, który przez następne trzy tygodnie mógłby się nam odbijać czkawką.

Żart, jeśli można go tak nazwać, byłby absolutnie nie do przyjęcia na szerszym forum, a nawet na zebraniu personelu stacji – Markus dawał więc Doobowi do zrozumienia, że ma do niego zaufanie. Doob nie miał w sobie nic z wodza, fascynowali go jednak przywódcy i sposób, w jaki radzą sobie z ludźmi.

– Ivy próbuje ogarnąć konsekwencje niedostarczenia tych miniarek i zapasów.

– Bogu niech będą dzięki za Ivy – odrzekł Markus.

Odkąd objął dowodzenie, przy każdej okazji wychwalał zalety Ivy; Doob domyślał się, że to też musi być umiejętność wpajana prawdziwym przywódcom w produkującej ich Akademii Przywództwa. Chociaż najprawdopodobniej był to po prostu instynkt.

– No dobrze, pora zacząć dzień – dodał Markus. – Dzięki za wprowadzenie w temat.

Podobnie jak większość Europejczyków pracował na trzeciej zmianie, co w tej akurat chwili oznaczało, że zaczyna swój dzień dwie godziny przed czasem.

– Mój dzień pomału się kończy – powiedział Doob – więc pomyślałem, że upiję się z jakimiś górnikami.

– Są najlepsi. – Markus mrugnął porozumiewawczo. – Dinah zaraz przyjdzie. Na pewno ucieszy się na twój widok.

Wyjął telefon z kieszeni skafandra i zapatrzył się na jego ekran; drugą ręką odepchnął się od uchwyty i wypłynął do Komina. Doob został sam pośrodku KMUK-a. Od Dinah dzieliła go tylko zasłona przy wejściu do warsztatu. Zamierzał już powiedzieć: „Puk, puk”, gdy z głośnika po drugiej stronie zasłony dobiegła seria pisków: transmisja alfabetem Morse’a, do której zrozumienia brakowało mu umiejętności. Wcześniej

Dinah się nie poruszała, teraz zaś usłyszała ruch i szelest: gramoliła się ze śpiwora. Doszedł do wniosku, że lepiej jej teraz nie zawracać głowy, i postanowił sprawdzić swoją pocztę.

* * *

Pracowała na pierwszą zmianę, dla niej było więc teraz popołudnie – pora, w której zwykle ogarniała ją lekka senność, nawet jeśli Markus akurat nie pomagał jej się zrelaksować. Miała wrażenie, że gdyby od razu poszła spać, nie wyszłoby to najlepiej – po części dlatego, że miała jeszcze co nieco do zrobienia, a po części dlatego, że w ten sposób wznęciłaby jeszcze więcej plotek. Słyszała, jak za zasłoną Markus wdał się w pogawędkę z Dubois Harrisem; wiedziała, że robi to dla niej, chcąc jej dać chwilę, żeby doszła do siebie. Była mu za to wdzięczna i postarała się jak najlepiej wykorzystać ten czas, szybując w strefie granicznej między snem i jawą – do momentu, gdy zapiszczał radioodbiornik. Od razu rozpoznała, że to nie Rufus: to nie była jego „pięść” – przekaz brzmiał słabo, niepewnie i z pewnością nie był dziełem doświadczonego radioamatora.

Otworzyła szerzej oczy, gdy coś przyszło jej do głowy: może to nadawał tak zwany Kosmiczny Troll? Termin ten zawdzięczali Rufusowi, który pierwszy go użył przed kilkoma dniami:

ODZYWAŁ SIĘ JUŻ DO CIEBIE KOSMICZNY TROLL?

Tak właśnie nazwał nadajnik, którego transmisje zaczął ostatnio często odbierać; jego opis pasował do tego, co w tej chwili słyszała Dinah.

Wyskoczyła ze śpiwora, podkręciła głośność w odbiorniku i zaczęła nasłuchiwać, wciągając koszulkę z krótkim rękawem i sznurowane szorty. Sygnał brzmiał tak, jakby pochodził z nadajnika-samoróbki, którego właściciel ma tylko ogólne pojęcie o praktyce i etykiecie obowiązujących w świecie CW (społeczności radioamatorskiej posługującej się morsem). Jego kropki i kreski były idealnie ukształtowane i płynęły szybko, niemal na pewno używał więc klawiatury komputerowej i aplikacji automatycznie przetwarzającej uderzenia klawiszy na alfabet Morse’a. Wysyłał mnóstwo QRK-ów

i QRN-ów – pytań o siłę jego sygnału i poziom zakłóceń – sugerujących, że nie jest pewny jakości swojego sprzętu.

Rufus twierdził, że po pierwszej reakcji ze strony adresata Kosmiczny Troll odpowiadał serią QRS-ów, oznaczających „proszę nadawać wolniej” – co znów wskazywało na nowicjusza, który z pomocą komputera nieźle radzi sobie z nadawaniem, natomiast pozbawiony tego wsparcia nie nadaje z odczytywaniem odbieranych wiadomości. Nadawał tylko na jednej częstotliwości, tej samej, którą Rufus jeszcze przed rokiem najchętniej wykorzystywał do kontaktów z Dinah. Po tym, jak opinia publiczna zainteresowała się historią rodziny MacQuariech, dowiedział się o tym cały Internet i na wiele tygodni częstotliwość stała się praktycznie bezużyteczna, bo nagle wszyscy radioamatorzy na świecie postanowili porozmawiać z Dinah. Potem rozeszła się wieść, że *père et fille* MacQuarie już z niej nie korzystają i ruch praktycznie ucichł; została dosłownie garstka użytkowników, do których ta informacja najwyraźniej nie dotarła – i jednym z nich był Kosmiczny Troll. W każdym razie najpierw Rufus zaczął ponownie monitorować tę częstotliwość, a z czasem podobnie postąpiła Dinah, która do tej pory nie odebrała jeszcze żadnej transmisji od Trolla. Nie było w tym niczego niezwykłego: jej anteny nie dało się nawet porównać z anteną zainstalowaną przez Rufusa powyżej kopalni, a jej odbiornik mógłby być dziełem zdolnego majsterkowicza z piątej klasy. Z wyjątkiem tych chwil, gdy Izzy przelatywała nad południkiem kopalni, naturalne było, że Rufus i Dinah „słyszą” różnych nadawców.

Rufus utrzymywał, że radiorozmowa z Kosmicznym Trollem wymaga albo cierpliwości, albo poczucia humoru. Fakt, że w eterze wprost roi się od nowicjuszy, jeszcze kilka lat wcześniej wprawiłby Rufusa w słuszny gniew – dzisiaj jednak stał się po prostu znakiem czasów. Wzrost zainteresowania amatorskim radiem i znaczny w tym udział złotodziobów nie powinny nikogo dziwić: wszyscy się spodziewali, że Internet padnie wkrótce po rozpoczęciu Kamiennego Deszczu.

Kiedy wreszcie udawało się nawiązać kontakt z Trollem, Rufus nadawał kod QTH, czyli: „Gdzie jesteś?”, na co otrzymywał odpowiedź QET – komunikat nieoficjalny, rodzaj kiepskiego żartu oznaczający: „Nie na planecie Ziemia”.

Dlatego właśnie Rufus nazwał gościa Kosmicznym Trollem – tym

bardziej, że pomijając inne jego dziwactwa, Troll nie miał znaku wywoławczego (a w każdym razie go nie używał). W tej chwili Dinah odbierała powtarzane co kilka sekund QRA QET, czyli, w przybliżeniu: „Cześć, tu E.T. Czy ktoś mnie słyszy?”.

Nadajnik miała najczęściej wyłączony, kiedy z niego nie korzystała; teraz go włączyła, ale bardzo się pilnowała, żeby nie dotykać mosiężnego klucza telegraficznego. Czyhanie i nasłuchiwanie nikomu nie szkodziło. Gdyby dotknęła klucza, Troll usłyszałby jej reakcję i mogłaby się już nigdy od niego nie opędzić – a tak mogła mieć nadzieję, że po jakimś czasie po prostu sobie odpuści i umilknie. A wtedy ona będzie mogła odezwać się do Rufusa, który za parę minut wychynie zza horyzontu, i poinformować go, że ona także przechwyciła transmisję tajemniczego „kosmity”. Pośmieją się, pogadają parę minut... Ojcu chyba dobrze to zrobi.

Dawno już stało się oczywiste, że Rufus do spółki ze znajomkami z przemysłu górniczego rozpoczął poważne przygotowania do długiego pobytu pod powierzchnią Ziemi. Nie oni jedni wpadli na ten pomysł – na całym świecie ludzie kopali dziury w ziemi, ale większość i tak miała zginąć w pierwszych godzinach lub dniach Kamiennego Deszczu. Mało która organizacja – poza rządem lub wojskiem – podjęłaby się wybudowania podziemnego kompleksu, który przez tysiące lat pozostałby samowystarczalny; jeśli jednak miałyby to być jakaś prywatna inicjatywa, to ekipa Rufusa najlepiej się do tego nadawała. Pytania, jakie zadawał Dinah przez ostatnie dwa lata, nie pozostawiały wiele miejsca na domysły. W kwestii długofalowych perspektyw przetrwania sztucznych ekosystemów stał się nie gorszym specjalistą niż pracujący dla Izzy eksperci.

Otrząsnąwszy się z refleksji na temat Rufusa i jego kopalni, Dinah uświadomiła sobie, że coś się zmieniło w transmisji Trolla: zamiast znajomego rytmu QRA QET, nadawał QSO, co w tym kontekście oznaczało: „Czy możesz nawiązać kontakt z...”. Dalej następował długi ciąg liter i cyfr, niepodobny do żadnych znanych Dinah znaków wywoławczych i niestosujący się do ich konwencji.

Kiedy transmisja powtórzyła się po raz trzeci, Dinah ją zapisała: dwanaście liter i cyfr sprawiało wrażenie całkowicie przypadkowych – tyle tylko, że litery nie wykraczały poza zakres A-F, co sugerowało, że

ma do czynienia z liczbą zapisaną w systemie szesnastkowym, najczęściej używanym przez programistów komputerowych. Fakt, że kod składał się akurat z dwunastu znaków, również stanowił pewną wskazówkę: w niemal wszystkich systemach komputerowych karty sieciowe miały niepowtarzalne adresy zapisywane w takim właśnie formacie. I w tym właśnie momencie Dinah poczuła, jak włoski jeźą jej się na karku.

Początek dwunastoznakowego ciągu wyglądał znajomo. Procesory do kart sieciowych produkowano w dużych partiach; każdy z nich miał inny numer, ale podobnie jak wszystkie fordys zjeżdżające z taśmy montażowej w jednym tygodniu mogły mieć numery seryjne rozpoczynające się od tych samych cyfr, tak i oznaczenia wszystkich chipów w partii zaczynały się od tych samych znaków kodu szesnastkowego. Część używanych przez Dinah scalaków pochodziła z produkcji masowej, przeznaczonych do użytku na Ziemi, lecz miała w warsztacie także inne procesory, odporne na promieniowanie. Przechowywała je jak skarb w ekranowanej szufladzie pod komputerem.

Otworzyła teraz tę szufladę, wyciągnęła pudełko i wyjęła zeń zieloną płytkę drukowaną wielkości mniej więcej listka gumy do żucia, z przylutowanymi różnymi procesorami. Białymi wersalikami nadrukowano na płytce jej adres MAC, którego pierwsze sześć symboli było identyczne jak te w transmisji Kosmicznego Trolla.

Dinah sięgnęła więc do klucza i nadała w odpowiedzi QSO, co – w tym kontekście – oznaczało: „Tak, mogę nawiązać kontakt z...”, i wpisała pełny adres MAC trzymanej w ręce płytki, różniący się od podanego przez Trolla. W ten sposób dawała do zrozumienia: „Nie mogę się skontaktować z numerem, który zacytowałeś, ale mogę z tym, który właśnie podaję”.

QSB, przyszła odpowiedź. „Tracę twój sygnał”. A potem QTX 46, który miał zapewne oznaczać coś w rodzaju: „Czy będziesz dostępna na tym kanale za czterdzieści sześć minut?”. Każdy na pokładzie Izzy zrozumiałby te słowa następująco: „Odezwę się znowu, kiedy wykonacie pół okrążenia Ziemi”.

QTX 46, odpowiedziała Dinah. „Tak”.

Właśnie przelatowali nad linią terminatora dzielącą w tej chwili

Ocean Spokojny na część dzienną i nocną.

Z KIM TAK GADASZ U LICHA?

Wiadomość od Rufusa, głośna i wyraźna. Dinah wyjrzała przez okno: zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej wychynęło zza widnokręgu i pełzło jej na spotkanie, widoczne jako świetlne zarysy delty rzeki Fraser, Puget Sound, Columbii i Zatoki San Francisco. To oznaczało, że z Alaski widać Izzy.

– Puk, puk! – dobiegł zza zasłony głos Dubois Harrisa. Długo czekał.

– Proszę – powiedziała Dinah.

Nadała Rufusowi krótki przekaz, zażartowała z Kosmicznego Trola, i dała znać, że odezwie się później. Zerknęła na zegar na ekranie komputera: dochodziła kropka siedem, czyli w Londynie była siódma rano, a na Alasce dziesiąta wieczorem.

Nastąpiła przerywana i niezborna konwersacja: Dinah usiłowała nie zgubić wątku rozmowy z Harrisem, od czasu do czasu udzielając zdawkowych odpowiedzi Rufusowi.

– W eterze właśnie wydarzyło się coś dziwnego – wyjaśniła Doobowi.

– Napij się czegoś? Dla ciebie jest wieczór, prawda?

– Ja zawsze chętnie się czegoś napiję – odparł Doob – ale mniejsza z tym. Co się dzieje?

Dinah przedstawiła mu sytuację. Doob, początkowo zdezorientowany (najprawdopodobniej przez nadmiar radioamatorskiego żargonu), skoncentrował się, gdy pokazała mu nadrukowane na płytkach adresy MAC.

– Najprostsze wytłumaczenie – zauważył – jest takie, że to prowokacja. Ktoś się z tobą bawi.

– Ale skąd taki prowokator zna te adresy? Nie rozsyłamy ich na prawo i lewo; nie chcemy, żeby ktoś z Ziemi przejmował nam kontrolę nad robotami.

– Byli tu, zdaje się, ludzie od PR, prawda? Fotografowali ciebie i twoje laboratorium. Może ktoś zrobił zdjęcie, na którym szuflada jest otwarta i widać te płytki?

– Tu nie ma ciężenia, Doob. Nie zostawiam rzeczy rozrzuconych na biurku.

– Wydaje się oczywiste, że ktoś tu chce z tobą porozmawiać na osobności...

– I dla potwierdzenia swojej tożsamości podaje informacje, do których bardzo niewiele ludzi ma dostęp. To jasne.

– Chodzi mi o to, że wyrafinowany prowokator szukałby właśnie takich detali na opublikowanych przez NASA zdjęciach, żeby cię oszukać.

– Rozumiem – przytaknęła Dinah – ale wątpię.

– W takim razie kto to może być, jak myślisz?

– Sean Probst. Moim zdaniem to wiadomość z *Ymira*.

Doob zrobił zdziwioną minę.

– Rety, jak ja dawno o nich nie myślałem...

* * *

Może się wydać dziwne, że tak dramatyczna epopeja jak rejs *Ymira* mogła pójść w zapomnienie, ale w takich właśnie żyli czasach.

Statek przestał nadawać, a następnie zniknął na tle słońca mniej więcej miesiąc po starcie z niskiej orbity okołoziemskiej (NOO), około 126. dnia. Dokonane przez teleskopy kilkukrotne obserwacje potwierdziły wejście *Ymira* na orbitę okołosłoneczną, które mogło być przypadkowe lub zamierzone. Zakładając jednak, że *Ymir* realizuje pierwotny plan, powinien był przez ten czas wykonać prawie pełne dwa okrążenia Słońca. Zważywszy, że jego orbita mieściła się wewnątrz orbity Ziemi (jej peryhelium wypadło w połowie odległości między orbitami Wenus i Merkurego), miał stracić na to nieco ponad rok i przed około dwustu dniami niemal otrzeć się o Grega Szkieletora (kometę Grigga-Skjellerupa). Wszystko to wydarzyłoby się jednak po przeciwnej stronie Słońca, co uniemożliwiałoby obserwację postępów misji. W następnym etapie *Ymir* miał wprowadzić w rdzeń komety (lub przynajmniej w jego część) zatknięty na końcu długiej tyczki reaktor atomowy, który po uruchomieniu wypłuje przez pozostawiony przez siebie otwór obłok pary i w ten sposób nada komecie przyśpieszenie. Zamierzali usunąć cały moderator, odpalić reaktor i dmuchnąć chmurą pary z impetem, który na tyle zmieni trajektorię komety, że wprowadzi ją na kurs, na którym około dwustu dni później dojdzie do kolizji z Ziemią – albo przynajmniej z punktem L1. Taka perspektywa czasowa

była dość niefortunna, co wielu ludzi wytykało Seanowi jeszcze przed rozpoczęciem misji, nie mogąc pojąć, dlaczego nie wybrał innej komety albo nie wytyczył innego kursu, który pozwoliłby mu szybciej sprowadzić Grega Szkieletora. Jednakże wszyscy ci, którzy nieco lepiej orientowali się w astrografii Układu Słonecznego, zdawali sobie sprawę, że i tak na cud zakrawa fakt, że jakakolwiek kometa znalazła się w położeniu umożliwiającym jej przechwycenie i ściągnięcie w tak krótkim czasie. Charakteryzujące misję *Ymira* pośpiech i prowizorka, które wzbudziły tyle kontrowersji, zostały wymuszone przez nieubłagane prawa mechaniki niebieskiej. Czas, przyprływy i komety na nikogo nie czekają. Zresztą nawet gdyby dało się sprowadzić jakąś kometa szybciej, byłoby to działanie nierozsądne, a z politycznego punktu widzenia także niewykonalne: co by się stało, gdyby obliczenia okazały się chybione i kometa zderzyła się z Ziemią? Dlatego obrany przez *Ymira* plan był jedynym, który miał szanse powodzenia.

Chociaż oczywiście nie wiadomo było, co z niego wyniknie. A ponieważ kluczowe wydarzenia – w tym spotkanie z kometa i uruchomienie jej atomowego silnika parowego – rozgrywały się po przeciwnej stronie Słońca, powodzenie misji pozostawało wątpliwe do chwili, gdy dwa miesiące temu obserwacje astronomiczne potwierdziły jednoznacznie, że kometa Grigga-Skjellerupa zmieniła kurs. Coś takiego musiało być skutkiem interwencji człowieka. Teraz leciała prosto na nich i wywołałaby na Ziemi masową panikę, gdyby Ziemia nie była już skazana na zagładę. Od tamtej pory obserwowali trajektorię komety, patrzyli, jak powoli przybliżyła się do Ziemi, i obliczali, kiedy w pobliżu L1 znów zniknie im z oczu na tle Słońca. Wtedy ponownie uruchomiony zostanie reaktor: synchronizacja orbity *Ymira* z orbitą Ziemi, a następnie wyprowadzenie go poprzez L1 na wydłużoną elipsę, na której spotka się z Izzy, będzie wymagało potężnego impulsu.

* * *

- Ja codziennie o nich myślę – odparła Dinah.
- Kiedy powinni dotrzeć do L1?
- Lada moment... Ale to będzie potężny skok; mogą chcieć go rozłożyć

na kilka etapów, zamiast odpalać silnik raz a porządnie.

– To brzmi sensownie – przyznał Doob. – Przeciżenia przy zbyt gwałtownym manewrze mogłyby rozerwać lód. Kiedy ostatnio się odzywali?

– W paśmie X? Przez prawdziwe radio? Parę tygodni po starcie, czyli prawie dwa lata temu. Ale najwidoczniej żyją, więc pewnie radio im siadło.

– Przypuśćmy, że tak właśnie było – zgodził się Doob. – Zbudowanie na własną rękę nadajnika, który przesłałby sygnał na taką odległość, to sprawa beznadziejna; najlepsze, na co mogli liczyć, to zmaistrować coś, co zadziała na bliski zasięg... i w niższym zakresie.

– Tata opowiadał mi kiedyś o nadajnikach iskrowych. Były w użyciu...

– Przed wynalezieniem lamp próżniowych i tranzystorów. To jest to!

Dinah nadała do Rufusa:

CZY TO QET NIE BRZMI JAK STARY DOBRY NADAJNIK ISKROWY?

Rufus odpowiedział:

JAK SIĘ NAD TYM ZASTANOWIĆ TO TAK

– Zabrali ze sobą trochę moich robotów – mówiła dalej Dinah. – Wystarczyłoby, żeby spisali adresy MAC z ich płytek drukowanych, i mieliby gotowy toporny dowód tożsamości. Prawdę powiedziawszy...

Zaczęła szukać w komputerze numerów seryjnych urządzeń i części, które przed blisko dwoma laty wydała Seanowi i jego ludziom. Po paru minutach udało jej się potwierdzić, że nadany przed chwilą morsem adres MAC pasuje do jednego z robotów zabranych przez *Ymira*.

– Kto jeszcze ma dostęp do tego pliku, który przed chwilą otworzyłaś? – zainteresował się Doob, nie wychodząc jeszcze z roli adwokata diabła.

– Żartujesz? Nie znasz Seana? Nie wiesz, jakiego ma świra na punkcie tajności i szyfrowania? Te dane są naprawdę dobrze zabezpieczone. Mogłaby się do nich dostać NSA, ale nie jakiś przypadkowy dowcipniś.

– Tak tylko pytam. Strasznie to wszystko naokoło, nie wprost. Dlaczego nie nada: „Cześć, Dinah, to ja, Sean. Radio mi padło”? Nie byłoby prościej?

– Jednak go nie znasz. Posłuchaj, wszystko, co prześle na tym kanale, od razu rozejdzie się po całej Ziemi, wpadnie do Internetu... Wszyscy się dowiedzą, co Sean zamierza. A on nie ma pojęcia, jaka tu jest sytuacja. Nie ma Internetu, od dawna nie ma nawet radia; nie wie, czy tu jeszcze

ktoś żyje. Albo czy nie było jakiegoś przewrotu wojskowego. Nie chciałby wrócić prosto do imperium Klingonów.

– Pewnie masz rację. Spróbuje ostrożnego podejścia, będzie chciał wysondować grunt.

Czterdzieści pięć minut później Dinah zapisała kolejną wiadomość od QTE: przekaz zaczynał się od CKP5, dalej szła liczba 00001, a potem na pozór losowy ciąg liter.

– Jedyne, co z tego zrozumiałam, to „Czytaj, kurwa, podręcznik”; to ten skrótowiec z piątką na końcu.

– Przywiózł tu ze sobą jakieś podręczniki?

– Przywiózł z Seattle różne rzeczy; część zostawił...

– O co chodzi? Czemu się tak zapatrzyłaś w dal?

– Pamiętam, jak go zapytałam, po co to wszystko drukował; dlaczego nie przywiózł kopii na pendrivie, jak wszyscy. Odpowiedział: „Posiadanie na własność firmy kosmicznej ma swoje zalety”.

Pogrzebawszy chwilę w podręcznym magazynku, znalazła je: pół tuzina grubych segregatorów, opisanych jako „Podręcznik pracownika Arjuna Expeditions”, tomy od 1 do 6.

Doob zagwizdał przez zęby.

– Kiedy pomyśleć, ile kosztuje wystrzelenie każdego funta ładunku na orbitę, to coś musi być warte więcej niż Biblia Gutenberga, którą przywieźli nam w zeszłym tygodniu.

Przeszli do razu do tomu piątego, który do złudzenia przypominał wszystkie inne korporacyjne podręczniki.

Jednakże pomiędzy rozdziałami o molestowaniu seksualnym i kodeksie ubioru znajdował się półcalowej grubości plik kartek niezawierający ani odrobiny zrozumiałej treści – w całości zapełniały go przypadkowe ciągi wielkich liter pogrupowanych po pięć, kolumna za kolumną, rząd za rzędem, strona za stroną. Każda kolejna stronica zaczynała się od innej liczby; pierwsza od 00001.

– To pewnie jakiś gówniany szyfr dla harcerzyków. Larz strasznie się jarał takimi rzeczami, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem... – zaczęła Dinah.

– Ja natomiast z niejakim wstydem muszę przyznać, że dokładnie wiem, co to jest. To szyfr z kluczem jednorazowym, najprostszy pod słońcem, a zarazem najtrudniejszy do złamania. Tylko trzeba mieć to. –

Doob potrząsnął trzymanym w dłoni plikiem kartek.

Wyjaśnił istotę szyfru Dinah, która od razu zaczęła deszyfrować wiadomość na piechotę. Doob przez ten czas napisał krótki skrypt w Pythonie, który znacznie przyspieszył jej robotę.

– Kiedy tu szedłem, miałem nadzieję na drinka i pogawędkę o górnictwie w kosmosie – przyznał.

– Nie marudź, to jest o wiele ciekawsze!

Wiadomość brzmiała następująco:

DWÓCH ŻYJE PEŁNA MOC PRZYŚLIJ INFAKT

– Była ich szóstka, prawda? – spytał Doob.

– Musiało się coś stać. Może zderzyli się z jakimś meteorytem, uszkodzili antenę, stracili część ludzi... A może promieniowanie ich wykończyło.

– Tak czy inaczej, wygląda na to, że wracają.

– Tak. Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że będzie chciał się zatrzymać w L1. Tam byłoby znacznie bezpieczniej; wątpię, żeby odłamki Księżyca doleciały aż tak daleko.

Doob ponownie przeczytał komunikat.

– Masz rację – przytaknęła. – Mówi tylko, że mają pełną moc; ani słowa o zejściu na niską orbitę okołoziemską. I prosi o aktualne informacje. – Przetarł twarz dłońmi. – Padam z nóg. Powinienem teraz siedzieć z rodziną na Skypie.

– Zmykaj, dam sobie radę z raportem. Poza tym, odkąd mi pokazałeś, jak to działa, mogę sama szyfrować wiadomości.

Doob odepchnął się od pulpitu i podpłynął do wyjścia, ale w pół drogi wyhamował jeszcze i się odwrócił.

– Sam mógłbym to wykoncypować, ale zrobiło się późno, a ty możesz znać odpowiedź: gdyby Sean przeskoczył na tę orbitę tranzytową, żeby z L1 przylecieć do nas, ile czasu zająłby mu powrót?

– Trzydzieści siedem dni.

– Czyli dotarłby tutaj jakieś siedemnaście dni po rozpoczęciu Kamiennego Deszczu. Taki sobie moment.

Dinah spojrzała na Dooba bez słowa, on jednak wiedział, co myśli: „Taki sobie moment” to w tej chwili najmniejsze z naszych zmartwień.

– W porządku – powiedział. – Dzięki, Dinah.

– Następnym razem – odparła, gestem naśladując podniesienie butelki do ust.

– Następnym razem – powtórzył Doob i wyfrunął za zasłonę.

Dinah spojrzała na zegar. Znając w przybliżeniu położenie *Ymira*, rozumiała już schemat czasowy transmisji. Podczas trwającego dziewięćdziesiąt trzy minuty okrążenia Ziemi Izzy przez pewien czas znajdowała się po niewłaściwej stronie planety, gdzie nie docierał sygnał Seana. Po każdym takim niemy okresie następowało okienko łącznościowe, w którym mogli porozmawiać. Jedno takie okienko właśnie zmarnowali na zapisanie i odszyfrowanie przekazu Seana i za chwilę mieli wejść w kolejny okres niemy; Dinah powinna przez ten czas zdążyć napisać swoją wiadomość i zaszyfrować ją kolejnym kluczem jednorazowym.

Nie do końca wiedziała, co powinna napisać. Mogła podać jakieś oczywiste dane: liczbę orbitujących miniarek, liczebność ich załóg albo liczbę swoich aktywnych robotów, domyślała się jednak, że Sean oczekuje innych informacji. Chciał się pewnie dowiedzieć, jak zostanie powitany, kiedy przybędzie za trzydzieści siedem dni, wlokąc ze sobą górę lodu. Arce w Chmurze na pewno się ten lód przyda, bez dwóch zdań. A Seanowi przyda się Arka w Chmurze: dwóch gości na statku kosmicznym turlającym wielką kulę lodu nie stworzyłoby trwałej cywilizacji. Ale Sean, z natury nieufny, będzie czegoś chciał. Będzie chciał się targować.

Z facetem Dinah.

Po kolei. Przesłanie mu podstawowych danych statystycznych skutecznie zapełni najbliższe okienko. Dinah skupiła się więc na tym zadaniu, zamiast zadręczać się rozważaniami na temat odległej przyszłości. Napisała możliwie jak najbardziej lakoniczną wiadomość i zaszyfrowała ją za pomocą napisanego przez Dooba skryptu.

Punkt L1 w układzie Ziemia-Słońce leżał na łączącej je linii prostej. *Ymir* znajdował się praktycznie w L1, więc gdy tylko Izzy wychynęła spoza Ziemi i znalazła się w świetle Słońca, „widziała” L1 i mogła się porozumieć z *Ymirem*. Następna taka okazja przytrafiła się o 7:30 rano czasu Greenwich, kiedy akurat w Londynie wschodziło słońce. Patrząc przez swoje małe okienko, Dinah widziała w dole linię terminatora oddzielającą na Ziemi dzień od nocy: sunęła przez ujście Tamizy

i rozświetlała kolejne wieżowce w londyńskiej dzielnicy finansowej.

Usiadła przy kluczu telegraficznym, nawiązała łączność z *Ymirem* i wystukała przygotowaną wiadomość. Zużyła na to całe okienko transmisyjne; musiała nadawać bardzo powoli, bo Sean nie najlepiej radził sobie z odczytywaniem alfabetu Morse'a, a ponieważ wiadomość była zaszyfrowana, nie mógł domyślać się brakujących liter z kontekstu i każdy znak musiał zostać odebrany poprawnie. Zanim uwinęła się z transmisją, Izzy zdążyła obieć pół świata i prawie, prawie zanurzyć się znowu w mroku. Na zakończenie Dinah wysłała CDN, które – miała nadzieję – zostanie zrozumiane jako „ciąg dalszy nastąpi”.

Krótko przed dziewiątą czasu londyńskiego (czyli godziną kropka dziewięć w obowiązującej na Izzy nowomowie) szykowała się do otwarcia następnego okna transmisyjnego, gdy do warsztatu bez pukania wparowała Ivy.

– Chcę wyjrzeć przez twoje okno – oznajmiła.

– Proszę bardzo. A co się stało? – spytała Dinah.

Bo coś musiało się stać. Ivy miała dziwną minę, a poza tym wyraźnie powiedziała „twoje okno”, a nie „twoje okno”.

– A co takiego niezwykłego jest w moim oknie? – zdziwiła się Dinah.

– Jest blisko ciebie.

– Wszystko w porządku? – spytała Dinah.

Bo ewidentnie coś było nie w porządku. Przyszło jej do głowy, że ktoś przechwycił transmisję morsem i teraz będzie miała kłopoty – ale gdyby o to chodziło, Ivy nie przyszłoby powyglądać przez okno.

Spojrzała pytająco na przyjaciółkę, która podpłynęła prosto do okna i przyjęła taką pozycję, by móc patrzeć na Ziemię. Terminator prześliznął się tymczasem po Atlantyku i słońce rozświetliło najdalej na wschód wysunięte wybrzuszenie Ameryki Południowej. Izzy lada chwila miała przelecieć ponad równikiem.

– Cał się odezwał – powiedziała Ivy, ale bez tradycyjnej przy takich okazjach nutki zadowolenia w głosie.

– To dobrze. Myślałam, że są w zanurzeniu.

– Jeszcze dwie godziny temu byli.

– Wynurzyli się?

– Wynurzyli się.

– Gdzie?

- Tam.
- Skąd wiesz? Przecież nie mógł ci przysłać współrzędnych...
- Wiem, bo umiem dodać dwa do dwóch.
- Co powiedział?
- Żebyśmy się przygotowali na przyjęcie lotów z Kourou.
- Uruchomią kosmodrom?

Ivy zapało dech w piersi.

Dinah podpłynęła do niej, zatrzymała się za jej plecami, objęła ją i wyjrzała znad jej ramienia. Teraz miały taki sam punkt widzenia.

Dokładnie wiedziały, gdzie znajduje się Kourou: regularnie go wypatrywały, czasem nawet udawało im się dostrzec rozbłysk ognia na stanowiskach startowych.

Ivy zareagowała jednak na coś innego: wzdłuż całego wybrzeża wybuchały małe iskierki, ich ogień rozlewał się lekko i przygasał. Cała seria rozbłysła pomiędzy plażą i Diabelską Wyspą.

- Co to takiego, u licha? – zdumiała się Dinah. – Atomówki?
- Nie wiem – odparła Ivy.

Odpowiedzią na pytanie Dinah stał się znacznie większy i jaśniejszy rozbłysk światła na północnym zachodzie wybrzeża, który po chwili przygasał i przemienił się w lekko świetlistą kulę rozrastającą się ku górze.

- To chyba była atomówka – powiedziała Ivy.
- Czyli co, zbombardowaliśmy... Wenezuelę?

Chwilę trwało, zanim ich wzrok przywykł do zmiany warunków – i właściwie dobrze się stało, bo ich umysły również potrzebowały chwili, żeby przetrwać fakty. Kiedy światło przygasało, dostrzegły, że chmura w kształcie grzyba unosi się nie nad lądem, lecz nad oceanem, kilka mil od brzegu.

- Pokaz siły? – podsunęła Dinah. – Widoczny z Caracas?
- Po części tak – przytaknęła Ivy – ale wczoraj Wenezuelczycy zapowiedzieli, że cała ich flota wojenna płynie na Kourou, żeby zaprowadzić porządek. Założę się, że ta flota już nie istnieje.
- A te małe eksplozje bliżej kosmodromu?
- Bomby paliwowo-powietrzne, tak myślę. Zniszczenia podobne jak przy taktycznej atomówce, a nie ma ryzyka skażenia kosmodromu.

Ivy wysliznęła się z objęć Dinah i odwróciła plecami do okna. Unosiły

się w powietrzu bardzo blisko siebie.

Dinah w końcu skojarzyła fakty.

– Powiedziałaś, że okręt Cala się wynurzył. Że jest na powierzchni. I że Cal coś wie. Myślisz...

– Ja to wiem. – Ivy poruszyła bezgłośnie ustami.

Cal otrzymał bezpośredni rozkaz od JBF i odpalił raketę z głowicą jądrową. Najprawdopodobniej wystrzelił też pociski manewrujące z ładunkami paliwowo-powietrznymi.

Ludzie snuli domysły, że Ivy i Dinah oddaliły się od siebie przez ostatni rok – ale to byli ci sami ludzie, którzy od początku utrzymywali, że się nie dogadują. Nie było sensu śledzić ewolucji ludzkich wyobrażeń. Utrata przez Ivy stanowiska na rzecz faceta Dinah z pewnością nie pomogła, ale one same nigdy się nie poróżniły. Po prostu ich relacja się skomplikowała.

Ivy była z natury skora do rozmowy, tyle że w aktualnej sytuacji niewiele było do obgadania. Po dłuższej chwili znalazła jednak odpowiednie słowa.

– Najgorsze jest w tym wszystkim chyba to, że pozostaną mi po nim tylko wspomnienia – powiedziała. – Dlatego starałam się hołubić te najlepsze, żeby zabrać je ze sobą.

Jeszcze się nie rozpląkała, lecz głos leciutko jej zmiękł, stał się bardziej aksamitny.

– Dobrze wiesz, że nie miał wyboru. Hierarchia dowodzenia cały czas obowiązuje.

– Oczywiście ja to rozumiem, tylko że... Nie tego chciałam.

– Od początku wiedzieliśmy, że będzie źle – powiedziała Dinah.

Zapisał odbiornik.

– Oho...

– A któż to taki, do cholery? – zdziwiła się Ivy.

– Sean Probst. Wrócił.

Ivy posiedziała jeszcze chwilę w warsztacie, podczas gdy Dinah z mozołem wystukiwała drugą część raportu. Zanim Ameryka Południowa całkiem zniknęła im z oczu, kłęby czarnego dymu znad zgliszcz Ludowej Blokady Sprawiedliwości – rozwleczone wiatrem daleko na północny wschód – rzuciły długie cienie na pomarszczoną skórę Atlantyku. Nad Kourou znów zapłonęły iskierki, tym razem

jednak były to płomienie z dysz silników na paliwo stałe wynoszących w kosmos rakiety towarowe.

– I wracamy do pracy – zauważyła Ivy. – Chyba powinnam jeszcze raz przejrzeć te arkusze kalkulacyjne.

– Myślisz, że Cal jest jeszcze na powierzchni? Można by się z nim porozumieć?

– Nie sądzę – odparła Ivy tonem, który sugerował, że i tak nie wiedziałyby, co mu powiedzieć. – Nie przypuszczam, żeby standardowa procedura przewidywała pozostanie na miejscu po wystrzeleniu rakiety z głowicą jądrową.

* * *

Niektóre aspekty kultury Arki w Chmurze budziły sprzeciw doktor Moiry Crewe. Uważała za niestosowne mieszkanie w miejscu pozbawionym kawiarni, w których rano można by zjeść śniadanie, oraz pubów, w których wieczorem można by poudzielać się towarzysko. Po części wynikało to z przeludnienia, po części z podziału ludzi na trzy zmiany robocze, które uniemożliwiały ustalenie wspólnych pór ranka i wieczoru, i po części z faktu, że Arkę zaprojektowali amerykańscy i rosyjscy inżynierowie, niezdający sobie sprawy ze znaczenia takich niuansów. Odbyła sporo rzeczowych pogadank na ten temat z Luisą, która dobrze ją rozumiała, i wspólnie powzięły niezobowiązujące postanowienie, że spróbują coś w tej kwestii zmienić, gdy rozpocznie się Kamienny Deszcz i na Arce w Chmurze zapanuje jakiś długofalowy porządek. Moirze marzyło się posiadanie własnego lokalu gastronomicznego, być może wydzielonej miniarki, która spełniałaby takie właśnie funkcje społeczne. Nie wiedziała tylko jeszcze kiedy i jak powinna to zorganizować.

Rzecz jasna, zdawała sobie sprawę, że ma inne, o wiele ważniejsze obowiązki: to głównie na jej barkach spoczywała odpowiedzialność za przetrwanie rodzaju ludzkiego i większości innych gatunków. Nie wypadało, żeby spędzała czas na podawaniu espresso i sprzątanii ze stolików. Na razie nie mieli nawet możliwości uprawiania kawy ani jęczmienia, więc gdy zapasy się wyczerpią (co nastąpi diabelnie szybko),

pozostanie jej serwować oranżadę w proszku. Takie jednak miała marzenie, a do czasu jego zrealizowania mogła używać kuchni przy Fermie jako czegoś w rodzaju laboratorium badawczego. Codziennie wstawiała o godzinie kropka osiem, udawała się do P2, skąd szprychą schodziła do T3. Tam przyrządzała sobie kubek obrzydliwej liofilizowanej kawy i miskę równie ohydnej liofilizowanej owsianki, po czym siadała do śniadania przy małym stole konferencyjnym pośrodku Fermi. Często dołączali do niej inni zaspani trzeciozmianowcy. Jednym z nich był Markus Leuker – zazwyczaj zbyt zajęty, żeby pogadać z kimś przy kawie, dla Moiry robił czasem wyjątek. Czasami przysiadł się Konrad Barth albo Rhys Aitken, bywało, że pojawiła się Tekla... Z nich wszystkich to właśnie Tekla była najbardziej interesująca, i to z kilku powodów. Mówiąc bez ogródek, należała do innej kasty społecznej. Moira, Doob, Konrad, Rhys i wielu innych zwykłych mieszkańców zaliczali się do ludzi, którzy mogliby się spotkać w Davos, na konferencji TED, w panelu dyskusyjnym albo think tanku. Ale nie Tekla. Mając za sobą niecodzienną karierę żołnierki, olimpijki, oblatywaczki i kosmonautki, z całą pewnością była osobą dostatecznie interesującą, żeby zapraszano ją do tego rodzaju gremiów, ale słaba znajomość angielskiego i brak ogłady towarzyskiej wykluczałyby zaproszenie jej w roli prelegentki. Po tym, jak odniosła obrażenia podczas ucieczki z uszkodzonego Łuka, została połatana przez amatorów; na Ziemi trafiłaby prosto w ręce chirurga plastycznego, a na Izzy po prostu pogodziła się z ostatecznym efektem. Moira żałowała, że za słabo mówi po rosyjsku, żeby porozmawiać z Teklą o jej pomysłach na kwestię prezencji i dbałości o wygląd. Blizny na twarzy wyrzucały ją daleko poza nawias norm kobiecej urody, a ona świadomie podkreślała ten efekt, strzygąc się na rekruta. Mimo to – a może właśnie z tego powodu – była, mówiąc wprost, cholernie pociągająca, i chociaż Moira nie miała ochoty stawiać czoła temu akurat faktowi, atrakcyjność seksualna stanowiła nieodłączną część ludzkiej natury i nie było sensu udawać, że jest inaczej. Ona sama była zasadniczo heteroseksualna. W młodości przespała się z dwiema różnymi kobietami – z jedną w Cambridge w Anglii, z drugą w Cambridge w stanie Massachusetts. Wyszło znakomicie i z pewnością nie żałowała tych doświadczeń, wymagały jednak od niej poważnych przemyśleń. Stanowczo zbyt wiele rozważań

o społecznej roli płci i tematach pokrewnych poprzedzało przelotne namiętne uniesienia i następowało po ich zakończeniu. Żaden z tych dwóch związków nie przetrwał zbyt długo.

Przyszło jej teraz do głowy (mimo że usilnie starała się odsuwać od siebie takie myśli), że Tekla byłaby zupełnie inną partnerką – i musiała sama przed sobą przyznać, że taka perspektywa prezentuje się nadzwyczaj intrygująco. W ustnej tradycji kulturalnej Izzy zapisała się cała epopeja o seksualności Tekli, zrodzona parę tygodni po jej ocaleniu i do złudzenia przypominająca rozbudowaną operę mydlaną z miłosnym trójkątem (lub nawet czworokątem) męsko-damskim, z którą jednak Moira nigdy nie miała ochoty bliżej się zapoznawać. Ogólny jej sens był taki, że po paru miesiącach Tekla otwarcie sypiała z innymi kobietami, prowokując rozliczne analizy, komentarze i dramaty. Analiz dokonywali najczęściej teoretycy gender, zwracający uwagę na pewien krępujący fakt: Tekla wyglądała dość męsko już podczas występów na olimpiadzie, kiedy jej wizerunek został propagandowo uładzony, z czasem zaś to wrażenie jeszcze się pogłębiło. Jej coming out (choć nie dokonała go oficjalnie) wzmacniał zatem istniejące stereotypy na temat sportswomenek. Autorami komentarzy były miliony internetowych idiotów, dramaty zaś rozgrywały się w związkach Tekli z Rosjanami stanowiącymi liczny i zwarty blok mieszkańców ISS. W miarę jak na Arce w Chmurze przybywało mieszkańców różniących się narodowością i preferencjami seksualnymi, sprawa przysychała i Rosjanie oswoili się z sytuacją, zwłaszcza że mieli inne, pilniejsze sprawy na głowie. Zepchnięta na margines Tekla stała się jednak osobliwością, samotniczką oddalającą się coraz bardziej od jedynych ludzi, z którymi mogła swobodnie porozmawiać. Politycznie poprawni lewicujący akademicy spodziewali się, że przejdzie osobistą przemianę i upodobni się do nich, lewicujących akademików, ona jednak zachowała wpojone dawno temu poszanowanie ładu i dyscypliny, które uczyniło z niej znakomitego Skauta, a także kazało jej założyć nelsona Seanowi Probstowi i zagrozić mu przyduszeniem. Siedząc naprzeciw niej przy stole, dzióbiąc owsiankę i sącąc kawę, Moira zastanawiała się od niechcienia, czy Rosjanka zdaje sobie sprawę z istnienia całego podgatunku internetowego porno poświęconego wyimaginowanemu (i bardziej lub

mniej sadomasochistycznym) aktom seksualnym, w których główne role odgrywają ona i Sean.

Tak czy inaczej, fakt, że Tekla przysiadła się czasem przy śniadaniu do Moiry, był na pewno jakąś deklaracją z jej strony, nawet jeśli trudno byłoby go nazwać otwartym zaproszeniem do czegokolwiek.

Zaprzątnięta takimi myślami Moira nie od razu zauważyła, że w Fermie zaroilo się od ludzi wpatrzonych w ogromny Monitor Kontroli Stanu zawieszony ponad stołem, przy którym spożywały z Teklą śniadanie. Z miejsca, w którym siedziała, niewiele widziała, musiała się więc przesiąść. Monitor wyświetlał transmisję z telewizyjnego kanału informacyjnego, w której ze skrawków nakręconego komórką filmiku zmontowano z grubsza zrozumiałą historię. Na początku Ludowa Blokada Sprawiedliwości unosiła się na wodach oddzielających Diabelską Wyspę od stałego lądu. Na końcu promienie słońca padały na zbełtaną maź, gęstą od szczątków łodzi i zmasakrowanych ciał, przezierającą przelotnie spośród kłębow dymu. W środku filmu było widać nadlatujące od strony morza czarne kropki i fantastyczne ogniste bąble, które rozrastały się, pochłaniały olbrzymie przestrzenie, a na koniec pękały i znikały, zostawiając po sobie wraki, które wyglądały jak zmiażdżone młotem kowalskim i oblane napalmem.

Zapętłony film przedstawiał również sterylne trójwymiarowe animacje okrętów podwodnych i pocisków manewrujących, a także sceny z centrum prasowego w Białym Domu, gdzie pani prezydent wygłosiła krótkie oświadczenie, a następnie przekazała pałeczkę przewodniczącemu Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Inni przywódcy państwowi łączyli się ze studiem z Downing Street, Kremla, Berlina.

Wszystko to całkiem skutecznie przykuwało uwagę widzów, w końcu jednak Moira postanowiła wrócić do jedzenia... i w tej samej chwili kątem oka dostrzegła jakiś błysk na ekranie. Podniosła wzrok: nad oceanem unosiła się chmura w kształcie grzyba.

– Coś przegapiłam? – spytała. – To mi nie wygląda na meteoryt.

– Atomówka – wyjaśniła Tekla.

Moira spojrzała na nią. Spojrzenie Tekli, zdaniem niektórych oziębłe, spoczęło na niej. Moira nie widziała w nim niczego oziębłego.

O dziwo, Tekla z zakłopotaniem spuściła wzrok.

– Wenezuela – dodała. – Ich flota wojenna to już nie problem. Rakiety znów startują.

Wzruszyła ramionami. Miała na sobie podkoszulkę na ramiączkach i Moira nie mogła oderwać wzroku od jej mięśni naramiennych.

Nie powinna się tak na nią gapić.

– Na plaży były bomby paliwowo-powietrzne – mówiła dalej Tekla. – Wyjątkowo niszczycielskie. – Rozparła się wygodnie i od niechcienia zarzuciła rękę na oparcie sąsiedniego krzesła. – Co pani o tym sądzi, pani doktor?

– Mów mi Moira, proszę.

– Przepraszam. To ten rosyjski oficjalny styl.

Być może Tekla była ostrożniejsza, niż mogło się wydawać. Spodziewała się, że ktoś taki jak doktor Crewe będzie przerażony faktem, że ludzie obrzucają się nawzajem bombami atomowymi, i chciała jak najszybciej rozprawić się z tym problemem.

Zatraciwszy się w kontemplacji ramienia Tekli, Moira aż podskoczyła, gdy wysoki barczysty mężczyzna klapnął na krzesło obok. Podniosła wzrok i rozpoznała Markusa Leukera. Na stole postawił kubek z kawą i przez chwilę kontemplował go w zadumie, jakby celowo nie chciał patrzeć na filmowane z różnych ujęć centra prasowe i grzyboksztaltne chmury. W końcu odwrócił się do Moiry, uniósł brwi, skinął jej głową, a potem w ten sam sposób przywitał się z Teklą.

Tym sposobem Moira została wybawiona od konieczności odpowiadania na pytanie Tekli.

Markus na nie odpowiedział, chociaż nikt go o to nie prosił:

– Zdaję sobie sprawę, że bycie człowiekiem, którego ojczystym językiem jest niemiecki, stawia mnie w nieco niezręcznej pozycji, więc przyznaję bez bicia: tak, mam świadomość tej niezręczności. Tego bagażu. Delikatności sytuacji. Ale...

– Wiedziałeś, że do tego dojdzie? – weszła mu w słowo Moira.

– Nie. To dla mnie całkowite zaskoczenie.

Moira pokiwała głową.

– Ale gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie, powiedziałbym „tak”.

– Oni wszyscy i tak umrą – dodała Tekla, również kiwając głową.

W tej właśnie chwili Moirę uderzyło to, jak swobodnie czują się Markus i Tekla w swoim towarzystwie. Właściwie nie było w tym nic

dziwnego. Preferencje seksualne Tekli nie powinny Markusowi przeszkadzać – przeciwnie, świadomość jej niedostępności znacząco ułatwiała życie komuś takiemu jak on. On był byłym pilotem wojskowym, ona również; nie dziwota, że w niektórych sprawach byli ze sobą zgodni. Początkowo – w pierwszym roku istnienia Arki w Chmurze – Tekla była kimś w rodzaju wędrownego robotnika. Mogło się wydawać dziwne, że stację kosmiczną stać na utrzymanie pracownika bez konkretnego przydziału, ale ponieważ żadnemu ze Skautów nie wróżono długiego życia, przybywali na orbitę bez wyraźnie zarysowanych planów na przyszłość. Oddaliwszy się od Rosjan, którzy przyjęli na siebie główne brzemie pracy w otwartym kosmosie, miała się różnych zajęć. Znała wewnątrz Izzy jak nikt inny, umiała latać miniarką, a przy okazji mogła też włożyć skafander i spawać w próżni. Okres jej bezcelowego bląkania się po stacji skończył się z chwilą przejęcia dowództwa przez Markusa. Moira nie wiedziała, czym dokładnie zajmuje się teraz Tekla, wyczuwała jednak wyraźnie, że Rosjanka podlega bezpośrednio Markusowi, który zlecił jej jakieś poufne zadanie.

– Rzeczywiście, oni umrą – zabrzmiał inny głos – ale my nie.

Luisa. Stała za plecami Tekli i bez słów zapytała, czy może usiąść na krześle, o które tamta się oparła. Wiedziona uprzejmością Tekla wstała i odsunęła jej krzesło.

– Nie wszyscy umrzemy – mówiła dalej Luisa. – Taką przynajmniej mam nadzieję. Widzieliśmy, co się wydarzyło. Zapamiętamy to. Zresztą nie tylko to. Ale za kilka godzin zaczniemy odbierać transporty z Kourou, czerpiąc korzyści z użycia ładunków paliwowo-powietrznych i broni atomowej przeciw praktycznie bezbronnym ludziom. To zostanie w naszym DNA. – Zerknęła na Moirę. – Proszę mi wybaczyć tę poetycką metaforykę, pani doktor.

Moira uśmiechnęła się półgębkiem i skinęła głową.

– Czy to znaczy, że się z nami nie zgadzasz? – spytał Markus.

– Nie – odparła Luisa. – Wyjaśnijmy sobie coś, Markusie. Ja też dźwigam swoje brzemie. Z pochodzenia jestem Latynoską. Całe życie spędziłam wśród uchodźców na łodziach. Jestem też żydówką. To właśnie jest mój bagaż. Czy to jasne?

– Rozumiem – odparł Markus.

– Nie jestem na Ziemi; nie wiem, kto i co doradzał JBF; nie mam

pojęcia, co takiego ona wie, czego my nie wiemy.

– Do czego zmierzasz? – spytał Markus rzeczowo, ale grzecznie.

– Nie mamy tu żadnych przepisów. Konstytucji. Systemu prawnego. Policji.

Markus z Teklą zerknęli sobie w oczy ponad stołem. Nie było to spojrzenie ukradkowe, przebiegłe ani porozumiewawcze – to było spojrzenie znaczące.

– Pracujemy nad tym – odparł Markus.

Bynajmniej nie żartował. Od czasu podpisania Porozumienia znad Jeziora Kraterowego cały złożony z konstytucjonalistów think tank mozolił się nad tym zadaniem w Hadze; od tamtej pory jeden z tych specjalistów zamieszkał nawet na Arce w Chmurze.

– Wiem – przyznała Luisa – i zależy mi na tym, żeby takie okropności, jakie przed chwilą oglądaliśmy, nie miały negatywnego wpływu na ten proces. Nie powinniśmy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

Markus i Tekla – nadal mierzący się wzrokiem – doszli chyba zgodnie do wniosku, że lepiej będzie się nie odzywać.

Telefon Moiry zawibrował. Zerknąwszy na wyświetlacz, stwierdziła, że za piętnaście minut jest umówiona. Wymówiła się od dalszego udziału w spotkaniu przy kawie, które przybierało coraz dziwniejszy obrót – chociaż przy jego okazji pozbyła się paru sentymentalnych złudzeń. Przyszła tu z nadzieją, że uda jej się w jakiś sposób odtworzyć doświadczenie śniadania w europejskiej ulicznej kafejce, a zamiast tego została poczęstowana półgodziną porcją wojny atomowej, masowego palenia protestujących i poważnej dysputy etycznej, przemieszanych z niespodziewanie wyostrzonym napięciem erotycznym pomiędzy nią i Teklą. Podobnie jak całkiem sporo mieszkańców Arki w Chmurze, od przybycia na orbitę nie uprawiała seksu. Ci, których sumień nie obciążało porzucenie skazanych na zagładę małżonków i narzeczonych, chętnie angażowali się w związki erotyczne, równie wielu było jednak takich, którzy całkowicie stronili od seksu. Taka sytuacja nie miała prawa trwać wiecznie. Dwie zacumowane do Izzy kapsuły przeznaczono specjalnie na schadzki małżeńskie, a poza tym wszyscy znali dyskretne zakamarki stacji, gdzie również można było to zrobić. Moira nie miała nikogo na Ziemi. Od seksu powstrzymywał ją brak bliskiej osoby tutaj, na górze, ale także fakt, że Arka była chyba najmniej seksownym

miejszem, jakie można sobie wyobrazić. Zaczynało jednak działać jej to na nerwy.

Jednym z punktów na jej prywatnej liście spraw do załatwienia było opracowanie polityki ciążyowej na Arce w Chmurze. Ponieważ kobiety ciężarne nie różniły się zbyt wiele od nieciężarnych, problem sprowadzał się do poradzenia sobie z niemowlętami. Arkitekci zakładali, że będzie to proces uporządkowany od początku do końca: ktokolwiek zajdzie w ciążę, uczyni to z zamiarem zamrożenia zarodka, by później, kiedy warunki staną się bardziej sprzyjające wychowywaniu dzieci, wszczepić go innej kobiecie. Po tym, jak spędziła na orbicie prawie rok, taki model budził poważne wątpliwości Moiry. Jej zdaniem arkitekci nie docenili różnic kulturowych pomiędzy zwykłymi mieszkańcami i arkanami.

Do niedawna nazywano ich „arkonautami” – i ta nazwa nadal obowiązywała we wszystkich oficjalnych dokumentach. Później ktoś jednak ukuł określenie „arkanie”, które w typowym dla internetowych fenomenów tempie w ciągu dwudziestu czterech godzin obiegało całą planetę i zostało powszechnie przyjęte.

Arkanie byli dziećmi, które miały zdumiewająco rzadki kontakt ze zwymieszami. Zamieszkiwane przez nich miniarki nie mogły swobodnie zmieniać pozycji w roju. Przechodzenie pomiędzy arkami graniczyło z niemożliwością: była to heroiczna podróż w skafandrze próżniowym, wymagająca nieprzeciętnych umiejętności i obycia z mechaniką orbitalną. Istniały wprawdzie małe pojazdy użytkowe, nazywane „rupieciami” i wożące ludzi po całym kompleksie Arki w Chmurze, było ich jednak niewiele, podobnie jak pilotów przeszkolonych w ich prowadzeniu.

Idąc za radą Luisy, Markus starał się zaradzić tej sytuacji poprzez „mieszanie w kotle”, czyli dbanie o to, żeby około dziesięciu procent arkan stale mieszkało i pracowało na pokładzie Izzy. Jednakże przez większość czasu większość z nich tkwiła na pojedynczych miniarkach, w triadach lub heptadach, a łączność ze zwymieszami zapewniały im wideokonferencje („Scape”), media społecznościowe („Spacebook”) i inne zdobycze techniki przeszczepione z ziemskiej rzeczywistości. Moira mocno by się zdziwiła, gdyby żadna z dziewcząt nie zaszła jeszcze w ciążę – nikt jednak nie przyszedł do niej z prośbą o zamrożenie embrionu.

Każdy normalny człowiek, który w ślad za nią przemierzyłby Zwiezdę i zszedł „na dół” do chłodni, zrozumiałby, dlaczego nic takiego nie nastąpiło. To miejsce nie miało w sobie absolutnie niczego, co mogłoby podziałać na wyobraźnię ludziom myślącym o założeniu rodziny. Było do tego stopnia kliniczno-industrialne, że na jego widok chciało się śmiać.

Moira liczyła jednak na to, że właśnie z tego powodu wyda się atrakcyjne nowo przybyłym, którzy punktualnie stawili się na umówione spotkanie. Przylecieli kilka godzin wcześniej w kapsule pasażerskiej wystrzelonej z przylądka Canaveral – wystarczająco dawno, żeby leki przeciwwymiotne zaczęły działać i zdążyli wziąć się w garść. Był to skromny kontyngent z Filipin: naukowiec specjalizujący się w genetycznych modyfikacjach odmian ryżu, socjolożka pracująca z marynarzami z filipińskich frachtowców (na orbicie będzie zapewne współpracować z Luisą) i dwoje arkan pochodzących – sądząc po wyglądzie – z grup etnicznych równie odmiennych jak Islandczycy i Sycylijczycy. Jedno z nich przywiozło ze sobą nieodłączną lodówkę turystyczną zawierającą (Moira dobrze o tym wiedziała, bo przynajmniej raz dziennie przyjmowała takie grupy na stacji) nasienie, komórki jajowe i zarodki zebrane od dawców rozsianych po całym kraju pochodzenia – czyli, w tym wypadku, po całych Filipinach. Odebrała ją z należytym szacunkiem, niczym japoński biznesmen przyjmujący wizytówkę innego biznesmena. Podniosła wieko i zajrzała do środka. Po dnie wałały się jeszcze bryłki suchego lodu: dobry znak. Fiolki wielkości palca tkwiły w sześciokątnej klatce. Sprawdziła kilka z nich pistoletowym termometrem na podczerwień i upewniła się, że żadna nie uległa rozmrożeniu. Dla ochrony przed zimnem naciągnęła bawełniane rękawiczki, wyjęła kilka fiolek i sprawdziła, czy są należycie opieczętowne, opisane i opatrzone kodem kreskowym w sposób przewidziany w Trzecim Dodatku Technicznym do Porozumienia znad Jeziora Kraterowego, tom III, rozdział 4, punkt 11. Były. Tego właśnie należało oczekiwać po filipińskim genetyku, doktorze Miguelu Andradzie.

Doktor Andrada domyślał się zapewne, że żadna z tych próbek nie ma najmniejszych szans przeobrażenia się w świadomą formę życia, nie był to jednak temat, który Moira chciałaby w tej chwili poruszać. Na użytek

pozostałych przybyszów wygłosiła przygotowaną zawczasu (choć udającą spontaniczną) przemowę, w której podziękowała im (a w domyśle – wszystkim mieszkańcom Filipin) za obdarzenie jej zaufaniem i powierzenie Arce w Chmurze tego bezcennego skarbu, a także zasugerowała (choć nie obiecała) przyszłość, w której z każdej plastikowej fiolki jak z rogu obfitości wysypią się tętniące życiem istoty ludzkie. Teraz przybysze powinni udać się do swoich miniarek i esemesami lub przez Facebooka przekazać treść jej przemowy na Ziemię, do przyjaciół i bliskich. Zawarta w tych w słowach obietnica miała powstrzymać ich przed przesadnym awanturowaniem się, gdy będą czekali swojego końca. Gdyby zaś ta metoda zawiodła, tak jak zdarzyło się to w przypadku Wenezueli, to trudno: JBF zawsze może na nich zrzucić atomówkę.

– Mógłbym zobaczyć, jak to wszystko funkcjonuje? – zagadnął doktor Andrada, gdy reszta jego delegacji ruszyła w swoją stronę.

We dwoje z Moirą szybowali w powietrzu w podłużnym wąskim module cumowniczym sterującym ze stacji w stronę nadiru. Jego drugi, „dolny” koniec był zamknięty włazem zaopatrzoną w klawiaturę. Większość pomieszczeń w Izzy była otwarta dla wszystkich, którzy chcieliby się rozejrzeć; na orbitę przybywało niewiele podejrzanego elementu. Jednakże GAL – cieszące się statusem miejsca na wpół świętego Genetyczne Archiwum Ludzkości – zamykano na cyfrowy odpowiednik zamka.

Doktor Andrada był niskim żylastym mężczyzną o wydatnych kościach policzkowych. Podobnie jak wielu znanych Moirze genetyków specjalizujących się w roślinach, miał śniadą, ogorzałą skórę: spędzał dużo czasu na poletkach doświadczalnych, grzebiąc w najprawdziwszej ziemi. Gdyby nie ładniutkie okulary, mógłby uchodzić za rolnika z dowolnej części Azji Południowo-Wschodniej – zrobił jednak doktorat na University of California w Davis i przed objawieniem się Agenta był pewniakiem do Nagrody Nobla.

– Naturalnie – przytaknęła Moira. – I tak chciałam pogadać o tym, w jaki sposób będziemy tu, na górze, hodować inne rzeczy niż ludzi.

– Rzeczywiście, powinniśmy o tym porozmawiać – zgodził się z nią Andrada.

Moira przepełnęła na dół, robiąc powolne salto w locie, żeby

wylądować przy klawiaturze. Uruchomiła skaner siatkówki, który po chwili rozpoznał w niej doktor Crewe i odblokował zamek wjazdu. Złapała się umieszczonego na ścianie uchwyty, zaparła się i otworzyła wjazd, a następnie przepłynęła do znajdującego się po drugiej stronie modułu cumowniczego; ledwie zmieścili się w nim we dwoje z Andradą. Białe LED-y włączyły się automatycznie. Moira zdjęła ze ściany wiszącą tam nylonową uprząż z doczepionymi paroma elektronicznymi gadżetami i zapięła ją sobie w pasie.

Weszli do modułu od strony zenitu. W ścianach na sterburcie i bakburcie znajdowały się otwory przesłonięte okrągłymi klapami z plastiku. Pośrodku każdej z klap sterczał uchwyt. Najbliższa tarcza znajdowała się na bakburcie: Moira złapała za uchwyt, ścisnęła, żeby odblokować zamek, i przesunęła klapę na bok.

Doktor Andrada wzdrygnął się, gdy owionęło go zimne powietrze. Oboje z Moirą spojrzeli w głąb prostej rury mierzącej około dziesięciu metrów długości i dostatecznie szerokiej, żeby jedna osoba mogła w niej wygodnie pracować albo dwie mogły się wyminąć, jeśli tylko nie przeszkadza im, że się otrą o siebie. Ściany modułu były wysadzone setkami rozmieszczonych w równiutkich rzędach mniejszych kłapek, również zaopatrzonych w uchwyty i mających w przybliżeniu średnicę rozcapierzonej dłoni. Te znajdujące się bliżej wejścia opatrzone drukowanymi etykietami z opisem i kodem kreskowym; te dalsze były puste. Niebieskie diody obok nich stanowiły jedyne źródło oświetlenia.

– Zapraszam – powiedziała Moira.

– Obym tylko nie zamarzł na śmierć!

– W próżni panuje naturalny ziąb. To dla nas ważne.

Moira odczekała chwilę, aż Andrada włoży rękawiczki, po czym podsunęła mu otwartą lodówkę turystyczną. Andrada wyjął z niej mały stelaż z próbkami; przypiętym do pasa ręcznym skanerem Moira czytała z niego kod kreskowy. Genetyk wpłynął w głąb modułu, ostrożnie muskając ściany w sposób, który zdradzał nowicjusza w stanie nieważkości.

– Proszę otworzyć pierwszą nieopisaną klapkę – poleciła mu Moira. – I jej nie zamykać.

Andrada zakaszła; zimne powietrze drażniło mu gardło. Otworzył jedną z kłapek i wsunął do niej stelaż. Przez ten czas Moira na ręcznej

drukarce wydrukowała naklejkę identyfikacyjną w języku angielskim, filipińskim i ze zrozumiałym dla maszyn kodem kreskowym. Kiedy Andrada się wycofał, wcisnęła się na jego miejsce, podpłynęła do otworu, upewniła się, że stelażyk z próbkami został właściwie osadzony w cylindrycznej wnęce, po czym zamknęła klapkę i przylepiła na niej naklejkę. Dla pewności zeskanowała jeszcze i sprawdziła wybity na klapce niepowtarzalny numer identyfikacyjny i kod kreskowy.

Dioda przy klapce zmieniła kolor na czerwony, sygnalizując zbyt wysoką temperaturę wnętrza. Zanim jeszcze Moira skończyła się przy niej krzątać, światelko zrobiło się żółte – kosmiczny chłód powoli „przeciekał” w głąb chłodziarki. Później zamierzała sprawdzić na tablicy, czy dioda zaświeci na niebiesko.

Wycofała się do modułu cumowniczego i złapała uchwyt na włązie odgradzającym go od chłodni.

– Teraz już pan wie, do czego służą – powiedziała. – Izolacja termiczna.
– Zamknęła właz. – Mogłabym stworzyć jakiś inny, ale w środku wszystkie wyglądają tak samo.

– Dziękuję bardzo. W życiu tak nie zmarłem!

Wrócili „na górę” do Zwiezdy, skąd udali się w stronę dziobu, do kompleksu, w którym przechowywano większość sprzętu do inżynierii genetycznej. Aparatura znajdowała się w skrzyniach, więc niewiele tam było do oglądania; równie dobrze mogli skierować się ku rufie i któremuś z torusów, ale Moira z doświadczenia wiedziała, że nowym nie służą szybkie przeskoki z nieważkości do symulowanego ciężenia i z powrotem.

Zza swoich ładniutkich okularów Doktor Andrada mierzył Moirę spojrzeniem, które zinterpretowała jako uprzejme, lecz sceptyczne. W porządku. Postanowiła otwarcie poruszyć temat, który najprawdopodobniej nie dawał mu spokoju.

– Proszę mi wybaczyć tę małą ceremonię – zaczęła. – Przez ostatni rok robię to raz albo dwa razy dziennie; jestem tyleż naukowcem, co kapłanką. Oczywiście powinien pan to wszystko opisać na blogu, prawda? Powiedzieć ludziom na Ziemi, że osobiście przywiózł pan próbki z Manili i umieścił je w próżniowej chłodni na Izzy.

– Tak właśnie zrobię – przytaknął Andrada i zawiesił na moment głos, sygnalizując zmianę tematu. – Macie tylko tę jedną centralną chłodnię –

zauważył.

– To prawda. – Moira pokiwała głową. – Jeżeli za dziesięć minut trafi w nią meteor, wszystkie próbki ulegną zniszczeniu.

– Otóż to. I to mnie niepokoi.

– Mnie również. Wszystko sprowadza się do statystyki i matematyki. Na razie odłamków jest niewiele, a my umiemy je zawczasu dostrzec i w razie konieczności wyminąć. Trzymanie wszystkich jajeczek w jednym koszyku...

– I plemników – wtrącił Andrada, wpisując się w dowcip z największą brodą w prywatnym wszechświecie Moiry.

– ...jest i jeszcze przez dwa tygodnie będzie bezpieczniejsze niż rozdystrybuowanie ich pomiędzy wszystkie miniarki. Istnieje jednak plan ich rozproszenia, doktorze; zostanie wcielony w życie, gdy TRB przekroczy pewną wartość graniczną.

Andrada pokiwał głową.

– Mówi mi Miguel, proszę.

– Dobrze, Miguelu. Jestem Moira.

– Świetnie. Wiesz, dlaczego mnie wybrano, żebym tu przyleciał.

– Twój ryż, któremu przeszczepiłeś geny kukurydzy, lepiej fotosyntetyzuje. Greenpeace zniszczył wasze laboratorium na Filipinach, ale tobie udało się ocalić projekt i przenieść go do Singapuru. A wkrótce po Dniu Zero zaczęłeś opracowywać odmiany ryżu zdadne do uprawy w środowiskach hydroponicznych przy obniżonym ciśnieniu.

– Kryż – przytaknął Miguel, dyskretnie przewracając oczami. Słowo to, wymyślone przez entuzjastę ze *Straits Timesa*, a będące skróconą formą „kosmicznego ryżu”, stało się nieśmiertelnym standardem w nagłówkach prasy brukowej i na forach internetowych. – Zdajesz sobie sprawę, że kryż nie będzie rósł w całkowitej nieważkości? Musi mieć określoną jakąś „góre” i „dół”, inaczej się nie ukorzeni. Pod tym względem jest bardziej niewdzięczny niż glony, którym jest wszystko jedno.

– Spokojna głowa, przez bardzo długi czas będziemy jeść wyłącznie glony. Na kryż przyjdzie czas później, po znacznej rozbudowie środowiska, w którym panuje sztuczne ciśnienie. A wtedy, Miguelu, wtedy...

– Wtedy co?

- Kopiwo.
- Kopiwo?
- Kosmiczne piwo. Ryż nie jest tak dobry jak jęczmień, ale da się z niego uwarzyć piwo.

* * *

– Pac – powiedział Markus.

Musiał to powiedzieć, bo nie mógł tego zrobić. Tradycyjnym dla zapaśnika sposobem zasygnalizowania, że dał się złapać w niemożliwy do przełamania chwyt, było pacnięcie przeciwnika otwartą dłonią w rękę, nogę lub inną znajdującą się w zasięgu część ciała. Sęk w tym, że Markus nie mógł dosięgnąć żadnej części ciała Tekli: Rosjanka unieruchomiła mu obie ręce.

Puściła go chwilę przed tym, jak oboje uderzyli w miękko tapicerowaną ścianę Cyrku – dużego i prawie pustego modułu pełniącego rolę sali gimnastycznej – i wyciągnąwszy ręce, zamortyzowali zderzenie.

Z przeciwległo krańca Cyrku z zainteresowaniem przyglądali im się Jun Ueda, inżynier nazwiskiem Tom Van Meter, Bolor-Erdene i Wiaczesław Dubski. Trzej mężczyźni, z natury małomówni, milczeli. Bolor-Erdene, do wszystkiego nastawiona entuzjastycznie, pozwoliła sobie na trzy klaśnięcia w dłonie, zanim zorientowała się, że nikt do niej nie dołącza.

– No dobrze – odezwał się Wiaczesław. – Zobaczyłem to na własne oczy: można uprawiać sambo w stanie nieważkości. – Zerknął na pozostałych. – Podobnie jak jujitsu, zapasy i bökh, jak się domyślam.

– Oczywiście żadne rzuty nie wchodzą w grę – powiedział Markus. – W ogóle nie może być mowy o całym tym przenoszeniu ciężaru, które na Ziemi odgrywa ogromną rolę.

Jun pokiwał głową.

– Zostaje pewien podzbiór, tak jak walka w parterze. Tylko bez parteru.

Tom Van Meter, członek uniwersyteckiej drużyny zapaśniczej na politechnice w Iowa, stanął przed miękko wyłożoną ścianą i spróbował

uderzyć w nią pięścią. Mimo jego okazałych gabarytów i nieprzeciętnej siły cios wypadł słabiotko, a sam Tom pofrunął w przeciwnym kierunku.

– Z tym też już eksperymentowaliśmy – powiedział Markus. – Jest kłopot z zadawaniem ciosów.

Tuż przed przeciwległą ścianą Tom rozprostował ramiona na boki i w tył i uderzył nimi o matę, amortyzując impet zderzenia.

– W torusie czy bolas obowiązują wszystkie znane zasady – powiedział. – Ale poza tym macie rację: sztuki walki w nieważkości to niezbadane terytorium.

– Chociaż w zwarcu różnice nie są takie wielkie – zauważyła Tekla.

– Na wyposażeniu Arki w Chmurze jest tuzin taserów – odezwał się Markus. – Nie ja je zamówiłem, były tu już wcześniej. Nikt o nich nie wie. Nie odpowiada mi sytuacja, w której po stacji kręcą się uzbrojeni ludzie, nawet jeśli tą bronią miałyby być tasery, ale... Mamy około dwóch tysięcy mieszkańców. Nie istnieje na Ziemi miasto tej wielkości, które nie miałoby sił policyjnych. Czekają nas konflikty. Przestępstwa.

– Co o policji mówi konstytucja? – zainteresowała się Bolor-Erdene. – Bo nie czytałam.

Wszyscy roześmieli się z aprobatą.

– Nikt nie czytał tego cholerstwa, Bo. Po wydrukowaniu jest taka gruba. – Markus rozstawił kciuk i palec wskazujący na odległość dwóch cali. – Tak to bywa, gdy do rzeczy zabierze się jakaś komisja.

– Wyjaśnijmy coś sobie, Markusie – odezwał się Jun. – Nie sugerujesz chyba...

– Nie, Jun, nie sugeruję, żebyśmy ją ignorowali. Uwierz mi, dzień w dzień upominam tych gości, żeby ją uprościli, żeby nam dali... jak to się nazywa...

– Wyciąg – odpowiedział Tom.

– Właśnie, wyciąg. Uproszczoną instrukcję obsługi. Ale mniejsza z tym, dokopałem się w końcu do rozdziału o policji. Na początku zakłada się powstanie milicji obywatelskiej, bez udziału profesjonalistów. Przejrzałem wasze akta osobowe. Wiem, że wszyscy ćwiczyliście jakąś odmianę zapasów, a zapasy to jedyna forma zorganizowanej przemocy naprawdę użyteczna na pokładzie stacji kosmicznej. Pomijając jakieś absolutne wariactwa...

– Walka na kije? – podsunął Tom.

– Spodziewałem się takiego pytania; w twoim CV jest wzmianka o *escrimie*. Pomysł brzmi na pozór sensownie, ale mam pytanie...

– Tak?

– Widzisz gdzieś jakieś kije?

– Moglibyśmy sadzić drzewa – zaproponowała Bo.

– To potrwa – odparł Markus. – Dlatego na razie proszę was tylko, żebyście codziennie poświęcali trochę czasu na to, żeby spotkać się tutaj i poćwiczyć zapasy. To się może przydać.

* * *

Doob spał tak źle, że po przebudzeniu miał wrażenie, jakby nie spał w ogóle – ale zegar wskazywał godzinę kropka piętnaście, a kiedy wchodził do sypialni, była kropka dziewięć. A zatem musiał się zdrzemnąć, sam nie wiedząc, kiedy.

Cowieczorna wideorozmowa z Amelią wypadła kiepsko. Nie wypadła naprawdę źle, obeszło się bez podnoszenia głosu i bez płaczu, ale najpierw rozmawiali o tym, co wydarzyło się w Kourou, a potem już nie bardzo umieli się porozumieć. Tak samo wyszło z Henrym.

Zaczynało im brakować tematów, na które mogliby sobie pogadać – straszne, ale prawdziwe. Jego bliscy przygotowywali się do spotkania ze Stwórcą, od którego dzieliły ich dwa, trzy, może cztery tygodnie. Rząd rozdawał wszystkim chętnym darmowe pigułki eutanazyjne; tysiące ludzi już je połknęły, kostnice pękały w szwach, koparki kopały zbiorowe groby. Tymczasem Doob szykował się – mówiąc bez ogródek – do największej przygody swojego życia.

W pewnym sensie żałował, że jego bliscy jeszcze żyją.

Kiedy kilka dni temu podzielił się tą z pozoru bezduszną refleksją z Luisą, ta pokiwała głową.

– To normalne – odparła – u osób opiekujących się pacjentami w terminalnym stadium alzheimera i innych chorób. Podobnie jak łączące się z tym ogromne poczucie zakłopotania i wielkie wyrzuty sumienia.

– Ale Amelia nie ma alzheimera. Jest...

– To bez znaczenia. Oglądanie jej i rozmawianie z nią sprawia ci

przykrość, a w głębi twojego mózgu drzemie chęć odcięcia się od tego, co przykre. Najprostszą reakcją na świecie. To jeszcze wcale nie znaczy, że jesteś złym człowiekiem. Nie znaczy, że musisz się poddać temu impulsowi.

Takie myśli zaowocowały dalszym przewracaniem się z boku na bok (jeśli można w ten sposób nazwać bezsenność w luźnym śpiworze w stanie nieważkości) i boksowaniem się z pytaniem „Kiedy?”. Przewidywanie, że nastąpi to około siedemset dwudziestego dnia, było dobre w dniu trzysta sześćdziesiątym. Teraz jednak dzień siedemsetny dobiegał końca i to „około” zaczynało poważnie niepokoić Dooba. Ostatnio naukowcy zawężili „około” do „plus/minus trzech dni”, lecz doszło do tego wyłącznie z powodu politycznych nacisków. Nie było to poważne stwierdzenie o charakterze naukowym i specjaliści rozumieli je zgoła inaczej niż laicy. Laik odczytywał je jako „z całą pewnością pomiędzy dniem siedemset siedemnastym i siedemset dwudziestym trzecim”. Naukowiec powiedziałaby zaś, że gdyby przy odpowiednio dużej liczbie powtórzeń eksperymentu z rozsadzaniem Księżyca na kawałki śledzić czas upływający od jego rozpadu do Białego Nieba, to mielibyśmy do czynienia z rozkładem normalnym i dzwonokształtną krzywą Gaussa, na której dwie trzecie wyników znalazłyby się w takim właśnie przedziale.

Co oznaczało, że pozostała jedna trzecia znalazłaby się poza tym zakresem, w tym część znacznie poza nim. Nie było więc wcale wykluczone, że Białe Niebo rozpęta się już jutro – ba, że rozpętuje się właśnie teraz, w tej chwili, gdy on fruwa sobie tutaj w tym przeklętym worku.

Kiedy więc krótko po godzinie kropka piętnaście Dinah przyszła go obudzić, wcale się na nią nie zezłościł. Z ulgą przyjął jej wizytę.

Zwykła uprzejmość nie pozwalała mu powiedzieć tego na głos, ale Dinah wyglądała fatalnie. Nie była roztrzęsiona, nic z tych rzeczy, po prostu sprawiała wrażenie skrajnie wyczerpanej.

– Słyszałeś o Gujanie? – rzuciła przez ramię, gdy razem udali się w drogę powrotną do Kolonii Górniczej.

– Tak.

– Okej.

Dinah nie odezwała się więcej, dopóki nie znaleźli się w jej warsztacie.

Wszędzie walały się zgliszczą staroświeckiego modelu komunikacji: karteluszeki poprzyklejane do wszelkich wolnych powierzchni, unoszące się w powietrzu stępione ołówki, luźne kartki z „Podręcznika pracownika” z poskreślanymi blokami tekstu.

– Musiałam powiedzieć Seanowi, żeby przestał – przyznała Dinah. – Jestem wykończona. Dłużej nie dam rady. Muszę się przespać. To cholernie trudna robota, trzeba bardzo uważać; a nadawanie w takim rytmie, żeby Sean wszystko zrozumiał, jest jak chodzenie w zwolnionym tempie.

– W zwolnionym tempie?

– No wiesz, każdy umie chodzić z normalną prędkością, to nic trudnego. Ale kiedy nagle musisz iść dwa razy wolniej, bo, na przykład, towarzyszysz komuś, kto ma trudności z poruszaniem się... To potrafi wykończyć człowieka.

– Rozumiem.

– Kiedy próbowałam się wymigać od dalszej rozmowy, Sean zmienił temat. Wcześniej przez cały czas było tylko „cześć, co słyhać, ilu ludzi jest na Arce” itepe, ale kiedy dałam mu do zrozumienia, że mam mało czasu, zaczął się dopytywać o analizę wrażliwości.

Doob parsknął śmiechem.

– No, no... – mruknęła Dinah. – Takiej reakcji się nie spodziewałam.

– Pół nocy nie spałam przez takie myśli.

– Czy to znaczy, że wiesz, o co mu chodzi? Ja najwidoczniej jestem głupia jak but, bo musiałam się go dopytać.

– Domyślam się, że pyta, jaką mamy pewność, że to się stanie dokładnie w siedemset dwudziestym dniu. I jak bardzo niestabilny jest układ w tej chwili.

– Zgadza się, dokładnie o to mu chodziło.

– Im bliżej tego momentu, tym bardziej sytuacja przypomina reaktor atomowy w stanie tuż przed wybuchem albo...

– No jasne. Można różnie dobrać metaforę, ale rozumiem.

– W tak skrajnie niestabilnym układzie przemianę może wywołać byle szum, pierwszy lepszy przypadkowy impuls; czynnik, którego nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Niedługo dojdziemy do momentu, w którym krzywe spojrzenie będzie mogło wyzwolić Białe Niebo. Nie wiemy, który kamyk uruchomi lawinę.

Dinah przetrwała słowa Dooba, zerwała kontakt wzrokowy i spojrzała na swoje radio.

– Sean wie – powiedziała.

– Chyba się przesłyszałem... – przyznał Doob po długiej chwili milczenia.

– Ósemka – mówiła dalej Dinah. – Tak ją nazwał. Kamień, o którego istnieniu nie masz pojęcia; którego się nie spodziewasz. Jest zbyt ciemny i znajduje się zbyt daleko.

– Chwileczkę, Dinah... Czy rozmawiamy w tej chwili o jakiejś hipotetycznej asteroidzie, czy...

– Nie. To bardzo konkretna asteroida. Ona naprawdę istnieje. Wiesz o tym, Doob, że Arjuna Expeditions od lat wystrzeliwuje mikrosatelity na orbitę. Mamy na niebie setki oczu: krążą wokół Ziemi, fotografują pobliskie asteroidy, katalogują je i z największą dostępną precyzją rejestrują parametry ich orbit. Wygląda na to, że Sean też źle sypia i rozmyśla o tym samym co ty: o skrajnej niestabilności chmury odłamków; o jej wrażliwości na najmniejsze zaburzenia. I tak rozmyślając, wpadł na świetny pomysł: przeszukać stworzoną przez Arjunę tajną bazę danych asteroid w poszukiwaniu kandydatek do roli czarnego charakteru, który będzie przelatował w pobliżu obłoku księżycowych szczątków w najbliższych dwóch tygodniach, czyli w okresie jego wyjątkowej wrażliwości na zakłócenia.

– Ma tę bazę danych ze sobą?

– No pewnie. Przecież to zwykły arkusz kalkulacyjny.

– I co, otworzył go i dokonał analizy?

– Tak. Musisz mnie dobrze zrozumieć, Doob: ja to składam w całość z poszlak. Sam widziałeś, jak rwaną mamy łączność z Seanem.

– Jasna sprawa.

– Mimo to wydaje mi się, że przeprowadził tę analizę i znalazł asteroidę, którą nazwał „Ósemką”. Domyślam się, że ma niskie albedo.

– Czarna. Jak ósemka w bilardzie.

– Nie znam jej rozmiarów, nie mam pojęcia o jej orbicie, w ogóle nie wiem nic konkretnego, ale Sean jest zdania, że za mniej więcej sześć godzin Ósemka wleci w sam środek obłoku odłamków.

– Sześć godzin?!

– I że ma dostatecznie dużą energię kinetyczną, żeby zrobiło się... no...

ciekawie.

Doob pomyślał o Amelii. O swoich uczuciach, które wcześniej nie dawały mu zasnąć. Oczywiście teraz czuł coś dokładnie przeciwnego: był przerażony, że Amelia, Henry, Hesper i Hadley wkrótce umrą.

Dinah źle zinterpretowała jego milczenie: doszła do wniosku, że dokonuje w pamięci jakichś obliczeń astronomicznych.

– Ja idę się przespać – oznajmiła. – Przyda mi się sześć godzin snu. Dobranoc.

– Dobranoc, Dinah.

* * *

Dochodziła kropka szesnaście – pora rozpoczęcia nowej zmiany, odpowiednik czwartej po południu dla trzeciozmianowców. Markus zbliżał się więc do końca czegoś, co dla zwyczajnego Ziemianina byłoby dniem pracy – chociaż, co oczywiste, podobnie jak niemal wszyscy mieszkańcy Arki w Chmurze pracował przez cały czas, kiedy nie spał. Nawet rekreacja w czasie wolnym – a w szczególności ćwiczenia w Cyrku – służyła nadrzędnemu celowi. Dlatego początek „popołudniowej” zmiany i koniec „dnia pracy” były z jego punktu widzenia nic nieznaczącymi formalnościami. Niemniej jednak z przyzwyczajenia przeznaczał tę porę dnia na tak zwaną niegdyś „robotę papierkową”, a w jej ramach zaprosił do swojego prywatnego gabinetu obok Cysterny Jedyne Kosmicznego Prawnika, Salvatore Guodiana. Syn chińskiego rolnika z Singapuru i włoskiej hrabiny, której rodzice osiedli w tym mieście ze względów podatkowych, skończył szkołę, w której większość uczniów stanowili brytyjscy expatrianci, potem poszedł do Berkeley, ale po półtora roku rzucił studia, żeby dołączyć do raczkującej firmy z branży nowych technologii. Tam stracił wszystkie pieniądze i przez jakiś czas tułał się po innych firemkach, a gdy w końcu trochę się odkuła i zainteresował prawem, praktycznie kupił sobie miejsce na studiach prawniczych mimo nieposiadania choćby licencjatu z tej dziedziny. Zatrudniwszy się w kancelarii obsługującej klientów z najwyższej półki, przepracował piętnaście lat w jej biurach w Los Angeles, Singapurze, Sydney, Pekinie, Londynie

i Dubaju. Kiedy został pominięty przy awansie na wspólnika, rzucił pracę, objechał Chiny na rowerze, przeprowadził się do San Francisco i tam został głównym doradcą firmy specjalizującej się w handlu wirtualną walutą. W wolnym czasie udzielał się w wolontariacie na rzecz ochrony praw użytkowników Internetu oraz jeździł na pustynię, by wystrzeliwać stamtąd bardzo duże rakiety własnej roboty na skraj przestrzeni kosmicznej. Sal – bo pod taką ksywą wszyscy go znali – był jednym z pierwszych kandydatów do prac nad Konstytucją Arki w Chmurze, dlatego też przesiedział półtora roku w Hadze, zanim został – jak to się mówiło – „wyrwany” i wysłany na orbitę. Miał czterdzieści siedem lat, ale przy słabym oświetleniu mógł uchodzić za trzydziestolatka.

Aby lepiej sobie radzić ze specyfiką życia w nieważkości, a także przez wzgląd na postępującą łysinę, nosił króciutki kosmofryz. Był to najłatwiejszy sposób na to, by w środowisku pozbawionym ciężenia mieć święty spokój z włosami. Kosmofryzjer łączył w sobie funkcje elektrycznej maszynki do włosów i wysokowydajnego odkurzacza. Strzyżenie było procesem samoobsługowym i największym pedantom zajmowało około trzydziestu sekund. Przed stryżeniem zalecano włożenie zatyczek do uszu. W dawnych dobrych czasach Sal miał długie, falujące ciemne włosy, które zbiegały mu się na czole w czubek podkreślający jego włoską krew – teraz jednak, z kosmofryzem, wyglądał jak stuprocentowy Chińczyk. Znał siedem języków i ze wszystkich żyjących ludzi był najbliżej tego, by pomieścić w mózgu całą treść Konstytucji Arki w Chmurze, czyli KAC-a, jak sam ją nazywał. Gdyby Markus miał w tej kwestii coś do powiedzenia – a miał – Sal połączyłby w jednym ręku funkcje prokuratora generalnego, sędziego pokoju i prezesa sądu najwyższego.

Sal wybuchnął śmiechem. Miał piękne zęby.

– Zdajesz sobie sprawę, że te funkcje nijak się ze sobą nie łączą? – spytał. – Pod wieloma względami powinny wręcz stanowić swoje przeciwieństwa.

– Później wyznaczysz na te stanowiska innych ludzi, ale na razie od czegoś trzeba zacząć.

– Przećwiczmy to na hipotetycznym przykładzie – zaproponował Sal.

– Arkanin z Dziwostanu Zewnętrzznego zgwałcił arkanę z Andory.

Doszło do tego w miejscu, gdzie nie ma kamer.

– Takich miejsc jest bardzo mało – zauważył Markus.

– Dobrze, w takim razie w którejś miniarce. Tak przynajmniej utrzymuje ofiara. Zgłasza się do szpitala, tam lekarz ją bada i gromadzi dowody.

– Mamy w ogóle zestawy do zbierania takich śladów? – spytał Markus.

– Skąd mam wiedzieć? Na pewno powinniśmy je zamówić. Tak czy inaczej, na podstawie tych faktów w niektórych krajach sędzia mógłby wydać nakaz, który pozwoliłby policji przejrzeć zapis z kamer w rzeczonyj miniarce. Ponieważ w niektórych krajach, Markusie, obywatele mają prawo do prywatności i nie można stale ich podglądać.

– A jak wygląda nasza sytuacja?

– To fascynujące, że tego nie wiesz. KAC przyznaje obywatelom pewne prawa, które jednak mogą zostać ograniczone bądź nawet zawieszane podczas Okresowego Uproszczenia Procedur i Struktur Administracyjnych.

– OUPSA – powiedział Markus. – Kojarzę. To eufemizm na określenie stanu wojennego.

Na twarzy Sala cierpienie mieszało się z rozbawieniem.

– Pozwól, że coś ci doradzę: nie myśl o tym w taki sposób... A jeśli już musisz, to przynajmniej nie mów o tym głośno.

– Niemniej...

– Lepszą analogią byłaby władza kapitana na statku na pełnym morzu. Kapitan może wtedy robić różne rzeczy, na przykład udzielać ślubów albo skazywać pasażerów na areszt domowy, które to działania byłyby niedopuszczalne, gdyby ten sam statek stał przycumowany przy nabrzeżu Manhattanu.

– Posłuchaj: nie mam w tej chwili czasu na dogłębną analizę sprawy hipotetycznego gwałtu. – Markus zerknął na zegarek: szwajcarski, rzecz jasna, zrobiony na jego specjalne zamówienie i podarowany mu przez pewną słynną genewską firmę jako rodzaj spuścizny, sposób obwieszczenia: „kiedyś istnieliśmy i potrafiliśmy wytwarzać takie piękne przedmioty”. – Chcę z tobą porozmawiać o sprawie zupełnie podstawowej, wręcz fundamentalnej. Mianowicie: jakie jest źródło mojej władzy? Albo, gdyby na moim miejscu znalazła się Ivy lub Ulrika, jakie byłoby źródło ich władzy?

Sal nie do końca go rozumiał.

– Mówiąc o władzy, masz na myśli... – zaczął, a kiedy w odpowiedzi doczekał się tylko pomruku zniecierpliwienia, powiedział: – Władza może oznaczać różne rzeczy, Markusie.

– Nie chodzi o mój autorytet moralny, zdolności przywódcze i tym podobne kwestie, ani o teoretyczną lojalność, jaką arkanie darzą tak zwanego kapitana ich statku. Chodzi mi o to, co się stanie, kiedy pójdziemy aresztować naszego gwałciciela z Dziwostanu Zewnętrzny, a on postanowi stawić nam opór? I jeszcze jego przyjaciele go poprą?

Sal, który do tego momentu traktował rozmowę z Markusem jako przyjemne ćwiczenie z teorii prawa, wyraźnie spoważniał.

– Masz na myśli prawdziwe znaczenie władzy. Jej naturę.

– Otóż to.

– Odwieczne pytanie. Faraon, średniowieczny król, burmistrz Nowego Jorku... Wszyscy je sobie zadawali.

– Otóż to – powtórzył Markus.

– Kiedy wydasz rozkaz, to jaką masz pewność, że zostanie wykonany? Oto istota władzy.

– *Jawohl*, panie radco!

– W innych okolicznościach zrobiłbym ci wykład na temat autorytetu moralnego, lojalności i tym podobnych, ale przed chwilą powiedziałaś, że tego nie chcesz.

– Bo kiedy przychodzi co do czego, jak to się potocznie mówi po angielsku...

– Tradycyjna odpowiedź zawsze sprowadzała się do tego, że król ma swoją straż królewską, burmistrz ma komendanta policji, dowódca wojskowy żandarmerię i tak dalej. Fundamentem władzy wodza jest więc zdolność do wywarcia fizycznego przymusu na podwładnych.

– Nareszcie mówisz do rzeczy... Na co ja konkretnie mogę liczyć w ramach KAC-a?

– Musisz zdać sobie sprawę, że im bardziej cedujesz stosowanie przymusu na innych, tym mniej władzy zachowujesz dla siebie. Jest to poniekąd przyznanie się do porażki.

– Sal... Od dawna tu jesteś?

– Dwieście dni z hakiem.

– Ile czasu spędziliśmy na rozmowach o KAC-u?

– Nie mam pojęcia... Ze sto godzin?

– A ile czasu z tych stu godzin poświęciliśmy tej kwestii?

Teraz Sal spojrział na zegarek.

– Jakież piętnaście minut.

– Może więc na tej podstawie będziesz w stanie stwierdzić, że w ogólnym rozrachunku ta sprawa wcale nie jest dla mnie najważniejsza. Niemniej jednak jest ważna, Sal. Kiedy przyjdzie chwila, w której będę musiał aresztować przestępcę chowającego się za plecami kumpli, muszę znać odpowiedź. Muszę wiedzieć, co zrobić. Muszę być przygotowany. Taka jest moja rola. Po to dostałem tę robotę.

Ktoś zapukał do drzwi biura, co samo w sobie było dość niecodzienne. Markus udał, że niczego nie słyszy.

– Po wprowadzeniu OUPSA możesz zlecać określonym ludziom wykonanie twoich poleceń z zastosowaniem przymusu bezpośredniego w rozsądnych granicach. Kiedy OUPSA przestanie obowiązywać...

– A kiedy, według ciebie, może to nastąpić? – Ton głosu Markusa sugerował, że on sam ma wyrobione zdanie w tej kwestii.

– Jeżeli będziemy mieć fart i pożyjemy dostatecznie długo? OUPSA potrwa lata.

– W takim razie ograniczymy się na razie do OUPSA – powiedział Markus i krzyknął w stronę drzwi: – Zaraz! – Znow zwrócił się do Sala: – Rozsądne granice przymusu bezpośredniego... Co to w praktyce oznacza? Kto o tym decyduje?

– No wiesz... Jeżeli mianujesz mnie prokuratorem generalnym, sędzią pokoju i prezesem sądu najwyższego, to chyba ja.

– Czy jeżeli ktoś oberwie z tasera, dostanie zawału i umrze, to rozsądne granice zostaną przekroczone, czy nie?

– Markus, na Boga, co w ciebie wstąpiło?!

– Snuję rozważania. Próbuję się przygotować. Ty też powinieneś. I nie chodzi mi o hipotetyczne gwałty, tylko o to, co niedługo będzie się działo. – Markus wytrzymał spojrzenie Sala, aż ten skinął głową. Wtedy znow odwrócił się do drzwi. – Dobrze, proszę wejść!

„Drzwi” były przejętym od szczurów lądowych określeniem obiektu, który na statku wodnym lub kosmicznym nosiłby nazwę „włazu”. Na mocy niepisanej konwencji w tych rejonach Izzy, gdzie panowało sztuczne ciśnienie, przyjęło się nazywać włazy „drzwiami”; w obszarach

nieważkości pozostały „włazami”.

Kiedy drzwi się otworzyły, po ich drugiej stronie stał Dubois Jerome Xavier Harris. Wyraz jego twarzy w połączeniu z faktem, że postanowił przerwać Markusowi spotkanie odbywające się w jego prywatnym gabinecie, sugerował, że wydarzyło się coś ważnego.

Markusowi natychmiast przyszło do głowy najbardziej oczywiste wytłumaczenie.

– Pani prezydent znów obrzuca ludzi atomówkami? – zapytał.

Doktor Harris wyraźnie się zdziwił i pokręcił głową. A więc to nie to.

– Chcesz porozmawiać w cztery oczy? – spytał Markus.

Spojrzał znacząco na Sala, który wstał, na ochotnika zgłaszając się do wyjścia, ale Harris zrobił lekko rozbawioną minę.

– To najmniej prywatna sprawa, jaka kiedykolwiek się wydarzyła lub wydarzy – odparł – więc nie, nie ma takiej potrzeby. Mam powody przypuszczać, że czas, jaki nam pozostał, właśnie znacząco się skrócił. Jest bardzo prawdopodobne, że Białe Niebo rozpocznie się za sześć godzin. – Spojrzał na zegarek. – Właściwie to już za pięć.

Markus zerknął na zawieszony na ścianie monitor.

– TRB nie wzrosło jakoś znacząco...

– Białe Niebo zostanie wywołane przelotem asteroidy przez rój odłamków.

– Na Ziemi ktoś już o tym wie?

– To zależy od tego, czy mają podsłuch w tym pomieszczeniu.

– Czyli to nie jest informacja od nich.

– Nie. Pochodzi z kosmosu.

– Zaszyfrowana i przekazana morsem? – spytał niby mimochodem Markus.

Spojrzeli z Salem po sobie. Przed godziną ich rozmowa zaczęła się od odczytania notatki, w której JBF skarżyła się na te właśnie transmisje i żądała podjęcia natychmiastowych działań. To właśnie od rozważań nad naturą takich działań i prawem Białego Domu do narzucania im swojej woli przeszli do ogólniejszej dyskusji na temat natury władzy. I na razie Markusowi bardzo to odpowiadało, bo jeśli ktoś z Izzy nadawał tajemnicze komunikaty alfabetem Morse’a, to z pewnością robiła to jego dziewczyna, a jej na pewno nie zamierzał aresztować. Ludzie będą krzyczeć o konflikcie interesów – ludzie, którzy wkrótce

będą martwi; ludzie, którzy nie mają nad nim żadnej władzy.

Chyba że ulokowali na Arce – wśród arkan albo zwymieszów – piątą kolumnę, która w razie potrzeby ma przeprowadzić zamach stanu.

– Markusie – odezwał się doktor Harris – czy ty mnie w ogóle słuchasz? Rozumiesz, co mówię?

– Przepraszam, doktorze Harris. Zamyśliłem się. Niepotrzebnie, bo takimi rzeczami powinien zajmować się Sal.

– Możesz mi coś zlecić, śmiało – wtrącił Sal. – Wiem, że słabo ci to wychodzi, ale...

– Zamknijcie drzwi, proszę – polecił Markus.

Doktor Harris spełnił jego prośbę.

– Jestem praktycznie pewien, że tutaj nie ma podsłuchu – dodał Markus.

– Rozumiem.

– To Dinah, prawda, Doob?

Doob pokiwał głową.

– Porozumiewa się z Seanem Probstem. Szyfrem.

Markus z podziwem pokręcił głową.

– Co za dziewczyna! Wiecznie są z nią kłopoty.

Doob i Sal milczeli. Markus wysłał przez ten czas jednowyrazowego esemesa do Tekli.

– Sal? – odezwał się. – Ogłaszam OUPSA.

– Wydaje mi się, że nie masz jeszcze takich uprawnień...

– A kto nas powstrzyma?

Doob i Sal znów wstrzymali się od odpowiedzi.

– Myślicie – ciągnął Markus, wysyłając kolejne wiadomości – że Julia, bo nie nazywam jej już „prezydentem”, każe nas zbombardować?

– Ona sama, Rosjanie albo Chińczycy mogą mieć inne sposoby na to, żeby cię usunąć ze stanowiska...

– Przemyślałem to. Rozważałem możliwość, że są wśród nas obce wtyczki: jacyś żołnierze z taserami, którzy tylko czekają na taki rozkaz. Rozmawiałem z Fiodorem, Shengiem i Zekiem; próbowałem ich wysondować.

– Markusie, z całym szacunkiem... – odezwał się Doob. – Naprawdę wydaje mi się, że są w tej chwili ważniejsze sprawy.

– Właśnie dlatego w aspekcie konstytucyjnym OUPSA zdam się na

Sala, a w aspekcie operacyjnym na nią. – Markus ruchem głowy wskazał drzwi, które właśnie się otworzyły. Tekla bez pukania wśliznęła się do środka i zamknęła drzwi za sobą. – Nie musimy obwieszczać całemu światu, że wprowadzamy OUPSA. Mamy pięć godzin na to, żeby się przygotować. Dyskretnie. Skontaktuję się z Moirą; powiem jej, że musimy rozpocząć przygotowania do rozdzielenia próbek genetycznych pomiędzy miniarki. Powiem też Ulrice, że czas na Wielką Falę. – Miał na myśli planowaną intensyfikację startów rakiet, przypadającą na ostatni okres względnego spokoju pomiędzy Białym Niebem i rozpoczęciem Kamiennego Deszczu. – Nad tym wszystkim możemy pracować po cichutku, niepostrzeżenie. Za pięć godzin albo się coś wydarzy, albo nie; jeśli nie, wrócimy do starej rutyny i potraktujemy te przygotowania jako próbę generalną.

Drzwi znów się otworzyły (tym razem najpierw rozległo się pukanie) i w gabinecie zameldował się młody człowiek nazwiskiem Steve Lake; przed nim sunął jego laptop, za nim szybowwały jego dredy. Przez półtora roku życia na Izzy Steve nie uległ wprawdzie syrenim śpiewom kosmofryzjera, zmęczył się jednak zmaganiem z długimi włosami i pozwolił im zgęstnieć w rude sznury. Były pracownik firmy konsultingowej z Wirginii, zatrudniającej hakerów do wykonywania tajnych zleceń rządowych agencji wywiadowczych, został wysłany na orbitę jako współpracownik Spencera Grindstaffa, specjalisty-łącznościowca, który w Dniu Zero wchodził w skład załogi stacji. Spencera – etatowego pracownika NSA – zwerbowano wprost z MIT do działań kryptologiczno-szpiegowskich. Steve miał zupełnie inną naturę i w tej chwili sprawiał wrażenie z lekka zagubionego.

– Steve – przywitał go Markus. – Musimy porozmawiać o władzy.

Steve zmarszczył brwi.

– Chodzi ci o władzę w rękach i nogach czy...

– Nie. O tę prawdziwą.

– Aha. I to będzie taka abstrakcyjna dysputa filozoficzna czy...

– Nie. Będzie to rozmowa, która zakończy się tym, że na mocy moich uprawnień wynikających z OUPSA każę ci zmienić wszystkie hasła i kody dostępu do systemów sterowania Izzy.

– Nieźle! A nie powinieneś o tym pogadać ze Spencerem? Bo wiesz, on jest nade mną w hierarchii.

- Znam hierarchię. W warunkach OUPSA mam prawo ją zmienić.
- A co to jest to OUPSA, o którym ciągle mówisz?
- Sal ci później wytłumaczy, na razie nie zwracaj sobie głowy szczegółami, ale chodzi przede wszystkim o waszą lojalność. Przypuszczam, że Spencer jest bezwzględnie lojalny wobec ośrodków władzy znajdujących się na Ziemi; nie chciałbym stawiać go w niezręcznej sytuacji. Po prostu albo później przystanie do nas, albo nie. Ciebie jednak oceniam zupełnie inaczej i dlatego proszę cię niniejszym, żebyś ślubował wierność tylko i wyłącznie Arce w Chmurze. Nie Waszyngtonowi, nie Houston: Arce w Chmurze. I żebyś zaakceptował władzę jej zwierzchnika, którym obecnie jestem ja.
- Okej.
- Ale wiesz, Steve, powinieneś to najpierw przemyśleć. Samo „okej” nie wystarczy.
- Wcześniej już się nad tym zastanawiałem. I muszę cię uprzedzić: mogą być jakieś tylne wejścia do systemu. Pozmieniam wszystkie kody, o których wiem; te, o których nie wiem, to zupełnie inna sprawa.
- W takim razie będziemy musieli zachować czujność.

Białe Niebo

Doob nie potrafiłby zliczyć, ile razy w swoim życiu spoglądał w niebo i dostrzegał tam kłębuszek białej waty, który – gdy po kilku godzinach spojrział nań ponownie – rozrastał się do wału chmur przesłaniającego słońce i zapowiadającego zmianę pogody. Zjawiska takie postępowały zbyt wolno, żeby ludzki umysł potrafił je rejestrować. W ostatnich godzinach dnia A+1.335 coś podobnego wydarzyło się z obłokiem księżycowych odłamków od siedmiuset dni zawieszonym na niebie. Później, kiedy oglądało się filmy przedstawiające zmiany w przyspieszonym tempie, gdzie dzień trwa minutę, miało się wrażenie, że doszło do eksplozji. A nawet do całej serii eksplozji. Oglądając takie wideo klatka po klatce, można było dostrzec, jak epidemia wybuchów postępuje z jednego krańca obłoku na drugi, w miarę jak Ósemka przesywa go na wylot. Podobnie jak cząstka elementarna w komorze pęcherzykowej była niewidoczna i dało się śledzić wyłącznie skutki jej przejścia. Kilka miesięcy wcześniej może by się przemknęła, nie potrącając niczego po drodze, teraz jednak gęstość chmury odłamków osiągnęła wartość tak wysoką, że nie dało się ich wszystkich wyminąć. Na podstawie uogólnionych wyliczeń statystycznych Doob oszacował liczbę możliwych zderzeń na dziesięć, plus minus pięć – niewiele, jak na chmurę złożoną z milionów odłamków, ale zarazem dostatecznie dużo, żeby zepchnąć w przepaść cały ten układ balansujący na skraju eksplozji wykładniczej.

Wzdłuż niewidocznego szlaku przelotu Ósemki Białe Niebo nabrało wściekłych kształtów. W tych okolicach obłok puchł i ewoluował jak śmietanka na powierzchni kawy, pęczniał i blakł; gdzieniegdzie dochodziło też do zupełnie nowych zderzeń, gdy odłamki powstałe we wcześniejszych kolizjach znajdowały sobie własne cele i wywoływały małe reakcje łańcuchowe. W niektórych miejscach chmura okruchów przybierała strukturę komórkową: rozprzestrzeniające się w niej kuliste

fale uderzeniowe stykały się ze sobą, zachodziły na siebie nawzajem i tworzyły koronkową pianę białych łuków, która miała w sobie jakieś surowe, monochromatyczne piękno. Nie było ognia ani światła poza odbijanymi przez okruchy promieniami Słońca. Później, kiedy odłamki zaczęły spadać w atmosferę, ognia będzie aż nadto, na razie jednak świat kończył się fraktalnymi bąblami pyłu i drobnych kamyczków. Apokalipsa w żwirowni.

– Trafiłeś w dziesiątkę z tym „Białym Niebem” – powiedział ktoś do Dooba.

– Posiadanie racji nie zawsze przynosi satysfakcję – odparł.

W kilka godzin od pojawienia się Ósemki, Tempo Rozpadu Bolidów przekroczyło wszelkie sensowne granice i Doob przestał je śledzić – zwłaszcza że pewnie i tak nie miało już wiele wspólnego z rzeczywistością; od początku było tylko przybliżeniem, dziełem zespołu obserwatoriów wyliczanym na podstawie natężenia i rozkładu światła emanowanego przez chmurę. Założenia, które posłużyły do jego obliczenia, właśnie straciły ważność.

Próbował celować teleskopem w rejony, w których powinny znajdować się P1, P2 i Rozpadlina (duży, zasobny w metal potomek Pestki), znajdował jednak co najwyżej lokalne maksima gęstości chmury – być może spowodowane roztrzaskiwaniem się skalnych odłamków o metalowe powierzchnie odprysków Pestki. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś je zobaczy.

Nie pamiętał już dokładnie tego, jak duży wydawał się Księżyc na niebie, nie potrafił więc ocenić, ile razy większy jest teraz obłok jego szczątków. Mógłby oczywiście znaleźć gdzieś te dane i dokonać obliczeń, ale liczby niespecjalnie go w tej chwili interesowały. Księżyc w pełni zawsze był tej samej wielkości, chociaż czasem wydawał się ogromny, a czasem całkiem mały – w zależności od wysokości nad horyzontem oraz czynników natury czysto estetycznej lub psychologicznej. Dla znakomitej większości ludzi zamieszkujących część Ziemi pogrążoną teraz w ciemności tylko te czynniki miały znaczenie – a Doob był ciekaw, jak wygląda Księżyc widziany właśnie ich oczami. Chciał wiedzieć, jakie to uczucie. Chciał go zobaczyć nad Chino Hills z dziedzińca Caltech Athenaeum – tam właśnie widział go po raz ostatni, kilka minut przed rozpoczęciem Dnia Zero; ciekawiło go, co by teraz

czuł, stojąc tam, na *terra firma*, patrząc na resztki Księżyca i wiedząc, że śmierć jest blisko.

Podobnie jak większość ludzi, sporządził spis wszystkich tych, z którymi musiał się pożegnać – po czym przejrzał go i bezlitośnie wykreślił dziewięćdziesiąt procent nazwisk; nie starczyłoby mu czasu. Podczas ostatnich kilku miesięcy spędzonych na Ziemi odszukał wszystkich tych, z którymi koniecznie chciał zobaczyć się osobiście. Później, z orbity, pożegnał się z pozostałymi – w rozmowach na żywo przez łącze wideo albo w starannie zredagowanych e-mailach. Starał się również nie odzywać ponownie do takich osób; niezręcznie by się czuł, gdyby po tym, jak umówili się z kolegą na ostatnią popijawę, powspominali dawne czasy, spłakali się jak bobry, wyściskali i pożegnali, dwa miesiące później ni z tego, ni z owego odezwał się do niego, żeby wypytywać go o najnowsze obserwacje. Tym sposobem grono jego znajomych i przyjaciół systematycznie się kurczyło, w miarę jak odhaczał kolejne nazwiska z listy. W końcu zostały mu na niej tylko żona i dzieci. Po przejściu Ósemki skontaktowanie się z nimi stało się znacznie trudniejsze niż wcześniej. Przepływ informacji pomiędzy Izzy i Ziemią ograniczała sumaryczna przepustowość zainstalowanych na stacji anten i nadajników. Transmisje osobiste miały niższy priorytet niż łączność operacyjna, a ta w okresie szykowania ostatniej fali startów (przez Dinah nazwanej Amokiem) przybrała niespotykane wcześniej rozmiary. Doob regularnie wysyłał esemesy do Amelii i dzieci; lądowały później w kolejce do wysłania na długie minuty lub godziny, a co drugi w ogóle nie docierał do adresata. I kiedy już, już zaczynał tracić nadzieję, przychodziła wiadomość od Henry’ego, Hadley albo Hesper. Wysyłanie tych esemesów i otrzymywanie odpowiedzi stało się dla niego ważniejsze od spania, zaczął więc „łamać zmianę”, jak to się mówiło, i przysypiać przy każdej okazji – leżąc na podłodze w Fermie albo kładąc głowę na stole jak dziecko w przedszkolu, zawsze z telefonem przy twarzy, żeby poczuć jego wibracje, gdy tylko coś przyjdzie.

W końcu – około dwudziestu czterech godzin po tym, jak powiedział Markusowi o Ósemce – stało się dla niego jasne, że już nigdy nie nawiąże regularnego kontaktu z najbliższymi i pozostają mu wyłącznie sporadyczne, nieprzewidywalne esemesy. Wszystko, co chciał powiedzieć osobiście, należało powiedzieć wcześniej. Właściwie nie

powinien być zaskoczony: od dłuższego czasu upominał się w duchu, żeby zachowywać się tak, jakby każda rozmowa miała być ostatnią.

Nie przeszkodziło mu to jeszcze raz obejrzeć ostatnie wideorozmowy z rodziną zarejestrowane w przeddzień siedemsetnego dnia. Żałował, że różnych rzeczy im wtedy nie powiedział.

Przyszedł esemes od Henry'ego.

Jak to wygląda z góry?

Doob spojrział na zegarek: w Moses Lake była noc. Wyobraził sobie Henry'ego, jak siedzi na starej, sfatygowanej sofie, którą przywieźli z domu w Seattle, w przerwach od pracy popija piwo i patrzy, jak Białe Niebo wyciąga po niego widmową rękę.

Nie wiedział, co odpisać.

Wydaje mi się, że obłok trochę się rozciągnął wzdłuż orbity, odpisał. To początek formowania się pierścieni.

Pytałem o Ziemię, napisał Henry.

Doob udał się na poszukiwanie miejsca, z którego mógłby spojrzeć na Ziemię przez prawdziwe okno, zamiast oglądać ją na którymś z tych przeklętych Monitorów Kontroli Stanu, i ostatecznie wylądował w Kapsule Zabobonów. W środku panował ścisk. Izzy miała lada chwila przeciąć linię terminatora i przeskoczyć z dnia w noc. Nawet nad jasno oświetlonym Oceanem Spokojnym było widać jak gdyby włosowate rysy na przezroczystej kopule atmosfery: białe ślady spadających meteorytów, które ponad zaciemnioną połówką Ziemi przeobrażały się w łuki niebieskiego ognia, już to rozwidlające się, już to kończące się czerwonymi eksplozjami, gdy dotarły do powierzchni Ziemi. Inaczej mówiąc – widok był taki sam jak dzień i dwa dni wcześniej. Jeszcze przed dwoma laty taki gwałtowny wzrost poziomu aktywności meteorytowej byłby najbardziej zdumiewającym zjawiskiem astronomicznym w całej historii ludzkości, ale, począwszy od pierwszego wielkiego głazu, który zarył się w ziemię w Peru zaledwie kilka dni po Dniu Zero, liczba spadających meteorytów systematycznie rosła. Ludzie się przyzwyczaili. Niektórzy wrzucali do sieci autoportrety, na których czerwona twarz miała być dowodem „poparzenia kosmicznego”, czyli ostrej opalenizny wywołanej ekspozycją na emanujące ze śladów meteorytów promieniowanie ultrafioletowe.

Właśnie na was patrzę, nadał Doob. Chciał dodać: „i żałuję, że mnie

z wami nie ma”, ale to by było głupie. *Coś dużego leci nad południową częścią Kolumbii Brytyjskiej.*

Widzę, odpisał Henry. Czuję buchający od niego żar.

Duży macie ruch?

No wiesz, zestawiamy rakiety, montujemy kapsuły, szykujemy się do Wielkiej Fali...

Doob zastanawiał się, jak to wygląda w praktyce. Co powstrzymało zdesperowanych ludzi od wdarcia się na stanowiska startowe i wciśnięcia się na pokład którejś z ostatnich kapsuł? Przypomniał mu się ostatni helikopter odlatujący z Sajgonu, ludzie uczeplieni płóz, żołnierze bijący ich po twarzach... A może nie docenił ludzkiej natury? Może tam, na dole, panował wzorowy porządek?

Jesteś mi tu potrzebny.

To od Markusa.

Doob niechętnie odepchnął się od okna i zwrócił w stronę rury transportowej prowadzącej z powrotem do Komina. Stamtąd przedostanie się do T3 i Cysterny, gdzie najprawdopodobniej zostanie Markusa...

Markus Leuker wisiał w powietrzu tuż przed nim. Niebieska poświata ekranu telefonu rozjaśniała mu twarz. Wyłączył aparat i schował go do kieszeni.

– Nie chodziło mi o to, że musimy się znaleźć w jednym pomieszczeniu – wyjaśnił. – Ale twój mózg jest mi potrzebny tu i teraz, na orbicie, na Arce w Chmurze, a nie tam, na dole. Twoja rodzina nie żyje.

– Nie żyje – zgodził się Doob – ale wciąż do mnie mówi.

Odczuwał narastające w piersi wrzenie, które mogłoby go nawet doprowadzić do sprzedania Markusowi fangi w nos... gdyby tylko znaleźli się w miejscu, gdzie panuje jakieś ciążenie.

– Jak myślisz, co w tej chwili chcieliby od ciebie usłyszeć? Sentymentalne popierdółki? I bez tego wiedzą, że ich kochasz. Wiesz, co ja chciałbym usłyszeć na ich miejscu? Mniej więcej coś takiego: „Przepraszam cię, kochanie, ale zaprzętają mnie w tej chwili starania o przetrwanie naszego gatunku”. Dlatego proponuję, żebyś wysłał im coś w ten deseń, a potem przyszedł do mnie, do Cysterny. Musimy porozmawiać.

Odepchnąwszy się od jednej z lin, które porozpinano w całej Kapsule Zabobonów w roli uchwytów, Markus Leuker poszybował do wyjścia. Kiedy zniknął we wlocie rury transportowej, jego ciemna sylwetka przez chwilę rysowała się na tle świetlistego kręgu jak postać mężczyzny z rysunku Leonarda da Vinci; zaraz potem dwie inne osoby ruszyły za nim i popsuły cały efekt.

Ten fakt nie uszedł uwagi Dooba. Markus dorobił się własnego orszaku. Albo ochroniarzy.

Kamienny Deszcz

Podobnie jak każda porządna burza, Kamienny Deszcz rozpoczął się od nagłego grzmotu: kilometrowej średnicy kamień rozświetlił wschodnią Europę upiornymi, bezgłósnymi rozbłyskami, ślizgając się po wierzchniej warstwie atmosfery, by w okolicy Odessy zanurkować w obszar gęstszego powietrza. Na całym Krymie na trasie jego przelotu suche liście i łatwopalne śmieci zajęły się ogniem. Długie maźnięcie ognistego pędzla spopieliło zabudowania i lasy na północno-wschodnich obrzeżach Morza Czarnego, na końcu zaś znalazł się wydłużony, eliptyczny krater na stepie pomiędzy Krasnodarem i Stawropolem. Pierwsze z tych miast najpierw stanęło w ogniu pod wpływem żaru z nieba, a następnie uległo zmiżdżeniu falą uderzeniową; drugiemu dostała się fala uderzeniowa plus grad odłamków. Oba zostały starte z powierzchni ziemi.

Nastąpiło kilka godzin spokoju, nim z nieba zaczęły spadać mniejsze kawałki skał. Spadały wszędzie, chociaż najczęściej w niskich szerokościach geograficznych, blisko równika. Przez ostatnie miesiące wielu ludzi, uprzedzonych zawczasu, że tak właśnie rozwinie się sytuacja, poprzemieniło się bliżej biegunów; Rufus MacQuarie z przyjaciółmi, rodziną i współpracownikami zostali nawet zmuszeni do wystawienia straży wokół swojej kopalni w Górach Brooksa. W listopadzie było to paskudne miejsce. Uchodźcy, którzy chcieliby dotrzeć tak daleko na północ, musieliby być dobrze przygotowani i wyposażeni – i dokładnie takich właśnie nieproszonych gości Rufus nie życzył sobie w okolicy. Wolni od ograniczeń przepustowości obejmujących wszystkie inne radionadajniki na Arce w Chmurze Rufus i Dinah utrzymywali regularną łączność morsem podczas trzydniowej karencji pomiędzy Białym Niebem i Kamiennym Deszczem. Rufus cały czas nadawał z pikapa zaparkowanego przed wejściem do kopalni. Rozwahał zainstalowanie na szczycie góry większej anteny i podpięcie

się do niej spod ziemi za pomocą opancerzonych przewodów, ale Dinah – zapoznawszy się z przewidywanymi skutkami Kamiennego Deszczu – poradziła mu, żeby nie tracił na to czasu.

Ivy pożegnała się z Macierzystym Organizmem już kilka dni wcześniej, tuż przed tym, jak Morg połknął wydaną przez rząd pigułkę eutanazyjną. Jediną osobą na Ziemi, z którą utrzymywała jeszcze kontakt, był Cal, stacjonujący ze swoim okrętem na wodach przybrzeżnych nieopodal bazy marynarki wojennej w Norfolk, w miejscu, gdzie ocean granatował na tyle, by w krytycznym momencie ułatwić głębokie zanurzenie. Jej głównym łącznikiem z bliskimi była w tym okresie muzyka, albowiem Morg dał pięcioletniej Ivy wybór: mogła zostać najlepszą pianistką w południowej Kalifornii – albo najlepszą skrzypaczką w południowej Kalifornii. Wybrała skrzypce. Nigdy nie została mistrzynią południowej Kalifornii, nigdy się nawet do tego nie zbliżyła, grywała jednak w różnych młodzieżowych orkiestrach i zaznajomiła się co nieco z klasycznym repertuarem orkiestrowym. Na Izzy też zabrała ze sobą skrzypce; od czasu do czasu stroiła je i na nich grała.

Kiedy w dniu siedemset pierwszym Tempo Rozpadu Bolidów przekroczyło pewien zdefiniowany uprzednio poziom i oficjalnie rozpoczęło się Białe Niebo, różne organizacje kulturalne uruchomiły programy planowane mniej więcej od czasu orędzia znad Jeziora Kraterowego. Wiele z nich nadawano przez radio na falach krótkich, Ivy mogła więc wybierać pomiędzy transmisjami z Notre Dame, opactwa westminsterskiego, katedry Świętego Patryka, tokijskiego pałacu cesarskiego, placu Tiananmen, egipskich piramid i Ściany Płaczu. Odsłuchawszy po kawałku każdej z nich, wybrała Notre Dame, gdzie Czuwanie Przed Końcem Świata miało trwać bez przerwy do momentu, w którym katedra zawali się na głowy uczestników i pogrzebie wszelkie życie w swoich ruinach. Nie mogła oglądać transmisji, ponieważ zapotrzebowanie na pasmo wideo było zbyt duże, ale całkiem nieźle umiała sobie tę scenę wyobrazić: Orchestre Philharmonique de Radio France, zasilona najlepszymi muzykami frankofońskiego świata we frakach, sukniach balowych i diademach, grała non stop, w systemie zmianowym. Repertuar uwzględniał trochę świeckiej klasyki, dominowały w nim jednak msze i requiem. Od czasu do czasu melodie

mącił głuchy łoskot – najprawdopodobniej grom dźwiękowy spadającego bolidu. Muzycy zwykle nie zwracali na niego uwagi, co najwyżej solista gubił na moment rytm; wyjątkowo głośny grzmot mógł wywoływać krzyk i skowyt przerażenia u publiczności, płynnie przechodzące w brzęk tłuczonego szkła, gdy szyby z witrażowych okien osypywały się na kamienną posadzkę katedry, ale przez większość czasu muzyka bez przeszkód płynęła z głośnika... aż w którymś momencie przestała płynąć. Zapadła cisza.

Paryż zniszczony, nadała Ivy. Wciąż mogła komunikować się z Calem: wojskowy system łączności był połączony z systemem NASA.

Nurek zaraz wracam, odpisał. Brzmiało to cokolwiek zagadkowo, ale Ivy wiedziała, o co chodzi: okręt Cala musiał się zanurzyć, żeby przeczekać jakieś niebezpieczeństwo, które powinno szybko ustąpić.

Mógł się jednak mylić w tej kwestii; mogli już nigdy więcej nie porozmawiać. Uznała, że to właściwy moment, i wysłała mu wiadomość, która będzie na niego czekać, kiedy – jeśli w ogóle – okręt wyjdzie z zanurzenia: *Zwalniam cię z przysięgi*.

Dziwne uczucie przeszło jej ciało – prawie jakby znajdowała się pod powierzchnią Atlantyku, na okręcie podwodnym, przez który przewalała się fala uderzeniowa po odległym upadku meteorytu. Myślała, że to reakcja emocjonalna na to, co zrobiła, gdy wtem zauważyła, że wszystkie szybujące swobodnie przedmioty wokół niej dryfują w tym samym kierunku: w stronę ściany, o którą opierała się plecami. Wszystko dookoła napinało się i trzeszczało.

Uruchomiono silniki i Izzy zaczęła delikatnie przyspieszać; przyspieszenie wynosiło ułamek ziemskiego g .

Światła przygasły i zrobiły się czerwone. Zainstalowany w module głośnik zatrzeszczał i ożył.

– Alarm – zabrzmiał głos automatu. – Cały personel na stanowiska. Pilny manewr roju. To nie są ćwiczenia.

A więc stało się. Ćwiczyli od miesięcy, ale to był pierwszy prawdziwy alarm meteorytowy. Ekipa obsługująca MS – Matrycę Sensoryczną – wykryła bolid, którego trajektoria mogła zagrażać Izzy, jeśli ta nie skoryguje swojej orbity.

W pierwszym nerwowym odruchu Ivy wyjrzała przez okno w stronę Amalthei: była na swoim miejscu. Nie odłamała się podczas manewru.

To był klasyczny przykład myślenia kapitana statku – tak jakby dobro stacji kosmicznej było najważniejsze. A przecież wszyscy, Ivy również, musieli jak najszybciej przestawić się na myślenie kategoriami Arki w Chmurze. Większość mieszkańców Arki żyła w miniarkach. Izzy miała pomóc im przetrwać.

Oderwała więc wzrok od okna (nawiasem mówiąc, co za przeżytek, takie okno) i wyświetliła na tablecie diagram rozmieszczenia wszystkich jednostek tworzących Arkę w Chmurze. Aplikacja zwana Parametrykiem nie służyła do wyświetlania rzeczywistej konfiguracji chmury (choć i taka możliwość istniała – wystarczyło wybrać odpowiednie opcje w menu), stanowiła jednak prawdziwe arcydzieło w dziedzinie wizualizacji danych, które mogli docenić tylko tacy ludzie jak Ivy, Doob i większość arkan, którzy poświęcili dużo czasu na zgłębienie tajników mechaniki orbitalnej. Wychodząc od obserwacji empirycznych poczynionych przez Linę Ferreirę i innych biologów z zacięciem matematycznym, prawdziwi matematycy – tacy jak Zhong Hu – stworzyli i ekstrapolowali algorytmy roju dla przestrzeni liczących od trzech do sześciu wymiarów, a fizycy (wśród nich Ivy) przełożyli te algorytmy na szczególne uwarunkowania fizyki orbitalnej. Ogólnie rzecz biorąc, każdy statek w roju był przedstawiony jako punkt w trójwymiarowej przestrzeni, opisany sześcioma liczbami w pełni określającymi jego orbitę – były to tak zwane „parametry orbitalne” lub, w skrócie, „paramy”. Na wykresie można było zilustrować najwyżej trzy z nich jednocześnie, dlatego kluczową rolę w aplikacji odgrywał sprytny interfejs użytkownika, zmuszający Ivy do najwyższej koncentracji i zaangażowania wszystkich dostępnych komórek mózgowych.

Chodziło z grubsza o to, że każda miniarka była pociskiem, który przy niewłaściwych paramach mógł trafić w inną miniarkę lub nawet w samą Izzy. W hipotetycznej Arce w Chmurze złożonej zaledwie z dwóch miniarek, a więc skrajnie uproszczonej, wystarczyłoby wykonać jeden prosty rachunek, który odpowiadałby na pytanie: „Czy miniarka 1 zderzy się z miniarką 2, jeżeli żadna z nich nie zmieni dotychczasowego kursu?”. W chmurze złożonej z trzech miniarek należałoby również ustalić, czy jedyńka lub dwójka mogą zderzyć się z trójką, a więc łącznie dokonać już trzech obliczeń. Przy czterech arkach liczba niezbędnych rachunków wzrastała do sześciu i tak dalej.

W terminologii matematycznej liczby te nazywano liczbami trójkątnymi lub współczynnikami dwumianowymi; pomijając jednak mądre nazewnictwo, najważniejszy był fakt, że ilość wymaganych obliczeń rosła lawinowo ze wzrostem liczby tworzących rój jednostek: przy czterystu miniarkach było ich cztery tysiące dziewięćset pięćdziesiąt, a przy tysiącu – około pół miliona. Prościutkie komputery z epoki programu Apollo mogłyby się pogubić w takich rachunkach, ale według dzisiejszych standardów to była betka – gdyby tylko udało się zdobyć dokładne informacje na temat orbit wszystkich miniarek. W staroświeckim systemie scentralizowanym każda miniarka przesyłałaby swoje paramy do głównego komputera na pokładzie Izzy, który następnie dokonywałby obliczeń i przedstawiał wyniki. Niezawodność tej procedury można by zwiększyć, gdyby radary Izzy, stale śledzące ruch miniarek, uzupełniały luki w zestawie danych – i coś takiego rzeczywiście działo się przez cały czas, i to nie w jednym komputerze, lecz w kilku na pokładzie stacji. Tyle że był to – znowu – przejaw myślenia o dobru statku. Dobro Chmury wymagało, żeby każda miniarka sama dokonywała takich obserwacji i sama wykonywała stosowne obliczenia. Komputer zainstalowany na takiej arce – nazwijmy ją miniarką X – nie dysponował wprawdzie wszystkimi informacjami niezbędnymi do śledzenia wszystkich pozostałych statków w roju, mógł jednak wytypować te potencjalnie najniebezpieczniejsze i na nich się skupić. Inne maszyny, w tym także centralny komputer Izzy, mogły go wspierać w tych wysiłkach poprzez wysyłanie komunikatów o treści: „Może o tym nie wiesz, ale grozi ci potencjalne niebezpieczeństwo ze strony miniarki Y; radzimy umieścić ją na czele listy twoich ewentualnych zmartwień”. Na co on odpowiadałby mniej więcej tak: „Dzięki, ale nie odbieram dokładnych paramów miniarki Y, ponieważ Izzy zasłania mi ją na radarze”. Tym sposobem chmura uzyskiwałaby informację o tym, że X i Y muszą lepiej poznać nawzajem swoje paramy, i nadałaby temu zagadnieniu odpowiednio wysoki priorytet.

Inaczej mówiąc, chmura miniarek nie była już tylko fizycznym zbiorowiskiem latających w kosmosie obiektów, lecz stała się chmurą w sensie obliczeniowym – swobodnym, samoregulującym się Internetem. Parametryk umożliwiał obserwację zachodzących w tej sieci wydarzeń z iście boskiej perspektywy; w gruncie rzeczy

wystarczyło o nim wiedzieć tylko to, że wszelkie straszne okropieństwa wyświełają się w nim na czerwono.

Ivy spojrzała teraz na ekran bardziej zaciekawiona niż zaniepokojona, ponieważ od tygodni ćwiczili różne manewry i myślała, że wie, czego się spodziewać. Za każdym razem, gdy Izzy odpalała silniki i zmieniała swoje paramy, czerwień rozlewała się po wykresach jak kropla krwi w szklance wody. Wszystkie miniarki – zarówno te pojedyncze, jak i te połączone w bolas, triady i heptady – musiały na nowo określić swoje paramy i zbadać, czy nie zachodzi ryzyko kolizji ze stacją – albo, co byłoby niemal równie niebezpieczne, zdryfowania na odległość uniemożliwiającą późniejszy powrót do roju; taka możliwość była sygnalizowana żółtą kropką na wyświetlaczu. Każda miniarka z osobna mogła bez trudu wytyczyć dla siebie nowy kurs, na którym uniknęłyby obu tych okropnych ewentualności; dokonanie tego samego jednocześnie przez trzysta miniarek, które miałyby przy tym nie powpadać na siebie nawzajem, było o wiele trudniejsze. Dlatego też niezbędny był jakiś mechanizm negocjacyjny, oparty nie na odbieraniu rozkazów z Izzy, lecz na obserwowaniu znajdujących się „w pobliżu” miniarek i koordynowaniu z nimi wszystkich swoich ruchów, by czerwona plama na wykresie była jak najmniejsza.

Słowa „w pobliżu” nieprzypadkowo znalazły się w cudzysłowie, w roju miały bowiem zgoła inne znaczenie niż, powiedzmy, w stadzie ptaków. Dla ptaka „pobliże” oznaczało dokładnie to: najbliższych sąsiadów; dla obiektu manewrującego w sześciowymiarowej przestrzeni mechaniki orbitalnej „pobliże” określało „każdy zestaw paramów, który w perspektywie najbliższych kilku minut może okazać się dla mnie interesujący” i mogło się odnosić nawet do obiektów znajdujących się tak daleko, że w danej chwili wręcz niewidocznych. Po uwzględnieniu tej różnicy zachowanie miniarek niewiele różniło się od zachowania ptaków w stadzie; w symulacjach zaprezentowanych wkrótce po przedstawieniu koncepcji roju do złudzenia przypominało ruchy ryb tworzących ławicę – a rzeczywistość, którą udało się zaobserwować dopiero w ostatnich miesiącach nieustannych startów z Kourou, Bajkonuru, Canaveral i innych kosmodromów, w pełni odpowiadała tamtym symulacjom. Różnica była tylko taka, że w rzeczywistości wszystkie procesy przebiegały wolniej.

Teraz działo się to samo: miniarki reagowały na zmianę kursu Izzy. Czerwień rozlała się, zastygła i zaczęła kurczyć – najpierw strzępiąc się na brzegach, potem gasnąc całymi plamami. Parę punkcików zżółkło, po czym nadgoniło zaległości i przybrało właściwy kolor. Bazując na doświadczeniach z wielomiesięcznych prób i ćwiczeń, Ivy spodziewała się, że resztki czerwieni lada chwila zbieleją i nie będzie się czym martwić – ale tak się nie stało. W paru miejscach czerwień uparcie trzymała się wyświetlacza.

Odwróciła wykres, obejrzała go pod różnymi kątami, aż w końcu namierzyła i sprawdziła podejrzane kropki: niemal wszystkie moduły – zarówno towarowe, jak i pasażerskie – zostały wystrzelone w fazie Amoku, ostatniego wspólnego wysiłku krajów prowadzących programy kosmiczne, w którym próbowano wysłać na orbitę absolutnie wszystko, co było w stanie na nią dolecieć.

Zabuczał telefon – Cal przysłał odpowiedź. Musieli się wynurzyć.

Co to miało znaczyć?

Dopiero co przeczytał jej ostatniego esemesa.

Że nie jesteśmy już zaręczeni, odpisała. Wydało jej się to nieco bezduszne, więc po namyśle dodała: *Musisz sobie poszukać jakiejś miłej syrenki.*

Odpisał po minucie: *{płaczę} Zamierzałem zrobić to samo. Ty masz dużo większe szanse.*

Kupa prawda, odpowiedziała. To był ich stary żarcik. Kiedy pierwszy raz spotkali się w Annapolis, był takim grzecznym chłopcem, że „gówno prawda” nie przeszło mu przez gardło.

Mój WAS = Wspaniałe Abstynencki Skarb.

WAS jest smutny :(Dlaczego się zanurzyliście?

Szła duża fala. Zła wiadomość dla Wschodniego Wybrzeża.

Kto tak powiedział? Macie wierzch?

Chodziło jej o zwierchnictwo.

Został jeden szczebel nade mną.

Chwila przerwy. I dalej:

Prezydent umilkła.

Chwała Bogu, wpisała Ivy i zawahała się przed wysłaniem. Ale przecież nadchodził koniec świata, nie musiała się przejmować konsekwencjami. Wysłała.

Nigdy nie rozmawiali z Calem o tym, co się wydarzyło w dniu siedemsetnym, o bombach paliwowo-powietrznych i głowicy jądrowej, Ivy była jednak przekonana, że to on wcisnął guzik.

Niech Bóg zmiłuje się nad jej duszą, odpisał Cal. Ivy doskonale rozumiała niewypowiedziany wprost podtekst: „I nad moją”.

Wymianę esemesów przerwała wiadomość od Markusa: *Jesteś potrzebna*.

Schowwała telefon, żeby mieć wolne ręce przy poruszaniu się na terenie Izzy: przez labirynt kapsuł mieszkalnych dotarła do Komina i skierowała się ku rufie, do Cysterny. Przelot Kominem trwał dosłownie chwilę. Jeszcze przed tygodniem musiałaby manewrować wśród ludzi zbierających się w pary i trójki i pogrążonych w rozmowie. Odkąd Markus ogłosił OUPSA, sytuacja się zmieniła: w jednym ze swoich edyktów zarządził, że Komin ma być pusty, by umożliwić szybkie przemieszczanie się kluczowych członków załogi stacji. I faktycznie, w tej chwili był pusty jak nigdy przedtem. Dostrzegła jakiś ruch w Zwieździe: mignął jej znajomy profil Moiry z postawionymi na sztorc włosami; najprawdopodobniej pochłaniały ją przygotowania do przeniesienia Genetycznego Archiwum Ludzkości do chmury, który to projekt był wcale nie mniej skomplikowany niż wszystkie te machinacje z rojem i paramami. Kluczowi członkowie załogi, w rzeczy samej.

W głębi P1 pojawiła się Luisa; wypchnęła się do Komina z taką miną, jakby naprawdę gdzieś się śpieszyła. Niemal zderzyła się z jednym z asystentów Moiry, wyminęła go i siłą rozpędu dotarła do Zarii. Tam gwałtownie wyhamowała przy wlocie rury transportowej prowadzącej do Kapsuły Zabobonów, spojrzała badawczo do jej wnętrza, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym – najwyraźniej podjąwszy decyzję – wśliznęła się do środka.

Chwilę później Ivy, przepływając obok wlotu tej samej rury, zwolniła i zajrzała w jej głąb: wzrok sięgał aż do samej sferycznej kapsuły i na jej drugą stronę, gdzie za oknami było widać Ziemię – czyli, w normalnych warunkach, błękitną poświatę oceanów i białe światło odbite od chmur i lodowców, a czasem także połacie zieleni, gdy przelatywali akurat nad dobrze nawodnionym rejonem globu, albo żółtości, gdy znaleźli się nad Saharą.

W tej chwili światło miało odcień pomarańczowy. Ziemia płonęła.

Ludzie w kapsule krzyczeli; Luisę wysłano tam zapewne po to, by ich uspokoiła. Niewiele brakowało, żeby zafascynowana magnetyzmem sceny Ivy również zapuściła się do wnętrza kapsuły. Ziemia wyglądała tak, jakby jakiś bóg zaatakował ją spawarką i ciął na prawo i lewo, pozostawiając na niej cienkie ogniste kreski. Niektóre z nich były czerwone i stabilne: pożary na powierzchni. Inne oślepiały bielą i pałały błękitem: ślady meteorytów w atmosferze.

Miała wrażenie, że prawie mogłaby poczuć emanujące z planety ciepło.

Markus jej potrzebował. Krzyczącym ludziom w Kapsule Zabobonów i tak nie pomoże.

Odwróciła się, odepchnęła i poszybowała w stronę rufy.

Przy wejściu do kompleksu chłodziarek z materiałem genetycznym Moira z nieprzeniknionym wyrazem twarzy odhaczała na tablicie kolejne punkty procedury. Na głowie miała ogromne słuchawki, przez które czegoś nasłuchiwała. Zauważywszy Ivy, zdjęła jedną słuchawkę i podała jej ją w wyciągniętej ręce. Ivy rozpoznała polifoniczny średniowieczny śpiew *a capella*.

– King’s College dzielnie się trzyma – powiedziała Moira. – Znasz to?

– Na pewno kiedyś już to słyszałam, ale w tej chwili nie kojarzę.

– *Miserere mei, Deus Allegriego*.

Dzięki naleganiom Morga, żeby uczyła się łaciny, Ivy wiedziała, co znaczą te słowa: „Boże, zmiłuj się nade mną”.

– Piękne – powiedziała.

– Śpiewali to podczas ciemnej jutrzni, przed świtem, gasząc kolejne świece.

– Dziękuję, Moiro.

– Dziękuję, Ivy.

Minutę później była już w T3. Jak zwykle potrzebowała chwili na oswojenie się ze sztucznym ciężeniem, zanim skierowała się w stronę Fermi i Cysterny. Kiedy przechodziła przez kącik socjalny, przyszło jej do głowy, żeby sobie zaparzyć kawę – a zaraz potem odczuła wstrząs i wstyd, uświadomiwszy sobie, że myśli o kawie, gdy jej świat stoi w ogniu.

A potem mimo wszystko nalala sobie kawy do kubka i weszła do Fermi, gdzie panował spory ścisk. Na większości Monitorów Kontroli

Stanu wyświetlały się raporty z funkcjonowania Arki w Chmurze, ale ten największy, zawieszony na krótszej ścianie, pokazywał widok Ziemi z umieszczonej na orbicie kamery – tyle że obraz wideo pod względem siły przekazu nie mógł się równać z widokiem na żywo z okna Kapsuły Zabobonów. Tam były porażające swoją intensywnością ślady bolidów w atmosferze, tutaj niewyraźne smugi wybielonych pikseli. Odruchowo pomyślała, że można by się przełączyć na odbiór CNN, Al Jazeera, albo jeszcze innego dwudziestoczerogodzinnego kanału informacyjnego... a potem przypomniała sobie, co się dzieje.

Podeszła do drzwi Cysterny.

Po ich obu bokach stało dwoje ludzi, którzy nie robili niczego szczególnego. Po prostu stali. Dziwne.

Zauważyła, że mają zawieszane u pasa jakieś niezwykle urządzenia.

Rozpoznała tasery.

Zanim jeszcze otrząsnęła się z oszołomienia tym faktem, jeden z tych ludzi – teraz rozpoznała w nim Toma Van Metera, inżyniera i zapalonego sportowca – skinął jej uprzejmie głową i otworzył drzwi.

W Cysternie – całkiem zwyczajnej sali konferencyjnej, niedużej, cztery razy mniejszej od całej Fermi – sześcioro siedzących przy stole ludzi pracowało na tabletach lub laptopach. Znajdujące się w głębi drzwi do gabinetu Markusa były uchylone. Ivy natychmiast weszła do środka; pierwszy raz, odkąd trzy lata wcześniej przybyła na Izzy, czuła w tej sytuacji lekki niepokój, jakby ktoś mógł ją zaskoczyć i porazić ładunkiem z tasera.

Markus siedział za biurkiem i rozmawiał z Doobem.

– Patrzyłaś na Parametryk? – spytał na jej widok.

– Tak. Kilka minut temu, po tej zmianie kursu.

– Reakcję chmury trudno nazwać wzorową.

– To prawda. Byli maruderzy.

– Nadal są – wtrącił Doob, wskazując ekran projekcyjny na ścianie.

– To chyba sami nowi: moduły towarowe i kapsuły pasażerskie z okresu Amoku. Domyślam się, że nie zalogowali się jeszcze do chmury i nie są na bieżąco.

– Wszystko to prawda – przytaknął Markus. – Ale bardzo niebezpieczna.

– Naturalnie.

– To mnie rozprasza.

– Zajmę się tym.

– Jeśli chodzi o zagrożenie ze strony bolidów, to wszystkie systemy działają sprawnie, a Doob trzyma rękę na pulsie i wypatruje anomalii. W kwestii maruderów muszę się zdać na ciebie, Ivy.

– Załatwione.

– W razie konieczności zniszczymy ich.

– Jak to sobie wyobrażasz, Markusie? Nie mamy torped fotonowych.

– Mamy za to lodówkę pełną zamrożonych trupów, których tak czy siak musimy się pozbyć – przypomniał Markus. – Z przyjemnością wystrzelę je w kierunku każdego marudera, który będzie zagrażał Arce w Chmurze.

– Będę o tym pamiętać – obiecała Ivy. – To ważna karta przetargowa.

Do pomieszczenia weszła Luisa. Była trochę roztrzęsiona, twarz miała mokrą od łez.

– I jak, Luiso? – zagaił uprzejmie Markus. – Dowiedziałaś się, co się dzieje w Kapsule Zabobonów?

– Parę osób się rozkleiło zgodnie z przewidywaniami – odparła Luisa.

– To nic groźnego. Ktokolwiek zgłosił to jako zakłócenie porządku, musi mieć lekką paranoję.

– Dziękuję, że to sprawdziłaś.

– À propos paranoi... Wystawiłeś uzbrojoną straż przy wejściu do Cysterny!

– Jestem zajęty, więc nie zamierzam długo o tym rozmawiać – uprzedził Markus. – Podzielam twój pogląd na tę sprawę, ale nie jestem tu po to, żeby wyrażać swoje osobiste odczucia, tylko żeby jak najlepiej wykonywać pewne obowiązki. Nie chciałem zostać królem wszechświata, lecz teraz nim jestem. A historia rodzaju ludzkiego, chociaż wcale mi się nie podoba, to jednak mi podpowiada, że człowiek mający taką pozycję potrzebuje ochrony.

Wyraz twarzy Luisy świadczył o jej gotowości sprzeciwienia się temu twierdzeniu z wielu powodów. Ostatecznie ugryzła się jednak w język i ograniczyła do ciężkiego westchnienia.

– Później do tego wrócimy – zapowiedziała.

– Dobrze.

– Wiesz w ogóle, co się dzieje na dole?

- Domyślałam się, ale mnie to nie interesuje.
- Rozumiem. Wydaje mi się jednak, że król wszechświata niedługo będzie musiał wygłosić jakieś przemówienie.
- Już je napisałem.
- Oczywiście... Mogłam się tego spodziewać. Kiedy zamierzałeś z nim wystąpić? Jest mnóstwo ludzi, których trzeba by uspokoić.
- Czy jesteś jednym z nich, Luiso? – spytał Markus oziębło, choć bynajmniej nie napastliwie.

Luisa wyprostowała się gwałtownie i Ivy przygotowała się w duchu na jej ostrą reakcję, ale twarz Luisy złagodniała, gdy tylko dotarło do niej, że Markus nie wyzłośliwia się, tylko po prostu prosi o informacje.

– Tak – przyznała. – Parę minut temu na Manhattan runęła wysoka na sto stóp fala morska; przypuszczam, że taki sam los spotkał większość Wschodniego Wybrzeża. Słuchałam nabożeństwa z katedry Świętego Patryka, kiedy nagle przestali nadawać.

Markus pokiwał głową i przełączył ekran na przekazywany na żywo obraz Ziemi. Ivy była wstrząśnięta, że przez te kilka krótkich minut, które spędziła w Cysternie, pożary aż tak się rozlały.

Wyjawszy z kieszeni telefon, znalazła na nim serię esemesów od Cala.

Hej

Zajęta?

OK Pewnie cię gdzieś wezwali

Na wypadek, gdyby nas odcięło kocham cię

Poszukam syrenki jak radziłaś ale żadna cię nie zastąpi

Straciliśmy kontakt z Norfolk. Nie mam wierzchu

Ożeż w mordę ale gorąco

Zanurzenie

Na razie

W ostatniej wiadomości przesłał zdjęcie zrobione telefonem komórkowym. Dopiero po dobrej minucie powiększania i przesuwania obrazu Ivy zorientowała się, co właściwie ogląda. Cal musiał pstryknąć fotkę, stojąc w głębi kiosku swojego okrętu i patrząc wzdłuż drabinki w górę, przez otwarty właz. Uzyskał w ten sposób obraz tunelu z kręgiem nieba na końcu.

Niebo płonęło.

W drugiej ręce trzymał swój pierścień zaręczynowy: zwykłą,

pozbawioną ozdób tytanową obrączkę. Trzymał go w dwóch palcach, koncentrycznie z kręgiem ognistego nieba, i celował obiektywem w jego środek.

Podniosła wzrok. Ktoś zwrócił się do niej po imieniu.

– Moje jakoś tak rozplynęły się w nicość – powiedział Doob.

– Przepraszam, doktorze, nie dosłyszałam – odparła. Wpojone przez Morg maniere zwyciężyły nawet w takich okolicznościach.

– Długo się zbierałem do ostatnich pożegnań z Amelią i dziećmi – mówił dalej Doob, półgłosem, bez emocji, jakby opowiadał anegdotę ze średnio zaskakującą puentą. – Łączność sypała się stopniowo przez dwa dni i w końcu się nie pożegnaliśmy.

– W porządku – obwieścił Markus. – Wygłoszę orędzie.

* * *

GORĄCO ŻE MOŻNA BY PIEC KARTOFLE NA MASCE WOZU

SCHOWAJ SIĘ TATO

NIE ŻARTUJĘ Z TĄ TEMPERATURĄ FARBA SIĘ GOTUJE

JA TEŻ NIE ŻARTUJĘ MUSISZ SIĘ SCHOWAĆ

MAM METALIZOWANĄ FOLIĘ PRZYKRYJĘ SIĘ NIĄ I DOBIEGNĘ

TO JEJ UŻYJ TATO NA LITOŚĆ BOSKĄ

ALE WTEDY NIE MOGLIBYŚMY DŁUŻEJ BIĆ PIANY DINAH

A JEŚLI ZBIORNIK PALIWA EKSPLODUJE

HA HA DAWNO GO OPRÓŻNILIŚMY BENZYNA POSZŁA DO

GENERATORA

RETY ALE Z CIEBIE PRZEMĄDRZALEC

Wstukiwała kolejne znaki i cieszyła się, że alfabet Morse'a działa bez zarzutu nawet kiedy oczy szklą się od łez, a szloch dławi w gardle, gdy z głośnika dobiegł głos Markusa:

– Mówi Markus Leuker.

– Wiem, kto mówi – odmruknęła Dinah.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że Markus przemawia przez obejmujący całą Arkę w Chmurze system nagłaśniający, który teoretycznie sięgał do wszystkich zakątków Izzy i wszystkich miniarek. Testowali go kilkakrotnie, nadając zarejestrowane wcześniej

komunikaty, ale jeszcze nigdy nie został użyty zgodnie z przeznaczeniem. Markus szczerze go nie znosił i uważał za dwudziestowieczny przeżytek; jego zdaniem komunikaty należało adresować do konkretnych zainteresowanych, a bezosobowe szczekanie z głośników nie powinno odrywać ludzi od pracy.

– Konstytucja Arki w Chmurze wchodzi w życie ze skutkiem natychmiastowym.

Dinah zaparło dech w piersi, bo wiedziała, co to oznacza. Markus mimo wszystko postanowił wyłożyć kawę na ławę:

– To znaczy, że państwa na Ziemi przestały istnieć. Wraz z nimi przestały istnieć ich rządy i instytucje, struktury wojskowe i hierarchia cywilna. Składane im przysięgi i ślubowania, obietnice wierności i lojalności przestały obowiązywać. Obywatelstwo straciło rację bytu. Od teraz macie tylko takie prawa, jakie przewiduje dla was Konstytucja Arki w Chmurze, i tylko takie obowiązki. Jesteście obywatelami nowego państwa. Jedyne państwa. Oby trwało jak najdłużej.

Dinah nadała:

MARKUS PRZEJMUJE WŁADZĘ

A KTO POWIEDZIAŁ ŻE TO ON JEST SZEFEM

Transmisja od Rufusa zaczynała się rwać. Dinah otarła łzy, wyjrzała przez okno i zobaczyła Ziemię obwiedzioną ognistym pierścieniem. Ślady meteorytów w atmosferze – wcześniej tworzące zaledwie siatkę rys na ciemnym tle – połączyły się w oślepiające kontinuum przegrzanego powietrza zdolnego podpalić na powierzchni Ziemi wszystko, co palne. Zważywszy, że najwięcej odłamków spadało w okolicach równika, tam właśnie pierścień jarzył się najjaśniej – ale w ogniu stały także rozległe połacie gruntów daleko na północ i południe od niego. Ognisty pas rozszerzał się i sięgał coraz wyższych szerokości geograficznych w Kanadzie i Ameryce Południowej.

Wysłała nową wiadomość:

ZARAZ CIĘ STRACĘ POWIEDZ BOBOWI I EDOWI I GT I REKSOWI ŻE
ICH KOCHAM I BEV TEŻ

JUŻ MÓWIŁEM ALE POWIEM JESZCZE RAZ JEZU JAK GORĄCO

SCHOWAJ SIĘ TATO

NIE MARTW SIĘ JESTEM TUŻ PRZY WEJŚCIU SŁYSZĘ JAK W ŚRODKU
MODLĄ SIĘ PRZED POSIŁKIEM

WIĘC DOŁĄCZ DO CHÓRU TATO

BIEGNAJ PO MNIE BOB I ED TRZYMAJ SIĘ SKARBIE CHCEMY BYĆ
Z CIEBIE DUMNI QRT

QRT QRT QRT QRT

Sama nie wiedziała, ile razy powtórzyła ten kod.

Dopiero jakiś czas później otrząsnęła się ze szlochów, wyobraziwszy sobie tę scenę: Bob i Ed – jej bracia – ubrani w srebrzyste skafandry strażackie wybiegają z wejścia do kopalni, wyciągają tatę z pikapa, zawijają go w płat metalizowanej folii, żeby nie upiekł się pod gołym niebem, i zaciągają pod ziemię. Stalowa płyta calowej grubości zamyka przejście, w ruch idą spawarki, grube płyty metalu mają wytrzymać pięć tysięcy lat. Potem uruchamia się ciężką maszynę, która zasypuje wejście tonami skał i żwiru, na wypadek gdyby któraś z potężnych fal uderzeniowych wyłamała płytę z oprawy.

A potem cisza, mącona, być może, odległym głuchym łoskotem spadających meteorytów. I mieszkańcy odmawiający przy stole modlitwę i zasiadający do pierwszego z około piętnastu tysięcy posiłków, które MacQuarie i ich potomkowie musieli przyrzędzić i zjeść, jeśli mieli jeszcze kiedyś opuścić ten grób. Mieli pod ziemią pięciuset ludzi. Mieli również – przynajmniej na papierze – możliwość zapewnienia im wszystkim żywności, chociaż Dinah nie była do końca pewna, w jaki sposób zagwarantowali sobie tę samowystarczalność. Nie wypytywała Rufusa o wszystkie szczegóły planu.

Markus kontynuował przemowę. Powtarzał to, co wszyscy już wiedzieli – że nastał koniec Ziemi i że masowa zagłada, której od dwóch lat się spodziewano, już nastąpiła. Wszyscy o tym wiedzieli, ale ktoś musiał to powiedzieć.

Potem poprosił o siedemset cztery sekundy ciszy – po jednej za każdy dzień, jaki upłynął od Dnia Zero. Około dwunastu minut. Wszystkie mniej ważne zadania miały na ten czas ulec zawieszeniu, to miał być czas zadumy, wspomnienia i żałoby. Potem będą musieli odsunąć w przeszłość Ziemię i wszystko, co razem z nią przeminęło, i skoncentrować się na teraźniejszości.

Dinah – skulona w pozycji płodowej – szybowała samotnie w powietrzu na środku warsztatu wsłuchana w dobiegające z radia dziwaczne piski i trzaski. Ze wszystkich mieszkańców Arki w Chmurze

ona jedna wiedziała, że jej rodzina jeszcze żyje i może żyć jeszcze bardzo długo. Nie była jednak pewna, czy ta wiedza byłaby lepsza, czy gorsza od świadomości, że wszyscy jej bliscy nie żyją. Jedyne, co jej zostało, to ostatnie słowa ojca: CHCEMY BYĆ Z CIEBIE DUMNI. Alfabet Morse'a nie zostawiał śladów na papierze ani e-mailowego wątku na ekranie tabletu. Nigdy nie będzie mogła przewinąć rozmowy wstecz i przeczytać tych słów jeszcze raz. Miała nadzieję, że powiedziała właściwe rzeczy, że Rufus je zapamiętał i przy kolacji opowie o nich pozostałym.

Następnie spróbowała opłakać wszystkich zabitych, ale to ją przerosło. Pod względem emocjonalnym przypominało jej to czytanie o wojnie sprzed stu lat. I może o to właśnie chodziło Markusowi. Na Ziemi ludzie wciąż jeszcze umierali, lecz oni tutaj, na górze, musieli zacząć o tym myśleć jak o klęsce głodu w Irlandii, gdy przyszła zaraza ziemniaczana, albo o losie mieszkańców Nowego Świata po tym, jak Kolumb przypłynął i zaraził ich mrowiem zabójczych chorób. Żal, smutek, nawet zgroza były jak najbardziej na miejscu, lecz niezbędny był również dystans. Dostali siedemset cztery sekundy na to, żeby ten dystans w sobie wykształcić.

Dinah zaczęła się więc zastanawiać, co dokładnie powinna zrobić, żeby nie przynieść wstydu Rufusowi MacQuarie. Na to pytanie istniała prosta odpowiedź: postępować słusznie, honorowo, w zgodzie z paroma nieskomplikowanymi zasadami etycznymi tworzącymi swoisty kodeks honorowy jak żywcem wyjęty z Dzikiego Zachodu. Wszystko to było całkiem łatwo zrozumieć, nieco trudniej zaś wcielić w życie. Rufus nie był jednak kowbojem ani – tym bardziej – kaznodzieją. Był górnikiem: drążył w ziemi, wysadzał, budował, prowadził interesy. Jeżeli przestrzegał prostego kodeksu etycznego, to nie dla samej jego idei, lecz jako środka do osiągnięcia celów bez zaprzędawania duszy diabłu lub niszczenia swojej reputacji. Kodeks ten był narzędziem takim samym jak szpadel czy laska dynamitu. Narzędzia służyły do budowania, a duma była czymś, co odczuwało się po fakcie, patrząc z dystansu na swoje dzieło, które będzie można przekazać w spadku dzieciom. Dinah mogła do końca życia dotrzymać danego słowa, traktować wszystkich równo i tak dalej, i Rufus z całą pewnością by ją za to pochwalił, ale nie takie zadanie jej wyznaczył. Powiedział jej – choć w nieco innych słowach – żeby zajęła się budowaniem przyszłości.

– Kończysz już?

Odwróciwszy się, zobaczyła Ivy, która unosiła się w powietrzu w KMUK-u i przez właz zaglądała do warsztatu.

– Ale minęło dopiero ze dwieście sekund z tych wyznaczo...

– Markus powiedział, że nie muszę czekać do końca. Zlecił mi zadanie, a ja potrzebuję twojej pomocy.

– Suka.

– Zdzira.

– To co, idziemy?

* * *

– Pamiętasz, jak Internet był nowinką i niektórzy ludzie w twoim otoczeniu nie łapali jeszcze, o co w nim chodzi? – spytała Ivy. Płynąc przez na pozór nieskończony labirynt modułów i rur transportowych, kierowała się na peryferia Izzy.

– Ludzie w moim otoczeniu załapali dosyć szybko – odparła podążająca za nią Dinah. – Niewielu znasz górników, prawda?

– To nie mój świat. Ale mieliśmy takie skamieliny, które, na przykład, czytały e-maile dopiero po wydrukowaniu albo pytały cię o numer faksu dwadzieścia lat po tym, jak wyrzuciłaś telefaks.

Przemierzały pogrążoną w całkowitej ciszy stację; z zapowiedzianych dwunastu minut milczenia upłynęło zaledwie pięć. Na twarzach w mijanych otwartych włazach malowało się przelotne zaskoczenie, a potem ludzie wracali do opłakiwania, modlitwy, medytacji i innych przerwanych na chwilę zajęć. Dinah zdawała sobie sprawę z wagi tej chwili, lecz w głębi duszy cieszyła się, że dostała od Ivy dyspensę i mogła zająć się pracą.

– Co to ma wspólnego...

– System, to znaczy Parametryk i cała reszta, działa skutecznie wyłącznie wtedy, gdy wszystkie statki składające się na Arkę w Chmurze grają według tych samych reguł: logują się do systemu, komunikują się za pośrednictwem uzgodnionych protokołów, przestrzegają wymogów roju. Kiedy jednak jakaś jednostka postanawia działać na własną rękę, to zważywszy na jej potencjał niszczycielski, równie dobrze mogłaby być

meteorytem.

– A mamy taką?

– Nawet kilka. Chociaż jest jedna, która robi wyjątkowy zamęt.

– Doszło już do zderzenia czy...

– Nie, ale za każdym razem, kiedy się przybliża, Parametryk eksploduje czerwienią i sto miniarek musi korygować kurs. Zużywać paliwo. I wygląda to tak, jakby cała Arka w Chmurze fikała koziółki wokół tego jednego statku.

– A co to za jednostka?

– Na oko sądząc, X-37.

– To ma sens.

– W rzeczy samej.

Tłumaczenie: ktoś przyjrzał się statkowi przez teleskop i stwierdził, że jednostka wygląda jak produkowany przez Boeinga Orbitalny Pojazd Próbnny X-37 przypominający zminiaturyzowany wahadłowiec NASA – tak bardzo zminiaturyzowany, że nie było w nim miejsca dla załogi: przedział ładunkowy niemal w całości wypełniał kadłub. Został opracowany przez DARPA na przełomie XX i XXI wieku, kiedy stało się oczywiste, że promy kosmiczne należy stopniowo wycofywać ze służby i potrzebny będzie mały, łatwy do wystrzelenia pojazd, który – zdalnie sterowany – mógłby dokonywać napraw i konserwacji floty amerykańskich satelitów wojskowych. Rzadko go wykorzystywano, ale kiedy już został wysyłany na orbitę, realizował tajne operacje wywiadowcze, o których Dinah i Ivy nie miały pojęcia. Zestarzał się i z czasem stał się przypisem do historii, zwłaszcza że nie projektowano go z myślą o funkcjonowaniu w Arce w Chmurze. Tym razem został wystrzelony najprawdopodobniej przez jakichś narwańców, którzy uparli się, żeby wynieść na orbitę wszystko, co się da. Gdyby poświęcić odpowiednio dużo czasu na przesianie wszystkich starych e-maili, zapewne udałoby się ustalić, kto go wystrzelił, kiedy i z jakim ładunkiem, w tej chwili jednak łatwiej było po prostu podlecieć i obejrzeć go z bliska. Niemal cały wysiłek inżynieryjny włożony w skonstruowanie X-37 miał go jak najlepiej przygotować do powtórnego wejścia w atmosferę. Inaczej mówiąc: to, co w nim najlepsze, było dla mieszkańców Izzy bezużyteczne.

Znalazłszy się przy końcu jednego z bocznych ciągów modułów,

zobaczyły przycumowany po drugiej stronie okrągłego włazu RUPI: Rudymmentarny Uniwersalny Pojazd Intrachmurowy, potocznie zwany „rupieciem”. Rupiecie zaczęły się pojawiać na stacji kilka miesięcy temu, by pełnić na Arce w Chmurze rolę dżipów – małych pojazdów użytkowych, służących do przenoszenia ludzi i cennego sprzętu pomiędzy miniarkami lub z miniarek na Izzy. Ponieważ nie musiały na co dzień funkcjonować w atmosferze, miały podobnie utylitarny wygląd jak miniarki, z tą różnicą, że ich hermetyczny kadłub był węższy, a zamiast elastycznego kadłuba zewnętrznego miały bardziej praktyczne wyposażenie: dwa różne złącza cumownicze, służące powietrzną (dostatecznie dużą, żeby zmieścił się w niej człowiek w Orłanie), wysięgnik, światła i silniki manewrowe. Dinah poradziła, żeby obsadzić w kadłubie punkty zaczepienia dla krabochwyków; dzięki temu każdy rupieć mógł przewozić własny zespół krabochwyków, żmijek, fulerenów i gzów rojących się na jego powierzchni jak kraby, remory i wszy morskie. Nie był już wtedy ograniczony funkcjonalnością manipulatora, lecz wyłącznie wyobraźnią i pomysłowością sterującego robotami programisty.

Z przodu zamajaczyła pokryta srebrzystą szczecina głowa Tekli: najwyraźniej przysłano im ją do pomocy przy zamknięciu włazu i odcumowaniu rupiecia. Czekwała w pobliskim PC, przedziale cumowniczym – małym dodatkowym module pełniącym rolę śluzi, a także zapewniającym załodze odrobinę więcej przestrzeni w sytuacjach takich jak ta. Tekla cofnęła głowę, robiąc miejsce przepływającym obok Ivy i Dinah, a gdy one dwie znalazły się we wnętrzu rupiecia, wynurzyła się i skinęła Ivy głową.

– Minóg umieszczony w śluzie i sprawny – zameldowała i zamknęła właz.

Dinah miała mieszane uczucia, ale w tej sprawie Tekla była z jej punktu widzenia idealną współpracowniczką – zawsze do bólu konkretna robiła, co było do zrobienia, bez zbędnych pogaduszek i cackania się ze sobą.

Dinah zamknęła właz rupiecia i rozpoczęła procedurę odcumowywania; Ivy, przypięta pasami do fotela pilota, odhaczała kolejne pozycje z listy przygotowań do lotu. Lista ta – w przypadku pojazdu, który zaprojektowano w niej jakimś pośpiechu z założeniem, że

ma być „rudymmentarny” i „uniwersalny” – nie mogła być przesadnie długa, dzięki czemu rupieć numer 3 (cała ich flota liczyła osiem jednostek) ruszył w drogę, zanim jeszcze upłynęły zarządzone przez Markusa siedemset cztery sekundy ciszy. Dinah wskoczyła na składane siedzenie obok Ivy i też zapięła pasy. Wypukły dziób rupiecia składał się głównie z okien osadzonych w solidnych aluminiowych ramach, toteż widziana od tyłu Ivy przypominała bombardiera w przeszklonym nosie samolotu z czasów drugiej wojny światowej. Musnęła przyrządy i wprawiała statek w ruch obrotowy w taki sposób, że Ziemia prześliznęła się pod nimi; podobieństwo do bombardiera stało się jeszcze wyraźniejsze. Dinah przypomniła sobie obraz, który kiedyś pokazał jej Rufus: przedstawiał widok z bombowca lecącego nad płonącym miastem; wewnątrz maszyny zalewała wpadająca z zewnątrz czerwona poświata. Teraz efekt był podobny, tyle tylko, że burza ognia ogarnęła większość planety.

– Czuję ciepło na twarzy – odezwała się Ivy.

Dinah nie przychodziła do głowy żadna sensowna odpowiedź. W drodze z warsztatu do rupiecia zapomniała, że Ziemia stoi w ogniu, i teraz nie była zachwycona tym, że się jej o tym przypomina. Próbowwała więc skupić się na emanującym chłodnym czerwonym blaskiem ekranie tabletu, na którym uruchomiła Parametryk. Rupieć 3 został wychwycony przez czujniki roju i zidentyfikowany jako obiekt niepożądany, który – o ile nie zmieni kursu – będzie stanowił zagrożenie dla około stu miniarek. Zamiast bezpośrednio nim pokierować (co w najlepszym razie skutkowało by ogromnym zamieszaniem, a w najgorszym katastrofalną reakcją łańcuchową), Ivy próbowała wynegocjować bezpieczne rozwiązanie: nawiąawszy łączność, poinformowała Arkę w Chmurze, dokąd zamierza się skierować, i wyjaśniła, w jaki sposób chce to zrobić, minimalizując zagrożenie dla pozostałych elementów roju.

Z tego powodu rupieć nie poruszał się zbyt szybko, a jego sposób przemieszczania się wywoływał wzburzenie wśród wojskowych pilotów, których całkiem sporo przekwalifikowało się na kosmo- i astronautów i trafiło na orbitę. Kiedy jednak oddalił się nieco od Izzy, mógł wreszcie zmienić orbitę w sposób niebudzący większych zastrzeżeń i nieco prostszą drogą skierować się na spotkanie ze

zbląkanym X-37.

Ktokolwiek wystrzelił moduł X-37, umieścił go na orbicie o płaszczyźnie i okresie takich samych jak orbita Arki w Chmurze, lecz nieco bardziej ekscentrycznej. Orbita Izzy (a więc, co za tym idzie, także całej Arki) była niemal idealnie kołowa. Orbita X-37 miała kształt owalny, co oznaczało, że mniej więcej przez połowę czasu znajdował się „pod” Arką w Chmurze, a przez pozostały czas – „nad” nią. Podczas trwającego dziewięćdziesiąt trzy minuty okrążenia Ziemi dwukrotnie przecinał orbitę stacji – a wtedy wywoływał chaos, który kosztował Arkę masę paliwa i wywoływał rozdrażnienie Markusa. W tej chwili znajdował się „ponad” Izzy, a do przecięcia jej orbity pozostało mu dwadzieścia minut.

– Jakies bolidy, którymi powinniśmy się martwić? – spytała Ivy. – Czy mogę się skupić na robocie?

– Nic konkretnego – odparła Dinah, co miało oznaczać, że nie widzi żadnego odłamka, który wymusiłby zmianę kursu całej Arki w Chmurze.

– Załatwmy to szybko. – Ivy przeszła na sterowanie ręczne. Znajdowały się dostatecznie daleko od Arki w Chmurze, żeby manewrowanie rupieciami nie zalewało ekranów Parametryka litą czerwienią. – Możesz go obejrzeć?

Dinah potrzebowała chwili, żeby odświeżyć znajomość z interfejsem użytkownika zainstalowanego na dziobie teleskopu – elektronicznego oka wielkości pomarańczy. Interfejs był dość intuicyjny, ale wycelowanie go na konkretny obiekt wymagało nieco zachodu. W końcu jednak zobaczyła coś jasnego, białego. Zablokowała namiar i przybliżyła obraz.

Na zbliżeniu było widać skrzydlaty pojazd latający z czarnym dziobem. Przypominał stary prom kosmiczny, do którego ktoś dobudował mnóstwo dodatkowych części. Na większym zbliżeniu Dinah dostrzegła, że wrota ładowni, zajmujące niemal całą rufę X-37, zostały otwarte już po tym, jak statek dotarł na orbitę. Następnie za pomocą zakończonego chwytakiem manipulatora wyciągnięto ze środka ładunek, po czym całe ramię manipulatora znieruchomiało. Ładunek ów – cylinder z wypukłymi zakończeniami – był niewiele mniejszy od samego X-37, ale w przeciwieństwie do rupiecia czy miniarki nie miał

silników manewrowych ani w ogóle żadnego widocznego źródła napędu. Była to po prostu kapsuła z polerowanego aluminium, skrzęca się białą w słońcu i czerwona od tej strony, od której oświetlała ją szalejąca na Ziemi burza ognista.

Ivy również na nią popatrywała, jednym okiem zerkając na wskazania przyrządów rupiecia.

– Możesz wyostrzyć z przodu? – poprosiła. – To mocowanie na dziobie... to by mogło być...

– Zgadza się. – Dinah podkreśliła powiększenie i przekadrowała, żeby dziób stateczku znalazł się w centrum obrazu. – Złącze cumownicze.

– To jak zaproszenie do połączenia.

– Trochę to dziwne. Nie podoba mi się.

– Mnie też nie, ale nie możemy tego tak zostawić i wrócić później. To maleństwo ma niecałe cztery stopy średnicy; jeżeli w środku są ludzie, to niedługo nie będą mieli czym oddychać.

– Po co ktoś miałby wystrzeliwać ludzi w coś takim?

– Plan był dobry, ale coś nie wyszło: ktoś komuś nie odpisał na e-mail, jakaś transmisja uległa zniekształceniu... A teraz ci ludzie tkwią bezradnie w środku i czekają na śmierć – odparła oschle Ivy rozdrażniona wątpliwościami Dinah.

Dinah usłyszała huk silników i poczuła ruch; Ivy manewrowała rupieciem. Dinah wołała jej nie przeszkadzać – wiedziała, że nie należy tego robić, kiedy mózg Ivy przechodzi w tryb pracy orbitalnej. Odpięła pasy i podpłynęła do złącza cumowniczego na „górną” powierzchnię rupiecia, łapiąc się po drodze dogodnych uchwytów za każdym razem, gdy Ivy korygowała kurs.

Minęło parę minut, zanim Ivy zestroiła orbity obu jednostek, ustawiła rupieć w odpowiednim położeniu i pchnęła go wprost na złącze cumownicze aluminiowej kapsuły.

– Jest kontakt – zameldowała Dinah. Odkręciła zawór i wąska przestrzeń pomiędzy włazami rupiecia i kapsuły wypełniła się powietrzem. – A teraz... wielkie nic.

Otworzyła właz rupiecia, jeszcze przed chwilą wystawiony na bezpośredni kontakt z próżnią kosmiczną.

Ciekawostka: do włazu aluminiowej kapsuły ktoś przylepił taśmą klejącą najzwyklejszą kartkę papieru (format amerykański, osiem i pół

na jedenaście cali), na którym nadrukowano kolorowy obrazek: żółty pierścień okalał okrągłe niebieskie pole z białymi gwiazdkami, na którym spoczywał orzeł z rozpostartymi skrzydłami i tarczą w białe i czerwone paski. W drukarce, która wypuła tu dzieło, kończył się niebieski tusz, przez co obraz miał dziwne pręgi i przebarwienia. Przebywanie w otwartym kosmosie zaszkodziło mu dodatkowo.

Mimo że Stany Zjednoczone przestały istnieć zaledwie przed kilkoma minutami (Markus obwieścił ich koniec z mocy władzy, jaką dawała mu Konstytucja Arki w Chmurze), wizerunek ten wydał się Dinah osobliwie staroświecki, jak podobizna któregoś z Ojców Pielgrzymów albo jakiegoś muszkietera.

Usłyszała szcęk mechanizmu po wewnętrznej stronie włazu.

– To żyyyje! – zawołała i mimo pozornej beztroski bezwiednie wstrzymała oddech.

Właz się otworzył i w otworze pokazała się wynędzniała, obrzmiała od nieważkości i chorobliwie zielonkawa twarz okolona rozwianymi w nieładzie włosami. Jej spojrzenie – jak zawsze lodowate i niezłomne – spoczęło na Dinah.

– Dinah – powiedziała kobieta i Dinah rozpoznała ją bardziej po głosie niż po rysach. – Mimo tragicznych okoliczności zawsze miło zobaczyć znajomą twarz.

– Pani prezy... – Dinah ugryzła się w język. – Julia.

Julia Bliss Flaherty raczej nie była zachwycona tą poufałością.

Ivy całkiem rażno poczynała sobie z silnikami. Po tym, jak rupieć, kapsuła i X-37 zostały połączone mechanicznie i utworzyły jeden obiekt, można było – chociaż nie było to łatwe – zsynchronizować jego orbitę z orbitą Arki w Chmurze i raz na zawsze wymazać nieprzyjemną czerwień z ekranów Parametryka.

Rupieciem szarpnęło. Julią miotano to w jedną, to w drugą stronę, zanim się nauczyła, że musi się trzymać uchwytów. W ciasnym wnętrzu latało mnóstwo przypadkowych drobiazgów, między innymi torebki pełne wymiocin i spora liczba jakby czerwonych szklanych kulek. Zajrzawszy do kapsuły (Julią rzuciło akurat na bok), Dinah dostrzegła unoszącego się w głębi mężczyznę, który – zakrwawiony i dziwnie bezwładny – miał na sobie strzępy granatowego garnituru i nie był małżonkiem Pierwszej Damy.

- Moje kondolencje – powiedziała Dinah.
- Kto to jest, do cholery?! – zawołała Ivy. – Markus się dopytuje, czy ktoś przeżył.
- Kondolencje? – powtórzyła Julia.
- Twój mąż...
- Wziął pigułkę. W limuzynie.
- O mój Boże...
- Pomóż mi wyciągnąć Starlinga. Sama nie dam rady, jest dla mnie za duży.
- Wcale nie.
- Słucham? – spytała ostrym tonem Julia.
- Tu nie ma ciąży – zauważyła Dinah. – Wcale nie jest dla ciebie za duży. Ale jeśli chcesz, mogę ci pomóc.
- Gdybyś była tak miła...

Julia jedną rękę przełożyła przez obręcz wjazdu, drugą sięgnęła po torebkę i spojrzała znacząco na Dinah, która w dalszym ciągu zagradzała jej drogę.

Dinah przeniosła wzrok na zwróconą do nich plecami Ivy.

– Julia Bliss Flaherty prosi o pozwolenie na wejście na pokład – powiedziała.

Julia sapnęła z irytacją.

– Zezwalam – odparła Ivy.

– Mamy też rannego – dodała Dinah.

Julia z przesadnym impetem wypchnęła się z wjazdu, przeleciała przez całe wnętrze rupiecia i wyrznęła łokciem i barkiem w ścianę naprzeciwko. Jęknęła z bólu, a Dinah – powątpiewając, by Julia zrobiła sobie poważniejszą krzywdę – wcisnęła się na jej miejsce do kapsuły. Jedna z tych czerwonych szklanych kulek wypłynęła jej na spotkanie. Dinah odruchowo wyciągnęła rękę, żeby odsunąć ją na bok... i wtedy dotarło do niej, że to krew.

Pete Starling był cały poobijany, jakby brał udział w bijatyce na kije albo wypadku samochodowym. Oszołomiony krztusił się krwią (prawdopodobnie ściekającą ze złamanego nosa), którą odpluwał gwałtownie, gdy tylko utrudniała mu oddychanie. W poszukiwaniu dogodnego chwytu Dinah złapała go za klapy marynarki; kiedy pociągnęła, marynarka odsłoniła pustą kaburę pod pachą.

Mniejsza z tym. Zaparła się obiema nogami, naprężyła mięśnie grzbietu i wywlokła Starlinga na środek kapsuły: zwrócony głową w stronę wejścia poszybował wolniutko w tym kierunku. Dinah spodziewała się, że Julia sięgnie ręką i wyciągnie go przez właz, ale Julia – poobijana po pierwszej, niezbyt udanej próbie przemieszczenia się – na razie wciąż jeszcze młóciła bezradnie ramionami, na własnej skórze poznając specyfikę ruchu w nieważkości.

Tkwiąc w głębi kapsuły, Dinah miała przed sobą podeszwy leciutko podrygujących stóp Starlinga: jedna była bosa, odziana tylko w skarpetkę, na drugiej nadal tkwił drogi skórzany but. Złapała po jednej w każdą dłoń i popchnęła Pete'a w stronę wyjścia, czym wywołała jego gwałtowne poruszenie: nie miał pojęcia, co się dzieje, nie zdawał sobie sprawy, że jest w kosmosie, i nie spodobało mu się, że ktoś łapie go za nogi. Dinah przesunęła się w przód, zaklinowała biodra między jego kolanami, chwyciła go za uda i spróbowała ponownie skierować jego głowę w otwór włazu.

Rozległ się ostry trzask i coś ciepłego rozlało jej się po rękach, piersi, po szyi, aż po podbródek. Poczowała smród gówna i usłyszała głośny syk. Pete Starling szarpnął się... i zwiotczał.

Podniosła wzrok w poszukiwaniu źródła dźwięku i ujrzała gwiazdy przeświecające przez poszarpany otwór w ścianie kapsuły. Dziura miała średnicę męskiego kciuka i była okolona odgiętymi na boki trójkącikami metalu.

Po krótkim namyśle Dinah doszła do wniosku, że syczenie dobiega nie z jednego, lecz z dwóch źródeł jednocześnie – i rzeczywiście: w przeciwległej ścianie kapsuły była podobna dziura. Ciało Pete'a Starlinga znajdowało się dokładnie na linii łączącej te dwa otwory. W jego piersi ział obwiedziony strzaskanymi żebrami krater. Krew wypływała z niego szerokim strumieniem i wyciekała przez dziury w kadłubie.

W uszach strzeliło jej już kilkakrotnie.

Spojrzała na Julię, której udało się w końcu złapać pion i teraz – kompletnie dezorientowana i tocząca dzikim wzrokiem – zaglądała przez właz do kapsuły.

– Zostaliśmy trafieni małym bolidem, Julio – powiedziała Dinah. – Tracimy powietrze, ale niezbyt szybko. Pete nie żyje. Zagradza mi drogę.

Gdybyś mogła złapać go za kołnierz i pociągnąć...

Zamykający się właz rupiecia przesłonił twarz Julii i uniemożliwił nawiązanie rozmowy.

* * *

Każda krzywa uzyskana poprzez przecięcie stożka płaszczyzną – okrąg, elipsa, parabola albo hiperbola – może być kształtem orbity ciała niebieskiego. Z przyczyn praktycznych orbity wszystkich sztucznych satelitów były eliptyczne, podobnie zresztą jak orbity większości obiektów w Układzie Słonecznym (planet obiegających słońce, a także księżyców obiegających planety). Te ostatnie krążyły po elipsach tak bardzo regularnych, że gołe oko nie odróżniłoby ich od okręgu – nie dlatego, że natura zwyczajnie preferuje koła, tylko dlatego, że silnie wydłużone orbity eliptyczne są nadzwyczaj nietrwałe. Kiedy ciało niebieskie znajdujące się na wybitnie ekscentrycznej orbicie zbliżało się niczym pocisk do okrążanego obiektu, by w perycentrum (punkcie największego zbliżenia) wejść w ciasny zakręt o sto osiemdziesiąt stopni, podlegało tak wielkim naprężeniom grawitacyjnym, że groził mu rozpad. Mogło też przy okazji zahaczyć o atmosferę obieganego obiektu albo (w przypadku orbity heliocentrycznej) nadmiernie przybliżyć się do Słońca i odnieść uszkodzenia natury termicznej. Gdyby przetrwało przyśpieszenia rozdzierające je w perycentrum, weszłoby na bardzo wydłużoną trajektorię przecinającą orbity innych ciał, a po zawróceniu w apocentrum (punkcie największego oddalenia od ośrodka układu) w drodze powrotnej musiałoby jeszcze raz przeciąć te same orbity. Układ Słoneczny nie był przesadnie zatłoczony, toteż prawdopodobieństwo zderzenia z planetą czy asteroidą, lub chociażby zbliżenia się do nich, było niewielkie – ale tylko na krótką metę, bo w astronomicznej skali czasu stawało się całkiem spore. Skutkiem zderzenia byłby oczywiście deszcz meteorytów na powierzchni planety oraz zniszczenie jej dotychczasowego satelity, zbliżenie zaś mogło skutkować zaburzeniem orbity i przekształceniem jej w zupełnie nową elipsę – albo hiperbolę, a wtedy obiekt raz na zawsze opuściłby Układ Słoneczny. Całkiem spora liczba asteroid i komet okrążała Słońce po

bardzo wydłużonych orbitach eliptycznych, z biegiem czasu ubywało ich jednak systematycznie, toteż każde ich pojawienie się stanowiło wielkie wydarzenie w astronomicznym światku. U zarania dziejów w Układzie Słonecznym panował o wiele większy chaos i orbitowało znacznie więcej ciał niebieskich, ale opisany tu proces stopniowo go uporządkował, wysprzątał i – w drodze specyficznego rozumianego doboru naturalnego – doprowadził do powstania układu, w którym prawie wszystkie obiekty poruszały się po prawie dokładnie kolistych orbitach.

Twierdzenia te, odnoszące się do Układu Słonecznego, w równej mierze dotyczyły także układu Ziemia-Księżyc. Księżyc krążył wokół Ziemi po niemal idealnym okręgu. Od czasu do czasu jakiś zbłąkany kamień z kosmicznej otchłani wpadał w punkt libracyjny i lądował na orbicie geocentrycznej, ale prędzej czy później zderzał się z Księżycem, spadał na Ziemię albo – po bliskim spotkaniu z jednym z tych dwóch ciał niebieskich – był wystrzeliwany z powrotem w kosmos. Tym sposobem Księżyc przez miliardy lat czyścił niebo ponad Ziemią i ochraniał ją przed uderzeniami dużych meteoroidów, co umożliwiło rozwój złożonych ekosystemów i cywilizacji.

Wszystkie kamienie, które złożyły się na Białe Niebo, wcześniej krążyły wokół Ziemi po księżycowej orbicie i większość z nich w dalszym ciągu zachowywała od niej bezpieczną odległość około czterystu tysięcy kilometrów. Ich odrębne orbity z początku cechowała niska ekscentryczność (to znaczy, że były prawie dokładnie okrągłe), ale znaczna liczba przypadkowych interakcji w obrębie Białego Nieba doprowadziła do ich ogromnego zróżnicowania. Niektóre z tych nowych orbit stały się wybitnie ekscentryczne: ich apocentra znajdowały się bardzo daleko, za to perycentra – bardzo blisko Ziemi, wystarczająco blisko, żeby grzęzły w atmosferze lub nawet spadały na jej powierzchnię. Każdy odłamek, którego orbita przebiegała w bezpośredniej bliskości planety, automatycznie przybliżał się także do Izzy. Odpryski poruszające się po takich trajektoriach w sąsiedztwie Ziemi rozwijały prędkość około jedenastu tysięcy metrów na sekundę; pędzący z taką prędkością bolid wielkości ziarenka pieprzu miał taką samą energię kinetyczną jak pocisk wystrzelony z karabinu.

Oczywiście pociski karabinowe projektuje się specjalnie w taki

sposób, żeby z dużym impetem trafiały w cel i wyrządzały przewidywalne uszkodzenia. Odłamków księżycowych nikt nie projektował, toteż skutków zderzenia nie dało się z góry przewidzieć.

W tym wypadku najprawdopodobniej było tak: odłamek wielkości ziarna grochu, niosący energię kilku kul karabinowych, przebił ścianę kapsuły i rozpękł się przy tym na części, które skupionym, wąskim stożkiem rozproszyły się po wnętrzu i uderzyły w ciało Pete'a Starlinga – nieco podobnie jak wystrzelony ze strzelby ładunek śrutu, tyle że ze znacznie większą siłą. Większość energii rozproszyła się w ciele Starlinga, które, mówiąc wprost, eksplodowało; największy z okruchów przeszedł przez ciało na wylot (bądź też w ogóle w nie nie trafił), wybił drugi otwór w przeciwległej ścianie i wyleciał z kapsuły.

Gdyby pierwotny odłamek przelatował dwa metry w bok w jedną lub drugą stronę, chybiłby kapsuły i nikt nie wiedziałby o jego istnieniu. Oczywiście w atmosferze sprawy miałyby się zupełnie inaczej: kamień przemieniłby się w oślepiającą smugę ognia, gdy większość jego energii kinetycznej przekształciłaby się w ciepło. Powietrze w jego najbliższym sąsiedztwie na krótko by się rozgrzało. Gdyby rzecz cała wydarzyła się w nocy, bystry obserwator mógłby dostrzec rozbłysk światła. Gdyby zaś to samo zdarzyło się – na znacznie większą skalę – nad całą Ziemią, powietrze rozgrzałoby się do takiej temperatury, że zaczęłoby świecić. I to właśnie działo się w tej chwili.

Tak czy inaczej, Dinah znalazła się w zamkniętej na głucho kapsule, marnie oświetlonej kilkoma paskami zachlapanych krwią LED-ów, dziurawej i tracącej powietrze. Oczywiście znaczną część życia poświęciła przygotowywaniu się do takich właśnie sytuacji. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie jej wpojono, była świadomość, że powietrze wcale nie ucieka tak szybko, jak mogłoby się wydawać, bo małe otworki mają ograniczoną przepustowość. Co nie zmieniało faktu, że zatkanie tych otworków stało się nagle dla Dinah kwestią życia i śmierci. Dlatego, gdy tylko otrząsnęła się z chwilowego zaskoczenia, w pierwszym odruchu pchnęła szczątki Pete'a Starlinga w stronę większej z dwóch dziur w kadłubie – tej, przez którą bolid wpadł do środka. Z wilgotnym mlaśnięciem ciało zatkało otwór, a Dinah, kierując się słuchem, namierzyła drugą dziurę, mniejszą – o średnicy mniej więcej jej małego palca – i nakryła ją zakrwawioną dłonią. Syk ucichł, a ona poczuła, jak

pod działaniem Wielkiego Odkurzacza, który próbował wyssać jej rękę na zewnątrz, na jej skórze formuje się kosmiczna malinka. Bolało, ale nie jakoś strasznie. Nasłuchiwała jeszcze przez dłuższą chwilę, aż upewniła się, że nic już nie syczy. Więcej przecieków nie było.

Obok niej w powietrzu przefrunął zakrwawiony bandaż. Złapała go w locie, oderwała dłoń od otworu w ścianie i zatkała go bandażem, który początkowo zaczął wysnuwać się w próżnię, ale ostatecznie zwinął się, zbił i dalej ruszyć się nie chciał. Powietrze wciąż uciekało jednak ze świstem, Dinah wzięła więc torebkę foliową i okręciła nią nieregularny kłębek krwawej gazy. Próżnia zassała folię i utworzyła niemal hermetyczne zamknięcie.

Cichsze syczenie, właściwie raczej świst, dobiegło z „tylnej” części kapsuły. Uszy Dinah zarejestrowały zmianę ciśnienia, obeszło się jednak bez głośnego pyknięcia – a to sugerowało, że ciśnienie nie spadło, lecz wzrosło. Nie wiedziała nic o tej kapsule, znała się jednak na prostych systemach podtrzymywania życia i wiedziała, że ich elementem często bywa zbiornik ze sprężonym tlenem; gaz wpuszcza się powoli do wnętrza, by skompensować ubytki: tlen przetworzony na CO₂ i pochłonięty przez skrubery. Mechanizm zareagował zapewne na wypłynięcie powietrza w próżnię i próbował przywrócić właściwe ciśnienie.

Jeżeli jej domysły były słuszne, to powinna móc teraz otworzyć właz rupiecia. Podpłynęła ku niemu, sięgnęła przez właz kapsuły i zastukała w metalową pokrywę, zostawiając na niej krwawe ślady knykci.

Kiedy nic się nie stało, wystukała na pokrywie SOS: trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki.

Właz się otworzył i w otworze pojawiła się twarz Ivy.

– Wielkie... nieba – sapnęła.

– Dzięki, siostró – odparła Dinah i wyskoczyła z kapsuły.

Ivy usunęła się z drogi – po części zapewne po to, by zrobić jej miejsce, ale głównie chyba po to, żeby uniknąć kontaktu z płynami ustrojowymi nieodżałowanego doradcy naukowego Julii. Sama Julia siedziała na jednym ze składanych siedzeń dodatkowych, przypięta pasami, zgięta w pół i targana odruchem wymiotnym, i kątem oka popatrywała na Dinah.

Dinah miała na końcu języka triumfalne „Witamy w kosmosie!”, ale

jakoś udało jej się powstrzymać.

– Kiedy byłaś... hmm... zajęta, znów przeleciałyśmy przez Arkę w Chmurze. Przez najbliższe czterdzieści pięć minut będziemy w nadirze.

– Powinno wystarczyć.

Dinah zajęła drugie wolne siedzenie, zapięła pasy, wytarła dłonie o uda i przysunęła sobie laptop. Przytrzymując go nasadami dłoni, żeby nie odfrunął, wyświetliła okienka interfejsu umożliwiającego komunikację z robotami. W parę sekund laptop nawiązał łączność ze wszystkimi robocikami znajdującymi się w jego zasięgu, czyli na zewnętrznej powierzchni kadłuba rupiecia.

Przez ten czas Dinah rozłożyła składane ramię zakończone czymś w rodzaju jednopalczastej rękawicy: interfejs zewnętrznego manipulatora rupiecia.

– Odblokujesz mi służę, kochana? – poprosiła.

– Już to zrobiłam, najdroższa – odparła Ivy.

Kątem oka widziała, jak Julia kręci głową, śledząc tę wymianę zdań. Starając się zignorować Julię pomimo jej dziwaczного talentu do zwracania na siebie uwagi (a może właśnie z jego powodu), Dinah skoncentrowała się na obrazie z kamery na końcu manipulatora.

Otwarta śluza zajęła większość ekranu, gdy manipulator sięgnął do jej wnętrza i wyciągnął przygotowany przez Teklę gadżet.

Minóg był pudełkiem z migającą lampką. Na obudowie od strony włazu śluzy miał ucho albo uchwyty, który Dinah z łatwością złapała manipulatorem wysięgnika. Wyciągnęła minoga ze śluzy.

– Może go po prostu podczepić do manipulatora X-37?

– Z przyjemnością.

– Co wy właściwie robicie? – zainteresowała się Julia.

– Spychamy kosmicznego śmiecia z orbity, zanim kogoś zabije.

– Tak się składa, że we wnętrzu tego kosmicznego śmiecia znajdują się doczesne szczątki dzielnego człowieka, który oddał życie za...

– Załatwisz to, Ivy? Czy ja mam to zrobić?

– Zajmę się tym. Ty jesteś zajęta.

Dinah usłyszała, jak Ivy odwraca się na fotelu, żeby spojrzeć na Julię i przemówić:

– Julio, stul dziób. Jeszcze jedno słowo, a upierdolę ci łeb i wywalę

twojego trupa przez służbę. Całe twoje zachowanie jest nie do przyjęcia, poczynając od tego, że swoim kłapaniem jadaczką rozpraszasz Dinah, która wykonuje niezwykle trudne zadanie, kluczowe dla przetrwania Arki w Chmurze. Właśnie próbowałaś sprzeciwić się bezpośredniemu rozkazowi Markusa, który na podstawie zawartej w Konstytucji Arki w Chmurze klauzuli o OUPSA sprawuje na orbicie niepodzielną władzę. Przybywając tutaj, złamałaś prawo. Porozumienie znad Jeziora Kraterowego jednoznacznie zakazywało przysyłania przywódców państw na pokład Arki. Mimo to złamałaś je i znalazłaś sposób, żeby cię tu wystrzelono; sądząc po tym, co widziałyśmy, nie obeszło się bez krwawej jatki po drodze. Zbliżając się do Arki w Chmurze, twój pojazd naruszył wdrożone przez nas procedury bezpieczeństwa, zagroził życiu wszystkich jej mieszkańców, a także zmusił miniarki oraz Izzy do wykonywania uników, w których zużywa się niemożliwe do zastąpienia zasoby paliwa. Zostałyśmy tu przysłane w trybie awaryjnym, zmuszone do narażania życia i zużywania dalszych bezcennych zasobów, żeby posprzątać bałagan, jaki wyniknął z twojego tchórzliwego i niehonorowego zachowania. Z wyżej wymienionych powodów rozkazuję ci, jako dowódca tego statku, siedzieć cicho do momentu, gdy bezpiecznie przycumujemy do Izzy.

– Jak chcesz – odparła Julia.

Dinah oderwała się od pracy, żeby obejrzeć się przez ramię: Julia i Ivy piorunowały się nawzajem wzrokiem.

– Przepraszam – powiedziała Julia.

– Ty się naprawdę prosisz... – mruknęła Dinah i wróciła do swoich zajęć.

Zrobiła już całkiem sporo, kiedy Ivy przemawiała, teraz musiała jeszcze tylko przyczepić minoga do X-37; połączenie nie musiało dobrze wyglądać, ale musiało być solidne. W dawnych czasach, kiedy NASA z kilkuletnim wyprzedzeniem planowała każdy manewr, cała operacja trwałaby kilka godzin i wymagała specjalistycznego sprzętu skonstruowanego wyłącznie w tym celu. Ostatnio mieszkańcy Arki musieli jednak szybko nauczyć się odławiać z przestrzeni rozmaite kosmiczne śmieci i Dinah postanowiła wykorzystać ulepszoną wersję triku, na który wpadł Rhys, kiedy próbowali przechwycić Łuk Tekli. Wtedy zmontowała z połączonych żmijek bicz – sprawdził się, ale był

zbyt ciężki i niepotrzebnie skomplikowany. Kiedy budowa T3 dobiegła końca i Rhysowi ubyło obowiązków, zaczął eksperymentować z wycofanymi z eksploatacji gzami; były przestarzałe, za duże, toporne, powolne i głupie w porównaniu z nowszymi modelami, ale jemu to w niczym nie przeszkadzało. Zmontował z nich nowego robota, którego nazwał „polatuchem” („polatującym łańcuchem”), a następnie wyszkolił polatuchy w taki sposób, żeby łączyły się ze sobą i wykonywały w próżni manewry, o jakich jego praprapradziadek John i profesor Kucharski z Berlina mogli co najwyżej pomarzyć. Mając ogromne pole do popisu, gros wysiłków skupił na rozwiązywaniu bieżących problemów stacji.

Na przykład takich, przed jakim stanęła w tej chwili Dinah. Sterczący w przestrzeń wysięgnik X-37 narzucał się jako oczywisty cel przy próbie przechwycenia stateczku. Zarzucony swobodnie łańcuch z łatwością by się wokół niego owinął, tak jak łańcuszek Rhysa owinął się wokół palca Dinah. Potrzebny był tylko odpowiedni łańcuch, dobrze się więc złożyło, że Dinah miała takowy pod ręką: kadłub rupiecia był owinięty długim ciągiem połączonych polatuchów trzeciej generacji, którego jeden koniec został zawczasu przymocowany do minoga. Uruchomiwszy odpowiednią sekwencję kodu komputerowego, Dinah wprawiała go w ruch: sznur polatuchów rozwinął się, wyciągnął w przestrzeń i uformował w U-kształtne zagięcie, *Knickstelle*, wycelowane w wysięgnik X-37.

– Gotowa do odcumowania – zameldowała Dinah.

Ivy przepłynęła do wjazdu, przez który niedawno przyjęły gościa na pokład.

– Odcumowuję – powiedziała i rozpoczęła procedurę odłączania rupiecia od X-37.

Dinah przesiadła się tymczasem za pulpit pilota i wprowadziła do komputera zaprogramowaną sekwencję pracy silników manewrowych. Gdy tylko Ivy potwierdziła rozdzielenie pojazdów, Dinah uruchomiła program i rupieć zaczął się oddalać od X-37 z niewielkim delta V. *Knickstelle* drgnęło, jakby łańcuch był owinięty na niewidzialnym wielokrążku, i zaczęło się przemieszczać w kierunku X-37. Po chwili końcówka łańcucha zawinęła się kilkakrotnie wokół manipulatora, a polatuchy usztywniły i utrwaliły połączenie.

Dinah uwolniła minoga z uchwytu manipulatora. Polatuchy

(w dalszym ciągu wykonujące zaprogramowaną z góry sekwencję) przyciągnęły minoga i przytwierdziły go do X-37. Tym sposobem złożony z polatuchów łańcuch, minóg i X-37 utworzyły jeden zwarty obiekt – i miały nim pozostać, dopóki nie ulegną zniszczeniu.

Dinah odpaliła interfejs sterujący minoga. Minóg był wprawdzie urządzeniem typu „strzel i zapomnij”, ale najpierw trzeba było ten strzał oddać. Pokrętem obróciła minoga w taki sposób, żeby celował we właściwym kierunku.

Usunięcie obiektu z orbity okołoziemskiej było niemal równie skomplikowane, jak umieszczenie go na niej: kiedy znalazł się na stabilnej trajektorii, nie było mowy o tym, żeby po prostu zrzucić go na Ziemię; mógłby w nieskończoność okrążać planetę, dopóki coś go nie spowolni, do spowolnienia zaś niezbędny był ciąg silników, a więc także paliwo. Minóg stanowił proste rozwiązanie alternatywne.

– Odcumowaliśmy – zameldowała Ivy i wróciła na stanowisko pilota.
– Odepchnę nas trochę.

Dwa impulsy silników zwiększyły dystans pomiędzy jednostkami, a potem Ivy odwróciła stateczek w taki sposób, żeby obserwować odległy o jakieś sto metrów X-37: unosił się do góry nogami ponad płonąca Ziemią, łokieć jego wysięgnika celował w nadir, przyczepiony do niego minóg mrugał światłkami.

– Dobra, wszystkie lampki na minogu są zielone, nie widzę ani jednej czerwonej – oznajmiła Dinah. – Aktywacja za trzy... dwa... jeden... Teraz.

Wcisnęła przycisk z napisem „Zejdźcie z orbity”.

Minóg zionął białymi pióropuszcami spalin z silników rakietowych i większa jego część (całe pudełko ze światłkami) odskoczyła w kierunku Ziemi. Po dwóch sekundach paliwo w silnikach się skończyło i pudełko oddalało się od X-37 już tylko siłą rozpędu, wlokąc za sobą rozwijający się przewód. Po kolejnej minucie znieruchomiało, zawieszony pół kilometra poniżej X-37, i przewód się naprężył.

– Jest przepływ prądu w przewodzie – stwierdziła Dinah. – To działa.

Przewód, który wraz z X-37 obiegał teraz Ziemię, poruszał się w jej polu magnetycznym, co wytwarzało w nim prąd elektryczny i generowało siłę elektrodynamiczną spowalniającą X-37. Siła ta była stosunkowo słaba, ale po kilku godzinach orbita X-37 powinna ulec dostatecznej degeneracji, by przestał stanowić zagrożenie dla Arki

w Chmurze, a po kilku dniach lub tygodniach spaść i spłonąć w atmosferze.

Zostało dwadzieścia minut do momentu, gdy rupieć miał po raz kolejny przeciąć orbitę Izzy. Od stacji dzieliło go zaledwie kilka dziesiątych kilometra, dzięki czemu nadal stanowił część roju, co w praktyce oznaczało, że pozostaje w stałym kontakcie z siecią Arki w Chmurze, a jego komputer cały czas bada przestrzeń parametryczną w poszukiwaniu najbezpieczniejszego i najskuteczniejszego sposobu powrotu do chmury. Fakt ten, w połączeniu z usunięciem X-37, powinien wyczyścić ekran Parametryka z większości czerwieni szpecącej go przed startem misji ratunkowej. Kiedy jednak Ivy i Dinah na niego spojrzwały, wyglądał gorzej niż przedtem – i nie bardzo było wiadomo, dlaczego. Parametryk mógł być istnym cudem matematyki i wizualizacji danych, ale czasami człowiek chciał po prostu dowiedzieć się, co się tam, u diabła, wyrabia. Potrzebował opisu.

Ivy odebrała esemesa od Markusa. Przeczytała go na głos:

– „Powrót na sterowaniu ręcznym, z wizualną kontrolą toru podejścia. Ostrzeżenie przed kolizją z odłamkami”.

– Tak szybko?! – wykrzyknęła Dinah.

Trafienie bolidem zaledwie dwie godziny po rozpoczęciu Kamiennego Deszczu nie wróżyło najlepiej na przyszłość.

– „Bratobójstwo” – czytała dalej Ivy. – „Miniarka osaczona”.

Osaczenie było problemem, z którym zetknęli się w symulacjach. Rój jako całość powinien preferować takie zachowania, które przy minimalnym zużyciu paliwa zapobiegają zderzeniu się miniarek. Oczywiście w sytuacji skrajnej nikt nie miałby nic przeciwko temu, żeby zużyć nawet bardzo dużą ilość paliwa, jeśli miałyby to pomóc uniknąć kolizji, ale w niektórych okolicznościach uniknięcie zderzenia było niemożliwe. Nie pozostawało wtedy nic innego, jak ograniczyć jego negatywne skutki. Osaczenie w ogóle nie powinno się wydarzyć, temu właśnie miał służyć Parametryk, jednak przy nieskończonej liczbie potencjalnych scenariuszy nic nie było stuprocentowo pewne.

– „Kontrolowana kolizja” – ciągnęła Ivy. – „Bez ofiar śmiertelnych, ale szacowanie strat trwa. Mogą fruwać jakieś odłamki”. To dlatego Markus chce, żebym przeszła na ręczne sterowanie.

– Ale jakie odłamki? – dopytywała się Dinah. – Coś twardego czy...

– Najprawdopodobniej izolacja termiczna. Czyli nie tak najgorzej.

Wyglądało na to, że któryś z modułów stacji, albo jedna z miniarek, stracił kawałek powłoki z metalizowanej folii i część izolacji chroniącej przed przegrzaniem. Jedno i drugie było lekkie jak piórko, nie powinno więc stanowić większego zagrożenia dla rupiecia, ale na radarze odłamki wydawały się gigantyczne i Parametryk zwariował.

Siedząca na fotelu pilota Ivy zmonopolizowała dostęp do jedyne go okna. Dinah, która nie lubiła latania na oślep, uruchomiła interfejs kamery rupiecia.

Julia wydawała dziwny, powtarzalny, rytmiczny dźwięk, jakby gulgoczące pomrukiwanie.

Chrapała.

– To był dla niej długi dzień – powiedziała Ivy.

– Na pewno.

Dinah nie bardzo wiedziała, jakim uczuciem powinna darzyć panią eksprezydent w takiej chwili: z jednej strony jej zachowanie było absolutnie naganne, z drugiej zaś w ciągu ostatnich paru godzin straciła męża, córkę, kraj i pracę.

Pokręciwszy chwilę kamerą, złowiła Izzy w środek kadru i zrobiła zbliżenie. W tej chwili stacja znajdowała się w cieniu Ziemi i w normalnej sytuacji – a w każdym razie w sytuacji, która do niedawna uchodziła za normalną – byłaby zupełnie ciemna, teraz jednak od dołu rozjaśniała ją czerwona poświata atmosfery, od czasu do czasu przesywana podobnymi do piorunów niebieskimi rozbłyskami, gdy trzysta kilometrów niżej wielkie meteoryty przeorywały powietrze. Oczywiście Dinah nigdy przedtem nie widziała takiej iluminacji Izzy i potrzebowała chwili, żeby się z tym widokiem oswoić.

Z daleka stacja wyglądała normalnie, im bardziej jednak Dinah podkręcała powiększenie, tym więcej dostrzegała kropek i plamek, które ostatecznie okazały się unoszącymi się bezwładnie śmieciami – wspomnianymi przez Ivy strzępami izolacji.

Przez ostatnie dwa lata struktura Izzy stała się wręcz niewyobrażalnie skomplikowana. Dinah rzadko miała okazję oglądać ją z daleka, nie miała więc wyrobionego poczucia tego, co w tym wypadku jest „normą”, ale im dłużej przyglądała się stacji, tym bardziej była przeświadczona, że coś bardzo dziwnego wydarzyło się po stronie

nadiru, niedaleko miejsca, w którym Zwiezda łączyła się z Zarią.

Złożoność Izzy miała jednak charakter uporządkowany, stabilny i niezmienny. Jedyne wyjątek od tej reguły stanowiła Amalthea, ale i ona przybierała coraz bardziej regularny kształt, w miarę jak roboty Kolonii Górniczej kontynuowały jej eksploatację. Tymczasem to, co oglądała Dinah na zbliżeniu, było nieuporządkowane i niestabilne: wielkie połacie materiału izolacyjnego, porozdzierane i falujące chaotycznie na ledwie wyczuwalnym wietrze. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to groźnie, bo „groźnie” oznaczałoby wyrwę w kadłubie i eksplozję powietrza niosącą grad odłamków i – być może – ludzkich ciał.

– Moim zdaniem to zwykle draśnięcie – zameldowała Dinah. – Nic poważnego. Miniarka albo coś innego otarło się o Zwiedzę od strony nadiru. Uszkodzona powłoka termiczna, ale chyba obeszło się bez uszkodzeń strukturalnych.

– Zero ofiar śmiertelnych, żadnych ciężko rannych – dodała Ivy. – Pasażerowie miniarki trochę poobijani... Może masz rację.

– Może – przytaknęła Dinah bez większego przekonania.

Z bliska kamera pokazywała coraz więcej szczegółów. Uszkodzenie izolacji termicznej odsłoniło widok, który w pierwszej chwili niczego jej nie przypominał: duża konstrukcja w kształcie litery T sterczała z Komina po stronie nadiru niczym kierownica rowerowa. Cała była najeżona długimi, równymi rzędami identycznych małych obiektów połyskujących w padającym od dołu świetle.

W końcu elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsce w głowie Dinah, miała przed sobą miejsce pracy Moiry: GAL, Genetyczne Archiwum Ludzkości. Kiedyś Moira ją po nim oprowadziła, ale obejrzały wtedy tylko wnętrze, hermetycznie zamknięte i odizolowane od pustki kosmicznej, teraz zaś miała okazję zobaczyć je od zewnątrz. Do tej pory ukryte pod warstwami izolacji termicznej GAL pozostawało niewidoczne. Po jej zdarciu jego konstrukcja została odsłonięta: ustawione w rzędach sześciokątne w przekroju stelaże na fiolki z ładunkiem zamrożonych plemników, jajeczek i zarodków, czekających na swój moment w temperaturze bliskiej zera absolutnego i kosmicznych ciemnościach.

– Jak Moira radzi sobie z projektem rozproszenia zasobów

genetycznych? – spytała Dinah z wymuszoną swobodą w głosie.

– Hmm... No wiesz, po tym, jak dowiedzieliśmy się o Ósemce, na pewno musiała zmienić plany, jak my wszyscy. Ale prawdę mówiąc, zwyczajnie nie mam pojęcia, jak jej idzie.

Ymir

– ...a wtedy podciśnienie zassało właz i mogłam już tylko ze zgrozą patrzeć, jak zatrzaskuje mi się przed nosem! Próbowałam go otworzyć, ciągnęłam za uchwyt, ale różnica ciśnień była zbyt duża. Nie umiem wyrazić, Markusie, jak bezradna i jak bardzo winna temu wszystkiemu się poczułam, kiedy zdałam sobie sprawę, że Dinah utknęła po drugiej stronie.

Markus przeniósł wzrok na Ivy. Już bardzo długo słuchał Julii i potrzebował chwili wytchnienia.

Ivy rozłożyła ręce.

– A ja próbowałam sterować tym nieporęcznym tworem. Nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Nawet kiedy Julia próbowała mi tłumaczyć.

– Rozumiem cię – powiedział Markus. – Prawdę mówiąc, nadal nie mogę uwierzyć, że w ogóle byłaś w stanie latać tym czymś. Ludzie będą o tym opowiadać przez najbliższe sto lat.

Jeżeli przetrwają tak długo, pomyślała Dinah.

Ivy w milczeniu mierzyła Markusa wzrokiem, mrugając powoli i wypatrując na jego twarzy oznak sarkazmu. Ale nie, wcale z niej nie kpił. Jego szczerłość była obosieczną bronią: równie łatwo przychodziło mu prawienie zaskakująco hojnych komplementów, jak ranienie słowem do żywego.

– Na pewno potrzebowałam do tego całego swojego mózgu – odparła.

Siedzieli przy stole konferencyjnym w Cysternie. Markus nie użył na określenie tego spotkania słowa „dochodzenie”, ale nikt nie miał wątpliwości, że z tym właśnie mają do czynienia – a w każdym razie z najlepszym przybliżeniem oficjalnego śledztwa w sprawie wczorajszych wypadków. Zaczęło się dosyć rażno, od dokonanego przez Markusa streszczenia niedawnych wydarzeń, po czym zebranie się rozlaźło, gdy Julia uparła się, żeby opowiedzieć wszystko „od samego początku” – czyli, jak się okazało, od momentu, gdy obudziła się

w Białym Domu u boku męża (świętej pamięci) i zjadła śniadanie w towarzystwie córki (świętej pamięci), aż do momentu końca świata i pośpiesznie zorganizowanego transportu na orbitę, co nastąpiło trzydzieści sześć godzin później. Po drodze nastąpił ciąg niefortunnych zdarzeń i zbiegów okoliczności dostatecznie chaotyczny, by brzmieć z grubsza wiarygodnie. Żaden kłamca by czegoś takiego nie wymyślił. Opowieść Julii zajęła blisko godzinę (mimo że Markus coraz częściej i coraz bardziej bezczelnie popatrywał na zegarek) i wprowadziła wszystkich w mieszankę zauroczenia, nudy, zgrozy i zadumy.

Julii naprawdę się wydawało, że jej interakcje z martwymi ludźmi na martwej planecie kogokolwiek zainteresują. Wśród nowo przybyłych było to złudzenie dość powszechnie, w jej wypadku zaś dodatkowo wzmocnione przez fakt, że nawykła do bycia prezydentem; wszyscy zawsze chętnie słuchali najbardziej wpływowego człowieka na świecie.

– Chwała Bogu – ciągnęła – że udało się nam...

– Istotnie – przerwał jej Markus.

Było oczywiste, że ma dość słuchania Julii – ale tak samo oczywiste było, że nie pali się do przejścia do następnej fazy dochodzenia.

Wszyscy usilnie starali się nie patrzeć na Moirę.

– Dziękuję, Julio – dodał tonem, który nie pozostawiał złudzeń: Julia mogła sobie iść.

– Nie wysłuchaliśmy jeszcze doktor Crewe – zaprotestowała zaskoczona.

– Ale ciebie już tak – wytknął jej Markus.

Tym razem zrozumiała, chociaż wcale jej się to nie spodobało.

– W porządku – powiedziała, wstając ostrożnie. – Jak już wcześniej wspomniałam, Markusie, chętnie się do czegoś przydam.

– Będę o tym pamiętał – odparł Markus i ze śmiertelnie poważną miną spojrzał w oczy siedzącej naprzeciw niego Ivy. Dinah wiedziała, co oboje w tej chwili myślą: Jesteś gorzej niż bezużyteczna i dlatego nikt cię tu nie zapraszał. – Dziękuję, Julio.

Była prezydent odwróciła się od stołu. Przystanęła jeszcze przy drzwiach na Fermę, ostatni raz obejrzała się przez ramię i posłała Markusowi spojrzenie smętnego szczeniaka; być może spodziewała się po nim, że klaśnie się z uciechy po udzie, wybuchnie śmiechem i serdecznie poprosi, by jednak z nimi została, a kiedy nic takiego nie

nastąpiło, w wyrazie jej twarzy zaszła zmiana, która Dinah wydała się odrobinę przerażająca.

Zastanawiała się, jakie to uczucie, kiedy jednego dnia każesz zrzucić na ludzi bomby atomowe, a niespełna tydzień później zostajesz wyproszona ze spotkania. Najwyraźniej taki obrót wypadków nie wprowił Julii w dobry humor: odwróciła się do nich plecami (zarówno po to, żeby ukryć przed nimi swoją twarz, jak żeby znaleźć drogę do wyjścia) i otworzyła drzwi. Za progiem Dinah mignęła czekająca kobieta w czymś na kształt muzułmańskiego czarczafu, który przesłaniał jej dolną połowę twarzy. Na widok Julii oczy jej zabłysły, a mowa ciała dowodziła przyjaznej reakcji. Julia czułym gestem objęła ją lekko w pasie i razem odeszły spod zamykających się drzwi.

W Cysternie zostali Markus, Dinah, Ivy, Moira, Salvatore Guodian i Zhong Hu – specjalista od matematyki stosowanej i ich naczelny teoretyk od dynamiki roju. Inni lepiej od niego znali się na mechanice orbitalnej i silnikach rakietowych, a więc staroświeckich dziedzinach pozwalających planować i nadzorować trajektorie pojedynczych statków kosmicznych, ale to Hu, specjalista od systemów złożonych, był głównym architektem Parametryka i jedynym człowiekiem, który rozumiał (i mógł wytłumaczyć innym), co złego (lub dobrego) dzieje się w roju. Większość życia spędził w Pekinie, ale dostatecznie często bywał na zachodnich uniwersytetach, by całkiem nieźle nauczyć się angielskiego.

Markus dał mu znak skinieniem głowy.

– Przeanalizowałem to, co się wydarzyło. Jak już wszyscy wiemy, doszło do osaczenia i stłuczki. – Było to uprzejme określenie drobnego wypadku z udziałem miniarek. – Mimo to miniarka dwieście czternaście zachowała wystarczającą sterowność, by móc uniknąć drugiej kolizji.

– Dlaczego jej zatem nie uniknęła?

– Algorytm przewidział, że do zderzenia nie dojdzie, arka nie podjęła więc żadnych dodatkowych działań poza rutynową korektą kursu. Jej pilot, dezorientowany i zdekoncentrowany, wolał nie korygować kursu ręcznie.

– Trudno mieć pretensje do ludzi – orzekł Markus. – Nie po tym, jak na każdym kroku się ich ostrzega, że ręczne sterowanie arką może mieć katastrofalne skutki. Ale co się stało z algorytmem?

– Nic – odparł Hu. – Otrzymał niewłaściwe dane wejściowe. Pokażę wam.

Postukał w tablet i na głównym monitorze ponad stołem wyświetlił się trójwymiarowy model Izzy. Na pierwszy rzut oka był niezwykle aktualny: uwzględniał moduły i pojazdy, które dołączyły do kompleksu przez ostatnie dwa dni.

– Wczoraj system prognozowania kolizji dysponował tym właśnie modelem stacji – wyjaśnił Hu.

Przeciągnąwszy palcem po ekranie tabletu, obrócił model w taki sposób, że oglądali go teraz od strony nadiru. Powiększył charakterystyczną „kierownicę” Genetycznego Archiwum Ludzkości: parę modułów chłodniczych sterzących na boki od Zwiezdy. Bardzo podobny widok Dinah podziwiała dzień wcześniej z pokładu rupiecia.

– Chwila – wtrąciła Ivy. – To dokładny model? Wszystko na nim jest?

– Tak.

– Nie widzę osłony termicznej – zauważyła Ivy. – A to dodatkowy metr obwodu GAL-u. Co najmniej.

– Owszem – przytaknął Hu. – W tym sensie model jest przestarzały. Został już zaktualizowany.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że nikt nie jest winny tego stanu rzeczy. Arkitekci przez blisko dwa lata zmagali się z koniecznością bieżących aktualizacji modelu Izzy, co było zadaniem prawie niewykonalnym, gdy jej topografia zmieniała się z dnia na dzień. Miękkie elementy stacji, takie jak izolacja termiczna, miały niższy priorytet; człowiek, mając przed sobą model, dodawał je odruchowo w myślach. Komputery nie były takie cwane.

– Mimo wszystko... – odezwał się Markus. – Przyzwyczailiśmy się traktować ten model z rezerwą. Żadna miniarka nie powinna znaleźć się tak blisko.

– Pokażę wam, co się dokładnie stało.

Hu rzucił na ekran film nakręcony z zewnętrznej kamery, najwyraźniej zainstalowanej na jednym z dźwigarów kratownicy. Genetyczne Archiwum Ludzkości wraz z okrywającą je izolacją termiczną nie znajdowało się w centrum kadru, lecz raczej w jego prawym dolnym rogu, ujęcie nie było więc idealne – ale dało się prześledzić przebieg zdarzeń. Miniarka zbliżała się do GAL-u od

bakburty stacji z prędkością nie większą niż rozwijana przez idącego nieśpiesznie człowieka.

– Nagranie jest w czasie rzeczywistym? – zainteresował się Sal.

– Tak. Ze względu na niezwykle małą prędkość arki podejście nie było postrzegane jako niebezpieczne.

– Wygląda na to, że się miną – powiedział Sal.

– I by się minęły... gdyby nie to. – Hu zrobił stop-klatkę. Obraz nie był najlepszej jakości, ale wszyscy dostrzegli mikroskopijny błysk od strony dziobowej aureoli miniarki 214. – Silniki manewrowe: autopilot dokonał drobnej korekty kursu. – Puścił film klatka po klatce. Błysk przygasł, jego miejsce zajął rozprzestrzeniający się ciemnoszary obłok. – Spaliny. Szybko się rozprężają, ale mają dużą prędkość.

Przewinął jeszcze kilka klatek w przód: izolacja ugięła się pod naporem gazów, pękł szew łączący jej dwa płaty i jeden z nich zatrzepotał jak szmata na wietrze.

Hu puścił film dalej, już w normalnym tempie. Tylne aureole arki zaplatała się w luźny płat izolacji i go zerwała, odsłaniając GAL przed pomarańczową poświatą ziemskiej atmosfery.

– Gdyby ten silnik nie odpalił w niewłaściwym momencie... – mruknęła Ivy.

Hu pokiwał głową.

– Arka dwieście czternaście przeszłaby pod Izzy z dwumetrowym zapasem – potwierdził. – Nie byłby to powód do dumy, ale taki margines bezpieczeństwa by wystarczył. – Zawiesił głos i po chwili dodał: – System ochrony termicznej GAL-u mógł zostać lepiej zaprojektowany.

Znów zrobił pauzę. Wszyscy czekali, kto pierwszy wybuchnie śmiechem; został im już tylko czarny humor.

Hu chyba to wyczuł, bo znów się odezwał:

– Zmierzałem do tego, że zaprojektowano go z myślą o standardowych obciążeniach termicznych.

– Czyli o nasłonecznieniu – wtrąciła Dinah.

– Właśnie. A nie z myślą o rozpalonej ziemskiej atmosferze z drugiej strony.

– Oczywiście ten sam problem dotyczy wielu innych części Izzy – zauważył Markus. – Zewsząd dochodzą sygnały o przeciążeniu termicznym. Moiro? Jak duże są szkody?

Dinah musiała przyznać Markusowi, że bardzo zrecznie, niby od niechcienia, zadał to pytanie. Moira, która się do tej pory nie odzywała, potrzebowała chwili, żeby otrząsnąć się z zamyślenia.

– No cóż... Hu ma rację: system ochrony termicznej...

– Był kiepski – wszedł jej w słowo Markus. – To wiemy.

– I nie był zdublowany.

– Naturalnie. Układem chłodzącym GAL-u miał być cały wszechświat. Trudno się spodziewać, że ktoś zaprojektuje układ awaryjny dublujący wszechświat, na którym zazwyczaj można polegać, że pozostanie zimny.

– Z powodu skrócenia terminów wywołanego przejściem Ósemki...

– Przestań – wtrąciła się Dinah.

Wszyscy na nią spojrzeli.

– Miejmy to wreszcie z głowy – mówiła dalej. – Kiedy miałam czternaście lat, w jednej z kopalń należących do mojego ojca nastąpił zawał. Zginęło jedenastu pracowników. Okropność. Tata nigdy się z tego do końca nie otrząsnął. Naturalnie chciał wiedzieć, co się stało; wyszła z tego bardzo długa historia: jedno zdarzenie powodowało następne, to kolejne i tak dalej. Każde działanie z osobna miało sens, a mimo to nikt nie potrafił przewidzieć tego, co się na końcu wydarzyło. Oczywiście tata czuł się odpowiedzialny za wypadek, chociaż to wcale nie była jego wina. Nie w tradycyjnym sensie tego słowa. U nas wyglądało to następująco. Sean Probst założył firmę specjalizującą się w eksploracji asteroid. Firma wystrzeliła na orbitę mrowie mikrosatelitów i zebrała masę informacji na temat obiektów znajdujących się w pobliżu Ziemi. Sean zachował tę wiedzę w tajemnicy, ale zabrał bazę danych ze sobą, kiedy wyruszył z misją do Grega Szkieletora. Po trafieniu meteorytem jego nadajnik został uszkodzony, więc Sean nie mógł się z nami porozumieć. W ostatniej chwili, kiedy już właściwie było za późno, wpadł na pomysł, żeby przejrzeć swoją bazę danych, i w ten sposób dowiedział się o Ósemce. Zaalarmował mnie, ja zaalarmowałam Dooba, a on pozostałych. Przyśpieszyliśmy realizację wszystkich naszych planów. Moira uruchomiła planowany od ponad roku projekt rozdelenia próbek przechowywanych w GAL-u pomiędzy miniarki, który – podobnie jak wszystkie projekty w dziejach wszechświata – rozkręcał się powoli: mnożyły się nieprzewidziane przeszkody, rupiecie były pozaklepywane i brakowało skafandrów próżniowych, bo właśnie

trwał Amok. Dlatego niewiele się działo, a wydawało się oczywiste, że do czasu rozwiązania kłopotów natury logistycznej najbezpieczniej będzie przechowywać próbki na miejscu, w chłodni GAL-u. Podczas Amoku wystrzelono w naszą stronę masę różnego śmiecia. Parametryk zwariował, co rusz dochodziło do osaczenia którejś z miniarek, niewiele brakowało, żebyśmy dwie z nich stracili na dobre. Kiedy wzięliśmy z Ivy rupieć, żeby polecieć po Julię, najprawdopodobniej dodatkowo spotęgowałyśmy zamęt. A potem wydarzyło się to, co przed chwilą widzieliśmy: miniarka dwieście czternaście zerwała z GAL-u większość źle zaprojektowanej izolacji termicznej, wystawiając je bezpośrednio na promieniowanie cieplne rozgrzanej atmosfery Ziemi. Zanim udało się prowizorycznie załatać dziurę w izolacji, próbki zdążyły się rozmrozić i ulec zniszczeniu. Mam rację, Moira?

Moira bez słowa skinęła głową, jakby się bała, że głos mógłby ją zawieść.

– W porządku – podsumowała Dinah. – W takim razie wydaje mi się, że pytanie, które próbuje zadać Markus, brzmi: ile próbek z GAL-u udało się przenieść do innych bezpiecznych chłodni, zanim stało się to, co się stało? Inaczej mówiąc: ile z nich przetrwało?

Moira odkasznęła.

– Około trzech procent – odparła łamiącym się głosem.

– Rozumiem – odezwał się Markus. – W takim razie mam jeszcze tylko jedno pytanie: rozmawiałaś już z Doobem?

– Jestem pewna, że się domyśla, ale nie, oficjalnie nic mu jeszcze nie powiedziałam. Najpierw chciałam mieć całkowitą pewność.

– I teraz ją masz?

– Tak.

Markus pokiwał głową i poświęcił kilka chwil na wpisanie czegoś na telefonie.

– Właśnie go zapraszam, żeby jak najszybciej dołączył tutaj do mnie i Moiry – wyjaśnił.

Wszyscy, którzy nie byli nim i Moirą, wstali, szykując się do wyjścia. Markus powstrzymał ich gestem.

– Zanim wyjdziecie, chciałbym coś powiedzieć na temat utraconego przez nas Genetycznego Archiwum Ludzkości. – Dla lepszego efektu zawiesił głos i odczekał, aż oczy wszystkich zwrócą się na niego. – Od

początku było jedną wielką bzdurą.

Wszyscy przetrawili jego słowa.

– I to właśnie chcesz powiedzieć Doobowi? – spytała Ivy.

– Oczywiście, że nie. Ale o utworzeniu GAL-u zdecydowała wyłącznie polityka uprawiana na Starej Ziemi.

– To tak już ją teraz nazywamy? – spytał zafascynowany Sal. – Stara Ziemia?

– Ja ją tak nazywam – przytaknął Markus – w tych coraz rzadszych chwilach, kiedy w ogóle o niej myślę.

– Dziękuję, Markusie – powiedziała Moira.

* * *

Wiedział, oczywiście, że wiedział. Złożoność Izzy zaprzeczała jej skromnym rozmiarom: kilkaset osób upchnięto w kubaturze kilku połączonych odrzutowców pasażerskich. Wieści rozchodziły się szybko: już po kilku godzinach wszyscy wiedzieli, że Genetyczne Archiwum Ludzkości uległo niemal całkowitemu zniszczeniu.

Siedział w Cysternie razem z Markusem i Moirą, którzy patrzyli na niego ponad stołem i cierpliwie wyczekiwali jakiejś reakcji.

– Posłuchajcie – odezwał się w końcu – Doca Dubois już nie ma. To była osobowość medialna, rozumiecie? Aktorstwo. Jestem zwyczajnym człowiekiem, nie wpadam w egzaltację na zawołanie, zwłaszcza kiedy ktoś patrzy i tylko na to czeka. Kiedyś, za rok, kiedy będę sam i zupełnie nie będę się tego spodziewał, załamie się i zapłaczę nad tym, ale nie teraz. Nie chodzi o to, że nie mam uczuć, bo mam, ale to są moje uczucia.

– Przykro mi, że do tego doszło – powiedziała Moira. – Przyjmij wyrazy współczucia.

– Dzięki. Pozwólcie jednak, że wyrażę słowami to, co wszyscy myślimy. Wczoraj zginęło siedem miliardów ludzi; w porównaniu z tym utrata jakichś tam próbek genetycznych jest niczym. Zarodek, który stworzyliśmy z Amelią i który przywiozłem ze sobą... No, to był ukłon dla mnie ze strony JBF, dodatkowa zachęta, żebym tu przybył. Nikt inny nie mógł liczyć na takie wyjątkowe traktowanie. To było nie fair, ale

mimo to się zgodziłem. I tyle.

– I tyle – powtórzył Markus. – Czas spojrzeć w przyszłość...

– Nie zgodziłbym się jednak z tobą – mówił dalej Doob – że GAL nie miało żadnego znaczenia.

Zniecierpliwiony Markus cały się najeżył i uniósł brwi. Doob przeniósł wzrok na Moirę.

– Jak ty to nazwałaś? – zapytał. – Heterozygotyczność?

– Tak. Oficjalnym celem stworzenia GAL-u było zapewnienie odpowiednio zróżnicowanej bazy genetycznej przyszłej ludzkości.

– Mnie to się wydaje całkiem ważne – powiedział Doob. – A może czegoś nie rozumiem?

– Mamy dziesiątki tysięcy ludzkich genomów zarchiwizowane w postaci cyfrowej. Ze wszystkich stron świata.

– A więc masz tę swoją heterozygotyczność. O to chodzi, prawda? – podpowiadał Moirze Doob. Zerknął na Markusa. – To dlatego GAL wcale nie było potrzebne.

– Jest tylko jedno „ale” – zastrzegła się Moira.

– Mianowicie?

– Na pewno zdajesz sobie sprawę, że zdigitalizowane sekwencje genetyczne są dla nas użyteczne tylko pod takim warunkiem, że dysponujemy aparaturą niezbędną do przełożenia ich na chromosomy w ludzkich komórkach. Do wykorzystania próbki nasienia wystarczy nam gumowa gruszka i odrobina jakiegoś lubrykantu; aby zrobić użytek z DNA zapisanego na pendrivie, potrzebujemy...

– Całego twojego laboratorium – domyślił się Doob.

– To, co nazywasz „moim laboratorium” – odparła lekko zniecierpliwiona Moira – tak się ma do laboratorium z prawdziwego zdarzenia, jak zera i jedynki na pendrivie do prawdziwej istoty ludzkiej. To po prostu skrzynie ze sprzętem, którego w nieważkości nie mogę nawet wypakować, a co dopiero mówić o jego użyciu! A nawet gdybyśmy go wyjęli, rozstawili i włączyli, bez wykształconego personelu będzie całkowicie bezużyteczny; mówię tu o ludziach z doktoratami z biologii molekularnej.

– Naprawdę? – spytał Markus. – Całkowicie bezużyteczny?

Moira westchnęła.

– No, w małej skali, ograniczając się do pojedynczych próbek coś

niecoś dałoby się wskórać, ale gdybyśmy chcieli odtworzyć zróżnicowanie genetyczne całej ludzkiej populacji...

– I tak nie możemy się tym zająć, dopóki nie rozprawimy się z innymi, bardziej palącymi problemami – przerwał jej Markus. – Liczna populacja nie może żyć w miniarkach i żywić się glonami. Najpierw musimy stworzyć bezpieczną, zdolną do przetrwania kolonię. Potem zbudujemy ci laboratorium, a jeszcze później zajmiemy się tworzeniem bardziej zróżnicowanego ekosystemu: lepsze jedzenie, większa stabilność. Dopiero wtedy będzie można myśleć o heterozygotyczności populacji. A na razie mamy aż nadto ludzi, którzy mogą płodzić zdrowe dzieci, nie ryzykując przy tym chowu wsobnego. Wystarczy, że zastosują metodę tradycyjną, czyli bzykanie się.

– Wszystko się zgadza – przytaknęła Moira.

– I na tej właśnie podstawie twierdzę, że GAL od początku było bzdurą.

– Chodzi ci o to – wtrącił Doob – że gdybyśmy spełnili wszystkie wymagania wstępne dla wykorzystania GAL-u: mieli kolonię, ekosystem, personel...

– ...to GAL nie byłoby nam do niczego potrzebne! – podsumował Markus. – Otóż to! Czy możemy już nie tracić na nie więcej czasu i zająć się czymś innym?

– Na przykład? – Moira spojrzała na niego z rozbawieniem. W okularach trochę przypominała sowę.

– Na przykład tym, jak tego dokonać, jak osiągnąć cel, o którym przed chwilą mówiłem.

– A niby jak mam ci w tym pomóc, skoro GAL zostało w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach zniszczone, a moja aparatura jeszcze długo będzie bezużyteczna?

– Chcę z wami porozmawiać o przechowaniu tej aparatury, o zabezpieczeniu jej przeciw wszelkim zagrożeniom, by po osiągnięciu stabilizacji pewnego dnia odtworzyć twoje laboratorium.

– Przecież już teraz jest zabezpieczona najlepiej, jak się dało, prawda? Umieszczono ją w uprzywilejowanej pozycji, tuż obok Węzła X, bardzo blisko Amalthei. W przeciwnieństwie do nas nie prowadzi życia na krawędzi.

Moira miała na myśli często stosowane przez architektów pojęcie tak

zwanego Stożka Ochronnego w cieniu aerodynamicznym Amalthei. Ponieważ trajektorie nadlatujących bolidów dawało się – w pewnym ograniczonym zakresie – przewidywać, można było wycelować Amaltheę w taki sposób, by niczym taran przyjmowała na siebie większość ich uderzeń. Jej przednia powierzchnia była narażona na istne bombardowanie, ale lita gruda pradawnego żelaza i niklu mogła naprawdę dużo znieść. Obiektom, które przylegały do jej tylnej powierzchni, nie groziło żadne niebezpieczeństwo, jednakże strefa bezpieczna nie mogła – co zrozumiałe – ciągnąć się w nieskończoność: im bardziej zostawało się w tyle za Amaltheą, tym większe było prawdopodobieństwo trafienia bolidem nadlatującym z nieprzewidzianego kierunku. Oczywiście najbezpieczniejsze miejsce zajęła Kolonia Górnicza, która z natury rzeczy musiała znajdować się na samej asteroidzie. Niemal równie bezpiecznie mógł się czuć zlepek modułów połączonych z Węzłem X, tuż za rufą KMUK-a – i tam właśnie trafiły elementy laboratorium Moiry. Dalej strefa chroniona zwężała się, tworząc wydłużony stożek, by gdzieś za rufą Brankardu skończyć się całkowicie. Żart z „życiem na krawędzi” nawiązywał do faktu, że T3 – trzeci torus, w którym w tej chwili siedzieli – miał sporą średnicę i znajdował się dość daleko z tyłu, praktycznie na granicy stożka. Próbowano nawet wzmocnić jego zewnętrzne osłony, nie zmieniło to jednak faktu, że ryzyko trafienia bolidem było tu większe niż w wielu innych częściach Izzy.

Markus pokiwał głową.

– Twój sprzęt jest względnie bezpieczny, byłby jednak jeszcze bezpieczniejszy, gdyby przenieść go do wnętrza Amalthei. Rozmawiałem o tym z Dinah; twierdzi, że można by wydrążyć w asteroidzie komory i trzymać tam najcenniejsze rzeczy.

Cisza. Moira i Doob rozważali słowa Markusa.

Z jednej strony propozycja była zupełnie oczywista: we wnętrzu ogromnej metalowej asteroidy wszystko byłoby bezpieczniejsze niż poza nią.

Z drugiej propozycja miała swoje konsekwencje.

Całkiem niedawno, zaledwie kilka dni wcześniej – a zarazem jeszcze przed Białym Niebem, czyli w czasie, gdy ludzie byli jeszcze w stanie trzeźwo myśleć – los Amalthei i Kolonii Górniczej pozostawał kwestią

sporną: czy asteroida jest kamieniem na tarczach, którego należałoby się pozbyć? Czy raczej tarczą, która ochroni ludzkość? Spór sprowadzał się do statystyki; mieli po prostu za mało danych, żeby podjąć decyzję.

Sugerując przeniesienie aparatury Moiry do wnętrza Amalthei, Markus deklarował się jako zwolennik konkretnego rozwiązania. Doob instynktownie podzielał jego zdanie, dziwne mu się jednak wydało, że ktoś taki jak Markus podejmuje decyzję, nie dysponując wszystkimi danymi.

Czyżby Markus wiedział coś więcej?

Nieważne. Moira i tak odezwała się pierwsza:

– A jeśli zwycięży opcja Porzuć i Więcej?

Nawiązywała w ten sposób do wielokrotnie omawianej i analizowanej strategii, w myśl której Amaltheę oddzielono by od stacji i porzucono, sama Izzy zaś – lżejsza, choć pozbawiona ochrony – przeniosłaby się na wyższą orbitę, gdzie zagrażałoby jej mniej bolidów.

– Wtedy będziemy musieli najpierw przenieść wszystko z powrotem do Węzła X – odparł Markus. – Albo w inne bezpieczne miejsce.

Moira spojrzała na niego z powątpiewaniem.

Markus rozłożył ręce w obronnym geście.

– Rozumiem twój punkt widzenia – przyznał – i jestem coraz bardziej przeciwny strategii Porzuć i Więcej.

– Wiesz, co myślę o rojomentalistach – odparła Moira.

Tym razem miała na myśli inne z planowanych posunięć, tak zwany Czysty Rój, w którym wszystko – jej aparatura najprawdopodobniej też – zostałoby rozdzielone pomiędzy miniarki, które wspólnie przeniosłyby się na wyższą orbitę. Przepływem ludzi i przedmiotów pomiędzy miniarkami rządziłyby prawa gospodarki rynkowej.

– Posłuchajcie mnie – odparł Markus. – Odkąd wszyscy na dole zginęli i ilość bzdur, jakie musimy tolerować, drastycznie spadła, okazuje się, że Hu i inni mają znacznie bardziej złożone poglądy na różne sprawy, niż dotychczas to okazywali.

Zhong Hu, jako czołowy teoretyk roju i twórca Parametryka, powszechnie uchodził za rojomentalistę.

Doob pokiwał głową. Wciąż musiał się nieco wysilić, by uświadomić sobie, że miliony internetowych komentatorów opowiadających się za jedną bądź drugą strategią należą już do świata duchów.

– Ty coś wiesz – wypalił Doob zniechęcony, po czym, werbalizując krystalizujące mu się w głowie myśli, dodał: – Od Dinah. Z radia.

– Owszem – przyznał Markus. – *Ymir* wraca. Nadlatuje z wysoka, ciężki i nagrany.

Trzy ostatnie określenia opatrzył gestem symbolizującym cudzysłów.

– Ale jak to? – zdziwiła się Moira. – To miała być lodowa kometa. Co w niej nagrzanego?

– Zbliża się z dużą prędkością. Nie stracił całkowicie sterowności, ale... zapowiada się to ciekawie.

– A to „z wysoka”? – zaciekawił się Doob.

– Sean przesłał swoje paramy, z których wynika, że wyświadczył nam wielką przysługę. Zmienił płaszczyznę orbity, kiedy było to dla niego najłatwiejsze, w pobliżu L1.

– Czyli kiedy mówi, że nadlatuje z wysoka, twierdzi, że jego orbita ma duże nachylenie... Trafi w nas?

– Prawie – potwierdził Markus. – Zrzuci nam tę wielgachną bryłę lodu prosto na kolana.

– Aha – odezwała się Moira. – Czyli jakby mało nam było atrakcji, to jeszcze Sean Probst w locie nurkowym zamierza nas zbombardować kometa?

– Kawałkiem komety.

– Dużym kawałkiem – zauważył Doob – skoro użył słowa „ciężki”.

– Liczby robiły wrażenie. – Mówiąc to, Markus przysunął się do Dooba i spojrzał mu w oczy.

– Aż tak? Wystarczy na Wielką Jazdę?

– Jeżeli uda nam się doprowadzić do spotkania Izzy z *Ymirem*, to tak. Wystarczy z nadstatkiem.

Wielka Jazda była trzecią z rozważanych strategii podstawowych: zakładała przeniesienie całej Izzy, razem z Amaltheą, na wyższą orbitę. Pomysł uważano za niepraktyczny ze względu na wymaganą do takiego manewru ilość paliwa, a właściwie nie tyle niepraktyczny, ile fizycznie niewykonalny – przynajmniej dopóki nie pojawiła się perspektywa powrotu *Ymira*. Wcześniej zwolennicy Seana, powątpiewający w powodzenie jego misji, zaczęli sugerować ograniczone warianty Wielkiej Jazdy, takie jak przekształcenie części Amalthei w tarczę przeciw meteorytom i pozbycie się większości jej masy.

– Uwzględniając zmianę płaszczyzny orbity? – upewnił się Doob.

Na twarzy Markusa pojawił się cień uśmiechu. Dobrze wiedział, co chodzi po głowie Doobowi, który – nie mogąc przestać myśleć o Rozpadlinie – pokazał zdjęcia swojego ulubionego kawałka Księżyca Markusowi, Konradowi, Ulrice, Ivy i paru innym osobom tworzącym nieoficjalne struktury władzy na Arce w Chmurze.

– Wyjaśnijmy sobie coś – odparł Markus. – Kiedy mówię o Wielkiej Jeździe, mam na myśli całość planu: zabieramy ze sobą całą Amaltheę, przechodzimy na orbitę księżycową, zmieniamy płaszczyznę, lecimy po okręgu i lądujemy bezpiecznie na Rozpadlinie.

– I *Ymir* przywiezie nam dość wody, żeby wystarczyło na taką misję?

– Tak, pod warunkiem, że uda nam się nim posterować i sprowadzić go tutaj.

– Nie powinien się tym zająć Sean Probst? – spytała Moira.

– Już nie. Informacje, które wam przekazałem, były zawarte w ostatniej transmisji od niego.

Moira z Doobem spojrzeli na niego.

– Od dłuższego czasu byli w kiepskim stanie – wyjaśnił Markus. – Sean zmarł ostatni.

– Chcesz powiedzieć, że *Ymir* to statek widmo? – zapytał Doob.

– Tak.

– I nie możemy nim zdalnie sterować – domyśliła się Moira.

– Niestety nie. Alfabet Morse’a, którego używała Dinah do kontaktu z Seanem, na nic się nie zda.

– Czyli ktoś musi tam polecieć i...

– Ktoś musi tam polecieć i wylądować na tej kurewsko wielkiej grudzie lodu – przytaknął Markus. – A potem wejść na pokład *Ymira* i odpalić reaktor atomowy w taki sposób, żeby zsynchronizować orbity *Ymira* i Izzy.

– Niby kto, do diabła ciężkiego... – zaczął Doob.

Markus przerwał mu, wskazując palcem na siebie. Gest wypadł ociupinę niezręcznie, jakby Markus udawał, że chce się zastrzelić.

– Jutro przekażę Ivy dowodzenie Izzy i Arką w Chmurze – powiedział.

– Zbieram już załogę, która wsiądzie do empuda i poleci na spotkanie z *Ymirem*. Wejdziemy na pokład i ręcznie uruchomimy procedury, które umożliwią przetransportowanie ładunku do Izzy, a potem

wykorzystamy resztę lodu do zmiany orbity stacji, zabierzemy ze sobą Amaltheę i urządzimy sobie Wielką Jazdę.

– To... brzmi poważnie – przyznała Moira. – Kto już wie? Kiedy zamierzałeś to ogłosić?

– Decyzję podjąłem w tej chwili – odparł z westchnieniem Markus. – Zrozumcie, to jedyny sposób. W głębi serca zawsze uważałem, że zarówno Porzuć i Wiej, jak i Czysty Rój są zbyt ryzykowne; po wypadku z GAL-em nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jedyne rozsądne wyjście to Wielka Jazda. To oczywiście potrwa, może nawet ze dwa lata, ale na ten okres wszystko, co najcenniejsze, możemy ukryć we wnętrzu Amalthei. Mam na myśli ciebie i twój sprzęt, Moiro. Możesz dowolnie wykorzystać moce przerobowe Kolonii Górniczej, żeby stworzyć bezpieczny schron dla laboratorium genetycznego.

– Dobrze. Porozmawiam o tym z Dinah.

– Porozmawiasz z tym, kogo Dinah wyznaczy do tej roli, bo ona leci ze mną. Potrzebuję kogoś, kto dogada się z tymi wszystkimi *verdammt* robotami.

– A ja? – odezwał się Doob. – Jak mogę pomóc?

Zastanawiał się, czy Markus nie zamierza jego także wcielić do swojej załogi, i nie był pewny, czy ta perspektywa napawa go większym lękiem, czy ekscytacją.

– Wymyśl, jak zrealizować ten plan – odparł Markus po krótkim namyśle. – Wykreśl kurs na Rozpadlinę.

– W porządku. Zajmę się tym.

Mały chłopiec w Doobie był przygnębiony, że ominie go pełna przygód wyprawa – ale tylko dopóki nie uświadomił sobie, że już i tak jest częścią najwspanialszej wyprawy w dziejach rodzaju ludzkiego, która to wyprawa na razie wypada nadzwyczaj blado.

* * *

Wszystkie warte uwagi rozmowy na temat podróży kosmicznych opierały się na pojęciu „delta V”, określającym przyrost lub spadek prędkości lecącego statku. W popularnym matematycznym zapisie grecka litera delta (Δ) oznaczała „zmianę wartości zmiennej”, a wielka

litera V była oczywistym skrótem od angielskiego „velocity”, prędkość. Dlatego kiedy inżynierowie odczytywali na głos znaki tej matematycznej stenografii, używali określenia „delta V”.

Ponieważ miarą prędkości był metr na sekundę, ten sam wymiar przypisano delta V. Wartości delta V, którymi przerzucano się w dyskusjach o lataniu w kosmos, były najczęściej bardzo wysokie wedle standardów planety, którą Markus nazywał teraz Starą Ziemią. Na przykład prędkość dźwięku, znana również jako Mach 1, wynosiła nieco ponad trzysta metrów na sekundę; większość Ziemiaków uznałaby, że to piekielnie szybko, tymczasem dla specjalistów rozprawiających o misjach kosmicznych była to wartość ledwie warta wzmianki.

Popularnym punktem odniesienia w tych rozważaniach było delta V niezbędne do wyniesienia obiektu z kosmodromu na powierzchni Ziemi na taką orbitę, po jakiej krążyła Izzy: około 7660 metrów na sekundę, czyli ponad dwadzieścia dwa razy więcej niż prędkość dźwięku – wielkość wprost niewyobrażalna dla obiektu, który musiał walczyć z oporem powietrza. Kiedy jednak pojazd znalazł się w próżni, poza granicą atmosfery, sytuacja znacząco się upraszczała: silniki raketowe działały sprawniej, opór powietrza zniknął, a ewentualna awaria nie musiała od razu zakończyć się katastrofą. Przeniesienie obiektu z punktu A do punktu B było kwestią nadania mu odpowiedniego delta V we właściwym momencie.

Historia delta V Seana Probsty – od chwili, gdy opuścił Ziemię, do momentu, gdy na dobre rozstał się z tym światem – przedstawiała się mniej więcej następująco. Start z *terra firma* na Izzy w 68 dniu wymagał delta V równego 7660 m/s – tak przynajmniej wynikało z uproszczonych rachunków, jednakże, o czym każdy kosmiczny wyga wiedzieć powinien, straty wywołane oporem powietrza i konieczność wyrwania się z objęć przyciągania ziemskiego w praktyce podnosiły tę wartość do około 8500-9000 m/s. Zabrawszy ze stacji Larza i większość robotów Dinah, Sean musiał wykonać manewr zmiany płaszczyzny orbity, aby przeskoczyć z orbity Izzy (nachylonej pod kątem około pięćdziesięciu sześciu stopni do płaszczyzny równika) na orbitę okołorównikową, na której *Ymir* miał zostać zmontowany. Była to jedna z tych sytuacji, w których ludzka intuicja okazywała się całkowicie zawodna, gdyż na pierwszy rzut oka orbity Izzy i *Ymira* niewiele różniły się od siebie: obie

przebiegały kilkaset kilometrów ponad granicą ziemskiej atmosfery, obie miały prawie idealnie kolisty kształt (w odróżnieniu od eliptycznego) i oba obiekty krążyły wokół Ziemi w tym samym kierunku. Jediną różnicą był kąt nachylenia obu orbit – a mimo to delta V niezbędne do przejścia z jednej na drugą było na tyle duże, że konieczne okazało się wystrzelenie z Ziemi dodatkowej rakiety z ładunkiem paliwa dla pojazdu Seana.

Po złożeniu *Ymira* w całość przesunięcie go na bardzo wydłużoną orbitę eliptyczną, która zaprowadziłaby go do L1, wymagało delta V rzędu 3200 m/s. Po drodze problem zmiany płaszczyzny orbity jeszcze raz podniósł swój paskudny łeb. Praktycznie wszystkie obiekty w Układzie Słonecznym, włącznie z kometą Grigga-Skjellerupa, poruszały się w obrębie płaskiego dysku, którego środek stanowiło Słońce. Płaszczyznę tego dysku nazywano płaszczyzną ekliptyki. Oś Ziemi była nachylona do równika pod kątem 23,5 stopnia (fakt niezwykle miły dla ludzi lubiących zmiany pór roku i nadzwyczaj kłopotliwy dla podróżników międzyplanetarnych), przez co orbita *Ymira* była przekrzywiona o tę samą wartość. Na całe szczęście zmiana płaszczyzny orbity była znacznie mniej „kosztowna” (to znaczy wymagała znacznie mniejszego delta V), kiedy wykonywało się ją daleko od Ziemi – a *Ymir* zamierzał przecież znacznie się od niej oddalić. Załatwił więc tę sprawę w punkcie L1 w ramach tego samego manewru, który przez bramę L1 wyniósł go na orbitę okołosłoneczną. Sumaryczne delta V wyniosło w tym wypadku około 2000 m/s.

Wytyczona w ten sposób nowa trajektoria przecinała się z trajektorią komety. Gdy po trwającej z górą rok podróży *Ymir* przybliżył się do Grigga-Skjellerupa, odpalił silniki, uzyskał nowe delta V w wysokości 2000 m/s i zsynchronizował swoją orbitę z orbitą komety.

Wszystkie manewry przed dotarciem do Grigga-Skjellerupa wykonywano z użyciem silników raketowych *Ymira*, które w swojej konstrukcji były całkowicie konwencjonalne: przetwarzały materiał pędny (paliwo i utleniacz) na strumień gorących gazów spalinowych, który przechodził przez dyszę i wytwarzał ciąg. Ostatni impuls silników wyczerpał resztki paliwa i rejs *Ymira* byłby podróżą w jedną stronę, gdyby nie udało się uruchomić napędu jądrowego.

Nie skonstruowano dotychczas napędu, który umożliwiłby transport

jądra kometarnego w obrębie Układu Słonecznego z jakąkolwiek sensowną prędkością. Dlatego właśnie *Ymir* zmuszony był wbić bombę atomową na kiju w samo serce lodowego ładunku, utworzyć za nią lodową dyszę, a następnie usunąć z reaktora cały moderator. Tysiąc sześćset prętów paliwowych w reaktorze gwałtownie się rozgrzało. Ciepło najpierw stopiło lód, a następnie wygotowało wodę; para wodna, która wystrzeliła przez dyszę, wytworzyła dostatecznie duży ciąg, żeby projekt nabrał sensu. Zatem następne kilka miesięcy poświęcono na zdemontowanie *Ymira* i wbudowanie jego elementów w bryłę lodu odłupaną od mierzącego trzy kilometry średnicy jądra komety.

Można by zapytać – dlaczego chcieli zabrać tylko kawałek jądra? Dlaczego nie całe, skoro woda była tak cennym dobrem? Po co wysłać w kosmos okazałych rozmiarów reaktor jądrowy, jeżeli nie zamierza się go w pełni wykorzystać? Odpowiedź była prosta: nawet bardzo duży reaktor nie miał szans poruszenia tak wielkiej bryły lodu w rozsądnym czasie; misja musiałaby trwać ponad sto lat, a i to pod warunkiem, że udałoby się skonstruować reaktor, który byłby w stanie działać tak długo bez przerwy. Jeżeli *Ymir* miał się zmieścić w rozsądnym przedziale czasowym, musiał ograniczyć się do zabrania minimum lodu niezbędnego do powrotu na Izzy i przeprowadzenia Wielkiej Jazdy.

Tak czy inaczej, ocalali członkowie załogi za pomocą reaktora nadali odłupanej od Grega Szkieletora bryle lodu delta V równe około 1000 m/s, przez co *Ymir* znalazł się wraz z nią na orbicie tylko odrobinę różnej od tej, która przed kilkoma miesiącami zaprowadziła go do punktu L1. Sean dożył chwili, w której ponowne wyjęcie z reaktora prętów moderatora pozwoliło wykonać manewr dokładnie odwrotny do tego, który dwa lata wcześniej umożliwił *Ymirowi* przelot przez bramę L1: *Ymir* wszedł na orbitę geocentryczną, a przy okazji najniższym możliwym kosztem dokonał zmiany płaszczyzny orbity, co umożliwiło późniejsze spotkanie z Izzy. Dwa dni później Sean nadał jeszcze wiadomość, że „nadlatuje z wysoka, ciężki i nagrany”, po czym wyzionął ducha. Przyczyny jego zgonu na razie pozostawały w sferze domysłów.

Dowodzona przez Markusa ekipa ratunkowa miała polecieć empudem – MPUD-em, Modularnym Pojazdem do Użytku Doraźnego: statkiem kosmicznym zmontowanym z prefabrykatów nieco podobnych w swojej idei do klocków Lego. Montaż empudów odbywał

się w kompleksie modułów zwanym Stoczną i połączonym bezpośrednio z Brankardem.

Stocznia miała w przybliżeniu kształt litery T. Jedno ramię poprzeczki, sterczące od Brankardu na bakburtę, było całe najeżone elementami empudów. Drugie ramię stanowiło zlepek kulistych zbiorników skupionych wokół elektrolizerów, które wykorzystywały energię elektryczną do rozbijania wody na tlen i wodór. Gazy przepływały następnie do chłodziarek, w których przechodziły w stan ciekły i w tej postaci trafiały do zbiorników.

Tyle, jeśli chodzi o poprzeczkę litery T. Jej pionową nóżkę stanowił kratownicowy wspornik zakończony reaktorem jądrowym – nie malutkim RGT, jak te zasilające miniarki, lecz reaktorem z prawdziwego zdarzenia, zaprojektowanym na potrzeby okrętu podwodnego, a teraz dodatkowo podrasowanym, żeby poradził sobie z nowym zadaniem.

Pierwszy wypuszczony ze Stoczni statek Markus ochrzcił *New Caird*, na pamiątkę małej łodzi użytej przez Shackletona podczas jednej z jego antarktycznych ekspedycji. Zmontowanie go i przygotowanie do użytku zajęło dziesięć dni – około jednej trzeciej czasu potrzebnego *Ymirowi* na przybycie z L1 i maksymalne zbliżenie się do Ziemi.

Zaprojektowanie, wyprodukowanie i przetestowanie takiego pojazdu w tak krótkim czasie jeszcze dwa lata wcześniej byłoby nie do pomyślenia. Jednakże w okresie pomiędzy Dniem Zero i Białym Niebem inżynierowie z kilku państwowych agencji kosmicznych i prywatnych eksploratorów kosmosu, przewidziawszy konieczność składania prowizorycznych statków kosmicznych z takich prefabrykatów jak gotowe kadłuby miniarek i silniki raketowe, przedstawili zestaw części, listę procedur montażowych i kilka uproszczonych projektów pojazdów pełniących w zamierzeniu różne funkcje. *New Caird* został zaprojektowany przed rokiem przez liczny zespół ziemskich specjalistów, z których tylko trzech dożył dnia dzisiejszego, zostali bowiem wysłani na orbitę, gdzie dołączyli do zwykłych mieszkańców stacji. Na podstawie dokonanych poprzedników zdołali w ciągu kilku godzin od obwieszczenia decyzji Markusa przedstawić projekt nowego empuda – zgrubny, a zarazem dostatecznie precyzyjny, żeby można było rozpocząć montaż. Przez następne półtora tygodnia komputerowe systemy projektowe dostarczały szczegółów konstrukcji, a w Stoczni

zestawiano i łączono odpowiednie elementy składowe, aż powstał nowy statek.

Pierwszy impuls silników *New Cairda* miał go wprowadzić na trajektorię, na której spotka się z *Ymirem*, a drugi zsynchronizować ich prędkości, żeby załoga mogła wejść na pokład statku widma i przejąć stery. Sumaryczne delta V dla tej misji – od chwili odłączenia się od Izzy do momentu przybicia do złącza cumowniczego na *Ymirze* – miało wynieść około ośmiu tysięcy metrów na sekundę.

Potem dyskusje zeszły na kwestię stosunku mas – parametru, który dla planowania misji kosmicznych był niewiele mniej istotny niż delta V. Jego wielkość określała, ile paliwa musi zabrać statek na pokład, żeby uzyskać wszystkie zaplanowane delta V.

Laicy często stosowali wymiennie określenia takie jak „paliwo”, „benzyna” czy „materiał pędny” – posługując się oczywistą analogią do substancji spalanych w silnikach samochodów czy samolotów. Analogia ta, choć nie najgorsza, była jednak niepełna: poza paliwem większość silników raketowych wymagała dodatkowo jakiegoś bogatego w tlen związku chemicznego (najlepiej, żeby to był po prostu czysty tlen), w którym paliwo mogłoby się spalać. W samochodach i samolotach rolę tę spełniało powietrze. W raketach utleniacz, przechowywany w osobnym zbiorniku, w połączeniu z paliwem zyskiwał nazwę „materiału pędnego”, i to właśnie jego łączna masa decydowała o wyglądzie statków kosmicznych w stopniu nieznanym na przykład konstruktorom samochodów, w których zbiornik na benzynę był zazwyczaj niewielki w porównaniu z rozmiarami całego pojazdu.

Wskaźnikiem, który w wygodny sposób ilustrował to zjawisko, był właśnie stosunek mas, czyli iloraz masy pojazdu na początku podróży (wraz z całym materiałem pędnym) i na jej końcu (po opróżnieniu wszystkich zbiorników). Znając sprawność silnika i wymagane delta V, stosunek mas można było wyznaczyć z prostego wzoru przypisywanego rosyjskiemu naukowcowi Ciołkowskiemu, nazwanego na jego cześć i opartego na funkcji wykładniczej, która nadawała się do opisanie niemal wszystkich zjawisk w ekonomii i technice lotów kosmicznych. Ktokolwiek znalazł się po niewłaściwej stronie tego równania wykładniczego, miał przerażane.

Po wprowadzeniu do równania Ciołkowskiego danych opisujących

misję sprowadzenia *Ymira* uzyskano stosunek mas wynoszący około siedmiu, co oznaczało, że na każdy kilogram masy, który miał bezpiecznie dotrzeć do złącza cumowniczego na *Ymirze* – każdy kilogram Markusa, Dinah, innych członków załogi, robotów itepe – *New Caird* musiał zabrać na pokład sześć kilogramów materiału pędnego. Osiągnięcie tego stanu nie było szczególnie trudne, zwłaszcza dla pojazdu, który nie musiał się zmagać z trudnościami lotów w atmosferze.

Ładunek użytkowy sprowadzał się do jednego kadłuba miniarki, w który wbudowano dodatkowe „boczne wejście”: służę mieszczącą jedną osobę w skafandrze próżniowym. Poza tym miniarka została pozbawiona wszelkich zbędnych udogodnień i zachowała absolutne minimum wyposażenia niezbędne do utrzymania czteroosobowej załogi przy życiu przez kilka dni. Rzecz jasna, do masy statku należało dodać masę pasażerów, pożywienia dla nich i innych niezbędnych przedmiotów. Obdarta z nadmiaru aparatury miniarka była zdumiewająco lekka: kompozytowe kadłuby najnowszej generacji ważyły około osiemdziesięciu kilogramów. *New Caird* – odarty ze wszystkich wygod i udogodnień umożliwiających dłuższe zamieszkanie, a wyposażony dodatkowo w „boczne wejście”, silniki manewrowe i rozsądny zapas materiału pędnego – miał ważyć około dziesięciu razy więcej. Ludzie ważyli około trzystu kilogramów, a silnik raketowy odpowiedzialny za wszystkie główne impulsy napędowe – dwie tony. Łączna masa ładunku użytkowego, który miał dotrzeć do *Ymira*, wynosiła więc około trzech i pół tysiąca kilogramów. Stosunek mas równy siedem oznaczał, że początkowy zapas materiału pędnego – ciekłego wodoru i tlenu – miał ważyć dwadzieścia jeden tysięcy kilogramów.

W magazynach Stoczni znajdowały się kriogeniczne zbiorniki różnej wielkości, niektóre przeznaczone do przechowywania LH₂ (ciekłego wodoru), inne – skonstruowane według nieco innych specyfikacji – do transportu LOX (ciekłego tlenu). Wybrane zbiorniki zostały ustawione jeden na drugim, połączone ze sobą nawzajem i z umieszczonym „na dole” silnikiem raketowym, oraz opatulone izolacją termiczną. Właściwy *New Caird*, czyli sama miniarka z zamkniętymi w jej wnętrzu ludźmi, sterczał na dziobie całej konstrukcji, umieszczony na

kratownicowym wysięgniku w sam raz na tyle długim, by płomienie z jego silników manewrowych nie uszkodziły innych elementów pojazdu.

Prace przy budowie empuda szły pełną parą, a tymczasem należało rozszczepić dwadzieścia jeden ton wody na tlen i wodór, po czym jeden i drugi skroplić i zmagazynować. Stocznia dysponowała już pewnym zapasem LH₂ i LOX, ale generalnie starano się nie przechowywać ich w zbyt dużych ilościach, ponieważ na co dzień stanowiły dokuczliwy ładunek. Do ich produkcji zaprzęgnięto reaktor jądrowy na końcu sterzącego ze Stoczni długiego ramienia, który rozhulano na pełny regulator po raz pierwszy od czasu, gdy seria potężnych rakiet nośnych wyniosła go, kawałek po kawałku, z przylądka Canaveral na orbitę. Generując potężny prąd dla elektrolizerów, reaktor był w stanie rozszczepić dwadzieścia jeden ton wody i skroplić powstały w ten sposób tlen i wodór w czasie niezbędnym do dokonania pozostałych przygotowań do lotu.

Była to ogromna ilość wody, około czternastu litrów na każdego pozostałego przy życiu człowieka. Oczywiście Arka w Chmurze odzyskiwała zużytą wodę, wykorzystywała ją powtórnie i nie musiała się obawiać jej braku, ale mimo wszystko pomysł wystrzelenia tak wielkiej jej ilości w kosmos, i to bez możliwości odzyskania, obudził powszechne wątpliwości, zwłaszcza wśród bojowników spod znaku Porzuć i Wiej.

Ich przeciwnicy podnosili poważny kontrargument – taki mianowicie, że *New Caird* miał przechwycić grudę zamrożonej wody o masie równej masie całej Izzy łącznie z przyczepioną do niej gigantyczną bryłą metalu (która miała pozostać do niej przyczepiona, gdyby zwolennicy Wielkiej Jazdy przeforsowali swoją strategię).

Dotarwszy do *Ymira*, *New Caird* miał go spowolnić i poprzez użycie jego silnika doprowadzić do jego spotkania z Izzy. Silnik ten był wprawdzie prymitywny, ale dysponował praktycznie niewyczerpanym źródłem energii (reaktorem) oraz olbrzymimi zapasami materiału pędnego (lodem). Tę cokolwiek steampunkową jednostkę napędową cechowała jednak znacznie mniejsza sprawność niż przyzwoicie skonstruowany silnik raketowy. W związku z tym stosunek mas niezbędny do wyhamowania *Ymira* i sprowadzenia go z szybkiej orbity

eliptycznej, na której spadał w otchłań ziemskiej studni grawitacyjnej, na znacznie wolniejszą i kołową orbitę Izzy, wynosił około trzydziestu czterech, co oznaczało, że dziewięćdziesiąt siedem procent lodu przytwierdzonego w tej chwili do *Ymira* zostanie roztopione, wygotowane i wystrzelone w postaci pary przez zaimprovizowaną dyszę tylko po to, żeby spowolnić jego ruch. Nie zmieniało to faktu, że pozostałe trzy procent będą ważyć tyle samo co Izzy i Amalthea łącznie, a rozbite na tlen i wodór dostarczą paliwa rakietowego do Wielkiej Jazdy aż do samej Rozpadliny.

* * *

– Nie spodziewałam się, że będzie czarny – przyznała Dinah.

Własny głos dobiegał do niej jak z głębi milowej długości rury ściekowej. Była praktycznie pewna, że przed chwilą straciła przytomność; być może jeszcze nie odzyskała jej do końca.

Markus zwlekał z odpowiedzią. Może też na chwilę zemdłał. A może był czymś zajęty.

– Jądra komet pokrywa...

– Śmierzące czarne świństwo. Wiem o tym, Markusie. Pamiętasz, kim jestem?

– Przepraszam. Niedobór krwi w mózgu.

– To jest tylko odłamek wyłupany przez Seana z Grigga-Skjellerupa. Dlaczego jest cały czarny?

– Nie wiem – przyznał Markus.

Patrzyli na *Ymira* z odległości dziesięciu kilometrów i z każdą chwilą byli coraz bliżej. Na ekranach tabletów oglądali powiększony obraz z kamery. Wiaczesław Dubski, szybujący w powietrzu bliżej dziobu *New Cairda*, przytknął twarz do maciupeńskiego iluminatora, wypatrując czarnego statku na czarnym niebie; krzywił się i mrużył oczy, co sugerowało, że *Ymir* znajduje się na razie za daleko, żeby dało się go dostrzec gołym okiem.

– Może Sean chciał nam wyświadczyć przysługę – podsunęła Dinah. – To czarne zawiera mnóstwo fajnych rzeczy: węgiel, naturalnie, ale także azot, potas...

– Mikroelementy – wtrącił Markus – które bardzo się przydadzą na Arce w Chmurze.

– Może kazał robotom zdrapać trochę tego czarnego ze Szkieletora i oblepić nim swój odłamek – snuła domysły Dinah.

– Niedługo wszystkiego się dowiemy – zauważył Wiaczesław. – Można się spodziewać, że zostawił jakieś dokumenty.

– Których nie przeczytamy, jeśli nie przeżyjemy lądowania – odezwał się Markus – więc proszę o ciszę. Sława...

Tu przeszedł na kiepski rosyjski, usiłując wyrazić coś w stylu „Zamieńmy się miejscami”, na co Wiaczesław odpowiedział w równie kiepskiej niemczyźnie. Obaj płynnie mówili po angielsku, ale wzajemne masakrowanie swoich ojczystych języków – rzekomo w celu zachowania spuścizny lingwistycznej Starej Ziemi – stało się ich prywatnym żartem.

– Reszta: zapiąć pasy – dodał Markus po angielsku.

Wiaczesław przepłynął na rufę z wprawą człowieka, który od dwóch lat przebywa w kosmosie. Należał do rosyjskich weteranów, którzy przybyli na Izzy w dniu A+0.17, pierwszym lotem po rozpadzie Księżyca. Był filarem epoki Skautów i Pionierów; nikt nie spędził tyle czasu co on na spacerach w próżni, nikt też tak jak on nie zużył w pojedynkę trzech Orlanów. Sam Wiaczesław też już był nieco zużyty: z wychudzoną ziemistą twarzą nie przypominał dziarskiego bohatera, który dwa lata wcześniej wynurzył się z tego samego Sojuza, który przywiózł na orbitę Rhysa i Bolor-Erdene.

Markus zajął jego miejsce przy oknie, usiadł na fotelu pilota i zapiął pasy.

Za fotelem znajdowały się trzy ustawione w rzędzie leżanki przeciążeniowe, zamontowane na stelażu biegnącym od jednej ściany do drugiej. Dinah leżała na pierwszej z nich, licząc od bakburty, luźno przypięta. Nie zaciągnęła pasów. Leżanka wraz z całym stelażem uległa deformacji wskutek ogromnych przeciążeń, po których Dinah jeszcze się nie otrząsnęła. Miejsce przy sterburcie zajmował Jiro Suzuki, inżynier nuklearny, jeden z projektantów zabranego przez *Ymira* reaktora. Nie było do końca jasne, czy jest przytomny, ale w jego wypadku nigdy nie miało się takiej pewności. Wiaczesław – czwarty i ostatni członek załogi *New Cairda* – wyciągnął się na środkowym

miejscu i zapiął przebiegające mu nad ramionami górne pasy pięciopunktowej upręży zabezpieczającej.

Unoszący się przed twarzą Jiro spektrometr gamma – współczesny odpowiednik licznika Geigera, nazywany przez użytkowników (w kalekiej ruszczyźnie) inspektorem – zaterkotał staccato, po czym znów wrócił do swojego stałego spokojnego rytmu.

Promieniowanie bombardowało inspektora (i ciała pasażerów) nieustannie, w losowo wybranych momentach i przypadkowym rytmie. Czasem zdarzał się jego nagły wzrost, który część mózgu lubiąca we wszystkim doszukiwać się sensu interpretowała jako ważne zdarzenie, potem jednak poziom promieniowania spadał i sprawa szła w zapomnienie. Tak już były urządzone wszechświat i ludzka psychika. W kosmosie natężenie promieniowania było znacznie większe niż na Ziemi, ale wszyscy, którzy ocaleli z zagłady planety, dawno się z tym pogodzili i Jiro zmniejszył czułość inspektora, żeby ten nie wrzeszczał na nich bez przerwy.

Gdyby zaczął wrzeszczeć w ciągu najbliższych kilku minut, przyczyną nie byłoby żadne odległe kosmiczne wydarzenie, tylko wyciek z reaktora *Ymira*.

– Widzę smugę spalin – odezwał się Markus. – Macie ją na wideo? Kilkaset metrów od wylotu dyszy słońce pada na nią pod idealnym kątem.

Miał na myśli smugę pary, która snuła się za *Ymirem* przez cały czas, nawet przy wyłączonym silniku. To właśnie dzięki niej Konrad, Doob i inni astronomowie na pokładzie *Izzy* mogli śledzić lot *Ymira* przez teleskopy i potwierdzić wartość paramów podanych przez Seana w ostatniej transmisji. Smuzka była rzadka i ulotna, ale odbijała więcej światła niż sam statek. Jej źródłem było stałe i równomierne wygotowywanie się lodu wywołane radioaktywnością prętów paliwowych reaktora. Po usunięciu całego moderatora (co prawie nigdy się nie zdarzało) reaktor osiągał pełną moc – cztery gigawaty uzyskiwane poprzez rozbijanie jąder uranu i plutonu na mniejsze jądra, z których część również była niestabilna. Wskutek postępującego rozpadu tego jądrowego „potomstwa” układ generował ciepło nawet po całkowitym wyłączeniu reaktora. Nic nie mogło powstrzymać tego procesu, toteż pewne straty lodu (pod postacią tej właśnie wiotkiej

smugi pary) były nieuniknione. Nikomu to nie przeszkadzało: *Ymir* miał ogromne zapasy surowca, a Sean na pewno uwzględnił ten fakt w swoich obliczeniach.

Sean – który nie był z natury wylewny, a dysponując tylko prowizorycznym nadajnikiem własnej roboty musiał tym bardziej ograniczyć swoją ekspresję – nie podał żadnych szczegółów na temat przyczyn śmierci swojej i całej załogi. Gdyby w grę wchodziła katastrofalna awaria reaktora, najprawdopodobniej próbowaliby ich uprzedzić; prawdę mówiąc, gdyby napęd uległ uszkodzeniu, *Ymir* nie dotarłby tak daleko. Jiro nie spodziewał się więc scen rodem z koszmarów – ale pewności mieć nie mógł.

Przez następne kilka minut nikt się nie odzywał. Markus monitorował podejście do *Ymira*, od czasu do czasu muskając przyrządy, żeby pchnąć *New Cairda* na odrobinę inny kurs.

Dotarli na miejsce dzięki dwóm mocnym impulsom silnika. Pierwszy – mniejszy – ułokował ich na elipsie wybiegającej poza orbitę dawnego Księżyca. Po kilku dniach oddalania się w stanie nieważkości od Ziemi poddali się sile jej przyciągania, zatoczyli leniwy łuk i poczęli opadać ku płonącej powierzchni planety. Wyliczyli wszystko w taki sposób, żeby mniej więcej dzień później wyprzedził ich *Ymir* poruszający się w przybliżeniu po równoległej trajektorii. *Ymir* pędził jednak o wiele szybciej (Sean zapowiedział, że leci „nagrzany”) – głównie dlatego, że spadał z niezwykle dużej wysokości i od tygodni nabierał rozpędu. Gdyby zostawić go w spokoju, przemknąłby z rykiem w stronę Ziemi ze względną prędkością około dwunastu kilometrów na sekundę, wykręciłby ostro o sto osiemdziesiąt stopni zaledwie parę kilometrów od katastrofalnego spotkania z rozżarzoną atmosferą, po czym znów poleciał w siną dal i zniknął na najbliższe kilka miesięcy. Po jakimś czasie jego orbita uległaby takiej deformacji, że zostałaby wciągnięty w atmosferę i zniszczony.

Tak czy inaczej, śmignąłby obok *New Cairda* tak szybko, że nawet by go nie zauważyli, szybciej niż kula wystrzelona z karabinu – gdyby nie fakt, że *New Caird* długim, precyzyjnie wymierzonym impulsem głównego silnika doprowadził do zrównania się ich prędkości; to właśnie po tym impulsie załoga jeszcze nie doszła do siebie. Główny silnik *New Cairda* był nieco przyduży (zestaw prefabrykatów do budowy empudów

miał swoje ograniczenia), toteż przeciążenia początkowe były imponujące, końcowe zaś okrutne, gdy nieszczędzący materiału pędny stateczek stawał się coraz lżejszy. Ale jeśli nawet Dinah straciła na chwilę przytomność, to co z tego? Może nawet dobrze się stało, zważywszy że obrali kurs niemal wprost na Ziemię, jakby uczestniczyli w misji samobójczej. Musieli tak zrobić, żeby spotkać się z *Ymirem*, ale całe to doświadczenie było chyba odrobinę zbyt emocjonujące jak na jej obecny stan ducha.

Ziemia, co zrozumiałe, zmieniła się nie do poznania. Widziana z tej odległości miała mniej więcej rozmiary mandarynki trzymanej na wyciągnięcie ręki i bardzo podobny kolor. Niegdyś przypominająca chłodne białoniebieskie jezioro w kosmosie, teraz wisiała na firmamencie jak kropla roztopionej stali, która chlapnęła spod spawarki. Pas zawarty pomiędzy zwrotnikami, gdzie spadała większość Kamienego Deszczu, jarzył się pomarańczowo. Bliżej biegunów powierzchnia bladła, a jej kolor przechodził najpierw w czerwień, a potem w posępny brąz. Cała planeta nieustannie skrzyła się niebieskimi rozbłyskami eksplodujących i spalających się bolidów. Za kilka dni przesłoni pół nieba i nastąpi gorączkowa chwila, gdy *New Caird* będzie zawracał wokół niej w punkcie największego zbliżenia. Do tego czasu musieli uruchomić główny napęd *Ymira*, żeby przeprowadzić ostre hamowanie i spowolnić go do prędkości, z jaką poruszała się Izzy.

To było szaleństwo. Szalony plan. Miażdżące przeciążenia, którym poddano ich przed kilkanaście minutami, pod koniec cyklu pracy silnika boleśnie im przypomniały, że zabrali tylko tyle paliwa, żeby zsynchronizować *New Cairda* z *Ymirem*. Gdyby nie wykonali swojej głównej misji, czyli nie zdołali przycumować do *Ymira* i uruchomić jego silnika, prawdopodobnie nie mieliby jak wrócić na Izzy; pozostałby im co najwyżej absolutnie nedorzeczny manewr polegający na zanurkowaniu w atmosferę Ziemi przy następnym przelocie i liczeniu na to, że opór powietrza ich wyhamuje.

Pełne znaczenie nazwy ich stateczku nie od razu przebiło się do świadomości Dinah. Nazwę *James Caird* nosiła niewielka łódź, na której pokładzie Shackleton wyruszył z rozpaczliwą misją ratunkową, by ocalić niedobitków swojej nieudanej wyprawy na biegun południowy. Zamierzał popłynąć na wysepkę o nazwie Georgia Południowa, maleńki

punkcik na mapie, z pełną świadomością, że jeśli za pierwszym razem na nią nie trafi, dominujące w tym rejonie wiatry nie pozwolą mu zawrócić i spróbować ponownie.

Przyszło jej do głowy, że Markus próbuje podobnego szaleństwa, żeby dowieść swoich racji. Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja ludzkości była wręcz absurdalnie rozpaczliwa – na forum publicznym pierwszy zwrócił na to uwagę Doob, przed dwoma laty, a czas, który od tamtej pory upłynął, zużyto na planowanie i przygotowania. Prace prowadzono w pośpiechu, trochę na łapu-capu, w dodatku pod silnym wpływem polityków, ale summa summarum był to uporządkowany, metodyczny projekt inżynierski – bo też inaczej być nie mogło, tyle że jego ociężała biurokratyczna natura miała nieco usypiający efekt. Ileż to razy w ciągu tych ostatnich dwóch lat Dinah podnosiła głowę znad monitora wypełnionego liniami kodu, żeby świadomym wysiłkiem woli przypomnieć sobie, co się dzieje i jak bardzo niewesoła jest sytuacja? Tysiąc pięciuset ocalałych nie było w stanie ciągle o tym myśleć; próbowali żyć z dnia na dzień i po prostu kontynuować rozpoczętą pracę. Sean Probst był z nich wszystkich najbardziej odporny: niemal od razu zrozumiał, co trzeba zrobić, i w drodze do osiągnięcia tego celu podjął wysiłek wprost niewyobrażalny, a w końcowym rozrachunku – zabójczy. W swojej ostatniej transmisji scedował ten obowiązek na Markusa. Dinah podejrzewała, że Markus zrzekł się pozycji na szczycie hierarchii władzy i wyruszył z tą misją między innymi po to, by dać przykład innym.

A jeśli rzeczywiście tak było, to fakt, że zabrał ją ze sobą, również nie był bez znaczenia: Markus nie zamierzał nikogo oszczędzać ani faworyzować.

Podczas podejścia Markus tylko raz przerwał milczenie:

– Odłamek, bez dwóch zdań. Tak jak mówiłaś. Nie kula śnieżna i nie świeca.

– Zgadza się – przytaknęła Dinah. Teraz i ona wyraźnie widziała kształt *Ymira* na ekranie tabletu.

W przeciwieństwie do zwykłych statków, przewożących paliwo w zbiornikach, *Ymir* sam w sobie był ogromną bryłą materiału pędnego – lodu – zarażoną pasożytem w postaci aparatury, której celem było przetwarzanie tegoż materiału na ciąg. Nie wiedząc dokładnie, co

zastanie na miejscu po dotarciu do komety Grigga-Skjellerupa, Sean przygotował kilka potencjalnych wariantów architektury nowego *Ymira*. Gdyby jądro kometarne okazało się luźną kulą lodowych drobinek, musiałyby wygarnąć potrzebną mu ilość surowca, ulepić zeń coś na kształt śnieżnej kuli i wstawić reaktor w sam jej środek. Inną możliwością było uformowanie z lodu podłużnego cylindra, umieszczenie reaktora na jednym jego końcu i „spalanie” lodu niczym świecy. To, co mieli w tej chwili przed sobą, najbardziej przypominało wariant trzeci, nazwany „odłamkiem”. Najwyraźniej po natknięciu się na komety Sean stwierdził, że w jej skład wchodzi co najmniej jeden lity, twarde krysztal lodu, który nie powinien się rozpaść podczas zaplanowanych manewrów. Odłupał ten lity blok od reszty jądra, po czym wbił swój statek (a ściśle rzecz biorąc, jego część załogową) w tę część odłamka, która miała stać się dziobem. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, wyzwalanie impulsów napędowych (uzyskiwanych poprzez wycofywanie moderatora z rdzenia, żeby ten mógł się nagrzać i stopić lód) sprowadzałoby się do komunikacji z wbudowanymi w reaktor serwomotorami prętów moderujących, zaworów sterujących przepływem wody i pary i tak dalej.

Wiązała się z tym cała masa zadań, które musiały zostać wykonane przez automaty – to dlatego Sean najpierw osobiście pofatygował się na Izzy i zgarnął roboty z warsztatu Dinah, a dopiero potem udał się na spotkanie z *Ymirem*. Trzeba było jakoś dostarczać lód do reaktora. Lód, jako ciało stałe, nie mógł po prostu spływać rurami; roboty musiały go wydobywać z odłamka i wprowadzać do systemu transportowego: zespół przenośników śrubowych dostarczał go do komory reaktora, gdzie następowało jego stopienie i wygotowanie. Żmijka mogła bardzo szybko wytwarzać znaczne ilości surowca: wbijała „ogon” w lód, a potem za pomocą świdra na „głowie” wytwarzała fontannę lodowych drzazg, odbieranych następnie i transportowanych dalej przez gzy. Długie przerwy pomiędzy impulsami wykorzystywano by na gromadzenie rozdrobnionego lodu w zasobnikach, skąd trafiałyby wprost do przenośników.

Roboty były również potrzebne po drugiej stronie, za silnikiem, żeby utrzymywać właściwy kształt dyszy wylotowej – wyrzetego w lodzie długiego tunelu, wąskiego w pobliżu reaktora i rozszerzającego się

w miarę zbliżania się do „rufy” odłamka. Wąska gardziel przy samym reaktorze została skonstruowana na Ziemi i razem z nim wyniesiona na orbitę. Wykonano ją z nierdzewnego stopu zwanego inconelem; żaden inny materiał nie wytrzymałby zbyt długo działania przepływającej przez niego wrzącej pary. W długim, rozszerzającym się dzwonie dyszy panowały już znacznie łagodniejsze warunki, dlatego bez większego ryzyka mógł on zostać po prostu wydrążony w lodzie – ale i tak zmieniał kształt podczas eksploatacji. Głębiej, bliżej początku, gorąca para nadtapiała dyszę i powiększała jej średnicę; w płytszych rejonach, przy wylocie, para stygła, skraplała się i zamarzała na ściankach, zawężając prześwit. Roboty musiały więc stale krzątać się w tunelu i dbać o jego kształt. Gzy, z którymi Larz eksperymentował w Seattle, znakomicie nadawały się do tego celu.

Była jeszcze trzecia robocia ekipa, złożona z automatów zamieszkujących zewnętrzną powierzchnię lodowego odłamka i usiłujących powstrzymać go przed rozpadem. W tym celu wzmacniały lód włóknem i oplatały go linami i siecią – trochę jak masarz, który owija sznurkiem pieczeń, żeby ta nie rozleciała mu się w piekarniku. Do tego zadania najlepiej nadawały się egzemplarze zgrimmowane (czyli zakute w stalowy pancerz), wśród których większość stanowiły krabochwyty.

Naturalnie wszystkie te roboty wymagały zasilania. Mogły zgromadzić trochę energii w akumulatorach, lecz akumulatory wymagały regularnego ładowania. Niektóre roboty czerpały energię ze światła słonecznego, ale inne musiały od czasu do czasu przespacerować się do któregoś z mniejszych generatorów jądrowych na *Ymirze* i zaczerpnąć trochę prądu.

Ostateczny efekt tych wszystkich uwarunkowań był taki, że *Ymir* nijak nie odpowiadał tradycyjnym wyobrażeniom statku kosmicznego – nie stanowił regularnej, symetrycznej konstrukcji i kojarzył się raczej z latającym robocim mrowiskiem wybudowanym na bazie jakiegoś naturalnego obiektu. Obciążące go z zewnątrz i od wewnątrz roboty miały pewne generalne wytyczne odnośnie do tego, czym powinny się zajmować, ale pewne decyzje mogły podejmować samodzielnie: co zrobić, żeby nie zderzyć się z kolegą po fachu, albo kiedy iść naładować akumulator.

Tak w każdym razie przedstawiały się ogólne założenia projektu, bo dopóki Sean nie wiedział, z czym będzie miał do czynienia, nie mógł opracować planu z prawdziwego zdarzenia. Zamiast planu miał narzędzia, zasoby i własną pomysłowość. Dinah, Markus, Wiaczesław i Jiro mieli wkrótce odziedziczyć po nim narzędzia i zasoby.

W miarę zbliżania się do *Ymira* inspektor terkotał coraz bardziej natarczywie, chociaż hałas narastał na tyle powoli, że umysły pasażerów nie do końca go rejestrowały. Jiro nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego poziomem promieniowania, Dinah nie bardzo jednak wiedziała, jak interpretować jego zachowanie. Wcześniej próbowała się od niego dowiedzieć, czego – mniej więcej – mogą się spodziewać.

– Jeżeli będzie bardzo źle, wszyscy po prostu stracimy przytomność i misja zakończy się fiaskiem – odparł. – Strumień promieniowania sparaliżuje nasz układ nerwowy, nasze zwieracze się rozluźnią, a my się nawet nie zorientujemy, co się dzieje.

– W takim razie – wytknął mu z niejakim rozdrażnieniem Markus – nie bardzo jest sens rozważać dalej ten scenariusz.

– Jeżeli wszyscy czworo się porzygamy – mówił dalej Jiro – a jedno, powiedzmy, dostanie biegunki, zostanie nam kilka godzin życia. Wtedy powinniśmy wysłać Izzy ostrzeżenie i zachęcić ich do wysłania kolejnej misji; może przed śmiercią zdołamy im przesłać jeszcze jakieś użyteczne informacje: dane z inspektora, zdjęcia i tym podobne.

– Rozumiem – powiedział Markus.

– Idźmy dalej: jeżeli porzyga się tylko jedno, to najprawdopodobniej umrze tylko połowa z nas, a więc będzie pewna szansa na pomyślne ukończenie misji. Jeżeli nikt nie będzie rzygał, to raczej nikt nie umrze. Przynajmniej nie przez najbliższe kilka tygodni.

– Dzięki – powiedziała Dinah i starała się zapomnieć o tej rozmowie.

Jednakże teraz, zbliżając się do *Ymira*, przypomniała ją sobie i próbowała sobie wmówić, że wcale nie czuje mdłości.

– Za około trzydziestu sekund przejście za dyszą – oznajmił Markus.

– Przyjąłem – powiedział Jiro. Wyłączył inspektora i otworzył okienko na ekranie tabletu. – Przechodzę na zewnętrzny spektrometr gamma.

Nagle *Ymir* wypełnił iluminator: był dokładnie na wprost przed nimi. Rozjarzona Ziemia, odległa o jedną trzecią miliona kilometrów,

„zachodziła” za czarnym horyzontem *Ymira*, gdy powoli się za niego wsuwali. Markus wprowadził ich na trajektorię przecinającą orbitę *Ymira*; mieli przejść poziomo za jego rufą.

Starsi krewni Dinah mogliby opisać kształt *Ymira* jako głowę cukru, czyli stożek ze ściętym czubkiem. Wprawdzie tę głowę cukru ktoś oblał wrzątkiem i w kilku miejscach podziurawił śrubokrętem, nadając jej dziobatą, nieregularną formę, ale nie ulegało wątpliwości, że ma dwa końce: grubszy i cieńszy, które dzieliło około pół kilometra. Grubszy koniec, który właśnie przemieszczał się w polu widzenia pasażerów *New Cairda*, miał około dwustu metrów średnicy. Ziała w nim ogromna okrągła dziura: wylot lodowej dyszy; *New Caird* swobodnie by się w nim zmieścił i mógłby przelecieć tunelem niemal do końca gardzieli, zanim zabrakłoby mu miejsca – i może zresztą tak właśnie później robi, jeśli nie będzie innego wyjścia, ale na razie miał tylko leniwie przelecieć w poprzek otworu. Krawędź dyszy rozmazywała się lekko na ekranie z powodu wyciekającego z niej obłoku rozrzedzonej pary, który bardziej niż spaliny z silnika raketowego przypominał oddech buchający z czyichś ust w mroźny dzień i raczej rozmiękczał widok, niż go przesłaniał. Ponieważ jednak w krajobrazie pustki kosmicznej dominowały intensywne czernie i biele, nie sposób było zajrzeć w głąb dyszy, nawet kiedy znaleźli się dokładnie pośrodku przepastnego otworu: widzieli przed sobą po prostu czarny dysk, jakby spoglądali w lufę karabinu. Na iluminatorze pojawiły się cienkie jak włos kreseczki szronu ze skondensowanej pary wodnej.

Jiro bez reszty skupił się na ekranie tabletu – przynajmniej dopóki nie pokonali połowy dystansu w poprzek dyszy, bo wtedy wyraźnie się odprężył i ponownie włączył inspietora: aparat hałasował znacznie głośniejsze niż wcześniej, lecz dźwięki uspokoiły się i przycichły, gdy minęli wylot dyszy i znaleźli się pod litą tylną powierzchnią głowy cukru. Markus pstryknął silnikami i ruszyli w przód względem *Ymira*; Ziemia „weszła” po jego drugiej stronie, a *New Caird* sunął wzdłuż lodowego odłamka ku jego węższemu końcowi.

– Jaki wyrok, Jiro? – zapytał Markus, zadowolony z dotychczasowego obrotu spraw.

– Sądząc po wskazaniach spektrometru, co najmniej jeden pręt paliwowy pękł; nie na samym początku misji, kiedy pręty były

nowiutkie, i nie pod sam jej koniec, kiedy z kolei były pełne produktów rozszczepienia, ale gdzieś pośrodku... Mogło być lepiej, mogło być gorzej.

Dinah coś sobie przypomniała.

– W jednej z ostatnich wiadomości Sean wspomniał, że leci z pełną prędkością.

Jiro wzruszył ramionami.

– W tym reaktorze jest tysiąc sześćset prętów paliwowych, pogrupowanych w zespoły po czterdzieści, tak że awaria jednego z nich nie powinna mieć mierzalnego wpływu na sprawność napędu. Nie zapominaj, że nawet pęknięty pręt nadal generuje energię; co najwyżej będzie pluł na wszystkie strony odłamkami, pchełkami i produktami rozpadu, które trafią do spalin. W takiej sytuacji należy się spodziewać mieszanki promieniowania alfa, beta i gamma i dokładnie coś takiego pokazuje inspektor.

Dinah nie była fizykiem jądrowym, ale wtłoczono jej do głowy dość ogólnej wiedzy na temat promieniowania, żeby rozumiała ogólny sens słów Jiro. Gamma to światło o wysokiej energii, przenikające prawie przez każdy materiał. Czyli była to zła wiadomość – i była dobra: trudno się przed nim osłonić, za to w większości przenika ludzkie ciało, nie wchodząc z nim w interakcję, a więc nie wyrządzając szkód. To właśnie promieniowanie gamma było przyczyną przeraźliwego jazgotu inspektora.

Promieniowanie beta to latające swobodnie elektrony, przed którymi z kolei całkiem łatwo się ochronić. I znów: dobra wiadomość, zła wiadomość. Do ich zatrzymania wystarczyła cienka warstewka wody lub plastiku, za to kiedy już weszły w kontakt z ciałem człowieka, na bank musiały w nim coś zepsuć.

I jeszcze promieniowanie alfa: jądra helu, cztery tysiące razy cięższe od cząstek beta i poruszające się z prędkościami relatywistycznymi. W przenikaniu przez materię były równie nieskuteczne jak kule armatnie, ale gdziekolwiek trafiły, dokonywały olbrzymich zniszczeń.

W celu wykrycia promieniowania innego niż gamma Jiro musiał się przełączyć na odbiór sygnałów z detektorów zainstalowanych na kadłubie, który dla cząstek alfa i beta był całkowicie nieprzenikliwy. Analizując energię różnych cząstek wpadających w te detektory, był

w stanie określić warunki panujące we wnętrzu reaktora.

Kiedy *Ymir* zniknął z iluminatora, Dinah skoncentrowała wzrok na porastających szkło okruchach szronu: już teraz błyskawicznie sublimowały, a za kilka minut miały całkowicie zniknąć. Wydawały jej się niezwykle piękne – dopóki Jiro nie zwrócił jej uwagi, że najprawdopodobniej są skażone.

– Szczątkowe beta? – spytała.

– Nie, dlaczego? Minęliśmy już wylot dyszy i strugę spalin... – odparł zaskoczony Jiro.

– Chodzi mi o to, czy podczas tego przelotu *New Caird* został skażony?

– Wskazania wróciły do poziomu tła, ale detektor „widzi” tylko te źródła promieniowania, które znajdują się po tej samej stronie kadłuba co on. Później trzeba będzie wykonać dokładniejsze pomiary.

– Popatrzcie – powiedział Markus i jednym impulsem silników manewrowych obrócił *New Cairda* o dziewięćdziesiąt stopni.

Lecieli teraz „bokiem”, zwróceni dziobem w stronę odległego o jakieś sto metrów *Ymira*, który nie mieścił się już w iluminatorze. Na jego węższym końcu (dziobie, gdyby potraktować cały odłamek jak statek kosmiczny) piętrzył się kopiec brudnego lodu. Widoczne na nim kruche konstrukcje dowodziły, że był dziełem ludzkich rąk: jakaś sieć strukturalna, jakieś stalowe liny, błysk drutu, który mógł być anteną radiową... Na razie nie potrafili jednak stwierdzić, gdzie można by przycumować.

– Musi być niezłe zagrzebany – zauważył Markus.

Nie musiał nikomu tłumaczyć, że ma na myśli moduł sterowniczy, czyli część *Ymira* zawierającą układ podtrzymywania życia. Do modułu musiał być dostęp przez złącze cumownicze, którego jednak nigdzie nie było widać. Wiedzieli (znając założenia planu Seana), że moduł miał zostać zakopany w lodzie, który chroniłby go przed promieniowaniem i meteorytami; spodziewali się, że może być zakopany dość głęboko.

Na tablecie Dinah uruchomiła okienko terminala – prościutki interfejs programisty wyświetlający linijki tekstu. Od dłuższego czasu terminal wyświetlał tylko migający kursor, ale teraz nagle ożył i zaczął się zapełniać tajemniczymi jednowierszowymi komunikatami.

– Mam nowe sygnatury botów – zameldowała Dinah.

Były to cyfrowe wizytówki robotów wysyłających swoje sygnały

w kosmos, żeby stwierdzić, kto – jeśli w ogóle ktoś – je słyszy. *New Caird* wiozł własny kontyngent robotów, ale znając ich sygnatury, Dinah automatycznie odfiltrowywała je z okna terminala. Jeśli więc pojawiały się w nim jakieś komunikaty, musiały pochodzić od robotów z *Ymira*.

Podobnie jak terkotanie inspektora, one również na przemian nasilały się i słabły.

– Co najmniej dwadzieścia... – dodała. – Odfiltruję gzy. – Gzy, jako zdecydowanie najliczniejsze, zdominowały ekranowy zapis. Wprowadziła odpowiednie polecenie. – I już wszystko jasne... Mamy nieźle rozwinięty rój gzów, a oprócz tego z pół tuzina krabochwyków i przynajmniej drugie tyle żmijek.

– Może ich nazwy coś nam podpowiedzą? – zasugerował Markus.

Każdy robot mógł mieć przydzielony niepowtarzalny identyfikator widoczny w jego sygnaturze. Standardowo rolę tę pełniły generowane automatycznie numery seryjne, które jednak można było ręcznie zmienić.

– Mam tu zgrimmowanego krabochwyta, który się nazywa CZEŚĆ SIEDZĘ DOKŁADNIE NA ZŁĄCZU CUMOWNICZYM. Wygląda obiecująco.

– Może kazać mu poświecić?

– Czekaście.

Dinah nawiązała kontakt z CZEŚĆ SIEDZĘ DOKŁADNIE NA ZŁĄCZU CUMOWNICZYM, szybko sprawdziła jego stan i poleciła mu włączyć migającą diodę LED do odwołania. Nie zdążyła nawet podnieść wzroku znad ekranu, gdy po ściszonych okrzykach reszty załogi zorientowała się, że sztuczka się udała.

– Widzę go wyraźnie – powiedział Markus.

Skorygował kurs; silniki zareagowały serią trzasków i stuknięć i *New Caird* zrównał się z *Ymirem*. Od migającego diodą krabochwyta dzieliło ich najwyżej pięć metrów: tkwił zakotwiczony na powierzchni lodu w rejonie względnie wolnym od czarnego paskudztwa.

– Może poświecić na lód? – poprosił Markus. – Najlepiej światłem ciągłym, bez mrugania.

Diody LED krabochwyta były osadzone na węzowych wypustkach, które dawało się dowolnie wyginać. Dinah wygięła je więc w pożądany sposób, a kiedy ponownie wyjrzała przez iluminator, sylwetkę robota okalała biała aureola odbitego światła lamp wycelowanych prosto w lód.

W samym środku tej srebrzystej chmury wyraźnie rysował się biały dysk. Warstwa lodu trochę zniekształcała jego obraz, ale wszyscy rozpoznali złącze cumownicze pogrzebane pod co najmniej metrową przezroczystą skorupą.

– Ma ktoś czekan? – zapytał Jiro.

Żarty nie były w jego stylu, ale w tej chwili Dinah była wdzięczna za odrobinę humoru z dowolnego źródła.

– Sława? – odezwał się Markus. – Teraz ty. Dinah, możesz mu pomóc: sprowadź tu więcej robotów.

Wprowadziwszy stosunkowo proste polecenie (które sprowadzało się do czegoś takiego: „Znajdź sposób, żeby podejść jak najbliżej do CZEŚĆ SIEDZĘ DOKŁADNIE NA ZŁĄCZU CUMOWNICZYM, ale nie zawracaj mi głowy szczegółami”), Dinah przywołała wszystkie znajdujące się w zasięgu krabochwyty i zmijki. Zanim Wiaczesław włożył skafander próżniowy, robotów zebrało się dość, by mogła z nich utworzyć prowizoryczną konstrukcję, która wyciągnęła się na spotkanie *New Cairda* i złapała go najpierw w jednym punkcie, a potem jeszcze w dwóch kolejnych. Tym sposobem, mimo braku możliwości przycumowania do *Ymira*, zostali z nim trwale połączeni i nie musieli się obawiać, że przypadkiem zdryfują w dal.

Inne roboty (wśród nich CZEŚĆ) zajęły się tymczasem drażeniem otworu w lodzie „w dół”, w kierunku zagrzebanego w nim złącza. Wiaczesław wyszedł przez śluzę *New Cairda*, po zbudowanej z robotów drabince zsunął się na powierzchnię *Ymira* i skierował się w stronę złącza. Ciężenie na powierzchni było prawie żadne i Wiaczesław „ważył” około pół grama, toteż przy zbyt gwałtownym kontakcie z powierzchnią ryzykowałby, że się od niej odbije i pofrunie w kosmos – dlatego, zamiast normalnie iść, musiał korzystać z jakichś zakotwiczonych w lodzie uchwyty. Dinah podesłała mu dwa swoje krabochwyty: były przystosowane do poruszania się po lodzie i mogły się do niego przytwierdzać poprzez szybkie roztopianie go i ponowne zamrażanie wokół własnych łap. Wystarczyło więc, żeby Wiaczesław podązał ich śladem i po prostu się ich łapał. Dotarwszy do skraju otworu, wbił w lód kotwy i przytwierdził się do nich karabinkami – a wtedy mógł znacznie przyspieszyć starania robotów, wygarniając więcej lodu i czyniąc to szybciej niż one swoimi małymi łapami.

Nie wiedząc, czego się spodziewać, przywieźli ze sobą mały arsenał prowizorycznych narzędzi górniczych. Znalazł się wśród nich także szpadel marki Craftsman, który w tajemniczy sposób zawędrował w kosmos ze sklepu Sears, Roebuck w centrum handlowym na Starej Ziemi. Sława zaprzął go teraz do pracy.

Markus zajął się wysłaniem raportu dla Arki w Chmurze, a Jiro klepał w klawiaturę nieco zbyt intensywnie jak na człowieka, który po prostu robi notatki: komunikował się z kimś lub – co bardziej prawdopodobne – z czymś. Dinah kusiło, żeby zapytać, co to takiego, ale sensowna odpowiedź sama się narzucała: Jiro nawiązał kontakt z komputerem sterującym rdzeniem reaktora.

Markus musiał dojść do tych samych wniosków, bo zapytał:

– Jiro? Jakie wieści z trzewi bestii?

– To żyje – odparł Jiro; trudno powiedzieć, czy był to z jego strony po prostu niezręczny dobór słów, czy też drugi z rzędu żart. – Próbuję coś wyrozumieć z logów; mnóstwo w nich powtórzeń.

– Komunikaty o błędach? – podsunął Markus najbardziej oczywiste wyjaśnienie.

– Nie do końca... Raczej komunikaty robotów. Raporty stanu.

Dinah przesunęła się o jedno miejsce i zerknęła na ekran Jiro. Nie wiedziała, co dokładnie się dzieje, ale jej domniemania zgadzały się z domysłami Jiro. Mnóstwo robotów wykonywało różne warianty niewielkiego zbioru zaprogramowanych zachowań, od czasu do czasu generując raporty (oraz, a jakże, komunikaty o błędach), którymi zapełniły log tak długi, że żaden człowiek by go nie przeczytał; później trzeba będzie napisać skrypt, który przeszuka całość, zbierze statystyki i poszuka jakichś prawidłowości.

– Możesz przewinąć na samą górę? – poprosiła Dinah. Interesowały ją data i czas pierwszego wpisu.

– Już to sprawdziłem – odparł Jiro. – Mniej więcej takie same jak ostatniej transmisji Seana.

A zatem Sean, wiedząc, że znalazł się o krok od śmierci, przykazał robotom coś zrobić i powtarzać to w kółko, dopóki ktoś nie każe im przestać. Ponieważ na zewnętrznej powierzchni odłamka panował względny spokój, ich aktywność musiała się koncentrować gdzieś w głębi.

– Pewnie wydobywają paliwo – domyśliła się Dinah. Zanim Jiro zdążył zareagować, poprawiła się: – Chciałam powiedzieć: materiał pędny.

Wiaczesław odsłonił złącze cumownicze. Połączenie pracy silników, pchnięć i szturchnięć ze strony robotów oraz siły Wiaczesława, który po prostu złapał *New Cairda* i nim pokierował, pozwoliło wprowadzić „frontowe” złącze cumownicze w głąb wydrążonego przez Rosjanina i roboty krateru i sprząc je ze złączem modułu sterowniczego *Ymira*.

Sława wrócił do *New Cairda* przez boczną śluzę; słysząc przenoszone przez kadłub dźwięki, pozostali pasażerowie śledzili jego ruchy, gdy wślizgiwał się do śluzy, zamykał jej zewnętrzny włącznik i uruchamiał układ napełniający ją powietrzem.

Przez ten czas Markusowi udało się nawiązać kontakt z komputerami po drugiej stronie złącza i potwierdzić, że moduł sterowniczy *Ymira* zawiera powietrze zdatne do oddychania oraz inne udogodnienia. Było w nim jednak piekielnie zimno, około dwudziestu stopni poniżej zera.

– Sean wyświadczył nam uprzejmość – wyjaśnił Markus. – Przed śmiercią skreślił termostat. Jego ciało będzie zamrożone na kość.

Ymir nie mógł bowiem narzekać na brak zasilania – generatory atomowe działały bez zarzutu, podobnie jak wszystkie układy elektryczne.

Markus wprowadził komendę przywracającą normalne warunki w *Ymirze*, zahermetyzował wąziutką przestrzeń dzielącą włazy obu statków, po czym otworzył ten od strony *New Cairda*.

Zobaczyli lekko wypukłą zewnętrzną powierzchnię włazu prowadzącego do modułu sterowniczego *Ymira*. Ktoś napisał coś na niej flamastrem: narysował trójlistny symbol zagrożenia promieniowaniem, poniżej wypisał greckie litery alfa, beta i gamma, a na koniec – w przypływie czarnego humoru – niezdarnie dorysował czaszkę i skrzyżowane piszczele.

Markus pierwszy się otrząsnął. Wyplątał się z fotela pilota, odepchnął i przefrunął na rufę, w stronę śluzy. Wcisnął wirtualny guzik na ekranie i zablokował wewnętrzny włącznik: nie zamierzał wpuścić Wiaczesława do środka.

Poprawił podczepiony do słuchawek mikrofon.

– Sława? Słyszysz mnie? W porządku. Słuchaj: mamy skażenie. Mogłeś nazbierać jakiegoś świństwa na skafander. Zanim wejdiesz do

środka, chciałbym, żebyś przemieścił się do zewnętrznego detektora; zobaczymy, czy coś wykaże.

Jiro przeskanował już właz inspektorem – na szczęście bez rezultatu.

Usłyszeli syk powietrza, dźwięk otwieranej śluzy i Wiaczesław wygramolił się na zewnątrz. Przytrzymując się uchwyty na kadłubie, przeszedł do miejsca, w którym był zamontowany zewnętrzny spektrometr gamma, po czym przez kilka minut obracał się przed nim na wszystkie strony, podsuwając pod detektor zwłaszcza rękawice, kolana i buty – czyli wszystko to, co miało bezpośredni kontakt z lodem. Kiedy nie odnotowano żadnych oznak radioaktywności, otrzymał pozwolenie na powrót do śluzy i wejście na pokład.

Zabrali ze sobą z Izzy ciepłą odzież – wydawało się to rozsądne, skoro wybierali się na wycieczkę na wielką lodową kulę. Jiro włożył teraz kurtkę. Dinah sięgnęła po worek z ekwipunkiem, w którym trzymała swoje ubrania, ale Markus powstrzymał ją gestem. Zauważyła, że on również nie zamierza się stroić. Jiro miał iść sam.

– Podkrećę ciśnienie po naszej stronie – zapowiedział Markus, majstrując przy interfejsie ekranowym.

Dinah poczuła napór powietrza na bębniuszki. Markus nie musiał nikomu tłumaczyć, co zamierza: lepiej, żeby czyste powietrze z *New Cairda* rozeszło się po *Ymirze*, niż żeby potencjalnie skażone powietrze z *Ymira* popłynęło w przeciwną stronę.

Jiro naciągnął jednorazowy kombinezon ochronny na swój zimowy strój – takie kombinezony również zabrali ze sobą, ponieważ byli przygotowani na to, że *Ymir* mógł zostać skażony. Zawiesił sobie inspektora na szyi, a Dinah podała mu jeszcze maskę tlenową, żeby nie wciągał do płuc radioaktywnego pyłu; nałożył ją na kaptur i sprawdził, czy szczelnie przylega do twarzy, a potem odwrócił się, wcisnął w przestrzeń pomiędzy statkami i odblokował zewnętrzną zasuwkę na włazie *Ymira*. Szarpnęło nim lekko, gdy nadciśnienie po stronie *New Cairda* pchnęło i otworzyło właz. Jiro przepłynął do modułu sterowniczego i odwrócił się w taki sposób, żeby stopami celować w „podłogę”. Markus zamknął za nim właz.

Przez ten czas Wiaczesław wyszedł ze śluzy i wraz z Markusem i Dinah wsłuchiwał się już w rozbrzmiewający w słuchawkach oddech Jiro.

– Sean wykrwawił się na śmierć – obwieścił Jiro.

* * *

Moduł sterowniczy *Ymira* miał rozmiary miniarki. Oczywiście stwierdzenie to było prawdziwe w odniesieniu do niemal wszystkich obiektów znajdujących się w tej chwili na orbicie, ponieważ miniarka była największym obiektem dającym się wynieść w kosmos na pokładzie ciężkiej rakiety nośnej. Część miniarek została skonfigurowana w postaci „tunelu”: miały poziomą orientację, jak cysterny kolejowe, i litą płaską podłogę rozciągającą się od jednego końca do drugiego. Rozwiązanie to sprawdzało się, gdy potrzebna była duża otwarta przestrzeń, nie pozwalało jednak w sposób optymalny wykorzystać całej dostępnej kubatury. *Ymir* i *New Caird* miały konfigurację typu „silos”, czyli orientację pionową i wewnątrz podzielone podestami na kilka okrągłych kondygnacji (zazwyczaj cztery do pięciu) połączonych drabinką. Każda kondygnacja miała około czterech metrów średnicy – takie pomieszczenie mogłoby uchodzić za całkiem spore jak na standardy lotów kosmicznych, najczęściej jednak było dodatkowo podzielone na kilka mniejszych.

Ymir był pięciokondygnacyjnym silosem, co w praktyce oznaczało nisko sklepione wnętrza, dość klaustrofobiczne, zważywszy że miały służyć pasażerom w trakcie trwającego dwa lata rejsu. Pierwszy poziom, na który wszedł Jiro – znajdujący się najbliżej zewnętrznej powierzchni i najbardziej narażony na promieniowanie i uderzenia bolidów – stanowił jedno duże pomieszczenie. Według planów powinien znaleźć się w nim magazyn żywności, kaset do skrubarów, części zamiennych do robotów oraz narzędzi.

Po paru minutach Jiro udało się uruchomić transmisję z umieszczonej na głowie kamery i wszyscy już mogli śledzić przekazywany przez nią obraz na tabletach.

Zamrożone zwłoki Seana Probsty unosiły się w powietrzu, zamknięte w śpiworze przytwierdzonym plastikowymi obejmami do sufitu. Porowaty materiał znaczyły ciemnobrunatne plamy; był prawie cały przesiąknięty krwią.

O ciało obijał się staroświecki licznik Geigera przypięty kolejną plastikową obejmą. Tym samym flamastrem, którego użyto do opisania włazu, ktoś napisał na obudowie licznika: ZEPSUTY.

Obmierzywszy inspektorem zwłoki Seana i całą kondygnację, Jiro zsunął się po drabince na „niższy” poziom. Terkot inspektora narastał miarowo.

– Wyłączy ten cholerny dźwięk! – powiedział Markus.

Urządzenie umilkło. Jiro nadal mógł śledzić poziom promieniowania na ekraniku, ale nikt już nie musiał słuchać inspektora.

Tę kondygnację – otwartą przestrzeń z szafkami pod ścianą – przeznaczono na jadalnię, pokój konferencyjny i salę odpraw w jednym. Na trzecim (środkowym) poziomie wydzielono sypialnie, toalety i prysznice, a na czwartym mieściły się laboratorium i warsztat, płynnie przelewające się na poziom piąty i ostatni.

– Zimno tu – powiedział Jiro, dotarłszy na sam dół. – I nagły wzrost beta.

– Mhm... – mruknął Markus. – Czyli tam musi być źródło skażenia. Na najniższym poziomie.

Jiro szybko znalazł przyczynę nagłego ochłodzenia: ktoś zostawił otwarte drzwi. W środku podłogi była kłapa mogąca pomieścić człowieka w skafandrze kosmicznym, w tej chwili otwarta i prowadząca w głąb wykutej w lodzie sztolni, która na całej długości była oświetlona białymi diodami LED.

– To dość niezwykle – zauważył Markus.

Jiro zszedł do tunelu głową naprzód i zaczął się weń zagłębiać, przeciągając się na opatrzonej węzłami linie, przymocowanej do ściany za pomocą lodowych kotw. Z początku poruszał się ostrożnie, później coraz szybciej.

– Na drugim końcu widzę właz – zameldował. – Będzie jakieś... sto metrów.

– Promieniowanie? – spytał Markus.

– Niewielkie. Nie wydaje mi się, żeby to stąd przyszło skażenie.

Właz na końcu tunelu został przyozdobiony lepiej wykonaną kopią symbolu zagrożenia promieniowaniem. Wszyscy wiedzieli, co znajduje się po drugiej stronie: mały hermetyczny moduł mający bezpośrednie połączenie z bebeczami reaktora. Zamiast wchodzić do środka, Jiro

postanowił zawrócić i się wycofać, gdy wtem określił się gwałtownie w miejscu i poświecił latarką na ścianę tunelu: w lodzie tkwił jakiś podłużny, smukły przedmiot.

Dwa podłużne, smukłe przedmioty.

Dwa ludzkie ciała. Dinah zaparło dech w piersi, gdy rozpoznała rudoblond czuprynę Larza.

Bez słowa komentarza Jiro wrócił „na górę”, na dolny poziom modułu sterowniczego, gdzie zainteresowała go szafka stojąca najbliżej wjazdu. Była otwarta i wysypały się z niej narzędzia górnicze i elementy skafandrów – część sypniała w powietrzu w pobliżu szafki, część rozplynęła się po całym pomieszczeniu, popychana przypadkowymi zawirowaniami powietrza.

– Jiro? – odezwał się Markus. – Mów.

– Silne beta – odparł Jiro. – To jest źródło skażenia.

Cofnął się do jadalni, wyjął z szafki worek na śmieci, po czym wrócił na najniższą kondygnację i zaczął przeglądać narzędzia i fragmenty odzieży, podsuwając każde z nich po kolei pod detektor inspektora. Od czasu do czasu krzywił się na widok wyników na ekranie i wpychał wybrany przedmiot do worka.

Dinah, Markus i Wiaczesław przez godzinę czekali w *New Cairdzie*, udając, że pracują na swoich tabletach. W końcu Jiro znów się odezwał:

– Przygotujcie się do wyrzucenia czegoś przez śluzę! – zawołał.

Dopiero po chwili dotarł do nich sens jego słów. *New Caird* i moduł sterowniczy *Ymira* tworzyły w tej chwili układ zamknięty. Zważywszy że *Ymir* był całkowicie skuty lodem, jedynym sposobem na wyrzucenie radioaktywnego śmiecia było wystawienie go na zewnątrz przez śluzę *New Cairda*.

Rozległ się stłumiony łoskot. Dinah podpłynęła do wjazdu, otworzyła go i powitała ją worek na śmieci wypchany do rozmiarów piłki plażowej i oklejony przylepcem. Szturchnięty przez Jiro wpadł na pokład *New Cairda*. Dinah przepchnęła go do Markusa, który przechwycił go i skierował do bocznej śluzy. Wiaczesław zatrzasnął za nim wąż, a potem wszyscy usłyszeli syk sygnalizujący otwarcie śluzy. Pakunek podryfował w kosmos.

Przez złącze cumownicze przeszła najpierw głowa, a następnie reszta Jiro. Wcześniej zdjął zewnętrzny skafander i maskę tlenową

i najpewniej też wepchnął je do worka na śmieci. Był spocony i wyczerpany.

– Jak za dawnych czasów, co, stary druhu? – powitał go Markus, nawiązując do okresu w karierze Jiro, gdy wchodził w skład ekipy uprzątającej Fukushima.

– Nie tęsknię za tym – odparł Jiro.

W module sterowniczym *Ymira* zrobiło się ciepło i kurtki przestały im być potrzebne, wszyscy jednak przed wyjściem wkładali jednorazowe kombinezony, które następnie zrzucali przed powrotem na *New Cairda*. Jak to ujął Jiro, skażenie było „podstępne”. Emitujący promieniowanie beta mikroskopijny okruch rozszczepialny mógł się ukryć przed okiem inspektora praktycznie za dowolną przeszkodą, a takowych na pokładzie *Ymira* nie brakowało. Dlatego przeprowadzone przez Jiro wstępne pomiary nie gwarantowały bynajmniej, że gdzieś po kątach nie chowają się jakieś plujące elektronami odłamki. Gdyby któryś z nich trafił do płuc lub przewodu pokarmowego, skutki jego oddziaływania najprawdopodobniej byłyby śmiertelne. Jiro odnalazł jednak na najniższej kondygnacji silnie skażoną rękawicę od skafandra; inne, mniej skażone drobiazgi, razem z rękawicą trafiły do worka i wyfrunęły przez służę. Przy odrobinie szczęścia pozbyli się w ten sposób wszystkich groźnych źródeł skażenia.

* * *

Zanim ciało Seana zdążyło odtajać, Wiaczesław odpiął je od sufitu. Nie był biologiem z wykształcenia, ale znał się po trochu na wszystkim. Zakutany w kurtkę i skafander kosmiczny rozciął śpiwór; Jiro stał nad nim z inspektorem w ręce. Sława przeprowadził pobieżne badanie zwłok, po czym z powrotem zamknął je w śpiworze, wykierował na niższy poziom i przez otwór w podłodze pchnął w głąb lodowego tunelu. Następnie przeciągnął je tunelem aż do samego końca, gdzie w lodzie spoczywały już zwłoki Larza i trzeciego członka załogi. Oparł ciało Seana o ścianę i tak je zostawił.

Kiedy szykowali się do posiłku w jadalni, trochę popsuł im apetyt, relacjonując wnioski ze swoich oględzin.

– Sean wykrwawił się na śmierć przez odbyt – powiedział. – Nastąpiło pęknięcie jelita.

– Przez jego brzuch łapałem lekki odczyt beta – dodał Jiro. – Poza tym Sean był okropnie wymizerowany.

– Co to znaczy? – zainteresował się Markus.

– Połknął okruch paliwa, najprawdopodobniej luźną pchełkę, która jakimś sposobem trafiła na pokład.

– Pchełkę?

Jiro nie pierwszy raz posłużył się tym określeniem, którego nikt poza nim nie rozumiał. Wpadało jednym uchem i wypadało drugim, ot, jeszcze jeden element technicznego żargonu tak rozpowszechnionego na Izzy. Skoro jednak okazało się, że pchełki mogą zabijać, należało się czegoś o nich dowiedzieć.

– Drobinka uranu albo plutonu, która oderwała się od uszkodzonego pręta paliwowego. Wypromieniowuje cząstki alfa i na skutek działania zasady zachowania pędu fruwa tu i tam po całym pomieszczeniu. Skacze jak pchła. Ale najważniejsze jest w niej to, że jest malutka i emituje silne alfa. Ta akurat utknęła w załomie jelita, przepaliła jego ściankę i spowodowała niemożliwy do zatamowania krwotok.

Wszyscy odsunęli talerze.

– No dobrze – odezwał się Markus – zjemy na *New Cairdzie*.

Po posiłku Markus kazał się wszystkim przespać, ponieważ czekało ich kilka pracowitych dni. Jiro zgłosił się na ochotnika na pierwszą wachtę i kiedy pozostali poszli spać, ślęczał nad logami i notatnikami, klejąc z nich obraz rejsu *Ymira*.

Nagle zrobiło się mnóstwo miejsca. Dinah miała ochotę zaszyć się na samym koniuszku *New Cairda*, ale Markus nalegał, żeby wszyscy spali w module *Ymira*: nawet jeśli *New Caird* był wolny od skażenia radioaktywnego, pozostawał wystawiony na tradycyjne kosmiczne zagrożenia. Jedno trafienie meteorytu zabiłoby ich wszystkich, a wciągnięta do płuc cząstka emitująca promieniowanie beta potrzebowałaby kilku dni lub tygodni, żeby unieszkodliwić ofiarę, która przez te kilka dni lub tygodni mogła wykonywać użyteczną pracę.

Wiaczesław wylądował więc na jednej z koi w przedziale załogowym *Ymira*, a na drugiej ścisnęli się Dinah z Markusem. Ku niejakiemu zdumieniu Dinah udało im się nawet odbyć stosunek, co od czasu

Białego Nieba zdarzyło im się tylko raz. Choć było to raczej dyskretne, ukradkowe bzykanko, a nie ostry atletyczny seks jak przy pierwszych kilku okazjach – w dawnych dobrych czasach, gdy Kamienny Deszcz był odległą perspektywą, a Arka w Chmurze wciąż jeszcze przypominała kolonię naukową na odludziu. *Ymir*, w tej chwili oddzielony od reszty rodzaju ludzkiego milionami kilometrów odległości i tysiącami metrów na sekundę delta V, miał w sobie coś z tej dawnej Arki w Chmurze i mimo upiornych scen, jakimi ich powitał, przypadł Dinah do gustu. Stanowił taki kosmiczny odpowiednik jednej z osad górniczych Rufusa. Nie miała ochoty wracać.

Ponieważ jednak mieli ocalić ludzkość, a nie bawić się na egzotycznych wakacjach, spróbowała się zdrzemnąć. Kiedy pięć godzin później zadzwonił budzik Markusa, wysliznęła się ze śpiwora, w którym spali, postarała się w miarę możliwości obmyć i włożyła czyste ubranie. *Ymir* od dawna był śmierdzącym gniazdkiem kawalerskim, w którym brakowało przyborów toaletowych – oraz, jak się przekonali, bobrując w jadalni, żywności. Seana z całą pewnością zabiła pchełka paliwowa w brzuchu, ale wcześniej osłabiło go niedożywienie, a nawet niedobór tlenu; układ odpowiedzialny za odnawianie zasobów powietrza na *Ymirze* był bowiem w kiepskim stanie. Nowo przybyłych aż dwukrotnie budził sygnał alarmowy z układu podtrzymywania życia, dopóki Jiro nie uciszył go i nie uporał się z problemem.

Kiedy wszyscy wstali i zasiedli do posiłku z zabranych ze stacji zapasów, Jiro przedstawił im nowiny.

– Opowiem wam, co się wydarzyło podczas ich ekspedycji – zaczął, po czym przedstawił historię poskładaną z zapisków pozostawionych przez umarłych.

Za awarię radionadajnika, do której doszło wkrótce po rozpoczęciu misji, odpowiedzialny był niesprawny element, dla którego nie zabrali zamiennika: zwykłe głupie przeoczenie. Najdłuższy etap podróży – półtoraroczny lot z bramy L1 na spotkanie z kometą Grigga-Skjellerupa – składał się z długich okresów nudy przerywanych wybuchami paniki, których najczęstszą przyczyną były problemy z układem podtrzymywania życia. Kłopoty wiązały się z wykorzystywaniem światła słonecznego przy hodowli glonów. Proces ten, który w laboratorium przebiegał bez zarzutów, okazał się nadzwyczaj

zawodny w praktyce. Najnowsze miniarki korzystały z doświadczeń w tej dziedzinie gromadzonych od Dnia Zero, tymczasem *Ymir* – zbudowany i wystrzelony bardzo wcześnie – był skazany na rozwiązania, które dziś wydawały się żałośnie przestarzałe.

Po dotarciu do Grega Szkieletora uzyskali dostęp do ogromnych ilości H₂O, z której w drodze elektrolizy mogli pozyskiwać tlen, co znacząco poprawiło jakość ich życia – ale do tego czasu byli skazani na życie w napięciu i niedotlenieniu. Próbując ograniczyć do minimum zużycie żywności i powietrza, unosili się w nieważkości, zakutani w śpiwory, i w kółko oglądali te same filmy na DVD. Ucierpiało na tym ich zdrowie fizyczne i psychiczne.

Lodowy odłamek oddzielili od jądra kometarnego za pomocą małych ładunków górniczych; część z nich rozmieścili ręcznie, część rozlokowały zaprogramowane przez Larza roboty. Moduł sterowniczy wbili głęboko w dziób odłamka, skutecznie zabezpieczając się przez promieniowaniem i bolidami po raz pierwszy od chwili wyruszenia w drogę. Warunki życia znacząco się poprawiły i uczestnicy misji rozpoczęli drążenie tunelu serwisowego do reaktora; sam reaktor wstawili w rufową część odłamka i odczekali, aż samoczynnie wtopi się w głąb lodu. Wokół niego, w samym sercu odłupanej bryły, wydrążyli pustą przestrzeń i zaczęli budować lodowe zasobniki: pojemniki na wyprodukowany przez roboty górnicze urobek. Dwanaście przenośników śrubowych – długich spiralnych transporterów wykutych z lodu i przypominających transportery ziarna do elewatorów – miało przenosić urobek z zasobników w przestrzeń okalającą reaktor, którego ciepło topiło lód. Przez ten czas osobne ekipy robotów pracowały na powierzchni: po kawałku nadtapiały lód, mieszały go z dostarczonym przez *Ymira* włóknem i pozwalały mu samoczynnie stężeć. W ten sposób powstawał nowy, znacznie trwalszy materiał zwany pikrytem.

Steampunkowy układ napędowy zadziałał zgodnie z planem (choć wymagało to intensywnego kombinowania) już przy pierwszym impulsie, który pchnął ich na kurs powrotny w stronę L1. Pojawiły się jednak kłopoty z przenośnikami śrubowymi dostarczającymi lód do komory reaktora. Przenośniki odbierały ładunek bezpośrednio z zasobników, które napełniano lodem z wnętrza odłamka. Roboty odpowiedzialne za wydobycie lodu spełniały więc rolę absolutnie

kluczową, bo bez dostarczanych przez nie okruchów (ogryzały lodową bryłę jak mrówki głowę cukru) cały mechanizm by stanął – i one same działały bez zarzutu. Problem polegał na tym, że w lodowych strużynach trafiały się czasem drobne kamyki, na których przenośniki się zacinały. Czasem udawało się je odblokować poprzez krótkotrwałe odwrócenie kierunku pracy, ale zdarzało się i tak, że do wyłuskania kamienia z mechanizmu niezbędna była interwencja robota albo nawet człowieka w skafandrze próżniowym. I właśnie wypadek z przenośnikiem stał się przyczyną śmierci jednego z członków załogi.

W czasie długich miesięcy, jakie upłynęły pomiędzy tamtym pierwszym impulsem napędu i przybyciem do punktu L1, Larz usiłował przeprogramować roboty w taki sposób, żeby nie dostarczały do zasobników lodu z kamieniami. Przeprowadzono liczne eksperymenty, żeby upewnić się, że pierwotne problemy nie powtórzą się przy okazji drugiego – ważniejszego – uruchomienia silnika: od zakrojonych na małą skalę testów na pojedynczych robotach, aż po regularne próby generalne, podczas których uruchamiano cały system i reaktor generował kilka minut ciągu.

Podczas jednej z pierwszych takich prób coś się zepsuło w rdzeniu reaktora i powłoka jednego z prętów paliwowych uległa uszkodzeniu. Jiro nie miał pojęcia, na czym dokładnie polegała awaria. W reaktorze *Ymira* w charakterze moderatora zastosowano wodę ze stopionego kometarnego lodu. W inżynierii nuklearnej moderatorem nazywa się substancję spowalniającą neutrony wyrzucane z reaktora w reakcji rozpadu promieniotwórczego. Po spowolnieniu neutronu znacząco wzrasta prawdopodobieństwo wywołania przez niego kolejnej reakcji rozpadu, a przy braku moderatora większość neutronów bezużytecznie wymyka się z układu.

Wąziutka strefa aktywności pomiędzy całkowitą beczynnością i atomowym piekłem stanowiła normalny, bezpieczny zakres pracy dla większości komercyjnych reaktorów jądrowych. Główny problem z reaktorem *Ymira* polegał na tym, że jego moderator – jako substancja naturalna – był zanieczyszczony i nieprzewidywalny. Woda, która napłynęła do komory reaktora podczas pierwszej próby generalnej, została wytopiona z lodu kilka miesięcy wcześniej, mniej więcej w czasie pierwszego impulsu napędu, i od tamtej pory tkwiła w układzie

hydraulicznym, gdzie stykała się ze żwirem i kamyczkami, które zdołały się przecisnąć przez przenośniki śrubowe. Wypłukawszy z nich różne minerały, przestała być po prostu czystą wodą. Kiedy uruchomiono reaktor i pompy ruszyły, filtry odcedziły drobiny piasku i kamieni, nie usunęły jednak zanieczyszczeń natury chemicznej, woda nie spełniała przewidzianej dla niej roli moderatora i reaktor nie chciał się rozhulać; z perspektywy czasu można było stwierdzić, że na skutek zalegających w wodzie zanieczyszczeń gospodarka neutronami w reaktorze została zaburzona. Niezadowolona z powolnego rozruchu obsługa ograniczyła ilość moderatora bardziej, niż było to konieczne – ale po pierwszej fali brudnej wody następne porcje, pochodzące ze świeżo roztopionego lodu, były już względnie czyste. Nastąpił gwałtowny skok mocy reaktora i skokowy wzrost stężenia produktów rozpadu wewnątrz prętów paliwowych. Niektóre z tych produktów – tak jak krypton czy argon – miały postać gazów. Gazy wytworzyły ciśnienie. Pręty paliwowe konstruowano w taki sposób, by potrafiły takie ciśnienie znieść, ale jeden z nich nie wytrzymał i pękł – być może wyszedł z fabryki w idealnym stanie, lecz później został uszkodzony przez nanometeoryt, po którego przejściu pozostał mikroskopijny ślad. Tak czy inaczej, z jakiegoś powodu pękł i zaczął siać na wszystkie strony silnie radioaktywnymi produktami rozpadu, które zmieszały się z wyrzucaną przez dyszę parą wodną.

Tym sposobem większość radioaktywnych odpadów została wystrzelona w kosmos. Sęk w tym, że istotą działania dyszy raketowej było przetworzenie energii cieplnej gazów na ciąg; im szybciej para wylatywała z dyszy, tym bardziej się oziębiała, aż przy samym wylocie schładzała się do tego stopnia, że zaczynała się krystalizować w postaci śniegu. Drobinki radioaktywnego paliwa stanowiły idealne jądra kondensacyjne, wokół których mogły się formować płatki śniegu. Część tego śniegu osiadała na lodowych ścianach dyszy.

Najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie późniejszych wypadków było takie, że jeden z robotów zajmujących się konserwacją dyszy został skażony mieszkanką pchełek paliwowych emitujących cząstki alfa i beta, po czym przeniósł materiał promieniotwórczy w miejsce, z którego następnie trafił na rękawicę skafandra – ten mechanizm mógł być wprost banalny: astronauta strząsnął ręką odrobinę śniegu

z manipulatora krabochwyta albo postawił stopę w miejscu, gdzie wcześniej stąpnął skażony robocik. Gdy astronauta wrócił ze spaceru kosmicznego, skażenie przeniosło się do wnętrza modułu sterowniczego; załoga mogła nawet nie wiedzieć o uszkodzeniu pręta paliwowego, nie miała więc powodu obawiać się skażenia – albo, jak sugerował Sean w swojej wiadomości, liczniki Geigera po prostu się popsuły i nie było jak badać poziomu promieniowania. Tak czy inaczej, radioaktywne cząstki zostały zawleczone do przedziału załogowego i bez względu na to, czy zostały następnie wciągnięte z powietrzem do płuc, czy połknięte w jedzeniu, nie mogły nie zaszkodzić członkom załogi.

Dobra wiadomość – jeśli w ogóle można było tak powiedzieć – była taka, że reaktor i silnik działały. Wprowadzone przez Larza ulepszenia w oprogramowaniu robotów doprowadziły do ograniczenia ilości żwiru w zasobnikach i liczby awarii przenośników podczas manewru w punkcie L1. Uszkodzenie pręta paliwowego byłoby katastrofą wedle standardów obowiązujących na Starej Ziemi – gdyby zdarzyło się w reaktorze na niej zainstalowanym. Tutaj, w kosmosie, było wydarzeniem przykrym, dla kilku osób śmiertelnym w skutkach, ale wszystko, co miało działać, w dalszym ciągu działało. Owszem, zanosilo się na to, że *New Caird* spowoduje katastrofę nuklearną w okolicy Arki w Chmurze, ale kiedy znajdą się dostatecznie blisko Arki, reaktor zostanie wymontowany, odstrzelony i zrzucony w atmosferę ziemską.

Zostało czterdzieści osiem godzin (plus minus kilka minut) do momentu, gdy ogromna Ziemia wyłoni się po stronie nadiru *Ymira* i cała „dolna” powierzchnia lodu zacznie się pocić i parować pod wpływem ciepła emanującego z rozpalonej atmosfery. Wtedy właśnie będą musieli wycofać moderator z reaktora i dać *Ymirowi* kolejny potężny impuls napędowy, najpierw jednak będzie trzeba obrócić całego *Ymira* w taki sposób, żeby leciał „tyłem”, rufą w kierunku ruchu – ponieważ delta V, jakiego teraz potrzebowali, miało wartość ujemną: mieli wyhamować masę lodu, a nie nadawać jej przyspieszenie.

Do wykonywania obrotów wokół własnej osi służyły silniki manewrowe, nie dość potężne, by nadać obiektowi znaczące delta V, ale wystarczające, żeby zwrócić statek – i jego napęd główny – w pożądanym kierunku. Z zasady montowano je jak najbliżej „narożników” pojazdu, żeby były najbardziej efektywne: dzięki zasadzie

dźwigni pozwalały najmniejszym nakładem sił dowolnie ustawiać statek. Nie wiedząc, czego się spodziewać po Griggu-Skjellerupie, ludzie planujący misję *Ymira* załadowali na pokład gotowe do zamontowania moduły manewrowe, w których skład weszły silniczki raketowe, zbiorniki na paliwo, aparatura do zdalnego sterowania i wyposażenie niezbędne do osadzenia całości urządzenia w lodzie. Pobieżne rozeznanie w zasobach *Ymira* i zapoznanie się z zapiskami załogi nie pozostawiało wątpliwości, że Sean z kolegami rozmieścili silniki w najdogodniejszych miejscach: jeden (z czterema dyszami wycelowanymi w cztery strony wszechświata) na samym dziobie i cztery dalsze na obwodzie grubszej podstawy odłamka.

Po przycumowaniu *New Cairda* do lodowego kompleksu, także jego silnikiem można było się wspomóc przy odwracaniu *Ymira*. Mimo to manewr obrotu o 180 stopni, stosunkowo prosty do wykonania na małej jednostce (na przykład miniarce), w wypadku asymetrycznego olbrzyma, jakim był *Ymir*, był skomplikowany i nastęczał poważnych problemów. Z góry przewidziawszy konieczność użycia silników manewrowych, od razu pierwszego „ranka” Dinah wysłała roboty na ich inspekcję, a Wiaczesław włożył skafander i wyszedł zreperować przewód paliwowy, który z niewiadomych powodów cały się poskręcał. *Ymir* okazał się tak nieruchawy, że pełny obrót zajął osiem godzin, a późniejsze precyzyjne wycelowanie statku w zadany kierunek wymagało dalszych sześciu.

Po czym Markus oznajmił, że przyjęte przez nich założenia i tak są najprawdopodobniej błędne. Od dłuższego czasu ślęczał nad odebrany z Izzy ładunkiem e-maili.

– Atmosfera sięga zbyt daleko – wyjaśnił.

Dinah poczuła się tak, jakby włócznia przeszła jej serce. Po wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnie dwa lata, zdumiewający był fakt, że w dalszym ciągu w taki sposób reagowała na złe nowiny. Musiała mieć wbudowany specyficzny program psychologiczny, wyzwalany takimi zwrotami jak „twoja matka ma raka”, „był wybuch w kopalni” albo coś takiego, co przed chwilą powiedział Markus.

Już na wstępnym etapie planowania Arki w Chmurze mieli świadomość, że Kamienny Deszcz rozpali powietrze – całe powietrze, wszędzie, na całym świecie. Kiedy powietrze się rozgrzało, zwiększyło

swoją objętość, a mogło się rozszerzać tylko w jednym kierunku: na zewnątrz, w kosmos. Śladowy opór powietrza, z którym Izzy zmagala się na swojej tradycyjnej wysokości około czterystu kilometrów, miał się wzmacniać w miarę rozprzestrzeniania się atmosfery. Do jakiego stopnia powietrze się rozgrzeje, jak daleko sięgnie w przestrzeń i jak bardzo zwiększy to opory ruchu stacji – wszystko to były pytania niezwyklej wagi, na które jednak nie dało się odpowiedzieć, dopóki Kamienny Deszcz naprawdę się nie rozpoczął. Jak to lubił powtarzać Doob: eksperyment z wysadzeniem Księżyca przeprowadzono po raz pierwszy. Pozostało im więc czekać i prowadzić obserwacje – i tym właśnie się zajmowali od początku Kamiennego Deszczu, tyle że Markus przez większość czasu miał inne zajęcia i dopiero teraz zapoznawał się z najnowszymi wynikami.

Dla Arki w Chmurze, co zrozumiałe, przewidziano najróżniejsze plany awaryjne. Gdyby wszystko poszło gładko, atmosfera nie rozrosłaby się przesadnie i opór powietrza nie miałby wielkiego znaczenia, nie trzeba by robić nic szczególnego. W scenariuszu nieco bardziej skomplikowanym – na którego realizację właśnie się zanosilo – mieli właściwie tylko jedno wyjście: przenieść na wyższą orbitę tworzące rój jednostki: zarówno samą Izzy, jak i wszystkie miniarki. Niezbędne do tego delta V nie było wcale takie duże: trzysta metrów na sekundę wystarczyłoby do niemal dwukrotnego zwiększenia wysokości i wyprowadzenia statków poza obszar zagrożenia. Każda miniarka miała własny silnik i wystarczający zapas materiału pędnego, żeby tego dokonać. Sytuacja Izzy była nieco bardziej złożona: gdyby zdecydowali się porzucić Amaltheę, bez trudu uzyskaliby wymagane trzysta metrów na sekundę, natomiast zabranie asteroidy pociągnęłoby za sobą ogromny wzrost zużycia paliwa. Ludzie odpowiedzialni za planowanie misji Arki w Chmurze dawno to wszystko przewidzieli i właśnie dlatego w pierwszej kolejności opracowano strategię „Porzuc i Wiej”.

Miniarki mogłyby więc z łatwością uskoczyć przed gęstniejącą atmosferą, porzucając Izzy i przenosząc się na wyższą orbitę. Problem oporu powietrza zostałby w ten sposób rozwiązany, straciłyby jednak możliwość ukrywania się w cieniu Amalthei i wystawiły na trafienia meteoroidów. Jak duże poniosłyby szkody – to już by zależało od tego, jak obfity byłby deszcz bolidów, jak dużą miałyby prędkość i jaki byłyby

rozkład ich gabarytów: oto kolejne pytania o niebagatelnym znaczeniu, na które nie sposób było odpowiedzieć, dopóki Kamienny Deszcz się nie zaczął i nie umożliwił gromadzenia danych.

A na razie dane te były zbyt skąpe, by mówić o wyciąganiu sensownych wniosków. Poza kilkoma spektakularnymi wyjątkami uderzenia bolidów były niezbyt poważne i pociągnęły za sobą niewiele ofiar – chociaż nie znaczyło to wcale, że ta sytuacja się utrzyma. Białe Niebo podlegało nieustannym przemianom; wzrost Tempa Rozpadu Bolidów, który zasygnalizował początek tego zjawiska, trwał, a rozkład rozmiarów i parametrów orbitalnych księżycowych odłamków miał się zmieniać jeszcze przez tysiące lat. Owszem, można było wyłapywać tendencje i na ich podstawie czynić przewidywania, ale gdy wybiegało się zbyt daleko w przyszłość, pozostawało zgadywanie.

Markus postawił wszystko na jedną kartę, kiedy podjął się wyprawy do *Ymira*. Powodzenie misji spowolnienia lodowej bryły na tyle, by zrównała się z Izzy, umożliwiłoby Wielką Jazdę: miniarki mogłyby się wspiąć na wyższą, bezpieczniejszą orbitę, pozostając pod osłoną metalu *Amalthei* i lodu *Ymira*.

Wyglądało jednak na to, że Markus nie wziął pod uwagę jednej zmiennej: stopnia rozszerzenia atmosfery.

Prawdę powiedziawszy, nawet gdyby ją uwzględnił, niczego by to nie zmieniło – kluczową decyzję dawno temu podjął i wcielił w życie Sean Probst, kiedy wytyczył kurs powrotny na L1 i impulsem silnika wprowadził *Ymira* na jego obecną trajektorię: wydłużoną elipsę z bardzo niskim perygeum. Z punktu widzenia mechaniki orbitalnej było to posunięcie nadzwyczaj rozsądne: w tym właśnie położeniu parowy silnik *Ymira* mógł zadziałać najskuteczniej i umożliwić przejście na niską kołową orbitę zbliżoną do orbity Izzy. Tyle że chory i wyczerpany po trwającej dwa lata odysei Sean mógł przeoczyć i pominąć w obliczeniach kwestię rozszerzania się ziemskiej atmosfery.

– Wejdziemy? – zapytał Wiaczesław.

Był to uprzejmy eufemizm na określenie sytuacji, w której *Ymir* zejdzie tak głęboko i zwolni tak bardzo, że spali się i stanie jeszcze jednym błękitnym rozbłyskiem światła na świetlistym tle pirosfery.

– Raczej puścimy kaczkę – odparł Markus: *Ymir* miał się odbić od warstwy powietrza wokół Ziemi jak płaski kamień ciśnięty na

powierzchnię stawu. – Z niemożliwym do przewidzenia skutkiem. Ale na razie nie mam pewności. Wiem tylko tyle, że nie zrealizujemy planu, jaki obmyślił Sean. Będzie inaczej, może bardziej ekscytująco.

* * *

Przewidując, że Camila może mieć się na baczności (jedną próbę już przeżyła), strzelec przykucnął za autobusem szkolnym, z którego miała wysiąść, i czekał z gotowym do strzału obrzynem. Drzwi pojazdu od wejścia do szkoły oddzielał wąski pas chodnika, więc margines błędu był niewielki. Zamachowiec pośpieszył się i wyskoczył na otwarty teren, zanim Camila zdążyła dobrze wysiąść. Regularnie przydeptywała sobie długą burkę, próbując postawić stopę na schodku, dlatego wiedziała, że nie należy się śpieszyć – i teraz ta zwłoka ocaliła jej życie. Zaalarmowana przez stojącą w drzwiach szkoły nauczycielkę Camila cofnęła się do autobusu; zamiast trafić ją prosto w twarz, ładunek śrutu zmasakrował jej lewą połowę szczęki, wyłamał jedenaście zębów, wyszarpał większość policzka i poważnie połamał żuchwę. Chirurdzy w Karaczi, a także później w Londynie zdołali ocalić język, odtworzyli żuchwę z kawałków kości pobranych z miednicy i wstawili sztuczne zęby. Po tym, jak objechała świat dookoła, żeby zebrać pieniądze na edukację dziewczynek w Afganistanie i na plemiennych terytoriach Pakistanu, Camila otrzymała azyl w Holandii. Holenderscy chirurdzy plastyczni, finansowani z datków napływających z całego świata, wzięli się na serio do pracy przy naprawianiu szkód kosmetycznych. Ten długofalowy projekt został przerwany, gdy Camila została jedną z holenderskich kandydatek do wysłania na Arkę w Chmurze. Nikt nie wierzył, że był to przypadkowy skutek Rozdzielenia Losów; było oczywiste, że władze Holandii przeważyły szalę i dopilnowały, żeby Camila została wybrana. Chciano w ten sposób utrzyć nosa niektórym konserwatywnym krajom muzułmańskim, które odmówiły wyznaczenia kandydatów płci żeńskiej, dopóki nie uzyskają zapewnienia, że ich wysłanniczki będą mogły żyć na orbicie w należytych odosobnieniu. Camila doskonale nadawała się do tego symbolicznego celu, ponieważ nie przyswoiła sobie zachodnich obyczajów: ubierała się tradycyjnie, nosiła chustkę na

włosach i czarczaf, chociaż nie było do końca jasne, czy zasłania twarz z powodów religijnych, czy tylko ukrywa w ten sposób swoje oszpecenie. Kilkakrotnie go zdejmowała, odsłaniając blizny przed kamerami, a kiedy została przyjęta na kolacji w Białym Domu, w jadalni zjawiała się zupełnie bez zasłony – po uprzednim uzgodnieniu tego z gospodynią, panią prezydent Stanów Zjednoczonych.

Zaskakujące przybycie Julii na Arkę doprowadziło więc do ponownego spotkania osiemnastoletniej uchodźczynie i czterdziestoczteroletniej byłej prezydent. Nazwanie go szczęśliwym czy radosnym byłoby – zważywszy na okoliczności – niewłaściwe. Fakt pozostawał jednak faktem: niektórzy ludzie po prostu do siebie pasowali. Z pewnością o takiej właśnie sytuacji można było mówić przy okazji tamtej kolacji w Białym Domu, a także teraz, w nowym miejscu zamieszkania Camili, miniarce numer 174, dokąd trafiła Julia, odzyskawszy siły po emocjonującym locie i przeszedłszy podstawowe przysposobienie do życia w kosmosie.

Numer 174 należał do heptady, kompleksu siedmiu miniarek osadzonych na sześciokątnej ramie. Był jedną z sześciu arek rozmieszczonych w rogach sześciokąta, wokół ulokowanej centralnie siódmej, która pełniła rolę całodobowej świetlicy i miejsca pracy dla mieszkańców. Na każdą z sześciu arek mieszkalnych przypadało czworo lub pięcioro pasażerów, a ponieważ jeszcze dwoje upchnięto w maszynowni środkowej arki, heptadę zamieszkiwało dwadzieścia dziewięć osób (łącznie z Julią). Liczba ta wzrosła do trzydziestu po tym, jak Spencer Grindstaff załapał się na przejażdżkę rupieciami, który przywiózł część zamienną do jednego z silników manewrowych oraz technika mającego go naprawić. Po skończonej pracy technik wrócił na Izzy, a Spencer został i przekonał pozostałych, żeby przydzielili mu koję w miniarce nr 215. Z upływem czasu w populacji miniarek zebranych w triady i heptady następował naturalny podział ze względu na płeć mieszkańców. Numer 215, z przewagą liczebną mężczyzn, miał rytm dobowy zsynchronizowany z numerem 174, w całości zajęty przez kobiety. Obie miniarki spały od godziny kropka osiem do kropka szesnaście, a pracowały na drugiej zmianie, zwykle – z powodów teraz już czysto historycznych – przypisanej do amerykańskiego kręgu kulturowego; pierwsza zmiana była azjatycka, a trzecia europejska.

Podział ten dodatkowo uwypuklały nawyki żywieniowe: ciepłe zapachy rozchodzące się „rankiem” po części wspólnej heptady i smaki, jakimi można się było rozkoszować „wiezorami”. Ponieważ kosmiczne jedzenie było raczej monotonne, ewentualne urozmaicenia sprowadzały się do stosowania przypraw: pracownicy drugiej zmiany mieli swoje buteleczki z sosem Tabasco, pracownicy pierwszej foliowe torebeczki ze sproszkowanym curry i tak dalej.

Łączenie się miniarek w kompleksy po trzy (triada) lub siedem (heptada) arkitekci nazywali „grupowaniem”. Grupowanie znacząco ułatwiało pracę Parametryka, ograniczając liczbę odrębnych obiektów wymagających stałego śledzenia, powiększało przestrzeń życiową arkan i zwiększało bezpieczeństwo w przypadku trafienia meteorytu. Nikt jednak nie kwapił się do tworzenia zespołów większych niż siedmioelementowe.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że to nie moja specjalność, Spencer – powiedziała Julia – ale nie rozumiem tego ograniczenia: dlaczego siedem? Podczas odpraw na wstępnym etapie planowania projektu zapewniano mnie, że zgrupować można praktycznie dowolną liczbę miniarek. Ograniczenie do siedmiu wydaje mi się dość arbitralne, to zaś sugeruje, że kryje się za nim coś więcej.

– Chwileczkę, pani prezydent – odparł Spencer, zajęty intensywnym pisaniem na laptopie.

– Naprawdę nie powinieneś tak mnie tytułować – wytknęła mu Julia, choć raczej pobłażliwym tonem.

Spencer pacnął klawisz „Enter”, odchylił się lekko i poprawił okulary. Jeszcze chwilę patrzył na ekran, po czym podniósł wzrok i znacznie donośniej głosem oznajmił:

– Wyłączone.

– Mówisz o monitoringu.

– O Sieci Kontroli Stanu – poprawił Julię Spencer i mrugnął porozumiewawczo.

– Dla mnie i dla ciebie niech pozostanie monitoringiem. Aluzja do dawnych czasów, jakbyśmy żyli w Białym Domu w erze Nixona... Nie, nie zrozumiesz. O czym to ja...?

Camila nie zgubiła wątku. Przez cały czas nie odrywała wzroku od Julii.

– O co chodzi z tym ograniczeniem liczby miniarek do siedmiu – odpowiedziała.

– Ach tak, dziękuję, Camilo. Ich argumenty do mnie nie przemawiają. Wygląda mi to raczej na próbę rozbicia jedności arkan; chęć uniemożliwienia im wykształcenia spójnego społeczeństwa, które mogłoby stanowić zdrową i wielce pożądaną przeciwwagę dla silnie scentralizowanych struktur władzy na Izzy. A właśnie, Spencer, skoro już o tym mowa: chcę powiedzieć, że ogromnie cenię sobie twoje wysiłki zmierzające do... ogarnięcia całokształtu spraw na froncie IT. Tak jak w tej chwili: dzięki tobie możemy swobodnie porozmawiać we własnym gronie, a SKS nie rejestruje każdego naszego słowa i gestu.

Spencer pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Zwykła rzecz, nie ma o czym mówić”.

Była godzina kropka osiemnaście, początek dnia roboczego dla drugiej zmiany. Spotkali się w miniarce nr 215, gdzie Spencer mieszkał w towarzystwie trzech innych mężczyzn i jednej kobiety, którzy akurat przebywali na śniadaniu w części wspólnej, w siłowni lub w pracy. Do Spencera, Julii i Camili dołączył gościnnie Zeke Petersen; przyleciał w skafandrze kosmicznym i nie zdążył nawet zdjąć kombinezonu termicznego.

Wyczuwając jego lekką ekscytację, Julia uśmiechnęła się do niego.

– Majorze Petersen, ogromnie się cieszę, że mógł pan do nas przybyć. Jestem wprawdzie nowicjuską w kosmosie, ale zdaję sobie sprawę, że niełatwo tu wpaść do kogoś w odwiedziny, jeśli można tak powiedzieć.

– Ściśle rzecz biorąc, nie jestem już majorem; istnienie stopni wojskowych sugerowałoby istnienie armii – odparł Zeke. – Skoro jednak mamy z czystej uprzejmości tytułować się po dawnemu, powiem po prostu, że dziękuję za gościnne przyjęcie, pani prezydent.

Pani prezydent milczała dłuższą chwilę, analizując, co właściwie chciał powiedzieć; wcale nie była pewna, czy jej się to podoba. Podenerwowany Zeke mówił więc dalej:

– Z góry przepraszam, że nie zabawię zbyt długo: mam tu konkretne zadanie do wykonania, a kiedy się z nim uporam, czekają mnie inne zajęcia.

– Inspekcja miniarki numer sto siedemdziesiąt cztery pod kątem możliwych uszkodzeń po uderzeniu mikrobolidu – powiedziała Julia.

– W rzeczy samej, pani prezydent.

– Wczoraj to zgłosiłam. Mogłabym przysiąc, że usłyszałam głośny łomot; śmiertelnie się przeraziłam, ale żadnych uszkodzeń nie widać. Czas płynie, a ja coraz częściej się zastanawiam, czy to nie wyobraźnia spletała mi figła. W kosmosie panuje okropny zgiełk, tego się nie spodziewałam. Na przykład silniki manewrowe pracują strasznie głośno. Może to też nie było nic poważnego. Czułabym się ogromnie zakłopotana, gdyby okazało się, że wezwałam pana bez powodu.

– Wezwała mnie pani? – zapytał lekko zdumiony Zeke. – System zgłaszania wypadków jest zautomatyzowany, a zlecenia przydzielano w sposób losowy.

Julia i Spencer wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Pan i Spencer od ponad dwóch lat przebywacie na Izzy. Domyślam się, że zdążył pan przez ten czas docenić jego umiejętności... Bo ja tak.

Zeke poruszył się niespokojnie.

– Zmanipulowaliście kolejkę zleceń?

– Trudno się wyzbyć starych nawyków, a ja przyzwyczaiałam się współpracować z ludźmi, których znam i którym ufam. Jeżeli wymagany jest przegląd mojej miniarki, to ktoś go musi zrobić, prawda? Dlaczego tym kimś nie miałby być człowiek, którego już wcześniej miałam okazję poznać?

– Jeżeli tak stawia pani sprawę, to cieszę się z tej okazji do zamienienia z panią paru słów. Podkreślam tylko, że przegląd, tak czy inaczej, muszę zrobić, żeby sprawa puszczona w ruch pani raportem została zamknięta.

– Naturalnie. Jestem zresztą przekonana, że nie zajmie to panu dużo czasu. – Julia mrugnęła porozumiewawczo. – Należy pan do zwykłych mieszkańców, prawda?

– Oczywiście. Jako członek pierwotnej załogi ISS, naturalną kolejną rzeczą...

Zeke zbłądził wzrokiem w stronę Spencera i zawiesił głos.

– Pojawiła się pewna niezręczna kwestia – wtrąciła z uśmiechem Julia – którą najlepiej będzie potraktować w sposób całkowicie jawny i otwarty. Otóż, mimo że Spencer od dawna należy do załogi ISS i cieszy się jej zaufaniem, stracił niedawno status zwymieszka i został zdegradowany do arkanina.

– Nie traktowałbym tego jako degradacji... – zaczął Zeke.

Julia uciszyła go lekceważącym strzepnięciem palcami. Dłonie miała idealnie wymanikiowane; to była rola Camili.

– Wszyscy dobrze wiemy, że to jest degradacja. Markus wziął Spencera z zaskoczenia, gdy tylko dowiedział się o Ósemce i zorientował się, co nas czeka. Tak, tak, wiem wszystko na temat starannie snutych planów, które Markus puścił w ruch, gdy jego ukochana przekazała mu nowinę. Niezwykle to wygodne, nieprawdaż? Nie wiem, jak bym zareagowała, gdyby ta sama wiadomość dotarła wówczas do Białego Domu, ale byliśmy wtedy zajęci ochroną Kourou i ze wszystkich sił wspieraliśmy Markusa. Spencer po latach cierplivej służby został zastąpiony przez tego młodocianego hakera...

– Steve’a Lake’a? – podsunął Zeke.

Julia zerknęła na Camilę, która skinęła głową.

– Właśnie – potwierdziła Julia. – Steve’a Lake’a. Domyślam się, że to bystry chłopak, ale ze Spencerem nie może się równać.

– Są rywalami?

– W pewnym sensie tak, zważywszy że arkanie są pod stałym nadzorem wszystkowiedzącego oka SKS, a zwymieszce mogą się cieszyć namiastką prywatności.

– Wszystko zależy od tego, gdzie kto znajdzie się na stacji... – zaczął Zeke, ale znów zawiesił głos.

– Nie znam się na tym, nie wolno mi tam spędzać zbyt wiele czasu. Oczywiście znam oficjalne wytłumaczenie: nie mam odpowiednich kwalifikacji, żeby zaliczać się do zwykłych mieszkańców, więc w drodze eliminacji trafiłam do grona arkan. W porządku, rozumiem to. Nie znaczy to jednak, że mam zerwać wszelkie kontakty z dawnymi przyjaciółmi, którzy ten przywilej zachowali.

Julia wyciągnęła rękę i przelotnie uścisnęła dłoń Zeke’a.

– Oczywiście – przytaknął Zeke. – Spodziewam się zresztą, że z upływem czasu odrębność tych dwóch grup będzie się pomалу zacierała.

– Wiem, że tak właśnie brzmi wersja oficjalna – przytaknęła Julia z rozbawieniem.

– Interakcje towarzyskie rzadko będą oznaczały spotkania twarzą w twarz.

– O tym również słyszałam. Tyle że trudno sobie w takich warunkach

wyobrazić scalenie obu grup.

– Głównymi narzędziami mają być Spacebook, Scape i tym podobne – ciągnął Zeke, nawiązując do funkcjonujących w Arce w Chmurze odpowiedników popularnych aplikacji internetowych. – Przynajmniej do czasu...

– Do czasu, gdy wstąpimy na niebiosa, gdzie będziemy żyć długo i szczęśliwie w jednej wielkiej i przyjaznej Arce. Zeke, jak nikt inny zna się pan na lotach kosmicznych. Co sądzi pan o strategii, którą próbuje nam narzucić Markus? Wielka Jazda? Już sama nazwa wydaje się znacząca, jakby sugerowała... sama nie wiem co.

Julia zerknęła przelotnie na Camilę, która zachichotała rozbawiona jej słowami.

Zeke rozejrzał się dookoła.

– Nie musi się pan tym przejmować – powiedziała Julia.

– Czym?

– Siecią monitoringu.

– SKS? Wcale się nią nie przejmowałem. Po prostu myślę.

– A zechce nam pan łaskawie powiedzieć, o czym? Żarty na bok, majorze Petersen: naprawdę chciałabym poznać pana opinię jako eksperta.

– Prawdę mówiąc, myślałem akurat o tym, jak cienkie są ściany hermetycznego kadłuba miniarki. Kiedy wczoraj zgłosiła pani uderzenie bolidu, sprawiała pani wrażenie bardzo zaniepokojonej; odsłuchałem to zgłoszenie. I słusznie, miała pani pełne prawo się niepokoić. W tej chwili żyję z tego, że oglądam wszystkie kratery po uderzeniach mikrometeorytów, duże i małe, których stale przybywa na naszym sprzęcie. Łatam dziury, naprawiam to, co się zepsuje... Dwa razy mieliśmy już ofiary śmiertelne. To nie są żarty. Jeżeli Markus dostrzeże dla nas szansę ukrycia się w cieniu Amalthei i wstąpienia na niebiosa, jak to pani ujęła, to moim zdaniem warto spróbować.

– Czy Amalthea ochroni nas przed gęstniejącą atmosferą? Camila czyta wszystkie te raporty techniczne, które Spencer w swojej uprzejmości ściąga nam z serwera, i twierdzi, że to bardzo poważna sprawa.

– Rozszerzanie się atmosfery? Diabelnie poważna – przytaknął Zeke. – Ale współczynnik balistyczny Izzy z doczepioną Amaltheą jest

gigantyczny. Stacja może brnąć nawet przez bardzo gęste powietrze, a asteroida i tak wchłonie całe generowane wtedy ciepło. Miniarki mogłyby podążać w ślad za nią jak kolarze za ciężarówką.

– Wszystkie?

Zeke z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Nie. Amalthea wytwarza za małe odkosy, żeby osłonić wszystkie miniarki. Chyba że będą leciały w bardzo zwartej formacji, ale wtedy Parametryk zgłupieje.

– I to właśnie jest ta część planu Markusa, której nie rozumiem. Co się stanie z tymi miniarkami, które nie dostąpią zaszczytu schronienia się w cieniu Amalthei?

– Nie znam szczegółów planu – odparł Zeke. – Są dość płynne.

– Czyli w praktyce nie ma żadnego planu – podsumowała Julia.

– Wszystko zależy od tego, kiedy wróci *Ymir*, w jakim stanie, ile przywiezie lodu... Wtedy opracujemy plan.

– W jaki sposób? Po dyktatorsku? Zgodnie z przepisami tego, jak mu tam... tego stanu wojennego...?

– OUPSA – podsunęła Camila.

Zeke wzruszył ramionami.

– Nie spodziewam się, żeby Markus poddał plan pod głosowanie. Zbierze swój zespół ekspertów i wspólnie podejmą decyzję.

– A po co w ogóle konsultować się z ekspertami? – spytała Julia, jakby zafascynowana tym nowatorskim pomysłem.

– Żeby poznać różne punkty widzenia... mieć pewność, że niczego nie przeoczono...

– Są w tym zespole jacyś arkanie? Czy też mamy po prostu potulnie zaakceptować jego decyzję?

Zeke był nieco skołowany. Gdyby mógł przewinąć tę rozmowę do początku i jeszcze raz ją odsłuchać, zorientowałby się, że dał się wymanewrować, jednakże z braku tej możliwości po prostu nie wiedział, co powiedzieć.

W odróżnieniu od Julii.

– Pytam tylko dlatego, że ostatnio zawieram coraz więcej znajomości wśród arkan – ciągnęła. – Nie mam nic innego do roboty: żadnych obowiązków, żadnych przydatnych umiejętności... I stwierdzam, że wielu z nich pragnie odrobiny społeczności. To naturalny ludzki odruch,

taki sam jak potrzeba snu czy ćwiczeń fizycznych. Rozmawiam więc z nimi albo osobiście tutaj, w naszej małej heptadzie, albo zdalnie, korzystając z narzędzi, które pan wymienił: Spacebooka i Scape'a. Dla tych ludzi rozmowa z samotną i znudzoną eksprezydent jest przynajmniej jakąś nowinką. Zmierzam do tego, majorze Petersen, że nasz system się sprawdził. Rozdzielenie Losów i szkolenia w obozach zaowocowały zbiorem najbystrzejszych i najbardziej utalentowanych młodych ludzi, jakich miałam okazję poznać w swoim życiu. Ludzi pełnych energii i kipiących pomysłami, a to w tej chwili najcenniejsze zasoby w całym wszechświecie, cenniejsze niż woda i przestrzeń życiowa. Uważam, że byłaby to wielka szkoda, gdyby ta energia poszła na marne, a pomysły zostały zignorowane przez zebraną w zadymionym pokoju grupę ekspertów Markusa. O ile Markus w ogóle wróci cało z tej swojej, jak mi się wydaje, szalonej eskapady.

* * *

Załoga oryginalnego *Jamesa Cairda* nawigowała podług gwiazd, żeby znaleźć drogę przez setki mil wzburzonych mórz i dotrzeć do wybrzeży Georgii Południowej. Załoga *New Cairda* musiała zrobić teraz coś podobnego – tyle że mieli nieco łatwiej. Nawigator *Jamesa Cairda* nie miał innego wyjścia niż cierpliwie czekać na rozpęknięcie się wiecznie zalegającej na niebie powłoki chmur i w tych rzadkich chwilach dokonywać błyskawicznych obserwacji, a następnie porównywać je ze wskazaniami mechanicznego chronometru, co do którego mógł tylko żywić nadzieję, że wciąż pokazuje właściwy czas. *New Caird* dysponował lepszymi zegarami i lepszą panoramą nieba. Zamiast sekstansu miał na pokładzie urządzenie złożone z szerokokątnego obiektywu i sensora obrazowego wysokiej rozdzielczości, które potrafiło określić kierunek, w jakim zostało wycelowane, poprzez porównanie tego, co widzi, z zapisami w przechowywanej w pamięci bazy danych. Załoga знаła więc dokładnie swoje położenie w przestrzeni i rejestrowała wszystkie jego zmiany, w miarę jak olbrzymi odłamek lodu z podczepionym *New Cairdem* przemierzał nieubłagane matematyczne ostępy swojej wydłużonej elipsy. W połączeniu z bezpośrednimi pomiarami położenia

Ziemi pozwalało to Markusowi określić parametry ich orbity i ustalić (z dokładnością, która wzrastała za każdym razem, gdy powtarzał swoje wyliczenia), jak blisko planety przelecą. Kiedy Izzy znajdowała się po tej samej stronie Ziemi, co *New Caird* (czyli przez mniej więcej pięćdziesiąt procent czasu), odbierali od Dooba najświeższe dane na temat postępującej ekspansji atmosfery.

Z połączenia tych dwóch zbiorów liczb wynikały warunki, w których mechanika newtonowska zaczynała zawodzić. W tradycyjnych obliczeniach trajektorii pojazdu kosmicznego zakładano jego ruch w próżni, całkowicie pomijając działanie sił zewnętrznych związanych z obecnością atmosfery. Tymczasem *Ymir* miał przelecieć na tyle nisko, żeby zahaczyć o atmosferę ziemską, co nawet w najkorzystniejszym wariacie musiało skutkować oporem powietrza, który zepchnie go z kursu wytyczonego przez Seana Probst. Stosunkowo łatwo można było wyznaczyć wielkość tego oporu, jak również oszacować jego wpływ na trajektorię statku. Ponieważ jednak bryła lodu miała niesymetryczny kształt i leciała stabilnie, nie koziółkując, w powietrzu musiała generować pewną siłę nośną – niezbyt dużą, nie taką jak skrzydło samolotu, ale jednak niemożliwą do pominięcia. Gdyby siła ta została niewłaściwie skierowana, *Ymir* runąłby w dół jak samolot wpadający w korkociąg. Gdyby zaś udało się ją skierować do góry, ułatwiłaby im przelot, odpychając ich od Ziemi w rejony, w których atmosfera rzedła. W rozrzedzonym powietrzu zanikłaby i opór ponownie zacząłby ściągać *Ymira* w dół – ale tylko do momentu, gdy powietrze znów by zgęstniało i siła nośna wyniosła go ciut wyżej. Podczas trwającego gorączkowe pół godziny nawrotu wokół Ziemi mogli zrobić kilka takich „kaczek”, ślizgając się po powierzchni atmosfery; ich skutki trudno byłoby przewidzieć nawet gdyby *Ymir* był tradycyjnym pojazdem kosmicznym o ustalonym, regularnym kształcie – a lodowemu odłamkowi daleko było do regularności. Nie mieli czasu, żeby go obmierzyć i wprowadzić dane do pamięci symulatora aerodynamicznego, toteż teraz mogli tylko zgadywać, jak dużą siłę nośną wytworzy. Na dodatek, kiedy jego krawędź natarcia i spodnia część będą prućy powietrze (nawet tak bardzo rozrzedzone, że pod wieloma względami nieodróżnialne od próżni), zaczną się nagrzewać. Wytworzona w tym procesie para wodna również wygeneruje siłę skierowaną ku górze, a sama bryła lodu

zacznie zmieniać kształt – tak że nawet gdyby byli w stanie zasymulować procesy aerodynamiczne, oszacować opory powietrza i siłę nośną, przy kontakcie z powietrzem wszystkie te liczby szybko straciłyby na aktualności.

W porównaniu z tymi komplikacjami fakt, że *Ymir* będzie leciał tyłem naprzód, napędzany uszkodzonym eksperymentalnym silnikiem jądrowym nastawionym na maksymalną moc, wydawał się naprawdę mało znaczący.

W obliczu tylu niewiadomych każdy dobrze zarządzany projekt kosmiczny zostałby wstrzymany, by następne kilka lat poświęcić na drobiazgową analizę wszystkich potencjalnych problemów, badanie zachowania kawałków lodu wystawionych na działanie naddźwiękowych huraganów w tunelu aerodynamicznym, symulacje komputerowe i ćwiczenie wszelkich możliwych strategii alternatywnych. Zanim jednak Markus ogarnął zgrubne zarysy stojącego przed nimi problemu, do osiągnięcia perygeum zostały im dwadzieścia cztery godziny, Ziemia z rozmiarów mandarynki urosła do wielkości pomarańczy i żadna ludzka siła nie była w stanie powstrzymać *Ymira* przed przejściem blisko niej i otarciem się o atmosferę. Nie mogli nawet odrzucić ładunku: osamotnionemu *New Cairdowi* nie wystarczyłoby paliwa, żeby znacząco zmienić kurs, więc tak czy inaczej, podzieliłby los *Ymira*. Markus spróbował więc rozsądnie przewidzieć najlepszy kąt natarcia (czyli orientację *Ymira* względem atmosfery) i zaprogramował silniki manewrowe w taki sposób, żeby w ciągu następnego pół dnia ustawiły ociążały bolid w najdogodniejszej pozycji.

Do tej pory *Ymir* był wycelowany „rufą” w kierunku lotu; potężna dysza została skierowana do przodu, by umożliwić kluczowy dla całej operacji impuls hamujący. Teraz został odwrócony w taki sposób, żeby *New Caird* – w dalszym ciągu przycumowany w pobliżu „dziobu” i sterczący mniej więcej pod kątem prostym do powierzchni lodu – znalazł się w zenicie. Oznaczało to, że podczas przelotu przez atmosferę bryła *Ymira* zasłoni mu Ziemię, a silnik *New Cairda* zostanie skierowany „do góry”, w stronę gwiazd. Uruchomienie silnika spowodowałoby więc obrót *Ymira* wokół krótszej osi w taki sposób, że jego dziób obniży się, a rufa pójdzie ku górze: taka pozycja powinna zwiększyć siłę nośną i pomóc *Ymirowi* uniknąć kłopotów. Gdyby lodowa bryła zaczęła

koziółkować w przeciwnym kierunku, mogłaby stawić znacznie większy opór i wygenerować o wiele mniejszą siłę nośną, co groziłoby ściąganiem jej w głąb atmosfery. Nieruchomy silnik *New Cairda* mógł pracować tylko w jednym kierunku – dlatego też Markus wybrał takie jego położenie, które w razie kłopotów powinno być najbardziej użyteczne. Wiaczesław miał zająć miejsce w fotelu pilota (skąd widziałby znajdujący się na wyciągnięcie ręki kawał brudnego lodu liczący sobie pięć miliardów lat) i czekać na wiadomość od Markusa, który ze świetlicy *Ymira* mógł wydać rozkaz uruchomienia silnika.

Wszystko to Dinah traktowała jak szum tła, bez reszty pochłonięta koordynowaniem pracy robotów. Liczba gzów szła w dziesiątki tysięcy i można było komunikować się z nimi wyłącznie zbiorowo, grupując je w roje; próba sterowania nimi pojedynczo – choć teoretycznie możliwa – była z góry skazana na niepowodzenie. Ich zadanie polegało na nadaniu pożądanego kształtu lodowemu odłamkowi.

Jeden rój – zwykle pracujący na wewnętrznej powierzchni dyszy – rozproszył się teraz po tylnej powierzchni bryły, gdzie wygrzewał się w promieniach słońca, odnawiając zasoby energii. Na dany przez Dinah znak gzy miały się zebrać na okrągłym obrzeżu dyszy, zejść w jej głąb i tam na bieżąco korygować jej kształt podczas działania silnika. Ponieważ miały działać według programu stworzonego i zmodyfikowanego przez Larza, rola Dinah sprowadzała się do ich włączenia.

Najmniejszy z trzech rojów uwijał się przy zasobnikach, gdzie – również posłuszny programowi Larza – wyluskiwał z lodu kamyki, żeby nie trafiały do przenośników. Pracujące w ciemnościach gzy czerpały energię z gniazd elektrycznych, które załoga *Ymira* zainstalowała specjalnie w tym celu.

Największy rój był natomiast odpowiedzialny za właściwe formowanie wnętrza lodowej bryły, w miarę jak postępowało jej drążenie. Zanim lot na Izzy dobiegnie końca, większość lodu trafi do zasobników i zostanie wydmuchnięta przez dyszę w kosmos; pozostanie wydrążona, pusta w środku skorupa, której szczątkowa struktura wewnętrzna ledwie wystarczy do podtrzymania reaktora i zachowania przybliżonego kształtu dyszy. Nie był to wcale taki szalony zamysł, jak mogłoby się z pozoru wydawać – i to z dwóch powodów. Po pierwsze,

górnicy od niepamiętnych czasów robili takie rzeczy: zamiast ryć we wnętrzu góry bez opamiętania (co doprowadziłoby do zawalenia się kopalni), rzeźbili w skale solidny twór architektoniczny zaopatrzony w kolumny, łuki i mocne sklepienia. Tutaj sytuacja wyglądała podobnie – z tą różnicą, że tworzywem był lód i w grę wchodziły znacznie mniejsze siły. Po drugie, ze strukturalnego punktu widzenia większość wnętrza lodowej bryły miała niewielkie znaczenie. Nie bez powodu samoloty i samochody wyścigowe to puste w środku skorupy: sama skóra, zero kości. Większość sił w naturalny sposób była przenoszona na zewnętrzną powłokę pojazdu, ją więc najbardziej opłacało się wzmocnić. Odpowiednia wytrzymałość zewnątrz dopuszczała pustkę we wnętrzu.

Rzecz jasna, lód – kruchy z natury – nie był najlepszym materiałem konstrukcyjnym, ale wyruszając w drogę, *Ymir* zabrał na pokład pokaźny zapas wytrzymałej plastikowej linki, siatki, plecionki i luźnych włókien. Podczas trwającego kilka miesięcy rejsu powrotnego po spotkaniu z kometą Grigga-Skjellerupa roboty Larza pracowicie przerabiała lód na pykret i w tej chwili zewnętrznej czarnej powłoki odłamka nie stanowił już lód *per se*, lecz materiał syntetyczny o znacznie lepszych właściwościach strukturalnych. Zamrożony mógł zatrzymać pocisk, a po roztopieniu i odcedzeniu rozdzielał się na wodę, włókno sztuczne i czarną maź pamiętającą początki Układu Słonecznego. Tak czy inaczej, większe roboty (żmijki i krabochwyty) odpowiedzialne za większość prac związanych z usuwaniem materiału z wnętrza, mogły się zbliżyć na kilka metrów do zewnętrznej powłoki *Ymira*, nie ryzykując naruszenia jego struktury. Trzeci rój gzów miał po nich sprzątać i konserwować wewnętrzne filary i pajęczyny, utrzymujące reaktor i zasobniki w zawieszeniu pośrodku pustej przestrzeni. Oparty na rojach algorytm rzeźbienia w lodzie również był dziełem Larza, który miał dwa lata na jego doskonalenie; Dinah, która go po nim przejęła, musiała się wiele nauczyć, zanim weźmie na siebie pełną odpowiedzialność.

Krabochwyty i żmijki – o wiele mniej liczne od gzów (było ich łącznie około setki), a zarazem odpowiedzialne za transport znacznie większych mas lodu – czekały teraz w gotowości rozstawione po całym wnętrzu. Większość stanowiły roboty ogólnego przeznaczenia, którym specjalnie podoczepiane manipulatory ułatwiały przenoszenie lodu, ale było wśród

nich kilka Leatherface'ów – powiększonych krabochwytyw wyposażonych w najeżone czerpakami piły łańcuchowe zamiast łap i zdolnych przerzucić ogromną ilość lodu w krótkim czasie. Były w tym tak dobre i tak wydajne, że zdarzało im się unicestwić przy okazji pół okolicy, przez co musiały często przenosić się z miejsca na miejsce. Za każdym Leatherface'em podążał orszak mniejszych robotów, które po nim sprzątały i kotwiczyły go na nowym stanowisku pracy.

W teorii był to po prostu jeden wielki program komputerowy, który po uruchomieniu powinien gładko przerobić litą grudę lodu na coś w rodzaju orzecha włoskiego z wyjedzonym środkiem: grubą, dziobatą skorupę ze zintegrowanym systemem wewnętrznych żeber, podpór i dźwigarów. I podobnie jak inne programy komputerowe, mógł zadziałać idealnie od momentu, gdy Dinah go odpali – lecz równie dobrze coś mogło się w nim posypać, i to w sposób, który nie od razu stałby się oczywisty. Dlatego musiała zachować czujność. Widok Ziemi, przelatującej za iluminatorem z prędkością dwudziestu czterech tysięcy mil na godzinę, mógł być niezwykle interesujący, ale Dinah musiała siedzieć z pochyloną głową i wypatrywać oznak awarii w natłoku słabych, niejednoznacznych sygnałów. Lubiała sobie wyobrażać, że dorastanie w obozie górniczym, gdzie przesiadując przed radiem, próbowała wyłapać sygnały nadawane morsem gdzieś z bardzo daleka i ginące w trzasku zakłóceń i zgiełku innych transmisji, w jakiś sposób przygotowało ją do tej roli.

* * *

Po kilku minutach rozmowy z JBF na Scapie, Doob zdał sobie sprawę, że dwa lata wcześniej nazbyt dobrze wywiązał się ze swojego zadania.

Na spotkanie w Camp David udawał się z zadaniem wytłumaczenia pani prezydent, że postępujący wykładniczo rozpad Księżyca doprowadzi do unicestwienia życia na Ziemi. Wszedłszy w rolę Doca Dubois, ukuł określenia „Białe Niebo” i „Kamienny Deszcz” jako łatwe do ogarnięcia etykiety zjawisk, które w istocie były znacznie bardziej skomplikowane. Doktor Harris żałował teraz, że Doc Dubois tak wtedy kłapał jadaczką.

Znajdował się w zakątku Fermy, który od czasu odlotu *New Cairda* stał się czymś w rodzaju męskiego azylu, gdzie chętnie przesiadywał wraz z Konradem i innymi specami od mechaniki orbitalnej. Ferma zawsze pełniła rolę podobną do licealnej stołówki, w której różne kliki zajmują określone miejsca. Z czasem te nawyki utrwały się i stawały częścią niepisanej instrukcji obsługi Izzy. Tak czy inaczej, Doc Dubois i jego koledzy po fachu trzymali w Fermie drukowane mapy i wykresy, które w mniej lub bardziej abstrakcyjnej formie ilustrowały całą ich wiedzę o ewolucji chmury księżycowych odłamków i jej znaczeniu dla przyszłości Arki w Chmurze. Sporządzenie wydruków wymagało hojnego gospodarowania papierem i tuszem od drukarek; za dwa pokolenia, o ile tylko ludzkość przetrwa tak długo, ludzie będą spoglądać na ten stos papierzyśk z mieszaniną niedowierzania i niesmaku. W ich czasach papier stanie się rzadkością i używanie go do takich celów będzie postrzegane w sposób nieco podobny do tego, w jaki Amerykanin z początków XXI wieku mógłby postrzegać stosowanie tranu do zasilania latarni ulicznych.

Potem jednak życie stanie się lepsze, w rozległych, wirujących koloniach orbitalnych wyrosną lasy genetycznie zmodyfikowanych drzew i papieru będzie pod dostatkiem, a te smętne żółte skrawki trafią do muzeum jako dowód ubóstwa, w jakim żyli pierwsi arkonauci.

O ile czegoś po drodze nie spieprzą – i tego właśnie miała dotyczyć ta rozmowa. Julia unosiła się w powietrzu zamknięta w swojej miniarce. Przystosowała się już do nieważkości: nauczyła się upinać włosy ciasno wokół głowy, pozbyła się orbitalnej opuchlizny twarzy i nie sprawiała wrażenia targanej mdłościami. Za jej plecami szybowali w tę i z powrotem różni ludzie, wśród których Doob rozpoznał tylko Camilę. Kilkoro innych dzieciaków wyglądało na zajętych pracą: z namysłem głaskali i poszturchiwali swoje tablety, od czasu do czasu podnosząc wzrok, żeby wdać się w krótką wymianę zdań. Młodziak z Azji Południowej, dziewczyna z Afryki, kolejna dziewczyna, na oko Chinka.

Dziewczyna, dzieciak, chłopak, dziewczyna... Jego politycznie poprawne superego, wyhodowane przez długie lata kariery akademickiej, usiłowało uruchomić mu w mózgu neurony wstydu. Bez powodzenia. Nie odczuwał wstydu, ten etap miał dawno za sobą, ale w tej chwili uderzyło go to, jak młodzi są arkanie; jak bardzo różnią się

pod względem demograficznym od zwymieszów. Na tę myśl odczuł niesprecyzowany lęk, że wypadł z obiegu. Minęły dziesiątki lat, odkąd sam był młody, ale i tak zawsze był spoko gościem, z mnóstwem sympatyków na Facebooku i Twitterze. Teraz zaś on utknął na Izzy, a Julia w miniarce. Każde z nich obracało się w zupełnie innym środowisku. Zwymiesz regularnie spotykali się i normalnie rozmawiali; arkanie, odizolowani w swoich miniarkach, musieli porozumiewać się za pośrednictwem mediów społecznościowych. Nie zaglądał na swojego Spacebooka od czasu Białego Nieba, a teraz rozmowa z Julią opóźniła się o kwadrans, jakiego potrzebował na rozgryzienie interfejsu użytkownika na Scapie. Było widać, że Julia jest z nim doskonale obeznana: używała go bez przerwy, a jeśli nawet coś czasem nie działało, któryś z tych dzieciaków na drugim planie na pewno chętnie przychodził jej z pomocą.

Kolejny drobiazg: boksując się ze Scape'em, słyszał urywek rozmowy z drugiej strony – młody Azjata zwrócił się do Julii per „pani prezydent”. Doobowi wydało się to tak dziwaczne, że miał nawet ochotę poruszyć tę kwestię w rozmowie z nią – wiedział jednak, jaka byłaby odpowiedź: przecież to zwykła uprzejmość, nic więcej. Wszystkich byłych prezydentów tytułowano w taki sposób; to nic nie znaczy, więc o co tyle hałasu? Wyszedłby na komicznie przewrażliwionego prostaka.

– Jak panu wiadomo, doktorze Harris, jestem tu czymś na kształt piątego koła u wozu. Chcę zatem powiedzieć, że jestem ogromnie wdzięczna, że zechciał pan oderwać się od swoich zajęć i poświęcić mi te kilka minut. Dziękuję.

– Nie ma za co, pani... Nie ma za co, Julio – odparł Doob. Mając świadomość, że rozmawiają na odległość, powstrzymał się od wymierzenia sobie policzka.

Julia uznała jego omyłkę za interesującą, ale postanowiła jej nie komentować.

– Czuję się tu jak opiekunka na koloniach. Podczas przygotowań śledziłam wszystkie aspekty pracy architektów, ale co innego siedzieć w Białym Domu i oglądać slajdy w PowerPoincie, a co innego znaleźć się tutaj, na górze.

Była to oczywista przynęta. Doob – w pełni świadomy, że daje się podpuścić – zapytał:

– Co masz na myśli?

– Pomijając rzecz oczywistą, jaką jest kulturowo uwarunkowany rozrzut poglądów, dostrzegam ogromną niepewność; dojmujące poczucie, że talent i energia arkan są spętane, zamknięte jak dziny, które tylko czekają, aż ktoś potrze magiczną lampę. Wszyscy wprost palą się do pomocy.

– Kamienny Deszcz zaczął się zaledwie przed dwoma tygodniami – przypomniał jej Doob. – Będzie trwał jeszcze pięć tysięcy lat.

– Społeczność Arkańska jest w pełni świadoma tych liczb.

Społeczność Arkańska. No, no... Nie mógł nie podziwiać sposobu, w jaki to przemyśla.

– Jaki jest właściwie cel tej rozmowy, Julio? Czy mam rozumieć, że moje odpowiedzi na twoje pytania zostaną następnie przekazane Społeczności Arkańskiej? Bo jeśli tak, to do tych celów służy poczta elektroniczna. Mamy listę mailingową, na którą zapisani są wszyscy żyjący ludzie.

– Ostatnio użyto jej dwa dni temu. Dla pozamykanych arkan to cała wieczność.

– Trwa ekspedycja *New Cairda*, jesteśmy ciut zajęci...

– Społeczność Arkańska jest bardzo ciekawa szczegółów tego przedsięwzięcia.

– My również.

– Chodziło mi o jego cel.

– A czy cel może być jeszcze bardziej oczywisty? Każdy, kto przeszedł selekcję i szkolenie niezbędne do zostania arkaninem – (ciebie to nie dotyczy, Julio) – doskonale rozumie, co próbujemy osiągnąć z punktu widzenia mechaniki orbitalnej.

– Uzyskać oszałamiającą ilość wody, którą następnie będzie trzeba zużyć na gambit znany jako Wielka Jazda. Owszem, doktorze Harris, nawet ja to rozumiem.

– Gambit? Serio?

– Czy przedstawiciele zwymieszów zadali sobie kiedykolwiek trud poznania poglądów i pomysłów SA?

– Czego?

– Społeczności Arkańskiej – wyjaśniła Julia, delikatnie przewracając oczami.

– W każdej chwili około dziesięciu procent arkan przebywa na pokładzie Izzy. Obowiązuje rotacja. Więcej nie możemy pomieścić i dobrze o tym wiesz.

– Rozmawiałam z kilkunastoma arkanami, którzy mają taki pobyt za sobą i w jednym wszyscy są zgodni: gdy tylko trafisz na Izzy, do tego elitarnego środowiska, bezpieczniejszego, przestronniejszego, z lepszym jedzeniem i możliwością kontaktu z wyższym rangą personelem, światopogląd zwymieszów wydaje ci się absolutnie rozsądny. Tym większy jest potem wstrząs wywołany powrotem do miniarki.

Doob chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

– Co byś powiedział na lekkie odwrócenie ról? – ciągnęła tymczasem Julia. – Czasowe przydzielanie zwymieszów do przypadkowo wybranych miniarek?

– Ale po co? Jaki byłby cel takiego ćwiczenia?

– Z czysto technokratycznego punktu widzenia najprawdopodobniej żaden – odparła Julia. Resztę pominęła milczeniem.

– Czego takiego dowiedziałbym się po pobycie w losowej miniarce, czego nie mogę się dowiedzieć przez Scape'a albo Spacebooka?

– Dowiedziałbyś się całkiem sporo, biorąc pod uwagę, że dzisiaj nie korzystasz z tych aplikacji – odparła z niejakim rozbawieniem Julia.

– Jestem trochę zajęty próbą sprowadzenia *New Cairda* do domu, więc mów śmiało, co mi umyka?

Po drugiej stronie stołu coś się poruszyło. Doob przeniósł wzrok poza ekran i zobaczył, że Luisa kręci głową. Potem złapała się za głowę, na chwilę zamknęła oczy i znów je otworzyła. Doob poczuł, że się czerwieni, i jeszcze raz powstrzymał się od spoliczkowania samego siebie.

– Alternatywne strategie działania budzą w SA ogromne emocje – odparła Julia szybko i autorytatywnie, jak przystało na osobę świeżo namaszczonej na rzecznika wyżej wzmiankowanej Społeczności Arkańskiej. – Zwłaszcza fascynująca idea przelotu przez czystą przestrzeń wprost na Marsa.

– Czystą przestrzeń?

– No tak, zapomniałam, że nie śledzi pan stosownych grup dyskusyjnych... „Czysta przestrzeń” to sformułowanie ukute przez Tava na określenie strefy translunarnej, względnie wolnej od bolidów.

– Przez Tava? Tavistocka Prowse’a?

– Tak. Powinien pan kiedyś zajrzeć na jego bloga.

Tav został przysłany na Izzy miesiąc przed Białym Niebem, kiedy ktoś na Ziemi postanowił, że to media społecznościowe staną się spoiwem dla Arki w Chmurze i że Tav doskonale sprawdzi się w roli ich animatora.

– Byłem zajęty. Tav powinien jednak wiedzieć, że w naszych symulacjach niemal na śmierć zajeździliśmy opcję marsjańską, zanim w końcu uznaliśmy, że to nie jest dobry pomysł. – Doob widział, że Julia szykuje się do riposty, ale nie miał dość cierpliwości, żeby jej słuchać. – Ktokolwiek na poważnie doradza nam podróż na Marsa, chyba... – Wolał nie mówić, co sobie pomyślał, bo pomyślał „pali crack”, zadowolił się więc inną wersją: – Zapomina o realiach. Jeden wybuch na Słońcu w niewłaściwym momencie i wszyscy zginą.

– Tylko jeśli wszyscy polecą.

– Jeżeli rozważasz wysłanie na Marsa ograniczonej liczebnie ekipy, zastanów się nad tym, ile sprzętu i zapasów będzie mogła ze sobą zabrać.

– Jestem przekonana, że wielu utalentowanych arkan chętnie zgłosiłoby się na ochotnika do takiej skromnej, nielicznej awangardy. Pokusa czystej przestrzeni jest silna.

– Cóż, na razie nie jesteśmy w czystej przestrzeni, tylko w brudnej, i to na niej powinniśmy się skupić, zamiast bić pianę o wycieczkach na Czerwoną Planetę.

– Nie musi mi pan o tym przypominać.

– To prawda. Bolid na twoich oczach zgładził twojego przyjaciela i współpracownika, Pete’a Starlinga. Widziałem na Spacebooku twój post na ten temat. Niezwykłe wzruszający. Teraz jednak wyczuwam jakieś „ale”.

– Kiedy kolejne dni upływają bez poważniejszej katastrofy, ludzie zaczynają się zastanawiać, jak bardzo brudna jest ta przestrzeń wokół nas. Rośnie zainteresowanie scenariuszem Porzuć i Wiej. Białe Niebo wydaje się dziś odległe jak historia antyczna; trwa Kamienny Deszcz. Codziennie dokonujemy jednej, dwóch korekt kursu, żeby uniknąć zderzenia z dużym bolidem; codziennie następuje też seria pomniejszych wypadków, ale liczba ofiar śmiertelnych utrzymuje się na poziomie...

– Osiemnastu – odparł Doob. – Dziesięć minut temu straciliśmy miniarkę numer 52. Jak widzisz, staram się być na bieżąco.

– To przykra wiadomość. Jestem pewna, że cała SA podzieli moje odczucia, gdy tylko ta informacja zostanie podana do publicznej wiadomości.

– Julio, do ciężkiej cholery, ta informacja jest dostępna w arkuszu kalkulacyjnym; wystarczy do niego zajrzeć. Nikt tu nie podaje niczego do wiadomości. To nie Biały Dom.

– A jednak pod wieloma względami do złudzenia przypomina Biały Dom. Orbitalny Biały Dom, w żaden sposób niespętany konstytucyjnymi mechanizmami kontroli. Tyle że Biały Dom miał przynajmniej centrum prasowe, które dystrybuowało informacje. Z przyjemnością bym się...

– Dlaczego w ogóle ze mną o tym rozmawiasz? – przerwał Julii Doob.
– Jestem astronomem, do kurwy nędzy. – W tym momencie: nagła myśl. – Ile takich rozmów ze zwymieszami zaplanowałaś? – Do tej pory zakładał, że wyróżniła go jako kogoś wyjątkowego, ale przecież równie dobrze mogła mieć listę rozmówców długą jak jej ręka, przyszykowaną przez tych pracowitych młodziaków w tle. – U nas szefową chwilowo jest Ivy.

– Jestem zaznajomiona z tą tymczasową hierarchią dowodzenia – odparła Julia. – A wracając do pańskiego pytania, doktorze Harris, rozmawiam z panem właśnie dlatego, że jest pan astronomem; człowiekiem najlepiej przygotowanym do tego, żeby odpowiedzieć na pytania i rozwiązać wątpliwości SA na temat natury zagrożenia, jakie stanowi brudna przestrzeń. Wiadomość o miniarce numer 52 z pewnością doprowadzi do zakwestionowania aktualnej strategii Izzy.

– To kwestia statystyczna. Mniej więcej w dniu A+0.7 zagadnienie z dziedziny mechaniki newtonowskiej przerodziło się w problem natury statystycznej i tak już zostało. Wszystko sprowadza się do rozkładu rozmiarów bolidów i orbit, po jakich się poruszają, oraz zmian tych rozkładów w czasie. A te informacje możemy zdobyć wyłącznie na drodze obserwacji i ekstrapolacji. I wiesz, co ci powiem, Julio? Nawet gdybyśmy znali dokładne wartości wszystkich tych parametrów statystycznych, i tak nie bylibyśmy w stanie przewidzieć przyszłości, ponieważ w naszym wypadku „n” równa się jeden. Jest tylko jedna Arka w Chmurze. Tylko jedna Izzy. Nie możemy powtórzyć eksperymentu

tysiąc razy i przeanalizować zmieniających się wyników; jeden przebieg musi nam wystarczyć. A ludzki umysł nie radzi sobie najlepiej w takich sytuacjach. Dostrzegamy prawidłowości tam, gdzie ich nie ma. Doszukujemy się sensu w przypadkowości. Jeszcze przed chwilą powątpiewałaś w to, czy brudna przestrzeń naprawdę jest aż tak brudna, w sposób oczywisty agitując za opcją Porzuć i Wiej. Odkąd jednak powiedziałem ci o miniarce numer pięćdziesiąt dwa, zaczynasz zmieniać kurs. Nie pomagasz, Julio. Nie pomagasz.

Uwagi Dooba chyba nie robiły na Julii spodziewanego wrażenia, bo tylko zmrużyła oczy i lekko pokręciła głową.

– Nie rozumiem, skąd taka gwałtowna reakcja, doktorze Harris.

– Koniec rozmowy – odparował Doob i się rozłączył.

Zwalczył pokusę grzmotnięcia tabletem o stół, rozsiadł się wygodnie na krześle i pierwszy raz od dłuższego czasu spojrzął Luisie w oczy. Właściwie miał ochotę patrzeć na nią przez cały czas trwania rozmowy, wiedział jednak, że Julia by to zauważyła i domyśliła się, że jest z nim w pokoju ktoś jeszcze, kto słucha w milczeniu.

Najprawdopodobniej tak samo jak po jej stronie.

Luisa siedziała bez słowa, włączywszy tryb cierpliwie słuchającego psychologa.

– Byłoby łatwiej – zaczął Doob – gdybym wiedział, co ona knuje, do diabła.

– Zakładasz, że ma jakiś plan – odparła Luisa. – A ja w to wątpię. Napędza ją dążenie do władzy. Dopiero kiedy ją zdobędzie, znajdzie dla niej jakieś racjonalne uzasadnienie.

Doob przysunął sobie tablet i zaczął szukać bloga Tava.

– Jak ci się wydaje – zagadnął – w jakim stopniu przedstawia nam fakty odnoszące się do SA, a w jakim kreuje rzeczywistość, którą opisuje?

– A jaka to różnica?

* * *

Dinah podniosła wzrok i stwierdziła, że Ziemia osiągnęła rozmiary grejpfruta. Zdrzemnęła się, coś przegryzła, po czym znów przypięła się

do fotela pasami i wróciła do pracy. Kiedy ponownie wyjrzała na zewnątrz, Ziemia miała średnicę piłki do koszykówki – czyli niby nadal niezbyt wielką, ale przy szybkości, jaką rozwijali, dzieliła ich od niej zaledwie godzina lotu.

W części wspólnej *Ymira* – pełniącej na tej niezgrabnej jednostce rolę mostka – odbyła się ostatnia odprawa.

Z różnych części modułu sterowniczego Dinah wyciągnęła trzy płaskie monitory, które następnie przymocowała plastikowymi obejmami do stołu. Ekran były wypełnione nakładającymi się okienkami różnych rozmiarów: były wśród nich okna terminali, zajęte przez logi lub edytory kodu, ale większość stanowiły przekazy z kamer robotów uczestniczących w operacjach górniczych. Tylko jedno okno pokazywało obraz z zewnątrz *Ymira*: Dinah ulokowała niepotrzebną jej zmijkę na rufie, po stronie nadiru, i skierowała jej kamerę na Ziemię. Nie licząc tej jednej kamery, cała jej „kontrola stanu” miała się sprowadzać do obserwacji wskazań programu nawigacyjnego, wyświetlającego (w niedużym oknie) trójwymiarowy obraz Ziemi z trajektorią *Ymira* nałożoną w postaci krzywej geometrycznej. U dołu tego okienka wykresy ilustrowały zmiany prędkości i wysokości lotu. W tej chwili *Ymir* rozwijał prędkość około sześciu tysięcy metrów na sekundę; jeszcze dwie godziny wcześniej były to cztery tysiące metrów na sekundę, ale w ciągu najbliższej godziny – jeżeli załoga nie podejmie żadnych działań – prędkość ulegnie podwojeniu, a następnie zacznie się obniżać: *Ymir* przeleci przez perygeum i pomknie w kosmos.

Przy tej prędkości wróćą prosto do punktu L1 – chyba że Jiro wywiąże się ze swojego zadania polegającego na spowolnieniu *Ymira*. Zadowolwszy się zaledwie jednym monitorem, który ulokował na stole po przeciwnej stronie tryptyku Dinah, miał z tego miejsca sterować pracą reaktora. Na razie bawił się w częściowe usuwanie moderatora, żeby się zorientować, jak szybko rozkręci reaktor na pełną moc, gdy będzie mu na tym zależało. Błąd w obliczeniach w tym właśnie elemencie doprowadził wcześniej do uszkodzenia pręta paliwowego, które stało się – pośrednio – przyczyną śmierci Seana. Tym razem Jiro wolał uniknąć podobnych niespodzianek.

Jakiś czas przed osiągnięciem perygeum – jeśli tylko Markus uzna, że wszystko idzie zgodnie z planem – Jiro wyda komendy, po których

reaktor wygeneruje pełną moc około czterech gigawatów. Lód się stopi i przekształci w przegrzaną wodę, para z rykiem buchnie przez gardziel w głąb dyszy, w której ulegnie schłodzeniu i przemieni się w naddźwiękową wicherę, białą lancę zimnego ognia wyhamowującą ruch olbrzymiego statku – nie aż tak, żeby *Ymir* spadł w atmosferę i tam szczył, lecz na tyle skutecznie, by upodobnić jego orbitę do orbity Izzy. Przyspieszenie wsteczne, jakiemu zostanie poddany *Ymir*, załoga odczuje jako namiastkę ciężenia. Wszystko, co w tej chwili latało luzem po pokładzie *Ymira* i *New Cairda*, spadnie „w dół”. Dinah i Jiro opadną na ustawione przed monitorami krzesła, podobnie jak Markus, który u szczytu stołu uwił sobie własne gniazdko z tabletów i monitorów, w większości przedstawiających dane nawigacyjne. Na *New Cairdzie* Sława zostanie przyciśnięty do leżanki przeciążeniowej w niewygodnej, skośnej pozycji. Przeciężenia powinny być nieduże, bo nawet czterogigawatowy napęd nuklearny nie może łatwo stawić czoła tak olbrzymiej masie lodu. Jeżeli ich „ciężar” utrzyma się przez dłuższy czas na stałym poziomie, będzie to znak, że wszystko idzie zgodnie z planem; gdyby jednak systematycznie się zwiększał, najprawdopodobniej będzie to oznaczało ich rychłą śmierć, ponieważ jedynym czynnikiem, który mógł dodatkowo spowolnić *Ymira* i zwiększyć pozorny ciężar ciał załogi, był kontakt z atmosferą. Im bardziej wyhamują, tym głębiej się w niej zanurzą. Im głębiej się zanurzą, tym gęstsze będzie powietrze. Im gęstsze powietrze, tym większą siłą będzie oddziaływało na statek, i to właśnie oddziaływanie załoga odczuje jako zwiększenie ciężaru. Tego rodzaju wykładnicza spirala doprowadziłaby w końcu do zniszczenia *Ymira*, *New Cairda* i wszystkich na ich pokładzie, a wtedy jedyną niewiadomą pozostałby rodzaj ich śmierci. Na pokładzie mniejszej, lżejszej jednostki najprawdopodobniej spłonęliby żywcem. Tutaj jednak, otoczeni lodem, najpierw powinni stracić przytomność od nadmiernych przeciążeń, a wtedy śmierć byłaby stosunkowo bezbolesna. Dubois Harris i Konrad Barth, obserwujący ich z odległości kilkuset kilometrów, zobaczyliby ich jako błękitną smugę nad południową półkulą i przekazali tę informację Ivy, żeby ta mogła wygłosić stosowne oświadczenie skierowane do całej Arki w Chmurze. Na ile Dinah ją знаła, Ivy zawczasu przygotowała takie oświadczenie – ot tak, na wszelki wypadek.

To było dziwne uczucie, być tak blisko nich pod względem odległości, a zarazem tak daleko w nieintuicyjnej przestrzeni delta V. Łączność z Izzy działała teraz znakomicie i Dinah musiała świadomym wysiłkiem woli powstrzymać się od wysyłania esemesów i korzystania ze Spacebooka. *Do zobaczenia wkrótce. Uściski* – napisała do niej Ivy. Dinah odpisała jej w podobnym tonie, po czym zamknęła okno komunikatora.

Wiaczesław wkładał właśnie niebieski kombinezon termiczny noszony pod skafandrem kosmicznym. Dinah miała świadomość, że to tylko zabezpieczenie z jego strony, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu musiał pilnie wyjść „na zewnątrz”. Kombinezon trzymał na stałe w służbie *New Cairda*, żeby w każdej chwili móc wyjść w otwartą przestrzeń; Dinah zostawiła w odwodzie dwa krabochwyty, które miały mu pomóc się przemieszczać.

Markus bywał bezceremonialny; taki już miał styl dowodzenia. W ten sposób dawał innym do zrozumienia, że oczekuje od nich, by wykonywali swoje zakichane obowiązki bez umoralniających gadek na wstępie i gratulacji na zakończenie. Nie wszystkim to odpowiadało, niektórzy lubili odrobinę ceremonii – ale takich nie zabrał na tę wyprawę. Dlatego chwila, w której akcja na dobre się zaczęła, nie była w żaden sposób wyróżniona. Po prostu coraz bardziej zbliżali się do Ziemi. Sława błyskawicznie wspinał się po drabince pod szczyt modułu sterowniczego, a minutę później zameldował, że siedzi przy sterach *New Cairda*. Jiro odczytywał na głos kolejne etapy rozruchu reaktora, od czasu do czasu podsuwając interpretację przedstawianych danych:

– To trochę szybciej, niż się spodziewałem... teraz się stabilizuje... zgodnie z planem... gotowe... czekam na rozkaz...

I tak dalej.

Udział Markusa sprowadzał się do obgryzania paznokci i uporczywego wpatrywania się w ekran. Od czasu do czasu wyciągał rękę, żeby wpisać coś na klawiaturze albo przeciągnąć palcem po ekranie tabletu. Obowiązki Dinah były niemal zupełnie abstrakcyjne, znacznie oddalone od spraw w oczywisty sposób ważnych – tym bardziej więc starała się na nich skoncentrować, ignorując dźwięk tysiąca luźnych przedmiotów osiadających na „podłodze” *Ymira* w miarę „włączania się” ciążenia, na które składały się coraz większy ciąg silnika i narastający opór powietrza.

– Teraz – powiedział Markus.

– Przyjąłem – potwierdził Jiro. – Pręty moderatora reagują zgodnie z programem... i mamy moc krytyczną.

W ciągu następnych kilku sekund silnik dał z siebie pełne cztery gigawaty – dość, by zasilić całe Las Vegas. Dinah odczuła to jako znaczący wzrost ciężaru i usłyszała jako kakofonię skrzypnięć, jęków i trzasków, gdy moduł sterowniczy i otaczający go lód zostały poddane naprężeniom strukturalnym. Na ekranach efekt objawił się jako gwałtowna zmiana w tych okienkach, w których przez ostatnie kilka godzin frustrująco niewiele się działo. Przenośniki zawirowały i zasobniki, od tygodni balansujące na granicy przepełnienia, zaczęły się opróżniać w szokującym tempie. Dwa z robotów, które służyły jej za „oczy”, spadły lub ześliznęły się ze swoich stanowisk, co przejawiało się w nagłych i niekorzystnych zmianach punktu widzenia ich kamer. Dinah włączyła program, który wszystkim robotom we wnętrzu lodowej bryły nakazywał jak najszybciej dostarczać lód do zasobników, i jednym okiem śledziła poprawność tego procesu, próbując jednocześnie monitorować stabilność strukturalną lodu jako całości. W tradycyjnych warunkach górnicy od początku do końca pracowali przy normalnym ciężeniu, toteż uchybienia strukturalne w kopalniach objawiały się dość wcześnie – i dość dramatycznie – pod postacią zawałów. *Ymir* był kopalnią poddawaną „ciężeniu” tylko w krótkich okresach działania napędu, pozostawała więc niepewność, czy zniecka cała się nie zawali. Na razie jednak trzymał się wyśmienicie.

– Bardzo ładnie wytracamy prędkość – mruknął niewyraźnie Markus znad ogryzka paznokcia.

Rzut oka na wykresy pozwolił Dinah potwierdzić jego słowa. Czas płynął szybciej, niż sądziła: od perygeum dzieliły ich już tylko minuty. „Bardzo ładnie” w ustach Markusa oznaczało „dostatecznie szybko, żeby coś zmienić, ale nie aż tak, żeby nas zabić”.

– Sława? – odezwał się ponownie Markus. – Trzysekundowy impuls, proszę.

– *Da* – odparł Rosjanin i parę sekund później dodał: – Zaczynam.

Nie zorientowaliby się, że Sława cokolwiek zrobił, gdyby nie obraz z kamery umieszczonej przez Dinah na zewnętrznej powierzchni lodu i wycelowanej – z pewnej odległości – na *New Cairda*. Z dzwonowatej

dyszy silnika dobył się upiornie błękitny rozbłysk, gdy impuls pchnął dziób *Ymira* w dół, tym samym lekko podnosząc jego rufę.

Ymir zadygotał lekko. Dinah nie wiedziała, co o tym myśleć. Obawiała się, że mogło dojść do zawału, dopóki nie rozpoznała skutków zjawiska, którego nie spodziewała się już kiedykolwiek doświadczyć: lotu w atmosferze. Tak blisko powierzchni Ziemi nie była od czasu, gdy niemal rok przed Dniem Zero rakieta wyniosła ją na orbitę.

Jeżeli przez najbliższe minuty nie wydarzy się nic złego, nigdy więcej tak się do niej nie zbliży.

Dygotanie nie trwało długo. Drobne falki na wykresach odsuwały się w przeszłość.

– Odbiliśmy się – powiedział Markus. – Spodziewam się, że zrobimy to jeszcze przynajmniej raz.

– Przenośniki numer cztery i jedenaście zastopowane – zameldował Jiro. – Spróbuję je puścić wstecz, może się odblokują.

Dinah otrząsnęła się z zadumy. Rzutem oka oceniła stan zapelnienia zasobników: spadał bardzo szybko, mimo starań dostarczających lód robotów. Tylko te dwa, o których wspomniał Jiro, były przepełnione. Unieruchomione przenośniki nie mogły ich opróżnić.

Uruchomiła podprogram, w którym część krabochwyków powinna przenieść nadmiar lodu z czwórki i jedenastki do najbliższych niezapełnionych zasobników.

– Impuls dał pożądany efekt – obwieścił Markus – ale trochę za mocno nas rozkręcił. Użyję silników manewrowych do spowolnienia rotacji. To chwilę potrwa.

Wprowadził do komputera komendy, które najprawdopodobniej uruchomiły te z silników *Ymira*, które były skierowane w przeciwną stronę niż główny silnik *New Cairda*.

– Nawiasem mówiąc, właśnie przeszliśmy przez perygeum – dodał. – Mam nadzieję.

Spojrząwszy na wykresy, Dinah stwierdziła, że środkowy etap manewru rzeczywiście mają już za sobą – a jednak, paradoksalnie, wciąż tracili wysokość, szykując się do drugiej (i oby ostatniej!) „kaczki” na powierzchni atmosfery.

– Lecimy jakimś dziwnym kursem – zauważyła.

– To prawda – przytaknął Markus. – Jeżeli przeżyjemy najbliższe kilka

minut, później się to skoryguje.

– Przenośnik numer jedenaście uruchomiony – zameldował Jiro. – Za to dwójka i trójka padły.

– Te przeklęte silniczki są za słabe! – rozzłościł się Markus. – Przesadziłem z kompensacją. Lada chwila czeka nas kolejny ślizg w atmosferze, a my nie dość, że lecimy tyłem naprzód, do jeszcze do góry nogami!

Czyli impuls silnika *New Cairda* rzeczywiście spełnił swoją funkcję: pchnął w dół dziób statku, skierowany w tej chwili ku tyłowi, i podźwignął rufę, uniemożliwiając jej głębsze wrycie się w atmosferę. Za pierwszym razem otarli się o atmosferę szeroką lodową płaszczyzną, wykonując bardzo ładną „kaczkę”, która, być może, uratowała im życie. Kiedy jednak odłamek zaczął się obracać, jego obrót – trudny do wyhamowania – poszedł za daleko. Dziób mierzył teraz stromo w dół, a dysza głównego napędu wprost w przestrzeń kosmiczną.

– Czy to znaczy, że przyśpieszamy w kierunku Ziemi? – zaniepokoiła się Dinah.

– Nie aż tak, żeby nam to zaszkodziło – zapewnił ją Markus. – Utrzymać ciąg.

– Lód mi się kończy – ostrzegł Jiro, spoglądając ponad monitorem na Dinah.

Dinah już wcześniej zapowiadała, że dostarczenie w krótkim czasie materiału pędnego w ilości niezbędnej do uzyskania tak potężnego impulsu będzie niezwykle trudne, i to nawet jeśli wszystko ułoży się idealnie – a nie wszystko się tak układało. Spojrzała Jiro w oczy, pokręciła głową i wróciła do pracy.

– Bądź gotowy do odcięcia ciągu, Jiro – odezwał się Markus. – Schodzimy w gęstsza atmosferę; trudno powiedzieć, co się będzie działo.

Uszy wewnętrzne podpowiadały im, że faktycznie coś się dzieje. Potężny ciąg nadal wciskał ich w fotele, ale zarazem coś złapało *Ymira* za nos i próbowało go odwrócić.

– Uderzyliśmy dziobem – wyjaśnił Markus – i po odbiciu mamy rotację wsteczną. Odcięcie głównego ciągu za trzy... dwa... jeden... Teraz!

Nuklearny silnik parowy nie wyłączył się w jednej chwili. W odpowiedzi na wydawane przez Jiro komendy ciąg osłabł i zaczął powoli wygasać, ale potrzebowali blisko minuty, żeby na pokładzie

znów zapanowała nieważkość. Znaleźli się na swobodnej orbicie, niepoddani działaniu żadnych sił.

– Za chwilę podam nasze nowe parametry orbitalne – zapowiedział Markus. – Koziółkowanie utrudnia obliczenia.

W ciszy, która zapanowała po wyłączeniu silnika, Dinah usłyszała odległe piskliwe pokrzykiwania... i zdała sobie sprawę, że dochodzą z otwartego kanału audio łączącego ją z Izzy, a ściśle rzecz biorąc – ze słuchawek, które podczas manewrów orbitalnych ściągnęła z głowy. Słyszała rozmowy ludzi w Cysternie. Nałożywszy słuchawki, stwierdziła, że tamci świętują.

* * *

– Wykręciliście zarąbiste delta V! – wykrzyknął Doob, usłyszawszy w słuchawkach głos Dinah. – Należą się wam gratulacje.

Reakcja Dinah, która przyszła z kilkusekundowym opóźnieniem, była ostrożna:

– Ale... nie dość zarąbiste?

Dziwnie było usłyszeć jej dobrze znajomy głos modulowany przez staroświeckie łącza. Jakby słyszał Dinah parodiującą Buzza Aldrina na imprezie. Niuanse emocjonalne przenosiły się lepiej i wyraźniej niż słowa.

– Konrad jeszcze liczy wasze nowe paramy – odparł Doob – ale wystarczy rzucić okiem, żeby widzieć, jak bardzo wyhamowaliście. Kapitalna sprawa.

– Czyli wygląda na to, że potrzebny będzie jeszcze jeden nawrót – stwierdziła Dinah.

Miała na myśli kolejną pętlę *Ymira* wokół Ziemi i jeszcze jeden strzał z silnika w perygeum orbity, żeby zwolnić na tyle, by spotkać się z Izzy.

– Ale teraz perygeum może być wyżej – zauważył Doob. – Nie będziecie musieli znowu nurzać się w tej zupie.

– Stresuje mnie latanie tą bryłą lodu – przyznała Dinah.

– Szklanka jest w połowie pełna, moja droga. W połowie pełna. Odpaliliście silnik. Udało się. Odbiliście się od atmosfery. Bardzo się do nas przybliżyliście; Konrad mówi, że wasze apogeum na pewno wypada

w przestrzeni podksiężycowej. – Czyli *Ymir* odwróci się i zacznie spadać na Ziemię, zanim osiągnie orbitę dawnego Księżyca. – To wielka rzecz. Kompletnie zmienia sytuację polityczną.

– Polityczną? – powtórzyła po długiej chwili milczenia Dinah, jakby nie wierząc własnym uszom.

* * *

– Zdaję sobie sprawę, że Ivy nie słucha waszych pomysłów – zaczęła Julia, gdy tylko Spencer odłączył miniarkę nr 453 od Sieci Kontroli Stanu. – Domyślam się również, że dołożyła wszelkich starań, żeby uniemożliwić wam przybycie na to spotkanie.

Marsjanie – doktor Katherine Quine, Ravi Kumar i Li Jianyu – byli nieco skonsternowani. Podróż pomiędzy miniarkami zawsze była skomplikowana. Oczekiwanie na niezbyt pilny lot rupieciem trwało około dwóch dni, w dodatku sytuacje awaryjne potrafiły w ostatniej chwili poprzestawiać kolejkę. Należąca do zwymieszów doktor Quine miała z nich wszystkich najbardziej uprzywilejowaną pozycję: jako lekarka na dyżurze często uczestniczyła w pilnych wypadach do miniarek. Była o jakieś dziesięć lat starsza od Raviego i Jianyu, wybranych w Rozdzieleniu Losów w – odpowiednio – Indiach i Chinach i razem skierowanych do miniarki 303, która stała się ośrodkiem agitacji marsjańskiej. Trzysta trójka wchodziła w skład triady, której łączna populacja liczyła osiemnaście osób; ponieważ połowa tej osiemnastki właśnie przechodziła gripę, Katherine Quine miała wszelkie powody, by się tu znaleźć. Korzystając z okazji, zgarnęła Raviego i Jianyu i razem przybyli na spotkanie. Ze wszystkich uczestniczących w nim ludzi doktor Quine była chyba najmniej skłonna składać powolność transportu pomiędzy miniarkami na karb mrocznych knowań Ivy. Co innego Ravi i Jianyu, którzy – z różnych powodów – byli niezwykle podatni na sugestie Julii w tej kwestii. W innych okolicznościach doktor Quine mogłaby się z nią spierać, ale czasu było mało i nie warto było go tracić na przekonywanie Julii do racji aktualnego dowództwa Arki w Chmurze. Doktor Quine darowała więc sobie sprzeciw – a zresztą, zanim wszystko to sobie przetrawiła, Julia już mówiła dalej:

– Biorąc to pod uwagę, jestem wam tym bardziej wdzięczna, że podjęliście tę uciążliwą i ryzykowną podróż, żeby spotkać się ze mną osobiście. Jestem przekonana, że kiedy od dzisiejszego dnia upłyną stulecia, młodzi Marsjanie w szkołach na Czerwonej Planecie będą się uczyć z podręczników historii (lub z tego, co podręczniki historii zastąpi) o tym spotkaniu i jego skutkach.

Ravi Kumar uniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym.

– Może, zamiast uczyć młodzież w szkołach – zasugerował – należałoby odrzucić tradycyjne struktury masowej edukacji i zastosować bardziej osobiste, zindywidualizowane podejście do ucznia? Nie ma sensu powtarzać na Marsie błędów z Ziemi.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – przytaknęła Julia. – A tego rodzaju świeże pomysły dodatkowo podsycają we mnie chęć przerwania na Marsa jak największej liczby ludzi w jak najkrótszym czasie. Od czego zaczniemy? Czego wymagałoby wysłanie ekipy zwiadowczej na Marsa?

Drugi raz w ciągu ostatnich dwóch minut doktor Quine lekko się zaniepokoiła. Rozejrzała się po wnętrzu miniarki nr 453, centralnej jednostki w heptadzie, w której skład wchodziły między innymi arki nr 174 (mieszkanie Julii i Camili) oraz nr 215 (dom Spencera Grindstaffa) – tak przynajmniej wynikało z oficjalnych rejestrów, bo po drodze nastąpiły pewne przetasowania. Wszyscy mężczyźni i kobiety z tych dwóch miniarek zaczęli się z czasem uważać za członków osobistego sztabu JBF, przejęli arkę nr 453 i zrobili z niej coś w rodzaju Zachodniego Skrzydła Białego Domu.

– Zakładając, że bylibyśmy w ogóle władni zorganizować taką misję...
– zaczęła Quine.

– Za pozwoleniem, pani doktor, od razu wejdę pani w słowo. To sprawa stricte polityczna, ja zaś uważam prowadzenie polityki za swoją wyłączną „supermoc”, którą jestem gotowa służyć pani i wszystkim pozostałym członkom Społeczności Marsjańskiej: tym, o których już pani wie; tym, którzy po cichu z nami sympatyzują; a także tym, którzy mogą się do nas przyłączyć, gdy tylko dotrze do nich, jak wielce rozumnym pomysłem jest wyprawa na Marsa. Proponuję zatem, byśmy na potrzeby naszej małej pogawędki przyjęli, że uprawnienia nie stanowią problemu. Chciałabym, żebyście we troje użyli swoich własnych „supermocy” do zaplanowania tej misji w sensowny sposób,

nie zaprzatając sobie głowy jej aspektami politycznymi. Kiedy będziemy mieli spójny plan, przejdziemy do jego implementacji.

– W scenariuszu idealnym po prostu odrzucilibyśmy skałę i zabrali wszystko naraz – powiedział Jianyu. Odezwał się pierwszy raz, najwyraźniej zachęcony wzmianką Julii o supermocach.

– Takie rozstrzygnięcie wymagałoby przekonania potężnych, wpływowych sił – odparła Julia. – Dlatego pomyślmy raczej o awangardzie: ekipie niezbyt licznej, ale sprawnej, skutecznej i zarazem dostatecznie dużej, żeby zrobiła, co do niej należy. Czyli wylądowała na Marsie i zameldowała o tym Arce w Chmurze.

– Rozmawialiśmy już o tym – wtrąciła Katherine. – Naszym zdaniem dałoby się to zrobić w bolas złożonym z triady i heptady.

– Dziesięć miniarek – podsumowała Julia. – Niewiele, prawda?

– W początkowej fazie lotu poddane delta V arki byłyby połączone na sztywno – sprecyzował Ravi. – Dopiero później, po obraniu kursu na Marsa, utworzyłyby bolas, żeby członkowie ekspedycji mogli podczas trwającego sześć miesięcy lotu doświadczać ziemskiego ciężenia.

– Napęd i inne komponenty mogłyby pochodzić z prefabrykatów do budowy empudów – dodał Jianyu. – W ten sposób mielibyśmy z głowy większość prac projektowych.

– Pod koniec będzie konieczne hamowanie aerodynamiczne – zauważyła Katherine. – Wcześniej należałoby skrócić bolas, znów połączyć miniarki na sztywno, po czym zbadać z orbity powierzchnię planety i wybrać dobre miejsce do lądowania.

Julia pokiwała głową.

– Pozwólcie, że zadam wam jedno bardzo trudne pytanie: jak długo przetrwa taka osamotniona kolonia? Na jak długo wystarczy jej zapasów?

Troje Marsjan zamilkło i spojrzało po sobie.

– Pytam tylko dlatego – ciągnęła Julia – że to tutaj właśnie polityka, moja specjalność, znów podnosi swój wstrętny łeb. Kiedy wy dokonacie heroicznych czynów, na moich barkach spocznie odpowiedzialność za ciąg dalszy, jeśli można tak powiedzieć. Pierwsi koloniści lądują, przysyłają radosną wiadomość... i wtedy w tle zaczyna rozbrzmiewać tykanie zegara. Nie ma w tym nic złego; presja czasu potrafi mobilizować ludzi do ogromnego wysiłku, co sami widzieliśmy podczas

przygotowań do Kamiennego Deszczu. Wtedy właśnie będę mogła zwrócić się do mieszkańców Arki w Chmurze i powiedzieć: „Oto nasza szansa. Wykorzystamy ją? Czy odrzucimy i skażemy tych dzielnych ludzi na powolną śmierć?”. Uważam, że w tego rodzaju przemowie potrafię być niezwykle przekonująca, ale muszę mieć jakieś pojęcie o ograniczeniach czasowych.

– Rok na pewno – odparła Katherine. – Później to będzie kwestia medyczna. I statystyczna.

– Statystyka... – Julia westchnęła. – Doktor Harris co rusz mi o niej przypomina.

* * *

– Chcecie mi powiedzieć, że nie wiemy, kto mieszka w heptadzie JBF?
– spytała Ivy.

Przy stole konferencyjnym w Bananie zapadła cisza. Ivy wprowadziła obyczaj zwoływania ważnych zebrań w tym właśnie miejscu, znajomym, położonym bliżej osi Komina i zarazem bliżej ochronnej tarczy Amalthei. Głupio by wyszło, gdyby jedno przypadkowe trafienie meteorytu zmiotło całą wierchuszkę Arki w Chmurze, a podczas spotkań w rozległych wnętrzach T3, takich jak Cysterna czy Ferma, ryzyko było znacznie większe.

W zebraniu uczestniczyli Doob, Luisa, Fiodor i triumwirat starannie wybranych członków sztabu Markusa pełniący funkcje wykonawcze władzy: Sal Guodian, jednoosobowy wymiar sprawiedliwości; Tekla, szefowa ochrony; oraz Steve Lake, rudzielec z dredami odpowiedzialny za sieć i wszelkie inne sprawy związane z komputerami.

– System śledzenia ruchów populacji – zaczął Sal – opiera się na założeniu, że ludzie będą z nim współpracować.

Ivy uciszyła go gestem.

– Stop. Zanim wdacie się w wyjaśnienia, potrzebuję odpowiedzi: tak czy nie?

– To prawda – przytaknął Steve Lake. – Nie wiemy, kto mieszka w heptadzie JBF.

– Dziękuję. Jak to możliwe, że SKS nie pomaga nam wypełnić tej luki

w naszej wiedzy?

– Jednym z ludzi, o których z całą pewnością wiadomo, że są obecni w tej heptadzie, jest Spencer Grindstaff – odparł Steve.

Ivy pokiwała głową.

– Steve? – odezwał się Sal. – Kiedy Markus cię tu ściągnął, tuż przed Białym Niebem, i kazał ci zastąpić Spencera w zarządzaniu siecią, wspomniałeś coś o tym, że Spencer może znać jakieś tylne wejścia do systemów komputerowych Izzy. Takie, o których istnieniu nie będziesz wiedział, dopóki ich nie użyje.

– Bo tak jest. Taka luka jest niemal z definicji niemożliwa do wykrycia, dopóki ktoś jej nie wykorzysta. Trzeba by przeczytać cały kod, linia po linii.

– Myślisz, że Spencer zna takie tylne wejście do SKS?

– Coś na pewno z nią robi, bo odkąd się tam pojawił, miniarki tworzące heptadę JBF zaczęły od czasu do czasu znikać z sieci. Kiedy JBF zwołuje zebranie i nie chce, żebyśmy o tym wiedzieli, Spencer wszystko odłącza.

Ivy przetrwała słowa Steve'a, po czym spojrzała ponad stołem na Teklę i skinęła głową. Tekla wstała (ostrożnie, ponieważciążenie w Bananie było słabiotkie) i podeszła do drzwi. Otworzyła je i skinęła na czekającego po ich drugiej stronie Zeke'a Petersena, żeby wszedł do środka.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała Ivy.

Przerwała w ten sposób okres ciszy, w którym Zeke zdążył zająć miejsce naprzeciw niej, przy drugim końcu stołu. Ivy patrzyła na niego „do góry”, jakby wzdłuż skoczni narciarskiej; on tak samo widział ją.

– Jak za dawnych czasów, pani Xiao – powiedział Zeke.

– Doceniam twoją lojalność. To musi być dla ciebie trudna sytuacja.

– Wcale nie. Kiedy rozpoczął się Kamienny Deszcz i Markus wygłosił to swoje oświadczenie, to o nieistnieniu ziemskich państw... Wziąłem je sobie do serca. Julia go nie słyszała. Nie zrozumiała przekazu.

– Podobno Spencer potrafi odłączyć heptadę od SKS.

– Potwierdzam. – Zeke skinął głową. – Widziałem to na własne oczy. Odbyliśmy wtedy bardzo dziwną rozmowę; mam wrażenie, że próbowali wysondować, czy dam się zwerbować. Julia zwracała się do

mnie w taki sposób, jakbym już był po jej stronie; jakby nie mieściło jej się w głowie, że mógłbym nie być. To całkiem niezła technika perswazji, prawie dałem się nabrać. Ale kiedy wróciłem i się z tym przespałem, dotarło do mnie, że to jakiś obłąd.

– Miałeś wrażenie, że jesteś jedyny? Czy że Julia ma całą listę takich potencjalnych rekrutów?

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ma listę. Chociaż niezbyt długą.

Ivy pokiwała głową. Nie musiała mówić tego na głos: JBF mogła już zwerbować innych, o których nie mieli pojęcia.

– To się składa w całość z tym, co ja widziałem – wtrącił Doob. Zerknął na Luisę i poczekał na jej skinienie głową. – Moim zdaniem to zwykła oportunistka. Sonduje ludzi, wciąga ich w rozmowy, robi aluzje, szuka słabych punktów...

– Zwariowała? – spytała Ivy Luisę.

– Na dobrą sprawę nie ma to żadnego znaczenia. Sprawia kłopoty, to jest najważniejsze. Ewentualna diagnoza psychiatryczna niczego nie zmieni.

– Mogłaby zmienić nasze podejście.

– Jest z natury narcystyczna. Zastrzegam, że to nie jest oficjalna diagnoza, ale sądząc po tym, co opowiadałyście ty i Dinah, lot na Izzy był dla niej potężną traumą. Straciła męża i dziecko, połała się krew... Nie trzeba profesjonalisty, żeby podejrzewać, że zмага się z zespołem stresu pourazowego. W związku z tym można się u niej spodziewać mrocznej, paranoicznej wizji świata. Chociaż to akurat mogła mieć od początku.

– Jest nieufna – powiedziała Ivy. – Dopóki ogranicza się do przemawiania do ludzi, niewiele mogą zrobić.

– To prawda – przyznała Luisa. – Na razie buduje sobie bazę polityczną wśród arkan. Jeżeli wystąpisz przeciwko niej tylko dlatego, że dużo rozmawia z ludźmi, dasz jej dokładnie to, czego chce. Za to próba nawiązania bliższego kontaktu z arkanami dobrze by ci zrobiła.

– Jediną odpowiedzią na politykę jest polityka – odparła z westchnieniem Ivy. – A ja się do tego nie nadaję.

– Czyny, nie słowa – wtrącił Zeke. – To się naprawdę liczy. Kiedy przyleci *Ymir*, odniesiecie z Markusem taki sukces, że w porównaniu z nim JBF i jej koteria wydadzą się żalodne.

* * *

– Być może nie jest to moja specjalność – przyznała Julia po długim namyśle – ale wydaje mi się, że mamy tu do czynienia ze zdumiewającym zbiegiem okoliczności.

– Proszę mówić dalej, pani prezydent – nalegała Camila. – Może dla pani jest to oczywiste, może dla innych również, ale na przykład ja tego nie widzę.

Julia spojrzała na Katherine Quine.

– Jeżeli dobrze zrozumiałam, kluczowymi elementami proponowanej wyprawy na Marsa są heptada, w której będą mieszkali członkowie ekspedycji podczas rejsu, oraz triada pełniąca rolę magazynu materiału pędnego i innych rzeczy. To całkiem nieźle pasuje do naszych mocnych stron. – Prychnęła skromnym śmiechem. – „Naszych”, tak? Co chciałam przez to powiedzieć? Być może posuwam się za daleko, ale sojusz Marsjan i Społeczności Arkańskiej wydaje mi się czymś naturalnym; czymś na kształt koalicji buntowników, jeśli można tak to ująć. Nasza heptada bardzo szybko stała się ośrodkiem społecznego poparcia ważnych dla SA kwestii. Można powiedzieć, że w pewnym sensie mamy tu własną heptadę. W podobnym sensie wasza triada – (tu Julia zwróciła się do Ravięgo i Jianyu) – jest ośrodkiem poparcia dla idei marsjańskiej. Macie własną triadę. To zaś oznacza, że dwa główne elementy składowe ekspedycji marsjańskiej są już w naszych rękach. Wystarczy je połączyć.

Ravi kiwał głową.

– Dwóch inżynierów z zespołu empudów chętnie się przyłączy – powiedział. – Pomagali budować *New Cairda* i kusi ich, żeby zmierzyć się z nowym wyzwaniem. Jeden z nich może by nawet z nami poleciał: Paul Freel. Na długo przed Dniem Zero agitował za kolonizacją Marsa.

– Nie chciałabym uderzać w sceptyczne tony, pani prezydent – wtrąciła przysłuchująca się z uwagą Katherine – ale w jakim dokładnie sensie „macie” tę heptadę, a nasi przyjaciele „mają” triadę, w której mieszkają? Być może macie większość wystarczającą do rządzenia, ale...

– Co właściwie znaczy w tym kontekście posiadanie, prawda? To bardzo dobre pytanie, pani doktor, bardzo... głębokie. Cieszę się, że je pani zadała. Natura wielu rzeczy, które wcześniej uważaliśmy za oczywiste, takich jak prawo własności i wolność jednostki, nieco się

rozmyśla po tym, jak Markus ogłosił OUPSA. Albo, mówiąc wprost, stan wojenny. Wracając do pani pytania: moim zdaniem z prawem własności nierozzerwalnie wiąże się możliwość nieograniczonego przybywania i odchodzenia; to właśnie oznacza „posiadanie” miniarki, triady czy heptady.

– W tych kwestiach jesteście związani kolektywnym dyktatem roju – zauważyła Katherine. – To Parametryk decyduje o tym, gdzie i kiedy się udamy.

– Istotnie, to jedno z najbardziej podstępnych narzędzi kontroli społecznej, jakie kiedykolwiek wymyślono.

Katherine nie kryła zdumienia.

– Bez niego doszłoby do katastrofy!

– To właśnie czyni go tak podstępnym: jego istnienie zawsze można usprawiedliwić, odwołując się do kwestii bezpieczeństwa. Wszyscy będziemy niewolnikami Parametryka, dopóki ktoś nie uzna, że są sprawy ważniejsze niż bezpieczeństwo.

– Gdyby nawet ktoś doszedł do takiego wniosku – wtrącił Jianyu, czujnie i z zainteresowaniem śledzący dyskusję – miniarka, o której mowa, musiałaby przejść na ręczne sterowanie. Inaczej nic by się nie zmieniło.

– O ile mi wiadomo, można to zrobić w każdej chwili – odparła Julia. – Czyżbym miała złe informacje?

– Nie – przyznał Jianyu. – Kłopot w tym, że na Parametryku byłoby to bardzo widoczne. Alarmy rozdzwoniłyby się w całej Sieci Kontroli Stanu.

– W takim razie, kiedy przejdziemy do działania, o ile w ogóle do tego dojdzie, będziemy musieli najpierw rozprawić się z SKS.

* * *

Babka Ivy – urodzona w Kantonie, wychowana w Hongkongu i znająca ledwie parę słów po angielsku – rządziła rodziną z mieszkania teściowej ulokowanego nad warsztatem w Resedzie. Zasiadając na posklejanym taśmą rozkładanym fotelu jak na tronie, zakutana w szydełkowane afgany wydawała dekryty, oświadczenia i fatwy, które dla jej rodziny (liczącej trzy tuziny bezpośrednich spadkobierców i ich małżonków,

rozproszonej po całej dolinie San Fernando) miały moc obowiązującego prawa. Żądza pieniądza, pragnienie miłości, potrzeba bezpieczeństwa i inne pospolite motywacje psychologiczne nie były jej wprawdzie zupełnie obce, ale miało się wrażenie, że napędza ją inna siła, niewidoczna, a przez to niezwykle tajemnicza dla większości jej poddanych. Mieszkaniec świata zachodniego byłby skłonny orientalizować ją jako „twarz” albo konfucjański szacunek dla starszych; Ivy nauczyła się rozpoznawać w niej zwykłą chęć zwrócenia na siebie uwagi. Każdy, kto przychodził do domu lub z niego wychodził, musiał się u babki zameldować, przy czym nie wystarczyło wsadzić głowę za drzwi i rzucić „Cześć”: trzeba było usiąść na ratanowym krześle obok tronu, poświęcić kilka minut, zamienić parę słów. Jedynym sposobem babki na wymuszenie przestrzegania tej reguły były tajemnicze i barokowo skomplikowane sposoby wywarcia długofalowej pomsty na winowajcy.

Ivy nagle zdała sobie sprawę, że Julia Bliss Flaherty jest dokładnie taka sama. Przyszpilona i zmuszona do tłumaczenia się objaśniłaby swoje zachowanie w kategoriach jakiegoś altruistycznego planu, w którego prawdziwość mogła nawet wierzyć – ale prawda była zupełnie inna. JBF do złudzenia przypominała babkę Ivy. Tego, kto złożył jej hołd lenny, obdarzała łaskami, a jego reputacja i wpływy wśród jemu podobnych rosły; ten, kto ją zignorował i zesłał do miniarki, stawał się wrogiem jej samej i całej jej kliki. Nie miała realnej władzy, żeby wskórać coś więcej, ale ignorowana dostatecznie długo mogła się stać potężnym nieprzyjacielem. Status eksprezydenta – i to nie pierwszego lepszego eksprezydenta, lecz tego, który nadzorował budowę Arki w Chmurze, a potem użył broni atomowej w jej obronie – przydawał jej wiarygodności wśród arkan, co do których panowała powszechna opinia, że rozbici i zdemoralizowani tylko czekają na przywódcę, który nada im tożsamość i wyznaczy cel. Ivy nie wiedziała już nawet, czy to trafiona ocena, czy tylko samonapędzający się mit rozpowszechniany przez JBF, ale jeżeli nawet był to tylko mit, to właśnie stał się rzeczywistością.

Patrząc na siedzącą po drugiej stronie stołu Teklę, zastanawiała się, czy jest sens jej to wszystko tłumaczyć. Czy rosyjską siedmioboistkę mogła zainteresować opowieść o nieżyjącej kobiecie pochodzącej

z Kantonu i mieszkającej w Resedzie? Czy byłaby dla niej zrozumiała?

Być może. Sęk w tym, że Tekla została wychowana w tradycji, w której szczegóły były pilnie strzeżone i oszczędnie wydzielane tylko wtedy, gdy okazywały się niezbędne. Nadmiar informacji wprawiał ją w zakłopotanie, nudził, a w końcu irytował. Ludzi nazbyt gadatliwych darzyła podobną pogardą, jaką mógłby odczuwać biznesmen w stosunku do utracjusza. Chciała po prostu wiedzieć, co ma robić.

Te same cechy utrudniały przeniknięcie jej myśli – ale w tym nie było nic złego. W dużej organizacji z parawojskową hierarchią dowodzenia nie wszyscy musieli się kumplować i przyjaźnić. Markus doskonale to rozumiał i właśnie dlatego został szefem stacji. Ivy znacznie lepiej sprawdzała się w takich kameralnych operacjach jak zarządzanie Izzy w Dniu Zero; Markus wypadłby w tej roli fatalnie.

– Sprawa Julii to drobiazg – powiedziała. – Detal niewart uwagi. Są inne, ważniejsze. Rozdmuchanie problemu tylko by nam zaszkodziło, bo dałoby Julii większe wpływy, niż na to zasługuje. Kłopot w tym, że nie możemy jej zupełnie zignorować.

Słuchając jej, Tekla kiwała głową. Dobrze.

– Chcę, żebyś odwiedziła jej heptadę – ciągnęła Ivy. – Polecisz tam jako wyznaczona przez Markusa szefowa ochrony stacji. Rozumiesz? To będzie wizyta oficjalna. Wyjaśnisz, że mamy kłopoty z Siecią Kontroli Stanu, które mogą mieć groźne skutki, jeśli się je zaniedba, ale poza tym chcę, żebyś przede wszystkim słuchała. Spodziewam się, że Julia będzie cię chciała przekabacić. Z każdym tego próbuje, a ty byłabyś cenną zdobyczą.

– Jeżeli twoje przewidywania się sprawdzą, jak mam zareagować?

Fakt, że w pierwszej chwili Ivy nie zrozumiała pytania, dowodził jej skrajnej naiwności. Potrzebowała czasu, żeby zrozumieć, co Tekla sugeruje: mogłaby udać, że naprawdę chce się do Julii przyłączyć. Zgłaszała się na ochotnika, że zostanie kretem w siatce Julii.

Tekla beznamiętnie obserwowała twarz Ivy, kiedy ta układała sobie wszystko w głowie.

– Odradzam wszelkie natychmiastowe działanie – odparła w końcu Ivy, nie tyle nieufna, ile raczej onieśmielona.

– Oczywiście nadmierny entuzjazm byłby niewskazany – zgodziła się Tekla. – Wzbudziłby podejrzenia. – Kiedy Ivy nie odpowiedziała, dodała:

– Znam wielu ludzi, którzy tak by właśnie pomyśleli.

W przeciwieństwie do ciebie, moja droga.

– Proponuję, żebyś najpierw złożyła mi raport. Potem podejmiemy decyzję.

– My?

– Ja. Ja podejmę decyzję.

– Dobrze, że spotykamy się właśnie tutaj – powiedziała Tekla. – W Bananie.

– Lubisz to miejsce?

– Nie chodzi o to, czy je lubię – odparła zaskoczona Tekla. – Tu jest bezpieczniej.

– Chodzi ci o holidy, naturalnie.

Tekla pokręciła głową.

– Nie. O Grindstaffa.

Wstała – ostrożnie, żeby nie podfrunąć i nie grzmotnąć głową o sufit – i wyszła, zostawiając Ivy samą z kłębiącymi się w głowie pytaniami. Czy naprawdę właśnie zainicjowała powstanie wewnętrznej siatki szpiegowskiej na pokładzie Arki w Chmurze? Jak to wytłumaczy Markusowi? Przerazi go czy mu zaimponuje? I jak przyjmie jego reakcję, jakakolwiek będzie? I kiedy wreszcie, do stu tysięcy diabłów, wróci Dinah, żeby mogły to obgadać nad flaszką?

I o co właściwie chodziło Tekli w tym ostatnim komentarzu, że w Bananie są bezpieczniejsi przed Grindstaffem? Banan pochodził sprzed Dnia Zero, toteż jego połączenie z SKS było prowizoryczne, toporne. Czyżby Tekla sugerowała, że skoro Spencer jest w stanie tak zhakować SKS, żeby odciąć od niej miniarki Julii, to może potrafi również objąć monitoringiem inne części Arki w Chmurze – w tym Fermę, Cysternę i gabinet Markusa?

Znam wielu ludzi, którzy tak by właśnie pomyśleli, powiedziała. Miała na myśli rosyjskich wojskowych i ludzi z wywiadu, nawykłych do typowego dla ich profesji pokrętnego rozumowania. Może Tekla w przeszłości sama była przygotowywana do roli szpiega. Jeżeli zostanie kretem w siatce Julii, to czy Ivy będzie mogła mieć pewność, że pozostanie uczciwa i lojalna wobec niej, zamiast stać się podwójną agentką?

* * *

Po otarciu się o atmosferę, *Ymir* – oddalający się od Ziemi na swojej nowej orbicie – powoli koziółkował. Dokładne określenie parametrów tej orbity zajęło im od piętnastu do dwudziestu minut. Z obliczeń wynikało, że załodze zostały niespełna cztery godziny na podjęcie działań, które zadecydują o jej przetrwaniu.

Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, impuls silnika nuklearnego spowolniłby *Ymira* do stanu, w którym do spotkania z Izzy wystarczyłoby zastosowanie kilku dodatkowych niewielkich delta V. To się mogło udać, ale nie robili sobie wielkich nadziei. Najlepsze, na co mogli liczyć, to częściowa utrata prędkości i obniżenie apogeum.

Ta liczba – odległość dzieląca ich od Ziemi w najwyższym punkcie orbity – wiązała się bezpośrednio z prędkością uzyskiwaną przez *Ymira* w punkcie najniższym. Ponieważ „spadał” z niezwykle wysokiego apogeum, położonego daleko poza orbitą dawnego Księżyca, leciał nagrzanym na spotkanie z atmosferą. Każda odrobina prędkości wytracona dzięki pracy zwróconego ku przodowi silnika oraz tarcia o powietrze przekładała się na obniżenie wysokości kolejnego apogeum, w którym mieli się znaleźć (w zależności od dokładnych wartości parametrów) kilka tygodni, dni lub godzin później.

Po przeliczeniu wszystkiego okazało się, że będą to godziny.

W pewnym sensie *Ymir* okrutnie chybił celu, bo całkowite osiągnięte przez niego delta V wyniosło niespełna jedną trzecią tego, na co po cichu liczyli – a jednak wystarczyło to, żeby w nowym apogeum powrócił z odległych obszarów poza księżycową orbitą i znalazł się zaledwie trzy razy wyżej nad Ziemią niż Izzy.

W związku z tym okres jego orbity (czas potrzebny mu na pełne okrążenie Ziemi) uległ skróceniu z siedemdziesięciu pięciu dni do zaledwie ośmiu godzin. A nauka płynęła z tego taka, że stosunkowo niewielkie delta V może skutkować potężnymi zmianami parametrów orbitalnych. Niemniej jednak sprowadzenie *Ymira* dokładnie na orbitę zbliżoną do Izzy wciąż wymagało delta V dwukrotnie większego niż uzyskane przy ostatnim impulsie silnika.

Nim zaczną się tym martwić, musieli zadbać o to, żeby przeżyć najbliższe osiem godzin.

Apogeum *Ymira* znacząco się obniżyło, za to wysokość perygeum pozostała bez zmian – a więc nadal była niebezpiecznie mała. Jeżeli nic z tym nie zrobią, przy następnym przelocie znowu będą się z jazgotem ślizgać po górnych warstwach atmosfery.

Pod pewnymi względami podwyższenie perygeum w taki sposób, żeby nie musieli się przejmować szorowaniem o atmosferę, było łatwe: dla osiągnięcia tego efektu wystarczyłyby mały, precyzyjnie wyliczony impuls silnika w apogeum. Podczas zwykłej misji kosmicznej taki manewr nie nastroczałby żadnych trudności, tutaj jednak komplikowały go dwa czynniki. Przede wszystkim udane obniżenie apogeum i skrócenie okresu orbity narzuciło im bardzo krótki termin, w jakim ten impuls musiał nastąpić: zaledwie cztery godziny po przejściu przez perygeum.

Drugim problemem było powolne koziółkowanie statku, które sprawiało, że dysza ich nuklearnego silnika raketowego tylko chwilami była wycelowana we właściwym kierunku. Podczas przejścia przez perygeum powinna być zwrócona ku przodowi, żeby wytworzyć ciąg wsteczny. Zbliżający się impuls silnika w apogeum powinien lekko przyspieszyć *Ymira*, ale w tym celu dysza musiała celować w przód; dopóki zaś statek koziółkował, mogliby liczyć tylko na szczęśliwe zrządzenie losu.

Należało więc ustabilizować *Ymira* poprzez ustawienie ciągu jego silników manewrowych przeciwnie do kierunku niepożądanego rotacji. Tymczasem – jak przekonali się przy pierwszej takiej próbie – silniki były małe i słabe w porównaniu z bezwładnością olbrzymiej masy lodu; mówiąc żargonem kosmonautów, brakowało im potencjału sterowniczego. *Ymir* przypominał ciężarówkę, która wpadła w poślizg na płamie oleju i prawie nie reaguje na ruchy kierownicy. Problem nieco się zmniejszył po tym, jak uruchomienie głównego silnika pochłonęło znaczną ilość lodu: wiele ton paliwa zostało wyrzuconych z dyszy pod postacią pary wodnej, przez co *Ymir* stał się lżejszy i bardziej sterowny – chociaż samo tylko przybliżone oszacowanie tego, o ile lżejszy i bardziej sterowny, a także ocena wpływu tych zmian na potencjał sterowniczy silników zajęły załodze dobre pół godziny.

Obliczenia nie wypadły zachęcająco: nie było szans, żeby przez pozostałe im trzy godziny silniki manewrowe – zaprojektowane do

powolnego wprowadzania drobnych korekt kursu – zdołały wyhamować koziółkowanie *Ymira*. Nie koziółkował przesadnie szybko, załoga w module sterowniczym ledwie wyczuwała obroty, a jednak mogły one uniemożliwić skuteczne odpalenie silnika. Jeśli za trzy godziny go nie uruchomią, przeszorują po atmosferze najpierw cztery godziny później, a potem po dalszych ośmiu. Drugą serię „kaczek”, podobną do pierwszej, może jeszcze przeżyć; trzeciej na pewno nie.

Gdy tylko stało się to dla Markusa oczywiste, podzielił załogę na pół: Dinah z Jiro zostali w module sterowniczym, żeby doglądać układu napędowego, a on sam udał się „na górę”, żeby razem z Wiaczesławem zastanowić się nad kwestią kontroli wysokości.

Zadanie Dinah było poniekąd rutynowe. Uruchomiwszy silnik w perygeum orbity, zużyli większość zgromadzonego w zasobnikach lodu. Niektóre przenośniki się pozacinały i w procesie pozyskiwania paliwa zapanował zamęt, gdy Dinah na bieżąco improwizowała rozwiązania atakujących ją zewsząd problemów. Roboty znajdowały się w niewłaściwych miejscach, przez co niektóre zasobniki były przepełnione, inne zaś puste; należało wydobyć nowy lód i poprzemnieść stary. Rozprawienie się z tymi zagwozdkami w czasie, jaki pozostał do kolejnego impulsu, nie było zadaniem niewykonalnym, ale wymagało od niej całkowitego skupienia. Zważywszy że Jiro musiał przemyśleć niektóre aspekty pracy reaktora, oboje będą mieli pełne ręce roboty aż do osiągnięcia przez *Ymira* apogeum orbity.

Wszystko to pod warunkiem, że druga połowa ekipy wymyśli przez ten czas, w jaki sposób nadać *Ymirowi* właściwą orientację w przestrzeni. Markus postanowił przenieść się z tym zadaniem do innej części statku, żeby nie przeszkadzać dwójce skoncentrowanej na napędzie. Taki przynajmniej był jego zamysł, ale w krótkich momentach dekoncentracji (czekając na skompilowanie programu albo szukając jakiejś przekąski) Dinah i tak łapała się na myślach o tym, co porabiają Markus z Wiaczesławem.

Logika sugerowała, że musi to mieć coś wspólnego z *New Cairdem*, skoro wykazali już, że silniki manewrowe *Ymira* są za słabe. Tylko główny silnik *New Cairda* miał dość mocy, żeby coś zmienić w ich sytuacji; kłopot polegał na tym, że był nieruchomy i zwrócony w kierunku skrajnie różnym od tego, na którym im zależało.

Śledząc to rozumowanie aż do jego logicznego zakończenia, Dinah zaczynała się denerwować – do tego stopnia, że byłaby chyba mniej zaniepokojona, gdyby przyszło jej pracować z Markusem i Sławą w jednym pomieszczeniu.

Powściągnęła ciekawość i lęk do momentu, gdy upewniła się, że uruchomionemu w apogeum silnikowi nie zabraknie lodu. Jej praca na tym się skończyła, do apogeum zostało jeszcze pół godziny, a Jiro najwyraźniej nie miał kłopotów ze swoim zadaniem.

Kiedy ściany modułu sterowniczego przeniosły donośny głuchy łomot, uznała to za usprawiedliwienie dla włączenia podglądu oraz nasłuchu na używanym przez Markusa i Sławę kanale audio. Rozsiane po zewnętrznej lodowej powłoce roboty były jak oczy, które mogła skierować w dowolną stronę, a mimo to potrzebowała dobrych kilku minut, żeby zorientować się w sytuacji.

New Caird odcumował od *Ymira* i zniknął z ekranów, najprawdopodobniej sterowany przez Markusa.

Na powierzchni *Ymira* było widać postać w skafandrze kosmicznym, która „szła” w stronę rufy, wykorzystując dwa krabochwyty w charakterze przenośnych kotwic. To musiał być Wiaczesław, któremu ze stóp wyrastały grube białe wąsy czuciowe. Dinah dopiero po chwili zrozumiała, co widzi: Wiaczesław przyczepił sobie do stóp po jednym krabochwycie, a to, co wzięła za „wąsy”, było w rzeczywistości końcówkami plastikowych obejm, które mu do tego posłużyły. Na widok takiej prowizorki zatrudnieni w NASA inżynierowie starej daty przewróciliby się w grobie, gdyby tylko Kamienny Deszcz im tego nie uniemożliwił, ale przez ostatnie dwa lata – a zwłaszcza przez ostatnie dwa tygodnie – tego rodzaju toporne zabiegi inżynierskie stały się czymś powszechnym.

W tym kontekście pytanie o to, co właściwie wykombinował Markus, stawało się podwójnie intrygujące. Jeżeli Sława potrafił w tak twórczy sposób wykorzystać dwa roboty i worek plastikowych obejm...

W końcu wypatrzyła *New Cairda* na obrazie z kamery jednego z fulerenów, uczepionych rufy *Ymira* mniej więcej w połowie odległości między jej krawędzią a przepastną jamą dyszy. Stateczek zawisł w próżni w odległości mniej więcej stu metrów, co rusz strzelając białymi obłoczkami pary z silników manewrowych, żeby nadążyć za

powoli obracającą się bryłą lodu. Lecący *New Cairdem* Markus dawał prawdziwy popis ręcznego sterowania.

Trudno było ogarnąć umysłem geometrię całej sytuacji, ale Dinah wmówiła sobie, że Wiaczesław zmierza w przybliżeniu w to samo miejsce, co *New Caird*. Obaj z Markusem koncentrowali się (choć każdy na swój sposób) na tych samych rejonach lodowej grudy: na jednym z jej wysuniętych najdalej na zewnątrz kantów, gdzie część głowy cukru maksymalnie rozszerzała się i przechodziła w podstawę, tworząc ostrą, choć nieregularną krawędź. Tam właśnie wrosnięty w lód tkwił fragment kratownicy strukturalnej, mniej więcej wielkości samochodu. Pełnił rolę kotwy dla zlepku małych stożkowych dysz raketowych – jednego z zespołów silników manewrowych, które w aktualnych okolicznościach okazały się tak żałośnie niewydolne. Dinah wycelowała weń drugą kamerę i stwierdziła, że z dwóch dysz dobywa się stały strumień błękitnobiałego ognia. Silniki pracowały non stop, z pełną mocą. Nie były przystosowane do takich obciążeń, ale system kontroli ustawienia *Ymira* zadekretował taki ciąg, który w dodatku należało przykładać bardzo długo w tych dwóch kierunkach, żeby osiągnąć zaprogramowany cel: skierować „dziób” statku ku przodowi, a „rufę” ku tyłowi.

Dinah doznała olśnienia, które zaraz zostało potwierdzone wymianą zdań pomiędzy Markusem i Wiaczesławem w mieszaninie angielskiego, niemieckiego i rosyjskiego. Oczami wyobraźni widziała już teraz, jak musi wyglądać *Ymir* z punktu widzenia Markusa oglądającego go przez dziobowy iluminator *New Cairda*: olbrzymia bryła czarnego lodu w kształcie grotu strzały, niemal zupełnie ciemna, tylko z przodu i „na rogach” przybrana mrugającymi białymi światełkami i strugami rozpalonych gazów – spalin z silników manewrowych wykonujących zadany program. Najczęściej silniki zapalały się i zaraz gasły, ale kiedy w jednym miejscu potrzebne było przyłożenie większej siły, działały długo bez przerwy, i te właśnie długie impulsy wyraźnie odcinały się od czarnego tła kosmosu.

Markus nie musiał obliczać w pamięci parametrów ruchu obrotowego *Ymira*; nie musiał znać prędkości kątowej wokół każdej z trzech osi z osobna; nie musiał nawet wyświetlać interfejsu użytkownika na ekranie tabletu. Wystarczyło oblecieć odłamek dookoła,

wypatrując miejsc, w których silniki pracowały bez przerwy – bo to właśnie one nie radziły sobie z nadmiernym obciążeniem. I to je można było najskuteczniej wesprzeć głównym silnikiem *New Cairda*.

Tylko jak?

Widok silników manewrowych przesłoniła jej niewyraźna szara plama: to Wiaczesław przeszedł przed kamerą. Chwilę później znalazł się w polu ostrości. Po omacku znalazł przypięty do pasa karabinek i zapiął go na sterczącej z lodu belce konstrukcyjnej. Dinah wyraźnie słyszała jego oddech. Chwyciwszy się belki lewą ręką, prawą Wiaczesław sięgnął w głąb kratownicy, pomacał na oślep i przez moment z czymś się siłował, zaparłszy się o belkę.

Silniki przygasły, a po chwili zamarły zupełnie.

– Gotowe – zameldował Wiaczesław. – Przepraszam, że to tyle trwało. Zawór się zaciął.

– Odsuńcie się, *towariszcz* – powiedział Markus.

– Się robi – potwierdził Sława.

Odpiął się od kratownicy, odchylił, zaufał przypiętym do stóp krabochwytom i zaczął się oddalać mozolnym, powolnym krokiem człowieka brnącego w gorącym karmelu.

– Załatw to – powiedział jeszcze, po czym dodał zdanie po niemiecku, które według Dinah musiało oznaczać: „Jeśli się nie uda, to i tak wszyscy zginiemy”.

New Caird zdryfował poza kadr i Dinah dopiero po chwili namierzyła go inną kamerą: zbliżał się do *Ymira*, kierując się wprost na wyłączony przez Sławę zespół silników. Celował dokładnie pomiędzy dwie działające do niedawna dysze.

Logika tego przedsięwzięcia była oczywista, chociaż sam pomysł był szalony. *New Caird* załatwi sprawę, z którą nie radziły sobie małe silniczki manewrowe. Markus musiał tylko wycelować dyszę *New Cairda* we właściwym kierunku, czyli mniej więcej w środek pomiędzy dwa dotychczas mozolące się silniki. To było oczywiste. Kłopot w tym, że musiał także ustanowić jakieś mechaniczne połączenie między swoją jednostką i odłamkiem lodu, żeby ciąg silników tej pierwszej przeniósł się na ten drugi.

Wszystko wskazywało na to, że w tym celu zamierza staranować duży statek małym – staranować bardzo powoli, niczym pchacz szturchający

dziobem tankowiec, żeby zepchnąć go na miejsce postoju, ale jednak staranować. A pojazdy kosmiczne z reguły nie były przystosowane do takich manewrów.

Dinah – kurczowo ściskająca krawędź stołu – leciutko rozluźniła bolesny chwyt, gdy tuż przed zderzeniem Markus odpalił wsteczne silniki manewrowe *New Cairda*. Statek lekko przyhamował, ale ona i tak usłyszała (i poczuła) zgrzyt niosący się po ścianach lodowego pałacu. W ciągu ostatnich dwóch godzin słyszała ten dźwięk już kilkakrotnie i zastanawiała się, co to takiego; wyglądało na to, że nie była to pierwsza próba Markusa.

Wycelował w miejsce, gdzie wystająca z lodu kratownica tworzyła załom, w który popychany ciągiem silnika *New Caird* mógł się wbić dziobem. W tej chwili statek był napędzany rufowymi silnikami manewrowymi, ale widząc przez dziobowy iluminator, jak Markus obsługuje ekran dotykowy pełniący na *New Cairdzie* rolę pulpitu sterowniczego, Dinah miała całkiem niezłe pojęcie o tym, co za moment nastąpi.

Wywoławszy na ekran interfejs kontroli położenia *Ymira*, zobaczyła chaos. Co rusz któryś silnik manewrowy włączał się i rozbłyskiwał wściekłymi ikonami sygnalizującymi brak paliwa, niedostatek czasu albo przegrzanie dyszy. Zespół napędowy, w który wbił się Markus, cały płonął czerwienią, co sugerowało, że został zupełnie odcięty od systemu. Przewijające się u dołu ekranu wykresy i trójwymiarowa wizualizacja lodowej bryły jednoznacznie wskazywały, jak wiele brakuje *Ymirowi* do pożądanego stanu.

Usłyszała małą symfonię zgrzytów, jęków i trzasków i poczuła, jak statek obraca się wokół niej.

Oślepiająca biel zalała ekran pokazujący *New Cairda*, gdy ten włączył główny napęd na pełną moc. Rzut oka na wykresy położenia potwierdził, że dzieją się dobre rzeczy.

– Super – odezwał się Jiro – tylko że teraz obrócimy się za daleko.

– Jeżeli dobrze wszystko policzyłem, to nie – odparł Markus. – Dokładnie w apogeum powinniśmy się znaleźć w optymalnym położeniu do odpalenia silnika. Potem owszem, przekreścimy się w drugą stronę, ale później będzie mnóstwo czasu, żeby temu zaradzić.

Rozległ się okrzyk Markusa i głuchy łoskot. Potem Markus zaklął po

niemiecku i łączność została przerwana.

Na ekranie *New Caird* przekrzywił się pod zupełnie niewłaściwym kątem. Ogień z dyszy zgasł.

Kratownica, w którą wbił się *New Caird*, nie wytrzymała jego naporu i została zgnieciona. *New Caird* obrócił się na bok i legł na lodzie niemal bokiem, miażdżąc pod sobą resztki zespołu silników manewrowych *Ymira*.

– Jakiś gaz się ulatnia – zauważył półgłosem Jiro. – Albo dym.

Rzeczywiście. W pierwszej chwili nie było to widoczne gołym okiem, ponieważ dym w próżni zachowuje się zupełnie inaczej niż w atmosferze, w obecności ciężenia, ale coś tam się paliło, albo przynajmniej tliło – tuż przy burcie *New Cairda*, na wyciągnięcie ręki od miejsca, w którym siedział Markus.

– Rozgrzana dysza silnika manewrowego przepala kadłub – wyjaśnił Wiaczesław.

– Jiro, Dinah... – zabrzmiał znów głos Markusa. – Musicie być gotowi do uruchomienia głównego silnika dokładnie w apoge... – Zdławiło go w gardle, musiał kilkakrotnie odkaszlnąć. – Za jakieś dwie minuty. Skupcie się na tym, uruchomcie procedurę odpalenia. Wiaczesław pomoże mi przy tym drobiazgu. – Rozkaszał się konwulsyjnie. – Bez odbioru.

Wbrew rozkazom Dinah jeszcze raz zerknęła na obraz z kamery pokazującej *New Cairda* od przodu. Przez okno na dziobie nie widziała już Markusa, tylko kłęby dymu i pełgający wśród nich płomień.

Kiedy dotarło do niej, co się dzieje, poczuła się jak uderzona deską w czoło. Chwyciła się skraju stołu i na chwilę przymknęła powieki; poczuła, jak oczy napełniają jej się gorącą wodą, a śluz zatyka nos.

– Dinah? – odezwał się Jiro. – Zaczynamy procedurę uruchomienia przenośników.

Otworzyła oczy. Zamiast ikon interfejsu widziała świetliste plamy.

– Jeżeli ma to mieć jakiś sens... – mówił dalej Jiro. – Proszę, Dinah. – Zakrył ręką mikrofon i dodał półgłosem: – Całkiem możliwe, że on nas słyszy.

Wyciągnęła rękę i wprowadziła polecenie.

– Przenośnik jeden – powiedziała. – Uruchamiam.

Wcisnęła „enter”.

I przeszła do kolejnej pozycji na liście. Im dalej, tym było łatwiej. Jiro robił swoje, dyskretnie, delikatnie, skutecznie. Kiedy silnik osiągnął pełną moc – dokładnie w wyznaczonym momencie – Dinah dopilnowała, żeby o tym zameldować. Głośno. Na wypadek gdyby Markus ich słyszał.

Dopiero wtedy ponownie spojrzała na ekran, gdzie spodziewała się zobaczyć miejsce ostatniego spoczynku Markusa. Grób spowity kłębam gryzącego dymu.

Na ekranie było jednak widać tylko zmiażdżoną kratownicę i Wiaczesława, który – przytrzymując się jej jedną ręką – patrzył w stronę rufy. W tle: rozszerzający się pióropusz pary, wielki jak Manhattan. Silnik Jiro działał.

– Sława? – odezwała się. – Gdzie jest...

– Odpadł – odpowiedział Wiaczesław. – Kiedy włączył się główny napęd i zaczęliśmy przyśpieszać, *New Caird* nie załapał się na przejazdzkę.

– Czy...

– Dostał się w strumień pary i został rzucony daleko wstecz. Ledwie go teraz widzę.

– Aha.

– Dinah?

– Tak?

– Markus już wtedy nie żył.

* * *

– Byłaby z tego niezła ślapstickowa komedia, gdyby nie jej tragiczny wymiar i poważne konsekwencje – powiedziała Julia.

Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w zapętłone nagranie wideo: ostatni przekaz z *New Cairda* przed tym, jak stracono z nim kontakt.

Ludzie otaczający ją w Białej Arce (bo tak zaczęto nazywać nieoficjalny ośrodek operacyjny Julii) zgodnie kiwali głowami lub wydawali potakujące pomruki. Razem czytali wpis na blogu Tava, opublikowany dosłownie przed chwilą i opisujący katastrofę na *Ymirze*.

Jedyny wyjątek stanowiła Tekla, którą zdekoncentrował pewien

drobiazg. Ktoś za pomocą niebieskiej taśmy maskującej przykleił do ściany kartkę papieru z nadrukowaną pieczęcią prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zagładę życia na Ziemi przetrwały tylko dwie drukarki i obie znajdowały się na Izzy, zatem ten wydruk musiał powstać jeszcze na planecie, przed Kamiennym Deszczem. Wyszedł z urzędnika, któremu zaczynało brakować niebieskiego tuszu, i niejedno już przeszedł: dwa rozdarcia skleiono przezroczystym przylepcem; został zmięty, zgnieciony i dopiero później rozprostowany; na brzegach strzępił się od starej taśmy, a na białym polu poniżej prezydenckiej pieczęci widniała owalna brunatna smuga wielkości opuszki kciuka. Prawdę powiedziawszy, Tekla była stuprocentowo pewna, że to jest odcisk kciuka, a im dłużej mu się przyglądała, tym większego nabierała przekonania, że brunatną substancją jest krew.

Spojrzała Julii w oczy i zdała sobie sprawę, że pani eksprezydent oczekuje jakiejś reakcji z jej strony. W przeciwieństwie do większości ludzi Tekla nie odczuwała presji ani obowiązku spełniania takich oczekiwań, toteż Julia, nieco zaniepokojona tą postawą, zerwała kontakt wzrokowy i podjęła przerwany wątek:

– Właściwie ja nawet nie do końca rozumiem tę ich bajeczkę!

– Jest dość pokręcona – przyznał jeden z jej asystentów, młody arkanin z amerykańskim akcentem, inżynier w zespole empudów. Ton jego głosu zdradzał, że bawi go bezczelność dowództwa, które oczekuje, że ludzie uwierzą w takie bajdy, i że sam uważa się za zbyt mądrego, by dać się nabrać. – Wynika z niej poniekąd, że kadłub jest z plastiku; jeżeli za bardzo się nagrzej...

– Zachowuje się jak plastik na kuchence – dokończyła Julia. – Topi się i śmierdzi.

– *New Caird* przemieścił się w taki sposób, że kadłub wszedł w kontakt z mocno rozgrzaną dyszą silnika.

– Ale przecież zgodnie z tą ich historyjką Wiaczesław już wcześniej wyłączył ten silnik!

– Taka dysza długo stygnie. Zresztą mniejsza z tym. Dysza zaczęła przepalać kadłub, na skutek czego wytworzyło się mnóstwo toksycznego dymu, który sam w sobie wystarczyłby, żeby zabić Markusa. Potem, kiedy przetopiała się na wylot, ze statku uciekło całe powietrze.

– Makabra... o ile to wszystko prawda.

Julia obejrzała się na Teklę, wypatrując na jej twarzy oznak świadczących o tym, że to jednak nie jest prawda. Spojrzenie Tekli niczego nie zdradzało.

– Aż sobie człowiek zadaje pytanie, co to się z nami porobiło, że musimy się uciekać do takiej desperackiej improwizacji jak taranowanie jednego statku drugim!

Kolejne potakujące pomruki. Julia się rozkręcała.

– I o ile mi wiadomo, ta improwizacja wcale nie rozwiązała problemu!

– Problem rozwiązany – odparła Tekla.

Mówiła płynnie po angielsku i z powodzeniem mogła powiedzieć: „Problem został rozwiązany”, ale czasem dla większego efektu zdarzało jej się pomijać orzeczenie w zdaniu. Ten tajemniczy zwyczaj imponował anglofonom, a przy tym był zawołowanym wyrazem rosyjskiej dumy. Angielski automatycznie stał się oficjalnym językiem Arki w Chmurze i tak już musiało pozostać. Wiadomo było jednak, że z czasem będą się rozwijały różne dialekty orbitalnej angielszczyzny – i na to już Rosjanie mogli mieć wpływ, poprzez wszczepianie ojczystej gramatyki i leksyki do codziennego języka.

– Impuls zakończony – dodała Tekla.

– Ale przecież statek dalej bezwładnie koziółkuje! – wykrzyknął chełpiący się swoją niezwykłą inteligencją Amerykanin.

– Powolne koziółkowanie. Nie problem. Mnóstwo czasu, żeby go rozwiązać, odkąd perygeum jest wyższe.

– Rozwiązać go?! Niby jak? Markus staranował i zniszczył trzy zewnętrzne silniki manewrowe! Jak można było zrobić coś takiego?! Zostały tylko dwa zespoły silników, a to za mało, żeby powstrzymać koziółkowanie w trzech wymiarach. To podstawy fizyki!

– Dziękuję za wyłożenie podstaw fizyki. Żeby powstrzymać ruch obrotowy, wystarczy zrobić skośną dyszę.

To im na chwilę zamknęło usta. Jeden z popleczników Julii – Jianyu, młody Chińczyk ogromnie napalony na lot na Marsa – miał taką minę, jakby rozumiał, o co chodzi. Tekla wskazała go skinieniem głowy.

– Ten człowiek później wyjaśni. Mam mało czasu.

– Wiemy o tym, Teklo. Tym bardziej jesteśmy ci wdzięczni, że w ogóle znalazłaś dla nas czas – odezwała się Julia.

Tekla miała tak wielką ochotę ją spoliczkować, że ręka autentycznie ją zaświerzbila. Gdyby to samo zdanie zostało wypowiedziane nieco innym tonem, mogłoby znaczyć dokładnie to, co składające się na nie słowa – ale w ustach Julii oznaczało: „Jestem ordynarnie ignorowana. To naprawdę najwyższy czas, żeby ktoś naprawdę ważny przyleciał tu i ze mną porozmawiał”. Tekla niemal fizycznie odczuwała promieniowanie tej mentalności na pozostałych arkan.

Tak jak prawie wszyscy mieszkańcy Arki w Chmurze, była ubrana w kombinezon z mnóstwem kieszeni, przegródek, zaczepów i tym podobnych. W jednej z kieszeni spoczywał nóż z czterocalowym obosiecznym ostrzem; jego czubek bez trudu dosięgnąłby serca JBF. Oddając się takim rozważaniom, Tekla na chwilę wyłączyła się z rozmowy. Julia nie spodziewała się raczej próby zamachu... Choć z takimi ludźmi jak ona nigdy nic nie wiadomo.

– Czy chcecie zgłosić nieprawidłowości w funkcjonowaniu SKS? – spytała Tekla. – Odnotowano powtarzające się przerwy w dostępie.

Julia z satysfakcją zacisnęła usta i spojrzała na Spencera Grindstaffa.

– Pierwsze słyszę – odparł Spencer.

Jego słowom odpowiedziała absolutna cisza.

Tekla czekała. Wiedziała, że pokusa pochwalenia się prędko weźmie w nich górę. Jej szkolenie szpiegowskie nie było zbyt obszerne: ot, kilka podstawowych kursów, trochę obowiązkowych lektur i koniec. Powód był prosty: za bardzo rzucała się w oczy, żeby nadawać się na tajną agentkę; za bardzo wpisywała się w hollywoodzkie standardy, a prawdziwi szpiegowie powinni pozostać niezauważeni. Dlatego wykopali ją z programu i skierowali do odgrywania innych ról, takich jak sportsmenka-olimpijka, w których jej nieprzeciętny wygląd mógł być zaletą. Zdążyła jednak przyswoić sobie pewne ogólne zasady obowiązujące w branży i wiedziała, że ta jedna rzecz – potrzeba pochwalenia się swoimi osiągnięciami – zdradziła najwięcej tajemnic i zniszczyła najwięcej karier.

Patrzyła na Grindstaffa, który – w odróżnieniu od większości ludzi, szybko zrywających kontakt wzrokowy – obserwował ją z uśmiechem.

– Niezwykłe – powiedziała – u człowieka z twoim doświadczeniem.

– Kwestia źródeł i metod – odparł.

– W takim razie ograniczę się do tego, po co przyleciałam.

Julia i Spencer wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Tekla udała, że ich nie widzi.

– Ze względów bezpieczeństwa musimy dysponować aktualnym spisem mieszkańców wszystkich miniarek – ciągnęła. – Ludzie lubią się przemieszczać. Zamieniać miejscami. Rozumiemy. W porządku. Ale pojawiają się kłopoty z bezpieczeństwem, kiedy, na przykład, bolid trafi w arkę, nastąpi wyciek powietrza, a my nie wiemy, ile jest w niej ludzi, jakie mają wymagania medyczne i tak dalej. Mały człowiek to mniej powietrza niż duży człowiek.

– Doskonale cię rozumiem, Teklo. – Julia kiwała głową. – W imieniu całej Społeczności Arkańskiej potwierdzam, że tutaj, na jej obrzeżach, przeważa swobodniejszy, mniej sformalizowany sposób myślenia. Ludzie są przewrażliwieni, czują się zaniedbywani przez władze Izzy, a przenoszenie pasażerów pomiędzy miniarkami wydaje się nieszkodliwą formą buntu. Łatwo jednak przeoczyć przy tym kwestie bezpieczeństwa, na które zwróciłaś uwagę. To błąd. Zamieszanie w kwestii faktycznego poziomu zagrożenia w...

– W brudnej przestrzeni – wtrącił Ravi Kumar – na życie w której jesteśmy skazani.

– Otóż to, Ravi. Dziękuję. Jednego dnia słyszymy jedno, drugiego zupełnie coś innego.

– Statystyka – odparła Tekla.

– Wiem, co rusz słyszymy takie wyjaśnienie, ale...

– Więcej nie mogę powiedzieć – przerwała Julii Tekla, zerkając w stronę jednej z małych kamer zainstalowanych na ścianie arki.

Tym razem Julia nie odwróciła wzroku, a po chwili spojrzała znacząco na Spencera.

– Kiedy przed chwilą podchodziliśmy okrężną drogą do tematu Sieci Kontroli Stanu, Spencer zachowywał się dość beztrzesko; ot, takie ma poczucie humoru. Z przyjemnością jednak powiem ci teraz, że dzięki Spencerowi rzeczywiście mamy sposób na to, żeby odciąć się od SKS, jeśli przyjdzie nam ochota swobodnie porozmawiać, bez zastanawiania się, kto nas może podsłuchiwać. Teraz też to zrobiliśmy; cokolwiek powiesz, nie wyjdzie to poza tę arkę.

Tekla obrzuciła krąg wielbicieli i pochlebców Julii nieśpiesznym, przeciągłym spojrzeniem, a na koniec autentycznie przewróciła oczami.

– Wszyscy wyjść! – poleciła Julia. – Ty też, Spencer. Tylko Tekla i ja.

– Słabo z waszym rzemiosłem – zagaiła Tekla, gdy widownia się ulotniła i przez rury transportowe rozproszyła po całej heptadzie.

– Wiem – przyznała Julia. – Trudno jest zbudować struktury wywiadowcze od zera; musi nam wystarczyć to, co mamy pod ręką. Ich młodość, brak doświadczenia i otwartość wynika z obcowania z Internetem od małego... To nie sprzyja pracy wywiadowczej. Dlatego potrzeba nam bardziej doświadczonych pracowników, ludzi, którzy wykształcili odpowiednie instynkty.

– To oczywiste – odparła Tekla – ale to nie wszystko.

– Tak? – Julia zmrużyła oczy. – Co takiego nieoczywistego pominęłam?

– Nie powinnaś przekazywać dalszych informacji Zeke’owi Petersenowi. Chyba że zależy ci na dezinformacji; wtedy Petersen będzie użytecznym kanałem.

Kiedy wcześniej rozmawiali o tym z Zekiem i Ivy, Zeke chętnie przystał na rolę domniemanego zdrajcy, którego Tekla mogłaby wsypać. Jemu samemu nie robiło to wielkiej różnicy, a z całą pewnością pomoże utrwalić w głowie Julii przekonanie, że Tekla może być znakomitym podwójnym agentem. Gdyby przyłożyć do tego podstępny zimnowojenną miarę, okazałby się amatorski i miałki, ale to nie była Zimna Wojna, tylko miasteczko liczące półtora tysiąca mieszkańców, w którym były burmistrz sieje ferment.

Zafascynowana Julia pokiwała w zadumie głową.

– Myślałam o nim... – przyznała. – Miałam wrażenie, że mnie zwodzi. Że jest po prostu uprzejmy.

– Z Teklą nie ma takiego problemu.

To się Julii spodobało. Podpłynawszy bliżej, przelotnie musnęła przedramię Tekli.

– To właśnie mi się w tobie podoba – powiedziała. – Dostaję to, co widzę.

– Tak – potwierdziła Tekla, a po chwili przerwała przedłużające się krępujące milczenie: – Prowadzisz długofalową grę. Cierpliwie.

– Do pewnego stopnia – zgodziła się Julia. Nagle cała jej powierzchowność zmieniła się, jakby jej twarz została odlana ze stali i pomalowana. – Nie możemy sobie pozwolić na nadmiar cierpliwości.

Śmierć Markusa wszystko zmienia. Zanim doszło do tej tragedii, Społeczność Arkańska mogła wyczekiwać powrotu wielkiego przywódcy; dopóki Ivy była zwykłym namiestnikiem, można jej było wybaczać różne niedostatki. Teraz jednak cały rój z wolna uświadamia sobie, że Markus nie wróci. Ivy znów dowodzi; Sal jest gotowy legitymizować jej status, powołując się na jakieś mętne ustępy konstytucji, ale źródłem prawdziwej legitymacji rządzących jest poparcie rządzonych. Ivy będzie teraz chciała utrwalić swoją pozycję... To w takich momentach drobne, symboliczne gesty potrafią odgrywać największą wagę. Dlatego właśnie najbliższe kilka dni będzie dla nas absolutnie kluczowe, Teklo. Może *Ymiowi* się uda, może nie; my nie możemy czekać. Przygotowania trwają. Za trzy dni miniarki zaczną się odłączać od Arki w Chmurze i wyruszą w heroiczny rejs na wyższą orbitę. Władza może się obawiać implementacji Czystego Roju, ponieważ taka strategia oznaczałaby dla niej utratę kontroli, ale Społeczności Arkańskiej, zniechęconej kuleniem się za nieskuteczną tarczą i powoli dziesiątkowanej przez Kamienny Deszcz, te ograniczenia nie obowiązują.

– Przetrawanie grupy rozłamowców obnaży fałszywość prognoz odnośnie do stopnia zagrożenia. – Tekla pokiwała głową. – Władza centralna osłabnie.

– I Konstytucja Arki w Chmurze pierwszy raz naprawdę zacznie działać, bez względu na sofistykę jej apologety, Sala Guodiana. W tejże konstytucji, o czym z pewnością wiesz, Teklo, jest zapisana konieczność powołania sił bezpieczeństwa. Nie gwardii pretoriańskiej, jaką na poczekaniu zmontował Markus, ale prawdziwych sił bezpieczeństwa. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby nimi pokierować lepiej od ciebie.

* * *

– Łyknęła przynętę razem z haczykiem i spławikiem – orzekł Spencer Grindstaff.

– Łyknęła, bez dwóch zdań – przytaknęła Julia, odprowadzając wzrokiem rupieć Tekli, rozpędzający się serią impulsów silnika

w rytmie *staccato*. – Nie podoba mi się jednak ta triumfalna nuta w twoim głosie, Spencer. Właśnie się przekonaliśmy, że Ivy to potężny wróg; jakimś sposobem przeciągnęła na swoją stronę takich ludzi jak Tekla, którzy następnie obmyśliли dość wyrafinowany sposób na przeniknięcie w szeregi naszej organizacji.

– Nie ma w tym nic wyrafinowanego. – Grindstaff wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, to raczej oczywistość.

– Łatwo ci mówić, bo masz podsłuch w Bananie, dzięki czemu od początku wiedzieliśmy, co planują. Ale powiedz mi, Spencer, czy bez tych informacji naprawdę przejrzelibyśmy ich podstęp? Bo moim zdaniem Tekla spisała się na medal.

– Uważaj na nią. Szczerze cię nienawidzi. I ma przy sobie co najmniej jedną broń.

– Ja również, dzięki Pete’owi Starlingowi.

Julia wysunęła z torebki mały rewolwer – nie do końca, tylko na tyle, żeby pokazać Spencerowi kolbę – po czym schowała go z powrotem.

– Może urażę w ten sposób twoją inteligencję – powiedział Spencer – ale chciałbym ci przypomnieć, że strzelanie z tej zabawki we wnętrzu pojazdu kosmicznego będzie miało przykre konsekwencje.

– Nie czuję się urażona; na własne oczy widziałam te konsekwencje. I wiesz co? Powietrze wcale nie ucieka tak szybko. Zresztą podobno pociski z tego rewolweru grzybują po trafieniu, co zmniejsza prawdopodobieństwo opuszczenia przez nie ciała.

– To super. Pod warunkiem, że w ogóle w to ciało trafisz.

– Kiedy stanę naprzeciw Tekli, na pewno nie chybię.

* * *

Dinah potwornie chciało się spać. Od czasu odlotu *New Cairda* z Izzy nie udało jej się spać więcej niż cztery godziny bez przerwy, a ostatnia doba była pod tym względem jeszcze gorsza. Dziwne, ale chciała zasnąć po to, żeby móc należycie opłakiwać Markusa. Niby wiedziała, że nie żyje, ale ten fakt wciąż nie do końca do niej docierał – i nie dotrze, dopóki ona będzie się rzucać z jednego kryzysu w następny.

Silnik wykonał swoje zadanie: perygeum *Ymira* podniosło się na tyle,

że w przyszłości nie groził mu już niechciany kontakt z atmosferą. Jednakże statek nadal wolno koziółkował, a Wiaczesław wędrował po lodzie w butach z doczepionymi krabochwydami.

Udając się na swój pozapojazdowy spacer, Sława wyszedł przez śluzę w burcie *New Cairda*. *New Cairda* już z nimi nie było, tymczasem zasoby skafandra kosmicznego Sławy były na wyczerpaniu: Rosjanin powinien jak najszybciej wrócić do modułu sterowniczego, nim zabraknie mu powietrza. Mógł wrócić przez śluzę służącą specjalnie do tego celu, a umieszczoną na „dziobie” zagrzebanego w lodzie modułu, tuż obok złącza cumowniczego. Przeszedłszy przez nią, znalazłby się na najwyższej kondygnacji, gdzie mógłby oddychać tym samym powietrzem co pozostali. Kiedy jednak na wszelki wypadek obmierzył się zabranym ze sobą inspiektorem, odkrył na swoim skafandrze kilka silnych źródeł promieniowania – z grubsza rzecz biorąc, znajdowały się wszędzie tam, gdzie skafander miał kontakt z lodem.

– Obawiałem się tego – przyznał Jiro – ale nic nie dało się na to poradzić.

– Czego się obawiałeś? – zdziwiła się Dinah. – Lód powinien przecież być względnie czysty.

– I był, dopóki w perygeum nie uruchomiliśmy silnika. Dysza była wycelowana w przód; część pary, która się z niej wydostała, wiatr zwał na nas. Wiatr, czyli atmosfera, przez którą przelatywaliśmy. Para się skropliła, przywarła do lodu i w tej chwili na całej powierzchni *Ymira* rozsiane są drobinki opadu radioaktywnego. Niektóre poprzyklejały się do skafandra Sławy.

– Musi go zdjąć.

Jiro wzruszył ramionami.

– Skafander blokuje większość promieniowania beta.

– Nie, nie o to mi chodzi: musi go zdjąć, zanim skończy mu się tlen.

– To prawda.

– To oznacza, że musi tu wejść.

– To też prawda.

– I wnieść źródła skażenia ze sobą.

– Od skażenia będziemy umierali kilka tygodni. Do tego czasu zakończymy misję. Albo nie.

Ostatecznie wymyślili jednak rozwiązanie pozbawione elementu

umierania. Okleili folią otwór zejściówki łączącej dwa najwyższe poziomy moduły, przeniósłszy uprzednio na górę obfite zapasy wody, pożywienia i przyborów toaletowych, a także śpiwór i inny przydatny Wiaczesławowi sprzęt. Sława wszedł przez służę z kilkuminutowym zapasem, zdjął skafander i zamknął go w służie, która miała ekranować wnętrze przed emitowanym przez skafander promieniowaniem beta. Następnie rozebrał się do naga i poddał wielokrotnej dekontaminacji za pomocą wilgotnych chusteczek higienicznych, które następnie również wyrzucił do służy i zatrzaskał ją na dobre.

Potem zwymiotował.

Górna część modułu, wraz ze znajdującym się w niej Sławą, musiała od tej pory być traktowana jak skażona, ale na szczęście nie była im do niczego potrzebna. Jiro i Dinah mieli przebywać na niższych kondygnacjach, oddzieleni foliową płachtą od Wiaczesława i ryzyka skażenia do momentu, gdy dotrą do Izzy – albo umrą. Wszystkie poziomy miały wspólny obieg powietrza, aparatura była jednak zaopatrzona w filtry, które powinny wyłapać promieniotwórcze drobinki.

Załatwiwszy te sprawy, zgasili światło i poszli spać. Dinah nie obudził nawet dźwięk budzika, a kiedy wreszcie się ocknęła, stwierdziła, że przespała bite dwanaście godzin.

W pierwszej chwili pomyślała o Markusie i o tym, gdzie się podziewa... po czym z niejakim zdumieniem przypomniała sobie, że przecież Markus nie żyje. Ta świadomość była dla niej jak bolesny policzek. Chwilę potem ogarnął ją smutek i żal, ale tym dwóm po piętach deptał już przemożny strach, jaki od Dnia Zero rzadko zdarzało jej się odczuwać – nie przenikliwy, orzeźwiający strach przed przygodą taką jak przelot przez perygeum, ani intelektualny, abstrakcyjny lęk towarzyszący im od chwili, gdy Doob zapowiedział Kamienny Deszcz, tylko makabryczna panika będąca bliską krewną depresji. Tak się mogło poczuć dziecko na wieść o tym, że zostało sierotą – a właściwie nie dziecko, tylko raczej młody człowiek, najstarszy z rodzeństwa, na którego barkach spoczęła nagle odpowiedzialność za rodzinę. Markus odszedł. Nie będzie ich już wspierał. Ktoś inny będzie musiał przejąć jego brzemię, a niektórzy z tych ktosiów – może ci sami, którym najspieszniej było zająć jego miejsce – z pewnością będą popehiali

błędy. Myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy Markusa i nie poczuje jego uścisku, napawała Dinah głębokim smutkiem, ale tym, co naprawdę sprawiało, że miała ochotę skulić się i zwinąć w kłębek, była świadomość, że teraz wszystko zależy od niej – od niej, od Ivy, Dooba i wszystkich tych, którym mogli zaufać.

Udała się „na górę” do części wspólnej, gdzie zastała Jiro jak zwykle pogrążonego w kontemplacji tajemniczych wykresów na ekranie komputera, które odbijały mu się w soczewkach dwuogniskowych okularów. Przez rok, jaki przebywał w kosmosie, wzrok mu się pogorszył i Jiro stał się pierwszym klientem wystrzelonej na orbitę i zainstalowanej na Izzy szlifierki do soczewek, bez której większość mieszkańców Arki w Chmurze stopniowo stawałaby się coraz bardziej bezproduktywna, po tym jak ich okulary psuły się i zużywały. Była to maszyna wojskowa, wytwarzająca jeden, jedyny model okularów; za kilka lat wszyscy okularnicy mieli nosić ten właśnie model. Aż się człowiek zaczynał zastanawiać, ile dekad lub wieków będzie musiało upłynąć, zanim populacja rozrośnie się, a gospodarka rozwinie na tyle, że wykształci się popyt na różne oprawki.

Jiro spojrzał na Dinah przez mleczne refleksy w szklach.

– Dałem ci pospać – powiedział. – Twoje roboty świetnie sobie radzą. Dopóki nie skończę tych obliczeń, i tak nie mamy co robić.

– A potem?

– Będziemy musieli do końca ustabilizować lot, zanim wykonamy ostatni impuls hamujący.

Dla Dinah było to oczywiste. *Ymir* znajdował się na bezpiecznej orbicie i w najbliższym czasie nie groziło mu osunięcie się w atmosferę, nadal jednak leciał o wiele za szybko i za wysoko, żeby spotkać się z Izzy. Musieli więc dokończyć realizację pierwotnego planu, czyli wykonać jeszcze jeden lub dwa impulsy hamujące podczas przelotu przez perygeum, co wymagało wycelowania dyszy napędowej ku przodowi i utrzymania jej w tym położeniu.

– Jak poważne są uszkodzenia...

– Jest całkowicie zniszczony. Zostały nam jeszcze dwa.

Oboje mówili o wbitych w lód zespołach silników manewrowych, którymi w normalnych warunkach można by korygować orientację lodowego odłamka.

– Ale to żadna tragedia – dodał Jiro takim tonem, jakby obawiał się, że Dinah źle o nim pomyśli, gdy skrytykuje decyzję nieżyjącego dowódcy.
– To było konieczne.

– Nie mogliby nam przysłać...

Jiro skinął głową.

– Mogliby zmontować empuda, który wyleciałby nam na spotkanie i pomógł rozwiązać problem. I o tym będziemy myśleć, kiedy mój sposób zawiedzie. Ponieważ jednak wraz z *New Cairdem* straciliśmy radio, nie możemy koordynować tych wysiłków.

– A jaki jest twój sposób?

– Zlecimy twoim robotom zmianę kształtu dyszy. – Jiro podniósł wyprostowaną dłoń, celując w sufit, i lekko przygiął palce. – Żeby była asymetryczna.

– Dysza skośna?

– Właśnie. Wtedy główny silnik da nam asymetryczny ciąg. Jeżeli uda nam się odpowiednio ustawić skos, uzyskamy bardzo duży potencjał sterowniczy.

– Może nawet za duży. I przesadzimy z tą korektą.

– Pomalutku, nie wszystko naraz. Ścinamy dyszę, robimy małą korektę, ścinamy z drugiej strony, wygaszamy rotację. Będzie pewnie potrzeba kilku powtórzeń, ale rzecz jest do zrobienia. Właśnie to modeluję.

Dinah zajęła pozycję przed tryptykiem płaskich monitorów i zaczęła otwierać kolejne okna, żeby sprawdzić poczynania swojej menażerii: roboty wygrzewały się na zewnątrz w słońcu, ładując akumulatory, ciągnęły prąd z reaktorów, wydobywały materiał pędny przed kolejnym impulsem, konserwowały dyszę. Ta ostatnia grupa, złożona w większości z gzów, miała być odpowiedzialna za przerzeźbienie dyszy, której asymetria, powodująca nierównomierne rozłożenie ciągu, była do tej pory niepożądanym problemem, a nie upragnioną zaletą.

Jiro podesłał jej mailem kilka rysunków nowego kształtu dyszy. Zmiany wyglądały zdumiewająco niepozornie, ale w silniku generującym tak gigantyczny ciąg nawet niewielkie zakłócenie symetrii musiało dać potężny efekt.

– Kiedy mamy następne perygeum? – spytała Dinah.

– Przez jedno właśnie przelecieliśmy. Następne będzie za jakieś osiem

godzin.

* * *

Nadrzędnym obowiązkiem dowódcy Arki w Chmurze – tak ważnym, że Markus wyszedł z roli i w rozmowie z Ivy nazwał go „świętym” – było nadzorowanie Wyszukiwania Bolidów, czyli połączonego strumienia informacji ze wszystkich teleskopów optycznych i radarów dalekiego zasięgu. Nieproporcjonalnie duża liczba zwymieszów poświęciła życie temu procesowi albo produkcji sprzętu niezbędnego do jego obsługi. Ponieważ dane spływały nieprzerwanie, musiały być dzielone na bloki i ujmowane w raporty, które w regularnych odstępach czasu wyświetlałyby się na monitorach takich ludzi jak Markus czy Ivy. Takie raporty rozsyłano trzy razy dziennie, na początku każdej zmiany: o godzinie kropka zero, kropka osiem i kropka szesnaście; Ivy czytała jeden z nich zaraz po przebudzeniu, drugi w połowie „popołudnia” i trzeci tuż przed snem. Każdy z nich podsumowywał wiedzę na temat bolidów, które mogły zagrozić stacji w ciągu następnych ośmiu godzin, i zawierał zalecenia dotyczące manewrów, jakie Arka w Chmurze powinna wykonać, żeby uniknąć zderzenia. Zwykle w ciągu dnia kilkakrotnie uruchamiali w tym celu silniki. Obowiązywała polityka „domyślnego uniku”, co oznaczało, że manewr zostanie za pośrednictwem Parametryka przeniesiony na całą Arkę w Chmurze i wykonany automatycznie – chyba że dowódca zgłosi weto. Mogło do tego dojść w sytuacji, gdyby do stacji zbliżyły się dwa niebezpieczne bolidy jednocześnie i trzeba by dokonać wyboru. Od rozpoczęcia Kamienego Deszczu coś takiego wydarzyło się dwukrotnie, ale już wcześniej symulacji i próbnym alarmów było bez liku. Najważniejsze to nie dać się osaczyć.

Bolid, który wykrywało się z ośmiogodzinnym wyprzedzeniem, musiał być dosyć duży. Mniejsze meteoryty fruwały non stop, wykrywane przez radary dosłownie na minuty lub nawet sekundy przed zderzeniem. W związku z tym o każdej pełnej godzinie generowano skrócone raporty, informujące o wszystkich wartych uwagi bolidach wykrytych przez ostatnie sześćdziesiąt minut. Dzięki temu

dowódca (albo jego zastępca, jeśli dowódca akurat spał) mógł odhaczyć większość obowiązków związanych z Wyszukiwaniem Bolidów poprzez oderwanie się o pełnej godzinie od innych zajęć i zapoznanie się z raportem. Od czasu do czasu zaskakiwał ich jednak meteoryt nadlatujący z niecodziennego kierunku albo z nadzwyczaj dużą prędkością; o takich przypadkach natychmiast informowano dowódcę, by mógł ogłosić alarm i zlecić ewentualny unik. Alarm meteorytowy miał w sobie coś z ostrzeżenia przed tornadem w małym miasteczku na Środkowym Zachodzie i coś z czerwonego alertu ze *Star Treka*. Wszystkich śpiących budzono. Zbędny personel ewakuowano z większych torusów, które uchodziły za najbardziej wystawione na niebezpieczeństwo. Zamykano włązy odcinające poszczególne części stacji na wypadek rozhermetyzowania kadłuba. Arkonauci podejmowali podobne środki ostrożności. Oczywiście miniarki były bardziej narażone na trafienia bolidów, ale były też bardziej sterowne. Kiedy niebezpieczny głaz zbliżył się na tyle, żeby dało się precyzyjnie określić parametry jego orbity, dane te trafiały do Parametryka, a ten wskazywał miniarki zagrożone zderzeniem i wyliczał dla wszystkich jednostek takie trajektorie, które pozwolą uniknąć nie tylko zderzenia z bolidem, lecz także kolizji w obrębie Arki w Chmurze. Coś takiego zdarzało się średnio nieco częściej niż raz dziennie, ale diabeł jak zwykle tkwił w szczegółach – tych statystycznych: raz zdarzyło się, że trzy dni z rzędu upłynęły bez poważnego zagrożenia, a kiedy indziej natknęli się na pięć niebezpiecznych bolidów w ciągu zaledwie dwunastu godzin. Pierwsze z tych wydarzeń spowodowało wyraźne nasilenie Spacebookowych skarg na wierchuszkę, która wyolbrzymia zagrożenie, żeby trzymać arkan w karbach; drugie sprowokowało Tava Prowse'a do opublikowania na blogu zjadliwego wpisu, w którym zarzucał zwymieszom systematyczną niekompetencję.

Po jednym z takich alertów, kiedy Ivy kasowała z komunikatora alarmowe wymiany zdań, jej uwagę zwrócił wpis, który właśnie pojawił się na blogu Tava: wywiad z Ulriką Ek.

– Ulrika musi się dużo nauczyć o blogerach – orzekła Ivy, skończywszy lekturę. Pokręciła głową. – Kto jak kto, ale ona powinna to wiedzieć najlepiej. Miała szkolenie z PR.

Zwracała się do Banana, który w ostatnich minutach powoli znów

zapełniał się ludźmi odwołanymi do innych obowiązków podczas alarmu meteorytowego. Ostatnia wróciła Tekla, przyprowadziwszy Toma Van Metera i resztę ochroniarzy Markusa. Luisa i Sal już czekali. Doob przesłał wiadomość, że niestety nie przyjdzie, bo musi wykonać pilne obliczenia związane z ostatnim wydarzeniem.

– Odsłoniła się, bo wydało jej się, że to rozmowa nieoficjalna – zasugerowała Luisa.

– Czyli czytałaś?

– Przejrzałam.

– O czym mowa? – zainteresowała się Tekla.

– Ulrika wygłosiła parę nieprzemyślanych stwierdzeń na temat teorii roju i ewentualnych przyszłych strategii. Tav robi z tego wielkie halo.

– Co chcesz z tym zrobić? – spytał Sal. – O ile w ogóle coś zamierzasz...

– Nic – odparła Ivy. – Posłuchajcie, im dłużej ciągnie się ta sprawa z *Ymirem*, tym bardziej ludzie obawiają się Wielkiej Jazdy. Każdy niebezpieczny meteoryt dodatkowo podsycy te lęki. A z *Ymirem* albo się nam uda, albo nie. Jeśli nie, to nie będziemy mieli innego wyjścia, jak Porzuć i Wiej.

Sal pokiwał głową.

– Za to jeżeli się uda, to kompletnie zmieni sposób myślenia ludzi.

– To prawda – zgodziła się Ivy. – Nawet jeśli manewr ze skośną dyszą nie wypali, wciąż zostaje nam plan B, czyli wysłanie empuda. Tak czy inaczej, w ciągu tygodnia powinniśmy spiknąć się z *Ymirem* i rozpocząć przygotowania do Wielkiej Jazdy. – Gestem zaprosiła nowo przybyłych, żeby znaleźli sobie miejsca przy stole. – I to właśnie ma być tematem naszego spotkania. Znamy plany JBF: werbuje arkan, którzy są gotowi zaryzykować i pójść swoją drogą. Z grubsza wygląda na to, że chcieliby zebrać w kilku miniarkach zapasy na parę tygodni lotu, po czym na umówiony sygnał odłączyć się od roju i przejść na wyższą orbitę, której my nie będziemy mogli osiągnąć, nie zużywając znacznych ilości materiału pędnego. Nie znamy ich planów długofalowych, nie wiemy nawet, czy takowe mają, ale moim zdaniem Julia liczy na to, że jej wybrańcy przetrwają dostatecznie długo, żeby wysłać nam wiadomość w stylu: „Chodźcie do nas! Woda jest ciepłutka!”, czym zachęciliby innych arkan do pójścia w ich ślady. Mają świadomość, że jeżeli zechcą się odłączyć od roju, nie będziemy mogli ich ścigać; przynależność do

Arki w Chmurze jest w obecnej sytuacji dobrowolna.

– Domyślam się, że zamierzasz to zmienić? – spytała oschłym tonem Luisa, spoglądając znacząco na Teklę i jej ekipę.

– Są pewne zasoby nieodzowne do przetrwania; tamci się nie odłączą, dopóki nie zgromadzą ich zapasu – odparła Ivy. – Nie może być tak, że byle kto będzie nam plądrował magazyny, tymczasem mamy dowody na to, że tak właśnie się dzieje. Ze Spacebooka można się dowiedzieć, gdzie szukać zapasowych akumulatorów albo kanistrów do skrubarów. Dlatego zamierzamy załatwić to w bardzo prosty sposób. Zidentyfikowaliśmy najbardziej bezczelnych złodziei. Za godzinę wygłoszę oświadczenie, w którym wyjaśnię funkcjonowanie Konstytucji Arki w Chmurze w odniesieniu do sprawców kradzieży dobra wspólnego i ogłoszę dwudziestoczterogodzinną amnestię, podczas której każdy będzie mógł bez konsekwencji zwrócić skradzione rzeczy. Po upływie dwudziestu czterech godzin zespół Tekli wkroczy na pokład miniarki, o której wiemy, że jest wykorzystywana jako magazyn kontrabandy, i przywróci porządek. Następnie Sal w roli prokuratora podejmie wszelkie działania, jakie uzna za konieczne.

– Jak chcesz karać więzieniem ludzi pozamykanych w blaszanych puszkach? – spytała Luisa. – Albo grzywną, kiedy pieniądze nie istnieją?

– Będziemy rozwiązywali takie problemy na bieżąco – odparł Sal.

Tekla spiorunowała go wzrokiem i przeciągnęła kciukiem po gardle.

* * *

– No, to chyba postanowione – powiedziała Julia.

Ona i Spencer Grindstaff unosili się w powietrzu pośrodku Białej Arki. Obok nich szybował laptop, z którego głośników płynęła transmisja audio ze spotkania w Bananie. Słyszeli, że zebranie dobiega końca, a wychodzący ludzie rozmawiają w małych grupkach. Spencer przysunął sobie laptop i kilka razy uderzył w przycisk sterowania głośnością. Dźwięk ścichł.

– Tak jak już powiedziałem: razem z haczykiem i spławikiem.

– Chyba że w jakiś sposób odkryli, że mamy podsłuch w Bananie – zauważyła Julia – i urządzili coś w rodzaju słuchowiska radiowego na

nasz użytek.

– To się nazywa paranoja! – Spencer rozpromienił się w uśmiechu. – Do tej pory wydawało mi się, że to ja jestem paranoikiem, ale...

– Żartowałam – przerwała mu Julia, nieco zbyt pośpiesznie. – Możemy działać, Spencer. Moim zdaniem mamy pełne prawo potraktować najzupełniej poważnie to, co przed chwilą usłyszeliśmy. Z przyjemnością przekażę Marsjanom dobrą nowinę. Są gotowi?

– Tak. – Spencer wystukał wiadomość tekstową zwołującą rekrutów. – Czekają.

Wszyscy Marsjanie przybywali na miejsce spotkania jedną rurą transportową, więc chwilę to trwało, zanim w Białej Arce zebrali się kluczowi członkowie pierwszej w dziejach ludzkości ekspedycji na Czerwoną Planetę: doktor Katherine Quine, której rola w wyprawie była oczywista; Ravi Kumar, dowódca; Li Jianyu, oficer naukowy; oraz Paul Freel, amerykański spec od empudów i naczelny inżynier misji. Oni wszyscy (podobnie jak czekająca za kulisami dwudziestka innych arkan) złożyli przysięgę, że nie dokonają żywota zamknięci w blaszanych puszkach i że albo staną na powierzchni Marsa, albo umrą, próbując tego dokonać. W ich ślady poszło jeszcze kilkoro ludzi ze „sztabu” Julii.

Julia przywitała zebranych uprzejmą formułką i uroczystym obwieszczeniem rozpoczęcia misji marsjańskiej. Kiedy uściski i przybijane w nieważkości piątki rozpląnęły się w krępującym milczeniu, zwróciła się do Paula Freela:

– Paul, jestem pewna, że kiedy tak czekaliście, zdążyłeś przedstawić wszystkim aktualną sytuację. Czy i ja mogłabym się dowiedzieć, jak wygląda sprawa z empudem?

– Naturalnie, pani prezydent. Jak pani wiadomo, próbują ustabilizować *Ymira* za pomocą...

– Machiny Rubego Goldberga w kształcie lodowej rzeźby. Wiem.

Paul parsknął śmiechem, odsłaniając dziąsła.

– Nie ma się co dziwić, że wierchuszka trochę się niepokoi. Wydano polecenie opracowania planu awaryjnego, który w razie potrzeby pozwoli naszymi rękami wyciągnąć *Ymirowe* kasztany z ognia. Powiem tak: z naszego marsjańskiego punktu widzenia lepiej się to ułożyć nie mogło. Jak pani wiadomo, od lat planujemy tę misję. Po Dniu Zero pracowałem nad nią hobbystycznie przez cały czas trwania programu

empudów; udało mi się przemycić tę ideę jako jeden z przypadków użytkowych.

– To znaczy?

– Jedno z hipotetycznych przyszłych zastosowań zestawu MPUD – wyjaśnił Spencer.

– Zasadniczo chodziło o pretekst do włączenia do zestawu paru specyficznych komponentów, takich jak przepustnicowe silniki do lądowników czy materiał na pokrycia aerodynamiczne, które w innym wypadku mogłyby się nie załapać – ciągnął Paul. – Dzięki temu dopracowanie projektu *Czerwonego łazika* to była bułka z masłem.

– *Czerwonego łazika*?

– Tak go nazwaliśmy.

– Proponowałabym raczej coś sugerującego szlachetny cel – powiedziała Julia. – Wyższą ideę. Na przykład *Inicjator*.

Zapadła krępująca cisza, którą przerwała Camila:

– Zaraz sporządzę listę stosownych propozycji i przedstawię pani do zatwierdzenia, pani prezydent.

– Dziękuję, Camilo. Musisz zrozumieć, Paul, że ta misja będzie miała wymiar nie tylko naukowy, lecz także symboliczny; zależy nam na przekazaniu arkanom właściwego komunikatu, żeby natchnąć ich do pójścia w nasze ślady.

– Ależ oczywiście! To tylko nazwa robocza. Kryptonim.

– Na kryptonim też się nie nadaje – wtrącił Spencer. – Każdy może...

– Przejdźmy dalej – zasugerowała Julia. – Mówiłeś o projekcie, Paul.

– Od dawna jest gotowy. Wystarczył jeden dzień. Musieliśmy wprowadzić parę poprawek do istniejącego projektu, żeby uwzględnić materiały i surowce, którymi faktycznie dysponujemy.

– Wyśmienicie.

– Oczywiście od projektu do gotowego statku droga daleka – zastrzegł się Paul – a jeszcze parę dni temu trudno byłoby zmontować działający układ napędowy, nie ściągając na siebie gniewu Ivy!

– Takie słowa mogą tchnąć lęk wyłącznie w serca jej najgorliwszych wyznawców – odparła Julia z powagą, na jaką stać tylko człowieka, który całkiem niedawno używał broni jądrowej przeciw żywym celom.

Paul parsknął śmiechem.

– Ale wie pani, o co mi chodzi: żyjemy tu jak w akwarium! Proszę

więc wyobrazić sobie moją radość, kiedy dostaliśmy rozkaz zmontowania ratunkowego empuda dla *Ymira*.

– O podobnej specyfikacji?

– Wystarczająco podobnej. Taki sam główny napęd. Zespoły silników manewrowych, system sterowania, układ podtrzymywania życia... wszystko standardowe. Takich rzeczy nie modyfikuje się jakoś drastycznie przy zmianie przypadków użytkowych; wystarczy wprowadzić inne parametry programu. Zmodyfikować jeden plik konfiguracyjny!

Widząc, że Julia nie za bardzo wie, co to jest plik konfiguracyjny, Spencer znów zabrał głos:

– Wystarczy kilka stuknięć w klawiaturę, żeby zapisać DNA *Czerwonego łazika*, jeśli można się tak wyrazić, w komputerze pokładowym pojazdu ratunkowego *Ymira*.

– A co z miniarkami? – spytała zadowolona z tego wyjaśnienia Julia. – Z triadą i heptadą?

– One już teraz są w pełni funkcjonalnymi, niezależnymi pojazdami kosmicznymi. Przestrzeni jest w nich aż nadto dla dwudziestu czterech Marsjan i ich witamin. Bo że zapasy zbieramy od dawna, to chyba widać.

– Paul szerokim gestem ogarnął składowane w Białej Arce worki z jedzeniem i innymi zasobami.

– Wszystko pięknie – przytaknęła Julia – ale kluczowym elementem operacji będzie przeniesienie miniarek z pozycji obecnie zajmowanych w roju i niebudzących niepokoju Parametryka do miejsca, w którym podłączyście zmontowany przez was moduł napędowy. Wtedy się zrobi smród, prawda?

Uśmiech na twarzy Paula Freela lekko stężał.

– Będziemy musieli zaryzykować – odparł.

– Mam pewien pomysł – wtrącił Spencer Grindstaff. – Wiem, jak to załatwić. Potrzebny nam będzie alarm meteorytowy. Jutro się tym zajmiemy.

– Skąd wiesz, że jutro będzie alarm?

– Takie zdarzenie – odparł Spencer – to tylko pewna konkretna konfiguracja bitów.

* * *

Dinah przyśnił się Mars.

Jako specjalistka od eksploatacji asteroid nigdy się przesadnie nie interesowała odległą i niegościnną Czerwoną Planetą. Polityka rządząca eksploracją kosmosu przed Dniem Zero nakazywała traktować sceptycznie, a nawet lekceważąco wszystkich tych, którzy chcieliby tam polecieć, budować kolonie i terraformować świat. Marsjańscy koloniści odciągali uwagę i środki od górników eksploatujących asteroidy, którzy, opierając się na łatwiej dostępnych zasobach, chcieli tworzyć przyjazne człowiekowi środowiska – zasobne w wodę i powietrze kolonie orbitalne, których ruch wirowy dawałby namiastkę grawitacji.

Tak czy inaczej, dwa lata temu kwestia marsjańska umarła śmiercią naturalną, co jednak nie przeszkadzało Marsowi objawiać się w snach Dinah – ostatnio także w snach na jawie. Minęły prawie trzy lata, odkąd stąpała po powierzchni planety, oglądała niebo, widziała horyzont. Miała świadomość, że śmierć upomni się o nią – prędzej czy później – zanim znów zrobi którąś z tych rzeczy. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Arki w Chmurze, przeżyje resztę swoich dni w środowisku przywodzącym na myśl schron bombowy, szpitalne podziemia czy laboratorium badawcze; mogli liczyć co najwyżej na widok z okna, za którym rozpościera się wygwieżdżone niebo. Widok niebiesko-zielono-białej Ziemi niegdyś fascynował i niósł pociechę; widok pomarańczowej kuli ognia, wokół której teraz krążyli, był tak nieprzyjemny, że większość ludzi wolała na nią nie patrzeć. Nikt nie mógł tam wrócić. Dla wszystkich tych, którzy chcieliby pójść na spacer, zanim umrą ze starości, Mars był jedyną nadzieją, choćby nawet skrajnie nierealistyczną. Rozprawiano o tym na Facebooku i dyskutowano na blogach tworzonych w miniaturowym Internecie Arki w Chmurze. Zanim wskutek utraty *New Cairda* stracili łączność z Arką, część tych rozmów zdążyła skapnąć na tablet Dinah, która w wolnych chwilach podczytywała co ciekawsze kawałki.

Teraz przynajmniej zdarzały jej się jakieś wolne chwile. Od momentu podjęcia decyzji o użyciu skośnej dyszy uruchamiali silnik dwukrotnie w odstępie około dwudziestu czterech godzin, za każdym razem nieco zmieniając konfigurację dyszy; wyrzeźbiony przez gzy skośny próg ledwie dostrzegalnie wystawał poza rufową powierzchnię lodowego odłamka i leciutko zakrzywiał strumień pary. Pierwszy z tych impulsów

wprowadził ich w ruch wirowy w pożądanym kierunku – chociaż określenie „ruch wirowy” mogło być lekkim nadużyciem w sytuacji, gdy pełny obrót wokół osi zajął im niemal cały dzień. W tym czasie gzy przeprowadziły się na przeciwległą krawędź dyszy i tam zbudowały mały prózek. Dzięki temu drugi impuls silnika wyhamował rotację wywołaną pierwszym i sprowadził *Ymira* na tyle blisko pożądanego ustawienia, że do dalszej korekty wystarczyły ocalałe silniki manewrowe.

Zbliżało się kolejne perygeum. Tym razem dysza miała być skierowana dokładnie tak, jak chcieli – do przodu, dzięki czemu główny silnik znów mógł zostać użyty jak potężna rakietka hamująca. Roboty we wnętrzu lodowej bryły harowały przy jej wydrążaniu, pozostawiając po sobie skorupę, która zgodnie z symulacjami inżynierskimi powinna wytrzymać ostatnią serię manewrów. Zasobniki były pełne lodu, przenośniki wciąż dostarczały go więcej i więcej, a Dinah i Jiro nauczyli się w końcu optymalnej obsługi systemu. Jeden z sekretów polegał na tym, żeby nie próbować osiągnąć zbyt wiele przy pojedynczym impulsie; lepiej było działać spokojnie, rozsądnie dobrać pożądaną ΔV , osiągnąć zamierzony cel, a potem przeanalizować nową sytuację i bez pośpiechu zaplanować kolejny ruch. Z tego też powodu spotkanie z Izzy opóźniało się, a każdy dzień to opóźnienie powiększało – zarazem jednak byli coraz bardziej pewni powodzenia misji i coraz mniej zdani na łut szczęścia, co odbiło się na sposobie myślenia Dinah. Roboty prawie non stop chodziły na autopilocie, przez co trochę się nudziła. Mogłaby pogadać z Wiaczesławem, odgrodzonym od niej foliową ścianą, ale Wiaczesław nie był przesadnie rozmowny. Z kolei Jiro, który pracował niemal bez przerwy, zdradzał oznaki stresu i zmęczenia. Dinah wyszukiwała preteksty, żeby zaglądać mu przez ramię, kiedy siedział przy komputerze. Co on tam robił? Stawiał pasjansa? Wykonywał symulacje problemów mechaniki orbitalnej? Spisywał pamiętniki? Głównie oglądał jakieś filmy ilustrujące pracę maszynierii, która – jak w drodze eliminacji wywnioskowała Dinah – musiała znajdować się gdzieś w pobliżu reaktora.

W podłodze „najniższej” kondygnacji, trzy piętra „poniżej” poziomowi, na którym przebywali, właz zamykał wykuty w lodzie szyb. Na drugim końcu tego szybu był kolejny właz, przez który wchodziło się czegoś, co

na ziemskim transatlantyku nazwano by maszynownią. W małym hermetycznym pomieszczeniu znajdowały się panele sterownicze i złącza dostępowe reaktora – umieszczonego zaledwie kilka metrów dalej, po drugiej stronie grubej ściany. Ściana ta miała w teorii stanowić zabezpieczenie przed promieniowaniem, ale kiedy pośpiesznie klecono *Ymira*, montaż wielkiej ołowianej płyty nie wchodził w grę, dlatego przy każdym uruchomieniu reaktora „maszynownia” pławała się w powodzi neutronów i promieni gamma. Detektory promieniowania zostawione przez Seana i spółkę, gdy po raz ostatni zamykali ten właz, nie pozostawiały złudzeń: to było istne piekło. Na szczęście wszystkie zainstalowane w maszynowni urządzenia zaprojektowano w taki sposób, żeby dało się je obsługiwać zdalnie, z bezpiecznego modułu sterowniczego. Nikt nie musiał więc schodzić lodowym tunelem i otwierać tego włazu.

Ze wskazań przyrządów wynikało, że zbliżają się do kolejnego perygeum. Jiro (z pomocą Dinah) uruchomił silnik po raz – jak mieli nadzieję – przedostatni. Impuls trwał dłużej, niż się spodziewali, ale wyglądało na to, że odniósł pożądaną skutek: *Ymir* mocno wyhamował. W apogeum swojej orbity przelatywał teraz zaledwie kilkaset kilometrów ponad Izzy. Mimo poważnych strat liczebnych wśród robotów, które zużywały się, psuły i przegrywały walkę z promieniowaniem, Dinah wciąż miała ich wystarczająco dużo, żeby napełnić zasobniki lodem przeznaczonym do zużycia w ostatnim impulsie – czyli, jak wyliczyli, podczas najbliższego przejścia przez perygeum, za kilka godzin.

– Jeżeli jesteś zadowolona ze swoich robotów – odezwał się Jiro – chciałbym ci pokazać, jak się obsługuje główny napęd.

Dinah dorastała w obozach górniczych, gdzie starsi mężczyźni lubili zabawiać siebie i ją, ucząc ją obsługi ciężkich maszyn, wysadzania różnych rzeczy dynamitem, pilotowania samolotów i tym podobnych. Dlatego w pierwszej chwili nie zauważyła niczego dziwnego w propozycji Jiro. Uczenie ludzi różnych rzeczy mogło być (między innymi) sposobem na nudę. Jednakże w ciągu następnej godziny stawało się dla Dinah coraz bardziej oczywiste, że podczas najbliższego przejścia przez perygeum Jiro naprawdę zamierza scedować na nią obsługę silnika. W grę mogła jeszcze wchodzić bariera językowa, ale Jiro

mówił po angielsku całkiem niezłe i z uporem powtarzał takie rzeczy jak „miej oko na termoparę” albo „przy tym zaworze mogą się pojawić lekkie wibracje”.

– Jeżeli po trzydziestu sekundach przestanę się odzywać – powiedział w pewnym momencie – to będzie znaczyło, że musisz sama wygasić silnik na podstawie obserwacji delta V.

– Dlaczego miałbyś przestać się odzywać? – zdumiała się Dinah. – Gdzie będziesz?

– W maszynowni.

– Po co miałbyś tam schodzić?

– Część serwowatorów moderatora nie działa; przypuszczam, że promieniowanie zniszczyło w nich elektronikę. To nic strasznego, mamy części zamienne; sęk w tym, że trzeba je zainstalować ręcznie.

– I po to właśnie tam zejdziesz?

– Tak – przytaknął Jiro. – I tam już zostanę.

* * *

– Pusto pod każdym względem – zameldowała Tekla Ivy na szyfrowanym kanale głosowym. – Nie ma ludzi. Nie ma zapasów.

We troje z Tomem Van Meterem i Bolor-Erdene poświęcili ostatnie dziesięć minut na przeszukanie miniarki nr 98 od drzwi frontowych po maszynownię; asystował im Sal Guodian. Przylecieli rupieciami, przycumowali i bez przeszkód weszli na pokład – pierwszy ruszył Sal, trzymając w rękach tablet z pierwszym nakazem przeszukania wydanym na podstawie Konstytucji Arki w Chmurze. Był gotowy pokazać go pierwszej osobie, która zastąpi mu drogę, ale nikogo takiego nie znalazł.

Wtedy dołączyli do niego Tekla, Tom i Bo ubrani w pomarańczowe kamizelki wyjęte na oczekaniu z zestawów ratunkowych, które – zaprojektowane do użycia na Ziemi – straciły praktyczne zastosowanie i miały pełnić rolę mundurów policyjnych, dopóki nie znajdzie się coś lepszego. Przy odrobinie szczęścia wyposażenie policyjne w ogóle nie powinno być potrzebne, ale Ivy nie miała wątpliwości (a pozostali członkowie zwołanej *ad hoc* rady się z nią zgodzili), że podejmując

działania *de facto* policyjne, nie ma sensu wkładać białych rękawiczek i udawać, że wpadli z nieoficjalną wizytą. Albo wymusi się przestrzeganie nowej konstytucji, albo pozostaną z niej tylko puste słowa.

– Możecie podłączyć arkę z powrotem do SKS? – spytała Ivy. – Chciałabym widzieć, co się dzieje.

– Zrestartuję system – zaofiarował się Sal i usiadł przy sterach. – Ale wszystko zależy od tego, co właściwie zrobił Spencer: czy permanentnie uszkodził połączenie, czy tylko wprowadził jakieś tymczasowe polecenie.

Obmacał tylną powierzchnię pulpitu, znalazł wtyczkę i włożył do gniazda.

– Spodziewaliśmy się, że znajdziecie tam dziesięcioletnie zapasy dóbr nieodnawialnych – powiedziała Ivy. Nie miała na myśli jedzenia (które można było wyhodować w zewnętrznym kadłubie miniarki) ani powietrza (którego zasoby odtwarzał układ podtrzymywania życia), ale drobiazgi w rodzaju przyborów toaletowych, witamin, lekarstw i żywności specjalnej. – Tak wynikało z poszlak: ilości towarów, które poznikały z magazynów, a także z liczby kursów rupieci i spacerów kosmicznych, które zahaczały o tę arkę. Od początku wiedzieliśmy, że to tylko domysły, ale żeby nie było tam zupełnie nic... To dziwne.

– To więcej niż dziwne – odparła Tekla. – To atak z zaskoczenia.

– Myślisz, że powinniśmy się spodziewać ataku?

– Może nie w sensie wybuchu przemocy, ale coś na pewno się wydarzy.

– I miniarka numer dziewięćdziesiąt osiem była tylko przynętą?

– To oczywiste.

Z głośników systemu nagłaśniającego dobiegł melodyjny dźwięk i diody LED zmieniły kolor z białego na czerwony.

– Alarm – zabrzmiał syntetyzowany głos. – Cały personel na stanowiska. Pilny manewr roju. To nie są ćwiczenia.

Słyszeli go już wcześniej. Alarm meteorytowy.

W innej sytuacji potraktowałiby go poważnie.

– Co za niezwykły zbieg okoliczności – zauważyła Tekla.

– Lepiej wracajcie do rupieci – poradziła Ivy. – Trzymajcie się procedur alarmowych, ale miejcie oczy szeroko otwarte.

* * *

– Steve? – spytała Ivy. – Masz już coś na temat tego bolidu?

Alarm trwał od jakichś pięciu minut i musieli się przenieść do Banana. Ivy bardzo chciałyby się dowiedzieć, co się dzieje z JBF i jak rozwija się – jak to ujęła Tekla – „atak z zaskoczenia”, ale w obecnej sytuacji jej obowiązki były jasne: musiała bez reszty skoncentrować się na wykonaniu uniku przez Arkę w Chmurze i jego potencjalnych konsekwencjach, czyli ewentualnej kolizji miniarek albo oddzieleniu się jednej lub więcej z nich od roju. Gdyby sytuacja zrobiła się poważna, mogła zająć konieczność wysłania ekip ratunkowych. To dlatego pierwszy rozkaz Ivy dotyczył powrotu Tekli i pozostałych do rupiecia; obowiązkiem prowizorycznych sił policyjnych nie powinno przecież być dostarczanie nakazów podejrzanym, tylko reagowanie na sytuacje kryzysowe. Siedzący w duszy Ivy kosmiczny maniak wprost palił się do obserwacji zjawiska naukowego, jakim był nadlatujący meteoryt, ale ostatecznie musiała to zadanie zlecić innym – i natychmiast po ogłoszeniu alarmu zleciła je Steve’owi Lake’owi.

Na razie alarm przebiegał podobnie jak większość poprzednich, co oznaczało, że większość aktywności w sieci wygaszono, rezerwując przepustowość dla Parametryka. Ten system aktywował się bez udziału człowieka: wyliczał kursy, czynił sugestie, gromadził dane o wszystkich drobinkach w chmurze. Ekrany Parametryka jarzyły się wściekle, ale w tym również nie było niczego niezwykłego, skoro prawie każda arka włączała silniki manewrowe i zmieniała trajektorię. Z czasem wszystko się ułoży, zawsze się układało, ale częścią tego procesu porządkowego było gromadzenie informacji o nadlatującym bolidzie. Im bliżej się znajdował, tym precyzyjniej mogli śledzić jego lot. A kiedy już wyminie Arkę w Chmurze, Parametrykowi pozostanie tylko po nim posprzątać.

Ivy spytała Steve’a o meteoryt z dwóch powodów. Pierwszy był taki, że niebezpieczne bolidy niejako z definicji bardzo szybko pojawiały się i znikaly – a ten nadlatywał już od dobrych kilku minut. To było długie oczekiwanie. Drugi powód był taki, że na Parametryku panował większy chaos niż zazwyczaj. Normalnie w pierwszych minutach należało się spodziewać rozbryzgu czerwieni, który wkrótce bladł, w miarę jak kolejne miniarki meldowały usunięcie się ze strefy zagrożenia.

Tymczasem teraz sytuacja nic a nic się nie poprawiała.

– Mamy jakiś problem z przepustowością czy...

– Dziwny jakiś ten meteoryt... – odparł Steve. – Powinienem odbierać strumień pakietów z MS, która w miarę gromadzenia danych uściśla parametry przejścia bolidu.

Miał na myśli Matrycę Sensoryczną, mechanizm połączonego kierowania radarami i teleskopami.

– A nie odbierasz?

– No odbieram, ale... liczby się nie zgadzają.

– Jak to liczby się nie zgadzają?

– Jakbyśmy mieli dwa niezależne alarmy meteorytowe naraz; pakiety nachodzą na siebie, są jakieś przesłuchy. – Steve odchylił się i w zadumie skubnął brodę. – Zaraz... Te pakiety przychodzą z różnych źródeł!

– A powinny z jednego – zauważyła Ivy. – Z MS.

– I twierdzą, że tak właśnie jest, ale coś mi się widzi, że część z nich to fałszywki.

Czując, jak krzesło porusza się pod nim lekko, Steve odruchowo wyciągnął rękę i złapał się krawędzi stołu. Izzy uruchomiła silniki manewrowe, żeby zmienić ustawienie statku i wśliznąć się pomiędzy Amaltheę i meteoryt – prawdziwy lub wyimaginowany.

– Myślisz, że ktoś nas robi w konia z tym alarmem?

– To by pasowało do teorii Tekli na temat tego, co się dzieje.

– Spróbuję pogadać z Doobem. A ty pracuj nad tą hipotezą fałszerstwa.

* * *

– Pani prezydent? – odezwała się Camila, odsunawszy słuchawkę od ucha. – Tak jak pani prosiła, informuję, że Ivy rozgryzła podstęp.

– Wie? – spytała Julia.

– Jeszcze nie do końca, ale Steve Lake wykrył sfałszowane pakiety i prowadzi dalszą analizę.

Oczy Camili były bardzo, bardzo duże, a jej głos – zawsze lekko zniekształcony wskutek deformacji twarzy – oschły i zdławiony.

Julia obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem, po czym odwróciła się do Spencera Grindstaffa. Ten wzruszył ramionami.

– Prędzej czy później ktoś tak utalentowany jak Steve musiał...

– To mnie nie interesuje – przerwała mu Julia. – Chcę wiedzieć, czy dzięki naszej zagrywce zyskaliśmy dość czasu.

– Jest... – odezwała się Camila.

– Na pewno narobiliśmy dość zamieszania – zagłuszył ją Spencer. – Za dwadzieścia sekund powinniśmy przycumować heptadą do Stoczni.

– Jest jeszcze jeden bolid! – pisnęła Camila. – Tak mi się wydaje.

Julia zbyła ją niecierpliwym potrząśnięciem głową, nie spuszczając Spencera z oka.

– Gdzie triada?

– Już na miejscu.

– Ekipa w skafandrach?

– Wyszli przez śluzę, czekają na stanowiskach.

– Mimo wszystko... Cumowanie, łączenie, montaż... To wymaga czasu.

– Za pozwoleniem, pani prezydent... – wtrącił się Paul Freel. – Wystarczy byle jak szepić moduły w całość, choćby za pomocą plastikowych obejm, a potem odłączyć się od Stoczni. Do tego wystarczy mały impuls silnika manewrowego. Izzy nie ma blasterów, nie zestrzelą nas! Mogą za nami posłać rupieć, ale co on wskóra? Musimy tylko odskoczyć; potem będziemy mogli całymi dniami przygotowywać *Czerwoną nadzieję* do lotu, zanim ostatecznie rozpoczniemy naszą misję.

– Ta Tekla jest zdolna do wszystkiego.

– Cokolwiek by o niej mówić, będzie wykonywała rozkazy – odparł Paul.

– No dobrze. Jako pozostająca na miejscu orędowniczka waszej ekspedycji z przyjemnością przeprowadzę dywersję, która umożliwi wam odłączenie się od stacji.

Konstrukcja heptady przeniosła spodziewaną serię terkotów i metalicznych szczęknięć, gdy miniarka przycumowała do długiego dźwigara wystającego z boku Brankardu – serca Stoczni zaopatrzonego w mnóstwo śluz i złącz cumowniczych. Tuż obok tkwiła lśniąca kanciasta kratownica: szkielet *Czerwonej nadziei* czekający na dołączenie ostatnich komponentów, a już w tej chwili wyposażony w cztery ogromne zbiorniki na paliwo, zgrupowane wokół zespołu pomp, zaworów, serwomotorów i czujników odpowiedzialnych za

zasilanie znajdującego się poniżej silnika raketowego.

– Pani prezydent? – odezwał się Ravi. – Już czas. Chyba że chce pani lecieć na Marsa. Będzie pani mile widziana w składzie załogi.

Julia – przejrzawszy się w lusterku puderniczki – wyprężyła się na bacność. Nie wyglądała olśniewająco, ale zważywszy na standardy Arki w Chmurze, ujdzie.

– Kusząca propozycja – przyznała – ale niestety mam inne obowiązki.

Zamknęła puderniczkę i poszukała wzrokiem Camili, która miała kręcić film telefonem. Była w pobliżu, chociaż nadal sprawiała wrażenie roztrzęsionej. Co ją opętało? Będzie musiała z nią później poważnie porozmawiać.

– Dobrze – odparł Ravi. Nuta żalu w jego głosie była tylko odrobinę wymuszona. – To się może pani przydać.

Podał Julii arkusz papieru, na którym rozpoznała mocno sfatygowaną prezydencką pieczęć. Ravi starannie odkleił ją od ściany, wraz z większością niebieskiej taśmy.

Julia wygładziła ją i wsunęła pod pachę.

Odpływający od niej w powietrzu Ravi zasalutował. Julia odpowiedziała tym samym.

– Z Bogiem, Ravi. Będę niecierpliwie wyczekiwała waszego pierwszego meldunku z Marsa.

– Tak jak ja będę niecierpliwie wyczekiwał możliwości wysłania go, pani prezydent.

– Coś mi mówi, że jeszcze się spotkamy. Nieustraszeni mieszkańcy Arki w Chmurze znajdą jakiś sposób, by mimo przeciwności losu podbić królestwo czystej przestrzeni i w ślad za *Czerwoną nadzieją* podążyć do lepszego miejsca.

Ravi należał do ludzi, którzy nie potrafią wyczuć, kiedy zostali odprawieni. Zaczął mamrotać pod nosem jakąś stosownie porywającą odpowiedź, gdy Julia spojrzeniem dała znać Camili, żeby przestała nagrywać, a sama odepchnęła się i poszybowała na dziób Białej Arki. Camila podążyła za nią.

Przecisnąwszy się przez rurę transportową, wyszły przez właz i znalazły się w jednym z modułów tworzących Stocznię. Wnętrze przypominało dom wariatów. Pełna załoga *Czerwonej nadziei* liczyła dwadzieścia cztery osoby. Większość z nich znajdowała się już na

poładzie triady lub heptady, gdzie czekali na połączenie ich miniarki ze szkieletem pojazdu, ale część – ubrana w skafandry kosmiczne – wyszła „na zewnątrz”, a część była w Stoczni, gdzie odbywali pośpieszne narady i przenosili paczki z zapasami. Dziwaczny akcent w tej scenie stanowili czterej zwymieszce, najprawdopodobniej pracownicy Stoczni, których skrupowano (poprzez związanie im rąk za plecami), a następnie porozwieszano na plastikowych więzach po całym wnętrzu, korzystając z różnych dogodnych punktów zaczepienia. Trzech z nich miało się dobrze, czwarty zaś broczył kuleczkami krwi z rozciętego łuku brwiowego. Paul Freel wspominał wcześniej, że inżynierowie z ekipy MPUD stali się jego nieświadomymi współnikami, kiedy pomagali montować szkielet *Czerwonej nadziei*, myśląc, że realizują awaryjny plan ratunkowy dla *Ymira*. Najwyraźniej z czasem się uświadomili i zaczęli buntować.

Krwawiący mężczyzna zmierzył Julię spojrzeniem zdrowego, niezapuchniętego oka.

– Julia! – zawołał.

W pewnym dziwnym sensie Julia nie miała chwilowo nic do roboty. Marsjanie najpierw zajęli się przepychaniem zgromadzonych zapasów przez właz do heptady, a następnie sami poszli w ich ślady, toteż wewnątrz Stoczni szybko pustoszało. W pierwszej chwili Julia nie zwróciła uwagi na krwawiącego mężczyznę, ale w końcu został w stoczni tylko jeden Marsjanin – nie kto inny, jak Paul Freel, który nie podzielał zapału Raviego do ceremoniału i po prostu odhaczał na tablicie kolejne wykonane zadania. Zupełnie nie zwracał uwagi na Julię.

– Julia! – odezwał się znowu spętany plastikowymi taśmami mężczyzna. Nie krzyczał, mówił swobodnym tonem.

– Słucham – odparła w końcu.

– Jak ma na imię twoja przyjaciółka? – Mężczyzna skinieniem głowy wskazał Camilę.

Julia odruchowo się zjeżyła, słysząc to impertynenckie pytanie, ale zaraz sobie przypomniała, że przecież nigdy nie jest za późno, żeby z wroga zrobić przyjaciela.

– Camila – odparła. – Korzystając z okazji, dodam, że jestem wstrząśnięta, że coś takiego się panu przytrafiło. Ten widok napawa mnie zgrozą. Zapewniam pana, że...

– Ej, Camila! – przerwał jej więzień.

– Tak? – Camila brzmiała jak przerażona osiemnastolatka.

– Twoja przyjaciółka zwariowała.

– Pani prezydent? – wtrącił się Paul Freel, zanim Julia zdążyła zareagować.

Odwróciła się do niego z wypiekami na twarzy.

– Zechce pani czynić honory?

– Jakie znowu honory?

Naprawdę, ci inżynierowie... Co miała zrobić, rozbić butelkę szampana o kadłub?

– Proszę zamknąć za mną właz. Wtedy będziemy mogli odcumować.

– Z przyjemnością.

– Do zobaczenia na Marsie.

Paul wyciągnął rękę na pożegnanie. Julia ścisnęła jego dłoń i lekko nią potrząsnęła. Camila, wstrząśnięta wymianą zdań z krwawiącym mężczyzną, zapomniała o swoich obowiązkach kamerzystki.

Paul Freel sięgnął w głąb magicznego portalu łączącego Ziemię z Marsem, podciągnął się do środka, odwrócił i zamknął właz po swojej stronie. Julia zrobiła to samo od zewnątrz i natychmiast poczuła i usłyszała syki i szczęknięcia sygnalizujące odłączenie *Czerwonej nadziei* od Stoczni.

W tej samej chwili konstrukcja modułu przeniosła także inne dźwięki, brzmiące obco i znacznie bliższe. Julia zdała sobie sprawę, że słyszy kroki ludzi w skafandrach kosmicznych na zewnątrz kadłuba.

– Alarm odwołany – zameldował głos z syntezy. Diody zmieniły kolor.

Camila wydała krótki, gwałtowny okrzyk i wyciągniętą ręką wskazała w głąb Stoczni, w rejon jej połączenia z Kominem.

Jakieś trzydzieści metrów od nich, w Brankardzie, było widać kilka osób w pomarańczowych kamizelkach. Jedna z nich patrzyła wprost na Camilę.

Tekla.

Syntetyczny głos zabrzmiał ponownie, ogłaszając kolejny alarm.

Nie taki był plan.

Tekla musiała znaleźć w Brankardzie coś, od czego można odepchnąć się nogami, bo w następnej chwili pomknęła jak rakieta w stronę Camili

i Julii. Wymachiwała przy tym rękami, odbijając się po drodze od wszystkiego, co pomogłoby jej skorygować kurs, ale nie odrywała oczu od Julii i leciała prosto na nią. Coś błysnęło w jej dłoni, wąski łuk srebrnego światła. Ostrze sztyletu.

Ostry metaliczny dźwięk poniósł się echem po Stoczni: to Julia odciągnęła kurek w rewolwerze Pete'a Starlinga.

– Broń! – zawołał krwawiący mężczyzna. – Ona ma pistolet!

Nawet jeśli Tekla go usłyszała, to zupełnie się tym nie przejęła: odepchnęła się od dźwigara w sąsiednim module i jeszcze bardziej przyspieszyła.

Odrzut broni nastąpił zbyt szybko, jakby wypaliła przez przypadek. Julia już dostatecznie długo przebywała w kosmosie, żeby wiedzieć, że odrzut przy wystrzale odepchnie ją do tyłu – i rzeczywiście tak się stało, ale jednocześnie zauważyła także inne rzeczy, których nie potrafiła wyjaśnić. W jej polu widzenia pojawiła się Camila: nadlatywała z boku z wyciągniętą ręką. Ściana Stoczni wybrzuszyła się i zaatakowała Teklę bodiczkami; chwilę później trafiła Camilę, a zaraz potem także Julię. Julia spodziewała się usłyszeć wysoki syk dobiegający z otworu po kuli w kadłubie, ale dźwięk, który wypełnił jej uszy, bardziej przypominał ryk, jakim tłum na stadionie mógłby skwitować przejęcie podania. Ręka Camili przemieniła się w ogniste skrzydło. Coś złapało Julię od tyłu i cisnęło nią w stronę Brankardu. Odwróciła się, myśląc (niezbyt rozsądnie), że to krwawiący inżynier w jakiś sposób uwolnił się i ją zaatakował, ale siła, która nią targnęła, nie była dziełem człowieka. Zassał ją strumień uciekającego w próżnię powietrza.

* * *

– Jiro, słyszysz mnie? – spytała Dinah po raz czwarty. Licząc na to, że Jiro wprawdzie ją słyszy, ale jest zbyt osłabiony, by odpowiedzieć, uznała, że warto mu przekazać dobrą nowinę: – Udało się. Mam kontakt wzrokowy z Izzy: za jakieś pół godziny powinniśmy się z nią spotkać.

– To dobrze – odparł. – Dobrze.

Dinah zdziwiła się, że w ogóle coś do niej doszło, ale drugie „dobrze” zabrzmiało o wiele słabiej od pierwszego.

Postanowiła nie mówić mu nic więcej. Zamknięty w maszynowni *Ymira*, gdzie jednocześnie zamarzał na śmierć i gotował się żywcem w powodzi promieniowania, nie potrzebował dokładnego opisu widoku przez teleskop.

Od dwóch lat nazywali ją Arką w Chmurze i nazwa ta miała być nieco poetycka, ale dzisiaj Arka naprawdę przypominała chmurę. Izzy – zazwyczaj wyraźnie widoczną w silnie kontrastowym świetle otwartej przestrzeni kosmicznej – otulał migotliwy całun czegoś, co na chłodno można by nazwać materią rozdrobnioną.

Nie ulegało wątpliwości, że Izzy została bezpośrednio trafiona bolidem, poza tym jednak nie było widać żadnych szczegółów.

Ostatni impuls silnika, do którego dostęp okazał się dla Jiro misją samobójczą, wprowadził *Ymira* na trajektorię bardzo zbliżoną do trajektorii Izzy: ta sama płaszczyzna, ta sama średnia wysokość, a jedyną różnicą był nieco bardziej eliptyczny kształt orbity *Ymira*, który przy każdym obiegu Ziemi dwukrotnie przecinał orbitę Izzy. Teraz właśnie zbliżali się do jednego z tych punktów przecięcia, dlatego z punktu widzenia *Ymira* stacja kosmiczna się przybliżała, a jej obraz wypełniał ekran komputera, co chwila zmuszał Dinah do poszerzenia kadru i stawał się coraz wyraźniejszy. Upływały kolejne minuty, gdy Dinah na podstawie dostrzeganych szczegółów próbowała odtworzyć przebieg wydarzeń.

Meteoryt nadleciał z boku, ominął Amaltheę i trafił w okolice P2, na której osadzone były T2 i T3. Z obu torusów zostały wybite spore kawałki konstrukcji; oba też przestały się obracać. Bliżej rufy kręgosłup Izzy – ciągnący się wzdłuż jej osi Komin – był wygięty. Rozpostarte skrzydła Stoczni nie oderwały się wprawdzie od Brankardu, ale przekrzywiły się i gęsto siały odłamkami. Pierwszy torus – ten, w którym mieścił się Banan – nadal się obracał, z bliska było jednak widać, że i on nie uniknął zniszczeń, najprawdopodobniej trafiony odpryskami.

Lodowy kadłub *Ymira* zawibrował od głuchego uderzenia: prawdopodobnie zderzyli się z jakimś dryfującym kawałkiem kosmicznego śmiecia. Nie miało to żadnego znaczenia, bo odłamek raczej nie rozwijał wielkiej szybkości. *Ymir* mógł się przeryć przez całą chmurę takiego drobiazgu i niczego nie odczuć.

W jednym z okien na ekranie komputera wyświetliła się transmisja wideo aktywowana czujnikiem ruchu w kamerze krabochwyta: ludzkie ciało dryfowało w kosmos. Dinah z wysiłkiem przełknęła ślinę. Ścisnęło ją w gardle.

Jakaś cząstka jej umysłu zastanawiała się, czy Izzy stała się już statkiem widmem i czy ona, Dinah, nie jest jedyną żyjącą istotą ludzką. Zwłaszcza że Wiaczesław od wczoraj nie dawał znaku życia, a wcześniej skarżył się, że ma biegunkę – jeśli była skutkiem napromieniowania, to oznaczała wyrok śmierci. Niewykluczone więc, że Sława wolał popełnić samobójstwo niż czekać na to, co było nieuchronne.

Osamotniona za sterami *Ymira* Dinah szybowała bezgłośnie w stronę Izzy, zabawiając się (przelotnie) myślą, że jest jedynym człowiekiem we wszechświecie.

A potem zobaczyła czerwone światełko – wycelowany w nią laser z Kolonii Górniczej nadawał morsem:

WYSYŁAMY RUPIECIE DO OSTATNIEJ SERII MANEWRÓW
NIE ZWRACAJCIE UWAGI NA BEZPAŃSKIE MINIARKI
WITAJCIE W DOMU

Nie mając jak odpowiedzieć, Dinah czekała i patrzyła. Strzępy izolacji, kawałki konstrukcji, rozsypane witaminy, a od czasu do czasu także ludzkie ciała koziółkowały przed obiektywem, gdy poruszała kamerą na boki i przybliżała wybrane szczegóły. Od Zwiezdy w przód Izzy prezentowała się całkiem nieźle; Kolonia Górnicza i złożone w magazynie laboratorium genetyczne Moiry wyglądały na nietknięte. To dobrze.

Trzy rupiecie oddzieliły się od chmury i obrały kurs, który w ciągu kilku minut miał je doprowadzić w pobliże *Ymira*. Dinah domyślała się, że mają pełnić rolę pchaczy: napierając na bryłę lodu, za pomocą własnych silników nadadzą jej delta V niezbędne do spotkania z Izzy. Pierwsza część transmisji nie budziła więc wątpliwości – ale NIE ZWRACAJCIE UWAGI NA BEZPAŃSKIE MINIARKI nadal brzmiało dość tajemniczo. Skąd miałyby się wziąć jakieś bezpieczeństwa arki? I co to właściwie znaczyło „bezpieczne”?

Kiedy jednak Dinah przeczesła przestrzeń przed dziobem i za rufą Izzy (gdzie miniarki parkowały najczęściej), stwierdziła, że okolica dziwnie się wyludniła. Było to jednak tylko wrażenie optyczne, którego

nie mogła w sposób naukowy potwierdzić bez dostępu do Parametryka.

Przyszło jej nagle do głowy, że przecież wystarczyłoby nawiązać przez tablet łączność z siecią Izzy. Kiedy na początku misji *New Cairda* wydostali się poza jej zasięg, odcięła połączenie jako niepotrzebnie wyczerpujące baterię, teraz jednak tablet szybko zameldował, że nawiązał kontakt – zapewne za pośrednictwem jednego z rupieci – i wyświetlił odpowiednią ikonkę. Ściągnięcie z sieci wszystkich e-maili i wiadomości tekstowych, jakie nagromadziły się w skrzynce podczas „urlopu”, wymagało kilku minut, w których dla zabicia czasu Dinah bawiła się teleskopem. Kiedy przeczesywała okolice Izzy, jakiś szczegół przykuł jej uwagę, kazał cofnąć się i powiększyć obraz.

Był to empud, niecodziennie duży empud, złożony z pięciu ustawionych w stos elementów, z godnym osy przewężeniem w talii. Poniżej przewężenia znajdował się najmocniejszy silnik dostępny w zestawie MPUD, powyżej gruby zlepek zbiorników paliwa. Samo przewężenie tworzyła miniarka z wbudowaną z boku śluzą; moduł sterowniczy, domyśliła się Dinah, podobny do *New Cairda*. Powyżej tej trójki ulokowano triadę, a na samej górze tworzącą pękaty dziób pojazdu heptadę. Wszystkie moduły oplatała sieć dźwigarów konstrukcyjnych, w której jak muchy w pajęczynie tkwiły mniejsze elementy; Dinah rozpoznała silniki manewrowe, ale jej wzrok przyciągnęły przede wszystkim gigantyczne zbiorniki paliwa sugerujące daleką podróż. Ale dokąd? Pojazd utrzymywał pozycję kilka kilometrów przed dziobem Izzy, w niemal zupełnie pustej okolicy.

Tablet wreszcie skończył ściąganie zaległych wiadomości, z których większość była dramatycznie przeterminowana. Dinah posortowała je według dat, wysunęła na czoło najnowsze zestawienia i przejrzała nagłówki. Niewiele z nich pochodziło z ostatnich kilku godzin – co było całkowicie zrozumiałe, zważywszy że Arka w Chmurze miała inne sprawy na głowie – ale jedna z tych świeższych wpadła jej w oko: OŘĘDZIE PREZYDENT JBF DO WSZYSTKICH MIESZKAŃCÓW ARKI W CHMURZE.

Na sam widok tych słów poczuła się jak wyrżnięta pięścią w splot słoneczny. Mimo to wyświetliła treść wiadomości i przeczytała:

Dzisiejsza tragedia wstrząsnęła nami wszystkimi, ale nawet

pogrążeni w żałobie zaczynamy szukać odpowiedzi. Byłam w Stoczni, kiedy to się wydarzyło; dopiero co pożegnałam dzielnych odkrywców z Czerwonej nadziei i życzyłam im powodzenia. Dzięki automatycznemu zamknięciu włazu na skutek dekompresji odniosłam jedynie drobne obrażenia i doświadczyłam nieznacznych niewygód. Wszyscy wiemy, że wielu zwykłych mieszkańców nie miało tyle szczęścia. Łączę się z resztą ludzkości w żałobie po ich stracie. Społeczność Arkańska z samej swojej natury była mniej zagrożona tą katastrofą i poniosła mniejsze ofiary. Tak jak to przewidywałam od samego początku projektu Arki w Chmurze, rozproszona architektura roju zapobiegła poważniejszym zniszczeniom. Z przykrością należy stwierdzić, że straciliśmy trzy miniarki, a kilka innych zostało uszkodzonych podczas późniejszych kolizji lub wskutek trafienia odłamkami, ale system jako całość sprawdził się doskonale, zgodnie z naszymi wcześniejszymi przewidywaniami. Naturalnie wielu członków SA zadaje sobie teraz pytanie, czy bezpiecznie będzie pozostać na niskiej orbicie okołoziemskiej, w sąsiedztwie ociążałej, starzejącej się stacji kosmicznej, nie dość sterownej, żeby unikać podobnych katastrof w przyszłości. Rozpościerająca się nad nami czysta przestrzeń wzywa. Czerwona nadzieja wkrótce uruchomi główny napęd i rozpocznie podróż przez niezbadane rubieże na planetę, na której pewnego dnia znajdzie się dość miejsca dla nas wszystkich. Arka w Chmurze na razie nie może za nią podążyć – ale tylko na razie. Wszyscy członkowie SA doskonale wiedzą – przeszedłszy obszerne szkolenie z działań w kosmosie i mechaniki orbitalnej – że każda miniarka może się wznieść na wyższą orbitę, wykorzystując do tego wbudowane silniki i posiadany na pokładzie zapas materiałów pędnych. Samotna arka, triada czy heptada długo nie przetrwa, to oczywiste, ale jako część roju będzie miała szansę. Wielu członków Społeczności Arkańskiej, którzy w napięciu śledzili desperackie starania Ymira, teraz zaś stali się świadkami częściowego zniszczenia Izzy przez uderzenie jednego zaledwie bolidu, powątpiewa w sens pozostania na niskiej orbicie i zdania się na mozolną, rozpaczliwie powolną wspinaczkę ku czystej przestrzeni, jaką proponują zwolennicy Wielkiej Jazdy. Jestem politykiem, nie

naukowcem, dlatego nie będę udawała, że potrafię w tym miejscu przedstawić rzetelną analizę techniczną problemu. Niektórzy uważają zapewne, że w ogóle nie powinnam publicznie zabierać głosu. Fakty są jednak takie, że moja dawna funkcja prezydenta Stanów Zjednoczonych zapewniła mi wyróżnioną pozycję w Społeczności Arkańskiej bez względu na moje rzeczywiste zasługi. Wielu ludzi pyta, co teraz zrobię, dlatego, zamiast czekać, aż plotki posieją zamęt, postanowiłam wygłosić to orędzie. Cokolwiek to znaczy, z pomocą lojalnych przyjaciół udało mi się uciec z wraku Izzy i znaleźć bezpieczne schronienie na pokładzie miniarki nr 37, wchodzącej obecnie w skład triady. Wkrótce po tym, jak moje orędzie zostanie nadane, uruchomimy nasz główny napęd, by wznieść się ponad chmurę szczątków Międzynarodowej Stacji Kosmicznej i przenieść się w wolny od meteorytów obszar przestrzeni kosmicznej. Nasze parametry orbitalne zostaną opublikowane w sieci; wszyscy podobnie myślący arkanie mogą do nas dołączyć w dziele tworzenia roju, który ma się stać rozwiązaniem trapiących dziś ludzkość problemów. Znalazłszy się na bezpiecznej wyższej orbicie, spróbujemy znaleźć sposób na to, by wyciągnąć pomocną dłoń do naszych ocalałych przyjaciół, którzy utknęli na pokładzie stacji. Wspólnie ocalimy to, co już mamy, i stworzymy stabilne środowisko do życia pod gwiazdzistym niebem, by, wstrzymując oddech, wyczekiwać efektów ekspedycji Czerwonej nadziei na gościnną i życzliwą powierzchnię Marsa.

– Z tym „wstrzymywaniem oddechu” ma całkowitą rację – mruknęła Dinah.

Zamknęła okienko i jeszcze raz sprawdziła znacznik czasu. Wiadomość pochodziła sprzed trzech godzin. Pół godziny temu Ivy opublikowała kontrorędzie; Dinah go nie czytała – wystarczył jej rzut oka na nagłówek, żeby wiedziała, czego się spodziewać: nie słuchajcie JBF, nie wyłamujcie się z szyku, my potrzebujemy was, a wy nas.

Jeśli jednak dobrze widziała – zarówno przez teleskop, jak i na Parametryku – to orędzie Ivy pojawiło się zbyt późno, żeby powstrzymać odlot znacznej liczby miniarek. Gdzieś tam, na wyższej orbicie, kształtował się nowy, samodzielny rój, niezależny byt

w Parametryku, chętnie widzący JBF w roli przywódcy.

Podczas misji *New Cairda* Dinah przeżywała intensywną huśtawkę emocjonalną. Więcej w niej było upadków niż wzlotów, co zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę liczbę ofiar śmiertelnych, ale w jakimś dziwnym sensie najwyższy punkt tej sinusoidy osiągnęła przed chwilą, gdy w orędziu JBF znalazła słowo „desperackie”. Lubiła, kiedy nazywano ją desperatką – zwłaszcza kiedy była o krok od sukcesu.

Uruchomiła na tablecie Parametryk, żeby sprawdzić status zbliżających się trzech rupieci. Ich piloci próbowali nawiązać łączność, ustalić, czy na pokładzie *Ymira* ktoś jeszcze żyje i czy mogą bezpiecznie wykonać podejście.

Jednoosobowa załoga, odpisała Dinah. *Wstrzymajcie się chwilę; Ymir musi zrobić wielgachną kupę.*

Wywołała na ekran okno, w którym komunikowała się ze swoimi robotami i wpisała jednowyrazową komendę: ODSTRZELENIE. Tak się nazywał program, który Sean zainicjował, Larz ulepszył, a ona ostatnio dokończyła. Przewidywał jednoczesną reakcję wszystkich robotów, a także niektórych mechanizmów w maszynowni.

Na ekranie wyświetliło się pytanie:

JESTEŚ PEWNY? T/N

Wcisnęła T.

GRATULACJE!!!

To nieżyjąca załoga *Ymira* przesłała jej wiadomość z kosmicznej pustki.

Dinah przepłynęła do zejściówki, wycelowała głową „w dół”, prosto w dziurę w podłodze, i odepchnąwszy się, spłynęła na najniższy poziom modułu sterowniczego. Właz w podłódze (wejście do lodowego tunelu prowadzącego do maszynowni) został dla bezpieczeństwa zawczasu zamknięty, ale dla pewności sprawdziła go jeszcze raz. Trzymał szczelnie. Było to o tyle istotne, że za chwilę po jego drugiej stronie miała się rozpościerać próżnia.

Ymir zaczął pomrukiwać; Dinah poczuła się jak uwięziona w brzuchu lodowego olbrzyma, który cierpi na niestrawność. Wiedziała, że słyszy dźwięki wydawane przez tysiące gzów i setki większych robotów, które zajmowały bezpieczne pozycje na wewnętrznej powierzchni lodowej skorupy i przegryzały elementy strukturalne łączące ją z rdzeniem

reaktora.

Wróciła na fotel w module sterowniczym i wyświetliła na ekranie obraz z wnętrza bryły. Jej ściany pocieniały na tyle, żeby przepuszczać nieco słonecznego światła, przez co stała się olbrzymim krystalicznym amfiteatrem, w którym zgromadzone roboty spoglądały do wewnątrz, na odbijającą neutrony berylową osłonę rdzenia. Przedtem reaktor tkwił zatopiony w lodzie, ale podczas pozyskiwania materiału pędnego do ostatnich potężnych impulsów silnika został odsłonięty. Wraz z nim odsłoniły się również mniejsza, stercząca w bok od niego kapsuła maszynowni oraz system przenośników i zasobników. Bliżej rufy znajdowały się resztki głównej komory dyszy, w większości przetopionej na wylot i odsłaniającej czerń kosmosu. Jedynym elementem podtrzymującym komorę reaktora była w tej chwili centralna kolumna nośna, która jak pień lodowego drzewa wyrastała z jej górnej powierzchni i sięgała litego dzioba lodowego odłamka, gdzie tkwił także moduł sterowniczy.

ODSTRZELENIE w swojej uprzejmości wyświetliło na ekranie odliczanie wsteczne, żeby Dinah mogła w odpowiednim momencie zakryć uszy. Kiedy doszło do zera, cała konstrukcja zadygotała, rozległ się makabryczny trzask, a kamery pokazały roziskrzoną fontannę lodu tryskającą z kolumny nośnej tuż powyżej reaktora. Ładunki wybuchowe, umieszczone tam dawno temu przez ekipę Seana, eksplodowały i roztrzaskały lód. W pierwszej chwili Dinah złąkała się nieco, że już nic więcej się nie wydarzy, ale wtedy z zaokrąglonej pokrywy kapsuły reaktora buchnęły strugi białej pary. ODSTRZELENIE otworzyło zawory, przez które wydostała się para wytworzona w komorze pod wpływem ciepła resztkowego i które teraz spełniły rolę prowizorycznych silników odrzutowych: odepchnęły cały reaktor wraz ze wszystkim, co było do niego przytwierdzone, w tył, w stronę ziejącej w dole pustki dyszy.

Reaktor wypadł z lodowej bryły i zniknął.

Jeżeli ODSTRZELENIE będzie działało dalej, reaktor – teraz już jako swobodny pojazd, pozbawiony rozumu mięśniak – wykona kilka nieporadnych manewrów, wytraci prędkość i spadnie w atmosferę.

– Żegnaj, Jiro – powiedziała Dinah. – Dziękuję.

No, no... – napisał jeden z pilotów rupieci.

Dinah jeszcze raz obejrzała dokładnie wnętrze *Ymira*, porównując obraz z różnych kamer, ale niewiele zostało tam do oglądania: pusta skorupa w kształcie głowy cukru rojąca się od robotów i bezradnie dryfująca w kosmosie.

Wysłała wiadomość:

Ktoś tu zamawiał megatonę materiałów pędnych?

* * *

Instynkt kazał im się zebrać w KMUK-u, blisko Amalthei i z dala od tych sektorów Izzy, które uległy częściowemu lub całkowitemu zniszczeniu. Tam właśnie zastała ich Dinah, po tym jak weszła na pokład, wypucowała się, poddała dekontaminacji i kilkakrotnej kontroli radiacyjnej. Różowiutka i obolała od skrobania najpierw uściskała Ivy i długo nie wypuszczała jej z objęć; potem przyszła kolej na Dooba, Moirę, Rhysa, Luisę, Steve'a Lake'a, Fiodora i Bo. Konrad Barth zginął, podobnie jak wielu innych, a Tekla nadal przebywała w szpitalu: odłamek ranił ją w pierś i konieczna była operacja.

W kącie KMUK-a leżała skulona w pozycji płodowej i cicho popłakująca kobieta. Zasłaniała twarz ramieniem zabandażowanym od czubków palców aż po bark. Dinah rozpoznała w niej Camilę, pomagierkę Julii.

Ivy bardzo nalegała, by spotkanie odbyło się w Bananie. Przekonanie Camili, by poszła z nimi, wymagało delikatnej perswazji, ale Luisie w końcu udało się ją przekonać. Camila z przyzwyczajenia sięgała jeszcze czasem ręką do czarczafu, który do niedawna zasłaniał dolną połowę jej twarzy, ale potem zniknął i w tej chwili była ubrana tak samo jak wszyscy, w workowaty kombinezon.

– Co Camila tu robi? – spytała Dinah Moirę, gdy szybowały przez Komin.

Moira była spłakana i wyraźnie wstrząśnięta. W którymś momencie zostały z Teklą parą i źle zniosła wiadomość o obrażeniach partnerki.

– Tekla rzuciła się na JBF, a ta próbowała ją zastrzelić. Camila wyciągnęła rękę; domyślałam się, że chciała jej wyrwać rewolwer. Jak zwykle miała na twarzy tę swoją woalkę; materiał zapalił się od

plamienia z lufy i zanim zdążyła się z niego wyplątać, poparzył jej całą rękę.

– Ale ocalała Teklę?

– Kto wie? Kula trafiła w coś innego i się roztrzaskała.

Dziury po odłamkach w T1 – pierwszym, najstarszym i najmniejszym torusie – zostały załatanе, a cały torus zahermetyzowano i ponownie napełniono powietrzem. Wcześniej zawsze uchodził za bezpieczne miejsce i teraz też jak najszybciej powinni znowu zacząć tak o nim myśleć. To dlatego Ivy uparła się, żeby się tu spotkać.

Zajęli miejsca w Bananie.

Spłynęły pierwsze liczby. Ivy zaczęła zebranie od ich podania.

Na początku Kamiennego Deszczu populacja ludzka (nie licząc tych jej członków, którzy, być może, przetrwali na Ziemi) liczyła 1551 osób – albo 1553, jeśli uwzględnić dwoje spóźnialskich: Julię i Pete’a Starlinga. Starling nie dożył nawet chwili wyjścia z kapsuły, więc liczba początkowa wyniosła 1552.

Mieli do dyspozycji 305 zamieszkałych miniarek, orbitujących samodzielnie, oraz 11 zapasowych, zacumowanych do Izzy i pustych. W arkach na orbicie mieszkały 1364 osoby; pozostałe 188 tworzyło grono zwykłych mieszkańców na pokładzie Izzy. Na pokładzie stacji stale przebywało dziesięć procent arkan (w systemie rotacyjnym), więc przeciętna populacja Izzy sięgała 324 osób.

Zanim doszło do katastrofy, 26 osób zginęło w różnych nieszczęśliwych wypadkach (głównie na skutek uderzeń mniejszych bolidów).

24 osoby znajdowały się obecnie na pokładzie wykradzionego empuda, który przybrał nazwę *Czerwona nadzieja* i który – jeśli wierzyć ich zapewnieniom – wkrótce miał wyruszyć w podróż na Marsa.

Z osób, które w chwili tragedii znajdowały się na Izzy, 211 zginęło na miejscu; liczba żywych na pokładzie stacji zmniejszyła się więc do 113, z czego około 20 było w stanie krytycznym. Ze 188 zwymieszów – starszych i bardziej doświadczonych specjalistów o wysokich kwalifikacjach – ocalało 106.

W momencie katastrofy miniarki zamieszkiwało łącznie 1178 osób. Rozproszona struktura roju w połączeniu z faktem, że wiele jednostek czmychnęło razem z Julią, utrudniała ocenę strat. Z najdokładniejszych

dostępnych szacunków wynikało, że siedemnaście miniarek uległo zniszczeniu (z domniemaną stuprocentową śmiertelnością wśród ich mieszkańców), co zmniejszyło tę populację do około 1100. Gdyby rzeczywiście tak było, łączna liczba ofiar zbliżyłaby się do 300.

Jeśli chodzi o liczbę jednostek w roju, przed katastrofą tworzyło go 299 zamieszkanymi miniarek; po zderzeniu ich liczba zmniejszyła się do 282. Dziesięć z nich – triada i heptada – dołączyło do *Czerwonej nadziei*, zostały więc 272. Około 200 zaginęło; należało się domyślać, że przyłączyły się do JBF i uciekły razem z nią. Około 70 postanowiło zostać i meldowało się jako w pełni sprawni członkowie Arki w Chmurze. Zapasowe 11 jednostek, cały czas zacumowane do Izzy, miało wkrótce przejść przegląd pod kątem usterek i uszkodzeń.

Miniarki tworzące okrojona Arkę w Chmurze zamieszkiwało około 300 ludzi; łącznie z tymi, którzy ocaleli na Izzy, populacja sięgała nieco ponad 400 mieszkańców. Rozłamowcy z drugiego roju byli więc niemal dwukrotnie liczniejsi. JBF zabrała ze sobą dwie trzecie ludzkości.

– Niech mi Bóg wybaczy – odezwał się Doob – ale w tej chwili bardziej od liczby mieszkańców interesuje mnie liczba silników. Silników miniarek. Dopóki Dinah nie przywozła nam tej całej masy lodu, te silniki były bezużyteczne, ale teraz mamy dla nich paliwo. Jeżeli wycelujemy je wszystkie w tym samym kierunku, żeby razem popchnęły Izzy, możemy urządzić Wielką Jazdę.

Przerwał na chwilę i zerknął do notatek. Ze zsuniętymi na czubek nosa okularami do czytania nagle wydał się Dinah znacznie starszy. Ciekawe, pomyślała, jak ja teraz wyglądam.

– Czy dobrze liczę, że z tego, co powiedziałaś, wynika, że mamy...

– Około siedemdziesięciu – potwierdziła Ivy. – Plus jedenaście zapasowych. Trzeba je będzie jeszcze sprawdzić, ale na pierwszy rzut oka wydają się nieuszkodzone.

– Osiemdziesiąt jeden – podsumował Doob. – Ładna liczba. Kwadrat liczby naturalnej.

– Kwadrat kwadratu liczby naturalnej – zauważył Rhys.

– Jeżeli uda nam się zbudować konstrukcję nośną dla zespołu liczącego dziewięć miniarek... kwadrat trzy na trzy, wspólny dopływ paliwa... zestawić dziewięć takich zespołów i w jakiś sposób zintegrować je z konstrukcją Ivy... to będzie najtrudniejsze... Będziemy mieli matrycę

liczącą osiemdziesiąt jeden silników. Jeśli w chwili przejścia przez perygeum wszystkie zostaną odpalone z pełną mocą, ich łączny ciąg może dużo zmienić. Wydaje mi się, że przy takiej mocy możemy się porwać na Wielką Jazdę.

– To dużo budowania – zauważył Fiodor. – Bardzo, bardzo, bardzo dużo.

– Surowców mamy pod dostatkiem, prawda? – zauważyła Luisa. – Sama widziałam całe zwoje taśmy aluminiowej do wytlączarek...

– Chodzi o czas – odparł Fiodor. – Zgoda, mamy mnóstwo surowca, ale mało ludzi. Montaż będzie utrudniony. Atmosfera gęstnieje, opór narasta, orbita się psuje.

Dinah spojrzała ponad stołem na Rhysa – Rhysa-biomimetyka, którego pomysł, żeby przerobić roboty na małych, pancernych, odpornych na promieniowanie Benów Grimmów, najprawdopodobniej uratował *Ymira*.

– Będziemy budować z lodu – powiedziała.

Rhys podniósł na nią wzrok, przetrawił jej słowa i pokiwał głową.

– Za kruchy – zaoponował Fiodor.

– Dinah nie ma chyba na myśli zwykłego lodu – odezwał się Rhys – tylko pykret, którego używali na *Ymirze*. Lód wzmocniony włókmem. W ten sposób scalili tę bryłę. My też możemy go użyć.

– Może coś mi tu umyka – wtrąciła Moira – ale wydawało mi się, że lód ma być naszym paliwem. Będziemy go topić i zużywać po drodze, prawda?

– Owszem – przytaknął Doob.

– Czy to nie oznacza, że będziemy pochłaniać konstrukcję, na której wszystko się opiera?

– Owszem – powtórzył Doob – ale to nie problem. Bo im więcej jej zużyjemy, tym stanie się lżejsza i tym słabszy ciąg będzie nam potrzebny. Dlatego możemy bez szkody poświęcić po drodze część konstrukcji.

– Nie chciałbym, żeby moje słowa przyjęto jak kubel zimnej wody... – zastrzegł się Sal, uważnie przysłuchujący się dyskusji. Odpowiedzią na ten żart, o ile to miał być żart, było kilka jęków. – Ale słyszałem coś o skażeniu promieniotwórczym.

– Zgadza się, zewnętrzna powierzchnia jest skażona – przyznała

Dinah. – W lodzie tkwią mikroskopijne drobinki wściekle radioaktywnej materii. Promieniowanie beta nie przeniknie do wnętrza mieszkalnych, ale powinniśmy uważać, żeby nie zawlec tych okruchów do środka. Możemy tak zaprogramować roboty, żeby krążyły po powierzchni, wyszukiwały i wyrzucały radioaktywne śmieci.

Sal nie był chyba przekonany.

– Nie zamierzam was okłamywać – dodała Dinah. – Ludzie będą od tego umierali.

– Ale jest i druga strona metalu – przejął inicjatywę Rhys. – Izzy ma już na dziobie potężny żelazonikłowy taran. Z boków jest bezbronna, o czym dziś się przekonaliśmy. Mamy jednak możliwość opatulenia jej, i to całej, wzmocnionym lodem. Owszem, lodu będzie z czasem ubywało, ale większość Wielkiej Jazdy spędzimy w trzewiach gigantycznej góry lodowej ze stalowym czubem. Moim zdaniem śmiertelne żniwo ewentualnego skażenia będzie nieporównanie mniejsze od tego, co by nam groziło, gdybyśmy wyruszyli w drogę bez takiej osłony.

– Czego potrzebujesz? – spytała Ivy.

– Pozwolenia – odparła Dinah.

– A kiedy to ostatnio prosiłaś o pozwolenie?

Z kąta pomieszczenia dobiegł piskliwy śmiech. Wszyscy spojrzeli na Camilę.

– Odkąd znaleźliśmy cię w Stoczni, prawie się nie odzywasz, Camilo – powiedziała Ivy. – Jeden z naszych świadków twierdzi, że najprawdopodobniej ocalałaś Tekli życie. Mogłaś uciec z Julią, ale wolałaś zostać i uwolnić uwieczonych pracowników Stoczni. Ich także uratowałaś. Teraz jesteś wśród nas. Na pewno zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda.

Mina Camili sugerowała jednoznacznie, że do głowy jej nie przyszło, jak to wygląda. W ogóle nie zrozumiała, co Ivy do niej mówi.

– O rety... – westchnęła Luisa. – Ludzie zaczną gadać, że jesteś szpiegiem, który zgłosił się na ochotnika, żeby zostać z nami.

Camila uniosła zaciśniętą pięść i rozwarła dłoń, na której spoczywało białe pudełeczko ze strzępami taśmy klejącej.

– Pluskwa Julii – wyjaśniła. – Tutaj była.

Nikogo tym nie przekonała.

– Zaprosiła mnie na kolację w Białym Domu – mówiła dalej Camila. – Pomogła mi wybrać sukienkę. Przedstawiała mnie generałom, ambasadorom, gwiazdom filmowym. Pisała do mnie listy na papeterii Białego Domu. Ja się w niej... zakochałam. Jeśli chcecie, możecie mnie nazwać naiwną. W porządku: byłam naiwna. Do dzisiaj. Bo dzisiaj nagle przejrzałam na oczy. Zobaczyłam, z kim mam do czynienia. Teraz jej nienawidzę. I nienawidzę siebie za to, że byłam w niej zakochana.

– Nie zapominaj o tym, moja droga – powiedziała Moira. – Bo ona dzisiaj podjęła złą decyzję. Prędzej czy później wróci.

– Będę gotowa – zapewniła ją Camila.

Endurance

Widziana ludzkim okiem pusta powłoka *Ymira* była martwa, krucha i błyszcząca jak porzucona skorupa żuka. Ale gdyby skierować na nią elektroniczne oczy kamer, a potem przyspieszyć odtwarzany obraz sto tysięcy razy, tak żeby jeden dzień został skompresowany do jednej sekundy filmu, przypominałaby amebę, ścigającą, dopadającą, a następnie pożerającą Izzy. Ktoś, kto nie wiedziałby, co ogląda, mógłby wziąć Izzy za insekta ze stalowym łbem, najeżonego odnóżami, czułkami i wypustkami, który wierzga i miota się w bezskutecznej próbie obrony przed powolnym, nieubłagany, płynnym atakiem lodowego potwora.

Oczywiście w rzeczywistości to czterystu ocalałych mieszkańców Izzy, pracujących – w porównaniu do powolnej ewolucji lodu – z prędkością światła, przebudowywało stację kosmiczną, przygotowując ją do Wielkiej Jazdy. Okaleczony Brankard został odcięty od korpusu, elementy Stoczni przeniesiono bliżej dziobu, a potężny reaktor umieszczono w bezpośrednim sąsiedztwie Komina – od tej pory to lód miał chronić Izzy przed jego promieniowaniem. Osiemdziesiąt jeden miniarek połączono w zespoły po dziewięć i przytwierdzono na rufie stacji, z silnikami skierowanymi w tył. Ich mocowanie początkowo stanowiły cienkie, liche kratownice, na których ekipa w skafandrach rozpięła kable, przewody paliwowe i rury transportowe. Po ułożeniu instalacji lód – stale popychany w przód przez harujący bez wytchnienia olbrzymi rój gzów – oblał miniarki i scementował ich połączenie ze stacją litą masą wzmocnionego sztucznym włóknom pykretu.

Lód płynął również ku dziobowi; można było odnieść wrażenie, że ogląda się puszczony wspak film z cofania się lodowca. Gzy, ślepo posłuszne prostemu zestawowi rządzących nimi reguł, wypełniały lodem każdą napotkaną wolną przestrzeń. W krótkich przerwach na odpoczynek i posiłki ludzie przerzucali się niewiarygodnymi historiami

o tym, gdzie znaleźli ogniska lodowej zarazy i co musieli zrobić, żeby się jej przeciwstawić.

W ciągu miesiąca resztki *Ymira* zostały doszczętnie zużyte, a Izzy na pierwszy rzut oka przestała istnieć: razem utworzyły orbitalną górę lodową, której szczyt stanowiła dziobata i poblizniona gruda żelazoniklu o konturach rozmytych w rusztowaniu podtrzymującym las anten i czujników. Wierzchołek płynnie przechodził w lity czarny szaniec, którego gładką powierzchnię tu i ówdzie mąciły wyrzuszenia silników manewrowych i innego wyposażenia, a także kopułki obserwacyjne wyrastające z lodu jak chatki pustelników. W płaskiej podstawie ziało osiemdziesiąt jeden równych, okrągłych otworków, plujących od czasu do czasu – gdy statek przechodził przez perygeum – błękitnobiałym płomieniem.

Nie mogli się zdecydować, jak to coś nazwać. Próbowali pożenić „Izzy” z „Ymirem”, ale bez powodzenia; najlepsze, co uzyskali, to „Izmir”, ale tak się nazywało miasto w Turcji. Z sentymentu kusilo ich, żeby upamiętnić męczenników ekspedycji *Ymira*, było ich jednak więcej niż jeden. Na cześć Markusa przyrównywano lodową górę do Daubenhornu, skracając to do „Horn”, czyli „Róg”. Nawet niegłupio. Ostatecznie jednak do nowej jednostki przyłgnęła nazwa stanowiąca kontynuację trendu Shackletonowskiego, zapoczątkowanego przez Markusa *New Cairdem*. Główny statek Shackletona, *Endurance*, zasłynął tym, że uwiązał w lodzie. Stało więc na *Endurance* i Fiodor – przywdziawszy swojego sfatygowanego Orlana i wychodząc w przestrzeń – tak właśnie ochrzcił statek, gdy rozbił butelkę szampana o jego metalowy dziób.

Kamera umieszczona w dużej odległości od Ziemi, nad jej biegunem północnym, śledząca w następnych latach karierę *Endurance*, zarejestrowałaby emocjonujące zawiązanie akcji, po którym nastąpiłby długi i monotony okres powolnego budowania napięcia, aż do dramatycznej kulminacji na ostatniej rolce filmu.

Przed powrotem *Ymira* piloci Arki w Chmurze bardzo dużo uwagi poświęcali kwestii utrzymania Izzy powyżej rozszerzającej się ziemskiej atmosfery. Amalthea ze swoim wysokim współczynnikiem balistycznym skutecznie opierała się wpływowi gęstniejącego powietrza, ale orbita Izzy ulegała nieuchronnej dekompozycji i od czasu do czasu

wymagała korekty. W tym celu uruchamiano główny silnik, ulokowany wówczas za rufą Brankardu i zaopatrywany w paliwo przez zasilane reaktorem jądrowym elektrolizery.

Po Przełomie – bo tak nazwano zderzenie Izzy z ogromnym bolidem, po którym rój i *Czerwona nadzieja* odłączyły się od społeczności ludzkiej – nie było na to czasu. Od zderzenia do ochrzczenia *Endurance* upłynął mniej więcej miesiąc; przez cały ten czas Izzy powolną spiralą obniżała lot. Gdyby lekkie jak piórko miniarki próbowały samodzielnie dotrzymać jej kroku, wiatr zepchnąłby je wstecz; musiały więc schronić się po zawietrznej stronie Amalthei i tam czekać, ukryte w jej cieniu aerodynamicznym jak rowerzyści za ciężarówką, na chwilę, gdy zostaną wbudowane w strukturę napędową. W miarę jak Izzy opadała coraz niżej, zespół obsługujący MS musiał posłać na dziób krabochwyty, żeby zdemontowały umieszczone tam delikatne anteny i czujniki, które w przeciwnym wypadku w końcu spłonęłyby w rozrzedzonym, lecz rozpalonym do białości powietrzu. Spacer Fiodora z szampanem nie trwał długo, a mimo to, wróciwszy na pokład, Fiodor twierdził, że widział, jak wiatr odwiedza do tyłu kropelki trunku.

Obecnym celem ich misji było wydźwignięcie apogeum statku z dotychczasowej wysokości (zaledwie kilka kilometrów powyżej perygeum) aż na poziom odległej o trzysta siedemdziesiąt osiem tysięcy kilometrów Rozpadliny. Musieli w tym celu wykonać cykl manewrów odwrotny niż ten, dzięki któremu Markus, Dinah, Jiro i Wiaczesław zsynchronizowali orbity *Ymira* i Izzy. Aby to osiągnąć, trzeba było na krótko uruchamiać silniki *Endurance* podczas jego przejścia przez perygeum.

Do pierwszego takiego impulsu doszło około pół godziny po ochrzczeniu statku; uzyskane w ten sposób delta V wyniosło cztery metry na sekundę. Przyśpieszenie było tak niewielkie, że mało kto w załodze w ogóle wyczuł jakąś zmianę, ponieważ nawet połączony ciąg osiemdziesięciu jeden silników miniarek niewiele znaczył wobec masy złożonego pół na pół z lodu i metalu *Endurance* – a mimo to, kiedy czterdzieści sześć minut później statek osiągnął apogeum, znalazł się 14,18 kilometra wyżej niż poprzednio. Po kolejnych czterdziestu sześciu minutach, kolejnym bliskim kontakcie z atmosferą i kolejnych czterech metrach na sekundę zdołali podwyższyć swoje apogeum o dalsze 14,21

kilometra. Po pierwszym dniu łączna zmiana wysokości apogeum wyniosła ponad sto kilometrów i *Endurance* nurzał się w rozszerzonej ziemskiej atmosferze już tylko w czasie trwającego kilka minut przelotu przez perygeum.

Później musieli jednak czasowo zawiesić projekt, ponieważ zużyli cały zapas materiału pędnego zgromadzony w zbiornikach w Stocznii. Reaktor i elektrolizery nie nadążały; nawet elektrownia atomowa miała swoje ograniczenia, gdy przychodziło do rozbijania cząsteczek wody.

Niedługo potem musieli wstrzymać procedury na cały tydzień, gdy wystąpiły problemy z zaopatrzeniem układu napędowego w czystą wodę; później system jeszcze przez miesiąc działał z zaledwie jedną czwartą planowanej wydajności. Z czasem jednak usunęli wszystkie usterki i w każdym perygeum silniki pracowały z coraz większą mocą, stopniowo wynosząc *Endurance* na spotkanie z Rozpadliną.

Gdyby udało im się utrzymać zakładane tempo, zasięg *Endurance* z czasem rósłby coraz szybciej. Pierwsze delta V przyniosło im 14,18 kilometra. Drugie, takie samo, dało 14,21 kilometra, czyli około trzydziestu metrów więcej. W skali kosmicznej różnica była mikroskopijna, ale z czysto matematycznego punktu widzenia istotna była stała tendencja wzrostowa: oznaczała, że im wyżej się wzbiją – im bardziej eliptyczna stanie się ich orbita – tym większy wzrost wysokości apogeum uzyskają z tego samego skromnego delta V. Różnica między kolejnymi przejściami, początkowo trzydziestometrowa, będzie rosła i rosła, aż sięgnie wielu kilometrów, a dzięki sprzężeniu zwrotnemu każdy kolejny wynik będzie coraz wyraźniej wyższy od poprzedniego. Było to zjawisko wykładnicze, w którym ludzkość wreszcie znalazła się po właściwej stronie opisującego je równania.

A do tego dochodziły jeszcze inne korzystne okoliczności natury matematycznej: po każdym impulsie silników *Endurance* stawał się ociupinę lżejszy. Mniejsza masa to mniejszy opór dla ciągu silników, które podczas przelotu przez perygeum wytwarzały delta V coraz większe i większe niż marne cztery metry na sekundę.

Wszystko powinno się dobrze ułożyć, jeśli tylko nie powymierają i utrzymają *Endurance* w dobrej kondycji – ale na początku postęp był żmudny i boleśnie powolny.

* * *

Zajęło im to trzy lata.

Planowali, że zajmie rok. Trwało to dłużej, ponieważ psujący się sprzęt wymagał napraw. Nie zawsze mieli dostęp do odpowiednich narzędzi i materiałów. Czasem musieli improwizować, obmyślać skomplikowane prowizorki, wykazywać się pomysłowością i ciężką pracą, a gdy wszystko inne zawiodło, ryzykować – i poświęcać – życie.

Kapitał ludzki *Endurance* kurczył się. Od początku brakowało im jedzenia. Projektanci miniarek przewidzieli możliwość uprawy jadalnych roślin pod przezroczystą zewnętrzną powłoką, ale na *Endurance* arki zostały zamurowane w lodzie chroniącym je przed Kamiennym Deszczem. Te, które znalazły się bliżej zewnętrznej powierzchni, miały dość światła, żeby wytworzyć trochę żywności, nie dość jednak w porównaniu z liczbą gąb do wyżywienia. Na początku podróży *Endurance* dysponował obfitymi zapasami żelaznych racji żywnościowych, które rozprowadzano wśród mieszkańców przy założeniu, że misja potrwa rok. Kiedy stało się jasne, że lot znacznie się przeciągnie, racje zmniejszono. Pokażne ilości witamin w magazynach również przetrwały Przełom i stały się obiektem pożądania mieszkańców Roju, którzy przed ucieczką nie zgromadzili ich dostatecznych zapasów. Pomiedzy *Endurance* i Rojem wywiązał się handel, któremu jednak daleko było do wolnego rynku, jaki niegdyś wyobrażali sobie rojomentaliści. Targu dobijano przez radio, a wymiany dokonywano w bezpośrednim kontakcie empudów z miniarkami, trudnym do uzyskania ze względu na bardzo różne orbity jednych i drugich.

Podobnie jak to robiono na *Ymirze*, mieszkańcy *Endurance* również czerpali lód z jego wnętrza, pozostawiając „skorupkę orzecha” nietkniętą, żeby pełniła rolę konstrukcji nośnej i pierwszej linii obrony przed bolidami. Jednakże taka ciężka jednostka była wyjątkowo mało sterowna, co zresztą wcześniej niezmordowanie wytykali im zwolennicy strategii Porzuć i Wiele z JBF na czele. Kiedy z daleka wykryto duży meteor, można było odpalić silniki *Endurance* i dokonać drobnej korekty kursu, która do czasu przybycia bolidu przyniesie wyraźny skutek i wystarczy do uniknięcia zderzenia. Większość mieszkańców,

pracując na trzy zmiany, nieustannie wypatrywała bolidów i planowała takie manewry, ale poniżej pewnych granicznych rozmiarów meteoryty stawały się niewykrywalne lub przynajmniej wykrywano je zbyt późno, żeby zrobić unik. Wtedy pozostawało mieć nadzieję, że bolid uderzy w Amaltheę – i większość rzeczywiście tak robiła, ale niektóre trafiały w niżej położone lodowe zbocza. Część z nich miała dostateczną energię, żeby przebić się na wylot i zabić.

Podczas trwającej trzy lata podróży mniej więcej co dziesiąty członek społeczności popełnił samobójstwo. Czasem przyczyny były tradycyjne. Po wybuchu intensywnej aktywności związanej z projektowaniem i budową *Endurance* Rhys popadł w czarną otchłań depresji i po miesiącu rejsu odebrał sobie życie. Ktoś inny zgodził się wyjść w otwartą przestrzeń z ewidentnie samobójczą misją, a pacjentka cierpiąca na raka wolała umrzeć niż niepotrzebnie zużywać ograniczone zasoby jedzenia, powietrza i lekarstw. A chorych na raka nie brakowało, bo przewidywania Dinah z dnia Przełomu się sprawdziły. Mimo wszelkich podjętych środków ostrożności radioaktywne okruchy przedostawały się do środka, trafiały do powietrza i łańcucha pokarmowego, grzęzły w płucach i trzewiach, a i bez nich środowisko orbitalne (z wszechobecnym promieniowaniem tła, brakiem ćwiczeń fizycznych, ubogą dietą i stałym kontaktem z nieprzyjaznymi substancjami chemicznymi) sprzyjało rozwojowi nowotworów, wyposażenie medyczne *Endurance* nie pozwalało zaś na wykrywanie i leczenie raka w taki sposób i na takim poziomie, do jakiego przywykli ludzie na Ziemi.

Powtarzające się okresowo kryzysy żywnościowe i kłopoty z powietrzem do oddychania, wywołane zarazą w cieplarniach lub awariami wyposażenia, zabierały ludzi, których siły i bez tego były poważnie nadwątlone. Krążący na orbicie *Endurance* tysiące razy przecinał pasy radiacyjne Van Allena. Zamiast przelecieć przez nie raz albo dwa, jak w trakcie tradycyjnej misji kosmicznej, wpadali w nie dwukrotnie podczas każdego obiegu Ziemi; ba, przez pierwszy rok praktycznie nie wylatywali poza ich zasięg. Chronili się, jak mogli, w najlepiej ekranowanych częściach statku, ale nie było schronień idealnych. Niektórzy członkowie załogi – ze względu na obowiązki albo za sprawą przypadku – pozostawali w bardziej odsłoniętych sektorach *Endurance*. Nawet samo przedłużające się przebywanie w ciasnych

wnętrzach poważnie obciążało organizm.

Proporcje liczebne płci zaczynały coraz wyraźniej przechylać się na korzyść kobiet. Ocalali z Przełomu zwymiesz, stanowiący około jednej czwartej populacji *Endurance*, byli w przeważającej mierze mężczyznami. Wynikało to bezpośrednio z faktu, że zostali zwerbowani z tradycyjnie zmaskulinizowanych dziedzin zawodowych: wojska, astronautyki, inżynierii i nauk ścisłych. Pozostałe trzy czwarte stanowili arkanie, wśród których pierwotne proporcje przedstawiały się następująco: siedemdziesiąt pięć procent kobiet, dwadzieścia pięć procent mężczyzn. Wśród tych, którzy postanowili zostać na *Endurance*, dominacja kobiet była jeszcze wyraźniejsza.

Zwymiesz płci męskiej byli też najczęściej starsi, często dwu-, nawet trzykrotnie starsi od arkan. W porównaniu z arkanami – najczęściej wybranymi i wysłanymi na orbitę w ostatniej chwili – znacznie dłużej przebywali w kosmosie i znosili jego niekorzystny wpływ na organizm. Wybrano ich ze względu na intelekt, nie sprawność fizyczną, a mimo to na początku, zanim arkanie nabrali orbitalnego obycia, to właśnie oni podejmowali się najbardziej ryzykownych zadań, takich jak wyjścia w otwartą przestrzeń. Na dodatek mężczyźni byli po prostu gorzej przystosowani do życia w kosmosie: z przyczyn biologicznych byli bardziej podatni na wpływ promieniowania, potrzebowali więcej jedzenia i powietrza, a ponadto – czy to ze względów kulturowych, czy z powodu uwarunkowań genetycznych – znacznie gorzej znosili perspektywę spędzenia całego życia w ciasnych, zatłoczonych wnętrzach. Wielu z nich odczuwało potrzebę samotności, przejawiającą się w zwiększonej gotowości do spacerów kosmicznych. Ludzie, którzy częściej wychodzili na zewnątrz, częściej też padali ofiarą chorób popromiennych, zbłąkanych bolidów, awarii sprzętu, skażenia odpadami z reaktora oraz zwykłych niefortunnych wypadków.

Panowało również powszechne (choć zwykle nieme) porozumienie w kwestii tego, że to nie mężczyźni są bezcennym zasobem, lecz kobiety, a ściśle rzecz biorąc – ich zdrowe, sprawne łona. Podzielając to przekonanie – a może po prostu wybierając bardziej konstruktywną społecznie formę samobójstwa – mężczyźni zgłaszali się na ochotnika do ryzykownych zadań, instynktownie spychając kobiety do bezpiecznego wnętrza statku. Kiedy kobiety próbowały oponować, co się czasem

zdarzało, łatwo było im zamknąć usta prostym i nieodpartym argumentem, że ich życie i zdrowie jest warte każdej ceny.

Sporadyczne kontakty z Rojem nasilały się skokowo za każdym razem, gdy Rój czegoś potrzebował. Rozstanie z Izzy nastąpiło w warunkach, które uznano by za wypowiedzenie wojny, gdyby nie fakt, że katastrofa zebrała śmiertelne żniwo o wiele obfitsze niż wszelki oręż, jakim wrogie grupy mogły sobie nawzajem zagrozić. Nie zanosilo się na prędką odbudowę zaufania. Obie strony konfliktu zakazały swobodnego kontaktu z wrogiem za pośrednictwem sieci komputerowej, ponieważ można by go wykorzystać w niecznych celach. Kanał komunikacyjny łączący Rój z *Endurance* przypominał zimnowojenną gorącą linię łączącą dwie wrogie stolice i całymi miesiącami bywał nieużywany – i to bynajmniej nie dlatego, że któraś ze stron próbowała lekceważyć tę drugą: po prostu obie były bez reszty pochłonięte walką o przetrwanie. Ivy i JBF były jak kapitanowie dwóch wrogich i uszkodzonych okrętów na wzburzonym morzu, którzy mają ważniejsze sprawy na głowie niż wzajemna nieprzyjaźń.

Kiedy już nawiązywano łączność, to tylko po to, by ustalić warunki wymiany towarowej pomiędzy obiema grupami. Nikt nie zamierzał się dzielić informacjami na swój temat, jednakże z pilnych próśb Roju dawało się co nieco wywnioskować: przede wszystkim interesowało ich paliwo, ale także lekarstwa na chorobę popromienną, nasiona odpornych na zarazę zbóż, substancje odżywcze oraz części zamienne do skruberów CO₂ i zasilających miniarki silników Stirlinga. W zamian oferowali głównie żywność – jedyny towar, który sami wytwarzali, a którego brakowało na pokładzie *Endurance*.

Jedenaście tygodni po Przełomie doszło do wybuchu na Słońcu, po którym nastąpiło zjawisko znane jako koronalny wyrzut masy: Słońce wystrzeliło w głąb Układu Słonecznego potężną falę cząstek obdarzonych ładunkiem elektrycznym. *Endurance* – zaopatrzone w rozległą sieć czujników, których część była na stałe wycelowana w Słońce na wypadek takich właśnie zdarzeń – przewidział nadciągającą burzę elektromagnetyczną i wysłał Rojowi ostrzeżenie przed nią; sam znajdował się wtedy w bezpiecznych głębinach ziemskiej magnetosfery, co w połączeniu z ochronnymi warstwami metalu i lodu pozwoliło załodze przetrwać sztorm bez narażania się na promieniowanie. Nie

mieli jednak pojęcia, czy Rój odebrał i zrozumiał ich ostrzeżenie. Arkitekci – w pełni świadomi zagrożenia ze strony KWM-ów – wyposażyli miniarki w „schrony burzowe”: dwuwarstwowe śpiwory, w których przestrzeń między zewnętrzną i wewnętrzną powłoką można było napełnić wodą; cząsteczki wody świetnie pochłaniały wysokoenergetyczne protony. Zaopatrzyli je również w zapas leku o nazwie „amifostyna”, mającego chronić DNA przed uszkodzeniami powodowanymi przez wolne rodniki, które powstawały w ciele ludzkim pod wpływem promieniowania. Powodzenie tego planu ratunkowego zależało od dwóch czynników: arkanie musieli zostać poinformowani o niebezpieczeństwie z co najmniej półgodzinnym wyprzedzeniem oraz dysponować zapasem wody do napełnienia schronów. Od czasu do czasu przeprowadzano nawet próbne alarmy, tak jak na statkach morskich wyposażonych w szalupy i tratwy ratunkowe, ale w sytuacji autentycznego zagrożenia wiele elementów mogło zawieść i wydawało się mało prawdopodobne, żeby obeszło się bez strat wśród ośmiuset arkan.

Podczas następnych trzech lat zdarzyło się jeszcze dziesięć koronalnych wyrzutów masy dostatecznie silnych, żeby uznać je za zagrożenie. *Endurance* zawsze wysyłał ostrzeżenie do Roju, ten jednak ani razu nie potwierdził odebrania komunikatu.

Fakt, że Rój stale uskarżał się na niedobór wody, był ogromnie niepokojący. Zważywszy że woda cyrkulowała w miniarkach w obiegu zamkniętym, jedyną możliwością jej trwałej utraty było zużycie jej w charakterze materiału pędnego, czyli rozdzielenie na tlen i wodór i spalenie w silniku. Wszystkie tworzące Rój arki musiały to robić od czasu do czasu, chociażby po to, żeby utrzymać przyjęty szyk; twierdzenie to pozostałoby w mocy nawet gdyby nigdy nie uskakiwały przed meteorytami i nie zmieniały orbity – tymczasem wyglądało na to, że arkanie dokonali kilku takich zmian, które wyniosły ich na orbitę wyższą, bardziej kołową i niezahaczającą o pasy Van Allena. Prawdopodobnie mieli ku temu swoje powody, ale jeżeli brakowało im wody do napełnienia schronów burzowych, narażali się na katastrofę, która w okamgnieniu mogła zgładzić całą populację. Ivy pozostała tylko nadzieja, że jednak zachowali resztki rozsądku i w krytycznej sytuacji poproszą o pomoc.

Tymczasem usilnie starała się oprzeć złudnemu poczuciu, że na *Endurance* wody nigdy nie zabraknie. Nie będzie powtórki z ekspedycji *Ymira*; woda, którą mieli, musiała im wystarczyć na setki lat.

Postanowiła już, co odpowie, gdyby JBF skontaktowała się z nimi z prośbą o pilną dostawę wody dla schronów burzowych: „mowy nie ma; wracajcie, dołączcie do załogi *Endurance* i schrońcie się na jego pokładzie”. Zastanawiała się czasem, czy JBF spodziewa się takiej reakcji – i jak daleko się posunie, by uniknąć tego rodzaju bezwarunkowej kapitulacji.

* * *

– No, nie było łatwo – wychrypiał Doob i golnął sobie ardbega z domieszką paru kropel liczącej pięć miliardów lat wody.

Gapił się na ekran projekcyjny w Bananie i mówił do pustego pokoju. Okulary do czytania przestały spełniać swoją funkcję, odkąd jego gałki oczne zmieniły kształt pod wpływem nieważkości. Ludzie, którzy umieli obsługiwać szlifierkę do szkieł optycznych, powymierali albo zaginęli, umiejętność wytwarzania okularów została więc utracona przynajmniej do momentu, gdy ktoś znajdzie zabunkrowaną gdzieś maszynę i przeczyta instrukcję obsługi – a ponieważ na *Endurance* zostało zaledwie dwudziestu ośmiu pasażerów, w najbliższym czasie wydawało się to mało prawdopodobne. Doob nadal całkiem nieźle widział na odległość, a ponieważ ze względu na kłopot z okularami nie lubił zbyt długo siedzieć przy laptopie, najchętniej zaszywał się w Bananie, rozkoszował odrobiną ciężenia, podłączał laptop do projektora i w ten sposób pracował.

Teraz siedział w Bananie od godziny, bo nie chciał przegapić wielkiego wydarzenia. Wiedział z dokładnością do paru sekund, kiedy to wydarzenie ma nastąpić, ale i tak, czekając na nie, nie był w stanie skupić się na niczym innym. Pozostałe dwadzieścia siedem osób spało lub miało inne obowiązki, świętował więc sam.

Większość ekranu zajmowało duże okno, w którym dużą, czytelną czcionką wyświetlało się sześć cyfr: parametry orbitalne *Endurance*. Ich wartości były aktualizowane kilka razy na sekundę, toteż cyfry drżały

i rozmazywały mu się przed oczami. Koncentrował się w szczególności na jednej z nich, opisanej wielką literą R od „radius”, czyli „promień”, i określającej odległość *Endurance* od środka Ziemi. R przekroczyło już wszelkie wcześniejsze poziomy, osiągnęło wartość 384 512 933 metrów i na razie dalej powoli rosło. *Endurance* skradał się do najwyższego apogeum w swojej historii; miał się w nim znaleźć nieco dalej od Ziemi niż obiegający ją niegdyś Księżyc. Pierwszy raz znajdą się na wysokości Rozpadliny.

Nieumocowane przedmioty zmieniły położenie, gdy *Endurance* włączył ocalałe silniki. Z pierwotnego zestawu liczącego osiemdziesiąt jeden sztuk zostało się trzydzieści siedem; przy sprzyjających wiatrach mogli liczyć na trzydzieści dziewięć. Drugą połowę rozebrano na części, żeby podtrzymać funkcjonowanie tych sprawnych. Chcąc skompensować utratę mocy, podłączyli prowizorycznie wszystkie inne dostępne silniki: duży z Brankardu, drobnicę z wyposażenia Stoczni, a także jednostki napędowe tych nielicznych miniarek, które, oddzieliwszy się od Roju, znalazły sposób na powrót do macierzy. Mimo zmniejszenia ciągu *Endurance* nie był wcale mniej sterowny niż na początku, kiedy bujał się ociążale w studni ziemskiego potencjału grawitacyjnego obciążony wieloletnimi zapasami paliwa. Teraz ważył dwa razy mniej.

Silniki pracowały przez dłuższą chwilę, *Endurance* zmienił ustawienie, po czym nastąpił kolejny impuls. Doob nie musiał patrzeć na liczby na ekranie, żeby wiedzieć, co się dzieje. Planowali to od trzech lat.

Krążyli wokół Ziemi po wybitnie ekscentrycznej orbicie: dwa ostre zakręty o sto osiemdziesiąt stopni były połączone dwiema prostymi o długości jednej trzeciej miliona kilometrów każda. Ziemia spoczywała głęboko w załamaniu jednego z tych zakrętów. Ich perygeum od trzech lat nie zmieniło się ani na jotę: przy każdym z tysięcy nawrotów, jakie przez ten czas wykonali, za każdym razem pędzili na złamanie karku przez najwyższe warstwy atmosfery, wyciskając z silników pełną moc. Przy ostatnim przelocie, około pięciu dni temu, uzyskali prędkość ponad jedenastu tysięcy metrów na sekundę. Symetryczny zarys ich orbity był zwodniczy: w obecnym położeniu, na przeciwległym jej zakręcie i nieco poza dawną orbitą Księżyca, pełzli z prędkością, jaką pojazd kołowy z dawnych lat osiągnąłby na dnie wyschniętego słonego jeziora.

Przypominali wagonik kolejki górskiej, wyholowany na sam szczyt pierwszej góry i skradający się w przód cal po calu na sekundę przed tym, jak runie z wysokości w dół. Ziemia miała wielkość piłeczki pingpongowej trzymanej w wyciągniętej ręce. Niedługo zaczęła spadać w jej kierunku, by za pięć dni w perygeum znów rozpędzić się do jedenastu kilometrów na sekundę.

Na razie jednak, podczas tych kilku minut, kiedy ledwo ledwo posuwali się naprzód, mogli dokonywać prawdziwych cudów. Niewielka zmiana prędkości w tym miejscu skutkowałą ogromnymi zmianami parametrów orbitalnych. *Endurance*, z uporem realizując opracowany trzy lata wcześniej plan, osiągnął już taką samą odległość od Ziemi jak Rozpadlina, ale od początku orbitował w niewłaściwej płaszczyźnie – tej samej, na której początkowo umieszczono Izzy, a która dawno temu została wybrana (miało się wrażenie, że od tamtej pory upłynął milion lat) ze względu na łatwą dostępność z Bajkonuru. Blisko Ziemi, przy dnie studni grawitacyjnej, zmiana płaszczyzny orbity pociągnęłaby za sobą katastrofalnie wysokie koszty. Gdyby nadal istniała Ziemia, na którą można powrócić, taniej byłoby zbudować od zera nową stację kosmiczną niż przenosić Izzy na płaszczyznę orbitalną Księżyca. Zupełnie inaczej wyglądały sprawy tutaj, w kosmosie, gdzie, odpalając silniki przy każdym przejściu przez apogeum, mogli niewielkim kosztem i małymi krokami popychać statek w pożądanym kierunku. Dlatego od miesiący za każdym razem w apogeum dokonywali drobnej korekty kursu. Nie mieli innego wyjścia, jeśli chcieli kiedykolwiek dotrzeć do Rozpadliny, ale Dooba i tak dręczyła zgaga i zaczynał żałować tych paru łyków zachomikowanej whisky.

Problem polegał bowiem na tym, że w płaszczyźnie orbitalnej niegdysiejszego Księżyca, na którą musieli się przenieść, żeby szukać schronienia na Rozpadlinie, krążyły wszystkie niebezpieczne kamulce. Tam właśnie w Dniu Zero pojawiły się pierwsze z nich – i tam większość została. Te, które spadły na Ziemię podczas Kamiennego Deszczu, stanowiły zaledwie ułamek chmury księżycowych odłamków, skromniutką posypkę w porównaniu z tym, co pozostało w kosmosie. Piloci *Endurance* przez większą część podróży świadomie utrzymywali go na tej skośnej, narzuconej przez położenie Bajkonuru orbicie, z dala od obszarów zajmowanych przez postksiężycowe śmieci. Gdyby tego

nie zrobili, statek nie przetrwałby tak długo.

Jeśli jednak chcieli dotrzeć na Rozpadlinę, musieli podjąć ryzyko i przelecieć przez obłok odłamków, w którym się pławiła. Dlatego przez ostatnie miesiące przy każdym przejściu przez apogeum przybliżali swoją orbitę do docelowej płaszczyzny i stopniowo zagłębiali się w coraz brudniejszą i coraz bardziej niebezpieczną przestrzeń.

Z tego względu ich powolność stanowiła poważny problem. Gdyby chmurę odłamków przyrównać do chmury samochodów pędzących z maksymalną prędkością po zamkniętym, kołowym torze, oni byli jak berbec, który wytarabanił się na środek jezdni. Ta ogromna różnica prędkości miała się utrzymywać aż do następnego apogeum, za dziesięć dni, kiedy to wycisną z silnika najdłuższy i najmocniejszy impuls ciągu i zużyją cały zapas paliwa, żeby nadać *Endurance* taką samą prędkość, jaką rozwijały księżycowe szczątki. Jednocześnie zmienią kształt swojej orbity ze skrajnie eliptycznego na niemal idealnie kołowy i już na zawsze pozostaną w odległości 384 512 933 metrów od Ziemi. Włączywszy się tym sposobem płynnie do ruchu na kosmicznym torze wyścigowym, spróbują wytropić Rozpadlinę. Doob kilkakrotnie wypatrywał ją przez teleskop, określił jej paramy i wiedział, gdzie jej szukać.

To było dzieło jego życia.

Gdyby zapytać go o dzieło życia kilka lat temu, przed Dniem Zero, pewnie wskazałby coś innego, ale jego życie aż do dnia A+360 było zaledwie wstępem do zaplanowania misji, którą wtedy przedstawił, a dzisiaj realizował na pokładzie *Endurance*. Przełom – dostawa niezbędnych materiałów pędnych, śmierć Konrada (przyjaciela i kolegi po fachu) i rozbitcie Roju – nie pozostawił złudzeń w kwestii tego, co musi zostać zrobione i kto powinien się tym zająć. Zrobił to więc.

Za dziesięć dni będą się nurzać w chmurze odłamków, za mniej więcej dwa tygodnie dotrą do Rozpadliny. Zastanawiał się, czy dożyje tej chwili. Było najzupełniej oczywiste, że ma raka. Diagnostyka dostępna na *Endurance* pozostawiała wiele do życzenia, ale najpierw przewód pokarmowy zaczął zdradzać pierwsze niepokojące objawy, potem nastąpiły przerzuty, od których obrzmiała mu wątroba, a teraz na dodatek czuł coś dziwnego w płucach. Przyczyny mogły być zupełnie naturalne (być może pierwsze załążki choroby pojawiły się na Ziemi,

zanim w ogóle wyruszył w kosmos), ale równie dobrze radioaktywny okruch mógł przedostać się do jego pożywienia i utkwic w brzuchu. Nie miało to znaczenia. Dręczyło go teraz tylko to jedno pytanie: czy dożyje chwili, gdy schronią się na Rozpadlinie? Prawdę powiedziawszy, wcale nie czuł się źle, więc naiwna odpowiedź brzmiałaby: „Tak, oczywiście, że dożyje”, ale rozwój raka miał w sobie coś z rozkładu wykładowego, a Doob dobrze wiedział, jak podstępne potrafią być zjawiska wykładowe.

Bolor-Erdene kierowała *Endurance*, siedząc za sterami w Młocie, głęboko ukrytej sterowni wybudowanej pod osłoną Amalthei – a w każdym razie była wpisana na listę dyżurów jako nominalny pilot, bo stopnie i specjalizacje z czasem straciły na znaczeniu. Wszyscy, którzy dożyli tego momentu – dziewięciu mężczyzn i dziewiętnaście kobiet – znali się na wszystkim: pilotowaniu statku, naprawianiu silników miniarek, spacerach kosmicznych, programowaniu robotów. Dawny Doob, ten sprzed paru lat, siedziałby w Młocie razem z Bo, zaglądał jej przez ramię, sprawdzał paramy, a w wolnych chwilach sypał ciętymi żartami jak z rękawa. Doob siedzący dzisiaj w Bananie widział to wszystko tysiące razy i miał świadomość, że prowadzenie *Endurance* stało się dla Bo (i wszystkich pozostałych) tak samo rutynowe i nużące, jak przed Dniem Zero codzienne dojazdy do pracy. Gdyby teraz poszedł do Młota, tylko niepotrzebnie szargałby sobie żołądek. Musiał oszczędzać siły.

Zdał sobie sprawę, że przysnął. Otworzył oczy, z niejakim wysiłkiem skoncentrował wzrok na ekranie i stwierdził, że od apogeum upłynęła już blisko godzina. Po raz ostatni spadali w stronę Ziemi.

Zadzwoił jego telefon. Odsunięty na odległość wyciągniętej ręki ekran był rozmazany i niewyraźny, ale jakaś szczątkowa część mózgu Dooba rozpoznała w plamie pikseli zdjęcie Bo sprzed lat. Odebrał.

– Rój próbuje nawiązać kontakt – powiedziała Bo.

– Poważnie? – Doob natychmiast się rozbudził. – Czego JBF chce?

– To nie JBF, to niejaka... – Bo zawiesiła głos. – Ajda. Jakoś tak. Dwie kropki nad „i”.

Doob wyteżył pamięć. Aïda. Pamiętał ją – chociaż słabo – z pierwszych dni na Arce w Chmurze. Włoszka. Młoda. Arkanka, nie zwymieszka. Trochę dziwna, jakby aspołeczna. Hiperinteligentna w sposób, który

bywał męczący.

– To się wymawia A-i-da – powiedział.

– Nieważne. Gratulują udanego manewru i chcą rozmawiać. Mam obudzić Ivy?

– Nie, niech śpi. Zaraz u ciebie będę.

Nie lubił tak myśleć, ale mieszkańcy Roju doskonale wiedzieli, która jest godzina i na której zmianie Ivy śpi, więc musieli wiedzieć, że w tej chwili również będzie spała. Obudzenie jej załatywałoby nadgorliwością ze strony załogi *Endurance*.

Chociaż może przesadzam z tą ostrożnością, pomyślał, lecąc Kominem; może zaczynam rozumować równie paranoicznie jak JBF.

Komin stał się z czasem obskurny i zapuszczony, połyskiwał żółtawo od ludzkich wyziewów, skraplających się i tężejących na ścianach, których nikomu nie chciało się doczyścić. Doob się cieszył, że ma słaby wzrok.

Bardzo niewiele wiedzieli o Roju. Mieszkańcy zbłąkanych miniarek, które dołączyły do nich na przestrzeni ubiegłych trzech lat, opowiadali o tym, że JBF szybko skonsolidowała władzę w swoich rękach, wykorzystując kryzys wywołany pierwszym koronalnym wyrzutem masy, i wprowadziła własną wersję stanu wojennego. Dalej sytuacja rozwijała się z grubsza przewidywalnie, chociaż populacja stale się kurczyła, aż mniej więcej rok temu niektórzy arkanie zaczęli się buntować i jeden Rój podzielił się na dwa, które wprawdzie współistniały, bo nie miały wyborcu, ale nie kontaktowały się ze sobą.

Mieszkańcy *Endurance* zadziwiająco mało uwagi zwracali na problemy Roju, ponieważ w gruncie rzeczy nie miały one dla nich większego znaczenia. Kości zostały rzucone w dniu Przełomu, nawet nie tyle w sensie politycznym, ile fizycznym. Ci, którzy postanowili zostać, przystali na plan Dooba i zgodzili się realizować dzieło jego życia: Wielką Jazdę. Albo ktoś znajdował się na pokładzie *Endurance*, zarazem w potrzasku i pod osłoną potężnej masy lodu albo nie. Kto został, później nie miał już wyborcu; kto wolał odejść, musiał nauczyć się sztuki przetrwania w roli elementu Roju, co oznaczało przeskok na kompletnie inną orbitę i realizację planu zupełnie nieprzystającego (z punktu widzenia mechaniki orbitalnej) do Wielkiej Jazdy. Po tym, jak orbity Roju i *Endurance* się rozjechały, jedyna droga do ich ponownego

spotkania prowadziła przez ogromne delta V – to zaś oznaczałoby potężne zużycie wody, której nie dałoby się już odzyskać. Mniej wody to słabsza ochrona przed promieniowaniem przy wybuchach na Słońcu, ograniczenie produkcji żywności i zmniejszone możliwości manewru w obliczu zagrożenia ze strony bolidów. Przekonanie do tej idei całego Roju byłoby nie tylko niemożliwością, lecz także – najprawdopodobniej – zwyczajnie złym pomysłem, ponieważ *Endurance* nie pomieściłby zbyt wielu uchodźców. Cały plan misji *Endurance* opierał się na założeniu, że statek będzie w stanie przyjmować na siebie poważne uderzenia meteorytów, nie odnosząc przy tym większych uszkodzeń; podążająca jego śladem zbieranina bezbronnych miniarek bardzo szybko zostałaby starta na proch. Z tych też powodów Przełom był zjawiskiem nieodwołalnym na poziomie czysto fizycznym, nawet gdyby rozłamowcy zapragnęli się zjednoczyć.

Wyglądało jednak na to, że Rój bacznie śledził poczynania *Endurance*, czekając na ostateczny sukces jego misji.

Ta Aïda musiała rozumieć istotę planu Dooba. Musiała znać jego stawkę. Gdyby niedobitki Roju zdołały w ciągu najbliższych dziesięciu dni dołączyć do *Endurance*, zanim ten zniknie w zamieci księżycowych okruchów, miałyby szansę schronić się na Rozpadlinie. W przeciwnym razie byłyby skazane na okrążanie Ziemi po względnie czystej i bezpiecznej orbicie i bierne patrzenie, jak ubywa im ludzi i wody.

Doob dotarł do Młota, gdzie zastał już kilkoro ludzi: Bo, Steve'a Lake'a i Michaela Parka – geja, byłego arkanina, Kanadyjczyka koreańskiego pochodzenia z Vancouver, który okazał się nieoceniony z kilku różnych względów.

– Z naszych zapisków wynika, że to Aïda Ferrari. – Bo uprzedziła pytanie Dooba. – Przywódczyni frakcji przeciwników JBF. Wygląda na to, że JBF przegrała.

Steve był czymś zajęty. Miło było go znów widzieć w akcji po tym, jak niedawno zmogła go przewlekła infekcja przewodu pokarmowego wywołana zaburzeniem stanu bakterii jelitowych. Dredy, których nie ścinał od początku pobytu na stacji, przerosły go, zwłaszcza że ważył teraz chyba niespełna sto funtów, ale jego palce po dawnemu śmigały po klawiaturze laptopa.

Bo na powrót zajęła się pilotowaniem statku.

– Steve próbuje uruchomić łączność wideo – wyjaśnił Michael. – Od lat tego nie robiliśmy.

Chodziło mu o to, że od lat nikt nie próbował przesyłać wideo w staroświeckim paśmie S używanym do łączności między statkami kosmicznymi na duże odległości – bo w sieci fal krótkiego zasięgu, która w myśl zamierzeń architektów oplatała całą Arkę w Chmurze, robiono to stale za pośrednictwem Scape’a. Jednakże w zależności od aktualnego położenia na orbicie *Endurance* mogły od Roju dzielić setki lub tysiące kilometrów, a sieć Arki w Chmurze nie sięgała tak daleko, dlatego byli zmuszeni odwołać się do tej samej pre-Internetowej technologii, którą astronauta z misji Apollo wykorzystywali do przesyłania sygnału telewizyjnego z Księżyca na Ziemię.

W końcu Steve’owi się udało i zobaczyli twarz (nieco toporną, bo odwzorowaną dużymi pikselami) kobiety o ciemnych oczach i delikatnych rysach, która kilka tygodni temu ostrzygła się na rekruta, po czym zaniedbała fryzurę. Kiedy Steve uprzejmie rzucił obraz na duży ekran i nareszcie naprawdę było coś widać, Doob dostrzegł u kobiety oczywiste oznaki niedożywienia, jakie na co dzień widywał u pasażerów *Endurance*. Trochę go to zaskoczyło, bo do tej pory mieli zwodniczą wizję Roju jako rolniczego rogu obfitości. Cóż, może brakowało im wody. Kobieta patrzyła w dół – prawdopodobnie, jak domyślali się widzowie, na ekran trzymanego poza kadrem tabletu. Kiedy uświadomiła sobie, że łącze działa, podniosła wzrok i dwojgiem ogromnych oczu spojrzała wprost w głąb Młota. Na niskiej jakości obrazie jej oczy wydawały się jednolicie czarne, brakowało rozgraniczenia między tęczówką i źrenicą. Błyszczały gorączkowo z głodu.

– Aida – przedstawiła się kobieta. – Pana już znam, doktorze Harris.

Zaczęła się uśmiechać, odsłaniając popsute zęby, ale w porę zreflektowała się i zamknęła usta. Na chwilę zerknęła gdzieś poza kadr, po czym znów skupiła się na swoich rozmówcach. Podniósłszy tablet, mogła śledzić na nim przekaz z *Endurance*; kiedy jej dłoń przesunęła się przed kamerą, mignęły im brudne, połamane paznokcie i wystrzępiony, wyświecony mankiet bluzki. Dobiegające z tła szmery sugerowały, że obok niej w tej samej miniarce są jeszcze inni ludzie. Na pokładzie arki panowała nieważkość, a zatem leciała swobodnie, nie tworząc bolas.

Wpatrując się w ekranik tabletu, Aïda usiłowała zrozumieć, co właściwie widzi: w okresie Przełomu Młot jeszcze nie istniał, jego widok był więc dla niej nowiną.

– Steve Lake – mruknęła, rozpoznawszy kolejnego rozmówcę.

– Bo – powiedziała Bo.

– Michael – powiedział Michael.

– Kto dowodzi? – spytała Aïda. – Czy Ivy...

– Ivy żyje i nadal jest dowódcą w rozumieniu zapisów KAC-a – przerwał jej Doob. – W tej chwili ma wolne, ale jeśli to jakaś pilna sprawa, możemy ją obudzić.

– Nie, nie trzeba.

Aïda cofnęła się i lekko zmrużyła oczy. Ze względu na odległość dzielącą *Endurance* od Roju sygnał przychodził z opóźnieniem, przez co rozmowa robiła się szarpana i niezręczna.

– Ile macie? – spytał Doob.

– Jedenaście.

Przyzwyczajony do obcowania z wielkimi liczbami Doob miał kłopot z przetworzeniem tak małej wielkości. Jedenaście. Dziesięć plus jeden.

Coś mu przyszło do głowy.

– Jedenaście miniarek, tak?

To by oznaczało dziesiątki pasażerów, może nawet blisko setki.

– Nie, arek jest znacznie więcej – odparła z lekkim rozbawieniem Aïda.

– Dwadzieścia sześć.

– Aha. To czego macie jedenaście?

– Ściśle rzecz biorąc: jedenaścioro. Ludzi.

– Aïdo? – wtrąciła Bo. – Wyjaśnijmy sobie coś, żeby nie było nieporozumień. Przemawiasz w imieniu całego Roju i twierdzisz, że w jego skład wchodzi zaledwie jedenaścioro żywych ludzi.

– Tak. Plus jeden...

– Jeden co?

Na twarzy Aïdy znów odmalowało się rozbawienie. Zerwała kontakt wzrokowy i prawie, prawie przewróciła oczami. Doob nie po raz pierwszy uświadomił sobie, że większość arkan trafiła na orbitę przed dwudziestką.

– To skomplikowane – odparła. – Powiedzmy, że jest z nami jeszcze jeden człowiek, ale on prawie jakby już nie żył.

Fakty w dalszym ciągu nie docierały do ludzi zebranych w Młocie. Tym razem to Michael wpadł na pewien pomysł.

– Wiemy, że Rój podzielił się na dwie nieprzyjazne frakcje – powiedział. – Na czele jednej stanęła JBF. Czy ty należałaś do tej drugiej?

– Tak. – Aïda wybuchnęła śmiechem, a Doob znowu odniósł wrażenie, że zgrywa nastolatkę, która rozmawia z głupiutkim rodzicem o czymś, czego ten nigdy nie zrozumie.

Michael, nieco zbity z pantałyku, ciągnął niepewnie:

– Czyli kiedy mówisz, że jest was jedenaścioro... plus jedna osoba w kiepskim stanie... to masz na myśli frakcję przeciwną JBF?

– Dawno ich pokonaliśmy. Kilka miesięcy temu.

– Czy to znaczy, że wybuchł jakiś konflikt? – zaciekawiał się Doob. – Doszło do wojny?

Aïda odpowiedziała wzruszeniem ramion.

– Były jakieś awantury. – Wydawało się, że nie przywiązuje do tego wielkiej wagi. – Możecie to sobie nazwać wojną, jeśli chcecie, ale bardziej przypominało zwykłe bójki. Prawdziwa bitwa rozegrała się w Internecie. W mediach społecznościowych.

Zapadła cisza. Aïda czekała na odpowiedź, kiedy jednak nikt nie zareagował, znów wzruszyła ramionami.

– Co mieliśmy zrobić? Taranować się nawzajem arkami? W takim środowisku nie może być mowy o prawdziwej przemocy! Dlatego skończyło się na wojnie słownej. – Podniosła ręce, układając dłonie w namiastki ust, w których kciuki udawały kłapiące żuchwy. – Próbowaliśmy przeciągać ludzi na swoją stronę, obrzucaliśmy tamtych błotem, jak to w Internecie... – Zaśmiała się, dotknęła dłonią policzka, otarła oko. – Posłuchajcie, to jest naprawdę skomplikowane, a ja nie mam czasu teraz wam wszystkiego tłumaczyć, opowiadać, jak to się skończyło...

– Ale powiedziałaś, że frakcja JBF przegrała – przypomniał Michael. Ze wszystkich ludzi w Młocie on chyba najmocniej wierzył w istnienie jakiegoś rozsądnego, logicznego wytłumaczenia całej sytuacji.

– Jej i Tava. Zgadza się.

– Pokonaliście ją w wojnie na słowa. Na idee. W kampanii w mediach społecznościowych.

– Byliśmy bardziej przekonujący. Ja byłam bardziej przekonująca.

Przeciągnęłam kolejne miniarki na swoją stronę. Biała Arka przez jakiś czas stawiała opór, ale w końcu oni też się poddali.

– I co się z nimi stało?

– JBF jest cała i zdrowa. Tav nie bardzo.

– To o nim wcześniej wspomniałaś. On jest tym dwunastym, który tak jakby nie żył.

– Niestety tak.

– Wracając do wcześniejszego pytania... – odezwał się Doob. – Liczba, którą podałaś, odnosi się do całego Roju. Obu frakcji łącznie.

Aïda jakby dopiero teraz zrozumiała, do czego piją, bo usiadła prosto i spoważniała.

– Tak. Nie ma nikogo więcej. Z ośmiuset ludzi zostało jedenaścioro.

Milczenie się przeciągało, gdy zgromadzona w Młocie czwórka przetrawiała fakty. Obawiali się, że Rój może mieć kłopoty, ale rzeczywistość przerosła ich najgorsze przypuszczenia.

W końcu Doob rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

– Co się stało?

– Rolnictwo upadło. – Aïda odwróciła głowę w bok, znów patrząc poza kadr. – Mogłabym się wdać w szczegóły, ale właściwie do tego się to sprowadza. Wybuchy na Słońcu, choroby glonów, brak wody... Mało która miniarka produkuje jeszcze żywność.

– To co wy tam jecie?

Aïda gwałtownie spojrzała w kamerę, jakby zaskoczona tym pytaniem.

– Siebie nawzajem. To znaczy trupy.

Znów zapadła cisza. Doob, Bo, Michael i Steve spoglądali po sobie.

Najstraszniejsze było to, że sami rozważali taką możliwość. Wielokrotnie. Każde wyrzucone w kosmos zamrożone ciało stanowiło ogromny zasób białka i substancji odżywczych, które z pewnego punktu widzenia można by uznać za niezwykle smakowite.

– A wy? – zainteresowała się Aïda, jakby czytając im w myślach.

– Pytasz, czy posunęliśmy się do zjadania zwłok? – upewnił się Doob. – Nie.

– Tav był pierwszy – wyjaśniła Aïda. – Zjadł własną nogę. Nazwał to „kanibalizmem w wersji soft”. Nogi są w kosmosie zbędne. Opublikował to na blogu. A potem to już samo poszło.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć, więc po chwili Aïda podjęła wątek:

– *Endurance* miał większy zapas żelaznych racji. I wody. Nic dziwnego, że u was do tego nie doszło.

– Nie, nie doszło – potwierdził Doob. Odczytując język ciała swoich kompanów, wiedział, że są w tej chwili zbyt wstrząśnięci, by się odezwać.

– Powinniście wiedzieć, że my również oszczędzaliśmy zapasy, nawet kiedy traciliśmy ludzi i arki. Zebraliśmy wszystko na pokładzie ocalałych jednostek. Mamy dwadzieścia sześć dobrze zaopatrzonych miniarek.

– Zaopatrzonych we wszystko poza jedzeniem – uzupełnił Doob.

– Zgadza się.

– Macie dość wody, żeby wejść na naszą orbitę?

– Tak – odparła Aïda.

Piękna młoda kobieta, pomyślał Doob. Miała w sobie jakąś zawziętość, która z pewnością pomogła jej zwyciężyć w kampanii przeciw Tavowi i JBF.

– Przeprowadziliśmy niezbędne obliczenia – ciągnęła. – Jeżeli odrzucimy nadmiar masy i upchniemy wszystko, co mamy, do heptady, możemy do was dołączyć w okolicy waszego następnego apogeum. Będą nam tylko potrzebne dokładne paramy.

– Przedyskutujemy waszą propozycję – zapewnił Doob – i podejmiemy niezbędne przygotowania.

Obejrzał się na Steve'a Lake'a, który przerwał połączenie, zanim Aïda zdążyła odpowiedzieć.

* * *

Siedzieli w Bananie i dyskutowali, jakby naprawdę było o czym. Wszyscy dali wyraz swojemu oczywistemu poruszeniu i niesmakowi na wieść o tym, jak nisko stoczył się Rój.

Zdaniem Luisy ich słowa nie brzmiały przekonująco. W końcu ona także zabrała głos. Od tego była. Tego od niej oczekiwali. Na to czekali.

– Zginęło siedem miliardów ludzi – zaczęła. – W porównaniu z tym nasze losy to betka. A poza tym Bóg jeden wie, ile razy sami myśleliśmy

o zjadaniu umarłych, więc nie udawajmy wstrząśniętych, że ktoś naprawdę to zrobił. Prawdziwym powodem, dla którego tak nas to przeraża, jest fakt, że nasze nadzieje legły w gruzach. Myśleliśmy, że w Roju są setki zdrowych ludzi, dobre towarzystwo i mnóstwo jedzenia. Oczywiście mieliśmy świadomość, że to naiwne, ale jednak takie właśnie żywiliśmy nadzieje. A teraz okazuje się, że Rój składa się z jedenaściorga padlinożerców. I co, zostawimy ich na pewną śmierć? Nie. Przyjmiemy ich i ich heptadę pełną bezcennych witamin.

– Boję się tej Aïdy – przyznał Michael Park.

Luisa westchnęła ciężko.

– Kołaczę mi się po głowie pewien pomysł: twój lęk wynika z tego, że w głębi ducha zastanawiasz się, czy mógłbyś się stać taką Aïdą, gdybyś odpowiednio zgłodniał.

– Mimo wszystko przyjęcie jej na pokład *Endurance*...

– Jej i JBF – wtrąciła Tekla. Jak zwykle siedziały z Moirą obok siebie, trzymały się za ręce i spletały palce.

– Miałam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę Julii – przyznała Camila. – Wiem, że to małosłowne i samolubne, ale...

– Rozumiem wasze obawy – odezwała się Ivy – ponieważ je podziela. Pytanie brzmi: czy te obawy będą miały wpływ na naszą decyzję? Czy naprawdę skazemy na zagładę jedną trzecią rodzaju ludzkiego tylko dlatego, że nie lubimy JBF, a Aïda przyprawia nas gęsią skórę? Oczywiście, że nie. Dlatego wyślemy im nasze paramy i plan lotu, a to ostatnie okrążenie Ziemi wykorzystamy do przygotowania się na przyjęcie nowych miniarek.

* * *

Ostatnie okrążenie Ziemi było niezwykle pracowite – do tego stopnia, że dobrali się do zapasów trzymany na czarną godzinę, żeby dostarczyć więcej kalorii ciałom i umysłom. Jednakże w samym środku tego dziesięciodniowego okresu nastąpiła przerwa. Dinah i Ivy bez słów porozumiały się, że spędzą ją w miejscu, które Doob przezwał niegdyś Kapsułą Zabobonów, a które teraz nosiło nazwę Kupol.

Kiedy po Przełomie Rhys przebudowywał Izzy i *Ymira*, tworząc z nich

jedną ruchomą rzeźbę z wody i metalu, przeniósł ten moduł w inne miejsce przy Kominie i tam oblał go żywym lodem, który całkowicie pochłonął półkulę Kaplicy od strony kadłuba, a ochronnym murem obrósł także częściowo jej strefę widokową. Sterczała z boku *Endurance* jak gałka oczna, z której wnętrza można było podglądać kosmos. Z inżynierskiego punktu widzenia była zbędna; ba, stanowiła prawdziwe utrapienie, ponieważ kiedy od czasu do czasu trafiały w nią małe meteoryty, ulegała dehermetyzacji i wymagała naprawy. Ktokolwiek się w niej znalazł, wystawiał się na bezpośrednie działanie promieniowania kosmicznego – dlatego kiedy przelatywali przez pasy Van Allena (co zdarzało się bardzo często), była objęta zakazem wstępu. Mimo to ludzie ją uwielbiali, łatali ją po każdym uszkodzeniu i chronili się w niej, gdy chcieli pobycć sami albo dzielić jakąś wyjątkową chwilę z drugim człowiekiem. Przeniesienie jej było jedną z najlepszych decyzji projektowych Rhysa; Dinah dziękowała mu w duchu za każdym razem, gdy się w niej znalazła. Po Kamiennym Deszczu wymyślona przez Dooba nazwa wydawała się nieco nietaktowna i w złym guście i przez jakiś czas nazywano ją po prostu „Dome”, kopułą. Ponieważ jednak słowo „dom” w języku rosyjskim znaczyło zupełnie co innego, ostatecznie przyjęła się przejęta przez angielszczyznę z łaciny Cupola lub rosyjska – bardzo bliskoznaczna, a zarazem mająca katedralno-religijne konotacje – Kupol.

Podczas tej akurat wizyty w Kupole Ivy i Dinah nie musiały się martwić promieniowaniem, ponieważ ustawiły *Endurance* w taki sposób, że Kupol znalazł się od strony Ziemi, w nadirze, Ziemia zaś była tak ogromna, że przesłaniała cały widok i nawet jeśli żadne życie nie mogło się na niej uchować, wciąż stanowiła nadzwyczaj wydajny pochłaniacz promieniowania. Nic by się przez nią nie przebiło – chyba że byłby to kolejny tajemniczy Agent, który przesywał planety na wylot i bez przeszkód leciał dalej. Skuliły się więc pośrodku kulistej przestrzeni i trzymając się za ręce, żeby nie odfrunąć na boki w nieważkości, zasysały bourbon z foliowych torebek i ostatni raz oglądały macierzystą planetę. Przez sześć lat śmigania dookoła Ziemi przyzwyczyły się do sporego kąta nachylenia orbity Izzy względem równika i widoku okolic podbiegunowych. Odkąd jednak niedawno *Endurance* zmienił swoją płaszczyznę orbitalną, ich pole widzenia zostało ograniczone do

tropików.

Oczywiście nie miało to wielkiego znaczenia, zważywszy na obecny stan Ziemi. Niebo stało w ogniu, posiekane rozpalonymi niebieskobiałymi krechami Kamiennego Deszczu. Ląd – wszędzie tam, gdzie przezierał z kłębow dymu i pary – pokrywała cętkowana powłoka żarzącej się lawy: część wypływała z wnętrza planety przez jej spękaną skorupę, część pochodziła ze świeżych kraterów po uderzeniach dużych meteorytów. Oceany były nocą ciemne, za dnia spowite parą i choć trudno było rozeznaczyć ich wybrzeża, nie ulegało wątpliwości, że stały się znacznie płytsze niż dawniej. Floryda coraz bardziej zbliżała się do Florida Keys, obtłukiwana po drodze przez bolidy i splukiwana przez tsunami. Półtora roku wcześniej ogromny meteoryt strzaskał pokrywę dawno uspiętego superwulkanu w Yellowstone, który od tamtej pory okrył większość Ameryki Północnej tonami popiołu; żółte przebłyski na obrzeżach pola widzenia pasażerów *Endurance* dowodziły potężnych erupcji magmy. Długo tłumiony (i w tej sytuacji absurdalny) instynkt podpowiadał Dinah, że powinna włączyć radio i sprawdzić, czy Rufus nadaje. Na tę myśl popłynęły łzy, które z kolei wywołały łzy u Ivy – i tak przez całą drugą połowę czasu wolnego, tę po przejściu przez perygeum, obie oglądały Ziemię przez warstwę wody (co w gruncie rzeczy niewiele zmieniało). Dinah starała się chłonąć wspomnienia całą sobą. Przez tysiące lat żaden człowiek nie będzie już oglądał Ziemi z tak bliska.

Płonąca planeta zaczęła się oddalać i od tej pory miała się już stawać coraz mniejsza i mniejsza. Czas było wracać do pracy, ale Ivy i Dinah złapały się na tym, że nie chcą się rozdzielać. Dawno temu, przed Dniem Zero, zdarzało im się w szczerych rozmowach w cztery oczy przyznawać do łączącego je głęboko skrywanego lęku, że brakuje im kwalifikacji do realizacji zadań, do których zostały skierowane za grube pieniądze z kieszeni podatników; że coś zepsują, coś schrzanią i narobią wstydu mnóstwu ludzi na Ziemi. Oczywiście lęki te dawno straciły na aktualności albo przynajmniej zostały przesłonięte przez inne, znacznie poważniejsze, a mimo to od początku projektu „Arka w Chmurze”, zwłaszcza zaś od podjęcia nieodwołalnej decyzji o budowie *Endurance* i wyprawieniu się na Wielką Jazdę, powracały w zmienionej, straszniejszej niż kiedyś postaci. Co będzie, jeżeli myliły się od początku do końca? Już teraz ledwie pamiętały wspaniałą cywilizację, jaka

niegdyś panowała na rozciągającej się pod nimi planecie, ale i tak kontrast między nią i jej orbitującymi pozostałościami był przykry. Brudny, zdezelowany i toporny *Endurance* przynosił wstyd ludzkości. Naprawdę nie było ich stać na nic lepszego? Na dodatek teraz, po trwającej trzy lata podróży – trzy lata w naszpikowanej nieuchronnymi katastrofami spirali niechybnego upadku – pięć dni dzieliło ich od ostatniego manewru, który wyglądał tym bardziej rozpaczliwie, im dłużej próbowali go analizować.

Jeżeli go spieprzą, będzie to przede wszystkim wina ich dwóch, Ivy i Dinah.

Oczywiście potem nie zostanie już nikt, kto mógłby mieć o to do nich pretensje.

Często doświadczały takich kryzysów wiary w siebie, zwykle jednak w różnych momentach, dzięki czemu jedna mogła wyciągać drugą z czeluści rozpacz. Tym razem musiały stawić mu czoła jednocześnie i same wydzwignąć się z otchłani.

Dinah przypomniała sobie ostatnią transmisję Rufusa:

TRZYMAJ SIĘ SKARBIE CHCEMY BYĆ Z CIEBIE DUMNI

– Dobrze – powiedziała. – Chodź, kochana. Bierzmy się do roboty.

* * *

Praca pozwoliła im zająć myśli czymś innym niż zamartwianie się tym, jaki będzie koniec Wielkiej Jazdy. Potężny impuls silnika w momencie przejścia przez apogeum, mający skutkować ostatnią korektą płaszczyzny orbity oraz wejściem na „pas szybkiego ruchu”, po którym Rozpadlina toczyła się wokół Ziemi jak kulka w łożysku, zawierał tyle niewiadomych, że skutecznie opierał się wszelkim prognozom. Najnowsza komplikacja wyglądała następująco: ponieważ zamierzali włączyć się w strumień kamieni poruszających się szybciej od nich, kamienie te będą nadlatywały od tyłu i Amalthea ich przed nimi nie osłoni.

Na początku Doobowi marzyła się rekonfiguracja *Endurance*, do której miałyby dojść pod koniec misji i w której najcenniejsze elementy statku zostałyby przeniesione na drugą stronę asteroidy. Biorąc pod

uwagę, ilu wtedy mieli ludzi, pomysł wyglądał sensownie. Teraz jednak, gdy całą obsadę stanowiło dwadzieścia osiem przymierających głodem mizerot, podobne rozwiązanie nie wchodziło w grę. Przygotowanie statku na przyjęcie heptady z Roju wymagało od nich zaangażowania wszystkich sił. Miała przycumować w połowie długości Komina; zamierzali przytwierdzić ją tam paroma linami i modlić się, żeby przetrwała dalsze manewry. Właz miał pozostać zamknięty: jedenastoosobowa ekipa Aïdy miała po prostu czekać na swoim statku, aż manewr dobiegnie końca. W miniarkach powinni być bezpieczniejsi – tak przynajmniej brzmiało oficjalne wytłumaczenie, bo prawdziwy powód był taki, że nikt nie chciał wpuścić kanibali na pokład *Endurance*.

Najważniejszym zadaniem Dinah i skąpego zespołu operatorów robotów, którzy z nią współpracowali, było przygotowanie się do odrzucenia Amalthei.

W pierwszej chwili wydawało się to nie do pomyślenia – a jednak planowali to od dawna. Ostatnie manewry *Endurance* będzie musiał wykonywać szybko i zwinnie, w środowisku obfitującym w bolidy znacznie większe od tworzących Kamienny Deszcz. W pewnym sensie głazy, które napotka, były matkami drobin, które zniszczyły powierzchnię Ziemi. Za każdym razem, gdy się zderzały, z miejsca uderzenia odpryskiwało kilka odłamków; nieznaczny ułamek ich ogólnej liczby kończył w ziemskiej atmosferze. Kamienny Deszcz miał trwać do momentu, gdy głazy na orbicie zostaną rozbite w pył, który utworzy schludny układ pierścieni wokół planety. Tak czy inaczej, możliwość osłonięcia *Endurance* przez Amaltheę przed kamieniami wielkości piłki do bejsbola czy nawet do koszykówki będzie miała niewielkie znaczenie w środowisku, w którym gład wielkości Irlandii uchodzi za niegodny uwagi; w porównaniu z nim cały statek, razem z Amaltheą, kojarzyłby się raczej z muchą na przedniej szybie samochodu. Jeżeli po wejściu w główną chmurę odłamków mieli przeżyć, będą musieli omijać największe głazy i mieć nadzieję, że podczas sprintu na Rozpadlinę nie trafi ich zbyt wiele tych mniejszych. Takie manewrowanie byłoby zaś niemożliwe, dopóki stanowili jedność z Amaltheą, ważącą sto razy więcej niż cała reszta *Endurance*.

Poza asteroidą obciążała ich także pokaźna masa lodu pełniącego podwójną rolę osłony i materiału pędnego, a ważącego pokaźny ułamek

tego, co Amalthea – tyle że w przeciwieństwie do asteroidy mogli go spalić. Plan zakładał rozszczepienie większości lodu na tlen i wodór, które następnie zostaną wykorzystane w apogeum podczas ostatniego przyśpieszenia: przez kilka gorączkowych minut *Endurance* miał zużyć większość swoich zasobów wody, co w połączeniu z odstrzeleniem Amalthei w ciągu zaledwie godziny zmniejszy jego masę ponadstukrotnie. I wtedy już naprawdę będzie przypominał muchę na ruchliwej trasie samochodowej, gdy – unikając zderzeń z dużymi kamieniami i przyjmując na siebie trafienia mniejszych – obierze kurs na Rozpadlinę.

Wszystko to dawno zostało przewidziane. Dinah i reszta niedobitków z Kolonii Górniczej mieli trzy lata na przekształcenie Amalthei od środka. Widziana od przodu asteroida w ogóle się nie zmieniła, natomiast od wewnątrz była systematycznie zestrugiwana. W pewnym sensie zaczęło się to już w czternastym dniu, kiedy to Dinah posłała jednego z krabochwyków, żeby wydłubał niszę, w której będzie mogła schować cenne podzespoły elektroniczne. Późniejsza eksploatacja Amalthei przebiegała zrywami. Musieli przerzucić znaczne ilości metalu, żeby zrobić miejsce pod magazyn wyposażenia genetycznego Moiry Crewe, którego przetrwanie poniekąd nadawało sens wszystkim działaniom, jakie podejmowali przez ostatnie trzy lata. Zabezpieczywszy laboratorium, zaczęli sprzątać: powiększać chronione obszary, burzyć ściany i budować cylindryczną kapsułę w tylnej części asteroidy. Ze względu na jej poprzeczne położenie względem Komina nazwali ją Młotem.

Dzięki precyzyjnym staraniom robotów Młot (stanowiący zaledwie jeden procent masy asteroidy) oddzielały od reszty Amalthei żelazoniklowe ściany grubości ludzkiej dłoni. Jak na standardy architektury kosmicznej, były i tak niezwykle masywne i aż nadto wystarczające, żeby utrzymać wewnątrz pożądane ciśnienie i zatrzymać małe meteoryty. Reszta metalu, warstwa, której miąższość szła w dziesiątki metrów, została od Młota prawie zupełnie odcięta i do jej odepchnięcia wystarczyłby podmuch sprężonego powietrza.

A właściwie – zważywszy na stosunek mas obu obiektów – to *Endurance* zostałby odepchnięty od Amalthei, a nie ona od niego. Większość asteroidy zostałaby na swoim miejscu, gdy radykalnie

odciążony statek odskoczyłby od niej jak konik polny od kuli do kręgli.

W odpowiednim momencie będą musieli wysadzić w powietrze ostatnie połączenia konstrukcyjne. Do obowiązków Dinah na ostatnim okrążeniu, gdy wyrwawszy się z ziemskiej studni grawitacyjnej pomkną na spotkanie Rozpadliny, miało należeć sprawdzenie ładunków wybuchowych: upewnienie się, że znajdują się we właściwych miejscach i są odpowiednio połączone. Wśród niedobitków załogi była jedyną osobą znajdującą się na materiałach wybuchowych – a zatem jedyną, która mogła zaręczyć, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Ot, jeden z wielu obowiązków, jakie sześć lat temu by ją paraliżowały, a dziś wydawały się czymś zwyczajnym.

* * *

– Wiem, że nie potrzeba nam więcej złych wieści – zagaił Doob, zwracając się do dwudziestu pięciu procent ludzkości, które usiadły przy stole w Bananie – ale muszę wam coś powiedzieć.

Nikt się nie odezwał. Nic już nie mogło zrobić na nich wielkiego wrażenia.

Zostało czterdzieści osiem godzin do apogeum, ostatniego impulsu silnika, odrzucenia Amalthei i sprintu na spotkanie Rozpadliny. Jeżeli wierzyć zapowiedziom Aïdy sprzed pół godziny, Rój spotka się z *Endurance* na krótko przed tymi wydarzeniami.

– Słuchamy – odezwała się w końcu Ivy.

– Od jakiegoś czasu mam na oku pewną plamę na Słońcu – zaczął Doob. – Złą plamę. I oto dwadzieścia minut temu z tej złej plamy zrodził się wybuch, nie największy, jaki widzieliśmy, ale całkiem spory.

– Czyli należy się spodziewać koronalnego wyrzutu masy – upewniła się Ivy.

– Tak. Najprędzej jutro, najdalej za trzy dni. Postaram się to lepiej oszacować, kiedy zgromadzę więcej danych.

To im dało do myślenia. Do niedawna niespecjalnie przejmowali się KWM-ami; co najwyżej zastanawiali się, jak sobie z nimi radzą mieszkańcy Roju. Jeśli chodzi o nieliczną grupę na pokładzie *Czerwonej nadziei*, panowało powszechne domniemanie, że zostali dawno

zglądzeni za sprawą tych samych katastrof kosmicznych, które zdziesiątkowały Rój. Amalthea i lód skutecznie chroniły *Endurance*; nawet stosunkowo cienkie ściany Młota osłoniłyby wszystkich w środku przed promieniowaniem, jakiego należało się spodziewać po KWM-ie. Kłopot w tym, że *Endurance* był teraz zupełnie odsłonięty z boków; krabochwyty odzierały go właśnie z resztek lodu, który elektrolizery przetwarzały na paliwo rakietowe. Skroplone gazy przechowywali dosłownie wszędzie, gdzie się dało, także w pustych miniarkach i nieużywanych modułach stacji. Niektóre fragmenty Komina oglądały światło po raz pierwszy od dnia Przełomu.

– To rzeczywiście będzie miało wpływ naszą pracę – przyznała Ivy – ale wszyscy wiemy, czym to się je. Bierzymy amifostynę, wracamy na czas ze spacerów w kosmosie... Trzeba będzie przystosować Młot do przyjęcia wszystkich, którzy nie będą akurat dyżurowali. Część z nas zostanie niżej, w Kominnie, ale przygotowujemy schrony burzowe.

– A co... z tamtymi? – spytał Michael Park.

– Będą mieli problem – odparła Ivy. – W swoich plastikowych arkach ugotują się żywcem. Nawet jeśli została im jeszcze amifostyna i dość wody, żeby napełnić schrony, poniosą szkody. Z etycznego punktu widzenia należałoby sprowadzić całą jedenastkę na *Endurance* i tu zapewnić im schronienie.

– Pierwotny plan zakładał, że trzy osoby od nas wyjdą w kosmos, przechwycą ich heptadę i przytwierdzą ją do Komina – przypomniał Zeke Petersen. – Wtedy będziemy mogli manewrować bez przeszkód.

Ze wszystkich pasażerów *Endurance* Zeke najbardziej przypominał siebie sprzed Przełomu. Oczywiście schudł i posiwił na skroniach, ale był w dobrej formie, a ponieważ miał wciąż sprawną golarkę elektryczną, nie nosił brody. Po śmierci Fiodora (wypadek) i Ulriki (udar) Ivy wyznaczyła go na swojego zastępcę.

W tej chwili nawiązywał do faktu, że *Endurance* miał wkrótce odrzucić dziewięćdziesiąt dziewięć procent swojej masy, co przy niezmiętej mocy silników oznaczało, że będzie mógł osiągać stukrotnie większe przyspieszenia. Przeciężenia nadal nie będą zabójcze dla człowieka, obciążą jednak konstrukcję statku w sposób zupełnie bezprecedensowy. Była to kolejna z tych ewentualności, które przewidzieli dawno temu i uwzględnili przed tym, jak oblali *Endurance*

lodem.

Statek był więc przystosowany do większych przyśpieszeń. Jeżeli przez ostatnie trzy lata nic się w nim nie zepsuło, wytrzyma, chociaż gdy pierwszy raz dodadzą gazu, po wnętrzach będzie się przewalać mnóstwo luźnego śmiecia.

Nie przewidzieli jednak, że w ostatniej chwili dołączy do nich heptada z Roju. Sytuacja była skomplikowana. Heptada miała zostać zespolona z *Endurance* poprzez złącze cumownicze, którego projekt nie przewidywał przenoszenia dużych obciążeń mechanicznych. Na dodatek była ciężka, bo Aïda i jej ludzie nie tylko wypakowali ją po brzegi cennymi witaminami, ale także obwiesili dodatkowymi zapasami z zewnątrz. Zresztą z tego właśnie powodu Ivy nie chciała się jej tak po prostu pozbyć: te witaminy mogły im się przydać. Dlatego plan był taki, że trzy osoby w skafandrach próżniowych wyjdą heptadzie na spotkanie i po przycumowaniu przytwierdzą ją dodatkowymi linami do kadłuba.

– Może roboty nam pomogą. – Ivy spojrzała na Dinah i Bo. – Prawie wszystkie są zgrimmowane, prawda? Promieniowanie nie powinno im przeszkadzać.

– Będziemy gotowe – zapewniła Dinah.

– Gdy tylko heptada przycumuje, roboty wchodzą do akcji i unieruchamiają ją najlepiej, jak się da. Otwieramy właz i jak najszybciej przeprowadzamy całą jedenastkę przez rury transportowe; trzeba się śpieszyć, bo w rurach nie ma żadnej osłony. Na pokładzie będą na nich czekać przygotowane schrony burzowe: wejdą do nich i pozostaną w środku do zakończenia podróży. A my będziemy z Młota sterować statkiem.

* * *

Kolejne dwa dni przypominały Dinah ekspedycję *New Cairda* – w tym sensie, że mieli huk roboty i absolutnie zerowy wpływ na rozwój wypadków. Byli całkowicie zdani na łaskę i niełaskę zjawisk astronomicznych. Kusiło ją, żeby harować dniem i nocą, dopóki sprawa nie zostanie zamknięta, ale zdawała sobie sprawę, że później, w kluczowych momentach, musi być wypoczęta i najedzona, zmuszała

się więc, żeby jeść i spać o regularnych porach. Kiedy nie spała, przygotowywała się do przyjęcia heptady: rozlokowywała krabochwyty w pobliżu wybranego złącza cumowniczego, kotwiczyła liny, modyfikowała program, według którego roboty miały unieruchamiać heptadę, i regularnie ćwiczyła z nimi scenariusze, w których liny mogły się poplątać.

Perspektywa czasowa stopniowo się precyzowała. Aïda zażądała dostawy amifostyny i wody do schronów burzowych, na co *Endurance* – oczywiście – nie mógł przystać; wprawdzie jednego i drugiego mieli pod dostatkiem, ale dawno już zużyli wszystkie moduły do empudów i nie mieli jak przetransportować leków i wody.

Wtedy Aïda postanowiła postawić wszystko na jedną kartę i spalić cały posiadany zapas wody w pojedynczym impulsie silników, żeby nieco wcześniej doprowadzić do spotkania z *Endurance*. Przygotowywana przez Dooba kosmiczna prognoza pogody stawiała się tymczasem coraz dokładniejsza: wiedział już, kiedy przewali się przez nich burza radiacyjna, i uznał rozwój wydarzeń za sprzyjający – heptada mogła zdążyć przybić do *Endurance*, zanim sytuacja zrobi się dramatyczna. To z kolei oznaczało, że kilka osób w skafandrach może wyjść w przestrzeń i wspomóc roboty Dinah.

Dinah nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie dość, że realizacja planu została przyspieszona, to teraz musiała jeszcze uwzględnić współpracę robotów z kapryśnym elementem ludzkim. Jeżeli heptada przycumuje dostatecznie wcześnie, zauważył Doob, może zdążą ją rozładować i przenieść do Komina większość ciężkich rzeczy. Wtedy mocowanie heptady do Komina byłoby poddane znacznie mniejszym obciążeniom.

Ivy i Zeke – piloci *Endurance* – też dokonywali gorączkowych poprawek w planie misji. Przybliżając się do chmury odłamków, wśród których mieli lawirować, gromadzili coraz więcej informacji na ich temat. Wyraźnie rozróżniali sygnaturę radarową Rozpadliny, a także wszystkich większych gładów orbitujących w jej pobliżu; słaby szum i chmury na obrazie z teleskopu optycznego pozwalały im szacować gęstość obiektów zbyt małych i licznych, żeby dało się je obserwować pojedynczo. Wszystkie te dane pomagały cyzelować plan.

Zmęczony Doob często przysypiał, a od ostatniego perygeum nie jadł porządnego posiłku, ale gdy tylko był potrzebny, brał się w garść

i wprowadzał nowe dane do modelu statystycznego, który – opracowany z dużym wyprzedzeniem – miał zwiększyć szanse powodzenia misji, wskazując optymalne momenty odstrzelenia Amalthei i uruchomienia silników. Cały czas upominał jednak Ivy i Zeke’a, że wkrótce będą tak zaaferowani tym, który kamień nadlatuje z której strony, że statystyka nie będzie miała nic do gadania. Zacznie się gra komputerowa, w której celem będzie osiągnięcie odpowiedniej szybkości w strumieniu dużych i małych głazów wyprzedzających ich z prędkością pocisków artyleryjskich.

Niespodzianki i prowizorki piętrzyły się i zagęszczały w sposób kojarzący się Dinah ze zjawiskiem gromu dźwiękowego na Starej Ziemi, gdy struga rozpędzonego powietrza gęstniała przed lecącym samolotem, tworząc barierę, którą należało przebić albo się poddać. Oni ją przebili w momencie, gdy Michael i dwie inne osoby naciągnęły kombinezony chłodzące, wielokrotnie naprawiane i łatane, na które następnie włożyli skafandry kosmiczne. Doob – śledzący zbliżającą się heptadę na radarze, a potem na obrazie z kamer – potwierdził, że zbliża się moment spotkania. To oczywiście oznaczało, że heptada i *Endurance* są na kursie kolizyjnym; o różnicy między „spotkaniem” i „zderzeniem” miał zadecydować impuls silników heptady, który w ostatniej chwili ją spowolni i zsynchronizuje jej paramy z paramami większego statku. *Endurance* – nadal obciążony Amaltheą i tonami materiału pędnego – miał praktycznie zerową manewrowość, dlatego powodzenie manewru miało zależeć wyłącznie od Aïdy lub innego człowieka za sterami heptady.

Ostatecznie zjednoczenie Roju i *Endurance* rozpoczęło się od kolizji. Nie było to katastrofalne zderzenie przy wielkich prędkościach, ale z pewnością nie było to także eleganckie, kontrolowane dokowanie. Aïda zachowała dość przytomności umysłu, żeby ostrzec ich trzydzieści sekund wcześniej; do tego momentu wszystko szło zgodnie z planem. Heptada zbliżyła się, za pomocą silników manewrowych wytraciła większość prędkości, po czym rozpoczęła serię precyzyjnych manewrów na podejściu do złącza cumowniczego. Wtedy Aïda łamiącym się głosem zameldowała, że w jednym z modułów napędowych skończyło się paliwo i silnik zgasł.

– Jest za ciężka – mruknął Zeke. – Za dużo do niej naładowali. Silniki

pożerają masę paliwa, próbując popychać ten chłam.

Heptada – nadlatująca z nadmierną szybkością i pod niewłaściwym kątem – uderzyła w Brankard 2, moduł odzyskany trzy lata wcześniej z wraku Stoczni i podczepiony za rufą P1 jako najdalej ku tyłowi wysunięty element Komina. Zobaczyli zderzenie na monitorach, poczuli w kościach, a także usłyszeli okrzyki i przekleństwa przebywającej na zewnątrz trójki. Z dziury, która najwyraźniej została wyrwana w poszyciu Brankardu 2, poleciał mały deszcz odłamków.

– B2 rozhermetyzowany – zameldowała Tekla. – Odcięty włazem od Komina.

W chmurze odłamków znajdował się jeden duży obiekt zaopatrzonej w dwie ręce, dwie nogi i głowę. Młócił bezwładnie kończynami.

Patrzyli w milczeniu.

– Straciliśmy Michaela Parka – zameldował jeden z pozostałej dwójki.

– Potrzebujemy więcej ludzi na miejscu – zapowiedziała Ivy załodze zebranej w Młocie.

Przekaz był jasny: Później będziemy oplakiwać Michaela. Na razie mamy inne zmartwienia.

– Moira, ty zostajesz – dodała Ivy.

Moira nawet nie drgnęła. Zdążyła przywyknąć, że – wbrew jej woli i instynktowi – traktuje się ją jak ukochane wydelikaczone dziecko.

– Może pogadaj z Michałem przez radio. Jeszcze trochę pożyje.

Moira skinęła głową, z wysiłkiem przełknęła ślinę i pochyliła się nad swoim laptopem, żeby skonfigurować prywatne połączenie głosowe z Michałem.

– Dinah, ty też zostajesz tutaj. Pilnuj robotów. Będziemy musieli improwizować. Bo, wracaj. Steve, ty też. Luisa, weź na siebie Aïdę, porozmawiaj z nią; dla mnie to za duży stres, a muszę się skoncentrować. Zostań w Młocie i załatw to za mnie. Doob, ty też zostań. Zeke, wracaj. – Ivy rozejrzała się dookoła. – Jeśli kogoś pominęłam, niech wraca do Komina i spróbuje się na coś przydać. Doob, będziesz naszą pogodynką: obserwuj burzę i uprzedź nas, kiedy będzie miała nadejść.

– Za pół godziny – odparł Doob. – Ale dobrze, będę czuwał i dam wam znać.

Moira włożyła słuchawki, wycofała się w najspokojniejszy zakamarek

Młota i półgłosem rozmawiała z Michaeliem. Oczy zakryła chusteczką, która miała chłonać łzy, nim zaczną swobodnie fruwać po całej kabinie.

Luisa weszła w wyznaczoną rolę i słuchała, co Aïda ma do powiedzenia.

– Chce spróbować jeszcze raz – powiedziała.

– Mówiła, zdaje się, że zabrakło im paliwa – zdziwiła się Ivy.

– Mogą przenieść część paliwa z jakiegoś pełnego zbiornika do pustego, ale to chwilę potrwa. Pyta, gdzie może zrobić drugie podejście, bo złącze cumownicze w Brankardzie 2 nie nadaje się do użytku.

Po krótkiej dyskusji uzgodnili, że heptada powinna spróbować podłączyć się do starej Zwiezdy. Dinah, która przez ostatnie dwa dni przygotowywała się do obsługi cumowania przy Brankardzie 2, czym prędej wysłała swoje roboty w drogę: pędziły po kadłubie w stronę dziobu, wlokąc za sobą liny, co przysporzyło jej dość nowych zajęć, by pochłonęły ją do czasu, gdy heptada uruchomiła niesprawny silnik.

W milczeniu obserwowali drugie podejście i manewr cumowania. Trwało to około dziesięciu minut.

Doob tylko raz przerwał ciszę, podając aktualne informacje na temat burzy radiacyjnej.

– Nie dajcie im przycumować – odezwała się znienacka Moira.

– Co takiego?! – zdumiała się Ivy.

– To pułapka.

Z głośników dobiegł głos Zeke’a:

– Cumowanie zakończone. Przygotować się do otwarcia wjazdu.

– Michael ich rozszyfrował – dodała Moira.

– Burza radiacyjna za piętnaście minut – zameldował Doob.

Dinah, która całkowicie skoncentrowana na bieżącym problemie patrzyła oczami dziesięciu różnych robotów wykonujących dziesięć różnych zadań, a od czasu do czasu wydawała lakoniczne polecenia dwóm ocalałym astronautom na zewnątrz statku, gdy chodziło o odblokowanie zaplątanej liny albo wyciągnięcie krabochwyta z tarapatów, starała się nie słuchać rozmowy Ivy z Moirą.

– Jak to pułapka? Co to ma znaczyć?

– Gdy tylko heptada znalazła się w zasięgu, automatycznie podłączyła się do sieci komputerowej – powiedziała Moira. – Gdybyś sprawdziła w tej chwili e-mail albo zajrzała na Spacebooka, zobaczyłabyś

napływające z tamtej strony zaległe wiadomości: całe terabajty staroci, które do tej pory kisiły się w Roju; e-maile nagromadzone na przestrzeni trzech lat.

– No i?

– Michael znalazł tam coś dziwnego i zwrócił na to moją uwagę.

– Przecież Michael odfruwa w kosmos!

– Odfruwa w kosmos i przegląda pocztę.

– Co takiego dziwnego zauważył?

– To kanibale, Ivy.

– To już wiemy.

– Przed paroma godzinami zarżnęli Tava i zjedli to, co z niego zostało.

Dinah miała coraz większe kłopoty ze skupieniem się na swojej pracy.

– Chcieli się najeść przed tym, co ich czeka – wyjaśniła Moira.

Zbliżała się chwila, w której przebywająca na zewnątrz dwójka powinna wracać do śluz i na pokład *Endurance*. Dinah musiała się na nich skoncentrować, zwłaszcza że na rewelacje Moiry i tak nic nie mogła poradzić. Właśnie miała się odezwać do jednego z tamtych astronautów, kiedy w głośnikach znów rozległ się głos Zeke'a:

– Dziesięcioro pasażerów na pokładzie. Czekamy na JBF.

– Zeke, zachowajcie czujność – ostrzegła go Ivy. – Mamy powody podejrzewać, że oni coś knują.

– Wracajcie – poleciła Dinah dwójce astronautów w otwartym kosmosie. – Kierujcie się do najbliższej śluzy. Unikajcie kontaktu z nowymi, nie ufamy im.

– Odstrzelenie asteroidy – zapowiedziała Ivy.

Dał się słyszeć przenikliwy syk, gdy sprężone powietrze wypełniło szeroką na grubość włosa przestrzeń między Młotem i Amaltheą.

– Zatkajcie uszy – dodała.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, rozległ się przeszywający, przyprawiający o mdłości grzmot eksplozji ładunków wybuchowych niszczących połączenia strukturalne pomiędzy *Endurance* i Amaltheą. Nastąpiło ostre szarpnięcie – od trzech lat nie doświadczali takich przyśpieszeń – i Młot odskoczył od macierzystej skały, zabierając statek ze sobą.

– Burza za trzy minuty – ostrzegł Doob.

– JBF na pokładzie – zameldowała Luisa. Utrzymała łączność

z Zekiem i resztą załogi na rufie i na bieżąco informowała ekipę w Młocie o rozwoju sytuacji. Nagle zmarszczyła brwi. – Ale coś z nią nie tak... Nie rozumiem...

– Dajemy ognia – powiedziała Ivy.

Zbliżali się do apogeum i skraju chmury księżycowych odłamków. Wszystkie sprawne silniki zionęły pełną mocą. Potężny impuls miał im nadać delta V wynoszące około tysiąca dwustu metrów na sekundę i wstrzelić ich w sam środek chmury.

Wszystkie nieumocowane przedmioty w Młocie spadły na powierzchnię, która stała się podłogą. Zewsząd, z całego *Endurance*, dobiegały odgłosy jak z zestawu instrumentów perkusyjnych.

– Trwa walka – zameldował Zeke na kanale audio.

– Walka? – powtórzyła Ivy.

– Postrzelili Steve’a Lake’a.

– Bardzo wysoki poziom promieniowania – ostrzegł Doob. – Protony wysokoenergetyczne. Wszyscy, którzy nie znajdują się w Młocie, powinni udać się do schronów burzowych.

– Postrzelili? – powtórzyła Ivy.

– Z rewolweru JBF. Radzę wyłączyć sieć; próbują się do niej włamać.

Przez następną minutę na łączach panował gorączkowy chaos; wyglądało na to, że ludzie znajdujący się w różnych rejonach statku wszyscy jednocześnie próbują wejść na ten sam kanał.

A potem zrobiło się cicho. Aparatura nadal działała, po prostu Młot został odcięty od sieci. Ivy mogła bez przeszkód pilotować *Endurance*, nie mogli jednak porozumieć się z ludźmi poza sterownią.

Nagle wystraszył ich metaliczny odgłos stukania we właz oddzielający Młot od KMUK-a. Dinah szybko wychwyciła znajomy rytm alfabetu Morse’a.

– „Czekolada” – odczytała. – To takie nasze prywatne hasło, moje i Tekli. Chyba możemy otworzyć.

Otworzyli, zaopatrzywszy się uprzednio we wszelką prowizoryczną broń, jaka wpadła im w ręce. Po drugiej stronie zastali Teklę ze zranioną nożem ręką, Zeke’a (podenerwowanego, ale całego i zdrowego) oraz kobietę, w której ledwie dało się rozpoznać Julię Bliss Flaherty – zwłaszcza że prawie nie miała włosów i obiema rękami zakrywała usta. Tekla wskoczyła do Młota i pociągnęła ją za sobą.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Ivy.

– Panuję nad sytuacją. – Zeke podniósł ręce w uspokajającym geście. – Czworo już zabiliśmy, dalszych dwoje raniliśmy. Mamy przewagę liczebną. Musimy tylko walczyć do końca.

– Musicie wejść do schronów burzowych – upomniała go Ivy.

Tekla, która zupełnie odwykła od ciąży, dopiero teraz wystarczająco pewnie stanęła na nogach, żeby zawlec Julię do kąta i tam posadzić ją na podłodze. W następnej chwili zawróciła w stronę wjazdu. Dinah nigdy przedtem nie widziała jej w takim stanie – i bardzo jej się w tej chwili bała. Za to Moira zareagowała zupełnie inaczej: zdjęła słuchawki, rzuciła się w kierunku wjazdu i uwiesiła się Tekli na szyi. Uścisk, który w pierwszej chwili mógł uchodzić za powitanie, szybko zmienił swój charakter, gdy Tekla poczęła wlec Moirę do wyjścia, a Moira usiłowała jej uniemożliwić powrót w wir walki.

– Kochanie... – wymamrotała Tekla Moirze do ucha. – Mam cię unieszkodliwić jakimś chwytem zapaśniczym? Bo jeśli nie, to powinnaś mnie puścić. Zamierzam zabić tę sukę Aïdę.

– Na to właśnie liczyli – odezwał się Zeke. – Że pozamykamy się w schronach. Zaraz potem zamierzali przejąć statek. Dobrze, że nas ostrzeżliście.

Tekla zdążyła się przez ten czas wyswobodzić z objęć Moiry i szybkim krokiem ruszyła do wjazdu. Zeke, który tylko na to czekał, wyciągnął do niej rękę, w której trzymał małe pudełko z czarnego plastiku. Przytknął je do uda Tekli i pociągnął za umieszczony z boku mały spust. Urządzenie wydało trzeszcząco-buczący odgłos, noga się ugięła i Tekla osunęła się na podłogę, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem.

– Przykro mi, Teklo – powiedział Zeke. – Ty zostajesz. Opatrz rękę i dotrzyмай towarzystwa Moirze. A jeśli będziecie miały synka, dajcie mu na imię Zeke.

I zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przeskoczył przez wjazd i zatrzasnął go z drugiej strony.

Zapadła cisza, którą po chwili zmaćcił donośny trzask przeniesiony przez konstrukcję *Endurance*. Wszyscy znali ten dźwięk: statek został trafiony bolidem.

– Czy ty nie powinnaś przypadkiem pilotować statku?! – krzyknął Doob pod adresem Ivy.

Ivy bez słowa skupiła się na swoim monitorze.

Dinah spojrzała na Julię.

– Co tam się, u diabła, dzieje?

Włosy Julii, w tej chwili krótko obcięte, przez ostatnie trzy lata zupełnie posiwiały. Jej oczy się nie zmieniły, chociaż bez dobroczynnego wpływu kosmetyków wyzierały z twarzy o dwie dekady starszej.

Powoli opuściła rękę.

Wystawiła język. Wyglądało na to, że kawałek metalu utkwiał jej między zębami.

Po bliższych oględzinach okazało się, że JBF ma kolczyk w języku. Założono go czysto i profesjonalnie, nie było widać śladów krwawienia, oznak infekcji ani niewygody dla właścicielki. W otwór w języku została wstawiona długa na dwa cale śruba z nierdzewnej stali, od dołu i od góry przyblokowana nakrętkami z podkładką. Była za długa, żeby zmieścić się w ustach, toteż Julia nie mogła schować języka. Śruba zapierała jej się o wargi.

– Jezu Chryste... – stęknęła Dinah.

Julia postukała jednym palcem w śrubę, po czym obiema rękami zaczęła naśladować jej odkręcanie (lub dokręcanie). Zdublowane nakrętki zostały solidnie dociśnięte.

Z kieszeni przy pasie Dinah wyjęła przybornik uniwersalny, rozłożyła szczypce, po czym pożyczyła drugie takie narzędzie od Ivy. Kręcąc ostrożnie w przeciwnych kierunkach, zdołała odblokować nakrętki. Wtedy Julia ją odepchnęła i czubkami palców odkręciła nakrętki do końca, po czym delikatnie usunęła śrubę. Schowała język. Zakryła usta ręką i oparła się na chwilę o ścianę, poruszając szczękami i czekając, aż ślina napłynie jej do ust i język się rozrusza.

Kiedy się w końcu odezwała, zabrzmiała zdumiewająco zwyczajnie, jakby przemawiała w centrum prasowym Białego Domu:

– Kiedy się poddaliśmy, zabrali mi rewolwer, a potem torturowali Spencera Grindstaffa tak długo, aż zdradził im wszystko, co wiedział o waszych systemach informatycznych: wszystkie hasła, tylne wejścia, szczegóły funkcjonowania... Wszystko, czego potrzebowali, żeby przejąć kontrolę. Potem go zabili i...

– Zjedli?

Julia pokiwała głową.

– Mają wśród swoich takiego jakby hakera. Kiedy teraz weszliśmy na pokład, od razu ruszył do terminala, żeby wprowadzić ten plan w życie. Steve Lake próbował mu przeszkodzić. Któryś z pozostałych miał broń i zastrzelił Steve'a. Od początku to planowali. Wiedzieli, że tylko Steve może ich powstrzymać.

– Ile nabojów im zostało?

– Teraz już żaden, jestem pewna. Większość i tak uzbroiła się w noże i pałki. Nie spodziewali się oporu, bo...

– Bo myśleli, że będziemy już zamknięci w schronach burzowych – domyśliła się Dinah. – Poszlibyśmy jak jagnięta na rzeź...

* * *

Silniki pracowały przez blisko godzinę. Zanim zostały wyłączone, zużyły tyle paliwa i tak bardzo odciążyły *Endurance*, że przez ten czas przy stałym przyśpieszeniu krew odpłynęła pasażerom z głów i zebrała się w stopach. Ivy sterowała, leżąc na wznak, żeby nie stracić przytomności. Zaliczyli kilka poważnych trafień bolidami; ci, którzy byli w stanie śledzić wskazania przyrządów, patrzyli, jak kolejne moduły w miarę postępowania zniszczeń zmieniają barwę najpierw na żółtą, później na czerwoną i czarną. Dinah na obrazie z kilku kamer śledziła ruch dziesięciomilowej skały, która, koziołkując, wyprzedziła ich z prawej strony w odległości zaledwie kilkuset metrów. Nie było to bynajmniej ostatnie z tego rodzaju bliskich spotkań, ale dopóki Doob ostrzegał o zagrożeniach, a Dinah wyciskała z Parametryka siódme poty, Ivy udawało się wymijać największe głązy.

Nie wiedzieli, jak przebiega walka na rufie. Zeke optymistycznie oceniał ich szanse, ale nie mieli pewności, czy zderzenia z bolidami nie przechyliły szali zwycięstwa w nieprzewidziany sposób. Procedura automatycznego odcinania rozhermetyzowanych modułów podzieliła statek na kilka osobnych stref, pomiędzy którymi nie sposób było się przemieszczać.

Wróciła nieważkość, co znaczyło, że silniki zostały wyłączone. *Endurance* w przybliżeniu zrównał się prędkością z resztą chmury odłamków. Dinah, która ledwie zdążyła się oswoić z miarowym

przyśpieszeniem, poczuła nagłą falę mdłości, gdy jej błędnik próbował się przystosować do zmiany warunków. Zamknęła oczy i zapadła w coś na kształt drzemki, szybując swobodnie po wnętrzu Młota i objając się od czasu do czasu o ściany, gdy Ivy odpalała silniki manewrowe, żeby zrobić unik.

W pewnym momencie dotarło do niej, że naprawdę przysnęła.

Jakaś jej część chciała trwać w tym stanie, ale Dinah wiedziała, że dzieją się ważne rzeczy. Otworzyła więc oczy, podświadomie spodziewając się, że została sama. Ostatni żywy człowiek.

Oprócz niej tylko Ivy nie spała. Jej twarz, widoczna w poświacie monitora, po raz pierwszy od bardzo dawna wyglądała tak samo, jak przy zetknięciu z fascynującym problemem naukowym: ożywiona, skupiona, rozradowana.

– Czemu jest tak cicho? – zainteresowała się Dinah. Miała wrażenie, że od dawna nie słyszała łoskotu zderzenia z bolidem i nie czuła ciągu silników.

– Weszliśmy w cień – wyjaśniła Ivy. – Mamy nowy stożek ochronny. Chodź, zobacz.

Dinah zaszła ją od tyłu i oparła brodę na jej ramieniu. Na monitorze wyświetlało się kilka otwartych okien; Ivy powiększyła jedno z nich, aż zajęło prawie cały ekran. Podpis u dołu objaśniał: KAMERA RUFOWA.

Kadr wypełniało zbliżenie olbrzymiej asteroidy.

Dinah – jako specjalistka od eksploatacji asteroid – widziała w przeszłości mnóstwo takich zdjęć. Nauczyła się rozpoznawać asteroidy po kształcie i fakturze. Tę także z łatwością rozpoznała.

– Rozpadlina – powiedziała.

Ivy dotknęła ekranu. Pod jej palcami pojawił się czerwony celownik, który przeciągnęła po powierzchni na środek wielgachnej czarnej szczeliny, sprawiającej wrażenie, jakby niemal rozłupała ogromną skałę na dwoje. To był wąwóz, od którego cała asteroida wzięła swoją nazwę.

– Myślałam, żeby polecieć tutaj – powiedziała Ivy.

– A może odrobinę niżej, tam gdzie robi się szersza?

– Szerokość nie jest nam na rękę. Za duże ryzyko trafienia.

– W takim razie może tutaj? – Dinah przeciągnęła celownik nieco w bok. – A potem, jak już będziemy w środku, przecisniemy się do tego przewężenia?

- Dobrze się panie bawią? – wychrypiał Doob.
- Nie aż tak dobrze, jak sam będziesz się bawił za jakąś godzinę.
- Postaram się jeszcze tyle wytrzymać.

* * *

Przelot nie nastręczył im problemów. Ivy wprowadziła *Endurance* do szczeliny jak piper cuba do Wielkiego Kanionu. Po paru minutach skalne ściany sięgnęły im wysoko ponad głowy. Dno nadal ginęło w półmroku.

Posłuszna sugestii przyjaciółki skierowała statek w odległy o kilkadziesiąt kilometrów rejon wąwozu, ponad którym ściany niemal się zbiegały i radioaktywne niebo stawało się wąziuteńką gwiazdzistą kreską. Posuwali się dalej, chwilami szorując wystającymi modułami o skały, aż dotarli do miejsca, w którym dalszy lot był niemożliwy.

Patrząc wzdłuż szczeliny w obie strony, w pewnej odległości można było dostrzec miejsca, gdzie słońce zaglądało do środka, tutaj jednak, gdzie się zatrzymali, byli osłonięci zarówno przed meteorytami, jak i przed promieniowaniem. Ivy posadziła *Endurance* na dnie wąwozu. Ciężenie na Rozpadlinie było niezwykle słabe, ale wystarczające, żeby słowo „grawitacja” znów nabrało sensu – i żeby statek tkwił w wybranym przez nich miejscu, dopóki nie zechcą się przenieść.

Czego nie zamierzali robić.

Rozpadlina

Na powierzchni Rozpadliny człowiek ważył mniej więcej tyle, co trzy kufle piwa na Ziemi, *Endurance* zaś tyle, co dwie naczepy od tira.

Ivy po raz ostatni strzeliła silnikami manewrowymi i postawiła statek pionowo, na dziobie, z rufą i torusem w górze i Młotem przywartym do żelaznego dna wąwozu. Dinah posłała krabochwyty, żeby przyspawały go do asteroidy. Ivy wygasła silniki.

Endurance ze statku kosmicznego stał się budynkiem.

Ponad Młotem, zespolonym w jedno z metalem Rozpadliny, Komin wznosił się pionowo do góry jak pień drzewa. Sterczące z niego na boki elementy konstrukcji przywodziły na myśl gałęzie. W najszerszym miejscu znajdowała się matryca złożona z osiemdziesięciu jeden miniarek, ulokowanych na rufie statku, a teraz do złudzenia przypominających liściastą koronę.

Tak to sobie przynajmniej wyobrażali pasażerowie *Endurance*, bo nie bardzo mogli wyjść na zewnątrz i go obejrzeć, dopóki nie wydostaną się z Młota. Podczas bitwy zamknęli właz na głucho, zanim zaś posadzili statek i przyspawali go do asteroidy, odgłosy walki dawno ucichły. W końcu postanowili otworzyć właz i przeszukać wnętrze moduł po module. Posłali przodem fulereny i żmijki, żeby rozświetliły ciemne kąty i zajrzały kamerami w ukryte zakamarki, a potem sami ruszyli naprzód w szyku ubezpieczonym: Tekla na szpicy, Dinah i Ivy osłaniające ją od tyłu, wszystkie trzy uzbrojone w pałki zrobione z kawałków rur. Ostatecznie nie musiały ich jednak używać.

To było jak połączenie miejsca zbrodni, pola bitwy i strefy kataklizmu. Mniej więcej połowa modułów była nadal szczelna, przy czym niektóre zostały całkowicie odcięte od reszty i dotarcie do nich wymagało włożenia skafandra i spaceru w próżni. Zbadanie wszystkich trwało kilka dni.

W jednym z nich znaleźli Aïdę – jedyną obok JBF ocalałą pasażerkę

heptady. Upłynęły dwa dni, odkąd zjadła resztki Tavistocka Prowse'a, była więc wygłodniała, ale poza tym w niezłej formie. Uwięziona w module odcięty od statku wskutek walki i uderzeń meteorytów, ukryła się w napełnionym wodą schronie burzowym i pomału sączyła jego zawartość, czekając na ratunek.

Ocalało ich w sumie szesnaścioro. Niektórzy odnieśli obrażenia w walce, inni na skutek zderzeń *Endurance* z meteorytami, a wszyscy, którzy w porę nie zaszyli się w Młocie albo schronie burzowym, cierpieli na chorobę popromienną. Zdrowi załatali dziury, napełnili poreperowane moduły powietrzem, uruchomili torus i urządzili w nim szpital, który błyskawicznie się zapełnił.

Dinah zdołała wyciągnąć Dooba na ostatni spacer kosmiczny. Od wielu dni niedomagał, ale kiedy zapakowali go w skafander, poczuł przypływ nowych sił. Dinah wyprowadziła go na dno szczeliny, gdzie mógł się przejść lekkim krokiem; do butów miał przytwierdzone krabochwyty zaopatrzone w elektromagnesy, żeby nie odfrunął za wysoko. Przeszli może z kilometr, co rusz odwracając się, żeby spojrzeć na nowy dom ludzkości. Ponad wirującym torusem, w którym Moira z wolna instalowała swoje laboratorium genetyczne, Tekla przeprowadzała inspekcję miniarek: sprawdzała, które są całe, których nie da się naprawić, a które będzie sens łątać i reperować, żeby w przyszłości nadawały się do zamieszkania. Na dnie wąwozu zmijki i krabochwyty rozpięły liny i instalowały podpory unieruchamiające *Endurance* w miejscu ostatecznego spoczynku.

Szli w prawie zupełnej ciemności – taka była cena skutecznej ochrony przed promieniowaniem kosmicznym i koronalnym wyrzutem masy. Wystarczyło jednak podnieść wzrok, by dostrzec, jak nad ich głowami słońce złości krawędzie szczeliny. Rozmawiali o zainstalowaniu zwierciadeł, które kierowałyby światło w dół, do miniarek, żeby te mogły pod przezroczystym kadłubem zewnętrznym uprawiać żywność i oczyszczać powietrze. Doob mówił także o Zabudowie – idei, w myśl której z czasem wokół *Endurance* miałyby się pojawić ściany i sufit, a zamkniętą w ten sposób część wąwozu można by napełnić powietrzem i przeobrazić w miejsce, gdzie dzieci mogłyby się bawić „na dworze” bez skafandrów kosmicznych.

A potem wrócił na statek i umarł.

Złożyli jego ciało wraz z pozostałymi w uszkodzonej miniarce, która miała pełnić rolę mauzoleum do czasu, gdy zdołają wyryć groby w twardej nawierzchni Rozpadliny. Długo to potrwa, ale panowała powszechna zgoda, że ci, którzy poświęcili tak wiele, by tu dotrzeć, zasługują na prawdziwy pochówek zamiast kremacji. Doob miał dzielić grób z Zekiem Petersenem, Bolor-Erdene, Steve'em Lakiem i pozostałymi, którzy zginęli lub umarli mniej więcej w tym samym czasie. Niektórzy z nich zachowali przytomność dostatecznie długo, żeby opowiedzieć o przebiegu konfliktu z przybyszami z Roju i ostatnim, rozpaczliwym locie *Endurance* w burzy i kamiennej zamieci. Ich opowieści zostały zarejestrowane i zarchiwizowane; pewnego dnia jakiś historyk złoży tę relację w całość, porównując ich słowa z zapisami w dziennikach komputerowych, żeby ustalić, kto kogo zabił w walce i który moduł kiedy został odcięty od reszty.

Oczywiście najlepszym źródłem informacji byłaby Aïda, gdyby tylko miała ochotę mówić – ale nie miała. Pograżona w głębokiej depresji wynurzała się z jej odmętów w na pozór przypadkowych momentach, żeby podzielić się zbłąkanymi myślami przelatującymi jej przez głowę. Nikt nie chciał z nią rozmawiać. Aïda miała zwyczaj obserwować rozmówcę nazbyt uważnie, świdrowała go swymi ptasimi, czujnymi oczami, jakby sięgała wzrokiem – lub wyobrażała sobie, że sięga – zbyt głęboko. Nie sposób było pod tym badawczym spojrzeniem nie pamiętać o tym, co ona i jej towarzysze zrobili, i nie wyobrażać sobie, że jest się ocenianym pod kątem przydatności do spożycia.

Na iście epicką opowieść składał się trzyletni zbiór e-maili, wiadomości na Spacebooku, wpisów na blogach i innych dzieł ulotnych, które automatycznie zapełniły skrzynki odbiorcze pasażerów *Endurance*, gdy tylko odnowiono połączenie z siecią Roju. Zaczęło się od postępującego oderwania od rzeczywistości u JBF i jej najbliższych zauszników. Luisa porównywała tę sytuację do rozwoju spirytyzmu po pierwszej wojnie światowej. W latach dwudziestych XX wieku wielu ludzi, których umysły nie potrafiły ogarnąć ogromu śmierci w okopach i podczas późniejszej epidemii grypy, dało się zwieść przeświadczeniu, że ich najbliżsi potrafią się z nimi komunikować zza grobu. W ten sposób uchylili się przed żałobą, wmówiwszy sobie, że nic się nie stało.

Analogia była raczej luźna. Oczywiście Kamienny Deszcz przyniósł

zagładę znacznie większym masom, a mało kto spośród arkan naprawdę wciągnął się w spirytyzm, ale kiedy po szczególnie poważnym wybuchu na Słońcu koronalny wyrzut masy zabił niemal stu mieszkańców Roju, Tav wysłał na bloga wpis o swojej podróży do Bhutanu i rozmowie Dooba z królem na temat matematyki reinkarnacji. Był to wpis kontemplacyjny, rodzaj świeckiej mowy pogrzebowej ku czci zabitych, i dopiero z perspektywy czasu stało się jasne, że to właśnie on stał się punktem zwrotnym w sposobie myślenia arkan. Zwłaszcza że Rój zawsze miał w sobie jakiś na wpół boski pierwiastek – szczególnie dla tych, którzy za dużo i za szybko naczytali się o teorii chaosu i byli skłonni wierzyć, że kolektywne decyzje Roju, wymykające się ludzkiemu rozumieniu, mają w sobie coś nadprzyrodzonego.

Technomistyczny miszmasz pojęciowy, jaki wykiełkował na gruncie tego jednego wpisu, był zupełnie niepojęty nie tylko dla Luisy, ale dla wszystkich, którzy zapoznawali się z nim *post factum*, na spokojnie, bez oczekiwań i uprzedzeń. Mimo to najwyraźniej oferował pociechę i nadzieję wielu przerażonym młodym ludziom uwięzionym w miniarkach. Trzeba było oddać sprawiedliwość Tavowi, który opierał się wszelkim próbom wyniesienia go do godności proroka, jednakże w ostatecznym rozrachunku jego skromność chyba przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego.

– Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek mógł śledzić te wątki i znajdować w nich nadzieję – przyznała Luisa. – Albo chociaż sens. A oni znaleźli, i to wystarczająco dużo, żeby zapomnieć o swoich prawdziwych problemach. Kiedy Aïda i pozostali otrząsnęli się i spróbowali dać odpór ludziom JBF, reakcja była tym poważniejsza, że sprawy zaszły przez ten czas za daleko.

Bunt rozgorzał w bolas złożonym z dwóch triad, zamieszkanym przez grupę podobnie myślących arkan, w której skład wchodziła Aïda. Odrzucili jako bzdurne formę i treść oficjalnych przekazów z Białej Arki i oskarżyli Tavistocka Prowse'a o bycie marionetką reżimu. Nazwali się Brygadą Czarnego Bolas i zaczęli rozpowszechniać w Roju swój powstańczy manifest.

W manifeście tym – całkowicie sensownym, nawiasem mówiąc – nawoływali do stawienia czoła faktom i podjęcia realistycznych i skutecznych kroków w celu rozwiązania dręczących Rój problemów;

gdyby zaszła taka konieczność, nie wykluczali nawet zdania się na łaskę *Endurance*. Zażądali od JBF większej jawności rządów oraz przedstawienia aktualnego stanu zapasów wody, żywności i innych podstawowych dóbr, a także zmian tegoż z upływem czasu. Julia nie spełniła tych żądań, ale dane ostatecznie i tak wyciekły do sieci, gdy w jej ekipie znalazł się zdrajca. Różne reakcje na ujawnione niewesołe perspektywy zdeterminowały dalszą historię i politykę Roju. Niektórzy odpłynęli jeszcze dalej w mistycyzm i pobożne życzenia, wierząc w to, że Agent był aniołem zemsty zesłanym przez Boga (lub przez obcych tak potężnych, że mogliby być Bogiem), by zwiastować koniec świata i zespolenie wszelkiej ludzkiej świadomości w jednym wielkim podniebnym roju cyfrowym. Inni wcielili w życie ideę kanibalizmu (nie w sensie zabijania i zjadania ludzi, lecz tylko zjadania tych, którzy zmarli z przyczyn naturalnych) jako rozwiązanie przejściowe do czasu obalenia reżimu i zastąpienia go ekipą, która wie, co robi. Grupa pierwsza, mistycy, gromadziła się pod sztandarem JBF; kanibale zebrali się wokół Aïdy, która ze względu na wrodzoną charyzmę i niespożytą energię stopniowo objęła przywództwo w Brygadzie Czarnej Bolas.

Tym sposobem jeden Rój rozpadł się na dwa mniejsze, jeszcze bardziej niesamowystarczalne, co tylko nasiliło problemy stanowiące przyczynę rozłamu. Dalszy rozwój sytuacji – łatwy do przewidzenia – doprowadził do niedawnych wydarzeń.

Aïda nadal nie była zbyt rozmowna – co innego Julia. Według niej w ostatnich tygodniach Aïda i jej ocalali sojusznicy z Czarnej Bolas doszli do wniosku, że kanibalistyczne praktyki skażą ich w oczach załogi *Endurance* na rolę wiecznych wyrzutków. Zamiast jednak biernie czekać na osąd (ich zdaniem skrajnie świętoszkowaty i odwetowy) Ivy i jej klakierów, postanowili przejąć władzę nad częścią lub całością *Endurance* i dalej negocjować z pozycji siły.

To poniekąd tłumaczyło ich późniejsze posunięcia, może z wyjątkiem okaleczenia Julii i Tava. Zapytana o swoją teorię na ten temat, Julia wzruszyła ramionami.

– Dla nich byliśmy przestępcami – odparła. – Przestępców się karze. A trudno ukarać kogoś, kto już przymiera głodem w zamknięciu. Cóż więc pozostaje w repertuarze oprawcy, jeśli nie atak na ciało? Chcieli mnie uciszyć, więc uciszyli. A Tavowi postanowili odpłacić jego własną

monetą i wchłonąć jego ciało w swoje.

* * *

Tydzień później, gdy ostatnie ofiary zmarły od ran lub z powodu choroby popromiennej, przy życiu zostało osiem zdrowych istot ludzkich.

Ivy ogłosiła dwudziestoczworgodziną żałobę, po czym zwołała spotkanie całego rodzaju ludzkiego: Dinah, Ivy, Moiry, Tekli, Julii, Aïdy, Camili i Luisy.

Nie bardzo wiedziały, co począć z Julią i Aïdą. Od lat w wolnych chwilach marzyły o tym, jak to pewnego dnia karząca ręka sprawiedliwości dosięgnie JBF – cokolwiek miałyby to znaczyć. Tymczasem w ostatniej chwili Aïda zupełnie ją przyćmiła, a cała idea sądu wzięła w łeb. Czy sześć kobiet mogło wsadzić dwie kobiety do więzienia? Co oznaczałoby „więzienie” w takim miejscu jak to? Kara cielesna pozostawała przynajmniej teoretyczną możliwością, ale Aïda pierwsza po nią sięgnęła i skutki jej działań napawały obrzydzeniem.

JBF nie stanowiła już żadnego zagrożenia. Aïda wciąż emanowała złowieszczą aurą, ale poza zamknięciem jej w jednej z miniarek i pilnowaniem, żeby nie uciekła, niewiele więcej można było zdziałać. Tak więc zrobiły. Stale miały ją na oku. Nigdy nie pozwalały jej się zaskoczyć.

Spotkały się w Bananie, przy długim stole konferencyjnym. Po jego jednej stronie była śmierć: szpital, w którym Zeke, ostatni żywy mężczyzna, półtora dnia wcześniej wyzionął ducha; zdążył jeszcze zażartować, że los sobie z niego zakpił – jedyny żywy facet, osiem babek do wyboru, a on umiera. Wyszorowały szpital wybielaczem i posłały łóżka, mając nadzieję, że nie będą prędko potrzebne. Po drugiej stronie stołu było życie: ciąg pomieszczeń, w których Moira urzędowała swoje laboratorium genetyczne.

Później spotkanie to nazwano Radą Siedmiu Ew – bo pomimo że uczestniczyło w nim osiem kobiet, jedna z nich – Luisa – weszła już w fazę menopauzy. Na wstępie Ivy przedstawiła ogólny raport; nakreślony przez nią obraz pod pewnymi względami okazał się

zaskakująco korzystny; musiała kilkakrotnie podkreślić ten fakt, do tego stopnia przywykły do złych wiadomości. Niewiele było w Układzie Słonecznym schronień równie bezpiecznych jak to, w którym osiadły. Nie zagrażały im tu ani koronalne wyrzuty masy, ani promieniowanie kosmiczne, a przy tym całkiem niedaleko – tuż nad głowami, na górnej krawędzi szczeliny, gdzie Słońce świeciło bez przerwy – miały dostęp do światła niezbędnego do produkcji energii i uprawy roślin.

Na razie reaktor główny i cztery tuziny pomocniczych w miniarkach wytwarzały znacznie więcej energii, niż Ewy mogłyby potrzebować, i sytuacja ta powinna się utrzymać przez całe dziesięciolecie. Zapasy wody sięgały stu ton. Kiedy wcześniej rozszczepiali ją na tlen i wodór niezbędne do zasilenia silników, przy okazji wydobyli z niej tony fosforu, węgla, amoniaku i innych związków chemicznych pochodzących z zarania Układu Słonecznego, dawniej okrywających Grega Szkieletora cuchnącą czarną skorupą. Sean Probst doskonale wiedział, że cała ta chemia będzie wprost bezcenna dla rolnictwa.

Nigdy już nie będą się musiały przejmować rzeczami, które przez ostatnie pięć lat nieustannie absorbowwały ich uwagę: perygeami, apogeami, silnikami, materiałami pędnymi i ruchem statków kosmicznych. Żaden meteoryt nie znajdzie ich na dnie wąwozu, a gdyby nawet Rozpadlina zderzyła się w przyszłości z innym, równie dużym bolidem, najprawdopodobniej wyjdą z tego cało.

Witaminy, którymi po brzegi wyładowywano wszystkie wysyłane na orbitę miniarki, miały służyć populacji liczącej tysiące osobników. Wiele z nich przepadło wprawdzie bezpowrotnie, ale te, które ocalały, miały zapewnić małej kolonii wieloletni zapas aspiryny i szczoteczek do zębów.

Pod wieloma względami kolonia była uzależniona od technologii cyfrowej. Nie przetrwałaby długo bez robotów i skomputeryzowanego systemu sterowania. Nie mogło być mowy o produkcji nowych układów scalonych, którymi zastępowałyby się te zużyte. Jednakże arkitekci także i to przewidzieli i zaopatrzyli Arkę w Chmurze w pokaźne zapasy części zamiennych, które przy rozsądnym gospodarowaniu powinny wystarczyć na setki lat. W późniejszym okresie planowano zresztą odrodzenie cywilizacji cyfrowej: miały narzędzia do produkcji narzędzi do produkcji narzędzi, a także instrukcje ich obsługi, gdy przyjdzie

właściwy moment.

Po załatwieniu spraw bieżących rozmowa zeszła na oczywisty problem. Wszystkie głowy zwróciły się ku Moirze.

– Moja aparatura przetrwała nietknięta – zapewniła Moira. – Przez ostatnie trzy lata umierałam z nudów traktowana jak kruchy kwiatusek. Dla zabicia czasu spisałam więc wszystko, co wiem na temat obsługi tego sprzętu. Gdybym jutro padła trupem albo stało się coś innego, dacie sobie radę beze mnie. Zostałyśmy tylko my, same kobiety, z których siedem nadal może mieć dzieci. Czy też, ściśle rzecz biorąc, może produkować komórki jajowe. Skąd jednak wziąć nasienie? Dziewięćdziesiąt siedem procent zasobów przysłanych z Ziemi uległo zniszczeniu w katastrofie, do której doszło w pierwszym dniu Kamienego Deszczu. To, co przetrwało, przetrwało tylko dzięki wcześniejszemu rozdystrybuowaniu pomiędzy dziesięć różnych miniarek. Cała ta dziesiątka dołączyła później do Roju, nie wydaje mi się jednak, żeby ten materiał genetyczny do nas wrócił.

– Byłam w Roju, jak wiecie – wtrąciła Aïda, wpatrując się w siedzącą naprzeciwko Julię. – I powiem wam, że obecność tych próbek w dziesięciu arkach została kompletnie zlekceważona. Nikt o niej nigdy nie mówił; jeżeli w ogóle ktoś wiedział o ich istnieniu, to bardzo szybko o tym zapomniano.

Julia, która odebrała jej słowa jako krytykę skierowaną pod swoim adresem, odparła:

– Mieliśmy w Roju osiemset młodych, zdrowych kobiet i mężczyzn ze wszystkich grup etnicznych.

– Mieliśmy – powtórzyła Aïda. – Czas przeszły.

– Nakład sił i środków niezbędny do konserwacji paru kriogenicznych pojemników z próbkami był niewspółmierny...

– Przestańcie – ucięła Ivy. – Jeżeli uda nam się zrobić jakieś dzieci, to ich prapraprawnuki będą mogły ślęczeć w archiwach, wydawać wyroki i dyskutować o tym, co należało zrobić. Teraz nie czas na wzajemne oskarżenia.

– Byłam na tym spotkaniu, na którym Markus nazwał Genetyczne Archiwum Ludzkości bzdurą – wtrąciła Dinah, odrobinę zaskoczona, że właśnie poparła Julię.

– Nie powtarzajmy tego błędu – zauważyła Aïda. – Nie dajmy się

znowu nabrać. Nie wierzymy w jakieś pierdolety.

– Gdybyśmy wiedzieli, że w tak krótkim czasie zostanie nam zaledwie siedem płodnych kobiet, kazalibyśmy wszystkim zdrowym facetom masturbować się do próbek non stop przez ostatnie trzy lata, a potem znaleźlibyśmy jakiś sposób, żeby to zamrozić – zapewniła Ivy. – Ale nie przyszło nam to do głowy.

– Nie mielibyśmy pewności co do jakości próbek – odezwała się Moira.

– Biorąc pod uwagę natężenie promieniowania, miałabym pewnie huk roboty z ręcznym naprawianiem materiału genetycznego.

– Ręcznym? – powtórzyła Julia.

– Powinnam to chyba ująć w cudzysłów. – Moira wykonała stosowny gest obiema rękami. – Oczywiście nie używałabym rąk w sensie dosłownym, ale z takim sprzętem, jaki tu mam... – Ruchem głowy wskazała laboratorium. – Jestem w stanie wyizolować pojedynczy plemnik lub jajeczko i odczytać jego genom. Nie wnikam teraz w szczegóły, naturalnie; zmierzam do tego, że potrafiłabym uzyskać cyfrowy zapis DNA takiej komórki. A dalej to już jest ćwiczenie z programowania: wystarczy porównać uzyskane dane z zawartością olbrzymich baz danych stanowiących element wyposażenia laboratorium i znaleźć takie miejsca w chromosomie, gdzie DNA zostało uszkodzone przez promieniowanie kosmiczne albo reaktorowe. Takie usterki można potem naprawić poprzez wklejenie materiału, który powinien się tam znajdować.

– To rzeczywiście mnóstwo pracy – przyznała Camila. – Jeżeli mogłabym ci jakoś pomóc, przydać się na coś, jestem do twojej dyspozycji.

– Dziękuję. Wszystkie będziemy przy tym harować, całymi miesiącami, zanim zobaczymy jakieś efekty. I tak niewiele innego mamy do roboty.

– Za przeproszeniem... – wtrąciła Aïda. – Jaki jest sens w ogóle o tym dyskutować, skoro nie mamy ani odrobiny nasienia?

– Nie potrzebujemy nasienia – odparła Moira.

– Nie potrzebujemy nasienia, żeby zająć w ciążę! – Aïda parsknęła śmiechem. – To dla mnie coś nowego.

– Istnieje coś takiego jak partenogeneza – ciągnęła spokojnie Moira. – Dosłownie „dzieworództwo”. Z normalnej komórki jajowej można

stworzyć zarodek, który będzie miał tylko jednego rodzica: matkę. Jedynym powodem, dla którego nikt tego nigdy nie robił u ludzi, były zastrzeżenia natury etycznej. Poza tym procedura była zbędna, zważywszy na upodobanie mężczyzn do zapładniania kobiet przy każdej nadarzającej się okazji.

– Możesz coś takiego zrobić tutaj? – spytała Luisa.

– Nie jest to procedura znacząco trudniejsza od sztuczek, o których mówiłam przy okazji naprawiania uszkodzonych plemników. Ba, pod pewnymi względami jest nawet prostsza.

– Czyli możemy zająć w ciążę... same ze sobą – upewniła się Tekla.

– Tak. Wszystkie poza Luisą.

– Mogłabym mieć dziecko, dla którego będę i matką, i ojcem – powiedziała Aïda. Ta idea w oczywisty sposób ją fascynowała. Nagle przestała być najeżoną, delikatną Aïdą, a stała się ciepłą, ożywioną dziewczyną, jaka zapewne oczarowała decydentów podczas Rozdzielenia Losów.

– Będzie to skomplikowane i pracochłonne – przyznała Moira – ale przecież po to właśnie przywieźliśmy tu laboratorium.

Wszystkie przez chwilę rozważały jej słowa i ich konsekwencje. Julia pierwsza przerwała milczenie:

– Wejdę w swoją tradycyjną rolę ignorantki w kwestiach naukowych... Czy próbujesz nam powiedzieć, że możesz nas sklonować?

Moira skinęła głową – chociaż w tym wypadku nie oznaczało to „tak”, lecz raczej „rozumiem twoje pytanie”.

– Są różne sposoby, Julio – odparła. – Jedna z metod rzeczywiście doprowadziłaby do powstania klonów, czyli potomstwa identycznego z matką pod względem genetycznym. Ale tego akurat byśmy nie chciały, chociażby dlatego, że nie rozwiązałoby to naszego podstawowego problemu: braku mężczyzn.

Camila odniosła rękę. Moira, wyraźnie poirytowana faktem, że się jej przerywa, uniosła brwi i skinęła głową.

– Czy to naprawdę taki wielki problem? – spytała Camila. – Mamy laboratorium, możemy produkować klony... Czy społeczeństwo bez mężczyzn to naprawdę taki zły pomysł? Przynajmniej przez kilka pokoleń...

Moira uciszyła ją delikatnym, odpychającym gestem.

– To pytanie na później. Z tą wersją partenogenezy wiąże się inna, ważniejsza kwestia, a mianowicie identyczność potomstwa. Doskonałość kopii. A ponieważ potrzeba nam różnorodności genetycznej, musimy zastosować tak zwaną partenogenezę automiksyjną. Trochę to skomplikowane, ale w skrócie sytuacja wygląda tak: podczas normalnej reprodukcji, czyli rozmnażania płciowego, na etapie mejozy dochodzi do krzyżowania się chromosomów. To forma naturalnej rekombinacji DNA, dzięki której dzieci przypominają rodziców, ale nie są ich dokładną kopią. I ja proponuję taką właśnie formę partenogenezy, w której też będzie dochodziło do wymiany materiału genetycznego. Wprowadzimy element losowy.

– I będą z tego dziewczynki i chłopcy? – zainteresowała się Dinah.

– Z tym będzie trudniej – przyznała Moira. – Zsyntetyzowanie chromosomu Y to nie bułka z masłem. Dlatego spodziewam się, że pierwsze pokolenie, może nawet kilka pierwszych pokoleń to będą same dziewczynki. Musimy szybko rozbudować populację; ja w tym czasie będę pracowała nad kwestią chromosomu Y, z czego później, mam nadzieję, wezmą się mali chłopcy.

– Ale te dziewczynki, a później także chłopcy... Wszyscy wezmą się z naszego DNA? – spytała Ivy.

– Tak.

– Czyli będą do nas bardzo podobni pod względem genetycznym.

– Jeżeli nic z tym nie zrobię, będą jak siostry i bracia, może nawet bardziej podobni do siebie niż zwyczajne rodzeństwo. Znam jednak pewne sztuczki, które pozwolą poszerzyć zakres genotypów uzyskanych z ustalonego materiału źródłowego. Może wtedy dzieci będą dla siebie bardziej jak kuzyni... Nie wiem, nie mam pewności. Nigdy tego nie próbowano.

– Czy nie zahaczamy tu o kwestię chowu wsobnego? – zaniepokoiła się Dinah. – Bo tak mi to brzmi...

– Utrata heterozygotyczności, zgadza się. Tak się składa, że trochę się na tym znam. To dlatego weszłam w skład populacji zwymieszów.

– Ze względu na swoje prace o tchórzach czarnołąpach i tak dalej – uzupełniła Ivy.

– Właśnie. To pokrewny problem. Chciałabym jednak, żebyście

zapamiętały jedną rzecz: raz już udało nam się ten problem rozwiązać, w przypadku tchórza czarnołapego. Teraz uda nam się ponownie. – Moira powiedziała to z takim przekonaniem i pewnością siebie, że wszystkie uczestniczki zebrania umilkły i czekały na ciąg dalszy. – Mam nadzieję, że w tej kwestii panuje przynajmniej intuicyjne zrozumienie, hmm?

Pytanie było skierowane do Julii, która – nieco poirytowana – odparowała:

– Moja córka miała zespół Downa. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Moira przyjęła jej słowa skinieniem głowy i mówiła dalej:

– Wszyscy mamy jakieś defekty genetyczne. Kiedy rozmnażamy się w sposób z grubsza przypadkowy, w dużej populacji takie defekty znikają stłamszone prawem wielkich liczb. Wszystko samo dobrze się układa. Ale kiedy spikną się dwie osoby obarczone tą samą wadą genetyczną, ich potomstwo najprawdopodobniej ją odziedziczy. Z biegiem czasu ten właśnie mechanizm odpowiada za nieprzyjemne skutki, jakie tradycyjnie kojarzone są z chowem wsobnym.

– Czyli jeżeli będziemy realizować twój plan – przejęła pałeczkę Luisa – to za jakiś czas będziemy mieć siedem grup braci i sióstr albo kuzynów...

– Rozumiem, do czego zmierzasz. Za mała heterozygotyczność. Jeżeli masz genetyczne predyspozycje do jakiegoś schorzenia, na przykład...

– U mnie w rodzinie zdarzała się alfa-talasemia – wtrąciła Ivy.

– To dobry przykład – zgodziła się Moira. – Tak się składa, że przed zagładą Starej Ziemi powstały bardzo obszerne bazy danych poświęcone takim właśnie zjawiskom. Które to bazy, wszystkie, są teraz tam. – Wskazała swoje laboratorium. – Mamy całkiem niezłe rozeznanie w kwestii tego, jakie defekty i w których chromosomach są odpowiedzialne za alfa-talasemię. Jeżeli dostarczysz mi swoją komórkę jajową, znajdę te defekty i naprawię je przed rozpoczęciem partenogenezy. Twoje potomstwo będzie od nich wolne, i to trwale, pomijając ewentualną przypadkową mutację w przyszłości.

Dinah podniosła rękę.

– Mój brat był nosicielem mukowiscydozy. Ja się nie badałam.

Julia powtórzyła jej gest.

– Trzy z moich ciotek zmarły na tę samą odmianę raka piersi. Przebadalam się i wiem, że też mam tę wadę.

– Moja odpowiedź odnosi się także do was – zapewniła Moira. – Jeżeli istnieje badanie genetyczne wykrywające jakąś chorobę, to z definicji wiadomo, że znamy odpowiedzialny za nią defekt. A skoro go znamy, to możemy go naprawić.

W dyskusji zabrzmiał nowy głos:

– A choroba dwubiegunowa?

Wszyscy spojrzeli na Aïdę.

Miała dożyć swoich dni i udać się na spotkanie ze Stwórcą, nie znalazłszy sobie przyjaciela, nie odbywszy nawet jednej miłej rozmowy. Nikt więc nie był szczególnie zainteresowany jej pytaniem, ale sam fakt, że je zadała, sugerował nienotowany wcześniej poziom introspekcji.

Moira zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Musiałabym sprawdzić. Jest chyba w pewnej mierze dziedziczna... Ponieważ da się wskazać odpowiedzialne za nią fragmenty chromosomów, można by ją potraktować jak każdą inną chorobę.

– A czy twoim zdaniem należałoby ją tak potraktować? – spytała Aïda.

Wszyscy popatrzyli na Luisę, która skinęła głową.

– Dawno już mamy za sobą ten etap, gdy choroby psychiczne uważano za mniej ważne od chorób ciała – odrzekła. – Dlatego moim zdaniem należy je traktować dokładnie tak samo.

– Należy – powtórzyła Aïda. – Ale czy trzeba?

Luisa poczerwieniała lekko.

– Do czego zmierzasz, Aïdo?

– Czytałam trochę na ten temat. Niektórzy autorzy twierdzą, że dwubiegunowość to korzystne przystosowanie. Kiedy źle się dzieje, popadasz w depresję, wycofujesz się, oszczędzasz energię. A kiedy sprawy idą ku lepszemu, z ożywieniem wkraczasz do akcji.

– I chodzi ci o...?

– Czy wyleczysz to schorzenie u mojego potomstwa wbrew mojej woli? A gdybym chciała mieć całe mnóstwo dwubiegunowych dzieci?

Poirytowane kobiety milczały. Camila pierwsza zabrała głos:

– A co z agresją?

Wszystkie spojrzały na nią, jakby niepewne, czy dobrze usłyszały.

– Mówię poważnie – ciągnęła Camila, spoglądając na Aïdę. – Nie chcę

trywializować cierpienia wywołanego twoją przypadłością, ale na przestrzeni dziejów agresja przyniosła ludzkości znacznie więcej bólu i śmierci niż choroba dwubiegunowa czy jakakolwiek inna. Skoro zamierzamy poprawiać te aspekty ludzkiej psychiki, które są źródłem cierpienia, to czy nie powinniśmy wyeliminować skłonności do agresywnych zachowań?

– To co innego... – zaczęła Moira.

– Chwileczkę – weszła jej w słowo Dinah. – Ja jestem agresywna. Zawsze byłam. Niewiele brakowało, żebym zagrała w reprezentacji piłkarskiej na igrzyskach olimpijskich! Tylko w ten sposób byłam w stanie cokolwiek osiągnąć: przelewając swoją agresję w różne przedsięwzięcia. – Ruchem głowy wskazała Teklę. – Do licha, spójrzcie na nią! Ile razy jej agresja ocaliła nam życie?

– Właśnie. – Tekla pokiwała głową. – Dinah uratowała mnie tylko dlatego, że podjęła agresywne, nieregulaminowe działania. Problemem nie jest agresja, problemem jest brak dyscypliny. Ktoś agresywny – skinęła głową w stronę Dinah – może wnieść twórczy wkład w społeczność, jeżeli tylko potrafi się kontrolować.

I znacząco spojrzała na Aïdę, która tylko prychnęła i odwróciła wzrok.

– Mamy hodować ludzi pod kątem dyscypliny i samokontroli? – spytała Ivy. – Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem...

– Moim zdaniem Camila chciała powiedzieć tylko tyle, że niektóre cechy osobowości, niezdrowo rozwinięte, bywają równie niebezpieczne jak choroby, które umiemy zdiagnozować – wyjaśniła Julia. – Albo nawet bardziej.

– Nie życzę sobie, żebyś mnie wyręczała, Julio – odezwała się Camila. – Proszę cię, nie wypowiadaj się więcej w moim imieniu.

– Chciałam tylko pomóc – odparła Julia. O ile jednak dawna JBF powiedziałaaby to z wyrzutem, o tyle w głosie tej nowej było słycać tylko znużenie.

– A mnie chodziło o to – wtrąciła się Dinah – że nie podoba mi się etykietka genetycznego dziwoląga, którego trzeba wyrugować z przyszłości rodzaju ludzkiego.

– Nikt cię tak nie nazywa – zapewniła ją Ivy. – Camila ma na myśli prymitywów, którzy próbowali ją zabić za to, że chciała się uczyć.

– A co ty o tym myślisz? – spytała ją Tekla.

– Mniej więcej to samo, co ty. Agresja jest w porządku, ale musi być kontrolowana. Kierowana. A drogą do tego jest inteligencja. Racjonalne myślenie.

Aïda znowu parsknęła głośnym śmiechem.

– Przepraszam – powiedziała – pomyślałam o Roju. Osiemset osób, starannie dobieranych ze względu na inteligencję i zdolność racjonalnego myślenia, a na koniec wszyscy zastanawialiśmy się tylko nad tym, jak smakują.

– My nie zjadaliśmy się nawzajem – przypomniała jej Ivy.

– Ale o tym myśleliście – odparowała Aïda z uśmiechem.

Dinah uderzyła otwartą dłonią w stół. Przez chwilę siedziała nieruchomo, zacisnąwszy kurczowo powieki, po czym wstała i wyszła.

– Najwyraźniej brakuje jej samodyscypliny albo inteligencji, żeby zapanować nad swoją agresją! – zadrwiła Aïda.

– To właśnie był pokaz samodyscypliny – zauważyła Tekla. – Inaczej mogłaby cię zabić. Widzisz, Aïdo, co innego o czymś myśleć, a co innego to zrobić. Właśnie do tego potrzebna jest dyscyplina.

– Co dokładnie masz na myśli, moja droga, kiedy mówisz o dyscyplinie? – zaciekawiała się Moira. – Bo ja staram się to zrozumieć w kontekście genetycznym. Umiem znaleźć marker odpowiedzialny za mukowiscydozę; nie wiem, czy potrafię zrobić to samo z dyscypliną.

– Niektóre rasy są zdyscyplinowane – odparła Tekla. – Inne nie. To fakt. Japończycy są bardziej zdyscyplinowani od... Włochów.

I posłała Aïdzie spojrzenie, które inną osobę sparaliżowałoby na siedząco, ale Aïda tylko zaniósła się śmiechem.

– Zapominasz o legionach rzymskich, ale proszę bardzo, mów dalej.

– Mężczyźni są bardziej zdyscyplinowani od kobiet. To fakt. Więc muszą być od tego odpowiednie geny.

Znów zapadło przedłużające się milczenie, tym razem przerwane przez Luisę:

– Zaczynam dostrzegać zupełnie nieznanne mi dotąd aspekty twojej osobowości, Teklo.

– Możesz mówić, że jestem zła. Możesz mnie nazwać rasistką. Wiem, co powiesz: to wszystko wyszkolenie. Kultura. Ja się nie zgadzam. Jeśli nie czujesz bólu, nie reagujesz na niego. I jeszcze hormony.

– Co „hormony”, najdroższa? – zainteresowała się Moira. Jej czułość

w stosunku do Tekli rzuciła się w oczy i napięcie trochę opadło.

– Wszyscy wiemy, że kiedy hormony odpowiednio się ułożą, emocje mają ogromny wpływ. A kiedy indziej mniejszy. To genetyka.

– Albo epigenetyka. Tak naprawdę tego nie wiemy.

– Nieważne. Chodzi mi o to, że setki lat życia w blaszanych puszkach wymagają dyscypliny. Nienarzuconej. Wewnętrznej. Jeżeli twoje laboratorium może nam to ułatwić, to powinniśmy to wykorzystać.

– Nie podjęliśmy sugestii Ivy, że to inteligencja może być kluczowa – przypomniała Luisa.

– To prawda. – Ivy zerknęła znacząco na Aïdę. – Przeszkadzono mi.

Aïda zakryła usta dłonią i zaśmiała się teatralnie.

– Jeżeli naprawdę zamierzamy uchylić drzwi prowadzące do genetycznego ulepszania naszego potomstwa – ciągnęła Ivy – to wydaje mi się oczywiste, że powinniśmy skupić się na cesze, która przebija wszystkie inne. Taką cechą jest, naturalnie, inteligencja.

– Co rozumiesz przez to, że przebija wszystkie inne? – zainteresowała się Luisa.

– Człowiek inteligentny dostrzeże potrzebę dyscypliny. Albo agresji. Albo ani jednej, ani drugiej. Osobiście uważam zdolności adaptacyjne umysłu ludzkiego za dostateczne, żeby z czasem wykształciły się typy człowieka opisywane przez Camilę, Aïdę i Teklę. Jednakże decyduje o tym to, co odróżnia nas od zwierząt: nasz mózg.

– Są różne rodzaje inteligencji – powiedziała Luisa.

Ivy pokręciła leciutko głową.

– Czytałam o inteligencji emocjonalnej i innych takich... W porządku. Rozumiem. Ale wy dokładnie wiecie, o co mi chodzi. I wiecie, że to się dziedziczy. Wystarczy zajrzeć do archiwów akademickich. Albo obejrzeć wyniki testów Żydów aszkenazyjskich.

– Zważywszy że jestem Żydówką sefardyjską – odezwała się Luisa – mam mieszane uczucia.

– Liczy się to, że potrzebujemy mózgów. Nie jesteśmy już myśliwymizbieraczami. Jesteśmy jak pacjentki oddziału intensywnej opieki medycznej. Przy życiu nie trzymają nas brawura, sprawność fizyczna ani inne zalety cenione w społeczności jaskiniowców, tylko fakt, że opanowałyśmy skomplikowane umiejętności i technologie. Fakt, że jesteśmy technicznymi maniakami. Musimy płodzić więcej takich

maniaków. – Spojrzała Aïdzie prosto w oczy. – Dopominasz się o realizm. Zarzucasz jej – skinęła głową w stronę Julii – i jej ludziom, że szafowali prostymi rozwiązaniami, zamiast stawić czoło faktom. W porządku. Ja właśnie daję ci fakty. Jesteśmy maniaczkami techniki. Bądźmy w tym dobre.

Aïda pokręciła głową.

– Całkowicie pomijasz czynnik ludzki – wytknęła drwiąco. – To dlatego jesteś złą przywódczynią. To dlatego zastąpiono cię Markusem, kiedy rządili mądrzejsi od ciebie. I to dlatego dziś jesteśmy tutaj.

– Całe, zdrowe i bezpieczne – odparła Ivy – w przeciwieństwie do ludzi, którzy poszli za tobą. Wszyscy umarli.

– Oni umarli, a ja żyję i już wiem, jak to będzie wyglądało: zamkniecie mnie w miniarce i każecie rodić mutanty, które następnie będziecie mi zabierały. – Aïda wybuchnęła płaczem.

– Ma to, co ja – powiedziała Julia. – Tylko gorzej. Dostrzega wiele możliwych konsekwencji, które w obecnej sytuacji są najczęściej ponure. I działa stosownie do nich.

– Cóż za niezwykły pokaz introspekcji, Julio – odezwała się Moira.

– Nie masz pojęcia, do jakiej introspekcji jestem zdolna. Większość życia spędziłam pogrążona w depresji. Kiedyś brałam na nią leki, ale przestałam. Przestałam, bo doszłam do wniosku, że mnie ogłupiają, a wolałam być nieszczęśliwa niż głupia. Jestem, jaka jestem.

– Depresja jest w pewnym stopniu determinowana genetycznie. Chcesz, żebym usunęła ją z genomów twoich dzieci? – spytała Moira.

– Słyszałaś, co powiedziałam. Znasz moją decyzję: postanowiłam cierpieć w imię większego dobra. Bo społeczeństwo zbłądzi na manowce, jeśli zabraknie mu ludzi, którzy tak jak ja wyobrażają sobie wiele możliwych scenariuszy. Niech rozgrywają te scenariusze w głowach; niech przewidują najgorsze; i niech podejmują kroki zaradcze. Jeżeli ceną za to, za umysł pełny mrocznych wizji, ma być cierpienie jednostki, to niech tak właśnie będzie.

– I swoim dzieciom też byś tego życzyła?

– Oczywiście, że nie. Gdyby dało się mieć jedno bez drugiego, dalekowzroczność bez bóleści, nie wahałabym się ani chwili.

– Byle nie przesadzić – ostrzegła Tekla. – Za dużo ludzi z taką mentalnością i mamy Związek Radziecki.

– Mam czterdzieści siedem lat – przypomniała jej Julia. – Urodzę co najwyżej jedno dziecko, i to tylko jeśli szczęście mi dopisze. A wy możecie produkować potomstwo regularnie przez najbliższe dwadzieścia lat.

– To wprost niesamowite, że w tak krótkim czasie zdołałyśmy to sprowadzić do kwestii rywalizacji! – jęknęła Camila. – Przepraszam, że poruszyłam ten temat.

Donośne stukanie zwróciło uwagę wszystkich kobiet. Zgodnie odwróciły się w stronę okna.

Nie było duże, miało wielkość płaskiego talerza. Przez trzy lata zakopane głęboko w lodzie zostało zupełnie zapomniane, teraz jednak roztaczał się z niego wyraźny (i cokolwiek oszałamiający) widok na całą okolicę.

Za oknem, przypięta karabinkiem do wirującego torusa, znajdowała się Dinah; włożyła skafander próżniowy i wyszła na zewnątrz. Widząc, że zwróciła ich uwagę, podniosła rękę i przylepiła do szkła niewielki przedmiot: grudkę gliny z przewodami i jakimś elektronicznym gadżetem. Wcisnęła guzik na gadżecie, który rozpoczął dziesięciominutowe odliczanie wsteczne.

Aïda zanosła się śmiechem i zaklaskała z entuzjazmem.

– Co ona wyrabia? – zdumiała się Julia.

– To ładunek burzący – wyjaśniła Ivy. – Za dziesięć minut zabije nas wszystkie, jeżeli Dinah wcześniej nie odklei go od szyby.

Odwróciła się do zebranych w pokoju kobiet.

– Ale o co jej chodzi? – dopytywała się Julia.

– Moja przyjaciółka próbuje nam chyba dać do zrozumienia, że jeżeli w ciągu dziesięciu minut nie uzgodnimy stanowiska, to rodzaj ludzki nie zasługuje na przetrwanie – powiedziała Ivy.

Przez jakieś pół minuty nikt się nie odzywał.

– A może zrobimy tak – zaproponowała w końcu Moira. – Każda z nas powie, co chciałyby zrobić ze swoimi jajeczkami. – Nikt nie oponował, mówiła więc dalej: – Żebyśmy się dobrze zrozumiały: jeśli to jakaś regularna choroba, zdefiniowana i opisana w fachowej literaturze, to ją naprawię. Bez rozróżniania na zaburzenia fizyczne i psychiczne. Bez względu na to, ile takich przypadłości was trapi, naprawię je wszystkie, zanim zrobimy następny krok. Ale – Moira uśmiechnęła się i podniosła

dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym – kiedy już się z tym uporam, każda z nas dostanie jedną za darmo.

– Jedno co? – zaciekawiła się Tekla.

– Jedną modyfikację. Jedno ulepszenie. Każda z nas wybierze sobie jakąś cechę, a ja wprowadzę ją do genomu zapłodnionego jaja, z którego rozwinię się jej dziecko. I tylko jej. Nikt nie będzie niczego narzucał pozostałym. Jeżeli zatem ty, Camilo, uważasz, że ludzkość będzie się lepiej rozwijała bez agresji, proszę bardzo: przejrzy źródła medyczne w poszukiwaniu genetycznego rozwiązania tego problemu. To samo dotyczy was wszystkich i waszych pomysłów na ulepszenie rodzaju ludzkiego. Wasze dziecko, wasz wybór.

Przemyśliwały nad jej słowami, od czasu do czasu zerkając po sobie, próbując wysondować reakcje innych.

Ivy spojrzała na zegar za oknem.

– Jakież pytania? Zostało osiem minut.

– Nie potrzebujemy chyba aż ośmiu minut – odparła Luisa.

Ivy spojrzała po kolei każdej z kobiet w oczy, a następnie odwróciła się do okna i dała Dinah znak podniesionym kciukiem.

Oczy Dinah – widoczne przez szkło okna i osłonę hełmu – zerknęły na dłoń Ivy. Skinęła głową.

Moira z uśmiechem pokazała podniesiony kciuk.

Potem Tekla. Luisa. Camila. Julia.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na Aïdzie. Nie patrzyła im w oczy. W gruncie rzeczy była bardzo nieśmiała.

– Jak sobie chcecie – wymamrotała.

– Dinah musi zobaczyć, jak zagłosowałaś – upomniała ją Ivy.

– Poważnie? Chcesz powiedzieć, że mogę w pojedynkę zgładzić ludzkość? Wystarczy, że przez najbliższe siedem minut nie pokażę jej uniesionego kciuka?

Tekla wyjęła scyzoryk z kieszeni kombinezonu i rozłożyła ostrze. Trzymając go nisko, na wysokości kolan, udawała, że czyści sobie paznokcie.

– Jeśli tego nie zrobisz – powiedziała – to liczebność rasy ludzkiej nagle spadnie z ośmiu do siedmiu i podejmiemy decyzję jednogłośnie.

Uśmiechnięta Aïda wyciągnęła przed siebie rękę. Kciuk miała zwrócony ku dołowi.

– Ogłaszam klątwę – powiedziała.

Luisa sapnęła z irytacją.

– Nie ja jestem jej autorką – ciągnęła Aïda. – I nie nakładam jej na wasze dzieci, o nie. Bo wcale nie jestem taka zła, za jaką mnie uważacie. Ta klątwa jest waszym dziełem i zostanie rzucona na moje dzieci, z powodu tego, co przed chwilą postanowiliście. Ponieważ ja wiem. Wiem, jak będzie. To ja jestem ta zła. Ta niepokorna. Kanibalka. Moje dzieci, bez względu na mój wybór, będą się zawsze różniły od waszych. Nie miejcie bowiem złudzeń: wasza decyzja oznacza stworzenie nowych ras. Siedmiu nowych ras ludzi, które na zawsze pozostaną odrębne i różne, tak jak ty, Moiro, różnisz się od Ivy. Nigdy nie połączą się w jeden rodzaj ludzki, bo to nie leży w naturze człowieka. Upłyną tysiące lat, a potomkowie waszej szóstki będą patrzyli na moich potomków i mówili: „Spójrzcie tylko, oto dziecko Aïdy. Kanibal. Zły. Przeklęty”. Będą przechodzili na drugą stronę ulicy, żeby nie spotkać się z moimi dziećmi. Będą na ich widok pluli na ziemię. Oto skutki waszej decyzji. Ja zaś ukształtuję swoje dziecko, a raczej dzieci, bo zamierzam ich mieć bardzo dużo, w taki sposób, żeby nie ugięły się pod waszą klątwą. Żeby przetrwały. I żeby zwyciężyły.

Powiodła spojrzeniem po całym pomieszczeniu, zaglądając w oczy wszystkim kobietom po kolei, po czym wyjrzała przez okno i wbiła wzrok w twarz Dinah.

– Oto klątwa – powiedziała i powoli obróciła dłoń, aż jej kciuk zwrócił się ku górze.

* * *

Dina odkleiła ładunek od szyby. Nie miała pojęcia, co powiedziała Aïda – i szczególnie ją to interesowało. Pewnie jak zwykle odegrała jakąś swoją komedię. Cała Aïda.

Zostało jeszcze kilka minut do końca odliczania. Mogłaby po prostu wyłączyć zegar, ale postanowiła się przespacerować. Cokolwiek wydarzyło się przed chwilą w Bananie, wyglądało niesympatycznie, a ona miała dość siedzenia w zamknięciu z tymi ludźmi – nawet z tymi spośród nich, których uwielbiała. Nie odczuwała pokusy, żeby do nich

wrócić.

Odpięła karabinek i uwolniła się od leniwie obracającego się torusa. Siła rozpędu poniosła ją w kierunku ściany wąwozu. Przyzwyczajona do poruszania się w nieważkości Dinah zdążyła wykręcić powolne salto w locie, dotknęła ściany stopami i zamortyzowała impet zderzenia, po czym włączyła elektromagnesy w butach i ruszyła pionowo do góry – chociaż przy tak słabym ciężeniu określenia kierunków były cokolwiek arbitralne: wchodzenie „pionowo do góry” po urwisku niewiele się różniło od „chodzenia po płaskim” dnie szczeliny.

Wbudowane w hełm głośniki brzęknęły melodyjnie, sygnalizując nawiązanie połączenia głosowego. Ivy.

- Wybierasz się na spacer?
- Owszem.
- Posłuchaj, właśnie coś sobie uświadomiłyśmy...
- Tak?
- Zagłosowałyśmy wszystkie... oprócz ciebie.
- Rzeczywiście, słuszna uwaga.

Dinah spojrzała na zegar. Odczytanie jego wskazań stało się nieco trudniejsze, zbliżała się bowiem do linii terminatora – ostrej jak nóż granicy między słońcem i cieniem – i jasna ściana szczeliny nad jej głową odbijała się w ekraniku. Przekrzywiła go i stwierdziła, że licznik właśnie wkracza w ostatnie sześćdziesiąt sekund.

- Ale to nie problem, mam jeszcze minutę na podjęcie decyzji.
- Chcesz wiedzieć, co ustaliłyśmy?
- Ufam ci. Ale dobrze, powiedz.
- Wszystkie chcemy, żeby nasze dzieci były takie jak ty, Dinah.
- Bardzo śmieszne.

Dinah przekroczyła terminator. Wzeszło słońce. Wolną ręką spuściła na twarz osłonę przeciwsłoneczną hełmu.

- Moira już nad tym pracuje – dodała Ivy.
- To dlatego Aïda tak dramatyzuje?
- Właśnie.

Trzydzieści pięć sekund.

- Co naprawdę postanowiłyście?
- Jedna darmowa zmiana genetyczna dla każdej mamuski.
- Serio? I co zrobisz? Wyprodukujesz superinteligentne wredne

abstynenckie sucze?

– Skąd wiedziałaś?

– Intuicja.

– A ty, Dinah?

W głosie przyjaciółki Dinah wychwyciła oznaki zdenerwowania. Spojrzała w głąb szczeliny, zobaczyła kolebkę ludzkości bezradnie przyspawaną do gruntu... i wyobraziła sobie, że zrzuca na nią swój ładunek wybuchowy, jak mściwa bogini ciskająca piorun.

Myślała o Markusie. O dzieciach, które powinna z nim mieć. Jakie by były?

Czasem zachowywał się jak skończony palant, ale umiał nad tym zapanować.

Nagle zdała sobie sprawę, że to wcale nie przez Aïdę trzasnęła dłonią w stół i wzburzona wybiegła z Banana. Owszem, Aïda zachowywała się prowokacyjnie, ale znacznie bardziej wkurzyło ją narastające napięcie, które zaczęło się od Camili i jej uwag na temat agresji – uwag, które teraz Dinah zinterpretowała jako wymierzone nie w nią, lecz właśnie w Markusa. Miała ochotę złapać Camilę za kark, posadzić przed monitorem i kazać jej oglądać ostatnie minuty jego życia.

Markus był bohaterem, tymczasem Camila zamierzała pozbawić ludzkość bohaterów. Ujęła to w kategoriach agresji, ale czyniąc to, sama była agresywna – agresywna w ten paskudny, niby-bierny sposób, którego Dinah (zważywszy na jej wychowanie) nie mogła postrzegać inaczej niż jako wredny i podstępny. I który ostatecznie bywał bardziej niszczycielski niż prawdziwa, nieskrywana agresja.

Właśnie to tak ją wkurzyło, że musiała wyjść ze spotkania.

– Dinah? – ponagliła ją Ivy.

– Wyhoduję rasę bohaterów – zapowiedziała Dinah. – Pierdolę Camilę.

– Zapowiada się... ciekawie: rasa bohaterów i setki lat w zamkniętej przestrzeni.

– Markus to potrafił. Był draniem, ale miał swój kodeks. Jak rycerze.

Dinah podrzuciła ładunek do góry.

– Czy to znaczy, że właśnie zagłosowałaś „tak”?

– Absolutnie – przytaknęła Dinah, śledząc wzrokiem ginący wśród gwiazd gadzecik. Czerwona dioda LED lśniła jak rubin.

– Jesteśmy jednomyślnie – obwieściła Ivy.

Dinah domyśliła się, że Ivy przemawia na użytek wszystkich kobiet w Bananie.

Jednomyślne, powtórzyła w duchu. Po raz pierwszy i zarazem ostatni.

Czerwone światełko skurczyło się do rozmiarów łebka szpilki. Jak Mars, pomyślała, tylko jaśniejsze i bardziej wyraziste. A potem światełko bezgłośnie przeobraziło się w kulę żółtego światła, która rozlewała się coraz szerzej i stopniowo gasła.

Część trzecia

Pięć tysięcy lat później

Kath Dwa obudziły plamy pomarańczoworóżowego światła hasające po napiętej tkaninie nad jej głową. Prastary instynkt, zrodzony na sawannach Starej Ziemi, zinterpretował je jako zagrożenie: przemykające po materiale cienie mogły należeć do krążących wokół namiotu drapieżników. Podczas trwającego pięć tysięcy lat Kamiennego Deszczu instynkt ten pozostawał uśpiony i nieprzydatny, ale tu i teraz, na powierzchni Nowej Ziemi, gdzie zaczynały się pojawiać zwierzęta dostatecznie duże i inteligentne, żeby zagrażać człowiekowi, znów nie dawał mu spokojnie spać.

Jej ręka drgnęła mimowolnie, jak to się czasem zdarza, kiedy w półśnie nie wiemy do końca, czy naprawdę poruszamy naszymi członkami, czy tylko nam się to śni. Przyszło jej do głowy, że może chciała sięgnąć pod poduszkę po broń, ale wybudziwszy się do końca, stwierdziła, że wcale nie poruszyła ręką. Przez cienką wyściółkę pod głową wyraźnie wyczuwała twarde zarysy katapuły.

Przez ten czas stało się oczywiste, że cętki na namiocie nie mają nic wspólnego z dużym drapieżcą. Były zbyt rozdrobnione i ruchliwe, nawet ptaki się tak nie poruszały. Ich migotanie i wirowanie wyglądało tajemniczo, ale kolor podpowiadał, że słońce już wstało. To zaś oznaczało, że trochę zasnęła i groziło jej przegapienie porannej bryzy, która mogłaby ją wynieść pod niebo.

Wyczołgała się z namiociku. Nadal czuła w mięśniach nóg trudy wczorajszej wędrówki, co było nieco zaskakujące; myślała, że jest dobrze przygotowana – ale nawet w największym orbitalnym siedlisku nie dało się bez końca zbiegać w dół. Co innego na prawdziwej planecie: tam mogłaby całymi dniami wytracać wysokość. A to właśnie długie zbieganie okazało się zabójcze dla nóg. Wczoraj wytraciła niemal dwa tysiące metrów, zszedłszy z pasma wzgórz w stronę wypełnionego błękitną wodą krateru o średnicy trzydziestu kilometrów. Zatrzymała

się parę kilometrów od jego krawędzi, w miejscu, gdzie teren opadał ku rozległym łąkom. Zmiana kąta nachylenia stoku była nieznaczna, ale pulsowanie w kolanach nie pozostawiało wątpliwości. Kath Dwa zeszła dwadzieścia kroków niżej, próbując oszacować pochyłość obolałymi stopami, całymi w pęcherzach; wyczuć prądy powietrzne na wargach, we włosach, na wnętrzach dłoni. Zawróciła i powlokła się z powrotem do punktu przegięcia zbocza, który byłby zupełnie niewidoczny, gdyby dzień wcześniej nisko stojące wieczorne słońce nie musnęło go ostro zarysowaną linią terminatora.

Przepływając ponad załamaniem terenu, powietrze się rozrzedzało. Wczoraj, gdy wieczorne podmuchy dogorywały, stopień tego rozrzedzenia był niewielki, ale Kath Dwa wiedziała, że rano, gdy po wschodzie słońca powietrze zacznie czmychać przed jego ciepłem, będzie znacznie wyraźniejszy. Dlatego tu właśnie zrzuciła plecak i rozbiła obóz.

Widziała już teraz, że źródłem cętkowanego oświetlenia namiotu jest słońce mieniące się na falach rozpostartego w dole jeziora. Sto metrów od niej jego promienie prześwietlały gałęzie drzew, które pomału zaczynały się kołysać poruszone porannym wietrzykiem. Ich cichy szelest brzmiał jak oddech śpiącego kochanka.

Schyliła się, wyjęła katapultę spod worka na pranie, którego używała zamiast poduszki, i poczuła, jak urządzenie wibruje jej w dłoni, rozpoznawszy odcisk palca. Przeszła kawałek dalej, rozejrzała się uważnie (prawdę mówiąc, nie miała najmniejszej ochoty używać katapulty), po czym przykucnęła i oddała mocz na największym skrawku odsłoniętej przestrzeni. Dopiero w ostatnich kilkudziesięciu latach ekosystem dojrzał na tyle, że TerReForm – jej pracodawca – uznał za stosowne wprowadzić doń zwierzęta drapieżne, a to zawsze była loteria. Jeśli wierzyć przekazom z dawnych czasów, w stabilnych ekosystemach na Starej Ziemi ewoluujące drapieżniki i ich ofiary osiągnęły coś na kształt stanu równowagi; w nowych ekosystemach, odtworzonych na Nowej Ziemi, nic nie było pewne. Nie można było zakładać, że w tej akurat okolicy drapieżcy najadają się do syta – zresztą nawet gdyby się najadali, i tak mogliby uznać Kath Dwa za kuszące urozmaicenie diety.

Kath Dwa należała do Zwiadu. Kwestia tego, czy w związku z tym

zaliczała się do personelu wojskowego, czy nie, była niemal równie złożona jak najbardziej skomplikowane problemy teologiczne. Jednakże bez względu na to, czy ktoś postrzegał Zwiad jako korpus stricte naukowy, a jego związki z wojskiem (wymuszone wygodą logistyczną i potrzebami chwili) jako luźne i przelotne, czy raczej jako elitarny oddział rozpoznawczy, ściśle współpracujący ze Zjadaczami Węży, jego oficjalna rola polegała na obserwowaniu i informowaniu o rozwoju ekosystemu Nowej Ziemi – nie zaś na zabijaniu zwierząt, których stworzeniu i przeniesieniu rasy ludzkiej poświęciły tak wiele sił i środków. Podczas dwutygodniowego pobytu na powierzchni przyzwyczała się do katapuły i przestała uważać za niezwykle fakt, że jest uzbrojona, ale świadomość, że dzisiaj wraca do domu, kazała jej spojrzeć na ten okres oczami wyrafinowanych mieszczuchów, wśród których wkrótce się znajdzie. Z perspektywy pierścienia mieszkalnego będzie się wydawało niewiarygodne, że jeszcze całkiem niedawno Kath Dwa przebywała w miejscu, gdzie nie można się spokojnie wysikać, nie rozejrzawszy się uprzednio, i gdzie lepiej nie wychodzić na dwór bez broni.

Podczas tych paru minut, które upłynęły od jej przebudzenia, rozmigotane światło przybrało cieplejszy, złotobrazowy odcień. Rozpościerający się przed nią widok składał się z niezwykle złożonych i nieprzewidywalnych zjawisk – drobna fala na jeziorze, kształty przybrane przez gałęzie drzew przez te mniej więcej sto lat, jakie upłynęły od posiewu, kiedy to kapsuły spadały z nieba, toczyły się jak rzucone kości wśród miriadów odłamków pozostałych po Kamiennym Deszczu, aż znalazły punkt zaczepienia w przygotowanych przez żywiące się minerałami mikroby szczelinach skalnych. Gałęzie i liście reagowały na podmuchy wiatru, które same były przypadkowe i burzliwe w stopniu niemożliwym do ogarnięcia przez ludzki umysł. Zadumała się nad faktem, że mózg człowieka (podobnie jak właściwie każdego większego zwierzęcia, prawdę mówiąc) dostosował się do życia w takich właśnie środowiskach, pobudzany tak ogromnie złożonymi bodźcami. Przez ostatnie pięć tysięcy lat ludzkie umysły musiały się obchodzić bez takiej pożywki. Próbowano stymulacji komputerowej. Budowano siedliska dostatecznie duże, by pomieścić w nich – i utrzymać – lasy i jeziora. Tyle że natura symulowana to nie natura. Kath Dwa

zastanawiała się, czy ludzki mózg zmienił się przez ten czas i czy człowiek jest przygotowany na efekty swoich działań na Nowej Ziemi.

A potem – jak na moirankę przystało – zaczęła się zastanawiać, czy to wszystko może mieć coś wspólnego z faktem, że zasnęła. Jej poprzednie misje w Zwiadzie były krótkie, kilkudniowe, w dodatku zwykle wysyłano ją do słabiej rozwiniętych biomów, na rubież rejonu działań TerReFormu, gdzie dopiero niedawno dokonano posiewu i gdzie oko, ucho i nos nie napotykały aż takiej różnorodności. Za to ta misja trwała dostatecznie długo, żeby zmienić Kath Dwa.

Ewa Moira, dziecko Londynu, była zafascynowana światem natury, ale bardziej pociągało ją miasto. Kath Dwa również spojrzała ku jasnym światłom wielkiego miasta. W tym wypadku wymagało to zadarcia głowy i zapatrzenia się na niebo.

Poprzedniego dnia, prawie bezwietrznego i przy zachmurzonym niebie, trudno byłoby jej znaleźć i zgromadzić energię niezbędną do powrotu. Jednakże w nocy sytuacja uległa zmianie. Powietrze drgnęło. Wiatr był na razie za słaby, jeszcze nie czuła jego muśnięć na policzkach, ale już poruszał liśćmi w koronach drzew i kolebał ciężkie łby wysokich traw. W górze musiało wiać mocniej, bo wczorajsza powłoka chmur została poszarpana na strzępki i pasemka, fioletowoszare od spodu i różowopomarańczowe od strony wschodniej, a niebo pomiędzy nimi było całkowicie bezchmurne i nadal wystarczająco ciemne, żeby dało się na nim dostrzec kilka gwiazd i planet; na południu (Kath Dwa znajdowała się na półkuli północnej) widniał równiutki pierścień błyszczących punkcików, strzelający ponad wschodni widnokrąg, rozpięty na kopule nieba i ginący w cieniu świata na zachodzie. Widziała niemal połowę z dziesięciu tysięcy tworzących pierścień siedlisk. Daleko na wschodzie, tuż nad horyzontem, znajdował się wyjątkowo duży świetlny punkt, jak zapinka w naszyjniku: kolosalna konstrukcja zwana Okiem, w tej chwili zawieszona nad Atlantykiem.

Najwyższy czas tam wrócić.

Wieczorem rozbiła swój mały namiocik na płaskim spłachetku trawy w pewnej odległości od krawędzi stromizny, na której wkrótce wiatr będzie się zakrzywiał. Teraz zwinęła obóz, ostatni raz zarzuciła plecak na ramię i przeniosła go na upatrzone wcześniej załamanie zbocza. Pstryknęła klamrą pasa biodrowego i zrzuciła pakunek na ziemię.

Do rozłożenia pozbawionych powietrza skrzydeł i konstrukcji ogona wystarczyły dwa szybkie kopniaki. W zawiniątku znajdowały się jeszcze dwa mniejsze przedmioty: pompka nożna i twarda kula, nieco większa od głowy Kath Dwa.

Przez kilka minut nadeptywała pompkę. Z rozpostartej tkaniny poznikały zmarszczki, a cała konstrukcja zaczęła przypominać szybowiec.

Słońce wzniosło się nad przeciwległą krawędź krateru. Czubki skrzydeł zaczęły chłonać jego energię i przekazywać ją do wbudowanych pomp powietrza, mających usztywnić skrzydła i ogon w stopniu nieosiągalnym dla siły ludzkich mięśni.

Ubrała się. W tym celu musiała się najpierw rozebrać – i zmarznąć, cieszyła się więc, że przy pompowaniu trochę się rozgrzała.

Twarda kula była szklanym bąblem z otworem dostatecznie dużym, żeby pomieścić głowę Kath Dwa – na razie jednak wypełniał ją kłęb szarej tkaniny. Wyjęła go i rozłożyła na trawie. Kawał materiału był równie długi, jak ona wysoka. W środku znajdował się półsztywny lejek zaopatrzony w paski przy górnej krawędzi, w lejku zaś tkwiły kolejne dwa obiekty. Pierwszy z nich był malutki – ot, zwykła pigułka, która na dobę powstrzyma działanie jelit. Połknęła ją. Drugim był ciężki i nieprzyjemnie zimny worek wypełniony żelazem. Odgryzła jego rożek i rozsmarowała żel po całym ciele, wzdragając się pod jego zimnym dotykiem. Był to środek zmiękczający, ponoć niezwykle wyrafinowany. Miał oficjalną nazwę, wszyscy jednak nazywali go kosmosmarem. Nie sprzedałby się jako kosmetyk: ciążył jej na skórze, prawie czuła, jak zatyka pory.

Lejek z paskami był przeznaczony do odbierania moczu. Naciągnęła go i zapięła paski powyżej kości miednicy. Zwisająca z lejka krótka rurka łaskotała ją od wewnątrz w udo.

Podniosła szarą tkaninę z ziemi. Był to jednoczęściowy siatkowy kombinezon z otworem przy szyi, utkany z niemal mikroskopijnych gźów – prościutkich robotów zaopatrzonych w trzy wypustki i umiejących niewiele poza tym, że trzymały się za ręce z sąsiadami. Nie dałoby się go włożyć, gdyby nie fakt, że porozumiewające się uproszczonym językiem gzy mogły rozciągać lub kurczyć siatkę w zgodzie z narzuconym im wspólnie programem.

Włożyła obie ręce w otwór szyjny i pociągnęła w przeciwnych kierunkach. Rozpoznawszy gest, gzy się rozluźniły i otwór poszerzył się na tyle, żeby zdołała włożyć weń najpierw jedną stopę, a potem drugą. Wymagało to dobrego zmysłu równowagi, którym – na szczęście – była obdarzona. Zresztą zapobiegliwie stanęła na ręczniku, który zawczasu rozłożyła na trawie. Typowym błędem przy wkładaniu skafandra była utrata równowagi i postawienie nogi na ziemi albo, co byłoby jeszcze gorsze, przewrócenie się: ziemia, kamyki i gałązki natychmiast lgnęły do kosmosmaru.

Kath Dwa bez przeszkód naciągnęła skafander. Odszukanie w nim nogawek, a potem wypustek na poszczególne palce stóp, jak zwykle przypominało scenę ze slapstickowej komedii, ale kiedy wciągnęła wdzianko powyżej pupy, mogła usiąść i po kolei poutykać palce we właściwe miejsca. Następnie sięgnęła w głąb workowatych na razie nogawek i połączyła rurkę do odprowadzania moczu z odpływem po wewnętrznej stronie prawego uda. Na ten sygnał tkanina opięła ją ciaśniej: obcisłość propagowała się falą od stóp przez kolana, uda i pośladki, aż zatrzymała się na wysokości talii. Kath Dwa podciągnęła skafander wyżej, wcisnęła weń barki i włożyła palce rąk w rękawiczki na końcach rękawów. Reagując na jej ruchy, skafander opinał ją całą, aż pozostawił jej odrobinę luzu tylko przy szyi.

Wyjawszy z hełmu sztywny kołnierz opatrzony z jednej strony zawiasem, z drugiej zaś zapadką, nałożyła go sobie na szyję i obciągnęła materiałem skafandra, który samoczynnie usztywnił i uszczelnił połączenie. Od szyi w dół była w tej chwili odziana w szary materiał, tak ściśle otulający jej ciało, że widziała ścięgna na wierzchach dłoni, sutki reagujące na poranny chłód i małe dolinki w miejscach, gdzie paznokcie oddzielały się od macierzy.

Nie chciała jeszcze wkładać hełmu. Przez dłuższy czas nie będzie miała okazji odetchnąć powietrzem Nowej Ziemi. Natura naukowca zmagająca się w niej z inną, głębszą warstwą jej istoty, wspólną wszystkim ludzkim rasom i pragnącą widzieć piękno i celowość we wszystkim, co „naturalne”. Dobrze wiedziała, co by powiedział Doc (albo każdy inny ivyn), gdyby umiał czytać w jej myślach. Jezioro, które widzisz w dole, powstało w ten sposób, że bombardowaliśmy martwą Ziemię jądrami kometarnymi tak długo, aż nasiąkła wodą. Powietrze, którym

oddychasz, zostało wytworzone przez organizmy, które zmodyfikowaliśmy genetycznie i rozsialiśmy po całej planecie, a gdy spełniły swoją rolę, wybiliśmy je co do jednego. Źródłem ostrej woni, która tak ci się podoba, jest roślinność, która przez lata istniała wyłącznie w postaci ciągów zer i jedynek przechowywanych na pendrivie, który twoja Ewa nosiła na łańcuszku na szyi.

Wszystko to nie zmieniało faktu, że naprawdę jej się tu podobało.

Wiatr się jednak wzmaczał i szybowiec szarpał się i dygotał na ziemi. Był dostosowany do przenoszenia minimalnego ładunku i sam by daleko nie zaleciał, ale gwałtowny podmuch mógł ponieść go w dal.

Zaniepokojona nagłym poruszeniem wyciągnęła rękę i otwartą dłonią piasnęła górną powierzchnię prawego skrzydła, mniej więcej na wyciągnięcie ręki od jego końcówki.

Poczuła własny dotyk na górnej powierzchni prawego przedramienia. Kawałek skóry oddalony od nadgarstka na długość palca zamrowił ją, gdy tkanina skurczyła się i odkształciła, tworząc układ zagłębień, który miał wielkość opuszki palca i kształt miniaturowej dłoni. Dłoni Moiry. Za pośrednictwem inteligentnego skafandra skóra Kath Dwa i powłoka szybowca połączyły się we wspólnej matrycy sensorycznej.

To wrażenie nigdy jej się nie nudziło. Przesunąwszy rękę bliżej czubka skrzydła, patrzyła z uśmiechem, jak dłoniokształtne zakłębienie na powierzchni skafandra przemieszcza się w stronę nadgarstka. Podniosła rękę. Zagłębienie zniknęło.

Włożyła hełm i osadziła go na kołnierzu. Oprócz miękko wyściełanego oparcia dla głowy i kopulasto rozsianych po wnętrzu miniaturowych głośników hełm był litościwie pozbawiony wyświetlających się na szkle informacji i innego śmiecia.

W łączącym skrzydła kadłubie znajdowało się gniazdko, w którym ledwie się mieściła. Stanęła okrakiem nad dziobem szybowca, podniosła zgiętą w kolanie nogę i wsunęła ją w wyściełaną, ocieploną rynną mieszczącą całe podudzie. To samo zrobiła z drugą nogą i po chwili klęczała w kokpicie. Przed nią, na poduszce podbrzuszej, leżał spadochron, po złożeniu tworzący niewielki plecaczek. Zarzuciła go sobie na plecy i dociągnęła paski mocujące go w pasie i wokół ud. Pochyliwszy się, oparła ciężar ciała na rękach, ugięła łokcie, jakby szykując się do zrobienia pompki, i opadła na brzuch.

Uzupełniła połączenia: rurkę do sikania spięła z układem odprowadzającym mocz, a wodę pitną doprowadziła do kołnierza. Na razie nie potrzebowała przewodów do oddychania, ale je również wpięła w odpowiednie gniazda, podobnie jak przewód zasilający.

Sięgnęła daleko do tyłu i na wysokości kostek namacała uchwyt eklera. Nie do końca wiedziała, dlaczego tak się to nazywa: był to po prostu liniowy mechanizm zamykający, złożony z kolejnych tępych, wyspecjalizowanych gźów, które unieruchamiały jej ciało we wnętrzu kadłuba, otulone wieloma warstwami marszczonej izolacji. Ciągnąc za uchwyt, czuła, jak elastyczna górna powierzchnia kadłuba opina jej pośladki, przywiera do kręgosłupa i w końcu zamyka się wokół kołnierza. Wystająca na zewnątrz bańka hełmu stała się dziobem szybowca.

Rozłożyła ręce na boki jak ptak rozpościerający skrzydła i wsunęła je w ocieplane tunele, gdzie wygodnie spoczęły na dmuchanych podporach. Przez chwilę miała wrażenie, że jakieś drobne kamyki dostały się na pokład i uwięzły jej pod rękami, ale kiedy jeden z nich się przemieścił, zdała sobie sprawę, że to skafander przeniósł na jej ciało odczucie kamyka leżącego pod skrzydłem.

Ponieważ ocieplenie tłumilo dźwięki, nie dochodziły do niej prawie żadne odgłosy z zewnątrz.

Nie znaczyło to bynajmniej, że nic nie słyszała – słyszała wiatr, chociaż te słowa nie odzwierciedlały dźwiękowego krajobrazu przenoszonego przez matrycę miniaturowych głośników. „Psowaty zwęszył las” oznaczało zupełnie co innego niż „człowiek zwęszył las” – nie dlatego że słowa miały inne znaczenie, lecz dlatego że aparat węchowy psowatych był tysiąckroć czulszy niż ludzki zmysł węchu. Gdyby posłużyć się swobodną analogią, można by powiedzieć, że płynący z głośników trójwymiarowy dźwiękowy portret wiatru przewyższa wszystko to, co słyszałaby bez pomocy pokładowego systemu nagłośnienia, równie dalece, jak węch psi przewyższał ludzki. Zainstalowane na pokładzie lidary sięgały na kilkaset metrów we wszystkich kierunkach, postrzegając i mierząc miriady powietrznych prądów, zaburzeń i wirów. Przetworzenie tych informacji w pełni na dźwięk nie było możliwe, ale to, co Kath Dwa słyszała, w zupełności wystarczało, żeby wiedziała, gdzie chce się znaleźć: tam, gdzie jest

energia. I w tej chwili symfonia tonów, świstów, trzasków i szelestów podpowiadała jej już, że wczoraj intuicja jej nie zawiodła: wiatr wiał w górę od strony jeziora niemal litą falą, kiedy jednak przewalał się przez załamanie stoku, powietrze pędzące po zewnętrznej musiało przyspieszyć, żeby nadążyć za tym przy ziemi. Pojawiał się gradient prędkości pomiędzy wiatrem przy gruncie i na większej wysokości. Bardzo użyteczny gradient.

Jej oczy też nie próżnowały: śledziła wzrokiem dwa ptaki frunące równolegle do stoku, na przemian obniżające lot i wnoszące się wyżej, czerpiące energię z wiatru. Wysoko nad nimi chmury przepowiadały warunki, jakich doświadczy za kilka minut, ale na razie nie musiała się nimi przejmować.

Powiało mocniej. Napór na dolną powierzchnię jej ramion wzmógł się i nagle poczuła, jak cały szybowiec próbuje się oderwać od ziemi. Poruszyła stopami i dłońmi w sposób, który skafander rozpoznał, zinterpretował i przekazał do powierzchni sterujących. W mgnieniu oka szybowiec został skonfigurowany do lotu, wgryzł się w dmuchający z dołu wiatr i wyskoczył w powietrze. Wrażenie uwierania przez kamyki ustąpiło, gdy skrzydła straciły kontakt z gruntem i jedyne odczucia płynące do jej ramion pochodziły już ze skrzydeł czytających opływające je prądy powietrzne. Wzniosła się dostatecznie wysoko, żeby zapewnić sobie margines błędu, po czym zanurkowała i pomknęła równolegle do stoku, przekuwając wysokość w prędkość. Do końca dnia miała uprawiać taką właśnie grę: gromadzić energię, podkradając ją atmosferze, by na koniec odrzucić całą w zamian za wysokość i wznieść się tam, gdzie atmosfera nie sięgała.

Bliżej brzegu jeziora łąka przechodziła w teren zadrzewiony, jeden z bardziej dojrzałych lasów na Nowej Ziemi posiany około stu lat temu, zaledwie kilka lat po podpisaniu Pierwszego Traktatu. Poderwała dziób, prześliznęła się ponad najwyższymi sięgającymi koronami drzew i znów opadła, tym razem ku błękitnym wodom jeziora – roztopionemu jądro komety, którego sztuczne zarybianie i obsiewanie glonami jeszcze się nie skończyło. Na wydane przez nią polecenie głosowe do przemykającej kilka metrów niżej wody opadła cienka rurka, nie grubsza od jej palca. Podczas pierwszego przelotu zebrała dwadzieścia kilogramów wody, czym nieco spowolniła szybowiec, ale po drugiej

stronie jeziora znalazła prąd wznoszący, który wyniósł ją kilkaset metrów wyżej, zanim zrobiła nawrót do drugiego, szybszego przelotu, podczas którego nabrała kolejny solidny haust wody. Ta część lotu wymagała ostrożności, dlatego dobrze się złożyło, że wypadła na samym początku, gdy Kath Dwa była jeszcze wypoczęta. Szybowiec dostatecznie lekki, żeby dało się go nosić na plecach, był zarazem – z konieczności – zbyt lekki, żeby zgromadzić dużo energii kinetycznej; jego niewielka bezwładność ograniczała możliwości późniejszego manewrowania w górnych warstwach atmosfery, gdzie byle zawirowanie powietrza miałooby nim jak piórkiem. Dlatego musiał znacząco przybrać na wadze – w tym właśnie celu nabierał wody z jeziora. Kłopot w tym, że odbywało się to na niedużej wysokości i w locie z niewielką prędkością, co pozostawiało naprawdę wąski margines błędu. Największej ostrożności wymagało kilka pierwszych przelotów, kiedy szybowiec nie ważył prawie nic, dlatego przy każdym nawrocie ponad skrajem jeziora nieśpiesznie i starannie wybierała prądy termiczne, żeby wykorzystać ich moc, ale po godzinie śmigła już nad kraterem jak bombowiec nurkujący, z niewiarygodną pewnością siebie, niosąc w brzuchu i skrzydłach setki kilogramów balastu. Nauczyła się już, gdzie łowić najlepsze prądy powietrzne, które z coraz większym wigorem buchały sponad łąk na zboczach olbrzymiego krateru.

Rozpoczęła właśnie ostatni przelot i już, już miała przeskoczyć nad wierzchołkami pędzących jej na spotkanie przybrzeżnych drzew, gdy wtem zobaczyła człowieka.

Stał nie na odsłoniętym brzegu, lecz wśród drzew na skraju lasu, i najwyraźniej ją obserwował. Miał na sobie (lub miała, z tej odległości trudno było określić płeć) strój maskujący – na pewno nie był to jasny skafander Zwiadu, ale też nie wyglądał jak mundur wojskowy. Jakby wyczuwając, że został zauważony, człowiek cofnął się w głąb lasu. W tym samym momencie Kath Dwa musiała ostro poderwać dziób szybowca, żeby uniknąć zderzenia z drzewami. Była tak zaskoczona, że omal nie spóźniła się z tym manewrem; kilka cienkich gałązek smagnęło brzuch kadłuba, zanim na dobre zostawiła jezioro za sobą.

Na wprost siebie miała szeroką łąkę nachyloną ku słońcu; wiedziała, że to będzie doskonałe źródło energii. Zbliżywszy się do niej na tyle, żeby lidary mogły czytać powietrze, a jej oczy śledzić ruchy ptaków,

ostrym skretem weszła w prąd termiczny. Pierwsze podejście było nieco toporne, bo opierała się tylko na dochodzących do niej dźwiękach, ale gdy zagłębiła się w prąd wznoszący i czubkami palców zaczęła wyczuwać wszystkie jego niuanse, mogła go wykorzystać tak, jak to robiły ptaki.

Po półgodzinie wznoszenia jezioro stało się niebieską tarczą daleko w dole, a przed jej oczami rozpostarły się otwarte tereny na południowym wschodzie, nad którymi wznosiły się charakterystyczne chmury w kształcie grzybów. Oddając nieco wysokości w zamian za odległość, poszybowała niemal w linii prostej, aż złowiła jeden z tych prądów i odnowiła zapas energii. Miała na oku odległy o kilkaset kilometrów łańcuch górski wznoszący się na wschodnim brzegu Oceanu Spokojnego. Ponad nim chmury układały się w długie fałdy równoległe do grani.

Fotokomórki w skrzydłach zgromadziły już dość energii, żeby mogła wysłać w kosmos przekaz impulsowy. Odpowiedź, która przyszła kilka sekund później, wskazywała jej miejsca, gdzie może się spodziewać hangarów na swojej zaplanowanej trasie. Było jeszcze za wcześnie na konkretny plan lotu, ale przynajmniej wykształciła sobie ogólny obraz sytuacji. Poza tym w dobrym tonie było dać znać, gdzie jest i kiedy mogą się jej spodziewać.

W rejonie działało jeszcze około dwudziestu zwiadowców. Liczba ta wydała jej się podejrzanie wysoka, więc dla pewności postanowiła ją sprawdzić. Czekając na potwierdzenie, przepatrywała niebo wokół siebie. Rzeczywiście dostrzegła dwoje z nich.

Po krótkim namyśle wysłała wiadomość głosową do Doca:

– Po powrocie chcę z tobą porozmawiać. Sprawa nie jest pilna, ale ważna.

Odsunęła na bok rozpraszające ją myśli i skupiła się na bieżącym problemie – a mianowicie wykorzystaniu prądów termicznych do przeniesienia się ponad góry, na czekającą tam na nią górską fałę. Zgromadziwszy w szybowcu dość energii (głównie w postaci wysokości), niemal machinalnie kierowała lotem i udawało jej się drzemać nawet dwadzieścia minut bez przerwy.

Prawdę mówiąc, robot z łatwością poradziłby sobie ze wszystkimi zawiłościami takiego lotu i zrobotyzowane szybowce latały nad całą

Nową Ziemią, ale Kath Dwa nie chciała tracić umiejętności na rzecz maszyn, dlatego od czasu do czasu lubiła polatać osobiście. Algorytmy szybowcowe działały, tyle że same z siebie nie mogły się stać jeszcze lepsze: to człowiek musiał je udoskonalać. A w tym celu musiał latać.

Nagle przyśpieszenie obudziło ją z popołudniowej drzemki. Spojrzała z góry na ośnieżone szczyty gór ciągnące się tysiąc metrów niżej. Znalazła górską falę – źródło stałej energii atmosferycznej, przy którym bledły wszystkie prądy termiczne, biegnącą z południa na północ ścianę wznoszącego się powietrza. Gdyby w tym miejscu skręciła na północ, niesiona nią mogłaby dotrzeć chyba aż na biegun, skąd wir polarny wyprowadziłby ją ponad atmosferę. Czekala ją jednak dłuższa droga, na której same skrzydła to za mało, dlatego wykręciła na południe i ustawiła szybowiec w taki sposób, żeby sunął wzdłuż boku fali, wykorzystując ją do wznoszenia się i pędząc przy tym z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Była jak mucha, która załapała się na podwózkę huraganem.

Węzły w dźwiękowej materii informowały ją o innych litych obiektach u góry i na dole, z prawej i lewej strony. Wyławiała je również wzrokiem, gdy podświetlone zachodzącym słońcem kadłuby i skrzydła odcinały się od ciemnofioletowego nieba.

Jeszcze wyżej – wprost niedosiężnie wysoko, a zarazem zaledwie na „niskiej” orbicie okołoziemskiej – znajdowały się większe konstrukcje, poruszające się wolniej, stateczniej, jak wskazówki minutowe olbrzymich zegarów; podłużne struktury opatrzone większymi i jaśniejszymi światłami na końcach. Jedna z nich sunęła po niebie dokładnie na południe od Kath Dwa – na tę była już spóźniona, ale spojrzawszy na zachód, dostrzegła następną, przemierzającą niebo niczym gigantyczna noga ze stopą zwróconą w dół, jakby gotową do postawienia na ziemi. Nie musiała nawet sprawdzać paramów, żeby się zorientować, że to będzie jej hangar, lecz mimo to przeprowadziła obliczenia – po części po to, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia, po części zaś z grzeczności wobec innych jednostek latających w zatłoczonej przestrzeni powietrznej, które również mogły obrać go za cel.

Zanim do niego dotarła, zrobiło się ciemno. Hangar był dużą pustą kapsułą umieszczoną na jednym końcu smyczy, która w tej chwili

sięgała daleko w kosmos; na jej drugim końcu, tysiące kilometrów w górze, znajdował się drugi hangar, zupełnie taki sam, pełniący rolę przeciwwagi. Razem tworzyły bolas, które wirowało wokół wspólnego środka ciężkości i w ten sposób utrzymywało smycz w pozycji napiętej. Bolas krążyło wokół Ziemi jak każdy inny jej satelita; różnica była tylko taka, że wysokość jego orbity i długość smyczy dobrano w taki sposób, żeby przy każdym obrocie (albo, tak jak to wyglądało z punktu widzenia Kath Dwa, przy każdym siedmiomilowym kroku na firmamencie) hangar u dołu nurzał się w górnych warstwach atmosfery, gdzie przez blisko minutę jakby tkwił zupełnie nieruchomo – nieco podobnie do stopy biegacza, która przy każdym kroku po zetknięciu się z podłożem przez chwilę pozostaje z nim w kontakcie, mimo że biegacz porusza się całkiem żwawo. Tak czy inaczej, dolny hangar opadał dostatecznie nisko i poruszał się wystarczająco powoli, żeby szybowiec – rozpędzony impetem górskiej fali do ogromnej prędkości i wyniesiony w najwyższe atmosferyczne rewiry – mógł go doścignąć i się z nim zrównać.

Oczy i uszy podpowiadały jej, że do hangaru zbliża się więcej szybowców. Kilka minut przed lądowaniem w hangarze należało obowiązkowo przełączyć się na autopilota, nową wersję prastarego programu zwanego Parametrykiem, który obsługiwał ostatnią fazę podejścia. Kath Dwa dałaby sobie radę bez jego pomocy – gdyby była sama. Jednakże skoordynowanie lądowania z manewrami mnóstwa innych jednostek było dokładnie takim zadaniem, przy jakim lepiej było się zdać na liczący pięć tysięcy lat algorytm.

Kiedy włączała automatyczne sterowanie, hangar wydawał się jeszcze niewiarygodnie odległy, ale po paru minutach przesłonił pół nieba, niczym poruszający się w zwolnionym tempie meteoryt naszpikowany migającymi czerwonymi światełkami. Przypominał piłkę do rugby; zwężający się dziób i rufa zostały opatrzone lotkami, które stawiały opór rozrzedzonemu powietrzu: odpowiednio regulując ich kąt natarcia, można było stabilizować lot całej konstrukcji. Kath Dwa i pozostałe szybowce zbliżały się do niego od tyłu, wyprzedzając go gwałtownie, gdy on zwalniał niemal do zera.

Większość rufy hangaru zajmował szeroki okrągły wlot, który teraz otworzył się jak źrenica oka albo zawieszona pod niebem czarodziejskie wrota, odsłaniając przestronny, jasno oświetlony pokład. Kath Dwa

widziała światła innych pojazdów wślizgujących się przed nią do kolejki.

Rozświetlony wlot hangaru zrobił się naprawdę olbrzymi, jak zimne słońce, która za chwilę spadnie z nieba. Szybowce jeden po drugim wpadały weń i lądowały z poślizgiem. Z daleka pokład wydawał się poziomy, w rzeczywistości był jednak nachylony lekko ku górze, tak że siadające na nim maszyny wspinały się po lekkiej pochyłości, szybciej wytracając prędkość. Szybowiec Kath Dwa podskoczył dwa razy na pochylni, zanim ta przyjęła jego ciężar, a wtedy ciążenie – prawdziwe i sztuczne – przygniotło ją jak przyciśnięte do pleców grube łapsko. Krew uderzyła jej do głowy, gdy maszyna gwałtownie zwolniła.

Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że Kath Dwa znieruchomiała. W rzeczywistości jednak została zamknięta we wnętrzu obracającego się obiektu: jednej z dwóch końcówek bolas mierzącego cztery tysiące kilometrów długości. Jego obroty widziane z daleka mogły się wydać ociężałe, ale całe bolas wirowało z prędkością wystarczającą do wytworzenia sztucznego ciążenia o wartości dwóch g , które w połączeniu z wynoszącym jedno g przyciąganiem Nowej Ziemi objawiało się jako potężna siła wciskająca Kath Dwa w pełne wody worki balastowe na brzuchu szybowca.

Krabochwyt wielkości człowieka, obojętny na ciężar szybowca, odciągnął go na bok, robiąc w ten sposób miejsce następnemu, który już podchodził do lądowania. Podczas tego przelotu hangar zebrał łącznie osiem latających maszyn. Poza szybowcem Kath Dwa jeszcze dwie jednostki były pilotowane przez ludzi; zostały zbudowane według różnych projektów, ale obie miały własne silniki. Pozostałą piątkę tworzyły zrobotyzowane szybowce podobne do jej pojazdu, ale sztywne, nie nadmuchiwane. Gdy tylko zostały bezpiecznie unieruchomione, wlot zamknął się za nimi, a hangar, zakończywszy swój „krok” w atmosferze, zaczął się ponownie rozpędzać, wznosząc się w kierunku otwartego kosmosu.

Wnętrza o tak ogromnej kubaturze nie było sensu hermetyzować, więc odrobina powietrza zagarnięta podczas nura w atmosferę szybko wyciekła z hangaru i Kath Dwa znalazła się praktycznie w próżni. Jej skafander zareagował błyskawicznie: przylgnał do skóry, żeby zapewnić namiastkę ciśnienia atmosferycznego, ale ponieważ był porowaty, w rzeczywistości tylko kosmosmar oddzielał teraz Kath Dwa od pustki

kosmicznej – do spółki z utkaną z gzów siateczką wmówił skórze, że okrywa ją sympatyczna warstewka powietrza, czyli naturalne środowisko człowieka. Tylko hełm był hermetycznie zamknięty, a jego wnętrze zostało odcięte od świata zewnętrznego jak w dawnych skafandrach kosmicznych.

W środkowej części hangaru nad pokładem zwieszały się cztery rupiecie różnych kształtów i rozmiarów – najnowsze iteracje pojazdu, który powstał jeszcze przed rozpoczęciem Kamiennego Deszczu. Na czas trwania ostatnich lądowań zostały usunięte, żeby nie przeszkadzały szybowcom, ale gdy tylko wrota hangaru się zamknęły, jeden z nich – model średniej wielkości, czteroosobowy – został opuszczony na pokład za pomocą wciągarki. Stał dziesięć metrów od Kath Dwa. Wydawało się, że ma koła, co jak na pojazd kosmiczny byłoby dość nietypowe, lecz w rzeczywistości stanął na niskich saniach, zaopatrzonych w kółka i przystosowanych do jeżdżenia po pochylni.

Zielone światła przy śluzie rupiecia oznaczały, że wewnątrz panują sprzyjające warunki. Kath Dwa miała około dziesięciu minut, żeby do niego dotrzeć – aż nadto czasu, pod warunkiem, że po drodze nie zemdleje. Wydała polecenie spuszczenia powietrza z szybowca i bardziej poczuła, niż usłyszała, jak skafander flaczeje i pozbywa się wody. Miękki wierzch kadłuba rozstąpił się ponad jej ramionami, plecami, pośladkami i udami; przez ten czas zdążyła wyciągnąć ręce z ocieplanych rękawów, rozpostarte dotąd jak para skrzydeł. Było to całkiem niezłe ćwiczenie dla mięśni, zważywszy że każde ramię ważyło trzy razy więcej niż zwykle.

Zanim się z tym uporała, z szybowca został płaski kawał pomarszczonego materiału w kształcie krzyża. Odłączyła się od skrubera powietrza i układu odprowadzania moczu, odpięła od kołnierza przewody zasilania i transmisji danych, po czym podkulila ręce i zaczęła się czołgać w stronę rupiecia. Przesuwała po płytach pokładu na przemian to jedno kolano, to drugie, pełząc naprzód jak jaszczurka. Duża zmijka dotrzymywała jej towarzystwa, monitorując jej parametry życiowe, gotowa w każdej chwili dostarczyć więcej tlenu lub udzielić innej niezbędnej pomocy. Kath Dwa radziła sobie niezgorzej; mogłaby chyba nawet iść na czworakach, tak jak to robił jeden z pozostałej dwójki pilotów, ale nie widziała takiej potrzeby.

Coś dziwnego zwróciło jej uwagę. Zadała sobie odrobinę trudu, żeby

odwrócić głowę w bok i sprawdzić, czy to nie złudzenie – ale nie: trzeci pilot siedł po pokładzie w pozycji wyprostowanej. Posuwał się powoli, z mozołem, krótkimi, wysiłonymi krokami; utrzymywał równowagę i starał się równomiernie obciążać stawy, a przy tym jakoś udawało mu się zapewnić dopływ krwi do mózgu i nie stracić przytomności.

Nie było mowy, żeby przy ciężeniu wynoszącym trzy *g* Kath Dwa zdołała choćby wstać, nie mówiąc już o chodzeniu, podobnie zresztą jak większość przedstawicieli jej rasy. Ten mężczyzna był jednak teklaninem – było to widać po jego wzroście i budowie, a także karnacji i kształcie głowy widocznej w bańce hełmu. Zresztą wyraźnie widoczna muskulatura i typ skafandra – cięższy, częściowo opancerzony, zaopatrzony w mnóstwo pasków i uchwytów do obwieszenia sprzętem – nie pozostawiały miejsca na wątpliwości, nawet jeśli wszystkie te olstra, pochwy, pokrowce i bandolierki były w tej chwili puste. Zresztą nawet bez tych wskazówek domyśliłaby się jego przynależności rasowej właśnie po tym, że upierał się przy chodzeniu, kiedy łatwiej i bezpieczniej było się czołgać.

Gdyby nie więź rasowa łącząca moiran z teklanami, Kath Dwa przewróciłaby pewnie oczami i mruknęła zgryźliwie pod nosem coś na temat teklan, którzy nie potrzebują krwi w mózgu, żeby metodycznie dreptać do przodu. Tyle że takie stereotypy były bronią obosieczną. Teklanin prowadził pojazd silnikowy. Dlaczego nie używać silników, kiedy jest się członkiem cywilizacji, która potrafi je produkować? Z drugiej strony Kath Dwa osiągnęła ten sam cel w szybowcu pozbawionym zasilania, wykorzystując swoje umiejętności do czerpania energii z atmosfery; w każdej chwili mogła zdać się na autopilota, ale wolała prawie cały czas sterować sama. Na swój sposób był to taki sam akt bezsensownej brawury jak to, co teraz robił teklański pilot. Wypróbowywała i szlifowała umiejętności, które były dla niej ważne. *Mutatis mutandis*, teklanin zachowywał się tak samo.

Do śluzy dotarła sporo przed czasem. Podłoga była miękko wyłożona – przez wzgląd na takich właśnie jak Kath Dwa, którzy stykali się z nią najbardziej kościstymi częściami ciała. Z wysiłkiem przetoczyła się na wznak, zderzywszy się przy tym lekko z pilotem, który dojrzał do śluzy na czworakach, i podłączyła przewód powietrzny hełmu do gniazda w ścianie. Wciągnęła do płuc świeże powietrze. Teklanin pozwolił sobie

klapnąć ciężko na ławkę. Zewnętrzny właz zatrzasnął się i zahermetyzował. Ciśnienie zaczęło rosnąć i siateczka gzów rozluźniła uścisk na ciele Kath Dwa; gdy ciśnienie zbliżyło się do ciśnienia standardowej atmosfery siedliskowej (rzadkiej mieszaniny gazów zbliżonej do powietrza, jakim mieszkańcy Starej Ziemi oddychali w Aspen w stanie Colorado), skafander stał się nie bardziej obcisły niż bluza od dresu.

Otworzył się wewnętrzny właz śluzy. Kath Dwa w ślad za pozostałymi przeszła (na czworakach) do głównej kabiny, gdzie czekały na nich cztery leżanki antyprzeciążeniowe. Zajęli trzy z nich, przypięli się pasami i ułożyli wygodnie – na plecach, z lekko uniesionymi nogami. W którymś momencie ich skafandry same nawiązały kontakt z systemem łączności dźwiękowej rupiecia; Kath Dwa poznała to po tym, że słyszy oddech pozostałej dwójki pilotów, równie zdyszanych jak ona, ale nikt nic nie mówił, bo wiedzieli, że za parę minut rozmowa stanie się znacznie łatwiejsza. Teklanin – w swoim stylu – wypuścił powietrze z płuc w starannie kontrolowanym wydechu, uniósł spoczywające na podłokietnikach ręce i zdjął hełm. Położył go sobie na brzuchu; ręce same opadły mu na leżankę, wydając przy tym głuchy odgłos. Kath Dwa kątem oka dostrzegła (zgodnie z przewidywaniami) platynowe włosy i wydatne kości policzkowe, ale nie miała ochoty odwracać głowy. Patrzyła na zawieszony przed nią ekran, ze wszystkich sił starając się skupić wzrok, mimo że trzy g rozplaszczało jej gałki oczne w oczodołach.

Do hangaru wlatywali poziomo, z prędkością stu kilometrów na godzinę. Od tamtej pory siła odśrodkowa, która zmusiła Kath Dwa do pełzania jak jaszczurka po podłodze, systematycznie ich rozpędzała; pompując energię kinetyczną w nich samych i we wszystko, co ich otaczało, nadawała im prędkość typową raczej dla podróży kosmicznych. Mechanizm ten nie miał porównania z barokowymi, ziejącymi ogniem machinami, których ich przodkowie używali w tym samym celu. Bolas pod względem mechanicznym niczym się nie różniło od procy, z której Dawid zabił Goliata; rupieć był spoczywającym w tej procy kamieniem.

Bolas zdążyło już wykonać około jednej czwartej obrotu i w tej chwili oddalali się od Ziemi, pędząc wprost na spotkanie odległego pierścienia

siedlisk zamieszkanego przez trzy miliardy przedstawicieli wszystkich ludzkich ras.

Na ekranie wrota rufowe hangaru otworzyły się, odsłaniając krąg czarnego nieba. Seria metalicznych szczęknięć zasygnalizowała zwolnienie hamulców sań, które – popychane siłą odśrodkową – zaczęły się rozpędzać. Nabierały prędkości do chwili, gdy znalazły się na krawędzi pokładu, gdzie stanęły w miejscu, czemu towarzyszyło głośne sapnięcie amortyzatorów. Rupieć wystrzelił z sań jak z procy i – z punktu widzenia jego pasażerów – spadł ze skraju pokładu w bezmiar komicznej pustki. Zaczął przy tym trochę koziołkować, lecz silniki manewrowe błyskawicznie wygasły niepotrzebne fikołki.

Zapanowała nieważkość. Kath Dwa zdjęła hełm, ale jeszcze przez chwilę nie podnosiła głowy z zagłówka, dając błędnikowi czas na oswojenie się ze zmianą warunków. Ze schowka w podłokietniku po omacku wyjęła proper, powszechnie używany zamiast płaskiego monitora do obsługi wszelakich aplikacji. Nazwa była na tyle wiekowa, że większość ludzi zdążyła zapomnieć, co oznacza: stanowiła skrótowiec wywiedziony od słów Projektor Percepcyjny. Propery bywały różne, ale podstawowy model przypominał okulary w grubej oprawie, w której zainstalowano kamery śledzące ruchy rąk właściciela, mikrofon wyłapujący dźwięki jego mowy oraz kamery podążające za jego wzrokiem.

Na obrzeżach pola widzenia pojawiły się świecące obrazki; Kath Dwa wybrała jeden z nich i uruchomiła Parametryk, co pozwoliło jej zobaczyć położenie rupiecia we wszechświecie. Środek wyświetlacza zajmowało niebieskie koło symbolizujące Nową Ziemię, ukrytą pod szarą powłoką atmosfery. Wokół niej – w sporej odległości – rysowała się orbita środka ciężkości bolas wraz z wijącymi się wokół niej trajektoriami obu hangarów. Wszystko to właśnie zostawili za sobą. Migający zielony punkt wskazywał ich aktualne położenie na nowej orbicie: grubej elipsie, której apogeum stykało się z pierścieniem mieszkalnym zawieszonym nad powierzchnią planety na orbicie geosynchronicznej. W ciągu następnych dwunastu godzin wespną się na tę wysokość, a następnie ponownie przypną do leżanek i uruchomią mechanizmy niezbędne do uzyskania pożądanego delta V, które zaprowadzi ich do wybranego siedliska.

Świat zamieszkały przez trzy miliardy ludzi, widziany „z góry” (gdyby znad bieguna północnego spojrzeć „w dół”) był cienkim jak włos pierścieniem o średnicy około osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, a zatem mniej więcej siedem razy większej niż średnica leżącej w jego centrum planety. Tworzące pierścień obiekty zamieszkującym je ludziom wydawały się ogromne, lecz w porównaniu z całym pierścieniem były jak ulotne drobinki pyłu. Gdyby wyobrazić sobie najcieńszy z możliwych łańcuszek, który na szyi kobiety tworzy ledwie widoczną platynową kreskę, a następnie utworzyć z takiego łańcuszka okrąg o średnicy dziesięciu metrów, uzyskałoby się stosowne proporcje grubości i całkowitego rozmiaru orbitalnego pierścienia siedlisk. Znacznie lepiej oglądało się jego wizualizację w properze, w której tworzące go punkciki – pojedyncze siedliska – przedstawiono jako nierealistycznie duże kolorowe oczka.

Oglądany w ten sposób pierścień dzielił się na osiem w przybliżeniu równych, mierzących po czterdzieści pięć stopni wycinków łuku. Widziane z daleka mieniły się i opalizowały, połączone znacznie krótszymi szarymi wycinkami noszącymi nazwę „cmentarzysk”. Na zbliżeniu rzucał się w oczy puentylistyczny charakter obrazka, a system usłużnie nakładał nań numerowane południki i wyświetlał etykiety. Osiem segmentów pierścienia zawierało łącznie ponad dziewięć tysięcy aktywnych segmentów; cmentarzyska obejmowały kilkaset dalszych – głównie przestarzałe moduły przeznaczone na złom, a także niewykorzystane fragmenty Księżyca i nieliczne przechwycone asteroidy, z których czerpano surowce do budowy nowych siedlisk.

Każdy nieużywany obiekt, bez względu na przyczynę niezamieszkania (może jego budowa jeszcze się nie zakończyła, może został porzucony, a może po prostu był kawałkiem skały), wyświetlał się jako szara kropka. To tłumaczyło smętny obraz cmentarzysk.

Osiem długich łuków pomiędzy cmentarzyskami mieniło się żywymi barwami. Każdy miał jeden dominujący kolor; w tych kolorach była zapisana historia ich budowy oraz, co za tym idzie, historia wszystkich ludzkich ras w ciągu ostatniego tysiąca lat – Piątego Tysiąclecia, zwanego także Milenium Pierścienia. Wcześniej, podczas trwającego cztery tysiące lat Kamiennego Deszczu, przestrzeń kosmiczna pozostawała tak bardzo zaśmiecona, że ludzie musieli się kulić pod osłoną ciężkich

żelazoniklowych ciał niebieskich w rodzaju Rozpadliny, krążących (jakżeby inaczej) po orbitach zbliżonych do orbity Księżyca, którego dawniej były częścią – dziewięć razy dalej od Ziemi, niż w tej chwili znajdował się pierścień siedliskowy. Zgodnie z przewidywaniami Dubois Harrisa dawna orbita księżycowa była najlepszym – żeby nie powiedzieć: jedynym – miejscem na odbudowę cywilizacji, po tym, jak na Ziemi rozpętało się piekło. Jeśli jednak można w ogóle mówić o jakichkolwiek dalekosiężnych planach ludzkości, to z pewnością planowała ona powrót na ojczystą planetę. Kamienny Deszcz zaczął w końcu słabnąć – z początku powoli, a potem, w Czwartym Tysiącleciu, coraz szybciej, gdy flota robotów, które wyroiły się z żelazoniklowych twierdz jak nietoperze z jaskiń, rozpoczęła oczyszczanie nieba, porządkowanie odłamków, zbieranie ich w większe gromady i umieszczanie na schludnych orbitach geosynchronicznych. Głównym źródłem zasilania robotów było ciśnienie promieni słonecznych, ale oparte na nim systemy napędu były mało wydajne i prace porządkowe zajęły setki lat.

U zarania Piątego Tysiąclecia (około tysiąca lat temu) wybudowano pierwsze siedlisko na orbicie geosynchronicznej. Umieszczono je ponad zerowym południkiem Starej Ziemi i nazwano – stosownie do tego faktu – Greenwich. Za sąsiadów Greenwich miało początkowo same kosmiczne śmieci i zużyte roboty, ale kiedy zostało już ukończony, konstrukcja dalszych modułów ruszyła z kopyta i postępowała w obu kierunkach równocześnie. Ludzie i ich roboty pochłaniali surowce, jak płomień lont, przetwarzając je na budowle.

Greenwich było wspólnym przedsięwzięciem wszystkich siedmiu ras ludzkich. Podobnie rzecz się miała z jego pierwszymi sąsiadami: Woltą i Banu Qasim na wschodzie oraz Atlasem i Rolandem na zachodzie, a także niektórymi późniejszymi. Wszystkie one na wyświetlanym przez proper obrazie miały kolor biały.

Wyznaczono jeszcze siedem takich punktów jak Greenwich, położonych w równych odstępach na okręgu. Patrząc w kierunku zachodnim, były to kolejno: Rio, Memphis, Pitcairn, Tokomaru, Kioto, Dhaka i Bagdad. Z czasem w każdym z nich pojawił się pierwszy moduł mieszkalny, a także zaplecze produkcyjne umożliwiające wytwarzanie kolejnych. Upływały stulecia, a mieszkańcy zużywali surowce

znajdowane na wschód i zachód od swojego aktualnego miejsca pobytu, rozbudowując siedliska wedle potrzeb rozrastającej się populacji.

Było oczywiste, że jeżeli ten proces potrwa dostatecznie długo, łuk siedlisk biegnący w kierunku zachodnim od, powiedzmy, Greenwich, zetknie się w końcu ze wschodnim łukiem zabudowy Rio. Kurczące się obszary niewykorzystanych materiałów i zdatnych do przetworzenia śmieci stały się cmentarzyskami i właściwie mogłyby zniknąć bez śladu, gdyby nie okazały się niezwykle pożyteczne – początkowo jako magazyny surowca, a później jako polityczne strefy buforowe i rubieże cywilizacji, na które ludzie mogli zbiec, gdy stwierdzili, że nie nadają się do życia w ciasnych, zatłoczonych siedliskach. Rejon położony w połowie drogi między Greenwich i Rio nosił nazwę Zielonego Przylądka, a dalej, podążając ku zachodowi, znajdowały się Titicaca, Wielki Kanion, Hawaje, Kamczatka, Kanton i Indus. Krąg domykały położone między Bagdadem i Greenwich Bałkany. Jedne cmentarzyska były większe, inne mniejsze; Kanton, rozdzielający segmenty aïdański i camilicki, został całkowicie wchłonięty przez rozrastające się populacje.

Jak się okazało, ogłaszając swoją klątwę, Ewa Aïda miała wiele racji. Po upływie zaledwie paru pokoleń od Rady Siedmiu Ew stało się całkowicie jasne, że nastąpiło trwałe wykształcenie się siedmiu odrębnych ludzkich ras. Fakt ten stał się tak samo nieodłącznym elementem obrazu człowieka jak paznokcie u nóg albo śledziona. Nie ujęto go w karby żadnej oficjalnej polityki, ale ludzie głosowali nogami. Rio zostało zdominowane przez ivynów. Moiranie skupili się w Memphis, a tekłanie w następnym w kolejności Pitcairn.

Bagdad, przylegający do Greenwich z drugiej strony, zasiedlili dinajczycy. Na wschód od Bagdadu camilicy osiedlili się w Dhace. Aïdanie i julijczycy znaleźli sposób na to, by podkreślić swoją alienację: wybrali położone na antypodach – odpowiednio – Kioto i Tokomaru. Ponieważ w ten sposób pierścień został domknięty, julijczycy od wschodu sąsiadowali z zachodnim pograniczem tekłańskim, oddzieleni od niego tylko cmentarzyskiem Hawajów, które było całkiem spore – najprawdopodobniej dlatego, że niezbyt liczni julijczycy powoli zużywali jego zasoby.

Kwestia czystości rasowej przedstawiała się różnie w różnych

rejonach. Stworzone wspólnymi siłami Greenwich na zawsze miało już pozostać najbardziej zróżnicowaną rasowo częścią pierścienia; w przylegających doń Bagdadzie i Rio także stosunkowo dużo mieszkańców nie zaliczało się do – odpowiednio – dinajczyków i ivynów. Te trzy segmenty miały więc najbardziej kosmopolityczny charakter. Pozostali mieszkańcy siedlisk mieli bardziej introwertyczną naturę, toteż w ich królestwach nie doszło do aż takiego wymieszania ras. Zdarzały się też małe anomalie – na przykład takie, jak siedlisko pięćdziesięciu tysięcy julijczyków osadzone w samym środku dinajskiego segmentu.

Ewa Moira stosowała różne kolory do oznaczania różnych próbek genetycznych, żeby nie pogubić się w ich mnogości. Wybór barw był czysto przypadkowy i wynikał wyłącznie z chwilowej dostępności przyborów biurowych – flamastrów i kolorowych naklejek na próbówki – niemniej jednak stał się załączkiem uniwersalnej konwencji.

Niebieski: Dinah

Żółty: Camila

Czerwony: Aida

Pomarańczowy: Julia

Turkusowy: Tekla

Fioletowy: sama Moira

Zielony: Ivy

Biały: nieprzypisany do żadnej rasy

Ten sam schemat zastosowano w oprogramowaniu do kolorowania tworzących pierścień kropek: moduł zdominowany przez dinajczyków był oznaczony na niebiesko i tak dalej. Ze względu na ogromną liczbę i niewielkie rozmiary siedlisk punkciki zlewały się w roziskrzony, opalizujący łuk na ekranie, dało się w nim jednak dostrzec pewne ogólne tendencje. Trudno powiedzieć, czy był to świadomy wybór Ewy Moiry, ale kolory z chłodnej części spektrum – niebieski, zielony, fioletowy i turkusowy – zostały przypisane czterem Ewom, z którymi sama czuła się najbardziej związana; pozostałym przypadły w udziale barwy ciepłe: czerwona, żółta i pomarańczowa.

Kiedy oglądało się całość pokolorowanego w ten sposób pierścienia, z Greenwich umieszczonym na godzinie dwunastej i Tokomaru na szóstej, długi łuk zimnych barw zaczynał się mniej więcej na dziesiątej (zachodni skraj Indusu) i ciągnął aż do piątej (wschodnia krawędź Hawajów); krótszy i cieplejszy łuk biegł od prawie szóstej do nieco po dziewiątej. „Najwyższy” segment, skupiony wokół Greenwich, był śnieżnobiały jak czapa podbiegunowego lodu flankowana przez fioletowe góry, zielone wzgórza i niebieską wodę. Za to u dołu z lewej pierścień wyglądał jak podgrzewany lampą spawalniczą, żarząc się ciepłymi barwami camilitów, aïdan i julijszyków.

Cały ten „ciepły” fragment był na ekranie wydzielony dwiema czerwonymi liniami przecinającymi okrąg pod kątem prostym. Jedna z nich przebiegała wzdłuż południka przebiegającego niegdyś przez pacyficzną wysepkę Kiribati, leżącą na stu sześćdziesięciu sześciu stopniach i trzydziestu minutach szerokości geograficznej zachodniej, i wyznaczała wschodnią granicę segmentu julijskiego. Druga biegła dokładnie nad linią dziewięćdziesięciu stopni długości wschodniej, przez siedlisko zwane Dhaką i sam środek odcinka łuku camilitów. Te dwie linie wytyczały granice – nie żadne wyimaginowane linie na mapie, lecz najprawdziwsze, namacalne granice wybudowane na obwodzie pierścienia niczym dwa szlabany. Rozciągający się pomiędzy nimi ciepłobarwny fragment (zawierający większość segmentu julijskiego, cały aïdański i dokładnie połowę camilickiego) był dla Kath Dwa i jej towarzyszy na pokładzie rupiecia obcym krajem. Stosunki łączące go z większą, „zimną” częścią pierścienia można było opisać wieloma różnymi terminami, z których najbardziej zwięzły brzmiał „wojna”.

Widząc, że Kath Dwa podniosła głowę i tym samym dołączyła do tymczasowego towarzystwa na pokładzie rupiecia, teklanin odwrócił się w jej stronę. Wystawił w bok zgiętą w łokciu rękę z dłonią zwróconą ku dołowi i szybkim ruchem uniósł ją na taką wysokość, że kciukiem dotknął podbródka, skąd po chwili podniósł ją do czoła.

– Beled Tomow – powiedział.

Kath Dwa wiedziała to już wcześniej: na skafandrze miał taki właśnie napis namalowany przez szablon.

Odpowiedziała podobnym gestem, chociaż wykonanym na modłę swojej rasy: użyła lewej dłoni, zwróconej wnętrzem ku piersi i lekko

zaciśniętej w pięść.

– Kath Amalthowa Dwa.

Oboje spojrzeli na dinajczyka. Wcześniej odwracał wzrok w charakterystyczny sposób, zdradzający – z czego wszyscy zdawali sobie sprawę – że właśnie sika do skafandra i chce mieć odrobinę prywatności. Teraz jednak spojrzął na nich i powtórzył gest Kath Dwa, również lewą ręką, choć inaczej układał dłoń: na początku zwrócił ją wnętrzem do piersi, później zaś, na wysokości czoła, odwrócił na zewnątrz.

– Rhys Alaskow – powiedział.

To powitanie wywodziło się z dawnych wieków, początków Arki w Chmurze i ery pierwszych potomków Siedmiu Ew urodzonych na Rozpadlinie. Ludzie spędzali wówczas dużo czasu w skafandrach kosmicznych zaopatrzonych w zewnętrzne osłony przeciwsłoneczne. Spuszczona osłona przesłaniała twarz właściciela lustrzaną powierzchnią; po jej podniesieniu twarz stawała się widoczna. W ówczesnych ciasnych kwaterach mieszkalnych przyjęło się, że przesunięcie ręką z dołu do góry przed twarzą oznacza „Cześć, chętnie nawiążę kontakt”; ruch odwrotny znaczył „Do widzenia” albo „Chcę pobyć sam”. Oba gesty straciły na znaczeniu, gdy ludzie rozproszyli się po siedliskach, w których w każdej chwili mogli liczyć na prywatność, przetrwały jednak jako pozdrowienie. Beled Tomow wybrał wersję wojskową przywitania: salutował prawą ręką, co niosło podtekst „nie zabiję cię ukrytą bronią”. Przy normalnym ciężeniu następnym krokiem mogłoby być wyciągnięcie ręki na powitanie, ale w nieważkości był to gest niepraktyczny i – co za tym idzie – rzadko stosowany. Wersja leworęczna oznaczała brak związków z wojskowością; sugerowała, że prawa ręka salutującego jest zajęta czymś użytecznym. Różnice w ułożeniu dłoni miały charakter rasowy, a ich pochodzenie było przedmiotem badań folklorystycznych, wszyscy się jednak zgadzali, że przydają się do sygnalizowania przynależności rasowej na odległość lub w skafandrze próżniowym. Różnice rasowe we wzroście i posturze bywały trudne do zauważenia, zwłaszcza dopóki nie widziało się rysów twarzy i koloru włosów. Rhys Alaskow miał typową dla dinajczyków miodową czuprynę i piegowatą skórę. Teklanie również byli blondynami, ale o ile Rhys miał szczerą, miłą twarz i przyjazny

sposób bycia, o tyle twarz Beleda była pociągła i koścista: wydatna zuchwa, wyraziste kości jarzmowe, błękit oczu tak jasny, że wpadający w biel, krótko przycięte włosy jak szklane światłowody – i do tego stosowna rezerwa w zachowaniu. Kath Dwa miała ciemnobrązową skórę, zielone oczy i czarne, wełniste włosy; inaczej mówiąc, przypominała Ewę Moirę. Z wyglądu skrajnie różniła się od Beleda, ale pięć tysięcy lat akulturacji nie pozostało bez wpływu na ich zachowanie. W sytuacji kryzysowej najprawdopodobniej walczyliby ramię w ramię, instynktownie szukając wsparcia u siebie nawzajem, ale w spokojniejszych okolicznościach równie dobrze mogli się znaleźć po przeciwnych stronach barykady. W podobny sposób dopełniali się dinajczycy z ivynami, tyle że Rhys Alaskow nie miał w rupieciu swojego odpowiednika. Czwarta leżanka była pusta.

Wszystko to tworzyło podtekst, który został przekazany w ułamku sekundy. Rhys odepchnął się lekko od leżanki i przefrunął do gniazda monitorów stanowiącego pulpit sterowniczy rupiecia. Oczywiście mógłby obsługiwać statek za pośrednictwem swojego propera, jednakże jawna prezentacja statusu jednostki należała do dobrego tonu, więc najważniejsze informacje automatycznie trafiały na główne monitory.

Zamierzał nawiązać łączność z siedliskiem znajdującym się w apogeum orbity rupiecia, zagadnąć człowieka, który „odbierze telefon” i wdać się w tradycyjne powitalne uprzejmości. Szybując wolno przez kabinę, zapytał:

- Jak wam minął zwiad?
- Normalnie – odparł Beled.

Kath Dwa zamierzała udzielić podobnej odpowiedzi, gdy nagle przypomniała sobie tubylca obserwującego jej szybowiec z kryjówki wśród drzew nad jeziorem. To było takie przelotne wrażenie... Czyżby jej się przywidziało? Nie, na pewno nie. Ale pamięć potrafi płatać figle.

– Mój był fascynujący – odezwał się Rhys, gdy Kath Dwa nie chwyciła przynęty.

- Jakieś nieprawidłowości? – zainteresował się Beled.
- Co cię tak zafascynowało? – spytała w tej samej chwili Kath Dwa.

Czując na sobie badawcze spojrzenie Beleda, spojrzała na niego i stwierdziła, że swoje pytanie kierował nie tylko do Rhysa, lecz także do niej.

Dinajska natura Rhysa kazała mu jednak założyć, że jest jedynym adresatem pytania. Spojrzał na Kath Dwa, na Beleda, po czym – wiedząc, że jest w tym towarzystwie intruzem – rozpromienił się w uśmiechu, który był – a jakże – czarujący.

– Chyba uda mi się odpowiedzieć na oba wasze pytania za jednym zamachem – przyznał. Dopłynął już do fotela przy pulpicie. – Psowate epigenują na potęgę. Trudno je rozpoznać.

Kilkoma zamaszystymi ruchami dłoni uruchomił przyrządy i rozświetlił monitory.

Do psowatych zaliczały się takie zwierzęta jak psy, wilki czy kojoty, zamiast jednak odtwarzać konkretne gatunki, Doc – doktor Hu Noah – zainspirował się badaniami, których wyniki zaczęto publikować w prasie naukowej niedługo przed Dniem Zero. Wynikało z nich, że różnice pomiędzy tymi powszechnie wyróżnianymi gatunkami do tego stopnia się pozacierwały, że praktycznie przestały istnieć. Wszystkie mogły się dowolnie krzyżować – i krzyżowały się, płodząc hybrydy, które z różnych powodów dobierały się pod względem kształtów i rozmiarów w grupy postrzegane przez ludzkich obserwatorów jako odrębne gatunki. Sęk w tym, że kiedy ludzie nie przyglądali im się zbyt uważnie – albo kiedy dochodziło do zmian w środowisku – pojawiały się wszelkiej maści kojopsy, wilkojoty i psowilki. Kojoty zaczynały polować w sforach jak wilki, a wilki w pojedynkę jak kojoty; zwierzęta, które wcześniej unikały (lub pożerały) ludzi, dawały się obłaskawiać; udomowione psy dziczały.

Hu Noah miał sto dwadzieścia lat. W młodości był jednym z wielu naukowców, którzy zbuntowali się przeciw tradycyjnym poglądom obowiązującym w TerReFormie i przez setki lat traktowanym jak prawdy objawione. Propaganda radykałów przedstawiała ów stary sposób myślenia jako skostniały i stereotypowy i nadała mu pogardliwą nazwę NMP, od „Nie Ma Pośpiechu”. U podstaw rozumowania NMP legło przekonanie, że ekosystemy, które na Starej Ziemi ewoluowały przez setki milionów lat, należy odbudowywać powoli, ostrożnymi, niemal rzemieślniczymi metodami – pogląd zresztą całkiem popularny, zważywszy że życie w siedliskach było bezpieczniejsze i wygodniejsze niż nieprzewidywalne bytowanie na powierzchni planety. Ludzie mieli się cieszyć tysiącami spokojnego życia na orbicie, zajmując się przez

ten czas nieśpieszną rekonstrukcją środowiska i upodabnianiem go do ekosystemów ze Starej Ziemi. Planeta stałaby się w ten sposób czymś w rodzaju rezerwatu ekologicznego. W Afryce – wciąż z grubsza rozpoznawalnej, chociaż poważnie zniekształconej przez Kamienny Deszcz – znów pojawiłyby się żyrafy i lwy, odtworzone z zer i jedynek zapisanych na pendrivie na szyi Ewy Moiry. Tak samo miało to wyglądać na innych poturbowanych kontynentach.

Doc był ostatnim żyjącym członkiem frakcji radykałów, która ochrzciła – a następnie zmieszała z błotem – „enempów”. Młodzi buntownicy nazwali się „zetami”, od ZT, „Zróbmy To”, a na ich czele stanął Leuk Markow, który sam dobiegał setki, gdy został nauczycielem Doca. Jego nazwisko zdradzało, że był dinajczykiem (było wzorowane na nazwisku partnera Ewy Dinah, Markusa), za to Doc i większość jego popleczników wywodzili się z ivynów, co przydawało im powagi i wiarygodności, które okazały się niezwykle przydatne przy realizacji wyznaczonych celów. Zetowie zawarli pakt z grupą filozofów (głównie moiran), którzy przypuścili szturm na podstawy doktryny NMP: zwrócili uwagę na fakt, że wierne odtwarzanie staroziemskich biomów nie tylko zajmuje niedorzecznie dużo czasu, lecz na dodatek dowodzi niezwykle sentymentalnego traktowania natury; co więcej, jest objawem specyficznej odmiany zespołu stresu pourazowego, z jakim ludzkość musi się zmagać od czasu Kamiennego Deszczu. Dlatego nastał czas, by porzucić tę drogę. Stare ekosystemy nigdy nie wrócą; nawet gdyby udało się je odtworzyć, trwałoby to tak długo, że nie byłoby warte zachodu. A zresztą – i to był gwóźdź do trumny enemków, wbity własnoręcznie przez Doca – projekt ten i tak nie miał szans powodzenia, bo procesy doboru naturalnego były nieprzewidywalne i niesterowalne.

Ale najpotężniejszą bronią w arsenale obozu ZT była wcale nie filozofia, lecz niecierpliwość – wada wspólna (choć w różnym stopniu) dla wszystkich ludzkich ras; drugi w kolejności był duch rywalizacji, obcy camilitom, ale obecny u całej pozostałej szóstki. Przy takiej motywacji wszyscy oczywiście chcieli Zrobić To, przyśpieszyć TerReFormowanie tak, by trwało wieki, a nie milenia.

Wyniesienie zetów do władzy miało jednak nieprzewidziane konsekwencje natury politycznej. Nagle się okazało, że ludzie różnych ras mają o co konkurować: przedmiotem rywalizacji stały się terytoria

na Nowej Ziemi.

Na początku lat dwudziestych XLIX wieku Leuk Markow opublikował serię artykułów, w których spekulował, że powierzchnię Nowej Ziemi można by przygotować na przyjęcie pierwszych stałych mieszkańców już w połowie wieku LI. Dla enempów taka perspektywa mogła być oszałamiająco bliska, ale przeciętnemu człowiekowi wydawała się wciąż niemiłosiernie odległa, dlatego zespół naukowców odpowiedzialnych za planowanie TerReFormowania chętnie wpisał tę datę do swojego programu, a potem nawet ją przyspieszył – na rok 5005, okrągłą rocznicę lądowania na Rozpadlinie.

Zmiana sposobu myślenia wyzwoliła jednak wzbierające od dawna żywioły polityczne, które w roku 4830 doprowadziły do powstania *de facto* dwóch odrębnych państw. Dominujący w jednym z nich aïdanie przyjęli pod swoje sztandary wielu camilitów i julijczyków, po czym w roku 4855 postawili szlabany w Kiribati i Dhace, dzieląc pierścień siedliskowy na dwa osobne segmenty. Z czasem wymyślili oficjalną nazwę dla swojego państwa, czym zmusili pozostałych mieszkańców pierścienia do podobnej reakcji, ale na co dzień państwa nazywano po prostu „Czerwonym” i „Niebieskim”.

TerReFormowanie trwało, współpraca naukowców i laboratoriów z przeciwnych stron czerwono-niebieskiej granicy jako tako się układała... aż dwadzieścia trzy lata później – praktycznie zaraz po tym, jak powietrze na Nowej Ziemi stało się zdatne do oddychania – wybuchła Wojna Na Skałach, toczona częściowo w kosmosie, ale w głównej mierze na wciąż jeszcze nagiej powierzchni Nowej Ziemi. W 4895 roku konflikt zakończył się podpisaniem tak zwanego Pierwszego Traktatu Pokojowego, który określał – między innymi – zasady dalszego TerReFormowania. Utorował w ten sposób drogę Wielkiemu Posiewowi, którego pokłosem były drzewa, nad którymi dziś rano przelatywała Kath Dwa. Mijały dziesięciolecia, a na planetę wypuszczano coraz większe zwierzęta w ramach programu mającego zaowocować szybkim rozwojem ekosystemów.

Niektóre z tych zwierząt (te, których Kath Dwa obawiała się w swoim obozowisku) należały do psowatych. Kiedy Rhys powiedział, że „epigenują na potęgę”, miał na myśli, że dochodzi wśród nich do przemian epigenetycznych.

Gdyby Agent rozsadził Księżyc dwadzieścia lat wcześniej, Ewa Moira nie wiedziałaby nic o epigenetyce; w czasie, gdy została wysłana na Arkę w Chmurze, epigenetyka dopiero raczkowała. Za to przez pierwsze lata pobytu w kosmosie, kiedy wraz ze swoją aparaturą spędzała czas w najbezpieczniejszych strefach Izzy i *Endurance*, miała mnóstwo czasu, żeby wykuć temat na blachę. Podobnie jak większość dzieci tamtej epoki, ją również nauczono, że genom – sekwencja par zasad w chromosomach zawartych w jądrach wszystkich komórek w ciele – w pełni określa genetyczną przyszłość organizmu. Nieliczna mniejszość tych sekwencji miała jasno określone funkcje, pozostałe zaś, na pozór bezużyteczne, doczekały się miana „śmieciowego DNA”. Ten obraz zmienił się jednak w pierwszej połowie XXI wieku, gdy bardziej złożone analizy wykazały, że większość tych tak zwanych śmieci pełni ważną rolę w funkcjonowaniu komórek, ponieważ reguluje ekspresję genów. Okazało się, że nawet najprostsze organizmy mają wiele genów, które pod wpływem tego właśnie mechanizmu pozostają nieaktywne. Główna obietnica genomiki – że poznanie genomu organizmu równa się poznaniu samego organizmu – nagle okazała się fałszywa, gdy stało się oczywiste, że fenotyp (obserwowana przez biologa istota żywa, ze wszystkimi jej cechami i zachowaniami) jest funkcją nie tylko genotypu (sekwencji DNA), lecz także niezliczonych nanodecyzji podejmowanych non stop w komórkach organizmu przez mechanizmy regulacyjne, na bieżąco determinujące to, który gen ma zostać aktywowany, a który pozostanie w stanie uśpienia.

Gdyby nie niespodziewane objawienie się Agenta, biolodzy ze Starej Ziemi przynajmniej do końca stulecia katalogowaliby te mechanizmy i próbowali zgłębić ich skutki, rozwijając w ten sposób nową podówczas gałąź nauki zwaną epigenetyką. Zamiast tego epigenetyka stała się na Rozpadlinie narzędziem w rękach Ewy Moiry i wychowanych przez nią pokoleń naukowców. Potrzebowali wszelkich dostępnych narzędzi, a w ich użyciu musieli się wykazać pragmatyzmem graniczącym z okrucieństwem, żeby zapewnić przetrwanie rodzajowi ludzkiemu. Tworząc dzieci sześciu pozostałych Ew, Moira unikała stosowania technik epigenetycznych, za to, kiedy eksperymentowała z własnym genomem, czuła, że ma wolną rękę. Z początku szło jej jak po grudzie; pierwszych ośmiu cięż nie donosiła. Za to jej ostatnie dziecko – jedyna

córka, która przeżyła – rozwinęło się cudownie. Cantabrigia (bo takie imię nadała jej Moira na cześć uniwersytetu w Cambridge) stała się założycielką rasy, do której dzisiaj należała Kath Dwa.

Zanim tysiące lat później rozpoczął się Wielki Posiew, mechanizmy epigenetyki zostały na tyle dobrze poznane, żeby zaprogramować je w DNA niektórych nowo powstających gatunków. Jednym z elementów programu zetów było jak najszersze wykorzystanie epigenetyki, dlatego, zamiast hodować nowy podgatunek kojota ściśle dostosowany do konkretnego środowiska, jak zrobiliby to enempowie, zwolennicy ZT woleli stworzyć rasę psowatych, które w ciągu kilku pokoleń wyewoluują w kojoty, wilki albo psy (albo jeszcze coś innego, co nie mieściło się w tych kategoriach), w zależności od tego, co okaże się dla nich najkorzystniejsze. Wszystkie psowate otrzymały zbliżony kod genetyczny, w którym – zależnie od okoliczności – mogło dochodzić do ekspresji lub dezaktywacji różnych fragmentów.

Ludzie nie planowali żadnej ingerencji w te procesy. Zamierzali tylko zasiać ziarno – i obserwować. Jeżeli ekosystem gdzieś się „nie przyjmie”, spróbują czegoś innego.

I tak to wyglądało przez ostatnie dziesięciolecia, odkąd na Nowej Ziemi pojawiły się takie właśnie nowe gatunki. Zmiany epigenetyczne zachodziły na masową skalę, a ponieważ Zwiad miał niewielu pracowników w terenie, większość tych procesów uchodziła uwagi ludzi. Kiedy jednak ich efekty stawały się zauważalne i okazywały się zaskakujące, mówiło się o „epigenowaniu”. Oficjalnie to określenie było potępiane jako nie dość naukowe, ale Rhysowi Alaskowowi wiele uchodziło na sucho.

Wyświetlił na ekranie wizerunek pierścienia mieszkalnego i zrobił zbliżenie na jego górną, białawą część. Na obrazie system naniósł ich trajektorię – jaskrawozielony łuk, którego apogeum wypadało w okolicy ciągu stosunkowo niewielkich siedlisk na wschód od Greenwich. Pierwsze siedliska w segmencie, położone najbliżej centrum, zawsze były mniejsze od powstających później, kiedy proces budowy rozkręcił się na dobre. Im bliżej cmentarzyska, tym większe siedliska konstruowano. Rhys przybliżał i oddalał obraz, a na ekranie pojawiały się i znikwały etykiety: Hannibal, Bruksela, Oyo, Owernia, Wercyngetoryks, Steve Lake... Na widok tego ostatniego Kath Dwa nieco

się ożywiła: niegdyś mieszkała tam przyjaciółka Kath Jeden. Wątpliwe jednak, by przyjaźń przetrwała transformację do Kath Dwa.

Wyświetliła ten sam obraz na swoim properze i zmniejszyła powiększenie, żeby przypomnieć sobie, gdzie znajduje się Oko.

Gdyby cały pierścień siedliskowy przyrównać do tarczy zegara, umieszczone na uwięzi Oko (z jedną wypustką opadającą ku Ziemi i drugą wybiegającą w kosmos) można by nazwać jego wskazówką. Wszelkie jego opisy musiały się zaczynać od stwierdzenia, że było największym obiektem, jaki kiedykolwiek zbudowano. Większość materiału do jego konstrukcji pochodziła z Rozpadliny; ba, Oko w pewnym sensie było Rozpadliną, która przez lata ogromnie zmieniła swój kształt. Jej środek tworzyło wirujące miasto w kształcie okręgu o średnicy dostatecznie dużej (około pięćdziesięciu kilometrów), żeby nawet największe moduły orbitalne swobodnie przechodziły przez jego środek. Dzięki temu Oko mogło przesuwać się po całym obwodzie pierścienia, obejmując po kolei każde z dziesięciu tysięcy siedlisk.

Taki w każdym razie był pierwotny plan, bo w praktyce zasięg Oka był ograniczony do niebieskiej części pierścienia – od Dhaki na wschodzie, przez dwie trzecie obwodu koła, aż po obrzeża segmentu julijskiego. W obu tych punktach Czerwoni postawili szlabany, zapory z ułożonych w poprzek pierścienia długich sztab żelazoniklu, fizycznie uniemożliwiające Oku wejście na teren czerwonego sektora. Zamiast więc obiegać całą tarczę jak wskazówka zegara, ograniczone do segmentu niebieskiego Oko podążało w tę i z powrotem, odbijając się od szlabanów. Podczas następnego półtora stulecia Czerwoni podjęli prace nad budową czegoś ogromnego, co wyglądało jak anty-Oko i najprawdopodobniej miało w podobny sposób przemierzać czerwony odcinek pierścienia. Na razie jednak nie ruszyło się jeszcze ze swojej geostacjonarnej orbity nad Cieśniną Makasarską i nikt z niebieskich nie miał pojęcia, kiedy zacznie działać.

Wielki Łańcuch (taką bowiem nazwę nosiło wirujące miasto) okalał okrągły otwór, który niczym źrenica zajmował sam środek Oka. Po obu jego stronach Oko się zwężało; jeden z jego czubków był stale skierowany w stronę środka Ziemi, drugi zawsze celował w przeciwnym kierunku. Z każdego czubka wybiegała lina, a raczej wielokrotnie zdublowana i samonaprawiająca się plecionka lin. Ta po wewnętrznej

stronie orbity opadała bardzo blisko powierzchni planety, na jej końcu zaś znajdowała się tak zwana Kolebka. Lina zewnętrzna ciągnęła się poza obwód pierścienia mieszkalnego i kończyła Kamulcem pełniącym rolę przeciwwagi. Zmiana długości zewnętrznej liny powodowała przeniesienie środka ciężkości Oka bliżej lub dalej od Ziemi, dzięki czemu cała konstrukcja przyśpieszała lub zwalniała w swoim ruchu względem siedlisk. Dzięki temu mogła obiegać pierścień, jak wskazówka cyferblat zegarka, mijając kolejne siedliska lub – w razie potrzeby – zatrzymując się w wybranym miejscu. Okolone Wielkim Łańcuchem siedlisko mogło bez trudu wymieniać z nim ludzi i towary za pomocą rupieci, promów towarowych, rojów gzów albo wijących się niczym macki połączeń mechanicznych.

Pobyty w siedlisku – nawet dużym i kosmopolitycznym – w czasie, gdy przybywało Oko, można by porównać (gdyby cofnąć się do świata sprzed Dnia Zero) do życia w miasteczku na prerii, do którego nagle zawitał wielki, ruchomy Manhattan: wynurzał się zza horyzontu, otaczał człowieka ze wszystkich stron, wchodził z nim w sto rodzajów różnych interakcji i toczył się dalej. Jedną z jego wielu funkcji była rola promu pasażerskiego – najprostszego środka transportu pomiędzy siedliskami. Właśnie dlatego Kath Dwa musiała sobie przypomnieć, gdzie w tej chwili jest Oko i w którą stronę zmierza.

Znajdowało się około dwudziestu stopni na wschód od ich przewidywanego apogeum. Okalało duże, nowe siedlisko Akureyri i kierowało się w stronę cmentarzyska Zielonego Przylądka oddzielającego Greenwich od Rio. Wkrótce miało się zatem znaleźć w części pierścienia zdominowanej przez ivynów.

– To jak, śmigamy wysoko i wpadamy w Oko? – zaproponowała Kath Dwa.

Oznaczało to, że powinni skorzystać z urządzenia przypominającego ogromny aluminiowy bicz (bardzo popularnego rekwizytu w pierścieniu mieszkalnym) i wystrzelić rupieć na wyższą orbitę. Kiedy wówczas będą zmierzali ku położonemu poza pierścieniem apogeum swojej trajektorii, wszystko poniżej – cały krąg siedlisk wraz z Okiem – wyprzedzi ich po wewnętrznej, dzięki czemu po nawrocie i obniżeniu lotu powinni się z nim zrównać. Wtedy będą mogli przycumować rupieć do dowolnego z setki dostępnych złączy, we względnym komforcie

odbyć kwarantannę i pójść każde w swoją stronę. Mogliby wówczas użyć Oka jako środka bezpośredniego transportu albo jako węzła komunikacyjnego, gdzie przesiadą się na inne rupiecie bądź liniowce, które szybciej dowiozą ich w żądane miejsce. Mogliby też zjechać windą do Kolebki. Mogliby w końcu zamieszkać w Oku, w pełni samowystarczalnym siedlisku, w którym niektórzy spędzali całe życie. „Wpadnięcie w Oko” niemal zawsze było korzystniejsze niż wylądowanie w przypadkowym siedlisku, gdzie znalezienie dalszego transportu mogło zająć kilka dni lub nawet tygodni. Dlatego propozycje takie jak ta zwykle nie budziły kontrowersji.

– Mnie to pasuje – odparł natychmiast Rhys.

Kath Dwa spojrzała na Beleda i stwierdziła, że ten patrzy na nią. Dotarło do niej, że teklanin – w sposób niezmienny przez tysiące lat różnicowania rasowego i adaptacji do społeczno-kulturalnego środowiska kosmicznego – zwyczajnie się na nią gapił.

Leciutko uniosła brew.

– Oczywiście – zgodził się Beled.

– Jednogłośnie – obwieścił Rhys. – Wbiję to do systemu.

I zajął się obsługą interfejsu sterowniczego.

Kath Dwa poczuła lekko wstydlive mrowienie między nogami, jakby rumieniec, któremu towarzyszyły wypieki na twarzy. Przypuszczała, że Beled musi się czuć podobnie, ale tekanie ćwiczili się w nieokazywaniu uczuć. Wynikało to z przekonania (wywiedzionego ponoć aż od starożytnych spartan), że emocje – takie jak strach – wypływają z ich widocznych objawów, a nie odwrotnie.

Jakby wyczuwając, co się dzieje pomiędzy Kath Dwa i Beledem, Rhys skupił się na swoim zadaniu bardziej, niż to było konieczne. Komplikacje – jak zwykle – wynikały z konieczności unikania kolizji i poszanowania czegoś, co wciąż nazywano „przestrzenią powietrzną” wokół siedlisk, mimo że nie było w niej powietrza i słuszniej byłoby ją nazywać „przestrzenią próżniową”. Śledząc jednym okiem lakoniczną i rzeczową konwersację Rhysa z Parametrykiem (która, nawiasem mówiąc, nie miała absolutnie nic wspólnego z żadnym „wbijaniem”, ale dinajczycy lubili tak się właśnie wyrażać), Kath stwierdziła, że przejdą przez dwudziestokilometrową lukę pomiędzy siedliskami Saint-Exupéry i Knutholmen. W połowie odległości pomiędzy nimi znajdowała się

stacja bicza. Prawie każde ważniejsze siedlisko miało takie instalacje po obu swoich stronach. Stacje bicza były małymi modułami z pięcio- lub sześćoosobową załogą wymienianą rotacyjnie co kilka miesięcy, żeby nie zwariowała z nudów. Do jej obowiązków należało opiekowanie się tysiącami polatuchów – robotów najnowszej generacji, którym początek dały prace Rhysa Aitkena na pokładzie Izzy. Rhys pracował z gzami wielkości paznokcia; polatuchy instalowane na stacjach biczów wykonywały te same funkcje, były tylko dużo, dużo większe. Tworzone przez nie łańcuchy miały masę i bezwładność pociągów towarowych z czasów przed Dniem Zero; mogły się rozwijać i strzelać jak prawdziwe bicze albo dosięgać odległych celów jak mucha na końcu wędkarskiej żyłki. Trochę się przy tym zużywały. Ich konserwacją i naprawą mogły się zajmować inne roboty, jednakże specyficzne skrzywienie kulturalne Niebieskich nie pozwalało całkowicie wyłączyć człowieka z obiegu, toteż prawdziwi ludzie z krwi i kości mieli przy biczach masę roboty. Zakładając, że załoga stacji wywiązywała się ze swoich obowiązków, ich gromada polatuchów była gotowa do użytku i żadni inni podróżni nie zaklepali sobie tego akurat przedziału czasowego, rupieć z Kath Dwa, Rhysem i Beledem na pokładzie miał za około dwunastu godzin spotkać się z czubkiem aluminiowego bicza, którzy wystrzeli go na orbitę kołową o średnicy nieco większej niż średnica pierścienia. Kilka godzin później zacumują do złącza numer 65 w Sektorze Kwarantanny w zewnętrznej wypustce Oka.

W Oku obowiązywał ten sam czas lokalny, co w leżącej dokładnie pod nim ziemskiej strefie czasowej; w tej chwili dochodziła tam ósma rano i Kath Dwa spodziewała się poważnego jet lagu (kolejny termin z epoki pre-Zerowej, który funkcjonował w języku, chociaż dawno stracił dosłowne znaczenie). Zgodnie z konwencją powinni od razu przestawić się na czas Oka, żeby jak najszybciej zacząć się do niego przystosowywać. Mieli jednak za sobą długi dzień na Nowej Ziemi i byli zbyt wyczerpani, żeby udawać, że jest wczesny poranek. Jeszcze się zdążą przystosować do Kwarantanny. Kath Dwa zaklepała sobie łóżko wygodne dla typowej moiranki, zarezerwowała posiłek przy złączu nr 65 i zasnęła kamiennym snem.

* * *

Żrenica Oka była zbyt wielka, żeby wyprodukować ją jako pojedynczy, lity obiekt. Kiedy więc około dziewięciuset lat temu przystąpiono do pracy nad nią, zbudowano ją z ogniw połączonych w łańcuch, który następnie utworzył pętlę. Metoda ta wydałaby się znajoma Rhysowi Aitkenowi, który w podobny sposób zorganizował konstrukcję trzeciego torusa na Izzy. Dla niego, podobnie jak dla wszystkich ludzi obeznanych z historią techniki staroziemskiej, równie użyteczną metaforą byłoby porównanie do pociągu długiego na 157 kilometrów i utworzonego z 720 gigantycznych wagonów, w którym przód lokomotywy przytyka do jadącego na samym końcu brankardu. Średnica powstałego w ten sposób okręgu wynosiła 50 kilometrów. Jeszcze lepszą analogią byłoby odwołanie się do kolejki górskiej, ponieważ pociąg miał po wsze czasy jeździć w kółko.

„Torem”, po którym ów „pociąg” się poruszał, było okrężne wyżłobienie w żelaznym stelażu Oka, nafaszerowane czujnikami i elektromagnesami zapewniającymi elektrodynamiczne zawieszenie, dzięki któremu przemieszczający się po okręgu pojazd w ogóle nie stykał się z nieruchomą ramą Oka. Był to kluczowy wymóg konstrukcyjny, biorąc pod uwagę, że Wielki Łańcuch musiał rozwijać prędkość około pięciuset metrów na sekundę, żeby zapewnić mieszkańcom sztuczne ciężenie równe ziemskiemu.

Każde ogniwo łańcucha miało rozmiary zbliżone do kwartału miejskiej zabudowy na Manhattanie na Starej Ziemi, ich liczba (siedemset dwadzieścia) była zaś porównywalna z liczbą takich kwartałów w pociętej regularną siatką ulic części wyspy – chociaż wszystko zależało od tego, gdzie wytyczyłoby się granicę. W każdym razie łączna powierzchnia ogniw była większa niż Midtown, a zarazem mniejsza niż cały Manhattan. Mieszkańcy Wielkiego Łańcucha doskonale zdawali sobie sprawę z tego podobieństwa (do tego stopnia, że mieszkańcy innych siedlisk kpili z ich „kompleksu manhattańskiego”). Przy każdej okazji robili stop-klatki na filmach ze Starej Ziemi albo symulacjach Nowego Jorku sprzed Dnia Zero, szukając wskazówek na temat organizacji życia w mieście, wśród ulic i kamienic. Na swoją patronkę wybrali Świętą Luisę, ósmą z kobiet, które przetrwały na Rozpadlinie, pochodzącą z Manhattanu i zbyt starą, żeby zapoczątkować własną rasę. Z tych właśnie powodów Wielki Łańcuch – znany też jako

Chaintown albo Chainhattan – stał się miejscem, do którego człowiek przeprowadzał się, gdy miał dość swojego siedliska albo nawet całej swojej rasy. Zamieszkiwało go najwięcej rasowych mieszańców.

Podobnie jak na Manhattanie, także tutaj modułarny podział przestrzeni określił specyfikę jej rozwoju. Każde ogniwo łańcucha – każdy kwartał zabudowy – miało własny kształt i tożsamość. Sąsiadujące ze sobą ogniwa w naturalny sposób tworzyły dzielnice. Każde z nich było praktycznie niezależnym pojazdem kosmicznym wyposażonym we własny system hermetyzacji – ale też każde łączyło się z dwoma sąsiednimi za pośrednictwem tuneli wykopanych w fundamentach i umożliwiających przemieszczanie się pomiędzy nimi w taki sam sposób, w jaki mieszkańcy Londynu na Starej Ziemi korzystali z przejść podziemnych pod ruchliwymi skrzyżowaniami. Niektóre z tych tuneli miały rozmiary dogodne dla pieszych, ale były też inne, większe: w czterech z nich jeździły pociągi pasażerskie – lokalne oraz dalekobieżne ekspresy kursujące w obu kierunkach po całym obwodzie Wielkiego Łańcucha. Kolejne tunele zarezerwowano dla zrobotyzowanego transportu towarowego. Nie brakowało również mniejszych kanałów, którymi płynęły powietrze, woda, prąd i informacje. W tych większych ludzie biegali maratony: pełny obwód Wielkiego Łańcucha odpowiadał w przybliżeniu czterem połączonym dystansom maratońskim.

Każde ogniwo było z obu stron zaopatrzone w system śluz, które miały się automatycznie zamknąć, gdyby groziło niebezpieczeństwo dehermetyzacji. Co piąty moduł w ciągu był własnością publiczną – najczęściej urządzano w nich parki, chociaż w niektórych funkcjonowały także instytucje kulturalne. Tym sposobem mieszkaniac Wielkiego Łańcucha zawsze znajdował się nie dalej niż dwa ogniwa od kawałka zielonej – albo przynajmniej niezabudowanej – przestrzeni. Pozostałe 576 ogniw znajdowało się w rękach prywatnych i tworzyło rynek nieruchomości mieszkalnych i komercyjnych, na którym każdy magnat nieruchomościowy z epoki pre-Zerowej czułby się jak ryba w wodzie. Nie raz i nie dwa porównywano Wielki Łańcuch do starej gry planszowej „Monopoly”. Na niektórych jego odcinkach czynsze były wyższe, na innych niższe; w paru miejscach schemat przełamowały wyjątkowe ogniwa lub ciągi ogniw pełniące funkcje przemysłowe lub

usługowe, takie jak warsztaty systemu transportowego.

Jednym z takich modułów był Łącznik, który co pięć minut łączył się z Wjazdem i Zjazdem. Ponieważ Wielki Łańcuch poruszał się z prędkością pięciuset metrów na sekundę względem nieruchomej konstrukcji Oka, ludzie chcący się przesiąść z Oka na Łańcuch musieli zostać rozpędzeni do wcale niemałej prędkości, niemal 1,5 Macha, zanim mogli przejść na Łącznik (lub dowolne inne ogniwo); osoby planujące dełańcuchyzację, jak przyjęło się to nazywać, musiały z kolei wytracić podobną prędkość. Przyspieszaniem i spowalnianiem ludzi zajmowały się maszyny wbudowane w krawędź „żrenicy” Oka. Próbowano wprawdzie na różne sposoby maskować ich prawdziwą naturę, ale nie dało się ukryć faktu, że były to po prostu armaty strzelające ludźmi – aczkolwiek ludźmi zamkniętymi w wygodnych, hermetycznie zamkniętych pociskach.

Poza obszarem Wielkiego Łańcucha w Oku przebywało stosunkowo niewielu ludzi, znacznie więcej zaś robotów. Oko (Wielki Łańcuch, liny i cała reszta) okrążało Ziemię po orbicie geosynchronicznej, dlatego poza rejonami sztucznego ciężenia panowała w nim nieważkość. Oddalając się od jego środka ku jednemu z dwóch zwężeń, z których wybiegały liny (jedna z Kolebką na końcu, druga z Kamulcem), odczuwało się działanie sił pływowych przejawiających się jako ledwie wyczuwalne grawitacyjne szarpnięcia. Były one wyczuwalne za każdym razem, gdy Oko zmieniało orbitę i przesuwało się wzdłuż pierścienia siedliskowego; ludzie, którzy spędzali w nim dużo czasu, czuli w kościach, że Oko się porusza – podobnie jak mieszkańcy Starej Ziemi umieli przepowiadać pogodę, gdy strzykało ich w kolanach.

Niezbyt skomplikowany szkielet Oka skonstruowano na modłę amaltheańską: zamiast budować go od zera z dostarczonych z zewnątrz surowców, wyrzeźbiono go i uformowano z materiału dostępnego na miejscu – metalu z Rozpadliny. Z tego też powodu duże elementy konstrukcyjne wyglądały nieco topornie, trochę jak drewniane bale do budowy górskiej chaty, nieokorowane i sękate. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniały gigantyczne maszyny, wśród których rzucały się w oczy wirujące bryły o ogromnej masie, pełniące rolę stabilizatorów żyroskopowych. W wolne zakamarki wśród maszyn poupychano hermetyczne moduły, w których mogli przebywać ludzie. Niektóre

z nich wirowały wokół własnej osi, zapewniając namiastkę ciężenia; przypominały miniaturowe kolonie kosmiczne w kształcie torusa podpięte do innej, znacznie większej budowli. W ich okolicy znajdowało się najwięcej złączy cumowniczych.

Zapadając w sen, Kath Dwa miała przed oczami tradycyjny krąg opalizujących punkcików upakowanych tak gęsto, że w properze nie dało się ich rozróżnić. Oko było nieco większą kropką pomiędzy godziną dwunastą i pierwszą; trudno byłoby je wypatrzeć, gdyby nie biała kreska przedstawiająca linię biegnącą niemal od powierzchni Ziemi, przez białą kropkę, aż do Kamulca. Trajektoria rupiecia – wyrazista zielona elipsa – biegła od punktu, w którym się teraz znajdowali (blisko Ziemi), sięgała nieco poza pierścień mieszkalny, po czym zakrzywiła się z powrotem i spotykała z Okiem.

Widziane spod zmrużonych powiek rozmyte obrazy przypominały jej widok, który powitał ją z samego ranka: migotliwe plamy światła na ścianach namiotu. A potem proper zorientował się, że zamknęła oczy, i zgasił wyświetlacz.

Kiedy się obudziła, proper natychmiast zareagował i ożył, wyświetlając obraz, który prawie się nie zmienił – tyle że Oko odrobinę się przemieściło, a kropka symbolizująca rupieć pokonała większość odległości dzielącej ją od pierścienia. Na zbliżeniu Kath Dwa wyraźnie widziała dwa siedliska, pomiędzy którymi mieli przelecieć, i znacznie mniejszą od nich stację bicza, której cienka jak włos wić wyciągała się już na spotkanie rupiecia. Musiała przespać dobre dziesięć godzin; moiranie słynęli z tego, że potrafią długo spać. Przypomniawszy sobie wymieniane z Beledem znaczące spojrzenia, poczuła – i natychmiast zdławiła – lekkie zakłopotanie faktem, że po prostu przechrapała większość podróży.

Odpiąwszy się od leżanki, przefrunęła do nieważkościowej toalety w głębi kabiny. Kiedy parę minut później się z niej wynurzyła, stwierdziła, że Rhys śpi luźno przypięty pasami do fotela przed pulpitem sterowniczym. Beled dalej leżał na swojej leżance: nasunął proper na twarz i – sądząc z ruchu rąk i palców – chyba raczej pracował, niż grał. Najprawdopodobniej przygotowywał raport ze zwiadu. Czym ona również powinna się zająć.

Reprezentowali cywilizację, która w Czwartym Tysiącleciu rozpoczęła

realizację planu zmierzającego do naprawienia wyrządzonych przez Agenta szkód poprzez zidentyfikowanie, skatalogowanie, namierzenie, osaczenie i zawrócenie milionów kamieni orbitujących wokół Ziemi, a także sięgnięcie do Pasa Kuipera w poszukiwaniu brył zamrożonej wody, metanu i amoniaku, by następnie je sprowadzić i roztrzaskać o powierzchnię zniszczonej planety. Praktycznie całą tę pracę wykonali roboty, których skonstruowanie pochłonęło takie ilości metalu, że obecnie miliony ludzi żyły w siedliskach orbitalnych, których stalowe kadłuby odlano z przetopionych robocich trucheł. Z łatwością można było pokryć całą powierzchnię Nowej Ziemi robotami, które bez udziału choćby jednej istoty ludzkiej dokonałyby specyficznego, mechanistycznego rozpoznania – obfitującego w twarde dane, skąpego zaś w ocenę sytuacji. W takiej wersji historii Kath Dwa i pozostali członkowie Zwiadu spędzaliby całe życie w siedliskach, harując przed properami i analizując informacje. Dyskusja o tym, czy takie podejście byłoby lepsze, czy gorsze od tego, czym faktycznie się zajmowali, mogłaby obfitować w arcyciekawe argumenty natury filozoficznej, ale tak naprawdę filozofia nie miała tu nic do rzeczy. Decyzja, żeby zrobić to tak, a nie inaczej, wpływała – pół na pół – z polityki i socjologii.

Aspekt polityczny sprowadzał się do zapisów Drugiego Traktatu Pokojowego, który przed osiemnastu laty położył kres drugiej wojnie czerwono-niebieskiej, czasami nazywanej także Leśną Wojną dla odróżnienia od wcześniejszej Wojny Na Skałach. Traktat narzucił ścisłe ograniczenia na liczbę robotów, które każda ze stron miała w przyszłości wysyłać na powierzchnię. Nawiasem mówiąc, ograniczył także liczbę ludzi, ale dobra strona tego rozwiązania była taka, że nawet w ramach tych limitów ludzie zwiadowcy gromadzili więcej użytecznych informacji o warunkach panujących na Nowej Ziemi niż horda robotów przesyłających dane przez radio na orbitę.

Od strony społecznej kluczowa okazała się tak zwana amistyka – termin ukuty przed wiekami przez moirańskiego antropologa na określenie decyzji, jakie różne kultury podejmowały w kwestii tego, z których wytworów techniki będą korzystały, a dla których nie ma w nich miejsca. Słowo to wywodziło się od amiszów z pre-Zerowej Ameryki Północnej, którzy wybrane owoce nowoczesności akceptowali (wrotki), a innych nie (silniki spalinowe). Wszystkie kultury

zachowywały się podobnie, często nie zdając sobie nawet sprawy, że dokonują zbiorowych wyborów.

Jeśli można w ogóle mówić o jakiejś spójnej kulturze Niebieskich, to miała ona skłonność do ambiwalentnego postrzegania techniki, reprezentując podejście, które można by streścić następującym aforyzmem: „Każde ulepszenie to amputacja”. Nie była to właściwie jasno określona idea ani filozofia, lecz raczej uprzedzenie działające niemal na poziomie podprogowym. Jego źródła można się było doszukiwać w niektórych fragmentach Eposu. W wielu z nich ważną rolę odgrywał Tavistock Prowse, postrzegany jako dosłowne wcielenie tego aforyzmu, ponieważ po przyłączeniu się do Roju przeszedł serię amputacji, a następnie został zjedzony. Niebiescy uważali się za kontynuatorów tradycji *Endurance*; kulturoznawcy uważali wręcz, że jest to dla nich cecha definicyjna. Przez analogię Czerwoni musieli więc być spadkobiercami kultury Roju. Półtora stulecia temu Czerwoni odgradzili się od reszty świata barierami materialnymi i kryptograficznymi, niewiele więc wiedziano o ich kulturze, ale liczne poszlaki wskazywały, że wyznają zupełnie inną amastykę niż Niebiescy. Mówiąc wprost, byli entuzjastycznymi zwolennikami personalnych uprawnień technicznych.

Skutek dla pasażerów rupiecia był taki, że zakończone przez nich misje zwiadowcze nie miały żadnej wartości – tak jakby w ogóle nie zostały przeprowadzone – dopóki Kath Dwa, Beled i Rhys nie złożą z nich raportów. Przy czym taki raport nie mógł się składać ze zdjęć i surowych danych. Zwiadowcy musieli pisać najprawdziwszą prozą. Im więcej zawarli w niej osobistych sądów i spostrzeżeń, tym wyżej cenili ich pracę ludzie tacy jak Doc oraz – coraz częściej – jego studenci ze starszych lat.

Mając tę świadomość, Kath Dwa rozpoczęła pracę nad swoim raportem, zanim jeszcze jej szybowiec dwa tygodnie wcześniej wylądował na rozległej łące na Ziemi; teraz zostało jej tylko zrobienie streszczenia i naniesienie poprawek, z czym nie powinna mieć trudności. Tymczasem pół godziny po tym, jak wyświetliła dokument w properze, złapała się na tym, że gapi się nań bezmyślnie i nie może się skupić.

– Beled? – odezwała się w końcu dostatecznie głośno, żeby ją usłyszał,

ale zarazem na tyle cicho, żeby nie obudzić Rhysa.

– Pisziesz raport? – domyślił się.

Widział ją, podobnie jak całą kabinę, poprzez półprzezroczysty wyświetlacz propera; być może zwrócił uwagę na ruchy jej palców wskazujące na wprowadzanie tekstu. Tak czy inaczej, jego pytanie zabrzmiało odrobinę nerwowo. Kilka godzin wcześniej zauważył malujące się na jej twarzy wahanie. Trudno było teraz stwierdzić, jak długo ją obserwował, korzystając z tego, że proper skrywa mu oczy.

– Widziałeś jakichś tubylców?

Podniósł rękę i zsunął proper na czoło: uprzejmy gest.

– Tak zaplanowałem trasę, żeby ominąć pewną LST – odparł.

Licencjonowana Strefa Tubylcza – jeden z rejonów wskazanych w traktacie pokojowym jako miejsca, w których wcześniacy (ludzie, którzy wbrew prawu przed czasem osiedlili się na powierzchni), znani pod uprzejmie wymijającą nazwą „tubylców”, mogli legalnie przebywać, stosując się do pewnych obostrzeń.

– Widziałem ich z daleka – dodał Beled. – Oni mnie nie.

– Oczywiście. – Kath Dwa stłumiła cisnący się na usta uśmiech.

– Czy odpowiedziałem na twoje pytanie? – spytał Beled, wiedząc, że to nie wystarczy.

– Ja widziałam jednego poza LST.

To przykuło uwagę Beleda.

– Zakładał nową osadę czy...

– Nie – ucięła stanowczo Kath Dwa. – Powiedziałabym wam od razu, gdyby tak było. Wydaje mi się, że nie przekroczył albo nie przekroczyła ram. – Czyli prowadził działania dopuszczone w ramach Drugiego Traktatu, takie jak polowanie albo zbieranie pożywienia. – Najpewniej łowił ryby. Ale to było co najmniej dwieście kilometrów od najbliższej LST.

– Dość daleko, żeby taszczyć martwe ryby.

– To prawda – przytaknęła Kath Dwa i poczuła, że się rumieni. Beled wytknął rzecz oczywistą, a jej ten szczegół umknął.

– Zainteresowałaś się tym bliżej?

– Nie mogłam. Zobaczyłam go z szybowca, podczas powrotu.

– Nie musisz wszystkiego tłumaczyć w raporcie – zauważył Beled. – W takich okolicznościach pozostawienie tej sprawy własnemu biegowi

jest do przyjęcia. Inny zwiadowca będzie miał ciekawe zadanie do wykonania. Na pewno się ucieszy.

Kath Dwa wpadła na pewien pomysł.

– A może to my dostaliśmy to zadanie?

– Wyjaśnij.

– Nie masz wrażenia, że Zwiad przejawia ostatnio wzmożoną aktywność w tym rejonie?

– To dość niezwykle – przyznał po namyśle Beled. – Chociaż nie bez precedensu.

– Tak się zastanawiam... Może jakiś zwiadowca wcześniej zobaczył to, co ja teraz, zameldował o tym i zaczęto nas częściej tu kierować?

– Zostalibyśmy poinformowani, czego szukać – zauważył Beled.

Brzmiało to sensownie, a na dodatek powiedział to z takim przekonaniem, że Kath Dwa skinęła głową i postanowiła nie drążyć tematu.

A jeśli nie chcą, żebyśmy się o czymś dowiedzieli? – pomyślała tylko.

Rozmowa z Beledem przydała jej się o tyle, że wiedziała już, co zrobić ze spotkaniem z tubylcem: postanowiła wspomnieć o nim jak o niedokończonym sprawie i przerzucić w ten sposób problem na barki odbiorcy raportu. Wychodząc z takiego założenia, skoncentrowała się na ulotnym wspomnieniu; usiłowała oddzielić obiektywne spostrzeżenia od formowanych później ocen i domniemań. Nie było to łatwe, bo ocenianie sytuacji i snucie domysłów należały do jej obowiązków.

Chwilę później Rhys obudził się na dźwięk nastawionego wcześniej budzika na przegubie dłoni. Na wpół śpiąc, odbył wycieczkę do łazienki i z powrotem, posławszy po drodze Kath Dwa spojrzenie typowe dla ekstrawertyka, który każe ci porzucić dotychczasowe zajęcia i wdać się z nim rozmowę. Zamienił parę słów z Beledem i zasiadł do pracy nad swoim raportem. W kabinie zapadła cisza. Nieco później Rhys i Beled rozpakowali racje żywnościowe i coś przekąsili, rozmawiając o wszystkim i o niczym.

Lekka zmiana tonu ich głosów wyrwała Kath Dwa z pracowitego skupienia. Teraz rozmawiali o czymś ważnym. Chociaż bez szczególnego niepokoju. Rzut oka na ekran wyjaśnił jej sytuację: zbliżali się do pierścienia i wkrótce mieli przemknąć przez dwudziestokilometrową lukę pomiędzy siedliskami. Nie powinno im to

przysporzyć kłopotów, ale takie wydarzenia w naturalny sposób przyciągają uwagę i wprowadzają zauważalną zmianę w głosie.

Namaciała i przestawiła na properze dźwigienkę, która opuszczała nieprzezroczystą osłonę na urządzenie. Jakby założyła opaskę na oczy. Nie widziała już kabiny, tylko obrazy wyświetlane przez proper. Uruchomiła aplikację pozwalającą jej obserwować otoczenie rupiecia w taki sposób, jakby szybowiała obok niego w kosmosie. Podobny – chociaż słabszy – efekt można by uzyskać, wyrzawszy na zewnątrz z wbudowanej w kadłub przezroczystej kopuły obserwacyjnej, tyle że głowa widza byłaby dodatkowo narażona na działanie promieniowania kosmicznego, a silne kontrasty światła i cienia utrudniałyby dostrzeżenie szczegółów. Tymczasem proper wyczyniał różne cuda z dynamiką obrazu: jasne obiekty stawały się nieco ciemniejsze, a ciemne zachowywały dość światła, żeby dobrze się je oglądało. Cały obraz nabierał ciepłej świetlistości, której w rzeczywistości był pozbawiony. Wrażenie tak dalece przewyższało bezpośrednią obserwację, że wielu konstruktorów skafandrów wyrzekło się przezroczystych hełmów i zamykało głowę użytkownika w ekranowanej kopule z wbudowanym properem.

Kath Dwa oglądała więc podkreconą wizję wszechświata widzianą z perspektywy rupiecia, który znajdował się jeszcze w obrębie pierścienia mieszkalnego, ale szybko się doń przybliżał.

Pierścień wirował wokół nich. Wrażenie było trochę takie, jakby z wewnątrz karuzeli obserwować pędzące koniki na jej obwodzie, tyle tylko że miejsce koników zajmowały siedliska o przekątnej trzydziestu kilometrów, gnające z prędkością trzech tysięcy metrów na sekundę.

Należało się między nie wstrzelić – i nie dać się im trafić. Wedle standardów mechaniki orbitalnej nie był to żaden wielki wyczyn, manewr wyglądał jednak skrajnie niebezpiecznie i oglądanie go sprawiało wielką frajdę. Kiedy Kath Dwa patrzyła prosto przed siebie, siedliska przecinały jej pole widzenia jak zęby piły łańcuchowej, a mimo to rupieć jakimś cudem znalazł wolną przestrzeń pomiędzy dwoma z nich.

– Połączenie z biczem za trzy – obwieścił syntetyczny głos.

Kath Dwa odruchowo sprawdziła zapięcie przytrzymujących ją pasów.

Olbrzymi bicz kielkował w ich kierunku. Rozmiarami przypominałby niezwykle długi pociąg towarowy ze Starej Ziemi, który zamiast z wagonów składał się z polatuchów połączonych w jeden długi łańcuch.

Jeżeli zainicjowane przez Rhysa przygotowania przebiegły zgodnie z planem (a gdyby tak nie było, z pewnością by się o tym dowiedziała), to kilka godzin wcześniej setki polatuchów zaczęły się łączyć w jeden długi ciąg, który osiągnąwszy pożądaną długość (zależną od zadania, które mu przeznaczono), spiął swój koniec z początkiem i został wprowadzony w ruch przez zainstalowany w stacji bicza zwykły liniowy silnik. Utworzył wydłużony owal znany pod nazwą Pętli Aitkena, a następnie poświęcił nieco czasu na szczegółowe modyfikacje kształtu i osiągnięcie dokładnie wymaganej prędkości. Polatuchy były nieskomplikowanymi zwierzakami; składały się z litego aluminium odlanego w pożądaną kształty. Każdy polatuch miał w środku staw, który pozwalał mu się swobodnie wyginać we wszystkich kierunkach; inżynier nazwałby go solidnym przegubem uniwersalnym. Na obu końcach polatucha znajdowały się sprzęgi umożliwiające tworzenie sztywnych i trwałych połączeń z innymi polatuchami. Gdzieś w tej całej strukturze tkwiło parę gramów krzemu, który nadawał polatuchowi inteligencję, oraz wzdlużne przewody do przekazu prądu i danych.

Przed chwilą jeden z polatuchów otrzymał wiadomość, że powinien się odłączyć od swojego sąsiada z tyłu; odebrał ją dokładnie w tym momencie, w którym wychodził ze stacji. Z chwilą rozłączenia sprzęgu układ przestał stanowić Pętlę Aitkena i przeobraził się w gigantyczny bicz. Nikszt (prastara, zniekształcona forma słowa *Knickstelle*, oznaczająca U-kształtne zagięcie u szczytu pętli) zaczął się propagować od stacji w dal, ciągnąc za sobą swobodny koniec bicza i nabierając prędkości, by w krótkim czasie osiągnąć dwa tysiące metrów na sekundę. To właśnie widziała Kath Dwa w wirtualnej rzeczywistości: pędzące im na spotkanie zagięcie bicza. Końcówka na razie się za nim kryła, ale za chwilę miała wyskoczyć naprzód, targnięta ostatnim potężnym impulsem przyśpieszenia.

Cała ta energia była skierowana „wstecz” z punktu widzenia znudzonych członków załogi, którzy najprawdopodobniej monitorowali sytuację ze stacji przy „uchwycie” bicza. Stacja poruszała się znacznie szybciej od rupiecia, dlatego, dążąc do fizycznego kontaktu ze

zbliżającym się stateczkiem, musieli sięgnąć „do tyłu” – przy czym „sięgnąć” było tu terminem o tyle niestosownym, że potrzebny był raczej gwałtowny, wybuchowy cios w tył, żeby dostosować się do niższej prędkości rupiecia. Bicz idealnie się do tego nadawał.

Mimo wszystko nie zdołała powstrzymać się od wzdrygnięcia, gdy kilka ostatnich polatuchów zakrzywiło się wokół rupiecia. Widok w properze przyprawiał o mdłości; oko nie umiało sobie poradzić z faktem, że bicz jako całość się od niego oddala, a zarazem sama jego końcówka wybiega mu na spotkanie. Wystarczyłaby drobna pomyłka w obliczeniach, żeby bicz albo chybił ich i porzucił samotnych w kosmosie, albo uderzył w rupieć z prędkością naddźwiękową i zniszczył go równie nieodwołalnie, jak robiły to bolidy w Eposie.

Zamiast tego dwie prędkości zgrały się idealnie i ostatni polatuch na ułamek sekundy po prostu zawisł przed rupieciem, tak jak wcześniej hangar, w którym lądowali.

– Połączenie – zameldował ten sam syntetyczny głos, zgola niepotrzebnie, bo Kath Dwa najpierw usłyszała zgrzyt sprzęgu, a potem poczuła przeciążenie, gdy rupieciem targnęło w bok i w przód. – Przygotować się do stabilizacji.

Delikatne stwierdzenie faktu, że po zagarnięciu rupiecia w biczu zapanował lekki chaos. Rupieć był w tej chwili pchany naprzód potężną siłą, która miała mu umożliwić zrównanie się ze stacją bicza i innymi obiektami w pierścieniu siedliskowym. Jednakże z konstrukcji bicza wynikała jego podatność na oscylacje boczne, zrywy i przerwy w przyspieszaniu, które poprzez korekty ustawienia polatuchów można było wytłumaczyć, ale nie dało się ich wyeliminować.

– Hebel w położeniu przeciwnym – zabrzmiał następny komunikat.

Słowo „hebel”, podobnie jak *Knickstelle*, wywodziło się z języka niemieckiego i oznaczało dźwignię u podstawy bicza, przymocowaną do stacji i dającą się przestawiać z boku na bok. Był więc hebel w praktyce odpowiednikiem ręki, która strzela z bicza, i wkrótce po pierwszym strzale (zakończonym udanym połączeniem) przeskoczył na drugą stronę stacji, inicjując drugi strzał w przeciwnym kierunku. W miejscu, w którym bicz wyrastał z hebla, powstał w ten sposób nowy nikszt, który zaczął się przemieszczać „do przodu”, stopniowo nadając

rupieciowi prędkość niezbędną do zakończenia misji.

Cały proces zajął około trzech minut. Podsuwane przez proper obrazki pomagały ogarnąć kontekst. Piła łańcuchowa zwolniła (choć oczywiście w rzeczywistości jej zęby pędziły z niezmienną prędkością, a rupieć tylko je doganiał) i z punktu widzenia Kath Dwa pierścień siedliskowy przestał wyglądać jak wirujący derwisz i zaczął się rozpadać na odrębne obiekty – wciąż śmigające obok rupiecia, ale coraz wolniej i wolniej – aż wreszcie znieruchomiał. W tym samym momencie w polu widzenia pojawiło się coś naprawdę ogromnego: Oko, dokładnie na wprost.

– Odłączenie – zabrzmiał głos.

Czas był po temu najwyższy, bo przeciążenie stało się trudne do zniesienia: gdyby nie oderwali się od czubka bicz, najpierw by ich ogłuszyło, potem zabiło, a na koniec rozdarło rupieć na strzępy. Polatuchy budowano z myślą o obciążeniach, jakich człowiek i zwykły statek kosmiczny nie byli w stanie znieść. Jednakże kształt niksztu i czas kontaktu z nim zostały wyliczone w taki sposób, żeby rozpędzić rupieć do niezbędnej prędkości i wystrzelić na żądaną trajektorię tuż przed kryzysem, który bicz ze Starej Ziemi zasygnalizowałby gromem dźwiękowym.

Znowu zapanowała nieważkość, jeśli nie liczyć korekcyjnych dmuchnięć silników manewrowych. Kath Dwa pojaśniało przed oczami. Przełknęła kilka razy ślinę, żeby uspokoić wzburzony żołądek.

Najzabawniejszy był w tym wszystkim fakt, że cała procedura – od lądowania szybowcem w hangarze, przez lot w bolas, aż po zakończoną przed chwilą interakcję z biczem – oglądana z daleka wydawałaby się spokojna, wdzięczna, nawet delikatna. Chcąc zrozumieć intensywność akceleracji i przeciążeń, trzeba było przeżyć je osobiście.

Próbując zająć myśli czymś innym, obejrzała sobie Oko.

W tej chwili Oko obejmowało Akureyri – duże (milion sto tysięcy mieszkańców) i w miarę nowe (osiemdziesiąt cztery lata) siedlisko zbudowane w stylu nieoficjalnie nazywanym „dwururką”, a historycznie znanym jako Wyspa O’Neilla typu trzeciego: dwa ogromne cylindry położone równolegle, obracające się w przeciwnych kierunkach, okryte zespołami luster i innej infrastruktury. Lustra celowały w słońce, którego odbite promienie wpadały następnie przez

przezroczyste pasy kadłuba do wnętrza cylindrów i oświetlały tamtejsze krajobrazy. Dochodziła jednak szósta wieczorem czasu lokalnego i zwierciadła z wolna przestawiano w położenie symulujące zmierzch. Gdyby zrobić w properze zbliżenie, można by zajrzeć do środka jednego z cylindrów Akureyri i zobaczyć farmy, lasy, rzeki i osiedla ludzkie. Ponieważ jednak Kath Dwa wiedziała z grubsza, jak to wygląda, zadowolili się obrazem z oddalenia.

Nie miała zresztą wyboru, jeśli chciała obejrzeć Oko. Akureyri, choć ogromne, przy okalającej je konstrukcji prezentowało się niepozornie. Elementem Oka najbardziej zwracającym uwagę był pędzący z niewiarygodną prędkością Wielki Łańcuch, Manhattan na kolejce górskiej, w pięć minut zataczający pełny krąg.

Nie tam się jednak udawali. W miarę jak Oko rosło w wyświetlaczu propera, jego wirująca źrenica odsunęła się na bok i stało się oczywiste, że silniki manewrowe wykierowały rupiecia w stronę jednego z rejonów mieszkalnych ulokowanych w nieruchomej ramie z podziurawionego kraterami żelaza: krąg osiemdziesięciu złączy cumowniczych okalała ogromna, błyszcząca żółta litera Q, rozpoznawalna przez wszystkich jako Quarantine, logo sektora kwarantanny.

Na oko sądząc, około dwóch trzecich złączy w sektorze Q zajmowały statki kosmiczne – głównie różne modele rupieci plus dwa pasażerskie liniowce. Złącza były oznaczone świecącymi cyframi oraz opisane powszechnie używanym w pierścieniu alfabetycznym łączącym litery łacińskie ze znakami cyrylicy:

TRANZIT
KОНТРОЛЯ ГРАНИЧНА
ВОJSKOWY
ZWЯD
CPEЦ.

Obwódka zielonych lampek okalająca wolne złącze (numer 65) zaczęła migać. Rupieć na autopilocie i bez tego wiedział, dokąd lecieć, był to więc pokaz na wyłączny użytek ludzi – a także plan awaryjny na wypadek, gdyby (co było mało prawdopodobne) trzeba było ręcznie

sterować statkiem.

Kath Dwa naoglądała się w życiu dość cumowań, zdjęła więc proper i położyła go na kolanach. Nastąpiła seria szarpnięć i szturchnięć, ostatecznie zakończona otwarciem drzwi śluzy.

Rura transportowa w żółte paski prowadziła do części sektora kwarantanny przeznaczonej dla ludzi, którzy – tak jak oni – wracali z powierzchni Ziemi. Kilka metrów dalej znajdowały się w niej drzwi, otwierane tylko z jednej strony i skonstruowane w taki sposób, że tylko jedna osoba naraz mogła przez nie przejść. Na umieszczonym przed nimi wieszaku znajdowały się sztywne bransoletki, oznaczone kolorem jako przeznaczone dla członków Zwiadu i opatrzone czytelnymi dla maszyn symbolami. Kath Dwa zapięła sobie jedną z nich na nadgarstku, a wtedy czerwona dioda na bransoletce zaczęła mrugać, a cyfrowy zegar odmierzać czas. Machnęła bransoletką przed drzwiami, które się otworzyły i przepuściły ją w głąb rury.

Tę część sektora Q niemal w całości wypełniały instalacje pomocnicze: kłęb rur transportowych, które odsysały pasażerów z przybywających statków i przerzucały ich do osobnych rezerwuarów, gdzie czekali na przegląd. Kath Dwa, Rhysa i Beleda czekały oględziny pod kątem przenoszenia gatunków inwazyjnych i patogenów, sterylizacja ubrań i wyposażenia, obowiązkowy prysznic z szorowaniem oraz badanie krwi i stolca. Ponieważ jednak należeli do Zwiadu, nikogo nie interesowała ich przeszłość, poglądy polityczne, stabilność emocjonalna ani motywacje – cały personel zwiadowczy był z góry przebadany pod tym kątem. W zależności od obłożenia laboratoriów, kwarantanna mogła trwać od sześciu do dwudziestu czterech godzin.

* * *

Przecucie Kath Dwa, że jest celowo przetrzymywana w sektorze Q, z wolna przeobrażało się w pewność. Po kilku godzinach dostała zgodę na swobodne poruszanie się po pomieszczeniach wspólnych na tutejszej ziemi niczyjej: stołówkach, sklepach, poczekalniach i siłowniach rozlokowanych w torusie ze sztucznym ciężeniem równym około pół g. To oznaczało, że pomyślnie przeszła wszystkie badania biologiczne –

a mimo to bransoletka dalej świeciła na czerwono. Zegar odmierzył pełny dzień, potem półtora. Kath Dwa przestawiła się na rytm dobowy Oka i zaczęła się zmagać z jet lagiem.

W sektorze panował spory tłok; może to była jedna z przyczyn zwłoki. W ostatnich dwóch tygodniach sunące na zachód Oko odwiedziło najstarsze i najgęściej zaludnione rejony Greenwich, kierując się w stronę Zielonego Przylądka i dalej do Rio. W takim miejscu – blisko cmentarzyska, w obszarze zdominowanym przez duże, nowe siedliska – w kwarantannie należało się spodziewać dużej liczby pasażerów tranzytowych: emigrantów ze starszych i bardziej zatłoczonych modułów zmierzających do nowszych siedlisk, takich jak Akureyri. Zaludnianie siedliska potrafiło trwać całe dziesięciolecia; populacja rosła stopniowo, w miarę rozbudowy tkanki mieszkalnej oraz udoskonalania ekosystemu. Kiedy już niebawem Oko dotrze do Zielonego Przylądka, liczba jego mieszkańców spadnie niemal do zera: zostaną tylko nieliczni robotnicy udający się na budowy nowych siedlisk oraz garstka cierpliwych pasażerów długodystansowych. Na razie jednak infrastruktura sektora Q była skrajnie obciążona i po jedzenie ustawiały się kolejki, zwłaszcza w tych jadłodajniach, które obsługiwały całe rodziny – często bowiem zdarzało się, że ludzie podejmowali decyzję o emigracji, gdy w rodzinie pojawiały się małe dzieci: rodzicom się wydawało, że ich pociechom dobrze zrobi przeprowadzka do nowego, czystego środowiska, gdzie będą mogły się wyszaleć.

Dlatego przez pewien czas Kath Dwa wmawiała sobie, że opóźnienie ma przyczyny natury biurokratycznej: za dużo emigrantów i za mało personelu.

Drugiego dnia zobaczyła w siłowni Beleda mocującego się z przyrządami ustawionymi na nieludzkie obciążenie, zdatne wyłącznie dla młodych teklan płci męskiej. Odczekała, aż skończy i weźmie prysznic, po czym spotkali się na drinku. Beled twierdził, że widział Rhysa z bransoletką świecącą na zielono, udającego się do wyjścia z sektora.

– Kiedy? – zaciekawiała się Kath Dwa.

– Wczoraj. Osiem godzin i dwadzieścia minut po przylocie.

Parę godzin później wyprowadzili się ze swoich jednoosobowych pokojów i przenieśli do nieco większej dwójki. Zaczęli ze sobą sypiać, nie

uprawiając seksu, co było całkiem naturalnym zachowaniem u mieszanych par moirańsko-teklańskich, których członkowie praktycznie się nie znali. Kiedy Beled miał wzwód (a zdarzało się to dosyć często), szedł do łazienki i się masturbował. Była to dla niego reakcja tak absolutnie naturalna, że każda inna wydałaby mu się dziwna. Kath Dwa wiedziała, że może liczyć na jego niewzruszoną samodyscyplinę, Beled wiedział, że ona tego właśnie od niego oczekuje – i taka sytuacja mogła trwać w nieskończoność, dopóki któreś z nich nie zasygnalizuje, że dojrzało do jakichś zmian.

Kath Dwa – cierpiąca na bezsenność i nie tak biegła w masturbacji jak Beled – zepchnęła jego rękę ze swojego tułowia (wysilek porównywalny ze zwleczeniem nieprzytomnego dziesięciolatka z łóżka), wymknęła się z pokoju i udała na poszukiwanie miejsca, w którym mogłaby wytracić trochę czasu, aż zrobi się senna.

Stanąwszy w kawiarni w kolejce po czekoladę, wylądowała obok drobnej, smukłej julijki; kobieta miała sześćdziesiąt kilka lat i czytała książkę – albo przynajmniej udawała, że czyta. Tak czy inaczej, kiedy czekanie się przedłużało, straciła w końcu zainteresowanie lekturą, zamknęła książkę, stłumiła ziewnięcie i spojrzała pytająco na Kath Dwa.

– Wróciłaś z powierzchni?

To akurat wynikało z koloru bransoletki, ale było oczywiste, że nieznajoma próbuje ją po prostu zagadnąć.

– Tak – potwierdziła.

– Tutaj mieszkasz? – spytała julijka, mając na myśli Oko.

– Właściwie chwilowo nigdzie nie mieszkam – przyznała Kath Dwa. – Kiedy pracuje się w Zwiadzie, trudno gdzieś osiaść na stałe.

– Czyli po prostu wpadłaś odpocząć w Wielkim Łańcuchu. Fajnie.

Kath Dwa zdawała sobie doskonale sprawę, że ma do czynienia z agentką Kwarantanny. Oni tak właśnie działali: zamiast przesłuchiwać człowieka w pokoju bez okien, próbowali go wciągnąć w niewinną rozmowę. I taki był właśnie cel istnienia tych wszystkich obszarów wspólnych w sektorze – gdzieś przecież trzeba było te rozmowy prowadzić.

– Nie wykluczam możliwości odpoczynku, ale tak naprawdę wybieram się do Stromness – odparła Kath Dwa. Nie chciała dać powodów do podejrzeń, że coś ukrywa.

– Na uniwersytet? W odwiedzinie do znajomego?

Czy powinna nazwać Doca znajomym?

– Raczej nauczyciela. Mentora.

– Podobno Stromness jest piękne, tak słyszałam. Nigdy tam nie byłam.

Wielu (zapewne nawet większość) ludzi uczestniczących w takich rozmowach nie miała pojęcia, że ma do czynienia z agentem Kwarantanny – głównie dlatego, że przeciętny człowiek rzadko lądował w sektorze Q, a kiedy już mu się to zdarzyło, najczęściej wchodził w skład dużej grupy podróżnych, w której taki wywiad łatwo było wziąć za niezobowiązującą pogawędkę.

Kath Dwa miała wystarczająco duże doświadczenie, żeby dokładnie wiedzieć, co jest grane. Julijka też wiedziała, że ona wie, a mimo to obie zamierzały kontynuować przedstawienie. Kath Dwa powstrzymała się od komplikowania sobie życia poprzez pytanie, skąd przyleciała jej rozmówczyni i dokąd się wybiera; na pewno miała przygotowaną wiarygodną odpowiedź, ale wymuszanie jej byłoby stratą czasu.

Kolejka posuwała się w żółwym tempie, ale w końcu obie stanęły przed zawieszonym ponad kasą ekranem wyświetlającym sceny z Eposu. Zegar w narożniku wskazywał dzień A+3.139, zatem około półtora roku od rozpoczęcia Wielkiej Jazdy. Nagranie nie pochodziło z pokładu *Endurance*, lecz z jakiejś z miniarki, a więc najprawdopodobniej z Roju. Na pokładzie panowało sztuczne ciężenie, a to oznaczało, że arka musiała wchodzić w skład bolas. Kath Dwa na pierwszy rzut oka nie rozpoznała żadnego z pasażerów; oczywiście wszyscy zaliczali się do klasycznych ludzi i nie należeli do żadnej z siedmiu istniejących obecnie ras, byli jej jednak dostatecznie bliscy, by rozumiała, co czują. Podobnie jak wszystkie postaci w Eposie, mówili z archaicznym akcentem sprzed pięciu tysięcy lat.

W tej chwili w kadrze nie było żadnej Ewy (oczywiście w całym Roju były tylko dwie: Julia i Aïda), należało się zatem domyślać, że sceny pochodzą z tak zwanego odprysku, czyli nagrania z Eposu, w którym nie zarejestrowano wprawdzie słów ani czynów Ew, ale które mimo to uchodziło za wystarczająco istotne, by włączyć je do kanonu i wyświetlać w takich miejscach jak ta kawiarenka. Kath Dwa nie mogła się oprzeć wrażeniu, że kiedyś już widziała ten fragment – dawno temu, być może w szkole. Straciła poczucie czasu i rozeznanie w strefach

czasowych, była jednak praktycznie pewna, że jest Julian, toteż odtwarzane publicznie fragmenty Eposu najprawdopodobniej upamiętniały jakieś słowa lub czyny Ewy Julii.

– Wszystkie najlepszego w Dniu Ewy – powiedziała do stojącej obok Julijki pod wpływem uprzejmego impulsu.

– Nawzajem – odparła tamta, potwierdzając, że faktycznie jest Julian.

Kath Dwa zdążyła tymczasem zorientować się w fabule i była coraz bardziej przekonana, że kojarzy tych ludzi i tę sytuację. Dwie heptady – Tłusta Siódemka i Chuda Siódemka – tworzyły bolas. W jednej z nich doszło do załamania produkcji żywności, gdy silnie zaraźliwa choroba roślin, początkowo dręcząca tylko jedną miniarkę, przeniosła się na pozostałe sześć. Efekt był następujący: heptada zamieszкана przez głodujących ludzi połączona liną z heptadą, której mieszkańcy opływali w dostatki. Wspólnie opracowali system, w którym ich przedstawiciele, odziani w skafandry próżniowe, spotykali się w połowie długości liny, w miejscu szepienia łap miniarek, i ci z Tłustej Siódemki przekazywali paczki z jedzeniem tym z Chudej, którzy następnie wracali do siebie i rozprowadzali żywność wśród swoich towarzyszy. Problem polegał na tym, że siedem arek nie nadążało z produkcją żywności dla czternastu; wszyscy chodzili głodni, a mieszkańcy Chudej Siódemki zaczęli umierać. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że bolas odłączyło się od reszty Roju.

W tej chwili nadawano scenę wideokonferencji z udziałem przymierających głodem mieszkańców Chudej Siódemki i niewiele lepiej odżywionych pasażerów Tłustej, tym bardziej rozdzierającą, że po przeciwnych stronach liny znaleźli się członkowie rodzin i starzy przyjaciele. Kath Dwa była już stuprocentowo pewna, że wie, co będzie dalej: za chwilę połączą się przez radio z Białą Arką i poproszą o radę Ewę Julię, która w krótkiej przemowie wyjaśni im, co muszą zrobić.

Sprawa zakończyła się rozdzieleniem heptad, przy czym do rozłączenia bolas doszło w takim momencie, że Tłusta Siódemka została wystrzelona z powrotem w stronę głównego Roju, co zagwarantowało jej przynajmniej tymczasowe przetrwanie, a Chuda poleciała w przeciwnym kierunku. Tym sposobem skazani na śmierć mieszkańcy Chudej Siódemki poświęcili się jako paliwo, żeby ocalić pozostałych. Opowieść dodatkowo komplikowała się i stawała jeszcze bardziej

wzruszająca za sprawą szczegółów, z którymi Kath Dwa musiałaby się zapoznać, gdyby dalej stała przed ekranem. Chuda Siódemka należała do nielicznych heptad przechowujących część Genetycznego Archiwum Ludzkości, toteż jej utrata stała się elementem na pozór nieuchronnej serii niefortunnych wypadków, które ostatecznie doprowadziły do Rady Siedmiu Ew i powstania nowych ludzkich ras. Decyzja o poświęceniu się nie była zresztą jednomyślna: poprzedził ją bunt i walki w całej heptadzie, gdy mniejszość głodujących postanowiła się uratować poprzez włożenie skafandrów i przejście po linie na Tłustą Siódemkę. Mężczyzna, który przedarł się do pulpitu sterowniczego i wcisnął guzik rozłączający łapy heptad, nazywał się Juliusz Mwangi. Jego imieniem nazwano siedlisko położone dokładnie na trzydziestym ósmym stopniu długości wschodniej, zawieszony ponad terytorium Kenii, gdzie przyszedł na świat; nacisk na słowo „dokładnie” miał w tym miejscu szczególne znaczenie: przyjęło się, żeby siedliska położone na południkach o pełnej numeracji nazywać na cześć bohaterów Eposu.

Wszystkie te myśli przebiegły Kath Dwa przez głowę, gdy czekała na podanie zamówionej kawy – doszła bowiem do wniosku, że skoro jest przesłuchiwana, to odrobina kofeiny dobrze jej zrobi, i zrezygnowała z czekolady.

– Ja stawiam – powiedziała do agentki Kwarantanny. Utarło się, że nieznanym w dniu święta ich Ewy wyświadczą się drobne przysługi. Gdyby był moiran, może ktoś inny zapłaciłby za jej kawę.

– Ależ nie, nie mogę się zgodzić – zaoponowała julijka. W sensie dosłownym miała zapewne całkowitą rację: nie mogła przyjąć prezentu od przesłuchiwanej. – Ale może mogłabym się przysiąc...?

– Naturalnie – zgodziła się Kath Dwa.

Czekały więc na zaparzenie drugiej kawy. Na ekranie rozpoczęła się tymczasem inna scena z Eposu: rozmowa na pokładzie *Endurance* na krótko przed Ostatnim Impulsem, w której Dinah i Ivy wmówiły sobie nawzajem, że Julia wcale nie jest taka zła. Kath zawsze uważała ten epizod za nieco przesłodzony, ale cytaty z tej konwersacji na stałe weszły do języka codziennego, a scena stała się fundamentem, na którym wyrastały liczne ruchy i partie polityczne dążące do zacieśnienia sojuszków julijczyków z innymi rasami.

Co za zbieg okoliczności, pomyślała Kath Dwa. Gdyby miała w sobie

coś z julijki, zaczęłyby się zastanawiać, czy cała ta scena nie została wyreżyserowana; czy ktoś za kulisami sektora Q nie zaplanował wyświetlenia tego właśnie fragmentu Eposu w kawiarni, gdy będą z julijką piły kawę. Bo tak właśnie rozumowali julijczycy. Takiego wyboru dokonała Julia podczas Rady Siedmiu Ew. Jej rasa, żyjąca we względnej izolacji w odległym segmencie pierścienia, dodatkowo wzmacniała te skłonności w procesie rozmnażania selektywnego zwanym karykaturyzacją. Przy okazji julijczycy dorobili się dużych oczu, wąskich uszu i drobnych ust. Te cechy pozwalały im rozpoznać na odległość.

Przed zajęciem miejsca przy stole julijka zasalutowała: julijczycy salutowali lewą ręką trzymaną z boku głowy, tak że dłoń ani na moment nie przesłaniała im oczu.

– Ariane – powiedziała. Popularne julijskie imię, upamiętniające rakiety wystrzeliwane z kosmodromu w Kourou, który Ewa Julia obroniła przed Wenezuelczykami, zrzuciwszy im na głowę bomby atomowe. – Ariane Casablancowa.

Była więc córką kobiety o nazwisku Casablanca. Biały Dom.

Kath Dwa również zasalutowała.

– Kath Amalthowa Dwa.

Jej matkę nazwano z kolei na część asteroidy, która osłaniała Moirę i jej laboratorium podczas Wielkiej Jazdy.

Ariane usiadła naprzeciwko, utkwivszy w niej beznamiętne spojrzenie.

– Posłuchaj – zaczęła Kath Dwa. – Nie jestem dobra w te klocki. Nie należę do żadnego kupola i nie chcę do żadnego przystąpić. Mów wprost, co ci chodzi po głowie?

– Zastanawiam się, czy widziałas na powierzchni coś ciekawego.

– Po to tam latam, żeby oglądać ciekawe rzeczy. Rzadko zdarza mi się widywać coś nieciekawego.

Ariane odpowiedziała wyczekującym spojrzeniem.

– Złożyłam raport – dodała Kath Dwa.

– O którym rozmawiałas z Beledem Tomowem?

– Tak.

– Ale z Rhysem Alaskowem już nie.

– Rhys spał, kiedy rozmawialiśmy z Beledem.

- Ty też się trochę zdrzemnęłaś. Dziesięć godzin w rupieciu.
- Cały dzień latałam szybowcem.
- Przysypiając.
- Kiedy moiranin śpi, to nie znaczy od razu, że epigenuje. Czasem bywamy po prostu zmęczeni.
- Czas pokaże. Teraz udajesz się na spotkanie ze swoim mentorem... Tak ci się przynajmniej wydaje.
- Co to ma znaczyć?
- Doca nie ma w Stromness. Wiedziałaś to, gdybyś spróbowała się z nim skontaktować, ale nie planowałaś tej wizyty. Podjęłaś decyzję nagle, pod wpływem impulsu. Postanowiłaś odwiedzić miejsce, które miło ci się kojarzy. Coś cię dręczy. Zdajesz sobie sprawę, że możesz zacząć epigenować. Nie chcesz o tym rozmawiać z doktorem Hu, dopóki nie spotkasz się z nim twarzą w twarz, w miejscu, gdzie będziesz się czuć bezpiecznie. Zobaczyłaś na powierzchni coś, czego się nie spodziewałaś.
- Odesłanie Ariane do lektury raportu niewiele by pomogło; zapewne już go przeglądała, i to więcej niż raz. Chciała usłyszeć tę historię z pierwszej ręki.
- Być może widziałam człowieka.
- Być może?
- Mignął mi. Z daleka.
- Nie mógł to być inny zwiadowca, bo nie widziałabyś w tym niczego niezwykłego.
- Zwiadowcy noszą jasne ubrania, żeby było ich widać.
- Beled nie.
- Beled nie, ale on działał w pobliżu LST. Mówię ogólnie.
- Mów dalej.
- Ten człowiek nie miał jasnego stroju, wręcz przeciwnie. Jakby...
- Jakby co?
- Widziałaś jakieś filmy o myśliwych sprzed Dnia Zero? Ubierali się w taki sposób, żeby nie rzucać się w oczy.
- Nosili kamuflaż.
- Właśnie. Wydaje mi się, że ten człowiek też był w kamuflażu.
- Czyli nie zwiadowca.
- Czyli... może żołnierz? Tylko że żołnierze są od tego, żeby walczyć

z innymi żołnierzami, a ja jestem praktycznie pewna, że tam nie ma żadnych innych żołnierzy. Chyba że doszło do naruszenia granic. Ale gdyby tak było, zostałabym ostrzeżona przed zrzutem. Ba, przysłaliby po mnie thor!

– A nie pomyślałaś o tym, że to może być bardzo świeża sprawa? Że ty pierwsza zauważyłaś naruszenie granic?

Pytanie jakby zawisło w powietrzu. Sugestia Ariane była oczywista: jeżeli Kath Dwa zobaczyła coś takiego, powinna była natychmiast o tym zameldować, zamiast najpierw przespać dziesięć godzin, a potem na wariata szukać Doca gdzieś, gdzie go wcale nie było.

– Nie – odparła. – To nie to.

– Skąd wiesz?

– Długo latałam nad jeziorem. Na widoku. Ktoś, kto nie powinien tam być, mógł się po prostu ukryć wśród drzew i czekać, aż odleczę. Ten człowiek tego nie zrobił: stał na brzegu, w miejscu, z którego obserwował, co robię. Tak jakby...

– Jakby co?

– Jakby się gapił.

– Gapił się – powtórzyła Ariane po długiej chwili milczenia.

– No właśnie.

Do tej pory Kath Dwa czuła się nieswojo pod badawczym spojrzeniem Ariane, teraz jednak spojrziała prosto w te jej ogromne, przenikliwe oczy.

– Kiedy się poruszył – podjęła wątek Ariane – zwróciłaś uwagę na jego posturę? Sposób poruszania się?

– Wątpię, żeby to był neoander. – Kath Dwa pokręciła głową. – Zresztą wtedy na pewno bym to zgłosiła.

– Najprostsze wytłumaczenie jest oczywiste...

– Tubylec. I o tym właśnie rozmawiałam z Beledem. – Kath Dwa poczuła się zepchnięta do defensywy. – Ale co by tam robił tubylec? Tak daleko od najbliższej LST?

– Tajemnicze to.

– Bardzo.

– Ale wyjaśnia, dlaczego wyłamałaś się z profilu.

– Ja nawet nie wiem, co to po waszemu znaczy „wyłamać się z profilu”.

– Nie miałaś wrażenia, że jesteś obserwowana? Śledzona?

Ariane Casablancowa miała nadzwyczaj nieprzyjemny zwyczaj zadawania dobrych pytań.

– Tam, na dole, zawsze trzeba pamiętać o tym, że...

– Że miejscowa megafauna zwróci na Ciebie uwagę. To oczywiste.

– Dłuższy pobyt na powierzchni, samotne wędrówki... To wszystko sprzyja... no nie wiem...

Kath Dwa nie chciała powiedzieć „paranoi” w obecności Julijki, ponieważ słowo to miało lekki wydźwięk rasistowski. Ariane chyba to wyczuła, bo z lekkim rozbawieniem pochyliła się nad stołem gotowa podać Kath Dwa pomocną dłoń.

– Wykształceniu stanu podwyższonej świadomości – podpowiedziała.

– Na wszelki wypadek zaczynasz interpretować sygnały natury...

– Bardziej zachowawczo, właśnie. Na przykład rano przed powrotem obudziły mnie plamy światła na namiocie; w pierwszej chwili pomyślałam, że to jakieś duże zwierzę rzuciło cień. A potem wyszłam z namiotu i stwierdziłam, że to tylko moja wyobraźnia: słońce przeświecało przez poruszane wiatrem gałęzie drzew.

– Fascynujące! Taka podwyższona świadomość otoczenia, gdyby potrwała dostatecznie długo, mogłaby się okazać bodźcem, który wymusi u moiranina przemianę epigenetyczną.

– Przeszło mi to przez myśl.

– Nie wspomniałaś o tym w swoim raporcie.

Pierwszy raz Ariane przyznała wprost, że czytała raport. Kath Dwa nabrała czujności.

Zdekoncentrował ją widok wysokiego teklanina, który właśnie wszedł do kawiarni. Miał zieloną bransoletę... ale to nie był Beled. Inny zwiadowca, również niedawno przybyły, może z tego samego zrzutu.

Beled najwyraźniej złożył bardzo wyczerpujący raport, w którym uwzględnił także rozmowę z Kath Dwa na pokładzie rupiecia. U kogoś innego byłby to irytujący przejaw niedyskrecji, ale po teklaninie tego właśnie należało się spodziewać.

– Nie wspomniałam o tym raporcie, bo uznałam, że był to tylko wytwór mojej wyobraźni, a nie obiektywny fakt, użyteczna informacja ze zwiadu.

– Pozwolisz, że użyję swojego juju... – Było to autoironiczne określenie julijskiego sposobu rozumowania.

– Śmiało.

– Przypuśćmy, że twoje pierwsze wrażenie było słuszne i ruch światła na namiocie rzeczywiście został spowodowany pojawieniem się dużego zwierzęcia chwilowo przesłaniającego słońce. Zwierzęcia... lub człowieka, który obserwował cię z ukrycia, a w tym momencie popełnił błąd. A kiedy zauważył... zakładam, że to mężczyzna... kiedy zauważył cię na twoim namiocie, uświadomił sobie swój błąd i wycofał się do lasu, żeby stamtąd dalej mieć na ciebie oko.

– To możliwe – przyznała Kath Dwa.

Przez uprzejmość nie dodała, że coś takiego mogło się zalegnać tylko w julijskim umyśle.

– Jak sypiasz od tamtej pory?

– Średnio. Jet lag nie pomaga. Dlatego tu przyszłam. Nie wykluczam, że ostatniego dnia mogłam zacząć epigenować, ale teraz, po powrocie do cywilizacji, mój organizm zgłupiał i przemiana została zatrzymana.

Gdyby naprzeciw niej siedziała druga moiranka, Kath Dwa zapewne dotknęłyby twarzy dłonią. „Zmieniłam się?”. Ale Ariane nie mogła znać odpowiedzi na to pytanie.

– Sypiam z Beledem – dodała. – To też chyba pomogło powstrzymać przemianę.

– Świetnie. Mam nadzieję, że twoja adaptacja przebiegnie bezproblemowo, bez względu na to, czy staniesz się po niej Kath Amalthową Trzy, czy nie.

– Mogę stąd odlecieć?

– Nie ja o tym decyduję. Twój status nadal jest nieokreślony.

– Boicie się, że się wygadam?

– Nie jest moją rolą obawianie się takich rzeczy. Moja osobista rada dla ciebie? Lepiej się nie wygadaj. Ale znasz swoje prawa: nie mogą cię tu trzymać tylko dlatego, że ci się wydaje, że gdzieś na pustkowiu zobaczyłaś gościa w kamuflażu. – Ariane przez chwilę jakby zastanawiała się nad swoim następnym posunięciem. – Gdyby tak było, spotkałybyś tutaj znacznie więcej ludzi ze Zwiadu.

* * *

Ariane nie myliła się w kwestii Doca: wyjechał z domu na omglonym kampusie w Stromness (siedlisku znajdującym się w zdominowanej przez ivynów części pierścienia i w całości zajęтым przez uniwersytet) i udał się do Kolebki. Po drodze zatrzymał się jeszcze na pewien czas w Wielkim Łańcuchu, więc kiedy Kath Dwa w końcu spróbowała się z nim skontaktować, po paru minutach odezwał się i powiedział, gdzie go znajdzie.

Mniej więcej w tym samym czasie dioda na jej przegubie zmieniła kolor na zielony, co oznaczało, że może opuścić sektor Q. Poszła do pokoju, który dzieliła z Beledem, i stwierdziła, że teklanin już wyjechał. Zebrała swoje wysterylizowane rzeczy osobiste i udała się do wyjścia, gdzie zautomatyzowane drzwi zeskanowały jej bransoletkę; najwyraźniej spodobało im się to, co zobaczyły, bo odblokowały się i ją przepuściły. Bransoletka sama się rozpięła i zgasła. Idąc do wyjścia, Kath Dwa wyrzuciła ją do kosza.

Pół godziny szybowania po korytarzach Oka zaprowadziło ją na początek Wjazdu, gdzie wraz z dwoma tuzinami innych gości wcisnęła się do kapsuły, zapięła pasy i została wystrzelona niczym pocisk z lufy. Strzał był zsynchronizowany z podstawieniem peronu przyjazdowego w Wielkim Łańcuchu. Ciężenie o wartości jednego g dało się odczuć natychmiast, gdy tylko dali się zagarnąć wirującemu miastu. Stojący przy drzwiach kapsuły asystenci pomagali nowo przybyłym wyjść na peron i zaglądali im badawczo w oczy, żeby się upewnić, że ci dobrze się czują; ludzie nieprzyzwyczajeni do gwałtownych zmian ciężenia skarżyli się czasem na zawroty głowy lub inne, gorsze objawy. Asystenci rekrutowali się głównie spośród camilitów – był to wybór starannie przemyślany, a jego słuszność potwierdzała wielusetletnia praktyka. Nawet najbardziej porywczy dinajczyk nie miał oporów, żeby przyznać przed skromnym, bezpretensjonalnym camilickim asystentem, że kręci mu się w głowie. Złożony kodeks rycerski dinajczyków nakazywał im okazywanie szczególnej uprzejmości camilitom, postrzeganym jako słabi i dziecinni.

Kath Dwa tylko lekko niepewnym krokiem podeszła na szczyt ruchomych schodów, które miały ją zwieźć na poziom tranzytowy. Sufit nad jej głową był rozległy i wysoko wysklepiony, jak na wspaniałym dworcu kolejowym na Starej Ziemi; wśród żelazoniklowych

ornamentów jazgotały ptaki, które całymi gromadami angażowały się w ptasie spory i scysje, nie tracąc przy tym z oczu przewalających się w dole ludzkich fal. Wspecjalizowane żmijki, oplatające się niczym pytony wokół kolumn i dźwigarów, poruszały się na tyle wolno, żeby nie płoszyć ptactwa, i uprzątały jego odchody. Wszystkie ptaki należały do jednego gatunku, tak zwanych kruków siwych: były to nieduże krukowate, u których połowa piór była pozbawiona pigmentu, przez co ptaki wyglądały jak przyprószone siwizną. Cechę tę projektanci dodali po to, by kruki siwe łatwo było odróżnić od klasycznych. Kruki krążyły pod wysklepionym sufitem jak wielki szary cyklon, ale z nie mniejszą łatwością śmigwały też w dół i w górę pochyłych szybów łączących perony z niższym poziomem tranzytowym. Kiedy Kath Dwa szła peronem, jeden z kruków odłączył się od powietrznego wiru i skrzecząc wniebogłosy, zanurkował w jej stronę. Im bardziej się zbliżał, tym większej pewności nabierała, że celuje w jej twarz. Wyhamował tuż przed nią i z braku miejsca do lądowania zawisł niezdarnie w powietrzu, młócąc skrzydłami i cofając się przed nią w tempie jej kroków.

– Gaj w umiarkowanym lesie deszczowym – powiedział na ile był w stanie wyartykułować te słowa, po czym zamachał mocniej skrzydłami i wzniósł się w powietrze, pod sklepienie, by po chwili zanurkować ostro wprost w pochyłą rurę prowadzącą na poziom tranzytowy.

Nie był bynajmniej jedynym krukiem siwym, który tak się zachowywał: podobne sceny rozgrywały się wszędzie wokół Kath Dwa. Ze dwadzieścia ptaków przysiadło na barierce okalającej wejście na schody ruchome i mamrotało dźwięki zasłyszane wcześniej od ludzi. Jeden z nich, który musiał chyba podsłuchiwać parę uprawiającą seks, wydawał z siebie krucze przybliżenia jęków rozkoszy. Trzy dalsze unisono śpiewały popularną piosenkę. Jeden szczekał jak pies. Kilka kolejnych próbowało wyzebrać coś do jedzenia. Jeszcze inny powtarzał w kółko: „Czekam na dworcu o godzinie kropka szesnaście”, a jego sąsiad: „Będę w czerwonym szaliku”.

U dołu schodów kruki kursowały tam i powrotem, lądując na zacisznych grzędach zainstalowanych dla nich na końcach wagonów kolei podziemnej, żeby nie brudziły siedzeń. Po dziesięciu minutach podróży jednym z takich wagonów Kath Dwa wysiadła w Ogrodach

Aldebrandiego. Zajmowały sześć sąsiadujących ze sobą modułów, zaprojektowanych z myślą o pomieszczeniu rezerwatów botanicznych. Prostokątną płytę, na której rozwijał się ekosystem, przykrywał wysoko zawieszony szklany dach, pod którym odtworzono ziemskie formacje terenu. Wilgotność i temperatura w każdym module miały naśladować inny rejon Starej Ziemi. Środowisko roślin i innych prostych organizmów odtworzonych z cyfrowych banków danych zostało w późniejszym okresie uzupełnione o ptaki, owady i drobne ssaki. Zwierzęta hodowane i badane w Ogrodach Aldebrandiego trafiały następnie do fabryk w innych częściach pierścienia, skąd ich potomstwo masowo wysyłano na Nową Ziemię.

Zaczynając od gorącego krańca, Kath Dwa przeszła przez południowoazjatycką dżunglę, gdzie panowała taka wilgotność, że para wodna skropliła jej się na twarzy, zanim dziewczyna zdążyła się spocić. Spod potrójnej gęstwiny listowia nie widziała ani kawałka nieba. Dopiero kiedy przez śluzę przeszła na meksykańską pustynię, powitała ją rozległa panorama kosmosu nad głową i poraziły promienie słońca przekierowane do wnętrza przez zrobotyzowane zwierciadła. U góry, w samym środku Wielkiego Łańcucha, zawisło małe siedlisko Surtsey. Podczas pobytu Kath Dwa w sektorze Q Oko oddaliło się od Akureyri, minęło jeszcze większe od niego siedlisko Sean Probst na dwudziestym stopniu długości zachodniej i weszło w strefę przygraniczną na skraju cmentarzyska Zielonego Przylądka. Kath Dwa nic nie wiedziała o Surtsey, które wyglądało jak atrapa siedliska, swoista szopa z narzędziami używanymi na budowie prowadzonej jedną lub dwie minuty kątowne dalej na zachód.

Na słońcu jej włosy i skóra błyskawicznie wyschły i gdy dochodziła do końca modułu, zaczynała żałować, że nie została pod powierzchnią, w tunelach, gdzie nie musiałyby się przejmować kaktusami i grzechotnikami. Następny ekosystem nosił nazwę Fynbos i przypominał Przylądek Dobrej Nadziei – nieco chłodniejszy, choć wcale nie mniej słoneczny, swoim chaotycznym bogactwem roślin kwiatowych przyciągał miłośników pikników i ornitologów-amatorów z całego Wielkiego Łańcucha. Jak na gust Kath Dwa, panował w nim nieco za duży ścisk, przeszła więc przezeń bez zatrzymywania się, próbując nie dać się uwieść jego rozlicznym wdziękom, i znalazła się

w kolejnym segmencie, który – naśladowując luizjańskie tereny zalewowe – bardziej przypominał akwarium niż terrarium. Drewniany chodnik kluczył wśród omszałych drzew, ponad wodami, w których roiło się od gadów, aż do śluzy na przeciwległym końcu. Przed wejściem do niej Kath Dwa przystanęła i włożyła wyjęte z plecaka rękawiczki i kurtkę.

Następny ogród od jednego krańca do drugiego porastały osiemsetletnie daglezie. Warunki miały symulować las deszczowy strefy umiarkowanej, jaki przed Dniem Zero rósł w Kolumbii Brytyjskiej. W szklany dach wbudowano więc filtry tłumiące promienie słońca, których jednolita srebrzysta poświata emanowała jakby zewsząd jednocześnie. Pozbawione cieni wewnątrz wydawało się jaśniejsze niż prażony słońcem biom meksykański. Paprocie, mchy i epifity okrywały zwalone kłody tak gęstym kożuchem, jakby ktoś specjalnie opryskiwał nimi okolicę. Gęstwinę przecinało kłębowisko ledwie widocznych ścieżek – jedną z nich Kath Dwa ruszyła w stronę Gaju Kupola: okolonej najwyższymi drzewami polany w samym środku modułu, gdzie zastała Doca z czworgiem studentów, opiekunką i robotem. Siedzieli na omszałych głazach i pniach.

Doktor Hu Noah był ivynem, podobnie jak większość jego studentów – chociaż akurat w jego wypadku trudno byłoby to stwierdzić, gdyż podeszły wiek zacierał różnice rasowe. Dawno wyłysiał, skórę pokrywały mu plamy, których nabawił się podczas długich lat badań na powierzchni planety, w niefiltrowanym blasku słońca. Luźna skóra zwisała mu z wyrazistych kości jarzmowych jak mokre pranie z krawędzi skał, tworząc pod szyją gęsty układ fałd przypominających indyjskie korale, w większości skrywane przez apaszkę. Apaszka i drobiazgi mające mu poprawić samopoczucie były dziełem opiekunki, krępej camilitki z małym plecakiem pełnym leków. Przy nogach Doca niczym śpiący pies przycupnął krabochwytny z wbudowanym w grzbiet monitorem, na którym wyświetlały się informacje o zdrowiu właściciela gromadzone przez pakiet bezprzewodowych czujników. Z grzbietu robota sterczał również pionowy pręt, sięgający doktorowi mniej więcej do talii, gdzie rozwidlał się w poziomie jak kierownica roweru: inteligentna laska. Gdyby doktor oparł na niej dłonie, pomogłaby mu wstać, a następnie pomogła mu pokonać nawet najtrudniejszy teren, wspierając jego dwie nogi sześcioma odnóżami krabochwytny.

Studenci mieli od dwudziestu do siedemdziesięciu lat. Kath Dwa nigdy przedtem ich nie spotkała, ale nie było w tym nic niezwykłego, zważywszy że TerReForm był największym przedsięwzięciem w dziejach rodzaju ludzkiego, a 99% związanych z nim prac jeszcze się nie rozpoczęło. Najstarszego kojarzyła ze zdjęć w czasopismach naukowych.

Czuła się niezręcznie. Wyjście na polanę i zaprezentowanie się nieznanym wymagało swoistej odwagi. W TerReFormie obowiązywała struktura klasowa: miejsce na szczycie zajmował doktor Hu, a Zwiad lokował się nie tyle na samym dole drabinki, ile na jej dzikich, nieokiełznanych obrzeżach; na zwiadowców patrzono może nie z góry, lecz na pewno z ukosa, jakby trudno było ich traktować poważnie.

Byli wobec niej uprzejmi. Wszyscy poza doktorem powitali ją ivyńską odmianą salutu – dyskretnym gestem zawierającym namiastkę ukłonu. Doc wyciągnął do niej rękę, a kiedy ujęła jego dłonie w swoje, uściśnął je z zaskakującą siłą. Odpowiedziała w ten sam sposób.

Nagle zostali sami. Czy to wskutek uprzednich ustaleń, czy też dlatego, że ivyni coś wyczuli, wszyscy się wycofali; nawet opiekunka odsunęła się i zadowolila przechadzką wokół polany, od czasu sprawdzając tylko wskazania aparatury na trzymanym w dłoni wyświetlaczu.

– Pojedziesz ze mną do Kolebki – zapowiedział Doc. – Zbieram zespół.

– Jakiś nowy projekt badawczy?

Doc przymknął powieki w dyskretnym geście zaprzeczenia, po czym nagle je podniósł i spojrzał Kath Dwa prosto w oczy.

– Potrzebuję Siódemki.

– Aha. I ja mam być...

– Jedną z nas. Zgadza się.

Mówił w taki sposób, jakby sprawa była oczywista – ale nie była, przynajmniej dla Kath Dwa. Siódemkę – pisaną wielką literą i złożoną z przedstawicieli wszystkich siedmiu ras – zbierano najczęściej w celach ceremonialnych, takich jak nadanie nazwy nowemu siedlisku albo podpisanie traktatu. Kath Dwa się do takich rzeczy zupełnie nie nadawała. Zresztą nawet gdyby było inaczej, nie rozumiała, dlaczego miałyby się znaleźć w jednej Siódemce z doktorem Hu – zwykle przy ustalaniu składu Siódemki starano się dobrać ludzi o zbliżonym

statusie, a o tym w przypadku jej i Doca mowy być nie mogło: dzieląca ich przepaść wieku, sławy i poważania była wręcz niemierzalnie szeroka. Czym miałyby sobie zasłużyć na ten zaszczyt?

Jej dezorientacja trwała krótko, bo po chwili refleksji odpowiedź sama się nasunęła: musiało chodzić o to, co zobaczyła na powierzchni.

Widoczny w oczach Doca cień rozbawienia, gdy próbowała to wszystko rozgryźć, zmienił się w wyraz lekkiej zgrozy, gdy doszedł do wniosku, że Kath Dwa zaraz z czymś wyskoczy. To wystarczyło, żeby ugryzła się w język i nic nie powiedziała. Poruszą ten temat, kiedy Doc uzna to za stosowne.

– Nigdy nie byłaś w Kolebce.

– Nigdy.

– Czyli będzie to dla ciebie nowa przygoda.

– Postaram się nie wyglądać na turystkę.

– Możesz wyglądać, jak tylko zechcesz. Będziemy zbyt zajęci, żeby przejmować się takimi rzeczami.

– Kiedy...

– Mniej więcej za dwanaście godzin. – Doc obejrzał się na camilitkę. – Dobrze mówię, Memmie?

Memmie skinęła głową.

– Kabiny zostały zarezerwowane w windzie odjeżdżającej o dwudziestą drugą trzydzieści – potwierdziła.

Kath Dwa pierwszy raz widziała ją na własne oczy, ale już wcześniej słyszała o osobie nieokreślonej płci, która utrzymuje Doca przy życiu i dogląda wielu jego spraw. „Memmie” było zdrobnieniem od „Remembrance”, czyli „Pamięć”, popularnego camilickiego imienia. W tej chwili Memmie pozowała na kobietę, przewiązana w pasie czymś w rodzaju sarongu narzuconego na czysto utylitarny kombinezon, na pierwszy rzut oka złożony wyłącznie z obszernych kieszeni. Biżuteria na szyi i podobny do turbanu zawój na głowie dopełniały stroju. Użycie w wypowiedzi strony biernej – „kabiny zostały zarezerwowane” – było typowe dla przedstawicieli jej rasy, chociaż, rzecz jasna, to ona zajęła się rezerwacją, poczyniła inne niezbędne przygotowania i zadbała o przekazanie niebagatelnych środków pieniężnych niezbędnych przy rezerwacji kabin w windzie z tak krótkim wyprzedzeniem. Jednakże przekonanie jej do przyznania się, że sama wszystkiego dopilnowała,

przypominałoby wyrywanie zębów trzonowych. Niektórzy postrzegali to jako wyuczoną pokorę, inni – jako irytujący przejaw biernej agresji. Kath Dwa nie miała wyrobionej opinii na ten temat. Miała natomiast jeszcze kilka wolnych godzin w Wielkim Łańcuchu i chciała je jak najlepiej wykorzystać.

– Do zobaczenia – powiedziała.

– Będę czekał niecierpliwie – zapewnił ją Doc.

* * *

Na końcu modułu zeszła na poziom tranzytowy i pojechała pociągiem do dzielnicy, której średniej wysokości zabudowa skrywała mnóstwo sklepów, centrów handlowych, kupoli, restauracji i teatrów. Przez resztę dnia włóczyła się bez celu i gapiała na wystawy, kupując wyłącznie drobiazgi ubraniowe i przybory toaletowe, które mogły jej się przydać na kolejnym etapie podróży. Była to absolutnie najwspanialsza dzielnica handlowa w ludzkim wszechświecie, a tutejsze towary – pochodzące z całej omiatanej przez Oko części pierścienia mieszkalnego – przyciągały zarówno zamożnych mieszkańców Wielkiego Łańcucha, jak i turystów ze wszystkich okolicznych siedlisk.

Odczuwała nieokreśloną presję zakupową, z pewnością podkreślaną przez napastujące ją zewsząd reklamy; miała ochotę kupować, przymierzać biżuterię, zrobić sobie nową fryzurę, która lepiej sprawdzi się w Kolebce. Było to miejsce dla lepszych od niej – rzutkich, pewnych siebie chodzących ideałów, w eleganckich ubraniach i mundurach, tworzących porozumiewające się półgłosem grupki, żwawo przemierzających korytarze i mierzących się nawzajem spojrzeniami w obszernych westybulach. Kath Jeden – znacznie bardziej podatna na tego rodzaju presję społeczności – już czyściłaby konto z pieniędzy, próbując uciszyć głosik w głowie, który przypominał jej, że nie jest dość ładna ani dość modna. Tyle że Kath Jeden zmarła w wieku lat trzynastu i została zastąpiona przez Kath Dwa, z mózgiem wyposażonym w zgoła odmienny zestaw reakcji emocjonalnych. Nie chodziło o to, że nie odczuwała lęku, bo każdy się czegoś boi: Kath Dwa bała się, że jeżeli będzie się upierała przy doszlusowaniu do obowiązujących w Kolebce

standardów modowych, na pewno dokona niewłaściwych wyborów i zrobi z siebie pośmiewisko. Lepiej się czaić, obserwować i podchwytwać nurty, tak jak przy lataniu szybowcem.

W drodze powrotnej na peron kupiła na stoisku z książkami papierowy egzemplarz jednej z ulubionych pozycji historycznych i ściągnęła cyfrową wersję cyklu powieściowego, którego akcja rozgrywała się na Starej Ziemi. Egzemplarz papierowy był ekstrawaganckim wybrykiem; zamierzała włączyć go do swojej małej biblioteczki, gdy tylko odwiedzi któryś ze swoich tajnych składzików. Podobnie jak wielu młodych moiran, Kath Dwa nawet nie próbowała stworzyć sobie trwałego domu. Z domem wiązał się krąg znajomych, może także rodzina – jedno i drugie jak najbardziej w porządku dla przedstawicieli innych ras, ale nie dla moiranki. Dopóki się nie „utrwali”, wszelkie permanentne układy byłyby przejawem braku rozwagi; istniało nieustanne ryzyko, że mąż, dzieci, współpracownicy czy przyjaciele pewnego dnia obudzą się i stwierdzą, że ich żona, matka, koleżanka albo najlepsza psiapsiółka umarła, a jej miejsce zajął ktoś zupełnie inny. Zamiast więc wynajmować mieszkania, młodzi moiranie woleli dzierżawić składziki w miejscach, które rzadko odwiedzali: mogła to być półka w szafie u znajomego, skrytka w bazie wojskowej, kryjówka w siedzibie Zwiadu albo komercyjny magazyn w wielkim mieście, ze zrobotyzowanym odźwiernym, któremu należało okazać dowód tożsamości. Zawartość rozlicznych zapomnianych schowków regularnie wyprzedawano na aukcjach.

Kath Dwa należała do ludzi, których składziki często pękały w szwach od papierowych książek. Książki w wersji elektronicznej traktowała jako swoistą polisę ubezpieczeniową. Czterodniowa przejażdżka windą mogła się okazać zaledwie przygrywką do dalszych podróży, podczas których mogła trafić do miejsc zupełnie lub prawie zupełnie poza zasięgiem sieci – a nic nie mogło być gorsze od utknięcia w takim miejscu bez lektury.

W innej części Wielkiego Łańcucha znajdowało się zajmujące cały moduł muzeum historyczne, z podzieloną chronologicznie ekspozycją. Każde tysiąclecie zajmowało osobną kondygnację: zwiedzanie rozpoczynało się od ulokowanych na parterze eksponatów sprzed Dnia Zero, po czym, w miarę posuwania się coraz wyżej, człowiek przybliżał się do współczesności. Oczywiście przedmiotów materialnych z czasów

pre-Zerowych zachowało się niewiele, toteż na parterze pokazywano głównie zdjęcia i rekonstrukcje. Arkanom pozwolono jednak zabrać w kosmos trochę drobiazgów, których część wyszła cało z Eposu i przetrwała także późniejsze pięć tysiącleci. Można więc było zobaczyć w muzeum prawdziwe smartfony, tablety i laptopy wyprodukowane na Starej Ziemi. Już nie działały, ale na umieszczonych obok tabliczkach opisano ich funkcjonowanie. W porównaniu z urządzeniami, które Kath Dwa i jej współcześni nosili w kieszeniach, prezentowały się imponująco. Fakt ten przeczył intuicyjnym domniemaniom, ponieważ w innych dziedzinach – orbitalny pierścień siedlisk, Oko i cała reszta – osiągnięcia współczesnych dalece przewyższyły wszelkie dokonania mieszkańców Starej Ziemi.

Wszystko sprowadzało się do amistyki. W dekadach poprzedzających Dzień Zero mieszkańcy Starej Ziemi koncentrowali swój intelekt na tym, co małe i miękkie, a nie duże i twarde, i stworzyli cywilizację kruchą i wątłą pod względem infrastruktury materialnej, za to zdumiewająco wyrafinowaną w dziedzinie sieci komunikacyjnych i oprogramowania. Ówczesnej gęstości upakowania tranzystorów w układach scalonych nie potrafiła osiągnąć żadna wybudowana w późniejszym czasie fabryka; tamte urządzenia mieściły więcej danych niż wszystko, co dziś sprzedawano w sklepach; poziom łączności bezprzewodowej z tamtych lat dopiero teraz udawało się powoli doścignąć, a i to wyłącznie w zamożnych i gęsto zaludnionych miejscach takich jak Wielki Łańcuch.

Oczywiście trudno było stwierdzić, co się dzieje w strefie czerwonej, pomiędzy szlabanami. Sygnały wychodzące w kosmos znad tej części pierścienia mieszkalnego sugerowały, że Czerwoni są nie mniej od Niebieskich zaawansowani w dziedzinie łączności mobilnej – a ponieważ byli również całkiem niezli w kryptografii, nikt nie wiedział, o czym mówią. Niebiescy podjęli jednak w pełni świadomą decyzję o niepowtarzaniu tak zwanego Błędu Tava.

Zrzucanie przez miliardy ludzi całej winy na barki jednego człowieka, który pięć tysięcy lat wcześniej zginął okrutną śmiercią, było oczywiście jawną niesprawiedliwością, ale Epos potrafił w taki właśnie sposób kształtować sposób myślenia. I tak jak niektórzy mieszkańcy Starej Ziemi wychowani na Biblii nazywali masturbację Grzechem Onana, tak

współcześni mieli skłonność do przypisywania pewnych wad i zalet sławnym postaciom z epoki Arki w Chmurze, Wielkiej Jazdy i pierwszych lat spędzonych na Rozpadlinie. Sprawiedliwie czy nie, Tavistock Prowse zawsze już miał być przeklinany za to, że zachłyszawszy się możliwościami mediów społecznościowych, zapomniał o zdrowym rozsądku. Jego zachowanie na początku Białego Nieba, kiedy to wrzucił na bloga zjadliwy wpis o zagładzie Genetycznego Archiwum Ludzkości, a także skrajnie krytyczne i alarmistyczne doniesienia z przebiegu misji *Ymira* zostały zajeżdżone na śmierć w późniejszych analizach historycznych. Tav nie docenił (a może w ogóle nie przewidział) faktu, że pisząc bloga, będzie nieustannie obserwowany i nagrywany przez trzy różne kamery. Dzięki temu historycy mogli później analizować częstotliwość, z jaką mrugał, śledzić ruchy jego oczu wpatrzonych w ekran laptopa, zaglądać mu przez ramię w inne okna otwarte podczas blogowania i rysować wykresy ilustrujące podział czasu spędzanego przy komputerze pomiędzy gry, wysyłanie wiadomości do znajomych, przeglądanie Spacebooka, oglądanie pornografii, jedzenie, picie – oraz faktyczne pisanie bloga. Obraz wyłaniający się z tej statystyki nie był przesadnie pochlebny. Fakt, że blog Prowse'a odegrał (wedle późniejszych badań) kluczową rolę w doprowadzeniu do Przełomu i odłączenia się Roju, okrywał go dodatkową hańbą.

Każdy, komu chciało się zgłębić historię wysoko rozwiniętego świata przed Dniem Zero, doskonale zdawał sobie sprawę, że Tavistock Prowse lokował się dokładnie pośrodku spektrum ludzkości, jeśli chodzi o okres skupienia uwagi i nawyki związane z używaniem mediów społecznościowych. Niemniej jednak Niebiescy nazwali jego działania Błędem Tava i nie chcieli tego błędu powtórzyć. Wszelkie starania współczesnych wytwórców towarów konsumpcyjnych zmierzające do wyprodukowania urządzeń i aplikacji, które tak namieszały Tavowi w głowie, spotykały się z takim samym instynktownym oporem, z jakim wiktoriańskie duchowieństwo mogłoby przyjąć wynalezienie maszyny do masturbacji. I nawet kiedy niebiescy inżynierowie potrafili skonstruować podobnie skomplikowane urządzenia jak te z czasów Tava, najchętniej instalowali je w robotach. Pierwotna populacja Rozpadliny liczyła osiem istot ludzkich i setki robotów (albo nawet

tysiące, gdyby liczyć każdego gza z osobna); od tamtej pory obie te liczby ogromnie wzrosły, ale dopiero w ostatnim stuleciu ludzie zrównali się z innymi niż gzy robotami.

Efekt końcowy – z punktu widzenia klientki stoiska z książkami na stacji kolejowej w Wielkim Łąncuchu – był taki, że zarówno siedliska, pomiędzy którymi się przemieszczała, jak i pojazdy, które ją przewożyły, były znacznie bardziej wyrafinowane od wszelkich wytworów staroziemskiej techniki. Usługiwały jej i opiekowały się nią roboty inteligentniejsze i bardziej wydajne niż ich przodkowie – krabochwyty i wszystkie inne, których programowaniem Ewa Dinah zajmowała się na Izzy. Zarazem pojemność pamięci wbudowanej w jej tablet była na tyle skromna, a mechanizmy łączności bezprzewodowej na tyle ograniczone, że opłacało jej się zgrywać książki przez kabel, gdy tylko miała ku temu okazję, oraz robić miejsce dla nowych lektur poprzez wykasowywanie starych.

Załatwiwszy tę sprawę, udała się do Zjazdu, gdzie wsiadła do kapsuły, zajęła miejsce tyłem do kierunku lotu i poczuła, jak przeciążenie wgniata ją w fotel, gdy wystrzelona z Wielkiego Łąncucha znalazła się w rurze wyściełanej elektromagnetycznymi spowalniaczami.

Znalazszy się ponownie w nieważkim środowisku nieruchomego szkieletu Oka, ruszyła w drogę przez jego trzewia, odpychając się od ścian oświetlonych rur oznaczonych symbolem Kolebki: dwiema górami zamkniętymi pod półkolistą kopułą. Trafiła w ten sposób na przystanek, gdzie wraz z dwojgiem przypadkowych nieznanymi wsiadła do czteroosobowej bańki, która po chwili zaczęła się ze świstem rozpędzać w długiej i idealnie prostej rurze: przemieszczali się z obrzeża wielkiej źrenicy Oka na jego wewnętrzny – bliższy Ziemi – wierzchołek, a zważywszy, że dzieliło ich od niego około osiemdziesięciu kilometrów, pokonanie tego dystansu pieszo po drabince nie wchodziło w grę. Ponieważ nie spała od dobrych szesnastu godzin, zdrzemnęła się.

Ocknęła się przed końcem podróży. Wydawało jej się, że ktoś zawołał ją po imieniu.

Na przedniej ścianie kapsuły podróżnej znajdował się ekran wideo, na którym jeden z pasażerów dla zabicia czasu oglądał fragment Eposu rozgrywający się około dwudziestu lat po Dniu Zero – czas można było w przybliżeniu określić po oznakach starzenia się ocalałych Ew, a także

wnioskować z faktu, że pierwsze pokolenie ich potomków weszło w okres dorastania. Epizod opowiadał o tym, jak młodzież, prowadzona przez Catherine Dinową, załagodziła konflikt natury osobistej pomiędzy Ewą Dinah i Ewą Teklą; wskazywano go często jako jedną z pierwszych sytuacji, w których dzieci Ew zaczęły myśleć i działać samodzielnie. Cytaty z ich dialogów na trwałe weszły do języka i do dziś przewijają się w rozmowach.

Kath Dwa zastanawiała się – jak zwykle – czy bohaterowie Eposu zachowywaliby się tak samo, gdyby wiedzieli, że za pięć tysięcy lat ludzie będą ich oglądać, dawać za przykład i cytować z pamięci. W ciągu pierwszych dziesięcioleci na Rozpadlinie padły wszystkie kamery, jedna po drugiej. Komentatorzy podzielili się na dwa obozy, w zależności od poglądów na nieustanną inwigilację: jedni uważali, że historia poniosła niepowetowaną stratę i nastąpiły nowe mroczne wieki, drudzy – że wreszcie doszło do wyzwolenia spod cyfrowej tyranii. Tak czy inaczej, awaria kamer przyniosła kres Eposowi: pieczołowitej rejestracji wszystkich poczynań mieszkańców Arki w Chmurze, począwszy od Dnia Zero. Przez kolejne tysiąc lat ludziom musiały wystarczyć przekazy ustne, ponieważ nie mieli ani papieru, ani atramentu, którym mogliby na tym papierze pisać. Urządzenia rejestrujące były rzadko spotykane i prowizorycznie konserwowane. Wszystkie układy scalone zużyto do ważniejszych instalacji, takich jak roboty i układy podtrzymywania życia.

Zabrzmiał ostrzegawczy dźwięk, kapsuła wyhamowała i znieruchomiała. Nawet po jej zatrzymaniu pasażerowie nadal odczuwali namiastkę ciężenia – chociaż zbyt delikatną, żeby przejawiała się w czymś więcej niż irytująca skłonność nieumocowanych przedmiotów do opadania „w dół”, co w tej części Oka oznaczało „w stronę Ziemi”. Aby jakoś nad tą tendencją zapanować, terminal podzielono lekkimi podłogami na kilka kondygnacji. Ciężenie było jednak na tyle słabe, że człowiek mógł unosić się w powietrzu i przelatywać z miejsca na miejsce, odpychając się od stałych punktów oparcia.

Kath Dwa zabrała swoją torbę, przypięła ją do pleców i wyfrunęła z kapsuły. Pozostali pasażerowie najwidoczniej wiedzieli, dokąd iść, podążyła więc za nimi „na dół” przez otwory w podłogach,

poprzesuwane na skos względem siebie nawzajem. Na tę część Oka składały się niemal wyłącznie elementy konstrukcyjne: masywne belki i dźwigary zbiegały się w jednym punkcie od strony Ziemi. Metal był podziurawiony jak plaster miodu tunelami i otworami najróżniejszego przeznaczenia. Karbonowe liny, na których odległa o trzydzieści sześć tysięcy kilometrów Kolebka zwieszała się tuż ponad ziemską atmosferą, rozplatały się w tym miejscu i – skrajnie naprężone – znikwały w długich, ekranowanych tunelach, przez które sięgały przeciwległego krańca Oka, gdzie ponownie łączyły się i wybiegały na spotkanie Kamulca. W porównaniu z tymi tunelami komory i korytarze przeznaczone dla ludzi wydawały się mikroskopijne.

W samiuteńki czubek oka wprawiono szklaną kopułę o średnicy sześciu metrów. Kiedy spojrzano się z niej w głąb tunelu mieszczącego linę (a ściślej rzecz biorąc – w głąb szesnastu równoległych kanałów, w których biegło szesnaście cieńszych ściągów), na końcu było widać Ziemię. Widziana z tej odległości miała wielkość ludzkiej twarzy oglądanej z drugiej strony niedużego stołu. Gdyby zobaczył ją mieszkaniec Starej Ziemi, mógłby w pierwszej chwili pomyśleć, że wcale się nie zmieniła. Wyglądała z grubsza tak jak zawsze: niebieskie oceany, białe czapy lodu, zielono-brązowe kontynenty częściowo przesłonięte skłębionymi białymi chmurami. Kontynenty znajdowały się mniej więcej tam, gdzie powinny, bo nawet Kamienny Deszcz nie był w stanie poważnie uszkodzić płyt tektonicznych, ale kształty mas lądowych uległy poważnym zmianom. Liczne śródlądowe morza i głębokie wgniecenia w liniach brzegowych znaczyły miejsca upadku dużych meteorytów. Uderzenia bolidów w dno morskie i aktywność wulkaniczna zaowocowały powstaniem nowych archipelagów, najczęściej okrągłych lub półokrągłych w kształcie.

Oko zawsze znajdowało się dokładnie nad równikiem; w tej chwili zawisło w połowie odległości między Afryką i Ameryką Południową, których linie brzegowe uzupełniały się w taki sposób, że ich historia tektoniczna stawała się oczywista nawet dla laików. Niżej położone nadmorskie tereny na obu kontynentach były potężnie powyszczerbiane; w samym środku tych szczyb często sterczały skaliste wysepki – centralne stożki ogromnych kraterów uderzeniowych. Z obu stron w głąb Atlantyku wybiegały nowe łańcuchy

wysp, znikwały jednak pod wodą na długo przed tym, jak zdążyły się połączyć.

Geografia Nowej Ziemi, choć precudnej urody, nie robiła wielkiego wrażenia na Kath Dwa, która studiowała ją przez całe życie, a przez wiele lat przemierzała powierzchnię planety. W tej chwili jej uwagę przykuwały gigantyczne maszyny tworzące ramy tego kadru. Na obrzeżach pola widzenia majaczył okalający ją torus, którego wirowanie zapewniało sztuczne ciężenie zamieszkującym go pracownikom obsługi terminala i ich rodzinom. Nieco bliżej centrum kadru znajdowało się szesnaście otworów, przez które tworzące linię Kolebki włókna wnikały w głąb szkieletu Oka. Każde z włókien, które widziane z tej odległości wydawało się lite, w rzeczywistości składało się z szesnastu następnych, cieńszych, każde z tej szesnastki również, i tak dalej, jak w kolejnych iteracjach fraktala. Pomiedzy Okiem i Kolebką biegły równoległe, połączone siecią cieńszych skośnych ścięgien, zaprojektowanych w taki sposób, że w razie pęknięcia jednego z nich pozostałe przejmowały obciążenie do czasu, aż obsługa przysłała robota naprawczego. Włókna często się zrywały – czy to z powodu trafienia meteorytem, czy zwykłego zmęczenia materiału, toteż, mrużąc oczy, można było stwierdzić, że na linii wprost roi się od robotów. Niektóre z nich, o rozmiarach budynków mieszkalnych, przemieszczały się tam i z powrotem po najgrubszych linach, pełniąc rolę statków matek dla całych rojów mniejszych jednostek zajętych faktycznym dokonywaniem napraw. Proces ten z mniejszym lub większym natężeniem trwał nieprzerwanie od setek lat. Ten koniec liny wyciągał się ku Ziemi jak łodyżka fasolki; drugi koniec wydłużał się w przeciwnym kierunku, coraz dalej od pierścienia siedliskowego, by działać jako przeciwwaga.

Z tej odległości Kolebka była jeszcze niewidoczna – nawet gdyby miała większe rozmiary, zasłaniałaby ją zbliżająca się do terminala winda, której przybycia spodziewano się za pół godziny. Winda przypominała koła wozów, jakie jeździły niegdyś po Starej Ziemi: szesnaście szprych łączyło zewnętrzną obręcz z kulistą piastą wielkości hotelu, w której podróżowali pasażerowie. Jej widok napawał Kath Dwa lekkim niepokojem, tak jakby winda miała zderzyć się z terminalem i roztrzaskać jego kopułę – w takiej sytuacji zniszczeniu uległyby dwie

kopuły jednocześnie, ponieważ piasta również była zwieńczona kopułą, spod której wyciągnięci na leżankach pasażerowie mogli obserwować przybliżające się Oko i pierścień mieszkalny. Ale winda oczywiście zwolniła i znieruchomiła, zanim doszło do zderzenia. Przez szkło – teraz już na odległość rzutu kamieniem – było widać, jak przybysze odpinają pasy bezpieczeństwa, zbierają swoje bagaże i płyną do wyjść. Większość nosiła wojskowe mundury albo ciemne, dobrze skrojone ubrania, jakie Kath Dwa nauczyła się kojarzyć z komiersantami i politicos. Nie pasowała do takiego towarzystwa, ale zaproszenie ze strony Doca wystarczało za referencje.

Zza cienkich przepierzeń dobiegały odgłosy wydawane przez pasażerów kierujących się do sektora kwarantanny; ostatecznie udadzą się do Wielkiego Łańcucha albo małego torusa okalającego koniec liny. Roboty sprzątające i nieliczni ludzcy pracownicy już zajęli się porządkowaniem wnętrza piasty. Po kilku minutach nad drzwiami zapaliło się zielone światło i Kath Dwa dołączyła do tłumu kilkudziesięciu pasażerów jadących na dół.

Wkrótce sadowiła się już wygodnie w małej jednoosobowej kabinie w piaście windy, w której miała spędzić trwającą cztery dni podróż na drugi koniec liny. Dzwonek zapowiedział odjazd, ale winda rozwijała prędkość nadzwyczaj niepozorną w porównaniu z osiąganymi w kosmosie, więc Kath Dwa postanowiła nie przypinać się pasami. Po prostu wczłogała się do łóżka i zasnęła.

* * *

Winda była wysokim na dziesięć pięter cylindrem, pustym w środku i zaopatrzonym w szklane kopuły na obu końcach: jedną od strony Oka, drugą od strony Ziemi. Ponieważ podłogi wszystkich kondygnacji wykonano ze szkła, słońce prześwietlało ją pionowo na wskroś. Ściany zewnętrzne były pozbawione okien i grubo ekranowane dla ochrony przed promieniowaniem, od wewnątrz natomiast okna kabin i świetlic wychodziły na atrium – w każdym razie okna droższych kabin, bo Kath Dwa wylądowała na obrzeżu, pod samą ścianą zewnętrzną, i przez maciupęńki iluminator przy wejściu widziała tylko fragment

zakrzywiającego się korytarza – co zresztą wcale jej nie przeszkadzało.

Na początku podróży znajdowali się w stanie bliskim nieważkości, jednakże w miarę upływu czasu ciężenie miało rosnąć, by w samej Kolebce osiągnąć wartość jednego g . Obudzwszy się, Kath Dwa stwierdziła, że nie spała zbyt długo, bo grawitacja niewiele się zwiększyła i osiągnęła poziom mniej więcej taki, jak niegdyś na Księżycu.

Przespacerowała się po atrium w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby usiąść i poczytać. Znalazła kilka barów i restauracji, ale – sądząc po strojach klientów i cenach w menu – nie były to lokale dla niej. Na szklanej podłodze rozstawiono trochę wyglądających na wygodne foteli i leżanek, a kiedy w końcu odkryła nieopodal kawiarnię, postanowiła tam właśnie się rozgościć.

Po jakiejś godzinie pojawił się Beled Tomow; usiadł niedaleko, ale nie próbował odciągać jej od czytania. Kiedy dotarła do momentu, który nadawał się na zrobienie przerwy w lekturze, podniosła głowę i dostrzegła Ariane Casablancową: siedziała po drugiej stronie atrium i pracowała na tablecie.

Było ich więc pięcioro: Doc, Memmie, Ariane, Beled i Kath Dwa. Do Siódemki brakowało jeszcze dinajczyka i – co bardziej problematyczne – aïdanina.

Kath Dwa i Beled spotkali się z doktorem Hu i Memmie nieco później, gdy – porozumiawszy się bez słów – wybrali się do najtańszej restauracji, żeby coś zjeść. O dziwo, Doc nie był otoczony przez studentów, uczonych i ważniaków z TerReFormu: siedział po prostu w głębi sali i ostrożnie jadł zupę. Siedząca tuż obok Memmie co rusz wyciągała rękę, żeby poprawić mu wyslizgującą się spod kołnierzyka serwetkę. Żadne z nich nie zareagowało, gdy Kath Dwa z Beledem się do nich dosiedli – przynajmniej nie od razu, bo po dłuższej chwili Doc w końcu się odezwał:

– Miło mi pana znowu widzieć, poruczniku Tomow.

I każdy z nich zasalutował w sposób charakterystyczny dla swojej rasy.

„Porucznik” był oczywiście stopniem w hierarchii wojskowej, nie zwiadowczej, co potwierdzało, że związek Beleda ze Zwiadem jest w najlepszym razie niejednoznaczny. Ale jeszcze ciekawszy był fakt, że

znają się z doktorem Hu.

– Mam nadzieję, że ta misja nie przysporzy nam przesadnych niedogodności – ciągnął Doc.

– Każdy obowiązek w mniejszym lub większym stopniu wiąże się z niedogodnościami. Inaczej nie byłby obowiązkiem.

– Miałem na myśli rozwój pańskiej kariery, poruczniku. W przyszłości w pańskich aktach ten epizod będzie się wyróżniał jako skrajnie nietypowy, co może panu pomóc albo zaszkodzić, w zależności od tego, kto będzie czytał te akta.

– Nie zawracam sobie głowy takimi sprawami – przyznał Beled.

– Niektórzy powiedzieliby, że to nierozważne. Ja jednak nie przepadam za towarzystwem takich ludzi, pańskie zaś cenię sobie nadzwyczajnie.

– Mogę spytać, czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Doc zerknął przelotnie na Kath Dwa.

– Kath na pewno martwi się, że to przez jej niedyskrecję. Myśli, że wciągnęła pana w tę sprawę, kiedy zdradziła panu pewne szczegóły swojej pracy. A może nieco zirytował ją fakt, że napomknął pan o tym w swoim raporcie?

Kath Dwa pokręciła głową, nie chciała jednak przerywać Docowi. Beled spokojnie przetrwał jego słowa.

– Ale nie – podjął przerwany wątek Doc – nic z tego nie miało wpływu na moją decyzję. Jest pan zmienną o znanej wartości nie tylko dla mnie, lecz także dla Kath Dwa i Ariane, co może mieć swoje zalety, lecz nawet bez tego byłby pan znakomitym kandydatem. Nie wszystko musi mieć swój powód, bez względu na to, co twierdzą nasi julijscy przyjaciele.

Widząc zbliżającą się do nich Ariane Casablancową – szła ostrożnie, z pewną rezerwą, niosąc tacę z jedzeniem – posłał ledwie dostrzegalne znaczące spojrzenie Memmie, która natychmiast wstała i zabrała krzesło od sąsiedniego stolika. Ariane usiadła przy ich stole.

Kath Dwa poczuła się trochę nieswojo: zaledwie dzień wcześniej ta kobieta dała jej do zrozumienia, że ma nad nią władzę; wiedziała o niej rzeczy, które w innych okolicznościach byłyby całkowicie prywatną sprawą. Kim była teraz? Najprawdopodobniej taką samą członkinią Siódemki jak ona.

Oczywiście Ariane wszystko to zawczasu przemyślała i była

odpowiednio przygotowana.

– Kath Dwa, Beledzie... – zaczęła. – Wspomnienie naszych pierwszych spotkań, które odbyły się w oficjalnych, biurokratycznych okolicznościach, budzi w was zapewne ambiwalentne uczucia. Chętnie poznam was teraz bliżej jako kolegów.

– Przyjąłem – odparł Beled.

– Dziękuję – powiedziała Kath Dwa.

Prawdę mówiąc, poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie niż przedtem. Ariane nie brzmiała ciepło ani serdecznie, miało się raczej wrażenie, że po prostu odbębniła krótką przemowę z listy spraw do załatwienia.

Teraz zaś zmierzyła przenikliwym spojrzeniem pozostałych dwoje.

– Doktorze Hu, Remembrance... Miło mi was widzieć.

– Doc – poprawił ją Doc. – I Memmie.

Te sztywne i dość oschłe gambity konwersacyjne prowadziły donikąd, więc po chwili krępującego milczenia Ariane zaczęła jeść.

– Doc? – odezwała się Kath Dwa. – Możesz nam powiedzieć, co my tu właściwie robimy, do diabła ciężkiego? Po co ta Siódemka?

– Chyba Piątka – odparował filuternie Doc. Napięcie trochę opadło, zwłaszcza po tym, jak Memmie, Ariane i Beled przed chwilą spiorunowali wzrokiem Kath Dwa, zaskoczeni jej bezpośredniością w rozmowie ze starym profesorem. Doc z niezmaconym spokojem mówił dalej: – Kiedy staniemy się Siódemką, a dojdzie do tego za kilka dni w Kolebce, wyjaśnię wszystko wszystkim za jednym zamachem.

– W porządku – zgodziła się Kath Dwa. – A czym mamy się zająć do tego czasu?

– Wszystkim tym, czego będzie wam później brakowało, kiedy długo nie będziecie się mogli tym zająć.

To była cudowna myśl i Kath Dwa aż do końca podróży windą starała się docenić stojącą za nią szczodrość Doca, nawet jeśli niespecjalnie wzięła sobie jego słowa do serca. Czytała trochę więcej, niż początkowo zamierzała. Przy posiłkach i na siłowni starała się rzucać Beledowi w oczy, na wypadek gdyby miał na coś ochotę, ale sytuacja się zmieniła. Wspólny pobyt w sektorze Q sprzyjał niezobowiązującej, przelotnej znajomości, która wprawdzie nigdy nie wyszła poza sypianie w jednym łóżku, ale mogła poza nie wyjść. Świadomość, że najprawdopodobniej

nigdy więcej się nie spotkają, ułatwiała krótkotrwałe wspólne pomieszkiwanie i cieszenie się nawzajem swoją obecnością, które mogłyby im mocno skomplikować życie, gdyby razem pracowali. A teraz właśnie zaczęli razem pracować.

Beled zachował się rozsądnie i nie podjął wyzwania. Rozumiała go. Odrobina frustracji seksualnej była uczciwą ceną za roztropność.

Dwa razy zjadła posiłek w towarzystwie Ariane, a w wolnym czasie bez przekonania próbowała dowiedzieć się z sieci czegoś więcej na jej temat. Przypuszczała, że wszelka aktywność sieciowa jest monitorowana i rejestrowana, i to najprawdopodobniej przez kogoś, kto pozostaje w stałym kontakcie z Ariane, bez względu na to, dla kogo ta ostatnia pracuje – bo z biegiem czasu wydawało się coraz bardziej oczywiste, że nie jest zatrudniona w Kwarantannie. Chociaż może nie do końca, może należałoby to ująć inaczej: wystawiona na widok publiczny fasada Kwarantanny – ludzie, którzy przepytывali pasażerów podróżujących pomiędzy siedliskami – była tylko jednym aspektem jakiegoś innego tworu, znacznie większego i bardziej skomplikowanego. Zwiad i wojsko stanowiły odrębne byty, które jednak trudno byłoby oddzielić ostrą granicą. Podobnie rzecz się miała z policją i Kwarantanną, przy czym pod pojęciem „policja” należało uwzględnić znacznie szerszy wachlarz działań niż zwykle egzekwowanie prawa; nawet wywiad i kontrwywiad poniekąd należały do tej samej kategorii. A Kath Dwa nie miała pojęcia, gdzie w tym wszystkim plasuje się Ariane. Nadmierny zapał przy poszukiwaniu w sieci informacji o Ariane Casablancowej rzucałby się w oczy i na pewno byłby złym pomysłem, ale nieszukanie w ogóle byłoby chyba jeszcze gorsze. Dlatego Kath Dwa szukała niewiele, a znajdowała jeszcze mniej. Nazwiska szeregowych funkcjonariuszy Kwarantanny wypływały czasem przy okazji raportów policyjnych albo inicjatyw PR-owskich, ale na temat Ariane niczego takiego nie znalazła. Ba, nie wiedziała nawet, czy Ariane Casablancowa to jej prawdziwe nazwisko.

Pilne strzeżenie prywatności nie było niczym niezwykłym u Julijki, która mieszka i pracuje u Niebieskich. Skupiona wokół siedliska Tokomaru julijska część pierścienia była najrzadziej zaludnionym ze wszystkich jego ośmiu segmentów. Dziewięćdziesiąt procent jej powierzchni znajdowało się po czerwonej stronie szlabanu granicznego;

dosłownie garstka modułów na wschód od Kiribati leżała w strefie niebieskiej. Julijczycy stanowili tam mniejszość (przeważali agresywni teklanie, których segment zaczynał się kawałeczek dalej, po drugiej stronie Hawajów), ale zarazem byli dostatecznie liczni, żeby Niebiescy nie postrzegali ich jako obcych czy imigrantów. Wielu julijczyków zostawało duchoborcami i pełniło w społeczeństwie podobną rolę jak księży i kapłani przed Dniem Zero.

Zagłada Starej Ziemi i zredukowanie ludzkiej populacji do ośmiu osobników raz na zawsze rozprawiły się z ideą Boga, przynajmniej takiego, który choć w przybliżeniu odpowiadałby wyobrażeniom z epoki pre-Zerowej. Musiały upłynąć tysiące lat, zanim ktokolwiek, nawet na najdalszych rubieżach ludzkiej cywilizacji, ośmielił się zasugerować, że można by – lub że warto – pomyśleć o odrodzeniu się religii w tradycyjnym sensie tego słowa. Zamiast tego wykształcił się zupełnie nowy sposób myślenia, odnoszący się do ogólniejszej idei „ducha”. Związane z nim instytucje nazywano „Kupolami” na pamiątkę szklanej bańki, która na *Endurance* służyła za salę medytacyjną i kaplicę wszystkich religii. Dzisiejsze Kupole wywodziły się od tamtej konstrukcji, którą Dubois Harris ochrzcił mianem Kapsuły Zabobonów, i widok rozgrywających się w niej scen Eposu automatycznie budził skojarzenia z lokalnymi Kupolami. Członków związanego z nimi personelu nazywano najczęściej „duchoborcami”, co po rosyjsku oznaczało „zmagających się ze sprawami ducha”. Podobnie jak niegdyś Kościoły, dzisiejsze Kupole utrzymywały się z datków wiernych. Niektóre, zwłaszcza te w Wielkim Łąncuchu, mieściły się w przepięknych, arcybogatych budynkach; inne – tak jak ten w sektorze Q – ograniczały się do jednego wyciszzonego pomieszczenia, w którym można było oddać się rozmyślaniom lub poprosić o pomoc współczesnego odpowiednika pracownika opieki społecznej. Duchoborcy najczęściej uważali się za spadkobierców Luisy, która w Eposie odgrywała podobną rolę; niektórzy (lepiej wykształceni) wykazywali bezpośrednie związki pomiędzy Kupolami i Stowarzyszeniem Kultury i Etyki, prowadzącym w Nowym Jorku szkołę, do której uczęszczała. Luisa nie dała jednak początku własnej rasie i zawód duchoborca został zdominowany przez julijczyków. Julijskie siedlisko Astrachań, ulokowane – zgoła niecodziennie –

w samym środku segmentu dinajskiego – stało się czymś na kształt wylegarni duchoborców różnych wyznań. Kath Dwa zdołała ustalić, że to stamtąd właśnie pochodzi Ariane, i nic ponadto, ale to jej nie przeszkadzało. Ariane miała swoje powody, żeby trzymać się na uboczu i wieść ciche, spokojne życie.

* * *

Żelazonikłowy fragment księżycowego jądra znany jako Rozpadlina został w większości przetopiony i przekształcony w konstrukcję Oka. Inżynierowie nie potrafili jednak zmusić się do tego, by zniszczyć tę jego część, gdzie *Endurance* osiadł po zakończeniu Wielkiej Jazdy i gdzie w żelaznych katakumbach spoczęły ciała Dooba, Zeke’a Petersena i innych bohaterów Eposu. Ten skrawek asteroidy – głęboki, osłonięty wąwóz, w którym pierwsze pokolenia przodków nowych ludzkich ras przeżyły całe swoje życie – nazwano „Kolebką”.

Naturalnie wszyscy widzieli fragment Eposu, w którym Doob wychodzi z Ewą Dinah na swój ostatni spacer, patrzy na wznoszące się nad dnem doliny ściany z litego żelaza i prorokuje, że pewnego dnia zostaną przykryte szklanym sufitem, który przemieni „Dolinę Ew” w olbrzymią cieplarnię, gdzie dzieci będą mogły fruwać w powietrzu bez skafandrów i jeść świeże jarzyny z tarasowych ogrodów. Był to chyba największy wyciskacz łez w całym Eposie. Publika go uwielbiała. Oczywiście wszystkie przewidywania Dooba się sprawdziły i ostatecznie populacja Kolebki rozrosła się do kilkunastu tysięcy mieszkańców, zanim ich potomkowie zostali zmuszeni do szukania sobie nowych terenów.

Jej główną wadą był brak sztucznego ciśnienia, który zmusił przedstawicieli tych pierwszych pokoleń do budowania urządzeń będących ulepszoną wersją jarmarcznej karuzeli, na których regularne przejażdżki wspomagały rozwój kości u dzieci. W budowanych później siedliskach – wirujących torusach przytwierdzanych do ścian wąwozu – panował większy ścisk niż na Izzy; wiele pokoleń spędzało w nich całe życie, bardzo rzadko wyrywając się na urlop, by rozkoszować się otwartymi słonecznymi przestrzeniami Kolebki. Kiedy w końcu

nauczono się budować większe i lepsze siedliska, Kolebka na długie stulecia poszła w zapomnienie, z rzadka odwiedzana przez historyków i poszukiwaczy ciekawostek.

Podczas budowy Oka Kolebka wraz z bezpośrednim sąsiedztwem została *de facto* odcięta od reszty Rozpadliny, zdryfowała na teren pobliskiego cmentarzyska i tak szybowała sobie w kosmosie, dopóki nie podjęto decyzji, żeby tchnąć w nią nowe życie. Pierwotną cieplarnię, która przez ten czas legła w gruzach, zastąpiono nową, większą, ruchomą pokrywą o płaskiej spodniej powierzchni. Ściany wąwozu ukształtowano tarasowato, przez co nie tylko stały się mniej strome, ale przy okazji dostarczyły cennych terenów pod zabudowę. Na całość konstrukcji zarzucono żelazonikłowe jarzmo, umożliwiające przypięcie Kolebki do końca liny zwisającej z dolnego krańca Oka i mierzącej trzydzieści sześć tysięcy kilometrów długości.

Używany w terminalu symbol Kolebki – dwie góry zamknięte pod kopułą – stanowił uproszczone odwzorowanie jej faktycznego wyglądu. Zdatny do zamieszkania teren zajmował w niej krąg o średnicy około dwóch tysięcy metrów, czyli mniej więcej tyle, ile mierzyło centrum Bostonu albo londyńskie City. Przedzielała go Dolina Ew, której ściany, niegdyś pionowe na całej długości, pozostały takie tylko do wysokości około dziesięciu metrów, tworząc płytki parów wijący się przez najniższą położoną część miasta. Po obfitych opadach parów przeobrażał się w rdzawobrązową rzeczkę, na której samym środku leżała wyspa – dokładnie w tym miejscu, gdzie wylądował *Endurance*. Dawniej można było udać się na nią i dotknąć metalowych wypukłości – śladów po przyspawaniu statku do podłoża przez Ewę Dinah. Później jednak osłonięto je szklanymi kopułkami, żeby nie rdzewiały i nie ścierały się pod dotykiem turystów. Oczywiście sam statek dawno zniknął: pasażerowie poczęli go rozbierać niemal od razu po przybyciu na miejsce, pozostawiwszy tylko silnie napromieniowane resztki, które zostały przewiezione i zmagazynowane w starannie zabezpieczonych rejonach cmentarzysk.

Miasto wybudowano na dwóch oszałamiająco stromych zboczach przedzielonych tarasowatą szczeliną. Kilometrowej długości most, słusznie chwalony za wdzięczną sylwetkę, spinał dzielącą je przestrzeń, przepaścisty powietrzny klin, w którym roilo się od kruków siwych.

Miasto składało się z wydzielonych kompleksów mieszkalnych. Niektóre pamiętały jeszcze jego początki, kiedy to – przed wybudowaniem kopuły nad wąwozem – stawiano mniejsze nadmuchiwane kopułki nad wybranymi fragmentami stoków; inne, późniejsze, naśladowały styl tych najstarszych. Ani istnienie kompleksów mieszkalnych (z powodów strukturalnych najczęściej przybierających półkuliste kształty), ani ukształtowanie terenu nie sprzyjały wytyczeniu regularnej siatki ulic, dlatego na mapie miasta panował chaos serpentyn, meandrów i zaułków, które zniecałkowały przechodziły w schody lub przepadały w tunelach. Ograniczenia wysokości budynków zmusiły ludzi do wkopania się w metalowy fundament, toteż większość kubatury miasta pozostawała niewidoczna. Domy przypominały góry lodowe: były większe pod ziemią niż nad jej powierzchnią.

A na powierzchni popularnym materiałem budowlanym był kamień. W starszych i mniej prestiżowych konstrukcjach wykorzystywano syntetyczny materiał znany jako księżycowy kamień, zrobiony z odłamków niegdysiejszego ziemskiego satelity. Nowsze, ładniejsze budowle konstruowano z marmuru, granitu i innych skał pozyskiwanych na Ziemi; jedynym surowcem, jaki zmasakrowana powierzchnia planety oferowała w nadmiarze, był kamień. Dlatego też przechodniom na wąskich ulicach miasto prezentowało twardą, surową twarz, za to ci, którym udało się przeniknąć do kompleksów mieszkalnych, przechadzali się po pachnących ogrodach w cieniu drzew. Ponieważ Kolebka nie oddalała się od równika, zieleń pleniła się tu tak obficie, że musiała być trzymana w karbach przez hordy uzbrojonych w nożyce małych krabochwyków.

Na szczycie obu wzgórz rozciągały się parki. Nad jednym z nich wznosił się kopulasty, okrągławy budynek zwany Kapitołem, nad drugim – kanciasta kolumnada Giełdy.

Kiedy Kath Dwa i pozostali pasażerowie przybyli do Kolebki, ta znajdowała się dwa tysiące metrów nad Atlantykiem i zmierzała dokładnie na zachód, do miejsca, gdzie równik wcinał się w zdeformowane wybrzeże Ameryki Południowej. Jej ruch odzwierciedlał fakt, że trzydzieści sześć tysięcy kilometrów wyżej Oko przesuwano się wzdłuż pierścienia siedlisk na zachód, czyli JaZWoPół

(Jak Zegar Widziany od Północy). Jako ciężarek na końcu bardzo długiego sznurka Kolebka zawsze podążała w ślad za Okiem. Kopuła nad miastem była otwarta, tylko jej pionowe elementy ochronne zostały postawione, żeby osłonić mieszkańców przed wiatrem.

Ciepłe i wilgotne powietrze – normalna rzecz na równiku – na wysokości Kolebki przy stale wiejącej bryzie było bardzo przyjemne. Pachniało solą, jodem i morzem; stanowiło niezbity dowód na to, że Kath Dwa znów znalazła się w ziemskiej atmosferze.

Atmosferze, która została wytworzona sztucznie. Ludzie przez setki lat bombardowali martwą, wyżarzoną Ziemię jądrami kometarnymi, żeby uzyskać pożądany poziom mórz. Następnie zarazili wodę zmodyfikowanymi genetycznie mikroorganizmami, które miały wyprodukować odpowiednie gazy w proporcjach właściwych do podtrzymania życia, a potem popełnić samobójstwo, by pozostała po nich biomasa posłużyła za substancje odżywcze dla następnej fali atmosferotwórczych mikrobów.

Jeśli wierzyć wynikom pomiarów, udało się w ten sposób niemal idealnie odtworzyć powietrze ze Starej Ziemi; zresztą nikt, kto mógł nim pooddychać po latach spędzonych w zamkniętym siedlisku, nie potrzebował naukowych danych na potwierdzenie jego jakości. Ten zapach przenikał do jakiejś prastarej części mózgu, uruchamiając odruchy zakodowane już u praludzi zamieszkujących przed milionami lat afrykańskie wybrzeża. Po swoich poprzednich wizytach na Ziemi Kath Dwa wiedziała, że powietrze może mieć działanie odurzające, jak najlepszy narkotyk we wszechświecie, po którym człowiek chciałby bez przerwy przesiadywać na Ziemi. To dlatego Kolebkę – stale pławiącą się w tym powietrzu, wleczoną w nim na końcu mierzącej trzydzieści sześć tysięcy kilometrów uwięzi – zamieszkiwała najbardziej ekskluzywna społeczność ze wszystkich. I to dlatego Czerwoni i Niebiescy stoczyli już dwie wojny o prawo do życia na powierzchni.

Kolebka była podwieszona do liny za pomocą uchwytu przypominającego ucho wiadra, wznoszące się wysoko ponad środkową częścią miasta. Puste w środku „ucho” mieściło zaskakująco toporną windę, która zwiozła Kath Dwa i niektórych pasażerów na platformę wrytą głęboko w podłoże skalne (metalowe, ściśle rzecz biorąc) w północnej części miasta, skąd po pochylni wyszli na ulice.

Wszędzie wokół wyjścia szczytowe partie murów były białe od kruczych odchodów. Setki ptaków porozsiadały się w miejscach, z których widziały twarze przybyszów na pochylni, by po rozpoznaniu adresata sfrunąć w dół i przekazać mu wiadomość. Niektórzy pasażerowie wyciągali ręce, oferując krukowi drobne przysmaki. Idący przed Kath Dwa dobrze ubrany ivyn szybko zwrócił w ten sposób uwagę jednego z ptaków. W drugiej ręce trzymał tablet, na którym zapewne wyświetlało się czyjeś zdjęcie.

– Kawiarnia w gmachu Giełdy – powiedział. – Kropka siedemnaście.

Kruk przełknął smakołyk gestem do złudzenia przypominającym wymiotowanie puszczone wstecz, po czym zamachał skrzydłami i odfrunął, wykrzykując podane przez mężczyznę słowa. Gdyby dobrze się wsłuchać w zgiełkliwy jazgot pozostałych kruków – niegłodnych albo chwilowo pozbawionych zajęcia – można by się dowiedzieć sporo ciekawych rzeczy o wydarzeniach na rynku akcji i w świecie polityki.

Z początku nowo przybyli trzymali się razem, co odróżniało ich od przechodniów z większym stażem, ale po zaledwie kilkuset metrach poszli w rozsypkę i Kath Dwa nagle stwierdziła, że została sama. Z podręczników знаła mniej więcej rozkład miasta. Wylądowała po jego północnej stronie, na Wzgórzu Giełdowym. Tubylec mógłby stwierdzić to samo, spojrzawszy na stroje przechodniów i sposób ich poruszania się: otaczali ją komiersanci, pracujący w podziemnych biurach i wynurzający się na powierzchnię, żeby coś zjeść, rozerwać się lub w inny sposób spożytkować swoje bogactwo. Handel był oczywiście wszechobecny w pierścieniu siedliskowym; centra finansowe w takich starych ośrodkach jak Greenwich, Rio czy Bagdad z powodzeniem rywalizowały ze Wzgierzem Giełdowym, a pod pewnymi względami nawet je przewyższały, ale żadne nie mogło się z nim mierzyć pod względem prestiżu. Nawet najbardziej wpływowych finansistów i najlepiej zapowiadających się brokerów w Greenwich nieustannie prześladowała myśl, że coś tracą, nie urzędując w Kolebce.

Ponieważ handel odbywał się głównie pod ziemią, na powierzchni Wzgierza Giełdowego panował zwodniczy spokój, jak w starym hiszpańskim miasteczku w porze sjeisty. Kath Dwa wkrótce zabłądziła, po czym, pogodziwszy się z faktem, że wyjdzie na turystkę, wyjęła z kieszeni karteluszek z zapisanym adresem. Już wcześniej wiedziała, że

będzie musiała przenieść się na południową stronę miasta, czyli albo przejść po moście, którego łuk rysował się wysoko nad Kolebką, albo zejść na samo dno i przekroczyć dzielący dwa wzgórza parów. Kusilo ją to drugie rozwiązanie, ale miała świadomość, że chciałaby wtedy spędzić na dole więcej czasu, obejrzeć miejsce lądowania *Endurance* i spaceru Ewy Dinah z Dubois Harrisem. Lepiej zostawić to na później.

Zaczęła więc piąć się pod górę krętymi uliczkami wyłożonymi kamieniem, którego rudobrunatny odcień skutecznie maskował zacieki rdzy spływające z każdego odsłoniętego skrawka metalowego fundamentu. Przeszła przez park obok Giełdy, gdzie młodzi elegancyjści brokerzy, korzystając z przerwy na lunch, przesiadywali na ławkach i poszturchiwali swoje tablety, roześmiani przesiadywali gromadnie na trawie albo grali kolorowymi piłkami w jakieś gry towarzyskie.

Północna krawędź mostu przytykała do skraju parku. Z dołu wydawał się smukły i pełen gracji, dając mylne wyobrażenie o swojej prawdziwej solidności. Tutaj, przy samym parku, rozszerzał się i masywnym złączem wnikał we Wzgórze Giełdowe, ale nawet w swoim apogeum był dostatecznie szeroki, żeby dwudziestu ludzi mogło przejść po nim ramie w ramie. Obejrząwszy się po raz ostatni na zachwycające marmurowe kolumny Giełdy i pochwyciwszy uchem dobiegające z jej wnętrza odgłosy, Kath Dwa zwróciła się na południe i weszła na most.

Z początku szła po schodach, łuk jednak stopniowo się spłaszczył, aż przeszedł w pochylnię wyłożoną białym marmurem, od czasu do czasu przełamowaną poziomymi podestami. Podobno wprowadzono je po to, żeby łatwiej było zapanować nad obiektami wyposażonymi w koła. Jeśli rzeczywiście tak było, to ich prawdziwy cel został pomysłowo zamaskowany: urządzono na nich ogródki z rzeźbami, gdzie oplecione różami altanki zapewniały odrobinę wytchnienia wędrowcom.

Kath Dwa, choć nie całkiem odporna na takie pokusy, w głębi serca była jednak poważnym piechurkiem i ruszywszy raz z miejsca, nie lubiła się zatrzymywać. Szła zamyślona, rozpamiętując przejazd windą, który przebiegł zupełnie spokojnie – i to właśnie, jak stopniowo sobie uświadamiała, decydowało o jego uroku i wyjątkowości. Można było dotrzeć do Kolebki bardzo szybko, jeśli tylko miało się dość pieniędzy, żeby wynająć odpowiedni pojazd – albo dość władzy, żeby go zarekwirować. Większość pasażerów korzystała jednak z windy, przez

co Kolebkę od reszty świata ludzi oddzielała nie tyle przestrzeń, ile raczej czas. Poświęcenie tak dużej jego ilości było swoistym luksusem, na który mogli sobie pozwolić nieliczni. Oczywiście po drodze pracowali – stąd brały się te wszystkie drogie restauracje i bary wokół atrium, z prywatnymi salami zebrań – ale Kath Dwa, która nie miała nic pilnego do zrobienia, całymi godzinami z nikim nie rozmawiała. Dużo czytała i oglądała programy rozrywkowe. Spała całkiem nieźle, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że ewentualna przemiana epigenetyczna sprzed tygodnia została zahamowana.

Tym bardziej nie mogła się doczekać chwili, gdy dotrze na umówione miejsce, usłyszy od Doca wyjaśnienie, pozna brakujących dinajczyka i aïdanina i całą Siódemką wezmą się wreszcie do roboty.

Żwawym krokiem dotarła na szczyt łuku, gdzie zrobiła sobie krótką przerwę. W najwyższym punkcie most się rozszerzał, tworząc platformę widokową o pieszczotliwej nazwie Huraganowe Wyżyny. Porywisty wiatr wyciskał łzy z oczu. Odwróciła się do niego plecami i ostrożnie, niepewnym krokiem podeszła do wschodniego skraju mostu, po zawietrznej. Zamrugła, żeby pozbyć się łez, i długą chwilę gapiała się w dół, na ulice, budynki i Dolinę Ew. Słońce zachodziło za jej plecami; zachodziło szybko, bo znajdowała się na równiku. Dolina już ginęła w cieniu, ale kamienne ściany kompleksów mieszkalnych i fasady domów emanowały różowozłotą poświatą. W oblanym fioletowym cieniem oknach zapalały się światła.

To było miejsce prawdziwe, zupełnie inne od sztucznych ekosystemów w pierścieniu mieszkalnym. Niektóre większe siedliska zbliżały się do takiej autentyczności, dawały złudzenie prawdziwego środowiska planetarnego, ale czar pryskał, gdy tylko podniosło się głowę i dostrzegło zawieszony na wysokości kilku kilometrów strop. A tutaj człowiek spoglądał w górę i widział bezkresne niebo, wschodzące gwiazdy i roziskrzony łańcuszek pierścienia siedliskowego, wznoszący się prostopadle nad wschodnim widnokrzem. Autentyczności przydawało tej scenie powietrze, jego ogromna ilość, ustawiczny ruch, nieograniczona zmienność zapachów.

Nagle zrobiło jej się żal, że nie ma ze sobą szybowca, żeby w tym powietrzu zatańczyć.

* * *

Jeśli wierzyć legendzie, która prawie na pewno się myliła, platforma na środku mostu, na której stała Kath Dwa, znajdowała się dokładnie w tym samym miejscu, w którym eksplodował ładunek burzący Ewy Dinah, kiedy podjąwszy decyzję, wyrzuciła go w kosmos. Kompromis, który wymusiła przez przyłożenie bomby do szyby w Bananie, prezentował się prosto i elegancko, mniej więcej przez tyle czasu, ile upłynęło do wybuchu.

W pewnym sensie manipulacja systemem zaczęła się, zanim w ogóle poddano go pod dyskusję, kiedy Ewa Julia zwróciła uwagę, że będzie miała niewiele dzieci, a Ewa Aïda zapowiedziała, że chce mieć liczne potomstwo. Pozostałe Ewy szybko dokonały podobnych obliczeń. Camila i Aïda – arkanki wybrane w Rozdzieleniu Losów – były młodsze od pozostałych i miały przed sobą dwie, trzy płodne dekady. Gdyby postanowiły zmienić się w fabryki dzieci, to przy odrobinie szczęścia mogły przed menopauzą urodzić nawet i po dwadzieścioro dzieci. Dinah, Ivy, Moira i Tekla (wszystkie krótko po trzydziestce) miały szansę na kilka sztuk każda. Gdyby pomyśleć o tym w taki sposób, we cztery miały w sumie podobny potencjał dzieciorodny jak te młodsze dwie.

Julia słusznie zwróciła uwagę, że będzie mogła mówić o szczęściu, jeżeli przed menopauzą urodzi choć jedno dziecko. Nie potrzebowała Dooba, żeby wyłożył jej ideę funkcji wykładowiczej: julijczycy już zawsze mieli być nieliczni, zredukowani do roli ciekawostki przyrodniczej. W odległej przyszłości ludzie wracający z pracy mieli wykrzykiwać do swoich partnerów:

– Nie uwierzysz, co dzisiaj widziałem: prawdziwego julijczyka!

Tak właśnie przedstawiały się matematyczne podstawy nowej Wielkiej Gry i fundamenty przyszłych wydarzeń. Większość późniejszych historyków utrzymywała, że Ewy w ogóle nie zdawały sobie sprawy, że prowadzą jakąś grę, dopóki nie minęło dobre kilka lat (sądząc po sformułowaniach użytych w Klątwie, Aïda mogła być wyjątkiem od tej reguły). Jednakże decyzje dotyczące własnych dzieci należą do najbardziej osobistych w życiu każdego człowieka i w tamtych okolicznościach żadna zdrowa na umyśle matka nie przyznałaby się sama przed sobą, że prowadzi jakąś grę z pozostałymi.

W pewnym sensie wszystko byłoby prostsze, gdyby zachowały więcej zimnej krwi.

Świadomie bądź nie, Siedem Ew podzieliło się na Czwórkę, Dwójkę i Jedynekę. Czwórkę tworzyły Dinah, Ivy, Tekla i Moira, Dwójkę – Camila i Aïda. Arytmetyka sugerowała, że potomstwo Czwórki będzie liczebnie porównywalne z potomstwem Dwójki. Wcześniejsze podobieństwa i przyjaźnie połączyły Czwórkę w niemy porozumieniu, wyartykułowanym wprost dopiero długo po ich śmierci, w myśl którego ich dzieci miały się wzajemnie uzupełniać. Dinajczycy nie musieli być chodzącymi ideałami, kiedy mieli pod ręką ivynów, wyręczających ich w niektórych trudnych sprawach. Brzmiało to brutalnie i właśnie dlatego długo nie mówiło się o tym wprost, ale kiedy setki lat później potomkowie Czwórki spoglądali wstecz, musieli przyznać, że tak to właśnie wyglądało. A przez ten czas ta współzależność wrosła w ich DNA i kulturę i nie było już od niej odwrotu.

Inaczej rzecz się miała z Dwójką, która nie darzyła się naturalną sympatią. Camila i Aïda pierwszy raz spotkały się na krótko przed Radą Siedmiu Ew, a połączyła je tylko jedna rzecz, na której trudno zresztą było cokolwiek budować: niechęć do Julii. Obie na którymś etapie swojego życia dostały się pod wpływem Julii – i obie się na niej zawiodły. W przypadku Camili do uwiedzenia doszło podczas kolacji w Białym Domu; Aïda dała się Julii przekonać do dołączenia do Roju, by następnie stanąć na czele buntu, który zdetronizował ją i okaleczył. Zważywszy na późniejszy rozwój wypadków, wydawało się mało prawdopodobne, by Camila (czy w ogóle jakakolwiek trzeźwo myśląca osoba) świadomie sprzymierzyła się z Aïdą, jednakże arytmetyka układu Czwórka-Dwójka wytworzyła coś na kształt grawitacji, która nieuchronnie popchnęła je ku sobie. Rozdźwięk, jaki zarysował się między Camilą i Dinah podczas Rady Siedmiu Ew, nigdy nie został zapomniany.

Słowa Camili – gdyby tylko zastanowić się nad nimi na spokojnie – miały nieodpartą siłę perswazji. Słusznie zauważyła, że przyszłe pokolenia latami będą mieszkać w ciasnych, zamkniętych przestrzeniach, a zarówno badania Luisy, jak i niedawne spektakularne doświadczenia mieszkańców Arki w Chmurze dowodziły, że nie są to optymalne warunki egzystencji. Jeżeli przetrwanie człowieka miało być uzależnione od adaptacji jego mózgu do nowego stylu życia, to im

prędzej wezmą się do rzeczy, tym lepiej.

W pewnym sensie Camila wyręczyła je wszystkie w podjęciu decyzji, kiedy jasno zapowiedziała swój wybór i pozostało jej już tylko dogadać szczegóły z Moirą. Ona pierwsza wykonała ruch w genetycznej Wielkiej Grze i wbrew wyrażanym wcześniej przez nią przekonaniom było to posunięcie skrajnie agresywne: dała do zrozumienia, że jej potomstwo (najprawdopodobniej bardzo liczne) poradzi sobie doskonale w warunkach, w jakich przyjdzie żyć pierwszym dziesięciu, dwudziestu albo stu pokoleniom nowych ludzi. Pozostałe Ewy mogły albo pójść w jej ślady, albo się jej sprzeciwić.

Dinah, Ivy i Tekla w praktyce się jej sprzeciwiły; Moira ostatecznie dokonała jeszcze innego wyboru, ale fakty historyczne były takie, że moiranie zwykle nie wyłamywali się z utworzonego przez Czwórkę bloku.

Aïda nie ukrywała, że traktuje to wszystko jak rywalizację: najpierw czekała na ruch innych, by potem wykonać kontrposunięcie. Pozostałe Ewy podjęły decyzje szybko i przy nich trwały. Wszystkie dzieci Dinah (miała ich ostatecznie pięć) miały pewne wspólne cechy charakterystyczne. To samo odnosiło się do trójki pociek Ivy i szóstki Tekli. Julia wybierała tylko raz. Szesnaścioro dzieci Camili nieco różniło się między sobą, ponieważ przy kolejnych ciążach zmieniała niektóre wcześniejsze decyzje w wyniku poczynionych obserwacji, nigdy jednak nie odbiegła zbyt daleko od szablonu, który w ogólnym zarysie przedstawiła na Radzie Siedmiu Ew.

Tymczasem siedmioro dzieci Aïdy było zupełnie różnych. Szczegóły jej planu znała tylko Moira, Powierniczka Tajemnic, Matka Wszystkich Ras: Ewy mówiły jej w zaufaniu, czego chcą dla swoich dzieci, a ona zabrała ich sekrety ze sobą do grobu. Było jednak oczywiste – i tak to przedstawiano dzisiaj w kanonicznej wersji historii – że pierwsze pięć dzieci Aïdy zostało poczętych w bezpośredniej reakcji na poczynania pozostałych Ew (wszystkich z wyjątkiem Moiry).

Swoją stosunek do innych dość klarownie wyraziła w słowach Klątwy. Wiedziała, że pozostałe Ewy zawsze będą nią pogardzały i że to uczucie nieuchronnie przeniesie się na kolejne pokolenia. Ludzkiej natury nic nie zmieni: za tysiące lat dzieci Dinah będą obrzucały dzieci Aïdy kamieniami i robiły aluzje do kanibalizmu. Ród Aïdy nigdy nie

zasymiluje się w społeczeństwie utworzonym przez potomstwo Czwórki. Dlatego jeśli potraktować deklarację Dinah odnośnie do cnót jej przyszłego plemienia jako ruch w grze, Aïda zaplanowała stosowną odpowiedź. Mogła ona polegać na stworzeniu kopii dinajczyka, tylko z większym natężeniem wybranych przez Dinah cech – albo na powołaniu do życia antydinajczyka, dostosowanego do wykorzystania wszelkich słabości dinajskiej rasy.

Tak właśnie wyglądała pierwsza piątka Aïdy. Nie mogła zastosować tej strategii wobec Moiry z tego prostego powodu, że Moira знаła wszystkie jej plany z dokładnością do pojedynczych par zasad, które zostały zmodyfikowane w komórce jajowej. Jeżeli wszystko to było grą, to Ewa Moira zawsze miała w niej ostatni ruch. Nigdy nie powiedziała wprost, co sama planuje, a jej nieudane osiem pierwszych cięż dodatkowo spotęgowało tajemnicę. W rezultacie nikt nie wiedział, co właściwie zrobiła, i moiranie stali się zagadką nie tylko dla innych, ale nawet dla siebie samych. Było jednak oczywiste, że są jedyną rasą zdolną do „epigenowania”. Genom Kath Dwa, podobnie jak genom każdej innej istoty żywej, był ustalony i niezmienny; każda komórka jej ciała przechowywała jego kopię. Jednakże możliwość ekspresji jednych genów i tłumienia innych podlegała u niej modyfikacjom znacznie dalej posuniętym niż u przeciętnego człowieka. Byłaby to prawdziwa supermoc, gdyby tylko dało się to zjawisko w jakiś sposób kontrolować, ale wbrew temu, co głosiły pewne prastare legendy, takiego sposobu nie było. Kath Dwa nigdy nie wiedziała, czy kiedy następnym razem zaśnie, nie prześpi tygodnia i nie obudzi się jako Kath Trzy. Skutki takiej przemiany mogły być fantastyczne; rzadko bywały śmiertelne, czasem zaś – kłopotliwe lub wprost żenujące (to ostatnie najczęściej zdarzało się wtedy, gdy moiranin się zakochiwał). Tak czy inaczej, takiego właśnie wyboru dokonała Ewa Moira i taką spuściznę przekazała swojej córce Cantabrigii. Uważano, że chciała w ten sposób choć częściowo przywrócić równowagę światu roztrzęsionemu decyzjami Aïdy.

Julia – Jedyńska – próbowała jak najlepiej wykorzystać swą kiepską sytuację, obdarzając własne potomstwo cechami, które miały przydać mu znaczenia i użyteczności mimo mizernej liczebności. Już podczas Rady Siedmiu Ew dała wyraz swojemu przekonaniu, że umiejętność przewidywania różnych wariantów przyszłości może być niezwykle

przydatna, i wskazała ją jako pożądaną cechę przywódców lub przynajmniej ich doradców; zarazem gdyby ktoś taki pobłądził, mroczna wersja tej samej ścieżki prowadziła wprost do depresji, paranoi i innych zaburzeń psychicznych. Zadanie polegało więc na umiejętnym połączeniu tej zalety z pozytywnym, optymistycznym światopoglądem. Dlatego, gromadząc informacje (a zgromadziła ich niemało), koncentrowała się na mędracach, jasnowidzach, ekstatykach, szamanach, artystach oraz osobach z depresją i paranoikach w dziejach ludzkości. Szczególnie interesowała ją możliwość powiązania tych cech z konkretnymi parami zasad w genomie, a także wpływ akulturacji na ich ekspresję.

Znacznie później historycy opracowali własny słownik dla opowiedzenia historii następnych pięciu tysięcy lat. Pierwsze ciążę nazwano „brzemiennościami”. Pomijając liczne poronienia, było łącznie trzydzieści dziewięć brzemienności, zanim Camila, która ostatnia przestała rodzić, weszła w okres menopauzy. W ich efekcie przyszło na świat trzydzieści pięć zdrowych dziewczynek, z których trzydzieści dwie również powiły dzieci. Przez ten czas Ewa Moira nauczyła się syntetyzować chromosomy Y, toteż w drugim pokoleniu część stanowili chłopcy. Tym sposobem wykształciły się trzydzieści dwa szczepy ludzkie; każda z nowych ras zawierała więcej niż jeden szczep. Szczepy wyraźnie różniły się między sobą, a zarazem dawały się łatwo klasyfikować ze względu na przynależność rasową – trochę tak, jak Afrykańczycy ze wschodniego wybrzeża kontynentu różnili się od tych z zachodniego, a mimo to dla Europejczyka jedni i drudzy wyglądali jak Afrykańczycy.

Po pierwszej fali brzemienności nastąpił etap nazwany „korektą”: Ewa Moira naprawiła błędy, które skutkowały przyjściem na świat dzieci niezdolnych do życia. W pewnym sensie korekta trwała przez cały okres brzemienności, po czym ulegała stopniowemu wygaszaniu, gdy córki Ew zaczęły rodzić drugie pokolenie, i przeszła w kolejne stadium – stabilizacji, która utrzymywała się przez następne mniej więcej dziesięć pokoleń: trwało poprawianie chromosomów Y i usuwanie utrzymujących się wad genetycznych, a członkowie różnych szczepów poczęli się krzyżować, tworząc hybrydy w obrębie ras. W tym właśnie okresie zaczęto stosować różne techniki mające na celu zwiększenie

heterozygotyczności, a wywodzące się z dziejów badań nad tchórzem czarnołapym.

Obszerna biblioteka sekwencji genetycznych zachowała się w postaci cyfrowej, kiedy więc ludzkość przetrwała kilkanaście pierwszych pokoleń w Kolebce i wyszkoliła setki młodych, inteligentnych inżynierów genetycznych, możliwe stało się – teoretycznie – odtworzenie rodzaju ludzkiego od zera. Coś podobnego zrobiła zresztą Ewa Moira, konstruując pierwszy sztuczny chromosom Y. Zdecydowano jednak inaczej, a wybór ten miał podłoże czysto kulturowe, nie zaś naukowe. Kluczowa decyzja zapadła dawno temu, na Radzie Siedmiu Ew: to wtedy powstały rasy, które z czasem doczekały się kilkunastu generacji i poczęły wykształcać własne, odrębne kultury. Pomysł cofnięcia tych rozstrzygnięć poprzez odwołanie się do źródeł „klasycznej” ludzkości był postrzegany niemalże jako samoludobójstwo. Rywalizacja międzyrasowa wykluczała takie rozwiązanie, toteż, zamiast się cofać, genetyczne dziedzictwo przodków wykorzystano tylko do przydania zdrowego stopnia heterozygotyczności istniejącym rasom.

Stabilizacja trwała mniej więcej do dwunastego pokolenia, kiedy to nawet julijczycy stali się dostatecznie liczni, żeby dalej rozmnażać się normalnie, bez wspomagania laboratoryjnego, po czym przerodziła się w „rozmnożenie” – kolejny wyróżniany przez historyków etap rozwoju, którego nazwa była zrozumiała sama przez się: potomkowie Siedmiu Ew uprawiali seks i płodzili coraz więcej dzieci. Rozmnożenie trwało przez prawie całą pierwszą połowę Pierwszego Tysiąclecia i doprowadziło do tak poważnego przeludnienia, że konieczne stało się budowanie nowych kolonii poza obszarem Kolebki – istniały bowiem inne obiecujące lokalizacje, może nie aż tak dogodne jak Rozpadlina, ale wciąż zdadne do wykorzystania. Zwłaszcza że ludzkość osiągnęła stopień rozwoju, na którym możliwa stała się budowa pojazdów kosmicznych. Nastął więc czas ekspansji – tak przynajmniej utrzymywali spadkobiercy Czwórki, wyjątkowo wyczuleni na niesprzyjające warunki w zatłoczonej Kolebce. Camila nadzwyczaj poważnie potraktowała zapowiedź stworzenia rasy ludzi zdatnej do zamieszkiwania zamkniętych przestrzeni i zrealizowała swój plan, a gdy w pierwszych siedliskach w Kolebce zapanował nieznośny ścisk, obrana przez nią strategia wydała się właściwa.

Spadkobiercy Czwórki – czy to powielając swoje rasowe mity, czy też ze zwykłej biologicznej konieczności – pierwsi wyszli poza Kolebkę i zaczęli budować nowe siedliska, z początku w innych rejonach Rozpadliny, a później także na innych odłamkach Pestki. Potomkowie Aïdy zrobili podobnie; czasem pomieszkiwali razem z tymi z Czwórki, znacznie częściej jednak działali na własną rękę.

Aïda nie zrobiła na dobrą sprawę niczego takiego, czego nie dałoby się cofnąć, za to padły z jej ust słowa, których nie dało się odwołać. W tym sensie jej Klątwa miała wyraźne i konkretne konsekwencje. Przeciętny aïdanin z Drugiego Tysiąclecia był wytworem wielorasowej, ponadtysiącletniej kultury. Wychowywał się wśród przedstawicieli różnych ras; jednych lubił, innych nie cierpiał; czasem dogadywał się z teklanami i moiranami, by kiedy indziej wdać się w bójkę z aïdaninem. Na podstawie własnych doświadczeń życiowych nie miał żadnych powodów, żeby trzymać z przedstawicielami swojej rasy. Kłopot w tym, że każda rasa przechowała swoją wersję historii, która z biegiem lat na trwałe wrosła w jej kulturę. Według aïdan ich Ewa dała początek nie tyle jednej z wielu ludzkich ras, ile raczej całej „rasie ras”, mozaice stanowiącej żywy dowód na to, że jej dzieci potrafią wszystko to, co dzieci innych Ew, a nawet więcej. Jeżeli byłeś potomkiem Aïdy, obdarzonym typowymi dla aïdan genetycznymi przymiotami, nieodparta siła rasowej narracji w naturalny sposób popychała cię w stronę kolonii zamieszkanym w większości – lub wyłącznie – przez aïdan.

Ponieważ było ich mniej niż potomków Czwórki, ich kolonie z okresu Drugiego Tysiąclecia były mniejsze i skromniejsze, co sprzyjało rozwojowi symbiozy z camilitami, którzy w takim środowisku czuli się jak ryby w wodzie. Aïdanie budowali kolonie, a camilicy umożliwiali ich funkcjonowanie.

W Drugim Tysiącleciu powstawanie nowych kolonii i siedlisk doprowadziło do fazy nazwanej później „izolacją”, czyli wytworzeniem się populacji „czystych rasowo”. Po izolacji nastąpiła „karykaturyzacja”: rozmnażanie selektywne, świadome bądź nie, które na przestrzeni wielu pokoleń doprowadziło do uwypuklenia różnic rasowych. Najczęściej przywoływanym w tym miejscu przykładem była zmiana koloru oczu u moiran. Ewa Moira miała piwne oczy – stosunkowo jasne

jak na Murzynkę, ale wcale nie takie znowu niecodzienne. Pod koniec Drugiego Tysiąclecia wielu moiran miało oczy tak jasne, że w silnym świetle wydawały się złote. Ze ścian sklepów odzieżowych w Wielkim Łańcuchu moirańskie modelki patrzyły na przechodniów dziesięciokrotnie powiększonymi, szokująco żółtymi kocimi oczami. Ponieważ jasne tęczówki były tym, co wyróżniało Ewę Moirę, z czasem nauczono się je postrzegać jako piękne i pożądane; jasnoocy moiranie łatwiej znajdowali partnerów i łatwiej się rozmnażali, co doprowadziło do wręcz przesadnego nasilenia tej cechy. Kath Dwa, której daleko było do modelki, często słyszała zachwyty nad swoimi oczami, które więcej miały w sobie zieleni niż żółci. Dbający o wygląd współcześni moiranie z najwyższym zdumieniem oglądali stare zdjęcia ich Ewy, której oczy miały wyraźnie zielonobłękitny odcień.

Zmiana koloru oczu u moiran była oczywista i łatwa do udokumentowania, ale dokładnie to samo, *mutatis mutandis*, odnosiło się do dziesiątków cech fenotypowych u innych ras. Samo selektywne rozmnażanie, bez dodatkowych manipulacji, potrafiło z czasem powodować imponujące zmiany. Zdarzało się, że izolacjoniści budowali własne laboratoria genetyczne, najczęściej wykorzystywane później do różnych niewinnych celów, czasem jednak do tak zwanego „ulepszania”, czyli celowej manipulacji genetycznej mającej na celu uwypuklenie cech rasowych – a więc do przyspieszenia procesu, który, tak czy inaczej, przebiegał w sposób „naturalny” w ramach karykaturyzacji. Efekty takich prób bywały dziwaczne, potworne i katastrofalne, ale zdarzały się także okazy całkiem udane. Rozmnażając się w obrębie zamkniętych grup, izolacjoniści stawali się coraz bardziej wyrazistymi przedstawicielami swoich ras.

Najczęściej kończyło się to uzyskaniem populacji pokrzyżowanej wsobnie i niefunkcjonalnej, dlatego nawet kiedy izolacja, karykaturyzacja i ulepszanie przyjęły się i rozwijały w najlepsze, skutkowały ostatecznie albo zagładą kolonii, albo – w bardziej sprzyjających okolicznościach – tak zwaną „kosmopolityzacją”, w której odizolowana społeczność łączyła się ze swoimi dawno porzuconymi kuzynami i odradzała jako zdrowa, zróżnicowana i samowystarczalna.

Nie było nic dziwnego w tym, że w ostatnim tysiącleciu kosmopolityzacja przybierała na sile w miarę rozrastania się orbitalnego

pierścienia mieszkalnego: nagle pojawiła się obfitość powierzchni mieszkalnej znacznie atrakcyjniejszej niż ciemne i ciasne torusy, w których ludzkość przetrwała ostatnie cztery tysiące lat. Izolacjoniści (którzy czasem od stuleci nie dawali znaku życia i którzy nie znali nawet angijskiego – angielszczyzny z silnymi rosyjskimi naleciałościami, obecnie powszechnie używanej przez wszystkich ludzi) wynurzali się z przeróżnych mrocznych zakamarków kosmosu i wracali do wielkiej rodziny. Takiej eksplozji demograficznej nie widziano od XX wieku na Starej Ziemi. Ostatecznie większość ludzi wpasowała się w kilka znormalizowanych standardów rasowych, a nieliczne odizolowane szczepy, które przetrwały tysiące lat w odosobnieniu, były hołubione (lub prześladowane) przez innych przedstawicieli swojej rasy.

Tak to przynajmniej wyglądało w niebieskim sektorze pierścienia. Wcześniej w sektorze czerwonym – zamieszkanym przez aidańską mozaikę, setki milionów camilitów i te osiemdziesiąt procent julijczyków, które postanowiły związać swój los z Czerwonymi – sprawy miały się podobnie, ale obecnego stanu rzeczy pomiędzy szlabanami można się było tylko domyślać. Od niemal dwustu lat z czerwonej strony granicy nie dochodziły żadne wiadomości, jeśli nie liczyć przechwytywanych przez wywiad zbłąkanych sygnałów radiowych oraz kanału propagandowego, na który prawie nikt nie zwracał uwagi.

* * *

Od kilku minut ostatnie promienie słońca kładły się na iglicach, posągach i rzeźbionych fasadach fantastycznych starych kupoli uczepionych na pozór pionowego urwiska Wzgórza Kapitolińskiego... a potem nagle zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Kath Dwa odwróciła się, przyjęła podmuch wiatru na prawy policzek i zeszła po południowej pochyłości mostu. Mimo urzekającej mocy powietrza złapała się na tym, że ostatnie stopnie schodów pokonała biegiem, by jak najszybciej schronić się wśród zabudowań. Wzgórze Kapitolińskie było wyższe od Giełdowego, toteż most, zamiast przechodzić w park, jak to czynił na swoim północnym krańcu, po prostu wbijał się w zbocze i wrzucił Kath Dwa wprost w kłębowisko ulic mizernie rozjaśnianych światłem

padającym z uchylonych bram oraz latarni, które właściciele niektórych kompleksów mieszkalnych postanowili wywiesić na murach. Układ urbanistyczny Bordeaux zrzucony na topografię Rio de Janeiro – tak opisywał Kolebkę jej projektant, pół julijczyk, pół moiranin urodzony ponad cztery tysiące lat po tym, jak tamte dwa miasta przestały istnieć.

Kath Dwa miała w kieszeni urządzenie wskazujące dokładną długość i szerokość geograficzną. Oczywiście przyrząd był bezużyteczny w mieście włączonym w powietrze na końcu liny, ale jej niechęć do skorzystania z niego miała jeszcze inne, głębsze podłoże. Znalazłszy się w Kolebce, wylądowała w śnie na jawie, który, choć w oczywisty sposób nierzeczywisty, wcale nie był przez to mniej zniewalający: wydawało jej się, że spaceruje po mieście na Starej Ziemi, i nie chciała niszczyć tego złudzenia, dopóki na dobre nie pobłądzi. Pozwoliła więc, by stopy same ją niosły po brukowanych czerwonym kamieniem uliczkach na przemian to w górę, to w dół; wieże starych kupoli stanowiły dla niej punkty orientacyjne, a w chwilach zagubienia wystarczyło się cofnąć w stronę mostu. Powiedziano jej bowiem, że miejsce spotkania znajduje się niedaleko mostu. Mogłaby popytać o drogę, ale po zachodzie słońca temperatura spadła, wysokie chmury przesłoniły lśniący łuk pierścienia mieszkalnego, zaczął padać deszcz – szmerząca kurtyna drobnych, ciepłych kropelek – i przechodnie poznikali z ulic, dotarłszy tam, dokąd się udawali. Ostrzegano ją, że Wzgórze Kapitołińskie po zmroku pustoszeje; w obliczu nadciągającej burzy opustoszało chyba jeszcze szybciej niż zwykle.

Kilka razy przeszła przed frontem tego samego budynku albo przynajmniej widziała go z oddali: stał w miejscu, w którym kilka ulic zbiegało się w ciasną gwiazdkę mokrych brukowców, toteż co rusz pojawiał się zniecka na obrzeżach jej pola widzenia, gdy błąkała się pobliskimi zaułkami. Skrzyżowanie wypadło w tym akurat miejscu z powodu wielkiego jak dom bloku skalnego, który wystawał ze ściany wąwozu i zmuszał wszystkie pobliskie ulice do wygięcia się w łuk. Kath Dwa domyślała się, że olbrzymi głaz jest fragmentem płaszcza Księżyca, który wbił się w jego żelazne jądro. Mógł tam tkwić od miliarda lat, ale równie dobrze mógł być przypadkowym bolidem, który niedługo po Dniu Zero zderzył się z rozpaloną do czerwoności Pestką i ugrzązł w tężejącym metalu. W Rozpadlinie i jej rodzeństwie tkwiło wiele takich

odłamków, które podczas wytopu żelaza traktowano jako zanieczyszczenia. Ten postanowiono zostawić nietknięty i teraz jego surowa szara ściana wznosiła się ponad owijającymi się wokół niego ulicami. Na jego szczycie, dziesięć metrów nad poziomem gruntu, ktoś wybudował okrągłą wieżę z kamienia. Z tyłu, za nią, niczym kadłub statku za sterującym w przód bukszprytem rozpościerał się trójkątny budynek zawierający z pewnością całkiem sympatyczny kompleks mieszkalny.

Kiedy zobaczyła tę wieżę po raz trzeci albo czwarty, znajdowała się jakieś sto metrów od niej i widziała ją dokładnie na przedłużeniu jednej z wąziutkich uliczek. Górną kondygnację ozdobił rząd wychodzących na wszystkie strony łukowatych okien, za którymi w powodzi ciepłego światła widziała przy stolikach ludzi: pili, jedli, rozmawiali i czytali. Chętnie sama by się zajęła którąś z tych czynności, miała więc nadzieję, że ma przed sobą miejsce publiczne, a nie prywatny klub.

Znalezienie wejścia do wieży okazało się niełatwe, ale w końcu zlokalizowała je na dole, z prawej strony, gdzie w żelaznym fundamencie, w którym tkwił głaz, wydrążono mysią dziurę. Korytarz prowadził do góry i stopniowo zakręcał, aż przeszedł w kręcone schody, częściowo poprzegradzane wielkimi jak małe drzewka soplami rdzy. W zagłębieniach w ścianach płonęły najprawdziwsze świece.

Jeden pełny skręt helisy schodów wyprowadził Kath Dwa z metalu w głąb kamienia, po drugim stanęła zaś przed łukowato zwieńczonymi drzwiami z prawdziwego drewna, których gładką powierzchnię mąciła tylko kuta kołatka w kształcie ptaka z mocno zakrzywionym dziobem. Pióra z czarnego żelaza i palladu nadawały mu szpakowaty odcień. Zza drzwi biło ciepło i niósł się gwar rozmów.

Sięgnęła po kołatkę, wciąż niepewna, czy nie jest to przypadkiem prywatny lokal, gdy wtem uświadomiła sobie, że ściska w ręce skrawek papieru. Rozprostowała go i przysunęła do najbliższej świecy.

KRUCZE GNIAZDO POŁUDNIOWA KOLEBKA

Pchnęła drzwi i weszła do środka. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się

w oczy, był obity starą miedzią półkolisty bar, rząd nalewaków i – w głębi – okno do kuchni, w której panowała gorączkowa krzątanina. Z sali na tyłach dobiegała muzyka, nie aż tak głośna, żeby utrudniała rozmowy, ale wystarczająco dobrze słyszalna, żeby Kath Dwa odruchowo zaczęła kiwać w rytm głową. Nie rozpoznała jej, ale kojarzyła ten typ: muzyka ludzi odciętych od świata w kolonii górniczej albo starym siedlisku; muzyka ludzi, którzy umieli tańczyć.

Za barem stał krzepki dinajczyk po czterdziestce, który chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki jest przystojny. Polerując kieliszek, zerkał na karteluszek z ręcznie wypisanymi rzędami cyfr: rozliczenie dnia. Kiedy tak stał, mając przed sobą rząd okien z zapierającym dech w piersi widokiem na Kolebkę, do złudzenia przypominał kapitana statku ze Starej Ziemi.

Chwilę po tym, jak przeszła przez próg – nie tak szybko, żeby odczuła, że rzuca się w oczy, ale też bez zbędnej zwłoki, żeby nie poczuła się zaniedbana – spojrzał na nią i uniósł brwi. Chociaż chyba lepiej byłoby powiedzieć „uniósł brew”, bo pół twarzy miał paskudnie okaleczone.

– Co podać, Kath Amalthowa Dwa?

* * *

Pierwsze gzy – skonstruowane w warsztatach Arjuna Expeditions w Seattle i wystrzelone na orbitę niedługo przed Dniem Zero – rozpełzły się po całej Amalthei pod czujnym okiem Ewy Dinah. Później, w pierwszych dwóch latach Eposu, ich pierwotny projekt został zmodyfikowany, żeby przystosować je do pracy na (i w) lodzie. Każde dziecko znało historię ich wykorzystania, najpierw w celu sprowadzenia *Ymira* na spotkanie z Izzy, a potem połączenia ich obu w jeden statek: *Endurance*. Z tego powodu ich wpływ wyraźniej zaznaczył się w kulturze Niebieskich niż Czerwonych, ale używano ich po obu stronach szlabanów. A właściwie, ściśle rzecz biorąc, po obu stronach używano rozległej rodziny gatunków i podgatunków gzów, wywodzących się z pierwszego modelu Arjuna Expeditions i w większym lub mniejszym stopniu bazujących na oprogramowaniu stworzonym przez Larza Hoedemaekera i Ewę Dinah. Na przestrzeni tysiącleci znalazły

niezliczone zastosowania, zarówno w pojedynkę, jak i w rojach. Były równie rozpowszechnione i zróżnicowane jak młotki i noże przed Dniem Zero.

I podobnie jak młotki i noże, mogły zostać wykorzystane w celach konstruktywnych lub destruktywnych. Do tej drugiej kategorii zaliczała się cała rozległa gromada gzów przeznaczonych do wystrzeliwania z dużą prędkością z urządzeń przypominających pistolety. Przeciętny giez, przybrawszy zwartą postać strzałki lub pocisku, mieścił się w magazynku lub bandolierze, skąd następnie trafiał do zamka broni.

Tylko jeden egzemplarz tradycyjnej, pre-Zerowej broni palnej przetrwał Kamienny Deszcz i trafił na Rozpadlinę: był to, naturalnie, rewolwer, który Julia zabrała Pete'owi Starlingowi i ukrywała przy sobie do momentu, gdy spróbowała zastrzelić z niego Teklę. Camila jej w tym przeszkodziła, najprawdopodobniej ratując Tekli życie, i odniosła szpecące poparzenia, których ból dokuczał jej do końca życia. Nieco później broń wpadła w ręce Aïdy, a ta wydała ją jednemu ze swoich ludzi, który Ostatnim Nabojem wystrzelonym z Ostatniego Rewolweru zabił Steve'a Lake'a. Ten rewolwer znajdował się obecnie w muzeum historycznym w Wielkim Łańcuchu, a fakt, czy jest prezentowany publicznie (a jeśli tak, to w jakim kontekście), był doskonałym barometrem stosunków czerwono-niebieskich.

Ponieważ technologia obróbki metali niezbędna do produkcji broni palnej również została utracona, a na Rozpadlinie przeminęło wiele pokoleń, zanim komuś przyszło do głowy, że mógłby potrzebować pistoletu, cały przemysł zbrojeniowy (kiedy w końcu został wskrzeszony) zbudowano od zera. Jego produkty miały więcej wspólnego z taserami, których kilkanaście dotarło na Rozpadlinę, niż z tradycyjną bronią palną. Ta ostatnia miała za zadanie wystrzelić bezrozumną grudę metalu z dużą prędkością, a wprowadzane z upływem czasu udoskonalenia koncentrowały się na zwiększeniu jej szybkostrzelności. Sęk w tym, że idea strzelania bezrozumnymi grudami metalu we wnętrzu orbitalnego siedliska nie znalazła uznania w oczach inżynierów, którzy wieleset lat po przybyciu na Rozpadlinę zaczęli od nowa wymyślać broń. Wcześniej przemoc sprowadzała się do zapasów, bijatyk na pięści oraz walki wręcz z użyciem najprostszego oręża, czyli metalowych prętów. Naprawdę niebezpieczne narzędzia,

takie jak noże czy miecze, były używane z rzadka i tylko przez osobników, którzy postradali zmysły albo wpływy polityczne – i właśnie z myślą o ich pacyfikowaniu wyprodukowano pierwsze egzemplarze „nowej” broni palnej. Pociski nie rozwijały wielkich prędkości, gdyż zasięg broni ograniczono do około dziesięciu metrów. Musiały przy tym być inteligentne, żeby w przypadku chybienia celu (i trafienia w cokolwiek, co nie jest ciałem ludzkim) miały jak najmniej niszczycielskie działanie. W praktyce oznaczało to, że wystrzeliwały maciupęńkie spadochrony hamujące i przygotowywały się do roztrzaskania o napotkaną przeszkodę, zamiast próbować przeszyć ją na wylot. Z drugiej strony dobrze by było, gdyby pocisk, który miał dość szczęścia, żeby trafić w zamierzony cel, zrobił coś użytecznego, czyli unieszkodliwił go, zranił lub zabił. Rzecz jasna, tego rodzaju decyzje znacząco wykraczały poza kwalifikacje bezrozumnych grud metalu, dlatego ich miejsce zajęły gzy. Mniejszy ciężar właściwy przekładał się na niższy współczynnik balistyczny i skutecznie ograniczał ich zasięg – co w siedlisku orbitalnym było oczywiście zaletą, nie wadą.

Po mrocznym okresie początkowym, kiedy to kolonia na Rozpadlinie – pozbawiona sił i środków do rozwoju robotyki – musiała się ograniczać do reperowania i kopiowania oryginalnych robotów, przyszedł czas, w którym także i w tej dziedzinie nastąpił postęp. Co odważniejsi programiści poczynali nieśmiało mieszać w kodzie, w którym ostatnie modyfikacje wprowadzała osobiście Ewa Dinah. Inżynierowie uruchamiali wiekowe oprogramowanie projektowe i przeglądali stworzone przez Larza cyfrowe plany robotów. Z początku podejmowali się najprostszymi zadaniami, takimi jak zbudowanie gza, który automatycznie wystrzeliwał spadochron hamujący po przeleceniu określonego dystansu w powietrzu. Więcej wysiłku wkładano zresztą w budowę wyrzutni niż pocisków. Policjanci i żołnierze najczęściej rekrutowali się z teklan, których angielski zawierał więcej zapożyczeń z rosyjskiego niż u przedstawicieli innych ras; chętniej też niż inni korzystali z cyrylicy. Ich ulubionym określeniem na urządzenie miotające pociski była „katapulta”, skracana do czułych zdrobnień w rodzaju „kat” albo „katia”. Druga część słowa, „pulta”, sugerowała związki z „pulia”, z długim „u” w środku, co po rosyjsku oznaczało „pocisk”. Po krótkiej fazie przejściowej, w której próbowano nieporadnie

łączyć „gza” z „pulią” by uzyskać słowo na określenie „robota pocisku”, została sama „pulia”, dostatecznie precyzyjna w uniwersum, w którym nie było już prawdziwych, staroświeckich pocisków. Inne słowa z przedpotopowego świata broni palnej – między innymi „strzelać” czy „strzał” – przetrwały w postaci niezmienionej, ale oficerowie wydający dziś rozkaz strzelania najczęściej używali rozkazu „pul”, do złudzenia przypominającego angielską komendę wydawaną w skicie.

Użycie terminu „pulia” bez dodatkowej modyfikacji irytowało fachowców w podobny sposób, jak użycie słowa „kula” drażniło maniaków wojskowości przed Dniem Zero – różnych rodzajów i odmian pulii było nawet więcej niż typów pre-Zerowej amunicji. Bryłka ołowiu miała, siłą rzeczy, ograniczone zastosowania, natomiast przed konstruktorem pulii otwierały się prawie nieograniczone perspektywy. Istniało zresztą jeszcze inne określenie, alternatywne wobec pulii: „ambot”. O użyciu jednego lub drugiego z nich decydował kontekst. Żołnierze, którzy transportowali naboje, ładowali je do katii, wyciągali z zaciętych zamków broni i tak dalej, nazywali je puliami; kiedy wystrzelony pocisk zaczynał realizować zadany program, stawał się ambotem. Przy hurtowych ilościach ambotów mówiło się o „ambonicji”.

Osobnicy, do których przedstawiciele władz byli zmuszeni strzelać, by powstrzymać ich przed dopuszczeniem się aktu przemocy z użyciem ostrego narzędzia, nie zaliczali się do ludzi, którzy potulnie przyjmują postęp techniczny w dziedzinie egzekwowania prawa i porządku publicznego. Nie trzeba więc było długo czekać na pojawienie się uzbrojenia ochronnego, na które z kolei rządowi inżynierowie musieli znaleźć odpowiedź. Na przykład ambot, który dałby sobie wmówić, że nie trafił w cel lub trafił w coś innego niż ludzkie ciało, zostałby praktycznie unieszkodliwiony. Zmieniła się więc rola kamuflażu: zamiast zwieść ludzkie oko, musiał teraz oszukać elektroniczny mózg ambota. Celem pancerza nie było już zatrzymanie pędzących z ogromną szybkością kul, lecz ochrona właściciela przed napastliwością ambotów. Wojownicy przeobrazili się w żywe, ruchome twierdze, oblegane przez gromady ambotów, które często stosowały taktykę roju, by przedrzeć się przez pancerz, zanim wyczerpią im się baterie. Sposoby prowadzenia wojny na odległość również się zmieniły. Katapulty i ambonicję przechwycone przez wroga lub po prostu porzucone na polu bitwy

można było unieszkodliwić zdalnie, za pomocą techniki cyfrowej. Niektóre amboty próbowały wracać do właścicieli, toteż pobjowiska, na których wystrzelono duże ilości ambonicji, przywodziły na myśl rozgrzebane mrowiska, gdy zużyte pulie gremialnie usiłowały odszukać żołnierzy, którzy je wystrzelili.

Tak czy inaczej, władze miały monopol na produkcję i użycie tego rodzaju broni aż do Drugiego Tysiąclecia, kiedy to wynikające z mnogości rozproszonych siedlisk rozdrobnienie polityczne doprowadziło do sytuacji, w której Siedlisko A mogło mieć dobry powód, żeby ostrzelać Siedlisko B. Nagle liczba odmian katapult i ambotów, a także środków obrony przeciwko nim, eksplodowała. Przez kolejne tysiące lat nikt nie prowadził systematycznej klasyfikacji broni. Tu i ówdzie można się było natknąć na gabloty muzealne zawierające kilkadziesiąt lub nawet kilkaset nieczynnych ambotów różnych typów, przybitych do ściany i opatrzonych tabliczkami z informacją, kto je wynalazł, kiedy i w którym siedlisku zostały użyte wobec osobników zakłócających porządek publiczny. Dla wszystkich było jednak oczywiste, że na takie ekspozycje składają się eksponaty, które zupełnie przypadkowo trafiły do szuflad kolekcjonerów.

Określenia „zakłócenie porządku” używano znacznie częściej i chętniej niż słowa „wojna”, nawet wobec stosunkowo poważnych konfliktów, które na przestrzeni ostatnich stuleci wybuchały między Czerwonymi i Niebieskimi. Ze względu na kruchość siedlisk orbitalnych prowadzenie prawdziwej wojny w dwudziestowiecznym rozumieniu tego słowa nie wchodziło w grę. Broń jądrowa nie została na nowo wynaleziona, bo nie była do niczego potrzebna; kamień rzucony w siedlisko z przeciwnej strony pierścienia zebrałby takie samo śmiertelne żniwo jak bomba wodorowa. Czerwoni i Niebiescy przyjęli więc taką samą strategię długofalową, jaka obowiązywała na Starej Ziemi w okresie zimnej wojny i po jej zakończeniu: pod żadnym pozorem nie zamierzali ryzykować otwartej wojny totalnej, ograniczając się do wielu mniejszych konfrontacji odbywających się na rubieżach cywilizacji, w rejonach, które większość interesujących się wiadomościami ze świata obywateli uzna za nieistotne. Jedyne dwa konflikty, które z perspektywy czasu zasłużyły na miano wojen, stoczono w starym stylu, na powierzchni planety: były to Wojna Na

Skalach (4878-4895) i Leśna Wojna (4980-4985).

Kiedy Kath Dwa weszła do Kruczego Gniazda i została przywitana przez dinajczyka z oszpeconą twarzą, był rok 5003, od czasu największego nasilenia Leśnej Wojny minęło więc około dwudziestu lat. Dinajczyk mógł mieć około czterdziestki. Blizny na twarzy nosił od dawna.

– To może być. – Ruchem głowy wskazała najbliższy nalewak, opatrzony odręcznie wypisaną etykietką cydru.

– Się robi. Ponieważ ja cię znam, a ty mnie nie... Nazywam się Ty Lake.

– „Ty” to od Tycho czy...

– Od Tiuratom. Trochę nieporęczne.

Mówił z tubylczym akcentem, toteż na podstawie tej krótkiej wymiany zdań Kath Dwa mogła wyrobić sobie pewne pojęcie o jego przeszłości. Jego rodzice byli prawdopodobnie wcześniakami: było im tak śpieszno do wyrwania się ze spokojnego życia w siedliskach na orbicie, że znaleźli sposób na to, by przemyścić się na Nową Ziemię, gdy tylko wysiłki TerReFormu uczyniły ją choć trochę zdatną do zamieszkania. Wcześniacy naruszali w ten sposób postanowienia Pierwszego Traktatu Pokojowego, który kilka dziesięcioleci wcześniej zakończył Wojnę Na Skalach, toteż nikt nie pochwalał takiego zachowania. Władze monitorowały cały ruch pomiędzy starymi i dużymi siedliskami, dlatego najchętniej na planetę udawali się mieszkańcy stref przygranicznych w pobliżu cmentarzysk i szlabanów. Po niebieskiej stronie pierścienia zdecydowana większość wcześniaków rekrutowała się spośród dinajczyków, a ponieważ siły parapolicyjne, odpowiedzialne za ściganie wcześniaków i rozbijanie siatek przemytników ludzi, składały się głównie z teklan, w kulturze masowej upowszechnił się stereotypowy wizerunek dinajczyka, jako charyzmatycznego pirata, oraz teklanina – nudnego służbisty i sztywniaka. Tak to przynajmniej wyglądało, zanim wykroczenia, jakich dopuszczali się wcześniacy, doprowadziły do wybuchu Leśnej Wojny, w której zdominowana przez teklan armia co rusz zmuszona była ratować tyłek dinajskim poszukiwaczom przygód. Od tamtej pory obraz medialny jednych i drugich stał się bardziej zniuansowany, a dawne wyobrażenia postrzegano jako tandetne i kabotyńskie.

Kath Dwa miała więc pełne prawo domniemywać, że rodzice Ty'a byli

wcześniakami, którzy na tyle dawno osiedli na planecie, że od tamtej pory dorobili się co najmniej jednego syna. Wywodzący się z okolic cmentarzysk osadnicy często mieli dryg do prostych prac inżynierskich, toteż ich wczesne osiedla często wyróżniały się bardzo solidną konstrukcją, nawet jeśli mieszkańcom brakowało politycznego obycia. Dorastający w takim środowisku Ty miał około dwudziestu lat, gdy został wplątany w Leśną Wojnę. Jakiś ambot (nie było sensu zawracać sobie głowy szczegółami) przebił mu się przez pancerz (o ile Ty w ogóle miał jakiś pancerz) i uszkodził twarz. W takich akcjach amboty sprawdzały się najlepiej. W walce często lepiej unieszkodliwić przeciwnika niż go zabić, więc walczyły trochę jak szympansy: mierzyły w twarz, dłonie, genitalia. Twarz łatwo rozpoznać i trudno zamaskować, dlatego stanowiła ich ulubiony cel. Ty mógł zostać ranny w różnych okolicznościach, na przykład podczas napadu wcześniaków czerwonych na niebieskich, ale coś w jego posturze i sposobie bycia zdradzało związki z armią, dlatego Kath Dwa przypuszczała raczej, że został oficjalnie zwerbowany do walki po stronie Niebieskich i odniósł obrażenia w regularnej bitwie dwóch zorganizowanych formacji militarnych.

Nie ulegało wątpliwości, że jest właścicielem lokalu: można to było poznać po tym, jak odnosi się do personelu i klientów. Właściwie nikogo nie powinno dziwić, że emerytowany weteran wojenny otworzył bar; ba, było to tak naturalne, że trąciło sztaampą. Nieco trudniej byłoby jednak wyjaśnić, jak doszło do tego, że ktoś taki wszedł w posiadanie akurat tej nieruchomości, wartej zapewne więcej niż niejedno orbitalne siedlisko.

Marka cydru w nalewaku, w połączeniu z faktem, że wypisano ją na etykiecie odręcznie, sugerowała, że napitek jest produkowany z jabłek rosnących na Nowej Ziemi. Zgodnie z postanowieniami Drugiego Traktatu, podpisanego na zakończenie Leśnej Wojny, jedynymi ludźmi, którzy mogli mieszkać na powierzchni i parać się takimi zajęciami jak uprawa jabłek, byli potomkowie wcześniaków, przewani później „tubylcami”. Dostępność cydru w tutejszym nalewaku dowodziła – albo, będąc efektem świetnie przemyślanej kampanii marketingowej, jedynie sugerowała – że Ty Lake utrzymuje bliskie kontakty z co najmniej jedną ziemską społecznością i importuje trunek bezpośrednio z LST,

Licencjonowanej Strefy Tubylczej. Cydr stawał się przez to pożądanym towarem luksusowym, ponieważ większość żywności taniej i wydajniej produkowało się w siedliskach. Spożywanie jedzenia i napojów wytwarzanych w LST było przywilejem zamożnych koneserów.

Być może dla załagodzenia wywołanego tym faktem niepokoju Kath Dwa Ty dodał:

– Na koszt firmy.

I postawił przed nią szklanę na podkładce.

– Bardzo to miłe z twojej strony – odparła Kath Dwa, zbłądziwszy wzrokiem na tablicę ponad barem, gdzie widniała szokująco wysoka cena.

– Nic podobnego – odparł Ty. – Zawsze tak traktuję członków mojej Siódemki.

A zatem Tiuratom Lake był ich dinajczykiem.

Wyglądało to sensownie, zważywszy że Siódemka miała działać na powierzchni planety, i to zapewne gdzieś w pobliżu LST.

– Przyszłaś przed czasem – odezwał się znów Ty – ale niektórzy już są.

Ruchem głowy wskazał w głąb baru. Było to jedno z tych wnętrz, które ciągną się bez końca, rozgałęziając w labirynt mniejszych sal i aneksów, pod którym nie podpisałby się żaden architekt – chyba że byłby niezwykle szczwanym architektem. Kath Dwa domyśliła się więc, że Ty ma na myśli jakiś mroczny zakątek lokalu, którego sama nigdy nie znajdzie.

– Weszli od tyłu – dodał.

– To tu jest jakieś tylne wejście?

– Zawsze jest tylne wejście.

– Doc?

– Przyszedł pół godziny temu.

Gdyby najważniejszy z żyjących architektów TerReFormu wszedł głównym wejściem do zatłoczonego baru na Wzgórzu Kapitołińskim, wywołałby całą masę zbędnych komplikacji. Zostałby rozpoznany. Ludzie chcieliby pokazać, jacy są ważni, poprzez przedstawianie mu się albo przypominanie, że już kiedyś się poznali. Byłoby to dla niego nudne i męczące. Wszyscy by o tym mówili, a rozgłos mógłby zaszkodzić planowanej dla Siódemki misji. Nic dziwnego, że Doc wszedł tylnym wyjściem.

- Kto jeszcze jest?
- Poza jego opiekunką? Tylko ten dryblas.
Czyli Beled też już dotarł.

Tak przynajmniej sądziła, dopóki parę minut później Beled nie wszedł przez te same drzwi, co wcześniej ona, i nie rozejrzał się w taki sposób, jakby pierwszy raz widział to wnętrze.

Szybko wyłowił z tłumu jej twarz. Nie zareagował w żaden szczególny sposób, tylko po prostu ruszył w jej stronę. Kath Dwa zajęła ostatni wolny stółek przy barze, ale niezrażony tym Beled przebił się przez tłum (nie było to trudne, bo ludzie w naturalny sposób schodzili mu z drogi) i stanął za jej plecami na tyle blisko, że poczuła bijące od niego ciepło. Zamówił popularne tanie piwo u barmanki o lekko egzotycznej urodzie, prawdopodobnie pół camilitki i pół julijki. Ty się wycofał i wrócił do główkowania nad rozliczeniem. Spojrzawszy na zegarek, Kath Dwa doszła do wniosku, że szykuje się pewnie do zamknięcia, po którym zaprowadzi ich na zaplecze na zaplanowane spotkanie. Kiedy kobieta za barem podała piwo Beledowi (jej drobna dłoń prawie zginęła w jego potężnej łapie), Kath Dwa odwróciła się do niego, stuknęła szklanką w jego szklankę i powiedziała:

- Za Siódemkę.

Beled jeszcze przez chwilę był zajęty składaniem przesadnie oficjalnych podziękowań barmance, ale w końcu skinął głową i wypił razem z Kath Dwa. Kiedy opowiedziała mu o Tiuratamie, długą chwilę wodził za nim wzrokiem, wyciągając nie wiadomo jakie wnioski.

Ty skończył papierkową robotę i wyśliznął się zza baru, przelotnie zerknąwszy na Kath Dwa. Wymknięcie się z Kruczego Gniazda mogło być dla niego kłopotliwe, gdyż wielu gości znało go osobiście i koniecznie chciało się z nim przywitać, on jednak umiał samym wyrazem twarzy i zdecydowanym krokiem dać do zrozumienia, że jest zajęty i nie należy mu przeszkadzać.

Kath Dwa z trudem za nim nadążała w labiryncie zatłoczonych sal i korytarzy, więc w końcu wpuściła przed siebie Beleda, żeby torował drogę. Ponieważ Beled był od niej znacznie wyższy i szerszy w barach, zza jego pleców nie bardzo widziała, dokąd idą, ale w końcu znaleźli się w długim, prowadzącym w dół korytarzu z kamienną posadzką, którego ściany – również wykute w kamieniu – wyłożono drewnem, żeby

wydawały się cieplejsze. Liczne drzwi odchodziły od niego na boki, ale Ty podszedł prosto do znajdujących się na samym końcu i je otworzył. Ciepłe światło odbiło się od lśniącej posadzki pod nogami Beleda i boazerii na wysokości jego ramion.

– Witajcie w Dziupli – powiedział Ty.

Kath Dwa ruszyła za Beledem... po czym zderzyła się z jego plecami, odbiła się i cofnęła o krok. Tuż za progiem Beled stanął jak wryty i przykucnął z jedną nogą wysuniętą lekko w przód. Obszedłszy go bokiem, Kath Dwa podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i azymutem wyznaczonym przez wielki palec stopy.

Przytulna salka mieściła owalny stół, przy którym w sam raz mogło usiąść siedem osób. Najbliżej drzwi siedział Doc w towarzystwie Memmie i swojego robota. Naprzeciw niego miejsce zajęła Ariane Casablancowa. Przy przeciwległym krańcu stołu, twarzą do drzwi, siedział mężczyzna, którego musiał mieć na myśli Ty, mówiąc o „dryblasie”. Ponieważ siedział przy stole, było widać tylko jego głowę, górną część torsu i ręce. Ręce miał długie i masywne, ale i tak najbardziej przyciągała uwagę czaszka. Jego głowa wyglądała tak, jak mogłaby wyglądać głowa przeciętnego człowieka, gdyby po osiągnięciu dorosłości rozwijał się dalej, a jego rysy zyskiwały coraz większą wyrazistość. Krzaczaste rudawobrązowe brwi bynajmniej nie maskowały wydatnych łuków brwiowych. W chwili gdy padł na niego wzrok Kath Dwa, sączył właśnie napitek z półlitrowej szklanki, która w jego dłoni wydawała się jeszcze mniejsza niż w dłoni Beleda. Kiedy ją odstawił, odsłaniając dolną część gładko ogolonej twarzy, Kath Dwa dostrzegła zarys potężnej żuchwy, doceniła rozmiar zębów i zrozumiała, że siódmym członkiem Siódemki nie jest zwykły aïdanin, lecz neoander.

* * *

Trzyście cięż Ewy Aïdy zaowocowało tylko siedmioma szczepami. Wynikało to z wyjątkowo drastycznego charakteru zmian genetycznych, jakich zażądała od Ewy Moiry. Pogodziła się z perspektywą niepowodzenia niektórych cięż, ponieważ miała jeszcze sporo czasu do menopauzy w porównaniu z innymi Ewami – oprócz

Camili, której jednak nie traktowała jak rywalki, bo Camila zamierzała stworzyć rasę ludzi, którzy z nikim nie będą konkurować.

Ewy, do końca swoich dni zamknięte w niewielkiej przestrzeni mieszkalnej na Rozpadlinie, pod wieloma względami były ubogie, dysponowały jednak nieprzebranym bogactwem informacji. Miały dostęp praktycznie do wszystkich dokumentów, jakie kiedykolwiek przetworzono do postaci cyfrowej, przynajmniej do czasu, aż kości pamięci, na których je zarchiwizowano, zaczęły się psuć. Na szczęście proces ich rozkładu postępował powoli i miały upłynąć dziesięciolecia, zanim jego skutki staną się odczuwalne.

Aïda zainteresowała się genetyką człowieka. Biorąc pod uwagę fakt, że jej genom stanowił ostatni element długiego procesu historycznego – intensywnego kodowania wszystkiego, czego jej przodkowie nauczyli się poprzez przetrwanie do momentu, w którym mogli się rozmnożyć – przy okazji zgłębiała również historię ludzkiej ewolucji. Jej genom, podobnie jak genomy wszystkich arkan, został zsekwencjonowany i przeanalizowany, zanim jeszcze opuściła Ziemię, ona zaś otrzymała kopię tej analizy. Mogła się z niej dowiedzieć, skąd pochodzili jej przodkowie. Większość tych informacji nie była dla niej, jako Włoszki, szczególnie zaskakująca: genetyczne związki łączyły ją z Żydami z północnej Afryki, pewnym odciętym od świata kaukaskim plemieniem oraz ludami nordyckimi. Na podstawie określonych markerów genetycznych stwierdzono również, że – podobnie jak wielu Europejczyków – ma w sobie coś z neandertalczyka.

Z przeprowadzonych w późniejszym okresie analiz działalności Aïdy w systemie komputerowym wynikało, że równie dużo czasu poświęcała na studiowanie genomów Czwórki (której przedstawicielki postrzegała jako bezpośrednio rywalki), ile na badanie swojego własnego; z Czwórki zaś najbardziej interesowała ją Moira: poświęciła jej tyle samo uwagi, co Dinah, Ivy i Tekli łącznie. Moira wywodziła się z Afryki, Aïdę zaś fascynował fakt, że genomy Afrykańczyków są znacznie bardziej zróżnicowane od genomów innych nacji. Nie było w tym nic dziwnego, skoro ludzkość narodziła się w Afryce i stamtąd rozproszyła po całym świecie. Rasom nieafrykańskim początek dały odosobnione grupy awanturników: rozmnażając się we własnym gronie, utworzyli pule genetyczne siłą rzeczy ograniczone do tego, co sami do nich wnieśli,

a więc stanowiące zaledwie podzbiór afrykańskiego bogactwa. Tym tłumaczono na przykład fakt, że z Afryki wywodzą się zarówno najwyższe, jak i najniższe ludy na świecie, a także wielu najlepszych sportowców. Rzecz nie w tym, że Afrykańczycy z natury są geniuszami sportu, tylko w tym, że dzwonowata krzywa losowych wariacji genetycznych jest tam szersza. Na każdego Afrykańczyka, który podbił świat sportu, przypadał zapewne taki, który miał poważny kłopot z koordynacją ruchową, tyle że na tego drugiego nikt nie zwracał uwagi. Bez względu na to, czy teoria ta miała oparcie w faktach, czy nie, Aïda połączyła przynętę razem z haczykiem i spławikiem i uczyniła z niej fundament swojej strategii genetycznej w Wielkiej Grze – fundament, którego Czwórka nie mogła nie brać pod uwagę, jeśli zamierzała się jej przeciwstawić. Efektem poczynań Czwórki było powstanie rasy moiran: zamiast szczegółowo śledzić (i naśladować) machinacje Aïdy na pojedynczych parach zasad w DNA, Ewa Moira postanowiła zmodyfikować fragmenty genomu odpowiedzialne za epigenetykę i stworzyć rasę ludzkich szwajcarskich scyzoryków.

Z punktu widzenia Aïdy łatwiejszym celem była Tekla, która powiedziała bez ogródek, jakie cechy uważa za pożądane u przyszłej nowej rasy. Jej potomstwo, silne i zdyscyplinowane, miało stworzyć armię groźnych wojowników. Nie trzeba było geniusza, żeby wiedzieć, że wszelka walka w przewidywalnej przyszłości (kilka tysięcy lat w ciasnych kosmicznych koloniach) będzie prowadzona na bliski dystans. Jeśli więc przemoc miała przetrwać jako znaczący czynnik w dziejach ludzkości, to decydującymi czynnikami będą rozmiar, siła i wytrzymałość. A gdyby sądzić po dotychczasowej historii rodzaju ludzkiego, zwycięzcy w tej walce będą rządzić pozostałymi. Aïda nie zamierzała dopuścić do tego, żeby jej dzieci podlegały synom i córkom Tekli.

Mogła zrobić to samo co Tekla: stworzyć ulepszoną wersję siebie samej, uwypukliwszy atletyczną budowę ciała, siłę i inne cechy fizyczne. Zamiast tego, zafascynowana intrygującym szczegółem w raporcie na temat swojego genomu, postanowiła obudzić neandertalskie DNA, które – tak sobie przynajmniej wyobrażała – od tysięcy lat drzemało w jądrach komórkowych jej ciała i ciał jej przodków. Pomysł był dość szalony, zwłaszcza że Aïda miała w sobie za mało z neandertalczyka, ale

ostatecznie udało jej się stworzyć rasę ludzi o lekko neandertalskich rysach, na której późniejsze procesy karykaturyzacji, izolacji i ulepszania (w mniejszym lub większym stopniu dotyczące wszystkich nowych ras) odcisnęły szczególnie silne piętno. Aïda wykorzystwała geny pobrane z palca stopy szkieletu autentycznego neandertalczyka, znalezione go na Starej Ziemi i zsekwencjonowanego przed Dniem Zero. Przeryła się przez stosy fachowych czasopism paleontologicznych w poszukiwaniu takich parametrów jak długość kości i wytrzymałość ścięgien, by zapisać te informacje w kodzie genetycznym neoanderów. Człowiek siedzący u szczytu stołu był wytworem celowej hodowli i inżynierii genetycznej, ale gdyby go wysłać do prehistorycznej Europy, na pierwszy rzut oka byłby nie do odróżnienia od prawdziwych neandertalczyków.

Tworzenie neoanderów postępowało stopniowo i trwało całe stulecia, lecz kiedy nowa rasa wykształciła się na dobre, było już za późno, by zadawać pytania o etyczny wymiar takich działań. W procesie wyodrębniania się i oddalania od innych ras neoanderowie posiadli własną historię i kulturę i byli z nich dumni jak mało która grupa etniczna.

Jak można było się domyślać, niepoślednią rolę w ich dziejach odgrywali tekłanie – zgodnie z przewidywaniami nadzwyczaj wojowniczy. W teklańskiej wersji historii (gdyby maksymalnie ją uprościć i zredukować do absolutnych podstaw) neoanderowie byli niebezpiecznymi małpoludami, których obłąkana Ewa Aïda powołała do istnienia jako przekleństwo rzucone na pozostałe sześć ras. Neoanderowie utrzymywali zaś, że tekłan mógłby wyprodukować Hitler, gdyby tylko dysponował inżynierią genetyczną, i dobrze się stało, że Ewa Aïda, przewidziawszy taki rozwój sytuacji, stworzyła dla nich przeciwwagę w postaci prostych i przyjaznych, a przy tym niezwykle silnych i niebezpiecznych obrońców.

Wzajemne animozje straciły na znaczeniu, gdy krajobraz taktyczny został zdominowany przez katapulty i amboty i siła fizyczna przestała decydować o wyniku starcia. Jednakże stara pierwotna wrogość przetrwała i tłumaczyła reakcję Beleda: znalazłszy się w jednym pomieszczeniu z neoanderem, odruchowo szykował się do walki.

Doc postanowił udać, że niczego nie zauważył. Może naprawdę nie

zauważył, pomyślała Kath Dwa, chociaż w głębi duszy była pewna, że to niemożliwe.

– Beledzie? – odezwał się. – Kath? Nie mieliście chyba jeszcze okazji poznać Langobarda.

Dość popularne aïdańskie imię.

– Mówcie mi Bard – zaproponował Langobard.

– Langobardzie, przedstawiam ci Beleda Tomowa i Kath Amalthową Dwa.

Bard wstał, wyprostował się na całą wysokość (wcale nie taką imponującą, jak można by się spodziewać) i przywitał gości aïdańską odmianą salutu wykonywaną oburącz, a potem wyciągnął prawą rękę na powitanie, chociaż wydawało się, że stoi o wiele za daleko.

Kath Dwa wystąpiła naprzód i podała mu rękę. Nigdy przedtem nie dotykała neoandera. Nawet w czerwonym segmencie pierścienia należeli do rzadkości, odkąd masowo poprzenosili się na Nową Ziemię i zostali tubylcami; w segmencie niebieskim zawsze było ich niewielu.

Langobard z wyszukaną delikatnością ujął jej dłoń, która zniknęła w jego olbrzymiej łapie o palcach jak rączki niemowlęcia, i ostrożnie ją uścisnął. Był gładko ogolony, starannie uczesany i ubrany w garnitur, który całkiem nieźle na nim leżał – aż Kath Dwa zaczęła się zastanawiać, gdzie ktoś taki znalazł krawca. Po jego twarzy błąkał się uśmiezek, jakby czytał jej w myślach.

– Jestem oczarowany – powiedział, lekko skinąwszy głową, co tylko podkreśliło rozmiary i masę jego czaszki, a kiedy odpowiedziała w podobny sposób, wypuścił jej dłoń (całą i zdrową) i podał rękę Beledowi. – Miło mi pana poznać, poruczniku Tomow. To jak będzie, prawy sierpowy? Uścisk dłoni? A może strzelimy niedźwiadka?

Rozłożył ramiona, których rozpiętość przekraczała jego wzrost, jakby zamierzał uścisnąć Beleda ponad stołem. Udało mu się tym gestem przełamać lody na tyle, że Beled przybrał mniej groźną postawę, zsalutował i wyciągnął rękę na powitanie. Ich dłonie spotkały się dosłownie parę centymetrów od twarzy Kath Dwa; wyraźnie słyszała trzask kości, gdy nawzajem mierzyli swoją siłę. Stojący po drugiej stronie tego widowiska Ty śledził je z miną cokolwiek nieodgadnioną (zwłaszcza że widziała tylko tę zmasakrowaną połowę jego twarzy), ale miała wrażenie, że dostrzega u niego kąśliwe rozbawienie, co najwyżej

troszeczkę przytłumione nabożnym lękiem.

Zauważywszy, że Kath Dwa mu się przygląda, prychnął i pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że nie przesadziłem z elegancją – zastrzegł się Bard, kiedy w końcu rozdzielili się z Beledem i żadnemu nic się nie stało. – Zdarza mi się to, kiedy przybywam do Kolebki.

– Często tu bywasz? – zainteresował się Ty.

Kath Dwa zdawała sobie sprawę, że słowa Barda miały być próbą zagajenia rozmowy, a nie prostym stwierdzeniem faktu. Ty – wyrobiony towarzyszko, jak na dinajskiego barmana przystało – natychmiast to podchwycił.

– Prawdę mówiąc, to dziwi mnie, że się dotąd nie spotkaliśmy – odparł Bard. Mówił do Ty'a, ale kątem oka obserwował Kath Dwa: dopiero kiedy zajęła jedno z pustych krzeseł, on również usiadł. Wziął do ręki pustą szklankę. – W karcie napojów zauważyłem napitki z powierzchni – dodał. – Nawiasem mówiąc, dziękuję za piwo.

– Nie ma za co – zapewnił go Ty.

– Większość życia spędziłem na powierzchni – mówił dalej Bard. – W moim klanie uprawiamy winorośl i wytwarzamy wino. Naszym głównym odbiorcą są restauracje w Kolebce, chociaż zdarza się nam wysyłać pojedyncze skrzynki do prywatnych piwniczek w Wielkim Łańcuchu.

– To może tłumaczyć, dlaczego nigdy się nie spotkaliśmy – zauważył Ty.

Kath Dwa zinterpretowała jego słowa następująco: „W Kruczym Gnieździe nie podajemy tak drogich win”, ale Bard zrobił przebiegłą minę i odparował chytrze:

– Nie przychodzi ci do głowy żaden inny powód?

– Gdzie znajduje się winnica twojego klanu? – spytał Beled nieznoszącym sprzeciwu tonem, po czym, próbując złagodzić wydźwięk tych słów, dodał: – Jeśli to nie tajemnica...

– Nie, skądże. Na Antymerze. Przy samej linii demarkacyjnej.

Kath Dwa niewiele wiedziała o tym miejscu, ale kojarzyła, jak wygląda: półksiężycowaty archipelag w strefie umiarkowanej, położony między Aleutami i Hawajami, stanowił górną krawędź potężnego krateru meteorytowego. Niektóre z tworzących go wysepek były

całkiem spore. Największa z nich leżała na antymeridianie, czyli południku odległym o sto osiemdziesiąt stopni od Greenwich, od którego zresztą archipelag wziął swoją nazwę. Tworzące łańcuch wysepki ciągnęły się głównie na wschód od tego południka; najdalsza leżała na stu sześćdziesięciu sześciu stopniach i trzydziestu minutach długości zachodniej. Dokładnie nad nią znajdował się jeden z dwóch aïdańskich szlabanów przegradzających orbitalny pierścień siedliskowy. Był to najdalej na zachód wysunięty punkt, do którego docierało Oko, i faktyczna granica pomiędzy państwami Czerwonych i Niebieskich. Ponieważ wypadła na środku Oceanu Spokojnego – który, mimo najszczerzych wysiłków Kamiennego Deszczu, w dalszym ciągu stanowił gigantyczny lity akwen – trudno było mówić o jakiejś dłuższej granicy lądowej, jednakże istniała ona w przeciętej południkiem 166°30' Beringii (związku terytorialnym Alaski z najdalej na wschód wysuniętym krańcem Syberii) oraz w cieszącej się łagodniejszym klimatem części Antymeru, położonej kilka tysięcy kilometrów na południe. Tę właśnie „linię demarkacyjną” miał na myśli Bard, chociaż starannie unikał deklaracji, po której jej stronie leży winnica. Granica była niedookreślona, a w świecie tak rzadko zaludnionym nikt nie zwracał sobie głowy jej ścisłym przestrzeganiem. Znacznie dłuższy jej odcinek – na dziewięćdziesiątym stopniu długości wschodniej – zaczynał się powyżej Dhaki i wił przez najszerzą część Azji, klucząc wśród kraterów, himalajskich szczytów i innych przeszkód.

W oszczędnych słowach Bard przekazał więc mniej więcej taki oto komunikat: jego „klan” (cokolwiek miało to znaczyć) wylądował na powierzchni planety, gdy tylko stała się zdatna do zamieszkania. Teoretycznie mogli być wcześniakami (jak Tiuratom Lake, przynajmniej wedle domniemań Kath Dwa), ale biorąc pod uwagę ich rasę, najprawdopodobniej stanowili oddział wojskowy wysłany na Antymer (całkiem atrakcyjną nieruchomość), żeby go zająć i zabezpieczyć. Większość archipelagu leżała po czerwonej stronie linii demarkacyjnej i stanowiła cenną zdobycz, miała jednak kłopotliwe przedłużenie także po jej drugiej stronie, gdzie Niebiescy mogliby, gdyby zechcieli, utworzyć swój przyczółek, z którego prowadziliby później działania zbrojne. Wszystkie te wydarzenia rozegrały się w czasie Leśnej Wojny. Podczas kończącej ją negocjacji pokojowych Czerwoni próbowali

zagarnąć cały Antymer dla siebie, a więc *de facto* doprowadzić do leciutkiego wybrzuszenia linii demarkacyjnej ku wschodowi i w ten sposób pozbyć się uwierającego ich kamyka w bucie. Ponieważ jednak nie udało się dojść do porozumienia, zwierzchność nad tym skrawkiem lądu pozostała kwestią sporną. Gdyby na wyspie mieszkało więcej ludzi, może utworzono by tam strefę zdemilitaryzowaną, wyznaczono pas ziemi niczyjej i zastosowano inne zimnowojenne procedury przygraniczne – a tak status wyspy pozostał nieokreślony. Obowiązywało taktyczne porozumienie co do niewzniesienia zbędnych niepokojów, ale na wszelki wypadek po obu stronach granicy wybudowano i obsadzono ludźmi potężne kompleksy wojskowo-zwiadowcze. Naturalnym wytłumaczeniem licznej obecności neoanderów w rejonie był fakt, że kiedy zostali przysłani jako żołnierze, sprowadzili ze sobą rodziny, a gdy ich służba dobiegła końca, odmówili powrotu do klaustrofobicznych ojczystych siedlisk i rozproszyli się po wyspie, która była ponoć niezwykle przyjemnym miejscem do mieszkania. Oficjalnie było to sprzeczne z prawem, ale Czerwoni woleli zapewne przymknąć na to oko, zważywszy że zasiedlenie wysepki neoanderami umacniało ich władzę nad nią.

Ich neandertalski rodowód, choć całkowicie nieprawdziwy, został przez wszystkich w mniejszym lub większym stopniu zaakceptowany, niczym zbiorowa halucynacja historyczna. Aïda i jej bardziej żądni krwi potomkowie mogli mieć nadzieję, że w ten sposób wzbudzą lęk (lub przynajmniej szacunek) przed neoanderami i ich niezwykle biegłością w walce. Niektórzy z nich upajali się tą świadomością, większość opowiadała się jednak za rewizjonistyczną wersją dziejów neandertalczyków, którzy mieli być niezwykle inteligentnymi (mieli większe mózgi niż późniejsi ludzie), utalentowanymi i pokojowo usposobionymi proto-Europejczykami. Neoaanderscy intelektualiści organizowali seminaria na ten temat, a pragmatycy próbowali wcielać te przekonania w życie. A Kath Dwa musiała przyznać, że nie było lepszego miejsca do wcielania ich w życie niż Antymer z jego umiarkowanym, prawie europejskim klimatem. Nie było więc nic dziwnego w tym, że potomkowie członków neoanderskiego oddziału szturmowego w drugim lub trzecim pokoleniu zajmują się uprawą winorośli w nieuregulowanej strefie przygranicznej, a po zebraniu

plonów próbują sprzedawać wino do siedlisk na orbicie. Z początku ich towar miał trafiać do eleganckich restauracji i koneserów win, potrzebowali więc w swoim klanie kogoś, kto by się regularnie mył, miał dobre maniery i umiał się porządnie ubrać, jeśli chcieli nawiązać kontakty handlowe w takim miejscu jak Kolebka.

Mniej więcej takie właśnie skojarzenia wywołały słowa Barda w umysłach Kath Dwa oraz – prawdopodobnie – Ty’a i Beleda. Jednakże uwaga Ty’a („To może tłumaczyć, dlaczego nigdy się nie spotkaliśmy”) i nieodpowiedź Barda („Nie przychodzi ci do głowy żaden inny powód?”) w dalszym ciągu nie pasowały do tej wizji. Czy Ty chciał podać w wątpliwość opowieść Barda? Wyraz twarzy Ariane, kiedy patrzyła na neoandera, trudno byłoby nazwać przyjaznym – ale to akurat było oczywiste, że Julijka, z natury podejrzliwa, będzie szukała innych, nieoczywistych wyjaśnień.

Ty chyba też zwrócił na to uwagę, bo spoglądał teraz to na Ariane, to na Barda.

Bard uśmiechnął się do niego, odsłaniając rząd pożółkłych, szklwionych gładów w górnej szczęce.

– Założę się, że gdy tylko zaczniemy spędzać więcej czasu we własnym gronie, Tiuratam i ja znajdziemy mnóstwo okazji, żeby poopowiadać sobie o tym, co porabiały nasze rodziny podczas spędzonych na powierzchni dziesięcioleci.

To również nie była prawdziwa odpowiedź, lecz unik, ale przynajmniej brzmiał sympatycznie i zwracał uwagę na fakt, że przeszłość Tiuratama Lake’a, gdyby kiedyś postanowił o niej opowiedzieć, mogła się okazać nie mniej skomplikowana od przeszłości Langobarda. Może słowa te miały również wzbudzić u innych leciutkie wyrzuty sumienia? Bard pytał przecież nie wprost, dlaczego tak bardzo interesują się akurat nim, neoanderem, gdy inni członkowie Siódemki wcale nie są mniej warci zainteresowania.

Ariane usiadła wygodniej i udała, że ogląda paznokcie. Nie była przekonana. Kath Dwa spróbowała sobie wyobrazić, co musi czuć Julijka, znalazłszy się oko w oko ze stworzeniem wyhodowanym przez szaleńców, zdolnym zabijać gołymi rękami, a zarazem niezwykle biegłym w towarzyskich podchodach.

– Jestem, kim jestem – powiedział Ty.

– Czyli? – zainteresowała się Ariane.

– Barmanem. Zawsze chętnie zawieram nowe znajomości. – Ty skinął Bardowi głową. – I podaję gościom drinki. Ktoś jest spragniony?

Nikt się nie przyznał.

– Pytałem o napoje – uściślił Ty. – Bo z pewnością wszyscy jesteśmy spragnieni wiedzy.

– Ogólnej wiedzy, Tiuratamie? – spytał Doc, któremu słowa Ty'a wyraźnie przypadły do gustu.

– Gdyby interesowała mnie ogólna wiedza, zamieszkałbym na Stromness i został zbieraczem faktów. Ale jestem z natury pragmatykiem.

– Czyli chciałbyś się dowiedzieć, dlaczego się tu spotkaliśmy – powiedział Doc.

Ty chyba uznał to stwierdzenie za zbyt bezpośrednie, bo uniósł pytająco kawałek tkanki bliznowatej, która w przeszłości była brwią w miodowym odcieniu.

– Jeżeli zechcesz coś na ten temat powiedzieć, chętnie posłucham – przyznał. – A jeżeli nie... Cóż, i tak jestem gotowy w to wejść. Chociaż nie bez zastrzeżeń.

Doc spojrział na siedzącą vis-à-vis Ariane w taki sposób, że w głowie Kath Dwa przeskoczyła jakaś zapadka: Doc oddawał Ariane inicjatywę. Stwierdzenie, że to ona tu rządzi, byłoby może naciągane, ale najprawdopodobniej utrzymywała kontakt z prawdziwym organizatorem spotkania.

– Będziemy działać głównie na powierzchni – zaczęła. – Czego zresztą mogliście się domyślić, skoro dołożyliśmy starań, by włączyć do naszej ekipy tubylców – (zerknęła na Ty'a i Barda) – oraz zwiadowców.

Spojrzała na Kath Dwa i Beleda, na co Ty zareagował kolejnym sardonicznym prychnięciem. W ten sposób chciał zapewne zwrócić uwagę, że chyba nikt nie traktuje poważnie przynależności porucznika Tomowa do Zwiadu. Ariane zmroziła go spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć „Nie zaczynaj”, i dodała:

– Nikomu nie trzeba chyba uświadamiać wieloletnich związków Doca i Memmie z powierzchnią.

Na tak zestawionej liście uczestników rzucał się w oczy brak samej Ariane, ale jeśli zwróciła na to uwagę, to nie dała nic po sobie poznać.

Pozostali mogli tylko snuć domysły w kwestii tego, w jaki sposób jej specjalność (jakakolwiek była) przyda się na powierzchni.

– Dyskrecja jest kluczowa – ciągnęła Ariane – dlatego urządzimy centrum operacyjne tutaj, w Kolebce, a podróżować będziemy powietrznymi i lądowymi środkami transportu. – Czyli samolotami i pojazdami pełzającymi po powierzchni Nowej Ziemi, w odróżnieniu od rakiet, bolas i przypominających gigantyczne bicze urządzeń Aitkena-Kucharskiego. – Tam, gdzie to możliwe, będziemy przybywać do Kalebki i ją opuszczać na piechotę, przez połączone z gniazdami podziemne tunele.

– Kiedy będzie następne... – zaczęła Kath Dwa.

– Cayambe – odparła Ariane. – Za dwa dni.

– I z Cayambe do Beringii udamy się łodem? – upewniła się Kath Dwa.

Ty i Bard spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

– Nic nie mówiłam o Beringii – zauważyła Ariane.

– Ale to przecież oczywiste. To tam wysłano na zwiad mnie, Beleda i... mnóstwo innych ludzi. To tam zobaczyłam to, co zobaczyłam i o czym później powiedziałam Beledowi. Od tego to wszystko się zaczęło, prawda?

– Nie. Ta sprawa się ciągnie znacznie dłużej. Od lat. Ale masz trochę racji.

– Ty stamtąd właśnie pochodzi, poznaję to po akcencie – nie poddawała się Kath Dwa. – A Bard jest z południa, z Antymeru.

– Zgadza się: z gniazda Cayambe ruszymy na północ.

– Cholernie daleko na północ – podkreślił Ty.

– Nikt nam nie broni skorzystać z transportu powietrznego – przypomniała Ariane.

– Gdybyśmy mieli odpowiednio duży szybowiec – wtrąciła Kath Dwa – górską falą w dzień albo dwa przeniosłaby nas przez całą długość Andów, Sierry i Gór Kaskadowych.

– Jestem przekonana, że uda nam się załatwić odpowiednio duży szybowiec – zapewniła ją Ariane.

* * *

Spód Kolebki, widoczny wyłącznie dla ludzi stojących na Ziemi (ściślej rzecz biorąc, na równiku) i patrzących do góry, był płaski i w przybliżeniu owalny, wydłużony na osi wschód-zachód, a więc w kierunku jej ruchu. Przy bliższych oględzinach na pozornie płaskiej powierzchni dawało się dostrzec liczne małe włazy, sprytnie skonstruowane wypustki, otwory i inne szczegóły. Na pozbawionej innych punktów charakterystycznych płaszczyźnie tworzyły układ znamionujący działanie zdyscyplinowanych umysłów i odzwierciedlający komplikacje spowodowane asymetrią miasta na górze.

W wybranych miejscach na równiku na oczyszczonym i splantowanym gruncie wylano żelbetonowe płyty, które miały nie tylko takie same rozmiary jak podstawa Kolebki, lecz także własny zestaw podobnych wypustek i otworów. Gdy Oko znalazło się dokładnie nad którąś z tych płyt, istniała możliwość posadzenia Kolebki na żelbetowym gnieździe, gdzie mogła następnie spoczywać przez długie godziny albo dni, ładując zaopatrzenie, rozładowując przywiezione towary lub w inny sposób obcując z otoczeniem. Nigdzie nie zagrzała dłużej miejsca, musiała bowiem podążać za Okiem, a ono zawsze miało pilne sprawy do załatwienia w innych rejonach orbitalnego pierścienia.

Gdyby wędrowiec, który nie miał zielonego pojęcia o żadnych orbitalnych konstrukcjach, wyszedł z lasu albo wspiął się na pobliskie wzgórze i zobaczył stojącą na gnieździe Kolebkę, pomyślałby, że ma przed sobą całkiem zwyczajne (czyli, w tym wypadku, nieruchome) miasto. Wznoszące się nad nią ucho wiadra sugerowało, że jest w niej coś niezwykłego, ale poza tym oglądana w takim kontekście przypominała odosobnioną górską twierdzę.

Gniazda o ustalonej pozycji poczęły już obrastać przedmieściami: pierścieniowatymi miasteczkami, które ożywały przy każdym przybyciu Kolebki. Większość z nich przypominała (zarówno atmosferą, jak i pełnioną funkcją) bazy wojskowe, instytuty naukowe i faktorie na rubieżach cywilizacji. Zawsze zakładano, że w przyszłości powstanie wiele gniazd, które oplotą równik obręczą podobną do wznoszącego się nad nim pierścienia siedliskowego, i że kiedy rozpocznie się oficjalne zasiedlanie Nowej Ziemi, rozwiną się z nich ważne ośrodki miejskie. Odwiedzanie ich dzisiaj, na setki lat przed planowanym cudownym

rozkwitem, było specyficzną atrakcją, trochę jak zwiedzanie placu budowy po wylaniu fundamentów i postawieniu pierwszych paru ścian. Budowniczy, marzyciele i wizjonerzy uwielbiali takie miejsca; inni niczego w nich nie widzieli.

Pierwsze powstały Cayambe i Kenya, wybudowane w dogodnych lokalizacjach w – odpowiednio – Ameryce Południowej i Afryce. Każde z nich liczyło dziś około dziesięciu tysięcy mieszkańców.

Cayambe wzięło swoją nazwę od wulkanu leżącego w miejscu, gdzie równik przecinał Andy, na terytorium niegdysiejszego Ekwadoru. W czasie Kamiennego Deszczu wulkan oberwał swoje, ożywił się i przez jakiś czas dochodziło do jego regularnych erupcji, potem jednak przygasł i od mniej więcej siedmiuset lat pozostawał w stanie uśpienia. Na wszelki wypadek gniazdo zbudowano w bezpiecznej odległości od jego najbardziej aktywnych kominów, dzięki czemu z niektórych okien w Kolebce (tych zwróconych we właściwą stronę) można było podziwiać jego wierzchołek, jak dawniej pokryty śniegiem.

Z wieży Kruczego Gniazda rozpościerał się widok niemal na wszystkie strony, dlatego Tiuratom Lake, który dwa dni później stał za barem i polerował kieliszek ścierką, wyjrzawszy spomiędzy dwóch nalewaków, zobaczył przesuwający się w polu widzenia szczyt wulkanu, który nagle jakby wzniósł się wraz z widnokregiem, gdy Kolebka została ostrożnie opuszczona na gniazdo. Rozbrzmiały syreny. Miasteczko na powierzchni było coraz lepiej widoczne, wynurzając się zza osłon przeciwwiatrowych Kolebki. Ty odruchowo wepchnął ścierkę do kieszeni, tak że zwisała mu na udo, i złapał się baru. Spód Kolebki i żelbetową płytę gniazda zaprojektowano w taki sposób, żeby w ostatniej fazie zbliżenia uwięziona między nimi poduszka powietrzna amortyzowała kontakt. Powietrze uciekało przez otwory wentylacyjne na obwodzie Kolebki, przez co końcówkę lądowania jak zwykle obwieściły pióropusze pary wodnej tryskające wprost w błękitne niebo nad Andami i ryk uciekającego powietrza. Leciuteńki wstrząs sprawił kieliszki i zastawę w szafkach w dźwięczne drżenie.

Dźwięk syren i świst powietrza ucichły jednocześnie. Przez uchylone okna dobiegły tradycyjne skąpe oklaski niosące się po kamiennych uliczkach Wzgórza Kapitolijnskiego. Ty spojrział na zegarek. Politycy i generałowie, którzy podnieśli wzrok znad śniadania, żeby śledzić

lądownie i podziwiać sylwetkę wulkanu Cayambe, wrócili do jedzenia i przerwanych rozmów. Kolebka stała się właśnie największym miastem na Nowej Ziemi i miała nim pozostać przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. System osłon przeciwwiatrowych, na co dzień chroniący miasto przed powiewami wywołanymi jego ruchem w atmosferze, teraz bardziej przypominał mur obronny wybudowany w pradawnych czasach dla obrony starego miasta, który z czasem stał się zwykłą ciekawostką historyczną dzielącą dwie sąsiednie dzielnice.

Sekcja Q z zainteresowaniem obserwowała ludzi przybywających i wychodzących przez wszystkie osiem bram Kolebki, ale poza tym w żaden sposób nie ingerowała w mieszanie się populacji. Pobyt Kolebki na Ziemi trwał zwykle tak krótko, że zatrzymanie, sprawdzenie i przepytanie każdego podróżnego z osobna zaprzeczałoby sensowi tych wizyt. Dzięki tej pobłażliwości przeciętny pieszy potrzebował dziewięciu minut, żeby od najbliższej bramy dotrzeć do Kruczego Gniazda. Pierwszy klient – mocno zdyszany – wpadł o siódmej i zamówił piwo. Nie rozpoznali go, za to dwie następne twarze, które zjawiły się trzydzieści sekund później, wyglądały już znajomo. W ciągu następnego kwadransa bar zapełnił się mieszanką bywalców (z Kolebki i Cayambe) i przypadkowych ciekawskich. Personel, przyzwyczajony do tych przyplływów klientów, zaczął otwierać sale w głębi lokalu. Dodatkowi kucharze przybyli przez jedno z tylnych wejść i korzystali z przygotowanych dzień wcześniej *mise en place*.

Inaczej mówiąc, wszystko szło gładko. Ty był zadowolony. Bar, który był w stanie przyjąć falę gości z gniazda przy interwencji Ty'a ograniczonej do polerowania szkła, stanowił poniekąd największe osiągnięcie jego życia. Imał się w Kruczym Gnieździe wszystkich zajęć, od zamiatacza począwszy; z czasem nauczył się zlecać wybrane zadania ludziom, którzy byli w nich lepsi od niego. Innymi słowy, awansował na wyższy poziom aktywności mentalnej, nie porzucając całkiem mycia podłóg i polerowania szkła, co pozwalało mu zachować fizyczną bliskość z barem i ludzką więź z podwładnymi.

Bywał również roztropnym manipulantem: wiedział, którego gościa wyrzucić, którego uciszyć (na tyle dyskretnie i żartobliwie, żeby ten się nie zorientował, że został spacyfikowany), a którego podjąć z honorami, gdy było widać, że czuje się niezbyt pewnie. Były to sprawy równie

fundamentalne dla zarządzania barem jak regularne mycie podłóg. Miał zresztą podwładnych, którzy byli w tych sprawach nie gorsi od niego. Krótko mówiąc, pod jego rządami Krucze Gniazdo stało się na tyle zdrowym i silnym organizmem, że jego nieobecność – trwająca całe tygodnie, czasem nawet miesiące – nie przynosiła lokalowi większych szkód. Pod pewnymi względami jego „urlopy” bywały wręcz korzystne dla baru – kiedy wracał i stwierdzał, że pod jego nieobecność niektórzy z pracowników wznieśli się na wyższy poziom i stali bardziej kompletnymi istotami ludzkimi. Był praktycznie pewny, że gdyby teraz zniknął na zawsze, Krucze Gniazdo nie odczułoby jego braku. Nie miał jednak takiego zamiaru, ponieważ było dosłownie jego domem (miał mieszkanie przy podwórzu na tyłach) – a poza tym Właściciele chcieli, żeby został. A Właściciele należeli do tych nadzwyczaj nielicznych przedstawicieli ludzkich ras, z których zdaniem Tiuratom Lake naprawdę się liczył. Zwrócili mu uwagę, że nawet roczny urlop – gdyby rzeczywiście postanowił go wziąć – przyniósłby korzyść Kruczemu Gniazdu, bo po powrocie spojrzaliby na nie świeżym okiem i natychmiast dostrzegł możliwość zmian na lepsze.

Podejrzewał jednak, że dla Właścicieli prawdziwa wartość baru nie leży w stopie zwrotu z inwestycji, bo ta prawdopodobnie oscylowała wokół zera. Chociaż, prawdę mówiąc, Krucze Gniazdo równie dobrze mogło przynosić potężne straty. Co miesiąc robił bilans i kondensował go do jednej kartki papieru, którą zanosił następnie do Dziupli i podsuwał siedzącemu przy stole przedstawicielowi Właścicieli. Gość nie komentował liczb, może raz na rok o którąś zapytał, jakby chciał dać do zrozumienia, że trzyma rękę na pulsie. Właściciele cenili sobie Krucze Gniazdo jako instytucję kulturalną, a także źródło informacji o życiu, myślach i działaniach różnych ważnych osób, których to informacji inaczej niż w barze zdobyć się nie dało.

Nie przepadał za długimi pożegnaniami, zwłaszcza w kontekście zawodowym, gdzie odejście z pompą robiłoby z niego ważniaka i mogło sugerować, że bez niego personel nie da sobie rady. Dlatego po upływie paru minut, kiedy zamienił po dwa słowa z ważnymi osobami w Cayambe i rzucił paroma żartami – ot, w sam raz, żeby zaznaczyć swoją obecność – wyciągnął ścierkę z kieszeni, wytarł nią ręce i wrzucił ją do zsypu na pranie pod kontuarem. Sprawdził jeszcze, czy zsypana

pewno się nie zapchał (nigdy się to nie zdarzało), po czym z zadowoleniem wyszedł z baru i podszedł do stołu przy oknie, gdzie Ariane, Kath Dwa i Beled właśnie odsuwali od siebie puste talerze po obfitym śniadaniu. Ty godzinę wcześniej zjadł skromny posiłek, tak jak miał to w zwyczaju, gdy spodziewał się spędzić większość dnia w powietrzu.

– Zostawcie – powiedział. – Ktoś się tym zajmie.

Moiranka i teklanin odpowiedzieli zdawkowymi podziękowaniami, a Ariane posłała mu spojrzenie, które w jej zamyśle miało być pewnie przenikliwe, i skinęła głową. Męczyło go obcowanie z intensywnie pracującymi julijskimi umysłami; starał się nie dać wciągnąć w ich pokrętne myślowe labirynty. Być może Ariane pociągnęła za dostępne sobie sznurki w wywiadzie, żeby sprawdzić jego samego i Właścicieli i teraz wyciągała jakieś wnioski (najprawdopodobniej błędne) na temat jego motywacji, gdy zaoferował Siódemce darmowe jedzenie i picie. Ty nie miał bowiem wątpliwości, że Ariane pracuje w wywiadzie. W czasie wojny naoglądał się wielu szpiegów i teraz potrafił ich rozpoznać.

Członkowie Siódemki umieli się już odnaleźć w labiryncie Kruczego Gniazda, ale i tak oczekiwali, że to Ty będzie ich prowadził, chociażby dlatego, że był to przecież jego bar. Jednakże nawet zrzuceni w przypadkowym miejscu na powierzchni planety i tak by czekali, aż Ty wskaże im drogę – bo czy się to komuś podobało, czy nie, tacy właśnie byli dinajczycy. Wpisawszy się w podobny rasowy stereotyp, Beled zamykał pochód – po części dlatego, że głęboko zakorzeniona uprzejmość i dyscyplina kazały mu wszystkich puścić przodem, a po części dlatego, żeby w razie konieczności mógł okręcić się na pięcie i stawić czoło nieprzyjacielowi, który zaatakowałby od tyłu.

Ty ruszył szybkim krokiem, żeby zminimalizować prawdopodobieństwo zaczepienia przez jakiegoś przedwcześnie podchmielonego członka Cayamskiej Izby Komiersanckiej, i po chwili znaleźli się w części baru, która jeszcze nie została otwarta dla gości. Kręconymi schodami, na których barczysty Beled ledwie się mieścił, zeszli na trójkątny dziedziniec w samym środku kompleksu; porastające go tropikalne kwiaty skrzyły się jak klejnoty w ostrym białym świetle Andów. Przy wychodzącej na ulicę szerokiej bramie czekały już cztery taksówki. W lecącej Kolebce czterokołowce należały do rzadkości, ale

gdy tylko zacumowała na gnieździe, w mgnieniu oka zapełniała się wszelkiej maści drobiazgiem, który miał koła i dostatecznie skromne gabaryty, żeby pomieścić się na jej ulicach. Niektóre przewoziły ładunki dostarczone z Oka i przeznaczone dla klientów na powierzchni, inne – towary importowane z Nowej Ziemi, jeszcze inne – pasażerów mających coś do załatwienia w miasteczku albo w interiorze. Doc i Memmie zajęli już miejsca w jednej z taksówek, co można było poznać po pudłach z aparaturą medyczną przypiętych do bagażnika na dachu oraz po krabochwycie, który przyczał się za pojazdem gotowy za nim biec. Bard wsiadł do drugiego pojazdu i osunął się nisko na siedzeniu. Rzadko widywani neoanderowie zwracali na siebie uwagę i budzili ciekawość w sposób, który Ariane zdecydowanie nie odpowiadał; nawet w Kruczym Gnieździe Bard mieszkał sam w jednoosobowym pokoju. Kiedy Ariane dosiadła się do jego taksówki, stało się jasne, że najlepiej będzie, jeśli trzeci wóz Beled zaanektuje w całości dla siebie – i tak właśnie zrobił. Ty i Kath Dwa wsiedli do ostatniej, czwartej taksówki.

Doc i Memmie odjechali pierwsi. Ariane odczekała kilka minut, zanim kazała swojemu kierowcy ruszać. Ty wiercił się niecierpliwie, poszturchując Kath Dwa; taksówki w Kolebce nie były szczególnie przestronne.

– Jak myślisz, o co jej chodzi? – spytała Kath Dwa, żeby zagaic rozmowę. Oboje doskonale wiedzieli, o co chodzi Ariane.

– Kawalkada czterech pojazdów, która wyjeżdża z Kruczego Gniazda i nie wraca – mruknął Ty – za bardzo rzucałaby się w oczy.

– Przynajmniej nie można zabłądzić.

Kath Dwa schyliła się i spojrzała przez okno na północ, na niebo poza granicami miasta. Jej oczy zalśniły w snopie słonecznego światła krzeszącym żółte iskierki w zielonobrunatnych tęczęwkach. Nie miała obłądnie żółtych kocich oczu jak niektórzy moiranie, chociaż wśród jej przodków znalazłoby się takich paru. Wiedziała, że Ty ją obserwuje, ale udawała, że tego nie widzi, co chyba mu odpowiadało. Patrzyła, oczywiście, na Pętlę Aitkena, którą mieli odwiedzić. Jeżeli nadal działała (a gdyby była zepsuta, Kath Dwa nie przyglądałaby się jej tak spokojnie), wznosiła się ponad zagrzebaną prawie w całości pod ziemią bazą polatucha, w otoczeniu hangarów i warsztatów obsługujących samoloty przemierzające andyjski łańcuch.

– Masz wszystko? – spytał Ty. – Przed tobą długi dzień.

– Minie jak z bicza trzasł – odparła – kiedy będę zajęta. Za to wam czas się będzie dłużył, bo będziecie się nudzić. Wzięłaś jakąś książkę?

– Wolę ludzi od książek, ale na wszelki wypadek coś tam ze sobą zabrałem, gdyby wszyscy posnęli.

Miał to być niewinny żarcik, ale Kath Dwa zmarszczyła brwi, a Ty zaczął się zastanawiać, czy podejrzewa go o wymierzoną w moiran złośliwość na tle rasowym.

– Ludzie tak mają – dodał. – Irytujący nawyk.

Najwyraźniej kawalkada złożona z dwóch samochodów już Ariane nie przeszkadzała, więc pojazdy wiozące Beleda i Ty z Kath Dwa razem zaczęły lawirować wśród przechodniów. Pierwszą część dystansu szybciej pokonaliby na piechotę, ale kiedy w końcu wyjechali z labiryntu wąskich zaułków Kolebki, znaleźli się w Cayambe, na drodze przeznaczonej dla pojazdów. Była bardziej pylista, niż zapamiętał ją Ty, ale może wynikało to z tego, że tym razem oglądał ją z perspektywy gościa. Wyrafinowani mieszkańcy Kolebki postrzegali tutejsze roboty jako komicznie przerośnięte i rozklekotane, a mieszkańców Cayambe jako nadętych prowincjuszy. W ich oczach Ty również zaliczał się do tej grupy. W ludziach, których przodkowie mieszkali w pierścieniu siedliskowym, grzecznie przestrzegali przepisów i cierpliwie czekali na moment, gdy Doc (albo jakiś jego spadkobierca) przetnie wstęgę na Nowej Ziemi i wpuści na nią osadników, wcześniacy i tubylcy budzili mieszane odczucia. Z jednej strony postrzegano ich jako ostrych zawodników i cwaniaków, z drugiej jako prymitywnych chłopków-roztropków. Ty bardzo szybko nauczył się wykorzystywać oba aspekty tego wizerunku. Przybysz z pierścienia, który brał go za wsiowego prostaczka, mógł wypaplać mnóstwo użytecznych informacji, zanim odkrył prawdę. Z kolei komuś, kto na każdym kroku spodziewał się, że zostanie oszukany, wystarczyło okazać odrobinę szczerości i uczciwości, żeby sam się odsłonił.

* * *

Gdyby wziąć dużą liczbę polatuchów (latających autonomicznych ogniów

łańcucha), połączyć je w jeden długi ciąg, a następnie spiąć jego końce, tworząc zamkniętą pętlę, i wprawić tę pętlę w ruch w powietrzu (jak pociąg zestawiony z małych samolocików, których malutkie skrzydełka generują odrobinę siły nośnej), otrzymalibyśmy tak zwany pociąg powietrzny, „airtrain”. Wymawiało się to w przybliżeniu „ej-trein”, a sama idea była na tyle stara, że etymologia nazwy przepadła w mrokach historii: może pierwotnie był to „air train”, w którym pierwsze „r” uległo elizji, a może chodziło o „A train”, skróconą postać określenia „Aitken train”, czyli „pociąg Aitkena”. Czasem – tak jak w tym przypadku – pociąg powietrzny na uwięzi przechodził przez kompleks naziemny bazy, wznosił się ponad nią na znaczną wysokość, po czym zawracał i opadał ku powierzchni, by stamtąd rozpocząć kolejną pętlę. Zdarzały się jednak również pociągi, które swobodnie krążyły w powietrzu – wytwór absolutnie szalonej technologii, powszechnie kojarzonej z aïdańskimi geniuszami znanymi jako dżiny i używanej wyłącznie przez Czerwonych.

Prawdopodobnie na życzenie Ariane udali się na stację pociągu powietrznego okrężną drogą i szerokim łukiem objechali hangar z wymalowaną na dachu wielgachną literą Q. Spotkali się w innym hangarze, nieoznakowanym, stojącym na skraju strefy zmilitaryzowanej i – zdaniem Ty’ a – trudnym do jednoznacznego zakwalifikowania jako zwiadowczy lub wojskowy. Nie było w nim żadnej ludzkiej obsady, tylko dwa wyspecjalizowane krabochwyty pełniły straż przy skrzydłach dużego szybowca, nominalnie mieszczącego dziesięć osób, a więc w zupełności wystarczającego dla Siódemki. Tak przynajmniej myślał Ty, dopóki nie wsiadł do niego i nie znalazł na pokładzie tajemniczych skrzyń ze sprzętem.

Kath Dwa bez pośpiechu obeszła maszynę dookoła, po czym wsiadła do środka, zamknęła za sobą drzwi i przeczołgała się w stronę dziobu, na leżankę, na której miała spędzić cały lot. Pozostali odwrócili dyskretnie wzrok, gdy podłączała się do układu odprowadzania moczu. Przed sobą miała szklaną kopułę o średnicy ponad metra stanowiącą dziób szybowca. Beled i Bard usiedli przy oknach w ostatnim rzędzie foteli w kabinie pasażerskiej. Doc usiadł z pierwszym rzędzie, przy przejściu, skąd miał najlepszy widok do przodu, ponad plecami Kath Dwa. Memmie zajęła miejsce obok niego, przy oknie, a Ariane po drugiej

stronie przejścia. Ty mógł wybierać spośród kilku foteli w środkowej części kabiny. Zauważył już, że Ariane chętnie siada blisko Doca. Gdyby był zazdrosny (albo gdyby lubił prowadzić długie dysputy z wybitnymi naukowcami), pewnie nie byłby zachwycony, że Ariane tak zawłaszcza Doca, ale na razie uznał to po prostu za ciekawostkę. Zastanawiał się tylko, czy Doc w którymś momencie ją spławi, żeby móc wreszcie porozmawiać z kimś innym.

Szybowiec ruszył z miejsca, najprawdopodobniej dlatego, że Kath Dwa kazała podtrzymującym go za czubki skrzydeł krabochwytem gdzieś go przestawić. Dziób pochylił się ku dołowi, gdy po pochylni zjechali do bazy polatucha – zgiekłego podziemnego labiryntu, w którym krzątająca tysiący identycznych robotów wydawała się zarazem chaotyczna i uporządkowana, trochę podobnie jak uwijanie się pszczoł w ulu. W systemie naziemnym, takim jak ten, ogniwa polatucha musiały być aerodynamiczne, toteż ich szkielet wewnętrzny ukryto pod cienką plastikową powłoką: tęponose cylindry do złudzenia przypominały ogromne pociski karabinowe, z leciutkim przewężeniem w połowie długości, żeby przegub uniwersalny mógł pracować bez przeszkód. Każdy polatuch miał około pół metra średnicy, dwa metry długości i ważył mniej więcej dwa razy więcej niż wysoki, solidnie zbudowany człowiek. Dopóki polatuchy leżały na podłodze, były zupełnie bezradne – dopiero krabochwyty musiały je wykierować we właściwą stronę i poturlać przed sobą jak baryłki; cała scena przywodziła na myśl stado żuków gnojarzy zajętych swoją robotą, a celem operacji było zepchnięcie polatuchów do koryt, w których same ustawią się w odpowiedni sposób i połączą w krótkie kilkuelementowe odcinki. Walcowe łożyska w korytach ułatwiały przesuwanie polatuchów w tę i z powrotem jak wagonów na stacji rozrządowej, umożliwiając dołączanie ich do (lub odłączanie od) kursującego pociągu powietrznego, czyli pociągu wystrzeliwanego z wielką prędkością do góry i gwałtownie hamującego w drodze powrotnej.

W jednej z tych niepojętych dla człowieka, a banalnie prostych dla maszyny procedur sprzęg na dziobie szybowca został połączony z ogonem polatucha, który chwilę później podpięto do pędzącej ku górze odnogi pociągu. Szybowiec gwałtownie przyśpieszył, wciąż jeszcze zamknięty w bazie polatucha stanął niemal do pionu... i nagle wystrzelił

na zewnątrz w powodzi światła. Ponieważ ogon szybowca był zupełnie swobodny, przerwany w tym miejscu łańcuch przestał tworzyć Pętlę Aitkena i przeobraził się w pionowy bicz nadający szybowcowi coraz większą prędkość, w miarę jak *Knickstelle* w jego najwyższym punkcie wznosiło się coraz wyżej pod niebo. Ty – leżący w tej chwili na plecach i spoglądający do przodu ponad barkami Kath Dwa – widział maleńkie stateczniki, które wysunęły się z korpusu poprzedzającego ich polatucha: wraz z tysiącami podobnych stateczników na tysiącach ogniw na bieżąco korygowały konfigurację bicza. Chwilę później szybowiec odłączył się od polatucha i zerwał z uwięzi w najwyższym punkcie trajektorii bicza: w kilka sekund został wyniesiony na wysokość dwóch tysięcy metrów i rozpędzony do prędkości kilkuset kilometrów na godzinę. Tymczasem polatuchy porozłączały się i łańcuch przeobraził się w liniową chmurę identycznych elementów lecących w różnych kierunkach. Te, które zorientowały się, że lecą samotnie, automatycznie wypuściły duże stateczniki ogonowe i z pocisków karabinowych stały się lotkami do badmintonu: zwrócone dziobem w dół zaczęły opadać ku ziemi. Lekkie przekrzywienie stateczników wprowadziło je w ruch wirowy jak klonowe noski, co dodatkowo spowolniło lot. Cały ich rój kierował się na pusty plac obok bazy.

Całą tę scenę Ty oglądał wyłącznie w wyobraźni, bo dawno zostawili ją za sobą, widział ją jednak nieraz na własne oczy: takie operacje przeprowadzano codziennie po wielokroć na każdej stacji powietrznego pociągu. Te same polatuchy, inaczej pokierowane, mogły z równą łatwością umożliwić spotkanie z orbitującym wokół Ziemi bolas albo zgarnąć samolot z powietrza i bezpiecznie sprowadzić go do bazy.

Pierwsze pół godziny lotu przyplącił lekkim niepokojem żołądka, gdy Kath Dwa wykonała kilka nagłych manewrów, prawdopodobnie w reakcji na jakieś korzystne lub niekorzystne prądy powietrzne. Ludzie przyzwyczajeni do podróżowania samolotami z własnym napędem często miewali kłopoty z przestawieniem się na latanie znacznie bardziej nieprzewidywalnym szybowcem, ale Ty, dla którego nie był to pierwszy raz, zdawał sobie sprawę, że Kath Dwa szuka najlepszego sposobu na wstrzelenie ich w niewidzialną górską falę unoszącą się nad Andami w górnych partiach atmosfery. Zorientował się, że ją znalazła, kiedy zwody i zwroty się skończyły, a oparcie fotela w wyraźnie

wyczuwalny sposób naparło mu na plecy. Lecieli równo, poziomo, prosto na północ, z prędkością około trzystu kilometrów na godzinę. Od tej pory zadanie Kath Dwa polegało na sięganiu wspomaganą lidarami matrycą sensoryczną daleko w przyszłość i korygowaniu kursu w taki sposób, by wymijać niespokojne obszary.

Pasażerowie zrobili się apatyczni, pozapadali w drzemkę albo zajęli się czytaniem. Dwa rzędy za Ty'em siedział Beled Tomow: w pozycji półleżącej zajmował niemal całe dwa fotele i spod półprzymkniętych powiek rozkojarzonym wzrokiem spoglądał za okno. Może próbował wpatrywać się w horyzont, walcząc z chorobą lokomocyjną. Tak czy inaczej, nie był raczej w nastroju do rozmowy.

Na podstawie rozmów przy tych kilku wspólnych posiłkach, jakie spożyli od czasu pierwszego spotkania się Siódemki, Ty zdołał sobie wytworzyć w zarysach obraz misji w Beringii, z której niedawno wrócili Kath Dwa i Beled. Beled upierał się przy marnej przykrywce, jakoby należał do Zwiadu, ale ostatecznie dali sobie z tym spokój i Doc otwarcie tytułował go „porucznikiem”.

Żołnierze dzielili się na trzy obszerne kategorie: Naciskaczy Guzików, Udeptywaczy Ziemi i Zjadaczy Węży. Beled z pewnością nie zaliczał się do Naciskaczy; była to jedyna formacja, której znaczną część stanowili ivyni i camilici. Pozostawali więc Udeptywacze Ziemi (zwani w skrócie uzetami) i Zjadacze Węży. Beled nie wyglądał na uzeta – członek regularnej formacji zbrojnej stacjonującej masowo wzdłuż granic lądowych. Oczywiście nie można było całkowicie wykluczyć jego przynależności do UZ: mógł być po prostu wyjątkowo dużym i silnym uzetem – ale jednak najbardziej prawdopodobne było to, że jest Zjadaczem Węży, czyli dawnym uzetem awansowanym do któregoś z jednostek specjalnych. One również miały swoje nieoficjalne nazwy: kwazeci (Kwarantanna i Zatrzymania), wyfroni (Wywiad Frontowy) oraz bersowie (skrót od Berserkerów). Kwazeci mieli z nich wszystkich zdecydowanie najniższy status. Patrzone na nich krzywo, bo w praktyce niewiele różnili się od żandarmerii; owszem, wzywano ich czasem do zakłóceń miru domowego, ale najczęściej wystawiano na straży przy bramach, gdzie mieli przypominać ludziom, żeby ci się nie burzyli. Powszechna opinia na temat ich inteligencji i zasad moralnych nie była przesadnie pochlebna. Ty nie widział powodu, dla którego ktoś taki

miałby zostać powołany do Siódemki, dlatego uznał to za mało prawdopodobne. Wywiad Frontowy pasowałby znacznie lepiej – ba, taka możliwość wręcz sama się narzucała, odkąd Ty dowiedział się, że Beled został niedawno odwołany z powierzchni, gdzie brał udział w czymś, co wyglądało na klasyczną misję wywiadowczą: znalazł się w pobliżu co najmniej jednej LST, obserwował jej mieszkańców, sam pozostając dla nich niewidoczny... Wyfroni specjalizowali się w takich akcjach. Tylko warunki fizyczne Beleda powstrzymywały Ty'a przed sklasyfikowaniem go jako wyfrona, musiał więc dopuścić (mało prawdopodobną) możliwość, że Tomow jest bersem – mało prawdopodobną, ponieważ wbrew spopularyzowanemu w kulturze masowej wizerunkowi nie wszyscy bersowie byli wielgachni i muskularni. Większość wyglądała zupełnie zwyczajnie, co najwyżej mogła się pochwalić ponadprzeciętną kondycją. Nie tworzyli litej struktury, lecz mozaikę małych oddziałów, z których każdy był przeszkolony i wyposażony do konkretnych działań: walki w nieważkości, walki pod wodą, desantu w kapsułach, tajnych operacji na terenach miejskich. Do tej pory Beled Tomow nie wykazywał żadnych oczywistych oznak takiej specjalizacji. Choroba lokomocyjna w szybowcu sugerowała brak obycia z samolotami. Gdyby Ty miał zgadywać, powiedziałyby, że Beled zaczynał jako uzet, spędził dużo czasu na Ziemi w strefie przygranicznej, wyróżnił się, awansował i trafił do oddziału bersów specjalizującego się w zwiadzie na powierzchni planety.

Tylko Langobard wykazywał jakieś oznaki życia – co nie powinno dziwić, zważywszy że przez ostatnie kilka dni prawie nie wychodził z pokoju. Ty przesiadł się na fotel obok niego i zagadnął go o winnicę, którą jego klan prowadzi na Antymerze. Było to całkiem rozsądne pytanie ze strony barmana w Kolebce, ale obaj mieli świadomość, że to tylko próba przełamania lodów. Bard z prawdziwą przyjemnością podjął grę: opowiadał o wulkanicznej glebie w swoich rodzinnych stronach; o staraniach TerReFormu, które w ciągu ostatnich kilku stuleci doprowadziły do powstania ekosystemu na martwej mineralnej pustyni; o swoich dziadkach, którzy przemycali winorośl z ogrodów botanicznych w niebieskiej i czerwonej strefie pierścienia; o ich przygodach i niepowodzeniach, zanim nauczyli się, że gleba wymaga pewnych ulepszeń, jeśli chcą na niej założyć winnicę. Nie powiedział

tego wprost, ale było oczywiste, że współpracowali przy tym z ludźmi, którzy nie byli neoanderami. Już samo szmuglowanie zakazanych roślin na planetę przez neoanderów byłoby niezwykle ryzykowne, nawet gdyby działali w czerwonym sektorze. W strefie niebieskiej rzucaliby się w oczy w sposób wręcz niedorzeczny; sekcja Q automatycznie by ich zatrzymała i przeszukała, nawet gdyby nie łamali prawa. Kiedy Ty zwrócił na to uwagę, Bard przytaknął i jednocześnie pokręcił głową, jakby potwierdzał oczywistość jego słów, po czym wyjaśnił, że jego krewniacy, od ponad dziesięciolecia stacjonujący przy granicy, na której nic się nie działo, nawiązali przez ten czas serdeczną znajomość ze swoimi odpowiednikami po niebieskiej stronie linii demarkacyjnej. Od wymiany zapasów żywności, żeby urozmaicić sobie dietę, przeszli do wspólnych pikników, zawodów sportowych i innych inicjatyw pomocnych w zwalczaniu nudy. Teklanie (tu Bard zerknął na drzemiącego Beleda) zachowywali dystans, ale z dinajczykami jego ludzie zawsze dobrze się dogadywali.

Ty nie miał powodu wątpić w prawdziwość tej uwagi, rozumiał jednak, że Bard chciał przy tej okazji wyrazić coś więcej: proponował Ty'owi znajomość, która mogłaby z czasem przerodzić się w przyjaźń. Zwłaszcza że sporo ich łączyło: obaj byli tubylcami, którzy zadomowili się w wyrafinowanym środowisku Kolebki, nie wyrzekłszy się przy tym związków z krajanami na powierzchni – związków, które dla nich były zupełnie naturalne, za to z punktu widzenia mieszkańców pierścienia siedliskowego stanowiły wręcz niesamowitą anomalię.

– To dobrze – odparł Ty. – Wychowano mnie w lęku przed takimi jak ty.

– Naturalnie. Gdzie mieszkałeś? Daleko od granicy?

Bard miał na myśli okolice południka 166°30' w Beringii: strefę przygraniczną podobną do tej na położonym znacznie dalej na południe Antymerze. Po stronie zachodniej (czerwonej) rozciągała się tam dawna Syberia; po stronie wschodniej (niebieskiej) – niegdysiejsza Alaska. Na ironię zakrawał fakt, że po tym, jak Kamienny Deszcz zespolił dwa dawno rozdzielone kontynenty, podzieliła je wyimaginowana linia graniczna.

– Tu i ówdzie... Przenosiliśmy się z miejsca na miejsce. Nie zapominaj, że w odróżnieniu od was przebywaliśmy tam nielegalnie.

Na masywnej, lecz pełnej wyrazu twarzy neoandera odbiło się lekkie rozczarowanie, gdy nie uzyskał odpowiedzi na zadane pytanie.

– Gdybyśmy podeszli za blisko linii demarkacyjnej, to albo Niebiescy by nas aresztowali, albo neoanderowie upiekliby nas i zjedli – zażartował Ty.

Był to z jeden z tych skrajnie niesmacznych żartów, które mogły przynieść dwojaki skutek: albo Bard stanie się zaprzysięgłym wrogiem Ty'a, albo dojdzie do wniosku, że Ty naprawdę go rozumie. Jako chwyt konwersacyjny był może nieco ryzykowny... Z drugiej strony Ty dał się zamknąć w szybowcu z sześciorgiem obcych ludzi w ramach misji, której nikt mu na razie nie objaśnił. Ładownia pękała w szwach od nieoznakowanych skrzyń, z których część z pewnością zawierała broń. Co najmniej trzech członkowie Siódemki – Beled, Langobard i Ty – umieli się tą bronią posługiwać, a i szkolenie zwiadowcze Kath Dwa powinno ją przygotować na użycie katii. Nie był to najlepszy czas ani miejsce na podchody i dyplomację, jakich można by oczekiwać na przykład w starym prywatnym klubie w Kolebce. Należało szybko wyjaśnić sobie różne rzeczy.

Beled roześmiał się i pokręcił głową.

– To dlaczego nie oddaliliście się bardziej na wschód? – zapytał. – Oba zagrożenia by zniknęły.

– Pierwsze przyczółki wcześniaków nie były samowystarczalne. Musieliśmy handlować z Niebieskimi, żeby dostawać witaminy.

– Nieoficjalnie, domyślam się.

– Oczywiście.

– Co dawaliście im w zamian? Wasze kobiety?

To była uczciwa odpłata za żart z pieczeniem i zjadaniem. Bard również sprawdzał Ty'a.

– Bali się naszych kobiet – odparł Ty, nie tracąc rezonu.

– Wszystkiego najlepszego w Dniu Ewy, nawiasem mówiąc.

– To dziś jest dinan? Straciłem rachubę.

Nie miało to znaczenia: po tym, jak Bard zażartował z dinajskich kobiet, musiał złożyć wyrazy szacunku ich Ewie.

– Wracając do twojego pytania... – podjął wątek Ty. – Nie, nie kobiety. Im również chodziło o to samo co twoim przodkom po drugiej stronie granicy.

– Różnorodność diety. W ostatecznym rozrachunku ważniejsza od seksu.

– Właśnie. Na początku mogliśmy im zaproponować tylko świeże jarzyny.

– Tak daleko na północy?!

– W lecie dni są długie, nawet w prymitywnym foliowym tunelu coś tam da się wyhodować. Później, kiedy ekosystem się rozkręcił, doszło mięso drobnych zwierząt, jagody i trochę towarów luksusowych, na przykład futra...

– Jak daleko się zapuszczaliście w poszukiwaniu takich rzeczy? – spytał Bard, tknięty nagłą myślą.

Ty domyślił się, że nawiązuje do opowieści o zakamuflowanym tubylcu wśród drzew, którą Kath Dwa zdążyła już się z nimi podzielić.

– Nie aż tak daleko – odparł.

* * *

W potężnym, pradawnym przedsięwzięciu znanym pod nazwą TerReFormu Zwiad był niewielką komórką, postrzeganą czasem jako przechowalnia dla ekscentryków i mąciwodów. Posterunki zwiadowcze były małe, a także – ponieważ lokowano je przy nieustannie zmieniających się granicach – tymczasowe i prowizoryczne. Regularne bazy TerReFormu budowano solidnie i trwale, najczęściej na wyspach nieopodal wybrzeży kontynentów. Miało to swoje logiczne, naukowe uzasadnienie, Doc jednak nie ukrywał, że prawdziwe powody były raczej natury estetyczno-symbolicznej. Nowoczesne laboratoria genetyczne znajdowały się najczęściej w pierścieniu mieszkalnym, gdzie miejsca było mało, za to znakomitych specjalistów – pod dostatkiem. Naziemne kompleksy TerReFormu, mające bardziej praktyczny charakter, rozpościerały się na powierzchni planety w sposób, który mieszkańcom orbitalnych siedlisk wydawał się niechlujny i ekstrawagancki. Łączyły funkcje ogrodów botanicznych, farm doświadczalnych, arboretów, ogrodów zoologicznych i laboratoriów mikrobiologicznych. Opracowane i wyhodowane w pierścieniu próbki, sadzonki i całe populacje roślin, owadów i większych zwierząt

przewożono do baz planetarnych, żeby tam obserwować ich rozwój, zanim rozproszy się je po biomach, gdzie będą wieść samodzielne życie. Umieszczenie baz na wyspach w prosty sposób ograniczało rozprzestrzenianie się roślin i zwierząt, gdyby te wymknęły się poza wyznaczone stanowiska. Oczywiście rozwiązanie było dalekie od ideału, ale przy tym łatwe i całkiem skuteczne, w sam raz dla przedstawicieli szkoły Zróbmy To.

W okolicy przesmyku środkowoamerykańskiego TerReForm zainstalował bazę na Magdalenie, dużej wyspie położonej mniej więcej tam, gdzie przed Dniem Zero znajdowały się Islas Mariás – archipelag małych wysepek u zachodnich wybrzeży Meksyku, na południe od koniuszka Baja California. Kamienny Deszcz przekuł go w jedną większą wyspę otoczoną rozproszonymi skałami, zdatną do goszczenia i badania form życia mających w przyszłości zasiedlić przybrzeżne płycizny. Odkąd z braku Księżyca przyływami i odpływami mórz rządziło już tylko przyciąganie Słońca, stały się one słabsze i bliżej zsynchronizowane z rytmem dobowym. Obszary pływowe, postrzegane jako absolutnie kluczowe zarówno dla ekosystemów morskich jak i lądowych, stanowiły oczko w głowie TerReFormu. Z tego też powodu płaskie i kamieniste plaże Magdaleny roiły się nie tylko od ryb, skorupiaków i ptaków, ale także od wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Doc spędził tam dziesięć lat, brodząc w przybrzeżnych kałużach z wiadrem i szufelką.

Ty nie wierzył, że to się uda, ale Kath Dwa dowiozła ich na miejsce jeszcze przed wieczorem tego samego dnia. Około południa wyraźnie podekscytowana napomknęła coś o interesującym zaburzeniu prądu strumieniowego i możliwości złapania fali stratosferycznej. Z punktu widzenia Ty'a równie dobrze mogła powiedzieć „oko traszki, palec żaby, wełna z nietoperza i język psa”, ale jej następne słowa zabrzmiały nadzwyczaj wyraźnie:

– Trzymajcie się.

Drinki się porozlewały, pasażerowie sięgnęli po torebki na wymiociny, a spod sufitu spadły maski tlenowe. Szybowiec wystrzelił w tropopauzę. Kadłub trzeszczał i jęczał, gdy Kath Dwa zmusiła go do zaczerpnięcia energii z jakiejś fascynującej anomalii atmosferycznej. Zanim kilka godzin później po kolejnym przesadnie dyskretnym

ostrzeżeniu weszła w ostry skręt i zanurkowała ku błękitnym wodom Pacyfiku, przebyli kilkaset kilometrów więcej, niż przewidywał pierwotny plan lotu, i ich głównym problemem stało się wytracenie nadmiaru energii, żeby wylądować na Magdalenie i nie wybić przy tym krateru. Na wyspie znajdowała się baza polatucha, ale Pętla Aitkena w tej chwili nie kursowała, a zresztą nie było sensu wczepiać się w latający łańcuch, skoro tuż obok ciągnął się zwykły pas startowy.

Konstrukcja pojazdu przeniosła imponujący wizg, kiedy Kath Dwa włączyła umieszczone w brzuchu szybowca dwie turbiny: zassały powietrze przez wloty i przetworzyły je na energię elektryczną, która została następnie zmagazynowana, by przy następnym starcie odtworzyć proces w odwrotnym kierunku: rozpędzone turbiny miały zapewnić szybowcowi odpowiednie przyśpieszenie początkowe. Nie musiała tego robić, lecz był to dobry sposób na wyhamowanie szybowca, a także uprzejmość wobec następnego pilota.

Z powodu niskiego pułapu chmur w ostatniej fazie lotu pasażerowie trwali w stanie lekkiej dezorientacji, w końcu jednak szybowiec wynurzył się z szarej waty i nagle rozpostarła się pod nimi Magdalena, skąpana w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Na fioletowej skórze morza rysowały się cieniutkie łuki piany: to nadbiegające z głębi oceanu fale wyczuwały bliskość dna albo owijały się wokół zatopionych raf. W kabinie zrobiło się cicho. Doc przesiadł się pod okno, skąd podziwiał swoje dawne tereny łowieckie; Ty słyszał, jak komentuje widok kolejnych przybrzeżnych kompleksów zabudowań, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak obudowane palisadami slumsy z folii i sieci rybackich – ale, jak to wcześniej tłumaczył Langobardowi, jego wcześniacy przodkowie byli w stanie się wyżywić, dysponując jeszcze bardziej prymitywną techniką, więc nie zamierzał drwić z tutejszych naukowców.

Ostoje zwierzyny, arboreta i ogrody na zachodnich zboczach Magdaleny nieco lepiej odpowiadały wyobrażeniom szarego człowieka na temat dużej bazy TerReFormu, a miasteczko przycupnięte przy końcu pasa startowego wytrzymywało porównanie z dowolnym ze swoich nowoziemskich odpowiedników. Pochylnie, schody i długa zygzakowata droga łączyły zabudowania z położonym dwieście metrów niżej portem, gdzie – jak jednym rzutem oka ocenił Ty – kotwiczyło

osiem dużych jednostek, gigantyczna łódź latająca zwana arką oraz mnóstwo mniejszych łódek. Przed ostatnim nawrotem mignęła mu jeszcze panorama nabrzeża, którą zaraz stracili z oczu za wzgórzami.

Po ekscytującym locie lądowanie wypadło zupełnie nieciekawie; Ty przypuszczał, że Kath Dwa zdała się na algorytm. Szybowiec przysiadł na jedynym wystającym z kadłuba kole i zanim zwolnił do prędkości, przy której mógłby się przechylić na bok, dwa szybkie wyspecjalizowane krabochwyty – poruszające się charakterystycznym, trochę niepokojącym krokiem rozbrykanych kuców pędzących na złamanie karku – dogoniły go, złapały za czubki skrzydeł i odeskortowały na plac postojowy obok pasa. Uwolniona od odpowiedzialności Kath Dwa obróciła się na plecy, przeciągnęła i przetarła oczy. Ty'owi śpieszyło się do opuszczenia maszyny, wiedział jednak, że to Doc pierwszy ma wysiąść – wiedział, ponieważ widział truchtający im na spotkanie pokaźny komitet powitalny.

Ariane również obserwowała ich przez okno. Ty nie miał pojęcia, dlaczego w Kolebce i potem w Cayambe tak się upierała przy zachowaniu tajemnicy, skoro teraz przywiozła ich do miejsca, w którym Doca znali chyba wszyscy. Zapewne miała swoje powody, bardzo precyzyjnie przemyślane i nieprzeznaczone dla takich jak on. Zresztą gdzieś musieli przecież zrobić międzylądowanie po drodze do miejsca przeznaczenia; może baza TerReFormu stanowiła dostatecznie zamknięte środowisko, żeby wieść o przybyciu Doca nie rozeszła się poza Magdalenę.

* * *

Około dwudziestu lat wcześniej, w okolicach swoich setnych urodzin, doktor Hu Noah (na modłę ivynów stawiał nazwisko przed imieniem, co miało być w jakiś pokrętny sposób całkowicie logiczne) podjął świadomą decyzję o rezygnacji z prób wyjaśnienia młodszym ludziom, jak w gruncie rzeczy niewiele zmienił się z wiekiem. Sam fakt, że młodzi przyjmują przeróżne niewłaściwe założenia w kwestii tego, jak funkcjonuje jego ciało i umysł, nie był szczególnie istotny – liczyło się to, jak ostatecznie uświadomił sobie Doc, że oni naprawdę w te założenia

wierzyli. A ponieważ owa wiara znaczyła dla nich więcej niż dla niego potrzeba przedstawienia faktów, postanowił pogodzić się z ich przeświadczeniami i znaleźć twórcze sposoby ich wykorzystania. Czasami oznaczało to siedzenie cicho w kącie, aż w pewnym sensie zapominali o jego obecności i zaczęli mówić o nim w trzeciej osobie, wykorzystując Remembrance jako kogoś w rodzaju tłumaczki. Czasem ich wtedy zaskakiwał, odzywając się zniechęcająco i dając do zrozumienia, że przez cały czas śledził dyskusję. Kiedy indziej wstawał (co świadkowie później nieodmiennie relacjonowali jako „zerwanie się na równe nogi”, chociaż nie było w tych słowach krztyny prawdy) i zaczynał chodzić o własnych siłach, co ludzie nieznający go bliżej postrzegali za cud. Ponieważ Remembrance nie odstępowała go na krok, a towarzyszący mu stale krabochwyty pełnił rolę uniwersalnej poręczy i podpórki, powszechnie zakładano, że ma znacznie większe trudności z poruszaniem się niż w rzeczywistości. Prawdę powiedziawszy, towarzystwo robota i asystentki miało po prostu zwiększać jego szanse przetrwania. Skoro upadek mógł go okaleczyć lub nawet zabić, to dlaczego nie trzymać krabochwyty pod ręką? Remembrance zaś, przez wielu uważana za pielęgniarkę, w rzeczywistości była wszechstronną asystentką oraz – mówiąc wprost – taranem spychającym z drogi Doca ludzkie przeszkody.

W swoim długim życiu odbył wiele rozmów. Te najbardziej fascynujące wspominał po dziś dzień, choć minęło od nich ponad sto lat. Były też inne, mniej ciekawe. W młodości tolerował je jako konieczny koszt robienia interesów, rodzaj powszechnego podatku, który trzeba zapłacić, żeby należeć do cywilizowanego społeczeństwa. Kiedy skończył sto lat, przestał płacić ten podatek: od tej pory brał udział wyłącznie w tych rozmowach, które naprawdę go interesowały – to zaś, pomijając nieliczne wyjątki (bliskich przyjaciół i członków rodziny), oznaczało rozmowy mające jakiś cel. Remembrance miała w głowie pełną listę ludzi, z którymi Doc mógłby chcieć porozmawiać, a pozostałych skutecznie przepłaszała, najczęściej zagrywając kartę podeszłego wieku Doca. Lista ta zmieniała się powoli z biegiem czasu; zdarzało się, że pewne ważne osoby z konsternacją stwierdzały, że zostały z niej wykreślone. Spisano ją tylko raz, dwadzieścia lat temu, gdy Doc i Remembrance nawiązali współpracę. Potem Remembrance

nauczyła się jej na pamięć, a następnie ją zniszczyła i teraz lista istniała wyłącznie w jej głowie. Nawet Doc jej nie znał. Po dwudziestu latach pozostało na niej może z dziesięć procent ludzi, którzy znajdowali się tam na początku. Wielu umarło. Wielu innych zostało wykreślonych, najczęściej bez udziału Doca. Podczas prowadzonych przez niego rozmów Remembrance trzymała się zawsze nieopodal pod pretekstem ewentualnej konieczności interwencji medycznej – w rzeczywistości zaś przysłuchiwała się rozmowie i wypatrywała u Doca oznak bynajmniej nie palpacji serca czy słabnącego wpływu leków, lecz znudzenia. Podczas ich pierwszej wspólnej dekady zdarzało się, że zerkał ukradkiem w jej stronę i wymieniali porozumiewawcze spojrzenia; to wystarczało, żeby jego interlokutor został usunięty z listy. Później nawet takie spojrzenia przestały być konieczne. Remembrance nie raz i nie dwa podejmowała w tej materii decyzje, które Doc w pierwszej chwili oceniał jako chybione, lecz z którymi po dłuższym namyśle nie mógł się nie zgodzić. Po prostu szybciej od niego dostrzegała pewne rzeczy.

Niektóre sytuacje wymagały jednak poczynienia wyjątków, tak jak teraz, kiedy Doc i Remembrance musieli współpracować z pięciorgiem pozostałych członków Siódemki. Niektórzy z nich, choć nie wszyscy, mogliby znaleźć się na liście. Doc starał się dobrać sobie ludzi, z którymi – jak z Kath Dwa – po prostu lubił rozmawiać, ale większości z nich zwyczajnie nie znał. Ariane Casablancowa okazywała rozczulającą zaborczość, przy każdej okazji siadając obok niego i odgrywając rolę odzwiernej, by oddzielić go od pozostałej czwórki. Bez zastrzeżeń uwierzyła w przykrywkę Remembrance. Może gdyby Remembrance nie była camilitką, Ariane uznałaby jej zachowanie za ingerencję w swoje prerogatywy, ale wiarygodna historyjka w połączeniu z faktem, że opiekunkę łączy z doktorem Hu dożywotnia więź, coś w rodzaju platonicznego małżeństwa, sprawiała, że zachowanie Ariane było co najwyżej zabawne.

Wypracowany przez tych dwoje system sprawdzał się wyśmienicie w takich sytuacjach jak obecna, kiedy to delegacja wysokich rangą przedstawicieli TerReFormu zebrała się pod drzwiami szybowca, żeby naprzykrzać się Docowi z powitaniem. Nie chodziło o to, że są w swoim zachowaniu nieszczerzy; problem polegał na tym, że absolutnie autentyczna chęć powitania go mieszała się u nich z zupełnie innymi

potrzebami i nadziejami. Ktoś mógłby chcieć sobie zrobić z nim zdjęcie, ale nie śmiał wprost o to poprosić. Ktoś inny mógł uważać, że dzieło jego życia pozostaje boleśnie niedocenione, i domagać się odrobiny uznania. Jeszcze ktoś inny, uwikłany w rozgrywki polityczne w TerReFormie, mógłby skorzystać na pokazaniu się publicznie w towarzystwie Doca. Pomysły te – skądinąd całkiem rozsądne – z punktu widzenia Doca byłyby zwykłą stratą czasu, kolejną okazją do ściągnięcia z niego podatku, którego nie zamierzał więcej płacić. Dlatego to Remembrance pierwsza wysiadła z szybowca, Doc nawet nie musiał jej o tym mówić. Patrzył przez okno, jak komitet powitalny otacza ją, jak wszyscy się pochylają, by usłyszeć jej cichy głos, marszczą brwi i z emfazą kiwają głowami, gdy tłumaczy im, że Doc jest wyczerpany po podróży. Kiedy w pewnym momencie wskazała na szybowiec, wszyscy podążyli wzrokiem za jej ręką i dostrzegli w oknie twarz Doca. Ledwie zauważalnie skinął im ręką, na co zgodnie wyszczerzyli zęby w uśmiechu i zasalutowali mu w stylu właściwym ich rasom (w grupie dominowali ivyni i moiranie). Następnie Doc złapał się uchwyty na grzbiecie krabochwyta, „zerwał na równe nogi” i podszedł do otwartych drzwi. Stał w nich przez chwilę, żeby wszyscy chętni mogli go sobie obfotografować, po czym z widocznym wysiłkiem zszedł po rozkładanych schodkach. Otoczywszy go luźnym kręgiem, gospodarze ruszyli za nim po płycie postojowej, ale nie próbowali go zadrećcać uprzejmą interakcją towarzyską. Ariane szła tuż za nim, a pozostała czwórka, na którą nikt nie zwracał uwagi, wlokła się daleko z tyłu. W tej jednej kwestii Ariane miała rację: dla mieszkańców Magdaleny przybycie Doca było taką sensacją, że nawet pojawienie się neoandera przeszło bez echa.

Remembrance odrzuciła wszystkie zaproszenia i propozycje ugoszczenia Doca, ten zaś zjadł kolację w swoim pokoju w towarzystwie Ariane, zachwyconej jego atencją. Jutro sytuacja się zmieni i Ariane będzie musiała się do niej dostosować, a gdy w najczarniejszych momentach tego dostosowywania się (które dla Julijki mogły być naprawdę bardzo, bardzo mroczne) popatrzy wstecz i przypomni sobie ten posiłek, zrozumie, czym naprawdę był: wyrazem szacunku ze strony Doca, któremu nie mógł zaprzeczyć żaden z rozbrzmiewających jej w głowie głosików.

Doc wypytywał ją o dorastanie w Astrachaniu – niedużym, niemal czysto julijskim siedlisku położonym blisko środka dinajskiej części pierścienia, na czterdziestu ośmiu stopniach i sześciu minutach długości wschodniej. Ta anomalia była urzeczywistnieniem wizji (zarówno w dosłownym, jak i przenośnym rozumieniu tego słowa) julińczyka imieniem Tomac, który w początkowej fazie rozwoju pierścienia zebrał fundusze i założył placówkę o charakterze quasi-religijnym. W tamtych czasach odległość trzech stopni i sześciu minut od takiego ośrodka jak Bagdad lokowała Astrachań na dalekim pograniczu. Oczywiście później zabudowa dinajskiego segmentu bardzo się zagęściła i Astrachań został wciśnięty między inne, znacznie większe i bardziej nowoczesne siedliska, jednakże po lekkiej modernizacji nadal dawał schronienie dziesiątkom tysięcy dusz, a julińczycy chętnie przywoływali go jako najlepszy dowód faktu, że choć niezbyt liczni, to jednak stanowią równie nieodłączną część sektora niebieskiego jak zamieszkujące go cztery pozostałe główne rasy. Chętnie odwiedzali go amistycy, badający kulturowe uwarunkowania decyzji o przyjęciu lub odrzuceniu takich lub innych zdobyczy techniki – a to z powodu Tomaca, który miał ciekawe pomysły na wszystko i także w tej kwestii dokonał pewnych niezwykłych i pouczających wyborów. Dzięki swojemu odosobnieniu Astrachań stał się wdzięcznym obiektem badań. Ariane, trzeba jej oddać sprawiedliwość, zbywała śmiechem większość pseudoreligijnych aspektów kultury, w której została wychowana, ale Doc podejrzewał, że robi tak wyłącznie dlatego, że tego się właśnie od niej oczekuje.

Kiedy później Remembrance pomagała mu się położyć do łóżka i przygotowywała go do spędzenia nocy, zapowiedział, że następnego dnia chce nieco lepiej poznać pozostałych czworo uczestników ekspedycji i zamierza uprzejmie odmówić Ariane pomocy w realizacji tego planu. Z miłą chęcią dostarczyłaby mu dossier Beleda, Kath Dwa, Tiuratom czy Langobarda pełne danych statystycznych i plotek na tematy osobiste, ale Hu Noah nie przepadał za ujawnianymi w ten sposób informacjami. Zawsze nasuwało mu się pytanie, co ta sama osoba ujawnia innym ciekawskim na jego, Doca, temat.

O piątej rano był już w siłowni i dreptał pomalutku po zmechanizowanej bieżni, gdy Beled jak co dzień przyszedł poćwiczyć. Niedowierzanie Beleda na widok Doca było tak zabawne, że nawet Doc,

który do perfekcji opanował sztukę udawania, że nie wie, co się wokół niego dzieje, z najwyższym trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Nawet Remembrance – siedząca nieopodal i pogrążona w lekturze – uznała za stosowne zasłonić się na chwilę książką przed zdumionym spojrzeniem Beleda.

– Porucznik Tomow – odezwał się Doc. – Myślałem, że już nigdy się pan nie zwlecze z łóżka.

Beled przypomniał sobie o dobrych manierach i zasalutował.

– Mam nadzieję, że nie uzna mnie pan za grubianina, jeśli nie odpowiem w podobny sposób – ciągnął Doc i ruchem głowy wskazał poręczę przy bieżni. – Muszę się mocno trzymać.

Beled rozejrzał się w poszukiwaniu Ariane. Doc postanowił tego nie komentować.

– Zaczyna pan od rozgrzewki?

– Nie jest konieczna – odparł Beled.

– Ach, jaka szkoda... Miałem nadzieję na wspólny spacer. – Doc wskazał sąsiednią pustą bieżnię.

– To się da załatwić – przyznał Beled – jeśli tylko będę mógł spacerować w innym tempie.

– Ależ naturalnie! Są powody, dla których nie robię tego na łonie natury.

Chwilę później teklanin (w samych slipach) biegł pełnym pędem po bieżni obok Doca: dłonie miał rozprostowane i naprężone, ramiona siekły powietrze jak nożyce, bosa stopy bardziej prześlizgiwały się po szorstkim pasie bieżni, niż weń uderzały. Stworzeni i hodowani jako odpowiedź na neoanderów tekanie mieli nieco gorszą pozycję wyjściową, ponieważ dzielali spuściznę genetyczną współczesnej ludzkości i nie mieli w sobie nic z neandertalczyków. Bard mógł spać do późna, obżerać się i pić, co mu się żywnie podobało, a i tak dorównywał siłą znacznie od niego większemu teklaninowi. Wszystko to były rozważania czysto akademickie, bo nikt nie brał pod uwagę możliwości bójki pomiędzy Beledem i Bardem, a jednak tekanie tradycyjnie porównywali się z neoanderami i czerpali z tego porównania motywację do jeszcze większego wysiłku – który i tak był dla nich czymś naturalnym.

Spokojnym, wyważonym tonem, jakby siedział na kanapie i sączył

herbatkę, Beled powiedział:

– Nie podziękowałem panu dotąd za wysłanie mnie z misją, którą niedawno ukończyłem. Domyślam się, że to pan za tym stał, ale nie miałem jak się z panem skontaktować. Dlatego teraz dziękuję.

Wzrok Doca zbłądził na regularny ciąg blizn wijących się na plecach Beleda na wysokości krzyża; niektóre wygryzły głębokie kraterę w potężnych słupach mięśni po obu stronach kręgosłupa. Tę formację przecinała kolejna blizna, długa, pionowa, w okolicy lędźwiowej: to tamtędy chirurdzy dostali się do środka i zrobili coś (Doc nie znał szczegółów), by zreperować kręgosłup i – najprawdopodobniej – wszczepić nowe kości lub mechanizmy.

– To nie było nic wielkiego – odparł. – A zważywszy na wydarzenia w Tybecie, pomyślałem, że lepiej od innych sprawdzi się pan w przypadku... ewentualnych komplikacji.

– Czyli będziemy działali przy granicy – powiedział Beled takim tonem, jakby dawno się tego domyślił i teraz tylko oczekiwał ostatecznego potwierdzenia.

– Będziemy działali tam, gdzie poprowadzi nas śledztwo.

Lekko zaskoczony Beled zmylił krok. Powrót do równowagi zajął mu chwilę.

– Ci wędrowcy – ciągnął tymczasem Doc – nie przestrzegają granic ani innych postanowień traktatu pokojowego, dlatego postanowiłem skomponować Siódemkę z ludzi o podobnym usposobieniu.

– To co nas czeka? Beringia? Czy Antymer?

– Prawdopodobnie jedno i drugie. Oczywiście Antymer jest bliżej, rzut kamieniem z Hawajów, na które dziś się udamy... Ponieważ jednak w Beringii trop jest świeższy, to chyba tam właśnie zaczniemy.

* * *

Na Hawajach wylądowali przed zmierzchem jako pasażerowie olbrzymiego pojazdu TerReFormu, ni to samolotu, ni to statku, który ślizgał się cztery metry nad powierzchnią wody. Pojazdy tej klasy nazywano arkami: służyły do przewożenia ogromnych ilości roślinnej i zwierzęcej biomasy, wyhodowanej w wielkich przybrzeżnych bazach

TerReFormu (takich jak Magdalena), na kontynentalne płycizny, gdzie zrzucano ją wprost do jej nowego domu lub przeładowywano na pojazdy naziemne i transportowano w głąb lądu. W historii powstało jedynie dziesięć arek, z czego tylko sześć nadal pełniło służbę. Ta nosiła nazwę *Madiba*, na pamiątkę moirańskiego biologa z Czwartego Tysiąclecia, który z kolei nosił imię bohatera ze Starej Ziemi.

Jeżeli zamierzali podróżować dyskretnie, to *Madiba* z pewnością się do tego celu nadawał jako gigantyczny, cuchnący labirynt zagród dla zwierząt, basenów dla ryb, skrzyń na owady i stojaków z torfowymi donicami, w których egzotyczne rośliny rosły w gulaszu z gnojówki. Podobny rejs statkiem – pięć tysięcy kilometrów prosto na zachód – trwałby kilka dni; ten wyjący i dudniący potwór pokonywał tę odległość w dwanaście godzin – czas, jaki wszystko co żywe było w stanie przetrwać zaopatrzone w wodę i odrobinę pożywienia. W jego brzuchu Siódemka praktycznie przepadła bez śladu. Kiedy dziesiątki turbodmuchaw ożyły z rykiem i arka zaczęła wychodzić z portu na Magdalenie, hałas tak się wzmógł, że pasażerom pozostało tylko włożyć do uszu wydane przez przewoźnika zatyczki i znaleźć sobie w ładowni miejsca, w których najmniej śmierdziało. Cieszący się specjalnymi względami gospodarzy Doc i Memmie mieli spędzić podróż w malutkiej kapsule nieopodal mostka, w której członkowie załogi mogli wypoczywać i spać podczas dłuższych rejsów; pozostali musieli się rozgościć, gdzie się dało, i wyczekiwać końca podróży.

TerReForm późno pojawił się na Hawajach. Archipelag był mały, dziwaczny, odległy i skomplikowany, dlatego najlepiej było go sobie zostawić na koniec, kiedy życie na kontynentach na dobre się rozhula. Kamienny Deszcz poluzował przykrywkę na geologicznym tyglu, który stworzył Hawaje; obudził uśpione wulkany na istniejących wyspach, po czym z kopczyka sterczącego z wody na południowy wschód od Wielkiej Wyspy zrobił (przedwcześnie) Wyspę Większą. Tysiąc lat temu Wielka i Większa połączyły się, tworząc Wyspę Jeszcze Większą, która po dziś dzień pozostała zbyt gorąca i toksyczna, żeby TerReForm zawracał sobie nią głowę. Jednakże na jej północnym wybrzeżu była zatoczka (nazwana Mokupuku na pamiątkę maleńkiej wysepki, która kiedyś znajdowała się mniej więcej w tym samym miejscu), której okolica wystygła i uspokoiła się na tyle, żeby warto było coś tam posiać. I tam

właśnie niedługo przed zachodem słońca *Madiba* dokonał czegoś w rodzaju lądowania awaryjnego i z poślizgiem wyhamował na wodzie nieopodal małego kompleksu TerReFormu, od jakich ostatnio zaroilo się na Nowej Ziemi.

Te kompleksy stanowiły epicentra ekologicznych trzęsień ziemi, którymi ludzkość od około trzech stuleci chłostała powierzchnię planety. Ich mieszkańcy czasem odbierali zaopatrzenie prosto z nieba, a kiedy indziej – tak jak tym razem – z arek przysyłanych z większych ośrodków naziemnych. Starsze kompleksy były skupiskami półkulistych kopuł, ponieważ wybudowano je, zanim Nowa Ziemia dorobiła się zdatnej do oddychania atmosfery. Nowsze, takie jak ten, prezentowały się nieco bardziej zachęcająco, ale ponieważ celem ich istnienia była hodowla zwierząt i uprawa roślin, pod względem charakteru i wydzielanych woni plasowały się gdzieś pośrodku kontinuum, na którego jednym końcu znajdowało się gospodarstwo rolne, na drugim zaś ogród zoologiczny, z leciutką domieszką laboratorium naukowego. Dla znakomitej większości ludzi zamieszkujących Starą Ziemię w tysiącletniej epoce poprzedzającej rewolucję naukową aspekt zapachowy tego przedsięwzięcia nie byłby niczym niezwykłym; ludziom, którzy przybyli do Mukupuku na pokładzie olbrzymiej łodzi latającej, pozostało się cieszyć, że zabudowania nie są hermetyczne i można od czasu do czasu odetchnąć morskim powietrzem.

Personel składał się prawie wyłącznie z moiran, z bardzo niewielką domieszką camilitów i jednym przyjezdnym naukowcem, który wyglądał na dinajsko-ivyńskiego mieszańca. Kath Dwa wiedziała doskonale (zresztą najprawdopodobniej nie tylko ona), że po przybyciu na Hawaje jej pobratymcy przespali kawał czasu odcięci od reszty swojej rasy i stale wystawieni na działanie lokalnych feromonów, zapachów, nawoływań i innych bodźców pochodzących od miejscowych zwierząt i roślin. Wynikłe z tej interakcji przemiany epigenetyczne pomogły im się przystosować do tutejszych warunków. Dziś mogli pracować bez przerwy i nie ruszać się z Hawajów, a był to prawdziwy kraniec świata, chyba jeszcze bardziej odludny niż niektóre siedliska na obszarze cmentarzysk, które były pod tym względem przykładowe. Wszyscy tutejsi moiranie mieli niezwykle spojrzenie, jakby wiecznie patrzyli

gdzieś w dal, dodatkowo podkreślane intensywnie zieloną barwą tęczęwec oczu. Poruszali się powoli, wydawało się, że równie powoli myślą, i co rusz reagowali na bodźce – słuchowe? zapachowe? wyimaginowane? – z których istnienia Kath Dwa nie zdawała sobie sprawy.

Istnienie siedmiu różnych ras ludzkich oraz dodatkowych aidańskich podras podsuwało nowoczesnemu społeczeństwu aż nadto wiele okazji do towarzyskich niezręczności. Kilka godzin spędzonych na plaży w Mokupuku na przyglądaniu się, jak mieszkańcy wylądowują z arki próbki i opłukują je z gówna tłoczoną pod ciśnieniem morską wodą, ogromnie się dłużyło Kath Dwa. Czuła na sobie spojrzenia pozostałych członków Siódemki: popatrywali to na nią, to na miejscowych moiran i zastanawiali się, jak szybko ją też to dopadnie, jeżeli postanowi przedłużyć swój pobyt. Tutejsi moiranie stworzyli własną oryginalną kulturę związaną z miejscem, w którym zamieszkali, zdawali sobie z tego sprawę i byli z tego niezwykle dumni – kulturę, która w praktyce stanowiła jedność z wykształconym tu ekosystemem. Nie mogło być mowy o typowym dla naukowców dystansie. Czy to rozsądne, osiedlić moiran w miejscu, w którym mogli żyć równie blisko epigenetycznych gatunków zwierząt jak średniowieczni Europejczycy obok swoich świń i drobiu? Czy traktowali je jak okazy do badań, żywy inwentarz, czy jak zwierzaki domowe? Kath Dwa obserwowała ich niepokojąco znajome zachowania, a oni obserwowali ją. Wplatali w dredy kolorowe pióra ptaków, które na Starej Ziemi nazwano by egzotycznymi. Tutaj to określenie było bezużyteczne, ponieważ to ludzie stworzyli wszystkie ptaki, wzorując się na papugach, tukanach i kakadu z dawno nieistniejących dżungli, w myśl teorii, że skoro barwne upierzenie przydawało się tamtym ptakom, przyda się i tym. Jak należałoby je nazwać? „Inotyczne”? „Antrootyczne”? Tak czy inaczej, tutejsi moiranie byli dziwni – i skazani na dożywocie na Ziemi, bo nie zadowoliliby się w żadnym siedlisku orbitalnym. Chyba że zgodziliby się trochę pospać i spróbować cofnąć narzucone przez środowisko zmiany. Tyle że to nie było takie łatwe. Dopóki moiranie się zmieniał, mógł się zmieniać do woli, ale kiedy zbyt długo się nie zmieniał, następowało tak zwane „utrwalenie”, po którym cofnięcie się do poprzedniego stanu było niemożliwe. Zdaniem Kath Dwa moiranie w Mokupuku już się utrwalili.

Oczywiście krzyżowali się również z camilitami z personelu placówki, którzy w typowy dla siebie sposób przystosowali się do nowych warunków i starali się ułatwić życie wszystkim w swoim otoczeniu.

W czym nie było nic złego – tak w każdym razie mówiono w pierścieniu, bo tak wypadało. Nie było nic złego w mieszańcach. Fakty jednak były takie, że mieszańcy – jak chwasty – najczęściej występowali w miejscach niezrównoważonych. Garstka mieszańców mogła być mile widziana, zwłaszcza w takich wyrafinowanych okolicach jak Chainhattan, ale znaczna ich liczba w jednej społeczności stanowiła sygnał, który umiał odczytać każdy mieszkaniec pierścienia, nawet jeśli wiedział, że nieuprzejmie byłoby powiedzieć głośno, co się myśli. Zachowania moiran odnoszące się do spraw codziennych, takich jak wschód słońca, pory posiłków czy interpretacja snów miały w sobie coś z rytuałów; Ariane była nimi zafascynowana, Kath Dwa – odrobinę zażenowana. Pierwszy raz w życiu poczuła w sobie załączek tak zwanego Starego Rasizmu: postaw i zachowań rasistowskich, które istniały na Starej Ziemi, zostały całkowicie unicestwione i teraz znano je głównie z zachowanej z tamtych czasów dokumentacji – a mimo to w jakiś sposób odrodziły się i na niektóre skażone umysły miały dzisiaj wpływ równie nieodparty, jak przed Dniem Zero. W liczącej miliony mieszkańców orbitalnej populacji trafiał się czasem osobnik, który z niezdrowym zapalem przekopywał się przez liczące pięć tysięcy lat archiwa i zarażał się pewnymi ideami odnoszącymi się do dawnych Czarnych, po czym przenosił je, na przykład, na moiran. To czysto intelektualne kuriozum nie miało żadnego wpływu na prawdziwe życie; owszem, Kath Dwa słyszała o tym zjawisku, tak jak słyszała o wściekłości albo o Watergate, i teraz z niemą fascynacją obserwowała jego narodziny w swojej głowie.

Było to jednak ulotne wrażenie, bo zaraz włączył się jej umysł zwiadowcy i pogrzebał je pod naporem metody naukowej. Oto przybyli do placówki TerReFormu. Istniały tysiące takich obozów. Niektóre, złożone z namiotów, na razie nie doczekały się trwalszej zabudowy. Inne, takie jak ten, istniały od dziesięcioleci, jeszcze inne od wieków. Niektóre zostały porzucone po tym, jak spełniły swoje zadanie, a inne stały się załączkami LST, kampusami efekciarskich szkół, więzieniami lub siedzibami fundacji naukowych. W Mokupuku wykształciła się

niepowtarzalna kultura, absolutnie nieprzeszczepialna na orbitę. Skoro zdarzyło się to w tym miejscu, mogło się zdarzyć także w innych. Ilu? Czy na Nowej Ziemi roilo się od dziwacznych ostańców kulturowych skupionych wokół ośrodków TerReFormu? Czy w dawnym Uzbekistanie znalazłoby się dziś miniaturową kolonię ivyńskich performerów, którzy – żyjąc na krawędzi wielkiego jak Irlandia krateru – rozwinęli własną, niepowtarzalną kuchnię na bazie porostów? Czy gdzieś na szczątkach Półwyspu Iberyjskiego teklańscy pancerni rycerze płodzili dzieci z julijskimi mistyczkami? Jak daleko to zaszło?

Z ulgą powitała następny poranek, kiedy po krótkiej i spokojnej nocy na plaży wrócili na pokład *Madiby* (który przez ten czas pozbył się dziewięćdziesięciu procent ładunku) i ruszyli na północ.

Od południowego krańca niebieskiego Antymeru dzieliła ich odległość dwukrotnie mniejsza od tej, jaką przebyli poprzedniego dnia. Około południa, gdy słońce bezlitośnie prażyło okapy dachów i zamknięte okiennice wojskowego kompleksu na wzgórzach, arka weszła do portu i z potężnym westchnieniem osiadła na skrzącej się drobną falą lazuruwej wodzie. Mniejszy kompleks TerReFormu, przylegający do bazy wojskowej, miał tylko jeden pomost, dostatecznie długi, żeby *Madiba* miał gdzie przycumować. Za pomocą mamroczących baterii i jazgoczących silników manewrowych piloci sprowadzili arkę w szeroko pojęte okolice pomostu; resztą zajęły się roboty holowniki, ciągnąc za liny okręcone wokół masywnych pachołków. Pięcioro ludzi zamieszkujących przepastną ładownię zeszło na ląd, ustępując miejsca lokalnej ekipie TerReFormu, która weszła na pokład w towarzystwie dwóch towarowych krabochwyłów, żeby zaopiekować się skromną resztką ładunku: ustawionymi w stosy klatkami z dużymi drapieźnikami. Dominowały wśród nich psowate i kotowate, było także kilka dużych węży. Rozlokowano je z dala od siebie, w różnych częściach ładowni, żeby podczas podróży nie męczyły się niepotrzebnie, wygrażając sobie nawzajem. Każdy, kto miał jakieś związki ze Zwiadem – a w praktyce każdy, kto miał jakiegokolwiek pojęcie o działaniach TerReFormu – rozumiał, co taki transport oznacza: ekosystem Antymeru, znacznie lepiej rozwinięty od hawajskiego, wytwarzał drobną roślinożerną faunę w tempie, które wymagało wprowadzenia dużych mięsożerców.

Port mieścił się w niemal idealnie okrągłym kraterze, z którego wąziutki kanał prowadził na otwarty ocean. Baza wojskowa zaanektowała większość obwodu krateru. Gdzieś z jej terenu wyskoczyła motorówka, przecięła lazurowy krąg wody i przybiła do drzwi mostka arki. Siódemka zeszła na jej pokład po rozkładanych schodkach i w ten sposób bez zbędnych formalności czy bliższego kontaktu z personelem znalazła się poza jurysdykcją TerReFormu. Pół godziny później jedli już obiad w prywatnej mesie oficerskiej obok stołówki, a po kolejnej godzinie znaleźli się na pokładzie samolotu – konwencjonalnego, wojskowego, z własnym napędem – który wystartował z odległego o kilka mil pasa startowego wrytego ładunkami wybuchowymi w kamiennym brzegu wyspy, po czym, gdy tylko wzbił się na taką wysokość, żeby przelecieć nad ośnieżonymi górami, wykręcił ostro na północ. Na tej wysokości oko nie dawało się już zwieść szczytom i dolinom, które widziane z dołu przywodziły na myśl zwyczajny staroziemski łańcuch górski. Pasażerowie siedzący przy oknach z lewej strony sięgali wzrokiem tysiąc kilometrów na zachód i krzywizna skalistego kręgosłupa archipelagu nie pozostawiała złudzeń: mieli przed sobą skraj gigantycznego krateru wybitego przez olbrzymi księżycowy odłamek, który, lecąc w przybliżeniu na północ, wrył się w grunt i wypchnął ku górze potężny kawał morskiego dna. Na południe od nich mniejszy archipelag, zakrzywiający się w przeciwnym kierunku, kreślił linię drugiej, niższej krawędzi krateru. W tej chwili nie mogli go jednak zobaczyć, patrzyli więc ku zachodowi, gdzie górski łuk piętrzył się coraz wyżej nad coraz rozleglejszą połacią lądu. Gdzieś tam przecinał go południk 166°30'. Bard z głową przytkniętą do szyby długo i w zadumie spoglądał na swoją ojczyznę, jakby rozpoznawał dobrze pamiętane wzgórza i zatoki i rozmyślał o winnicach. W końcu Antymer został z tyłu i przez następne kilka godzin lecieli nad pustym Pacyfikiem.

W tych rejonach ocean był zbyt głęboki, żeby Kamienny Deszcz w widoczny sposób zdeformował powierzchnię planety, pomijając takie niezwykle wypadki jak powstanie Antymeru. Pod samolotem niewiele się więc działo, dopóki nie znaleźli się nad skrajem szelfu kontynentalnego, około stu kilometrów na południe od dawnego wybrzeża Alaski. Na płycznach i plażach sięgających podnóży przybrzeżnych wzgórz (cały ten pas mierzył od stu do dwustu

kilometrów szerokości) skutki Kamiennego Deszczu były już wyraźnie widoczne, mimo że linia brzegowa pozostała z grubsza na swoim miejscu. Na zmianę zarysów lądu większy wpływ niż bezpośrednie trafienia meteorytami miało zniknięcie lodowców i niekończąca się seria tsunami, które na przestrzeni tysiącleci przewaliły się przez rozległą zatokę. Fala wzburzona przy okazji powstania Antymeru runęła górą przez pozbawione już lodowców najwyższe szczyty i dotarła daleko w głąb lądu, gdzie wygotowała się na rozpalonych skałach. Odkąd tysiąc sto lat temu rozpoczęło się tak zwane Schłodzenie, a zwłaszcza odkąd ludzie odtworzyli oceany, zrzuciwszy na Nową Ziemię setki komet, w górach znów zaczął padać śnieg, ale uformowanie się lodowców wymagało czasu i musiały upłynąć kolejne tysiące lat, zanim rozwidlone rzeki starego, błękitnego lodu znów spłyną do oceanu.

Kiedy ten dzień nadejdzie, osada Qayaq będzie się musiała usunąć z drogi. Powstała na gruzowisku na zachodnim brzegu zimnej, bystrej górskiej rzeki, u samego jej ujścia do Pacyfiku. Między wodą i śniegiem zabrakło miejsca na porządny naturalny pas startowy, wybudowano więc sztuczny, z mieszaniny lodu i włókna sztucznego zwanej pykretem. Unosił się na wodzie nieopodal brzegu: idealnie płaska płyta podszyta siatką rur z chłodziwem, które zapewniało jej stały stan skupienia, co nie było szczególnie trudne w środowisku, gdzie temperatura wody i powietrza oscylowała wokół zera. Poza lądowiskiem w Qayaq znajdowało się niewiele, nawet obecność TerReFormu miała charakter symboliczny: znacznie łatwiej było tu działać z łodzi niż z lądu.

Pas startowy był w tym rejonie niezbędny ze względu na Ścianę Popiołu. Na zachód od Qayaq aż do południka $166^{\circ}30'$, a nawet dalej, na obszarze zajmowanym niegdyś przez półwyspy Kenai i Alaska oraz Wyspy Aleuckie ciągnął się łańcuch wulkanów w stanie niemal ciągłej erupcji. Każdy pilot, który chciał przeciąć sześćdziesiąty równoleżnik w strefie pomiędzy południkiem $166^{\circ}30'$ na zachodzie i Górami Skalistymi na wschodzie, musiał w planie lotu uwzględnić możliwość, że drogę przegrodzi mu znieścacka obłok wulkanicznego popiołu, wystrzelony aż pod stratosferę przez któryś z setki położonych na nawietrznej aktywnej wulkanów. Samoloty były drogie, droższe nawet niż na Starej Ziemi, a przy tym zbyt duże, żeby budować je w pierścieniu orbitalnym i stamtąd transportować na dół, dlatego

podobnie jak statki czy arki musiały powstawać w fabrykach na powierzchni planety. Takie fabryki najczęściej wyrastały na obrzeżach gniazd Kalebki. Na samoloty chuchało się i dmuchało, zwłaszcza że produkcja wysokowydajnych silników turbośmigłowych okazała się niezwykle kłopotliwa i skomplikowana. Każdy plan lotu musiał uwzględniać możliwość lądowania na sztucznej krze u wybrzeży Qayaq, która była należycie przygotowana na przyjęcie nawet największych maszyn. Tym sposobem lotnisko awaryjne przeobraziło się w węzłowy port lotniczy, w którym samoloty lądowały głównie dlatego, że był dogodnie położony i przewidywalny. Zważywszy że był to port docelowy wojskowej maszyny, w której Siódemka załatwiła sobie przejażdżkę, i tak musieli tu wysiąść.

Miejsce było dokładnie tak przytulne i gościnne, jak można by się spodziewać po wysuniętej bazie lotniczej zbudowanej na lodowej płycie. Niska powłoka chmur spowijała okolicę wiecznym zmierzchem i przeobrażała paletę barw w skalę odcieni szarości. Oddzielone od lotniska pasem wody miasto leżało na skalnym rumowisku jak zdechła rozgwiazda. Za nim wznosiła się czarna ściana – prawdopodobnie dolne partie przybrzeżnych gór, pokryte dywanem młodych drzewek, które jednak ginęły we mgle i półmroku. Wyżej, tuż pod brzuchem chmur, zbocza były przyprószone świeżym śniegiem albo lodem ze ściętej mrozem mgły. Gdyby nie chmury (w ciągu roku zebrałoby się w Qayaq łącznie kilka bezchmurnych tygodni), ponad ośnieżonymi szczytami byłoby widać niebo czarne od Ściany Popiołu: jeden z wielkich wulkanów na półwyspie Kenai dymił obficie i nieprzerwanie od dwóch tygodni.

Pokusa, żeby zaszyć się w kapsule mikrohotelu przy lotnisku, pojeść gorących klusek z kartonowego kubelka i pooglądać filmy, była silna. Wszystko byłoby lepsze niż wrażenie tkwienia w potrzasku pomiędzy lodem i wodą pod stopami, mgłą i popiołem nad głową, oceanem na południu i ścianą gór na północy. Tiuratom Lake obwieścił jednak, że wybiera się do miasta, gdzie zamierza zrobić rozpoznanie barów i restauracji. Zapowiedział to w sposób tak bezceremonialny, że wszyscy poczuli się trochę głupio, że w ogóle mogli myśleć o czymś innym. Kath Dwa, Beled i Langobard przystali na tę propozycję. Doc wymówił się chęcią zdrzemnięcia się; Memmie, jak zwykle, została z nim. Ariane była

wyraźnie poirytowana i rozdarta. Od czasu wyruszenia z Kolebki polityka rasowa odgrywała stopniowo coraz większą rolę w Siódemce, a teraz Ty przeniósł ją na jeszcze wyższy poziom.

Logika zakorzeniona w ludzkich umysłach od pięciu tysięcy lat i wspólna dla wszystkich nieaidan (a także dla niektórych aidan) podpowiadała, że to Ty będzie dowodził grupą – między innymi dlatego że pochodził z Beringii i umiał się po niej poruszać, ale głównie dlatego że był dinajczykiem, a dinajczycy byli naturalnymi przywódcami. Ariane, jako świetna organizatorka (to ona załatwiła transport na kolejnych etapach podróży z Kolebki aż do Qayaq), początkowo cieszyła się życzliwością Doca; miało się wrażenie, że nie sposób z nim porozmawiać bez jej pośrednictwa. Kiedy jednak Doc demonstracyjnie spotkał się na osobności z pozostałymi członkami Siódemki, Ariane, pozgrzytawszy trochę zębami, musiała się z tym pogodzić, zwłaszcza że naturalne ograniczenia wspólnej podróży nie pozwoliły im się rozdzielić. Teraz zaś Ty planował nieautoryzowaną eskapadę na ląd i Ariane była rozdarta między kubelkiem klusek i obawą, że straci coś ważnego.

Ostatecznie poszła z nimi. Otworzyli jedną ze skrzyń z ekwipunkiem, zabraną jeszcze z Cayambe, i wyjęli z niej ciepłe ubrania. Przeszli kawałek po lodzie do miejsca, z którego po schodach dotarli do małej przystani taksówek wodnych i przepłynęli kilkaset metrów dzielących ich od brzegów Beringii. Długimi schodami wykutymi w skale przez roboty pokonali stromiznę do miejsca, w którym schody stały się zbędne, i znaleźli się na głównej ulicy miasteczka, biegnącej jakieś sto metrów w głąb lądu i kończącej się ślepo przy pionowej skalnej ścianie: olbrzymim głazie wbitym w zbocze góry, w którym z daleka dało się rozpoznać odłamek Księżyca. Mieszkańcy próbowali ożywić miescinę poprzez wykorzystanie przeróżnych źródeł światła, oplatających fronty domów i nasycających przejrzyste powietrze żywymi, intensywnymi kolorami. Sądząc po treści szyldów i reklam, typowym klientem tutejszych przybytków był samotny żołnierz.

* * *

– Zastanawiam się czasem – odezwał się Bard, krzywiąc się po łyku miejscowego cydru – czy Ewy, jako kobiety, tak naprawdę rozumiały związek między zmysłem wzroku i popędem seksualnym u mężczyzn.

Zerkał przy tym kątem oka na nagą kobietę po drugiej stronie sali.

Kath Dwa nie interesowała się nagą kobietą, ale chwilę wcześniej odwróciła się plecami do swoich towarzyszy zaciekawiona zamieszaniem. Teraz znów zwróciła się do Barda:

– Były kobietami, nie zapominaj. Przez całe życie były taksowane takimi spojrzeniami. Wszystko, czego je nauczono o tym, jak się ubierać, jak się zachowywać...

– To prawda – przyznała Ariane. – Jeśli mnie pamięć nie myli, w dwieście osiemdziesiątym siódmym dniu Eposu jest taki fragment, w którym Ivy mówi wprost o znaczeniu osobowości Dinah i o jej percepcji w mediach społecznościowych.

– Jak wy możecie pamiętać takie pierdoły? – zdumiał się Ty.

Kath Dwa spiorunowała go wzrokiem.

– A jak ty możesz ich nie pamiętać? Przecież ta rozmowa odbyła się dosłownie na chwilę przed tym, gdy twoja Ewa spotkała miłość swojego życia.

Ty się zamyślił.

– Pierwsze bolas?

Przeniósł spojrzenie z nagiej kobiety na ekran nad barem, gdzie rozgrywała się scena z Eposu (z wyłączonym dźwiękiem): Dinah w skafandrze kosmicznym wyszła na kadłub *Endurance*, żeby sprawdzić, co się dzieje z nieposłusznym robotem. Nikt tego nie oglądał.

– Tak – przytaknęła nieco udobruchana Kath Dwa. – Pierwsze bolas.

Bard z przesadnym namaszczeniem wpatrywał się w bąbelki gazu w cydrze, analizował zagłębienia i rysy w blacie stołu, śledził pociągnięte pod sufitem przewody elektryczne... Miał trudniej niż inni. Ty i Beled mogli się gapić, ile chcieli, po to przecież istniały takie przybytki jak ten – ale neoander patrzący w ten sposób na kobietę (na oko sądząc, dinajkę albo pół dinajkę i pół teklankę) to była zupełnie inna sprawa. Właścicielom lokalu raczej to nie przeszkadzało, zwłaszcza że obsługę baru stanowiły kobiety, ale inni klienci od razu go zauważyli i poświęcali mu nie mniej uwagi niż tancerkom. Gdyby nie towarzyszył mu teklanin o ponadprzeciętnych gabarytach i dinajczyk emanujący trudną do

sprecyzowania aurą „tylko mnie nie wkurwiał”, Bard mógłby mieć kłopoty. Było całkiem prawdopodobne, że niektórzy klienci zaciągnęli się do wojska specjalnie po to, żeby się przekonać, czy opowieści o neoanderach to tylko bajki. Na razie jednak miał tylko dwa powody do zmartwień: nadmiar ciekawskich spojrzeń i możliwe kłopoty żołądkowe wywołane obecnością jakichś wściekłych drożdży w cydrze.

Szablon takich społeczności lokalnych i związany z nim zestaw oczekiwań wobec nich zaczęły się kształtować około pięciuset lat po Dniu Zero, kiedy w Kalebce zapanował taki ścisk, że jej mieszkańcom nie pozostało nic innego, jak zacząć się rozpraszać wokół niej. Pierwsze odrębne siedliska powstały w odległości zaledwie paru kilometrów, zresztą nikt nie wypuszczał się poza Rozpadlinę aż do początków Drugiego Tysiąclecia, kiedy to wreszcie przemysł rozwinął się na tyle, by można było pomyśleć o kolonizowaniu innych księżycowych odłamków. Znacznie więcej takich osiedli przedstawiono w wytworach przemysłu rozrywkowego, niż istniało ich w rzeczywistości – co w gruncie rzeczy nie miało większego znaczenia. Tak jak nieprawdziwy i uromantyczniony Dziki Zachód odegrał kluczową rolę w amerykańskiej kulturze XX wieku, tak opowieści o osadnikach z Rozpadliny miały wpływ na mieszkańców pierścienia orbitalnego. W tych rzadkich przypadkach, kiedy takie osiedla budowano *de novo*, tak jak tutaj, starano się spełnić oczekiwania ludzi, których wyobrażenia zostały ukształtowane przez seriale o pionierach z Drugiego Tysiąclecia.

Mimo to zdarzały się niespodzianki, chociaż może akurat fakt, że właścicielami baru były kobiety, nie powinien dziwić. W przemyśle rozrywkowym dla dorosłych nie było to nic niezwykłego, zresztą członkowie Siódemki nie wybrali tego lokalu zupełnie przypadkowo: zdaniem Kath Dwa i Ariane był nieco mniej obleśny od innych. Bardziej zaskoczył ich skład klienteli: ponad połowę stanowili tubylcy. Nietutejsi, czyli wszyscy ci, którzy przybyli z zacumowanej przy brzegu lodowej płyty, wyróżniali się fryzurami, ubiorem i zachowaniem. Trudno było powiedzieć, co sprowadza do Qayaq miejscowych (bardziej kudłatych od przybyszów i barwniej poubieranych), ale chyba bezpiecznie byłoby założyć, że wielu z nich przybyło z odległej o dwadzieścia kilometrów LST, żeby pohandlować lub nawiązać kontakty innego rodzaju. Samo miasto okazało się większe i gęściej zaludnione, niż spodziewała się

Siódemka, co sugerowało rozwój handlu i wzrost populacji wykraczające ponad limity określone w traktacie pokojowym. Osłonięte przez góry, wiecznie ukryte w cieniu wiszących nad nim niskich chmur wyrosło tu najprawdziwsze nielegalne miasto – a jeśli stało się tak tutaj, to podobnie musiało się dzieć i w innych częściach niebieskiego świata. Czerwoni z pewnością o tym wiedzieli; sama pokrywa chmur nie wystarczyłaby, żeby takie miejsce ukryć. Dlaczego w takim razie nie protestowali? Dlaczego nie składali skarg dyplomatycznych? Pewnie dlatego, że sami postępowali dokładnie tak samo, może nawet na większą skalę, i dyskretnie porozumieli się z Niebieskimi, żeby nie robić wokół tej sprawy niepotrzebnego szumu.

Ile ludzi mieszkało na powierzchni? Oficjalne dane ze strefy niebieskiej mówiły o milionie, w przeważającej mierze skupionym wokół gniazd Kolebki. Może prawdziwe liczby były znacznie większe?

Ostatecznie pierwszy zagadnął ich młody ivyn z długimi włosami i rzadką bródką. Gdyby ktoś zobaczył go w tym miejscu pięć – albo i dziesięć – tysięcy lat wcześniej, mógłby go wziąć za potomka ludu, który przybył z Azji przez dawną Cieśninę Beringa i rozlał się po obu Amerykach. Miał dość oleju w głowie, żeby rozumieć, że goście traktują go podejrzliwie, ale zarazem dość tupetu, żeby mimo to podejść i zagadać. Ręce trzymał swobodnie opuszczone, lekko zwrócone dłońmi na zewnątrz, jakby powstrzymał się w ostatniej chwili przed rozłożeniem ramion i wykrzyknięciem: „Co wy tu, kurwa, robicie?!”. Był ostrożny i lekko rozbawiony, a kiedy się zbliżył, stało się jasne, że jest wyższy, niż się początkowo wydawało. Zwiodła ich jego szczupła przygarbiona sylwetka.

Mogliby mu zadać dokładnie to samo pytanie: „Co ty tu, kurwa, robisz?”. Sądząc po ubraniu – pięć lat temu było w Chainhattanie ostatnim krzykiem mody, z czasem zaś zostało uzupełnione kawałkami futra, kości i zwierzęcych skór – mieli przed sobą tubylca, który handlował w Qayaq, być może najbystrzejszego dzieciaka w całej LST, syna ekscentrycznych ivyńskich marzycieli, który próbował zarabiać na życie głową. Wcześniej siedział w towarzystwie paru dinajczyków; wszyscy byli bardziej zawstydzeni niż podnieceni widokiem nagich tancerek.

– Wybieracie się na drugą stronę gór? – zapytał. Zauważył ich ubrania:

nowiutkie, dobrej jakości, bardzo ciepłe.

Brzmiało to jak niewinna próba zagajenia rozmowy – dla wszystkich oprócz Ty’a.

– Nie potrzebujemy przewodnika – odburknął, zanim ktokolwiek inny zdążył zareagować.

Trochę tym przystopował chłopaka.

– Przewodnika – powtórzył ivyn w taki sposób, jakby Ty wprowadził do rozmowy niespodziewany, lecz interesujący koncept. – Racja, nie wyglądacie mi na ludzi, którzy chcieliby nająć przewodnika.

Czyli na żadnych przygód (a z punktu widzenia traktatu pokojowego – nielegalnych) turystów z pierścienia. Pytanie, na kogo w takim razie wyglądają, pozostało bez odpowiedzi i sytuacja zrobiła się odrobinę niezręczna, dopóki ivyn nie podjął wątku:

– Gdybyście się udawali za góry, mógłbym wam coś pokazać.

– Coś niezwykłego? Wyjątkowego? Niepowtarzalnego? Coś, co wszystkim pokazujesz? – spytał Ty.

– Byłem tam dwa razy – spłoszył się dzieciak. – To interesujące.

– Byłeś z klientami? – upewnił się Ty. – Bo...

Ariane złapała go za rękę.

– Powiedział, że to interesujące – przypomniała. – Nie chodzi mu o pieniądze.

– Jak chcesz – zgodził się Ty.

– Jak się nazywasz? – spytała Ariane.

Chłopak opuścił gardę.

– Einstein – odparł.

Cisza. Kiedy nikt się nie roześmiał, wyprostował się i podszedł bliżej.

– Co w tym takiego interesującego?

– To jest fakt – odparł Einstein.

– Nie rozumiem – wtrąciła Kath Dwa. – Faktem jest, że to interesujące, czy...

Zawiesiła głos, bo nagle doznała olśnienia. Chłopakowi chodziło o artefakt. Przedmiot, który przetrwał ze świata przed Dniem Zero.

– Chętnie bym go zobaczył – przyznał Ty.

* * *

Zrozumieli Einsteina nieco lepiej, gdy dzień później Kath Dwa przewiozła ich szybowcem przez góry i przekonali się, jak trudna musiała być piesza wędrówka na miejsce znalezienia artefaktu. Właściwie nasuwało się pytanie, jak on go w ogóle znalazł. „Zabłądził we mgle, a potem miał łut szczęścia” wydawało się najbardziej prawdopodobną odpowiedzią, chyba że tacy jak on metodycznie przeczesywali przeciwległe do oceanu zbocza gór.

Lecieli takim samym szybowcem jak z gniazda Cayambe na Magdalene. Pozbawiony silników nie musiał się obawiać ich uszkodzenia w Ścianie Popiołu, a ponieważ leciał wolniej niż odrzutowiec, nie groziło mu również zmatowienie przedniej szyby przez uderzenia mikroskopijnych kawałeczków kamienia. Pewnym niepokojem napawał pasażerów fakt, że w najgęstszych partiach chmury Kath Dwa nie widziała, dokąd leci; znała jednak wysokości wszystkich okolicznych szczytów i trzymała się wysoko ponad nimi. Kiedy zaś trochę się przewiało, popiół zaczął jej nawet pomagać: zachowywał się w powietrzu nieco podobnie jak kropla atramentu w wodzie, uwidaczniając prądy i zawirowania.

Einstein stanowił dla członków Siódemki ciekawostkę jako człowiek, który urodził się na planecie i nigdy jej nie opuścił. Lot szybowcem był dla niego pierwszą podróżą lotniczą. Widok gór z powietrza wymagał odrobiny przystosowania, z czym Einstein szybko sobie poradził, a ponieważ znał dokładną lokalizację artefaktu, gdy tylko przeskoczyli nad głównym grzbieciem i powietrze stało się przejrzystsze, wskazał Kath Dwa wysoko położoną dolinę rozciągającą się między pasmem przybrzeżnym i następnymi górami w głębi lądu. Jej górne piętro było jałowe i pozbawione życia, ale nieco niżej zaczynała się krzewić tundra. Regularne rozmieszczenie krzewinek dowodziło, że zostały posiane z kosmosu: zrobotyzowane kapsuły spadły z nieba w precyzyjnej formacji, pokryły grunt siatką złożoną z sześciokątów, rozpękły się i uwolniły nasiona. Jakiś dowcipniś w biurokratycznych bebeczach TerReFormu nazwał je ONAN-ami – Orbitalnymi Neo-Agrarnymi Nasiennikami. Kiedy z upływem lat z ONAN-ów kiełkował ekosystem, sześciokątna matryca rozmywała się w naturalnym chaosie życia, ale w miejscach takich jak to, gdzie rośliny rozwijały się powoli, heksagonalny wzór miał być widoczny przez stulecia.

Kath Dwa przeleciała kilka razy wzdłuż doliny, aż w łożysku okresowej rzeki znalazła płaski odcinek o nawierzchni ze zmrożonej mazi wodno-popielnej, który powinien nadawać się do lądowania, a później także do startu. Akumulatory szybowca, naładowane wieczorem poprzedniego dnia, zachowały sto procent energii. Kath Dwa zatoczyła jeszcze jeden wydłużony krąg, żeby wytracić szybkość, po czym wylądowała pod górkę: najpierw lekko musnęła nawierzchnię, żeby sprawdzić, czy na pewno jest skuta lodem, a potem zdecydowanym ruchem posadziła szybowiec. Pod koniec ślizgu końcówki skrzydeł wlokły się lekko po ziemi i trochę się obawiała, że zahaczą o jakiś wystający kamień, ale ostatecznie udało się tego uniknąć i maszyna znieruchomiała nieuszkodzona. Beled i Bard wysiedli pierwsi, rozbiegli się w przeciwnych kierunkach, po czym, chwyciwszy za czubki skrzydeł, zatoczyli półokrąg i w ten sposób zawrócili szybowiec. Kath Dwa dała im znać, kiedy ustawienie maszyny stało się optymalne.

Ty wysiadł, otworzył właz bocznej ładowni i wypuścił dwie żmijki, które ruszyły przed siebie charakterystycznym węzowym ruchem, oraz dwa fulereny, które poturlały się w poszukiwaniu wzniesień, gdzie można by założyć stanowiska obserwacyjno-łącznościowe. Przede wszystkim należało jednak solidnie umocować szybowiec, żeby jakiś przypadkowy podmuch wiatru nie zrobił mu krzywdy. Żmijki specjalizowały się w inżynierii lądowej, a ściślej rzecz biorąc – w kopaniu dziur i tuneli. Nadzorowane przez Doca w kilka minut osadziły kotwy w solidnych głazach na brzegach rzeki. Ty i Bard uwiązali do nich liny, którymi następnie unieruchomili końcówki skrzydeł maszyny; Beled niestrudzenie chodził dookoła i przepatrywał okolicę. Kath Dwa do spółki z Ariane wylądowała i uruchomiła krabochwyta, którym Doc wspomagał się w takich miejscach jak to: robot pełnił rolę wózka inwalidzkiego, tyle że zamiast kół miał nogi, dzięki czemu świetnie radził sobie nawet w takim terenie, w którym zdrowy i sprawny człowiek miałby kłopoty. Memmie pomogła Docowi opatulić się i przygotować do wyjścia. Przyglądający im się Einstein zadał zaledwie kilkaset pytań, na które odpowiedzi udzielał mu sam Doc. Einstein na pewno widział takie zdobycze techniki na filmach w LST, ale pierwszy raz miał okazję oglądać je na żywo.

Miał dość oleju w głowie, żeby nie wypytywać o broń. Kath Dwa, Ty,

Beled i Bard mieli katapulty, każde inną. Nie zbroili się jak żołnierze na wojnę, raczej jak zwiadowcy udający się w rejony, w których należy się spodziewać dużych drapieżników albo nawet złych tubylców. Kath Dwa miała ten sam model katapulty, co podczas ostatniej misji: jednoręczną broń elektromagnetyczną, wystrzeliwującą amboty jednego konkretnego rodzaju w stronę dużych i ciepłych celów. Ambot namierzał dużą plamę podczerwieni, lądował na niej jak sonda kosmiczna na powierzchni asteroidy i zaczynał szukać sposobów uprzykrzenia jej życia. Każde duże zwierzę oblezione przez dwa albo trzy takie amboty miałooby na głowie inne sprawy niż zjedanie Kath Dwa.

Tiuratom Lake miał podobny oręż, tyle że starszy, cięższy i bardziej sfatygowany, i dwa magazynki do niego. Pierwszy wyglądał dokładnie tak samo jak magazynek Kath Dwa; drugi najprawdopodobniej zawierał amboty innego typu, być może zdatne do użytku przeciw ludziom.

Beled przewiesił przez ramię znacznie większą katapultę, oburęczną, której długi i elastyczny magazynek oplatał go jak bandolier. Może trochę przesadził, ale nie miał innej broni, a ciężar katapulty nie robił na nim wrażenia.

Langobard, jak przystało na neoandera wywodzącego się z sektora Czerwonych, dysponował menażerią różnych ambotów (było ich łącznie około tuzina), które laziły mu po całym ciele, oraz katapultą przypiętą od spodu do przedramienia, jak łubki. Kiedy postanowi strzelić, o czym poinformuje katapultę za pośrednictwem zaszytego w dłoni sterownika, amboty dowiedzą się o tym z łączącej je sieci i zaczną szukać drogi do jego łokcia, żeby z tamtej strony wcisnąć się do mechanizmu katapulty. Metoda była trochę pokrętna, miała jednak tę zaletę, że w wolnych chwilach amboty patrolowały ciało Barda w poszukiwaniu innych, wrogich ambotów, z którymi w razie potrzeby mogły się wdać w walkę.

Wszystko to – choć fascynujące nie tylko dla Einsteina, lecz także dla każdego, kto by się chwilę zastanowił – dla członków Siódemki było czymś tak zwyczajnym, że w ogóle o tym nie rozmawiali. Zachowanie ambotów rojących się na ciele Barda stanowiło pewną nowinkę i ciekawostkę dla tych spośród nich, którzy byli mniej obeznani ze zwyczajami Czerwonych, ale kiedy zeszli w dolinę, stało się oczywiste, że amboty wykonują program sprowadzający się do paru

powtarzalnych, rutynowych zachowań, takich jak przysiadanie Bardowi na ramionach albo okrążanie go w talii. Czasem kilka z nich próbowało łączyć się w pociąg, ale na to było ich za mało.

Podczas podróży z Kolebki Beled, Bard i Ty znajdowali sobie czasem jakiś dyskretny kąt, otwierali skrzynie z ekwipunkiem i próbowali oswajać amboty ze sobą nawzajem, żeby te zaprogramowane przez Niebieskich (a takich używała większość Siódemki) nie traktowały czerwonej amunicji Barda jak wrogów – i na odwrót. Na razie sprawdzało się to całkiem nieźle. Kiedy w przewężeniach doliny musieli się przeciskać pomiędzy głazami, ambotom Barda zdarzało się zwietrzyć amboty przyczajone w węzokształtnym bandolierze Beleda: przemieszczały się wtedy na tę stronę ciała Barda, z której było im do Beleda najbliżej, i stroszyły anteny czujników, nic jednak nie wskazywało na to, żeby miało dojść do jakichś aktów wrogości. Ponieważ każdy system łączności mógł zostać zakłócony lub zhakowany przez przeciwnika, bardziej wyrafinowane amboty znały kilka sposobów porozumiewania się, wśród nich także akustyczny. Najchętniej wydawały ultradźwięki, ale w gruncie rzeczy wykorzystywały wszystkie możliwe częstotliwości, dlatego zdarzało się usłyszeć, jak ambonicja Barda generuje hałas, by wysondować (albo zdeorientować) otaczającą ją ze wszystkich stron ambonicję Niebieskich: czasem był to syk, kiedy indziej precyzyjnie wyliczona melodyjka, odtwarzana zbyt szybko, żeby ludzkie ucho zdołało ją przetworzyć. Arsenale Beleda, Ty'a i Kath Dwa uparcie milczały. Powód był taki, że – z grubsza rzecz biorąc – niebiescy producenci ambotów hołdowali idei „dużo, ale głupich”, czerwoni zaś wyznawali filozofię dokładnie odwrotną.

W trudnym terenie Doc na krabochwycie poruszał się najszybciej ze wszystkich, może z wyjątkiem Einsteina, który miał dryg do wspinaczki. Kiedy we dwóch wysforowywali się naprzód, Beled zdobywał się na dodatkowy wysiłek i doganiał ich długimi susami, posłuszny instynktowi, który kazał mu iść w przedniej straży. Langobard wolał się trzymać z tyłu i pełnić rolę ariergardy, dzięki czemu spędzał więcej czasu w towarzystwie powoli idącej Ariane. Czasem po prostu brał ją na rękę i przenosił przez największe przeszkody. Wyżej dno doliny było płaskie, oni jednak zeszli stromo w jej niższe partie, gdzie przyjęła się

posiana przez ONAN-y roślinność. Tam w końcu zaczęło im się łatwiej iść, chociaż musieli szukać ścieżek w gęstwinie niskich krzewów zakorzenionych w zasobnej w popiół glebie. Stopy i nosy podpowiadały im, że ziemię nasycono uprzednio mikroorganizmami, które przetwarzały popiół wulkaniczny (zawierający substancje trujące, takie jak chociażby siarka) na przyjaźniejszą glebę.

Do momentu lądowania Einstein zachowywał daleko posuniętą rezerwę, teraz zaś chętnie przedstawiał Docowi (i wszystkim, którzy znaleźli się dostatecznie blisko, żeby coś usłyszeć) swoje domysły odnoszące się do znaleziska, które wkrótce miał im przedstawić.

– Przekonacie się, kiedy dojdziemy na miejsce – powtarzał, jakby sam powątpiewał w słuszność swojej teorii. Słowo „teoria” było mu znane, wymawiał je jednak dziwnie, zupełnie inaczej niż wszyscy.

Często używał też zwrotu „sprawdziłem to”. Nie miał pojęcia, kim jest Doc; widział w nim po prostu staruszkę, który chętnie odpowiada na jego pytania. Doc zaś nie tylko odpowiadał, lecz także zadawał mu pytania, intrygujące, a przy tym pozbawione niepotrzebnej szorstkości.

– Mieli takie pojazdy kołowe...

– Samochody?

– Nie, większe. Jak skrzynie.

– Ciężarówki – domyślił się Doc.

– Mam taką teorię, że ten artefakt to właśnie jedna z nich.

– Ale przed chwilą powiedziałeś – w głosie Doca zabrzmiała ledwie dostrzegalna nuta skargi – że to tsunami przeniosło go przez góry.

– No tak.

– To by znaczyło, że unosił się na falach.

– Taką właśnie mam teorię.

– Nie powinien opaść na dno? Taka skrzynia nie była szczelna, prędzej czy później wypełniłaby się wodą...

– Wnętrze resztek tej skrzyni jest całe pokryte jakimś czarnym osadem – powiedział Einstein.

– Co z tego wynika twoim zdaniem?

– Sprawdziłem to: ciężarówek używano do przewożenia najróżniejszych rzeczy, nie tylko bardzo ciężkich, ale też chipsów ziemniaczanych w workach, sportowych butów, zabawek... Mam taką teorię, że to właśnie była jedna z takich ciężarówek. Stała gdzieś blisko

wody, gdy uderzyło jedno z pierwszych tsunami, jeszcze słabe. Poniosło ją w głąb oceanu, a ona nie zatonęła, bo...

– Bo była pełna chipsów w workach.

– No właśnie. Nie spaliła się też, przynajmniej na początku, bo była w wodzie. Za to potem porwało ją inne tsunami, takie naprawdę ogromne, jak to, które stworzyło Antymer, przeniosło ją przez góry i rzuciło... o, tam. Zaraz ją będzie widać.

– Wtedy jej zawartość się spaliła, pozostawiając po sobie czarny osad – podpowiedział Doc.

– Właśnie. I wtedy spaliła się farba, i opony, i w ogóle wszystko, co nie było z metalu.

– A dlaczego przez pięć tysięcy lat ciężarówka nie zardzewiała?

– Sprawdziłem to – powiedział Einstein. – Było bardzo sucho, a ona była prawdopodobnie zagrzebana w ziemi. Poza tym trochę zardzewiała, ale zachowała się aż do Stulecia Chmur.

To również musiał sprawdzić: Stulecie Chmur przypadło mniej więcej w okresie 4300–4400, kiedy już odtworzono oceany, ale cała planeta była jeszcze bardzo gorąca.

– Rzeki zaczęły płynąć i erozja odsłoniła wrak – mówił dalej. – No i te odsłonięte części są zardzewiałe. Ale niektóre są z innego metalu.

– Aluminium – powiedział Doc.

Einstein przestał go słuchać. Wpatrywał się w przyrząd wskazujący długość i szerokość geograficzną i sprawiał wrażenie, że zablądził.

Pięćdziesiąt metrów dalej wykonał decydujący ruch: wszedł prosto w gęstą kępę wysokich krzewów. Pozostali ruszyli za nim. Niewiele było widać, więc usłyszeli jego reakcję, zanim zobaczyli „artefakt”.

– Co jest, do...

– Co się stało? – zaniepokoił się Ty.

– Ktoś ją wykopał!

Stanęli na skraju wykopu o szerokości około sześciu metrów i podobnej głębokości. Ślady w ziemi zdradzały, że dziurę wykopano łopatami, a na wpół zatarte odciski butów – że zrobili to ludzie, a nie roboty. Przy dnie szara ziemia zbrązowiała od rdzy, ale poza tym wykop był pusty: cokolwiek w nim rdzewiało, zniknęło. Tylko parę kawałków twardego, czarnego tworzywa i przerdzewiałe na wskroś skrawki stali dowodziły, że Einstein nie kłamał.

Ty ostrożnie zszedł do wykopu, podziobał palcem stopy wilgotną ziemno-rdzawą maź, schylił się i coś podniósł. Otrząsnąwszy znalezisko z błota, rzucił je Beledowi: wygięty czarny cylinder.

– Nasze wysiłki nie poszły na marne – obwieścił Ty. – Oto autentyczny artefakt, liczący pięć tysięcy lat wąż od chłodnicy.

Kilka różnych emocji rywalizowało o energię psychiczną w umysłach Siódemki: konsternacja wynikająca z niewiedzy, kto i po co wykopał tę dziurę w ziemi; współczucie dla okrutnie zakłopotanego Einsteina, który obiecał im całą ciężarówkę; rozczarowanie, że zostały z niej tylko plama rdzy i wąż od chłodnicy; leciutkie zaniepokojenie na myśl, że gdzieś w okolicy kręcą się tajemniczy ludzie z łopatami. Nad tym wszystkim górowała jednak – jak fala tsunami nad szczytami gór – świadomość, że oto mają w rękach autentyczne znalezisko sprzed Dnia Zero. Podczas lotu udało im się ustalić, że sam Doc zaledwie trzy razy w życiu widział taki przedmiot (nie licząc eksponatów muzealnych); dla pozostałych był to pierwszy raz.

Stali w milczeniu przez kilka długich minut, przekazując go sobie z rąk do rąk i myśląc o nim intensywnie: o fabryce, w której powstał, o inżynierach, którzy go zaprojektowali, o robotnikach, którzy zmontowali pojazd, o kierowcy, który go prowadził, i o dniu, w którym zaczął padać Kamienny Deszcz. Okazało się, że pod względem emocjonalnym znacznie łatwiej było sobie wyobrazić los siedmiu miliardów istot ludzkich niż los tylko jednej z nich.

Przetrzymawszy artefakt przez minutę, Beled z nieprzeniknionym wyrazem twarzy oddał go Kath Dwa, po czym odsunął się od wykopu i zaczął niespokojnie krążyć wokół niego. Chwilę później zawołał pozostałych, choć bez szczególnego niepokoju w głosie.

Dziesięć metrów dalej, w miejscu, gdzie stok zmieniał nachylenie i odsłaniał widok w dół doliny, postawiono coś w rodzaju totemu: długa aluminiowa rura, pobieląca od warstwy tlenku, sterczała pionowo z ziemi na wysokość wzrostu dorosłego człowieka. Na szczycie, przytwierdzony kawałkami miedzianego drutu, tkwił okrągły przedmiot: stalowa obręcz obwiedziona na wewnątrz zardzewiałą warstwą czarnej substancji, z przecinającą ją na pół poprzeczką i zwisającymi z otworów luźnymi przewodami.

– Kierownica – orzekł Ty. – Plastik się spalił, ale metalowa obręcz

przetrwała.

– Kto ją tu zostawił? – zdziwiła się Ariane.

Przybyła na miejsce ostatnia i musiała się precyzyjnie przemieszczać pomiędzy wyższymi członkami Siódemki, żeby coś zobaczyć. Niewiele brakowało, a potknęłaby się o podłużny kopczyk wzruszonej ziemi i przewróciła. Totem z kierownicą został wbity w ziemię przy jednym jego końcu.

– Ten, kto pochował kierowcę – odparł Ty.

Doc spojrział na Einsteina.

– Wiedziałeś, że są tu ludzkie szczątki?

Einstein podniósł ręce.

– Wiecie, ciężarówka wbiła się w ziemię nosem naprzód, jak strzałka do rzucania.

– To zrozumiałe – powiedział Doc. – Silnik ją przeważył. Skrzynia ładunkowa, jak już wcześniej ustaliliśmy, była wypełniona czymś lekkim.

– Wystawał może taki kawałek zderzaka i część skrzyni. – Einstein rozsunął ręce na odległość około metra. – To miejsce z człowiekiem...

– Szoferka – odpowiedział Ty.

– ...było głęboko pod ziemią. Naprawdę, całe to wykopywanie...

– Zupełnie cię zaskoczyło – uzupełnił Doc. – Rozumiemy.

– Kiedy ostatnio tu byłeś? – zainteresował się Langobard.

– Dwa lata temu. Ale naprawdę, gdyby ludzie z mojej LST tu przyszli i wykopali całą ciężarówkę, wiedziałbym o tym.

– Gdzie motyw? – spytała Ariane.

Wszyscy zwrócili się w jej stronę.

– Dopóki tu tkwiła, była bezcenna. Turyści przybywaliby tłumnie, legalnie albo nie, i płacili góry pieniędzy, żeby ją obejrzeć. Owszem, odsłonięcie jej też miało sens: wtedy turyści mogliby ją w pełni docenić. Ale...

– Ale ktoś wolał rozebrać ją na części – powiedział Doc – i zabrać wszystko, co miało jakąś wartość.

– Wartość?! – prychnęła Ariane. – Nie rozumiem.

– Kopacze przyszli po silnik – powiedział Doc, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

Ariane nie była zachwycona, ale po chwili wpadła na pewien pomysł.

– Pańskim zdaniem to byli szabrownicy – powiedziała.

– Blok silnika spoczywa teraz w gablocie w prywatnej galerii jakiegoś zamożnego kolekcjonera z Kolebki – zawtórował jej Bard.

– Nie jest to nieuzasadnione domniemanie – przyznał Doc, aczkolwiek ton jego głosu zdradzał, że takie przypuszczenie nie przeszło mu przez myśl. – Wydaje mi się jednak dość niezwykle, żeby szabrownicy zadali sobie trud uroczystego pochowania kierowcy.

– Jeżeli silnik nie był cennym... obiektem kolekcjonerskim – wtrąciła Kath Dwa – to jaką mógł mieć dla kogoś wartość?

– Żelazo. Kilkaset kilogramów czystego metalu, z którego po przetopieniu można odlać inne rzeczy.

– Czy jest we wszechświecie coś mniej wartościowego? – prychnął Bard. – Od pięciu tysięcy lat mieszkamy w wielkich bryłach żelaza!

– My tak – przytaknął Doc.

Poruszył dłonią, na co jego krabochwyty odsunął się od grobu i zaczął się cofać w stronę wykopu. Remembrance z nieodgadnioną miną ruszyła za nim.

Stanąwszy ponownie nad dziurą w ziemi, przyjrzeni jej się świeżym okiem. Ty wskazał miejsce, w którym szary popiół był przyprószony czerwono-brunatnymi drobinkami: ktoś użył piły, opiłki żelaza osypały się na ziemię i z czasem zardzewiały; przesiewając ziemię między palcami, wyłowił kilka błyszczących kawałków metalu. Bard znalazł posiepany klin z twardego drewna, na grubszym końcu spłaszczony od licznych uderzeń ciężkiego młota, i domyślił się, że za jego pomocą rozbito blok silnika na mniejsze, łatwiejsze do przeniesienia części. Beled, który nieustannie krążył po okolicy, natknął się na drewniany drąg o długości nieco ponad metra, z jednej strony ładnie zaokrąglony, z drugiej obłamany i ostry.

– Złamała im się łopata – powiedział. Obrócił drąg w ręce i odczytał wytłoczony w drewnie napis: – Srap Tasmaner.

– Pozwól, niech spojrzę – odezwał się Doc.

Beled oddał mu znalezisko. Doc długo oglądał je w milczeniu; im dłużej patrzył na ten niby niepozorny kawałek drewna, tym większą uwagę przyciągał, aż w końcu wszyscy pozostali otoczyli go milczącym kręgiem. Ciężkie powieki miał półprzymknięte i trudno było powiedzieć, czy tak bardzo koncentruje się na znalezisku, czy po prostu śpi jak zabity.

W końcu odwrócił drąg w dłoni w taki sposób, że ostrym końcem zwrócił go ku dołowi, i nakreślił nim na ziemi literę.

C

– Beledzie? Przeczytałeś tę literę jako S, ale w szkole najprawdopodobniej uczyłeś się o tym, że w przeszłości oznaczała różne dźwięki. Między innymi taki, który dziś zapisujemy jako K.

Poniżej C Doc napisał K.

– Następne dwie litery wszyscy znamy; w angijskim wyglądają tak samo.

CRA

KRA

– Czwartą wzięłeś za zdeformowane P. To zrozumiały błąd, dziś nie używamy już bowiem starego znaku F, który przypomina P. Zamiast niego mamy symbol zaczerpnięty z cyrylicy.

CRAF

KRAФ

– Dwie kolejne litery to T i S, które w angijskim dla wygody zastąpiono jednym znakiem.

CRAFTS

KRAФЦ

– Następne trzy się nie zmieniły.

CRAFTSMAN

KRAФЦMAN

– Craftsman – przeczytał Beled. – A to R na końcu?

CRAFTSMAN®

– Obwiedzonego takim kółeczkiem R w ogóle się nie wymawia. Oznacza ono, że ta nazwa jest zastrzeżonym znakiem towarowym. A właściwie była, nie jest. Pięć tysięcy lat temu.

Mniej więcej w połowie tego wykładu o starożytnej i nowoczesnej ortografii na twarzy Ariane odmalował się wyraz wielkiego skupienia, pod koniec zaś dodatkowo zakryła usta dłonią.

– Widziałam go w Eposie! – wykrzyknęła spomiędzy palców. – Kiedy *New Caird* wylądował na *Ymirze*, Wiaczesław wyszedł przez służę, żeby skuć lód ze złącza cumowniczego! Miał taką samą łopatę!

– Chcesz powiedzieć... – podsunęła Docowi Kath Dwa.

– Chcę powiedzieć, że to stylisko łopaty samo w sobie jest liczącym pięć tysięcy lat artefaktem, który w Kolebce mógłby być sporo wart – powiedział Doc i otrzepał stylisko z piasku. Ariane zrobiła mu zdjęcie i zaczęła coś wystukiwać na tablecie. – Właściciel się go pozbył, bo stało się dla niego bezużyteczne, a w Beringii nietrudno o nowe: wystarczy ściąć jakieś drzewo.

– Jakim trzeba być człowiekiem, żeby cenić żelazo, a artefakty sprzed pięciu tysięcy lat uważać za bezwartościowe śmieci? – nie mogła się nadziwić Kath Dwa.

Przerwał jej słaby piskliwy dźwięk emitowany przez całą Siódmkę jednocześnie.

Wszyscy zostali wyposażeni w małe douszne słuchawki, żeby móc się porozumiewać, kiedy się rozdziela; większość zdjęła je i schowała do kieszeni albo po prostu zawiesiła sobie na szyi, tylko Beled tego nie zrobił. Przycisnął teraz dłoń do ucha i wystawił przed siebie drugą rękę, jakby patrzył na zegarek, po czym spojrział w górę doliny, w kierunku, z którego przybyli. Pagórki i drzewa przesłaniały mu widok.

– Fulereny wykryły w pobliżu duże zwierzęta – poinformował. – Jeden z nich ucichł.

– Kiedy wczoraj młody Einstein zaproponował wypad w góry i obejrzenie artefaktu – odezwał się Doc – z początku byłem tej idei przeciwny. Uważałem, że to co najwyżej atrakcja turystyczna, która tylko niepotrzebnie odciągnie nas od naszego celu. Zgodziłem się jednak, ponieważ uznałem, że taka wycieczka będzie dobrą okazją do

przećwiczenia procedur, które później, gdy nasza misja na dobre się rozpocznie, będą nieodzowne. Teraz jednak widzę, że misja już się rozpoczęła.

* * *

Drugi totem kopacze zostawili przy drzwiach szybowca: spleciony z gałęzi wieniec zatknięty na cienkim, okorowanym drzewku wysokości około pięciu metrów. Członkowie Siódemki rozpoznali w nim bardziej ekologiczną wersję ustawionego na grobie kierowcy totemu z kierownicą. Czy ten symbol miał dla kopaczy jakieś szczególne znaczenie? Trudno było nie odczytywać go jako symbolu spenetrowania Księżyca przez Agenta, ale przy okazji przypominał też grecką literę fi, która w alfabecie języka angielskiego zastąpiła zarówno F, jak i dwuznak PH, i mogła oznaczać cokolwiek. Fortel? Fobię? Filozofię?

Zanim odeszli znad wykopu, Bard, Beled i Ty przeczesali okolicę, zataczając coraz większe kręgi, aż upewnili się, że nikogo nie ma w pobliżu. Znaleźli jednak odciski stóp i inne ślady dowodzące, że ktoś kręcił się tam całkiem niedawno, może nawet obserwował ich, gdy próbowali rozwikłać zagadkę zniknięcia ciężarówki.

Dopiero wycofując się w górę doliny, dostrzegli strażników: zajmowali celowo odsłonięte pozycje – na szczytach wielkich głazów i kamiennych kopców przy rzece, oparci na włóczniach, których groty lśniły lekko w szarosiwym świetle sączącym się z zachmurzonego nieba. Niektórzy byli uzbrojeni w niezwykle przedmioty z giętej stali, linek i wielokrążków; Beled rozpoznał w nich potężne łuki. Z tej odległości trudno było powiedzieć coś więcej o wyglądzie, ale sporo z nich miało rude włosy, mężczyźni nosili brody, a ubierali się albo w najprawdziwsze panterki, albo przynajmniej w stroje w naturalny sposób wtapiające się w tło.

Kiedy Siódemka znalazła się pomiędzy pierwszymi dwoma ich posterunkami, Beled uniesioną ręką dał sygnał do zatrzymania się. Szykował się oczywisty problem: gdyby szli dalej, zostawiwszy strażników za sobą, pozwoliliby się okrążyć. Strażnicy musieli jednak zrozumieć ich niepokój, bo zamiast zostać na posterunkach, również

ruszyli w górę doliny, zamiast odcinać Siódemce odwrót.

Pieszy odwrót, należałoby podkreślić, bo kiedy Siódemka i młody przewodnik znaleźli się w miejscu, z którego było widać totem przy szybowcu, stwierdzili, że szybowiec jest otoczony przez dobre dwa tuziny kopaczy. Kopacze powyciągali z ładowni wszystkie skrzynie ze sprzętem, ułożyli je na ziemi w schludnych rzędach i zaczęli w nich bobrować. Niektórzy spisywali elementy zdobyczy, najwyraźniej osuwając się ze swoją nową własnością.

– Domyślam się, Einsteinie, że nie widziałeś dotąd takich ludzi – odezwał się Doc – ani o nich nie słyszałeś.

– Tylko plotki... Ale nie że jest ich aż tylu! Zawsze myśleliśmy, że to przybłędy z innych LST.

– Jak widzisz, nie są przybłędami z LST – odparł Doc i podniósł głos, zwracając się do całej grupy: – Minęło trochę czasu, zdążyliśmy się otrząsnąć z pierwszego szoku... Chyba wszyscy wiecie, kogo mamy przed sobą. To nie są potomkowie Siedmiu Ew. To klasyczni ludzie. Ich przodkowie przetrwali Kamienny Deszcz na planecie i jeszcze do niedawna żyli pod ziemią. Najprawdopodobniej jesteście spokrewnieni, Tiuratomie.

Ty potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć, że Doc nawiązuje do wydarzeń sprzed pięciu tysięcy lat.

– Przez Rufusa MacQuarie?

Doc przymknął powieki w potwierdzającym geście.

– Z Eposu wiemy, że ojciec Dinah z grupą podobnych sobie ludzi ukrył się pod ziemią. W ciągu ostatniego stulecia podjęto próby znalezienia ich kryjówek i nawiązania kontaktu, nic z nich jednak nie wynikło.

– Może nie chcieli, żeby ich znaleziono – podsunął Ty.

– Od dawna pan o tym wie? – zainteresowała się Ariane.

– A ty, Ariane? – odparował Doc. – Czy niecodzienne rozkazy, jakie otrzymałaś, nie wzbudziły w tobie ciekawości?

– Oczywiście, że wzbudziły! Ale nie przyszło mi...

– Od dawna się zastanawialiśmy, snuliśmy domysły... Pierwszy niezaprzeczalny dowód pojawił się mniej więcej przed rokiem. Wcześniej słyszało się tylko plotki, jak mówi Einstein, ale łatwiej było je wyjaśnić obecnością zbiegłych wcześniaków, którzy na jakimś odludziu po prostu żyją po swojemu. Albo pojawieniem się zwiadowców

Czerwonych, wysłanych na przespiegi na terytorium Niebieskich. Prawdę powiedziawszy, Zwiad napatoczył się i na jednych, i na drugich. – Doc spojrział znacząco na Beleda, który nie spuścił wzroku. – I tak, na przykład, Czerwoni zapuścili się zdumiewająco daleko w głąb Azji Środkowej; porucznik Tomow mógłby to potwierdzić, gdyby udało się wam pociągnąć go za język. Kłopot w tym, że tak jak wielu ludzi, którzy znają smak wojny, nużą go rozmowy z cywilami.

– Czyli od roku prowadzi pan systematyczne śledztwo – podsumowała Ariane, wyłowiwszy ze słów Doca rzecz dla siebie najciekawszą.

– Podobnie jak ty, Ariane. Różnica jest taka, że ty dowiedziałaś się dopiero teraz, a ja nie miałem całkowitej pewności, dopóki... – Doc zerknął na Memmie, która zaopiekowała się styliskiem od łopaty i używała go jak laski. Twarz Doca przybrała psotny wyraz. – Dopóki nie wziąłem do ręki Laski Srapa Tasmanera.

– Co o nich wiemy? – zapytał Langobard.

– W tej chwili nasza ósemka wie na ich temat stokroć więcej, niż wszyscy orbitale razem wzięci.

– Orbitale?

Znów ta figlarna mina.

– Podczas naszych dyskusji, całkowicie hipotetycznych, złapaliśmy się na tym, że potrzebujemy słowa, które pozwalałoby odróżnić zamieszkujących pierścien potomków Siedmiu Ew od ludzi takich jak ci. Stańło na „orbitalach”.

– Tym bardziej można odnieść wrażenie, że to wszystko było z góry ukartowane – powiedziała Ariane.

Jej karcący ton wszystkim już działał na nerwy, ale i tak zapanowało powszechne zdziwienie, gdy to Remembrance zabrała głos. Może ośmielił ją fakt posiadania kija, którym mogłaby raz czy drugi przygrzmocić julijce, ale najprawdopodobniej po prostu poczuła się urażona oskarżycielską wymową słów Ariane, sugerującą, że Doc nie był z nimi szczery. Wsparłszy się mocno na stylisku, odwróciła się do Ariane.

– Chciałabym zwrócić uwagę, że oto nawiązujemy pierwszy kontakt z naszymi kuzynami, od których przez tysiące lat byliśmy oddzieleni – powiedziała. – Niektórzy umieją docenić ten fakt.

– Ależ ja go doceniam, Memmie! – odparła Ariane, kiedy już

otrząsnęła się z szoku wywołanego faktem, że camilitka śmiała się do niej odezwać w ten sposób. – Uważam tylko, że jeżeli mamy sobie poradzić w tej sytuacji, potrzebny nam jest szerszy kontekst.

– Każdy dobrze poinformowany orbital zna kontekst. – Memmie wolną rękę wskazała na niebo. – Trzeba bardzo szczególnego umysłu, żeby gardzić powszechną wiedzą i traktować tajemnice jak klejnoty.

Po tych słowach Ariane doszła do wniosku, że dalsza dyskusja nie przyniesie jej korzyści. Była to zaledwie dziesięciomilionowa taka rozmowa w długiej, kruchej i dziwnie osobistej wspólnej historii julińczyków i camilitów, wiedziała więc, kiedy ugryźć się w język i zrobić urażoną minę.

Do tej pory prawie nie rozmawiali o możliwości użycia siły, ale język ciała i spojrzenia wymieniane przez Ty'a, Barda i Beleda dowodziły, że wszyscy trzej o tym myślą. Einstein poszedł im na rękę.

– Jak myślicie – zagadnął – damy im radę?

– Tak – odpowiedziała zgodnie cała trójka.

– Chociaż łucznicy mogą nam napsuć krwi – przyznał Ty.

– Wiele zależy od tego, jak dużo wiedzą o nas i naszym uzbrojeniu. Czy szpiegują nas od lat?

Beled zwrócił się z tym pytaniem do Doca, jakby ten mógł znać odpowiedź. Mina Ariane wyrażała coś w rodzaju „A nie mówiłam?!”, za to Doc był po prostu rozbawiony.

– Nawet jeśli tak – odparł – to rzadko mieli okazję widzieć, jak używamy broni. O ile w ogóle. Wątpliwe, żeby wiedzieli, jak działa.

– Udało im się wyłączyć nasze fulereny – przypomniał Beled, zerknąwszy na przegub dłoni.

– Wiemy już, że zachowali ograniczoną wiedzę techniczną – przyznał Doc. – Nawet jeśli sami nie potrafią produkować fulerenów, to umieją je rozpoznać. Nic dziwnego, że je unieszkodliwili.

– To wrogi akt – burknął Beled.

– Jeżeli wejdziemy w zasięg strzału z łuku, załatwią nas – powiedział Ty. – To dopiero będzie wrogi akt.

– W takim razie nie powinniśmy iść dalej – orzekł Bard.

– To właśnie sugerowałem – wyjaśnił Ty.

Znajdowali się około stu metrów od szybowca i wszyscy kopacze zwrócili już na nich uwagę. Czterej zajęli stanowiska nieco powyżej

poziomu terenu, gdzie wcześniej były rozstawione fulereny. Dwóch dalszych wspięło się na skrzydła maszyny. Dziwnie schludni szabrownicy oderwali się od swoich zajęć i podeszli bliżej zaciekawieni rozwojem sytuacji. Było wśród nich co najmniej troje dzieci, a grupa dorosłych składała się pół na pół z kobiet i mężczyzn.

– Sprzeczne komunikaty – powiedział Bard i dał znak orbitalom, żeby się zatrzymali.

– Zaczekajcie, ja spróbuję – zaproponował Ty. – Skoro mamy być spokrewnieni...

Wyszedł kilka kroków przed Beleda, zatrzymał się i pokazał na migi, jak strzela z łuku i posyła strzałę wysoko w powietrze. Potem wskazał na łuczników.

Jeden z kopaczy odwrócił się plecami do orbitali i cofnął o kilka kroków, usiłując ocenić, jak formacja łuczników prezentuje się z ich punktu widzenia. Krzyknął coś. Zawodzący wśród skał wiatr zagłuszył jego słowa, ale łucznicy i pozostali strażnicy zareagowali, choć bez szczególnego entuzjazmu: zeszli z posterunków, po czym, znów ponaglani przez przywódcę, odłożyli łuki na ziemię i odsunęli się od nich.

Przywódca odwrócił się do Ty'a i pokazał puste ręce.

Ty położył katapultę na najbliższym kamieniu.

Drugi mężczyzna odłączył się od grupy kopaczy i wysforował się naprzód. Posuwał się całkiem żwawo, chociaż podpierał się dwiema łaskami. Był łysy i miał siwą brodę. Zrównał się z przywódcą (nieco od niego młodszym) i razem ruszyli dalej.

Doc uruchomił krabochwyta. Memmie odruchowo podążyła za nim, ale po paru krokach Doc powstrzymał ją gestem.

– Ale to zabiorę – dodał i wyciągnął rękę po stylisko od łopaty, a kiedy Memmie mu je oddała, wsunął je pod pachę.

Ty poczekał na niego i dalej również ruszyli we dwójkę.

Część kopaczy, żądna wrażeń, pomalutku przesuwiała się do przodu, czym wzbudzili pewne kontrowersje w obrębie swojej grupy, a także sprowokowali do reakcji Beleda i Barda, którzy również przesunęli się ku przodowi. W drodze swoistych niewerbalnych negocjacji ustalono, że łącznie ośmiu kopaczy (dwóch na przedzie, plus sześciuosobowy drugi rzut w pewnym oddaleniu) wyszło na odsłonięty teren, by stanąć

naprzeciw ośmiorga orbitali. Byli wśród nich nie tylko wojownicy (ci mieli baczenie na Barda i Beleda), lecz także kobiety i jedno dziecko. Ze strony orbitali szyk wyglądał następująco: Ty i Doc na czele, Memmie kilka kroków za nimi, Einstein, Ariane i Kath Dwa nieco dalej, a Bard i Beled – obaj z bronią na widoku – wyraźnie w głębi, po bokach, honorując niewyrażone wprost porozumienie, w myśl którego i oni, i łucznicy mieli się trzymać poza zasięgiem strzału.

Dwa piesze oddziały zbliżyły się na zasięg głosu i poczęły taksować się wzrokiem.

Dla orbitali kopacze wyglądali znajomo: klasyczni ludzie jak żywcem wyjęci z Eposu, jednolici pod względem genetycznym, sami biali, jasno- lub rudowłosi, z oczami, które jakby zbiegły im w mrokach jaskiń. Jasną z natury skórę pokrywały piegi – efekt wystawienia na światło słoneczne. Byli niżsi niż klasyczni ludzie z dawnych wieków, ale nie aż tak, żeby w tłumie przechodniów w Łańcuchu mogli uchodzić za karłów. Nie licząc teklan i neoanderów, którzy z powodów zawodowych musieli być wysocy, potomkowie Ew również się skurczyli, zwłaszcza w Pierwszym Tysiącleciu, i nawet teraz, cztery tysiące lat później, powrót do dawnej sylwetki szedł im niesporo, chociaż wreszcie mieli aż nadto miejsca, żeby się wyprostować. Kopacze – sądząc z ograniczonej liczebnie próbki, jaką wyszła im na spotkanie – wydali się Ty'owi niecodziennie krępi.

Kopacze mieli więcej powodów, żeby się gapić, zwłaszcza że – sądząc po ich zachowaniu – nie mieli wcześniej (zbyt wielu) okazji do oglądania orbitali. Ty nie zrobił na nich wielkiego wrażenia. W Docu zaintrygował ich jego wiek i sposób poruszania się. Kath Dwa, Memmie i Einstein mogli wydać im się niezwykli raczej ze względu na ubarwienie, niż modyfikacje genetyczne. Rysy twarzy Ariane z całą pewnością miały w sobie coś dziwnego. Beled i Bard (zwłaszcza Bard) wyglądali jak potwory.

Minęła dłuższa chwila, zanim starszy z kopaczy wystąpił dwa kroki w przód i przemówił w starej, pre-Zerowej angielszczyźnie, jaką orbitale znali z Eposu:

– Tchórze, którzyście uciekli: nie macie prawa tu być. To już nie jest wasz dom. Odejdźcie.

– Dobrze się zaczyna – mruknął Ty do Doca.

– Popisuje się przed swoimi. Lepiej mu nie przeszkadzajmy. Mogę?

Doc wydał jakieś polecenie i krabochwyty podkulił nogi, opuszczając się na najniższą dostępną mu wysokość. Doc wyciągnął rękę. Ty pomógł mu zsiąść z robota i mocno stanąć na ziemi; Doc wsparł się mocniej na lasce i puścił jego dłoń. Samodzielnie zrobił krok do przodu.

Kopacze komentowali jego zachowanie pomrukami zdumienia. Być może z początku brali go za jakiegoś cyborga i dopiero teraz dotarło do nich, że mają przed sobą po prostu bardzo starego człowieka.

Doc przeszedł jeszcze kilka kroków, znalazł dogodny kawałek płaskiego terenu i wbił laskę w ziemię.

– Może wyglądam na pięć tysięcy lat – zaczął – ale w rzeczywistości jestem zaledwie odległym potomkiem tych, których nazywacie tchórzami. Sądzę zresztą, że bylibyście dla nich łaskawszy, gdybyście wiedzieli o wszystkim, czego dokonali podczas swojego długiego wygnania. Czy mam zaszczyt rozmawiać z potomkiem Rufusa MacQuarie?

– Wszyscy wywodzimy się z jego rodu.

– W takim razie mam chyba coś, co należy do was. – Doc z namaszczeniem wyjął z ziemi wbite w nią stylisko łopaty i wyciągnął je przed siebie na wyprostowanych rękach. – Przyjmijcie moje przeprosiny za to, że pożyczylismy to sobie bez waszej wiedzy.

Gdyby orbitale mogli obserwować reakcje wszystkich kopaczy jednocześnie, uzyskaliby nieprzebrane bogactwo informacji o funkcjonowaniu ich umysłów i społeczności. Tego rodzaju czytanie w myślach było z natury domeną julińczyków, należało się więc spodziewać, że mózg i zmysły Ariane pracują na najwyższych obrotach.

Ósemka kopaczy dzieliła się z grubsza na dwie grupy: bardziej mściwą, która domagała się natychmiastowego odzyskania Laski Srapa Tasmanera, oraz spokojniejszą, bardziej rycerską. Cała grupa dzieliła się z kolei na mniejszość, która poczuła się urażona faktem, że Doc przywłaszczył sobie stylisko, oraz – co ważniejsze – większość, która wzdragała się przed zabranieniem laski starszemu panu.

Obie te grupy łączyło jedno: potraktowały słowa Doca dosłownie. Tylko nieliczna gromadka wtajemniczonych – starzec, młody przywódca i kobieta w średnim wieku, która w tej chwili się z nimi naradzała – rozumiała, że było to zagranie pod publiczność, nie zaś próba

zagajenia rozmowy o prawie do posiadania kawałka drewna.

Inaczej mówiąc, kopacze – jako całość – zareagowali dokładnie tak samo, jak mogłaby się zachować każda inna duża grupa ludzi. Sam ten fakt był niezwykle ciekawy i znaczący, ponieważ przez pięć tysięcy lat życia w kopalniach dużo się mogło zmienić.

Dysputa trojga członków starszyny ciągnęła się jeszcze przez jakiś czas, aż zakończyła się epidemią potakujących ruchów głowy. Starszy mężczyzna z nieprzejednaną miną stanął naprzeciw orbitali i zdecydowanym gestem wsparł się na laskach. Jego młodszy towarzysz i kobieta podeszli do – odpowiednio – Ty'a i Doca. Mężczyzna zatrzymał się dwa kroki przed Ty'em, tuż przed tym, jak mogliby sobie podać ręce albo wdać się w bójkę na pięści. Kobieta podeszła bliżej i wyjęła kij z rąk Doca, co obserwujący ją z oddalenia kopacze przyjęli z wyraźną fascynacją.

– Starcze – przemówiła spokojnym, lecz donośnym głosem – swoimi słowami upokorzyłeś nas i zmusiłeś, byśmy odpowiedzieli w podobny sposób. Jednakże ze względu na twój czcigodny wiek nie spotka cię kara.

Wyminęła Doca, splotła dłonie na tępym końcu styliska i wzięła nim zamach, po czym zrobiła wypad i z całej siły uderzyła Memmie w skroń.

Memmie opadła najpierw na kolana, potem na czworaki i zwiesiwszy ociekającą krwią głowę, niemal do ziemi, odsłoniła kark... i tam właśnie kopaczka wbiła ostry koniec styliska, mocno, na głębokość kilku cali, w środek tułowia, mierząc w płuca, serce lub jedno i drugie jednocześnie. Remembrance nie runęła na ziemię, raczej sflaczała i powoli opadła do pozycji płodowej.

Młody mężczyzna rzucił się tymczasem na Ty'a. Trudno było powiedzieć, czy chciał mu wyrządzić krzywdę, czy tylko uniemożliwić reakcję na zabójstwo Memmie. Tak czy inaczej, ruszając do ataku, potrącił nogą kamień. Zgrzyt ostrzegł Ty'a, który zdążył odwrócić się bokiem, przez co napastnik jakby prześliznął się po nim, zamiast się z nim zderzyć. Kopacz poruszał się z góry na dół i był rozpędzony, co w tej sytuacji obróciło się przeciwko niemu, ponieważ podcięty przez Ty'a łatwo stracił równowagę i runął na twarz. Ty zahaczył nogą o kolano kopacza (który obie nogi miał w tej chwili zadarte, tak że podeszwy jego mokasynów oglądały niebo) i rzucił się na niego całym ciężarem, przyginając podudzie przeciwnika do ziemi. Kopacz dotknąłby

pewnie piętą pośladka, gdyby nie noga Ty'a, wkliniowana między jego udo i łydkę i grożąca mu w tej chwili rozłupaniem kolana na dwoje. Widząc, że przeciwnik rozpaczliwie usiłuje się wyrwać, Ty nacisnął jeszcze mocniej; smród starego mokasy na gryzł go w nosie, ale usłyszał pierwszy charakterystyczny trzask w stawie kolanowym. Kopacz zawył i przestał się szarpać.

Wszystko to działo się w tym samym czasie, gdy kopaczka mordowała Remembrance, toteż Ty nie wiedział, co się wydarzyło, dopóki na dobre nie obezwładnił swojego wroga. Zogniskował wzrok na Memmie i z wolna zaczął sobie uświadamiać powagę sytuacji, gdy wtem kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił głowę: Doc osunął się na ziemię i usiadł. Odwrócił się już wcześniej i był świadkiem ataku na Memmie.

– Natychmiastowa ewakuacja. Natychmiastowa ewakuacja – powtarzała Ariane. Ty nie miał pojęcia, z kim rozmawia.

Spod nieba dobiegł dziwny świst. Podniósłszy wzrok, Ty dostrzegł nad sobą rój strzał. Przeleciały nie tylko nad jego głową, lecz także nad głowami Ariane, Kath Dwa i Einsteina, po czym wbiły się w ziemię lub zaklekotały o kamienie u stóp Beleda i Barda, którzy do tego momentu posuwali się naprzód.

Kobieta ze styliskiem łopaty zachowywała się jak w transie, teraz jednak zwróciła uwagę na Ty'a i zrozumiała, że poradził sobie z jej kompanem. Wściekłość wykrzywiła jej rysy. Wycelowwała ostry, zakrwawiony koniec styliska w Ty'a i puściła się biegiem.

Ty z całej siły napał na nogę kopacza i złamał mu ją w kolanie, po czym odskoczył od wrzeszczącego i młóćącego ramionami przeciwnika. Wstając, zgarnął z ziemi kamień, którym teraz rzucił. Mierzył w twarz kobiety. Chybił, ale zmusił ją do uniku i wykorzystał chwilę jej wahania, żeby podnieść następne dwa kamienie i zrobić krok w przód. Rzucił oboma (jeden trafił w obojczyk) i postąpił kolejne dwa kroki do przodu. Wymierzyła mu pchnięcie styliskiem, ale tak sygnalizowane, że z łatwością zbił je lewym przedramieniem w bok, oplótł drzewce ręką i przycisnął je sobie do boku. Wyciągnął wolną rękę, dźgnął kobietę kciukiem w oko, złapał ją za ucho i oderwał od drąga jak niepotrzebne opakowanie. Tymczasem szarżował już na niego starszy przywódca, wywijając obiema łaskami; co gorsza, pędzili w jego stronę także młodzi wojownicy uzbrojeni we włócznie.

Ty wyszedł przywódcy na spotkanie, mierzonymi uderzeniami styliska wytrącił mu laski z rąk, odwrócił go w taki sposób, żeby znaleźć się za jego plecami, przystawił mu do gardła trzymane poziomo drzewce i docisnął je zgiętymi w łokciach rękami. Oparłszy mu dłoń na łysej potylicy, zaczął go wlec do tyłu, w dół zbocza, gdzie została reszta Siódemki. Ludzka tarcza mogła go chronić od przodu, ale chłopcy z włóczniami powoli zaczęli go okrążać i musiał liczyć na to, że towarzysze go osłonią.

Jedna z leżących przy szybowcu skrzyń z ekwipunkiem eksplodowała – chociaż dziwna to była eksplozja, bez ognia i prawie bez dźwięku. Cała skrzynia jakby rozplynęła się w gęstą, chropowatą chmurę, która w miarę rozprzestrzeniania się stawała się przezroczysta. Zaraz potem to samo stało się z drugą skrzynią i po chwili obie leżały na boku, puste.

Kopacze stojący w pobliżu szybowca albo krzyczeli z zaskoczenia, albo po prostu krzyczeli. Nikt nie wiedział, co się dzieje, nawet Ty, ale zamieszanie wystarczyło, żeby wojownicy nabrali ostrożności – nie mogli przecież wykluczyć, że ktoś zachodzi ich od tyłu. Zwolnili kroku, złamali szyk i zaczęli się rozglądać.

W ich stronę po zboczach prześlizgiwała się cienka warstewka czegoś szarego. Odrobinę przypominała falę na plaży, która wyczerpawszy swój impet, resztkami sił pieni się, rozdziela przed kamykami i znów łączy, tuż przed tym, jak wsiąknie w piasek. Tyle że przypominała również lawinę, ponieważ z każdą chwilą nabierała prędkości. Mijając Ty'a i starego mężczyznę, rozstała się u ich stóp, a Ty, wyteżywszy wzrok, rozpoznał tworzące ją dwa typy ambotów, po jednym z każdej skrzyni, chociaż teraz dokumentnie się przemieszały. Kiedy świergoczącą masą opłynęły Einsteina, Ariane i Kath Dwa, rozproszyły się po płaskim zboczach dzielącym je od Beleda i Barda – którzy w dalszym ciągu stali daleko z boków, poza zasięgiem strzału z łuku. Rój ambotów rozdzielił się: wszystkie egzemplarze jednego rodzaju ruszyły do Beleda, a drugiego – do Barda. Pierwsze – będące dziełem Niebieskich – mniejsze, opatrzone dłuższymi odnóżami i szybsze w trudnym terenie połączyły się w błyszczący, trzeszczący i syczący strumień, jakby wystrzelony z węża strażackiego, i skoczyły z ziemi na Beleda. Zamiast jednak uderzyć w niego z impetem, rozplynęły się po nim i w mgnieniu oka okryły go od stóp do głów zbroją z zachodzących na siebie łusek,

z których każda była pancernym grzbietem żukopodobnego ambota. Nieliczne spóźnialskie wspinały się po grzbietach poprzedników, wyszukując – i zatykając – luki w litej strukturze.

Rój Langobarda był nieco wolniejszy, a na ostatnich pięćdziesięciu metrach dodatkowo rozsnuł się w długie nici, gdy amboty poczęły spółkować: każdy z nich próbował włożyć umieszczony na nosie sprzęg w gniazdo na ogonie poprzednika – w ten sposób łączyły się w pary, a następnie w ciągi po trzy lub cztery sztuki, i zanim w końcu dopadły swojego właściciela, utworzyły pół tuzina długich, wijących się jak bicze sznurów i drugie tyle krótszych odcinków. Były to polatuchy, którym lepiej od biegania wychodziło fruwanie. Mogły od biedy latać w pojedynkę, ale znacznie chętniej łączyły się w pociągi powietrzne. Pędząc w dół z boczna i wytracając wysokość, zmagazynowały całkiem sporo energii, dzięki czemu w ostatniej fazie ruchu mogły unieść się nad ziemię niczym kobry i wyskoczyć w powietrze. Minęły Langobarda, ale tuż za jego plecami zakręciły ostro, szukając nosem ogona i tworząc ciasne pętle pociągów powietrznych: zamknięte, unoszące się w powietrzu i bez końca obiegające jego ciało, opierające się grawitacji dzięki generowanej przez krótkie stateczniki sile nośnej. Langobard czasem dodatkowo je rozpędzał przez proste popchnięcie ręką, ale przede wszystkim same czerpały energię z pola wytwarzanego przez generator, który niósł na plecach. Mniej więcej co trzeci z polatuchów nie załapał się do łańcucha dostatecznie długiego, żeby utworzyć pociąg – połączone w krótsze segmenty okręcały się Bardowi wokół kostek i oplatały wokół nóg jak węże wokół pni drzew, wspinając się po nich. Trafiały się również samotniki nienależące do nawet najkrótszego łańcucha: one też znalazły drogę do Langobarda, wspięły się najwyżej, jak się dało, i zaczęły zgiełkliwie rywalizować o miejsce na jego ramionach. Poruszający się Bard wyglądał w tej chwili jak skrzyżowanie wpisanego w układ okręgów człowieka witruwiańskiego Leonarda da Vinci i wczesnych wyobrażeń atomu, z jądrem otoczonym przez okrągłe orbity elektronów. Każdy pociąg wydawał inny dźwięk, gdy tworzące go polatuchy cięły powietrze, coraz wyższy, w miarę jak chłonał energię i zwiększał prędkość. Po uruchomieniu układów obronnych Bard i Beled połączyli siły i zaczęli zbliżać się do kopaczy. Jedna strzała, wystrzelona na próbę przez najdalej do przodu wysuniętego łucznika, spadła

wysokim łukiem na Langobarda... i została odbita przez pędzący pociąg powietrzny.

Nie było w tym nic takiego, czego Ty nie widziałaby już wcześniej, ale i tak go to rozpraszało. Zmusiwszy się do skupienia na sprawach dotyczących go bardziej bezpośrednio, stwierdził, że jeden z wojowników stanął nad Dokiem, który leżał na boku i szamotał się bezradnie, i wziął zamach włócznią, jakby zamierzał zadać śmiertelne pchnięcie. Jednakże znieruchomiał; może chciał tylko pogrozić Docowi. A może widok rojów ambotów kompletnie go rozwalił.

Ty ciągnął starego Kopacza w tył, do miejsca, w którym Ariane, Kath Dwa i Einstein bardzo rozsądnie przypadli do ziemi za załamaniem stoku dającym choćby minimalną osłonę przy wystrzeliwanymi na wprost strzałami – chociaż żadną przed pociskami posyłanymi górą, wysoką parabolą. Kiedy znów obejrzał się w dół zbocza, Barda i Beleda nie było już widać, a jedyną wskazówką zdradzającą miejsce ich pobytu były ruchy nielicznych ambocich maruderów usiłujących za nimi nadążyć. Był odrobinę rozczarowany, że nie ruszyli szturmem na kopaczy i po prostu nie zmiotli ich z powierzchni ziemi, ale inna – lepsza – częśćka jego umysłu rozumiała, że zachowali się rozumnie i profesjonalnie. Ukryją się, będą obserwować i czekać, aż i wśród kopaczy górę weźmie zdrowy rozsądek.

Ariane zbiegła kawałek w dół zbocza i zabrała porzuconą przez Ty'a katapultę. Dobrze.

Podeksytowani wartownicy, rozstawieni na skałach ponad doliną, na bieżąco informowali o ruchach Barda i Beleda w dziwnie staroświeckiej, z lekka biblijnej mowie kopaczy. Wyglądało na to, że teklanin i neoander szybko przemieszczają się w górę doliny.

Jeden z wartowników wydał z siebie gwałtowny krzyk i nagle umilkł. Wśród kopaczy zapanowało małe zamieszanie.

Ariane biegła do góry. Wyminęła Ty'a, przypadła do ziemi na jedno kolano i przystawiła lufę katapulty do karku kobiety, która zabiła Memmie. Kopaczka zdążyła przez ten czas usiąść, ale wciąż jeszcze trzymała się za oko, w które wcześniej dziabnął ją Ty.

Gest Ariane był swoistą ciekawostką, kojarzącą się z filmami sprzed Dnia Zero: taka groźba miała sens w wypadku broni palnej wystrzeliwującej bezrozumne pociski z wielką prędkością. W przypadku

katapulty sensu było znacznie mniej, ale niewerbalny komunikat skierowany do kopaczy okazał się czytelny.

– Trzysta metrów w dół od szybowca – powiedziała Ariane, prawdopodobnie zwracając się do tego samego zmyślonego przyjaciela, z którym porozumiewała się już wcześniej. – Wstawaj! – To już było do kopaczki. – Albo ja ci rozwalę łeb, albo sam ci zaraz eksploduje z nadmiaru wrażeń.

Ty usłyszał własne parsknięcie śmiechem; miał wrażenie, że rejon jego mózgu odpowiedzialny za rozpoznawanie zabawnych sytuacji cały czas działa w tle, mimo że jego wkład w sytuację jest zerowy. Sposób poruszania się i wysławiania Ariane tak bardzo nie pasował do jej wizerunku, że wyżej rozwinięte części mózgu Ty'a nie umiały sobie z nimi poradzić, a mimo to chichrał się w najlepsze, jakby oglądał przezabawny skecz.

Kopaczka zaczęła się gramolić z ziemi. Ariane chwyciła ją za kaptur i szarpnięciem postawiła do pionu, po czym zaczęła prowadzić w dół stoku, przytknąwszy jej katapultę do skroni.

Ty odprowadził ją wzrokiem.

– Ariane? – zagadnął ją. – Co ty robisz?

– Najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy, że to wszystko zmienia – odparła.

Na moment opuściła rękę z bronią, po czym wycelowała w Ty'a. Katapulta z charakterystycznym *uang!* wystrzeliła z lufy ambota, a Ariane natychmiast znów przystawiła ją kobiecie do głowy.

Ty odczuł trafienie jak cios pięścią w klatkę piersiową i odruchowo zatoczył się w tył. Zanim zdążył odzyskać równowagę, ambot zagrzebał się w jego ubraniu, wbił mu w bok dwie ostre jak szpilka sondy i zaczął mu mieszać w układzie nerwowym. Ponieważ Ty nie pierwszy raz oberwał w ten sposób, wiedział doskonale, że najlepsze, na co może liczyć to to, że upadając na ziemię, nie pokanceruje sobie twarzy. Wypuścił z rąk stylisko łopaty i starego kopacza, po czym osunął się na ziemię.

Gdyby był w stanie mówić, powiedziałyby Kath Dwa, żeby się o niego nie martwiła i spróbowała zatrzymać Ariane, ale przeraźliwe szczęknięcie zębami uniemożliwiało mu artykulację. Poza tym i tak ledwie zmuszał do posłuszeństwa mięśnie odpowiedzialne za oddychanie.

Stary kopacz odsunął się od niego chwiejnym krokiem, upadł na kolana i namacał leżące przed nim stylisko. Złapał je w jedną rękę, wbił w ziemię, chwycił drugą ręką i wsparłszy się na nim z całej siły, wstał. Podszedł do Ty'a, który w spazmach miotał się po ziemi.

Widząc majaczący nad sobą ciemny kształt, Ty podniósł wzrok i zobaczył Kath Dwa, która, stanąwszy naprzeciw kopacza, zasłoniła się ręką przed jego ciosem. Stylisko z głuchym łoskotem trafiło ją w przedramię. Uderzenie zepchnęło Kath Dwa w tył. Krzyknęła z bólu. Kopacz wziął zamach, mierząc ostrą końcówką styliska w pierś Ty'a.

– Nikczemny mutancie! – zawołał.

Krzyknął coś jeszcze, ale kolejne *uang!* katapulty zagłuszyło jego słowa: to Kath Dwa z bardzo bliska strzeliła mu w brzuch. Kopacz wypuścił stylisko, które spadło pionowo i dźgnęło Ty'a w pierś, uzupełniając jego kolekcję drobnych urazów. Stary mężczyzna upadł i uderzył głową o kamień.

Nagle Ty wrócił do zdrowia, przynajmniej z neurologicznego punktu widzenia: klęczący nad nim Einstein nożem z kościaną rękojeścią podważył ambota, zrzucił na kamienie i głowicą noża roztrzaskał na kawałki.

Kath Dwa klęczała na jednym kolanie, powoli poruszając zranioną ręką, z ustami otwartymi w niemym krzyku.

Wzrok Ty'a przyciągnął jakiś ruch na niebie za jej plecami: świetlisty słup opadał z chmur ku ziemi. Przypominał poniekąd stylisko łopaty opadające na pierś Ty'a, z tą różnicą, że miał kilka kilometrów długości i jarzył się cały jak wyjęty z żaru na dnie ogniska.

Nagle wszystko stało się jasne. Ty odwrócił głowę i spojrzał w dół stoku. Niedaleko od niego, jakieś trzysta metrów od szybowca, skrawek odsłoniętego terenu jarzył się rubinowo, oświetlony z powietrza: trzy jasne plamy laserowego światła tworzyły trójkąt równoboczny, a w środku dodatkowo malował się ziarnisty krąg. Światło prześliznęło się po głowie i ramionach Ariane, kiedy wypchnęła zakładniczkę na środek kręgu.

Rozjarzony drąg spadł im prosto na głowy. Objął je wydrążoną końcówką i znów wzbił się pod niebo. Po kobietach pozostały tylko ślady stóp urywające się pośrodku idealnie kolistego zagłębienia w ziemi. Wokół niego rozciągała się strefa półcienia, w której roślinność została

wypalona przez promieniowanie cieplne. Tuż przed tym, jak drąg zniknął wśród chmur, obserwatorzy na ziemi zdążyli jeszcze dostrzec kapsułę, która zgarnęła Ariane i jej zakładniczkę i wsunęła się z powrotem w głąb rozpalonej do czerwoności rury, szykując się do podróży poza atmosferę.

* * *

Przywołana przez Ariane machina nosiła nazwę „thor”. Składała się z gigantycznego głazu (obucha boskiego młota) oraz bardzo długiego i bardzo lekkiego teleskopowego „styliska”, mogącego dosięgnąć powierzchni planety, nawet gdy „obuch” ślizgał się po najwyższych warstwach atmosfery. Całość mogła się poruszać jak rzucony młot, ruchem obrotowym: stylisko zataczało wtedy ogromny krąg wokół obucha.

Na samym końcu styliska znajdowała się kapsuła przechwytywa mieszcząca troje ludzi, gdyby stanęli bardzo blisko siebie. Podczas opadania i wznoszenia się pozostawała ukryta w zewnętrznej powłoce styliska, odpornej na skrajnie niesprzyjające warunki panujące w atmosferze. Stylisko opadało spod nieba trochę podobnie jak hangarowe bolas, z którego niedawno korzystali Kath Dwa i Beled, tyle że, zamiast hamować w górnych partiach atmosfery, żeby nałapać samolotów, opadało na powierzchnię i zabierało z niej wszystko, co akurat znalazło się w jego strefie przechwyty – zawczasu oznakowanej światłem laserów, żeby pasażerowie wiedzieli, gdzie się ustawić. Następnie znajdujący się na skraju próżni obuch wykonywał salto, zapadał się w atmosferę i hamował, a rozkręcone stylisko wystrzeliwało ładunek na znacznie wyższą orbitę. Obuch odłączał się od niego i spadał na Ziemię jako meteor – co oczywiście czyniło z thora narzędzie jednorazowego użytku, używane wyłącznie w sytuacjach awaryjnych i absolutnie wyjątkowych, usprawiedliwiających zrzucenie bolidu w przypadkowe miejsce na powierzchni planety.

Należało więc domniemywać, że nowiuteński krater przyozdobił właśnie amerykański interior na wschód od miejsca, w którym się znajdowali, a Ariane ze swoim jeńcem znalazły się w drodze do

bezpiecznego schronienia w czerwonym segmencie pierścienia. Można się było tylko domyślać, co je tam czeka, ale Ariane mogła się pewnie spodziewać wysokiej nagrody, medalu i awansu do najwyższych szeregów czerwonego wywiadu wojskowego.

Doc nie wypowiedział już ani jednego zrozumiałego słowa. Będąc świadkiem losu Memmie, doznał udaru, który poskutkowało natychmiastową afazją; godzinę później zabił go obrzęk mózgu. Kopacze pochowali go razem z Memmie.

Po kilku godzinach stary kopacz doszedł do siebie, zdradzając tylko lekkie objawy wstrząśnienia mózgu. Młodszemu złożyli złamaną nogę i włożyli ją w łąbki. Obaj mieli mordercze zamiary wobec trojga ocalałych jeńców, ale większość kopaczy – kompletnie zaskoczona przebiegiem wydarzeń – upierała się przy zachowaniu umiaru przy układaniu przyszłych stosunków pomiędzy ich plemieniem i cywilizacją, która potrafi wytworzyć takie rzeczy jak thor i bojowe roje ambotów.

Dla zademonstrowania własnego zaawansowania technicznego (a może po prostu dla rozluźnienia atmosfery) na odkrytym terenie pomiędzy szybowcem i świeżymi grobami kopacze zdetonowali grudę jakiegoś materiału wybuchowego własnej produkcji. Z całą pewnością miało to posłużyć za ostrzeżenie dla Barda i Beleda, którzy, jak się domyślano, śledzili wydarzenia z jakiegoś nieodległego punktu obserwacyjnego.

Ty'owi, Einsteinowi i Kath Dwa założono na szyje stalowe obroże z zawiasami. Po ich zamknięciu umieszczone na wolnych końcach obroży ucha znalazły się w jednej linii, co umożliwiło przeciągnięcie przez nie łańcucha. Tym sposobem obroże zostały zamknięte, a więźniowie byli skuci razem. Na jednym końcu łańcucha znajdowała się zabytkowa kłódka, za duża, żeby przejść przez ucha w obroży Kath Dwa. Drugi koniec przytwierdzono śrubą do solidnego drewnianego palika, który chwilę wcześniej wyjątkowo krzepki kopacz wbił w ziemię za pomocą młota z kamiennym obuchem – miniaturowy thora.

Nieco wyżej, poza zasięgiem więźniów, kopacze usypali z kamieni niewielki kopiec, zwieńczony kolejną bryłą materiału wybuchowego. Wetknięte w nią przewody detonacyjne przeciągnęli do odległego o około pięćdziesiąt metrów głównego obozowiska, rozbitego pod

skrzydłami szybowca.

– Co tu się właściwie wydarzyło? – zapytał Einstein, gdy tylko kopacze zostawili ich samych. – Oczywiście wiem, że to był thor, słyszałem o thorach, ale... – Dramatycznym gestem rozłożył ręce.

– Ariane jest kretem – odparł Ty i zaraz się poprawił: – To znaczy, była kretem. Bo teraz prawdopodobnie jest bohaterką Czerwonych.

– I to Czerwoni przysłali thor, żeby ją stąd wyciągnąć.

– Właśnie. Nie tylko ją, ale także, co ważniejsze, żywy, oddychający okaz.

Znajdująca się na końcu łańcucha Kath Dwa wśliznęła się do śpiwora i poszła spać; Ty spodziewał się, że nieprędko się obudzi. We dwóch z Einsteinem odsunęli się od niej najdalej, jak pozwalały na to więzy, żeby jej nie przeszkadzać, i usiedli w kucki. Kopacze zostawili im krzesiwo i drewno na rozpałkę, więc bez słowa zaczęli układać stosik na ognisko. Widząc, że Einstein doskonale sobie radzi, Ty dał mu wolną rękę. Zwłaszcza że chłopak miał ciekawe pomysły na rozpalanie ognisk.

– Gdzie się nauczyłeś tak walczyć? – zainteresował się Einstein. – Jesteś półkrwi teklaninem czy co?

– Decyzja o podjęciu walki jest ważniejsza od umiejętności.

– Bo wiesz, mnie zupełnie sparaliżowało.

– Są takie chwile, w których decyzje podjęte przez Ewy pięć tysięcy lat temu wciąż kierują naszymi działaniami w stopniu, który praktycznie nas ubezwłasnowolnia. Ty powinieneś stać z boku, obserwować i analizować.

– A ty jesteś stworzony do bohaterstwa.

– Bohater ocaliłby Memmie.

– Ale tego nikt nie mógł przewidzieć! Jak ta wariatka się na nią rzuciła...

– Nad tym jeszcze długo się będziemy zastanawiać.

Ty z westchnieniem obejrzał się na obozowisko, w którym kopacze krzątali się jak gdyby nigdy nic. Niektórzy piekli nad ogniem mięso jakiegoś dużego roślinożercy upolowanego w lesie. Było wśród nich dużo dzieci poniżej dziesiątego roku życia, niewielu natomiast nastolatków. Mniej więcej co druga kobieta była w ciąży.

– Wczuj się w swoją rolę, Einsteinie. Po śmierci Doca jesteś jedynym ivynem w naszej grupie. Co widzisz?

Widząc, że Einstein nie kwapi się z odpowiedzią, Ty zaczął:

– Ja widzę eksplozję demograficzną.

Chłopak otrząsnął się z zamyślenia i pokiwał głową.

– Nigdy o nich nie słyszałeś – ciągnął Ty – mimo że twoja LST jest tuż za tymi górami i regularnie patrolujecie tę okolicę.

– Kopalnia Rufusa MacQuarie była na dalekiej północy. Ci ludzie musieli bardzo niedawno wyjść na powierzchnię.

– Znajdź najstarsze dziecko, to ci pomoże określić datę.

– Ale atmosfera od trzystu lat jest zdatna do oddychania! Po co mieliby aż tyle czekać?

Ty ruchem głowy wskazał środek obozowiska: ogromne palenisko i piekące się nad nim mięso.

– Pożywienie? – domyślił się Einstein.

– Pożywienie i paliwo – przytaknął Ty. – Pomyśl, siedzieli w tej swojej dziurze, jedząc Bóg wie co, jakieś jaskiniowe tofu zapewne, od początku Kamiennej Deszczu. Od czasu do czasu sprawdzali stan powietrza na zewnątrz. Kiedy stwierdzili, że da się nim oddychać, wyszli się rozejrzeć i zobaczyli jałowe pustkowia niezdatne do życia. Dopiero w ostatnich latach TerReForm wprowadził do Beringii zwierzęta dostatecznie duże, żeby opłacało się na nie polować. To było dla kopaczy jak wystrzał startera: sygnał, że należy wyjść.

– I rozmnażać się na potęgę, najwyraźniej.

– Najwyraźniej. A teraz, Einsteinie, co nam to wszystko mówi o roli płci w ich społeczeństwie?

– Przede wszystkim nie mają swojej Ewy, tylko Adama: Rufusa. Należy się więc spodziewać parta... paryta...

– Patriarchatu.

– Dzięki. Jeśli wszystkie kobiety mają rodzić na wyścigi...

– To też jest znaczące – przyznał Ty. – I tu się narzuca bardzo poważne pytanie. Wyobraź sobie, że jesteś kopaczem. W porządku? Nie jesteś głupi. Wystarczy, że w bezchmurną noc wystawisz głowę ze swojej jaskini i spojrzysz na południe, a zobaczysz pierścień mieszkalny na orbicie. W którymś momencie zauważysz przemierzające go Oko i zapalające się światła nowo budowanych siedlisk; zobaczysz nadlatujące bolas, samoloty TerReFormu i spadający z pierścienia deszcz ONAN-ów. Nie jesteś dzikusiem, który o niczym nie ma pojęcia.

Masz całkiem niezłe rozwiniętą myśl inżynierską: te łuki, materiały wybuchowe... Nie przyszłoby ci do głowy tłumaczyć tego, co widzisz, działaniem bogów, aniołów i tym podobnych?

– Wiedzieli – domyślił się Einstein. – Od pierwszego...

– Od wieków. – Ty pokiwał głową. – Odkąd stwierdzili, że na zewnątrz da się oddychać.

– Od tamtej pory wiedzieli, że pod niebem mieszkają miliardy ludzi, a mimo to nie próbowali się z nimi skontaktować.

– Więcej, ukrywali się przed nami! Trzeba ci wiedzieć, że kilkadziesiąt lat temu podjęto próbę odszukania kopalni MacQuariech. Ci ludzie postanowili, że nie chcą, by ich znaleziono.

– Ale dlaczego mieliby to zrobić?

– O to właśnie pytam. Ze strachu? Ze złości?

– Ten stary nas szczerze nienawidzi. „Tchórze, którzyście uciekli”. To było o nas.

– Rzeczywiście, tak nas nazwał, i to bardzo głośno. Dlatego wydaje mi się, że wcale nie mówił do nas.

Einstein pokiwał głową.

– Rozumiem. Mówił do swoich.

– Jeżeli kulę się w swojej kopalni i jem jaskiniowe tofu, a wiem przy tym doskonale, że mnóstwo ludzi na orbicie żyje w nieporównanie lepszych warunkach, to potrzebuję silnej motywacji, żeby w tej kopalni wytrzymać. Żeby chcieć ukryć swoją obecność.

– Najlepszy byłby do tego jakiś duch albo ido... idoe...

– Ideologia, zgadza się. Powinienem był się domyślić. Niech mnie diabli wezmą, że wcześniej na to nie wpadłem.

– Na co?

– Że tylko jakiś umysłowy wirus, zbiorowa halucynacja tłumaczy ich nagłe wyjście na powierzchnię.

– Doc też na to nie wpadł – zauważył Einstein. Chciał tylko poprawić Ty'owi nastrój, ale zreflektował się, wstrząśnięty, że źle mówi o swoim kraju.

– Na pewno nie. No dobrze: co wiemy o sposobie myślenia tych ludzi?

– Są drażliwi.

Ty pokiwał głową.

– Przywódcom bardzo zależało na tym, żeby popisać się przed

trzódką, pokazać, kto tu rządzi. I tak właśnie zrobili. Ale potem Doc wyskoczył ze Srapem Tasmanerem: gest pojednawczy, lecz zarazem upokarzający, bo pokazał im, jakimi są gnojkami. Niegłupi ruch, ale tylko w kontaktach z ludźmi przyzwyczajonymi do rozsądnego działania. Do kompromisu.

– Z ludźmi takimi jak my. Z ludźmi, którzy musieli przez tysiące lat żyć razem w siedliskach.

– Dla nich była to próba podważenia ich autorytetu na oczach podwładnych, co spowodowało skrajną reakcję. Musieli nas odczłowieczyć.

– Jesteśmy obcy.

– Otóż to. Jesteśmy teraz owadziokimi potworami.

– I im dłużej Bard z Beledem czają się gdzieś tam, w mroku...

– Tym łatwiej jest kopaczom przedstawiać nas w taki sposób. Dlatego nas odizolowali: szefostwo nie chce, żebyśmy rozmawiali z szarakami, bo wtedy ci by się zorientowali, że jesteśmy zwykłymi ludźmi.

– No zaraz, chwila... To by znaczyło, że szefostwo wie, że nie jesteśmy potworami.

Na to Ty nie znalazł odpowiedzi. Nie wszystko w ich sytuacji miało sens. Zastanawiał się nad tym, gdy rozpalili ogień i dali się zahipnotyzować płomieniom.

Po rozpoczęciu Kamiennego Deszczu ludzie (w każdym razie orbitale) nie rozpalali ognia – w sensie spalania na powietrzu litego, zasobnego w węgiel paliwa – przez tysiąc siedemset trzydzieści pięć lat. Tyle czasu potrzebowali na zbudowanie siedliska dostatecznie dużego, żeby wyrosły w nim drzewa, z atmosferą zdolną zaspokoić apetyt płomieni na tlen i wchłonąć dym. Potem musieli zajrzeć do przechowywanych w postaci cyfrowej podręczników skautowskich. Już pierwsza próba była udana: czterej piro-pionierzy (sami dinajczycy) stali wokół ogniska, patrzyli w płomienie, tak jak teraz Ty, i zapewne rozmyślali o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd człowiek ostatni raz czuł zapach dymu z palonego drewna.

Nawet nie zaczęli jeszcze rozmawiać z Einsteinem o Ariane.

Była uosobieniem najgorszych koszmarów każdego julińczyka usiłującego wieść uczciwy żywot wśród Niebieskich: niby-Niebieska, która okazuje się agentką Czerwonych. Jak dawno wkradła się w szeregi

wywiadu? Jak długo awansowała w jego hierarchii? A może nagle postanowiła zdradzić? Tak czy inaczej, w tej chwili znajdowała się w czerwonej części pierścienia wraz z kobietą, którą uprowadziła. Co o tym pomyślał kopacze? Wiedzą w ogóle, że są dwa rodzaje orbitali? A czego Czerwoni dowiedzą się od kopaczki? Gdyby nie widział, jak z zimną krwią zamordowała Memmie, teraz by jej współczuł.

* * *

Od strony obozowiska przy szybowcu zbliżało się troje ludzi: wojownik uzbrojony we włócznię ze stalowym grotem, przedwcześnie posiwiwały posępny mężczyzna w średnim wieku, oraz ktoś, kogo Ty początkowo wziął za chłopca, a kto widziany z bliska okazał się krótkowłosa nastolatką, jeszcze drobniejszej budowy niż i tak niepozorni kopacze. Dziewczyna przybrała dziwną pozę: z pochyloną, przekrzywioną głową obserwowała świat kątem oka – chociaż mogło to wynikać z faktu, że szła tuż za siwowłosym mężczyzną i chcąc cokolwiek widzieć, musiała wyglądać zza jego pleców. Robiła dwa kroki na każdy jego jeden i gramoliła się przez przeszkody terenowe, które on po prostu przestępował. Przywodziła na myśl wiewiórkę, która próbuje dotrzymać kroku psu.

Kiedy znaleźli się w zasięgu głosu, siwobrody ruchem głowy powstrzymał wojownika, a sam zrobił jeszcze jeden krok. Widząc, że dziewczyna się zawahała, skinął na nią zachęcająco. Przytulona do jego pleców wyjrzała mu spod pachy.

– Jestem Donno – oznajmił siwobrody. – Ze mną możecie rozmawiać, z obecną tu Cyklą również. Z nikim więcej.

– Nazywam się Tiuratom Lake – przedstawił się Ty. – To jest Einstein, a ta kobieta to Kath Dwa. Prawdopodobnie nie weźmie udziału w naszej rozmowie.

– Tiuratom – powtórzyła chrapliwym głosem Cykla. – Miasto w Azji Środkowej, w pobliżu sowieckiego kosmodromu Bajkonur w Kazachstanie. Einstein. Fizyk-teoretyk z pierwszej połowy dwudziestego wieku.

Donno dał jej skończyć, ale nie spojrzał na nią ani nie zareagował

w inny sposób. Nie spuszczał wzroku z Ty'a; słowa Cykli traktował jak brzęczenie owada.

– Kiedy Kath Dwa się obudzi, przekażesz jej zasady, które wam przedstawiłem, i dopilnujesz, żeby się do nich stosowała.

– Przekażę jej zasady, a wtedy sama zdecyduje, czy się do nich stosować. Nie mam nad nią żadnej władzy. Nasze społeczeństwo nie funkcjonuje w taki sposób.

Donno miał taką minę, jakby nie wierzył w ani jedno słowo Ty'a.

– Jesteś dinajczykiem – powiedział.

Czyli wiedzieli o Siedmiu Ewach. Skąd? Od włóczęgów, których porywali i przesłuchiwali? A może utrzymywali potajemne kontakty z jakimś orbitalem?

– Tak – potwierdził Ty.

– I jesteś przywódcą grupy.

Ty nie odpowiedział. Gdyby zaczął tłumaczyć, że sprawa jest bardziej złożona, chyba niewiele by to pomogło.

– Co zrobiliście z Marge?

– Kto to jest Marge?

– Kobieta zabrana przez to coś, co sięgnęło po nią z nieba.

Ty odczuł pokusę wytknięcia Donno, że sam właśnie sobie odpowiedział, ale zamiast tego tylko na niego patrzył, nie wiedząc, od czego zacząć wyjaśnienia.

– Ta druga mutantka... Była julijką?

– Tak.

– Zaatakowała cię swoją własną bronią. Zaskoczyła cię.

– Nie da się ukryć, Donno.

– Zdradziła was?

– Tak.

– Czy należy do zachodniego ludu?

W ustach Donno oznaczało to orbitali zamieszkujących część Beringii położoną na zachód od południka 166°30'.

– My nazywamy ich Czerwonymi.

Donno pokiwał głową, jakby ten termin nie był mu obcy.

– W takim razie wy jesteście Niebiescy – powiedział.

– Zgadza się, jesteśmy Niebiescy. Staramy się nie używać thorów.

– Thor: bóstwo germańskie odznaczające się niezwykłą siłą, kojarzone

z piorunem, uzbrojone w młot – powiedziała Cykla.

– Twoje imię to zdrobnienie od „Encyklopedia”? – zapytał Einstein.

Donno posłał mu mordercze spojrzenie. Einstein – bez reszty zafascynowany dziewczyną – nie zwracał na niego uwagi.

– Tak – przytaknęła Cykla, zanim Donno zdążył ją powstrzymać uniesieniem ręki. Uchyliła się, jakby spodziewała się, że może oberwać w ucho, i uśmiechnęła się do Einsteina.

Ty prawie doznał zawrotu głowy porażony wyraźnym wspomnieniem sceny z Eposu: zdjęcia, które Rufus przesłał Dinah e-mailem na krótko przed początkiem Białego Nieba. Przedstawiało bibliotekę, którą zgromadzili z przyjaciółmi w podziemnej twierdzy. Dumne miejsce w samym środku kadru zajmował rząd identycznie oprawionych tomów *Encyclopaedia Britannica*.

Ta dziewczyna, Cykla, ją przeczytała. Trzymała w rękach te stare księgi – albo ich odręcznie spisane kopie.

– To ivyn. – Donno skinieniem głowy wskazał Einsteina. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu. Ochłonawszy nieco, jeszcze raz przyjrzał się chłopakowi z LST.

– Ten wygląd to zasługa zmarszczek nakątnych – wtrąciła Cykla, przeprowadzając niepotrzebnie szczegółową inspekcję twarzy Einsteina.

– Zamknij się – uciszył ją Donno i znów zwrócił do Ty’a: – Ta czerwona julijka...

– Ariane.

– Była szpiegiem w waszej grupie?

– Na to wygląda.

– Interesujące. W bibliotece Rufusa są książki o szpiegach sprzed Dnia Zero, ale nie sądziłem, że kiedyś na własne oczy zobaczę prawdziwego kreta.

Była to z jego strony wyjątkowo długa i wiele mówiąca uwaga. Aż prosiło się o jakiś żart o kretach i życiu pod ziemią, ale Ty wolał się w to nie pakować.

– Nie sądziłem, że kiedyś zobaczę kogoś takiego jak wy – powiedział.

– Przez tysiące lat uważaliście nas za zmarłych! Myliliście się.

– Zanim przy szybowcu sprawy wymknęły się spod kontroli, ten staruszek...

– Papcio Loyd.

– ...Papcio Loyd powiedział, że nie jesteśmy tu mile widziani.

– Słusznie.

– Nie chciałbym wyjść na durnia, ale to ważna sprawa i na pewno zgodzisz się ze mną, że warto, żebym ją dobrze zrozumiał. Wasza grupa... Nazywacie się jakoś?

– Ludzkość.

– Świetnie. Ludzkość uzurpuje sobie prawa do tego terytorium i nie życzy sobie, żeby ludzie tacy jak my, potomkowie Siedmiu Ew, tu przebywali.

– Nie bez naszej zgody. Zgadza się.

– Jak duży jest obszar, do którego rościcie sobie pretensje?

– Słucham?

– Ta dolina? Te góry? Cała Beringia?

– Wszystkie lądy na planecie Ziemia – powiedział wolno i wyraźnie Donno. Pokręcił głową. – Wy ją porzuciliście. Należy do nas.

Takie stwierdzenie skutecznie ucinęło rozmowę – przynajmniej z punktu widzenia Ty'a, bo Einstein wyskoczył z nieuchronnym u młodego ivyna pytaniem:

– A co z oceanami?

– O tym musicie porozmawiać z pingerami.

– Z jakimi pingerami?

Donno spojrział na Einsteina jak na imbecyla.

– To ludzie morza – wtrąciła Cykla. – Żyją...

Urwała w pół zdania, gdy Donno znów podniósł rękę. Teraz już wszyscy milczeli – i to mu chyba odpowiadało. Nareszcie mógł się spokojnie rozejrzeć. Skinął głową w stronę Kath Dwa.

– Jest chora?

– Nie – odparł Ty. – Jej lud często przesypia długie okresy.

– Moiranka, sądząc po kolorze.

Ty dałby się pokroić za informację, skąd kopacze czerpią swoją – choćby i rudymmentarną – wiedzę na temat orbitali. Nie był to jednak dobry moment na zadawanie pytań.

– Tak, moiranka.

Donno liczył coś na palcach. Doszedł do pięciu.

– Dwaj wojownicy?

Ty pokiwał głową.

- Ten większy to teklanin.
- A małpolud?
- Neoander. Aïdańska podrasa.

Donno pokiwał głową.

– Widywaliśmy takich na zachodzie. – Wyprostował kolejne dwa palce. – Czyli mieliście w grupie po jednym z każdej rasy... A ten? – Ruchem głowy wskazał Einsteina. – Zapasowy ivyn, gdyby tamten stary umarł?

– Nie, to miejscowy. Nasz przewodnik. Ale poza tym masz rację: tworzyliśmy Siódemkę. Robimy tak w szczególnych okolicznościach, kiedy zależy nam na sformowaniu oficjalnej delegacji – wyjaśnił Ty. To, co zamierzał powiedzieć za chwilę, mieściło się wyłącznie w sferze domysłów, ale nie musiał się bać, że ktoś mu zaprzeczy. – Stary ivyn, Doc, ten nieżyjący, spodziewał się was tutaj znaleźć. Przybył, żeby przeprowadzić śledztwo, i specjalnie w tym celu powołał Siódemkę. Dla podkreślenia wagi tego faktu.

To nieco zbiło Donno z pantałyku; nie należał do ludzi, którzy przejmowałiby się opinią innych, ale pierwszy raz przyszło mu do głowy, że wydarzenia sprzed kilku godzin należałoby postrzegać w zupełnie innym świetle, nieszczególnie korzystnym dla kopaczy.

Rozumiał to, ale nie zamierzał się z tym pogodzić.

– Macie nas za bandę dzikusów. Dla was wtargnięcie na nasze ziemie nie jest nawet aktem agresji. Przybywacie tu ze swoimi uzbrojonymi wojownikami, szybowcem, thorem...

– Jak myślisz, Donno, ilu orbitali przebywa obecnie na Ziemi?

– Nie jesteśmy głupcami, wiemy, że pełno ich na całej, jak wy to nazywacie, Beringii.

– Pełno ich na całym świecie.

– Nawet jeśli to prawda, to w niczym nie zmienia naszej pozycji.

– Wasza pozycja jest mocna i została dobitnie wyrażona – zapewnił Ty po dłuższej chwili milczenia, kiedy zwyczajnie nie wiedział, co powiedzieć. – Mogę w takim razie zapytać, dlaczego przyszedłeś ze mną negocjować?

– Wasi wojownicy porywają naszych – poskarżył się Donno.

– Wiesz, jacy są wojownicy. – Ty złapał za łańcuch i lekko nim potrząsnął. – Domyślasz się, jak to wygląda z ich punktu widzenia.

Kolejny błąd. Myśl, że ktoś mógłby mieć inny punkt widzenia od nich, doprowadzał kopaczy do szału. Ty powinien szybko przyswoić sobie tę prawdę.

– Znaleźliśmy się w stanie wojny – powiedział Donno – i obie strony biorą jeńców.

– Co zatem proponujesz?

– Osobiście? Powstrzymanie się od przemocy. Chociaż za innych nie ręczę. – Ruchem głowy Donno wskazał drugie ognisko.

– W takim razie czekam na twoją propozycję.

– To my czekamy na waszą – odwarknął Donno i zawrócił do obozowiska tak gwałtownie, że Cykla ledwie zdążyła uskoczyć mu z drogi.

Dryblas z włócznią również się odwrócił, za to dziewczynie wyraźnie się nie śpieszyło. Stała nieruchomo, wpatrując się w zmarszczki nakątne Einsteina.

– Jak ci na imię? – spytał Einstein.

– Sonar Taxlaw! – zawołał Donno. – Idziemy!

– Teraz już wiesz – powiedziała.

Bez entuzjazmu odwróciła się i odbiegła w stronę szybowca, ale nawet kiedy dołączyła do swoich pobratymców zebranych przy ogniu, Ty z Einsteinem nadal widzieli jej twarz: blady księżyc zwrócony w ich kierunku.

– Od czego zacząć? – mruknął Ty.

Właściwie mówił do siebie, ale chyba tymi słowami wyrwał Einsteina ze snu na jawie. Chłopak z westchnieniem wziął się w garść.

– „Widywaliśmy takich na zachodzie”, powiedział o Bardzie.

– Zgadza się.

– Wygląda na to, że posyłają zwiadowców na drugą stronę południka 166°30'. Nie wiedzieliby, że przekraczają granicę, przecież to tylko linia na mapie, nic więcej.

Ty wybuchnął śmiechem.

– Ech, Einsteinie... Jeśli wyjdziemy z tego cało, wyślę się do szkoły wdzięku.

– Że co?

– Kurs etykiety dla ivynów: jak rozmawiać z przedstawicielami innych ras.

– Ale dlaczego?

– Mniejsza z tym. Przerwałem ci. Mów dalej.

– Zwiadowcy musieli się napatoczyć na patrol graniczny Czerwonych. Na neoanderów.

– Co byś pomyślał na ich miejscu na widok neoandera?

– Owadziooki? Tak. Potwór? Nie.

Ty pokiwał głową.

– Z całym szacunkiem dla Barda i jego krewniaków, lepiej by było, gdyby kopacze najpierw spotkali dinajczyków.

– A co z neoanderami?

– Hmm... – Ty potrzebował chwili, żeby podjąć wątek. – Gdyby zobaczyli kopaczy, kiedy kopacze zobaczyli ich, zgłosiliby to.

– Czerwoni wiedzieli o kopaczach, może nawet od dawna.

– Wiedzieli albo przynajmniej domyślali się ich istnienia. – Ty czuł, jak jego umysł się odprężył, gdy zagadka powoli się rozwikływała. – Uruchomili swoich agentów. Ariane zaczęła węszyć, wykorzystywać swoje wpływy w Zwiadzie, pociągać za sznurki, żeby załapać się do Siódemki... I wróciła do domu z cenną zdobyczą.

– O ile uznać Marge za cenną zdobycz – mruknął Einstein.

Widząc jego twarz w blasku ognia, Ty nie był pewien, czy jego słowa to przejaw wisielczego humoru, czy kolejny przykład towarzyskiego nieobycia. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

– Pingerzy! – wykrzyknął Einstein, jakby był to oczywisty kolejny temat do rozmowy.

– Sonar Taxlaw nazwała ich ludźmi morza – przypomniał Ty – zanim Donno ją uciszył.

– Myślisz, że ją bije?

To była taka emocjonalna puszka Pandory, że Ty długo się zastanawiał, czy ją otwierać. Zdarzyło mu się kiedyś, jeszcze przed wojną, że zakochał się w dziewczynie równie szybko, jak teraz Einstein w Sonar Taxlaw. Tamto jedno krótkie doświadczenie z głupią, ślepą miłością wystarczyło, żeby pogodził się z jej istnieniem i nauczył się szanować jej siłę.

– Myślę, że w ich społeczeństwie istnieje przyzwolenie na kary cielesne, co sprawia, że do utrzymania w karbach takich jak ona wystarczy sama groźba użycia siły. Jej faktyczne użycie staje się zbędne.

Myślę również, że nie możesz nic na to poradzić, a jeśli choćby krzywo spojrzysz na Donno, on cię zabije. Przypuszczam jednak, że dyskretne gesty sympatii wobec Cykli ujdą ci na sucho, o ile jeszcze kiedyś kopacze pozwolą ci się do niej zbliżyć. Jeżeli okażesz jej nadmierną życzliwość, zostanie ukarana. Jeżeli jej dotkniesz, wszyscy zginiemy.

– Dlaczego?

– Bo jest to jedna z tych kultur, które mają szmergla na punkcie żeńskich organów rozrodczych. A teraz wróćmy do pingerów. Kojarzysz z czymś tę nazwę?

– Nie. A ty? – Wywód Ty’a wstrząsnął Einsteinem i ograniczył jego talent krasomówczy do monosylab.

– Coś mi się kołacze po głowie... Ale żeby mieć pewność, musiałbym to gdzieś sprawdzić.

– „Ludzie morza” sugerują łodzie, statki, ale...

– Zauważylibyśmy je.

– Może chodzi o odłam kopaczy ukrywający się w gęstych nadmorskich lasach – podsunął Einstein.

– Donno twierdzi, że cała ziemia należy do niego. Pingerzy mają władać oceanami.

– A ty jaką masz teorię?

– Żadnej – odparł Ty. Kłamał.

Na tym wieczorna rozmowa się zakończyła. Obaj rozwinęli śpiwory i ułożyli się do snu. Ty’owi spało się zaskakująco dobrze, tylko raz obudziło go wycie dzikich psowatych. Erupcje wulkaniczne nadające Ścianie Popiołu wygląd litego muru musiały osłabnąć, bo na niebie pojawiły się gwiazdy, a na południu było widać pierścień siedliskowy; Oko lśniło mniej więcej nad Galapagos. Najwidoczniej psowate też je wypatrzyły.

Wygramolił się ze śpiwora, wysikał i sprawdził, jak się miewa Kath Dwa. Była rozpalona i miała dreszcze, ale jej stan nie budził poważniejszych obaw.

Zabrali mu zegarek, domyślał się jednak, że musi być około trzeciej nad ranem – minęło więc jakieś dwanaście godzin od zstąpienia thora na ziemię. Ariane i Marge powinny właśnie dolatywać do któregoś z czerwonych siedlisk, ponieważ zgodnie z nieubłaganymi prawami mechaniki orbitalnej transfer na orbitę geosynchroniczną zawsze

zajmował dwanaście godzin. Ciekawe, myślał, czy polecą do Kioto, stolicy Czerwonych, czy do jakiegoś wojskowego siedliska? A może do Kułaka nad Cieśniną Makasarską? W kapsule przechwytowej musiało im być ciasno we dwie; mógł tylko zgadywać, w jakim stanie psychicznym Marge dotarła na orbitę. Większości ludzi konfrontacja przy Srapie Tasmanerze wydałaby się dziwna i krwawa – idealny materiał na dziwaczne pourazowe koszmary senne. Marge nie mogła przewidzieć, że Julia uprowadzi ją pod groźbą użycia broni, ale to i tak była betka w porównaniu z tym, co nastąpiło później. Wydawało się wątpliwe, by patrzyła w niebo i zobaczyła nadlatujący thor. Z jej punktu widzenia po prostu nagle została uwięziona w maciupeńskiej budce z uzbrojoną mutantką i pierwszy raz w życiu doznała poważniejszych przeciążeń – by chwilę później zaznać nieważkości. Pewnie nie tak planowała dzień, wyczołgując się po nocy ze śpiwora. Czy Julijka od razu zaczęła ją przesłuchiwać? A może nie, może była dla niej miła? Albo po prostu wstrzyknęła jej środek uspokajający, żeby Marge spokojnie przetrwała najbliższe dwanaście godzin?

Dla Marge thor musiał być jakimś skrajnym dziwadłem, za to dla Ty'a (i wszystkich innych orbitali) jego pojawienie się równało się wypowiedzeniu wojny; o tak bezczelnym naruszeniu postanowień traktatu Ty nie słyszał od dwudziestu lat. Chociaż, jak się nad tym zastanowić, w Kruczym Gnieździe zdarzało mu się czasem wychwycić strzępki rozmów różnych ważnych ludzi, z których wynikało, że na morzach południowych źle się dzieje. Może nie bez powodu wybrano do Siódemki (kimkolwiek byli wybierający) właśnie Beleda Tomowa, żeby reprezentował teklan – Beleda, który miał plecy całe w bliznach, jakie mogły pozostawić tylko bojowe bicze neoanderów. Zresztą Bard pewnie też skrywał niejedną tajemnicę.

A Ty? On również był weteranem kampanii lądowych i też nosił blizny, które to potwierdzały, ale na jego miejsce można było wybrać wielu innych, lepiej nadających się do poprowadzenia ekspedycji i nawiązania pierwszego kontaktu z istotami, które z punktu widzenia orbitali mogłyby pochodzić z innej planety. Nie, nie, Ty został wybrany ze względu na to, gdzie pracował i kto był właścicielem jego miejsca pracy. Za Kruczym Gniazdem stały bardzo stare pieniądze – tyle bardzo starych pieniędzy, że Właściciele godzili się z comiesięcznymi stratami,

byle tylko lokal nie został zamknięty. Była to poniekąd instytucja charytatywna, służąca jednak nie kulturze i nie sferze duchowej, tylko czemuś, co nazywa się Wyższym Celem. I jeżeli Ty przepracuje tam jeszcze kilka dziesięcioleci, być może jeden z Właścicieli odwiedzi go kiedyś w Dziupli i zechce mu łaskawie wyłożyć naturę owego Celu.

Snując takie rozmyślania, zapadł w sen i zanim ponownie się obudził, słońce zdążyło już wspiąć się na niebo. W zasięgu wzroku pojawił się wojownik z włócznią i rzucił im trzy racje żywnościowe pobrane z zapasów w szybowcu. Einstein obudził się i pożarł swoją rację z zapalem, do jakiego tylko nastolatki są zdolne. Ty jadł spokojnie, popatrując na Kath Dwa: obudziła się na chwilę, żeby zdjąć wieczko ze swojej porcji i skubnąć kilka słabiej doprawionych kęsów, zaraz jednak zwymiotowała, chwilę pocierpiała targana odruchem wymiotnym i znów poszła spać.

Smętny dzień upływał im na prowadzonych na odległość pojedynkach na spojrzenia z kopaczami. Z czasem pojedynki te stawały coraz rzadsze i coraz mniej zawzięte.

– Masz już jakąś teorię? – zagadnął Einstein Ty’ a, gdy zajadali żelazne racje z południowego rzutu.

– Na jaki temat?

– Pingerów.

Nie mając nic lepszego do roboty, Ty podjął wątek:

– Imię tej dziewczyny: Sonar. Ciekawy zbieg okoliczności.

– To znaczy? – Einstein chłonał łapczywie wszystko, co dotyczyło Sonar Taxlaw.

– To wytwór techniki sprzed Dnia Zero: rodzaj podwodnego radaru, tyle że działającego na falach akustycznych. Sonary wysyłały impulsy dźwiękowe nazywane pingami.

– Myślisz, że pingerzy mieszkają pod wodą?

– Wszystko na to wskazuje, poza...

– Poza czym?

– Skąd się wzięli, do cholery?

– Przetrwali? Jak kopacze?

– Nie rozumiem, jak to możliwe.

Żaden ze zwiadowców, którzy poszli szukać Barda i Beleda, nie wrócił, co kazało wszystkim zrewidować poglądy na kwestię tego, kto tu

właściwie jest czym zakładnikiem. Zaginieni mieli znajomych, rodziców i dzieci, którzy zrozpaczeni zaczęli zadawać starszyźnie niewygodne pytania. Późnym popołudniem kontyngent kopaczy został wzmocniony blisko dwudziestką nowych zbrojnych, którzy przyszli od strony wylotu doliny, niosąc martwe zwierzęta na kijach. Kopacze odbyli naradę przy ognisku, a kiedy pojedli do syta, Donno przyszedł do jeńców sam, podpierając się krótką włócznią jak laską – albo jak kosturem czarodzieja. Słońce już zaszło, toteż Ty najpierw go usłyszał, a dopiero potem zobaczył.

– Proponujemy wymianę – powiedział Donno. – Wtedy rozstaniemy się bez dalszych ofiar.

„To tak nazywacie mordowanie ludzi?” – chciał zapytać Ty, ale odparł tylko:

– Doskonale. Jak chcecie to zrobić?

– No cóż... – Donno odrobinę się zapluł. – Najpierw musimy się z nimi porozumieć, ale kogo wyślemy, ten znika!

– Mam to załatwić?

– Jeśli cię wypuszczę, uciekniesz.

– Nie musimy rozmawiać osobiście.

– Macie radio? – spytał podejrzliwie Donno.

Radio. Dziwne, stare słowo. Kopacze starannie zrewidowali jeńców w poszukiwaniu urządzeń komunikacyjnych.

– Nie – odparł Ty.

Sięgnął w tył, do otwartej racji żywnościowej, wyjął z niej chleb i odłamał kawałek. Wszędzie dookoła rozbłysły podwójne iskierki ślepi kruków siwych. Zabrali ze sobą tuzin kruków do szybowca, w przystosowanych do transportu modułarnych kłatkach. Kopacze niechęć wypuścili je na wolność i od tamtej pory kruki kręciły się w pobliżu obozowiska. Natychmiast zorientowały się, co zamierza Ty, i zaczęły walczyć o zajęcie jak najlepszej pozycji, skrzeczając i okładając się nawzajem skrzydłami. Ty wyciągnął przed siebie rękę z kawałkiem chleba. Nie zdążył nawet dobrze rozprostować palców, gdy jeden z kruków porwał kąsek w dziób, z natężeniem wpatrując się w Ty'a.

– Beled – powiedział Ty. – Bard.

Zazwyczaj pokazywało się krukowi zdjęcie adresata, ale te egzemplarze posiadały ograniczoną umiejętność rozpoznawania imion

i kojarzenia ich z twarzami, a Siódemka dodatkowo je w tym szkolila podczas podróży.

– Nasi gospodarze chcą rozmawiać o wymianie więźniów.

Zacisnął dłoń i machnięciem ręki odprawił kruka, który odfrunął w mrok, wywrzaskując wiadomość. Ty spojrział na Donno. Wyraz konsternacji na twarzy kopacza sprawił mu przyjemność.

– Niedługo powinniśmy dostać odpowiedź.

Donno bez słowa odwrócił się i wrócił do obozowiska.

Upłynęło pół godziny. Zrobiło się zupełnie ciemno. Psowate zaczęły wyć. Ty spojrział w niebo, wypatrując pierścienia siedliskowego; podobnie zrobili wszyscy kopacze, ale tej nocy pierścień nie był jedynym obiektem rozświetlającym firmament; z nieba spadał deszcz meteorytów. Dziwnie regularny deszcz. W dodatku leciał prosto na nich.

Rozeźlony Donno przybiegł do jeńców w towarzystwie kilku podobnie nieprzyjaźnie nastawionych wojowników.

– Czy to oddziały szturmowe? Przybywają, żeby was uratować?

– Aha – powiedział Ty. – Czyli wiecie, co to jest?

– Kapsuły, których używacie, kiedy chcecie kogoś szybko przerzucić z orbity na planetę. Odpowiedz na moje pytanie.

– Jesteśmy na terytorium Niebieskich – powiedział Ty i gestem uniesionej ręki powstrzymał nieuchronny protest Donno. – Według zapisów traktatowych – dodał. – Gdyby Niebiescy chcieli nas uwolnić, przylecieliby po prostu z Qayaq ponad górami; to znacznie łatwiejsze niż desant z odległego o czterdzieści tysięcy kilometrów pierścienia orbitalnego.

Siłą woli zmuszał się do utrzymania kontaktu wzrokowego z Donno i przemawiania jak najbardziej spokojnym, swobodnym głosem. Uzbrojeni we włócznie wojownicy otoczyli małe obozowisko jeńców, kierując groty broni do wewnątrz kręgu. Einstein nie był tym zachwycony; Ty wyraźnie słyszał szcęk łańcucha, gdy chłopak pomalutku się do niego przysuwał.

– W takim razie kto to jest? – spytał natarczywym tonem Donno.

– Skoro nie Niebiescy, to najprawdopodobniej Czerwoni.

– Ale waszym zdaniem te tereny należą do Niebieskich!

– Owszem. Zainteresuje cię więc zapewne fakt, że działania Czerwonych stanowią naruszenie zapisów traktatowych i faktyczne

wypowiedzenie wojny.

Donno nie wiedział, co powiedzieć. Ty miał ochotę rzucić: „Witaj w prawdziwym świecie!”, ale zamiast tego dodał:

– Radziłbym to zapamiętać, gdybyście w przyszłości podpisywali z nimi jakieś porozumienia.

Kruk siwy siadł nieopodal na ziemi i spojrzał na Ty’a.

– Idziemy – powiedział.

* * *

Fakt, że kapsuły desantowe miały charakter wojskowy, w oczywisty sposób wynikał chociażby z tego, jak nadlatywały: szybko. Umieszczone blisko ich górnej powierzchni stateczniki otwierały się na wysokości dwóch tysięcy metrów, żeby spowolnić lot, ale dopiero kilkadziesiąt metrów nad ziemią włączały się silniki hamujące – nie jeden silnik, lecz cała bateria małych silniczków na paliwo stałe. Razem tworzyły ognisty cylinder, na którym kapsuła wytracała prędkość, żeby ostatecznie osiąść na trzech owadzych odnóżach, które rozkładały się w ostatniej chwili i amortyzowały lądowanie.

Pierwsze trzynaście kapsuł wylądowało niżej w dolinie, około kilometra od obozowiska, tworząc niemal idealny okrąg. Natychmiast się otworzyły, ale ponieważ stanęły w kręgu zwrócone włązami do środka, ewentualni wrogowie na zewnątrz kręgu zobaczyliby co najwyżej opancerzone tyły ich kadłubów. Sytuacja ewentualnych wrogów wewnątrz kręgu byłaby nie do pozazdroszczenia.

Chwilę później w samym środku wylądowała czternasta kapsuła i ktoś z niej wysiadł. Na dany przez niego znak cała trzynastka wyskoczyła ze swoich kapsuł, wykręciła salto w powietrzu i przypadła do ziemi na brzuchu zwrócona twarzami na zewnątrz. Zainstalowane na grzbietach kapsuł oślepiające reflektory rozświetliły mrok. W warunkach bojowych następnym punktem procedury byłoby strzelanie do wszystkiego, co zobaczą, tym razem jednak na rozkaz dowódcy żołnierze wstali, pochowali katapulty i otrzepali się z piasku. Było wśród nich dziesięciu neoanderów i trzech bardziej zwyczajnych ludzi; ta trójka, podobnie jak dowódca, zaliczała się prawdopodobnie do tak zwanego „typu B” albo

„Beta” – najliczniejszej z aïdańskich podras.

Peleton (taką bowiem nazwę w aïdańskiej nomenklaturze nosił pododdział tej wielkości) stanął w pozycji „spocznij” tyłem do środka kręgu i powstrzymywał się od oglądania się przez ramię, gdy na wytyczonym przez niego obszarze lądowały cztery dalsze kapsuły. Ich pasażerowie nie śpieszyli się z wysiadaniem; wyglądali na cywilów, którzy pierwszy raz biorą udział w zrzucie. Kiedy byli zajęci gramoleniem się na powierzchnię planety, na zewnątrz kręgu wylądowała kolejna kapsuła – nieco inna, większa, towarowa. Peleton przemieścił się i ją także otoczył luźnym kordonem, a cywile otworzyli kapsułę i zaczęli wyjmować ze środka różne przedmioty, w pierwszej kolejności kilka odcinków rury, które po połączeniu utworzyły maszt. Na szczycie masztu zatknęli obręcz, tworząc w ten sposób stylową i nowoczesną wersję totemu kopaczy. Poniżej obręczy przywiązali rozwidlony czerwony proporzec, przez Niebieskich nazywany Wężowym Językiem i często używany przez Czerwonych jako chorągiew na polu bitwy albo – znacznie częściej – podczas zawodów sportowych. Jeszcze niżej zawiesili dużą białą flagę.

Całe przedstawienie było tak wciągające i zabawne, że nawet Ty, który zdawał sobie sprawę, że powinien się skupić na innych sprawach, w pewnym momencie ze zdumieniem stwierdził, że pół tuzina wartowników oddelegowanych do pilnowania jeńców leży na ziemi, targanych konwulsjami. Cokolwiek im się stało, zdarzyło się to na tyle niedawno, że niektóre włócznie wypuszczone przez nich z rąk nie zdążyły jeszcze upaść na ziemię. W jednym z tych charakterystycznych przebłysków intuicji, które czasem zdarzają się człowiekowi w obliczu bardzo szybko zachodzących wydarzeń, Ty zauważył, że liściokształtne groty włóczni są kute ręcznie; przyszło mu do głowy, że metal do ich produkcji mógł pochodzić z odkopanej ciężarówki.

W naturalnym odruchu zerknął w stronę ładunku wybuchowego na szczycie pobliskiego kopczyka... i stwierdził, że przewody detonacyjne zostały przecięte. Dłoń wielka jak płaski talerz mignęła nad szczytem kopczyka, zgarnęła ładunek i cisnęła go w mroki zapomnienia.

Beled zmaterializował się obok wbitego w ziemię palika, przyglądając mu się w niemym zadziwieniu. Obejrzał połączenie palika z łańcuchem, po czym uklęknął, złapał go w obie ręce i zaczął ciągnąć. Langobard,

rozprawiwszy się z ładunkiem wybuchowym, podbiegł do Beleda, przykucnął, wygarnął spod palika trochę ziemi, żeby mieć go gdzie chwycić, i dołożył swoją siłę do siły teklanina. Kiedy pół metra palika nagle się wysunęło, obaj runęli na ziemię. Beled w pozycji pólężącej machnął ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy, i złamał palik tuż nad ziemią. Ty, Einstein i Kath nadal byli skuci ze sobą, ale mogli się swobodnie poruszać.

Ponieważ Langobard działał teraz w dyskretnym trybie zwiadowczym, nie otaczały go pędzące z wizgiem pociągi powietrzne. Wszystkie polatuchy połączyły się w jeden długi sznur, udrapowany na tułowiu Barda w bardzo skomplikowany sposób, który Ty widział już wcześniej i domyślał się, że został wypracowany przez pokolenia neoanderów w ciągu tysięcy lat.

Ty przyciągnął do siebie odłamany palik, przekładając nadmiar łańcucha przez ucho przy obroży, i ujął go oburącz jak pałkę. Jego drugim końcem rozgarnął żar ogniska. Obóz zakładników spowity ciemnością.

Kath, wciąż do połowy zakutana w śpiwór, wymiotowała na czworakach. Beled podszedł do niej, chwycił ją wpół i zarzucił sobie na ramię, a ponieważ praktycznie nie zwolnił przy tym kroku, Ty'owi i Einsteinowi nie pozostało nic innego, jak ruszyć za nim. Zamykający pochód Langobard zgarnął jeszcze w przelocie włócznie. Czyżby pamiątka?

Nie była to najprecyzyjniejsza akcja odbicia zakładników w historii wojskowości, ale też daleko jej było do najbardziej spartolonej; gdyby przybycie Czerwonych nie zaabsorbowało kopaczy z głównego obozowiska, wywiązałyby się zapewne dłuższa walka. Ty zaczynał sobie pomału gratulować, że udało im się uciec, gdy z ciemności, z odległości dosłownie kilku metrów dobiegł głos:

– Patrzcie, co znalazłam.

Właścicielka głosu została natychmiast namierzona czerwonymi plamkami z celowników na katapultach Barda i Beleda. Nie było widać jej twarzy, ale Ty rozpoznał ją po głosie.

– Nie strzelać – powiedział.

Cykla podeszła bliżej. Bard zaryzykował i skierował na nią słabe światło. W ręce trzymała ładunek wybuchowy, który przez przypadek

musiał wylądować w pobliżu głównego obozowiska kopaczy.

– Sonar Taxlaw – powiedział Ty.

– Zapamiętałeś! – zapiszczała, po czym dodała, jakby w charakterze wyjaśnienia: – Tom siedemnasty.

– W porządku, Sonar, możesz odejść. Albo możesz pójść z nami. Osobiście, chociaż wzdragam się na myśl o pozbawieniu twojego ludu wiedzy o ostatnich zagadnieniach na literę S i pierwszych na literę T, radziłbym ci pójść z nami.

Ty zastanawiał się gorączkowo, jak wyjaśnić sytuację Sonar w taki sposób, żeby nie stracić na to połowy nocy, gdy dziewczyna wypaliła:

– Chętnie!

I swoim drobnym, pośpiesznym krokiem zrównała się z nimi.

– To możesz zostawić.

Ty ruchem głowy wskazał grudę materiału wybuchowego.

– Mieszanina heksogenu z woskiem pszczelim i olejem roślinnym – powiedziała Sonar. – Nie eksploduje, dopóki...

– Wiem – przerwał jej Ty – ale nie potrzebujemy tego.

Czując na sobie czyjś wzrok, odwrócił się do Barda. Widział tylko jego masywną sylwetkę, bo ciemność skrywała rysy neoandera, ale domyślał się, że na jego twarzy maluje się niedowierzanie.

– Później wyjaśnię – dodał.

Przez kilkanaście minut zwawo maszerowali pod górę, mając coraz rozleglejszy widok na dolinę. Daleko w dole delegacja Czerwonych dostojnym krokiem zbliżała się do obozowiska przy szybowcu, podążając wczorajszymi śladami Siódemki. Było widać, że chcą się rzucić w oczy: szli w powodzi światła z przenośnych latarni skierowanych przez członków peletonu do wewnątrz szyku. Ten sam cel (pokazanie, że nie zamierzają ukradkiem zbliżyć się do kopaczy) mogliby osiągnąć, gdyby odczekali kilka godzin i ruszyli się dopiero za dnia – ale tak mógł myśleć tylko typowy Niebieski. Tamci woleli to zrobić w nocy ze względu na efekt dramatyczny. W takich teatrzykach Czerwoni byli po prostu lepsi od Niebieskich i już.

Ty omal nie wybuchnął głośnym śmiechem, gdy znalazł się w miejscu, skąd pierwszy raz mógł w pełni docenić paradę Czerwonych. W myślach porównywał ją do żalösnej szopki, jaką dzień wcześniej odstawiła Siódemka. Oczywiście Siódemka została zaskoczona, więc

porównanie było nie do końca uczciwe, ale kopaczy nie interesowała uczciwość. To, co widzieli w tej chwili, prawdopodobnie znacznie lepiej wpisywało się w oczekiwania ludu, który uwięziony pod ziemią przez pięć tysięcy lat mniej więcej w taki sposób wyobrażał sobie ten wiekopomny moment.

Na czele procesji szedł wysoki aïdanin, z bujną grzywą lśniących czarnych włosów, odziany w ceremonialną szatę, która falowała łagodnie, poruszana wiejącym w dolinie zimnym wiatrem, i emanowała ciepłym odblaskiem światła peletonu. Szedł miarowym krokiem, przyjmawszy nedorzecznie teatralną pozę z trzymanym oburącz sztandarem z obręczą; zaciśniętą wyżej rękę odwrócił kciukiem w dół i wnętrzem dłoni naprzód – gest nie miał żadnego znaczenia, ale prezentował się rewelacyjnie.

Kilka kroków za nim podążał starszy mężczyzna z zaczesanymi w tył siwymi włosami i schludnie przystrzyżoną brodą. Szaty miał bardziej stonowane, chociaż widziane z bliska na pewno wyglądałyby oszalamiająco. Zawieszony na złotym łańcuchu medalion opadał mu na pierś. W prawej ręce trzymał lewą dłoń Marge, prowadząc ją jak ojciec córkę do ołtarza. Marge była ubrana tak samo, jak widzieli ją poprzednio, tylko na ramiona miała zarzucony jakiś ciepły płaszcz, który co rusz próbował się z niej zsunąć, gdy wolną ręką machała do swoich bliskich, dając im znać, że jest cała i zdrowa. Kiedy ją rozpoznali i odpowiedzieli jej powitalnymi okrzykami, zamachała z jeszcze większym ożywieniem. Płaszcz spadł na ziemię. Umundurowany beta podniósł go i ponownie narzucił jej na ramiona.

Z daleka było widać, że chorąży i opiekun Marge należą do aretaiców, pierwszego z aïdańskich rodów, poczętego najprawdopodobniej jako przeciwwaga dla dzieci Ewy Dinah. Wysocy i długowłosi aretaicy mieli piękne nosy i nienaganną posturę.

Za Marge i starszawym aretaikiem ramię w ramię szli camilita i drugi beta, połączeni drągiem o długości około dwóch metrów; każdy z nich podtrzymywał jeden jego koniec od dołu, w zgięciu łokci. Pośrodku drąga znajdowała się błyszcząca gruda wielkości ludzkiej głowy, w której każdy orbital z miejsca rozpoznałby żelazoniklową asteroidę – rzecz w kosmosie równie pospolitą jak suche liście w odtworzonych ziemskich lasach, za to na planecie nadzwyczaj rzadko spotykaną, nawet

po Kamiennym Deszczu. Ariane musiała powiedzieć swoim przełożonym o ciężarówce: wykopanie jej i wymontowanie silnika świadczyło o tym, jak cenny jest dla kopaczy metal i jak bardzo wdzięczni byliby za taki prezent. Zresztą nie było wcale wykluczone, że od początku transmitowała przebieg misji po szyfrowanych łączach wprost do Kioto. Tak czy inaczej, asteroida lepiej nadawała się na dowód przyjaźni niż złamane stylisko łopaty.

Dwaj członkowie peletonu byli muzykami: w pewnym momencie jeden zaczął bić w niesiony na brzuchu bęben, a drugi wygrywać melodię na lśniącym rogu. Ty dałby sobie głowę uciąć, że zna ją z Eposu, ale dopiero Bard pomógł mu ją umiejscowić.

– *Bread of Heaven* – powiedział. – Rufus i spółka śpiewali to, kiedy zamykali wejście do kopalni.

– Pieśń znana również pod tytułem *Prowadź mnie, o Wielki Jahwe* lub, w oryginale walijskim, *Cwm Rhondda* – dodała Sonar Taxlaw.

– Ożeż w mordę, oni naprawdę są nieźli! – wykrzyknął Ty.

– Jak myślisz, długo się do tego przygotowywali? – zapytał Bard.

– Wyprzedzają nas o całe miesiące, może nawet lata – odparł Ty. – Chociaż z drugiej strony trzeba przyznać, że nie widzę nic takiego, czego nie dałoby się zaimprovizować w ciągu paru godzin.

– Zgadza się – przytaknął Beled, obserwujący procesję przez przyrząd optyczny. Ostrożnie położył Kath na ziemi, a ona skuliła się w pozycji płodowej wokół jego łydki. – To kółko na czubku sztandaru to zwykła obręcz do ćwiczeń gimnastycznych oklejona srebrną taśmą. A ta biała flaga? Zwykle prześcieradło.

– Musimy to oglądać do końca? – spytał Bard i spojrzał wyczekująco na Ty'a. To nie było pytanie retoryczne. Bard czekał na rozkazy.

Beled również przeniósł wzrok na Ty'a.

– Co z nią? – spytał Ty. – Tętno i oddech w normie?

Teklanin skinął głową.

– Nic nadzwyczajnego – odparł.

Chodziło mu o to, że nagłe zmiany hormonalne w organizmie Kath przyprawiły ją o coś na kształt porannych mdłości. Jej mikrobiom – ekosystem bakterii żyjących w jelitach i na skórze – znalazł się w stanie chaosu, a ona sama padła ofiarą inwazji wszelkich możliwych zarazków, w tym także tych przenoszonych przez kopaczy, które nigdy wcześniej

nie miały do czynienia z moirańskim organizmem.

– Możesz ją wziąć na plecy albo coś w tym rodzaju?

Beled znów skinął głową i przyklęknął na jedno kolano. Zdjął plecak, wytrząsnął jego zawartość na ziemię i zaczął wycinać w dolnych rogach otwory na nogi, żeby móc włożyć Kath do środka jak dziecko do nosidełka.

– Nie możemy wykluczyć, że nasi zaraz się tu pojawią, i to w znacznej liczbie – powiedział Ty, mając na myśli armię Niebieskich. Spojrzał na południe, ponad góry, ale niczego tam nie zobaczył. Nie było w tym nic dziwnego: gdyby wysłano żołnierzy z Qayaq, lecieliby z wygaszonymi światłami. – Macie z nimi kontakt?

– Mamy – przytaknął Bard.

Korzystając z krótkiej przerwy, z kieszeni przy pasie wyjął przyborek uniwersalny. Podszedł teraz do Ty'a, który podsunął mu złamany palik, złapał cęgami łeb śruby i zaczął ją wykręcać.

Ty ze znużeniem pokiwał głową. W pewnym sensie zadał właśnie głupie pytanie, ale odkąd kopacze zaskoczyli ich swoim atakiem (prawdę mówiąc, zaskoczyli ich już samym swoim istnieniem), był bez reszty pochłonięty rolą jeńca przetrzymywanego w warunkach tak prymitywnych, że niemal komicznych. A powinien był myśleć bardziej perspektywicznie.

Niebiescy mogliby zrzucić na tę dolinę tyle bomb, że cofnęłyby się do epoki kamienia łupanego... Chociaż nie, niekoniecznie: ona wciąż tkwiła w tej epoce.

Bard i Beled już wcześniej przesłali wiadomość do Denali, teklańskiego siedliska wojskowego położonego najbliżej południka 166°30'. Wszyscy ważni Niebiescy wiedzieli więc już o istnieniu kopaczy, nieudanej próbie nawiązania kontaktu oraz o konflikcie i zakładnikach. Thor na pewno im uświadomił, że Czerwoni są o krok przed nimi; niedawny desant nie pozostawiał żadnych złudzeń w tej kwestii. Powódź światła, w której pławiła się delegacja Czerwonych, była nie tylko teatrykiem dla kopaczy, lecz miała zostać wypatrzona z orbity przez teleobiektywy.

Faktem było, że za trzydzieści sekund Czerwoni nawiążą pierwszy kontakt z kopaczami i wyjdzie im to znacznie lepiej niż Niebieskim dzień wcześniej. Ariane na pewno ich przygotowała, poinstruowała, co

mają mówić: tak, oczywiście, uznajemy wasze roszczenia do całej Ziemi. To zrozumiałe i sprawiedliwe. My mamy aż nadto przestrzeni na orbicie. Nie musimy zakładać osad na powierzchni. Rzecz jasna, nie możecie ufać Niebieskim; przekonaliście się o tym na własnej skórze. Być może dalibyśmy się przekonać, żeby utrzymywać tutaj ograniczony kontyngent wojskowy, po to tylko, żeby powstrzymać ich przed próbami zawłaszczenia waszego terytorium. A skoro już tu będziemy, nie od rzeczy będzie wprowadzić w życie jakiś program wymiany kulturalnej. Dysponujemy wysoko rozwiniętą medycyną, opieką dentystyczną, technologią, która pomoże wam odbudować waszą cywilizację... Jak możemy wam pomóc?

– Dzisiaj Niebiescy się nie pojawią – orzekł Ty. – Ich przybycie byłoby Czerwonym na rękę. – Skinieniem głowy wskazał pochód, który dosłownie metry dzieliły od kontaktu z równie liczną grupą kopaczy. – Za to niektórzy członkowie tego peletonu mogą ruszyć za nami. Wyszliby na bohaterów, gdyby zdołali sprowadzić nas z powrotem, zakutych w łańcuchy.

– Albo przynieść nasze głowy zatknięte na włóczniach – zasugerował od niechcienia Bard.

– Cii! – Ty obejrzał się na ich najnowszy nabytek, ale Cykla nie wyglądała na specjalnie przejętą. – Sonar? – zagadnął ją. – Musimy ruszać, żeby wymknąć się ewentualnym patrolom, zanim wstanie dzień. Dasz radę? Będziemy szli po ciemku, szybko, w trudnym terenie.

– Pewnie – odparła z nieco przesadną pewnością siebie. Zanim jednak zdążył ją przycisnąć, zapytała: – Rozumiem, że pójdziemy na północ?

– Skąd ten pomysł?

– Główna grupa wyruszy na południe, gdy tylko wzejdzie słońce.

– Jak daleko na południe zamierzaliście pomaszerować?

W tym miejscu od południowego wybrzeża Beringii dzieliło ich niespełna sto kilometrów.

– Nad morze – odparła Sonar, jakby odpowiedź była oczywista.

– I co wtedy?

Pytanie wydawało się łatwe, ale dziewczyna zareagowała wybuchem śmiechu.

– Wtedy zaczną się zastanawiać, co się ze mną stało! – wykrztusiła, gdy udało jej się nieco opanować wesołość.

- Pewnie już się zastanawiają – zauważył Einstein.
- Nie, nie o to mi chodziło. Wtedy będę im potrzebna.
- Do czego?
- To zagadka.

Śruba została przez ten czas wykręcona i Ty przeciągnął łańcuch przez ucha w swojej obroży, po czym rozpiął ją i rzucił na ziemię. Zwrócił tym uwagę Cykli, dla której był to zapewne wstrząsający sposób traktowania bezcennego metalu. Ty, nareszcie wolny, ścisnął w obu rękach obłamany palik i walczył z naturalną chęcią zdielenia jej po głowie. To nie był dobry moment na zagadki.

Einstein również wyplątał się z łańcucha, po czym zaniósł go do Kath, żeby pomóc jej się uwolnić.

– Celem waszej wyprawy, przynajmniej, zanim nasze ścieżki się skrzyżowały, było dotarcie nad morze i nawiązanie kontaktu z pingerami – powiedział Ty.

– Pingerami? – powtórzył Bard.

Ty udał, że nie słyszy. Skupił się na Cykli.

– Jako osoba posiadająca wiedzę zawartą w siedemnastym tomie *Encyclopaedia Britannica* jesteś dla kopaczy najlepszą namiastką specjalistki w zakresie jedynej technologii, która może przywołać pingerów.

– Specjalizuję się także w wielu innych dziedzinach: sofistyka, papież Sylwester II...

Ty postanowił puścić ten żart mimo uszu, nie próbując jej ani zachęcić, ani zniechęcić do dalszych psot.

– Co zamierzaliście im powiedzieć?

– To oni chcieli rozmawiać z nami, nie my z nimi! Zostawili nam wiadomość: kamienny kopczyk na plaży. Zamierzaliśmy na nią odpowiedzieć.

Cisza, która zapadła po tych słowach, ogromnie się przeciągnęła – na tyle długo, że ostatnie nuty *Bread of Heaven* wybrzmiały wśród skalnych ścian, aïdański przywódca przeszedł od wstępnego ogólnikowego powitania (napisanego i wygłoszonego w perfekcyjnej pre-Zerowej angielszczyźnie) do zajmujących cały akapit wstrząsająco czołobitnych pozdrowień, a Beled zdążył przełożyć rozkutą Kath do swojego plecaka.

– Ruszamy na południe – zarządził w końcu Ty. – Bard, dotrzy muj

towarzystwa Cykli; jeżeli będzie nas spowalniać, poniesiesz ją. I daj mi swoje radio.

– Moje co?! – wykrzyknął Bard.

– Urządzenie elektromagnetyczne służące do... – zaczęła Sonar, ale Ty wszedł jej w słowo:

– Gadżet, przez który nawiązaliście kontakt z Denali. Powiem im, że właśnie dostaliśmy drugą szansę.

– Na co?

– Na zaprzyjaźnienie się z rdzennymi mieszkańcami tej planety.

* * *

Następnego dnia przeszli przez przełęcz w nadbrzeżnych górach i zaczęli schodzić w stronę morza. Kiedy łatwiejszy teren umożliwił w końcu nawiązanie w miarę normalnej rozmowy, Ty zagadnął Sonar:

– Ile jest wszystkich Cykli?

Nagłym, dziwnie ptasim gestem odwróciła głowę w jego kierunku i obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem. Nie patrzyła ludziom w oczy, ale przez cały dzień kręciła się gdzieś na skraju pola widzenia i rzucała ukradkowe spojrzenia.

– Wiem – ciągnął Ty – że tyle, ile tomów *Encyclopaedia Britannica*, ale nie znam tej liczby. U nas żadne egzemplarze się nie zachowały.

– Jest Dziesiątka, Dziewiętnastka i Jedyńska – odparła Sonar. – Dziesiątka to tak zwana Mikropedia: dużo krótkich artykułów. Dziewiętnastka tworzy Makropedię; artykuły są w niej dłuższe, obszerniejsze. Jedyńska to Propedia, indeks tematyczny.

– Do której kategorii należysz?

Idący przodem Einstein odwrócił się.

– Przecież już nam powiedziała – zawołał – że jest tomem siedemnastym!

Zazwyczaj pogodny nagle zrobił się dziwnie drażliwy. Odwrócił się, żeby mieć baczenie na kamienisty teren. Spod kucyka błysnął mu zaczerwieniony kark.

– Przepraszam – zmitygował się Ty i znów zwrócił się do Cykli: – To przypadkowy wybór czy...

– Nie!

No jasne. Oczywiście, że nie.

– Starsze Cykle uczyły mnie na prostszych książkach, żeby ocenić, czy się nadam.

– Kiedy to było? Ile miałaś lat?

– Kiedy postanowiono, że nie będę rozplodowa.

Einstein znów się odwrócił, tym razem tak gwałtownie, że pośliznął się i klapnął na tyłek. Jego reakcja była tak pośpieszna, że Ty musiał odwrócić wzrok, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Przy tej okazji spojrzął jednak na Barda i stwierdził, że ten zмага się z podobnym problemem. Obaj przystanęli na chwilę i odwrócili się do siebie plecami, z trudem hamując wesołość.

– Gdybym pokusił się o zgadywanie, jakie pytania zaprzętają w tej chwili umysł młodego Einsteina – odezwał się po chwili Bard – czy niestosownym byłoby z mojej strony dociekanie, co dokładnie sprawiło, że „nie będziesz rozplodowa”?

Cykla wzruszyła ramionami, spoglądając w stronę oceanu takim wzrokiem, jakby ostatnio nie zastanawiała się nad tą sprawą.

– Nie wiem. Wątła postura? Niepozorny wygląd? Ogólna przeciętność?

– Dla ustalenia kontekstu... – wtrącił się Ty. – Jeżeli weźmiemy dziesięć kobiet, ile z nich zostaje przeznaczonych do rozplodu?

– Czy ja wiem... Ze cztery?

– Czyli tych nierozplodowych jest więcej niż rozplodowych – podsumował Ty na użytek Einsteina.

– Oczywiście teraz, kiedy wyszliśmy z Dziury i mamy więcej przestrzeni do życia, więcej ludzi się rozmnaża. Ja mówię, jak to wyglądało dziesięć lat temu.

Wcześniej już im powiedziała, że ma szesnaście lat.

– Rozumiem. Czyli ich zdaniem, kiedy masz sześć lat, wiedzą o tobie dostatecznie dużo, żeby podjąć taką decyzję. Zaczynają ci podsuwać łatwiejsze książki. Co dalej?

– Jeżeli radzisz sobie z czytaniem, zaczynasz czytać całą Cyklę.

– Stąd wiesz o radiu, zmarszczce nakątnej i innych hasłach z tomów innych niż siedemnasty.

– Tak. Bo trzeba przeczytać całość. Kiedy masz dziesięć lat, zapada decyzja, czy nadajesz się do Mikro-, czy Makropedii.

– Jedna z nich cieszy się większym prestiżem niż druga?

– Ależ naturalnie! – wykrzyknęła Sonar, nie wdając się w szczegółowe wyjaśnienia.

– Mikropedia to po prostu kucie na blachę mnóstwa błahostek – strzelił Einstein, dość ryzykownie, trzeba przyznać, bo przecież mógł się mylić. Ale miłość bywa porywcza.

– To prawda. Żeby należeć do Dziewiętnastki, trzeba więcej spamiętać – przyznała Sonar, posławszy mu życzliwe spojrzenie.

– I jak to załatwiacie? – spytał Ty. – Musiałś zabić poprzednią Sonar Taxlaw w pojedynku?

Po czym natychmiast skłął się w duchu, bo kopacze nie sprawiali wrażenia ludzi obdarzonych wybitnym poczuciem humoru. Einstein spiorunował go wzrokiem.

– Nie, nie w tym wypadku – odparła uprzejmie Cykla, pomijając kwestię tego, w jakich to innych wypadkach kopacze stosują takie rozwiązania. – Moim nauczycielem był Ceylon Congreve.

– Cóż za piękne, dystyngowane imię! – zachwycił się Langobard. – Tom trzeci?

– Czwarto – poprawiła go Sonar z nutą zaskoczenia w głosie, jakby nie mieściło jej się w głowie, że ktoś może nie wiedzieć takich rzeczy.

– Czy zachował się papierowy oryginał *Encyclopaedia Britannica*? – spytał Ty.

– Owszem, ale używamy go wyłącznie w celach ceremonialnych. Na co dzień pracujemy na odręcznych kopiach.

– Rufus musiał zachomikować mnóstwo papieru.

– Całe tony. Papier bezkwasowy, sto procent bawełny.

Podczas nocnej ucieczki przez góry nie mieli zbyt wiele czasu na takie rozmowy i ich wiedza o kulturze kopaczy w dalszym ciągu była dość fragmentaryczna. Pewnych rzeczy mogli się domyślać na podstawie związanych z Kamiennym Deszczem faktów historycznych. Faza nazwana później Schłodzeniem rozpoczęła się dopiero trzy tysiące dziewięćset lat po Dniu Zero, kiedy wysiłki ludzkich ras zmierzające do uporządkowania pasa księżycowych odłamków w końcu przyniosły efekt w postaci gwałtownego zmniejszenia liczby spadających na planetę meteorytów. Wcześniej kopacze nie mieli innego wyjścia, jak utrzymywanie liczebności populacji na stałym, niewysokim poziomie,

żeby pomieścić się w zagospodarowanej przez Rufusa przestrzeni. Rozbudowę Dziury ograniczał fakt, że stanowiła układ zamknięty i nie byłoby gdzie składować wydobytej podczas kopania ziemi. Każdy, kto kiedykolwiek kopał dół łopata, wie o tym, że odwał zawsze ma większą objętość niż wykopana dziura. Trochę odpadów górniczych zmieściło się w nieużywanym głębokim szybie, ale po jego zapełnieniu nie mogli bardziej rozbudować podziemnego kompleksu, dopóki Kamienny Deszcz czynił przekopanie się na powierzchnię zbyt ryzykownym. Przez cały ten czas – dobrze ponad trzy tysiące lat – kopacze angażowali więc wszelkie siły i środki w zapewnienie przetrwania społeczności liczącej kilkaset osób. Stąd rygorystyczna kontrola urodzin. Dzięki Cyklom wiedzieli o antykoncepcji, ale nie mieli jak produkować pigułek i prezerwatyw, toteż wiedza ta była praktycznie bezużyteczna. Ograniczenie rozmnażania się osiągnano przez nakazy moralne, segregację płciową i chirurgiczne zabiegi sterylizacyjne – wykonywane, podobnie jak wszystkie inne operacje, bez znieczulenia od momentu, gdy skończył się zapas środków znieczulających, co nastąpiło dość szybko po Dniu Zero. Później musiała im wystarczyć akupunktura i zagryzanie w zębach różnych twardych przedmiotów.

Z jednej strony spadek natężenia Kamiennego Deszczu powinien być dla nich oczywisty, bo przez ściany Dziury słyszeli uderzenia meteorytów. Z drugiej łatwo było go przeoczyć, bo nawet dramatyczne zmiany rozciągały się na całe pokolenia. Ponieważ jednak skrupulatnie odnotowywali częstotliwość i siłę uderzeń bolidów, pod koniec Czwartego Tysiąclecia zauważyli tendencję spadkową obu tych wartości. Kiedy doszli do wniosku, że zrobiło się bezpieczniej, wydrążyli w skale sztolnię i przebili się na zewnątrz góry, celując w zbocze, co do którego mieli nadzieję, że jest dostatecznie strome, by nie zalegały na nim kamienne odłamki, które usłały większość powierzchni Ziemi. Ze stromizną stoku trafili w dziesiątkę, ale gruz gromadzący się u podnóża góry sięgnął wyżej, niż się spodziewali, i niewiele brakowało, żeby zablokował wylot sztolni – ponieważ jednak go nie zablokował, mogli tą drogą usuwać odpady z rozbudowy Dziury. Atmosfera na powierzchni nie nadawała się jeszcze do oddychania, musieli więc zamykać wylot sztolni, kiedy niczego przez nią nie wyrzucali. W przeciwnym razie wyziewy z zewnątrz przesączałyby się do środka i zatrzymałyby układ

oczyszczania powietrza, od czterech tysięcy lat pieczołowicie konserwowany i utrzymywany na chodzie. Pod względem zasady działania system ten przypominał układy funkcjonujące w siedliskach orbitalnych. Do usuwania dwutlenku węgla służył dwojaki mechanizm: chemiczne skrubery oraz rośliny zielone. Jedne i drugie wymagały energii – skruber trzeba było podgrzać, żeby pozbyć się nagromadzonego w nim CO₂, a rośliny potrzebowały światła. Odcięci od Słońca kopacze pozyskiwali energię geotermalną za pomocą aparatury, którą ludzie z pokolenia Rufusa zainstalowali głęboko w trzewiach góry. Konserwacja tego sprzętu wymagała ustawicznego zaangażowania wszystkich mieszkańców Dziury. Kiedy wyczerpał im się zapas świecących diod, wskrzesili – zasięgnąwszy rady u Cykli – sztukę produkcji żarówek: w rzemieślniczo dmuchanych szklanych bańkach instalowali ręcznie skręcane włókna żarowe. Podobnie radzili sobie z innymi niezbędnymi rzeczami.

Ty, który nie wyznawał się na technice, nie interesował się szczegółami. Ktoś z zacięciem inżynierskim mógłby tygodniami wypytywać Sonar Taxlaw o wszystkie detale, które umożliwiły kopaczom przetrwanie pod ziemią przy skrajnie ograniczonych zasobach, na razie jednak ważniejsze było ogólne zrozumienie ich kultury, które tłumaczyłoby ich zachowania.

Konieczność wykształcenia autorytarnej formy rządów była oczywista. Każda forma władzy, której jednym z głównych celów było powstrzymanie podwładnych od bzykania się na prawo i lewo, musiała budzić w ludziach skrajny respekt. Gdyby ci sami ludzie zamieszkiwali – powiedzmy – rolniczy raj delty Nilu, może za fundament takiej władzy wystarczyłyby jakieś mętne dogmaty religijne, ale kopacze zostali zamknięci we wnętrzu olbrzymiej maszyny, której awaria zgładziłaby ich wszystkich. Dlatego musieli stworzyć kulturę, w której inżynieria była duchem. Ograniczone zapasy wolframu, przezornie zgromadzone przez Rufusa, wymagały rozumnego, oszczędnego gospodarowania, żeby nawet odlegli potomkowie pionierów, żyjący tysiące lat później, mogli wytwarzać żarówki i doświetlać nimi rośliny wytwarzające pożywienie i tlen. Podobnie rzecz się miała z całą masą codziennych drobiazgów. Zawsze trzydzieści osób – Dziesiątka, Dziewiętnastka i Jedyńka – pełniło rolę Cykli i przyuczało do tego fachu kolejne

trzydzieści. Inni też wypełniali bardzo konkretne role: matki rozplodowej, dmuchacza szkła, akupunkturzysty, zwijacza włókien, hodowcy ziemniaków, konserwatora pomp. Pod względem strukturalnym kultura kopaczy do złudzenia przypominała typową teokrację z epoki brązu, tyle że pozbawioną wszelkiego pierwiastka boskiego czy w ogóle nadprzyrodzonego.

Pod tym względem nie odbiegała specjalnie od subkultur wytworzonych w siedliskach orbitalnych w Pierwszym i Drugim Tysiącleciu i Ty nabrał nadziei – przynajmniej na krótki czas – że ta analogia pomoże mu ją zrozumieć. Nadzieja okazała się jednak płonna. Owszem, pierwsi orbitale również żyli w ciasnocie i tak samo jak kopacze byli całkowicie uzależnieni od maszyn, więc pewna bliskość kulturowa nie powinna dziwić, ale zawsze mogli wyrzeć na zewnątrz ze swojego siedliska, rozeznać się w sytuacji, a w końcu – po dwóch tysiącach lat kulenia się pod osłoną wyjątkowo dużych kosmicznych kamieni – wyjść na zewnątrz i zacząć działać. Dla kopaczy jedynym sposobem oceny bieżącej sytuacji było nasłuchiwanie głośnych łomotów, zliczanie ich na papierze (bezkwasowym, sto procent bawełny) i porównywanie tych rachunków z podobnymi wyliczeniami, których jakiś ich przodek dokonał dwieście lat wcześniej. Przez pierwsze cztery tysiące lat wszelkie nadzieje na lepszą przyszłość musiały być postrzegane jako czyste szaleństwo – ba, gorzej nawet: jako zdrada przyświecających kopaczom ideałów, ponieważ człowiek, który ma nadzieję, ma również skłonność do zbędnego ryzyka i szastania zasobami.

Wszystko to kreśliło bardzo wyrazisty – i bardzo niewesoły – obraz pierwszych czterech tysiącleci. Takie społeczeństwa niechętnie przyjmują zmiany, dlatego Ty'a najbardziej interesowały wydarzenia po przebicciu sztolni, która umożliwiła pozbywanie się odpadów górniczych i rozbudowę podziemnego królestwa. Życie codzienne kopaczy nie zmieniło się jakoś spektakularnie, ale zyskali przynajmniej teoretyczną możliwość rozwoju terytorialnego swojej cywilizacji i zwiększenia liczebności populacji.

Do wszystkich tych wydarzeń doszło ponad tysiąc lat temu. Od tamtej pory dziura systematycznie się rozwijała: najpierw jej populacja urosła do dwóch tysięcy mieszkańców, by z czasem (około roku 4700, gdy

powietrze na Ziemi stało się zdatne do oddychania) sięgnąć nawet dziesięciu tysięcy – i przez cały ten czas kopacze nie wychodzili na powierzchnię, bo niewiele mogła im ona zaoferować.

W którymś momencie Komitet (tak nazywali rządzące nimi ciało) uświadomił sobie, że w przestrzeni kosmicznej żyją ogromne masy ludzi, którzy prowadzą intensywne działania w ramach projektu TerReForm. Kopacze mogli wtedy wyjść na powierzchnię i nadać jakieś SOS, ale zamiast tego postanowili się ukryć, zamaskować hałdy odpadów górniczych i unikać wszelkiego kontaktu z orbitalami. Należało zatem postawić ważne pytanie: dlaczego dokonali takiego wyboru? Sonar Taxlaw niewiele mogła im w tej kwestii pomóc. Kiedy Ty i inni ją o to wypytywali, udzielała wymijających odpowiedzi; wyłaniał się z nich obraz podziemnej kultury, w której o takich sprawach po prostu się nie rozmawiało.

Było jednak całkowicie oczywiste, że podjąwszy tę decyzję, Komitet tłumaczył ją, usprawiedliwiał i utrzymywał poprzez przedstawianie orbitali jako mutantów z kosmosu, a także pielęgnowanie wysoko rozwiniętego poczucia żalu w stosunku do tchórzy, którzy uciekli i porzucili kopaczy na pastwę losu. Wszystko to uwidoczniło się z bolesną wyrazistością podczas krótkiej i tragicznej w skutkach rozmowy Doca z ekipą kopaczy.

* * *

Wiedza Einsteina na temat najbliższej okolicy, folklor geograficzny zgromadzony w encyklopedycznym umyśle Cykli oraz cyfrowa mapa Beleda umożliwiły im wytyczenie i bieżące korygowanie kierunku marszu. Zadanie utrudniały przeszkody terenowe i duże zwierzęta, z którymi spotkania woleli unikać. Do tej drugiej grupy mogły się teoretycznie zaliczać także wojskowe patrole Czerwonych, ale nie mieli powodu przypuszczać, że już są ścigani. Zresztą po co Czerwoni mieliby sobie zawracać nimi głowę? Sprowadziwszy do obozowiska paru skutych łańcuchem Niebieskich zapunktowałiby pewnie u ich nowych przyjaciół, ale wygnanie wroga w ciemność nocy było niewiele mniej skuteczne – a może nawet bardziej, jeśli wziąć pod uwagę zakorzeniony wśród kopaczy wizerunek orbitali-tchórzy.

Ty zastanawiał się nad tym, czy nie wytłumaczyć Cykli, że gdyby kopacze przekroczyli południk 166°30' i po jego zachodniej stronie zaczęli zgłaszać niedorzeczne pretensje do ziemskich lądów, Czerwoni – zamiast witać ich muzyką i żelaznymi samorodkami z kosmosu – zmiażdżyliby ich na proch. Doszedł jednak do wniosku, że obciążanie nieszczęsnej dziewczyny taką wiedzą na nic się nie zda.

Zaszyli się w mizernej kryjówce pod skalną płytą wielkości boiska futbolowego, wbitą jak ostrze w południowy stok przybrzeżnej góry. Tam spędzili cały dzień, odpoczywając po wysiłku, przeczekali burzę śnieżną i nawiązali kontakt z odbiornikiem w Denali. Wojsko Niebieskich zrzuciło w burzy kapsułę. Kath obudziła się na chwilę i poinformowała ich, że kapsuła wylądowała kawałek w dół zbocza od nich. Bard udał się we wskazanym kierunku, potężnymi stopami ubijając śnieg jak raketami śnieżnymi. Wrócił po kwadransie, wlokąc kapsułę za sobą, i przez kilka długich minut przyglądał się Kath. Choroba ustąpiła, ale Kath nadal dużo spała i budziła się tylko po to, żeby coś zjeść, coś wydalić albo wygłosić jakieś enigmatyczne stwierdzenie.

Kapsuła zawierała jedzenie, paliwo, amunicję, roboty i wyposażenie ułatwiające wędrówkę w śniegu, które bardzo im się przydało następnego dnia, gdy schodzili z gór ku morzu. Na niebie wisały ciężkie chmury, niemal stale okrywające te rejony, więc jeśli ktoś miał ich obserwować, musiałyby to robić albo bezpośrednio, idąc po ich śladach, albo za pomocą latających robotów – tyle że teraz mieli własne latające roboty, które poinformowałyby ich, gdyby byli tropieni. Ponieważ roboty milczały, mogli mieć względną pewność, że nikt ich nie śledzi – poza dużymi psowatymi, które jednak najczęściej obwieszczały swoją obecność głośnym wyciem. Z ich powodu następna noc była niespokojna i zakończyła się wczesną pobudką do ostatniego etapu marszu, który zmienił się w chaotyczny odwrót z alpejskiej strefy klimatycznej nad Pacyfik.

Podczas przerwy na obiad dostrzegli trzy jednoosobowe szybowce – nadmuchiwane, takie same jak ten, którego Kath Dwa używała w swojej misji zwiadowczej – nurkujące i unoszące się nad wybrzeżem mniej więcej w okolicy Qayaq. Ponieważ maszyny miały niebieskie oznakowania i nadawały niebieskie kody rozpoznawcze, Beled poinformował je o swoim położeniu. Niedługo potem szybowce

wylądowały na porośniętej wrzosami łące kilkaset metrów od wędrowców. Piloci wysiedli, wypatroszyli ładownie i zaczęli spuszczać powietrze z szybowców, szykując się do ich zrolowania. Zajmował się tym głównie jeden z nich, teklanin, niższy i smuklejszy od Beleda. Pozostali dwaj, wolni od pilnych zajęć, podeszli bliżej. Jeden był camilitą, z postury i sposobu poruszania się przypominającym bardziej mężczyznę niż kobietę, toteż Ty zakonotował sobie, żeby, zwracając się do niego, używać męskich form gramatycznych – przynajmniej do czasu, aż sam zainteresowany zaoponuje. Miał na sobie utylitarny kombinezon zwiadowcy z naszywkami z czerwonym krzyżem na piersi i ramionach, które identyfikowały go jako lekarza. Jego towarzyszem był ivyn w średnim wieku, ubrany po cywilnemu, stosownie do warunków pogodowych i minimalnie bardziej elegancko niż przeciętny mieszkaniec beringiskiej dziczy.

Obserwując ich z osłoniętej kryjówki ponad łąką, Ty miał mieszane uczucia. Każda pomoc była oczywiście mile widziana, a on miał dość rozumu, żeby nie spodziewać się demonstracji siły. Niebieskie władze, które kompletnie dały się zaskoczyć i sromotnie przegrały pierwszą rundę z Czerwonymi, w dalszym ciągu analizowały sytuację i rozważały dostępne możliwości działania. Na użytek opinii publicznej najprawdopodobniej przedstawiały Siódemkę jako niewinny oddział zwiadowczy, który wpadł w zasadzkę – nie chciałyby więc teraz podważać tej wersji poprzez wysłanie oddziału wojska.

Naszywka identyfikacyjna na mundurze camility głosiła „Hope”, „Nadzieja”, co prawdopodobnie oznaczało, że podobnie jak wielu jego pobratymców używa tylko imienia. Przygięty pod ciężarem lekarskiego plecaka od razu podszedł do Kath. Beled i Bard zeszli na łąkę, żeby pomóc teklaninowi przy składaniu szybowców.

Ivyn już z daleka obrał za cel Ty'a i podszedł prosto do niego. Na mundurze miał naszywkę „Esa” (skrótowiec ten regularnie przewijał się w tle scen z Eposu i oznaczał „European Space Agency”, czyli Europejską Agencję Kosmiczną; z upływem lat stał się popularnym nazwiskiem), przedstawił się zaś jako Arjun. Ty zastanawiał się, czy nie zapytać bez ogródek, kim jest i czym się zajmuje, że akurat teraz został tu oddelegowany, ale zdawał sobie sprawę, że nic w ten sposób nie wskóra: Arjun na pewno miał przygotowaną jakąś nieciekawą odpowiedź.

A w rzeczywistości był zapewne wysokim rangą analitykiem wywiadu z pięcioma dyplomami uniwersyteckimi w kieszeni.

– Jak to wszystko wygląda z perspektywy pierścienia? – zapytał Ty. – A może wcale nie chcę wiedzieć?

To pytanie wystarczyło, żeby Arjun zerwał kontakt wzrokowy i zapatrzył się na morze.

– Aż tak źle? – ponaglił go Ty.

– Wiesz, jacy są aretaicy.

– Zrobili z tego wielkie show?

– To chyba najlepsze określenie. Ja wciąż nie do końca to ogarniam. Oczywiście rzadko mamy okazję oglądać przekazy z czerwonej części pierścienia.

– Propaganda, nic więcej.

– To prawda. Kiedy to oglądamy, śmiejemy się z barokowego przepychu i przestylizowania, a jednak nie możemy się wyzbyć obaw, że są wśród Niebieskich ludzie, którzy mogliby...

– Uwierzyć w te bzdety?

– Otóż to.

– Czyli Czerwoni nadali to wszem wobec.

– Na żywo. – Arjun pokiwał głową. – Na cały pierścień.

– Szkoda, że to przegapiłem. Zwialiśmy tuż przed tym, jak doszło do kontaktu; wydawało się, że to najlepszy moment.

– Znakomita taktyka – pochwalił Arjun. – Oszczędziła wam sporo nerwów.

– To znaczy?

Arjun wreszcie spojrział Ty'owi w oczy.

– Kopacze okazali się równie podatni na zaloty Czerwonych, jak odporni na wasze.

Ty'a ścisnęło coś w piersi: świadomość, że zawiódł i że ludzie się o tym dowiedzieli. To było dla niego nowe uczucie. Nie podobało mu się.

– Kopacze to łyknęli, tak?

– Od razu, na miejscu, podpisali sojusz z Czerwonymi. Czerwoni uznali ich prawa do wszystkich ziemskich lądów i zaapelowali do Niebieskich, by ci uczynili podobnie.

– Zwyczajna ludzka przyzwoitość – skwitował z przekąsem Ty.

– Naturalnie. Potrząsanie szabelką zaczęło się następnego dnia...

Esa Arjun urwał w pół zdania, zobaczywszy Sonar Taxlaw. Stała obok Einsteina, który objaśniał jej działanie szybowców. Ty zdążył już do tego przywyknąć: ci dwoje, gdy tylko nie spali, bez przerwy coś sobie wyjaśniali. Ale dla Arjuna było to coś nowego.

– Ona jest... – Zawiesił głos.

Ty próbował postawić się na jego miejscu: pierwszy raz w życiu widzi klasycznego człowieka, istotę ewidentnie ludzką, a zarazem nienależącą do żadnej ze znanych ras. I pewnie myśli o tym wszystkim, co musieli przeżyć jej przodkowie.

– Zgadza się – przytaknął Ty.

Arjun zdołał się otrząsnąć i znów na niego spojrział.

– Oficjalna wersja jest taka, że ją porwaliście.

– Jakżeby inaczej.

Einstein powiedział coś zabawnego. Cykla roześmiała się i wtuliła w niego czule. Objął ją w talii i zsunął dłoń na jej biodro.

– Czy oni... – zaczął Arjun.

– Czy się bzykają? Jeszcze nie. Ale tylko dlatego, że jesteśmy ściągnięci.

– Sądząc z zebranych przez nas informacji na temat kopaczy, wierzą w ścisły podział ról płciowych i w...

– W niebzykanie się. Wiem. Porozmawiam z Einsteinem, powiem mu, żeby jej nie pukał.

– Ale jej nie...

– Nie porwaliśmy? Nie, po prostu poszła z nami – odparł Ty, po czym, wyczuwając powątpiewanie albo przynajmniej ciekawość ivyna, mówił dalej: – Byłoby takich więcej, gdyby dać im szansę. Wyjście na powierzchnię przemieniło ich kulturę jak mikser. Nic dziwnego, że ich przywódcy zachowują się jak skrajni reakcyjniści.

Arjun pokiwał głową.

– Co się stało waszej moirance?

Ty westchnął.

– Była świadkiem śmierci Doca i Memmie, doznała urazu ręki i została zmuszona do użycia katii. Zaraz potem wpadła w stan, który oceniam jako klasyczny POPEPI.

W żargonie wojskowym oznaczało to pourazową przemianę epigenetyczną.

– To by się zgadzało – odezwał się Hope, który przed chwilą zakończył

kontrolę stanu zdrowia Kath. – Zaobserwowałem przyśpieszony metabolizm i podwyższoną wrażliwość zmysłów. Jej mikrobiom jest w rozsypce; staram się go wspomóc suplementami probiotycznymi lepiej dostosowanymi do jej nowego fenotypu. Nudności każą podejrzewać silne zmiany hormonalne, być może przyszłe...

– Zatrucie testosteronem? – zasugerował Ty, kończąc myśl Hope'a.

Hope bez przekonania skinął głową.

Ty znów zwrócił się do Arjuna:

– Czyli trzy miliardy ludzi właśnie się dowiedziały o istnieniu kopaczy. Jaka była ich reakcja?

– Wiadomość jest sensacyjna, to nie ulega wątpliwości. Ludzie są ich bardzo ciekawi. – Arjun znów obejrzał się na Sonar Taxlaw. – Nie ukrywam, że ja również.

– Czy opinia publiczna ma świadomość tego, jak bardzo nie wyszedł nam pierwszy kontakt?

– Tożsamość członków Siódemki nie została podana do publicznej wiadomości. Nikt nie ma zielonego pojęcia, że w sprawę był zamieszany Hu Noah.

– Czerwoni o tym nie trąbią?

– Moim zdaniem byłoby im to nie na rękę. Po tym, jak zawarli przymierze z kopaczami, chcą ich przedstawić w dobrym świetle. Ujawnienie, że zabili Hu Noah i jego pielęgniarkę, raczej by nie pomogło.

– Czyli zrobiono z nas oddział anonimowych zakapiorów. Kopacze, wspomagani przez Czerwonych, przepędzili nas, a my, uciekając, uprowadziliśmy zakładniczkę.

Arjun spojrzał Ty'owi w oczy.

– Oczywiście żaden inteligentny Niebieski w to nie uwierzy.

– Ale Niebiescy nie przedstawili swojej wersji wydarzeń, która by temu zaprzeczała.

– Nie jesteśmy w tym najlepsi – przyznał z westchnieniem Arjun. – Nigdy nie byliśmy. Jesteśmy technokratami, podejmujemy decyzje jak inżynierowie, a to nie zawsze odpowiada wyobrażeniom ludzi o tym, czego naprawdę chcą.

– Masz na myśli wszystkich Niebieskich? Czy głównie Rio?

Klasyczna synekdocha: nazwa centralnego siedliska ivynów oznaczająca całokształt ich kultury.

– Jedno i drugie. Chodzi mi o niebieską mentalność, która lokuje nas na szczycie piramidy decyzyjnej. Nie bez powodu nieliczni aïdanie, którzy robią kariery w niebieskim sektorze, są muzykami, aktorami, artystami...

– Dają nam coś, czego brakuje naszej kulturze.

– To wy powinniście nam to coś zapewnić – wytknął Ty’owi Arjun, mając na myśli ogół dinajczyków. – I w epoce heroicznej faktycznie zapewnialiście.

Ty poczuł, jak na usta wypływa mu niewesoły uśmiech.

– Ponieważ naprawdę robiliśmy różne rzeczy, zamiast tylko udawać, że je robimy, w programach rozrywkowych – powiedział.

– Wiesz, co ci powiem? Wszystko jest rozrywką: to, co prawdziwe, i to, co zmyślane; wszystko, co ludzie oglądają na wyświetlaczach albo w properach. Czerwoni to rozumieją.

– Może wrócimy do tej rozmowy u mnie w barze, jeśli wyjdziemy z tego cało, ale na razie, jeśli dobrze cię zrozumiałem, istota sprawy jest następująca: propagandowo Czerwoni biją nas na głowę.

– Daliśmy się zaskoczyć. – Arjun pierwszy raz dał się zepchnąć do defensywy.

– Tym, co zrobili Czerwoni – dopowiedział Ty. Miał na myśli przysłanie peletonu, powrót Margot w chwale i ogólne przymilanie się Czerwonych do kopaczy.

Arjun nie zaoponował wprost, ale na jego twarzy odmalowało się zniecierpliwienie, jak u dobrego nauczyciela pracującego z tępym uczniem.

– Raczej tym, co robią od dłuższego czasu – odparł.

– Ponieważ jestem tylko zwykłym barmanem, wiem tyle, co powiedzą w programach informacyjnych. Powiedz: co takiego robią czerwoni?

– Co wiesz o Kułaku?

– To co każdy cywil bez dostępu do tajemnic państwowych – odparł z rezerwą Ty. – Podobno jest częściowo zamieszkanym.

„Kułak”, po rosyjsku „pięść”, w tym kontekście oznaczał nieregularną grudę żelazoniklu o średnicy około trzydziestu kilometrów. Sto pięćdziesiąt lat temu Czerwoni przenieśli ją z cmentarzyska Kamczatka na pozycję ponad Cieśniną Makasarską i tam zostawili. Kułak, który rzeczywiście przypominał lekko zaciśniętą pięść, był częściowo pusty

w środku: w biegnącym przez jego wnętrze tunelu miały się mieścić liczne obrotowe siedliska – odpowiedź Czerwonych na Wielki Łańcuch.

– I jeszcze że sterczą z niego jakieś drzewca czy rusztowania... – dodał Ty. – Jakby oplatał go takielunek albo coś w tym rodzaju.

Widziany z daleka Kułak wyglądał jak opleciony rzadką siecią nici, jak ziarenko zaplątane w pajęczynę. U góry i u dołu nici te zbiegały się do punktu, z którego długie i grube liny wybiegały w dwie strony: ta w nadirze ku powierzchni Ziemi, ta w zenicie – do góry, w kosmos, gdzie przytwierdzony do niej Antymakasar pełnił rolę przeciwwagi.

Stojąca nieopodal Sonar Taxlaw, jeszcze przed chwilą zaangażowana z Einsteinem w publiczne okazywanie czułości, odsunęła się lekko od niego i nadstawiła ucha.

Ty przyzwyczał się do takiego jej zachowania: użył słowa „spars”, które w *Encyclopaedia Britannica* wypadało pomiędzy „Sonar” i „Taxlaw”, a zatem należało do przypisanego jej zasobu wiedzy. Podczas przeprawy przez góry okazało się, że całkiem nieźle orientuje się w eksploracji kosmosu (w każdym razie nieźle jak na troglodytkę), nietrudno więc było uzupełnić jej wiedzę o wydarzenia z ostatnich pięciu tysięcy lat. W tej chwili zaczęła wolniutko dryfować w stronę Ty’a. Einstein podążał za nią, jakby jego oczy i jej pośladki były połączone żyłką i haczykami.

Nieświadomy rozwoju sytuacji Arjun (stał tyłem do obojga młodych) mierzył Ty’a spokojnym wzrokiem i czekał na ciąg dalszy.

– Część Kułaka, która sięga na powierzchnię Ziemi, odpowiednik naszej Kulebki... Niewiele o niej wiemy. Budują ją na morzu, pod wodą.

– Gnomon – powiedział Arjun i na wszelki wypadek przeliterował. – Tak ją nazywają.

– Co to znaczy?

– Dawniej był to wskaźnik na tarczy zegara słonecznego: rzucał cień i pokazywał godzinę. Ustawiony równoległe do osi Ziemi.

Ty przetrwał tę informację.

– Ciekawy dobór słowa – przyznał.

– Jest ogromny, Ty. O wiele większy niż Kulebka. Nie bez powodu trzymają go pod wodą: chcą go przed nami ukryć, to prawda, ale poza tym jest zbyt duży, żeby budować go na lądzie.

– To znaczy... właściwie jaki duży?

– Nie wszystko mogę powiedzieć. – Arjun wyjął tablet, postukał w ekran i wyświetlił na nim mapę świata. Przybliżył mętnik wysp i wysepek pomiędzy Azją Południowo-Wschodnią i Australią. – Spójrz na to i powiedz mi, co widzisz.

Podał tablet Ty’owi.

– Azja Południowo-Wschodnia! – wykrzyknęła Cykla, zajrzawszy Arjunie przez ramię. – Chcecie się o niej czegoś dowiedzieć? Albo o Sulawesi? Albo o Sri Lance?

Ivyn spojrzał na nią z nieskrywaną fascynacją.

– Bez patrzenia wiem, co tam jest – odparł Ty. – Równik przecina okolicę na dwoje, głównie biegnie po morzach, tylko z rzadka po lądzie. Czerwoni wiecznie na to narzekają.

– To nieprawda! – wtrąciła Cykla. – Sumatra...

– Duża wyspa, bez dwóch zdań – wszedł jej w słowo Ty – ale jednak nie kontynent. Pamiętasz, jak ci opowiadałem o działaniu Oka? I o tym, jak zachowuje się Kołyska?

– Siada na równiku.

– I tylko na równiku. Niebiescy mają ten luksus, że Afryka i Ameryka Południowa znajdują się w ich strefie wpływów. A tereny należące do Czerwonych najczęściej są oddalone na północ lub południe od równika.

Sonar nie zamierzała dać się łatwo zbyć.

– Singapur jest blisko i ma połączenie z kontynentem azjatyckim – zauważyła.

– Dawnej Singapur rzeczywiście znajdował się blisko równika, ale nie dokładnie na równiku, tylko dwa stopnie na północ od niego. Kolebka nie może tam wylądować.

– I właśnie ten szczegół w projekcie Oka i Kolebki najbardziej rozwścieczył aïdan – dodał Arjun.

Czując za sobą bliskość Einsteina, Cykla oparła się o niego wygodnie i zaczęła strzelać faktami, czyli przeszła w swój standardowy tryb podtrzymywania kontaktów towarzyskich.

– Aïdanie – zaczęła. – Hierarchia ABC: aretaicy, bety, camilici.

– Camilici to odrębna rasa – przypomniał jej Einstein.

– Istotnie. Relacje pomiędzy A, B i C bardziej przypominają symbiozę.

Ty i Einstein wymienili kpiarskie spojrzenia. Nieświadoma ich Cykla spojrzała w dół zbocza, gdzie stał Langobard.

– Neoanderowie – mówiła dalej. – I dwie inne grupy. Mędracy i szaleńcy.

– Dżiny i ekstaci – uzupełnił Einstein. – Rzadko się pokazują.

U Arjuna fascynacja widokiem klasycznego człowieka ustąpiła miejsca zniecierpliwieniu. Ponownie zwrócił się do Ty'a:

– To wszystko stare dzieje, rzecz jasna, ale niektórzy nie chcą zapomnieć. Kiedy dawno temu projektowano Oko, mam na myśli okres przed tysiącem lat, pojawiały się różne propozycje, było wiele możliwości. Ostatecznie wybrano najprostszą konstrukcję, najłatwiejszą do zbudowania przy ówczesnych zasobach i narzędziach: Oko, Kamulec, mała Kolebka i gniazda na równiku. Projekt znakomity, jeśli chodzi o dostęp do Ameryki Południowej i Afryki, i praktycznie bezużyteczny na odcinku równika ciągnącym się pod siedliskami zamieszkanymi przez aïdan, połowę camilitów i większość julijczyków.

– To ten fragment pierścienia stał się potem czerwony – dodał Einstein na użytek Sonar.

– Jednym z powodów, dla których Czerwoni zwarli później szyki i wykształcili tak silną tożsamość w kontrze do Niebieskich, było poczucie krzywdy wywołane tą właśnie decyzją. Nie należało się tak śpieszyć, powiedzieli. Może z czasem udałoby się stworzyć coś bardziej użytecznego niż Kolebka. – Arjun powiększył obraz Indonezji i naniósł nań wąski prostokąt, rozciągający się po obu stronach równika i obejmujący większość terytorium Czerwonych. – Gdyby zamiast Kolebki powstała konstrukcja w kształcie wydłużonego łuku, sięgająca dalej na północ i południe, mogłaby dosięgnąć Azji w tym punkcie, gdzie niegdyś znajdował się Singapur. Tutaj mogłaby przytykać do północnego przylądka Nowej Gwinei. A nową Gwineę dałoby się połączyć z Australią poprzez zrzućenie dostatecznie dużej ilości kamieni na dzielące je płycizny.

– Wydłużony łuk. Równoległy do Ziemi, rzucający cień na jej powierzchnię... – Ty pokiwał głową. – Gnomon.

– Musiałby być gigantyczny! – wykrzyknął Einstein.

– Istotnie. – Arjun pokiwał głową. – Sporządzono plany, zamówiono analizy możliwości wybudowania go na powierzchni lub na orbicie, po czym uznano, że projekt jest zbyt ambitny. Rozsądek przeważył, tak się przynajmniej wtedy wydawało, i zbudowano to, co zbudowano. Zawsze

później będzie można zbudować coś większego, mówiono. Wyszło inaczej. Niebiescy zapomnieli o sprawie, Czerwoni nie. Ich dziny włożyły w plany budowy Gnomonu tyle samo energii, ile u nas ivyni w epigenetykę. A potem Czerwoni zamknęli granicę, postawili szlabany i wzięli się do pracy. Co robili przez tyle czasu?

– Bombardowali Cieśninę Torresa nieustającym gradem bolidów – odpowiedziała Sonar Taxlaw, wskazując przewężenie morza w miejscu, gdzie północny skraj Australii niemal szturchał Nową Gwineę w brzuch.
– Zasypywali ją. Przegradzali prądy morskie. Budowali mur przeciw tym, którzy pływają w morzu.

Arjun pokiwał głową... i nagle odwrócił się gwałtownie w jej stronę. Przez chwilę wpatrywał się w nią natarczywym wzrokiem, zanim spojrzał podejrzliwie na Ty'a.

– Czy ty...

– Ani słoweczka – zapewnił Ty.

– Einsteinie? Mówiłeś jej o nielegalnym terraformowaniu prowadzonym przez Czerwonych w tym rejonie? – Arjun postukał w mapę.

– Pierwsze słyszę – odparł Einstein.

– Skąd o tym wiesz, Sonar? – spytał Arjun.

– Pingerzy nam powiedzieli – wyjaśniła dziewczyna.

– Jacy znowu pingerzy, do diabła ciężkiego?!

– Ludzie, z którymi zamierzamy porozmawiać.

Beled, Bard i teklanin, któremu pomagali, podeszli teraz do pozostałych, niosąc spakowane szybowce. Położyli pakunki na ziemi i zaczęli je kamuflować dostępną pod ręką roślinnością – karłowatymi krzaczkami, którymi obsadzono zbocze, żeby powstrzymać erozję gleby i zapewnić schronienie drobnej zwierzynie. Postura i sposób poruszania się teklanina pozwalały się domyślać, że należy do Zjadaczy Węży. Kiedy stało się dla niego oczywiste, że dwaj więksi kompani są od niego znacznie lepsi w wyrywaniu zielska i przerzucaniu ziemi, zostawił ich samych ze swoim zadaniem i podszedł do grupy. Pod lewą pachą niósł pojemnik, który kształtem i rozmiarem przypominał pudełka, jakich w Chainhattanie w dalszym ciągu używano do przewożenia pizzy. Z dłoni zwisał mu sześcienny przyborek. Drugą, wolną ręką zasalutował Ty'owi i przedstawił się jako starszy sierżant sztabowy

Roskos Yur, po czym postawił oba pakunki na ziemi i cofnął się o krok.

– Dziękuję – powiedział Ty.

– Proszę bardzo, sir.

– Po co wam one? – zainteresował się Arjun. – Masz pojęcie, ile kosztowało sprowadzenie ich tutaj?

– Cykla wszystko ci po drodze wyjaśni.

Arjun jeszcze przez chwilę przeszywał Ty'a spojrzeniem, zanim w końcu bez przekonania skinął głową i odwrócił wzrok. Co innego Roskos Yur, który wpatrywał się w Ty'a natarczywie i nie zamierzał przestać. W końcu Ty poczuł się zobowiązany spojrzeć mu w oczy. Przy tej okazji dokładniej obejrzał jego insygnia i stwierdził, że teklanin stacjonuje w Nunivaku, jednej z najdalej wysuniętych przygranicznych placówek Niebieskich, przysłowiowo odległej i odciętej od reszty świata; w porównaniu z nią Qayaq mogło uchodzić za metropolię. W Nunivaku zawsze było pełno Zjadaczy Węży wypełniających najbardziej szalone zadania.

– On właściwie nie o to pyta, sir – odezwał się Roskos Yur. – Prawdziwe pytanie brzmi: coś ty, kurwa, za jeden?

– Sierżancie... – próbował zaprotestować Arjun, ale Yur nie dał sobie w kaszę dmuchać.

– Tylko bez pitolenia o tym, jaki to z pana barman, sir – dodał.

– Nieodżałowany doktor Hu osobiście wybrał pana Lake'a do Siódemki – przypomniał Arjun.

– I teraz pan Lake dowodzi tą... – Yur powiódł wzrokiem po grupie i prychnął z niedowierzaniem. – Nawet nie wiem, jak to nazwać, „zbieranina” to i tak zbyt łagodne określenie.

– Wyprowadził tych ludzi z poważnych tarapatów – zauważył Arjun.

– Za które to tarapaty ponosi częściową odpowiedzialność, sir – odparował Yur.

– I w tej chwili wie najwięcej z nas wszystkich o kopaczach i aktualnej sytuacji w terenie. Zakładam, że miał powody, by zamówić to wyposażenie, i że po drodze nam te powody przedstawi.

Ty podniósł rękę w uspokajającym geście.

– Sierżant Yur mi nie ufa, ponieważ nie jest pewien mojej lojalności. Rozumiem to.

Twarz Yura odrobinę złagodniała, na moment uciekł w bok

wzrokiem. Korzystając z tej chwili jego słabości, Ty posłał Esie Arjunowi pytające spojrzenie. Iryn ledwo dostrzegalnie pokręcił głową, a gdy upewnił się, że Ty zauważył jego gest, przeniósł wzrok na Roskosa Yura.

– Sierżancie... – odezwał się półgłosem. – Są takie rzeczy w niebie i na ziemi, o których się nie śniło filozofom.

Yur prychnął w odpowiedzi.

– Czy w elegancki sposób daje mi pan do zrozumienia, że jestem za niski stopniem, żeby posiadać takie informacje?

– Tak.

– Ja po prostu chcę mieć pewność, że to nie są jakieś pierdoły duchowe.

– Tylko o to chodzi? – zdumiał się Ty. – Trzeba było tak od razu...

– Nie – odparł zupełnie już spokojny Arjun. – Nie ma mowy o żadnych duchach.

– No bo ten jego bar...

– Nic go nie łączy z żadnym oficjalnym Kupolem.

– A z czym, do cholery? Znam paru chłopaków z wywiadu, popytałem... Z biznesowego punktu widzenia ta knajpa nie ma krztyny sensu. Jej struktura właścicielska jest... niecodzienna. Podobno ma powiązania z Czerwonymi, tak słyszałem.

– Tak się składa, że jeden z Właścicieli rzeczywiście wywodzi się ze starego aidańskiego rodu – przyznał Ty. – Radziłbym jednak nie wyciągać z tego pochopnych wniosków na temat jego lojalności i priorytetów.

– Ma to coś wspólnego z Wyższym Celem? – spytał Roskos Yur.

Ty i Arjun nie kwapili się z odpowiedzią. W końcu Yur westchnął ciężko i podjął spokojniejszym tonem:

– Nieważne. Teraz przynajmniej rozumiem, że to ma jakiś związek z Wyższym Celem. Jestem za niski stopniem. Trzeba było powiedzieć. – Wyprężył się i zasalutował. – Czekam na rozkazy, sir.

– Maszerujemy nad morze – powiedział Ty – kierując się wskazówkami Cykli. Najszybciej, jak się tylko da. Z moiranką sprawa jest skomplikowana: może trzeba będzie ją nieść.

– Prawdę powiedziawszy – wtrącił Langobard, który zbliżał się do nich truchtem i właśnie znalazł się w zasięgu głosu – możemy mieć problem, żeby za nią nadażyć.

Wyciągniętą ręką wskazał ponad łąką.

Najpierw zobaczyli potężną sylwetkę Beleda, pędzącego w dół stoku w sprinterskim tempie, które – jak wszyscy wiedzieli – potrafił utrzymywać godzinami. Dopiero po chwili daleko przed nim rozpoznali Kath Amalthową Trzy. Biegła jeszcze szybciej.

* * *

Zaordynowane przez Hope'a lekarstwa i probiotyki podziałały na Katrzy uspokajająco i przytłumiły mdłości do stopnia, w którym prawie była w stanie je zignorować. Prędzej czy później i tak same by ustały, w tej chwili cieszyła się jednak z wszelkiej pomocy farmaceutycznej: jej wygłodniałe ciało dopominało się o pokarm i nie bardzo mogła sobie pozwolić na wymioty. Ale najważniejszy specyfik w jej organizmie – tak ważny, że Hope przyczepił jej do ramienia małą pompkę regulującą jego stały dopływ – płynął wprost do jej ciała migdałowatego, żeby powstrzymać ewentualną katastrofę neurologiczną, do której mogło tam dojść w reakcji na traumę sprzed czterech dni. Oczywiście specyfik docierał do mózgu już z kilkudniowym opóźnieniem, ale najwidoczniej była to jedna z tych sytuacji, o których mówi się, że „lepiej późno niż wcale”. Miał wyhamować rozkręcające się w mózgu błędne koło, raz po raz odtwarzające tamten horror i przy każdym przebiegu pogłębiające uraz neurologiczny. Fakt, że od tamtej pory bardzo dużo spała, prawdopodobnie również jej pomógł. Być może odniosła również całkiem konkretną, biologicznie mierzalną korzyść z tego, że większość czasu spędziła przypięta do pleców Beleda, z policzkiem wtulonym w jego bark, przy każdym oddechu wciągając w nozdrza jego zapach. Teklanin w żaden widoczny sposób nie reagował na fakt, że rozleniwiona, zalatująca wymiocinami pacjentka drzemie mu za dnia na grzbiecie, a nocami wtula mu się w brzuch. Nadal nie uprawiali seksu, ale Katrzy zaczynała się obawiać, że kiedy poczuje się lepiej i doprowadzi do porządku, rzuci się na Beleda jak rasowy sukub. Był to znany objaw POPEPI; w moirańskich społeczeństwach, które przeżyły zbiorowe urazy, pozostawiał po sobie malowniczo legendarne skutki.

Ponieważ jednak dziki seks ze wszystkim, co się rusza, chwilowo nie

wchodził w grę, musiała szukać innego ujścia dla rozpierającej ją energii. Wycieczka z łąki nad morze okazała się dłuższa, niż to początkowo wyglądało, i ostatecznie Katrzy wysforowała się daleko naprzód, zmuszając Beleda, żeby dobrze wyciągał nogi, jeśli nie chciał jej stracić z oczu. Nie widziała go, ponieważ znajdował się za nią, ale czuła, jak grunt przenosi tupot jego stóp. Słyszała jego oddech i cichy szcęk ambotów, które niósł na sobie, a kiedy wiatr zawiewał zza jej pleców, czuła przemieszane wonie regulaminowych wilgotnych chusteczek, których używał w celach higienicznych, detergentu, w którym wyprano jego mundur, smaru do jego katii oraz ostatnio zjedzonego posiłku. Wybiegając przed szereg, chciała spalić nadmiar energii, od którego zaczynała wariować, ale także znaleźć się w miejscu, gdzie przestanie odbierać od wszystkich towarzyszy takie ilości wrażeń zmysłowych. Wystarczyło, że odbierała je od jednego z nich.

Przedarła się przez gąszcz smagających ją gałęziami roślin na wydmie ponad plażą i wypadła na wilgotny piasek. Fale załamywały się pół kilometra od brzegu i sunęły w jej stronę syczącymi płachtami wody. Jej nozdrza wypełnił zapach niezmierzonej gęstwy morskiego życia, nieco podobny do tego, który poczuła, stanąwszy w najwyższym punkcie mostu w Kolebce, ale znacznie subtelniejszy i bardziej zróżnicowany, i to mimo chemicznego przytłumienia ciała migdałowatego. Gdyby nie podane przez Hope'a leki, mogłaby wpaść w czarną spiralę napadu paniki, a tak czuła się tylko nienaturalnie rozpalona; spojrziała na swoje ręce takim wzrokiem, jakby spodziewała się, że rozpękną się jak kiełbaski na grillu. Zwolniła kroku i przemaszerowała przez plażę, zrzucając po drodze części ubrania, których pokrętny trop uzupełniał ślady jej stóp. Wkrótce – choć wciąż nie dość szybko – woda omyła jej stopy, kostki, potem łydki. Katrzy osunęła się na kolana i runęła naprzód wprost w nadchodzącą falę, która ją pochwyciła i złagodziła jej upadek. Leżała naga na wodzie, twarzą w dół; wystawione ponad lodowatą wodę części ciała – pośladki i łopatki – parzyły jak podstawione pod opiekacz.

Gdyby zapytać ją o racjonalne wyjaśnienie, dlaczego leży twarzą w dół na powierzchni Oceanu Spokojnego i z otwartymi oczami gapi się na rozgwiezdy, nie umiałaby odpowiedzieć, ale miało to na nią ewidentnie dobroczynny wpływ. Serce, jeszcze przed chwilą walące jak młotem i usiłujące wyrwać się spod kontroli, zwolniło do

normalniejszego rytmu. Minęło zdumiewająco dużo czasu, zanim poczuła, że powinna oprzeć dłonie i kolana na piasku, stanąć na czworakach i zaczerpnąć tchu.

Podkuliła nogi, przykucnęła i okręciła się w miejscu, tak że zwróciła się plecami do oceanu. Jej nogi i pośladki, wciąż zanurzone, chłodziły się po biegu.

Kilka metrów od niej stał Beled Tomow. Fale omywały mu nogi do wysokości kostek, a on sam dyszał ciężko i wyglądał na człowieka, któremu kąpiel w lodowatym Pacyfiku dobrze by zrobiła. Nie planował jednak kąpeli. Zamierzał wyciągnąć Katrzy z wody, gdyby zbyt długo nie oddychała.

Patrzyli sobie w oczy. Spojrzenie Katrzy mówiło: „Chętnie bym cię wzięła tu i teraz”, wzrok Beleda odpowiadał: „Wiem”, na co jej oczy odpowiadały z kolei: „Wiem, że wiesz”.

– Słyszałaś coś? – zapytał Beled.

To było niespodziewane.

– Przed chwilą – dodał – z głową pod wodą.

– Pod wodą?

– Tak.

– Co miałabym usłyszeć?

– Czyli nie słuchałaś?

– Żartujesz? Tak wytężyłam słuch, że mało nie zwariowałam.

– Pytałem o tamtą rozmowę.

– Nie słuchałam. Wszyscy mówią za głośno.

Beled przemyślał jej słowa, odwrócił się lekko w bok i gestem wyprostowanej ręki zwrócił uwagę Katrzy na skalisty cypel, który kilkaset metrów od nich wrzynał się w plażę.

– Tam – powiedział.

Przenikająca jej ciało fala gorąca w końcu opadła. Katrzy ubrała się i razem z Beledem ruszyli po piasku w stronę cypla, niemal nienaturalnie ostrego bastionu potrzaskanych skał spojonego korzeniami porastających go drzew i krzewów. Przedzielał plażę jak ostrze szpadla.

Katrzy nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle szli w stronę oceanu. Ktoś miał tam na nich czekać? Ktoś miał jakiś plan? Czy po prostu uciekali prosto przed siebie tak długo, aż w końcu nie będzie już dokąd uciekać?

– Kopacze wierzą w istnienie ludzi, którzy żyją w morzu – wyjaśnił Beled – Pingerów. Podobno utrzymują z nimi kontakty. W ustalonych punktach na wybrzeżu Beringii.

Skinął głową w kierunku, w którym szli.

– Kontakty? Znaczący... spotykają się? Twarzą w twarz?

Beled wzruszył ramionami; zważywszy na jego gabaryty, taki gest prawie mógłby zostać zarejestrowany przez sejsmograf.

– Pomyślałem, że może coś usłyszałaś, kiedy tak trzymałaś głowę pod wodą. Pingerzy używają urządzenia, które się nazywa sonar.

Roztelepany mózg Katrzy potrzebował dłuższej chwili, żeby poskładać fakty w całość. Słyszała o sonarach. Zwiad używał ich do tworzenia map dna jezior i liczenia ryb.

– To nie przypadek, że towarzyszy nam osoba o takim imieniu?

– Nie. Trochę nam o nich opowiedziała, ale na pierwszy rzut oka więcej w tym legend niż faktów.

– Gdzie niby mieliby mieszkać? Na okrętach podwodnych?

Znowu to wzruszenie ramion.

– Tego najwyraźniej nikt nie wie. Może po prostu umieją znakomicie wstrzymać oddech.

Cypla nie dało się ominąć od strony wody; potrzebowałiby łodzi, żeby go opłynąć. Skręcili więc w głąb lądu, żeby obejść go z drugiej strony. W tym celu musieli wspiąć się dwieście metrów ponad plażę i przedrzeć przez gęste zarośla na południowym stoku wzgórza.

Kiedy dotarli do miejsca, z którego było widać morze, stało się oczywiste, że znajdują się na obrzeżu kilometrowej średnicy krateru po uderzeniu meteorytu. Cypel, który przegrodził im drogę przez plażę, stanowił część jego krawędzi: wybiegał zakrzywiony w głąb oceanu, kreśląc połowę obrysu zatoki. Dopiero teraz dostrzegli, że z drugiej strony rysuje się identyczna skalna grań, niemal lustrzane odbicie cypla. Bolid, który pozostawił po sobie krater, spadł bardzo blisko brzegu. Stożek uderzeniowy w środku krateru – skalista wysepka o ostrych konturach – znajdował się dosłownie rzut kamieniem od plaży, dokładnie w połowie dystansu pomiędzy cyplami. Wyobraźnia bez trudu rysowała brakujący fragment konturu krateru: ciągnął się łukiem w wodzie, na przedłużeniu cypli, ukryty pod powierzchnią. Jego obecność zdradzały załamujące się na nim fale. Od strony lądu

zewewnętrzny stok krateru opadał łagodnym, naturalnym zboczem, wewnętrzne zbocza niecki były zaś na tyle strome, że schodzący do zatoki Beled i Katrzy ślizgali się i potykali na piargach. Plaża w zatoczce była bardziej kamienista niż piaszczysta; otoczaki wyglądały jak zrobione z półmatowego szkła.

Za plecami słyszeli głosy pozostałych członków ekipy, którzy zdążyli się już wspiąć na krawędź krateru.

Środek plaży, dokładnie naprzeciw skalistej wysepki, wprost narzucał się jako naturalne miejsce na rozbicie obozu. Usypano tam kopczyk ze szklistych kamyków, nieduży, w sam raz, żeby dać do zrozumienia, że nie jest to twór naturalny, lecz efekt czyjegoś celowego działania.

– To ich sygnał – wyjaśnił Beled. – Powinniśmy rozpaść ognisko.

I zaczął szukać wyrzuconego przez fale drewna. Katrzy, odczuwająca niezrozumiałe przyciąganie kopczyka, przykucnęła obok niego i czekała na resztę ekipy. Słyszała trajkotanie Sonar Taxlaw, schodzącej po stromym stoku i biegającej wokół pozostałych, których kroki i oddechy również były wyraźnie słyszalne.

– Ich historia dzieli się na trzy Potopy. Pierwszy był potop kamieni i ognia. Zepchnął ich na dno najgłębszych rowów oceanicznych, które nigdy całkowicie nie wyschły, nawet kiedy reszta oceanów się wygotowała. Stworzyli rasę zdolną do życia w ciasnych wnętrzach. Drugi był potop lodu i wody.

– Stulecie Chmur! – wtrącił Einstein.

– Tak. To wtedy przez setki lat bombardowaliście Ziemię kometami. Zauważyli, że powierzchnia mórz się powiększa, a woda sięga coraz dalej od rowów, w których się chowali. Przekształcili się w rasę oceanicznych pływaków.

– Kiedy mówisz, że się przekształcili – odezwał się Arjun – masz na myśli inżynierię genetyczną czy...?

– Selektywne rozmnażanie – odparła stanowczo Sonar. – Skoro z wilków w ciągu kilku tysięcy lat mogły się wykształcić pudle, pomyśl tylko, czym mogliby się stać ludzie, gdyby zaszła taka potrzeba! Rozpoczęli badania dna morskiego i znaleźli mnóstwo przemysłowego śmiecia, splukanego do oceanów podczas Kamiennego Deszczu. Zgłębili wszystkie tajniki metalurgii.

– To dlatego z nimi handlujecie? – domyślił się Ty. – Brakuje wam

metal?

– A im brakuje rzeczy, które my mamy.

– Wspomniałaś o trzech Potopach – przypomniał Einstein. – Jaki był ten trzeci?

– Ten trzeci trwa teraz. Potop życia, który rozpoczął się od mikroorganizmów, a skończył na was.

– Czyli na orbitalach – uściślił Ty.

– Tak. A jedyni orbitale, których znają, to ci, którzy zrzucili masę kamieni do Cieśniny Torresa i wybudowali to coś w Cieśninie Makasarskiej.

– Jak wam to wszystko przekazali? – zainteresował się Arjun.

– Jak to jak?

– Rozmawiałaś osobiście z pingerami, Sonar?

– Ja? Osobiście?! – Ten pomysł zdumiał ją i przeraził jednocześnie. – Skądże. Ja tylko popatrywałam na nich stamtąd, z góry.

– Czyli ty czaisz się na górze, a starszyzna twojego klanu schodzi na plażę i rozmawia z pingerami.

– Z nimi się trudno rozmawia. Większość komunikacji odbywa się poprzez słowo pisane. Chociaż nawet nie mieli papieru, dopóki nie daliśmy im trochę z własnych zapasów, więc używamy łupkowych płytek i kredy.

Katrzy skoncentrowała się na szczególe, który już chwilę wcześniej zwrócił jej uwagę: nienaturalne skupisko płaskich, czarnych kamieni, na wpół zagrzebanych w nanoszonym przez fale piasku. Kiedy ostatni maruderzy docierali na plażę, kawałkiem drewna odgarnęła piasek i żwir i zdołała wyciągnąć ze sterty jeden taki kamień. Miał chropowate krawędzie, ale nie ulegało wątpliwości, że to ludzie nadali mu kształt: gruba na palec płyta czarnego kamienia, nie za duża, mieszcząca się wygodnie w zgiętej ręce, gładka i zdatna do zapisywania. W mokrym piasku walały się kawałki węgla wapnia. Kreda. Na niektórych płytkach wciąż pozostały jej ślady – nie znaki pisma, lecz jakiś rysunek, być może mapa opatrzona paroma liczbami.

* * *

Z boku skalistej wysepki, tuż pod jej szczytem, sterczał poskręcany kawał drewna: pniak wyrwany przez sztorm z jakiegoś nadmorskiego klifu i później rzucony w to miejsce. Znalazłszy się na plaży, Ty natychmiast zrzucił plecak, opróżnił kieszenie i sięgnął po dostarczony przez Roskosa Yura pudełkowaty przybornik. Podniósł go nad głowę, żeby go nie zamoczyć, po czym, brodząc w lodowatej wodzie (i przeklinając jej temperaturę), dotarł na wysepkę. W najgłębszym miejscu woda sięgała mu do pasa, tylko czasem jakaś przypadkowa fala chlupnęła mu pod szyję. Zrzucił skrzyneczkę na skały i wspiał się w ślad za nią.

Przez chwilę z zaciekawieniem oglądał pniak, zanim przykucnął, złapał go za dwa odstające korzenie, odwrócił i zwałił do wody. Następnie cofnął się i odsłonił przed wszystkimi to, co wcześniej było ukryte pod pniakiem: pionowy kawał solidnej stalowej rury, grubej na szerokość dłoni, sterczący na wysokość kolan dorosłego człowieka i zwieńczony płaskim metalowym dyskiem wielkości talerza. Rura nie była zwyczajnie przytwierdzona do skał, lecz stanowiła fragment większego obiektu sięgającego daleko w głąb morza. Jej część nadwodna została umocowana linami do kołków wbitych w kamień w stylu, który Ty nauczył się już rozpoznawać jako typową dla kopaczy prowizorkę.

Jego uwagę zwróciło coś leżącego mu pod nogami. Schylił się, podniósł przedmiot i dźwignął go na tyle wysoko, żeby wszyscy na plaży zobaczyli co to takiego: potężny młot zrobiony z kawałka rury i zatkniętej na jej jednym końcu gruzy metalu. Spojrzał na Cyklę, która rozłożyła ręce z dłońmi zwróconymi w stronę szarego nieba, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

Odwrócił się tyłem do towarzyszy i zapatrzył na morze. Obejrzał się przez ramię.

– Jak daleko sięga?! – zawołał.

– Rura? – upewniła się Cykla. – Kilkadziesiąt jardów. Krater działa jak róg: skupia dźwięk i wysyła go w głąbinę.

Ledwie skończyła mówić, gdy Ty z całej siły uderzył młotem w stalowy talerz. Rozległ się obezwładniająco głośny metaliczny odgłos: *ping!* Kiedy nieco przebrzmiał, usłyszeli krzyk Katrzy, która klęczała na piasku i trzymała się za głowę.

– Lepiej ją stąd zabierzcie – poradził Ty.

Usłyszała go poprzez zaciśnięte na uszach dłonie. Poczwała, jak Beled obejmuje ją od tyłu, łapie jedną ręką pod piersiami i pomaga jej wstać. Właściwie było to nawet na swój sposób miłe, tyle że miała serdecznie dość bycia tą, którą trzeba nieść. Wyplątała się więc z jego objęć, odwróciła plecami do morza i pomaszerowała w stronę zarośli na skraju plaży.

Ty odczekał, aż nieco się oddali, zanim zawołał:

– Zatkajcie uszy!

Katrzy go posłuchała i chwilę później kolejny *ping!* przeszył ją jak lodowy sopel wbity w podstawę czaszki. Po nim zabrzmiał następny i dalsze, wybijane w nierównym rytmie. Zanim wspięła się do miejsca, z którego – wciąż z palcami w uszach – mogła spojrzeć na zatokę i nie odczuwać bólu przy każdym uderzeniu młota, zorientowała się, co robi Ty.

Każda z ludzkich ras miała własne tradycje kulturalne wywodzące się od Ewy, która ją zapoczątkowała. Przekazywano je z pokolenia na pokolenie poprzez rytuały społeczne, programy nauczania w szkołach i organizacje młodzieżowe. Młodzi tekłanie ćwiczyli gimnastykę z elementami sztuk walki w stanie nieważkości i ścigali się na torach przeszkód wzorowanych na konkretnych manewrach wykonywanych przez Teklę w Eposie, julińczycy rywalizowali w debatach i udawali się okresowo do pustelni, w których pobyt miał symbolizować wygnanie i mękę ich Ewy w Roju, i tak dalej.

Młodzi dinajczycy uczyli się alfabetu Morse'a. Chociaż używano go nadzwyczaj rzadko.

Moiranie z całą pewnością się go nie uczyli, więc Katrzy nie miała zielonego pojęcia, jaką wiadomość Tiuratom Lake posyła w głębiny.

Oczywiście każdy widział scenę z Eposu, w której, na samym początku Kamiennego Deszczu, Ewa Dinah po raz ostatni nawiązała łączność z Rufusem. Połączenie zakończyło się wielokrotnym powtórzeniem kodu QRT, który – zwłaszcza po tym, jak Dinah się rozszlochała i znacząco zmniejszyła prędkość nadawania – uzyskał dziwnie uroczysty, nieco fanfarrowy rytm: pam, pam, pa-pam: litera Q.

Katrzy rozpoznała schemat, a ponieważ powtarzał się częściej niż w normalnej angielszczyźnie, doszła do wniosku, że Ty używa pradawnych kodów Q dla skrócenia komunikatu. Nadal jednak nie

wiedziała, co dokładnie nadaje. Powtarzał swoją wiadomość raz za razem, synkopowaną frazę z długich i krótkich uderzeń, które po chwili zaczęły ją drażnić. Przestał dopiero wtedy, gdy Sonar Taxlaw przyszła do niego przez wodę i wytłumaczyła mu, że jeśli tylko pingerzy są w pobliżu, to na pewno go usłyszeli.

– Ile czekamy?! – zawołał Ty. Starał się przekrzyczeć szum przyboju, a poza tym najprawdopodobniej ogłuchł.

– To zależy, jak daleko są. Może dzień, a może trzy.

– Świetnie.

Przeniósł wzrok na ląd i spojrzał na Roskosa Yura, który – wiedziony ponadczasowym żołnierskim instynktem – podciągnął rękaw, żeby zerknąć na zegarek.

Ty otworzył pudełko, podniósł wieczko i zaczął wyjmować kolejne elementy aparatury i kartkować instrukcje obsługi. Katrzy odeszła już zbyt daleko, żeby dostrzec więcej szczegółów, zwłaszcza że zaczynało się ściemniać: na tle mroczniejącego nieba widziała go siedzącego na brzegu wysepki, odwróconego ku morzu i od czasu do czasu majstrującego przy aparaturze w świetle małej latarki. Obok niego, zakutana w dostarczone przez Einsteina śpiwory, przycupnęła Cykla w pękatych słuchawkach na uszach; od czasu do czasu charakterystycznym ptasim gestem odwracała się do Ty'a, żeby coś powiedzieć. Esa Arjun spacerował powoli w tę i z powrotem po plaży, tuż poza zasięgiem fal, mijając Einsteina, który na stojąco z niepokojem wpatrywał się w ukochaną. Hope zaszył się w namiocie postawionym nieco wyżej, na suchszym piasku. Prześwitująca przez ścianki niebieskawa poświata sugerowała, że pracuje na tablecie; być może próbował się doksztąpić w zakresie POPEPI.

Tyle, jeśli chodzi o obóz dolny, w którym rozgościli się Hope, Ty, Einstein, Sonar Taxlaw i Arjun. Beled ruszył za Katrzy na górę; nieco później Langobard i Roskos Yur poszli w jego ślady. Rozproszywszy się i przeczesawszy gąszcz, odkryli przecinającą stok zakrzywioną grań: linię demarkacyjną pomiędzy krawędzią krateru i pierwotną rzeźbą terenu sprzed uderzenia meteorytu. Powyżej niej zbocze wyraźnie się kładło; prawdę mówiąc, pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy po wyjściu na skraj krateru, było lekkie obniżenie terenu. Stanąwszy tyłem do morza i przodem do przybrzeżnych gór, mieli przed sobą długie na

kilkaset metrów mokradła, a po ich drugiej stronie wyrastał sosnowy las. Cofnąwszy się o kilka kroków, tuż poniżej skraju krateru, zaczęli zakładać obóz górny. Niewiele padło słów, było jednak oczywiste, że obóz górny ma bronić plaży przed Czerwonymi, kiedy się pojawią – jeśli w ogóle do tego dojdzie. Gdyby przybyli z za gór, musieliby pokonać mokradła; gdyby zaś maszerowali plażą, musieliby obejść cypel na krawędzi krateru. W jednym i w drugim przypadku byłiby wyraźnie widoczni z góry.

Można było się domyślać, że kilkadziesiąt lat temu gdzieś niedaleko rozbił się ONAN. Napakowane nasionami żmijki wyśliznęły się z niego i zaczęły się wałęsać po okolicy, zbierać dane o wilgotności gleby i wysokości terenu i dzielić się informacjami w sieci. Żmijkowy kolektyw zauważył grań przedzielającą stok od strony morza, po czym, posłuszny programowi wprowadzonemu przez jakiegoś specja w pierścieniu, uznał, że warto byłoby utrwalić linię brzegową w tym miejscu poprzez rozsianie ziaren, z których wyrosną niskie, twarde, splątane zarośla. I tak właśnie się stało. Żmijki, które przez przypadek oddaliły się od plaży, odkryły płaski teren za krawędzią krateru i wprowadziły tam rośliny przystosowane do wilgotnego środowiska. Roślinność utworzyła swoistą naturalną tamę, która zatrzymywała spływającą z gór wodę; pewnego dnia być może rozleje się w tym miejscu jezioro, na razie jednak rozlewały się czarne mokradła, głębokie do kolan, młaszczące pod stopami i zarośnięte trzciną i sitowiem.

Kath Dwa nie była wojowniczką. Po przeszkoleniu strzeleckim nabyła minimum umiejętności niezbędnych do strzelenia z katapulty do głodnego psowatego. Katrzy nie wiedziała na razie, czy jej przemiana objęła także ten aspekt jej postaci, ale w gruncie rzeczy nie miało to wielkiego znaczenia. Choćby nie wiadomo jakiej biegłości w walce nabrała, nigdy nie dorówna Beledowi, Bardowi, a także – na ile potrafiła to ocenić – Roskosowi Yurowi. Co nie zmieniało faktu, że z jej punktu widzenia byli wyjątkowo ograniczeni. Nie zauważali mnóstwa rzeczy, które dla niej były oczywiste. A poza tym było widać, że są zmęczeni i senni.

Odczekawszy, aż się ściemni, zjadła trzy pełne racje żywnościowe z zapasów zabranych przez Roskosa Yura, po czym wymknęła się z obozowiska i wspięła na skraj krateru, żeby stamtąd nasłuchiwać

odgłosów z głębi ładu.

Wróciwszy do obozu, przestraszyła Yura, którego miarowy oddech słyszała z odległości tysiąca kroków. Spał albo przynajmniej przysypiał.

– Powinnaś mnie uprzedzić, że się zbliżasz, Kath Dwa! – syknął.

– Kath Dwa nie żyje.

– W takim razie Kath Trzy.

– Nikt nie przyjdzie – powiedziała. – W każdym razie nie przez najbliższe kilka godzin.

– Chyba że zrobią desant z powietrza – zauważył.

Podszedł do nich jak zawsze towarzyski Langobard.

– Nie będzie desantu – powiedział. – Jeżeli uznają, że mogą nas zgarnąć po cichu, to tak właśnie zrobią i nie pisną ani słówka. Ale regularny atak dużymi siłami? To by się kłóciło z bajeczką, którą usiłują sprzedać mieszkańcom pierścienia.

– A kiedy my, kurwa, zaczniemy pisać własną bajeczkę?! – zdenerwował się Yur i rozmowa utknęła w martwym punkcie.

Jego pytanie doczekało się odpowiedzi godzinę później, gdy najpierw Katrzy, a potem także pozostali usłyszeli dobiegający od strony wody wizg i basowe dudnienie. Nad horyzontem pojawiły się światła pozycyjne, gdy daleko na południu coś wychynęło ponad krzywiznę planety, ale szybko zgasły. Najwidoczniej pilot doszedł do wniosku, że woli spróbować podejścia po ciemku. Zarówno charakter dźwięków, jak i fakt, że dobiegały tuż znad wody, dowodził, że nie wydaje ich ani samolot, ani statek, lecz pojazd łączący cechy ich obu i nazywany arką. Usłyszeli, jak kilometr od brzegu z sapnięciem osiadła na wodzie i przestawiła się na perkoczące silniki manewrowe. Ostatecznie rzuciła kotwicę kilkaset metrów od plaży, dostatecznie daleko, żeby nie drażnić przeczulonych kopaczy, a zarazem dostatecznie blisko, żeby małe łodzie wystarczyły do transportu ludzi i sprzętu z pokładu na ład i odwrotnie. Po otwarciu olbrzymich wrót ładunkowych na rufie, z zalanego wodą wnętrza arki wypłynęła cała flotylla przewożonych na pokładzie łódek i barek. Z jednej z nich na ład zeszła nieliczna grupa ludzi. Katrzy słyszała, jak rozmawiają – głównie z Ty’em i Arjunem, chociaż Einstein jak zwykle zdołał dorzucić swoje trzy grosze.

Jedną z barek odholowano na pustą połąć wody pomiędzy arką a ładem i tam zakotwiczono. Sądząc po dobiegających z niej odgłosach,

musiała mieć niezwykle złożone mechaniczne wnętrzości. Po krótkiej chwili zaczęła wydawać basowe pomruki, po czym trysnęła z niej ku górze fontanna polatuchów, które – złączone w gigantycznym odwróconym U – wystrzeliły pod niebo. W miarę jak nabierały prędkości, dobiegający z barki pomruk stawał się coraz wyższy i bardziej przeszywający. W kilka minut powietrzny pociąg osiągnął wysokość dobrych stu metrów i zaczął emanować łagodnym światłem, przy którym ludzie w zatoce i na plaży mogli swobodnie poruszać się i czytać. Katrzy odczytała wymalowaną na dziobie nazwę arki: *Darwin*. Musiał zostać wysłany z dużej bazy TerReFormu, najprawdopodobniej z Haidy, obsługującej północne wybrzeże Pacyfiku.

Uruchomiony na barce pociąg powietrzny był standardowym elementem wyposażenia wojskowego, w związku z czym należało się spodziewać, że nadaje także na innych długościach fal, nie tylko w spektrum widzialnym. Stanowił wielozadaniowy węzeł komunikacyjny łączący wszystkie urządzenia w zasięgu wzroku, a przy okazji łączył się także z Denali i innymi instalacjami w pierścieniu.

O sapaniu chwilowo nie mogło być mowy, Katrzy zeszła więc na plażę. Wynurzywszy się z gąszczy krzewów, natknęła się na Einsteina i Cyklę, stojących ramię w ramię przed kamerą, w krzyżowym ogniu reflektorów. Nieco w bok od nich stała wysoka moiranka o sylwetce i złotych oczach modelki. Ze swobodną pewnością siebie przeglądała jakieś notatki. Ubranie – stosowne do pogody na wilgotnych i zimnych wybrzeżach Beringii – oblekało jej szczupłe, silne ciało w taki sposób, jakby niezły projektant z Wielkiego Łańcucha uszył je dla niej na miarę.

Katrzy nie musiała podchodzić bliżej, żeby zorientować się w sytuacji: wysoka moiranka robiła dokładnie to, o co wcześniej dopominał się Roskos Yur. Na początek powiedziała parę słów do kamery, a następnie przeprowadziła wywiad z Einsteinem i Cyklą. Wszystko transmitowano na żywo do pierścienia.

Siedziała sama na plaży, obejmowała kolana ramionami, obserwowała moirankę przy pracy i zastanawiała się, jakie wydarzenia w jej życiu nadały jej obecną postać – wysoką, piękną, przyciągającą wzrok. Nie zachowywała się jak kobieta piękna od urodzenia, co kazało podejrzewać, że swoją obecną powierzchowność zawdzięcza jakiejś osobistej katastrofie. Skończywszy wywiad, pogasiła światła, wyłączyła

kamery, podeszła do Esy Arjuna i przez chwilę rozmawiali. Oboje mieli założone propepy, więc Katrzy doszła do wniosku, że rozmawiają o czymś, co wyświetla się w urządzeniach.

Teraz była już pewna, że Kath Dwa widziała wcześniej tę kobietę w roli reporterki nadającej z różnych punktów zapalnych – siedlisk, w których wybuchł strajk albo zakłócenia porządku przekroczyły zwykły poziom; do których wzywano siły porządkowe sekcji Q albo oddziały policji, żeby niszczyły rzeczy i raniły ludzi.

Sam fakt, że siedziała nieruchomo dostatecznie długo, by poczynić takie spostrzeżenia i przeprowadzić takie rozumowanie, wskazywał na zbliżającą się zapaść – nieunikniony skutek tego, jak spędziła dzień. Minęła połowa czasu dzielącego północ od świtu. Katrzy spadała w otchłań snu równie prędko i nieuchronnie, jak *Endurance* w swoje ostatnie perygeum.

A potem nagle złapała się na tym, że gapi się na wysoką moirankę, która wpatruje się w nią, podszedłszy bezszelestnie na odległość wyciągniętej ręki. Katrzy zerwała się na równe nogi i omal się przy tym nie przewróciła.

– Kath Amalthowa Trzy – odezwała się nieznajoma. – Jestem Cantabrigia Barth Pięć.

Pięć. No, no...

– Musiałaś się naoglądać niezłych rzeczy – skomentowała Katrzy. – Mam nadzieję, że utrzymałaś się już w obecnej postaci. Tak byłoby dla ciebie lepiej.

Cantabrigia Pięć poruszyła lekko oczami, dając do zrozumienia, że słyszy jej słowa, ale w żaden sposób ich nie skomentowała.

– Jestem tu odpowiednikiem dowódcy – powiedziała.

Nie była to ani najbardziej, ani najmniej szalona rzecz, jaką Katrzy ostatnio słyszała, przyjęła więc to oświadczenie zupełnie obojętnie. Na pierwszy rzut oka Cantabrigia Pięć była po prostu reporterką z kamerą, ale w świecie, w którym żadna akcja policyjna ani wojskowa nie mogła uchodzić za udaną, jeżeli nie wypadła dobrze w oczach cywilnych widzów, faktycznie mogła się równać z generałem.

Arjun stanął za jej plecami, ponad jej ramieniem spojrzął na Katrzy i skinął głową.

– Przed chwilą rozmawiałam przez radio ze starszym sierżantem

sztabowym Yurem, porucznikiem Tomowem i Langobardem; wydałam im rozkazy. Dla ciebie też mam pewne polecenia. Zbliży się do nas niewielki oddział Czerwonych, chociaż na razie od naszych pozycji dzieli ich jeszcze kilka godzin marszu. Z naszych informacji wynika, że prowadzi ich dwójka kopaczy, którzy znają okolicę. Kiedy tu dotrą, może, choć nie musi, dojść do walki. Gdyby do niej doszło, nie bierz w niej bezpośredniego udziału. Trzymaj się z dala od naszych fulerenów. Wypatruj kopaczy; jeżeli będziesz mogła ich powstrzymać przed wyrządzeniem komuś krzywdy, zrób to, ale nie możemy sobie pozwolić, żeby martwi kopacze trafili przed obiektyw kamery.

– Rozumiem. – Katrzy pokiwała głową.

– Nie wiemy, kiedy, jeśli w ogóle, przybędą pingerzy – wtrącił Arjun, uznawszy najwyraźniej, że niezbędne są dodatkowe wyjaśnienia. – Dlatego musimy grać na czas.

– Rozumiem – powtórzyła Katrzy. – W jaki sposób chcemy to robić?

Sądząc po minie Arjuna, było to impertynenckie pytanie, ale Cantabrigia Pięc w odpowiedzi zdjęła proper, który już wcześniej zsunęła na czoło, i podała go Katrzy, która starannie nałożyła go na głowę i nasunęła na twarz. Nie najlepiej pasował, więc musiała go przytrzymać jedną ręką, żeby uzyskać ostry obraz.

– Włącz soundtrack – poradziła Cantabrigia Pięc. – Bez dźwięku to nie to samo.

– Soundtrack? – powtórzyła Katrzy.

Ledwo dostrzegalna zmiana wyrazu twarzy Cantabrigii Pięc sugerowała jakiś żart, więc Katrzy postanowiła jej posłuchać. Pomacała się po skroniach, znalazła słuchawki i wetknęła je do uszu.

Zobaczyła w properze sporo nieistniejących w rzeczywistości obiektów, z których większość była rozmazana i/lub szara: urządzenie wykryło, że nie jest jego właścicielką, i wyłączyło wszystkie ustawienia prywatne. W przestrzeni pomiędzy nią i Arjunem znajdował się czerwony przedmiot wielkości piłki tenisowej, z zagłębieniem z boku. Arjun pstryknął go lekko i przedmiot wyleciał jej na spotkanie.

– Proszę bardzo – powiedział Arjun.

Złapała piłkę, przyłożyła kciuk do zagłębienia i zatoczyła nią duży owal przed twarzą. Pojawił się płaski ekran. Przyciągnęła piłkę do siebie i razem z nią przysunęła ekran, otwierając w ten sposób trzeci wymiar.

Cały obszar miał teraz objętość kosza na pranie.

Cantabrigia Pięć wcale nie żartowała z tym soundtrackiem: wielka orkiestra symfoniczna (część instrumentów rozpoznałby jeszcze Mozart, inne skonstruowano tysiące lat po Dniu Zero) w połączeniu z wieloosobowym chórem zalała uszy Katrzy trójwymiarowym oceanem dźwięków. Grali hymn narodowy Czerwonych – nie żwawą, skróconą wersję znaną z zawodów sportowych, tylko aranżację symfoniczną, która z założenia miała napełnić słuchaczy nabożną czcią.

W przestrzeni nad plażą zawisła żelaznikłowa pięść: Kułak. W wielu miejscach sterczały z niego grube drzewca – punkty zaczepienia dla cieniuteńkiego jak włos olinowania, które rozchodziło się we wszystkie strony i przepadało w oddali. Ostrożnie, żeby nie skręcić kostki na obłych kamykach, Katrzy obeszała go dookoła, żeby zajrzeć do biegnącego przez środek tunelu. W jego głębi dostrzegła ruch: świetliste pierścienie przypominające Wielki Łańcuch piętrzyły się we wnętrzu jeden nad drugim. Obracały się z różną prędkością, od zewnątrz osłonięte wielokilometrowej grubości gruzłowatą skorupą asteroidy.

Ten manewr uruchomił zaprogramowany uprzednio ruch kamery, który zupełnie zaskoczył Katrzy, kazał jej stanąć w lekkim rozkroku i na wszelki wypadek złapać Cantabrigię Pięć za rękę. WPW – wirtualny punkt widzenia – zanurkował powoli w głąb Kułaka, który rozszerzył się tymczasem daleko poza kosz na pranie i otoczył ją całą. Nie miała wpływu na prędkość ruchu kamery, mogła za to rozglądać się na wszystkie strony i przez szklane dachy zaglądać do pierścieniokształtnych miast: na zielone boiska, gdzie dzieci grały w piłkę; nad błękitne stawy, wokół których spacerowali trzymający się za ręce zakochani; w głąb tętniących życiem dzielnic wysokościowców, mieszkalnych utopii, przytulnych szkół i baz wojskowych, w których pod wydymaną wiatrem czerwoną flagą bety i neoanderowie ćwiczyli walkę wręcz i strzelanie.

– To istnieje naprawdę, czy...

– To mieszanka – odparł Arjun – tego, co naprawdę wybudowali, z artystycznym wyobrażeniem tego, co chcieliby stworzyć.

– Upublicznili to?

– Sześć godzin temu nadali na cały pierścień. To ogromna zmiana.

Nigdy wcześniej Czerwoni nie opublikowali żadnych wizerunków

Kułaka, prawdziwych ani wyobrażonych.

Przelot dobiegł końca, WPW wyfrunął z paszczy Kułaka i dookoła Katrzy otworzył się kosmos. Znajomo wyglądający pierścień siedliskowy zakrzywił się po obu stronach, zamykając błękitną Ziemię w roziskrzonych objęciach. Z takielunku oplatającego metalową pięść jedna gruba lina opadała w okolice równika. WPW zaczął się obniżać – z początku powoli, a potem coraz szybciej, by w kilka sekund osiągnąć prędkość, na jaką prawdziwa winda musiałaby pracować kilka dni. Mimo przesłaniających widok olśniewających chmur Katrzy rozpoznała skomplikowane zarysy lądów Azji Południowo-Wschodniej na północy oraz potężną burą płytę Australii na południu, połączoną z Nową Gwineą za pośrednictwem guzowatej szarozielonej macki. WPW właśnie na nią zrobił zbliżenie w pierwszej kolejności. Po grobli biegła droga. Kamera przemknęła wzdłuż niej, po czym skręciła i ruszyła na północny zachód wzdłuż parującego zielonego kręgosłupa Nowej Gwinei, aż do cypla na dalekiej północy, niemal dotykającego równika, gdzie trwała jakaś budowa: splantowana ziemia, zabudowania, wykopy, niewyraźna pajęczyna infrastruktury... Kamera prześliznęła się po nich, nie zabawiwszy długo, i WPW wyfrunął ponad turkusowe morze. Roilo się na nim od wysepek, które Katrzy jak przez mgłę pamiętała z map. Chwilę później jej uwagę przykuł rażąco nienaturalny kształt, jak narysowany od linijki: to lina biegnąca od Kułaka wnikała do wody pod kątem prostym pomiędzy dwiema dużymi wyspami. Katrzy rozpoznała Borneo, Sulawesi i rozdzielającą je Cieśninę Makasarską. Kamera zwolniła i znieruchomiała. Orkiestra i chór mozoliły się z powolnym *crescendo*. Na ekranie zaszła zmiana, którą dało się bardziej wyczuć niż zobaczyć: zaprogramowana droga kamery dobiegła końca i proper znów zaczął reagować na zachowanie właścicielki. Katrzy jak olbrzymka stała okrakiem nad Cieśniną Makasarską, mogła swobodnie się poruszać i oglądać ją pod różnymi kątami, ale z początku nic się nie działo. Dopiero po chwili dostrzegła zaburzenie na morzu w miejscu, gdzie lina znikła pod wodą. Powierzchnia się wzburzyła, drobne zmarszczki zwyczajnych fal uległy wygładzeniu, a ich miejsce zajęły galaktyczne ramiona skłębionej piany i potężny zielony wir. Pochyliwszy się nieco, zauważyła kołujące ponad wirem wściekłe mewy; ten szczegół przekonał ją, że ogląda rzeczywisty obraz, a nie symulację. Wzburzenie

morza rozlewało się na północ i południe, coraz dalej od liny (która, jak doskonale wiedziała Katrzy, znajdowała się dokładnie na równiku), nie rozprzestrzeniając się przy tym w kierunku wschód-zachód. Lina rozwidliła się najpierw jeden raz, potem drugi, trzeci i kolejne, tworząc wachlarz, rozpięty z południa na północ i podtrzymujący obiekt, od którego burzyły się wody cieśniny.

Wynurzył się z wody najpierw na równiku, po czym zaczął wyrzynać w morzu rozcięcie, które z oszałamiającą szybkością propagowało się wzdłuż południka. Początkowo ociekający wodą obiekt był praktycznie niewidoczny – liczne Niagary spadały do morza, a mgielka drobnych kropelek wznosiła się wyżej niż sama tajemnicza konstrukcja – ale po minucie Gnomon ukazał się w pełnej okazałości i Katrzy aż musiała się cofnąć, żeby ogarnąć ten widok. Wyciągnęła lewą rękę i przekręciła wyimaginowaną gałkę przeciwnie do ruchu wskazówek zegara: ściszyła w ten sposób sekcję dętą orkiestry filharmonii w Kioto, zanim puzony basowe i kotły rozsadziły jej czaszkę.

Jeżeli projektanci Gnomonu postawili sobie za cel stworzenie anty-Kolebki, to lepiej nie mogli się spisać. Udało im się połączyć złowieszczy łuk miecza samurajskiego (dzięki któremu Gnomon lepiej pasował do krzywizny Ziemi) z przezroczystą delikatnością owadziego egzoszkieletu. Co więcej, miało się wrażenie, że unosząc się w powietrze, Gnomon rozpościera się coraz szerzej, rozkłada kolejne części jak zrobiona z origami modliszka przekształcająca się w coś większego. Niezliczone fałdy i wypiętrzone skorupy stanowiły świadectwo mozolnych wysiłków miliona dżinów, harujących przez stulecia w swoich boksach, by stworzyć konstrukcję, która będzie zarazem jak najtrwalsza – i jak najłżejsza.

– Z czego to jest zrobione?

– Głównie z węgla i magnezu – odparł Arjun. – Dwa lekkie i wytrzymałe materiały, które można wydobyć z dennych osadów morskich.

– I stamtąd je właśnie pozyskali?

– Tak – przytaknęła Cantabrigia Pięć.

– Chociaż wymaga to mnóstwa energii – zastrzegł się Arjun. – Po linie doprowadzili zasilanie do fabryki na dnie morza.

– Tam pracują ludzie?!

– Roboty.

– W tym właśnie upatrujemy naszej szansy – dodała Cantabrigia Pięć.

Producenci widowiska po raz kolejny przejęli władzę nad WPW i forsownym marszem zabrali Katrzy na spacer po Gnomonie, przystając w co ciekawszych miejscach i prześlizgując się nad powtarzającymi się fragmentami, aż ogólna idea stała się dla niej zrozumiała. Gnomon został wyposażony w rodzaj wagonu, który na gigantycznych szynach poruszał się w kierunku północ-południe i mógł przywierać do powierzchni Ziemi na różnych szerokościach geograficznych. Miał również własne wewnętrzne linie kolejowe, łączące kapsuły mieszkalne, bazy wojskowe, luksusowe rodzinne ośrodki wypoczynkowe i mnóstwo innych placówek. Ten akurat obraz był w oczywisty sposób nieprawdziwy; tego wszystkiego jeszcze nie wybudowano.

Brak kontroli nad ruchem WPW przyprawiał ją o mdłości. Wyjęła słuchawki, zamknęła powieki i ostrożnie odsunęła proper na czoło. Otworzyła oczy na prawdziwy świat: plażę, wysepkę, dwoje rozmówców. Oddała proper właścicielce.

– Jakiej szansy? – spytała.

– Jeżeli chcesz nawiązać pierwszy kontakt z rasą inteligentnych obcych – odparła Cantabrigia Pięć – to zrzuć im na głowy wielgachnych robotów, które urządzają im w domu kopalnię odkrywczą, może nie być najlepszym pomysłem.

Katrzy przemyślała jej słowa.

– Niby tak – przyznała.

– No właśnie.

– Nie dziwota, że tak się chcieli podliznąć kopaczom.

– Po tym, jak kompletnie spieprzyli sprawę z pingerami.

Cantabrigia Pięć obserwowała Katrzy. Jej wzrok i milczenie były imponujące, ale Katrzy nie czuła się z nimi niezręcznie. W końcu Cantabrigia Pięć podjęła przerwany wątek:

– Podejmowane dzisiaj działania rzucą długi cień na przyszłość Nowej Ziemi. Gdybyśmy mogli zaangażować większe środki, moglibyśmy opracować strategię bardziej złożoną i mniej nieprzewidywalną, ale samo ich zaangażowanie przekreśliłoby ich skuteczność.

* * *

– Jak wyście na to wszystko wpadli? – spytał Ty.

Siedział w kucki na wysepce obok Cykli, której ze śpiworów wystawały tylko ręce i głowa. W dłoniach trzymała instrukcję obsługi, przekrzywioną w taki sposób, żeby padała na nią poświata polatucha. Łańcuch w dalszym ciągu oświetlał zatoczkę, chociaż załoga *Darwina* przygasiła światło, żeby ludzie mogli spać. Cykla musiała się bardzo skupić na lekturze, zwłaszcza że wiele słów było dla niej nowych i obcych. Poruszała leciutko wargami, analizując nieznanne znaki cyrylicy obecne niemal w każdym wyrazie. Słuchawki okrywały jej uszy jak ogromne piankowe pączki z dziurką. Nie słyszała Ty'a i nie wiedziała, że na nią patrzy, więc mógł się gapić do woli. Nie była w jego typie, poza tym była bardzo, bardzo młoda, ale zaczynał rozumieć, co Einstein w niej widzi. Chłopak musiał zdawać sobie sprawę, że w swojej LST nie znajdzie nikogo dla siebie, żadnej tubylczej dziewczyny, z którą mógłby odbyć ciekawą rozmowę – a gdyby jakimś cudem dostał się do pierścienia, wszystkie tamtejsze inteligentki zawsze widziałyby w nim prostaczka z powierzchni.

W pudełku dostarczonym przez Yura znajdował się przenośny sonar. Mógł wysyłać pingi, ale oni zamiast tego prowadzili nasłuch. Sonar Taxlaw dosłownie wyrwała go Ty'owi z rąk i pierwsza opanowała jego obsługę. Przybycie *Darwina* i ruch łodzi i barek ogromnie ją irytowały, ale zachęcona przez Ty'a zaczęła postrzegać swoje działanie jako interesujący eksperyment naukowy, który pozwoli lepiej zrozumieć, jak działanie sonaru odbierają pingerzy i inne ssaki głębinowe.

Zachowując ostrożność na szklistej i stromej nawierzchni, Ty powolutku wszedł w pole widzenia Cykli i lekko potrząsnął ją za ramię. Wcale nie chciał jej wyrwać ze snu na jawie, ale miał pytania i potrzebował odpowiedzi. Przez chwilę była oszołomiona, jakby nieoczekiwanie teleportowała się na wysepkę z miejsca odległego o tysiąc mil, ale szybko się otrząsnęła i zsunęła jedną słuchawkę.

– Możesz powtórzyć?

– Mam na myśli to wszystko. – Ty położył rękę na sfatygowanym talerzu na szczycie rury i ruchem głowy wskazał prymitywny młot. – Jak to wymyśliliście? Skąd pingerzy wiedzą, że chcąc z wami

porozmawiać, muszą w konkretnym miejscu na plaży usypać kopczyk z kamieni?

– Zaczęliśmy rozsyłać zwiadowców, kiedy tylko na zewnątrz dało się oddychać.

– Trzysta lat temu.

– Dwieście osiemdziesiąt dwa.

– Chodzi mi o to, że, tak czy inaczej, to już historia starożytna.

– Bez przesady.

– Nikt żywy nie pamięta tych czasów – poprawił się z westchnieniem Ty.

– To coś więcej niż zwykła przekazywana ustnie tradycja, jeśli do tego zmierzasz. Prowadzimy zapiski.

– Na bezkwasowym papierze, wiem. Mów dalej.

– Nasi zwiadowcy oczywiście nie mieli co jeść na powierzchni, więc zapuszczali się tylko tak daleko, jak pozwalały na to niesione na własnym grzbiecie zapasy. Aż na wybrzeżu odkryli jadalne glony morskie i małże.

Ty pokiwał głową.

– Kiedy wypuszczone przez TerReForm glony zrobiły swoje, czyli wytworzyły atmosferę, trzeba je było jakoś wyhamować. TerReForm zasiedlił szelf różnymi zwierzętami, które się nimi żywią, a morza kryłem.

– Te małże to było dla nas pierwsze mięso od czterech tysięcy siedmiuset lat. Dopóki zwiadowcy trzymali się wybrzeża, mogli w ogóle nie wracać; wędrowali miesiącami albo nawet latami i odżywiali się lepiej niż ci, którzy zostali w Dziurze.

– Zawód zwiadowcy musiał się stać popularny.

– Aż za bardzo. Niektórzy wymykali się spod kontroli; trzeba było ich tropić, łapać i stawiać przed obliczem Komitetu.

– To brzmi... nieprzyjemnie.

– To były nieprzyjemne czasy. Wiele zła w naszej dzisiejszej kulturze ma swoje początki w tym okresie.

– Wróćmy do rzeczy: zwiadowcy wychodzili z Dziury i maszerowali prościutko nad morze.

– Tak. Dla nas ten szlak to jak dla zwierzyny wydeptana ścieżka w lesie: znamy go na pamięć. W którymś momencie, po zaprowadzeniu

dyscypliny wśród zwiadowców, jedna z drużyn dotarła na wybrzeże kilka kilometrów stąd i rozbiła obóz na granicy plaży i lasu. Ktoś spojrział w stronę morza... i zobaczył, jak z wody wyszedł człowiek. Miał ze sobą łopatkę, jakiej można by użyć do wygrzebywania małży, miał koszyk, nie miał za to ubrania. Nakopał sobie małży, wrzucił je do koszyka, spacerkiem wrócił do oceanu i zniknął.

– Bez skafandra. Bez akwalungu.

– Właśnie. Miał jeszcze tylko pas, a za pasem nóż. Kiedy wieść o tym dotarła do Dziury, odbyła się dysputa z udziałem mojego poprzednika.

– Poprzedniego Sonara Taxlawa.

– Tak. W następnym roku wrócili w to samo miejsce i zainstalowali tam takie urządzenie jak to, tylko nie takie dopracowane, i spróbowali nadać sygnał w głąb morza. I nic. Mijały lata, potem dekady. Pewien stary kopacz, uczestnik wielu zwiadów, zaproponował, żeby zbudować tutaj większą i lepszą maszynę do robienia hałasu; pomyślał, że krater wzmocni dźwięk i skieruje go na zewnątrz. Żeby się dłużej nad tym nie rozwodzić, powiem tak: udało się. Kontakt został nawiązany.

– Kiedy?

– Około pięćdziesięciu lat temu. Urwał się mniej więcej w okresie tej waszej wojny, ale od pięciu lat znowu widzujemy kopczyki.

* * *

Katrzy obudziło podobne uczucie, jak Kath Dwa tamtego ranka, gdy z szybowca zobaczyła kopacza: pozbawione obiektywnych dowodów przeświadczenie, że coś czai się na zewnątrz. Tym razem zareagowała na dźwięk – usłyszała coś jeszcze we śnie i teraz zostało jej tylko wspomnienie, tym bardziej ulotne, im usilniej starała się go dosięgnąć. Obróciła się na brzuch, podparła na łokciach, zwróciła twarz w górę zbocza, otworzyła usta i znieruchomiła. Z początku nie próbowała nawet niczego usłyszeć, po prostu chłonęła otaczający ją dźwiękowy krajobraz, żeby wychwycić odgłosy, które do niego nie należą. Na barce cały czas kursował polatuch; wydawany przez niego wizg dawało się łatwo odfiltrować w mózgu. Zdała sobie sprawę, że Bard również nagle ucichł, tak jak ona, nie wiedziała jednak, czy sam coś usłyszał, czy tylko

zareagował na jej zachowanie. Kath Dwa bywała sztywna i przesadnie skromna; przy Katrzy mężczyźni musieli się mieć na baczności.

Znów to usłyszała, prawdopodobnie to właśnie ten dźwięk ją obudził... i tym razem już wiedziała, co to takiego: ręcznie kute groty strzał szczęknęły metalicznie w kołczanie jak brzęczące monety w kieszeni. Polujący kopacz zawsze miał dylemat – strzały musiały na tyle luźno tkwić w kołczanie, żeby dało się je łatwo wyciągać, a zarazem na tyle ściśle, żeby nie podzwaniały przy każdym kroku. Dopóki myśliwy szedł równym krokiem po płaskim gruncie, poruszał się bezszelestnie, ale kiedy przyszło mu przed świtem bez tchu zbiegać po nierównym stoku wzgórza, strzały miały prawo się poluzować. W miarę jak ten dźwiękowy obraz klarował się w jej świadomości, usłyszała także kroki i odgłosy wywołane przedzieraniem się przez zarośla. Grupa musiała być większa niż ci z kołczanami.

Odezwało się kolejne wspomnienie Kath Dwa: przygotowując się do zwiadów w rejonach gęsto zamieszkanym przez tubylców, czytała dawne historie z amerykańskiego Dzikiego Zachodu, na którym biali korzystali z usług rdzennych mieszkańców w roli przewodników i zwiadowców.

Langobard również coś usłyszał i dyskretnie przemknął wzdłuż linii posterunków pod krawędzią krateru, żeby po cichu obudzić Roskosa Yura i Beleda Tomowa. Katrzy ruszyła za nim.

– Prawdopodobnie dwóch kopaczy z łukami – powtarzała każdemu po kolei. – Plus mały oddział neoanderów.

– Jak mały? – spytał Beled.

– Niecały peleton. Ze dwa razy mniejszy od tego, którego desant widzieliśmy.

– Daj znać Ty’owi – powiedział Beled. – Każ mu włączyć światło.

Ponieważ było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, położył Katrzy dłoń na ramieniu u nasady szyi i przyjaźnie uścisnął znajdujący się tam mięsień. A potem przyłożył płaską dłoń do jej pleców i zdecydowanym gestem pchnął ją w dół.

Minutę później była już na plaży. Sonar Taxlaw w dalszym ciągu siedziała na wysepce ze słuchawkami na uszach. Einstein chrapał w śpiworze. Ty spał w jednej z przenośnych altanek dostarczonych na pokładzie *Darwina*, który nadal cumował nieopodal brzegu, o czym

świadczyło chlupotanie fal o jego kadłub. Z Esą Arjunem omal się nie zderzyła: zawinięty w śpiwór po prostu stał na plaży i równie dobrze mógł medytować, jak po prostu sikać; ivyni bywali zabawni, kiedy ich umysł przejmował pełną kontrolę nad ciałem. Obojętne, co robił (medytował czy sikał), chwilowo był bezużyteczny, poszła więc prosto do altanki i obudziła Tiuratama Lake'a. Zajęło jej to nieco więcej czasu, niżby chciała, co było wielce frustrujące, ponieważ nie miała już cienia wątpliwości, że na górze coś się dzieje. Słyszała narastający jazgot polatuchów, używanych przez neoanderów w charakterze broni i pancerzy, nie była tylko pewna, czy to Langobard szykuje się do obrony, czy napastnicy już zbiegają po stoku. Tych drugich słyszała bardzo wyraźnie, odkąd zrezygnowali z dyskrecji na rzecz pośpiechu.

– Idą – powiedziała. – Dwóch kopaczy i kilku neoanderów.

Ty sięgnął po katapultę... zanim po raz kolejny przypomniał sobie, że Ariane mu ją zabrała.

– Beled kazał włączyć światło – dodała.

Spodziewała się, że Ty użyje jakiegoś urządzenia elektronicznego z pojemnej kategorii zwanej przez kopaczy „radiem”, on jednak usiadł na posłaniu, wytoczył się z altanki i ruszył plażą przed siebie, podskakując na jednej nodze i klnąc wściekle, ilekroć jego palce trafiły na kamień.

– Włączyć światło! – zawołał. Przyłożył stulone dłonie do ust. – Hej! Włączcie światło!

W cichej zatoczce jego słowa grzmiały jak dynamit. Ktoś na barce mu odpowiedział, a od strony wysepki dobiegło „cii, cii”, które w pierwszej chwili Katrzy wzięła za szum fal omywających jakiś głaz. Dopiero gdy polatuch bardziej się rozświetlił, rozpoznała Sonar Taxlaw, która wstała, odwróciła się w stronę brzegu i próbowała ich uciszyć, przytknąwszy palec do warg.

– Ciszej!

– Pełna moc! – wrzasnął Ty. – Ile fabryka dała!

– Płyną tu! – powiedziała Cykla. Widząc, że nikt się nią nie przejmuje, zwróciła się do Arjuna, który wypuścił z rąk śpiwór i, tak jak stał, ruszył przez wodę w jej stronę. – Uszy ich od tego bolą.

Z góry też dobiegły krzyki: to żołnierze zupełnie już przestali udawać, że się skradają, i szykowali się do potyczki; po tembrze głosów Katrzy

rozpoznała neoanderów. Nagle rozpaczliwie zapragnęła się tam znaleźć i rzucić się w wir walki. Okręciła się na pięcie... ale zanim ruszyła sprintem na górę, mało nie wpadła na Cantabrigię Pięc.

– Wracasz tam?

– Czuję, że muszę.

– Powodzenia. Tylko pamiętaj: nie krzywdzimy kopaczy.

Cantabrigia Pięc odwróciła się w miejscu w taki sposób, że długie poły ciepłego płaszcza rozdeły się malowniczo na wietrze i po raz ostatni pokazała Katrzy swój królewski profil. Krótko przycięte włosy podkreślały jej doskonałą sylwetkę.

Gramoląc się na skraj krateru, Katrzy przypomniła sobie szczegółowe rozkazy sprzed kilku godzin: trzymaj się z dala od naszych fulerenów. Musiało chodzić o roboty wyposażone w kamery i rejestrujące wszystko, co się za chwilę wydarzy. Z pewnością zostały zaprogramowane w taki sposób, żeby szukać dogodnych, wysoko położonych punktów obserwacyjnych.

Pięćdziesiąt metrów od Langobarda zatrzymała się i przykucnęła; nie widziała go, ale słyszała, jak krążące wokół niego polatuchy chłoszczą drobne gałęzie krzewów.

Powyżej niej, nieco z prawej, ze stoku sterczał głaz, zbyt stromy i za twardy, żeby porosło go coś więcej niż mech. W mocnym świetle wielkiego pociągu powietrznego jasna powierzchnia kamienia była wyraźnie widoczna. Na jego czubku przycupnęło małe drzewko; wczepiwszy się w skałę prawie zupełnie odsłoniętymi korzeniami, wyciągało ku niebu rozwichrzone gałązki ukształtowane wiatrami znad morza. Tuż obok niego Katrzy dostrzegła ruch: to fuleren zajął pozycję na szczycie głazu. Skoro go widziała, on także ją widział. Przypadła do ziemi za szczególnie gęstą kępą trawy i krzewów i nadstawiła uszu. Na razie słuch musiał pozostać jej głównym zmysłem.

I znowu: *brzęk, brzęk*. Ten sam odgłos: ręcznie kute groty strzał przemieszczających się w kołzanie.

Zagłuszył je narastający wizg znajdującego się w pobliżu polatucha, który na rozkaz właściciela zmieniał konfigurację. Zaryzykowała rzut oka do góry i zobaczyła neoandera zajmującego pozycję, z której miał widok na fulerena. Nie był to Bard, lecz szeregowy czerwony żołnierz w wojskowym rynsztunku. Złapał ręką jeden z krążących wokół niego

polatuchów i go zatrzymał. W tym samym momencie po przeciwnej stronie jego ciała łańcuch rozłączył się i jak bicz uderzył prosto w robota na głazie – z początku doskonale widoczny, później, po przekroczeniu bariery dźwięku, zniknął Katrzy z oczu i mogła już śledzić tylko skutki jego działania: grom dźwiękowy, unicestwiony fuleren, ścięte drzewko. Bicz zwolnił lot, zawróciwszy w stronę właściciela, i niczym kosmiczny wąż przeformował się w kolejny powietrzny pociąg, pędzący w przeciwnym kierunku niż poprzednio. Usunąwszy w ten sposób roboczego wartownika na (z jego punktu widzenia) lewej flance, neoander wycofał się i zniknął Katrzy z oczu.

Ruszyła w stronę głazu, który po zniszczeniu fulerena świetnie się dla niej nadawał. Parła prosto pod górę i zastanawiała się, jak wespnie się na szczyt głazu, gdy kątem oka dostrzegła ruch. Przystanęła, zadarła głowę i zobaczyła kopacza, który zajmował opuszczoną przez robota pozycję. Zbiegał po zboczu z takim impetem, że omal nie spadł z głazu; musiał zaprzeć się stopą o kamień i zamłócić ramionami, żeby uniknąć tragedii. Strzały znów szczęknęły mu w kołczanie. Katrzy znieruchomiała, przycupnęła i patrzyła, jak kopacz łapie równowagę. Gdyby spojrział w dół, zobaczyłby ją, ale był całkowicie skupiony na wydarzeniach, do których doszło z prawej strony – sądząc po odgłosach, właśnie wybuchła tam chaotyczna walka na niewielkiej przestrzeni. Kopacz sięgnął ręką za plecy, wyjął strzałę z kołczana i nałożył ją na cięciwę swojego stalowego łuku. Zastanawiał się nad wyborem celu, gdy wystrzelony przez Katrzy ambot trafił go w rękę i powalił w drgawkach na ziemię.

Strzelenie do niego było łatwe – nie w sensie fizycznym, bo stał na widoku, a ambot sam naprowadził się na cel. Było łatwe w sensie psychologicznym. Kilka dni wcześniej, w najgorszym okresie przemiany, półprzytomna usłyszała, jak Ty mówi do Einsteina:

– Decyzja o podjęciu walki jest ważniejsza od umiejętności.

Nawet w swoim delirium rozumiała, że decyzja, o której mówi Ty, nie mieści się w kategoriach intelektualnych. Chodziło mu o przełamanie bariery emocjonalnej, która w każdym cywilizowanym społeczeństwie powstrzymuje ludzi przed wyrządzaniem krzywdy sobie nawzajem. Wiedziała o tym z własnego doświadczenia, bo nieco wcześniej sama właśnie tak się zachowała: podczas wstrząsającego pierwszego starcia pomiędzy Siódmką i kopaczami próbowała bronić Ty'a po tym, jak

został postrzelony przez Ariane. Stary kopacz uderzył ją wtedy Srapem Tasmanerem w rękę i zrobił jej potężnego krwiaka. I właśnie ten intensywny kontakt fizyczny pomógł jej przełamać tę barierę, ułatwił wycelowanie katapulty i pociągnięcie za spust. Od tamtej pory życzliwi towarzysze zagadywali ją współczująco, chcieli rozmawiać głównie o Docu i Memmie i o tym, jak wielkim wstrząsem musiała być dla niej ich nagła strata. Tak jakby podejrzewali, że to ich śmierć uruchomiła przemianę epigenetyczną – założenie na pozór rozsądne, lecz błędne. Katalizatorem przemiany była właśnie tamta wcześniejsza chwila, gdy stary kopacz ją zaatakował, a ona odpowiedziała ciosem na cios. Doc jeszcze wtedy żył; nawet Memmie, choć śmiertelnie raniona, jeszcze oddychała. W pewnym sensie pierwsza z Siódemki umarła właśnie Kath Dwa.

Tak czy inaczej, teraz była dziewczyną, która strzela do ludzi. Dobrze wiedzieć.

Wszystko to wydarzyło się na prawej flance Niebieskich – lub lewej Czerwonych. Kopacze, jako tubylczy przewodnicy, trzymali się na przedzie po bokach, co sugerowało, że drugi zwiadowca (Katrzy nabierała coraz większej pewności, że jest ich dokładnie dwóch) znajduje się na przeciwległym skrzydle szyku.

Głaz był zbyt stromy, żeby się na niego wspiąć, ale po obu jego stronach po stoku osypał się popielny piarg, tworząc luźne kopczyki. Brnąc w popiele, weszła nieco wyżej, gdzie mogła przypaść do zbocza i spojrzeć na pole bitwy. Walka toczyła się w szerokim, płytkim bajorze, gdzie woda spływająca z przybrzeżnych gór została spiętrzona pod zewnętrznym skrajem krateru. Bajoro gęsto zarosło zielskiem, toteż jego bagnista natura ujawniała się dopiero po postawieniu w nim nogi. Bard, Beled i Roskos Yur w agresywnym natarciu dali pokaz siły, po czym wycofali się i czekali, aż Czerwoni ugrzęzną w mokradle. Na korzyść Niebieskich działały dodatkowo kłopoty z łącznością pomiędzy dobrze zorganizowanymi, nowoczesnie wyposażonymi żołnierzami a kopaczami zwiadowcami, którzy o łączności bezprzewodowej słyszeli tylko dzięki temu, że kolejne Cykle o imieniu Proboscidea Rubber przez lata uczyły się na pamięć hasła „Radio”.

W każdym razie Katrzy wysforowała się nieco przed swoich towarzyszy broni i znalazła na prawym – z ich punktu widzenia –

obrzeżu mokradeł. Chcąc się przedostać na przeciwległe skrzydło, mogłaby ruszyć po linii prostej, najkrótszą drogą, tyle że po drodze znalazłaby się na domniemanej trasie przemarszu Czerwonych i utknęła w bagnie. Mogłaby wycofać się w stronę morza i przebiec obok obozu, w którym spędzili noc, wiedziała jednak, że tam właśnie rozstawiła się większość fulerenów. Mogłaby wreszcie oddalić się od brzegu i przemknąć przez sosnowy zagajnik na wyższym brzegu bagna. Przecięłaby wtedy linię natarcia Czerwonych, co na pierwszy rzut oka wydawało się kiepskim pomysłem, ale Czerwoni stanowili odosobniony oddział uderzeniowy, a nie awangardę większej armii. Nie mieli łączności z tyłami; kiedy przeszli po jakimś terenie, tracili nad nim wszelką władzę i kontrolę. Zważywszy że w trudnym terenie poruszała się szybciej nawet od Beleda, a neoanderów potrafiła usłyszeć z odległości mili, ryzyko było warte rozważenia. Ruszyła więc dalej pod górę, trzymając się daleko na skrzydle, dopóki nie wspięła się dostatecznie wysoko, żeby bezpiecznie zawrócić w głąb łądu.

Wyraźnie słyszała czerwonych neoanderów. Wszyscy poza jednym znajdowali się poniżej niej, a kiedy przystanęła i chwilę odczekała, minął ją także idący ciężkim krokiem spóźnialski. Dowódca. Zgodnie z rasowym stereotypem dowodził beta – chociaż trzeba mu oddać sprawiedliwość: nie zamierzał dowodzić z tyłu, z bezpiecznego oddalenia, a to oznaczało, że Katrzy znalazła się prawie w samym środku szyku Czerwonych, na granicy mokradła, gdzie silnie podmokły teren kazał się dobrze zastanowić nad dalszym wyborem drogi. Na pewno już się zorientowali, że zwiadowca na lewej flance gdzieś się zawieruszył, co mogło ich za chwilę przekonać do pójścia w prawo, ale na razie przystanęli i zastanawiali się, co robić. Teraz już wszyscy znaleźli się na zboczu poniżej i byli odwróceny do niej plecami.

Patrząc w poprzek stoku, widziała tylko wysokie sosnopodobne drzewa, których korony tworzyły lite sklepienie tłamszące rozrost podszytu. W takim lesie łatwo się poruszać; biegiem przemieści się błyskawicznie na drugą stronę placu boju, gdzie powinna wytropić drugiego zwiadowcę i unieszkodliwić go ambotem, zanim tamten zrobi coś głupio bohaterskiego.

Z dołu dobiegł szcęk neoanderskiego bicza. Ktoś krzyknął. Rozległa się kakofonia metalicznych wizgów: to wystrzelone z katapult amboty

cięły powietrze.

Nagle poczuła się bardzo, bardzo spóźniona. Puściła się biegiem przez las, nie próbując się już kryć. Ilekroć trafiała na wolne przestrzenie wśród drzew, spoglądała w dół, ku dobrze widocznym bagnom.

I właśnie dlatego omal nie zderzyła się z samotnym mężczyzną, który zajął stanowisko na jednym z tych odsłoniętych kawałków terenu, skąd miał idealny widok na mokradła i zatokę. Za towarzysza miał robota: żmijkę z kamerą zamiast głowy, która mogła dźwignąć się na swoich splotach jak kobra w koszyku i wycelować obiektyw w dowolnym kierunku. Mężczyzna stał plecami do walki i patrzył na żmijkę, filmującą rozgrywające się w dole wydarzenia. Napatoczywszy się na niego, Katrzy znalazła się bardzo blisko żmijki, dzięki czemu w okamgnieniu zrozumiała ideę całej sceny, jaką za chwilę miał zobaczyć miliard czerwonych widzów: przed kamerą – mężczyzna wśród surowych skał i drzew, które u mieszkańców orbitalnych siedlisk wzbudzą tęsknotę za Ziemią i pragnienie skolonizowania powierzchni planety; na drugim planie – mokradła, na których toczy się walka; i wreszcie w tle – zatoczka wtulona w szczytce chłostanej falami skały, barka ze słupem światła, przy którym wokół było jasno jak za dnia, nieco dalej arka *Darwin* kołysząca się na falach i niebo rozjaśniane pierwszym blaskiem przedświtu.

Mężczyzna się jej nie spodziewał. Odniosła wrażenie, że układa sobie tekst, ćwiczy rolę i robi próbę generalną przed występem. Miała więc chwilę, żeby mu się przyjrzeć.

Trzy inkarnacje Kath Amalthowej w sumie tylko kilka razy widziały aretaica na własne oczy, za każdym razem z daleka, nie orientowała się więc zbyt dobrze, co sprawia, że przedstawiciela tej rasy uważa się za imponującego lub przystojnego, ale tutaj z pewnością trafił jej się bardzo efektowny okaz. Miał ponad dwa metry wzrostu. Długie, kruczoczarne włosy zaczesywał do tyłu, odsłaniając szlachetne czoło i uwypuklając wydatny nos i duże, czarne jak smoła głęboko osadzone oczy. Kilka zmarszczek na twarzy przydawało mu powagi i dojrzałości.

Pięć tysięcy lat wcześniej arystokracja przepadła razem ze wszystkim, co istniało na Ziemi, a mimo to idea arystokracji – i aspiracji, które (przynajmniej w swojej wyidealizowanej postaci) wydobywała z ludzkiej psyche – przetrwała w wyglądzie tego człowieka, jego stroju, posturze

i spojrzeniu, jakim zmierzył Katrzy, gdy otrząsnął się ze zdumienia i zrozumiał, co się dzieje. Wyraz jego twarzy wskazywał, że niespodziewane spotkanie uważa za fascynujące, a także z lekka zabawne, ot, figiel, jaki los potrafi czasem spletać różnym wyrafinowanym osobistościom; gdyby odsunąć na bok dzielące ich różnice polityczne, mogliby się pewnego dnia spotkać z Katrzy przy lampce czerwonego antymerskiego wina i kąśliwie skomentować całą sytuację.

Tak mu się przynajmniej wydawało, dopóki wystrzelony przez nią ambot nie trafił go w sam środek czoła.

Żmijka – najwidoczniej wyposażona w jakiś prosty mechanizm śledzenia interesujących zdarzeń – zareagowała na ruch i dźwięk wystrzału z katapulty i odwróciła się w stronę Katrzy... która przydepnęła jej kark. Robot ugiął się pod butem i choć starał się nie upaść, ostatecznie musiał się rozwinąć i rozprostować, żeby zamortyzować upadek. Gdyby jego program przewidywał podążanie za ruchomymi obiektami, mógłby ruszyć za Katrzy przez las, ponieważ jednak w gruncie rzeczy był tylko średnio rozgarniętą kamerą, został na swoim miejscu, uparcie próbując zogniskować obiektyw na twarzy aretaica. A ponieważ aretaic miotał się i tarzał jak palony żywcem, algorytmy żmijki miały z nim ciężką przeprawę.

Katrzy pobiegła dalej. Zakręciła ku morzu, kończąc manewr okrążania mokradeł, i zwolniła kroku. Jeżeli jej domysły były słuszne, zbliżała się do drugiego z kopaczy, a w odróżnieniu od Barda, Beleda i Roskosa Yura nic jej nie chroniło przed stalowymi grotami strzał.

Z góry – zza jej pleców! – dobiegł trzask łamanej gałązki. Odwróciwszy się, ujrzała rudowłosego i niebieskookiego kopacza, który z odległości najwyżej pięciu metrów celował do niej z łuku. Świeżo naostrzone krawędzie ręcznie kutego grotu zaśniły w świetle znad zatoki. Wcześniej już musiała schować katapultę, żeby mieć wolne ręce przy wspinaczce, i teraz była bezbronna.

Ściśle rzecz biorąc, Cantabrigia Pięc nie kazała jej unieszkodliwiać obu tropicieli, tylko powstrzymać ich przed wyrządzeniem szkód oraz dopilnować, żeby zdjęcia ich zwłok nie obiegły ekranów w pierścieniu siedliskowym.

– Popełniasz gruby błąd – powiedziała.

Kopacz nie poruszył się, tylko powoli uniósł brew, co Katrzy przyjęła jako zachętę do dalszej przemowy.

– Ci ludzie, Czerwoni, tylko udają przyjaciół, żeby wykorzystać wasze roszczenia do ziemskich łądów. W rzeczywistości chcą je zagarnąć dla siebie.

– A wy? – zapytał tropiciel.

– Pod pewnymi względami Niebiescy wcale nie są od nich lepsi.

– Dlaczego zatem mielibyśmy słuchać waszych rad?

– Nie powinniście ślepo słuchać niczyich rad: ani moich, ani jego. – Katrzy ruchem głowy wskazała miejsce, w którym zostawiła aretaica.

Cisza. Kopacz rozważał jej słowa.

– Znasz Ceylona Congreve’a? – spytała Katrzy.

– Oczywiście.

– Rozmawialiście o szachach?

– Nie potrzebujemy Cykli, żeby wiedzieć, co to szachy. Stale w nie gramy.

– W takim razie wiesz o tym, że pionki są słabe, dopóki wyróżniona pozycja na planszy nie przyda im siły. Na początku rozgrywki poświęca się je bez żalu. W końcówce mogą jednak dać królowi mata.

Z dołu znowu dał się słyszeć trzask bicza, po którym dwa kolejne nastąpiły tuż po sobie. Katrzy zwalczyła pokusę, żeby się odwrócić i spojrzeć w stronę zatoki, za to niebieskie oczy kopacza zbłądziły na pole bitwy, coś na nim dostrzegły i znów spoczęły na jej twarzy. Przez cały ten czas strzała na cięciwie nawet nie drgnęła.

– Wy jesteście takimi pionkami – ciągnęła Katrzy. – Nawet sobie nie wyobrażacie, jak słabi i mało znaczący jesteście w porównaniu z siłami na orbicie. Jeżeli dacie się rozgrywać takim ludziom jak Czerwoni, poświęcą was w pierwszym dogodnym dla siebie momencie. Jeśli jednak przyjmiecie długofalową perspektywę, możecie jeszcze urosnąć w siłę, i to wcale nie mniej niż inne ludzkie rasy.

Gwałtownym ruchem, na widok którego Kath aż się wzdrygnęła, kopacz podniósł łuk i przestał go napinać. Zdjął strzałę z cięciwy i schował do kołczana.

– Z rezerwą przyjmuję twoje słowa – powiedział.

– To dobrze.

– Częściowo potwierdzają jednak podejrzenia, które żywię od

momentu pojawienia się Czerwonych. Dlatego postanowiłem wrócić do swoich i z nimi o tym porozmawiać.

Po tych słowach odwrócił się plecami do Katrzy i ruszył w głąb gór Beringii.

* * *

– Znam twoją przeszłość, Tiuratamie Lake – powiedziała Cantabrigia Pięc. – Przynajmniej tę jej część, która trafiła do oficjalnych archiwów.

– Czyli połowę.

– Tak czy inaczej, mam świadomość, jak bardzo jesteś rozdarty w obecnej sytuacji. – Rzuciła ledwie dostrzegalną namiastkę spojrzenia ku górze. Styłowy proper przesłaniał jej oczy, ale ich złoty odcień uwypuklił ten gest. – Częstka ciebie chciałaby dołączyć do walki. Chwalebne to, ale ja potrzebuję cię tutaj. Wyższy Cel potrzebuje cię tutaj.

– W porządku. Zamieniam się w słuch.

Zastanawiał się – zgoła niestosownie i bez związku z obecną sytuacją – ile ta kobieta ma lat. Przemiany epigenetyczne potrafiły wymazać wiele widocznych skutków starzenia się. Co najmniej jedna moiranka, Jamaica Młot Dwanaście, dożyła dwustu lat. Przy każdym kontakcie z Cantabrigią Pięc Ty oceniał ją jako starszą o kolejne dziesięć lat.

– Co wiesz o pingerach? – zapytała.

– Szczerze? Traktuję ich bardziej w kategoriach mitów niż faktów.

– W takich czasach mit bywa ważniejszy od faktów.

– A co ty wiesz na ich temat?

Choć raz wyprowadził ją lekko z równowagi. Posłała mu ostre spojrzenie i odsunęła proper na czubek głowy.

– Czy są produktem czerwonego laboratorium genetycznego? – dopytywał się Ty.

– Czerwoni nie wiedzą o ich istnieniu.

– Czy to my ich stworzyliśmy?

– Niebiescy? Nie. Twoja hipoteza była trafiona.

– A skąd ty niby wiesz, jaką miałem hipotezę?

Cantabrigia Pięc spojrzała na oparte o kamień pudełko od pizzy.

– Wiem, co tam jest.

– Dziękuję.

Ty odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę młodego wysokiego ivyna, który stał na plaży i nerwowo zerkał w tę stronę, skąd dobiegały odgłosy walki.

– Einstein? Skup się. Pora przejść do historii.

* * *

Trzaskanie z bicia utworzonego z małych robotów połączonych w długi elastyczny łańcuch nie było ani najgorszą, ani najlepszą metodą prowadzenia walki na amboty. Obszerne badania przeprowadzone w niebieskich laboratoriach wojskowych dowodziły, że – średnio rzecz biorąc – bice są nieco mniej skuteczne niż bardziej oczywista procedura wystrzeliwania pojedynczych ambotów z katapulty. Niektórzy naukowcy nie zgadzali się z tą tezą, utrzymując, że badania zostały przeprowadzone niesumienne, ponieważ nie uwzględniały dwóch czynników niezwykle istotnych w prawdziwych warunkach bojowych. Po pierwsze: psychologicznego aspektu ataku biczem, który mógł dopaść przeciwnika dosłownie z każdej strony, w tym także zza rogu budynku lub zza barykady. I po drugie: kwestii indywidualnych umiejętności, które trudno było ująć w naukowo mierzalny sposób – ludzie obsługujący bice w warunkach laboratoryjnych byli raczej mniej biegli od neoanderów, którzy od dziecka uczyli się nimi posługiwać i mieli dostęp do pradawnej skarbnicy wiedzy (a więc, *de facto*, własnej sztuki walki), którą nie zamierzali się z nikim dzielić. Gdyby rozłączyć bicz w pół uderzenia, tworzące go amboty zostałyby wystrzelone z prędkością ponaddźwiękową, co w praktyce niczym się nie różniło od ostrzelania przeciwnika z katapulty. Gdyby trafiły w cel, wyrządziłyby nie tylko bezpośrednie szkody fizyczne, lecz mogłyby dodatkowo przejść do realizacji swojego zwykłego programu; gdyby zaś bicz chybił, łańcuch odzyskiwało się w całości, bez strat ambonicji: wszystkie amboty były zdolne do podjęcia kolejnej próby ataku – czego z pewnością nie dałoby się powiedzieć o tych wystrzelonych z katii.

Jedną z rzeczy, które Katrzy zamierzała na pewno zrobić, jeśli tylko wyjdą z tego cało, było zaproszenie Langobarda na kieliszek pinot noir

i zapytanie go, gdzie się tak nauczył walczyć – bo do niedawna całkiem przekonująco wychodziło mu udawanie spokojnego handlarza winem z Kolebki. Oczywiście spodziewała się, że będzie ją próbował zbyć, tłumacząc, że u neoanderów z Antymeru, podobnie jak wśród wielu innych kultur w dziejach ludzkości, tradycyjnie kładzie się nacisk na zapoznawanie młodzieży z lokalną sztuką walki.

Sceptyk mógłby w tym miejscu zauważyć, że walka na bicze złożone z małych robotów mogła być doskonałym pomysłem w schludnym i uporządkowanym środowisku, jakim jest wnętrze orbitalnego siedliska albo wydrążonej asteroidy, miałyby również sens w próżni oraz wszędzie tam, gdzie jest dużo otwartej przestrzeni, czyli, na przykład, na ziemskich pustyniach lub czapach lodowych – ale w bagnie zarośniętym trzciną sięgającą człowiekowi ponad głowę byłaby zwyczajną pomyłką.

Uszy Katrzy przechwytywały ogromne ilości danych, z którymi jej mózg nie wiedział, co zrobić. Ktoś, kto od małego szkolił się w używaniu biczów (a tak najwyraźniej rzecz się miała z Langobardem), mógłby wyłowić w powtarzającym się łoskocie jakieś subtelności: trzask bicza, który trafił w cel, powinien brzmieć inaczej od dźwięku wydanego przez bicz, który rozpadł się na kawałki i przeobraził w rój fruujących ambotów, a ten z kolei inaczej niż odgłos łańcucha przecinającego powietrze lub zaplątanego w gąszczu roślin. Tymczasem ona słyszała tylko tyle, że tam, w dole, ktoś z kimś walczy. Zdążyła obejść mokradła do końca i wrócić na pierwotną linię obrony ponad zatoką, a bitwa wciąż trwała. To na pewno był dobry znak. Próbowwała myśleć jak Cantabrigia Pięć, która pewnie nie przejmowałaby się takim drobiazgiem jak liczba ofiar czy zawładnięcie jakimś skrawkiem terenu. Najważniejsza była narracja – na razie zaś wyglądało to tak, że nieliczna grupa Niebieskich, prowadząca zgodnie z traktatem pokojowym działania zwiadowcze po swojej stronie określonej w tymże traktacie granicy, została napadnięta przez żądnych krwi czerwonych neoanderów, którzy przyparli ich do oceanu, gdzie Niebiescy stawili im heroiczny (i zdumiewająco długotrwały) opór w obronie garstki cywilów. Katrzy wolałyby nie być aż tak cyniczna, ponieważ Cantabrigia Pięć była naprawdę fantastyczną i charyzmatyczną postacią, ale przypuszczała, że jedna lub dwie ofiary śmiertelne wśród Niebieskich plus wywiad z jakimś ciężko rannym żołnierzem byłyby idealną odpowiedzią na propagandowy podstęp

aretaiców sprzed kilku dni.

Takie rozmyślania pozostawały jednak luksusem, na który mogła sobie pozwolić, dopiero znalazłszy się ponad zatoczką, z dala od bitewnego zgiełku – a także, nieprzypadkowo, z dala od fulerenów z kamerami rejestrujących heroiczne zmagania niebieskiej straży tylnej.

Spojrzała w stronę dolnego obozu. Przy tej pogodzie nie należało się spodziewać wschodu słońca z prawdziwego zdarzenia, ale niebo stawało się coraz jaśniejsze i w tej chwili oświetlało plażę skuteczniej niż wznosząca się ponad arką Pętla Aitkena. Być może w odpowiedzi na odgłosy bitwy pół tuzina pontonów wypłynęło z zalanego kadłuba *Darwina* i skierowało się do brzegu. W każdym znajdowało się po kilku ludzi, prawdopodobnie w hełmach. Świetnie. Kłopot w tym, że – jak z irytacją stwierdziła Katrzy – nie przybijali do plaży, bo stojąca na wysepce Sonar Taxlaw próbowała ich zatrzymać gestami. Dołączył do niej Einstein. Za chwilę na wysepce miał zapanować trudny do zniesienia ścisk, bo Tiuratom Lake właśnie brodził w jej stronę, niosąc pod pachą pudełko od pizzy. Wytrzasnął suchy kombinezon, co z pewnością uprzyjemniło mu taplanie się w wodzie.

Cantabrigia Pięć i Arjun stali na brzegu i patrzyli na morze, jakby kilkaset metrów za ich plecami wcale nie toczyła się zacięta walka.

Dwa fulereny opuściły pozycje powyżej Katrzy i zaczęły turlać się po zboczu jak druciane gązdy – z początku na pozór bezładnie i dziko, jak kamienie w lawinie, z czasem zaczęły się jednak rozciągać, odkształcać i dostosowywać do kamienistego podłoża, coraz bardziej drobiąc. Jeden z nich wyhamował w miejscu, z którego miał dobry widok na całą zatoczkę, drugi zaś zszedł aż na plażę, zapewne po to, żeby szukać ujęć z bliska. Cantabrigia Pięć podeszła do niego i patrząc prosto w kamerę, zaczęła coś mówić; z tej odległości Katrzy nie miała szans rozeznac jej słów.

Obserwowała to wszystko oparta plecami o stromy wewnętrzny stok krateru. Tuż nad nią ciągnęły się zarośla wczepione w jego górną krawędź, gdzie teren był poziomy, a nasłonecznienie najlepsze, na jakie można było liczyć w tych rejonach. Ściana roślin ciągnęła się po kilkadziesiąt metrów w obu kierunkach, odgradzając zatokę od mokradeł i ciągnących się za nimi wyżyn.

Głośnie sapanie i dźwięk mnóstwa łamanych patyków kazały jej

odwrócić się gwałtownie w lewo – w samą porę, żeby zdążyła zobaczyć dwóch zwartych w uścisku potężnych mężczyzn, którzy przełamali żywopłot i wytoczyli się na odsłonięty teren. Ponieważ wypadli na stromiznę, zdążyli się sturlać ładny kawałek w stronę plaży, zanim większy z nich – Beled – zdołał się zaprzeć wyprostowaną nogą o grunt i wyhamować ruch ich obu. Jednocześnie pchnął przeciwnika (neoandera) obiema rękami i uniósł go nad ziemię, próbując przerzucić go nad sobą i zepchnąć jeszcze niżej. Neoander przewidział jednak ten ruch i oplótł swoje znacznie dłuższe ręce wokół tułowia Beleda, usiłując zacisnąć mu je na piersi. Mniej więcej połowę ciała Beleda w dalszym ciągu pokrywał złożony z ambotów dziurawy pancerz. Prawą ręką neoander grzmotnął prosto w ich skupisko osłaniające pachę Beleda, na co odpowiedziały wyraźnie słyszalnym wstrząsem elektrycznym wymierzonym w dłoń napastnika. Uniemożliwiło mu to zamknięcie chwytu, ale manewr Beleda również się nie powiódł i teklanin przewrócił się w ślad za przeciwnikiem. Widząc, co się święci, przestał się szarpać i podkulił nogi, dzięki czemu zamiast po prostu rozpląszyć się na ziemi, wykręcił w powietrzu niby-salto i wylądował stopami na brzuchu neoandera. Katrzy usłyszała głośny trzask, nie od razu jednak skojarzyła go ze złamaniem żebra. Leżący na plecach neoander odruchowo spróbował się skulić do pozycji płodowej – i przy tej okazji uderzył głową w opadającą z góry pięść Beleda. Szanse w starciu pomiędzy delikatną strukturą kostną współczesnej dłoni i masywnymi łukami neandertalskiej czaszki były siłą rzeczy nierówne; rozległ się kolejny trzask, który tym razem zwiastował kłopoty Beleda. Jednakże po tym zderzeniu neoander osłupiał na ułamek sekundy, dzięki czemu Beled zdołał w końcu wyciągnąć z pochwy u pasa nóż i przyłożyć mu go do gardła. Tak długo go przyciskał, aż neoander oparł potylicę na ziemi.

Walka (a przynajmniej ta jej faza) dobiegła końca i Katrzy dopiero teraz zobaczyła Beleda w pełnej krasie: był zakrwawiony, półnagi, plujący kawałkami zębów, zdyszany znacznie bardziej niż po sprintach na mechanicznej bieżni, ale przynajmniej żył i walka się dla niego zakończyła, chyba żeby chciał ostatecznie zneutralizować wroga i poderżnąć mu gardło. Byłoby to raczej nierozważne, zważywszy że fuleren z kamerą miał go w kadrze. Legendarne teklańsko-neoanderskie pojedynki z górniczych opowieści mogły się kończyć krwawo. Ten nie.

Na mokradłach rozgrywały się tymczasem inne wydarzenia, których Katrzy nie widziała. Langobard wynurzył się z gąszczu z Roskosem Yurem przerzuconym przez plecy w chwycie strażackim i z wyraźnym pośpiechem, nie oglądając się, ruszył ku plaży. Beled krzyknął ostrzegawczo. W tej samej chwili Katrzy usłyszała ruch na mokradłach i zobaczyła, jak przez wyrwę w zielsku pozostawioną przez Beleda i jego przeciwnika wypada jakiś człowiek (nie neoander) i rzuca się w pogoń za Bardem. Była to krępa kobieta w mundurze, z krótko obciętymi włosami – klasyczna beta. Katrzy wycelowała z katapulty i wystrzeliła w nią najpierw jednego ambota, a potem drugiego i trzeciego, lecz wszystkie chybiły; najwidoczniej pancerz bety skutecznie powstrzymywał ten konkretny model. Katrzy mogłaby strzelać do niej cały dzień i nic by z tego nie wynikło. Beta usłyszała jednak *uang!* katapulty i poczuła śmigające wokół niej amboty, co na chwilę ją powstrzymało. Odwróciła się do Katrzy. Jej mina zdradzała, że nie spodziewała się zobaczyć moiranki. Kiedy chłonęła ten niezwykle widok, kamień wielkości pięści wyrzynał ją w skroń i najprawdopodobniej zabił.

Katrzy spojrzała w dół stoku i zobaczyła Beleda, który po rzuceniu kamieniem zamierzał przejść do natarcia. Wcześniej przełożył nieubrudzony krwią nóż do połamanej ręki, ale teraz znów ujął go w zdrową dłoń. Obok stał Bard, który przystanął w biegu, zaciekawiony, w co Beled rzuca kamieniami. Cały spływał krwią.

Po krótkim namyśle Katrzy doszła do wniosku, że to krew sierżanta Yura.

Pokonany przez Beleda neoander poderwał się na nogi... i równie szybko padł jak ścięty, gdy kolejne *uang!* dotarło do uszu Katrzy. Odwróciwszy się, Langobard stwierdził, że to Roskos Yur – poważnie poraniony, ale przytomny – strzelił z trzymanej w wolnej ręce katapulty.

Jeżeli w okolicy kręcili się jeszcze jacyś żołnierze Czerwonych, to albo byli martwi, albo nieprzytomni, albo właśnie wycofywali się w stronę gór.

Pierwszy raz od dłuższego czasu (przynajmniej pozornie, bo w rzeczywistości upłynęło zapewne dosłownie kilka sekund) Katrzy spojrzała w dół, ciekawa wydarzeń w zatoce.

Pontony z arki postanowiły unikać środkowej części plaży

i rozpierzchły się na boki, by przybić do cypli na krawędzi krateru. W razie potrzeby ich załogi mogły stamtąd przejść piechotą w dowolne miejsce na brzegu.

Z wody wychodził człowiek.

* * *

Ty podałeś pudełko od pizzy Einsteinowi, kazał mu je otworzyć i pilnować, żeby to, co znajdzie w środku, było suche i na podorędziu. Ponieważ było mu ciepło w nogi (skafander się sprawdził), postanowił zostać w wodzie po uda, zamiast pchać się na wysepkę. Wojna nauczyła go nieufności graniczącej z niesmakiem wobec ludzi takich jak Cantabrigia Pięć, którzy zawsze na pierwszym miejscu stawiali nie same fakty, lecz sposób ich prezentacji, ale jej sposób myślenia był zaraźliwy. Scenę na wysepce postrzegał nie oczami Tiuratama Lake'a, lecz jakby za pośrednictwem kamery przekazującej obraz do pierścienia – i uznał, że prezentuje się idealnie: szklany stożek, przy linii wody ubrudzony naniesionym przez wodę piaskiem, a na nim dwoje ludzi: Einstein z pudełkiem od pizzy i, obok niego, przytrzymująca go za szlufkę w spodniach Cykla w słuchawkach przekrzywionych w taki sposób, żeby zakrywały tylko jedno ucho. Prawdę mówiąc, tak się zapatrzył na ten obrazek, że omal nie przegapił gwoźdźca programu. Dopiero wyraz twarzy tamtych dał mu do zrozumienia, że powinien się odwrócić w stronę morza.

Ponad fale wystawały tylko ramiona i głowa. Pinger szedł pod górę po zboczu krateru, jakby wracał z podwodnej przechadzki. Z początku dyszał głośno i głęboko, wyraźnie natleniając krew, ale już po chwili zaczął oddychać równiej, spokojniej. Gdzie mieszkał? Skąd przybył? Musieli mieć dzwony nurkowe albo inne urządzenia, żeby przemieszczać się pod wodą.

Był bezwłosy, gładki i – jak się wkrótce okazało – pozbawiony wyraźnie widocznych genitaliów. Czyżby kobieta? Ale kobieta bez piersi? O ile Ty wiedział, pingerzy nie przestali być ssakami.

Kilka kroków za plecami pingera z wody wynurzył się okrągławy obiekt osadzony na szyi, która z kolei wyrastała z przygarbionych

ramion. Ten osobnik miał piersi. Dalej szedł jeszcze jeden, podobny.

Kiedy pierwszy wyszedł na płyciznę, kształt jego ciała stał się bardziej oczywisty: było zaokrąglone i, ogólnie rzecz biorąc, trochę przypominało pocisk. Jakaś część mózgu Ty'a upierała się, żeby widzieć w nim otyłego mężczyznę. I może naprawdę był otłuszczony – w taki sam sposób jak wydra albo foka: grubą warstwę tłuszczu okrywała również wcale nie cienka sprężysta skóra. Na pewno jednak nie mogło być mowy o żadnych zbędnych fałdach tłuszczu. Jego sposób poruszania się sugerował całkiem poważną muskulaturę pod warstwą tego (z braku lepszego słowa) sadła. Był praktycznie nagi, tylko tułów oplatała mu swoista uprząż obwieszona mnóstwem różnych drobiazgów, które nie pozostawiały cienia wątpliwości, że jej właściciel jest obeznany z techniką. Z początku pingerzy wydawali się czarni, ale im bardziej wynurzali się z wody, tym lepiej było widać, że skórę mają szarą z cętkami w odcieniach jaśniejszej szarości, niebieskiego i zielonego. Brzuchy mieli jaśniejsze niż plecy, a cętki pojawiały się głównie na bokach tułowia.

Ty nie lubił się gapić, ale nie mógł się powstrzymać. Między nogami mieli tylko koncentryczne fałdy, skrywające (jak należało przypuszczać) w miarę normalne genitalia, być może czekające na stosowne zaproszenie do ujawnienia się.

Zbliżyli się przez ten czas na tyle, że dało się rozeznaczyć rysy ich twarzy. Ich czaszki nie różniły się chyba zbyt od czaszek klasycznych ludzi, za to oczy, uszy i nozdrza były przesłonięte umięśnionymi płaciami ciała pozostającymi w nieustannym ruchu. Wcześniejsza uwaga Sonar Taxlaw o przemianie wilków w pudle nie grzeszyła może delikatnością, ale analogia była trafiona: pingerzy tak się mieli do zwykłych ludzi, jak buldog do charta. Wszystko było na swoim miejscu, trzeba było tylko trochę się wysilić przy szukaniu.

Ty obejrzał się na Einsteina i Sonar, którzy – co całkowicie rozumiało – nie odrywali oczu od nadchodzących pingerów.

– Einstein – powiedział. – Einstein! – powtórzył głośniej.

Wystraszony Einstein mało nie wpadł do wody.

– Chcesz? – poruszył bezgłośnie ustami, wskazując trzymany w rękach prostokąt.

– Nie – odparł Ty. – To musi być dziecko Ivy.

– Teraz?

– Teraz.

Einstein ujął prostokąt za dolne rogi i podniósł nad głowę, żeby przybysze wyraźnie go zobaczyli.

Było to zdjęcie powiększone do rozmiarów około pół na pół metra. Każdy orbital rozpoznałby w nim wielce symboliczny obraz z Eposu, ostatnią fotografię, jaką narzeczony Ivy, Cal Blankenship, przesłał jej z kiosku swojego okrętu podwodnego tuż przed tym, jak zamknął właz i zarządził zanurzenie, by schronić się przed pierwszą salwą Kamiennego Deszczu. Dominowały na nim dwa koncentryczne kręgi, w pewnej odległości od obiektywu – otwarty właz, w którym okrąg nieba został przecięty na dwoje ognistym śladem meteorytu; a znacznie bliżej, tuż przy aparacie – pierścień zaręczynowy, który Cal przed chwilą zsunął z palca. Nikt nie wiedział, czy potomkowie Cala rozpoznają ten wizerunek.

Twarz idącego na przedzie pingera zmieniła się: szare oczy nagle wydały się większe, uszy również jakby urosły i zamiast szczelin w czaszce zaczęły przypominać zwykłe ludzkie uszy, co najwyżej mniejsze i smuklejsze niż przeciętne. Stał w wodzie po kolana i odczekał, aż pozostała dwójka się z nim zrówna. Wszyscy patrzyli na zdjęcie w rękach drżącego ivyna. Uszy Ty'a połaskotała piskliwa wokalizacja, w której prawie, prawie rozpoznawał angielskie słowa. Pingerzy rozmawiali, zwracali się ku sobie nawzajem, wymieniali jakieś uwagi, wskazywali na zdjęcie i gestykulowali z rozmachem. To akurat było zrozumiałe: ludzie mieszkający pod wodą na pewno świetnie porozumiewali się gestami.

Kobieta powiedziała coś stanowczym tonem, zwracając na siebie uwagę pozostałych dwojga. Ty nie zrozumiał słów, ale ton głosu i język ciała były dostatecznie wyraziste.

– Zamknijcie się i słuchajcie. Ja wiem, co to jest.

Podniosła lewą rękę. Miała smukłą dłoń i krótkie, pulchne palce częściowo połączone błoną pławną. Prawą dłoń zamknęła wokół palca wskazującego lewej i wykonała gest naśladujący zdjęcie pierścionka. Trzymając wyimaginowany pierścień przed sobą, zgięła palec wskazujący drugiej dłoni w charakterystycznym ruchu naciskania migawki aparatu.

* * *

Obserwująca tę scenę Katrzy zaczęła zsuwać się na tyłku po wewnętrznej ścianie krateru, tylko częściowo kontrolując ten proces. Bała się przyśpieszyć, żeby gwałtownym ruchem nie spłoszyć pingerów. Bardziej szybko od niej znalazł się w dolnym obozie i położył sierżanta Yura na rozłożonym śpiworze; Hope od razu zajął się rannym i podłączył mu kroplówkę. Katrzy minęła Beleda, który, stojąc nad obezwładnionym czerwonym neaoanderem, zakładał mu plastikowe kajdanki na kostki i nadgarstki.

Zeszła na plażę, trzymając się z dala od Cantabrigii Pięc, która występowała przed kamerą, i Arjuna, który mamrotał coś do propera.

Na płyciznę wyszło kilku dalszych pingerów. Jeden z nich – mężczyzna, bardziej niż inni obwieszony sprzętem – podszedł do Ty'a i wyraźnie próbował się z nim porozumieć. Ty wyszczerzył zęby w uśmiechu, przystawił dłoń do ucha i pokręcił głową. Pinger złapał go delikatnie za nadgarstek i pociągnął za rąbek skafandra; w odpowiedzi Ty w podobny sposób skubnął gładką skórę na jego przedramieniu i obaj się roześmieli. Pinger miał białe, ostre zęby.

Pierwsi troje wspięli się na wysepkę i oglądali z bliska zdjęcie, które Einstein trzymał w tej chwili na wysokości piersi, jak zaproszenie i tarczę w jednym. Sonar Taxlaw, wolna od podobnego brzemienia, niepewnie wyszła na spotkanie pingerki... która zniecka zrobiła krok w przód i ją objęła.

Cantabrigia Pięc z satysfakcją zerknęła na Esę Arjuna, a potem zadarła głowę i spojrzała w niebo.

Epilog

– W poprzedzających Kamienny Deszcz tygodniach Cal przesłał Ivy więcej zdjęć – powiedział Arjun. – W sumie siedemnaście, włącznie z tym.

Skinieniem głowy wskazał lekko sfatygowaną fotografię opartą o burtę *Darwina*, przy końcu stołu, przy którym jedli z Ty’em obiad.

Z Ty’em i Głębinowcem. Głębinowiec był tym pingerem, który zagadnął Ty’a i zaprzyjaźnił się z nim poprzez niewerbalny żart z jego skafandra. Teraz siedział z nimi przy stole, dwa krzesła dalej. Nie mieli pewności, czy uważa się za uczestnika tej rozmowy.

– Rozumie, co mówię? – spytał Arjun Ty’a.

– Idzie mu coraz lepiej. Nasz głos brzmi dla nich jak dźwięki tuby.

– Naprawdę nazywa się tak, jak powiedziałeś?

– Lepiej nie umiem tego wymówić – odparł Ty – ale on na to reaguje.

Głębinowiec pałaszował podany na półmisku surowy filet z ryby garnirowany wodorostami. Nagle chyba zdał sobie sprawę, że o nim mowa, bo znieruchomiał i spał się w nadzwyczaj ludzki sposób. Nie wiedząc, co powiedzieć, wznosił toast kubkiem cydru. Arjun i Ty odpowiedzieli w ten sam sposób. Wszyscy wypili.

– Wydaje mi się, że to jakiś inżynier albo naukowiec – ciągnął Ty. – Ten sprzęt, którym jest obwieszony...

– To prawda. – Arjun zmierzył pingera zaniepokojonym wzrokiem. – Optyka, elektronika... Udało im się zachować więcej wytworów techniki niż kopaczom.

– Mieli więcej miejsca – zauważył Ty. – I mogli zbierać wszystko, co opadło na dno. – Spojrzał na Arjuna. – Mówiłeś coś o siedemnastu zdjęciach...?

– Tak. Większość z nich to były tak zwane wówczas selfie. Teoretycznie stanowiły naruszenie tajemnicy wojskowej, co jest o tyle dziwne, że Cal był niezwykle sumiennym i karnym żołnierzem.

– To prawda. – Ty wspomniał sceny z Eposu. – Pamiętam, jak Ewa Ivy rozwodziła się nad tym, kiedy Ewa Julia kazała Calowi ostrzelać Wenezuelę.

– Doskonały przykład. To spotkanie Cala, jeśli można tak o nim mówić, zwróciło uwagę naukowców. Z telefonu Ivy odzyskano wszystkie siedemnaście zdjęć, wokół których powstała mało znana podpodkategoria nauk historycznych.

– Taka, jaką tylko ivyni mogliby się zainteresować.

– Otóż to. Najlepiej zamknęci w jakiejś bibliotece na Stromness.

Arka *Darwin* w dalszym ciągu kołysała się na falach tuż poza obrębem zatoczki, a jej kadłub pozostawał zalany od wewnątrz, tworząc idealną scenerię dla bieżących wydarzeń: konferencji dyplomatycznej z udziałem pingerów i ważnych niebieskich oficjeli, zrzuconych w kapsułach wprost z Greenwich kilka godzin po zakończeniu bitwy na plaży.

Sonar Taxlaw, Einstein i pozostali Niebiescy opuścili zatokę i przenieśli się na arkę. Beled ostatni zszedł z posterunku. Zanim zajął miejsce w szalupie, uwolnił pojmanego neoandera i zostawił mu dość zapasów, żeby wytrzymał do momentu, gdy jego rodacy po niego przyjdą.

Pojawili się – i to w znacznie liczbie – zaledwie parę godzin później. Jednakże zgodnie z zawartą z kopaczami umową mogli sobie rościć prawa wyłącznie do lądów, a *Darwin* nie znajdował się na lądzie. Na brzegu zatoczki rozrastał się więc wojskowy obóz Czerwonych, oddzielony kilkuset metrami słonej wody od morskiego stanowiska Niebieskich.

Panujący w zalanym wodą kadłubie chłód zmusił dyplomatów do włożenia ciepłych ubrań. Ty, Głębinowiec i Arjun siedzieli przy stole na czymś w rodzaju na wpół odsłoniętej antresoli, znajdującej się bliżej dziobu i wyniesionej ponad poziom wody; rozstawiono tam składane krzesła i stoły, tworząc rodzaj świetlicy dla gromadzącego się niebieskiego personelu oraz wszystkich pingerów, którzy zechcieliby wejść po pochylni na górę. Jedli gorącą zupę, zapijaną nieco dziwnym w smaku, ale znośnym cydrem z północnych stoków Antymeru.

– Z pewnością zastanawiasz się – mówił dalej Arjun, wchodząc w rolę wykładowcy z typowym dla ivyna entuzjazmem – jak ci ludzie...

– Jak przetrwali, u licha. Mając tylko jeden okręt podwodny.

Arjun pokiwał głową.

– Kiedy się zapozna z pracami wspomnianych przeze mnie naukowców, z których ostatni zmarł dwieście lat temu, okazuje się, że można na tych zdjęciach znaleźć pewne wskazówki.

– Zaraz. Skoro zrobiono je przed rozpoczęciem Kamiennego Deszczu, to jak można na ich podstawie wnioskować o późniejszych wydarzeniach?

– Mam na myśli wskazówki, które Cal za wszelką cenę starał się umieszczać na drugim planie. Przeznaczone tylko dla oczu Ivy. Dowodzące, że miał większe szanse na przetrwanie, niżby można przypuszczać.

– Mów dalej. – Ty sięgnął po swój kubek z cydrem.

– My wiemy wszystko na temat projektu „Arka w Chmurze”, ponieważ z niej właśnie się wywodzimy. To część naszej historii. Mamy archiwa. Tymi zdjęciami Cal próbował sugerować, że istnieje jeszcze inny program, może nawet szerzej zakrojony, o którym nigdy nie słyszeliśmy.

– Program mający umożliwić ludziom przetrwanie na dnie oceanu?

– Właśnie. U Cala widać w tle szczegółowe mapy batymetryczne najgłębszych rowów oceanicznych na całym świecie; na półkach stoją dokumenty w segregatorach, których tytuły raczej potwierdzają prowadzenie takich przygotowań. Poszlak jest więcej, a wiedza na ich temat jest ogólnie dostępna. Jeśli chcesz, przyślę ci więcej informacji.

– Dobrze – zgodził się Ty, powodowany zwykłą uprzejmością. Wiedział, że w życiu nie zajrzy do tych artykułów. – Najistotniejsze jest to, że ludzie Głębinowca – ruchem głowy wskazał siedzącego przy stole pingera – przetrwali wcale nie dlatego, że Cal miał fart.

– Mają własny Epos, który wcale nie musi być gorszy od naszego.

Sonar z Einsteinem, którzy już od jakiegoś czasu stali w kolejce po jedzenie, podeszli do stołu, mając na oku dwa wolne krzesła. Arjun potraktował to jako pretekst do wymówienia się od dalszej rozmowy. Głębinowiec pożegnał go uprzejmym skinieniem głowy, a chwilę później młody ivyn i Cykla zajęli miejsca przy stole. Z początku żarłocznie pochłaniali strawę, a rozmowa ograniczała się do pytań Sonar o nazwy i pochodzenie nieznanych jej potraw na tacy. Ty próbował

udzielać jej odpowiedzi, żeby Einstein mógł się spokojnie najeść – widok chłopaka był tak zabawny, że po chwili nawet przyglądająca mu się Sonar oddała mu część swojego jedzenia.

– Będziecie mi musieli kiedyś opowiedzieć, jak to jest – powiedział Ty.

– Jak... – zaczął Einstein, zanim jedzenie mu przeszkodziło.

– ...co jest? – dokończyła za niego Cykla.

– Dobrać się tak idealnie, jak wy dwoje.

– Nigdy ci się to nie zdarzyło? – zdziwił się Einstein. Wcale nie chciał być niegrzeczny, po prostu nie przyszło mu do głowy, że mógłby mieć doświadczenie życiowe tak bardzo obce Tiuratomowi Lake'owi.

– Nie. Nigdy mi się to nie zdarzyło.

Chłopak zbliżał się do punktu nasycenia. Opadł na oparcie krzesła i czujnym spojrzeniem obrzucił resztki obiadu, szukając przeoczonych – a godnych uwagi – kąsków.

– Chcę cię o coś zapytać – powiedział.

– Kto by pomyślał... – mruknął Ty.

– Czym jest Wyższy Cel? Ludzie ciągle o nim gadają.

– Też chciałbym to wiedzieć.

– Bardzo śmieszne... Wiesz, co mam na myśli. Roskos Yur o nim wspomniał, Cantabrigia Pięć też... Wyższy Cel. Pisany wielką literą.

– Moja odpowiedź brzmi tak samo. Nikt mi nigdy nie powiedział. Mogę co najwyżej zgadywać, snuć domysły, obserwować ludzi, którzy zachowują się, jakby wiedzieli, o co chodzi.

– Takich jak właściciele twojego baru?

– Właśnie.

– I do jakich wniosków doszedłeś?

Czując na sobie jeszcze czyjeś spojrzenie, Ty obejrzał się na Głębinowca, który przeżuwał z zapamiętaniem, próbując zmusić do kapitulacji wyjątkowo oporny kłębek wodorostów, ale przy okazji chyba także śledził ich rozmowę.

Ty wzruszył ramionami.

– Ludzie zawsze lubili... – zamierzał powiedzieć: „oszukiwać się”, ale nie chciał zrobić złego wrażenia na Głębinowcu – ...wierzyć, że wszechświat ma cel – wybrnął. – Do czasu rozpadu Księżyca mieli różne teorie, które po Dniu Zero nagle wydały się dziwnie głupie. Ot, bajki dla rozpieszczonych dzieci. Potem na kilka tysięcy lat straciliśmy z oczu

szerszą perspektywę i skupiliśmy się na walce o przetrwanie, jak mrówki, którym coś zniszczyło mrowisko. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy jednak sięgaliśmy myślami nieco dalej, nie umieliśmy się wyzbyć swoich ograniczeń: Czerwoni kontra Niebiescy i tak dalej. Zaskakująco rzadko myślało się o Agencji: skąd przybył, czy był tworem naturalnym, sztucznym, czy może wręcz boskim.

Einstein, Cykla i Głębinowiec zgodnie kiwali głowami, jakby zachęcali go do kontynuacji.

– Są ludzie... różni, Niebiescy, Czerwoni, niedookreśleni jak właściciele mojego baru, może nawet tacy jak on – Ty skinął głową na Głębinowca – którym się wydaje, że wiedzą coś więcej.

– A wiedzą? – zainteresowała się Sonar Taxlaw.

– Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że nie są głupi. A nawet gdyby byli... Ty zawiesił głos, szukając właściwych słów.

– Nawet gdyby byli... – powtórzył Einstein. – To co?!

– Wyższy Cel to sposób na powiedzenie nam, że są rzeczy większe i ważniejsze niż to badziewie, którym zajmowaliśmy się przez ostatni tydzień.

– Czerwoni kontra Niebiescy? O tym badziewiu mówisz?

– Tak. I mimo że nikt nie chce mi nic powiedzieć, przynajmniej na razie, mnie się to podoba. Ludzie, którzy twierdzą, że działają w imię Wyższego Celu, zachowują się inaczej, zwykle lepiej niż ci służący innym panom.

– Czyli przypomina to wiarę w Boga.

– Być może. Tyle że bez teologii, świętych pism i przeświadczenia o własnej słuszności.

Einstein i Cykla pokiwali głowami, zadumani, ale chyba też odrobinę rozczarowani.

– Przykro mi, że nie umiem odpowiedzieć na wasze pytanie – dodał Ty.

– Co teraz zamierzasz? – spytała Sonar. – Siódemka została rozwiązana.

– Wrócę do baru.

– W Kolebce?

– W Kolebce, która kiedyś uchodziła za niewiarygodny cud techniki, a dziś stała się osobliwą, staroświecką prekursorką znacznie od niej

doskonalszego Gnomonu.

– Chciałabym ją zobaczyć.

– Zapraszam. Przy dziedzińcu na tyłach mamy pokoje dla gości.

– Na pewno bardzo drogie.

– Darmowe.

– Co trzeba zrobić, żeby się na taki załapać? – zainteresował się Einstein.

– Pojęcia nie mam. Właściciele wynajmują je ludziom, którzy służą Wyższemu Celowi.

– To muszą być bardzo ważni ludzie.

Ty wzruszył ramionami.

– Za samo zapytanie o to nikt cię nie zabije. Ale co do Siódemki macie rację: już jej nie ma. Nasz ivyn zmarł. Einstein zajął jego miejsce.

Chłopak parsknął nerwowym śmiechem.

– Marny ze mnie zastępca Doca.

– Nie musisz go zastępować, nie w takim sensie. Spójrz, czego dokonałeś: nawiązałeś pierwszy kontakt z nimi – Ty spojrział znacząco na Głębinowca – a także pierwszy kontakt innego rodzaju z kopaczami.

Einstein i Sonar Taxlaw zarumienili się po czubki uszu.

– Cykla zastąpiła Memmie. Nie stanowimy tradycyjnej Siódemki, ale gdyby udało nam się choć na chwilę rozdzielić Katrzy i Beleda, a następnie znaleźć julijczyka i camilitę, którzy nie nienawidzą się nawzajem, utworzylibyśmy Dziewiątkę. Pierwszą Dziewiątkę w dziejach.

Ty gadał, co mu cydr na język przyniósł, ale Sonar potraktowała jego słowa jak najbardziej serio.

– W ten sposób reprezentowana byłaby tylko jedna aïdańska podrasa – zauważyła.

– Bard wystarczy za pięciu.

– Należałoby jakoś uwzględnić pozostałą czwórkę – zawtórował Cykli Einstein.

– Wtedy byłaby nas trzynastka. Pechowa liczba. Poza tym, prawdę mówiąc, zrobiłby się lekki tłok.

Młodzi wpatrywali się w Ty'a z nadzieją w oczach.

– Na pewno uda mi się przekonać Właścicieli do odstąpienia paru pokoi na tak doniosłą okazję – dodał.

- Naprawdę ich zapytasz? – nie dowierzała podekscytowana Sonar.
- Nie. Jest takie stare porzekadło, że łatwiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie. Będziecie mile widzianymi gośćmi w Kruczym Gnieździe.
- Ty spojrział na Głębinowca. – Tylko nie przesadź z zimnymi kąpielami, stary. Instalacja hydrauliczna ma najlepsze dni za sobą, a tylko ja umiem ją naprawić.

Podziękowania

Pomysł na tę książkę przyszedł mi do głowy około roku 2006, kiedy, pracując na pół etatu w Blue Origin, zainteresowałem się problemem kosmicznego śmiecia na niskich orbitach okołoziemskich. Specjaliści przestrzegali przed możliwością reakcji łańcuchowej, masowego roztrzaskiwania się bolidów, których ogromna liczba miałyby w przyszłości całkowicie uniemożliwić loty kosmiczne. Moje badania w tej dziedzinie miały niewiele wspólnego z pracą zawodową, ale drzemiący we mnie powieściopisarz zwęszył materiał na książkę. W tym samym okresie uświadomiłem sobie również, jak wiele użytecznych surowców zawierają krążące w pobliżu Ziemi asteroidy. I tak oto pod koniec 2006 roku powstał ogólny zarys *7 Ew*. Dlatego pierwsze wyrazy wdzięczności kieruję do Blue Origin, które Jeff Bezos założył około roku 2000 pod nazwą Blue Operations LLC. Odbyłem w tej firmie wiele interesujących rozmów zarówno z nim samym, jak i z innymi jej pracownikami: Jaimem Taaffe, Marią Kaldis, Dannym Hillisem, George'em Dysonem i Keithem Rosemą. To Keith podsunął mi ideę wielowarstwowego awaryjnego schronu kosmicznego, który w książce pojawił się pod nazwą Łuka. Opisy Bajkonuru zostały luźno oparte na wspomnieniach i zdjęciach George'a Dysona, Esther Dyson i Charlesa Simonyiego.

Hugh i Heather Matheson byli dla mnie źródłem informacji o górnictwie, o związanej z nim kulturze i stylu życia, co pomogło mi stworzyć postać Dinah; jeżeli, opisując alaskańską kopalnię MacQuariech i ich radioamatorskie zapędy, nagiąłem prawdę, to stało się tak wyłącznie z mojej winy. Dla porządku dodam, że Hugh radził mi umieszczenie kopalni Rufusa w Homestake Mine nieopodal Lead w Dakocie Południowej albo w dystrykcie górniczym Coeur d'Alene w Idaho. Ostatecznie wybrałem Alaskę, żeby odsunąć kopalnię jak najdalej od równika.

Chris Lewicki i ekipa z Planetary Resources dostarczyli mi bezcennych sugestii podczas nieoficjalnej wizyty, jaką złożyłem im w biurze w listopadzie 2013 roku. Przy tej okazji wielu ich inżynierów poświęciło mi naprawdę masę czasu. Chris wspomniał później, że wszyscy byli mile zaskoczeni, gdy okazało się, że ktoś pisze powieść science fiction, w której firma specjalizująca się w górnictwie asteroidowym jest przedstawiona w pozytywnym świetle.

Marco Kaltofen pomógł mi dopracować techniczną stronę steampunkowego napędu *Ymira* i bacznie przejrzał odnoszące się do niego rozdziały w pierwszej wersji książki. Seamus Blackley również stał się źródłem cennych uwag na tym etapie pracy. Przywoławszy ich nazwiska, powtórzę to, co napisałem przed chwilą: jeżeli zbyt swobodnie potraktowałem fakty naukowe (celowo bądź przez przypadek), to cała odpowiedzialność spada tylko i wyłącznie na moje barki.

Tola Marts i Tim Loyd pomogli mi wyobrazić sobie szczegóły niektórych przedstawionych w powieści urządzeń kosmicznych; zresztą ten proces trwa nieprzerwanie aż do dzisiaj. Czytelnicy na pewno z ulgą przyjmą fakt, że dzięki Toli różne aspekty konstrukcji Oka i jego olinowania uwzględniają niezbędne z inżynierskiego punktu widzenia mechanizmy zabezpieczające.

Prace Krisa Pistera o zachowaniach rojów robotów, które ze zmienną intensywnością śledzę od lat, były kluczowe przy tworzeniu idei gzów.

Karen Laur i Aaron Leiby poświęcili czas i siły na opracowanie założeń gry komputerowej opartej na idei TerReFormu i choć ich wysiłki poszły na marne, na skutek tradycyjnych trudności z pozyskaniem kapitału, pomogły mi na nowo przemyśleć niektóre aspekty fabuły. W ramach projektu innej potencjalnej gry Tim Miller z Blur Studio, a także Jascha Little, Zoe Stephenson, Russel Howe i Jo Balme obmyślili kilka różnych odmian robotów i pomogli stworzyć ich wizerunki (dzieło Chucka Wojtkiewicza, Seana McNally'ego, Toma Zhao i Joshuy Shaw z Blur). Ed Allard też strawił mnóstwo czasu na opracowanie tej gry. Ich praca również nie zaowocowała na razie gotowym produktem, ale miała pozytywne skutki uboczne: także dzięki niej opowiadana przez mnie historia nabrała realnych kształtów. Dziękuję również Jamesowi Gwertzmanowi za to, że poznał mnie z Edem, a także za porady i opinie.

Ben Hawker z Weta Workshop przeczytał rękopis i zwrócił mi uwagę, że Kolebka sprawiała wrażenie zardzewiałej, który to szczegół wcześniej mi umknął. Wprowadziłem więc pośpieszne poprawki.

Dzięki kontaktom z Revive and Restore Initiative prowadzoną przez Long Now Foundation, Stewart Brand i Ryan Phelan mogli podzielić się ze mną mnóstwem przydatnych informacji na temat wyzwań stojących przed genetykami, którzy chcieliby odtworzyć gatunek na bazie nielicznej populacji.

O ile pierwsze dwie części książki składają się na opowieść o katastrofie kosmicznej i desperackiej technicznej prowizorce, o tyle część trzecią zawsze postrzegałem jako okazję do zaprezentowania innych, bardziej pozytywnych idei, jakie w ciągu ostatniego stulecia przewinęły się w ogólnoswiatowej społeczności zainteresowanej eksploracją kosmosu. Całkiem sporo z przedstawionych w niej wielkich pomysłów inżynierskich od dziesięcioleci błąka się po literaturze; wierni czytelnicy hard SF bez trudu rozpoznają starych znajomych.

Szczególne wyrazy uznania i wdzięczności należą się Robowi Hoytowi z Tethers Unlimited. Kontynuując tradycje nieżyjącego Roberta L. Forwarda, Rob twórczo rozwija różne pomysły z dziedziny „wielkich machin kosmicznych”. Jedną z nich jest Hoytether, którego znacznie powiększona wersja trafiła do książki jako smycz łącząca Oko z Kołyską; inną jest Remora Remover, w swojej idei niczym nie różniący się od mojego minoga. Rob jest również współautorem artykułu z 2000 roku o obrotowych uwięziach na dużych wysokościach, opartego na wczesnych pracach Forwarda i innych; na tej idei oparłem wizję transferu z Ziemi na orbitę przedstawioną na początku części trzeciej. Rob zasługuje na podziękowania za ten swój wkład, a także za krytyczną lekturę rękopisu.

Pierwsza faza podróży Kath Dwa – z powierzchni planety do hangaru – została zainspirowana moimi rozmowami z Chrisem Youngiem i Kevinem Finke o najnowszych trendach w technologii szybowcowej. Dzięki tym rozmowom, wspólnym lotom, a także poradom Chrisa i Kevina zrozumiałem, że atmosfera zawiera całą niezbędną do latania energię i że jedynym, czego brakuje do implementacji projektu szybowca Kath Dwa, są znaczne nakłady na produkcję czujników i oprogramowania oraz, być może, przełom w leczeniu choroby

lokomocyjnej.

Po przeczytaniu wczesnej wersji powieści Arthur Champernowne wyraził wątpliwości co do dynamicznej równowagi układu Oko-Kolebka, które ja – z całym szacunkiem – postanowiłem całkowicie zignorować. Czytelników z większym zacięciem inżynierskim może jednak zainteresować informacja, że układ ten wykonywałby rozliczne arcyciekawe wygibasy, których analizę postanowiłem odłożyć na kiedy indziej. W wersji przedstawionej Arthurowi rupieć wiozący Kath Dwa wchodził na orbitę geosynchroniczną wynoszony przez stare dobre silniki rakietowe. Arthurowi się to nie spodobało (nie ze względów technicznych, lecz estetycznych), co ostatecznie przekonało mnie do sięgnięcia po pomysł, który już od dłuższego czasu nosiłem w głowie: rupieć spotyka końcówkę biczka. Literatura naukowa z tej dziedziny, choć skąpa, sięga wstecz aż do epoki wiktoriańskiej. Najstarsza wzmianka na temat mechaniki łańcuchów w ruchu, na jaką udało mi się natrafić, pochodzi z artykułu Johna Aitkena z lat siedemdziesiątych XIX wieku, w którym Aitken powołuje się na prace swoich przyjaciół, braci Thomsonów – Wiliama (późniejszego lorda Kelvina) oraz Jamesa. Dzieło Aitkena leżało odłogiem aż do lat dwudziestych XX wieku, kiedy to podjął je – i rozwinął – M.Z. Carrière w artykule o mechanice biczów. Obrazu dopełniają późniejsze prace W. Kucharskiego (1940) oraz R. Grammela i K. Zollera (1949). To bardzo ciekawa i mało zbadana dziedzina fizyki klasycznej. W czerwcu 2014 roku wygłosiłem na ten temat wykład w Oxford Union (przed nieprzesadnie liczną publicznością) i mam zamiar napisać coś więcej, chociaż na razie (grudzień 2014) żadne konkretne decyzje w tej kwestii jeszcze nie zapadły.

Na zakończenie chciałbym podziękować moim agentom: Liz Darshanoff z Darshanoff & Verrill oraz Richardowi Greenowi z ICM Partners, a także mojej redaktorce Jen Brehl – za wyjątkową elastyczność, jaką musieli się wykazywać przez te siedem lat, kiedy ja próbowałem wymyślić, co właściwie chciałbym zrobić ze swoim pomysłem.

Neal Stephenson